Dziennik
Rok 1923 (od stycznia) i rok 1924
Michał Römer,
sędzia Najwyższego Trybunału Litwy i docent Uniwersytetu Litewskiego w Kownie
Kowno, Zielona Góra, ul. Zielona , 23
21.I.1923
tom XXX

21 stycznia, rok 1923, niedziela
Rano byłem na posiedzeniu Rady Wydziału Prawniczego na uniwersytecie. Obecni byli: dziekan wydziału Leonas, profesorowie Mačys i Balogh, sekretarz wydziału Wacław Biržiška i docenci Tumenas, Bielackin, Šalčius, Alfons Morawski i ja. Głównym przedmiotem, który najwięcej czasu zajął, była sprawa stypendiów i zwolnień od opłaty. Na porządku dziennym była też sprawa wyboru dziekana, wniesiona przez Leonasa, który uważał, że wybór jego, dokonany w jesieni czy bodaj latem, kiedy wydział był jeszcze w stanie embrionalnym i kiedy on był jedynym profesorem wśród naszych docentów, nie może być uważany za normalnie obowiązujący, gdy już obecnie wydział jest mniej więcej ukompletowany. Chciano potwierdzić wybór Leonasa przez aklamację, ale on nastał na głosowaniu kartkowym. Jednogłośnie wybrany został Leonas. Zresztą innego lepszego kandydata nie mamy. Na ogół jest na naszym wydziale zaledwie czterech, którzy mają tytuł profesora: Leonas, Balogh, Mačys i Kriščiukaitis. Z nich Balogh jest cudzoziemcem, o Kriščiukaitisie na stanowisko dziekana nie ma mowy, bo jako prezes Trybunału nie ma on nawet czasu na obowiązki dziekana, Mačys jest dopiero od 1 stycznia członkiem wydziału i nie jest ze sprawami uniwersyteckimi obeznany. Gdyby Janulaitis należał do wydziału, to byłby on od Leonasa właściwszy z wielu względów na dziekana. Ale Janulaitis dla wiadomych względów formalnych, o których pisałem latem, nie zgadza się należeć do wydziału i wykłada tylko w charakterze lektora. Poza tym, omawiana była sprawa zarządzenia egzaminów na wiosnę dla tych osób, które mają ukończone studia uniwersyteckie, ale nie mają zdanych egzaminów dyplomowych. Osób takich już się kilka zgłosiło. Są to przeważnie ludzie, którzy w latach wojny pokończyli w Rosji uniwersytety, ale którym brak jeszcze niektórych egzaminów do dyplomu. Zlecono mnie rozejrzeć podania tych osób, zaprojektować decyzje i zreferować wnioski Radzie Wydziału.
Z polityki nic nowego dziś się nie dowiedziałem.

22 stycznia, rok 1923, poniedziałek
Przerażam się na myśl, ile mi jeszcze pracy pozostało do całkowitego wykończenia mojego kursu wykładu uniwersyteckiego. Właściwie jestem dopiero w połowie i kto wie, czy nie najtrudniejsze – bo najściślejsze – działy pracy są jeszcze przede mną. Pracuję co dzień jak wół i nie widzę końca. Z jakąż bym ulgą odetchnął, gdybym już tę pracę kończył. Zaczynam wątpić, czy ją w ogóle wykończyć zdołam w biegu semestru obecnego, który musi wyczerpać mój wykład. I im dalej się posuwam, tym większe napotykam trudności. Przede wszystkim dlatego, że w obecnie omawianych zagadnieniach nie ma już bodaj takiego, którego bym w ten lub inny sposób nie był dotknął w początkowych działach mej pracy. Muszę się więc stale liczyć z tym, co już poprzednio powiedziałem, aby zachować jednolitość dzieła i nie przeczyć samemu sobie. Za mało zaś pracuję nad całością mojej nauki we wszystkich jej elementach, za mało jestem uczonym i specjalistą w tej sferze, by mi to z łatwością przychodziło. Po drugie, każda książka z dziedziny prawa państwowego, do której zaglądam, wnosi

pewne rozdźwięki do toku i systemu mojej pracy. Takie zamieszanie wywołał u mnie zwłaszcza Duguit[1], znakomity uczony, którego dzieło najnowsze, stanowiące rzecz klasyczną i pełną głębokiej indywidualności myśli, właśnie świeżo w tych dniach przeglądałem. Zachwiał on wiele z tego, com już był sobie wybudował na zasadzie studiów Jellineka[2], na którego się w mojej pracy opieram. Dla wytrawnego uczonego czytanie naraz wielu dzieł nie stanowi trudności w jego pracy naukowej. Ma on mocny szkielet własnej myśli, własnej idei w nauce. Trudniej jest temu, który dopiero pracę naukową rozpoczyna, gdy ma on ją od razu w całokształcie nauki wyłożyć.
Nie bardzo też wyobrażam sobie, jak będę wykładał w roku przyszłym. Nie będę przecież tylko czytał z rękopisu tegorocznego, a na wykład ustny nie odważę się zdobyć. Wiele trzeba byłoby zmienić w moim wykładzie tegorocznym, przerobić go, przeanalizować na nowo.
Po świętach jeszcze nie zacząłem wykładać. Zapewne wznowię wykłady od przyszłego poniedziałku.

23 stycznia, rok 1923, wtorek
Komisje powiatowe reformy agrarnej ogłosiły o uchwałach swoich zużytkowania na potrzeby reformy całego szeregu majątków, które z powodu nieobecności właścicieli były w zarządzie państwowym. W naszym powiecie rakiskim losowi temu ulegają majątki Raynolda Przeździeckiego[3], Jużynty i Tarnów[4] Walunia Weyssenhoffa, Antonosz Römerów, Pokrewnie[5] Weyssenhoffów, Węgieryn i Kroszty[6] Kupściów, Hanuszyszki[7] Komara, Poniemuń[8] Krasickiej i jeszcze kilka innych. Właścicielom dany jest termin dwutygodniowy do zaskarżenia uchwały lub do wskazania, w której części majątku wybierają sobie te 80 hektarów nietykalnych, które im pozostawione być mają na własność. Wielu właścicieli nie będzie w stanie z tego skorzystać, bo są nieobecni i plenipotentów w kraju nie mają. W tej sytuacji jest np. Antonosz, jeden z najstarszych naszych majątków Römerowskich. Młodsi Römerowie, właściciele Antonosza, zaniedbali tego interesu. Z nich Bronisław nie żyje – zamordowany przez bolszewików w Rosji w r. 1918 czy 1919, gdy się przedzierał na północ na Murman, usiłując się dostać do utworzonych tam formacji ochotniczych wojskowych polskich; Maciej[9], żonaty z Daszkiewiczówną, siedzi w Warszawie, jest oficerem, adiutantem bodaj ministra wojny; Tadeusz[10], który był sekretarzem Dmowskiego w b. Komitecie Narodowym w Paryżu, jest obecnie także w Warszawie i ma stanowisko w Ministerium Spraw Zagranicznych; ich siostra, Jadwiga Römerówna[11], która już musi mieć coś około 30 lat, bawi od paru lat w Ameryce; co tam robi – nie wiem. Nie troszczą się oni o Antonosz, z którego, gdyby się byli w porę nim zaopiekowali, mogliby uratować 240 do 320 hektarów, licząc na schedę każdego po 80; zaniedbali tę sprawę do tego stopnia, że nawet plenipotencji nikomu tu nie przysłali i teraz bodajże stracą całość. Osieroceni przez rodziców w dzieciństwie, wychowani przez krewnych z dala od kraju – w Polsce

---
[1] Diugi Leon
[2] Jellinek Georg
[3] Przezdziecki Rajnold Franciszek Feliks (Pšezdzieckis Reinoldas)
[4] Tarnavo ir Jūžintų dvarai valdė
[5] Pakriauniai, kaimas.
[6] Kupsčių Vengerinės ir Kraštų dvarai bei jų valdos.
[7] Onuškis.
[8] Panemunio dvaras
[9] Römer Maciej Stefan.
[10] Römer Tadeusz .
[11] Römerówna Jadwiga Zofia.

(w Galicji) lub w Szwajcarii – nie przywiązali się oni do kraju (Litwy) ani do Antonosza. Są Polakami gorącymi, ale już tylko Polakami bez tej cechy szczególnej, która się wyraża w skojarzeniu słów „Polak litewski". Dla Bronisława i Macieja Antonosz mógł jeszcze coś znaczyć, bo bywali oni w nim latem podczas wakacji, pamiętali dzieciństwo w domu rodziców, wreszcie w ostatnich latach przed wojną sami gospodarzyli w Antonoszu czynnie. Ale Bronisław umarł, a Maciej jest bierny i uległy żonie, która Antonosza nie lubi i stara się w ogóle odciągnąć go od wszystkiego, co ma związek z jego rodziną; a Tadeusz i Jadwiga wychowani są od maleństwa w Szwajcarii i Litwa żadnego bodaj uroku dla nich nie ma, a Antonosz nie jest dla nich przedmiotem uczucia. Jadwiga miała już zresztą przyjechać do Antonosza w r. 1920, ale akurat w tym czasie nastąpiła ofensywa bolszewicka na Polskę, zajęcie Wilna przez bolszewików; przestraszyła się i zaniechała przyjazdu. Na co liczą Römerowie antonoscy – nie wiadomo; czy Antonosz nie obchodzi ich wcale, nawet ze stanowiska materialnego, czy też liczą na jakieś przemiany polityczne, które zniweczą dzieło litewskiej reformy agrarnej, czy może na interwencję Polski, która pochłonie Litwę i udzieli satysfakcji obszarnikom polskim na Litwie, a zwłaszcza wynagrodzi tych, którzy jej wiernie służyli, zaniedbując interesów osobistych i wspierając ją przeciwko krajowi, w którym ich kolebka była.
Zagłada grozi też innemu majątkowi Römerowskiemu – Władykiszkom w pow. trockim. Są one też przeznaczone na reformę agrarną. Stryjenka Bolesławowa Römerowa[12], do której one należą, bardzo gorliwie nawołuje z Wilna o ratowanie Władykiszek. Pisze ciągle o tym do mnie, do Kamili Römerówny[13], do Eugeniusza Römera[14]. Ale główny wysiłek był skierowany do sprzedaży domów i placów w Koszedarach, a gdy teraz same Władykiszki wystawione zostały na reformę agrarną i gdy trzeba od jej imienia interweniować, to, jak się dziś ujawniło na naradzie, którąśmy we czworo – ja, Eugeniusz Römer, Kamila Römerówna i adwokat Roman Chodakowski[15] – odbyli, okazało się, że właściwej plenipotencji nikt nie ma, a jedyna plenipotencja Kamili – dotyczy li tylko placów koszedarskich[16].

24 stycznia, rok 1923, środa
Wrogowie Litwy, których jest bardzo dużo w samej Litwie i którzy się cieszą z każdego jej niepowodzenia, czyhają na każdy objaw niezdrowy i bez ustanku przepowiadają jej wszelkie klęski, od samego początku wprowadzenia waluty litewskiej zapowiadali, że lit tylko chwilowo sztucznie może być utrzymany na wysokim nominalnym poziomie kursu i twierdzili, że po Nowym Roku rozpocznie się jego spadek. Oto jesteśmy już po Nowym Roku. Styczeń, czwarty miesiąc żywota i funkcjonowania litów, ma się ku schyłkowi. Czy lit spada? Trudno dać na to kategoryczną odpowiedź. I zdaje się, że nie, i zdaje się, że tak. Sądząc z wymiany litów na dolary, tu w Kownie kurs jego jest równy nominalnemu. W banku, przynajmniej w wielkich bankach litewskich, za 10 litów kupuje się dolara; jest wprawdzie mała dopłata komisowa za wymianę, ale na większej ilości kupowanych dolarów jest ona zgoła znikoma. Sądząc natomiast z cen (z wyjątkiem większości produktów rolnictwa na prowincji), lit chyba spada, bo ceny stale

---

[12] Römerowa Elżbieta

[13] Römerytė Kamilė (Römer Kamilla.

[14] Römer Eugeniusz

[15] Chodakauskas Romanas

[16] Vladikiškių dvaras

i bardzo kategorycznie idą w górę, przekraczając już nawet ceny przedwojenne w stosunku do nominalnej waluty złotej lita. Ponieważ lit na międzynarodowych rynkach i giełdach pieniężnych nie ma stanowiska samodzielnego, więc trudno sprawdzić, czy istotnie spada czy nie, działalność bowiem banków litewskich w stosunku do lita dyktowana jest polityką państwową i skierowana do popierania go, a przeto nie odzwierciedla dokładnie stanu rzeczy i jeżeli nawet spadek jest – potrafi go zamaskować.
Jeżeli lit spadać zacznie, będzie to rzecz ciężka dla państwa. Wszakże dla gospodarki krajowej ze stanowiska ruchu wytwórczego obniżenie kursu lita byłoby pożądane. Rolnicy na wysoką walutę narzekają bardzo, bo wytwarza ona, po pierwsze, wielki brak gotówki, a po wtóre, zamyka drogo eksportu nadmiaru produktów do krajów sąsiednich o niskiej walucie. Obniżenie kursu, sprowadzając większy ruch obrotowy kapitałów, działa też ożywczo na przemysł. Wysoka stateczna waluta, gdy kraj jest otoczony sąsiadami niskiej waluty, ma zawsze minusy duże. Dla państwa jednak sam proces spadku waluty jest niebezpieczny, a poza tym spadek jest straszny przez to, że gdyby się rozpoczął, trudno go wstrzymać na jakiejś granicy, a spadek bezgraniczny – to albo krach ustroju kapitalistycznego, albo bankructwo finansów państwowych.

25 stycznia, rok 1923, czwartek
Dziś sprawiłem sobie rzadką w moim trybie życia przyjemność, która jest obecnie tym dla mnie trudniejsza, że żadnego zgoła wieczora bez ujmy dla pracy poświęcić nie mogę – a mianowicie poszedłem na operę. Rozerwałem się wprawdzie, ale przekonałem się, jak stan mego serca jest zły, bo kilkakrotnie, gdym podczas antraktów w teatrze udawał się do foyer dla wypalenia papierosa, doświadczałem takich duszności z powodu nieregularnej działalności serca, że zdawało mi się, iż żyły mi pękną i że nie wytrzymam i nie ustoję na nogach. Stan mego zdrowia jest rzeczywiście ciężki. Serce jest tylko jednym z objawów, pochodzenia zapewne nerwowego – z powodu niepokoju, który doświadczam, źródło bowiem choroby i niepokoju jest znacznie głębsze.
Pierwszy to raz byłem na operze litewskiej, o której dużo słyszałem i dużo recenzji czytałem. Młoda sztuka litewska z wielkim pietyzmem pielęgnuje tę latorośl, z której cały naród litewski jest dumny. Ba, cóż dziwnego. Przed kilku jeszcze laty Litwini nie mogli marzyć nawet o własnym teatrze dramatycznym stałym i zadowalali się scenami amatorskimi. Opera – to był luksus, o którym w najśmielszych snach nie marzono. Ale niepodległość bujnie rozkrzewia kulturę. Dzięki niej Litwini szybko się zbliżają do Europy i zdobywają to, czego bez niej przez lat dziesiątki i przez pokolenia nie mogliby marzyć.
Grano „Fausta”, operę, którą znam dobrze i do której mam szczególne upodobanie. Oczywiście grano po litewsku. Litwini już kilka oper mają przyswojonych, które zostały przetłumaczone i wystawione na scenie narodowej („Faust”, „Traviata”, „Pajace” i kilka innych). Z powodu remontu właściwego gmachu teatralnego, który ma być przystosowany do potrzeb sceny stołecznej, przedstawienia teatralne w sezonie obecnym odbywają się w tzw. sali Filharmonii, dość lichej zaiste. Występował dziś w roli Fausta Cyprian Piotrowski[17] – sława i duma opery litewskiej, artysta rzeczywiście pierwszorzędny, ze sceny byłej Opery Cesarskiej w Rosji, śpiewak o głosie z Bożej Łaski i kulturze wokalnej znakomitej. Pomimo że „Faust” był już wielokrotnie wystawiany i że ceny były z powodu występu Piotrowskiego podwyższone, sala była pełna publiczności, zwabionej imieniem Piotrowskiego. Piotrowski bowiem, jak i inni artyści opery litewskiej, często jeździ to do Ameryki, to do Rygi, to do różnych miast i

[17] Petrauskas Kipras

krajów na występy, a w Kownie bywa przelotnie, choć oczywiście jest opery kowieńskiej artystą stałym etatowym. Jego śpiew jest rzeczywiście pieśnią wspaniałą. Inni – o wiele słabsi. Mefistofelesa grał Katelė[18], w pierwszym akcie bardzo słabo, w innych – lepiej: głos dosyć słaby, w dalszych aktach jednak coraz lepszy, gra natomiast bardzo dobra i b. sympatyczna. Walentyna grał Bieliunas[19], bodaj najsłabszy z ról solowych w dzisiejszym „Fauście". Małgorzatę grała Dworanowska[20] – głos wcale ładny i dość silny. Młodego Siebla grała Grigaitisowa[21] – piękny wyrobiony głos. Orkiestrą dyrygował osobiście kompozytor Tallat-Kiełpsz[22]. Chóry, statyści, balet – niezłe. Nad baletem szczególnie się dużo pracuje. W ogóle opera wyrabia się i tworzy szybko; wiele się w nią kładzie energii i – entuzjazmu. Dekoracje – nędzne po scenach operowych Petersburga i Paryża, do których przywykłem.
Wieczór dał mi prawdziwą przyjemność, choć kosztował mię straty mego najlepszego *pince-nez*, które mi zrzucono z nosa w szatni jakimś podawanym paltotem.

26 stycznia, rok 1923, piątek
Wczoraj w teatrze w I akcie „Fausta" porównywałem siebie do Fausta, którego starość zastaje w samotnej pracowni nad księgami myśli ludzkiej i który nagle spostrzega, że tajemnica prawd, których poznaniu całe życie poświęcił, wyrzekając się dla nich miłości i szczęścia, jest niedocieczona, a w którym się budzi nagle tęsknota życia bezpośredniego i przeczucie, że prawda jest dla człowieka nie w zawiłych dociekaniach myśli, nie w pogoni intelektualnej za wątkiem wielkich praw, kierujących ruchem świata a niedostępnych umysłowi atomu ludzkiego, jeno w samym ruchu życia, w samej akcji bezpośredniej, w czynności życia. Przeklina suchą mądrość samotni; głos piosnki ulicznej ludzi nęci go jak czara szczęścia, którego nie zaznał. Przekleństwo wywołuje szatana, który mu środki podaje, by żyć – za cenę śmierci wiekuistej, bo życie bezpośrednie i szczęście czynności ruchu – to nawóz rozkładu pod życie innych jestestw – i tak bez końca. I ja tu w samotni, i ja w księgach i pracy nieustannej, jak pustelnik, bez żadnego w życiu udziału. I nie widzę przyszłości innej, jak praca także i starość, i śmierć. Ba, mam wprawdzie córkę, ale nie widzę życia, nie widzę przed sobą nic, co by drogi wielkich celów i przemian wskazywało, nic, prócz pracy dla pracy. I ja także, jak Faust, nie widzę w pracy uczonego, którą w uniwersytecie rozpocząłem i która mię pochłania bez wytchnienia – żadnych wyraźnych mocnych pewników, żadnych prawd świętych i ścisłych jak skała. I mnie sceptycyzm nauki męczy, a wierzę w nią tylko jako w funkcję społeczną, nie zaś w drogę do wiedzy doskonałej. A jednak – nie jestem Faustem i nie zatęsknię jak on. Dlatego – że Faust postarzał poza życiem, ja zaś je miałem, kochałem, byłem kochany i szczęśliwy. Tyś mi, Anno[23] moja, świadkiem, Ty – puklerzem przeciwko tragedii Fausta. I miałem ruch i życie, i czynność życia, jak może miał kto mało.

---

[18] Katelė Juozas

[19] Bieliūnas Juozas

[20] Dvarionaitė-Montvydienė Julija

[21] Grigaitienė-Polovinskaitė Vladislava

[22] Tallat-Kelpša Juozas

[23] Wolberg Anna.

27 stycznia, rok 1923, sobota
Stan mojego serca jest bardzo zły. Datuje się to mniej więcej od połowy października. Doświadczam duszności, pochodzącej z nieregularnego bicia serca, i jakiegoś dziwnego uczucia nie bólu, ale czegoś, czego nie umiem określić – w okolicy serca. Jest to uczucie bardzo przykre, pełne niepokoju. Powtarza się to kilka razy na dzień, mniej więcej periodycznie, w tych samych porach dnia. Najgorsze są godziny od szóstej do dziesiątej wieczorem, kiedy właśnie zajęty jestem najbardziej pracą. I dziwne, że podczas gdy w ogóle przy cierpieniach sercowych mocno rozwiniętych chory najgorzej się czuje w pozycji leżącej, a nieraz wcale leżeć nie może, ja – przeciwnie – najlepiej się czuję, gdy się położę. Wtedy mi się serce uspokaja. Dlatego tez chciałbym już jak najprędzej doprowadzić do końca moją pracę uniwersytecką, aby mieć więcej czasu na odpoczynek i na kurację fizyczną przez ruch i leżenie. Siedzenie przy biurku jest dla mnie najbardziej męczące, a tymczasem właśnie jest mi to ze względu na pracę konieczne. Stan ten pogarsza się stale i w dość szybkim tempie. Kto wie, czy jeżeli dożyję do lata, nie będę się musiał udać do Królewca leczyć. Nie pomaga mi i konwalaria, którą z przepisu doktora przyjmuję co dzień trzy razy dziennie po 25 kropel. Na razie mi pomagała – teraz już nie. Praca moja nad wykładem uniwersyteckim potrwa jeszcze co najmniej dwa miesiące, jeżeli nie dłużej. Alkoholu nie używam wcale, kawę tez przestanę pić, tylko palenia papierosów nie mogę się zdobyć zaniechać.

28 stycznia, rok 1923, niedziela
Spędziłem dziś parę godzin z Adolfem Grajewskim[24], który na kilka dni do Kowna przyjechał. Lubię go bardzo i zawsze z wielką przyjemnością się z nim widzę i czas z nim na rozmowie spędzam. Pomimo różnicy zdań w wielu kwestiach, obcujemy ze sobą dobrze i dużo mamy w gruncie wspólnego w idei. Cenię Grajewskiego za szczerość i czystość przekonań; w rozmowie z nim sam też umiem być szczerym i nie czuję żadnego skrępowania, jak z przyjacielem. Dla moich stosunków osobistych żałuję bardzo, że go już nie ma w Kownie na stałe. Dawno się z nim nie widziałem, bo rzadko bywa w Kownie. Porzucił politykę, mieszka u siebie na wsi w powiecie taurogowskim, praktykuje jako adwokat w miejscowych sądach pokoju i w Sądzie Okręgowym w Szawlach. Wspominał mi, że niedawno jeździł do Polski przez Łotwę: był w Wilnie, widział się z Bronisławem Krzyżanowskim[25]. Powiada, że w Wilnie coraz mniej się interesują stosunkami w Litwie i że faktycznie odcięcie państwowe Wilna od Kowna rzeczywiście coraz bardziej Wilno od Litwy oddala i coraz wyraźniej czyni Wilnu Litwę obcą i obojętną. Że tak się rzecz ma dla Polaków wileńskich – to pewne; że też politycy polscy wileńscy, jak Bronisław Krzyżanowski, przejęci bieżącymi kwestiami i kombinacjami politycznymi na gruncie ogólnopaństwowym Polski, zatracają czucie szczególnych spraw historycznych Wilna i jego głębokiego związku z całością Litwy – o tym nie wątpię. Tak, rozłąka z pewnością działa, ale nie sądzę, żeby kilka lat odrębnego losu mogły zniszczyć głębokie związku zasady.
Słyszałem znowu o Stanisławie Narutowiczu[26], że jakoby przy zajęciu Kłajpedy przez powstańców litewskich ujawniono w jakichś znalezionych tam papierach szczegóły, mocno go kompromitujące, rzekomo – jakieś ślady szpiegowania na rzecz Polski. Wątpię jednak, by Narutowicz się do tego dał użyć. Być może – udzielał kiedyś jakichś

---

[24] Grajevskis Adolfas (Grajewski Adolf)
[25] Kšyžanovskis Bronislavas (Kžyžanowskis, Krzyzanowski Bronisław)
[26] Narutavičius Stanislavas.

Auksztolaitisowi lub Szarocie[27], lecz żeby prowadził właściwą akcję szpiegowską – nie sądzę. Musi jednak coś w tym być, kiedy już po raz drugi o tym z różnych źródeł słyszę, choć w rozmaitym oświetleniu szczegółów.

29 stycznia, rok 1923, poniedziałek
Wznowiłem dziś moje wykłady na uniwersytecie. Miałem wykład rano od godz. 8 do 9. Słuchaczy było zaledwie kilkunastu – zapewne nie bardzo się jeszcze wśród nich rozgłosiło o wznowieniu moich wykładów. Zresztą nie jestem bynajmniej pewny, że wykłady moje ich zbytnio zajmują. Język moich wykładów nie jest doskonały, a poza tym może zbyt głęboko ujmuję problemy mego przedmiotu, zbyt je filozoficznie może traktuję, a za mało daję słuchaczom tez ścisłych. Ale część ogólna nauki społecznej o państwie i prawa państwowego z konieczności, w moim rozumieniu, opierać się musi na analizie samych pojęć zasadniczych o państwie. Wykład mój przeto jest może zbyt dal studentów głęboko ujęty, trudny do utrzymania w pamięci wątku, o ile słuchacze nie mają wystarczającego wykształcenia ogólnego. Rzecz ta mniej by mię obchodziła, gdybym był pewny, że moja praca zawiera na całej rozciągłości swojej dokładną myśl jednolitą, w której wszystkie momenty wielkiego problemu państwa i prawa są dobrze zharmonizowane. Bo że poszczególnym studentom może być brak przygotowania do przetrawienia myśli podanej – to cóż robić: niech się sami potroszczą o uzupełnienie luk swego wykształcenia przeduniwersyteckiego; na to są studentami i winni nie tylko pochłaniać wykłady, ale także samodzielnie pracować, uczyć się i myśleć; katedra uniwersytecka musi stać na poziomie myśli naukowej – nie jest to wykład popularny, detalizujący wnioski wiedzy. Ale jeżeli w wykładzie brak jedności naukowej, jeżeli w nim są naleciałości publicystyczne felietonu lub artykułu dziennikarskiego – to źle. A tego się właśnie u siebie boję, bo jeszcze nie czuję się tak mocny w mojej nauce, bym nad całokształtem i zarazem wszystkimi momentami panował. Dotykając jednego działu, daję myśli rozwijać się jednostronnie, gdy tymczasem gdzieś w innym dziale, dotknąwszy tychże pojęć, naginam je trochę i mimowolnie zmieniam stosownie do nowego toku myśli w innym momencie. Tego się boję i czuję, że to właśnie wykładowi memu grozi.
Z Bohdaniszek mam przykrą wiadomość. Helcia Mieczkowska, córka Elwiry, dziewczynka niespełna dwunastoletnia, dostała dziwnych konwulsji, które trwają już około tygodnia. Nie ma gorączki, apetyt ma dobry, ale całe ciało jest opanowane drgawkami konwulsyjnymi, twarz w grymasach, ruchy członków nieskoordynowane; świadomość jest przytępiona, czasami nie poznaje nawet matki. Na razie przez kilka dni Elwira wcale lekarza nie sprowadzała i myślała, że to „hiszpanka”. Dopiero po bytności Maryni w Kowaliszkach, gdzie Elizka, zgorszona niesprowadzeniem lekarza do Helci, Marynię mocno nakurstała[28], Elwira sprowadziła dr Kozłowskiego z Rakiszek. Doktor stwierdził, że to jest w związku z tzw. „formowaniem się” Helci, to znaczy dojrzewaniem płciowym, ale nastraszył, że objawy są niepokojące i że o ile konwulsje nie ustaną w ciągu trzech dni, może się z tego wywiązać ciężka choroba nerwowa, zwana tańcem św. Wita. Elwira, która jest b. wrażliwa i skłonna do przesądności na gruncie właśnie rozmaitych chorób tajemniczych i w ogóle mistycyzmu, jest przerażona. Zdaje się jednak – tak sądzę przynajmniej – że to pospolita histeria w stanie bardzo ciężkim. Że Helcia Mieczkowska ma zasady histeryczne – to dawno widać było. Twierdził to zawsze Hektor Komorowski na zasadzie wyrazu jej oczu, ale i z różnych objawów nienaturalnej jej nerwowości, jakichś częstych płaczów bezprzedmiotowych serdecznych o drobnostki itp. Może tylko jedna Elwira tego nie widziała albo tego

[27] Šarota Marcelis ((Szarota Marceli).
[28] Lituanizm z „kurstyti“ : zganić, skłonić do czegoś ganiąc.

mówić nie chciała. Swoją drogą, histeria – to rzecz straszna, jedna z chorób najszpetniejszych, podobnych do opętania. Napatrzyłem się na konwulsje histeryczne u chłopców w Kamieńsku w Polsce w roku 1916 w zakładzie dla rekonwalescentów legionistów. Wiem, co znaczą te ataki i jak się strasznie one wyrażają, jak histeria nie tylko fizycznie wyczerpuje chorych, ale tez ich spacza moralnie, co bynajmniej nie jest najmniej straszne. Biedna Elwira będzie miała mękę z córką, szczególnie gdy dorośnie. Te ohydne ataki i jeszcze ohydniejsza przewrotność, kaprysy i egoizm osób histerycznych – to prawdziwa plaga otoczenia i rodziny. Biedna Elwira. Bardziej ją od samej Helci żałuję. Niech się tylko Andrzejowi żadne nieszczęście nie trafi, to przynajmniej on będzie może Elwirze pociechą, bo to chłopczyk dużej wartości, jak się zdaje zapowiadać. Natomiast młodszy Elwiry synek, czteroletni Michaś, budzi we mnie niepokój, że będzie jeżeli nie idiota, to tępego umysłu. Dotąd bardzo niewyraźnie mówi i słabo jest rozwinięty umysłowo. Dawniej, choć mało mówił, był przynajmniej żywszy i rezolutniejszy, teraz zaś, jak mam wrażenie, stracił wyrazistość. Zeszłoroczny upadek na głowę mógł się przyczynić do wstrzymania jego rozwoju.

30 stycznia, rok 1923, wtorek
Zdziwiony byłem dzisiaj, gdy prezes sądu okręgowego Piotrowski[29], spotkawszy mię przechodzącego przez korytarz sądowy, zaprosił mię do swego gabinetu i zaczął rozpytywać o Buyce, wybranym przez ogólne zebranie sądu okręgowego na kandydata na stanowisko sędziego w tymże sądzie. Pytania dotyczyły stosunków rodzinnych Buyki, jego pokrewieństwa i ewentualnie stosunków z jego bratem stryjecznym Janem Buyką, który jest wiceprezesem sądu okręgowego w Wilnie itp. Słowem, chodziło o informacje, z których można byłoby wnosić, czy Buyko nie jest w jakichś bliższych stosunkach z kimś za kordonem polskim w Wileńszczyźnie. Widać z tego, że władze, od których zależy nominacja Buyki, mają pod tym względem wątpliwości i boją się, by w jego osobie nie dostał się do sądu ktoś, kto mógłby być narzędziem zakordonowych działań polskich. Przed dwoma laty z tego właśnie powodu nie został mianowany sędzią okręgowym podprokurator Dobrowolski, Polak, o którym były wieści, że władze wileńskie Żeligowskiego upatrzyły go na wypadek okupacji Kowna na prokuratora sądu okręgowego w Kownie. O ile znam Buykę, o jakiejś roli politycznej z jego strony, zdaje się, nie ma mowy. Przykrą dla mnie jest taka skrajna nieufność litewska do Polaków, ale też przez to zdziwiło mię to, że Piotrowski mnie o informacje pyta, bo choć może wiedzieć, że ja stoję kategorycznie na stanowisku państwowym Litwy, jednak przecie wie, że jestem Polakiem i że nie podzielam skrajnej nieufności litewskiej do Polaków, a przeciwnie – ze wszech sił sprzyjam jak największej współpracy Polaków litewskich w pracy państwowej litewskiej. Udzieliłem Piotrowskiemu o Buyce jak najbardziej uspokajających informacji, ale czy poskutkują dobrze – nie wiem. Chciałbym bardzo, aby Buyko został mianowany. Jeżeli tacy ludzie spokojni i politycznie bezbarwni, jak Buyko, mogą się Litwinom wydawać państwowo niebezpieczni tylko dlatego, że są Polakami, to cóż mówić w ogóle o udziale Polaków w pracy państwowej Litwy!
Z Kłajpedy są wieści o rozpoczętej akcji komisji międzynarodowej, złożonej z przedstawicieli Francji, Anglii i Włoch, wydelegowanej dla przeprowadzenia „śledztwa” i wdrożenia „porządku” w Kłajpedzie. Komisja próbuje bardzo ostro się stawiać. Na razie nie chciała się wcale liczyć i traktować ze Smetoną, który jest w Kłajpedzie w charakterze posła nadzwyczajnego Litwy. Od powstańców zażądała złożenia broni, na co ich dowództwo odpowiedziało odmownie, odwołując się do zwartego zawieszenia broni. W ogóle widocznym jest, że rządy powstańczo-litewskie w

[29] Petrauskas Simanas.

Kłajpedzie zdecydowane są nie dawać się zastraszyć i nie ustępować, licząc na to, że desantu Europa czynić nie będzie, a kroków wojennych żadne z państw okolicznych nie rozpocznie, bojąc się wybuchu wielkiego pożaru.

31 stycznia, rok 1923, środa
Dobrnąłem w pisaniu wykładu mego do skomplikowanej i spornej w nauce i polityce kwestii suwerenitetu. Uczyniłem przeto przerwę parudniową w pisaniu i zająłem się rozczytywaniem się w tym zagadnieniu.

1 lutego, rok 1923, czwartek
Wreszcie wrócił Janulaitis z Berlina. Będąc mianowany doradcą prawnym komisji litewskiej do układów z Niemcami w sprawie likwidacji ostów i zawarcia traktatu handlowego, bawił on w Berlinie trzy miesiące (od początku listopada). Przez ten czas tylko raz w grudniu na jakiś tydzień był przyjechał do Kowna i znowu wrócił do Berlina. Gdy wyjeżdżał w listopadzie, nazywało się, że jedzie na dwa tygodnie. Stęsknieni już byliśmy z Kriščiukaitisem bardzo do powrotu Janulaitisa, głownie z tego względu, że roboty nam było w jego nieobecności nad siły. Teraz już wrócił na stałe. Nie śpieszył, zdaje się, wracać, bo roboty tam miał mało, mógł się oddawać umiłowanym studiom w różnych archiwach i bibliotekach berlińskich, gromadząc materiały do różnych przyczynków historycznych, wynagradzany był za udział w komisji dobrze, a tymczasem tu mu oprócz tego płynęły pensje z rozmaitych stałych źródeł – jako sędziemu Trybunału, jako profesorowi uniwersytetu i jako juryskonsultowi Ministerium Spraw Zagranicznych. Powrót jego i z tego względu mię cieszy, że może teraz z jego powrotem energicznej się posunie sprawa nominacja trzeciego sędziego w Trybunale, która utknęła beznadziejnie na kryzysie jesiennym co do osób Kalnetisa-Ciplijewskiego.
Ale zanotuje ciekawą i niezwykłą kwestię, wywołana dziś w Trybunale przez Janulaitisa. Było posiedzenie gospodarcze, potem było parę spraw, należących do ogólnego zebrania Trybunału. W ich liczbie była drobna i szablonowa sprawa – przyjęcia do wiadomości nominacji sędziego Bolesława Masiulisa na stanowisko wiceprezesa sądu okręgowego w Kownie. Tryb jest ustalony taki, że o wszystkich nominacjach w sądownictwie minister sprawiedliwości zawiadamia Trybunał i sądy okręgowe w postaci zarządzeń („įsakymas“), które po prostu bez żadnego rozpoznania zarejestrowują się w dzienniku ogólnych zebrań. Tak się rzecz miała i tym razem z nominacją Masiulisa. Rzecz najprostsza pod słońcem – po prostu do zarejestrowania, dla „wizy” Trybunału. I nagle Janulaitis o mało co nie zrobił z tej sprawy – zasadniczego zagadnienia państwowego, które mogłoby się stać precedensem ogromnych komplikacji. Wspomniałem w dzienniku, że lewica Sejmu z ludowcami na czele uważa wybór Stulgińskiego na prezydenta Rzeczypospolitej za nielegalny i antykonstytucyjny i przeto odmawia uznania go za prezydenta. Spór polega na różnicy interpretacji art. 41 Konstytucji o kworum, niezbędnym dla wyboru prezydenta. Spór jest oczywiście czysto polityczny. Sejm go już rozpoznał i większością głosów, przez udzielenie Prezydium Sejmowemu aprobaty co do jego działania w kwestii wyboru prezydenta, sankcjonował interpretację chrześcijańsko-demokratyczną, podług której Stulgiński jest legalnie wybrany. I oto Janulaitis wszczął kwestię legalności nominacji Masiulisa ze względu na dokonanie tejże przez Stulgińskiego, to znaczy pośrednio konstytucyjności wyboru prezydenta. Gdybyśmy poszli tą drogą, to trzeba byłoby kwestionować z tegoż stanowiska każdą nową ustawę, ponieważ ustawy otrzymują moc tylko na skutek ogłoszenia ich przez prezydenta. Tą drogą Trybunał dałby się wciągnąć w spór czysto polityczny i usiłowałby przez to stanąć ponad Sejm i kwestionować jego

uchwały, które, jako pochodzące od najwyższego organu władzy, są ostateczne i muszą nimi być, bo inaczej ustrój państwowy zboczyłby na manowce anarchii. Ja nie poparłem Janulaitisa i tym samym kwestia upadła, ale Janulaitis nie został całkowicie przekonany i nie ręczę, czy kwestii tej w jakikolwiek inny sposób nie wywoła. Prezes Kriščiukaitis był zgorszony i pełen zgrozy z powodu samego postawienia przez Janulaitisa samej możliwości takiej kwestii. Ze stanowiska „suwerenności ludu", którą proklamuje Konstytucja litewska, Sejm nie jest organem władzy, jeno ograniczoną delegacją władzy Ludu Suwerennego i z tego przeto stanowiska kwestia, stawiana przez Janulaitisa, byłaby zasadniczo możliwa. W istocie jednak ustrój państwowy nie jest i nie może być oparty na fikcji Suwerenności Ludu w realnych warunkach naszego bytowania politycznego i Sejm nie jest u nas żadnym funkcjonariuszem Wszechwładnego Ludu, jeno najwyższym realnym organem suwerennej władzy państwowej.

2 lutego, rok 1923, piątek
Są ludzie, których każdy krok przynosi komuś nieszczęście i których nawet samo ukazanie się gdziekolwiek bądź staje się zwiastunem jakichś nieporozumień, komplikacji lub krzywd ludzkich. Do takich należy widocznie Kalnetis. Najczęściej są to ludzie źli. Może zawsze nawet. Bo nawet wtedy, kiedy nie są oni bezpośrednio sprawcami krzywdy lub nieporozumienia, związanych w ten lub inny sposób z ich osobą, są oni zwykle na to nieczuli i dlatego tez dopuszczają, aby z ich osobą się te rzeczy wiązały; człowiek, który jest na to wrażliwy, zawsze to przewidzi i wyczuje i nie będzie się pchał. Poza tym, są to najczęściej ludzie, którzy nie przedstawiają wartości realnej i przeto nie znajdują sobie miejsca właściwego, a zawsze pchają się tam, gdzie już jest ono zajęte i gdzie oni zawadzać muszą, ale protekcyjkami i rozmaitymi sztuczkami wścibić się starają i zdołają, nie dbając o to, że innym zawadzają lub że szkodzą sprawie.
W roku 1920 Kalnetis był mianowany prezesem sądu okręgowego w Wilnie (z ramienia Litwinów). Na tym stanowisku był on jednym z najniefortunniejszych wyższych przedstawicieli władz i urzędów litewskich w Wilnie, który wraz z Penkaitisem przyczyniał się najbardziej do kompromitacji Litwy i Litwinów wobec Wilnian. Zostawił sławę smutną. Na stanowisku potem prezesa komisji litewskiej w Moskwie do realizacji traktatu pokojowego litewsko-rosyjskiego wykazał nieudolność i pokrywał tylko szmugiel, uprawiany skandalicznie przez rozmaitych członków tejże komisji. Jego próba wkroczenia do Trybunału zaznaczyła się znanym kryzysem, który omal nie doprowadził do dymisji mojej i Janulaitisa. Wprawdzie Kalnetis cofnął się, ale tylko dlatego, że spostrzegł, iżby sobie tym zaszkodził. Wstąpił więc do adwokatury i jednocześnie wystarał się o posadę juryskonsulta Gabinetu Ministrów i prezesa komisji juryskonsultów rządowych. Prezesem tej komisji dotychczas był Weryho-Darowski, Polak, juryskonsult Ministerium Finansów, zajmujący to stanowisko od samego początku (od r. 1919). I oto Weryhę-Darowskiego usunięto. Pewnego dnia zastał on w gabinecie swoim pismo ministra finansów Petrulisa, komunikujące, że z powodu redukcji etatów urzędniczych posada jego się kasuje i on zostaje usunięty. Oczywiście Kalnetis tylko pośrednio tu jest wmieszany, ale to omen, że gdzie wkracza Kalnetis – tam jest źle. Biedny Weryho – zgnębiony. Jest prawnikiem i przeto mógłby wprawdzie iść do adwokatury, ale nie ma żyłki adwokackiej i całe życie pracował na służbie państwowej. Gdyby był Litwinem – z łatwością wszędzie by stanowisko znalazł, ale Polakowi, niestety, trudno, choć bardziej lojalnego i wolnego od wszelkiej polityki człowieka – nie znaleźć. Z pewnością do jego zwolnienia przyczyniło się to, że jest

Polakiem. Chce on próbować dostać się do prokuratury, ale czy go tam przyjmą – nie jestem pewny bynajmniej.

3 lutego, rok 1923, sobota
Nic do zanotowania z dnia dzisiejszego.
Są tylko w sprawie Kłajpedy wieści, potwierdzone ogłoszonymi wieczorem w gazetach depeszami, o tym, że komisja aliantów postawiła Litwie ultimatum odwołania z okręgu Kłajpedy z szeregu powstańców swoich poddanych i przynależnych do jej wojska, a powstańcom – ultimatum rozbrojenia się i zlikwidowania swoich rządów na rzecz komisji. Dla wykonania ultimatum dany termin siedmiodniowy. Skutek ultimatum jest bardzo wątpliwy. Powstańcy go nie usłuchają, Litwa zaś, która formalnie zaprzecza jakiego bądź swego udziału w powstaniu, zapewne odpowie, jak to już od samego początku twierdził komisji przedstawiciel Litwy Smetona, że spełnienie tego żądania nie jest w jej mocy, ponieważ państwo litewskie nie posiada władzy na terytorium Kłajpedy. Jak będzie reagować w dalszym ciągu komisja – zobaczymy.

4 lutego, rok 1923, niedziela
Rano, gdym wyszedł na miasto, zwróciły uwagę moją gromadki ludzi, przeważnie Żydów, skupiające się w różnych punktach na chodniku i czymś oczywiście przejęte. Myślałem na razie, że może są jakieś wieści w sprawie Kłajpedy. Potem spotkałem znanego działacza żydowskiego Rachmielewicza[30], który mi wytłumaczył, o co chodzi. Mogłem sprawdzić sam demonstracyjnie jego słowa. Oto okazało się, że w ciągu nocy ubiegłej wszystkie napisy nielitewskie (polskie, żydowskie, rosyjskie) na szyldach, ogłoszeniach, tabliczkach z nazwami ulic na rogach ulic, słowem, wszystko wszędzie, gdzie jakiś wyraz w języku nielitewskim był wystawiony publicznie – zostało przez niewiadomych osobników zasmarowane jakąś maścią czarną, to znaczy uczynione nieczytelne. Kto jest autorem tego „dzieła” – nie wiadomo. Zostało to uczynione w całym mieście naraz. Oczywiście musiała to być cała ekspedycja, bo ani jednego, ani dziesięciu ludzi na to by nie starczyło. I musiała być na to użyta ilość smarowidła, która się beczkami obliczać musi. Sprawcy musieli więc chodzić co najmniej parami, niosąc ze sobą naczynie z maścią i pędzle na długich tykach, bez których nie mogliby dosięgnąć wysokich szyldów. Rzecz ta nie mogła ujść oka milicji, tym bardziej, że z powodu stanu wojennego w Kownie w nocy chodzić po mieście nie wolno i posterunki milicji czuwają nad tym przepisem i wyłapują przechodniów nocnych. Jest to oczywiście wyrazem modnych dziś nastrojów tzw. faszyzmu, wzorowanego na analogicznym zwycięskim ruchu włoskim. Faszyzm jest rodzajem bolszewizmu „*á rebours*”[31] i oznacza negowanie wszelkiego legalizmu formalnego, parlamentaryzmu, liczenia się z jakimikolwiek uchwałami, większościami demokratycznymi itd. oraz nacjonalizm, wykonywany bezpośrednio, czyn i rozkaz, którego jedynym tytułem jest wola tych, co chcą czynić i rozkazywać. Jest to prawdopodobnie dzieło albo „šaulysów”, albo studentów-narodowców, którzy się zorganizowali na uniwersytecie i dążą jawnie do działania metodami faszyzmu, stosując te metody także do współżycia młodzieży uniwersyteckiej. Nie liczą się oni na uniwersytecie w organizacjach akademickich z żadnymi uchwałami większości, z żadnymi głosowaniami, których wyniki nie odpowiadają ich życzeniom, łamią wszystko, narzucają swoją wolę, rozpędzają przeciwników, burzą, co się im nie podoba, aby budować wyłącznie to, co jest ich wolą. Jest także tzw. Związek Obrony Języka Litewskiego, który składa się z

[30] Rachmilevičius Nachmanas

[31] *á rebours* (pranc.) – atvirkščiai.

takichże elementów bojowo usposobionego nacjonalizmu; może to on był sprawcą nowego pogromu języków obcych na szyldach. Bądź co bądź, ruch faszyzmu nacjonalistycznego podnosi głowę i zapewne nie pozostanie bez wpływu na kształtowanie się stosunków i czynników politycznych. Jest on równolegle wrogi socjalizmowi i wszelkiemu radykalizmowi społecznemu w znaczeniu społeczno-gospodarczym. Wypadki kłajpedzkie dały dużą podnietę temu ruchowi. Kto wie, czy nie obali on kiedyś rządów lewicowych parlamentarnego trybu, z których prawica jest wykluczona. Hasłem czynników tego ruchu jest zasada, że decyduje nie bierna większość, lecz ci, którzy mają odwagę i chęć rozkazywania.
Mieliśmy dziś na uniwersytecie posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego. Ja referowałem w sprawie egzaminów dyplomowych dla tych osób, które ukończyły studia na uniwersytetach rosyjskich przed lub w czasie wojny, lecz nie pokończyły egzaminów na dyplom. Mamy już od sześciu osób takich podania o dopuszczeni ich do egzaminów dyplomowych. Są to wiceprezes sądu okręgowego w Kownie Masiulis[32], b. sędzia okręgowy w Kownie, a obecnie poseł sejmowy Sugint[33], wiceminister spraw zagranicznych Adolf Klimas, b. poseł Sejmu Ustawodawczego Marma[34], b. sekretarz kancelarii prezesa ministrów Tadeusz Pietkiewicz i niejaki Naujokaitis. Postanowiono dopuścić ich do zdania egzaminów dyplomowych i ustalono dla każdego na zasadzie złożonych przezeń dokumentów, z których przedmiotów ma zdawać.

5 lutego, rok 1923, poniedziałek
W pewnej sprawie cywilnej, rozpoznawanej w Trybunale w trybie apelacyjnym, byłem decyzją incydentalną Trybunału wydelegowany do zbadania na miejscu świadków. Rzadko się to zdarza w praktyce Trybunału, bo zwykle Trybunał zleca takie czynności incydentalne sądom niższym podwładnym. Ponieważ w tym wypadku spór dotyczy ziemi położonej w okolicach Kowna, przeto Trybunał zlecił tę czynność swemu członkowi. Chodziło o spór co do 60 morgów ziemi z majątku Puczogród, należącego obecnie w spadku po Puczach do Büchlera, Niemca, rodzonego brata docenta i b. posła Sejmu Ustawodawczego. Do tych 60 morgów ziemi pretendują okoliczni włościanie Diedonisowie, którzy twierdzą, że grunt ten należał z dawna do ich przodków za czasów pańszczyzny i został bezprawnie przez Pucza zagarnięty, ale jednak był wpisany do ich aktów uwłaszczeniowych i choć nie został im przez Pucza ani przez Büchlera zwrócony, jednak był przez nich, Diedonisów, w nieustającym przez lat kilkadziesiąt sporze dochodzony. Majątek Puczogród położony jest o 18 kilometrów od Kowna w Suwalszczyźnie w kierunku miasteczka Pren. Rano wyruszyliśmy z Kowna z podsekretarzem Trybunału Rymkiewiczem przysłanymi po nas końmi Büchlera. Jechaliśmy kołami w faetoniku typu dorożki miejskiej. Dzień był chłodny i wietrzny, toteż zimno było jechać. Ogrzaliśmy się i zakąsili dobrze u Büchlera, gdzie już czekały na nas strony, świadkowie i garstka ciekawych. Büchler, człowiek typu kolonistów niemieckich, mieszka w swoim majątku dość biednie. Za dom mieszkalny służy murowany wilgotny gmach b. browaru, w którego pokojach nie ma nawet podłóg, jeno ziemia ubita o bardzo nierównej, pełnej pagórków i wybojów powierzchni. Ten sam pokój służy i za jadalny, i za sypialny, a bodaj i za salon i oprócz tego zawiera całe mnóstwo sprzętów gospodarskich, nie wyłączając uprzęży rozwieszonej na ścianach. Czynność wykonaliśmy dość szybko. Całą gromadą udaliśmy się na miejsce gruntu spornego, gdzie zbadałem świadków, a następnie sekretarz spisał w domu protokół, po którego odczytaniu i podpisaniu wszystko było skończone. Jak widać z zeznań

---
[32] Masiulis Alfonsas.
[33] Sugintas Antanas.
[34] Marma Mykolas.

zbadanych starców, którzy pamiętają jeszcze czasy pańszczyzny, cały ten majątek Puczogród założony został przed laty 60 przez Pucza na gruntach, odebranych włościanom, wyrugowanym przez dziedzica z ich siedzib. Oczywiście Büchler nie jest temu winien i obecnie nabył on własność choćby mocą przedawnienia; jednak zapewne połowę spornego gruntu wypadnie Diedonisom przyznać, bo do połowy tylko mogą oni rościć pretensję, przedawnienie zaś ze względu na ciągłość sporu może tu być uchylone; zaś Büchler nie straci na tym, bo drugą połowę spornego gruntu sprzedał, a z reszty majątku, który jest dotknięty reformą agrarną, wycięcie 30 morgów da majątkowi prerogatywę takiego obszaru, który jest przez reformę szanowany przynajmniej co do odszkodowania po cenie rynkowej. Po herbacie z bardzo smaczną wędliną, kawą niemiecką i bułkami z masłem wyjechaliśmy z Rymkiewiczem nazad do Kowna – tym razem saniami, bardzo wygodnie. Dojechaliśmy końmi do Poniemunia, stamtąd do Kowna – kolejką wąskotorową. W Kownie zafundowałem Rymkiewiczowi kolację w restauracji Metropolu.

6 lutego, rok 1923, wtorek
Michał Biržiška umieścił w dzienniku rządowym „Lietuva" artykuł pod nazwą „Bractwo ogona oślego" („Asilo uodegos brolija"), w którym potępia ostro wybryk nocny sprzed paru dni pseudofaszystów nacjonalistycznych, którzy zamazali wszystkie napisy nielitewskie na szyldach. Biržiška wskazuje, że dotąd, a przynajmniej do r. 1921, Litwini w Wilnie, którzy doświadczali na sobie analogicznych wybryków nacjonalizmu polskiego, protestując przeciwko nim, mogli się z dumą powoływać na przykład Kowna, w którym Litwini, posiadający tu władzę, tolerują swobodny rozwój i swobodne manifestowanie się publiczne wszystkich narodowości, nie wyłączając Polaków, pomimo ostrej waśni litewsko-polskiej. Teraz domorośli nacjonaliści litewscy zaczynają się wzorować na metodach nacjonalizmu polskiego w Wilnie, przez to samo legalizując to, co się w Wilnie przez Polaków robi i odbierając Litwinom wileńskim ważny atut ważny atut obrony. Jest to, zdaniem Biržiški, woda na młyn zaborczości polskiej w Wilnie, toteż nie zdziwiłby się on, gdyby się w akcji zasmarowywania szyldów ujawniła się ręka prowokacyjna agentów polskich z Wilna. Ci panowie „patrioci" i „obrońcy" prerogatyw języka litewskiego, których Biržiška porównuje do znanego osła w sprawie pewnego obrazu na jednej z wystaw paryskich sprzed lat kilkunastu, są największymi sprawy litewskiej, opartej na sprawiedliwości, szkodnikami. Jeżeli z artykułu Biržiški usunąć pewne przeładowanie zbyt gwałtownych i jednostronnych napaści na Polaków, to artykuł jego jest doskonały. Napisałem nawet do niego z podziękowaniem. Ale zdaje się, że to wysiłek stracony i że nic nie zatrzyma szerzącego się tymi metodami „faszyzmu" nacjonalistycznego litewskiego, który szerzy się i rośnie jak lawina w stosunku do krucjaty przeciwko językom mniejszości narodowych w Rzeczypospolitej. Tak – formy i metody, w które się coraz jaskrawiej wylewać zaczyna nacjonalizm językowy litewski, nie są inne i przeto nie są wcale lepsze od polskich w Wilnie. Różnica polega na tym, że tu ruch ten przychodzi cokolwiek później. Zapewne, opinia ludzi takich, jak Michał Biržiška, Zygmunt Žemaitis i wielu innych zdaje sobie sprawę ze szkody, jaką to wyrządza roszczeniom i prawom Litwy w Wilnie, nie mówiąc zresztą o szkodzie kulturalnej, ale nawet powaga Biržiški nie zatamuje tego rozpędu. W jednym z urzędów publicznych – w Wydziale Miar i Wag – ukazał się już podobno napis, zabraniający posługiwania się publicznego jakimkolwiek innym językiem prócz litewskiego. Proces naglącej pacyfikacji narodowej i forsownej litwinizacji językowej wszystkich bezwzględnie przejawów życia publicznego rozpala namiętności litewskie coraz bardziej. Na tym zaś tle zdaje się wyrastać ruch polityczny, który zmierza do narzucenia woli gromadki aktywistycznej

całemu życiu bez względu na formy parlamentarno-konstytucyjne i demokratyczne. To prawica, zdesperowana niepowodzeniem akcji szablonu demokratycznego, szuka sobie dróg nowych. Czy i jak pójdzie torami nowymi – zobaczymy w ciągu lat najbliższych.

7 lutego, rok 1923, piątek
W sprawie Kłajpedy są wieści uspokajające, przynajmniej w postaci krążących prywatnie pogłosek, inspirowanych zresztą z kół rządowych i uchodzących za wiarygodne. Powiadają, że Komisja Nadzwyczajna Aliantów dała Litwinom wyraźnie do zrozumienia, a bodaj nawet zapewniła poufnie, że przesądzeni sprawy Kłajpedy na rzecz przekazania jej Litwie jest już w Paryżu zdecydowane, oczywiście na zasadach gwarantowanej autonomii krajowej, na którą się i Litwa zgadza, i powstańcza organizacja Kłajpedy powołuje. Entencie chodzi pewno tylko o zachowanie *prestige*'u, aby uniknąć pozorów, że decyzja ta jest wymuszona przez zainscenizowane przez Litwę „powstanie w Kłajpedzie" i przeto o doprowadzenie bądź co bądź Litwy i powstańczego rządu kłajpedzkiego do sumisji formalnej. Ultimatum więc nie byłoby tak straszne, jak się zdawać mogło. Rząd litewski działa w sprawie ultimatum połowicznie; nie odważa się przyznać do zarzutu, że on jest inscenizatorem powstania i przeto żądań radykalnych o odwołaniu i zlikwidowaniu powstania nie wykonywa (zaś słabą tego żądania stroną jest to, że Litwa nie posiada egzekutywy w Kłajpedzie, więc nie ma sposobu logicznie czynić ją odpowiedzialną za niestłumienie powstania, choćby ono było nawet istotnie jej dziełem). Z drugiej strony, rząd litewski boi się lekceważenia ultimatum i z tego względu ukazał się wczoraj w „Lietuvie" dziwaczny rozkaz, podpisany przez ministrów Gałwanowskiego i Olekę, wskazujący na to, że ze względu na twierdzenie komisji alianckiej, jakoby w szeregach powstańców znajdywali się rzekomo obywatele litewscy, wzywa się ich niniejszym do porzucenia tychże szeregów i powrotu do Litwy w terminie wskazanym, w przeciwnym bowiem razie będą karani z mocy ustaw obowiązujących (jakich?). Oczywiście to wybieg dla dania satysfakcji pozornej. Czy zadowoli ona aliantów – nie wiadomo. Ale ultimatum wszak zagroziło Litwie zerwanie stosunków dyplomatycznych, czego się państwo bać musi i boi.
Te same wersje optymistyczne, które twierdzą o zdecydowanym przesądzeniu przynależności państwowej Kłajpedy do Litwy, przebąkują, że nie dotyczy to samego portu kłajpedzkiego, który ma być ogłoszony wolnym pod gwarancjami międzynarodowymi.

8 lutego, rok 1923, czwartek
Dowiaduję się z listu Maryni, że choroba Helci Mieczkowskiej nie przedstawia się, dzięki Bogu, tak groźnie, jak się pierwotnie zdawało. Stan jej w ostatnich czasach już był lepszy, ale Elwira, po sprowadzeniu raz dr Kozłowskiego, innego lekarza (ani tegoż Kozłowskiego powtórnie) sprowadzać nie chciała. Przyjechał jednak Julek Komorowski i zdołał bardzo delikatnie i taktownie uprosić Elwirę, aby się zgodziła na sprowadzenie do Helci lekarza kosztem Komorowskich. Sprowadził więc z Rakiszek dr Thona. Helci konwulsje już były przeszły, ale miała temperaturę podniesioną, całe palce we wrzodzikach narywających i duży wrzód na plecach. Jednocześnie miała takie znieczulenie nerwów podskórnych, że kłucie igłą w okolicach wrzodów żadnego uczucia bólu nie sprawiało. Doktor po zbadani Helci orzekł, że choroba ta nie ma żadnego związku z rzekomym formowaniem się płciowym, które się u Helci jeszcze nie zaczęło; nie jest to histeria ani tym mniej coś podobnego do „tańca św. Wita"; jest to pono hiszpanka, połączona z zapaleniem nerwów i bardzo niezwykłymi komplikacjami, które jednak groźne nie są, wrzody zaś pochodzą z brudu – są to objawy zakażenia

lokalnego. Słowem doktor uspokoił bardzo. Elwira się odchwyciła i poweselała. Daj Boże, żeby to tak było. Z pewnością alarm był przesadzony, a dr Kozłowski nad miarę zastraszył. Mam jednak przekonanie, że Helcia usposobienie histeryczne ma i że w tej chorobie to usposobienie histeryczne odegrało pewną rolę. O jej usposobieniu histerycznym sądzę nie tylko z tej choroby bynajmniej, ale także z wielu najrozmaitszych cech jej zachowania się i charakteru w normalnym stanie zdrowia. Pisze też Maryńka, że niespodzianie przyjechał do Bohdaniszek Walunio Weyssenhoff. Bawiąc od dłuższego czasu w Łotwie, skąd czyni starania o otrzymanie pozwolenia na powrót do Litwy, otrzymał tymczasem przepustkę łotewską pograniczną na wjazd i pobyt kilkunastodniowy w pasie pogranicznym Litwy w promieniu 15 wiorst od granicy, z czego skorzystał dla przyjazdu, z zamiarem, jak się zdaje, ewentualnie pozostania w Litwie, gdyby nawet mu odmówiono pozwolenia formalnego na powrót, o które się stara urzędowo przez poselstwo litewskie w Rydze. Zdecydowany jest walczyć o pozostanie i zalegalizowanie się w kraju, gdyby nawet miał wpierw być aresztowany i narażać się na różne przykrości, nim się da rzecz wyjaśnić i załatwić pomyślnie.

9 lutego, rok 1923, piątek
Od kilku tygodni cierpię na ranki, które w znacznej ilości pokryły mi nogi, zwłaszcza w okolicach stóp i kostek. Jest to coś podobnego do tego, co miałem już raz w roku 1915 w czasie pobytu w Legionach. Ranki te odznaczają się swędzeniem i są bolesne. Leczę się u dr Frumkina. W ostatnich czasach zaczynają one zasychać i goić się, niektóre całkowicie, inne stopniowo, ale jeszcze otwierają się i nowe, choć nie dochodzą już takiej wielkości, jak poprzednie. Natomiast uformował mi się duży wrzód na lewym łokciu, niezmiernie bolesny, który nie daje mi ani chwili wytchnienia. Dopóki nie pęknie, będę się męczył, a obawiam się, że po pęknięciu uformuje się wnet gdzieś w pobliżu drugi albo i kilka mniejszych; znam to, bo także miewałem. Wrzód prócz bólu wywołuje lokalny stan zapalny, który, zdaje się, wpływa na ogólne podniesienie temperatury, bo czuję ziębienie i kończyny mam zimne. Słowem – same biedy. Utrudnia mi to wielce pracę, a jednak nie mogę sobie pozwolić na przerwę w pracy i wypoczynek.

10 lutego, rok 1923, sobota
Zaproszony byłem do Ślażewicza na zebranie organizacyjne grupy dla zawiązania litewskiego towarzystwa Ligi Narodów. Na zebraniu przeważały elementy dyplomacji i w ogóle najwyższych szczytów społeczeństwa litewskiego. W szczególności obecne były następujące osoby: a. prałat Aleksander Dąbrowski, znany literat (pseudonim Jakštas) i uczony litewski, gorący patriota, jeden z liczby koryfeuszów ruchu narodowego litewskiego, człowiek nieugiętego charakteru, b. dr Jan Šliupas, towarzysz Basanowicza z „Aušry”, weteran patriotyzmu litewskiego, jeden z patriarchów odrodzonej Litwy, c. prezes ministrów Gałwanowski, d. wiceminister spraw zagranicznych Klimas, e. dyrektor departamentu Ministerium Spraw Zagranicznych Balutis, f. poseł litewski w Londynie Naruszewicz, g. poseł litewski w Paryżu Miłosz, h. poseł litewski w Berlinie Sidzikowski, i. kierownik spraw dotyczących Wilna w Ministerium Spraw Zagranicznych Ignacy Jonynas, j. burmistrz Kowna Jan Vileišis, k. prezes ministrów Kazimierz Grinius, l. poseł Antoni Tumenas, ł. miliarder, przemysłowiec i działacz społeczny obozu prawicy Marcin Yčas, m. Augustyn Janulaitis, n. dziekan Wydziału Prawniczego Leonas, o. profesor Balogh, p. prezes Trybunału Kriščiukaitis, q. gospodarz domu, *leader* ludowców, poseł Ślażewicz, r. Tadeusz Pietkiewicz, s. ja, najskromniejszy w tym świetnym gronie potentatów spraw publicznych Litwy. Przewodniczył zebraniu Leonas. Zebranie trwało krótko, bo rzecz

nie budziła wątpliwości ani sporów. Wszystkie państwa mają swoje narodowe czy krajowe towarzystwa Ligi Narodów, czyli „*société pour la Société des Nations*”, których zadaniem ma być popularyzowanie idei, wyrażanej przez Ligę Narodów, idei solidaryzmu międzynarodowego jako metody regulowania stosunków między państwami-Narodami. Wiadomo, że obecna Liga Narodów, która w zasadzie ma być tej idei wyrazem, w istocie jest narzędziem hegemonii wielkich zwycięskich mocarstw Ententy. Liga Narodów jest organizacją międzynarodową państw. Towarzystwa zaś narodowe Ligi Narodów są organizacjami społecznymi, tworzącymi związek międzynarodowy. Popierają one i uzupełniają akcją społeczną akcję państwową. W istocie też dla mniejszych państw służą one za ich reklamę międzynarodową i za narzędzie propagandy i ekspozyturę interesów państwowych w międzynarodowym obcowaniu. Inicjatywa do założenia takiego towarzystwa w Litwie dawno już była podjęta przez dr Šliupasa, prałata Dąbrowskiego i Marcina Yčasa; o założeniu towarzystwa sekretariat związku międzynarodowego towarzystw został powiadomiony, ale faktycznie dotąd towarzystwo nie było czynne i nie jest formalnie zorganizowane, nie posiada statutu i nie jest zarejestrowane. Postanowiono zalegalizować statut towarzystwa , który ma być skopiowany ze statutu analogicznego towarzystwa angielskiego, a potem wybrać stały zarząd i zacząć działać. Wszyscy obecni na zebraniu ukonstytuowali się jako założyciele towarzystwa i wybrali komisję w osobach Janulaitisa, Ślażewicza i Jonynasa dla czynności zarejestrowania statutu i zwołania ogólnego zebrania założycieli.
Z inicjatywy prof. Balogha była na tymże zebraniu dzisiejszym podniesiona też kwestia innego towarzystwa, mianowicie Towarzystwa Przyjaciół Uniwersytetu, ale skończyło się na wymianie zdań co do metody zorganizowania tych funkcji, jakie ewentualnie takie towarzystwo miałoby do spełnienia, i nic konkretnego nie postanowiono.

11 lutego, rok 1923, niedziela
Rano byłem na posiedzeniu Rady Wydziału Prawniczego na uniwersytecie. Obecni byli dziekan Leonas, profesorowie Kriščiukaitis, Mačys, Balogh, docent Wacław Biržiška, Tumenas, Bielackin, Šalčius i ja. Posiedzenie poświęcone było głównie kwestii zasad i trybu egzaminowania tych studentów wyższych semestrów, którzy maja już zaświadczenie o przebytych semestrach i wysłuchanych przedmiotach na innych uniwersytetach lub na b. Wyższych Kursach Naukowych w Kownie. Poza tym, były omawiane różne kwestie detaliczne.
Mój wrzód na łokciu wieczorem pękł wreszcie. Sprawiał mi on ból nieznośny i wywoływał stan gorączkowy.

12 lutego, rok 1923, poniedziałek
A więc wczoraj po południu na zwołanym na uniwersytecie ogólnym zebraniu studentów Litwinów zapadły uchwały jaskrawie antysemickie. Uchwalono żądać tzw. „*numerus clausus*”[35], to znaczy ustalenia pewnej liczby maksymalnej, której nie można przekraczać przy przyjmowaniu Żydów na uniwersytet, z tym zastrzeżeniem, aby „*numerus clausus*” był ustalony procentowo odpowiednio do ilości Żydów w stosunku do ogółu ludności w państwie, następnie uchwalono żądać, by wszyscy studenci Żydzi byli poddani egzaminowi z języka litewskiego, z tym, aby nie umiejący po litewsku zostali usunięci, wreszcie uchwalono żądać zakazu Żydom-medykom brania udziału w krajaniu trupów chrześcijan. Ruch antysemicki wśród młodzieży litewskiej nie jest powszechny, ale jest z wielką energią prowadzony przez garstkę, tworzącą

---
[35] *numerus clausus* (lot.) – ribotas skaičius.

stowarzyszenie narodowców, na których czele stoją prawnicy Marčiulionis (członek stronnictwa „Pažangi"), Čepla i kilku innych. Stowarzyszenie narodowców liczy podobno zaledwie dwudziestu kilku członków albo przynajmniej tylu z tej grupy występuje zaczepnie, a jednak zdołali oni wywierać wielką presję na ogół młodzieży. Ruch antysemicki powstał na uniwersytecie od jesieni. W tymże czasie zawiązane zostało stowarzyszenie narodowców. Co prawda, napływ Żydów do Uniwersytetu Litewskiego był tak wielki, że można się było obawiać, iż uniwersytet stanie się bardziej żydowskim, niż litewskim. W ogóle Żydzi, zjednani flirtem, który z nimi prowadziła Litwa od początku swego istnienia, byli skłonni uważać ją za ziemie obiecaną, w której zainicjują oni wszelkie eksperymenty tych żądań, jakich się domagają bez powodzenia w innych państwach: Litwa miała się stać dla nich polem doświadczalnym i przykładem precedensów dla praw żydowskich. Ponieważ Żydzi gorliwie za to popierali Litwę w akcji międzynarodowej, przeto Litwa nie szczędziła im obietnic i faworyzowała ich u siebie. Tłumy Żydów obsiadły kraj. Całe rzesze przywędrowały z Rosji, z Wileńszczyzny, z Białej Rusi. Do Uniwersytetu Litewskiego wpisało się mnóstwo Żydów z Łotwy, z Białej Rusi, a wśród litewskich Żydów bardzo wielu wpisało się li tylko dla uniknięcia służby wojskowej. Żydzi, którzy gdzie indziej, jak oto w Polsce, w Wilnie, w Rydze, czują się na uniwersytecie pariasami, skrępowanymi antysemityzmem społeczeństw krajowych i studentów-chrześcijan, tu w Kownie liczyli na całkowitą swobodę ruchów i pełnię swoich praw do takiego postępowania, jakie im się będzie podobać. Toteż panoszyli się na uniwersytecie, manifestowali się nie tylko żargonem, ale językiem rosyjskim, na wykłady natomiast i w ogóle w pracy naukowej uczęszczali o wiele mniej od Litwinów. Kolegów Litwinów, szczególnie koła nacjonalistyczne młodzieży, drażniło to. Litwini na uniwersytecie swoim czuli się przez Żydów majoryzowani. Na początku roku akademickiego wywiązały się od razu pewne nieporozumienia z Żydami. Wielu Żydów nosiło czapki studenckie rosyjskie; młodzież litewska, którą drażnił ten symbol starej powszechnej państwowości rosyjskiej, uchwaliła zakazać używania takich czapek studentom. Grupki młodzieży zatrzymywały na ulicy studentów (oczywiście Żydów), którzy chodzili w takich czapkach, i zmuszały na poczekaniu do kupienia zwykłej czapki lub kapelusza, odbierając czapkę rosyjską. Sprawa ta jednak wyraźnej barwy antysemickiej nie miała. Potem przyszła kwestia poważniejsza – kwestia używania języka na zebraniach ogólnostudenckich. Młodzież żydowska domagała się prawa przemawiania w języku rosyjskim dla tych, którzy litewskiego nie znają. Choć elementy lewicowe i socjalistyczne młodzieży litewskiej godziły się na to żądanie w imię tolerancji, jednak elementy prawicowe z garstką narodowców na czele oparły się temu bezwzględnie i czynnie, nie dopuszczając nawet do przesądzenia tej rzeczy głosowaniem i po prostu uniemożliwiając Żydom przemawianie po rosyjsku lub po żydowsku. I młodzież narodowa litewska postawiła na swoim. Dziś już nawet mowy nie ma o dopuszczalności publicznego używania w stosunkach akademickich innego języka prócz litewskiego.

13 lutego, rok 1923, wtorek

Społeczeństwo żydowskie, które już w ogóle od pewnego czasu zaczęło bić na alarm wobec widma wyłaniającego się antysemityzmu litewskiego, jest do żywa oburzone niedzielną uchwałą młodzieży akademickiej. Jeden inteligent żydowski, z którym dziś rozmawiałem, mówił, że jeżeli Litwini dalej tą drogą iść będą, to Żydzi amerykańscy uczynią, że już nie tylko za 10 litów, ale i za 20 – dolara Litwini nie dostaną, to znaczy, że na antysemityzm litewski Żydzi odpowiedzą najdobitniejszym argumentem, zniżką kursu pieniędzy litewskich, podkopaniem litewskiej waluty państwowej. Że Żydzi mają duże środki w tym względzie – to pewne. Czy jednak rzeczywiście na ich tylko

poparciu utrzymuje [się] kurs nominalny lita – w to wątpię. Jak twierdzą Litwini, Żydzi nie okazali wcale wielkiej skwapliwości do czynnego poparcia waluty litowej, gdy ona wprowadzana była. Minister finansów Petrulis i dyrekcja emisyjnego Banku Litewskiego, złożona z Litwinów z ks. Jurgutisem na czele, sami umiejętnym prowadzeniem interesu wyrobili walucie litewskiej jej stanowisko dotychczasowe; Żydom do zawdzięczenia mają bardzo niewiele. Ale jeżeli nawet Żydzi mało się czynnie przyczynili do utwierdzenia waluty litewskiej, to jeszcze nie znaczy, że gdyby zechcieli specjalnie jej szkodzić, to dzieło waluty by na tym nie straciło. Żeby jednak Żydzi zdecydowali się na jawną akcję przeciwko Litwie, paląc mosty za sobą – w to wątpię. Jeszcze za wiele dotąd mają do stracenia.
Antysemicki ruch na uniwersytecie, ujaskrawiający się coraz bardziej i przechodzący w skrajnie zaczepne formy, których rozwoju i konsekwencji jeszcze przewidzieć nie można, niedawne ekscesy garstki patriotycznych awanturników, którzy pewnej nocy zasmarowali wszystkie napisy żydowskie, polskie i rosyjskie na szyldach i ogłoszeniach ulicznych, a w czym, jak słychać, wzięła udział młodzież gimnazjalna i akademicka pod wodzą bodaj czy nie naczelnika obwodu milicji czy innego podobnego stanowiska urzędnika, będącego jednocześnie studentem uniwersytetu i członkiem korporacji narodowców, musiały oczywiście podrażnić szczególnie Żydów. Same przez się byłyby te ruchy może tylko epizodami czy wybrykami, bo np. ruch antysemicki na uniwersytecie nie jest ruchem większości młodzieży litewskiej: większość młodzieży hołduje różnym odcieniom kierunku socjalistycznego lub ludowo-socjalistycznego, ale większość ta jest bierna i dość słabo reaguje na akcję zaczepną nacjonalistów; ruch jest forsowany i narzucany młodzieży z bezwzględnością tzw. faszyzmu przez małą, ale zdecydowaną na wszystko garstkę, którą w pewnych względach popierają akademicy wojskowi, dość liczni na uniwersytecie, i po cichu milcząco popierają akademicy klerykali z organizacji chrześcijańsko-demokratycznej „ateitininków" i akademicy teologowie. Tak oto niedzielne uchwały o „*numerus clausus*" i o krajaniu trupów chrześcijańskich przez medyków Żydów były powzięte na zebraniu, na które ogromna większość młodzieży postępowej się nie stawiła, a natomiast stawili się *in corpore*[36] klerycy z seminarium duchownego, mnisi i mniszki, zapisani na Wydział Teologiczny, głosując milcząco tak, jak nakazywali wrzaskliwie panowie Marčiulionisy, Čeply, Nekvedoviče, *leaderzy* korporacji narodowców. Ale chodzi o to, że ruch ten, choć jest forsowany przez mniejszość, ma niewątpliwie rozpęd zdobywczy, do tego stopnia, że to, przeciwko czemu wczoraj jeszcze większość postępowa w imię tolerancji protestowała, walcząc z domaganiami się narodowców, dziś już, pomimo że narodowcy większości nie pozyskali i *votum* nie przeprowadzili, stało się samą siłą faktycznych działań narodowców rzeczą utartą, przyjętą, aprobowaną, której już kwestionować nikt nie próbuje, jak to było np. w sprawie języka na zebraniach akademickich. Charakterystyczne jest też to, że ruch ten podnosi tu konsekwentnie jedno za drugim te same hasła, które były tak samo stawiane i głosowane w ruchach antysemickich młodzieży innych środowisk europejskich, jak w Rydze, w Wilnie, w Wiedniu, w Bukareszcie. Nie jest to więc ruch lokalny i epizodyczny, jeno ogniwo wielkiego międzynarodowego ruchu antysemickiego młodzieży.

14 lutego, rok 1923, środa
Młodzież litewska, albo raczej ten jej odłam narodowy, który przeforsował uchwałę o „*numerus clausus*" i o zakazie krajania trupów chrześcijańskich przez medyków Żydów, uzasadnia tę ostatnią uchwałę tym, że rzekomo Żydzi profanują w ten sposób

[36] *in corpore* (lot.) – visi, visi drauge.

samą społeczność chrześcijańską. Mianowicie podobno trupy Żydów nie są wcale w prosektoriach użytkowane, bo, jak się zdaje, przepisy religii żydowskiej sprzeciwiają się krajaniu trupów żydowskich. Jest to więc rodzaj przywileju nietykalności ciała żydowskiego, pewne usankcjonowanie wyższości i szlachetności tego ciała nad pospolitym ciałem chrześcijan, które z tej opieki nie korzysta i może być biernym bezbronnym obiektem dowolnych eksperymentów. Wprawdzie może to być uważane i za tytuł nie pohańbienia i zniewagi, lecz zaszczytu i zasługi tego ciała , które nawet i po śmierci nie przestaje uczestniczyć w solidarności społecznej, służąc zdobyczom wiedzy dla użytku żywego ciała ludzkiego, ale ta idea zasługi solidaryzmu jest mniej uchwytna dla pospolitego czucia i myślenia, niż zmysłowa idea zniewagi w krajaniu i demonstrowaniu biednych szczątków zmarłego człowieka. Toteż młodzież chrześcijańska, która tę zniewagę bardziej niż zasługę wyczuwa, oburza się na przywilej żydowski i reaguje w ten sposób, że do Żydów powiada: jeżeli wy chcecie uczestniczyć z nami w krajaniu trupów dla studiów, to uczestniczcież i w ofierze ciała waszego na ten cel wspólny, to znaczy dawajcie i trupy wasze, a jeżeli ich nie dajecie – to wara wam od trupów naszych, od ciała chrześcijańskiego, nie oznaczonego stemplem żydowskim, dającym mu przywilej; krajcie sobie sami swoje trupy, my ich od was nie żądamy, ale wam i swoich nie damy i jak się dowiaduję od Stadziewicza[37] i od Kriščiukaitisa, których synowie są tu na uniwersytecie na medycynie, rzecz ta jest przez medyków litewskich wykonywana niezależnie od wszelkich uchwał: gdy w prosektorium krajany jest trup i gdy studenci Żydzi zbliżają się do stołu czy to dla krajania, czy dla obserwacji, to wnet jakiś student wojskowy Litwin wysuwa się na czoło, rozpycha Żydów łokciami i kułakami tak energicznie, że się spieszą cofać w kąt odległy prosektorium i nie śmią już się zbliżać do ciała.
Gazety litewskie milczą o uchwale niedzielnej studentów. Nie chcą się nią chwalić i zdradzać jej publicznie – wstydzą się jej, bo choć powoli i same wraz z całym społeczeństwem litewskim zrywają flirt dawny z Żydami i grawitują ku umiarkowanemu antysemityzmowi, to jednak nie chcą, by Litwini byli w obliczu świata stawiani na równej stopie antysemityzmu, co osławieni antysemityzmem Polacy, Rumuni, a poniekąd już i Łotysze. Faktem jest jednak, że Litwini podążają w tym samym antysemityzmu kierunku, co sąsiednie społeczeństwa, bo właściwie te same przesłanki społeczno-kulturalne prowadzą do takich że wniosków. Organy zaś prasy prawicowej lub chrześcijańsko-demokratycznej, które w istocie sprzyjają świadomie wnioskom tego ruchu i zacierają ręce, wola otwarcie inicjatywy nie brać, jeno czekać, aż akcja sama z łona społeczeństwa przy zakulisowym ich udziale się rozwinie w pełni konsekwencji, aby zabrać głos wtedy już nie dla atakowania antysemickiego Żydów, lecz dla obrony antysemityzmu, gdy Żydzi go atakować zaczną. Jest to strategia polityczna wypróbowana.

15 lutego, rok 1923, czwartek
W związku z zamierzonym sfotografowaniem całego personelu uniwersytetu w dniu jutrzejszym powstała myśl sfotografowania osobno i naszego Wydziału Prawniczego, co dziś rano zostało wykonane. O godz. 10 rano zebraliśmy się u fotografa i daliśmy się sfotografować. W fotografii wzięli udział: Leonas, Mačys, Kriščiukaitis, Balogh, Tumenas, Bielackin, Šalčius, Szołkowski, Pokrowski, Wacław Biržiška i ja. Nie przybyli: Büchler, Morawski, Papečkys, który zresztą, będąc bardzo zajęty w charakterze wiceministra wojny, jest tylko nominalnie docentem i miał w ciągu roku tylko jeden wykład. Nie wziął też udziału w fotografii Janulaitis, który wykłada tylko w

---
[37] Stadzevičius Boleslovas

charakterze zaangażowanego *ad hoc* lektora i do wydziału nie należy, uznając go za nielegalnie utworzony wbrew przepisom statutu. Fotografia ta wraz z fotografią jutrzejszą ogólnouniwersytecką będzie z pewnością produkowana w pismach i może odbitkach specjalnych. Będzie ona zapewne także reprodukowana w czasopiśmie prawniczym „Teisė", którego numer wiosenny ma być na wniosek Toliušisa poświęcony specjalnie Wydziałowi Prawniczemu uniwersytetu. **[liustraciją įdėti]**
Miałem dziś z Bohdaniszek list od Maryni, z którego dowiedziałem się o nawinie bardzo dla nas ważnej i dodatniej. Oto w odpowiedzi na moja prośbę jesienną, skierowaną do departamentu Leśnego o pozwolenie na wyrąb 350 sztuk jodeł w Gaju pozwolenie formalne zostało nadesłane. Rzecz ta jest z tego względu niezmiernie dla nas ważna, że w parę tygodni po wniesieniu przeze mnie prośby do departamentu otrzymałem od tegoż departamentu pocztą zawiadomienie, że prośba moja nie będzie rozpoznana, dopóki nie złożę w departamencie zażądanej przezeń w r. 1921 metryki śmierci Papy. W r. 1921 żądanie takie otrzymałem, ale go nie spełniłem, udając, żem o nim zapomniał; miałem nadzieję, że sprawa metryki pójdzie w niepamięć i że sam departament o tym zapomni, a my tymczasem będziemy sobie las posiadać i na tym się skończy. Ta metryka śmierci jest fatalna, bo Papa umarł w październiku 1920, a podług interpretacji departamentu (choć, zdaniem moim, mylnej, ale urzędowo przyjętej), lasy prywatne zostały upaństwowione w dniu wydania ustawy o upaństwowieniu, nie zaś w dniu ich faktycznego przejęcia i sporządzenia aktu o upaństwowieniu; ustawa zaś była wydana w sierpniu 1920; gdybym więc metrykę śmierci Papy przedstawił, to prawdopodobnie uznano by w departamencie lasy bohdaniskie za upaństwowione, a przeto dział nasz w stosunku do nich, dokonany w r. 1921, za nieważny i odebrano by je nam. Gdym więc ubiegłej jesieni, po zgłoszeniu prośby o pozwolenie na wyrąb, otrzymał przypomnienie o złożeniu metryki – zadrżałem. Po naradzie z Hektorem byłem już zdecydowany metrykę tę złożyć i doprowadzić wreszcie rzecz do ostatecznego rozstrzygnięcia własności lasów bohdaniskich. Ociągałem się z tym jednak, a tymczasem departament przesłał moje podanie do „miškų uredasa" w Rakiszkach dla zaopiniowania w kwestii wyrębu. Miškų uredas, który w czasie mojej obecności w Bohdaniszkach obejrzał w tym roku las w Gaju, przesłał do departamentu wniosek przychylny. I oto teraz pozwolenia na wyrąb udzielono. Czy zapomniano o żądaniu metryki, czy też zdecydowano się dać wreszcie pokój tej kwestii – nie wiadomo. W każdym razie, jest to rezultat podwójnie dodatni: i ze względu na możność skorzystania z drzewa, i ze względu na precedens urzędowy na rzecz naszej własności lasów. Teraz już metryki śmierci Papy przedstawiać nie będę. Daj Boże, bym ten mój Gaj kochany ocalił. Z pozwolenia tego mieć też będę budulec ewentualnie na dom.
W Bohdaniszkach bawił przez parę tygodni Walunio Weyssenhoff, który, nie mając jeszcze rozstrzygniętej kwestii powrotu do Litwy, o który się stara, siedząc w Łotwie, był przyjechał tylko za przepustką pograniczną łotewską do strefy pogranicznej litewskiej i siedząc w Bohdaniszkach, jako położonych jeszcze w obrębie tej strefy, rozglądał się stąd w sprawach swoich majątków i stosunku do Piotra Rosena, który działał tu dotąd na zasadzie jego plenipotencji i któremu opinia publiczna czyni bardzo ciężkie zarzuty co do działania na szkodę Walunia w celach zysku. Były tam jakieś rzeczy przy likwidacji tego stosunku.

16 lutego, rok 1923, piątek
Piąta rocznica Niepodległości Litwy. Państwo Litewskie, które przed pięciu laty, w początku roku 1918 pod stopą okupacji niemieckiej proklamowane było przez grono działaczy narodowych, tworzących w Wilnie Tarybę, czyli Radę krajową, zalegalizowaną wprawdzie przez Niemców, ale pozbawionej jakichkolwiek cech

władzy państwowej – wątły twór gorącej wiary i woli patriotów, silnych wszakże procesem społeczno-kulturalnym, który się w masach ludowych dokonywał – oto przetrwało burze ciężkich lat kryzysu powojennego tworzeń się politycznych w latach 1918-1920, przetrwało ciężkie komplikacje historycznego kształtowania się czynników rozwoju tej części Europy, wyrażające się w wielkim konflikcie, w którym sprawa Litwy, jako jeden z jego elementów, starła się z akcją i zarazem tragedią Polski, i choć okaleczone oderwaniem Wilna, zagrożone przez polskie imperium, które je ze wszech stron otacza i chce, bo bodaj musi logiką celów swoich, uczynić je jednym z istotnych swojego systemu narzędzi – trwa niepodległe, coraz mocniej konsolidujące się narodowo, sprężyste. Litwo, witam cię, Ojczyzno moja. Jakkolwiek bolesne jest dla wielu uczuć moich, Polaka litewskiego, stawanie się Twoje, jednak – stań się, Litwo, i bądź pozdrowiona, bądź błogosławiona. Niech słodycz ziemi Twojej, wdzięk form dyskretnych Twojej natury, niech synteza psychiczna Twojego ludu, która tak jest mocną i tyle głębi w sobie zawiera, że oto Polska, która z niej dla kultury społecznej swojej użytek czyniła, dotąd się obejść bez dzieci Twoich nie umie, bo w sobie sama wartości tych znaleźć i zastąpić nimi litewskich nie może – znajdzie swój wyraz i czyn własny w skrystalizowanym pierwiastku Ojczyzny! Litwo – bądź Litwą, bądź sobą i witaj w uśmiechu twórczym swoim, kiedy wreszcie, zbywszy się niebezpieczeństw, staniesz spokojnie i uśmiechnąć się będziesz mogła w dziełach swoich! A czyż marzeniem jest tylko, które pogrzebać wypadnie, to pragnienie, by w syntezie Twojej spełniły się i nasze Adamów Mickiewiczów, Józefów Piłsudskich i innych Polaków litewskich psychiczne przesłanki, które by Cię przedziwnie wzbogacić mogły, a które dziś nie Tobie, lecz przeciw Ciebie służą. Czy je odetniesz precz, niestety, czy je przyswoisz i pochłoniesz w twórczej syntezie swojej? Patrzałem dziś w uroczystościach publicznych na oddział dzieci szkoły średniej polskiej w Kownie, który po paradzie przed Muzeum Wojennym wracał z uroczystości przez „Laisvės Aleję" do domu; szedł w szeregu z muzyką instrumentów dętych i bębnów na czele i ze sztandarem czarnym, na którego środku w tarczy czerwonej była Pogoń litewska biała: figurki dzieci polskich Litwy pełne rytmu szły pod marsz muzyki, a zwłaszcza jeden z doboszy , wybijający takt talerzami blaszanymi, zwrócił uwagę moją: szedł jak ulany, krok sprężysty, ruch dzielny; ty, mały Polaku litewski, czyż ty i wszyscy ci tacy jak ty macie być dla Litwy, której symbol na sztandarze waszym i naszym niesiecie, mielibyście być dla Litwy straceni, sami od niej precz odchodzący i przez nią odtrąceni? W was jest pierwiastek Litwy, spojony wprawdzie z innym w odrębną całość, ale wartościowy, który się zda Ojczyźnie. Ba, kwestia ta bez początku i końca, kwestia – Wilna!
Osobiście mały brałem w uroczystości udział. Byłem tylko na uniwersytecie, gdzie została uskuteczniona wielka fotografia wspólna całego Senatu i Rady Uniwersytetu wraz z licznym personelem pomocniczym różnych laborantów itd. Potem trochę się przyglądałem przygotowaniom do uroczystości w Muzeum Wojennym. Wojska konne stały wzdłuż ulicy, delegacje związków, grup i stowarzyszeń ze sztandarami i plakatami haseł gromadziły się u pomnika poległym za wolność, powiewając lasem barwnych płócien; gmach muzeum, jego ogród i atrybucje były pięknie ozdobione. W ścisku wielkim nie doczekałem się mów i właściwego obchodu. Ani na posiedzenie Sejmu, ani na wieczór do Klubu Litewskiego w „Metropolu", gdzie się uroczystość zwykła kończyć wielkim przyjęciem zbiorowym i rautem, w tym roku zaproszenia nie miałem, toteż nie byłem. Zapominają o mnie. Nie oglądałem tez pięknej iluminacji i ogni sztucznych wieczorem na mieście, bo wieczór spędziłem na pracy w domu.
Na ogół jednak dzień, o ile nie o tłumy szerokie, ale o szczyty inteligencji i sfer politycznych litewskich chodzi, nastrój nie był zbyt pełny wrażenia radości, bo horyzont spraw litewskich jest zaćmiony troskami. W sprawie Kłajpedy Litwa ustąpiła ultimatum

aliantów o zlikwidowała władzę powstańczą za obietnicę przyznania dla niej Kłajpedy. Przyznanie miało być dokonane dziś, ale jeszcze wieść opublikowaną nie jest – nie nadeszła; ostatecznie wiedzą wszyscy, że oddanie to będzie połączone z warunkami i zastrzeżeniami, w których wielu zaczyna już przeczuwać zbliżone do zeszłorocznego projektu Hymansa kombinacje. Skądinąd Polacy okupują przemocą część pasa neutralnego na linii między Wilnem a Grodnem, co daje powód do różnych niepokojów, pogłosek itd., a zarazem budzi u Litwinów ból rany wileńskiej, utwierdzając *status quo* wileński.

17 lutego, rok 1923, sobota
Janulaitis nalega, żebyśmy w Trybunale znowu wystawili kandydaturę sędziego na stanowisko wakujące i mianowicie kandydaturę Ciplijewskiego. Oczywiście, zgadzam się z nim w zupełności, że nie mamy żadnego powodu wystawiania innej kandydatury. Formalnie nic się nie zmieniło, odkąd kandydaturę Ciplijewskiego wystawiliśmy. Ze strony ministra nie zostało nam urzędowo zakomunikowane, żeby dla jakichkolwiek powodów Ciplijewski nie mógłby być mianowany. Kiedy był mianowany Kalnetis, to minister zakomunikował naszemu prezesowi, że on ze swej strony był przedstawił prezydentowi do nominacji i Kalnetisa, i Ciplijewskiego. Formalnie oznacza więc to, że nie ma przeszkód do przedstawienia Ciplijewskiego do nominacji. A jednak wczoraj Kriščiukaitis rozmawiał w tej kwestii z ministrem Karoblisem, który mu kategorycznie oświadczył, że Ciplijewski nie będzie mianowany. Sytuacja więc jest bez wyjścia, przynajmniej dopóki ministrem jest Karoblis. Karoblis uważa, że skoro my nie chcieliśmy przyjąć Kalnetisa, to on może nie chcieć przyjąć proponowanego przez nas Ciplijewskiego. Uważa się on za królika sądownictwa, z którego wolą sądy muszą się liczyć. Żadnej zaś nie ma nadziei na to, by Karoblis usunął się z Ministerium Sprawiedliwości. Wpierw się już zdawało, że Karoblis nie będzie, ale teraz, gdy do układu chrześcijańskich demokratów z ludowcami nie doszło i gdy zdecydowano się na zachowanie pozasejmowego gabinetu Gałwanowskiego, który ma być ogłoszony jako nowo sformowany, w istocie wszyscy ministrowie pozostają ci sami. Zmian osobistych w nowym gabinecie nie przewiduje się, bo punkt ciężkości kładzie się na uregulowanie spraw państwowych międzynarodowej wagi, jak w pierwszym rzędzie sprawa Kłajpedy. Nowy więc gabinet będzie w istocie dawnym. Usunięci zaś będą tylko ministrowie spraw żydowskich i spraw białoruskich, bo ministeria odpowiednie się likwidują (jest to jednym z kamieni obrazy Żydów).

18 lutego, rok 1923, niedziela
Dziś był dalszy ciąg fety uniwersyteckiej, rozpoczętej pozawczorajszą fotografią zbiorową. O godz. 1 odbył się w wielkiej auli uniwersytetu wykład publiczny prof. Mačysa na temat o społecznym czynniku prawa, ilustrowany litewską reformą agrarną. Temat był niewątpliwie ciekawy, ale co mi się wcale nie podobało i czegom się po Mačysie, niewątpliwie jednym z najlepszych prawników litewskich, nie spodziewał, Mačys wdał się w tanie momenty agitacyjne, postponując poważny przedmiot analizy wycieczkami żalów i zemsty względem tej klasy społecznej, która dziś jest tą reformą egzekwowana. Jest to co najmniej i nieszlachetne, i niesprawiedliwe, niegodne wielkiego dziejowego zagadnienia reformy i niegodne uczonego, który kwestię społeczną analizuje. W Mačysie uczonego tłumił syn chłopski, tchnący zawiścią i głębokim żalem do dworu. Że takie są dominujące czynniki naszej reformy agrarnej, wykonywanej przez społeczeństwo chłopskie bardziej uczuciowo, niż gospodarczo – to pewne; w analizie naukowej zjawiska można czynniki te uwydatnić, ale nie należy stawać się ich rzecznikiem i czynić je argumentami naukowymi.

O godz. 3 – po wykładzie Mačysa – udali się profesorowie do Klubu Litewskiego w „Metropolu", gdzie odbył się zbiorowy obiad uniwersytecki. W obiedzie brało udział około 100 osób. Były wina, po obiedzie był benedyktyn do kawy czarnej, ale wódek nie było. Toteż nastrój nie był pijacki. Ja siedziałem w gronie kilku naszych profesorów Wydziału Prawniczego (Kriščiukaitis, Mačys, Bielackin, Wacław Biržiška, Alfons Morawski). Po pieczystym rozpoczęły się toasty i mowy. Otworzyło je przemówienie rektora Šimkusa, następnie ministra oświaty prof. Juodakisa. Potem przemawiali inni: ks. Tumas[38], prof. Czapiński, Zygmunt Žemaitis, profesor honorowy poeta Maironis, prof. Leonas, ks. Bučys[39], dr Avižonis[40], stary Matulionis[41] i kilku innych. Leitmotivem przemówień był cud narodowy, który sprawił, że oto Naród Litewski, ubogi kopciuszek narodów, który przed laty 40 powstał młodzieńczym wysiłkiem kilku zaledwie jednostek i jeszcze przed laty kilkunastu mógł w jednej sali zmieścić wszystko, co było w narodzie żywego, a do samej wojny mógł marzyć zaledwie o jakichś skromnych towarzystwach naukowych do gromadzenia materiałów krajoznawstwa i etnografii, dziś oto – niepodległy państwowo w rodzinie narodów Europy – ma swój uniwersytet i tworzy swoją naukę. To powstanie Narodu – to cud rzeczywiście. Piękne były przemówienia na ten temat – szczególnie księdza Tumasa.
Ks. Tumas i Žemaitis podchodzili do mnie i namawiali, bym przemówił także. Nie odważyłem się jednak.

19 lutego, rok 1923, poniedziałek
Kłajpeda przechodzi już w ręce litewskie. Jest to wielki atut. Warunki i zastrzeżenia, na jakich oddana została Litwie przez wielkie mocarstwa Europy Kłajpeda, nie są jeszcze publicznie znane. Że zastrzeżenia te dotyczyć będą daleko idącego umiędzynarodowienia portu jako „*pendant*"[42] do narzuconego już Litwie formalnie (choć nie wykonywanego dotąd przez nią ze względu na faktyczny stan wojny w Polską) umiędzynarodowienia Niemna – to oczywiste. Opinia litewska i na to się krzywi, ale to nie tak ja alarmuje, jak głuche pogłoski czy raczej domysły, znajdujące łatwy dostęp do podejrzliwych umysłów Litwinów – o łączeniu ze sprawą Kłajpedy jakichś nowych kombinacji czy to sankcjonowania zaboru Wilna przez Polskę, czy układów z Polską w guście projektów Hymansa. Jednak wieści dnia wczorajszego i dzisiejszego o samym fakcie przekazania władzy zwierzchniej nad Kłajpedą Litwie i o wycofaniu się z Kłajpedy władz i oddziałów okupacyjnych francuskich – działają uspokajająco. Ciesząc się z faktu, mniej się myśli o jego warunkach.
W pasie neutralnym, a przynajmniej w jego odcinku między Wilnem a Grodnem, zwłaszcza na linii kolejowej Wilno-Grodno – w okolicach Oran, Olkienik, Merecza – trwa walka: Polacy zajmują tam pas neutralny przemocą, łamiąc opór czynników litewskich, zorganizowanych w tym pasie. Gdzieniegdzie oddziały polskie zapędziły się nawet na terytorium administracyjne litewskie, gdzie doszło do utarczki z regularnym wojskiem litewskim.

20 lutego, rok 1923, wtorek
Sprawa Kłajpedy gorąco Litwę zajmuje. Jest to jej triumf. Naród ma świadomość, że sprawa ta nie jest mu łaską i darem czynników obcych przesądzona, ale jest jego czynu, jego woli i wysiłku owocem. To ją czyni narodowi tym droższą. To powstanie

[38] Juozas Tumas –Vaižgantas.
[39] Būčys Pranciškus Petras
[40] Avižonis Petras
[41] Matulionis Povilas
[42] *Pendant* (pranc.) – neišspręstas, kabantis.

kłajpedzkie, które było dziełem Litwy Kowieńskiej, z czym się dziś po zwycięstwie już w przemówieniach publicznych (mowa Skipitisa[43]) sami Litwini nie kryją – to był czynnik narodowy państwowości litewskiej silniejszy i trwalszy, niż niejedno z dzieł twórczości państwowej prawnej. Psychicznie zwycięstwo kłajpedzkie jest dla Litwy rzeczą doniosłości niezmiernej. Być może, ujawnią się warunki i zastrzeżenia, które mocno Litwę w tej zdobyczy krępować będą, ale nie osłabia to ogromnej wartości moralnej dla narodu samego poczucia osiągniętego czynem swoim i wolą rezultatu. To jest jeden z czynników istotnych, które tworzą państwo.
Odbył się dziś wielki wiec publiczny kłajpedzki – pochód, muzyka, mowy pod Muzeum Wojennym.
Z zony neutralnej są wieści wojenne. Były tam walki zacięte, trupy, wojna. Prasa mało jednak o tym pisze. Więcej się o tym mówi, niż pisze. Na ogół opinia publiczna uważa, że zajęcie wileńsko-grodzieńskiego odcinka zony neutralnej przez Polaków oczywiście dokonane będzie (bodaj już dokonane zostało) i Litwa faktu tego nie odmieni, a wojna o właściwe terytorium Litwy się z tego nie wyłoni, ale Litwa czynnie zaznaczyła swój protest i przeto zastrzegła swoje prawo, a zarazem dała upust czynowi wojennemu, który, nie będąc groźnym dla jej *status quo*, jednocześnie sam przez się jest czynnikiem siły i konsolidacji, który moralnie wzmacnia ją w poczuciu własnym. Dlatego przygnębienia z powodu tych wypadków nie ma, przeciwnie – jest pewne zadowolenie i poczucie siły.

21 lutego, rok 1923, środa
Jest w Litwie – w narodowej inteligencji litewskiej – bardzo liczny zastęp ludzi, którzy, choć są nieraz gorącymi patriotami, miłośnikami swojego narodu, w istocie są głęboko zrusyfikowani i politycznie są moskalofilami *par excelence*[44]. Ludzie ci rekrutują się przeważnie z tych kół inteligencji, które całe życie spędziły na służbie państwowej w głębi Rosji. Ich patriotyzm jest tylko miłością swojskości, ale instynktu głębokiej samodzielności bytowania historycznego Litwy, a przeto i instynktu jej niepodległej państwowości nie mają. Tęsknili oni w Rosji do kraju, do mowy ojczystej, do partykularyzmu prowincjonalnego, ale żyli i oswoili się z kulturą, państwowością, ideologią – Rosji. Dziś wrócili do kraju, mają tu stanowiska wyższe, niż mieli w Rosji i czują się dobrze. Ale przez nałóg, którego może sami nie rozumieją, państwowo wciąż nawracają do idei jedności wielkiego imperium, którego ośrodkiem jest Rosja. Bolszewizm rosyjski dziś ich od Rosji odstręcza, ale w głębi serca wierzą w odrodzenie starej Rosji, może nie carskiej, może demokratycznej, ale Rosji rdzennie państwowej, która stać się musi punktem ciążenia i oparcia dla ludów, które do niej należały. Zespół państwowy dawnej Rosji uważają oni za rodzaj aksjomatu, za realizm historyczny. Niepodległość państw narodowych, które się wyzwoliły od panowania rosyjskiego, pojmują oni w postaci przyszłej federacji pod przewodem Rosji. Kto wie, czy nie większość inteligencji litewskiej – i to właśnie inteligencji wyższych stanowisk – jest tym moskalofilstwem przepojona. W ludzie jest tego o wiele mniej, drobne też koła młodzieży urzędniczej niższych stanowisk, półinteligencja, nowe narodowe czynniki w wojsku – od tych prądów są bardziej wolne. Dopóki pokolenie, które się wyrobiło w szkole i karierze urzędniczej rosyjskiej, nie zejdzie z placu, dopóty ten instynkt moskalofilski będzie sączył swój jad w państwowość litewską i niwelował czucie niepodległości, które zresztą szybko przez młodzież narasta. Moskalofilstwo to nie wymiera jednak biernie; działa ono i przez literaturę, przez dziennikarstwo, przez

---

[43] Skipitis Rapolas

[44] *par excellence* (pranc.) – tikrai.

tłumaczenia z języka rosyjskiego, przez szkołę. Nieprędko ślad jego wypleniony zostanie z życia i przetrawiony instynktem niepodległości i własnego życia, własnej twórczości. Z tego to względu cenię szczególnie moją pracę w uniwersytecie, która mi daje możność przez naukę tak wybitnie społeczną, jak nauka prawa państwowego, szczepić młodzieży litewskiej idee i pojęcia cywilizacji zachodniej, które Litwę od psychiki rosyjskiej odrywają i stanowić będą założenie jej poznania i poczucia własnego. Do liczby tych moskalofilów z instynktu należy i nasz prezes Trybunału Kriščiukaitis, mimo że jest patriota litewskim. Jego aksjomatem wiary jest przyszła federacja z Rosją. Moskalofilizm ten wszędzie upatruje dobroczynny wpływ zasady solidaryzmu z Rosją. I oto teraz w sprawie Kłajpedy znajduje argumenty dla swego aksjomatu, stwierdzając, że nawet bez układu, bez porozumienia umyślnego solidaryzm ten działa automatycznie, bo oto gdyby nie obawa przed Rosją, która paraliżuje Polskę i szachuje Europę w sprawach stosunków wschodnich, Litwa nie pozyskałaby Kłajpedy. Solidaryzm ten działa sam przez się, logiką swoją, toteż w przyszłości będzie należało dać mu wyraz realny. Ci ludzie nie pojmują głębi i mocy czynnika woli i wysiłku litewskiego, który się tak dobitnie w sprawie Kłajpedy wyraził, nie zastanawiają się skądinąd nad założeniami zwycięstwa Europy Zachodniej w Wielkiej Wojnie, które stało się punktem wyjścia samego faktu państwa litewskiego i wszelkich historycznych tego faktu momentów, jak sprawa Kłajpedy, nie myślą i nie umieją zgoła myśleć o tym, że gdyby układ stosunków historycznych, w których powstała Litwa i w których rozwinęła się sprawa Kłajpedy, był pozostawiony „solidaryzmowi” Rosji, to solidaryzm ten działałby li tylko na rzecz pochłonięcia Litwy i porozumienia mocarstwa rosyjskiego z mocarstwem niemieckim – a wtedy tak państwo litewskie, jak sprawa litewskiej Kłajpedy byłyby nieistniejącymi zagadnieniami fantazji.

22 lutego, rok 1923, czwartek
Gazety litewskie podają, że w liczbie oficerów polskich, wziętych przez Litwinów do niewoli w znanych wypadkach zajmowania przez Polaków zony neutralnej w okolicach Olkienik-Oran-Merecza, znalazł się i Wiktor Wąsowicz[45], który w latach 1919-1920 bawił w Kownie na stanowisku tzw. oficera łącznikowego polskiego, mój kolega z Legionów i niegdyś towarzysz niedoli z obozu jeńców w Szczypiornie. Regularne wojska litewskie w samym obrębie zony neutralnej, zajmowanej przez Polaków, oporu wojskom polskim nie stawiały i w ogóle w obręb zony neutralnej nie wkraczały ze względu na to, że Litwa zasadniczo nie uznaje likwidacji tejże zony. Opór, zorganizowany przez Litwinów przeciwko okupującym wojskom polskim, był wykonywany przez czynniki wojskowe nieregularne, mianowicie przez uzbrojone oddziały ludności miejscowej, przez strzelców („šaulysów”). milicję litewską miejscową i zapewne oddziały wojska zamaskowane. Ale niektóre oddziały wojska polskiego, zajmującego zonę neutralną, zapędziły się aż na właściwe terytorium litewskie i tu regularne wojska litewskie rozpoczęły przeciwko nim akcję, usuwając je z terytorium. W takiej też zapewne wycieczce dostał się do niewoli litewskiej Wąsowicz. Litwinom Wąsowicz jest dobrze znany i znienawidzony jako ten, który bawiąc w Kownie w charakterze oficera łącznikowego polskiego dla funkcji czysto technicznych między władzami wojennymi polskimi a litewskimi w okresie pierwszej okupacji Wilna nadużywał swego stanowiska, wszedł w konszachty z miejscowymi elementami polskimi, należącymi do obywatelstwa litewskiego, knuł na miejscu akcję spiskową przeciwko Litwie i zorganizował szeroko rozgałęzioną organizację wojenno-powstańczą w kraju, kierowaną za jego pośrednictwem przez czynniki wojenne Polski.

[45] Vonsovičius Viktoras, Duninas

On był sprężyną spisku peowiackiego w Litwie, potem – organizacji „Strzelców Nadniemeńskich" o charakterze na poły powstańczym i na poły wywiadowczo-szpiegowskim na rzecz Polski, przygotowującym grunt dla interwencji wojennej polskiej. Zaistem działalność Wąsowicza w Kownie była bardziej niż nielojalną, a wybór jego osoby dla kontaktu władz wojennych polskich z Litwą w tych czasach, kiedy jeszcze formalnie Litwa z Polską nie były na stopie jawnej wojny, był jak najbardziej niefortunny. Wąsowicza znam doskonale. Jest to warchoł i awanturnik, człowiek nie poddający się żadnym karbom, pełny ducha anarchii, bez najmniejszej dyscypliny i instynktu taktu, brużdżący dla samego zamiłowania warcholstwa. Takim samym był w Legionach. Odważny, pomysłowy, co się nazywa „szalona pałka", w chwili walki ryzykowny i dzielny, zwłaszcza do wycieczek rozmaitych i partyzantki znakomity, przy tym dobry kolega i towarzysz, człowiek serca i impulsu, ale niesforny, wiecznie spiskujący, gotowy zawsze do działania na przekór, do podnoszenia różnych haseł buntu, do wichrzenia, do podniecania malkontentów, atawistyczny typ rębacza sejmikowego. Inicjatywy dużo, głębi żadnej, inteligencji słabej, impulsów nad miarę. W Kownie pozostawił on u Litwinów jak najgorszą opinię o sobie i rzeczywiście zasłużoną, bo jest po prostu rzeczą skandaliczną i błędem nie do darowania, że takiego człowieka władze polskie były użyły do kontaktu z Litwą. Było to chyba albo płodem niedowarzonej myśli piłsudczyków z Marianem Kościałkowskim[46] na czele, którzy takiego człowieka wydelegowali, albo rozmyślną prowokacją Litwinów. Osobiście Wąsowicza nie winię, ponieważ go znam i wiem, że innym by być nie potrafił, ale winię tych, co go byli do tej funkcji użytkowali. Wąsowicza osobiście lubię i w nim mam także wiernego przyjaciela, który zawsze po rycersku mię broni, gdy Polacy w Wilnie napadają na mnie i potępiają mię. Wiem, z jakim zapałem staje on zawsze w mojej obronie, bo mię nieraz o tym pośrednio wieści doszły. Niemniej jego działalność w Kownie w latach 1919-1920 uważam za skandaliczną. Kto wie, czy nie wezmą tu górę prądy, domagające się oddania Wąsowicza pod sąd za jego rolę w spisku peowiackim w r. 1919. Z pozycji jeńca wojennego zeszedłby on na pozycję oskarżonego politycznego. Prądy takie są. Janulaitis nastaje na tym. Gdyby do tego przyszło i gdyby sprawa Wąsowicza miała z Sądu Wojennego przejść w apelacji do Trybunału, to ja bym się chyba od sądzenia jej usunął ze względu na moje osobiste z Wąsowiczem stosunki. Byłoby dla mnie rzeczą za ciężką sądzić go.

23 lutego, rok 1923, piątek

Otrzymałem dziś od Kotuńki Pruszanowskiej[47] z Bydgoszczy list, przesłany mi przez Berlin. W roku ubiegłym prosiłem Kotuńkę jako siostrę moją, aby postarała się nawiązać korespondencję listowną z moją córeczką Cesią[48], która, o ile wiem, uczy się w Grodnie. Wiem tylko tyle, że Cesia zdała na wiosnę roku ubiegłego egzamin do klasy II i słyszałem jeszcze przedtem, że Regina[49] zamierzała oddać ją na naukę do klasztoru brygidek w Grodnie. Czy jest ona u brygidek czy w gimnazjum, czy uczy się w domu, czy mieszka z matką, w Grodnie czy w Łunnie – tego nie wiem. Prosiłem Kotuńkę, aby się o tym dowiedziała i aby następnie wprost lub za pośrednictwem kogoś z krewnych lub bliskich w Grodnie napisała do Cesi jako jej ciotka rodzona, bo chodzi mi o to, aby przełamać wreszcie ten mur chiński, którym Regina odseparowała bezwzględnie Cesię nie tylko ode mnie, ale i od całej mojej rodziny. Otóż Kotunia poczyniła w tym

[46] Zyndram-Koscialkovskis Marianas (Zyndram - Kościałkowski Marian)
[47] Prušanovska Konstancija Michalina Marija (Pruszanowska Konstancja Michalina Maria)
[48] Celina Römerytė (Römerówna Celina).
[49] Römerienė Regina, Römerytė (Römerowa Regina, Römerówna)

względzie pewne kroki i przysyła mi teraz list, który otrzymała – od Reginy. Oto co mi w tej sprawie pisze Kotunia:
„Przed paru dniami (list Kotuni datowany 17.I.1923) otrzymałam list od Reginy, który Ci wysyłam. Jest to pewno odpowiedź na list mój do p. Wilhelminy Kościałkowskiej[50] – ale niesłusznie niegrzeczny, albowiem do Ceśki pisałam uprzednio wyraźnie, nie pomijając matki ani chcąc w nim poderwać autorytet matki – wyraźnie pisałam, aby mamusię swoją poprosiła o pozwolenie pisywania do ojca, któremu by tym wielką pociechę i radość sprawiła. Regina widocznie się wścieka, że dziecko ten list z serdeczną wzmianką o ojcu otrzymała. Czego się już z jego pamięci nie wymaże. Resztę pozostawmy czasowi. P. Wilhelminę prosiłam, aby jeżeli nie da się to teraz, to kiedyś potem usiłowania swe ponowiła, aby Reginę skłonić na to zezwolenie".
Z tego ustępu wnoszę, że jeden list („uprzednio") Kotuńka wysłała wprost do Cesi (jaką drogą?), a drugi do starej ciotki Wilhelminy Kościałkowskiej, bliskiej krewnej Reginy, zamieszkałej w Grodnie. Z czego Kotuńka czerpie pewność, że Cesia otrzymała pierwszy list – tego nie wiem. Bardzo możliwe, że go wcale nie otrzymała i że dotąd pozostaje w zupełnej nieświadomości o istnieniu ojca, jak nie wiedziała o tym przed dwoma laty, kiedy jeszcze mieszkała z matką w Cytowianach na Żmudzi (wiem to od Zosi Eugeniuszowej Römerowej[51]).
A oto treść dosłowna listu Reginy do Kotuni, datowanego z d. 12.I.1923. bez wskazania miejsca:
„Pani, Jestem zmuszona, choć nie znam Pani, zwrócić jej uwagę, żeby stanowczo przestała pisywać lub używać pośrednictwa osób, z którymi nigdy żadne stosunki mnie nie łączyły. Przez 12 lat poświęciłam swojej córce młodość i pracę ciężką, ośmielam się więc powiedzieć, że należy ona wyłącznie do mnie, a proszę mnie nie zakłócać spokoju swoimi listami, na który tak bardzo zasłużyłam! Radzę wam gdzie indziej zwrócić się z waszą nienasyconą miłością. Regina v. Römer."
List Reginy rzeczywiście brutalny i głupi. Oto moja tragedia, oto ekspiacja wszelkich możliwych win mego życia. Mam córkę, która kończy w tym roku lat 13, a której nie znam i o której nawet pośrednio nic wiedzieć nie mogę. Tęsknię do niej – i wszystko na próżno. Wszystko się rozbija o opór kamienny Reginy, która traktuje mię gorzej, niż gdybym był zbójcą. Nawet zbrodniarze dzieci swoich znać mają prawo, a mnie los w osobie Reginy tego pozbawił. Co będzie dalej – sam nie wiem i nie wyobrażam sobie. Widziałem dziecko dwa razy w życiu: raz w Wilnie w ogródku domu przy ul. Świętojerskiej, w którym się urodziło; tam je mogłem całować i uściskać; drugi raz w Kownie przed trzema laty na ulicy. Regina pisze, że dziecko należy wyłącznie do niej, bo ona sama – bez mego udziału – je wychowała. Ojcostwo jest niezmazalne. Regina mię tak radykalnie odsuwa, to oczywiście sama je tylko wychowywać może i już nie mam sposobu przyczynienia się udziałem swoim. Ale w ten sposób każdy, kto rzecz przywłaszczy i współwłaściciela doń nie dopuści, mógłby twierdzić, że rzecz przez to do niego wyłącznie należy. Dziecko nie jest rzeczą. A jakże mądry jest dowcip Reginy, gdy zaleca ojcu dziecka zwrócić gdzie indziej miłość nienasyconą!

24 lutego, rok 1923, sobota
Dziś na posiedzeniu sądowym Trybunału po raz pierwszy wnosił oskarżenie nowy podprokurator tegoż – Valtys, świeżo mianowany. Trybunał dotąd własnego podprokuratora nie miał. Żyliński był tylko pełniącym obowiązki podprokuratora Trybunału, w istocie zaś był podprokuratorem sądu okręgowego. Kiedy sąd okręgowy w Kownie wystawił kandydaturę Żylińskiego na stanowisko sędziego okręgowego,

[50] Vilhelmina Koscialkovska, Zyndram (Wilhelmina Kościałkowska, Zyndram)
[51] Kalbama apie Sofiją Romerienę-Dembovskytę (Dembowska Romerowa Zosia)

powstała kwestia obsadzenia stanowiska podprokuratora Trybunału. Nasz prokurator Kalvaitis od dawna już miał na względzie Valtysa, młodego prawnika lat trzydziestu kilku, który już przed wojną był podprokuratorem na Kaukazie, skąd go Kalvaitis znał. Valtys po powrocie z Rosji, nie znajdując w sądownictwie właściwego miejsca i krępując się niska stopą wynagrodzenia pracowników sądowych, w roku zeszłym wpisał się do adwokatury. Nie miał jednak zamiłowania do zawodu adwokackiego, toteż dał się Kalvaitisowi chętnie namówić do powrotu do prokuratury i zajęcia stanowiska w prokuraturze Trybunału. Zdaje się, że będzie to nabytek dobry, bo człowiek wygląda pracowity, bardzo zrównoważony, a zwłaszcza ma chęć i ambicje pokonywania trudności. Dla Trybunału jest to rzecz bardzo pomyślna, bo dotąd udział prokuratury w osobie Żylińskiego na posiedzeniach sądowych Trybunału był jeno komedią. Zarówno oskarżenie w sprawach karnych, rozpoznawanych merytorycznie, jak wnioski o zastosowaniu ustaw w sprawach rozpoznawanych trybem kasacyjnym w istocie nie były u nas wykonywane. Udział prokuratury czy to w oskarżeniu, czy we wnioskach prawnych polegał na tym, że Żyliński na chybił trafił wypowiadał lakonicznie: „Proszę o zatwierdzenie wyroku", „Proszę o oddalenie (albo: uwzględnienie) skargi kasacyjnej". Żadnej zgoła pomocy ze strony prokuratury nie mieliśmy. Odbijało się to szczególnie ujemnie na sądzeniu spraw karnych, rozpoznawanych merytorycznie. Ponieważ funkcja oskarżenia nie była przez prokuraturę wykonywana, więc sąd z konieczności sam uzupełniał tę funkcję, co wypaczało nieraz jego rolę w procesie. Obecnie praca Valtysa zapewne lukę tę w znacznym stopniu zapełni.
Co zaś do mianowania Żylińskiego – i Bujki – na stanowisko sędziów okręgowych w Kownie, to choć już bodaj miesiąc upłynął od czasu, jak sąd okręgowy ich kandydatury uchwalił i zakomunikował o tym ministrowi sprawiedliwości, minister dotąd nie przedstawił kandydatur tych do zatwierdzenia prezydentowi Rzeczypospolitej. Minister Karoblis stosuje tu zwykłą swoją taktykę, raczej tendencję panowania nad sądem. Chce mieć sędziów tylko takich, którzy się władzom, a właściwie rządzącej partii chrześcijańsko-demokratycznej dogodni. Aleksander Żyliński jest jednym z działaczy i przywódców opozycji prawicowej („Žemdirbių Sąjunga"), Bujko zaś jest podejrzany jako Polak i bliski krewny Jana Buyki z Wilna, który zajmuje tam stanowisko wiceprezesa sądu okręgowego. I dopóki Karoblis pozostanie na stanowisku ministra sprawiedliwości, dopóty stosunki w sądownictwie się nie uzdrowią i dopóty będzie ono cherlać. Niestety zaś – mało jest szans na to, aby Karoblis rychło był zamieniony przez kogoś innego. Doszła mię wprawdzie pogłoska (i to z ust Ślażewicza), że rzekomo jest mowa o kandydaturze Bernarda Frydmana na stanowisko ministra sprawiedliwości, ale to chyba żart lub nieporozumienie. Z dwojga wprawdzie ja osobiście wolałbym Frydmana, ale byłoby to karykaturalne. Co do Karoblisa – jest on złym duchem sądownictwa litewskiego.

25 lutego, rok 1923, niedziela
W uniwersytecie mieliśmy dziś przed obiadem posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego. Obecni byli Leonas, Mačys, Kriščiukaitis, Balogh, Tumenas, Šalčius, Wacław Biržiška, Morawski, Bielackin, Büchler (wielka osobliwość!) i ja. Büchler stawił się, zdaje się, tylko dlatego, że na porządku dziennym była wśród innych sprawa lektoratu części ogólnej prawa karnego. Docent Papečkys, który ma tę katedrę, zajmując obecnie stanowisko wiceministra wojny, jest tak zajęty swą służbą, że na wykłady nie ma czasu. W ciągu dwóch semestrów miał on tylko jeden wykład. Od nowego roku wykłada prawo karne, ale tylko część szczegółową, Kriščiukaitis. Chodziło więc o to, żeby zapełnić lukę wykładów części ogólnej tego prawa. Ponieważ

Papečkys nie rezygnuje jednak na przyszłość z docentury, przeto chodziło o znalezienie czasowo zastępcy pośród nas samych, nie angażując nikogo na stałe objęcie katedry, która należy do Papečkysa. Otóż Büchler miał ochotę podjąć się tych wykładów. Temu człowiekowi chodzi wyłącznie o lity, aby jak najwięcej ich zdobyć. Gotów jest bez żadnego przygotowania na zawołanie wykładać, co się tylko da, żeby więcej zarobić. Jest to typowy partacz nauki. Ale u nas było już ułożone, że wykładów tych podejmie się Bielackin, człowiek o wiele od Büchlera poważniejszy pod względem wiedzy i głębszy. Tak się też stało. Büchler osiadł na koszu. Dużo zajęło dziś czasu omawianie ułożonego projektu regulaminu uniwersyteckiego, a raczej jego części dotyczącej powoływania personelu wykładającego i awansowania tegoż.
Zdaje się, że nasz wydział popełnił błąd, podejmując się wydania przetłumaczonego przez naszego docenta Šalčiusa z rosyjskiego na litewski traktatu ekonomii politycznej Tuhan-Baranowskiego[52]. Wprawdzie Tuhan-Baranowski był znanym ekonomistą rosyjskim, ale tłumaczenie jego dzieła ma mało wagi użytecznej dla potrzeb naszych. Po pierwsze bowiem, prawie cała młodzież litewska zna język rosyjski, więc i bez tłumaczenia może korzystać z oryginału; jeżeli więc coś tłumaczyć na język litewski, to raczej z literatury zachodniej, z dzieł niemieckich, francuskich lub angielskich, których waga jest tym większa, że wprowadzają czynnik umysłowości zachodniej do kształcenia pojęć młodzieży litewskiej; takie na przykład klasyczne dzieło o ekonomii francuskiego uczonego i filozofa Karola Gide'a o ileż by się bardziej nauce litewskiej przydało od dzieła Tuhan-Baranowskiego. Po wtóre, Tuhan-Baranowskiego praca jest przestarzała, bo jest wydane przed wojną i nie uwzględnia tych olbrzymiej wagi momentów gospodarstwa społecznego, które uwydatniła wojna i najnowsze czasy powojenne. Że Šalčius na inną pracę nie mógł się zdobyć – to co innego, ale czy nam należało rzecz tę wydawać – to kwestia. Wydanie będzie drogo kosztowało, a pożytek będzie zapewne mały i nawet finansowo będzie zapewne chybiony, bo książka od samego urodzenia przestarzała i chybiająca poważnego celu, będzie zapewne mało nabywana.
Jest w tych dniach duży zjazd ziemiaństwa na walne zgromadzenie doroczne kapitalnej organizacji społeczno-gospodarczej ziemiańskiej „Prodrolu". Oczywiście przy tej okazji odbywają się posiedzenia i rozmaitych innych organizacji ziemiańskich. Wielką sensację budzi wśród ziemian wzięcie przez Litwinów do niewoli dobrze tu ziemianom znanego Wąsowicza. Wąsowicz wielkiego miru wśród ziemian tu nie miał, ale bądź co bądź symbolizował dla nich przez czas dłuższy akcję polską Piłsudskiego i był duszą marzeń ich większości, streszczonych onego czasu w POW i podobnego typu przedsięwzięciach. Współczują mu i żałują go, ale zarazem gorszą się, że się dał wziąć, mając ze sobą garstkę żołnierzy. Dowiedziałem się od ziemian, że Wąsowicz zosta odseparowany od innych wziętych do niewoli i osadzony w więzieniu w Kownie. Pachnie to coś rzeczywiście wytoczeniem mu procesu o udział w organizowaniu w Litwie spisku peowiackiego w roku 1919, a potem Strzelców Nadniemeńskich. Podobno Wąsowicz jest bardzo znerwowany (zresztą jest on nim zawsze) i siedzi w przykrych warunkach, nie ma bielizny i żadnego wsparcia. Życzliwych by mu nie zbrakło, ale każdy się lęka manifestowania swego stosunku, by się nie narazić wobec Litwinów na jakieś posądzenie.

26 lutego, rok 1923, poniedziałek
Wczoraj odbyło się zebranie Towarzystwa Prawniczego Litewskiego[53], na którym wygłosili referaty Bojew[54] i Janulaitis. Nie byłem na tym zebraniu, bo sądziłem, że nie

[52] Tugan-Baranovskis Michailas Ivanovičius (Михайло Туган-Барановський)
[53] Lietuvos teisininkų draugija (LTD).

dojdzie do skutku, a zresztą czasu nie miałem. Zebranie jednak było podobno liczne i ożywione. Nad referatem Bojewa, który wnosił o uchylenie stanów wyjątkowych i rozmaitych przepisów nadzwyczajnych, wywiązała się obszerna dyskusja, w której ogół prawników litewskich, nie wyłączając „lewicy" (prawdopodobnie ludowcy), wychodząc z przewagi założeń „państwowych" („*salus rei publicae*"[55]) nad założeniami interesów prywatnych – bronił podobno tezy środków wyjątkowych i nadzwyczajnych. Towarzystwu Prawniczemu zadany został dotkliwy cios. Prawdopodobnie będzie musiało zrezygnować z wydawania czasopisma „Teisė", jedynego organu prawniczego w Litwie. W roku ubiegłym Towarzystwo miało od rządu subsydium na wydawnictwo tego czasopisma w kwocie 10 000 mk. miesięcznie. Na początku roku ubiegłego, kiedy marka niemiecka miała jeszcze kurs znośny (sto kilkadziesiąt czy dwieście marek za dolara), kwota ta była niezła, w końcu zaś roku, kiedy marka spadła do kilkunastu tysięcy za dolara, była to już kropla w morzu, tak że na opłacenie kosztu druku i honorariów ostatniego numeru nie wystarczyło i pozostał dług. W ciągu r. 1922 Towarzystwo wydało trzy numery „Teisė" (w nr 1 były moje dwa artykuły i w nr 3 – także dwa). Na rok 1923 zarząd Towarzystwa (do którego i ja należę, a poza tym należą Kriščiukaitis, Janulaitis, Noreika[56] i Toliušis) wniósł do rządu przez ministra sprawiedliwości znowu prośbę o subsydium na to wydawnictwo – oczywiście już w litach. I oto w zeszłym tygodniu zakomunikowana nam została odpowiedź odmowna: gabinet ministrów oddalił prośbę o subsydium. Jednym z motywów (urzędowo nie podano żadnego motywu odmowy) ma być to, że Ministerium Sprawiedliwości mając własne kredyty na cele wydawnicze, może samo wydawać czasopismo prawnicze i przeto subsydium dla Towarzystwa Prawniczego jest zbyteczne. „Może" – ale nie wydaje; Ministerium Sprawiedliwości, kierowane przez Karoblisa, nie wydaje nawet tłumaczenia ustaw (kodeksu cywilnego, ustaw postępowania sądowego) obowiązujących z języka rosyjskiego na litewski i w ogóle nic bodaj nie robi, prócz statystyki ruchu spraw sądowych, rachunkowości i – dezorganizowania wymiaru sprawiedliwości. Słychać jednak, że był i drugi jeszcze motyw odmowy subsydium dla Towarzystwa Prawniczego, mianowicie ten, że na zwołanym i zorganizowanym przez Towarzystwo Prawnicze w początku stycznia zjeździe ogólnym prawników zapadła na skutek referatu Suginta, powzięta większością głosów uchwała, stwierdzająca, że wybór przez Sejm Stulgińskiego na stanowisko prezydenta Rzeczypospolitej został dokonany z pogwałceniem przepisów Konstytucji (co do kworum). Nie dziwiłbym się temu motywowi, bo choć to jest uchwała nie Towarzystwa Prawniczego, ale zjazd prawników był w istocie ekspozyturą Towarzystwa. Bez subsydium Towarzystwo Prawnicze z własnych środków nie będzie w stanie wydawać czasopisma, chyba że udzieliłaby mu na to środków bogata adwokatura; wątpię jednak, by adwokatura zechciała się w tę ofiarność bawić. Jeżeli nie będzie wcale pisma prawniczego – będzie to luka poważna. Pismo takie miałoby duże zadanie do spełnienia. Dla Towarzystwa Prawniczego posiadanie organu zawodowego stanowi też jeden z najpoważniejszych czynników jego żywotności.

27 lutego, rok 1923, wtorek
Dowiedziałem się, że Wiktor Wąsowicz został z niewoli litewskiej uwolniony, to znaczy pozwolono mu wrócić do Polski. Stało się to z pewnością na skutek interwencji z Europy z tego względu, że został ujęty nie w działaniu wojennym przeciwko Litwie,

---

[54] Bojevas Vsevolodas

[55] *Salus Rei publicae* (lot) – Respublikos gerovei.
[56] Noreika Liudas.

lecz w charakterze tłumacza czy adiutanta oficerów angielskich z poselstwa angielskiego w Warszawie, którzy kontrolowali akcję polską w czasie okupowania przez Polaków części zony neutralnej, wyznaczonej im zaleceniem Ligi Narodów. Oficerowie ci wraz z Wąsowiczem i bodaj z innym oficerem polskim, a może, jak twierdzą niektóre wersje, i z małym oddziałkiem zbrojnym polskim – przekroczyli w nocy przypadkiem linię demarkacyjną litewską i zostali ujęci na terytorium litewskim. Anglicy zostali już przed kilku dniami zwolnieni. W pewnych kołach litewskich jest niezadowolenie z powodu uwolnienia Wąsowicza, któremu można było wytoczyć proces z oskarżenia o organizowanie w Litwie w r. 1919 i 1920 zamachów stanu. Nowy gabinet ministrów litewski już się sformował. Wczoraj ogłoszona została nominacja. Na czele stoi Gałwanowski. W istocie jest to ten sam gabinet, który był dotąd. Wszyscy ministrowie pozostali na tych samych stanowiskach. Zmiana dotknęła tyko ministrów narodowych bez tek (spraw żydowskich i spraw białoruskich). W związku z ochłodzeniem flirtu litewsko-żydowskiego i dość poważnymi tarciami w stosunkach, zamierzona już była nawet całkowita likwidacja tych ministrów narodowych. Ministeria te czy ministrowie są istotnie ze stanowiska państwowego dziwolągiem i nonsensem, który w istocie nie jest wcale konsekwencją logiczną autonomii personalno-narodowej, a natomiast zasadniczo jest niewspółmierny z tezą gabinetu parlamentarnego, stanowiącego solidarną całość polityczną i odpowiedzialnego przed Sejmem państwowym. Opinia litewska od dawna jest tym ministeriom przeciwna i Chrześcijańska Demokracja czeka tylko okazji do zlikwidowania tej pozostałości umizgów okresu Taryby. Gałwanowski, tworząc gabinet obecny, nosił się z myślą nieobsadzania wcale foteli ministrów spraw żydowskich i spraw białoruskich. Potem jednak, na skutek głównie, jak się zdaje wpływów ludowców ze Ślażewiczem na czele, decyzja ta uległa zmianie. Ludowcy nie są wprawdzie przekonanymi rzecznikami tych ministeriów, ale uważają, że na razie względy polityki zagranicznej czynią ich likwidację nieaktualną, ponieważ zrazi to Żydów, których wpływy międzynarodowe są czynnikiem pierwszorzędnej dla Litwy wagi, a co do ministra białoruskiego, to zachowanie jego jest pożądane dla efektu w sprawie Wilna. Gałwanowski załatwił tę rzecz kompromisowo. Co do fotela ministra spraw białoruskich, to nie ofiarował go nikomu z Białorusinów, lecz zachował – dla siebie. Tą drogą prezes ministrów Gałwanowski jest zarazem ministrem spraw zagranicznych i ministrem („czasowym") bez teki do spraw białoruskich. Jakie będą konsekwencje objęcia przez Gałwanowskiego stanowiska ministra spraw białoruskich i jak na to reagować będą Białorusini – nie wiem. Ale kompromisowe załatwienie sprawy ministra żydowskiego nie udało się Gałwanowskiemu, o ile tylko Gaławanowskiemu nie chodziło właśnie o sprowokowanie Żydów i wywołanie kryzysu w tej sprawie dla stworzenia pretekstu dla zlikwidowania fotela. Na stanowisko ministra spraw żydowskich Gałwanowski powołał Bernarda Fridmana, dotychczasowego sędziego okręgowego w Kownie, przed wojną – adwokata prywatnego w Poniewieżu. Żydzi, którzy posiadają w Litwie organizację autonomiczną, wystawili kandydaturę starego Rozenbauma. Fridman propozycję Gałwanowskiego przyjął i został mianowany ministrem. Fridman jest jednym z tych białych kruków w społeczeństwie żydowskim, którzy nie uznają solidarności żydowskiej i nic sobie z niej nie robią. Jest to człowiek nienasyconej chorobliwej ambicji, którego jedynym marzeniem jest piąć się coraz wyżej i otaczać swoją osobę zaszczytami, godnościami i tytułami. Jest to jego namiętność, która go czyni omalże niepoczytalnym. Żydzi nie uznają Fridmana za prawowitego ministra ich spraw i uważają go za narzuconą im kreaturę Gałwanowskiego, która ma być nie wyrazem ich spraw wobec rządu, lecz narzędziem panowania nad nimi. Toteż Żydzi chcą bojkotować Fridmana. W Ministerium Spraw

Żydowskich zamierzone jest masowe podanie się urzędników do dymisji. Dziś na posiedzenie Sejmu posłowie żydowscy po raz pierwszy przybyli, łamiąc dotychczasowy swój bojkot Sejmu z powodu krzywdy wyborczej. Gdy Fridman, obecny w Sejmie w charakterze ministra, podszedł do posłów żydowskich i podał im rękę, ci rąk mu nie podali. Stało się to publicznie.

28 lutego, rok 1923, środa
Dziś zrobię sobie ulgę i pisać obszerniej dziennik nie będę.
Od dwóch dni mamy wzrastającą odwilż. Jeżeli to koniec zimy, to krótką ona była, bo się bardzo późno zaczęła. Dopiero w drugiej połowie stycznia ustaliła się na dobre. Kotuńka Pruszanowska puka o moje „dolary”, które ewentualnie ma dla mnie Stefan Mieczkowski[57] z likwidacji szczątków małej cząstki nieszczęsnego Wiązowca. Mianowicie cypel kilkudziesięcinowy lasu wiązowieckiego, zwany „Gajem”, który za czasów mego zarządu Wiązowcem był porosły prześliczną sosną, był w roku zeszłym, przy regulowaniu granicy państwowej polsko-rosyjskiej, czasowo zaliczony do zony neutralnej jako cząstka terenu spornego. Skorzystał z tego Stefan Mieczkowski, aby szybko, najętym robotnikiem, wyrąbać resztę drzewa na pniu w tym kawałku Wiązowca. Robotnicy musieli kilkakrotnie przerywać pracę i zmykać, bo bolszewicy, widząc rabunek szczątków lasu, ostrzeliwali ich. Ale ostatecznie Stefan zdołał wyrąbać, co było i wywieźć. Nie było już tam sosny, tylko jodła papierówka. Ze sprzedaży tego drzewa Stefan zebrał dla mnie około 4 milionów marek polskich, ponieważ jestem współwłaścicielem Wiązowca w 1/7 cząstce (reszta – 6/7 – należy do Elwiry). Czy Stefan te „miliony” moje spieniężył w czas na dolary, jakem go o to prosił – nie wiem. Jeżeli tego nie uczynił, to wartość tej sumy zmniejszyła się od jesieni przeszło o połowę, bo o tyleż spadła marka polska. O te więc pieniądze kołacze teraz Kotuńka[58] prosząc, bym je jej pożyczył na obmyśloną przez nią spekulację. Marzy ona o zakupieniu działki lasu od starego Lucjana Kobylińskiego[59], który tnie na gwałt swoje olbrzymie dziewicze lasy pod Lidą. Pieniądze moja Kotuńka chce użyć na zadatek dla Kobylińskiego, a las chce wyeksploatować na zarobek. Goni ona biedna ostatkami i przez noce bezsenne marzy o sposobach zdobycia grosza jakąś spekulacją. Wątpię, aby z tych projektów leśnych był jakiś skutek realny, ale pożyczki, o którą prosi, udzielę jej. Obiecuje zwrócić w dolarach. Co te moje „miliony” maja być u Mieczkowskiego – niech sobie z nich raczej Kotuńka korzysta.

1 marca, rok 1923, czwartek
Czy Fridman długo pozostanie ministrem spraw żydowskich – wątpię. Żydzi, tak z obozu syjonistów, stanowiących najsilniejsze stronnictwo żydowskie, jak z obozu demokratów, są usposobieni wrogo przeciwko niemu. Wprawdzie słyszałem dziś od Janulaitisa, że jeden z polityków żydowskich, Rachmilewicz[60], przywódca ortodoksów, złożył podobno Fridmanowi wizytę i zapewnił, że ortodoksi go poprą i oświadczył, że na innych Fridman może wcale nie zważać, to jednak wydaje mi się to plotką. To, czego nie potrafiły dokazać gorące umizgi Ślażewicza, który, chcąc pozyskać w Sejmie kilka głosów posłów żydowskich dla wzmocnienia opozycji przeciwko Chrześcijańskiej Demokracji, gorąco namawiał Żydów do zaniechania bojkotu Sejmu w imię polityki realnej (oportunizmu), to dokonało się teraz od razu bez żadnych ceregieli: dokazała

[57] Mečkovskis Stefanas (Mieczkowski Stefan)
[58] Prušanovska Konstancija Michalina Marija.

[59] Kobilinskis Lucijanas (Lucjan Kobyliński)
[60] Rachmilevičius Nachmanas

tego nominacja Fridmana. Posłowie żydowscy przerwali bojkot Sejmu, ustanowiony przez nich solidarnie z posłami polskimi jako wyraz protestu przeciwko głośnemu wyjaśnieniu art. 76 ordynacji wyborczej, obcinającemu liczbę mandatów mniejszości narodowych – i w dniu, w którym w loży ministerialnej Sejmu ukazał się nowy gabinet z udziałem Fridmana, przybyli na posiedzenie. Jak mię zapewniał Finkelsztejn[61], Żydzi usiłują nakłonić i Polaków do zaniechania bojkotu i rzekomo liczą na to, że Polacy pójdą w tym względzie śladem Żydów. Osobiście co do Polaków bardzo wątpię, by to uczynili, choćby dlatego, że nie mają tych motywów do wzięcia udziału w Sejmie, jakie mają Żydzi. Stosunki litewsko-polskie są tak zaognione, że żadne ze stronnictw litewskich nie odważy się manifestować flirtem z Polakami i będzie się nawet bało zwycięstw, które mogą być zawdzięczane Polakom, bo sam fakt, że zwycięstwo zawdzięczają głosom polskim, może kompromitować, a więc szkodzić zwycięzcom w opinii nacjonalistycznej litewskiej. W istocie Żydzi po prostu zdradzili swoich polskich towarzyszy bojkotu sejmowego i pośpieszyli bronić tego, co w popularnej opinii żydowskiej jest najcenniejsze dla nich – ministerium żydowskiego. Ministerium to pojmują oni jako swoją dziedzinę autonomiczną, jako placówkę ich wpływu w rządzie. Ze stanowiska państwowego jest to oczywiście nonsens – *status in statu*[62] – ale dla Żydów jest to rzecz bardzo realna, o którą im chodzi niezmiernie. Litwini już się orientują, że ministerium takie jest dla państwa ujemne, toteż chrześcijańscy demokraci już je likwidować pragną, a Gałwanowski, tworząc gabinet, choć się nie zdecydował na skasowanie ministerium spraw żydowskich, powołał na to stanowisko nie męża zaufania Żydów, lecz człowieka, którego sam upatrzył, Fridmana. Tą drogą ministerium nie ma cech żydowskiego, jeno ma cechy organu rządu dla państwowego regulowania spraw żydowskich. Nie autonomia to żydowska, sięgająca w samo łono władzy centralnej państwowej, ale organ władzy państwowej w dziedzinie funkcji dotyczących spraw mniejszości żydowskiej. Jest to jedyne wprawdzie logiczne ze stanowiska państwowego traktowanie tego ministerium, ale w takim charakterze ministerium to przestaje być dla Żydów pożądanym; oni bowiem chcą mieć w postaci tego ministerium przywilej quasi-autonomiczny placówki w rządzie państwowym, przywilej, którego nikt poza nimi nie ma, bo rząd jest li tylko wyrazem większości sejmowej, nie zaś zbiorowiskiem placówek jakichś grup pozasejmowych. Tego przynajmniej wymaga logika ustroju parlamentarnego. Żydzi poczuli, że Fridman – to ich wróg, to narzędzie zwalczania ich przywileju. Rzucili się więc do obrony tegoż i walki. Wiedzą, że układ sił w Sejmie jest taki, że Chrześcijańska Demokracja rozporządza zaledwie paru głosami większości i że wszystkie inne stronnictwa z ludowcami na czele walczą z nią, ludowcy zaś w tej walce chcą wymusić na Chrześcijańskiej Demokracja zawarcie z nimi kompromisu rządowego, opartego na warunkach, a nie na łasce i widzimisię Chrześcijańskiej Demokracji. Żydzi wiedzą dobrze, że w tych okolicznościach udzielenie przez nich trzech głosów żydowskich opozycji może dać ludowcom tę przewagę siły, która udaremni samodzielne rządy Chrześcijańskiej Demokracji i zmusi ją do przyjęcia żądań ludowców. A za udzielenie tego poparcia Żydzi ocalą „swoje" ministerium.

2 marca, rok 1923, piątek
Wieczorem Dominik Siemaszko, który już zakończył swoją karierę ministerialną i stał się prostym śmiertelnikiem, tym prostszym, że zbytkiem inteligencji nie grzeszy i że nie należy do osób pod jakimkolwiek względem wpływowych, zaprosił kilka osób do

[61] Finkelšteinas Ozeris
[62] *Status in statu* (lot.) – Valstybė valstybėje. Tai reiškia išskirtines sąlygas tam tikrai visuomenės daliai, apibūdina įstaigas turinčias tam tikrų privilegijų.

Ślażewicza na pogadankę w sprawie ewentualnego utworzenia związku Wilnian w Kownie. Zdaje się, że ta gorliwość Siemaszki pochodzi z chęci znalezienia dla siebie jakiejś podstawy społecznej, jakiegoś oparcia, które dałoby mu na przyszłość możność być czymś więcej, niż „pilietis Domas Semaška". Zakosztowanie władzy nie daje człowiekowi potem spokoju. Wprawdzie niewielką była władza Siemaszki na stanowisku ministra spraw białoruskich, ale ze stanowiskiem tym, a raczej z imieniem ministra łączą się zaszczyty, które są pono najsłodsze; minister przez to samo, że jest ministrem, bierze udział we wszelkich uroczystościach, ucztach itd., jest wszędzie proszony, zaszczycany, wyróżniany. Siemaszko nosi się teraz z różnymi projektami założenia towarzystw, wpisania się na członka któregokolwiek ze stronnictw itd. Dzisiaj chodziło tylko o pogadankę, o naradę wstępną kilku osób zaufanych. Siemaszko zaprosił do wzięcia w niej udziału Ślażewicza, Jana Vileišisa, Michała Biržiškę, Zygmunta Žemaitisa i mnie. Biržiška i Žemaitis nie przyszli. Omawialiśmy kwestię szans i warunków bądź utworzenia związku Wilnian, bądź założenia organizacji kontaktu litewsko-białoruskiego. Wątpię, aby z tych rozmówek luźnych coś się wyłonić mogło. Kontakt litewsko-białoruski w warunkach obecnych rozwijać się może bodaj tylko przez stronnictwa polityczne, a związek Wilnian byłby formacją mdłą i mgławicową.
Dowiedziałem się od Siemaszki, że choć tytularnym ministrem spraw białoruskich jest premier Gałwanowski, jednak faktycznie kierownictwo tego ministerium zlecone będzie przez Gałwanowskiego Ignacemu Jonynasowi, który w Ministerium Spraw Zagranicznych prowadzi wszystkie sprawy dotyczące Wileńszczyzny.
Dowiedziałem się, że nominacja Ignacego Buyki na stanowisko sędziego okręgowego w Kownie – nastąpiła. Natomiast nominacji Aleksandra Żylińskiego – nie ma.

3 marca, rok 1923, sobota
W Sejmie zaszedł dziś incydent symptomatyczny, który wskazuje, jak chwiejną się stała podstawa rządów Chrześcijańskiej Demokracji z chwilą zwłaszcza, gdy Żydzi wrócili do Sejmu i rzucili swoje trzy głosy na szalę opozycji. Wypadek był taki. Przy omawianiu etatów Prezydenta Rzeczypospolitej przemawiał poseł ze stronnictwa ludowców, b. sędzia okręgowy Sugint, który znów podniósł kwestię nieprawności dokonanego w grudniu wyboru Stulgińskiego i wyraził się o Stulgińskim w sposób pogardliwy, uwłaczający tek jemu, jak chrześcijańsko-demokratycznej większości sejmowej. Sugint widocznie wyspecjalizował się w kwestii prezydentury i szczególnie się na nią uwziął; z jego toteż inicjatywy kwestia ta była omawiana w styczniu na zjeździe prawników, który powziął znaną uchwałę, stwierdzającą niekonstytucyjność wyboru Stulgińskiego. Prezydium Sejmu w osobie przewodniczącego marszałka Bistrasa[63], upatrując w przemówieniu Suginta obrazę Sejmu i Prezydenta Rzeczypospolitej, postawił wniosek wydalenia Suginta za karę na kilka posiedzeń Sejmu. Opozycja podniosła huczny protest i prezydium zarządziło przerwę. Po przerwie wniosek prezydium został oddany pod głosowanie. Na posiedzeniu zabrakło dwóch czy trzech chrześcijańskich demokratów, opozycja zaś była zmobilizowana cała. Wniosek o ukaranie Suginta upadł; przeciwko niemu głosowało 36 posłów, za – 35. Po takim wyniku głosowania Bistras zamknął posiedzenie. Opozycja Triumfuje. Ludowcy czują, że Chrześcijańska Demokracja będzie musiała pójść do Kanossy i że władza im, ludowcom, uśmiechać się zaczyna. Że incydent ten, zakrawający na odmówienie przez Sejm zaufania prezydium, wywołać może kryzys prezydium sejmowego – to w tym wypadku ma znaczenie epizodyczne, istotnym zaś jest to, że służy on wyraźną

---

[63] Bistras Leonas.

wskazówką, iż władza z rąk Chrześcijańskiej Demokracji się wymyka i że dość lada przypadku, mianowicie nieobecności paru posłów większości, aby większość stopniała do mniejszości. Oczywiście opozycja wytęży czujność i z każdego przypadku skorzysta. Rządzić trwale i mocno w takich warunkach – trudno. Chrześcijańska Demokracja z konieczności będzie chyba zmuszona do nawiązania kompromisu z ludowcami, którzy, czując swoją wagę, będą się drożyć z warunkami. Oto nowy gabinet Gałwanowskiego musi obecnie złożyć Sejmowi deklarację programową rządu, by otrzymać wotum ufności Sejmu. W takim układzie sił w Sejmie stanowisko gabinetu jest bardzo słabe. Toteż bardzo prawdopodobne są w bliskim czasie głębokie przeobrażenia w konstrukcji większości sejmowej i gabinetu.
Po obiedzie przyszła do mnie Jadzia Čepasówna, która co najmniej raz na miesiąc mię odwiedza i nocuje wtedy u mnie. Są to noce orgii zmysłowej, na którą dziewczynka leci jak ćma.

4 marca, rok 1923, niedziela
Odbyła się dziś uroczystość obchodu 40-letniej rocznicy pierwszego pisma narodowego litewskiego „Aušra", które ongiś w roku 1883 założone zostało na terytorium Litwy Pruskiej w mieście Ragnecie[64] przez Basanowicza[65] i garstkę ożywionych ideą wskrzeszenia Litwy towarzyszy, To wątłe pisemko, materialnie ubogie, które by w bogatej literaturze jakiegoś wielkiego i rozwiniętego narodu stanowiło epizodzik znikomy, o którym by nic nie wiedziano poza garstką tych, co je czytali i co by po przeczytaniu o nim zapomnieli, było bogate i potężne wolą i wiarą tych, co jak tytani sami jedni budzili uśpionego ducha narodu, i wielkie dokonanym dziełem, epoką w ówczesnym stanie piśmiennictwa i świadomości narodu litewskiego. „Aušra" pierwsza tchnęła w budzące się tu i ówdzie i już dojrzewające czucie Litwinów – żywe słowo, które kiełkowało w sercach i tęsknotach najgorętszych i najwrażliwszych Litwy synów. I stała się ona cudem Litwy, która dziś oto po 40 latach państwem jest niepodległym i narodem czynnym. Toteż uroczystość dzisiejsza jest jedną z najpiękniejszych pamiątek, które Litwa w młodych swych dziejach współczesnych posiada.
Uroczystość obchodzona była poważnie. Uczcił ją uniwersytet, który skupił właściwy rdzeń obchodu. Odbyło się w wielkiej sali uniwersytetu wielkie posiedzenie publiczne, na które przybyło z kilkaset osób, że aż sala wszystkich zmieścić nie była w stanie. Przybyło wszystko, co tylko jest wybitnego w inteligencji litewskiej – w jej polityce, literaturze, nauce, sztuce, działalności społecznej – wreszcie zastępy młodzieży akademickiej i szary tłum rozmaitego stanu. Na estradzie prócz członków Senatu Akademickiego zasiedli weterani narodowi ze współpracowników „Aušry" z jednym z najwybitniejszych – dr Janem Šliupasem na czele. W ich liczbie był Marcin Jankus z Litwy Małej (b. Pruskiej) i kilku pomniejszych uczestników dzieła „Aušry", jak Gedymin-Biržański[66], wiceminister oświaty Mašiotas[67]. wreszcie nasz prezes Trybunału Kriščiukaitis, który jest zarazem jednym z najstarszych publicystów litewskich, znany pod pseudonimem A. iš B." albo „Aišbe". Brakło patriarchy Basanowicza, który konsekwentnie trwa na stanowisku wileńskim. Zagajenie rektora Šimkusa było nędzne, ale za to referaty Michała Biržiški o znaczeniu „Aušry" dla dzieła narodowego litewskiego i ks. Tumasa o wpływie „Aušry" na Wincentego Kudirkę były

[64] Ragainė.
[65] Basanavičius Jonas .
[66] Gediminas Beržanskis-Klausutis Jonas
[67] Mašiotas Pranas

bardzo treściwe i piękne. Z podniosłym wrażeniem wyszedłem z tej uroczystości. Wieczorem odbyła się w Klubie Litewskim zbiorowa publiczna (składkowa) kolacja na uczczenie weteranów „Aušry". w której jednak udziału nie wziąłem, choć może i szkoda.

5 marca, rok 1923, poniedziałek
Byłem dziś z Dominikiem Siemaszką u Andrzeja Rondomańskiego dla omówienia perspektyw tego „związku Wilnian" czy jakiejś innej w tym rodzaju organizacji Wilnian nie tylko dla obcowania między sobą, ale jeszcze bardziej dla utrzymywania wciąż sprawy Wilna na poziomie aktualnym i oddziaływania na opinię publiczną w Kownie – przede wszystkim litewską – w kierunku żywej świadomości zagadnień społecznych, narodowych i kulturalnych, które łączą się z Wilnem i Wileńszczyzną, dla państwowości litewskiej. Że to jest rzecz potrzebna i bardzo ważna, jeżeli się tylko nie rezygnuje z Wilna – to jest oczywiste i tutaj chyba dwóch zdań być nie może. Państwowość litewska zasklepia się w Kowieńszczyźnie i krystalizuje jej psychologię, reagującą na zagadnienia, kształtujące się w tym ograniczonym środowisku terytorialnym. Z konieczności ma to miejsce, gdy Litwa faktycznie Wileńszczyzny nie ogarnia. Ale Wileńszczyzna, która ma układ stosunków i zagadnień, kształtujących się odrębnie, nie może być metodą państwowości kowieńskiej rządzona, bo przecież nie o kolonię w Wilnie Litwie chodzi, jeno o część integralną związku państwowego, o jego element, o stolicę nawet. Tymczasem kierunek, który państwu wytwarza zamknięcie się terytorialne w Kowieńszczyźnie, powoli stopniowo odcina coraz bardziej Litwę państwową od Wilna i wytwarza nowy mur między Kownem a Wilnem, którego nie było przed wojną, a który sam przez się wyrasta na jedną z przeszkód połączenia; murem tym staje się sama państwowość litewsko-kowieńska. Przeciwdziałanie temu jest konieczne.
Chodzi tylko o trudności wykonania, o to, czy projektowana organizacja zdoła wytworzyć warunki takiego działania i jakimi metodami ma działać. Chodzi o to, czy są szanse , iż będzie czynna i żywa i czy nie stałaby się ona jednym z wielu poronionych tej samej myśli płodów, jak ongiś śp. Komisja do spraw Litwy Wschodniej lub założony w roku zeszłym Komitet Jubileuszu 600-letniej rocznicy Wilna. Pod tym względem jak miał Vileišis, tak mam ja i ma Rondomański obawy. Bądź co bądź, próba narady planowej w tej sprawie została przez nas zdecydowana. W krótkim czasie narada taka ma być zwołana.
Dowiedziałem się od Rondomańskiego, że wśród młodzieży, przeważnie akademickiej, istnieje tu jest bardzo czynne koło Wilnian, w którym biorą udział i niektóre jednostki starsze, jak Rondomański, Michał Biržiška. Owocem usiłowań tego koła jest wyrobienie na szpaltach „Lietuvy" periodycznego działu tygodniowego pod tytułem „Vilniečių lapas", w którym omawiane są specjalnie tematy Wilna i który jest przez to koło młodzieży prowadzony. Przed kilku dniami paru studentów zamawiało u mnie artykuł dla tego „Vilniečių lapas", ale nie wiedziałem, jak to jest zorganizowane.

6 marca, rok 1923, wtorek
Dziś z domu prawie że nie wychodziłem. Pracowałem. Oprócz pracy nad dalszym ciągiem wykładów uniwersyteckich, układam też w związku z tą pracą program kursu części ogólnej prawa państwowego w dwóch kształtach; jeden program zwięzły i bardziej ogólnikowy, przeznaczony na razie dla tych, co mają już kurs prawa państwowego przesłuchany nie u mnie i obecnie chcą zdawać egzamin, i drugi – nie tyle program, ile konspekt programowy, formułujący szczegółową wykładnię tez i problemów w ścisłym zastosowaniu do moich wykładów. Ten drugi przeznaczam na

użytek moich słuchaczy dla kolokwiów, a w przyszłości i dla seminarium, które już może w roku przyszłym prowadzić zacznę.
Podług listów sióstr z Bohdaniszek z tygodnia ubiegłego, rzecz się w najpoważniejszej dziś tam sprawie choroby Helci Mieczkowskiej przedstawia tak. Wszystkie pierwotne domniemania o histerii, o chorobie św. Wita itd., potwierdzone na razie diagnozą dr Kozłowskiego z Rakiszek, okazały się bajką, jak już, zdaje się, o tym wspominałem. Ustały od dawna drgania nerwowe ciała, kurcz, spazmy i konwulsje, które charakteryzowały pierwszy okres choroby Helci. Dr Thon, drugi doktor rakiski, orzekł, że choroba ta jest pochodzenia nerwowo-mózgowego i stanowi coś bodaj pośredniego między hiszpanką a śpiączką. W stosunku do śpiączki i ja tu w gazetach litewskich znalazłem opis różnych odmian tej nie dość zbadanej choroby, z których jedna odmiana charakteryzuje się właśnie podobnymi jak u Helci przejawami, zwłaszcza w początkach konwulsjami, nieustającym drganiem i ruchem całego ciała i – bezsennością, a dopiero później sennością (wycinek z gazety posłałem do Bohdaniszek). Elwira się była na razie uspokoiła, ale stan Helci wciąż był zły i szedł raczej ku gorszemu. Wprawdzie konwulsje i drgawki ustały, ale wystąpiły na ciele wrzody, wysypki, potem senność ciągła, a wreszcie przykurczyło Helcię tak, że ciało przyjęło pozycję zgiętą: nogi w osadzie i w kolanach zgięte w kabłąk, głowa schodzi się z kolanami. W tej pozycji Helcia siedzi w łóżku i leży, wyprostować jej nie można. Zmizerniała i znędzniała całkowicie. Stan ten trwa już tygodnie. Elwira wciąż zwlekała z wzywaniem lekarzy, wreszcie wezwała konsylium dr Kozłowskiego i dr Thona, którzy nie odważyli się na kategoryczne orzeczenie i nakazali jak najprędzej wywieźć dziecko do specjalistów do Królewca lub Warszawy. Elwira więc zabiera Helcię i jedzie przez linię demarkacyjną do Wileńszczyzny, do męża Stefana Mieczkowskiego, z którego pomocą zajmie się ratowaniem dziecka i leczeniem tej niezwykłej choroby.

7 marca, rok 1923, środa
Z powodu przepracowania i braku czasu znowu dziś dzień opuszczę.

8 marca, rok 1923, czwartek
Jeżeli przed kilku dniami parę razy dłużej się w dzienniku rozpisałem o nominacji Fridmana na stanowisko ministra spraw żydowskich w związku z przesileniem sejmowym, to nie dlatego, abym uważał przesilenie to za bezpośredni skutek nominacji Fridmana lub za zjawisko, które może być kwestią Fridmana przesądzone. Fridman jest tu tylko epizodem, który sam przez się dla przesilenia byłby podrzędnym jako element odrębnej sprawy państwowej – sprawy żydowskiej; jeżeli kwestia Fridmana odegrała w przesileniu rolę nieco ważniejszą, to tylko dlatego, że jego nominacja, w której Żydzi upatrzyli poważne dla swych praw i stanowiska w państwie niebezpieczeństwo, ściągnęła do Sejmu posłów żydowskich, decydując ich na przerwanie dotychczasowego bojkotu; wstąpienie zaś posłów żydowskich do Sejmu dostarczyło w obecnych warunkach opozycji trzy głosy, przez co przesilenie sejmowe, oparte na bardzo bliskim zrównoważeniu stosunku liczebnego opozycji do większości, niezmiernie się zaostrzyło i dosięgło zenitu. Istota zagadnienia w przesileniu obecnym redukuje się do tego, czy blok chrześcijańsko-demokratyczny będzie w stanie rządzić samodzielnie czy też będzie zmuszony zawrzeć kompromis z ludowcami, którzy żądają udziału we władzy, opartego na uwzględnieniu pewnego minimum ich warunków. W Sejmie Ustawodawczym kompromis ludowców z chrześcijańskimi demokratami trwał lat parę; wyrazem jego był gabinet Griniusa. Ale ponieważ Chrześcijańska Demokracja miała tam silną większość bezwzględną, która zapewniała jej możność samodzielnego rządzenia i bez udziału ludowców, więc kompromis nie opierał się na ścisłych i przestrzeganych warunkach;

ludowcy mieli w rządzie swoich ludzi z Griniusem na czele i mogli wywierać wpływ przez osoby – oto i wszystko. W istocie zaś ludowcy siłą rzeczy służyli tylko rządom chrześcijańsko-demokratycznym, może wpływając leciutko na odchylenie linii rządów na lewo (mikroskopijnie, o ile nie chodzi o reformę agrarną, którą i sama Chrześcijańska Demokracja dla celów polityczno-agitacyjnych forsowała). Dopiero w ostatnim roku Sejmu Ustawodawczego ludowcy, chcąc stanąć wobec wyborców w roli opozycyjnej, zerwali kompromis z chrześcijańskimi demokratami. W obecnym Sejmie stosunek jest inny. Chrześcijańska Demokracja, chociaż dzięki odpowiedniemu „wyjaśnieniu" ustawy wyborczej, odbierającemu mniejszościom (przeważnie narodowym) cały szereg mandatów, zachowała w Sejmie większość, ale większość ta jest prawie równoważona sumą głosów opozycji i poza tym zróżniczkowanie społeczne w samym łonie bloku chrześcijańsko-demokratycznego w osobach mianowicie prawego skrzydła – „Ukininkų Sąjungi" – i lewego skrzydła – „Darbo Federaciji" – jest o wiele bardziej zaakcentowane, co osłabia konsolidację bloku. Dopóki trwał bojkot Sejmu ze strony Żydów i Polaków, dopóty Chrześcijańska Demokracja miała większą siłę większości. Na razie szły targi o kompromis Chrześcijańskiej Demokracji z ludowcami i było już blisko układu, ale się rzecz rozbiła o to, że Chrześcijańska Demokracja, zbyt zaufana w swoją większość, chciała kompromisu osób w rządzie, a nie kompromisu zasad, na co się znów ludowcy zgodzić nie chcieli. Dopóki w Sejmie nie było Żydów, wszystko szło dobrze. Chrześcijańska Demokracja rządziła, Chrześcijańska Demokracja wybrała Prezydenta. Ale gdy oto posłowie żydowscy wkroczyli, siły opozycji o tyle się już prawie zrównoważyły z siłami większości, że gdy zabraknie na posiedzeniu Sejmu paru głosów posłów Chrześcijańskiej Demokracji, opozycja może pozyskać większość, jak się to już stało w incydencie z Sugintem. Incydent ten Chrześcijańska Demokracja zlikwidowała w ten sposób, że na następne posiedzenie Sejmu zmobilizowała wszystkie siły i gdy prezydium sejmowe, które na poprzednim posiedzeniu poniosło porażkę, zgłosiło dymisję, głosami chrześcijańskich demokratów wybrane zostało ponownie. Ale przesilenie nie zostało przez to zlikwidowane. Jego źródło – prawie zupełna równowaga sił opozycji i Chrześcijańskiej Demokracji – trwa. Usunąć przesilenie byłoby można przez kompromis z ludowcami, ale ci dziś są twardsi, czując swą siłę, i Chrześcijańska Demokracja widzi i rozumie, że za wielkich by to od niej ofiar wymagało, przywykła zaś ona i chce rządzić Litwą na swoją modłę. Toteż Chrześcijańska Demokracja, nie spuszczając z tonu, biorąc kategoryczny kurs antysemicki, gromiąc ludowców za posługiwanie się Żydami i głosami frakcji komunistycznej i chwaląc siebie zwycięstwami dyplomatycznymi uznania Litwy *de jure* i przyznania Litwie Kłajpedy mówi o konieczności rozwiązania Sejmu i zarządzenia nowych wyborów. Do tego dojść może, bo albo Chrześcijańska Demokracja skapituluje na układ z ludowcami, albo Sejm obecny stanie się wkrótce niezdolnym do kierowania rządami. W obecnej sytuacji rząd, oparty o Sejm, nie ma ani chwilki pewności istnienia. A jeżeli do Sejmu wkroczą jeszcze posłowie polscy, to większość zginie całkowicie.

9 marca, rok 1923, piątek
Na dziś była zapowiedziana deklaracja gabinetu Gałwanowskiego w Sejmie. Jak było przeczuwane i zapowiadane w pogłoskach, a przez Żydów ich zabiegami i faktorowaniem zaaranżowane – na posiedzenie Sejmu stawili się i dwaj posłowie polscy, którzy dla dania przewagi opozycji zdecydowali się wzorem Żydów na przerwanie bojkotu Sejmu. Oczywiście ludowcy bezpośrednio z reprezentacją sejmową polską nie traktowali, bo w obecnym stanie stosunków litewsko-polskich byłoby to dla nich kompromitujące; wyręczył ich faktor – Żyd. Po przyjściu do Sejmu Polaków ujawniło się, że Chrześcijańska Demokracja straciła większość, mimo że zmobilizowała

wszystkie swoje siły i że dwaj posłowie z opozycji byli nieobecni. Gałwanowski odczytał deklarację, przedstawiciele frakcji się wypowiedzieli i w głosowaniu nad formułą *votum* zaufania głosy za i przeciw podzieliły się równo. Ponieważ nie było większości „za", *votum* zaufania nie zostało uchwalone. Nastąpiło więc przesilenie rządowe, tym cięższe, że połączone z przesileniem sejmowym, bo Sejm w obecnym stadium żadnej większości nie posiada. Opozycja jest zlepkiem tak różnorodnym, że ani mowy nie może być o ukonstytuowaniu się jej w większość rządową. Opozycję składają ludowcy, Żydzi, Polacy, socjalni demokraci i komuniści. Wyjście jest w dylemacie: albo kompromis Chrześcijańskiej Demokracji z ludowcami, albo rozwiązanie Sejmu. Byłoby jeszcze trzecie wyjście, ale kto wie, czy dające się uskutecznić w obecnym stanie rzeczy: mianowicie gdyby do Sejmu wkroczyli zaraz, choćby na razie w drodze kooptacji, przedstawiciele Kłajpedy, którzy zapewne wzmocniliby obóz Chrześcijańskiej Demokracji, dając z zasady poparcie prawicy. Dzisiejsze zwycięstwo opozycji ma jednak dla ludowców pewne niebezpieczeństwo, a jest nim zwłaszcza poparcie Polaków, które w oczach narodowców kompromituje tych, po których stronie Polacy głosowali.
Maryńka pisze, że wyjazd Elwiry do polski z chorą Helcią przez linię demarkacyjną bez paszportu zagranicznego okazał się niewykonalnym, wobec czego Elwira ma przyjechać do Kowna dla starań o paszport zagraniczny. Wieczorem zaś przyszedł pod moim adresem list do Elwiry od Elizki Komorowskiej, w którym Elizka pisze, że dr Thon uprzedził Elizkę, że stan Helci jest taki, iż niepodobna ryzykować dłuższej podróży i że przeto trzeba zaniechać starań o paszport zagraniczny i sprowadzić tylko natychmiast Helcię do Kowna i zalokować tu w szpitalu. Czekam więc z dnia na dzień przyjazdu Elwiry.

10 marca, rok 1923, sobota
Jeszcze raz wracam do „ministra spraw żydowskich" Fridmana. Ten człowiek, którego ambicja i rozkochanie się w zaszczytach i godnościach stanowi jedyną bodaj dźwignię jego życia – rzecz u Żydów w tym stopniu niepospolita – przyjął, jak wiadomo, nominację na stanowisko ministra nie tylko bez sankcji Żydów, którzy ministerium to chcą uważać za ekspozyturę ich autonomii narodowo-personalnej w państwie, ale wyraźnie i kategorycznie wbrew ich woli. Żydzi przez swoją autonomiczną Radę Narodową ogłosili już Fridmana wrogiem narodu żydowskiego i zaprzańcem. Są zdecydowani walczyć przeciwko niemu do upadłego. Fridmana osoba była bodźcem dla Żydów dla ich akcji sejmowej, która oto doprowadziła do przełamania dotychczasowej większości chrześcijańsko-demokratycznej. Pomimo że roszczeń żydowskich do ministerium spraw żydowskich nie uważam za prawowite, bo nie dają się one zgoła pogodzić z zasadami państwa, nie jestem jednak przeto zwolennikiem ministerium Fridmana. Dla mnie jest to tylko nowy dowód, że ministerium takie istnieć nie powinno i nie może, bo albo nie daje się ono pogodzić z konstrukcją państwa, albo jest ujemne dla tych, których sprawom w państwie jest przeznaczone, aczkolwiek z założeń państwowych służyć. Mniejsza jednak o to. Chodzi mi o szczegół inny. Fridman zajął to stanowisko li tylko dla zaszczytu imienia ministra. Jeżeli kto z Litwinów sądzi, że w sercu Fridmana przemawia instynkt państwowy litewski i stawianie interesów litewskich ponad partykularyzm nacjonalizmu żydowskiego, ten się grubo myli. Oto nie kto inny, jak Fridman, i nie dawniej, jak przed miesiącem, w dłuższej rozmowie ze mną w kawiarni „Laisvė" przy Laisvės Alei, skarżąc się na antysemityzm, który doświadcza w stosunku do siebie ze strony swych kolegów sędziów w sądzie okręgowym, starał się mię przekonać, że wstydem jest dla mnie jako Polaka i pochodzącego ze znanej rodziny ziemiańskiej służyć Litwie na stanowisku sędziego trybunału, gdy Litwa prześladuje i

szykanuje Polaków, obraża uczucia polskie na każdym kroku i w szczególności metodą niby to reformy agrarnej dąży do zniszczenia ziemian, moich współbraci. Długo mi Fridman gadał na ten temat, cytując jakichś swoich znajomych ziemian, którzy mu w ten sposób o mnie się wyrażali. Ale nie ich tylko zdanie wyrażał, lecz kategorycznie sam mi to wmawiał. Oczywiście na próżno mię przekonywał, bo za głębokie są podstawy mego związku z Litwą, bym go miał usłuchać, skądinąd zaś moją pracą dla państwa litewskiego nie przykładam ani palca do polityki, skierowanej przeciwko Polakom w kraju, a nawet przeciwko ziemianom jako elementowi społecznemu. Zanadto jestem etycznie wrażliwy, abym mógł to robić, gdybym nawet temu sprzyjał, a sprzyjać nie mogę, bo jestem ideologiem litewsko-polskiego stanowiska krajowego. I oto ten sam Fridman na taką właśnie drogę wkroczył, od której sam mię odmawiał, nie rozumiejąc oczywiście całkowicie odrębnej mojej działalności i psychiki, która by mię nigdy na coś podobnego do jego obecnej roli nie przyprowadziła.

11 marca, rok 1923, niedziela
Dziwi mię, że Elwira nie przyjeżdża i że ani listu z Bohdaniszek, ani depeszy o przyjeździe Elwiry nie otrzymuję. Wnosząc z listów ostatnich Maryni i Elizki Komorowskiej, stan Helci jest b. groźny i z ta podróżą trzeba bardzo śpieszyć. Choć nikt tak nie potrafi marudzić, jak Elwira, to jednak w tej sytuacji chyba się i ona na pewien pośpiech zdobyć musi. Zaczynam się lękać, że Helcia już może umarła albo jest umierająca i że na podróż już za późno.
W sprawie przesilenia rządowego i sejmowego – nic nowego nie wiem. Słyszałem, że jutro gabinet ministrów ma odbyć walną naradę nad sytuacją i powziąć decyzję, czy sejm będzie rozwiązany. Oczywiście mógłby to uczynić nie gabinet ministrów, jeno Prezydent Rzeczypospolitej Stulgiński. Jednak decyzja taka, gdyby miała zapaść, byłaby z pewnych względów niebezpieczna. Niebezpieczeństwo zależałoby od tego, jak by się zachowała opozycja z ludowcami na czele. Mianowicie, jak wiadomo, opozycja uważa wybór Stulgińskiego na prezydenta za niekonstytucyjny, to znaczy nieprawny. Stąd mógłby być uczyniony wniosek, że rozwiązanie Sejmu, zarządzone przez Stulgińskiego, jest nielegalne. Oto komplikacje, które mogłyby nastąpić. Można tylko suponować, że opozycja, a przynajmniej ludowcy, nie odważyłaby się na stawianie państwa w obliczu zamachu stanu jednej czy drugiej strony – w chwili tak odpowiedzialnej dla Litwy pod względem międzynarodowym.

12 marca, rok 1923, poniedziałek
Spotkałem się dziś ze Stanisławem Iwanowskim[68] z Wilna, jednym z tej oryginalnej klasycznej rodziny „krajowej", w której czterej rodzeni bracia należą do trzech różnych narodowości krajowych. Rodzina Iwanowskich pod tym względem jest głośna w kraju i zwykle cytowana za przykład, do jakiego stopnia nowe u nas kategorie narodowości są zjawiskiem zróżniczkowania raczej pojęć i uczuć, niż rasy, krwi lub nawet podłoża psychiczno-kulturalnego. Iwanowscy stanowią rodzinę ziemiańską z powiatu lidzkiego, tego właśnie powiatu, w którym czynniki litewskie, białoruskie i polskie stykają się kresami swymi i najbardziej się mieszają. Ojciec Iwanowskich, człowiek bogaty, zajmował jakieś wysokie stanowisko w Petersburgu. Spośród czterech jego synów jeden, Tadeusz[69], przyrodnik, od wczesnej młodości miał się za Litwina; brał udział w ruchu litewskim społecznym, w stosunkach osobistych wszedł w kontakt z Litwinami i pogrążył się całkowicie w społeczność litewską. Dziś mieszka on w Kownie; od polityki i spraw tzw. ruchu społecznego odsunął się całkowicie, z ludźmi obcować

[68] Ivanovskis Stanislavas, Iwanowski Stanisław
[69] Ivanauskas Tadas

towarzysko nie lubi i jest pod tym względem mizantropem; oddał się całkowicie nauce, polowaniu, wycieczkom; stoi w Kownie na czele Instytutu Przyrodniczego jako instytucji uniwersyteckiej, pracuje niezwykle intensywnie, jest profesorem uniwersytetu. Drugi brat, Wacław[70], jest Białorusinem. Był nim stale jako jeden z pierwszych pionierów sprawy białoruskiej. Mieszkał w Petersburgu, potem w Wilnie. Był przed wojną w Wilnie dyrektorem Syndykatu Rolniczego przy Towarzystwie Rolniczym. Z zawodu jest inżynierem. W prądach białoruskich ostatnich lat kilku reprezentował kierunek oparcia się o Polskę. W r. 1920, gdy Żeligowski zajął Wilno, odbierając je od Litwinów, należał do spisku Żeligowskiego i był w charakterze Białorusina członkiem Tymczasowej Komisji Rządzącej Litwy Środkowej, w której zajmował stanowisko dyrektora Departamentu Aprowizacji. Gdy zbankrutowała kombinacja krajowa Litwy Środkowej, formowana przez Witolda Abramowicza pod auspicjami Piłsudskiego, Wacław Iwanowski usunął się. Kierunek polityki białoruskiej, usiłujący się oprzeć o Polskę i Piłsudskiego, zawiódł. Wacław Iwanowski wprawdzie służył temu kierunkowi, ale zawsze się stosował do polityki polskiej krytycznie. Nie był to działacz płatnego typu Aleksiejuka[71]. Obecnie jest profesorem na Politechnice Warszawskiej, ale Białorusinem być nie przestał i jest stale w żywym kontakcie z akcją białoruską, która się w sejmowej reprezentacji białoruskiej w Warszawie skupia. Trzeci brat i czwarty, Jerzy[72] i Stanisław Iwanowscy, są Polakami. Jerzy należał także do Komisji Rządzącej Litwy Środkowej, ale jako Polak, poprzednio zaś należał do tzw. „rządu ludowego" Moraczewskiego w Polsce; jest to działacz zbliżony do lewicy, obozu Piłsudskiego. Stanisław zaś, były PPS-owiec, był przed wojną i jest obecnie adwokatem w Wilnie. O ile pod względem narodowym Tadeusz jest zaciętym Litwinem, o tyle Stanisław jest zaciętym Polakiem. Białorusin Wacław i Polak Jerzy są może mniej zacięci, choć także wyraziści narodowo. Ta rodzina ziemiańska spod Lidy, w której czterech braci rodzonych należy do trzech różnych narodowości, nie jest w kraju fenomenem, ale tutaj to zróżniczkowanie szczególnie się jaskrawo uwydatniło. Ludzie żartują, że czwarty brat Iwanowski powinien był dla uzupełnienia kompletu uznać się za Żyda.
Otóż Stanisław Iwanowski znalazł się nagle na bruku kowieńskim, co jest osobliwością, bo w ogóle nikt z Wilnian lub bawiących po wojnie w Polsce, nawet spośród tych, którzy maja tutaj nieruchomości i usiłują uzyskać możność powrotu, nie jest w stanie się tu dostać. A cóż dopiero Stanisław Iwanowski, który tu żadnych tytułów ani dóbr nie ma, jest nacjonalistą polskim z Wilna, przeciwnikiem Litwy i bratem czynnych uczestników zamachu Żeligowskiego! Ale okazało się, że dopomógł on swemu bratu Tadeuszowi, Litwinowi, sprowadzić tu z Wileńszczyzny cenną kolekcję przyrodniczą dla instytutu w Kownie i w kompensatę otrzymał pozwolenie wjazdu, z którego korzysta dla załatwienia rozmaitych czynności prawniczych swoich klientów, zamieszkałych w Wilnie i Polsce, a mających tutaj interesy. Z przyjemnością obszernie z nim gawędziłem o stosunkach tu i w Wilnie, o perspektywach i wnioskach politycznych.

13 marca, rok 1923, wtorek
Na dzisiejszym posiedzeniu Sejmu ogłoszony został dekret Prezydenta Rzeczypospolitej, zarządzający rozwiązanie Sejmu i rozpisanie nowych wyborów na 12 i 13 maja. Chrześcijańska Demokracja podjęła więc rękawicę, rzuconą jej przez ludowców, którzy do złamania jej przewagi posłużyli się głosami wszystkich

[70] Ivanauskis Vaclavas (Iwanouski Waclou)
[71] Aleksiuk Pavel
[72] Ivanovskis Ježis (Iwanowski Jerzy)

malkontentów Litwy, to znaczy socjalnych demokratów, Żydów, Polaków i bolszewików. Oczywiście Chrześcijańska Demokracja liczy na atut agitacyjny, jaki jej daje przeciwko ludowcom ta właśnie okoliczność. Ludowcy, jako przywódcy koalicji, w której szeregach stanęli wraz z nimi wszyscy wrogowie Litwy – oto konik, na którym się będzie jeździło. Kampania wyborcza będzie tym razem jaskrawa i gwałtowna. Będzie to walka kategoryczna o władzę. Z rozmaitych rozmów i opinii wnoszę, że szerokie koła inteligencji i warstw patriotycznych litewskich w miastach są do ludowców zrażone ze względu na ich wspólną akcję z Żydami, Polakami i komunistami. Ludowcom to może zaszkodzić. Może na wsi w masach włościańskich rzecz ta będzie mniejsze czyniła wrażenie, choć chrześcijańscy demokraci nie omieszkają i tam wyzyskiwać powyższe momenty agitacyjne i zohydzać ludowców. Trudno jeszcze przewidywać perspektywy przyszłej kampanii wyborczej, która się niebawem rozwinie. Ciekawe będą manewry stron walczących głównych i stanowiska czynników ubocznych, jak z jednej strony „Pažangi" i „Žemdirbių Sąjungi", z drugiej – odłamów mniejszości narodowych. Niektórzy przypuszczają, że absencja mas, zniechęconych częstymi wyborami, będzie wielka; inni natomiast twierdzą, że tym razem zaważą na szali interesy gospodarcze chłopów rolnych, którzy poprzednio mało się interesowali sprawami państwa i polityki i obojętni byli na licytowanie się demagogiczne konkurentów, głosując wprawdzie na tego lub owego, ale w gruncie rzeczy mało się oglądając na programy, podczas gdy teraz, dotknięci do żywego brakiem pieniędzy w związku z wysoką waluta litową i powstałym stąd ciężkim kryzysem ekonomicznym wsi, wywrą presję na stronnictwa i Sejm w kierunku programów realnych i interesów rolników.
Ludowcy podporządkowali się dekretowi o rozwiązaniu Sejmu. Wszakże była przewidziana możliwość oporu, bo na sali sejmowej w miejscach dla publiczności była duża ilość „šaulysów" (strzelców), oczywiście w charakterze publiczności po cywilnemu; ale byli oni w istocie wydelegowani przez swoje władze dla stłumienia możliwych zajść na wypadek oporu opozycji.

14 marca, rok 1923, środa
Dziś podczas posiedzenia sądowego w Trybunale, koło godz. 1, gdyśmy w pewnej sprawie wyszli na salę posiedzeń z pokoju narad dla ogłoszenia wyroku, ujrzałem na sali – Elwirę Mieczkowską. Na moją prośbę prezes zarządził przerwę, abym mógł się z nią porozumieć. A że posiedzenie się już miało ku końcowi, więc po krótkiej przerwie dokończyliśmy je i następnie byłem już całkowicie na usługach Elwiry. Stan zdrowia Helci taki sam. Był w Bohdaniszkach dr Ingielewicz i ten uspokoił trochę Elwirę, ale bądź co bądź ratować Helcie trzeba i dłużej trzymać ją w Bohdaniszkach na łasce lekarzy rakiskich, którzy nic w jej chorobie nie rozumieją, niepodobna. Elwira przyjechała z zamiarem starania się o paszport, by wieźć Helcię do Królewca. Ale gdym jej pokazał list Elizki Komorowskiej do niej z ubiegłego tygodnia, w którym Elizka radzi jej zalokować Helcię raczej w dobrym szpitalu w Kownie, niż narażać na podróż dalszą, to Elwira chętnie się tego projektu uchwyciła, bo sama już o tym myślała. Lęka się ona dalekiej jazdy za granicę, nie wie, jak sobie tam da radę sama bez pomocy, czy znajdzie właściwego lekarza, czy potrafi się dobrze rozmówić po niemiecku. Czuje się niezaradna i boi się polegać na sobie. Chociaż więc po sprawdzeniu daty listu Elizki okazało się, że list ten jest pisany przed bytnością dr Ingielewicza, po którego bytności obawy, wyrażone w liście Elizki, złagodziły się, jednak Elwira uchwyciła się już skwapliwie oburącz projektu zalokowania Helci w Kownie. Udaliśmy się z nią do dr Alekny jako mojego dobrego znajomego osobistego, żeby poradził, do którego z lekarzy i do jakiego zakładu się udać. Alekna poradził zwrócić się do dr Brundzy,

lekarza wojennego, specjalisty chorób nerwowych, kierownika wydziału tychże chorób w szpitalu wojennym, który uchodzi za najlepszy ze szpitali w Kownie. Tak też uczyniliśmy. Zobaczyliśmy się z dr Brundzą i opowiedzieliśmy mu przebieg choroby Helci; okazało się, że już mu Ingielewicz o tym wypadku opowiadał. Dr Brundza zgodził się zalokować Helcię na wydziale swoim w szpitalu wojennym. Wobec tego Elwira dziś nocuje u mnie, jutro rano wraca do Bohdaniszek i w sobotę we dnie przywozi tu Helcię. Będzie Elwira dnie spędzać przy łóżku Helci w szpitalu, a nocować u mnie.

15 marca, rok 1923, czwartek
Ukazała się dziś w pismach wieczornych smutna wiadomość – że jakoby Konferencja Ambasadorów (organ międzynarodowy Ententy w Paryżu), która rozpoznaje obecnie sprawę granic wschodnich Polski (jej granic z Rosją i – Litwą), zatwierdziła granice faktyczne, to znaczy udzieliła sankcji międzynarodowej wcieleniu Wilna do Polski. Nie są to jeszcze wprawdzie wiadomości ścisłe, ale zapewne się potwierdzą. Swoja drogą, Litwa oczywiście nie zrezygnuje z Wilna, a jeżeli nawet zmuszona będzie do zrezygnowania formalnego, to w aspiracjach swoich nie wyrzecze się dążeń do zespołu z Wilnem. Przewiduję nawet, że ruch strzelecki litewski wzbudzi, jeżeli nie zaraz, to w dość prędkim czasie, ruchawki powstańcze w Wileńszczyźnie, głównie w okolicach zaludnienia litewskiego (w święciańskiem). Że Europa nie będzie kruszyć kopii o Wilno dla Litwy i że jej decyzje wypadną zawsze w kierunku sankcjonowania faktycznych stanów posiadania – to nie było trudne do przewidzenia. Swoją drogą, jest to jednak cios bolesny dla Litwy. Ba, historia się nie zamyka na uchwale Konferencji Ambasadorów. Spór o Wilno i o niepodległość ludów byłej Rzeczypospolitej nie jest rozegrany.

16 marca, rok 1923, piątek
Smutno mi, że właśnie Polska stawia największe przeszkody wytwarzaniu państwowości i niepodległości Litwy. Z pewnością, że nie mniejsze przeszkody spotkałaby w tym dziele Litwa ze strony dwóch innych możnych sąsiadów swoich – Rosji i Niemiec (tych ostatnich zwłaszcza w stosunku do Kłajpedy, ale także ze względu na ujemną dla Niemiec przegrodę między nimi a Rosją) – gdyby nie ta okoliczność, że wytwarzanie państwowości litewskiej wypadło na taką chwilę dziejową, kiedy tak Niemcy, jak Rosja są z rozmaitych przyczyn od możności realizowania na Litwie swoich dążeń mocarstwowych odsunięte. Polska zaś jest w tych właśnie warunkach, które akurat jak najbardziej sprzyjają jej akcji zaczepno-państwowej w stosunku do zadań państwowości litewskiej. Toteż faktem jest, że Litwa państwowość swoją i niepodległość zdobywać może tylko przeciwko Polsce, bo na każdym kroku z tej właśnie (polskiej) strony Litwa napotyka najcięższe i najboleśniejsze dla niej przeszkody. I jeżeli teraz prasa polska ze zgorszeniem i oczywiście z jak największą złośliwą przesadą trąbi o rzekomym germanofilstwie i moskalofilstwie Litwy, o opieraniu się przez nią o Niemcy i Rosję, o wygrywaniu przez politykę litewską atutów niemieckich i rosyjskich, a stąd nawet dochodzi do wniosku, że Litwa jest płodem gry politycznej tych dwóch wrogich dziś triumfatorom Europy potęg – to można prasie tej rzucić w twarz odpowiedź: jeżeli w zarzutach tych jest część prawdy, to czyimże, jak nie Polski, jest to dziełem, bo któż, jak nie Polska, izoluje Litwę wobec Europy i czyniąc wszystko, co może, by jej byt państwowy utrudnić i niepodległość udaremnić, zmusza ją, może nawet mimo jej woli, do oglądania się na tych, co są wrogami Polski i co w pewnym momencie mogą Polskę osłabić, a nawet dziś potencjalnie akcję polską paraliżują! Jeżeli tą drogą Polska konsolidować myśli dzieło dawnej Rzeczypospolitej i

związek kooperacji ziem, które ją tworzyły – to zaiste owoce będą przeciwne założeniom. Tylko przez wolne i państwowo niepodległe ludy może się ziścić pokój na wschodzie Europy i kooperacja Polski z państwami byłych ziem Rzeczypospolitej, bez której nie masz istotnej kooperacji Polski z krajami Bałtyku. Litwa jest awangardą emancypacji ludów w tej części Europy. Jest nią ona w istocie, nie zaś Polska, która nią być mogła.

17 marca, rok 1923, sobota
Uwolniłem się dziś od posiedzenia sądowego w Trybunale ze względu na przyjazd Elwiry z Helcią. Rano z moją służącą Heleną udałem się na dworzec kolejowy na spotkanie Elwiry. Na przyjęcie Helci czekał już obstalowany przeze mnie automobil sanitarny Czerwonego Krzyża. Wkrótce nadszedł pociąg. Czekałem na peronie z Heleną i dwoma tragarzami. Helcię zastaliśmy w wagonie siedzącą na ławce, ale w pozycji skurczonej, z krzyżem wygiętym w kabłąk i głową zakrzywioną na piersi. Wygląda bardzo źle, mizerna, ma plamy ciemne na twarzy jako ślady po wrzodach i wyrzutach, wargę górną wybrzękłą. Choć pierwotne spazmy już minęły, to jednak pozostały jeszcze po nich lekkie ruchy i drgania konwulsyjne zarówno w głowie, jak w rękach. Wrażenie sprawia Helcia bardzo smutne. Trudno ją nawet poznać, że to jest ta sama dziewczynka. Przytomna jest zupełnie, mówi głosem bardzo cichym. Tragarze zanieśli ją wprost z wagonu do automobilu, który ją zawiózł do szpitala wojennego. Tam zalokowana została w pokoiku wraz z dwiema innymi chorymi. Elwirze doktor pozwolił pozostać przy Heli i nocować u niej. Choroba Helci jest tej natury, że pierwsze obejrzenie przez lekarza nie daje możności kategorycznej diagnozy. Sam doktor więc na razie nie wie, co to jest u niej. Jeżeli to jednak jest choroba pochodzenia nerwowego, to ma wrażenie, że w podłożu jest jednak coś z usposobienia histerycznego.

18 marca, rok 1923, niedziela
Trudno jeszcze orzec, czy Elwira dobrze trafiła, lokując Helcię w szpitalu wojennym pod opieka dr Brundzy. Ale biedna Elwira nie jest uspokojona. Przede wszystkim, wielkim brakiem jest ta okoliczność, że Helcia nie mogła być zalokowana w osobnym pokoju, bo na razie na wydziale kobiecym chorób nerwowych u dr Brundzy nie było wolnego pokoju. W pokoju, w którym zalokowano Helcię, leżą jakieś dwie inne chore. Otóż jedna z nich, której, zdaje się, nic nie dolega i która cierpi chyba tylko na nadmiar złości i brutalnego egoizmu oraz na pragnienie wylegiwania się i dogadzania zachciankom swoim, jest po prostu nieznośna; o ile brom może działać na Helcię uspokajająco, o tyle ta „chora" działa na naszą biedną chora niesłychanie nerwująco. Jejmośc ta, która sama się niczym zgoła nie krępuje i żadnych względów dla nikogo nie ma, co chwila dzwoni, nawet w nocy, łaje i pędza służbę szpitalną, wymyśla, ze wszystkiego jest niezadowolona, kaprysi, gotuje sobie na maszynce, co się jej podoba, charka głośno, brudzi bez żadnej ceremonii, jest niesłychanie „wrażliwa" na obecność ciężko chorej Helci i na obecność Elwiry, nie może znosić ciężkiego oddechu Helci, wyrzeka głośno na Elwirę wobec służby i lekarzy, czyni o byle co uwagi niedelikatne, gada o wyrzuceniu Helci, co biedną małą tak przeraża, że płacze i drży, gdy zamiast matki siedzi przy niej Helena, słowem – jest drugim krzyżem dla biednej Elwiry i nie przyczynia się też bynajmniej dodatnio do kuracji Helci. Służba szpitalna też dużo, zdaje się, pozostawia do życzenia: wszystko jest na usługach tej rozpanoszonej krzykliwej „chorej", zaś Elwira czuje się zaniedbana; są sceny takie, że siostra miłosierdzia, zapewne z jakiegoś innego wydziału, wchodząc do pokoju i widząc Helcię w opłakanej pozycji skurczonej, dyszącą ciężko, wychudłą i czyniącą wrażenie bliskiej śmierci, pozwala sobie głośno na uwagę: „Kas gi čia baigiasi" (A któż tutaj się

„kończy”, to znaczy – umiera); dobrze, że Helcia w tej chwili spała i uwagi tej nie słyszała – ale słyszała ją Elwira. Co do dr Brundzy, to ten bardzo mało czasu poświęca Helci. Codziennie wizytuje wszystkich chorych raz na dzień, ale Elwira nawet się z nim porządnie rozmówić nie może, bo zaraz po wizycie odchodzi i więcej go nie widać. Toteż Elwira jest jak w rogu i nic nie wie, jakie są wnioski doktora, a oczywiście matka, dla której cała praktyka lekarza w szpitalu streszcza się do jej dziecka, chciałaby coś wiedzieć, coś słyszeć o dziecku, pytać doktora, radzić się go, udzielać jemu informacji o dotychczasowym przebiegu choroby. Dziś dr Brundza oglądał Helcię w asystencji jakiegoś innego lekarza wojennego, Żyda czy Rosjanina. Elwira jest zaniepokojona i niecierpliwi się; chciałaby zwołania konsylium, ewentualnie chciałaby cos zdecydować z lekarzami co do ewentualnego wywiezienia Helci do Królewca lub gdzieś w ogóle za granicę. Moim zdaniem, na konsylium jeszcze za wcześnie, dopóki jeszcze pierwszy, zasadniczy lekarz obserwuje chorą i żadnych wniosków diagnostycznych nie czyni. Choroba zaś Helci jest tej natury, że o szybkie i kategoryczne wnioski chyba trudno. Co do dr Brundzy, który na ogół jest chwalony, choć jest młody jeszcze i czyni wrażenie mruka, to materialnie nie jest on zainteresowany, bo honorarium za leczenie Helci nie bierze; jako lekarz wojskowy i kierownik wydziału chorób nerwowych w szpitalu wojennym, pracuje on tu z urzędu, pełniąc obowiązek. Sądzę jednak, że o ile jest człowiekiem sumiennym i ambitnym, dbającym o swoje w praktyce lekarskiej i o ile praktykę tę uprawia zawodowo, interesując się pracą swoją, to musi on zainteresować się Helcią jako wypadkiem w praktyce lekarskiej dość rzadkim i trudnym, a w takim razie kwestia zainteresowania materialnego znaczenia mieć nie będzie. Dziwi mię jednak, że nic nie rozpytuje Elwirę o przeszłości Helci, o początkach choroby, o dziedziczności, o tym, czy ojciec Helci nie był syfilitykiem lub alkoholikiem itd. Zdawałoby się, że w chorobie o podłożu nerwowym informacje te miałyby w pierwszym rzędzie uzupełniać obserwację.

19 marca, rok 1923, poniedziałek
Dziś chciałem rozpocząć kolokwia na uniwersytecie z moimi słuchaczami. W końcu I semestru kolokwiów nie zarządzałem; obecnie więc zamierzałem zarządzić je dla zaliczenia słuchaczom I semestru, a następnie w końcu roki drugi raz z całości moich wykładów. Sam dobrze nie wiem, jak te kolokwia należy prowadzić, bo nie mam w tym wprawy i w ogóle w mojej pracy uniwersyteckiej muszę się dopiero sam wszystkiego uczyć. Myślę prowadzić kolokwia nie tyle w postaci indagowania i egzaminowania słuchaczy, ile w postaci pogadanek (co odpowiada samej etymologii wyrazu „*colloquium*”), w których będę się starał wyjaśnić słuchaczom to, co może nie jest dla nich całkowicie zrozumiałe; słowem – nie kontrola wiedzy, ale uzupełnianie wykładu „*ex cathedra*” żywą wymianą myśli. Ale gdym przyszedł dziś rano na moją godzinę do uniwersytetu, zastałem drzwi od ulicy zamknięte. Okazało się, że jest święto. Gabinet ministrów uchwalił dzień św. Józefa świętkować.
Biedna Elwira jest ze szpitala wojennego dla Helci niezadowolona; i ma rację. Porządku tam nie ma; służba jest, zdaje się, niedbała. Opieka i dozór, a nawet czystość – pozostawiają dużo do życzenia. Dr Brundza ogląda Helcię co dzień, obchodząc szpital, ale Elwirę o nic nie rozpytuje i ona tez od niego nic się dowiedzieć nie może. Jutro Helcia ma być fotografowana promieniami Roentgena i ma być zrobiona analiza jej moczu. Elwira ma wrażenie, że Helcia wcale tu leczoną nie jest, jeno ma tu schronienie; jej zaś chodzi nie o lokatę dziecka, lecz o ratowanie zdrowia. Wyniesiono dziś Helcię do innego pokoju, bo w tamtym pokoju chora histeryczka nie znosiła jej widoku. W tym nowym pokoju otoczenie jest milsze, ale Elwira nie ma dla siebie na noc łóżka, więc do wszystkich bied i kłopotów przychodzi jeszcze zmęczenie bez należytego wypoczynku.

20 marca, rok 1923, wtorek
W prasie się już rozpoczyna kampania wyborcza. Czytuję teraz najczęściej „Laisvė”, organ Chrześcijańskiej Demokracji, która w sprowokowanych przez nią wyborach rzuca na szalę walkę decydującą o dalszy monopol swych rządów w Litwie. Chrześcijańska Demokracja, przywykła do roli czynnika decydującego w rządzie, nie chce się nią dzielić z ludowcami. W Sejmie Ustawodawczym, mając większość bezwzględną, czuła się panią sytuacji. Jeżeli zawarła tam kompromis rządowy z ludowcami, to tylko w tym znaczeniu, że ludowcy zaprzęgli się w jej jarzmo, dali rządom Chrześcijańskiej Demokracji stempel w osobie Griniusa[73] i przyjęli na siebie współodpowiedzialność (a nawet, wskutek tego, że tytularnym naczelnikiem rządu był ludowiec Grinius, przyjęli na siebie całą odpowiedzialność, wobec czego ci sami chrześcijańscy demokraci, rozpoczynając teraz kampanię wyborczą pod hasłem walki z ludowcami, zwalają bez żadnej ceremonii na ludowców odpowiedzialność za wszystkie klęski, jakie za rządów gabinetu Griniusa dotknęły Litwę – np. utrata Wilna i inne – nie bacząc na to, że to był rząd nie ludowców, lecz ich – Chrześcijańskiej Demokracji – przez wypożyczonego firmowego ludowca). Gdy teraz ludowcy odmówili roli biernej baranków potulnych i usług posłusznych w kompromisie i zażądali kompromisu, opartego na warunkach, Chrześcijańska Demokracja zaś przekonała się, że w nowym Sejmie warunków dyktowania swej woli już mieć nie może, to zdecydowała się oto na zerwanie Sejmu i na zarządzenie nowych wyborów. W prasie swojej usiłuje ona uczynić ze złamania jej większości w Sejmie akt spisku przeciwko Litwie, uknutego przez wszystkie żywioły wrogie państwu pod wodzą ludowców, którzy rzekomo dokonali przez to aktu zdrady sprawy narodowej. Chrześcijańska Demokracja wie dobrze, że ludowcy, występując przeciwko niej, nic innego nie pragnęli, jak oderwać się od reszty opozycji i skojarzyć się z Chrześcijańską Demokracją w kompromisie rządowym, dzieląc z nią władzę. Chcieli jeno zmusić Chrześcijańską Demokrację do podzielenia się władzą z nimi, ale Chrześcijańska Demokracja tego właśnie podziału nie chce i pragnie zachować cała władzę, ludowcom zaś pozwoliłaby w niej uczestniczyć tylko w roli służebnej. Na co liczy Chrześcijańska Demokracja w nowych wyborach? Że mniejszości narodowe w tych wyborach się wzmocnią, bo już tym razem nie dadzą się podejść interpretacją art. 76 ordynacji wyborczej – to więcej niż prawdopodobne; ale Chrześcijańska Demokracja liczy zapewne na urwanie czegoś od ludowców; liczy na ujemne wrażenie, jakie wywołuje w sferach patriotycznych litewskich sam fakt, że w zwalczaniu przewagi Chrześcijańskiej Demokracji ludowców poparli Żydzi, Polacy i komuniści; liczy na zohydzenie ludowców tym zespołem; liczy dalej na efekt uznania Litwy „*de jure*” i na pozyskane przyznanie Kłajpedy Litwie; liczy bodaj i na to, że wybory dokonają się w okresie spowiedzi wielkanocnej, co daje wpływom kleru szczególną wagę; wreszcie liczy na to, że do czasu zwołania nowego Sejmu da się już może zorganizować i przedstawicielstwo Kłajpedy w Sejmie, które, jak się domniemywa, poprze prawicę. W każdym razie, chce wygrać na czasie i kuć żelazo, póki gorące. Jeżeli pozyskanie Kłajpedy i uznanie Litwy „*de jure*” są dwoma wybitnymi zwycięstwami Litwy, to świeże przesądzenie międzynarodowe wschodnich granic Polski z pozostawieniem Polsce Wilna jest ciężką porażką, która osłabiać będzie rząd i Chrześcijańską Demokrację w walce o mandaty. W dzisiejszym numerze „Laisvė” opublikowany jest manifest posłów chrześcijańsko-demokratycznych do ludu.

21 marca, rok 1923, środa

[73] Grinius Kazys.

Elwira spokojniejsza trochę, bo dr Brundza pilniej już Helcię obserwuje. Dziś oglądał ją i badał bardzo szczegółowo i w ogóle okazuje większą staranność. Elwira napisała wczoraj do dr Ingielewicza, którego zna osobiście i do którego ma nie tylko i nawet nie tyle jako do lekarza, ile jako do człowieka, prosząc go, by do niej zaszedł. Chce się z nim poradzić i przez niego działać na dr Brundzę i w ogóle ułożyć plan dalszego działania. Dr Ingielewicz był niedawno w Bohdaniszkach i widział Helcię chorą. Dziś – po liście Elwiry – ja sam zaszedłem do dr Ingielewicza osobiście, aby poprzeć jej prośbę. Dr Ingielewicz, bardzo miły i zacny człowiek, obiecał chętnie odwiedzać Elwirę i służyć jej pomocą i radą. Mówił mi dr Ingielewicz, że się widział wczoraj z dr Brundzą i rozmawiał z nim o Helci. Dr Brundza sądzi, że pierwotnie Hela była po prostu z przeziębienia chora na grypę czy hiszpankę, z której wywiązała się ta dziwna niezwykła choroba, szerząca się w ostatnich czasach, ujmowana nazwą śpiączki, mało zbadana, natury mózgowo-nerwowej. Obecnie już i śpiączka minęła, ale pozostały skutki (komplikacje). Dr Ingielewicz uprzedza, że komplikacje te mogą się utrzymać nawet na czas dłuższy, ewentualnie nawet na stałe, w postaci np. osłabienia umysłowego czy jakiejś innej.

22 marca, rok 1923, czwartek
W Trybunale zastałem adresowaną do mnie depeszę od Stefana Mieczkowskiego, wysłaną z Subocza Kurlandzkiego w Łotwie, donoszącą, że Stefan przybył do Subocza. Depeszę tę posłałem po obiedzie przez Helenę Elwirze, bo sam dziś u Elwiry nie byłem. Elwira jeszcze przed wyjazdem z Bohdaniszek telegrafowała do Stefana przez Subocz, wzywając, by do Subocza przyjechał. Subocz jest położony w Łotwie przy samej granicy litewskiej o kilka wiorst od Abel, więc w najbliższym punkcie od Bohdaniszek. Przez pocztę łotewską w Suboczu Marynia i Elwira, korzystając z pośrednictwa p. Pawłowiczowej (czy Pawłowskiej) z Abel, korespondują stale z Polską. Z Suboczem łatwo się też komunikować za pośrednictwem Pawełka Koziełły z Użukrewnia/Užukriaunis, który mieszka między Abelami i Suboczem i bywa często w Suboczu. Elwirze przyjazd Stefana jest potrzebny zarówno dla poradzenia się w sprawie Helci, tym bardziej, że na razie, nim się zdecydowała na jazdę do Kowna, myślała ewentualnie o wywiezieniu Helci przez Łotwę na Subocz do Polski, jako też dla otrzymania od Stefana pieniędzy (ze sprzedaży drzewa, porwanego od bolszewików w Wiązowcu, Stefan ma podobno do 1000 dolarów na rzecz Elwiry, co stanowi pokaźny zasób gotówki). Ponieważ mowy być nie może o przyjeździe Stefana do Litwy, więc Elwira wezwała go do Subocza, gdzie się z nim z Bohdaniszek skomunikować łatwo. Choć już teraz przyjazd Stefana do Subocza nie jest tak nagląco potrzebny, jak był nim poprzednio, to jednak Elwira się pewno z tego ucieszy, bo, po pierwsze, będzie się spodziewać pieniędzy, a po wtóre, skomunikuje się z nim łatwiej i poinformuje go o decyzjach, jakie w sprawie dalszego leczenia Helci w tych dniach poweźmie. Przez Helenę pisała mi Elwira, że dr Ingielewicz odwiedzał ją dzisiaj i przyrzekł odwiedzać częściej, a dr Brundza dziś z 1 ½ godziny poświęcił badaniu szczegółowemu Helci i ma w tych dniach zarządzić konsylium, na którym ustalone być mają wnioski, co dalej z Helcią robić.
Dziś w moich godzinach wykładowych na uniwersytecie zarządziłem kolokwium. Zebrało się słuchaczy bardzo dużo. Ponieważ kolokwium z góry zapowiedziane nie było, więc młodzież nie była do niego przygotowana. Odpowiedzi przeto wypadły dość kiepskie, w najlepszym razie bardzo ogólnikowe. Jeden tylko się znalazł student, który na zadane mu pytanie udzielił odpowiedzi ścisłej i trafnej. Na ogół kolokwia takie, jeżeli je należycie rozwinąć, mogą być użyteczne jako pewnego rodzaju streszczenie tez wykładu. Ale i ja sam muszę się z kolokwiami oswoić. W toku pierwszej godziny szło

mi lepiej, w toku drugiej godziny – już ciężej. W takim bowiem kolokwium moja czynność jest aktywniejsza niż studentów. Nie dość bowiem formułować pytania – trzeba jeszcze samemu korygować odpowiedzi i udzielać wyjaśnień. Kolokwia będę jeszcze kilkakrotnie powtarzał po Wielkiejnocy. Prawdopodobnie poświęcę im na stałe moją ranną godzinę wykładów w poniedziałki.

23 marca, rok 1923, piątek
Dr Brundza coraz staranniej bada Helcię. Dziś ma być konsylium, zarządzone przez samego dr Brundzę. Elwira jest o tyle spokojniejsza, że widzi, iż doktor rzeczywiście robi co może i Helcia nie jest zdana biernie na łaskę losu. Uspokajająco też działa na Elwirę to, że dr Brundza nie jest bynajmniej zainteresowany w przetrzymywaniu Helci w Kownie, bo jest on w szpitalu wojennym tylko funkcjonariuszem i nawet honorarium żadnego za leczenie nie pobiera. To więc, czym w listach straszy Elwirę Elizka – że zalokowanie Helci w Kownie, choćby czasowe, jest niebezpieczne, bo lekarze kowieńscy nie zechcą jej z rąk wypuścić – nie zachodzi. Była dziś druga depesza od Stefana Mieczkowskiego z Subocza, donosząca, że już z Subocza wyjeżdża. Dziwny jest przyjazd Stefana do Subocza, jak po ogień. Nie wiadomo, czy przynajmniej skomunikował się z Bohdaniszkami i czy Marynia się z nim zobaczyć zdołała. Elwira zatelegrafowała do niego, aby czekał w Suboczu na jej list. Żebyż Stefan przynajmniej Elwiry dolary, które chyba zabrał ze sobą do Subocza, nie odwiózł do Polski z powrotem. Elwira jest przygotowana na to, że za kilka dni, gdy lekarze z konsylium dadzą orzeczenie, Helcię wywieźć wypadnie dalej – do Królewca albo może i do Warszawy.
Przechodząc do spraw publicznych, zanotuję pogłoskę, że między prawym skrzydłem Chrześcijańskiej Demokracji – „Ukininkų Sąjungą" – a formacjami opozycji prawicowej – „Žemdirbių Sąjungą" i „Pažangą" – dochodzi do skutku układ o solidarnym działaniu na wyborach i o zawarciu bloku wyborczego. Podobno blok tych trzech grup ma występować samodzielnie, nie blokując się z Chrześcijańską Demokracją, która stanowić będzie blok własnego stronnictwa Chrześcijańskiej Demokracji i lewego jej skrzydła robotniczego – „Darbo Federaciji". Oba te bloki działałyby odrębnie, unikając wszakże walki między sobą i skierowując ostrze przeciwko opozycji lewicowej i w pierwszym rzędzie przeciwko ludowcom. Ile w tym prawdy – nie wiem. Że osobne istnienie „Ukininkų Sąjungi" i „Žemdirbių Sąjungi", które społecznie są sobie bardzo pokrewne, i że ich przeciwstawianie się sobie nawzajem jest niedorzecznością – to pewne. Wszakże skądinąd nie mniej jest pewne, że głębokie rozdźwięki dzielą te formacje, zwłaszcza „Pažangę" i ulegającą tuteli chrześcijańsko-demokratycznej „Ukininkų Sąjungę". Gwałtowna namiętna nagonka prasowa Voldemarasa na wszystko, co pochodzi od Chrześcijańskiej Demokracji, głębokie różnice koncepcji w polityce międzynarodowej Litwy, wreszcie świeży konflikt między rządem, popieranym przez Chrześcijańską Demokrację, a Antonim Smetoną w sprawie Kłajpedy – stanowią duże szkopuły do nawiązania takiego bloku wyborczego. Antoni Smetona podał się do dymisji ze stanowiska komisarza Rzeczypospolitej Litewskiej w Kłajpedzie ze względu na to, że się nie godzi na ujawniające się manewry dyplomatyczne Gałwanowskiego i że w różnych ważnych naradach i decyzjach w sprawie międzynarodowej akcji o Kłajpedę był kilkakrotnie pomijany, co mu daje podstawę do przypuszczenia, że się knują jakieś działania za jego plecami.

24 marca, rok 1923, sobota

Elwira otrzymała listy z Bohdaniszek. Przyjechała stamtąd pani Maria Narbutówna, nauczycielka dzieci Elwiry, przysłana umyślnie z listami Maryni i Stefana Mieczkowskiego, z którym się Marynia w Suboczu widziała. Stefan z Subocza dał znać do Bahdaniszek o swoim przyjeździe za pośrednictwem Pawła Koziełły[74] z Użukrewnia. Marynia wzięła ze sobą Andrzeja, żeby go pokazać ojcu i pojechała do pp. Koziełłów do Użukrewnia, skąd za przepustką na imię p. Pawłowej Koziełłowej udała się z Andrzejem przez granicę łotewską do Subocza. Widziała się tam ze Stefanem Mieczkowskim. Doręczył on jej 700 dolarów dla Elwiry i dał list, sam zaś wraca do Polski, śpiesząc się na jakiś sąd. List Stefana jest bardzo przykry dla Elwiry, pełny ostrych wymówek, dotyczących jej gospodarstwa w Bohdaniszkach, rzekomo zaniedbywanych dzieci, skąpstwa, wreszcie tego, że zawiozła Helcię do Kowna, gdzie ją jeno zgubi. Wprawdzie w zakończeniu listu Stefan umieszcza kilka zwrotów serdecznych do Elwiry, ale początek listu psuje całe wrażenie. Biedna Elwira jest poruszona i zła na Stefana oraz na Marynię, bo z listu Stefana widać, że to Marynia nagadała mu o gospodarstwie Elwiry, o dzieciach itd. Rzeczywiście znalazł Stefan porę i okazję właściwą do czynienia Elwirze wymówek i krytykowania jej! Łatwo krytykować z daleka, gdy się nie zna warunków i nie wie rzeczy, zwłaszcza co do lokaty Helci. Żal mi biedaczki Elwiry. Jest ona zgnębiona chorobą Helci, wyczerpana i zmęczona sama niewygodą, niewyspaniem, troską i niepokojem o dziecko, niewiadomością, co to za choroba i co przedsięwziąć, a tu ze strony męża, który wpada do Subocza jak po ogień, zamiast serdecznego poparcia, pociechy i uznania, zamiast podpory moralnej – stek wymówek i krytyki. Elwira przyszła do mnie się poradzić, co robić, i otuchy trochę nabrać. Powiada bardzo słusznie, że przecie nie ma sensu zrywać się nagle i pędzić z Helcią do Królewca, gdy tu właśnie lekarze obserwują ją, badają ją przez konsylium i po kilku dniach mają już poczynić pewne wnioski co do tego, co nadal robić trzeba i dokąd Helcię skierować, i gdy dr Brundza z niezwykłą starannością i serdecznością zajął się sprawą Helci. Elwira bynajmniej nie obstaje za tym, aby Helcię koniecznie w Kownie w szpitalu wojennym trzymać, ale nie chce działać na oślep, gdy się tu już coś przez lekarzy robi, i chce być już trochę zorientowana. Poradziłem jej, żeby przede wszystkim jechała do Bohdaniszek po odebranie tych 700 dolarów, korzystając z tego, że ją tymczasem zastąpi przy Helci p. Maria Narbutówna[75]; zarazem zobaczy się i z Elizką, poradzi się jej i poinformuje, jak się rzecz ma. Elwira tak też zrobi: jutro rano jedzie i za dwa dni wraca.
W Trybunale znowu podniesiona sprawa kandydatury sędziego. Konflikt z ministrem Karoblisem o osobę popieranego przez nas kandydata znów się akcentuje. Janulaitis, który w grudniu wypowiadał się kompromisowo, twierdząc, że skoro Kalnetis nominacji nie przyjmie, co by nam dało satysfakcję, to my z naszej strony możemy nie nalegać na nominacji Ciplijewskiego i wejść w układy co do osoby kandydata, teraz inaczej powiada i całą siłą nalega, by kandydaturę Ciplijewskiego traktować ultymatywnie. Przed paru tygodniami uchwaliliśmy spytać urzędowo Ciplijewskiego, czy kandydaturę przyjmie. Janulaitis prywatnie zwrócił się do Ciplijewskiego, namawiając go, aby wyraził zgodę i Ciplijewski na zapytanie urzędowe prezesa odpowiedział twierdząco. Prezes zwracał się prywatnie z własnej inicjatywy do ministra Karoblisa zapytując, jak się on wobec kandydatury Ciplijewskiego zachowa. Karoblis odrzekł kategorycznie, że Ciplijewskiego do nominacji nie przedstawi i zaznaczył, że nominacja ta nadałaby Trybunałowi zabarwienie zbyt lewe. Nie zważając na to, a o ile chodzi o Janulaitisa – to waśnie dlatego – uchwaliliśmy wczoraj ponownie kandydaturę Ciplijewskiego. Ponieważ Karoblis żadnego kandydata nie ma, więc zapewne rzecz

[74] Kozela Povilas.
[75] Narbutaitė Marija, Romerienė (Narbutówna Maria, Romerowa)

pozostanie w zawieszeniu bez żadnej decyzji do czasu wyborów sejmowych. Jeżeli zwycięży w nowym Sejmie Chrześcijańska Demokracja i jeżeli zwłaszcza Karoblis utrzyma się na stanowisku, to my przegramy; jeżeli zaś panowanie Chrześcijańskiej demokracji będzie złamane, to możemy zwyciężyć. Janulaitis namawia mię, byśmy z kandydatury Ciplijewskiego uczynili rzecz równie zasadniczą, jak w jesieni z nominacji Kalnetisa, to znaczy żebyśmy pod żadnym pretekstem od kandydatury tej nie odstąpili i nie dali narzucić innej, a gdyby został mianowany ktoś inny, to żebyśmy zgłosili dymisję. Janulaitis powiada, że jesteśmy odpowiedzialni za niezależność najwyższego sądu i nie powinniśmy dopuścić narzucania mu osób, które będą sąd paskudzić, czyniąc zeń narzędzie stronnictwa panującego. Jeżeli pracujemy w Trybunale, będąc obarczeni nadmiarem roboty i źle płatni, to chcemy mieć satysfakcję, że praca ta jest państwowo użyteczną i że służy ona prawu, a nie politycznej partii. Choć ustawa nie mówi, że nominacja może dotyczyć tylko kandydatury, wystawionej przez Trybunał i dotąd ustawy w ogóle żadnej o organizacji sądownictwa nie ma, to jednak musimy stworzyć precedens.

25 marca, rok 1923, niedziela
Otrzymałem zaproszenie na uroczystość obchodu 5-letniej rocznicy proklamowania w Mińsku niepodległości Białej Rusi. Obchód ten, jak co roku, organizują osiadłe tu na tułaczce elementy władz nominalnych tej niedoszłej republiki z Wacławem Łastowskim[76] jako prezesem gabinetu ministrów i Kryczewskim[77] jako marszałkiem Rady Ustawodawczej na czele. W skromnej sali litewskiego Ministerium do Spraw Białoruskich, służącej za lokal stały miejscowych towarzystw narodowych białoruskich, udekorowanej chorągiewkami o barwach narodowych białoruskich i państwowych litewskich i herbem Pogoni, który jest herbem państwowym tak Litwy, jak Białej Rusi, w rzędach krzeseł i prostych ław zajęli miejsca zaproszeni goście i garstka nieliczna Białorusinów osiadła w Kownie, a stanowiąca grono działaczy niepodległości na emigracji. Goście – niemal wyłącznie Litwini; z wybitniejszych Litwinów spostrzegłem następujące osoby: Zygmunt Žemaitis, Janulaitis, ks. Propolanis[78], kontroler państwowy Zubrycki, Jonynas, który faktycznie zastępuje Gałwanowskiego na stanowisku ministra do spraw białoruskich i inni; z gości nie-Litwinów byłem ja jako jedyny Polak i z Żydów Rozenbaum stary[79] i niefortunny minister do spraw żydowskich, bojkotowany przez Żydów, męczennik własnej ambicji Bernard Fridman. Z Białorusinów byli pracownicy Ministerium Spraw Białoruskich i emigranci z kół rządu nominalnego Republiki, a więc przeważnie tzw. esery białoruscy, w ich liczbie Cwikiewicz[80], Duszewski[81] i inni; był także Bojew[82], Białorusin prawego skrzydła, moskalofilskiego odcienia. Za stołem prezydialnym pośrodku siedział Kryczewski, mając po lewicy Łastowskiego i po prawicy Zajaca[83]. Było też grono niewielkie pań białoruskich, żon i towarzyszek emigrantów. Ogółem mogło być ze 40 osób. Posiedzenie zagaił Kryczewski przemówieniem, w którym skreślił dążenie Białorusinów do niepodległości i wiarę niezłomną, że cel ten, osiągnięty już przez narody sąsiednie, będzie i przez Białorusinów osiągnięty realnie. Po nim Zajac odczytał depesze i powitania, nadesłane

[76] Kraczeuski Piotr (Пётр Крачэўскі)
[77] Lastouskis Vaclavas (Lastoŭski Vaclaŭ).
[78] Prapuolenis Kazimieras
[79] Rozenbaumas Simonas, senasis.
[80]Cvikievičius Aleksandras (C'vikevic Aleksandr).
[81] Dušauskas-Duž Klaudijus (Duszewski)
[82] Bojevas Vsevolodas.
[83] Zajacas Leonardas.

z powodu uroczystości od różnych organizacji białoruskich, w szczególności od rad narodowych białoruskich Wileńszczyzny i Grodzieńszczyzny, od młodzieży akademickiej białoruskiej w Pradze czeskiej, od gimnazjum białoruskiego w Dyneburgu, od kolonii białoruskiej w Rydze, od kilku konsulatów białoruskich rządu Łastowskiego w różnych krajach. Następnie zabrał głos Wacław Łastowski dla wygłoszenia referatu o dziejach piśmiennictwa białoruskiego w związku z urządzoną w trzech sąsiednich pokojach wystawą druków białoruskich. Przed rozpoczęciem referatu Łastowski, nawiązując do znanej uchwały Konferencji Ambasadorów w sprawie granic wschodnich Polski, sankcjonującej faktycznie zabór Wilna przez Polskę, zaproponował powstać na znak żałoby, co tez w milczeniu przez obecnych wykonane zostało. Referat Łastowskiego składał się z części historyczno-teoretycznej i części demonstracyjnej, którą wykładał okazując eksponaty wystawy. Wystawa jest dość uboga zbiorami, ale bogata natchnieniem idei i wiary, które dźwigają dzieło narodowe Białorusinów. Sam Łastowski, rozkochany w białoruszczyźnie, raczej literat niż polityk, pięknie swój wykład wygłosił. Cześć wysiłkowi tych ludzi, część ich dziełu, które kraj niewolny do wolności dźwiga i indywidualizuje lud, kastrowany przez potężnych sąsiadów.
Miałem okazję rozmawiania dziś z Żydami, mianowicie z Kacenelenbogenem[84], Czernichowem[85] i pewnym młodym adwokatem syjonistą, wybitnym i znanym w społeczeństwie żydowskim, którego nazwiska na razie nie pamiętam. Zapewne wspomnę jeszcze w dzienniku o tym, co było naszej rozmowy przedmiotem. Ale rozmawiałem z nimi też i o polityce ogólnej, w szczególności o perspektywach wyborczych. Dowiedziałem się od nich, że Żydzi już zawarli układ wyborczy z Niemcami i Rosjano-Białorusinami i twierdzą, że to już im wystarcza do zagwarantowania się przeciwko przepisowi art. 76 ordynacji wyborczej w interpretacji zeszłorocznej; sądzę jednak, że w istocie niezupełnie się jeszcze zagwarantowali, bo wciąż się jeszcze zastanawiają nad ewentualnością układu z Polakami. Z jednej strony, chcą tego układu, z drugiej – boją się, że on ich kompromitować będzie w opinii litewskiej i da przeciwko nim oręż antysemitom państwowym, a mnie się coś snuje po głowie, że kto wie – może chcieliby Żydzi zawarcia tego układu, który dla szans wyborczych Polaków w Litwie ma dużą wagę i nawet politycznie dla Polski ma w jej sporze z Litwą znaczenie – uzyskać pewne koncesje narodowe w Warszawie. Polacy są tu strasznie izolowani; Litwini mają Polaków w ohydzie, a mniejszości boją się z Polakami solidaryzować i unikają ich jak zapowietrzonych, bo obcowanie z Polakami kompromituje. Skądinąd zaś traktowaniem mniejszości narodowych w Polsce Polacy u rodaków tychże mniejszości w Litwie żadnych uczuciowych sympatii zdobyć nie mogli.

26 marca, rok 1923, poniedziałek
Jeszcze słówko o kombinacjach wyborczych Żydów. Z Polakami, jak mówiłem, lękają się oni zawierania bloku, choć jeszcze nie jest przesądzone, że go nie zawrą. Natomiast z Niemcami, jak sami twierdzą, mają już układ o bloku zawarty. Układ ten ogarnia, jak mówią Żydzi, także Niemców w Kłajpedzie, w której wybory do ogólnopaństwowego Sejmu litewskiego mają się odbyć jednocześnie z wyborami na całym terenie Litwy (12 i 13 maja). W Kłajpedzie Niemcy stanowią czynnik silny i poważny nie tylko sam przez się, ale i przez głębokie wpływy na masę litewską, która jest bardzo zgermanizowana. Sami Litwini liczą, że Niemcy w Kłajpedzie zdobędą prawdopodobnie połowę mandatów (Kłajpeda wybiera ogółem sześciu posłów), ale w istocie kto wie, czy nie zdobędą więcej. Przez układ z Żydami Niemcy kłajpedzcy zasililiby szeregi opozycji przeciw Chrześcijańskiej Demokracji, podczas gdy Chrześcijańska Demokracja, jak

[84] Kacelenbogenas Uria.
[85] Černichovas Josifas

wiem skądinąd, przynajmniej dotąd liczyła na to, że cała reprezentacja Kłajpedy, tak niemiecka, jak litewska, poprze ją w Sejmie, nie przez szczególną sympatię dla programu Chrześcijańskiej Demokracji, ale przez zmysł konserwatyzmu społecznego. Być może, że układ sił, jak dadzą wybory, będzie się bardzo różnił od dotychczasowego w Sejmie i że przeto tych kilka głosów Niemców kłajpedzkich poważniejszej roli nie odegrają. Wszakże w konstelacji rozmaitych możliwości, które zachodzą, kilka głosów „*pro*" lub „*contra*" gra dziś niemałą rolę.
W obecnej chwili Niemcy kłajpedzcy grają na rękę państwowości litewskiej. Zjawisko takie zdaje się być możliwe tylko u narodu tak giętkiego i dyscyplinowanego, jakim są Niemcy. Do bardzo niedawna, do samego powstania litewskiego w Kłajpedzie i do czasu, nim się ujawniło, że decyzją mocarstw Ententy Kłajpeda oddana będzie Litwie, Niemcy w Kłajpedzie byli najostrzej przeciwni wcieleniu do Litwy i na dane z Berlina hasło popierali stanowisko tzw. wolnego miasta (wolnego państwa – „Freistaat"). I nagle po przesądzeniu wcielenia do Litwy – stanowisko ich przywódców politycznych radykalnie się zmieniło. Ci sami ludzie, działacze publiczni niemieccy w Kłajpedzie, którzy gwałtowali przeciwko Litwie i przy wybuchu zainscenizowanego przez Litwę w Kłajpedzie powstania uciekli do Prus Wschodnich, brali następnie [udział] w delegacji Kłajpedy, która tu przyjeżdżała do Kowna dla omówienia szczegółów inkorporacji i stosunku Kłajpedy do państwa i w komisjach, które tu z udziałem tej delegacji obradowały, zachowywali się jak najbardziej lojalnie i państwowo, jak najistotniejsi państwowcy litewscy. Janulaitis, który brał udział w tych komisjach i obserwował pozycję Niemców Kłajpedczyków, powiadał mi, że ma wrażenie, iż działali oni tak na nowe hasło z Berlina, bo niepodobna przypuścić, aby osobiście w uczuciach swoich tak się nagle odmienili. Jest to rzecz bardzo możliwa. Janulaitis słusznie przypuszcza, że Berlin, licząc się z franko-polskimi kombinacjami rozbioru Prus Wschodnich i z przeszkodą, jaką dla tych kombinacji przedstawia Litwa, mógł zalecić Niemcom w Kłajpedzie popieranie Litwy, nawet w zakresie aneksji Kłajpedy, dla szachowania Litwą polityki franko-polskiej. To możliwe. W przedmiocie tych kombinacji z Prusami Wschodnimi, które nie są bynajmniej nowe, w ostatnich czasach znów o tym się dużo mówi w związku z usankcjonowaniem międzynarodowym aneksji Wilna przez Polskę. W polityce franko-polskiej, zwróconej przeciwko Niemcom, jest pewien prąd, dążący do oderwania Prus Wschodnich od Niemiec i bądź uczynienia z nich odrębnego państwa, wasalnego od Polski i niezależnego od Niemiec, bądź podziału ich między Polską a Litwą, mniej więcej w stosunku do pierwotnego podłoża etnicznego części litewskiej i części słowiańsko-polskiej Prus. W takim podziale północny wschód Prus z Tylżą, Insterburgiem (Wystruć, po litewsku „Įsrutė") i Królewcem włącznie przypadłyby Litwie, zachód i południe – Polsce. Jest to plan likwidacji historycznego dzieła krzyżackiego, likwidacji klina germańskiego nad Bałtykiem, stanowiącego punkt wyjścia do germanizacji i politycznego panowania nad plemionami polskimi i litewskimi. Dwa korytarze polskie – korytarz gdański i korytarz wileński – obejmujące w klamry Prusy i Litwę, nie zabezpieczają Polski same przez się; trzeba ujałowić Prusy Wschodnie i wciągnąć Litwę w system polityki polskiej. Podział Prus, zwrot Wilna Litwie i sfederowanie jej z Polską – to elementy tej kombinacji.

27 marca, rok 1923, wtorek
Dziś po raz pierwszy egzaminowałem studentów uniwersytetu. Zdaje się, że to był w ogóle pierwszy debiut w roli egzaminatora w moim życiu, bo też nigdy dotąd profesurą i nauczycielstwem się nie zajmowałem. Do egzaminu z prawa państwowego zgłosiło się już od dawna kilku studentów szóstego semestru, którzy już w swoim czasie bądź na innych uniwersytetach, bądź na b. Wyższych Kursach Naukowych przesłuchali prawo

państwowe i mają już je zaliczone, ale nie mają zeń egzaminu zdanego. Ogółem takich kandydatów do egzaminu zgłosiło się z szóstego semestru siedmiu. Na naszym uniwersytecie prawo państwowe wykładamy ja i Antoni Tumenas. Podług statutu naszego, prawo państwowe stanowi jeden przedmiot, który się wykłada przez cztery semestry. Przedmiot ten podzielony został przez nas w systemie wykładowym na dwie części: prawo państwowe ogólne i litewskie prawo państwowe (prawo państwowe Litwy). Ja wykładam część ogólna na semestrze I i II, Tumenas – prawo państwowe Litwy na semestrze III i IV. W dyplomie jednak obie te części figurują jako jeden przedmiot i egzamin przeto z całości jest wspólny. Podług uchwały Rady Wydziału Prawniczego, w stosunku do przedmiotów, które są wykładane przez kilku lektorów, kwestia, u którego z lektorów mają się studenci egzaminować, pozostawiona jest porozumieniu lektorów między sobą i z zainteresowanymi studentami. Otóż my z Tumenasem ułożyliśmy to w ten sposób, że dla grupy studentów, którzy się zgłosili, wyznaczyliśmy dwa dni dla egzaminu: dziś rano egzaminuję ja, jutro – Tumenas, zostawiając studentom dowolny wybór, u którego z nas życzą zdawać egzamin. Program do egzaminu ułożyliśmy z Tumenasem wspólny. Gdym przyszedł do egzaminu, zastałem czterech studentów, reflektujących na zdawanie u mnie, w ich liczbie dwóch Żydów i dwóch Litwinów, a mianowicie z Żydów: a. Garfunkel[86], b. poseł do Sejmu, syjonista, znany młody działacz żydowski, sekretarz autonomicznej Rady Narodowej Żydowskiej i b. Cymkowski, syn adwokata przysięgłego, b. student Uniwersytetu Moskiewskiego, z Litwinów zaś c. Kozłowski, sędzia śledczy w Kownie (wobec wielkiego braku prawników jest to w obecnych warunkach pospolita rzecz, że sędzią śledczym jest student prawa; często bywa gorzej – sędziami śledczymi, sędziami pokoju i podprokuratorami bywają ludzie, którzy nawet matury nie mają) i d. niejaki Dijokas. Egzaminowanie poszło mi z łatwością. Nie nalegałem oczywiście na to, aby studenci stosowali się do moich zasad w nauce prawa państwowego, bo zresztą nie byli to moi słuchacze; chodziło mi tylko o stwierdzenie, czy posiadają pewne pojęcie ogólne i czy się orientują w zagadnieniach nauki prawno-państwowej, bez względu na to, z jakiej szkoły i z jakiej doktryny czerpali swą wiedzę. Najlepiej, najładniej odpowiadał Garfunkel, inteligentnie też zdawał egzamin Kozłowski, sympatyczne wrażenie czynił Cymkowski, chociaż odpowiadał słabiej od dwóch poprzednich i oczywiście sprawiało mu dużą trudność przezwyciężenie formy języka litewskiego, którego nie posiada dobrze. Ostatni, Dijokas, był bardzo słabo przygotowany i odpowiadał, a raczej improwizował zdawkowymi szablonikami bez żadnej wartości, a jedyne, co wykuł, to tekst ustawy konstytucyjnej litewskiej. Wahałem się nawet, czy uznać odpowiedź Dijokasa za wystarczającą, ale ostatecznie decyzja wypadła twierdząca. Na uniwersytecie naszym (przynajmniej taką jest uchwała naszego wydziału) wynik dodatni egzaminu stwierdza się dwoma stopniami: „dobrze" („gerai") lub „bardzo dobrze" („labai gerai"). Garfunkla i Kozłowskiego zakwalifikowałem „bardzo dobrze", Cymkowskiego i Dijokasa – „dobrze".
Elwira wróciła dziś z Bohdaniszek. Zdecydowana jest wieźć Helcię zaraz przez Łotwę do Warszawy. Powiezie na Kałkuny, gdzie ją spotka Stefan. Zaraz rozpocznie starania o paszport. Co do mnie, mam przekonanie, że biedna Helcia z tej choroby nie powstanie.

28 marca, rok 1923, środa
W ciągu dnia dzisiejszego Elwira otrzymała już paszport zagraniczny i wizę na wjazd do Łotwy z prawem 14-dniowego pobytu tamże. Zapewne więc Helcię, po zawiezieniu jej do Dyneburga, odda pod opiekę mężowi, Stefanowi Mieczkowskiemu, który ją, po

---
[86] Garfunkelis Levas

załatwieniu odpowiednich formalności w konsulacie polskim, powiezie do Warszawy, a sama wróci tutaj i następnie przez Prusy i Gdańsk pośpieszy również do Warszawy. Dr Brundza twierdzi, że szpitalne leczenie Helci uzdrowić nie może i że prawdopodobnie trzeba będzie próbować leczenia klimatycznego; powiada, że być może wskazanym byłoby wysłanie jej do Zakopanego. Żadnych twierdzeń kategorycznych dr Brundza nie wyraża, ale domniemywa, że u Helci mogą być tuberkuły płuc. Ma jeszcze jutro rano fotografować Helcię promieniami Roentgena. Mam jednak wrażenie – choć doktor tego Elwirze nie mówi – że w istocie uważa on stan Helci za beznadziejny i woli przeto, by ją zabrano, zanim tu umrze. Elwira więc jutro wywozi Helcię pociągiem popołudniowym na Radziwiliszki-Abele-Kałkuny. Jadę razem z Elwirą – oczywiście razem tylko do Rakiszek, skąd ona rusza dalej pociągiem do Kałkun, ja zaś – końmi do Bohdaniszek. Miałem wyjechać jutro rano, ale ze względu na Elwirę jadę po południu. Żal mi Elwiry, bardziej żal, niż Helci.
W Trybunale rozpoznawaliśmy dziś w trybie apelacyjnym głośną sprawę karną b. sędziego śledczego w Kownie Eugeniusza Sokołowa, oskarżonego o wymuszanie łapówki. Sąd okręgowy odrzucił kwalifikację wymuszania i uznał go winnym tylko przyjęcia ofiarowanej łapówki, skazując go na półroczne więzienie. Na wyrok sądu okręgowego wpłynęła do Trybunału i skarga apelacyjna skazanego, i protest apelacyjny prokuratury. Przesłuchaliśmy ponownie wszystkich świadków i doszliśmy do przekonania, że miało miejsce wymuszanie łapówki, przeto kwalifikację przestępstwa w myśl protestu prokuratury zaostrzyliśmy, ale ze względu na ciężki stan materialny oskarżonego i na to, że, jak się zdaje, była to jedna z pierwszych prób Sokołowa na polu łapownictwa i w dodatku próba wykonana dość niezręcznie, podczas gdy wielu innych w podobnych mu warunkach urządza się o wiele sprytniej i przerzucając się do quasi-„adwokatury" urządza brudne geszefty na większą skalę (celują w tym właśnie różni Rosjanie, jak Szeremietjewskij i inni), uznaliśmy okoliczności łagodzące i karę zostawiliśmy tę samą, zmniejszając ją jeszcze z mocy amnestii zeszłorocznej i zaliczając mu kilka tygodni aresztu prewencyjnego. Smutne wrażenie sprawiła ta sprawa. Nikczemne przestępstwo i biedny człowiek. Nędza moralna i nędza materialna. Wykolejenie bolesne człowieka, który był uczciwym, ale nie oparł się prądom demoralizacji i rozkładu, jakie się rozwielmożniły w zwichniętych po wojnie stosunkach. Nieprawdą jest to, co usiłowali w tej sprawie rozgłaszać Rosjanie miejscowi, jakoby to był akt nagonki Litwinów na Rosjan dla wygryzienia ich z urzędów państwowych.
Przed dwoma dniami był w Kownie Kacenelenbogen. Zaangażował mię on do pewnej pracy redakcyjnej, o której wspomnę innym razem. Zresztą nie wiem, czy z tego coś będzie. Nadmienię, że Kacenelenbogen doniósł mi, iż loża wolnomularska w Poniewieżu już się zorganizowała. Bracia Romm, Gabriela Pietkiewiczówna i Kacenelenbogen w obecności brata Suginta, który bawił przejazdem z Kowna, odbyli posiedzenie, na którym przyjęli w poczet braci Elisona[87] i zainaugurowali lożę. Wskazałem Kacenelenbogenowi, że do ich loży w Poniewieżu ma być zaliczony brat Petrulis[88] w Rakiszkach, z którym się mają co do jego uczestnictwa skomunikować.

29 marca, rok 1923, czwartek
Na wyjezdnym Helcia jeszcze raz została sfotografowana promieniami Roentgena i jeszcze raz dr Brundza zarządził konsylium z udziałem dwóch obcych lekarzy. Fotografia Roentgena nie wykazała tuberkułów w płucach, konsylium zaś znowu nic

[87] Elisonas Jurgis
[88] Petrulis Juozas.

stanowczego nie orzekło. Dr Brundza jeszcze raz zaznaczył Elwirze, że jego zdaniem Helci pomóc może nie jakiekolwiek kliniczne leczenie, jeno klimatyczne i wskazał na Zakopane. Przed podróżą Elwira zarządziła jeszcze spowiedź Helci przez kapelana szpitala wojennego, który udzielił jej też sakramentów. Helcia odwieziona została na dworzec kolejowy automobilem. Miejsce się dla Helci znalazło w II klasie wygodne. Elwirze towarzyszyła w opiece nad Helcią do Żejm p. Maria Narbutówna. Ja jechałem III klasą w wagonie sąsiednim i kilkakrotnie odwiedzałem Elwirę i spędzałem u niej dłuższy czas w drodze. Helcia czy w wagonie, czy w łóżku ma się jednakowo: wieczorem ma gorączkę, dyszy bardzo ciężko, nie śpi, choć poniekąd jest w stanie półsnu i półczuwania, je czekoladę i pomarańcze, doświadcza swędzenia nerwowego na ciele i żąda nieustannie skrobania. Biedactwo wycieńczone jest do najwyższego stopnia i zaledwie podobne jest do cienia swego. Żal dziewczynki niezmiernie. Przytomna jest jednak i poczciwa, pomimo osłabienia niezmiernego. Miała nadzieję, że zajedzie do Bohdaniszek i że choć wzrokiem uczestniczyć będzie w świątecznej zabawie mojej z Andrzejem taczania jaj wielkanocnych. Mój przyjazd do Bohdaniszek – to zawsze wielka feta dla dzieci Elwiry, o tym Helcia dobrze pamięta i smuci się, że jej tam nie będzie. Nie ma oczywiście sił oponować, jeno płacze. Ciekawi się, co za zabawki i podarki wiozę do Bohdaniszek i miała nadzieję, że je rozłożę w wagonie i pokażę jej, ale i tym się pocieszyć nie mogła, bo rzeczy te były na bagażu.
Do Rakiszek dojechaliśmy o godz. 3 w nocy. Pożegnałem się z Elwirą i Helcią. Kto wie, czy jeszcze zastanę Helcię żywą. Elwira wiezie ją dalej – do Kałkun, gdzie je ma spotkać Elwiry mąż Stefan Mieczkowski. Biedna Helcia i biedna Elwira! Żal mi ściska serce.
Spotkał mię w Rakiszkach Stefan Römer, Maryni syn. Po najfatalniejszej drodze w roztopach wiosennych dojechaliśmy o wschodzie słońca do Bohdaniszek.

30 marca, rok 1923, piątek
Po przyjeździe do Bohdaniszek nie zmrużyłem oka i przez cały dzień byłem na nogach. Nie lubię się kłaść we dnie. Dzieci były uszczęśliwione z zabawek, które im przywiozłem z Kowna. Obejrzałem pobieżnie drzewo, nawiezione mi z Gaju na przyszłą budowę domu, i drzewka owocowe, zasadzone w jesieni w zakładanym przeze mnie ogrodzie owocowym. Drzewka przezimowały dobrze, ale obecnie niepodobna jeszcze określić, czy wszystkie przeżyją. W mojej gospodarce zachodzą zmiany następujące: nowa stodółka, postawiona przez Papę przed samą wojną w Karwieliszkach na skraju Gaju, przenosi się na pole moje przy dróżce od drogi busiskiej do Kumsz; przenoszenia dokonywa Marynia, której darowałem za to dwa pozostałe stare budynki w Karwieliszkach; we dworze Marynia przenosi z mojej schedy na swoją gumienko, które jej darowałem i które stanie nad dużą sadzawką od strony ogrodu owocowego i zużytkowane będzie na stajnię. Poza tym, nic nowego w Bohdaniszkach – brak tylko Elwiry i Helci.

31 marca, rok 1923, sobota
Musiałem się w podróży z Kowna przeziębić, bo gorączkowałem tej nocy, majaczyłem i ogromnego kataru dostałem. Przez cały też dzień dzisiejszy miałem katar i ziębienie. Toteż nie wychodziłem dziś wcale na dwór. W nocy naśnieżyło i ziemia pokryła się znowu, jak zimą, grubym całunem śniegu. Dzień był pogodny słoneczny, ale wiatr był północny i mroźny. Na słońcu śnieg topniał, ale w cieniu mróz mocno trzymał. Po zachodzie słońca termometr wskazywał 7° mrozu Réaumura. Do rana będzie chyba kilkanaście stopni mrozu. Dobrze, że śnieg pokrył ziemię na te mrozy.

1 kwietnia, rok 1923, niedziela
Wielkanoc. Pogoda. Ziemia pod świeżym śniegiem, który w blasku promieni słonecznych oślepia oczy. Wiatr północno-wschodni, w cieniu mróz. Oglądałem z Maryńką jej gospodarkę, głównie inwentarz żywy – ptactwo, bydło i konie. We wszystkim jest przyrost, gospodarstwo Maryni stale się podnosi.
Przeziębiony jestem bardzo. Rano czułem się lepiej, ale po obiedzie już kwękałem. Do kataru przybył kaszel, ból w płucach, łamanie kości w nogach, wieczorem – lekki stan gorączkowy. Są to objawy lekkiej influency.
Święcone jest niewielkie, ale – szczególnie mięsiwa – bardzo smaczne: jest indyczka pieczona, pieczeń cielęca, doskonała szynka, pieczona w chlebie. Z ciast i dodatków jest bułka słodka, babka żółtkowa, mazurek bakaliowy, tort orzechowy, szpekuchy, jaja, masło, chrzan, piwo domowe.
Ze Stefanem i Andrzejem zabawiałem się taczaniem jaj kolorowych ku ogromnej uciesze Andrzeja, który od miesięcy już marzył o tej zabawie. Dla urozmaicenia zabawy, co czyni ją dla dzieci podwójnie ciekawą, pobudzając wyobraźnię, przyjętym w moich zabawach dziecinnych zwyczajem nadaję każdemu jajku imię. Imiona te są najdziwniejsze; oto wzorek imion jaj w dzisiejszej zabawie: cyrukoma, smok, kurogwiazdka, gwiazdokogucik, murzidło, tararabumbija, jampupula, oczko, zielonopaski, palmokreski, aczary, kirikuku, pająk, fijoł, krewetki, pigmejczyk. Każde jajko zdobione jest ornamentacją, wykonaną pędzlem farbą lakową. Zabawę powtarzaliśmy dwukrotnie – rano i po obiedzie.

2 kwietnia, rok 1923, poniedziałek
Dziś już zdrowszy jestem, choć mam jeszcze kaszel duży, katar i chrypkę. Na spacer nie chodziłem. Po obiedzie przychodził Kazimierz Jankowski z Janówki, wieczorem na herbatę przyjeżdżała pani Wasilewska[89] z Norwidyszek z dwiema córkami. Dotąd się nie zabrałem do kontynuowania pracy nad moim wykładem uniwersyteckim.

3 kwietnia, rok 1923, wtorek
Marynia posyłała na pocztę. Był list od Kotuni Pruszanowskiej. Wynotuję z niego kilka szczegółów osobistych, dotyczących rodziny naszej. Dwie zamężne córki Kotuni – Elizka Tanajewska[90] i Irenka Węgłowska[91] – mniej więcej jednocześnie odbywały połóg pod dozorem Kotuni. Obie urodziły synów. Synek Elizki będzie się nazywał Markiem, synek Irki – Jerzym. Trzecia nowina dotyczy Ani Römerówny, córki śp. Izydora i śp. Celiny z Przeciszewskich Römerów, a siostry rodzonej Eugeniusza Römera z Cytowian. Ania, licząca już z 50 lat, wyszła za mąż za szwagra swego, Adama Viriona, wdowca po śmierci Zosi z Römerów Virionowej. Po śmierci Zosi Ania mieszkała u szwagra i prowadziła jego dom; bardzo dobrze i mądrze się stało, że się pobrali. Zresztą synowie Adama Viriona i śp. Zosi są dorośli i sami mniej więcej w tym samym czasie, co ich ojciec z Anią, się pożenili.
Od Elwiry listu jeszcze nie było. Zapewne jest już z chorą Helcią i z mężem w Warszawie.
Zaczynam się zastanawiać nad kwestiami, związanymi z budową mego przyszłego domu. Mam już trochę budulca na dom zwiezionego, ale jeszcze w tym roku budować nie zacznę. Belki chcę wykorować i złożyć do gromady, korę sprzedać. Latem chcę dać podmurówkę pod dom. W jesieni chcę napiłować desek. Na pierwszy rok to wystarczy.

---
[89] Vasilevska Brunona (Wasilewska Brunona)
[90] Tanajevska Eliza, Elizka (Tanajewska Eliza, Elizka).
[91] Venglovska Irena, Irka (Węgłowska Irena, Irka).

Chcę też zacząć obsadzać mój zakładany sad jodełką dokoła i latem przekopać rów z odpływem u dołu sadu.
Uczestnicy głośnej sprawy organizacji komunistycznej w tych okolicach otrzymali wreszcie wezwanie na sąd na 14 kwietnia. Sprawa będzie sądzona w Poniewieżu przez Sąd Wojenny. Sprawa ta rozpoczęła się już przed dwoma laty, ale dotąd sądu nie było. Oskarżonych jest kilkadziesiąt osób, z których część siedzi w więzieniu prewencyjnym, inni – są uwolnieni za kaucją. W liczbie oskarżonych jest b. wójt krewieński Izydor Baranowski, mój chrzestny syn Michaś Nemeikšis – syn śp. Antoniego, wieloletniego kucharza w Bohdaniszkach (Baranowski i Nemeikšis należą do ciężej oskarżonych i siedzą od dwóch lat w więzieniu), Elwiry leśnik ze Staczerag Aleksiejus, gospodarz z wioski Bohdaniszki Jachimowicz, Maryni parobek Michał Juszkiewicz. poruszenie wśród oskarżonych, którzy są na wolności i którzy ulegali już nadziei, że do sądu nie dojdzie, jest bardzo wielkie. Wiedzą oni, że w razie złego obrotu ich sprawy mogą apelować do Trybunału, w którym ja sędzią jestem, toteż oni sami i ich rodziny chcieliby liczyć na moje wstawiennictwo. Ich większa część dała się wciągnąć do organizacji komunistycznej i spiskowej raczej za namową wodzirejów, niż z przekonania własnego, poniekąd zaś dla zapewnienia sobie udziału w zyskach na wypadek zwycięstwa komunistów, by nie być pominiętymi, gdy się będą dzieliły dwory i inne dobra burżuazji, czyli po prostu z chciwości, a dziś są wściekli na tych, co ich w to wciągnęli, a więc zwłaszcza na Baranowskiego, Nemeikšisa i innych towarzyszy ideowych.
Dziś widziałem pierwszego bociana, który już usiadł na gnieździe w Bohdaniszkach.

4 kwietnia, rok 1923, środa
Cechowałem pnie wyrąbanych drzew w Gaju. Ogółem wyrąbano i zwieziono mi na budulec 142 jodły. Tego mi jeszcze nie wystarczy.
Umówiłem starego Mackiewicza do wykopania rowu na dwa arszyny[92] (głębokości i szerokości) wzdłuż dolnej linii zakładanego przeze mnie ogrodu owocowego. Oszukałem się, jak się zdaje, na tej umowie, bom się zgodził zapłacić za ten rów – 100 litów.

5 kwietnia, rok 1923, czwartek
Wieczorem nieoczekiwanie przyjechała z Kowaliszek Elizka Komorowska z synem Julkiem. Nocują w Bohdaniszkach, a jutro my z Marynią mamy jechać do nich. Przy Komorowskich Marynia, która zawsze chętnie wygaduje na Litwę i na wszystko, co litewskie, ale się wobec mnie zwykle miarkuje, wiedząc, żem nierad słuchać tego, gdy to płynie ze złośliwości, folguje już sobie do zbytku i gada ile wlezie. Język jest bez kości, więc gadać i wymyślać można, a sprawia to naszym ziemianom przyjemność. To ich odwet za to, że nie oni są tu czynnikiem panującym; to ich mała zemsta na Litwie – te ukłucia złośliwe szpilkami wszelkiej obmowy, wykonywane w kółku własnym. Usterki, których oczywiście w młodym państwie jest bez liku, dostarczają dla tej krytyki złośliwej materiału do syta. Jest wszakże krytyka i – krytyka: może być ona rzeczowa, bezstronna, życzliwa, a może być także jadowita i fałszywa, jak ukąszenie żmii. U naszych ziemian jest w modzie to ostatnie. Jest to nie krytyka, dyktowana troską o dobro, jeno krytyka, dyktowana radością, że jest źle. U Maryni zresztą i tego nie ma. U niej jest po prostu sport kąsania dla przypodobania się uczuciom popularnym

[92] Aršinas arba aršina – Rusijos senasis ilgio matavimo vienetas, Lietuvoje vartotas 1835–1920 m. Aršiną sudaro 16 verškių, arba 28 coliai (71,12 cm).

środowiska ziemiańskiego; jest to *sui generis*[93] „patriotyzm" polski na Litwie: „patriotą" tym lepszym jest ten, kto lepiej potrafi Litwę deptać i poniewierać językiem. Taka krytyka wagi przekonywającej nie ma. U mnie budzi ona jeno niesmak, mimo że ja sam nie jestem wcale ślepy na to, co jest złe. Ci sami zresztą nasi ziemianie, gdy chodzi o Polskę, stosują inną miarę i metodę krytyki i potrafią osłaniać to, co jest złe, a ocenić to, co jest dobre, bo przy dobrej woli spostrzegacza znajdzie się i jedno, i drugie. Ale wolę już krytykę złośliwą tych, co, jak Julek Komorowski i Elizka, są szczerzy i zdecydowani w swoich uczuciach ujemnych, niż krytyka sportowa Maryni, która ot sobie tylko się popisuje gadaniem, byle gadać i pędzić za popularnym prądem ziemiańskim.
Dla mnie ten instynkt kalania swego kraju jest smutny. O ile pięknym jest kochać i chwalić swój kraj, o tyle smutnym jest wykrajowienie. Na pochyłe drzewo lada koza skacze, a nasza szlachta litewska jest takim pochyłym pniem krajowym, który, co swoje, to umie tylko maltretować i głośno wobec obcych łajać. Jakże się tu dziwić, że Litwini – kraju miłośnicy – nie są skłonni powierzać losów krajowych arystokracji krajowej! Minęły czasy, gdy ona stała na straży historycznej.

6 kwietnia, rok 1923, piątek
Do obiadu bawiła Elizka z Julkiem. My z Marynią pojedziemy do Kowaliszek jutro.

7 kwietnia, rok 1923, sobota
Dziś byliśmy z Maryńką w Kowaliszkach i na wieczór wróciliśmy do Bohdaniszek. Droga paskudna: gruda po głębokim błocie. W Kowaliszkach, jak zwykle, nasłuchałem się takiego traktowania Litwy, od którego człowiekowi życzliwemu Litwie i kochającemu ją jako Ojczyznę swoją jeno uczy „więdnąć" mogą. Najmniej zajadłości ma Hektor[94] – on też najpoważniej i najbezstronniej Litwę traktuje, nie wdaje się w kłucie jej drobnymi uszczypliwościami, nie koncertuje w chórze złośliwości, które się na nią sypią. Nie znaczy to, aby był szczególnym przyjacielem Litwy, ale nie ma w sobie jadowitej złości babskiej – ma sąd trzeźwy i potrafi widzieć zarówno to, co jest złe, jak to, co jest dobre. Nie można tego powiedzieć o Julku, który w sądach i opiniach politycznych jest podobny do kobiety-histeryczki. Zaś Elizka to aż syczy ze złości i odrazy do Litwy i kąsa ją każdym słowem.
Zdaje się, że Julek jest bliski małżeństwa z panną Gorską[95] ze Żmudzi, której osobiście nie znam. Elizka przeczuwa już, że w razie małżeństwa Julka trudno jej będzie w Kowaliszkach[96] współżyć z synową; trudno jej będzie zachować rząd domu, usuwając synową w cień na stanowisko domownicy, a skądinąd trudno jej będzie samej, nawykłej do rządów domowych w Kowaliszkach, abdykować wobec synowej; sama myśl o tym, że ta nowa kobieta nie zna tradycji śp. Zygmunta w Kowaliszkach, której kult stanowi dla Elizki zasadę Kowaliszek – razi ją i jest dla niej nieznośna. Toteż Elizka, rozumiejąc ciężar ewentualnej sytuacji, jaka się wywiązać może i nie chcąc wytwarzać konfliktów w przyszłych stosunkach rodzinnych, zastanawia się nad przeniesieniem się z Hektorem do Radkun[97] w razie małżeństwa Julka. Radkuny należą do nieletniego Piotra Komorowskiego, syna śp. Antoniego, który był bratem Zygmunta); opiekunem zaś

---

[93] *sui generis* (lot) – savitas, savotiškas, tam tikras.
[94] Komorovskis Hektoras (Komorowski Hector).
[95] Kalbama apie Maria Magdaleną iš Nałęcz-Gorskių, Komorovską (Maria Magdalena z Nałęcz-Gorskich, Komorowska,
[96] Kavoliškio dvaras.
[97] Ratkūnai

nieletniego Piotra, który się wychowuje w Kowaliszkach, jest Hektor. Zitka[98] zaś ma zamiar wyjechać w jesieni z młodszą siostrzyczką Litką[99] i małą koleżanką tejże Renią Komorowską[100], córeczką śp. Jarosława i Marii z Kotwiczów, do polski, żegnając na stałe Litwę, i tam w Polsce ma kierować nauką tych dziewczynek, a sama się wystarać om posadę stosowną i poświęcić ewentualnemu zawodowi nauczycielskiemu w Polsce. Tak tedy rodzina kowaliska jest bodaj w przededniu rozkładu.

8 kwietnia, rok 1923, niedziela
decyduję się w roku bieżącym podmurówki pod dom jeszcze nie stawiać, bo zdaje się będzie praktycznej postawić ją przed samym budowaniem ścian, co zapewne w roku przyszłym uczynię. W tym roku ograniczę się więc zapewne do napiłowania desek. Maryni syn, Stefan Römer, ma wreszcie otrzymać choć jeszcze nie paszport stały, ale przynajmniej świadectwo na prawo zamieszkania, co go już zalegalizuje tutaj. Okazało się więc, że zrobił najmądrzej, przybywając tu w roku przeszłym wprost bez żadnych ceregieli i starań, które zwykle trwają długo i pozostają bez skutku. Dla Maryni jego obecność w Bohdaniszkach stanowi dużą przyjemność, która ją przywiązuje do Bohdaniszek. Pomocy w Stefanie Marynia dla gospodarstwa nie ma żadnej, ale ma przy sobie człowieka bliskiego – i to już jest dużo. Stefan mieszka z Marynią w jednym pokoju, tu przesiaduje, tu śpi. I dla niego jest lepiej, że jest przy matce. Chłopiec ten nie umie sobie radzić w życiu i – zostawiony sam sobie – zbacza zawsze na manowce łajdactwa, kradzieży, szelmostwa wszelkiego rodzaju. Z natury jednak jest bierny, lękliwy, abnegat, temperamentu nie ma; toteż jest najszczęśliwszy, gdy siedzi cicho w domu i nic nie robi; rozpróżniacza się wprawdzie, ale za to pokus nie doświadcza żadnych i zachowuje się porządnie. Nie szuka żadnego towarzystwa, nie marzy o żadnych podnietach, nie tęskni do niczego. Nie pije, nie szuka miłostek, obchodzi się wegetacją niemal roślinną. Rysuje tylko dużo, porządkuje i kompletuje swoją kolekcję marek pocztowych, dogląda gołębi i lubi swoje psy. Na tym schodzą mu monotonnie dni, tygodnie i miesiące. I jest mu z tym dobrze, bo nie tęskni do zmiany warunków życia. Dziwnym się po prostu wydaje, jak człowiek młody (ma lat 23) i który tyle poświęcił hulankom, rozpuście, pijatyce, nadużyciom wszelkiego rodzaju, kradzieżom itd. – tak mało ma wymagań i tyle bierności. Widocznie nie tyle jest zepsuty, ile słaby i niezaradny, jak często bywają artyści, Talent rysunkowy i dekoracyjny posiada wybitny. Do rysowania bierze się nieraz forsownie i w tym jednym ujawnia chwilami temperament, nawet – namiętność. Przerysowuje jakieś ilustracje do „Strzechy Rodzinnej", z wielką starannością i nakładem pracy wykonuje plany i rysunki architektoniczne na konkurs Rady Miejskiej w Kownie dla budowy restauracji i sali koncertowej w Ogrodzie Miejskim w Kownie. Ideałów społecznych nie ma żadnych i kieruje się maksymą: „Siadłeś między wrony – to i krakaj, jak one". Toteż kraka tak i takimi pojęciami, jakie panują w otaczającej go sferze ziemiańskiej. Toteż zdumiewać się nieraz trzeba, gdy się go słyszy powtarzającego morały i gorszącego się to lenistwem parobków, to złodziejstwem ludu, to rozmaitymi wadami państwowości Litwy itp., podczas gdy on sam ma tyleż, jeżeli nie więcej, grzechów wobec społeczeństwa i państwa, co ci, których krytykuje. Gorszy się lenistwem, a sam jest klasycznie leniwy, gorszy się złodziejstwem, a sam kradł na wielką skalę. Każdy zarzut

---

[98] Komorovska Zofija Konstancija (Komorowska Zofia Konstancja, Zita,)

[99] Komorovska Felicija Maria, Litka (Komorowska Felicja Maria, Litka,)

[100] Komarovska Renia Jaroslavuvna (Komarowska Renia Jarosławówna).

tej natury z ust jego wywołuje w duchu tych, co go znają i obserwują, replikę: ty żeś sam to wszystko i jeszcze gorsze czynił, a tu wyszedłeś na cenzora moralności, który śmie ferować wyroki moralne bez zająknięcia! Jest w Stefanie pod względem moralnym i społecznym atrofia zupełna – ślad degeneracji. Zresztą jest on w ogóle „не отъ міра сего”[101]. Nie jest to bynajmniej inteligencja głęboka, jeno spryt i talent rysunkowy. Myślenie jego jest płytkie.

9 kwietnia, rok 1923, poniedziałek
Wracam już do Kowna. Zwykle w Kownie tęsknię do Bohdaniszek i czekam okazji pojechania do nich, gdy zaś jestem w Bohdaniszkach, to po pewnym czasie bez większego żalu opuszczam je dla powrotu do Kowna. Nie o to idzie, bym się w Bohdaniszkach czuł źle. Kocham Bohdaniszki bardziej, niż jakąkolwiek inną miejscowość i dobrze mi w towarzystwie sióstr i ich dzieci; pobyt ten jest zawsze dla mnie rozrywką i miłą zmianą środowiska, stanowiącą samo przez się rozmaitość, zabarwioną przyjemną atmosferą uczuć rodzinnych. Ale bądź co bądź w Bohdaniszkach w obecnym układzie naszych stosunków nie jestem całkowicie w domu: jestem gościem sióstr moich, zwłaszcza mojej „dzierżawczyni” Maryni. A choć to nie jest gościna krępująca, to jednak lubiłbym łączyć w Bohdaniszkach przyjemność stosunku z siostrami z bytnością u siebie we własnym domu. Nie mam w Bohdaniszkach żadnej gospodareczki własnej, w swobodzie ruchów zależny jestem od Maryńki, bo gdy się gdzieś chcę ruszyć, to muszę się Maryni spowiadać, by od niej mieć furmankę i zawsze li tylko w jej towarzystwie wyruszam, a nawet w użytkowaniu sprzętów i mebli moich zależny jestem od sióstr, bo trudno, bym moje meble i rzeczy ściągnął do siebie na górę i unieruchomił, gdy siostrom są one potrzebne i gdy mają brak własnych. Toteż meble i sprzęty moje są moimi jeno nominalnie. Lubiłbym zaś mieć w Bohdaniszkach własną gospodareczkę, konika, dom mój wyłączny i przyjeżdżać do siebie. Maryńka jest bardzo dla mnie uczynna, ale bądź co bądź krępuję się w rozporządzaniu się jej uczynnością i dlatego faktycznie czuję się od niej bardzo zależny, zwłaszcza w jakichkolwiek jazdach. W tym stosunku wspólnoty z siostrami nie mogę też ani bywać, gdzie mi się podoba, ani przyjmować, kogo mi się podoba i mimo woli muszę się zastosowywać do trybu towarzyskiego i do układu życiowego sióstr, opartego na ich przekonaniach i sympatiach, które pod wielu względami aspiracji narodowych i społecznych są w kolizji z moimi. Trudno mi wnosić dysonans we wspólne życie. Na krótką metę to nie jest zbyt ciężkie dla mnie, ale gdyby mi wypadło mieszkać tu dłużej, byłoby to dla mnie bardzo uciążliwe. Dlatego też dążę tak gorąco do zbudowania własnego osobnego domku na mojej schedzie w Bohdaniszkach. Da on mi podstawę do zainstalowania się własnego i do zapoczątkowania własnej gospodareczki i własnego osobistego trybu w Bohdaniszkach. Oczywiście dom sam przez się bez innych uzupełnień nie dokona pod tym względem cudów, ale będzie on punktem zaczepienia się do tworzenia czegoś własnego w Bohdaniszkach. Co prawda, nie mam dotąd komu przekazać mojej schedy w Bohdaniszkach po sobie, bo córka moja, która w Bohdaniszkach nigdy nie była, nie będzie miała do nich żadnego przywiązania; dla niej Bohdaniszki będą obce, toteż gdybym umarł w warunkach obecnych, zostawiłbym moją schedę w Bohdaniszkach nie jej, lecz dzieciom Elwiry czy Maryni. Co do córki mojej – do Cesi – to marzę tylko o tym, bym ją mógł kiedykolwiek powitać i gościć w Bohdaniszkach – i to jest także jednym z motywów dla stawiania domu. Ale marzę jeszcze o czym innym. Jest to marzenie stare, które od lat kilku tuła się w sercu moim, lecz kto wie, czy się spełni kiedy; to marzenie – o synu. Legalnego syna z „prawowitej”

[101] не отъ міра сего (rus.) – ne iš šio pasaulio.

małżonki mojej – Reginy – oczywiście mieć nie mogę. Chodziłoby więc o spłodzenie go z dziewczyny, która by mi się na ten cel oddała, oczywiście ze ścisłą gwarancja ojcostwa mego. I gdyby mi się z takiego związku urodził syn „nieprawy" – Michał, potomek linii Michałów Römerów – wychowałbym go i wykształcił dla kraju, by się w nim dzieło moje i idea rozkrzewiły. Nie jest to marzenie proste do spełnienia. Gdybym bardzo naciskał, to kto wie – może bym dziś w Jadzi Čepasównie taką dziewczynę na matkę dla ewentualnego syna mego zdobył. Ale się wciąż jeszcze nie odważam i wciąż waham. Marzyć łatwo, spełnić – trudniej.

10 kwietnia, rok 1923, wtorek
Wyjechałem z Bohdaniszek na stację kolejową do Rakiszek wczoraj na wieczór i o północy wyjechałem pociągiem z Rakiszek na Kowno. Dziś o godz. 11 z rana przyjechałem do Kowna. Na dworcu spotkała mię służąca Helena Bogusławska[102]. W mieszkaniu zastałem wszystko w dobrym stanie. Na miasto z domu już nie wychodziłem. Nowin żadnych nie wiem. Zresztą, sądząc z gazet, żadnych szczególnych nowin nie ma; toczy się tylko kampania wyborcza, która pochłania uwagę polityków. Żadnych wieści od Elwiry dotąd ani w Bohdaniszkach, ani w Kownie nie ma. Zapewne Elwira z chorą Helcią jest obecnie w Warszawie. Ale to tylko nasz domysł.

11 kwietnia, rok 1923, środa
Stanąłem już dziś do pracy. Byłem na posiedzeniu sądowym trybunału, wznowiłem moją pracę nad pisaniem dalszego ciągu wykładu, które przerwałem od jakichś trzech tygodni. Nie zdążę w tym roku zakończyć mój wykład; parę działów ostatnich pozostanie niewykończonych i nietkniętych w wykładzie. Obecnie pracuję nad rozdziałem o przedstawicielstwie, a w wykładach stanąłem przed świętami na rozdziale o suwerenności. Niewielki już zapas gotowego materiału dzieli tok samego wykładu od toku opracowywanego rękopisu. Gdybym obecnie przeprowadził wykłady pełną ilością godzin wykładowych, to znaczy po 4 godziny tygodniowo, to nawet pracując co dzień nad dalszym ciągiem rękopisu, najdalej po jakichś trzech tygodniach byłbym już wyczerpał cały zapas i dopędził do kresu rękopisu. W obecnym zaś stanie mojej wiedzy osobistej nie mogę sobie pozwolić na improwizowanie wykładu bez rękopisu. Toteż w istocie zamiast formalnych czterech godzin tygodniowo będę dawał słuchaczom tylko trzy godziny, jak to zresztą dotąd, prócz dwóch tygodni w grudniu, czyniłem stale, a z tych trzech godzin będę tylko dwie godziny czwartkowe poświęcał wykładowi, jedną zaś godzinę ranną poniedziałkową będę używał na kolokwia – na razie dla zakończenia kolokwiów I semestru, a potem dla kolokwium II semestru. Tą drogą spodziewam się, pracując systematycznie co dzień nad dalszym ciągiem tworzenia rękopisu, wystarczyć do końca roku szkolnego, bo przez tydzień jestem w stanie opracować w rękopisie mniej więcej tyle, ile wypada na dwie godziny wykładu, a prócz tego mam jeszcze pewien zapasik w rezerwie. Po rozdziale o przedstawicielstwie podejmę rozdział o funkcjach państwowych i ich klasyfikacji oraz rozdział o formach (ustroju) państwa. Na tym zapewne w tym roku i poprzestanę. Pozostanie niewykonany rozdział o tzw. podziale państwa (centralizacja i decentralizacja, samorząd, autonomia terytorialna i personalna) i rozdział o połączeniach państw. Latem przez czas wakacji, które w tym roku zamierzam poświęcić w dużej części podróżom i wycieczkom (do Paryża, zwiedzanie Gdańska, wycieczka do Kłajpedy i Juodkrantis ze Stefanem Römerem, synem Maryni), na które z góry się cieszę – wypocznę i nic robić nie będę, a po wakacjach od początku jesieni zabiorę się do żmudnej pracy przebudowywania,

[102] Boguslavaitė Elena (Bogusławska Helena).

doskonalenia i przesystematyzowania mego wykładu tegorocznego dla wykładów roku przyszłego.

12 kwietnia, rok 1923, czwartek
Janulaitis jest bardzo przejęty prawdopodobieństwem, że do trybunału może być postawiona kandydatura Oleki[103]. Wiadomo, że minister sprawiedliwości jest zdecydowanie przeciwny uchwalonej przez nas kandydaturze Ciplijewskiego, który też z pewnością, dopóki ministrem jest Karoblis, a zapewne też w ogóle dopóki u steru rządu stoją chrześcijańscy demokraci, mianowany nie będzie. Opozycja Karoblisa mianowaniu Ciplijewskiego ma, zdaje się, głębszą zasadę, niż tylko ta, że na gruncie osoby Ciplijewskiego rozegrał się w jesieni konflikt Trybunału z ministrem, gdy próbował on mianować wbrew uchwale Trybunału – Kalnetisa. Kalnetis sam się cofnął, ale konflikt pozostał i przeto mianowanie obecnie Ciplijewskiego byłoby kapitulacją ministra wobec „uporu” Trybunału, a raczej Janulaitisa i mojego – bo nasz prezes Kriščiukaitis wcale nie nastaje na kandydaturze Ciplijewskiego i rad by znaleźć wyjście kompromisowe z konfliktu, znalazłszy osobę, która by dogadzała obu stronom. Ale Karoblisowi i stojącym za nim chrześcijańskim demokratom chodzi pono o coś więcej, niż tylko o uniknięcie kapitulacji wobec „uporu” naszego. Chodzi im o to, że Trybunał obecnie, na skutek niezależnego stanowiska Janulaitisa i mego, nie może być narzędziem politycznych tendencji Chrześcijańskiej Demokracji i jest przeto dla niej niedogodny. Partię rządzącą drażni nie tylko to, że poszczególne procesy, mające cechy polityczne, jak to miało miejsce ze sprawami Voldemarasa i Draugelisa[104], nie otrzymają w Trybunale takiego rozwiązania, jakie by dogadzało potrzebom politycznym Chrześcijańskiej Demokracji, ale także to, że nie będąc pewną Trybunału, nie może ona w konfliktach politycznych, opartych na komentowaniu przepisów Konstytucji (np. sprawa wyboru Stulgińskiego na stanowisko Prezydenta Rzeczypospolitej), korzystać z takiej np. broni, jaka jest przepis, dający możność ministrowi sprawiedliwości zwrócenia się do Trybunału o wyjaśnienie tego lub innego spornego przedmiotu prawnego ze stanowiska ustaw. Gdyby się bowiem minister zwrócił do Trybunału, nie miałby on gwarancji, że Trybunał udzieli wyjaśnienia, które właśnie poprze stanowisko partii rządzącej. Niemałą też zapewne rolę gra także głośna sprawa Puryckiego[105], niezwykle kompromitująca Chrześcijańską Demokrację i niektórych jej *leaderów*, jak np. *leadera* tej miary, co ksiądz Vailokaitis[106]. Sprawa ta ma wpłynąć do Trybunału i wciąż jest odwlekana, choć śledztwo już w listopadzie zakończone zostało i akta przekazane zostały prokuraturze trybunalskiej. Słowem – skład obecny Trybunału, ze względu na obecność w nim moją i Janulaitisa, jest dla Chrześcijańskiej Demokracji solą w oku. Zbyt jednak głośne są nasze z Janulaitisem imiona i zbyt wielką wartość zawodową reprezentujemy dla sądownictwa, aby można było się nas pozbyć przez usunięcie, jak to czyni p. minister Karoblis z niedogodnymi mu sędziami pokoju (usunięcie sędziego Bolcewicza i zwłaszcza głośne usunięcie sędziego Grzybowskiego). Nie mogąc się więc nas pozbyć, a nawet zapewne nie chcąc się nas pozbyć całkowicie, o ile byłoby możliwym pogodzenie naszej obecności w Trybunale z przystosowaniem go do potrzeb Chrześcijańskiej Demokracji, Karoblis pragnąłby zniwelować nasz wpływ w Trybunale przez wprowadzenie doń czynników, posłusznych Chrześcijańskiej Demokracji bądź z przekonania, bądź z pobudek karierowiczowskich (karierowiczem klasycznym jest sam Karoblis). Z tych to intencji

[103] Oleka Kazimieras.
[104] Draugelis Eliziejus
[105] Juozas Purickis
[106] Vailokatis Juozas

płynęła w swoim czasie nominacja Kalnetisa. Gdy kombinacja z Kalnetisem zawiodła na skutek ostrego przeciwstawienia się naszego Karoblis i stojąca za nim Chrześcijańska Demokracja, którzy może na razie nie byli zaambarasowani naszą kandydaturą Ciplijewskiego, zaczęli się mieć na baczności i dziś już w niewinnej osobie Ciplijewskiego upatrują świadome usiłowania nasze z Janulaitisem utrzymania i utrwalenia naszej pozycji w Trybunale, która im jest nie na rękę. Dlatego obecnie z całą stanowczością opierają się oni nominacji Ciplijewskiego.

13 kwietnia, rok 1923, piątek
Zajście jesienne z niefortunną nominacją Kalnetisa, które uwydatniło chybione w tym wypadku tendencje Karoblisa i na skutek naszej z Janulaitisem kategorycznej opozycji, popartej zapowiedzią dymisji, oraz na skutek niechęci samego Kalnetisa do zajęcia stanowiska poprzez moją z Janulaitisem dymisję – spaliło na panewce, otworzyło jeno obu stronom oczy na ich dążenia przeciwne. Poprzednio choć może my z Janulaitisem posądzaliśmy czasem Karoblisa i Chrześcijańską Demokrację o chętkę posiadania w Trybunale potulniejszego narzędzia zamierzeń stronnictwa rządzącego, to jednak nie sądziliśmy, by ta chętka miała być forsowaną realnie. Nominacja Kalnetisa wykazała nam, że tak jest w istocie. Skądinąd Karoblis i Chrześcijańska Demokracja w naszej opozycji dopuszczeniu Kalnetisa do Trybunału i w naszym forsowaniu kandydatury Ciplijewskiego, ostatnio ponowionej, zaczęła upatrywać coś więcej, niż tylko wystawienie kandydatury odpowiedniej. Zaczęła ona w tym upatrywać chęć utrwalenia naszej przewagi w Trybunale przez dobór odpowiedniego człowieka i niedopuszczanie ludzi, którzy by się z nami mogli nie godzić. I trzeba nadmienić, że w miarę, jak powyższe posądzenia jednej i drugiej strony zaczęły się wzmagać, każda z nich istotnie, dla przeciwstawienia się posądzanym zachciankom strony przeciwnej, utrwalała się w tego rodzaju dążeniach. Poprzednio kandydatura Ciplijewskiego, choć nie była specjalnie pożądaną dla Karoblisa, nie wydawała mu się tak niedopuszczalną, jak się wydaje teraz, gdy upatruje on w niej intrygę Janulaitisa i moją; toteż teraz bardziej niż poprzednio chodzi mu o przełamanie naszego oporu i wprowadzenie do Trybunału swojego człowieka, przypuszczam, że ewentualnie nawet kosztem naszego ustąpienia. Z drugiej strony, dla Janulaitisa Ciplijewski, którego kandydatura wpierw była u nas wypłynęła przygodnie, stał się sztandarem, którego utrzymanie uważa on za dogmat; wpierw mnie i Janulaitisowi chodziło co do kandydatury z ramienia Karoblisa tylko o samą osobę Kalnetisa, której byliśmy przeciwni; natomiast teraz Janulaitis z równą, jak poprzednio względem Kalnetisa, gwałtownością przeciwstawia się w zasadzie jakiejkolwiek bądź kandydaturze z ramienia Karoblisa i dokłada wszelkich starań, aby i mnie do takiejże bezwzględności skłonić. Słowem – obie strony, ku desperacji prezesa Kriščiukaitisa, zacietrzewiają się coraz bardziej. Z naszej strony szczególnie zacietrzewiony jest Janulaitis, bo ja osobiście byłbym gotów ewentualnie na kompromis na osobie jakiego kandydata pośredniego albo, co jeszcze lepiej, na połączeniu naraz dwóch nominacji – naszej (Ciplijewski) i ministerialnej (oczywiście nie Kalnetis, ale np. Oleka). Nazwisko Oleki wypłynęło u nas w prywatnych rozmowach jakoś przygodnie. Oleka, który obecnie jest ministrem spraw wewnętrznych i był posłem rozwiązanego Sejmu, a obecnie kandyduje znowu do Sejmu z ramienia Chrześcijańskiej Demokracji, do kariery politycznej – tak ministerialnej, jak poselskiej – niewątpliwie się nie nadaje i, zdaje się, sam niezbyt się do niej zapala. Brak mu nerwu politycznego, brak temperamentu, taktu i woli. Na stanowisku politycznym jest on manekinem i nieudolnym popychadłem stronnictwa rządzącego, kompromitującym się na każdym kroku. Brak samodzielności, tchórzliwe usposobienie i drobne karierowiczostwo

trzymania się klamki pańskiej czynią zeń kiepskiego ministra i małej wartości posła. Natomiast techniczne kwalifikacje na sędziego ma on niezłe.

14 kwietnia, rok 1923, sobota

Od czasu, gdym jadąc z Kowna do Bohdaniszek na święta wielkanocne, pożegnał się w Rakiszkach na stacji z Elwirą, wywożącą chorą Helcię za granicę do Kałkun, gdzie ją miał spotkać Elwiry mąż, Stefan Mieczkowski, i skąd Elwira w towarzystwie Stefana miała już wieźć Helcję dalej – do polski, do Warszawy – odtąd ani słuchu o Elwirze i Helci. Ani w Bohdaniszkach, ani tu w Kownie dotąd ani słówka wiadomości od Elwiry jeszcześny nie otrzymali. Jaki jest tam dalszy los biednego chorego dziecka, co orzekli lekarze w Warszawie, jakie są szanse na wyzdrowienie, gdzie bawi Elwira, czy Helcia czasem nie umarła – bo i to możliwe – nie wiemy nic.

Wakacje letnie tegoroczne zamierzam spędzić w sposób bardzo urozmaicony, poświęcając ich znaczną część wycieczkom. Jest to moja rozrywka ulubiona, na której samą myśl aż mi ślina do ust napływa, jak smakoszowi na wspomnienie uczty. Mianowicie mam projekty takie: przede wszystkim zajrzeć do Paryża, na króciutko, na jakichś dni pięć lub najdłużej na tydzień. Będzie to pielgrzymka do moich paryskich wspomnień i pamiątek młodości, zarazem przewietrzenie się na szerokim świecie, zobaczenia Paryża powojennego, huk wrażeń, odwiedzenie paru dawnych znajomych i przyjaciół paryskich, w pierwszym rzędzie dr Bolesława Motza[107], poinformowanie się przy tej okazji o mojej wiernej przyjaciółce pannie (obecnie już starej pannie) Teodozji Kochanowskiej[108] dla wznowienia z nią korespondencji itd. Nasz prof. Balogh z okazji mojej jazdy do Paryża nosi się z projektami skomunikowania się tam przez p. Miłosza[109], posła litewskiego w Paryżu, z pewnymi sferami literacko-naukowymi francuskimi dla zorganizowania jakiegoś wydawnictwa franko-litewskiego, w którym przeznacza dla mnie jakąś rolę czynną. Ale o tym pomówimy w swoim czasie, gdy się to klarować zacznie, bo dotąd te projekty Balogha, który jest zaiste niewyczerpany w inicjatywie, nie są mi jeszcze dość wyraźne. Z Paryża chcę w drodze powrotnej zajrzeć do Gdańska, zarówno dla zwiedzenia tego kilkakrotnie ciekawego miasta, jak dla *rendez-vous*[110] z Ewą Meyerową[111], Maryni córką, której w Gdańsku spotkanie wyznaczam. Chcę, by mi tam do Gdańska Ewa przywiozła osobiście paczkę moich dzienników, których kilkanaście zeszytów leży od r. 1920 na przechowaniu u p. Tadeusza Wróblewskiego w Wilnie, a o których sprowadzenie do Kowna bardzo mi chodzi. Lokata stała mego dziennika na wypadek mojej śmierci, by się on nie zmarnował i nie zaginął i by kiedyś po latach odżył on jako dokument historyczny, leży mi od dawna na sercu. Wciąż szukałem instytucji, w której bym go zlokować mógł w depozyt warunkowy. Chcę go mianowicie zlokować w depozyt taki, który by po śmierci mojej przeszedł na własność tej instytucji z zastrzeżeniem otwarcia go do użytku publicznego dopiero po upływie pewnej z góry określonej ilości lat od daty śmierci, np. za lat 30. Otóż obecnie umyśliłem zlokować go w tworzonym w Kownie z ramienia Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Litewskiego – Muzeum Kultury, którego kierownikiem ma być ksiądz Tumas[112]. Być może, że oprócz dziennika mego złożę w tym Muzeum Kultury także inne papiery archiwum mego, jak np. korespondencję, różne rękopisy itd. Wracając do podróży mojej wakacyjnej, zamierzam z Gdańska po

[107] Motzas Bolesławas (Motz Bolesław)
[108] Kochanovska Teodozija (Kochanowska Teodozja, vėliau Paton)
[109] Liubič-Miloš-Milašius Oskaras Vladislovas (Oscar Vladislas de Lubicz Milosz)
[110] *rendez-vous* (pranc.) – pasimatymas, susitikimas.
[111] Mejerova Eva Helena (Mejerowa Ewa Helena).
[112] Juozas Tumas-Vaižgantas.

rendez-vous z Ewą Meyerową wrócić do Kowna i stąd wybrać się na Taurogi w gościnę do mego przyjaciela Adolfa Grajewskiego do jego majątku Papanowa. Na wyjazd z Papanowa chcę sprowadzić do Taurog mego synowca Stefana Römera z Bohdaniszek, syna Maryni, w którego towarzystwie moim kosztem chcę wykonać wycieczkę kilkudniową do Kłajpedy i do Juodkrantis na Mierzei Kurońskiej nad moje ukochane morze. A stamtąd już wraz ze Stefanem – do Bohdaniszek, gdzie spędzić w zaciszu wiejskim resztę wakacji. Ze względu na prace uniwersyteckie wakacje rozpocznę nie wcześniej w tym roku, jak w połowie czerwca albo może nawet w połowie lipca. Sądzę, że ta przyjemność będzie mię kosztowała około 2000 litów. Słono, ale trzebaż czasem i użyć.

15 kwietnia, rok 1923, niedziela
Rano w gmachu uniwersytetu odbyło się nasze zwyczajne posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego. Obecni byli Leonas, Kriščiukaitis, Mačys, Balogh, Wacław Biržiška, Tumenas, Büchler, Morawski i ja. Debatowane były różne sprawy bieżące i w szczególności dwie, o których tu wspomnę. Mianowicie jedną z nich jest wydawanie specjalnego organu wydziału. Jak w innych kwestiach, tak w tej nasz wydział w stosunku do innych wydziałów się późni. Inne wydziały już się zaopatrzyły w swoje organy zawodowe publikacji, przeważnie zastosowując do tych potrzeb którykolwiek z miesięczników odpowiedniej dziedziny wiedzy, już wychodzących poprzednio. My tego uczynić nie możemy, bo jedyne w Litwie pismo prawnicze „Teisė”, wydawane w roku ubiegłym przez Towarzystwo Prawnicze, przestało wychodzić na skutek cofnięcia subsydium państwowego. Zresztą „Teisė” była organem raczej praktycznym, dotyczącym praktyki sądowej i potrzeb ustawodawstwa, a o ile uda się ją Towarzystwu Prawniczemu wznowić, ma ona być jeszcze bardziej w tym właśnie kierunku zaakcentowana, podczas gdy Wydział Prawniczy ma na myśli organ ściśle naukowy. Dyskusja toczyła się głównie na temat, czy to ma być czasopismo prawniczo-naukowe, redagowane i wydawane przez wydział, czy też wydawnictwo prac wydziału. Przyjęto tę ostatnią formę z moja poprawką, która pogodziła oba kierunki, mianowicie z poprawką, że poza pracami wydziału dopuszczane będą w organie i prace nadesłane, o ile zyszczą sankcję wydziału. Kwestia redakcji i inne kwestie techniczne na razie zostały odroczone. Druga sprawa przedyskutowana i uchwalona – to zaangażowanie Weryhy-Darowskiego[113] na lektora do prowadzenia specjalnego kursu pomocniczego i seminarium przy katedrze prawa finansowego w zakresie systemu podatkowego i egzekucji podatków. Weryho, który sam przed wojną był w Petersburgu inspektorem podatkowym i bodajże należał do liczby kierowników odpowiednich ćwiczeń praktycznych dla studentów Politechniki Petersburskiej, uchodzi za wybitnego specjalistę spraw podatkowych, zwłaszcza praktyka. Zgłosił on odpowiednią propozycję do wydziału. Pokrowski[114], który zajmuje u nas katedrę prawa finansowego, zalecił wydziałowi gorąco zainicjowanie takiego kursu pomocniczego z seminarium specjalnym. Przeciwko temu projektowi była w wydziale głucha opozycja, głownie bodaj ze względu na narodowość Weryhy, który jest Polakiem i który skądinąd słabo włada językiem litewskim. Opozycję tą, a raczej niechęć, reprezentował najsilniej nasz dziekan Leonas, a bodajże i Kriščiukaitis. Choć Leonas nie bardzo się z tym afiszował i oczywiście co do motywów niechęci, to ich nie wyrażał, ale to się czuło, a zresztą i wiedziało się o tym. Z właściwą krytyką wniosku o zaangażowanie Weryhy wystąpił Wacław Biržiška, który wszakże nie może być posądzony o niechęć z motywów narodowych, bo jest on od nacjonalizmu jak najdalszy, toteż jego krytyka była czysto

[113] Darevskis-Veryha Antanas-Ignas
[114] Pokrovskis Mikalojus.

rzeczowa, dotycząca wątpliwości li tylko co do samej potrzeby takiego kursu. Bardzo mocno jednak poparli tę sprawę Mačys i Tumenas, tak ze względu na samą użyteczność przedsięwzięcia ze stanowiska potrzeby państwowej, jak też ze stanowiska kandydatury osoby Weryhy. Ich głosy dały wnioskowi tak mocną podstawę, że i opozycja Leonasa cofnęła się i zrezygnowała, wobec czego kandydaturę Weryhy uchwalono. Czy jednak Weryho zaakceptuje wobec wprost śmiesznie niskiej stopy wynagrodzenia lektora albo czy ewentualnie ta stopa wynagrodzenia bodaj czy nie po 10 litów miesięcznie za godzinę tygodniową da się przez nas podnieść dal Weryhy – tego nie wiem.
Odbyło się po obiedzie posiedzenie Towarzystwa Prawniczego, o którym wspomnę pod data jutrzejszą.

16 kwietnia, rok 1923, poniedziałek
Wspomniałem wczoraj, że byłem po obiedzie na posiedzeniu Litewskiego Towarzystwa Prawniczego. Na posiedzeniu tym, oprócz dwóch zgłoszonych referatów, miała być omawiana także sprawa wznowienia wydawnictwa „Teisė". Posiedzenie było tak bezbarwne, referaty tak nudne, że właściwie nie warto byłoby o nim wspominać, a jeżeli wspominam, to tylko ze względu na „Teisė". Referaty były zgłoszone przez Tumenasa i przez adwokata Bojewa. Tumenas podzielił się ze zgromadzeniem swoimi wnioskami co do interpretacji jednego z artykułów działającego Kodeksu Cywilnego, dotyczącego prawa spadkowego. Wnioski jego nie trafiły mi wcale do przekonania, ale na ogół „referat: ten żadnej wymiany zdań nie wywołał. Bojew zaś, który zapowiedział ciekawy referat na temat zastosowania waluty litowej do zobowiązań i wypłat, pochodzących sprzed wprowadzenia tejże waluty, zawiódł oczekiwania tych, co go przyszli słuchać. Sądzono, że udzieli on wniosków „*de lege ferenda*"[115] w tej piekącej kwestii, która budzi tyle nieporozumień i sporów w praktyce sądowej i która cechuje się dotkliwą luką w ustawodawstwie. Tymczasem zamiast tego Bojew uraczył nas referatem w duchu opracowania szkolnego na temat o tym, jak się znalazły i jaką jest funkcja pieniędzy. Toteż ponieważ członkowie Towarzystwa Prawniczego nie są uczniakami ani nawet, w większości swojej, studentami uniwersytetu i ponieważ referat Bojewa (czytany z rękopisu przez sędziego Milczyńskiego w tłumaczeniu litewskim z rosyjskiego) stanowił ostatni punkt porządku dziennego, więc członkowie jeden po drugim wymykali się na palcach z sali i ulatniali się, tak że gdy ja wyszedłem, na sali pozostało bodajże czterech słuchaczy i sądzę, że gdy Milczyński[116] dokończył lektury referatu, na sali pozostał już tylko Milczyński, sam Bojew i przewodniczący posiedzenia prezes Kriščiukaitis. Co zaś do wznowienia wydawnictwa „Teisė", to też nic nie uchwalono, bo z powodu nieobecności sekretarza i skarbnika Towarzystwa brakło wszelkich informacji, a nawet w braku egzemplarza statutu Towarzystwa niepodobna było ustalić, czy jest kworum dla uchwał prawomocnych. Prezes Kriščiukaitis projektuje wydawanie wznowionej „Teisė" w postaci periodycznych miesięcznych zeszycików jednoarkuszowych, poświęconych li tylko zagadnieniom praktycznym ustawodawstwa, krytyki i komentowania ustaw oraz praktyki sądowej z ekstraktami tez z wyroków Trybunału, z całkowitym natomiast wyłączeniem artykułów teoretycznych. Najtrudniejszą jest kwestia sfinansowania wydawnictwa bez subsydium rządowego, pomimo że wydawnictwo w zaprojektowaniu Kriščiukaitisa nie kosztowałoby drogo. Kriščiukaitis chciałby oprzeć finansowanie organu na podniesieniu stopy składki członkowskiej Towarzystwa, prenumeracie i subsydium Rady Adwokackiej, która jednak dotąd subsydium nie zgłosiła.

[115] *De lege ferenda* (lot) – pagal būsimus įstatymus.
[116] Milčinskis Aleksandras

17 kwietnia, rok 1923, wtorek

Uzupełnię jeszcze to, com pisał o Olece i o wakansie trybunalskim. Olekę znam dobrze z czasów, gdym przed dwoma laty kolegował z nim w sądzie okręgowym w Kownie. Na stanowisku sędziego był on starannym i sumiennym pracownikiem i w dodatku prawnikiem dobrym, dość biegłym w ustawach i umiejącym operować pojęciami prawnymi. Był zawsze bardzo uważny w sądzeniu spraw, może nawet zanadto pedantycznie ważący wszystkie względy *pro* i *contra*[117]. Słowem – nie miałem mu nic do zarzucenia. Uważałem, że nawet w sprawach dworów z włościanami, mimo że Oleka był w początkach państwowości litewskiej autorem ustaw, torujących drogę do reformy agrarnej i przeto nacechowanych wyraźną tendencją przeciwko dworom, Oleka nie dawał się bynajmniej unosić tej tendencji i zawsze bezstronnie, rzeczowo analizował stosunek prawny ze stanowiska ustawy i nie wahał się czynić wniosku, który by dawał zwycięstwo dworowi nad włościaninem, gdy prawo było po stronie dworu; tu bezstronność nie jest bynajmniej cechą ogólną sędziów w obecnych stosunkach politycznych. Oleka był w sądzie okręgowym cywilistą. Specjalnością jego były stosunki własności ziemskiej oraz zwłaszcza i oczywiście prawo notarialne, ponieważ przed wojną za czasów rosyjskich był on w Kownie pomocnikiem starszego notariusza przy sądzie okręgowym i przez czas jakiś pełnił obowiązki tegoż. Z tych względów byłem zawsze zdania, że przy zwiększeniu składu osobistego Trybunału będziemy mieli w osobie Oleki kandydata na stanowisko sędziego w Trybunale. Z sądu okręgowego Oleka wycofał się w roku 1921, nie umiejąc się pogodzić z nieładem, jaki tam panował. Po ustąpieniu objął stanowisko dyrektora Centralnego Archiwum Państwowego, a następnie w r. 1922 powołany został przez Gałwanowskiego do tworzonego przez tegoż gabinetu ministrów na stanowisko ministra spraw wewnętrznych, następnie zaś z ramienia Chrześcijańskiej Demokracji, do której szeregów wstąpił, przyjął mandat do Sejmu zeszłorocznego i obecnie kandyduje do Sejmu z tegoż ramienia znowu, będąc zresztą dotąd ministrem. Na stanowisku ministra okazał się Oleka niezdarnym, a co gorsza – skompromitował się wielokrotnie, wysługują się zbyt gorliwie stronnictwu rządzącemu lub faworyzując rozmaite jednostki, względnie kliki lub manewry tychże z jaskrawym lekceważeniem zasad prawa. Po głośnej sprawie szarlatana Grublewskiego, protegowanego przez księży, którego Oleka wziął w opiekę, płacąc represjami władzom powiatowym i lekarskim w Rosieniach za usiłowania zdemaskowania i względnie pociągnięcia do odpowiedzialności popularnego znachora, leczącego ludzi przez całowanie ich ran itp., Oleka, brnąc coraz dalej w wysługiwanie się partii rządzącej, w ostatnich czasach skompromitował się znowu w trzech głośnych sprawach: 1. sprawa oddania arcybiskupowi prawosławnemu Elentariuszowi, nominalnemu biskupowi wileńsko-litewskiemu, wygnanemu z Polski za to, że odmówił posłuszeństwa władzom autocefalnej cerkwi prawosławnej w Polsce w imię zależności tejże cerkwi od patriarchy w Moskwie, otóż powiadam – oddanie Elentariuszowi gmachu, który za czasów rosyjskich należał do prawosławnego bractwa św. Mikołaja, a w którym obecnie mieściło się anatomikum uniwersyteckie; fawor ten dla arcybiskupa prawosławnego był przeciwny prawu i szkodliwy dla uniwersytetu; sprawę tę podniósł w prasie Janulaitis; 2. sprawa zamazywania szyldów żydowskich i polskich; zamazywanie to jak w Kownie, tak na prowincji nie mogło być wykonane bez wiedzy milicji, która na to patrzała przez palce i oczywiście musiała mieć odpowiednie instrukcje; w Sejmie minister Oleka, pod którego władzą jest milicja, w odpowiedzi na wystosowane do niego zapytanie w tej sprawie, wyraził ubolewanie z powodu

[117] *pro* i *contra* (lot.) – už ir prieš.

zamazywania szyldów i zapewnił, że gdyby sprawcy zostali wykryci, to byliby pociągnięci do odpowiedzialności sądowej, wreszcie wezwał, by każdy, kto może udzielić jakichś wskazówek co do sprawców, udzielił ich; gdy zaś poseł socjalno-demokratyczny Markowski[118] złożył ministrowi na piśmie oświadczenie, wskazujące sprawców i podające dokładne szczegóły całego wykonania tej rzeczy, prasa chrześcijańsko-demokratyczna okrzyknęła Markowskiego denuncjatorem, a minister Oleka przetrzymał skargę pod suknem bez skutku, dając winowajcom czas, a zapewne i wskazówki dla ukrycia śladów ich czynu; 3. sprawa wprowadzenia milicji zbrojnej i uzbrojonych ochotników do gmachu sejmowego w dniu ogłoszenia w Sejmie dekretu Prezydenta o rozwiązaniu Sejmu; kto wydał odnośne rozporządzenie milicji – tego się nie udało wyjaśnić; oczywiście stało się to nie bez wiedzy ministra; wiceminister Karpė, który protestował przeciwko temu pogwałceniu wolności i powagi Sejmu, otrzymał od Oleki dymisję.

18 kwietnia, rok 1923, środa
O kandydaturze Oleki do Trybunału ani w jesieni, ani teraz do ostatnich czasów nie myśleliśmy. Wiedząc, że jest ministrem i posłem sejmowym, nie sądziliśmy, by rozpoczętą karierę polityczną chciał porzucać dla powrotu do sądownictwa, z którym sam przed dwoma laty zerwał, ustępując z sądu okręgowego. W ostatnich jeno czasach, po rozwiązaniu Sejmu i już po ponownym uchwaleniu kandydatury Ciplijewskiego do Trybunału, jakoś w rozmowie z prezesem Kriščiukaitisem o konflikcie bez wyjścia w sprawie nominacji trzeciego członka Trybunału zgadaliśmy się o Olece i ja wyraziłem opinię, że na jego kandydaturę byłbym się zgodził. Janulaitis wyrażał się przeciwko Olece, ale rzecz nie była zresztą traktowana konkretnie. Zdaje się jednak, że Kriščiukaitis bardzo by tego pragnął i że chętnie by na tę drogę sprawę skierował. Podprokurator Trybunału Valtys, z którym prezes zapewne o tym mówił i który jest kolegą Oleki z lat dawnych, zapytywał już go, czy by się ewentualnie nie zdecydował na stanowisko sędziego w Trybunale, na co mu podobno, jak mi powiadał prezes, Oleka odpowiedział, że uczyniłby to z największą chęcią, porzucając i tekę ministerialną, i mandat poselski dla Trybunału. Dotąd żadnych konsekwencji formalnych to nie miało, ale tymczasem Janulaitis, który wie o tym ode mnie, jest bardzo zaniepokojony i namawia mię do stanowczej opozycji. Wskazuje on na metody karierowiczowskie Oleki wysługiwania się interesom prywatnym i partii rządzącej na stanowisku ministra spraw wewnętrznych, na deptanie przezeń przepisów i względów prawa i zapytuje, czy taki osobnik może być odpowiednim na stanowisku sędziego, zwłaszcza w najwyższym organie sądu, który winien świecić niezależnością i stać zawsze na straży prawa bez względu, czy to komu dogadza, czy nie. Z pewnością są to zastrzeżenia poważne. Że Oleka ma usposobienie karierowicza i że liczy się bardzo z powagami – o tym wiem, bom to w kilku wypadkach sam zaobserwował, mimo że, jak rzekłem, w charakterze sędziego umiał być bezstronny. Znany jest fakt, że za czasów rosyjskich przed wojną, gdy Oleka pełnił obowiązki starszego notariusza, bał się on w Kownie, nie tylko w biurze swego urzędowania, ale i poza nim, rozmawiać publicznie po litewsku. Janulaitis wskazuje na to, że teraz, dopóki jest brak prawników w kraju i dopóki rządząca Chrześcijańska Demokracja musi się z nami (z Janulaitisem i ze mną) w Trybunale liczyć, bo nie miałaby nas kim zastąpić, gdybyśmy wyszli i musiałaby przeto ponosić odpowiedzialność za pozbawienie Trybunału siły fachowej, jaką reprezentujemy, odpowiedzialność tym większą, im luka byłaby znaczniejszą i im imiona nasze są

[118]Markauskas Mečys

bardziej znane i cenione w sądownictwie i w kraju, powinniśmy w poczuciu tej naszej siły przeciwstawiać się mocno zakusom Chrześcijańskiej Demokracji i jej Karoblisów wprowadzenia do Trybunału elementów posłusznych i wysługujących się władzy, złamania niezależności naszej i uczynienia z Trybunału dogodnego i giętkiego narzędzia, które w razie potrzeby będzie sankcjonowało dokonywane przez stronnictwo rządzące różne przewrotne nakręcanie prawa i nawet samej konstytucji, a takim właśnie mógłby się stać w Trybunale Oleka. Jeżeli ustąpimy – powiada Janulaitis – to spaskudzimy Trybunał i wreszcie wszystko jedno będziemy musieli zeń ustąpić, gdy się w nim rozpanoszy służalstwo i naciąganie prawa do potrzeb czynników władzy i partii. Janulatis wskazuje, że to jest naszym obowiązkiem w Trybunale i że dziś jeszcze mamy siłę, z którą się różni Karoblisowie liczyć muszą. A gdy siły tej dla oporu używać nie będziemy, to dziś nas w Trybunale zniwelują kreaturami karierowiczowskimi, a jutro, gdy po leciech kilku wytworzą się i wytrawią kadry nowych prawników, usuną nas, bo już nie będziemy potrzebni.

19 kwietnia, rok 1923, czwartek
Pomimo że pracowałem dużo i intensywnie (bieżące zadanie dzienne: pisanie wykładu uniwersyteckiego, dłuższy wyrok kasacyjny, list, dwie godziny wykładu na uniwersytecie po obiedzie), nie czuję się zmęczony i byłbym zupełnie zdolny do zapełnienia karty dziennika, do której wziąłbym temat ze sfery wyborów i moich wniosków mojego osobistego głosowania. Że jednak jest późno, nie chcę siebie wyczerpywać i odraczam to w dzienniku do jutra.

20 kwietnia, rok 1923, piątek
Dotąd nie ustaliłem ostatecznie, na kogo będę głosować w zbliżających się wyborach do Sejmu. Wprawdzie po długich wahaniach zaczynam się już skłaniać ku pewnej decyzji, ale nie jest ona jeszcze ani ostateczna, ani kategoryczna. I jakąkolwiek ostatecznie decyzję powezmę, będzie ona w każdym razie z mego stanowiska kompromisowa. To znaczy, że w obecnym układzie stronnictw i grup wyborczych, reprezentowanych przez zgłoszone listy kandydatów, nie ma żadnego stronnictwa i żadnej grupy, które by lub która by odpowiadała bez zastrzeżeń moim aspiracjom. Nie miałbym kłopotu z decyzją, gdyby ordynacja wyborcza pozwalała wyborcy samemu ułożyć swoją listę imion kandydatów, wybranych spośród rozmaitych list zgłoszonych. Wówczas z rozmaitych list wybrałbym nazwiska i ułożyłbym sobie listę, którą bym z całym przekonaniem wrzucił do urny wyborczej jako mój głos. Na liście takiej znaleźliby się kandydaci rozmaitych list, tak partyjnych litewskich, jak narodowych polskich. Ale ordynacja wyborcza zabrania to czynić. Stosownie do tendencji społecznej zastąpienia aspołecznego narodu czy ludu (*peuple*) przez zróżniczkowane społecznie związki, tendencji, która, acz urzędowo, w doktrynie demokratycznej, uznawana nie jest jako niewątpliwie sprzeczna z klasycznym tej doktryny wyrazem, jednak w praktyce tzw. państw demokratycznych z siłą żywiołową toruje sobie drogę – wolno głosować li tylko na zgłoszone listy *en bloc*, bez żadnych poprawek, pod groźbą unieważnienia głosu. Toteż trzeba wybierać między zgłoszonymi listami jedną i albo wybrać i głosować na nią, albo, nie wybrawszy żadnej, nie wykonać aktu głosowania. Wybór dla mnie z wielu względów nie jest łatwy.
List zgłoszonych jest dużo, tym bardziej, że więcej nawet, niż było na ubiegłych wyborach w jesieni. W istocie jednak redukują się one do kilku zasadniczych, którym służą rozmaite listy podrzędne o charakterze ekspozytur. Nieraz bowiem kilka list pod różnymi nazwami nie stanowi w istocie nic innego, jak kilka wędek z przynętami, zastosowanymi do gustu rozmaitych kategorii wyborców dla skuteczniejszego

zwabienia tychże, ale kierowanych w rzeczywistości jedną ręką. Pierwszy podział zasadniczy list dotyczy ich zróżniczkowania na listy społeczne litewskie i listy narodowe mniejszości narodowych. W liczbie tych ostatnich jedną grupę stanowią listy polskie, drugą – listy innych mniejszości z Żydami na czele. Ta druga podgrupa opiera się na zawartym z góry kompromisie wyborczym między Żydami, Niemcami i grupą tzw. rosyjsko-białoruską oraz łotewską. Żydzi są w tym układzie czynnikiem najpoważniejszym. Blok ten wystawia jedną solidarną listę wspólną, a oprócz tego wystawiane są gdzieniegdzie poszczególne listy żydowskie, które, zdaje się, zblokowane będą z zasadniczą listą wspólną. Co do list tych mniejszości narodowych z Żydami na czele, to one w osobistej mojej decyzji nie ważą, bo z nimi nic mię nie łączy.

21 kwietnia, rok 1923, sobota
Drugą, osobną grupę mniejszości narodowych stanowią Polacy. Dotąd Polacy nie zblokowali się z grupą żydowsko-niemiecko-rosyjską i jeszcze idą samopas. Polacy mają wielką ochotę do takiego zblokowania się, bo zabezpieczyłoby ono głosy polskie od zmarnowania w tych okręgach wyborczych, w których ilość tych głosów nie dosięgnie pełnej liczby dzielnika wyborczego, jak to miało miejsce podczas wyborów jesiennych w głośnej interpretacji art. 76 ordynacji wyborczej przez Główną Komisję Wyborczą. Dotąd tylko Żydzi, stojący na czele bloku żydowsko-niemiecko-rosyjskiego, ociągali się ze zblokowaniem tego związku z listami polskimi, wahając się między użytecznością praktyczną takiego zblokowania się pod względem lepszego wyzyskania głosów a pewną obawą przed ostrym podrażnieniem opinii narodowej litewskiej, która w ogóle Polaków uważa za największych wrogów niepodległości i skojarzenie się Żydów i innych mniejszości z Polakami uznano by za akt podwójnie ujemnie cechujący Żydów ze stanowiska państwowego: *primo*, jako dowód jaskrawy, że Żydzi też są państwowości tej wrogami, skoro się z jej wrogami łączą, i *secundo* – jako spisek niebezpieczny przeciwko narodowości litewskiej. Żydzi wiedzą, że ewentualne zblokowanie się ich z listami polskimi będzie wyzyskane przez niezmiernie szybko rosnący w ostatnich czasach prąd antysemicki u Litwinów; wiedzą, że dostarczy to temu prądowi nowego argumentu i będzie punktem wyjścia do nowej hecy. Ale że skądinąd i bez tego prąd antysemicki szybko i gwałtownie rośnie, wyrastając u Chrześcijańskiej Demokracji do poziomu prawdziwej nagonki i hasła narodowego i nie znajdując bynajmniej przeciwwagi na lewicy, która, terroryzowana ofensywą Chrześcijańskiej Demokracji, unika starannie tego, co może być przeciwko niej w instynktach mas przez Chrześcijańską Demokrację rozdmuchane, a przeto boi się miana szabesgojów i parobków żydowskich i, aby mieć argument przeciwko takiemu mianu, gotowa nawet sama przy stosownej okazji ukąsić trochę Żydów, a w żadnym razie w ich obronie kopii nie kruszyć – z tych przeto względów Żydzi, wiedząc dobrze, że czy to w bloku z Polakami, czy bez tego bloku – antysemityzm nadal rozwijać się logicznie będzie, a ustępstwo ze strony Żydów nie rozczuli rzeczników antysemityzmu i nie rozbroi ich; prawdopodobnie, dając przewagę względom korzyści konkretnych, zdecydują się na zblokowanie z listami polskimi. To się w tych dniach okaże. List polskich jest kilka, więcej niż na wyborach jesiennych, na których były tylko dwie: Komitetu Centralnego i włościańsko-robotnicza, czyli „Strzechy Rodzinnej”. Teraz np. w okręgu wyborczym kowieńskim są trzy listy polskie: wspólna narodowa Komitetu Centralnego o zabarwieniu prawicowo-obszarniczym i dwie ludowo-robotnicze, z których jedna wyraźnie podkreślająca charakter katolicki. W istocie jednak te trzy listy są tylko formalnie różne i mają znaczenie tylko co do podziału wewnętrznego mandatów, zyskanych głosami polskimi. Wszystkie one są między sobą zgrane, są skoordynowane wspólnym kierownictwem i wspólnym stanowiskiem zasadniczym wobec zagadnienia

narodowości i stosunku do państwa. Wszystkie są tez oczywiście między sobą zblokowane, to znaczy, że na zewnątrz stanowią jeden obóz. Listę odrębną, polującą także na głosy polskie, aczkolwiek w istocie litewską tak państwowo, jak narodowo, albo raczej litwinizacyjną, stanowi lista tzw. „Związku Ludzi Pracy”, czyli lista „Nowin” Rusieckiego[119], która tym razem wystawiła na czele nazwisko Michała Biržiški.

22 kwietnia, rok 1923, niedziela
Przed obiadem byłem na uniwersytecie na posiedzeniu Rady Wydziału Prawniczego. Obecni byli Leonas, Kriščiukaitis, Mačys, Balogh, Wacław Biržiška, Tumenas, Šalčius i Büchler. Z ważniejszych spraw, które omawiano i uchwalono, zanotuję następujące. Ochrzczono przyszły organ prasowy wydziału nazwą „Teisių fakulteto raštai” („Pisma Wydziału Prawniczego“). Kriščiukaitis nalegał, aby dać temu organowi jakąś nazwę imienną i proponował „Lietuvos Teisė“ („Prawo Litewskie“). Większość jednak, zważywszy, że to będzie nie czasopismo periodyczne prawnicze, tylko redagowane i wydawane przez wydział, lecz wydawnictwo prac samego wydziału, względnie jego członków, w którym inne prace będą publikowane li tylko z mocy uchwały wydziału, odrzuciło nadawanie takiemu wydawnictwu jakiejś nazwy imiennej. Na redaktora tego organu wyznaczono Kriščiukaitisa. Drugą sprawą było rozstrzygnięcie prośby paru osób, w ich liczbie dyrektora departamentu Ministerium Spraw Zagranicznych Bronisława Balutisa, które ukończyły prawo na uniwersytetach lub innych wyższych zakładach naukowych za granicą (Balutis – w Stanach Zjednoczonych w Chicago, drugi – w Lozannie) i posiadają dyplomy, lecz dyplomy te, jako zagraniczne, nie dają im praw w Litwie, udzielenia im dyplomu naszego uniwersytetu po ewentualnym złożeniu uzupełniających egzaminów, jakie uznamy za konieczne. Wbrew opinii mojej i Mačysa, którzyśmy byli zdania, że rzecz ta musi być rozstrzygnięta drogą ustawodawczą, uchwalono większością głosów, że dyplomowanym prawnikom uniwersytetów obcych mogą być udzielane dyplomy prawa Uniwersytetu Litewskiego po zdaniu przez nich uzupełniająco egzaminów w każdym razie z prawa cywilnego, procesu cywilnego, prawa karnego, procesu karnego i historii prawa litewskiego oraz ewentualnie tych przedmiotów, które są u nas wykładane jako obowiązujące do dyplomu, a które przez odpowiednich reflektantów nie były w ich naukach na uniwersytetach zagranicznych uwzględnione. Wreszcie trzecia sprawa – to zorganizowanie wiosennego i jesiennego cyklu wykładów publicznych na uniwersytecie. Takie cykle wykładów organizują inne wydziały, toteż organizujemy je i my. Mają one trwać w ciągu miesiąca po zakończeniu semestru letniego i w ciągu miesiąca przed rozpoczęciem semestru jesiennego. Jest to oczywiście zapoczątkowanie bardzo użyteczne, wzorowane na praktyce współczesnej wszystkich bodaj uniwersytetów, dążących do zbliżenia wiedzy do społeczeństwa, do wyjścia nauki i jej zdobyczy z murów szkolnych uniwersytetu na użytek szerokiej publiczności. Ewentualnie każdy z prelegentów poświęci temu kilka wykładów, w których albo podejmie i omówi jakieś ciekawsze i ogólniejsze zagadnienie swojej nauki, albo streści wyniki swojej pracy naukowej rocznej. Ja zapowiedziałem moje wykłady publiczne na cykl jesienny. Da mi to wprawdzie znowu trochę pracy dodatkowej, ale – *il le faut*[120].

23 kwietnia, rok 1923, poniedziałek
Znowu urządziłem dziś na wykładzie porannym na uniwersytecie kolokwium dla moich słuchaczy. Mniej było tym razem słuchaczy, niż na pierwszym kolokwium przed

[119] Petras Ruseckas
[120] *il le faut* (pranc.) – to reikia.

świętami. Tłumaczy się to nie tylko tym, że ci, którzy już raz kolokwium odbyli, nie przychodzą na drugie kolokwium, bo to już jest dla nich zbyteczne, ale także tym, że w ogóle na wykładach porannych znacznie mniej bywa studentów, niż na popołudniowych (stosunek jest co najmniej jak 1:4). Jeszcze znaczna ilość studentów II semestru, którym wykładam, kolokwium nie odbyła, toteż będę kontynuować kolokwia poniedziałkami, poświęcając dwie godziny poobiednie czwartkowe wykładowi. Z kolokwiów przekonywam się, że poziom wykształcenia naszych studentów nie jest na ogół zbyt wysoki i że pracy naukowej większość nie poświęca dużo czasu. Że nie mają oni jeszcze wiedzy i że na kolokwiach odpowiedzi na zadane pytania wypadają pod względem naukowym słabe, to mię nie dziwi, bo trudno im z pamięci zachować w głowie cała treść wykładów, a litografowane odbitki wykładów moich są dopiero w niewielkiej części gotowe i zresztą może dla niektórych do nabycia za drogie (nie wiem, po ile są one wśród studentów sprzedawane; ich litografowaniem czy hektografowaniem zajmują się sami studenci{; ale na ogół większa część odpowiedzi nie grzeszy nie tylko zbytkiem wiedzy, ale także zbytkiem przeciętnej inteligencji. Są jednak i tacy, u których myśl pracuje. Wszakże takich, którzy udzielili rzeczywiście dokładnych odpowiedzi i którzy widocznie znają przedmiot, znalazło się zaledwie dwóch: niejaki Abramowicz, Żyd w mundurze wojskowym, i pewien Litwin, którego nazwiska nie pamiętam, a który pracuje w redakcji dziennika ludowców „Lietuvos Žinios". Kolokwia i dla mnie samego są dodatnie, bo ćwiczą mię w ogarnianiu równolegle różnych części mojej nauki i spajaniu ich jedną linią myśli. Na kolokwiach tych więcej mi samemu wypada odpowiadać na zadawane pytania, niż słuchać odpowiedzi studentów.

24 kwietnia, rok 1923, wtorek
Rozmówiłem się dziś z księdzem Tumasem w sprawie zlokowania kompletu mojego dziennika w założonym tu Muzeum Kultury. Od dawna szukam takiej instytucji publicznej dla tej lokaty. Wprawdzie niektórzy, z którymi się w tej kwestii co do Muzeum Kultury radziłem, odradzali mi lokować w niej dziennik, mówiąc, że instytucja jest jeszcze zbyt młoda, że nie wiadomo, co się z nią stanie albo że w ogóle instytucja publiczna nie daje należytej gwarancji i powoływali się przy tym na przykład Rosji, w której po rewolucji bolszewicy otworzyli wszelkie archiwa i nie krępując się żadnymi zastrzeżeniami formalnymi ujawnili to, co było w nich zdeponowane z zastrzeżeniem tajności, to jednak względy te mię nie przekonały. Dziennik chcę zlokować do czasu mojej śmierci na warunkach depozytu, z tym warunkiem, że po mojej śmierci przechodzi on na własność zbiorów instytucji z zastrzeżeniem, iż przez lat 25 od dnia mojej śmierci nie będzie otwierany, a po upływie tego terminu stanie się on dostępnym dla użytku publicznego bez żadnych ograniczeń. Muzeum Kultury jest młodziutką instytucją, założoną przez Wydział Humanitarny Uniwersytetu Litewskiego. To mi daje pewną gwarancję trwałości, a przynajmniej ładu tej instytucji, bo jakiekolwiek by zaszły w kraju wypadki, to przecież chyba Uniwersytet Litewski nie zginie, a przeto i instytucje jego przetrwają. Nie jest to jakieś przedsięwzięcie luźne, które się z łatwością rozsypać może. Kierownikiem jego jest obecnie ks. Tumas, jedna z najczystszych, najszlachetniejszych i najdzielniejszych postaci społeczeństwa narodowego litewskiego. Muzeum to ma na celu gromadzenie wszelkich „dokumentów człowieka", w szczególności zaśześrodkowywanie wszelkich archiwów prywatnych korespondencji, pism, dokumentów, aktów, fotografii, zbiorów itd., tak historycznych, jak współczesnych. Dziś jest ono jeszcze niemal puste i mieści się w niewielkim pokoiku, udzielonym na ten cel w lokalu Ministerium Oświaty. Głównym jego na razie bogactwem są nieliczne zbiory korespondencji prywatnej kilku wybitniejszych

działaczy Odrodzenia Litewskiego. Dotąd muzeum to, które jest zaledwie w stadium embrionalnym, nie posiada nawet stałego sekretarza i obchodzi się praca osobistą ks. Tumasa, który codziennie, o ile może, poświęca mu z 1 ½ do 2 godzin. Kilkanaście osób z wybitniejszych działaczy, literatów i profesorów zgłosiło już obietnicę uporządkowania i skatalogowania własnych archiwów osobistych na rzecz tego muzeum. Każda z tych osób została zarejestrowana, otrzymała zeszyt do inwentaryzacji swych zbiorów i numer porządkowy. Osób takich jest zarejestrowanych 13. Ja, uproszony przez ks. Tumasa w stosunku do mego archiwum osobistego, otrzymałem nr 14. Zlokuję więc tu w kasetce zamkniętej z załączeniem aktu lokacyjno-donacyjnego przede wszystkim mój dziennik, którego część zeszytów mam w Bohdaniszkach, a druga część leży tymczasem na przechowaniu w Wilnie u p. Tadeusza Wróblewskiego. Może mi się uda tego lata sprowadzić te zeszyty z Wilna przez Gdańsk. Ewentualnie składać będę do Muzeum Kultury i rozmaite inne elementy mojego archiwum prywatnego.

25 kwietnia, rok 1923, środa
U Ślażewicza odbyło się wieczorem posiedzenie loży. Stawiliśmy się wszyscy: ja, Michał Biržiška. Stefan Kairys i Michał Ślażewicz. W związku z moją zamierzoną podróżą letnią do Paryża prezydium loży deleguje mię do Neufchatel w Szwajcarii – do rezydencji brata .‘. Ed. Quartier-la-Tente, Wielkiego Kanclerza Stowarzyszenia Międzynarodowego Wolnomularskiego – dla nawiązania kontaktu z wolnomularstwem powszechnym i zgłoszenia naszego akcesu do federacji międzynarodowej, jaką stanowi powyższe stowarzyszenie. Do Paryża jadę własnym kosztem, loża zaś zwróci mi tylko koszt wizy szwajcarskiej i biletu kolejowego z Paryża do Neufchatel i z powrotem. Uchwała naszej loży o akcesie do stowarzyszenia międzynarodowego zapadła jeszcze w jesieni, obecnie chodzi o jej wykonanie. Omówiliśmy szczegóły tegoż. Uchwaliliśmy w akcesie naszym zachować jak najściślejszą konspirację, tak dalece, żeby nie tylko nazwiska jakiekolwiek nasze, ale nawet sam fakt naszego akcesu i naszego istnienia nie był publikowany i w ogóle był utrzymany w tajemnicy w łonie samego stowarzyszenia międzynarodowego. Zastrzeżenie to jest kategoryczne. Koła chrześcijańsko-demokratyczne w kraju domyślają się trochę istnienia naszej formacji masońskiej, choć szczegółów nie znają i na tropie nie są. Dawały one kilkakrotnie niektórym naszym braciom do zrozumienia, że wiedzą o istnieniu loży, ale zdaje się, że jest to u nich tylko domysł bardzo ogólnikowy. W kampanii wyborczej wymawiali też kilkakrotnie masonerię lewicy, pojmując ją jednak bardzo mgławicowo, jako raczej jakiś „duch” mistyczny, niż organizację konkretną i ścisłą w kraju. Niewątpliwie, że opublikowanie gdziekolwiek samego faktu naszego istnienia nie uszłoby uwagi wojującego klerykalizmu krajowego, który wobec licznych popularnych uprzedzeń przeciwko masonerii użyłby tego za oręż, bardzo nieraz dotkliwy do walki i kompromitowania ruchów lewicowych. Jak ma być ewentualnie wykonany nasz akces do federacji z zachowaniem ścisłej poufności – to zlecono porozumieniu memu z bratem Wielkim Kanclerzem. Co do metod wykonania kontaktu z federacją z zachowaniem tej poufności – polecono mi poinformować się, nie decydując tego bez uchwały naszej loży. Poza tym, omawialiśmy ewentualne zwołanie loży. W ostatnich czasach posiedzeń loży nie było. Uznaliśmy, że lożę będzie należało zwołać w maju po wyborach do Sejmu, gdy się wyklarują perspektywy polityczne w związku z wynikami wyborów.
Z relacji, które mam od br. „.’. Kacenelenbogena z Poniewieża, grupka naszych braci tamecznych, która się składa z Kacenelenbogena, Gabrieli Pietkiewiczówny o dr Romma i która posiada od nas upoważnienie przyjmowania nowych braci i wytworzenia odrębnej loży, przyjęła przed Wielkanocą w poczet braci Elisona,

nauczyciela gimnazjum, ludowca. Zawiadomiłem Kacenelenbogena, że do ich grupy przydzielony zostaje br.'. Józef Petrulis z Rakiszek i o tym listownie Petrulisa uprzedziłem. Tymczasem w tych dniach był u mnie Kacenelenbogen z oświadczeniem, że Pietkiewiczówna i zwłaszcza Elison mają cos do zarzucenie Petrulisowi i proszą kategorycznie, by br.'. Petrulisa do nich nie przydzielać. Nie wiem dokładnie, o co im chodzi. Zawiadomię Petrulisa, że rozkaz o jego przydzieleniu zostaje odwołany.

26 kwietnia, rok 1923, czwartek
Omawialiśmy dziś w Trybunale sprawę rozłożenia między nami wakacji letnich. To, że jest nas tylko trzech w Trybunale i że zawsze przynajmniej jeden musi być obecny dla załatwiania spraw bieżących, a skądinąd nie można przez cały okres letni obchodzić się bez posiedzeń, dla posiedzenia zaś musi być co najmniej dwóch członków Trybunału (trzeci do kompletu dobiera się z sądu okręgowego), i że mamy krótki okres czasu na wakacje, bo wszyscy trzej jesteśmy związani praca na uniwersytecie, czyni, że bardzo nam jest trudno rozdzielić między sobą czas wakacyjny. Zdaje się więc, że znowu, jak w dwóch latach ubiegłych, wypadnie mi dzielić moje wakacje na dwie części. Zdaje się, że pół miesiąca będę miał w czerwcu (druga połowa czerwca) i miesiąc w sierpniu. Zapewne czerwcowy czas wakacji użyję na wycieczkę do Kłajpedy i nad Bałtyk, a sierpniowe wakacje poświęcę na wyprawę do Paryża, Neufchatel i Gdańska.
W sprawie zdarzeń, związanych z wyborami do Sejmu, zanotuję następujące wypadki, ilustrujące sposoby, jakich się ima Chrześcijańska Demokracja przez czynniki władz państwowych i kościelnych dla usunięcia niedogodnych jej ludzi, których dosięgnąć jest w stanie. Jednym z takich faktów jest głośne w krajowym społeczeństwie polskim usunięcie od wyborów ks. Lausa[121], który był posłem polskim w obu dotychczasowych sejmach i będąc już niemal ostatnim Mohikaninem duchowieństwa polskiego w Litwie, cieszy się ogromną popularnością u Polaków miejscowych. Biskup Karewicz[122] mocą swej władzy duchownej zakazał ks. Lausowi stawiania kandydatury do Sejmu, co jest w kołach chrześcijańsko-demokratycznych tłumaczone tym, że ks. Laus, kandydując z listy opozycyjnej narodowej polskiej, występuje przeciwko jedności politycznej kleru i że głosował on w ostatnim Sejmie wraz ze stronnictwami socjalistycznymi przeciwko Chrześcijańskiej Demokracji, co stanowić ma zły przykład rozprzężenia w łonie kleru. W istocie jednak chodzi oczywiście nie o względy kościelne, jeno o względy narodowe, co też wyczuło społeczeństwo polskie, a jeszcze ściślej mówiąc – o względy panowania Chrześcijańskiej Demokracji. Władze zaś świeckie, uzupełniając rozkaz biskupa, opierając się na stanie wojennym, który w Kownie zniesiony nie jest, nakazały i wykonały przymusowe internowanie ks. Lausa w Birżach. Zastosowanie tych środków represji do ks. Lausa może być miłym dla Chrześcijańskiej Demokracji, ale nie jest bynajmniej ze stanowiska państwowego rozumne. Jeżeli ks. Laus był dla państwowości litewskiej szkodliwym, to przez zastosowanie doń tych środków nie usunęło się bynajmniej jego szkodliwości. Przeciwnie – urósł on na bohatera i męczennika, którego urok się spotęgował nad wszelką miarę jego zdolności i wartości, a fakt ten zaognił nienawiść kół ludowych polskich do Litwy i wzmógł ich spoistość, która się w głosowaniu wyrazi. Były to więc środki spopularyzowania Lausa.
Drugi wypadek – ze stanowiska prawnego gorszy, bo stanowiący pogwałcenie prawa i bodajże konstytucji, dokonane przez prawnika, ministra spraw wewnętrznych Olekę. Wypadek z ks. Lausem, politycznie ujemny, z którego największą korzyść wyciągną nie ci, którzy zastosowali represje, lecz ci, których one dotykają, to znaczy stronnictwo narodowe polskie – nie jest przynajmniej formalnie bezprawiem; wolno oczywiście

[121] Lausas Bronislovas (Laus Bronisław).
[122] Karevičius Pranciškus.

biskupowi dawać zarządzenia podwładnym mu księżom; ze stanowiska państwowego jest to rzecz obojętna; państwo nie zmusza ks. Lausa do poddania się zakazowi, który formalnie praw jego obywatelskich, o ile by ks. Laus zakazu usłuchać nie zechciał, nie krępuje. Wysłanie ks. Lausa z Kowna i internowanie w Birżach opiera się na władzy komendanta, która mu należy z natury ustawy o stanie wojennym. Najświeższy zaś czyn ministra Oleki „w obronie Ojczyzny" przeciwko czerwonemu niebezpieczeństwu komunistycznemu polega na tym, że wydał on rozkaz wysłania za linię demarkacyjną do Wileńszczyzny b. posła komunistycznego w Sejmie i kandydata z listy komunistycznej na wyborach obecnych, Kubickiego[123], który jest rodem z pow. święciańskiego. Litwa, jak wiadomo, uznaje pow. święciański za część integralną terytorium państwowego, która jest czasowo okupowana przez nieprzyjaciela. Jest rzeczą niesłychaną i przeciwną konstytucyjnie zagwarantowanym przepisom o prawach zasadniczych obywateli, by władza państwowa wydawała własnego poddanego w ręce okupantów lub wysyłała go przymusowo na terytorium okupowane. Jeżeli zaś Oleka uważa powiat święciański za należący do terytorium Polski i wysyła Kubickiego jako obcego poddanego, to przez to samo gwałci on zasady konstytucji, które nie upoważniają ministra do ustanawiania zmian w określaniu terytorium państwowego. Janulaitis gotuje się wystąpić z artykułem, oskarżającym Olekę o gwałcenie przepisów prawa i konstytucji i żądającym pociągnięcia go do odpowiedzialności karnej.

27 kwietnia, rok 1923, piątek
To, czym się tak gorszy Janulaitis w ostatnim zarządzeniu ministra Oleki w stosunku do kandydata listy komunistycznej Kubickiego, wydalanego za linię demarkacyjną i wydawanego w ręce władz okupacyjnych, jest jednak pospolitą praktyką władz litewskich w stosunku do niedogodnych czynnikom rządzącym obywateli Litwy, pochodzących z Wileńszczyzny i próbujących nieraz tu, w kowieńskiej części Litwy, się osiedlić. W stosunku do Polaków i zwłaszcza ziemian praktykuje się to bardzo pospolicie. Nie są rzadkie takie wypadki nawet w stosunku do obywateli litewskich, pochodzących z tej strony kordonu, o ile oni samorzutnie zdołali przekroczyć linię demarkacyjną i z Wileńszczyzny tu przybyć: bierze się ich bez ceremonii za kark i wyrzuca za linię demarkacyjną bez ceregieli. Jest to bezprawie, które jednak władze tłumaczą względami politycznymi i które uchodzi, gdy ofiarami są Polacy-obszarnicy, bo o nich nikt się upominać nie chce i nie odważa.
Przechodzę do perspektyw i kombinacji wyborczych i moich w związku z nimi osobistych postanowień głosowania. Mówiłem ostatnio o listach polskich. Muszę uczynić sprostowanie: są one tylko dwie, a nie trzy. Trzecia – tak zwana „polsko-katolicka", która została wystawiona w okręgu kowieńskim i zdaje się rosieńsko-kiejdańskim – jest fałszywą. Lista ta, z nazwiskiem księdza Smolińskiego[124] na czele, jest w istocie litewską, podszywającą się tylko pod nazwę polskiej dla odciągnięcia pewnej ilości głosów polskich od list narodowych. Jest ona w założeniu podobną do listy „nowiniarskiej" tak zwanych mówiących po polsku, z tą różnicą, że gdy ta ostatnia ma zabarwienie społeczno-radykalne i stanowi filiację ludowców oraz jest wyrazem planowej konsekwentnie-ciągłej akcji, prowadzonej przez pismo „Nowiny" i skrystalizowanej w organizacji tzw. „Związku Ludzi Pracy", to lista „polsko-katolicka" jest przedsięwzięciem doraźnym *ad hoc* dla wyborów, płynącym z kół litewskiej Chrześcijańskiej Demokracji. Akcja zaś narodowo-polska streszcza się na wyborach do tych samych dwóch list, co i na poprzednich wyborach – to znaczy listy Centralnego

[123] Kubickis Jonas

[124] Smolinskis Stanislovas

Polskiego Komitetu Wyborczego i listy robotniczo-rzemieślniczej kierunku „Strzechy Rodzinnej" i stowarzyszeń polsko-robotniczo-katolickich. W niektórych okręgach figurują obie te listy, choć zawsze zblokowane między sobą, w innych – jedna wspólna pod firmą Komitetu Centralnego. Komitet Centralny reprezentuje prawe, ziemiańskie skrzydło akcji narodowej polskiej, lista robotniczo-rzemieślnicza ma odcień pod względem składu osobistego bardziej ludowy, ale w istocie idzie na pasku Komitetu Centralnego i pod hasłami narodowymi jest społecznie ekspozyturą polityczną tejże akcji ziemiańskiej. Jakiż jest mój stosunek do list polskich. Zastanawiałem się poważnie nad ewentualnością głosowania na nie. Osobiście sprzyjam temu, by czynnik polski wziął wreszcie żywszy udział w państwowości litewskiej, a więc i w Sejmie, by się zaprezentował w nim liczniej i by pozyskał w państwie co najmniej takież prawa autonomii personalnej, jakie mają Żydzi. Życzyłbym też, aby udział Polaków w państwowości Litwy i ich odpowiednia maksymalna waga liczebna w tym udziale wykazała Litwinom konieczność liczenia się z elementem polskim i położyła kres lekceważeniu Polaków. Tak jest – życzyłbym tego i chciałbym przyczynić się do tego choćby głosem moim na wyborach. Ale przyczynić bym się mógł do tego tylko o tyle, o ile miałoby to być akcesem do państwowości, choćby opozycyjnym. Niestety – nie widzę tego w akcji narodowej polskiej. Akcja ta w wystawionych listach tchnie li tylko nienawiścią do wszystkiego, co litewskie i czyni na mnie wrażenie, że skierowana jest nie do zdobycia praw i wpływu w państwie, ale do rozbijania i szkodzenia państwu. Może to jest usprawiedliwione rozgoryczeniem dotychczasowego stosunku, którego skutki od razu nie mogą się przerobić, ale bądź co bądź dla mnie w tej postaci akcja polska jest nie do przyjęcia. Jest ona dla mnie również nie do przyjęcia ze względu na jej założenie narodowe, traktujące ludność polską krajową nie za rdzenny pierwiastek krajowy, chociaż kulturalnie-narodowo odrębny od litewskiego, ale za jakiś „odłam Narodu Polskiego", czyniący ze społeczeństwa polskiego krajowego fragment polityczny Polski. W listach polskich i w całej akcji, która się toczy na gruncie społeczeństwa krajowego polskiego – nie ma grupy i ruchu, który by odpowiadał mojemu stanowisku państwowo-narodowemu, dającemu się streścić w formule: „narodowo – Polak, politycznie – Litwin". Z Polakami szedłbym na wyborach o tyle, o ile ruch polski narodowy stanąłby na poziomie czynnika państwowego litewskiego, polskiego zaś – narodowo. Kierunku takiego nie ma, sam go wytworzyć nie jestem w stanie, toteż nie mogę głosować na listy narodowe polskie, które przeczą państwowemu stanowisku czynnika polskiego w kraju i, moim zdaniem, nie tylko czynią uszczerbek Litwie, ale i gubią pierwiastek polski w kraju. Jeszcze mniej może być mowy o tym, bym mógł głosować na listy „mówiących po polsku", które polskość narodowo kastrują i sprowadzają do „gadania po polsku". Samo „mówienie po polsku" – to żadna cecha. Akcja ta w przeciwnym, niż poprzedni, kierunku zaprzecza stanowisku obywatelsko-państwowemu krajowego czynnika polskiego. Nie sankcjonuje go ona na zasadach obywatelskich, lecz odrzuca i zastępuje litwinizacją narodową z pozostawieniem li tylko mowy jako narzędzia dźwiękowego, nie zaś czynnika społeczno-kulturalnego narodowości. Być może taki ruch jest zasadny dla pewnej cząstki spolonizowanego ludu, będącego w istocie litewskim, ale jako wyraz formuły krajowego społeczeństwa polskiego – to nonsens. Wolę głosować w łonie prądów rzetelnego społeczeństwa narodowego litewskiego, niż fałszować krajowy czynnik polski.

28 kwietnia, rok 1923, sobota
Dziś nadspodziewanie długo przeciągnęło się posiedzenie sądowe w Trybunale. Zakończyło się ono o godz. 5 po południu, co w Trybunale, którego, jako instancji kasacyjnej względnie apelacyjnej, procedura rozpoznawania spraw nie jest

skomplikowana, stanowi rzecz niezwykłą. Na wokandzie były apelacyjne sprawy karne, pochodzące z sądów okręgowych. W ich liczbie były dwie nacechowane szczególnym tragizmem i trudne pod względem dowodowym, jedna – o ojcobójstwo, popełnione przez 40-letniego syna na osobie 70-letniego ojca pod Radziwiliszkami, druga – o mężobójstwo, popełnione przez młodą i piękną żonę wraz z jej bratem na osobie męża pod Okmianą[125] na pograniczu łotewskim. Licznie zebrana na sali publiczność, składająca się, jak zwykle sobotami, z Żydów, przychodzących na sąd jak na teatr bezpłatny, o ile są sprawy ciekawsze (najwięcej ich interesują zabójstwa, następnie sprawy, w których są najcięższe wyroki, a nade wszystko – sprawy dotyczące spekulacji, szmuglu, łapownictwa, oszustwa w większym stylu) – z zapartym tchem słuchała rozpraw, chłonęła sensację łez, wątpliwości, obaw i gry uczuć tak oskarżonych, jak krewnych ofiar. W obu tych sprawach zatwierdziliśmy skazujące wyroki I instancji. Ale najdłuższą i technicznie najtrudniejszą była ostatnia sprawa, niejakiego Ejdrygiewicza, eleganckiego strojnego mężczyzny lat 30, który zajmował klasyczne i złote dla spekulacji i bogacenia się wszelkimi kombinacjami stanowisko naczelnika *dêpot* na stacji pogranicznej w Wierzbołowie, przez którą przechodzi cały handel towarowy Litwy z Niemcami. Był on oskarżony o defraudację około pół miliona marek niemieckich pieniędzy państwowych w r. 1921, kiedy jeszcze marka miała wartość i kiedy ta suma wynosiła na dolary parę tysięcy dolarów. Najciekawszą okolicznością tej sprawy było to, że powstała ona z rzekomego napadu bandytów na Ejdrygiewicza, napadu, w którym bandyci, podług twierdzenia oskarżonego, zrabowali mu około pół miliona pieniędzy rządowych i około tyluż jego własnych i w którym Ejdrygiewicz został dwukrotnie leciutko raniony w miękisz nogi i w miękisz ręki. Oskarżenie zarzucało mu symulację napadu i zranienie się własnymi wystrzałami dla pokrycia dokonanej defraudacji. Rzeczywiście okoliczności napadu, różne szczegóły zachowania się Ejdrygiewicza i samej jego osoby podawały mocno w wątpliwość wersję napadu. Sąd okręgowy w Mariampolu nie uważał jednak symulacji za udowodnioną i uniewinnił Ejdrygiewicza z oskarżenia o defraudację, skazując go tylko za niezachowanie przepisów co do przechowywania pieniędzy państwowych dla spekulowania nimi w celu zysku osobistego; kara mu była wyznaczona niewielka – dwa miesiące więzienia, ale za to bolesna kara dodatkowa 20 000 litów grzywny. Tak prokuratura, jak oskarżony zaskarżyli wyrok. Ejdrygiewicza bronił adwokat Bułat[126], który palnął dwugodzinną mowę i wymęczył nas do przesytu. Nie zdecydowaliśmy się uznać faktu symulacji napadu za udowodniony i przeto zarzut przywłaszczenia pieniędzy upadł. Co zaś do winy Ejdrygiewicza, uznanej przez sąd okręgowy, to zmieniliśmy jej kwalifikację na o wiele cięższą, formułującą się jako bezczynność władzy w celu zysku, za którą kodeks karny orzeka ciężkie więzienie do lat 6, ponieważ wszakże ta część wyroku I instancji nie była przez prokuraturę zaskarżona, więc musiała być zachowana kara dwóch miesięcy więzienia; jednak Ejdrygiewicz w istocie na obciążeniu kwalifikacji przestępstwa skorzystał, bo z tym przestępstwem nie może być łączona grzywna, wobec czego 10 000 litów grzywny odpadło. I tu więc spekulantowi spekulacyjnie się powiodło: stracił wszakże w apelacji na honorze, ale zyskał na kieszeni, a o tę z pewnością bardziej mu chodzi niż o honor.
Dla zmęczenia posiedzeniem i późnego powrotu do domu zaniechałem dziś po obiedzie mojej codziennej pracy nad pisaniem wykładu i odrobiłem tylko dziennik, jeden list prywatny i jeden wyrok motywowany.

29 kwietnia, rok 1923, niedziela

[125] Akmenė.
[126] Bulota Andrius.

Spotkałem Bolesława Stadziewicza[127]. Dowiedziałem się od niego, że „Związek Ludzi Pracy", to znaczy owa organizacja „nowiniarska", która organizuje mówiących po polsku, nie chcąc ich uznawać, a przeto i nazywać Polakami, skądinąd zaś wstydliwie unikając nazywania ich Litwinami, i która w okręgu kowieńskim (bodajże i rosieńsko-kiejdańskim) występuje na wyborach z osobną listą kandydatów z Michałem Biržišką na czele, zawarła blok wyborczy z... „Darbo Federacją". Stadziewicz jest tej organizacji przyjacielem, bo sam się uważa za Litwina mówiącego po polsku (ale przynajmniej wyraźnie Litwina, a nie li tylko „mówiącego po polsku"); czy Stadziewicz należy do „Związku Ludzi Pracy" – nie wiem. Głównym filarem czynnym tego „Związku" jest obecnie Andrzej Rondomański[128], choć, zdaje się, do Sejmu jego kandydatura wystawioną nie jest (sam nie chciał). Dziś właśnie odbywa się w Kownie zjazd „Związku Ludzi Pracy" i czytelników „Nowin". Co do Rondomańskiego, to mię nie dziwi, że łączy on w bloku wyborczym ten „Związek" z „Darbo Federacją". Rondomański jest ideowcem, fanatykiem nawet, ale fanatykiem i ideowcem nie jakiejś doktryny społecznej, nie jakiegoś ciągłego kierunku społeczno-politycznego o ideologii partyjnej, jeno litwinizacji Polaków litewskich, litwinizacji, która nie chce dotykać jednego tylko elementu kultury – wprawdzie w istocie niesłychanie ważnego – języka; pod względem językowym nie jest on litwinizacji rzecznikiem. Rondomański, pochodzący z rodziny krajowej, uważającej się za polską, sam się zlitwinizował osobiście ideologią własną, sam dużo z powodu tej litwinizacji wycierpiał i przywiązał się do tej idei gorąco, poświęcając jej propagandzie całą energię i wszystkie uczucia. Dla niego wartość dodatnią ma wszystko, co dla tej sprawy jest skuteczne. Socjalistą nigdy nie był; socjaliści, ludowcy, klerykali – to są dla niego epitety podrzędne. Toteż gdy się przekonał lub gdy mu się wydało, że blok wyborczy z „Darbo Federacją" będzie w tej chwili dla jego akcji skuteczniejszy niż jakikolwiek inny – nie zawahał się z pewnością. Zresztą blok to jest doraźny i czasowy, ograniczony obecnymi wyborami i, że tak powiem, gospodarką głosów na wyborach. Rondomańskiemu się nie dziwię. To człowiek bez przeszłości partyjnej. Radykalny moment społeczny w akcji Związku Ludzi Pracy – zwłaszcza radykalny agrarny – jest w ideologii Rondomańskiego nie celem, lecz środkiem, przeznaczonym na narzędzie do rozbijania konsolidacji narodowej polskiej w kraju, trzymającej się wstecznego społecznie obszarnictwa. Ale się bardzo mocno dziwię dwom ludziom – Michałowi Biržišce i Rusieckiemu[129]. Michał Biržiška kandyduje z ramienia „Związku Ludzi Pracy"; jest on ich kandydatem firmowym. Biržiška, choć już od lat kilku do partii nie należy, należy do ideologii socjalistycznej; ma on koncepcję społeczną skrystalizowaną, ma odpowiednią przeszłość, ma imię w obozie humanizmu; jest on bratem naszym. Dla niego blokowanie się z klerykalną „Darbo Federacją", która acz jest społecznie bardzo jaskrawą demagogiczną, w istocie jest ekspozyturą obskurantyzmu klerykalnego i zachłanności reakcji – nie uchodzi. To mi się nie podoba. Rusiecki jest założycielem „Nowin", jest ich redaktorem, faktycznie obecnie współredaktorem wespół z Rondomańskim. On jest inicjatorem i dotąd jednym z głównych wykonawców całej tej akcji, której wyrazem stał się dzisiaj „Związek Ludzi Pracy". Rusiecki jest ludowcem partyjnym. I gdy w społeczeństwie litewski wybory toczą się pod hasłem walki kategorycznej i zasadniczej między ludowcami a klerykałami, która wyklucza wszelki kompromis, akcja ludowca Rusieckiego w stosunku do owych „mówiących po polsku" sprzęga się z formacją klerykalną! To niełądne. To zakrawa coś na to, że się tych „mówiących po polsku" oszukuje i że to, co się im mówi o społecznych ich interesach

[127] Stadzevičius Boleslavas (Bolesław Stadziewicz)
[128] Rondomanskis Andrius
[129] Ruseckas Petras

itd., to jest jeno fikcja i wędka, na którą się ich łowi dla rozbijania nimi społeczeństwa polskiego, nie wierząc w hasła ich dobra, bo jeżeli społecznie ludowcy walczą z klerykałami w stosunku do ludności litewskiej, to te same względy muszą czynić klerykałów społecznie szkodliwymi i dla „mówiących po polsku". Jakże więc ludowiec Rusiecki, walczący z klerykałami u Litwinów, brata się i blokuje z nimi u mówiących po polsku – i to jednocześnie! To ma zapaszek przykry.

30 kwietnia, rok 1923, poniedziałek
W lokalu Klubu Litewskiego w tzw. gabinecie „Trzech Książąt" („Trijų Kunigaikščių"), nazwanym tak od zawieszonych na ścianie dużych portretów trzech wielkich książąt litewskich, odbyło się wieczorem zebranie założycieli „Litewskiego Towarzystwa Popierania Ligi Narodów" („Lietuvos Draugija Tautų Sąjungai remti"), zwołane przez komisję organizacyjną, która w osobach Janulaitisa, Jonynasa i Ślażewicza była na poprzednim zebraniu założycieli w mieszkaniu Ślażewicza przed paru miesiącami wybrana dla ułożenia i zarejestrowania statutu Towarzystwa, co tez przez nią uczynione już zostało. Osób przybyło na dzisiejsze zebranie ze dwadzieścia kilka. Wymienię tu ich większą część: ks. prałat Aleksander Dąbrowski-Jakštas[130], dziekan Wydziału Teologicznego na uniwersytecie ks. Bučys[131], dr Roch Šliupas[132], Jonynas[133], Leonas, Janulaitis, prof. Balogh, Marcin Yčas[134], ks. Jurgutis[135], Dailydė[136], Balutis[137], prof. Stanisław Szołkowski[138], dr Karuža[139], Antoni Tumenas[140], ja, poza tym kilka osób, których nie znam. Przewodniczył zebraniu Leonas, sekretarzem był ks. Bučys. Poza odczytaniem zarejestrowanego przez komisję organizacyjną statutu i udzieleniem informacji rzeczowych przez Jonynasa, omówionych było kilka spraw bieżących, z których parę ciekawszych zanotuję. Przede wszystkim dokonano wyboru zarządu Towarzystwa, które już najformalniej jest założone. Do zarządu wybrano głosowaniem kartkowym tajnym: na prezesa – Janulaitisa, na sekretarza – Jonynasa i na skarbnika – dr Rocha Šliupasa. Jest to poważne i wybitne stanowisko reprezentacyjne, które wypada Janulaitisowi. Towarzystwa tego rodzaju tworzą wielką unię międzynarodową, która stanowi „*pendant*"[141] społeczne do formalnej Ligi Narodów, będącej reprezentacją państw. W tej prze to wielkiej Unii społecznej narodów, mającej realizować wielką myśl pacyfistyczną podług sławnego hasła Wilsona w dobie Wielkiej Wojny i dążącej do zorganizowanego obcowania międzynarodowego, Litwę będzie uosabiać Janulaitis jako prezes Towarzystwa litewskiego. Rad jestem, że ta rola wypadła Janulaitisowi. Zasługuje on na to w zupełności. Jest on dziś niewątpliwie jednym z najwybitniejszych przedstawicieli społeczeństwa litewskiego i pod względem umysłu, wiedzy, kultury, i pod względem charakteru, woli, jednolitości przekonań. Było na zebraniu parę ciekawszych rzeczy omówionych, w szczególności rozważaną była

---

[130] Dambrauskas –Jakštas Aleksandras (Adomas Dambrauskas)
[131] Bučys Pranas.
[132] Šliūpas Rokas
[133] Jonynas Ignas
[134] Yčas Martynas
[135] Jurgutis Vladas.
[136] Dailidė Bronius Edmundas
[137] Balutis Bronius Kazys
[138] Šalkauskis Stanislovas
[139] Karuža Jurgis
[140] Tumėnas Antanas.
[141] *Pendant* (pranc.) – tuo tarpu, neužbaigtas, neišspręstas.

sprawa przyjazdu w połowie maja prof. Ruyssena[142], generalnego sekretarza Unii Międzynarodowej Towarzystw Popierania Ligi Narodów. Ruyssen, który położył duże zasługi w tej dziedzinie organizacji i propagandy i którego stanowisko czyni zeń osobę dużej wagi międzynarodowej, zwrócił się niedawno z listem do ks. Dąbrowskiego jako zanotowanego w Unii prezesa Towarzystwa Litewskiego (Towarzystwo to wraz ze swym zarządem istniało poprzednio tylko na papierze) z zawiadomieniem, że będąc zaproszony przez Towarzystwa Łotwy, Estonii i Polski, przejeżdżać będzie przez Litwę, przeto zapytuje, czy by nie można było ułatwić mu formalności wizy i czy Towarzystwo Litewskie nie miałoby czegoś do zgłoszenia mu przy przejeździe. Słowem, w sposób wyszukanie grzeczny uprzedza o przejeździe, aby nie można mu było potem uczynić zarzutu, że ignoruje Litwę, przejeżdżając *incognito*. Na to odpisał mu Jonynas w imieniu zarządu, zapraszając, ale wstawiając zarazem w tekst listu frazes, brzmiący zgrzytem ostrym, w którym mianowicie zaznacza, że choć opinia litewska jest mocno zrażona do idei międzynarodowej sprawiedliwości ze względu na uchwały Ligi Narodów w sprawie Wilna, jednak Towarzystwo z wdzięcznością przyjmuje zawiadomienie o przyjeździe i prosi. W ustępie tym jest rodzaj wymówki, skierowanej do Ruyssena, który nic wspólnego z uchwałami w sprawie Wilna nie ma, i stawiającej stosowność jego przyjazdu pod znakiem wątpliwości, a przynajmniej zastrzeżenia. Na gorący wniosek Balogha zebranie uchwaliło prosić Janulaitisa o niezwłoczne skierowanie do Ruyssena telegraficznego zaproszenia i uzupełnienie tegoż listem bez zastrzeżeń, a następnie o zorganizowanie komitetu i programu przyjęcia Ruyssena z wysłaniem na jego spotkanie delegata do granicy, zarządzeniem tu konferencji Ruyssena, uprzyjemnieniem pobytu rozrywką i wreszcie wspólną biesiadą gościa z gronem naszego Towarzystwa.

1 maja, rok 1923, wtorek
Miała być dziś wielka uroczystość publicznego sadzenia drzewek; mianowicie miała być obsadzona jedna aleja – przyszła ulica, mająca nosić nazwę „Gegužės Aleja" (Aleja Majowa), na terenie nowego rozplanowania przyszłych zabudowań szerzącego się Kowna w okolicy między Górą Witolda (dawniejsza „Piotrówka") a Górą Zieloną gdzieś bodaj w kierunku Doliny Mickiewicza. Uroczystość miała być okazała – z udziałem szkół, stowarzyszeń młodzieży, w ogóle rozmaitych towarzystw, przedstawicieli władzy, szerokich kół publiczności. Miałem tez zaproszenie na uroczystość od Komitetu. Jedną z głównych atrakcji uroczystości miało być przedstawienie teatralne pod gołym niebem w dekoracjach naturalnych. Odegraną być miała inscenizacja Ludwika Giry[143], przedstawiająca alegorycznie sceny z przeszłości Litwy, postacie xiążąt, ludu, kapłanów, wajdelotek w grupach, pochodach, obrzędach – z muzyką stosowną. Pogoda jednak nie dopisała. Lał deszcz, wicher gwałtowny się zrywał, było zimno. Uroczystość odroczona została na niedzielę. Było tez dzisiaj otwarcie wystawy sztuki. Nie byłem jednak na nim, bom zaproszenia nie otrzymał. Zapominają o mnie trochę, nawet – często. Choć mi się zaproszenie należało; byłem bowiem przed wojną w Wilnie przez lat kilka członkiem zarządu „Lietuvių Dailės Draugijos", która pierwsza rozpoczęła wystawy sztuki litewskiej.
Janulaitis, który wczoraj (może zresztą przez skromność) wzdragał się na razie przed przyjęciem kandydatury na stanowisko prezesa „Litewskiego Towarzystwa Popierania Ligi Narodów", jest z udzielonego mu stanowiska zadowolony. Przede wszystkim, moim zdaniem, stanowisko to już dlatego powinno go zadowalać, że dodaje ono wagi jego osobie, co dla działacza społecznego, jakim jest Janulaitis, w żadnym razie

[142] Ruysennas Teodoras (Ruyssen Theodore).
[143] Gira Liudas.

obojętnym być nie powinno. Im więcej Janulaitis waży społecznie, tym bardziej się z nim wszędzie, w każdej dziedzinie jego działalności, liczyć będą i nie tak łatwo odważą się go lekceważyć. To daje większą siłę jego akcji gdziekolwiek bądź, nie wyłączając i Trybunału (np. w sprawie kandydatury Ciplijewskiego, ale zresztą – we wszystkim wszędzie). Janulaitis nie może tego nie rozumieć, choć tym się naturalnie przechwalać nie będzie. Natomiast Janulaitis podnosi inny wzgląd, który mu szczególną satysfakcję sprawia. Niewątpliwie Towarzystwo to, jeżeli będzie czynne, dotykać będzie zagadnień polityki międzynarodowej Litwy, bo choć Towarzystwa takie zostały we wszystkich krajach potworzone dla celów idealistycznych propagandy pacyfistycznej, a raczej propagandy metody pacyfistycznej w regulowaniu stosunków i sporów międzynarodowych, to jednak w istocie są one dla każdego z krajów organem jego interesów i jego polityki w grze międzynarodowej, czyli że w istocie każde z nich zakreśla sobie zadania polityki państwowej własnej, podporządkowując tym celom realnym cele idealistyczne propagandy. Janulaitis więc liczy na to, że posiedzenia i dyskusje Towarzystwa będą stanowiły rodzaj akademii polityki zagranicznej dla członków Towarzystwa, a spopularyzowanie zagadnień polityki zagranicznej da możność rozciągnięcia większej kontroli społecznej nad polityką urzędową, wykonywaną przez Ministerium Spraw Zagranicznych, usiłujące zbyt często umykać w cień gabinetów, z których wyłaniają się nagle niespodzianki w postaci projektów Hymansa itp. Janulaitis jest człowiekiem, który do polityki międzynarodowej dużą przywiązuje wagę i jest zdecydowanym zwolennikiem kategorycznej linii niepodległościowej i w ogóle wybitnie określonego racjonalizmu w tej polityce (radykalizmu nie w znaczeniu kierunku społecznego, lecz w znaczeniu wyraźnego i konsekwentnego stanowiska w pewnym obranym kierunku – u Janulaitisa zaś kierunek ten jest narodowy i niepodległościowy). Janulaitis jest wrogiem oportunizmu, połowiczności i bierności. Wrogiem jest polityki ustępstw i półśrodków lub maskującej się obłudy. W linii niepodległościowej jest wyznawcą zasady: niech raczej niepodległość będzie stracona aktem przemocy obcej, niż ma być ratowana poddaniem się pozornym dla ocalenia szmatek. Bo – zdaniem jego – poddanie się, choć pozorne, demoralizuje i osłabia, toteż większą stanowi stratę, niż utrata formy z zachowaniem woli męskiej, która formę odrodzi. Wolę takie stanowisko Janulaitisa, niż tych, co tchórzliwie gotowi iść na ustępstwa z nadzieją, że zdołają oszukać i z nienawiścią w sercu. Janulaitis np. ma najmniej nienawiści do Polski, choć najradykalniej się kombinacjom imperializmu polskiego przeciwstawia.

2 maja, rok 1923, środa
Na kogo głosować – sam nie wiem. Zdaje się, że się zdecyduję na wybór jednej z list czysto litewskich. Ale i tu wybór nie jest dla mnie wcale łatwy. Na listy polskie – ani na te nacjonalistyczne wszechpolskie, które, operując goryczą i żalem krajowego społeczeństwa polskiego z powodu upośledzenia, jakiemu dotąd ono przez refleks państwowego zatargu polsko-litewskiego ulega, skwapliwie Polaków litewskich od ich podłoża krajowego odrywają i z gorliwością godną lepszej sprawy przerabiają na kolonistów i cudzoziemców, zamieszkałych w Litwie, ani na te farbowane listy „polskie", które ludność polską wyzuwają z jej indywidualności, a w dodatku blokują się z najmniej sympatyczną, najgłupszą i najszkodliwszą społecznie grupą litewską – „Darbo Federacją" – głosować nie mogę. Pozycja moja jest tu w Kownie politycznie i narodowo bardzo trudna i zupełnie odosobniona. W Wilnie mam ludzi, których akcja jest pokrewna założeniom moim; są nimi albo na ich czele stoją – Ludwik Abramowicz ze swym „Przeglądem Wileńskim" i Tadeusz Wróblewski; są oni nieliczni i tam i prawie że się wyczerpują tymi dwoma nazwiskami, ale przecież są. Gdyby oni tu byli,

miałbym z nimi kontakt i współoparcie. Tu w Kownie ani takiej akcji, ani takich ludzi nie ma. A na obie akcje istniejące polskie – ani na wszechpolską, ani na „polską” w cudzysłowie – nie mogę się zgodzić i przeto głosu im dać nie mogę.
Jakże się sprawa prezentuje w zakresie walczących list litewskich, pośród których wypadnie mi się orientować i wybór mój ustalić? Przeszłą razą głosowałem na „Pažangę”, zblokowaną z „Žemdirbiami”. Dziś jednak sytuacja się zmieniła. Głosowałem na „Pažangę” przeszłą razą głównie dlatego, że je blok z „Žemdirbiami” wyrażał w społeczeństwie litewskim tę funkcję zachowawczą, która ma w nim najtrudniejsze warunki rozwoju, a która jest niezbędną dla równowagi i więzi ogólnego rozwoju społecznego w kraju. Z tych samych względów głosowałbym na ugrupowanie, wyrażające funkcję postępową, radykalną albo nawet rewolucyjną, gdybym uważał, że jej brak w rozwoju społecznym, i kto wie, czy tym razem nie będzie to dla mnie właśnie wskazówka dla mego wyboru. Teraz co do „Pažangi” sytuacja, a przeto i motywy mojego głosowania się zmieniły. W obecnej kampanii wyborczej ostry moment walki skupia się na konkurencji Chrześcijańskiej Demokracji z ludowcami. Przez samą naturę tej walki Chrześcijańska Demokracja ciąży ku prawicy i ku funkcji społecznie zachowawczej, a że rozporządza ona siła wybitną, to przez to samo funkcja zachowawcza uwydatnia się mocniej i nie jest już tak zagrożona w przyszłym układzie sił społecznych rozwoju, jak się przedstawiała poprzednio, gdy się dawał przewidywać kompromis Chrześcijańskiej Demokracji z ludowcami.

3 maja, rok 1923, czwartek
Były wreszcie listy od Elwiry, datowane z Warszawy do mnie i do Maryni, przysłane przez Bydgoszcz na Kotunię Pruszanowską i stamtąd przez Berlin, skąd do Kowna pocztą bezpośrednio. A więc Elwira z Helcią od czasu wyjazdu stąd siedzi w Warszawie, gdzie Helcia zalokowana jest w klinice, a Elwira przy niej czuwa. Leczą Helcię (ewentualnie brali udział w konsylium) dr dr Zieliński, Flattan, Dydyński i Drac. Doktorowie w Warszawie stwierdzili to samo, co stwierdził tu w Kownie dr Brundza, mianowicie że Helcia była chora na tzw. śpiączkę i że teraz to są jej skutki. Płuca, serce, oczy, mózg i nerki – zdrowe i jeżeli uda się Helcię odkarmić i tą drogą przezwyciężyć wycieńczenie, to będzie uratowana. Stan Helci jest już znacznie lepszy. Gorączki już nie ma, apetyt dobry, odżywia się forsownie, jedząc co 2 ½ godziny dzień i noc, ciała i wagi, a przeto i sił przybywa, może już sama stać i przejść przez pokój o własnych siłach (poprzednio i mowy o tym nie było), głowę już nie tam mocno ma przykurczoną, jak pierwiej, ale oczywiście jeszcze bardzo słaba, jeszcze ma drżenie członków, jeszcze daleko do zupełnego wyzdrowienia. Nadzieja już przecież jest, że wyzdrowieje. Elwira w liście przyznaje, że jednak nikt tak starannie Helci nie badał, jak dr Brundza w Kownie, którego też spostrzeżenia i określenia zostały przez lekarzy warszawskich potwierdzone, toteż i Elwira, i szczególnie Helcia są mu bardzo wdzięczne i Elwira prosi, by, dr-owi Brundzy specjalnie podziękował. W klinice Elwira płaci dziennie za Helcię 42 000 marek polskich (± 1 dolar, czyli 10 litów) i za siebie 18 000 mk p., ale naliczają bez liku na przeróżne dodatki i jeszcze drugie tyle, ile w zakładzie, dają; Elwira musi na pożywienie Helci dokupywać; służba w klinice rozpuszczona, więc Elwira sama musi wszystko wynosić – wiadra, nocniki, wodę i nieraz naczynia od obiadu, a na to dodatkowe dokarmianie musiała dokupić naczynia; sama naczynia przemywa, bieliznę Helci pierze, szyje nową dla niej bieliznę, bo mało wzięła, gotuje dla Helci na maszynce. Helcia marzy tylko o Bohdaniszkach i rwie się do powrotu, wesoła już jest, bawi się. Ojciec ją wzywa do siebie do Obodowców[144] na wypoczynek

[144] Obodovcai.

po klinice, ale Helcia nie chce tam jechać na dłużej, niż na tydzień i chce wracać do Bohdaniszek. Jednak chyba że nieprędko ten powrót nastąpi.

4 maja, rok 1923, piątek
Dziś Chrześcijańska Demokracja prowadzi kampanię wyborczą pod hasłem: „Precz z socjalistami!”, to znaczy – precz z tym wszystkim, co stoi od niej na lewo, począwszy od ludowców, którzy się przez Chrześcijańską Demokrację w czambuł socjalistyczny zaliczają, mimo że ich socjalizm był zawsze li tylko pokostem i nigdy nie wyrażał ich istotnego oblicza społecznego, a obecnie już nawet z ich nazwy wyrzucony został. W obecnej więc kampanii wyborczej rozdział między Chrześcijańską Demokracją a opozycją prawicową „Pažangi” i „Žemdirbisów” przestał być istotnym. Sama Chrześcijańska Demokracja, która w Sejmie Ustawodawczym i jeszcze na wyborach do poprzedniego sejmu tworzyła bardzo ścisły blok trzech frakcji, mianowicie ośrodka ściśle klerykalnego i dwóch ekspozytur – robotniczej (Darbo Federacija) i chłopskiej (Ukininkų Sąjunga) – obecnie się zróżnicowała. „Darbo Federacija” i „Ukininkų Sąjunga” są już stronnictwami odrębnymi, społecznie mocno się różniącymi wzajem. „Ukininkų Sąjunga” jest wyraźnie konserwatywna społecznie i coraz kategoryczniej się funkcji zachowawczej ima. Jest ona stronnictwem klasowym bogatych chłopów, z którymi się łączy młoda plutokracja bankowa z Vailokaitisami na czele. Różnica między tą formacją a „Žemdirbių Sąjungą” się coraz bardziej zaciera. Na obecnych wyborach „Ukininkų Sąjunga” idzie już samodzielnie, bez firmy Chrześcijańskiej Demokracji. „Žemdirbių Sąjunga” już z nią blok zawarła, jak również do bloku tego stanęła tzw. „Atgimimo Draugija”, stanowiąca zrzeszenie garstki najjaskrawiej się afiszujących nacjonalistów. „Pažanga” w niektórych okręgach wyborczych kandyduje osobną listą (w Kownie), w innych listą wspólną z „Žemdirbisami”, jeszcze w innych nie figuruje wcale, udzielając swoich kandydatów liście „Žemdirbisów”. Wobec tego, choć, zdaje się, ona sama tam, gdzie kandyduje osobną listą, nie zawarła bloku z „Ukininkų Sąjungą”, to jednak w innych okręgach przez „Žemdirbisów” w bloku tym uczestniczy. To czyni ją w obecnej kampanii wyborczej jedną z uczestniczek wspólnego frontu prawicowego Chrześcijańskiej Demokracji. Sam zaś ośrodek Chrześcijańskiej Demokracji, czyli stronnictwo klerykalne tej nazwy, trzyma się kontaktu raczej z „Darbo Federacją”, niż ze skrzydłem prawicowym „Ukininkų Sąjungi” i zblokowanych z nią adherentów prawicy; to stanowisko Chrześcijańskiej Demokracji jest prawdopodobnie podyktowane przez ten wzgląd taktyczny, że klerykali nie maja powodów opiekowania się akcją zamożnych chłopów, plutokracji i burżuazji, wiedząc aż nadto dobrze, że ta się nie wymknie spod wpływów kościoła i nie zboczy na drogi socjalistyczne, nie zabłąka się po manowcach radykalizmu społecznego, ulegając mocnemu hamulcowi klasowemu, podczas gdy robotnicza „Darbo Federacja” o jaskrawych tendencjach demagogicznych wymaga ciągłej czujności kleru i troskliwej opieki. Toteż sztab klerykalny trzyma się „Darbo Federacji” i mrugając porozumiewawczo na prawo, lecz formalnie się z prawicą ani łącząc lub blokując, ani z nią walcząc, krzyczy głośno z „Darbo Federacją” hasłami demagogicznymi, walcząc wespół z nią zażarcie przeciwko lewicy i posługując się bronią agitacyjna haseł radykalnych. Gdy się więc obecnie „Pažanga” i „Žemdirbisy” znaleźli się w wielkim wspólnym obozie prawicy, w którym nie ma obawy, by funkcja zachowawcza została nieopatrzona, to dla mnie ustał motyw, dla którego poprzednią razą na nich głosowałem. I choć lista „Pažangi” w Kownie ma najlepszy dobór nazwisk, nie będę na nią głosował.

5 maja, rok 1923, sobota

Miałem list z Kowaliszek od Elizki Komorowskiej, donoszący o zaręczynach formalnych jej syna Julka Komorowskiego z panną Madzią (zapewne – Magdaleną) Gorską z zamożnej rodziny ziemiańskiej bodaj na Żmudzi (dokładnie nie wiem, gdzie jest położony majątek Gorskich i jak się nazywa). Małżeństwo to od dawna było przewidywane; młodzi podobali się sobie, Julek jest zakochany, a oba domy – i Komorowskich, i Gorskich – szczerze sobie tego związku życzyły. Panna jest z domu bogatego, pewno będzie posażna. Jak mi pisze Elizka, wesele ma się odbyć w końcu lata. Praktyczny ścisły Hektor wraz z rodzicami panny układają teraz warunki materialne młodej pary. Julek ma z żoną zamieszkać w Kowaliszkach. Reszta rodziny Komorowskich zapewne ustąpi mu z placu i rozproszy się. Zapewne Zitka z Litką, realizując projekt, który się już od dawna utrzymuje, wyniosą się do Polski, a Elizka z Hektorem zamieszka w Radkunach[145]. O wyjeździe do Radkun Elizka wspominała nam zimą. Zdaje ona sobie sprawę z tego, że pozostanie jej w Kowaliszkach przy synowej może być i dla niej, i dla synowej ciężarem; sama Elizka mówi, że ją raziłoby to, że w Kowaliszkach, w których Elizka przywykła być panią i które dla niej pełne są tradycji Zysia i tą tradycją nadal się przez Elizkę rządzą, zacznie się rządzić osoba nowa, która Zysia nie znała i dla której tradycja ta jest obcą. Toteż mogłyby być scysje i kwasy, których rozumna Elizka woli uniknąć i pragnąc tego małżeństwa dla syna, usunąć się i ustąpić miejsca nowej pani. Biedna Elizka! Czuje, że jej życie wraz ze śmiercią Zysia, a ostatecznie z małżeństwem synów traci grunt i cel żywy i coraz bardziej przechodzi w stan pasożytniczy starości. Z kipiącej twórczością energii tak w zakresie gospodarczym, jak w zakresie wychowania dzieci, trzeba się stopniowo wyrwać i iść w cień, ustępując miejsca nowemu pokoleniu i nowym jego zadaniom, i zasklepić się w upokarzającej roli bezcelowej starości, dopóki śmierć nie uprzątnie zbytecznego grata. Nie jest jeszcze Elizka literalnie w roli grata, bo jeszcze się i nieżonatego Hektora trzyma, i jeszcze córki, zwłaszcza młodsza Litka, mogą jej potrzebować, ale już się życie ma ku zmierzchowi. Toteż pamięć Zysia coraz jej jest droższą, bo w nim była jej życia samodzielnego ostoja, a z jego śmiercią rozpoczął się jej zmierzch. Dzieci są do niej mocno przywiązane, bardzo dla niej dobre, ale logika życia jest silniejsza od tego przywiązania. Fizycznie i umysłowo jest jeszcze Elizka pełna sił, ma lat 51 i ma jeszcze starość długa przed sobą. Tym trudniej iść w cień, ale trzeba. Zamieszkanie jej z Hektorem w Radkunach, jeżeli się ten projekt utrzyma, będzie tylko etapem. Radkuny są własnością Piotrusia Komorowskiego[146], syna śp. Antoniego, rodzonego brata Zysia. Piotruś Komorowski jest wychowywany w domu kowaliskim i Hektor jest opiekunem jego funduszu. Piotruś ma już lat 16 i wkrótce dorośnie, skończy nauki, a wtedy trzeba mu będzie Radkun ustąpić. Do tej pory może się już Hektor ożeni i osiądzie gdzieś na swoim stałym warsztacie pracy. Elizce może i od niego się wypadnie usunąć, jak się dziś usuwa z Kowaliszek. Każde życie ma swój cichy głęboki krzyż.

6 maja, rok 1923, niedziela
Rano w lokalu uniwersytetu odbyło się posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego. Posiedzenie było nieliczne; obecni byli Leonas, Kriščiukaitis. Balogh, Tumenas, Wacław Biržiška, Bielackin, Šalčius i ja. Omawiane były przeważnie rzeczy mniejszej wagi. Pomimo to posiedzenie potrwało około trzech godzin. W szczególności ustalono zakończenie roku szkolnego wykładowego w d. 26 maja. Tą drogą bardzo wielka część mojego kursu prawa państwowego pozostanie niedokończona. Że nie dokończę całości, o tym wiedziałem od dawna. Sądziłem na razie, że zostaną opuszczone tylko dwa

---
[145] Ratkūnų dvaras
[146] Komorovskis Piotras, Kamarauskas Petras (Komorowski Piotr,)

ostatnie działy – o podziale państw (autonomia, samorząd, decentralizacja i centralizacja) i o związkach państw (związek państw, federacja, państwo związkowe). Potem, pracując po Wielkiejnocy nad rozdziałem o tzw. przedstawicielstwie, czyli o instytucjach opartych na masowych periodycznych wyborach i widząc, że rozdział ten bardzo mi się w toku pracy rozciąga i komplikuje, rozumiałem, że już i rozdziału o formach państwa (monarchia, rzeczpospolita) w roku bieżącym nie dotknę. Chciałem po rozdziale o przedstawicielstwie zdążyć opracować jeszcze i w tym roku i w tym roku w wykładach uwzględnić przynajmniej rozdział o funkcjach państwa. Wreszcie zacząłem się bać, że i funkcji dotknąć nie zdążę. Aż oto teraz widzę, że bodaj i przedstawicielstwa zakończyć nie zdołam. Jeszcze nad nim w rękopisie pracuję i choć mam nadzieję, że go za jakiś tydzień lub dni 10 w rękopisie wykończę, to jednak nie jestem pewien, czy zdążę w wykładach wyczerpać to, co już mam napisane obecnie. Okazuje się, że w ten czwartek jest święto, więc wykładu mego nie będzie, a poza tym do 26 maja pozostają tylko dwa czwartki, tj. 4 godziny wykładu. Od Wielkiejnocy wykładam tylko czwartkami, poświęcając poniedziałki kolokwiom, a soboty opuszczam. Trudno mi też uzupełnić teraz wykłady czwartkowe poniedziałkowymi i sobotnimi, bo w tych dniach godziny mi są wyznaczone ranne, od ósmej do dziewiątej, i prawie nikt ze słuchaczy nie przychodzi; szczególnie teraz latem i gdy studenci już się do egzaminów gotują, nikt rano na wykłady nie przyjdzie. Wypadnie ten pierwszy mój rok wykładowy pozostawić niewykończony. Na przyszły rok dam już pełny zakończony kurs. Latem postaram się wykończyć rękopis, a na przyszłoroczne wykłady skoryguję go, wygładzę, ściślej dopracuję części i dam całość bardziej jednolitą i metodyczną. Spodziewam się już wtedy dać ścisły konsekwentny mój system nauki. Wykładać też będę w roku przyszłym pełne cztery godziny w tygodniu i postaram się, aby nie było tych godzin rannych, które się marnują dla braku słuchaczy. Pierwszy rok wykładów był dla mnie samego najtrudniejszy, bom się dopiero sam musiał uczyć nauki. Teraz mam przynajmniej podstawę mocną.

Na dziś przeniesione było z d. 1 maja święto sadzenia drzewek. Do tego wyznaczona została jedna z przyszłych ulic rozplanowanego rozszerzenia miasta, położona w pięknej miejscowości na wielkiej równinie, porosłej dębami, w głębi Góry Witolda między tą górą a miejscowością zwaną Zieloną Górą. Linię przyszłej ulicy wytknięto aleją w cztery rzędy drzew, które dziś właśnie sadzono. Dołki były przygotowane, w każdym dołku położone drzewko do zasadzenia. Dołki były numerowane. Każda szkoła lub instytucja, biorąca udział w uroczystości, miała swój numer dołku. Aleja zakończona była rondem pod przyszły skwer czy placyk publiczny, od którego zaczynała się numeracja dołków. Jeżeli w okolicy tej alejki ma powstać miasto, to wielka będzie szkoda tego pięknego gaju dębowego, który zarasta całą tę miejscowość. Pogoda była śliczna, pierwszy dzień prawdziwie letni, do 20° Réamura ciepła. Tłumy publiczności, orkiestry, szkoły w ordynkach, rzędy automobili ciągnęły w kierunku miejsca uroczystości. I znowu wśród szkół widziałem i szkołę polską, jak w d. 16 lutego, z tym samym sztandarem czarnym z Pogonią w środku, i z orkiestrą dętą uczniowską. I znowu serce mi się rwało do tych młodych Polaków litewskich, którzy obyż wreszcie synami w Ojczyźnie się poczuli! Ich sztandar czarny wprawdzie, żałobny może na znak żałoby po biało-czerwonych barwach narodowych polskich, którymi im świecić nie wolno, bo są one barwami państwa polskiego, które jest obcym i wrogim, niestety, ale na tym sztandarze żałobnym Pogoń przecie, a więc Litwa jest wypisana! Nasz Wydział Prawniczy uniwersytetu miał swoje drzewko do sadzenia pod nr 7 w rondzie. Z wydziału naszego w sadzeniu drzewka wzięli udział dziekan Leonas i czterech członków – ja, Balogh, Bielackin i Tumenas.

Był Prezydent Rzeczypospolitej, dostojnicy państwa, wszystkie szczyty społeczeństwa. Aktu poświęcenia uroczystości dokonał ks. Tumas z kazalnicy wzniesionej w centrum ronda. Poprzednio z tejże kazalnicy przemówił jeden z Litwinów z Kłajpedy na temat połączenia się Litwy Małej z Macierzą, wyrażając pragnienie, by do połączenia tego jak najrychlej mógł stanąć i lewy brzeg Niemna, dzielnica tylżycka, która dotąd jest odcięta i ulega germanizacji. Potem przemawiał Michał Biržiška – oczywiście na temat Wilna, ale mówił bardzo umiarkowanie, nie mityngowo, nie drażniąc uczuć polskich i odwołując się tylko do kiełkowania w Wilnie tej świadomości państwowej i narodowej, która wyrośnie w drzewo połączenia się wszystkich dzielnic z grodem Giedyminowym w Litwie. Przemawiała jeszcze pewna Litwinka w imieniu Litwinów amerykańskich.

7 maja, rok 1923, poniedziałek
Na wczorajszej uroczystości sadzenia drzewek ładnym było widowisko, zarządzone przez teatr pod otwartym niebem na błoniach gaju dębowego. Była odegraną rzecz, przedstawiająca symbolicznie dzieje Narodu Litewskiego od czasu potęgi starożytnych kapłanów, bohaterów i Wielkich Xiążąt Narodu poprzez wieki upadku, gdy ołtarze zgasły i naród skarlał w pętach niewoli, aż wreszcie przechowane w popiołach iskry zbudziły odległych potomków, którzy się dźwignęli i czynami wolności odzyskali niepodległość i odrodzili Litwę. Była to rzecz symbolicznie dekoracyjna, której całości nie mogłem dobrze obserwować, bom poprzez tłum widzów dostrzegał ledwie fragmenty.
Dziś – nic do zanotowania nie mam. Byłem rano na uniwersytecie na mojej godzinie wykładowej, przeznaczonej na kolokwium I semestru. Stawił się tylko jeden kandydat do kolokwium, z którym też krótką pogadankę odbyłem. Poza tym, było tylko trzech studentów, którzy już mieli kolokwium odbyte, toteż wykładać dla czterech słuchaczy się nie opłacało.

8 maja, rok 1923, wtorek
Podług wszelkiego prawdopodobieństwa, tym razem na wyborach ugrupowania rdzennie prawicowe, jak „Pažanga” i „Žemdirbių Sąjunga”, zdobędą mniej głosów niż poprzednio. Na jesiennych wyborach zdobyły one 30 000 głosów, ale już samo to, że nie pozyskały ani jednego mandatu, musi działać deprymująco na tych, co na nie głosowały. Choć nie zdobyły one w jesieni mandatu dlatego, że głosy, które na nie padły, rozłożyły się bardzo równomiernie po wszystkich okręgach, czyniąc w każdym poszczególnie ilość niewielką, i po wtóre dlatego, że niespodziewane wyjaśnienie art. 76 ordynacji wyborczej wypadło dla nich szczególnie fatalnie i krzywdząco, to jednak w te subtelności przyczyn przeciętny masowy wyborca się nie wdaje; do głosowania na te stronnictwa zraża go to, że głos jego może być zmarnowany, woli więc czynić wybór między stronnictwami, które mają szanse pewne. Następnie do osłabienia formacji czysto prawicowych musi się przyczynić to, że tym razem stoją one na uboczu głównych prądów walki, toteż podnieconych namiętności nie dotykają; wyraża się to też w bardzo słabej tym razem agitacji wyborczej z ich strony. Wreszcie argumentem przeciwko nim jest to, że tym razem prawe skrzydło Chrześcijańskiej Demokracji, „Ukininkų Sąjunga”, bardzo wyraźnie się przesunęło na prawo w kierunku zachowawczym, biorąc na siebie tę funkcję, którą one wyrażały i przyciągając do siebie wszystkie żywe czynniki konserwatywne. Tym więc razem i bez tych formacji rdzennie prawicowych funkcja zachowawcza jest należycie obsadzona. Ten wzgląd ostatni zwalnia mię od obowiązku głosowania na formacje prawicowe, na poprzednich bowiem wyborach uważałem to za mój obowiązek obywatelski; byłem zdania, że zaniedbanie funkcji zachowawczej jest szkodliwe dla całości rozwoju i w myśl interesów rozwoju

pośpieszyłem poprzeć tę właśnie funkcję. Teraz wzgląd ten nie zachodzi, bo „Ukininkų Sąjunga" jest aż nadto wyraźnie zachowawcza społecznie i nie traci bynajmniej na sile, lecz się potęguje, a na nią głosować nie będę jeszcze z tego względu, że łączy funkcję zachowawczą z kategorycznym pierwiastkiem klerykalnym, którego wzmocnienia nie pragnę wcale. Konserwatyzm w kształtach klerykalnych jest dla mnie o wiele mniej sympatyczny od konserwatyzmu „Pažangi", który jest od klerykalizmu wolny. Jeżeli wszakże tym razem „Pažanga" lub „Žemdirbių Sąjunga" nawet zdobędzie jakiś mandat w drodze bloku „Žemdirbisów" z „Ukininkų Sąjungą", nie zmieni to tego faktu, że w obecnych wyborach te dwie formacje rdzennie prawicowe są w stanie zmierzchu, ustępując placu nowemu rosnącemu konserwatyzmowi litewskiemu lichszego gatunku – konserwatyzmowi spowitemu w sukienkę demagogiczną klerykalizmu, najpodlejszemu z konserwatyzmów. Ten nowy konserwatyzm klerykalny („Ukininkų Sąjunga") we mnie adepta nie znajdzie. Nie byłem wprawdzie adeptem i „Pažangi" ani „Žemdirbių Sąjungi", ale ceniłem je dla funkcji społecznej w rozwoju, a w tym stopniu cenić „Ukininkų Sąjungi" nie mogę.

9 maja, rok 1923, środa
Rad jestem, że mogłem dziś wyświadczyć usługę pastorowi Tittelbachowi[147], który przed laty 9 w charakterze pastora ewangelickiego w Wilnie dokonał smutnego obrządku eksportacji i pogrzebu mojej śp. Aninki. Tittelbach mię poznał; czy pamięta, w jak smutnych dla mnie okolicznościach miała miejsce nasza znajomość – nie wiem. Ukłonił mi się w korytarzu Trybunału, a gdym mu podał rękę z zapytaniem: „*Herr Tittelbach*?", odrzekł: „*Wir kennten uns in Wilna!"*[148]. O, tak – „*wir kennten uns*[149]"! Obecnie Tittelbach jest pastorem w Kiejdanach. Ma on tam kupiony folwark Czaplinowo od Totlebena z dominium Kiejdan jako majątek nadany niegdyś Totlebenowi przez władze rosyjskieczy też nabyty przezeń na warunkach ulgowych. Akt sprzedaży folwarku Czaplinowa przez Totlebena[150] Tittelbachowi jest prywatny, dokonany w grudniu 1918 za okupacji niemieckiej, gdy jeszcze nie było w Litwie urzędów notarialnych. W latach 1919 i 1920 do czasu konfiskaty dóbr Totlebena Tittelbach nie zdążył zrobić z Totlebenem formalnego aktu kupna u notariusza, bo dokumenty własności Totlebena były przezeń w obawie inwazji bolszewickiej wywiezione do Berlina. Ministerium Rolnictwa nie chciało uznać przejścia własności na rzecz Tittelbacha, który już zagospodarzył nabyty folwark. Wobec tego Tittelbach, opierając się na ustawie litewskiej z d. 18.VIII.1919, zezwalającej na zatwierdzenie przez sąd prywatnych aktów przelewu własności nieruchomości, sporządzonych w latach wojny pod nieobecność notariuszy i poświadczonych przez osoby, pełniące obowiązki społeczne (akt na Czaplinowo był zaświadczony przez Kolegium Ewangelickie w Kiejdanach), wniósł powództwo do sądu okręgowego o zatwierdzenie aktu. Ministerium Rolnictwa oponowało. Sąd okręgowy dla pewnych względów prawnych (mylnej interpretacji) i względów formalnych samego aktu – powództwo oddalił. Tittelbach odwołał się do Trybunału. Janulaitis był za oddaleniem skargi apelacyjnej i zatwierdzeniem wyroku sądu okręgowego. My z prezesem Kriščiukaitisem jednak przeważyliśmy na rzecz uchylenia wyroku I instancji i zarządzenia powództwa w myśl żądań Tittelbacha. Bardzo rad jestem, że się tak stało.

---

147 Tittelbachas Paulius (Tittelbach Paul)
148 *Wir kennten uns in Wilna*! (vok.) -
149 *Wir kennten uns* (vok.) -
150 Nikolajus Totlebenas (*Тотлебен Николай Эдуардович)*

Za kilka już dni – wybory do Sejmu. Trzeba się decydować, na którą listę głosować. Zdecyduję się zapewne głosować na ludowców („liaudininków”). Z trzech grup głównych lewicy litewskiej – ludowców, socjalnych demokratów i komunistów – raczej głosować mi wypada na pierwszych. Na komunistów głosować bym nie mógł zarówno dlatego, że program ich uważam za niewłaściwy dla rozwoju społecznego i kulturalnego Litwy, jak dlatego, że są oni przeciwnikami Niepodległości Litwy i są w istocie agentami Rosji. Esdecy są w obecnych warunkach czymś nieżywotnych operetkowych „Salonen-socialistów”. Są czyści, dbali o pozory talmudycznej dokładności doktryny i zarazem o unikanie ruchów gwałtownych i nieszkodzenie ustrojowi istniejącemu. Są oni bezbarwni i nie są ani rybą, ani mięsem, ani proletariatem, ani burżuazją.

10 maja, rok 1923, czwartek
Pod wieczór na uniwersytecie odbyło się ogólne zebranie Rady Uniwersytetu. Byłem na zebraniu obecny, ale udziału w dyskusjach nie brałem i nie pozostałem do końca. Pojutrze pierwszy dzień wyborów do Sejmu. W samym Kownie agitacja wyraża się plakatami i odezwami, którymi oblepione są płoty, kioski, tablice ogłoszeniowe, w wielu miejscach mury, wszystkie bodaj słupy telefoniczne i latarnie. O wiecach w Kownie nie było słychać. Wiece są specjalnością miasteczek i wsi kościelnych, gdzie toczą się homeryczne nieraz walki współzawodniczących agitatorów i ich partyzantów z tłumu. Jak słychać, agitacja nie ogranicza się do wieców. Agitatorzy wędrowni obchodzą wsie, zaglądają do chat, łowią wyborców w ich własnych siedzibach. Dotąd nie wiem, na kogo będę głosować. Czasem zdaje mi się, że zrobię najlepiej, nie głosując wcale. W tym bowiem wielkim zbiegowisku konkurujących grup nie ma żadnej, względem której nie miałbym poważnych zastrzeżeń, i żadnej, która by budziła we mnie szczera sympatię. Jeżeli będę głosować na ludowców, to bynajmniej nie dlatego, bym się zachwycał bądź ich programem, bądź ich istotną tendencją społeczną. Jak każde stronnictwo, które jest bliskie władzy i już sięga po nią, walcząc nie o opozycję, lecz o stanie się zaraz czynnikiem rządzącym, ludowcy są w istocie oportunistami, u których program formalny małą gra rolę i jest tylko płaszczykiem barwnym do nęcenia łatwowiernych. Z radykalizmu społecznego, a tym bardziej z socjalizmu, który do niedawna figurował w ideologii ludowców, nic u nich nie ma prócz frazesów, które by się ulotniły z chwilą objęcia przez nich władzy. Jako stronnictwo rządzące ludowcy byliby czynnikiem burżuazji chłopskiej, umiarkowanym i ostrożnym. Cały ich radykalizm wyczerpałby się na nieco konsekwentniejszym wykonywaniu reformy agrarnej ze szkodą dla klasy grubszych obszarników, którzy są dogodnym przedmiotem napaści i popisów „demokratycznych” nie tylko, a może i nie tyle dla swoich właściwości społecznych, ile dla względów narodowych jako Polacy. Ale i w kwestii reformy agrarnej zapał i rozpęd ludowców nie sięgnąłby – jestem pewien – zbyt daleko. Jeżeli będę głosować na ludowców, to ze względu na to, że stanowią oni przeciwwagę klerykalizmu, który w Litwie się panoszy niezwykle i który, w razie zwycięstwa Chrześcijańskiej Demokracji, wkrótce obskurantyzmem zaćmi kraj cały. Ludowcy mają przynajmniej więcej kultury społecznej i humanitarnej, mają szersze tchnienie.

11 maja, rok 1923, piątek
Pierwszy dzień wyborów – jutro. Nigdy w żadnych wyborach, w których brałem udział, nie było mi tak trudno zdecydować się na mój wybór osobisty, jak w obecnych. Nie zdarzyło mi się nigdy, abym w przeddzień głosowania nie wiedział, na kogo będę głosować i czy będę w ogóle głosować. Decyzja moja jest najbliższa listy ludowców. Zastanowię się jeszcze nad tym przez dzień jutrzejszy, bo głosowanie rozciąga się i na

niedzielę. Mam więc czas. Co do ludowców, to zaznaczyłem wczoraj, że o ile będę głosować na ich listę, nie uczynię tego dla ich programu, bo programowi stronnictwa, , które jest na drodze do oportunizmu, nie wierzę. Liczę się nie z ich programem, lecz z ich wartością czynnika kulturalnego. Gdyby chodziło o program, to właśnie dla ich programu nie głosowałbym na ich listę; program ich bowiem nie odpowiada moim sympatiom obecnym; może nawet nie tyle program, ile hasła. Nie o to mi jednak chodzi. Litwa jest na drodze do skrajnego klerykalizmu, ubierającego się w szaty demagogii społecznej i nacjonalizmu. Klerykalizm ten nie przebiera w środkach i w szczególności łączy się ze zgrają karierowiczów, którzy prowadzą politykę wewnętrzną na manowce i którzy kultury państwowej nie posiadają. Chodzi mi więc przynajmniej o taki kierunek, który do pracy państwowej wprowadzi zasady kultury zachodniej. Klerykalizm litewski, choć jest katolicki, zbyt tchnie demagogią Wschodu i instynktami biurokracji rosyjskiej. Pod względem wartości kulturalnej cenię skrzydło konserwatywne „Pažangi" i skrzydło umiarkowanie postępowe ludowców. Konserwatystów tym razem posądzam o kapitulację wobec klerykalizmu, który zagarnia funkcję zachowawczą. Toteż z tych względów gotów jestem głosować na ludowców. Mam wrażenie, że grupy klerykalne w wyborach obecnych zwyciężą. Tym bardziej mię to skłania do głosowania na ich przeciwników z lewicy. Wole ludowców od esdeków, bo są bardziej realni. Esdecy są na rozdrożu. Nie odważają się na stanowisko rewolucyjne, nie odważają się też na zerwanie z rewolucją. Ich akcja jest mieleniem wody w żarnach. Cała wartość ich działania w Sejmie polega na poszczególnych interpelacjach, na delikatnej doraźnej krytyce, która może być użyteczną, ale która pozbawiona jest idei przewodniej. Są to sofiści współcześni.

12 maja, rok 1923, sobota
Dziś pierwszy dzień wyborów. Nie głosowałem. Odkładam to do jutra. Do obiadu byłem zajęty na posiedzeniu sądowym Trybunału, a zresztą nie śpieszy mi się. Otrzymałem dziś długi sążnisty list od Maryni syna Stefana Römera z Bohdaniszek, jeden z tych płodów jego pióra, którymi się on sam egzaltuje i w których wyobraźnia wytwarza mu świat idealistyczny, nieraz nic wspólnego nie mający z rzeczywistością. Jest to jedna z cech psychicznych Stefana, czyniąca zeń idealistę i marzyciela-entuzjastę w wyobraźni, podczas gdy jego życie realne zazwyczaj nic wspólnego z tym lotem pod obłoki nie ma i albo brodzi w gnuśnym bezwładzie próżniactwa, snu, jedzenia i wegetacji, albo – co gorsza – nurza się w rozpuście, pijactwie, łajdactwie wszelkiego rodzaju, ba – nawet zbrodni. Teraz, w Bohdaniszkach, jest on w stadium próżniactwa i bezwładu, które jest z dwojga oczywiście mniej złym. Za to jego życie wyobraźni jest pełne poezji, burz tragicznych, zapałów, apatii, załamań, melancholii, idealizmu, poświęceń, słowem – całej przędzy uczuć i nastrojów „bajrońskich", jak romantyzm z ballady rycerskiej. Jest to natura artystyczna, ale zarazem zdegenerowana, głęboko dwoista w kontrastach czucia i woli, nieżywotna zgoła. Kto by go sądził z listów i w ogóle z tego, co pisze, ten by go wziął za najszlachetniejszego idealistę. W istocie jest on nim w świecie własnym wyobraźni, a jednocześnie potrafi być w czynach nikczemnym i podłym. Jest to dusza wrażliwa niezmiernie i skomplikowana, jak anioł z nieba strącony, w którym jest Bóg i Szatan. List jego dzisiejszy – to spowiedź. Zacytuję go tu prawie w całości. Ciekawy jest i ładny, ale niepokojący; nie masz w nim pogody i równowagi ducha, i boję się, by z tych podmuchów samoanalizy i wyobraźnie nie wyłoniły się znów jakieś wybryki nieobliczalne. Część druga spowiedzi, która dotyczy nowej miłości Stefana, jest treściwszą od jego rozważań w części pierwszej i jest bliższa rzeczywistości, bo że się zakochał w pannie Marii Narbutównie, bardzo przystojnej i miłej dziewczynie, która jest w Bohdaniszkach nauczycielką dzieci Elwiry

– to rzecz bardzo naturalna i rzecz, która przewidywałem i która oczywiście i dla Maryni tajemnicą nie jest, bo czyż miłości w wieku lat 23 dadzą się ukryć! Ale ustępuję miejsca pióru Stefana:
„Biorę się teraz całą siłą do pomagania Mamci w gospodarstwie (jaka to „siła" tej pomocy, to widać z listu Maryni, która w tej materii pisze w te słowa: „Stefek ... taki hultaj, że zdatny byłby tylko na popychadłę ordynariusza... Teraz czas roboczy, parobcy w polu, koniuch jeden ma dużo roboty, bo dopatruje i Elwiry konie, więc te moje duże konie nie są prawie czyszczone, ja je trochę czyszczę, a Stefkowi, gdy gderząc wymówię, odpowiada, że co ma dla parobków konie czyścić, przecież zaraz znowu się zabrudzą! W ogóle to człowiek pasożyt, tylko że łagodny, nie kłóci się ze mną i zawsze nie jedną jestem. Na posłańca niezdatny, bo konno się męczy, nie jedzie, bryczką – to trzeba mu jeszcze założyć, podać. Paznokcie, zęby zaczął myć, i flircik z p. Marią – maj, ale o ile zechcieliby się pobrać, to winszuję – oboje niedołędzy – oto więc komentarz do gromkich słów „biorę się całą siłą do pomagania Mamci w gospodarstwie", a po tym komentarzu cytuję w dalszym ciągu z listu Stefana): „Mamcia jest bardzo zapracowana, z Cioci Elwiry gospodarką ma dużo kłopotów i zmartwień, siana i słomy brak, litów nie ma, a konie i bydło trzeba karmić – to największa teraz bolączka w naszym gospodarstwie. Mamcia przynajmniej ma to, że z zamiłowaniem gospodarzy, lubi ziemię i pracę na niej, ja znów zmuszam się do tego, tak się nieraz czuję znerwowany i zniechęcony do tej ziemi – że po prostu rozpacz bierze! Ciągłe zmartwienia, kłopoty i przykrości. A przecież wieś bardzo lubię, a Bohdaniszki kocham ogromnie! Słaby jestem w zwalczaniu przeszkód (o, tak – to wielka prawda! – przypisek mój); z ogromnym wysiłkiem dławię zniechęcenie, choć we mnie wciąż powstaje przy każdej trudności, po każdej przykrości i zawodzie. W okresach takiego zniechęcenia jestem ponury i martwy (ten chłopiec dobrze zna siebie – a zresztą któż z analityków tego nie doświadczał i nie stwierdzał na sobie, a Stefan analizę ma wyrobioną świetną i ostrą; przypisek mój), sztywny i zimny dla wszystkich; Mamcię to boli i gryzie, widząc mnie takim; to się gniewa na mnie, to znów żałuje i przeprasza mnie za łajanie. Gryzę się tym bardzo i Mamci biedaczki żałuję, i sam z sobą staczam walki, by zdobyć się na siłę woli i być więcej pomocnym mojej biedaczce Mamci"...
Na dziś tego odpisu wystarczy, Dalszy ciąg podam jutro lub pojutrze.

13 maja, rok 1923, niedziela
Rano poszedłem do urny wyborczej i oddałem mój głos na listę ludowców. Uczyniłem to bez zapału.
Prof. Balogh już od dawna chciał mię zapoznać z p. Eybertem[151], konsulem francuskim w Kownie. Uczyniliśmy to dzisiaj. Umówiliśmy się z Baloghiem spotkać w lokalu uniwersytetu o godz. 11 i udaliśmy się do p. Eyberta. Eybert jest człowiekiem w średnim wieku, który przed wojną i podczas wojny spędził lat kilkanaście w Rosji, w szczególności zna dobrze północ Rosji, bo dłuższy czas był w Archangielsku. Mówi z łatwością po rosyjsku, ale oczywiście my z nim rozmawialiśmy po francusku. Jak słyszałem skądinąd, zdaje się, że jest on pochodzenia żydowskiego, ale całkowicie zasymilowany jako Francuz. W ostatnich kilku latach, to znaczy po wojnie, mieszkał i był czynny w Estonii, potem w Łotwie, teraz w Kownie, słowem – przyjrzał się rozwojowi nowotworów państwowych bałtyckich i ma o nich opinię wyrobioną, chociaż oczywiście patrzy na nie przez szkła polityki francuskiej i, zdaje się, dość lekceważy państwowość tych krajów, uważając je za prowincje, których los ostatecznie się określi dopiero w związku z zasadniczą regulacją spraw Wschodu europejskiego po

---
[151] Eybertas Georgas (Eybert Georg)

likwidacji kryzysu Rosji. P. Eybert z zawodu nie jest dyplomatą i jego stanowisko nie jest w ścisłym znaczeniu dyplomatycznym, ale bądź co bądź jako Francuz znający Rosję i przeto orientujący się w problemie rosyjskim, miał swój głos w Paryżu przy kształtowaniu się polityki francuskiej w sprawach Rosji i ziem bałtyckich po wojnie, to znaczy był jednym z informatorów urzędowych Paryża i jest nim poniekąd dotąd. Poparcie Zachodu dla państw bałtyckich pojmował on analogicznie do pojęć, którymi się w sprawie Rosji kierowała polityka francuska: państewka te były brane poważnie jeno jako jeden ze środków do uzdrowienia Rosji przez utworzenie na kresach terenu rosyjskiego lokalnych środowisk burżuazyjno-praworządnych i antykomunistycznych o kształtach państwowych, przeznaczonych jednak w myśl pojęć francuskich do prawdopodobnego stopienia się z odrodzoną frankofilską i germanofilską Rosją, ewentualnie do podziału między Rosją a Polską. Przedłużanie się tego *status quo* konsolidowało wprawdzie wytworzone formacje bałtyckie i doprowadziło do uznania tych państewek „*de jure*”, ale i dotąd jeszcze znać pewną rezerwę w stosunku polityki francuskiej do tych tworów. Duzośmy z p. Eybertem rozmawiali o sprawie Wilna, o Litwie i Polsce. Dla Eyberta jako Francuza i wyznawcy polityki francuskiej sprawa Wilna jest sprawą li tylko polityki antyniemieckiej. Dopóki Litwa przeciwstawia się Polsce i poddaje z jednej strony Niemcom, z drugiej – bolszewickiej Rosji, dopóty mowy być nie może o tym, by Wilno mogło być jej oddane, bo Litwa, łącząca Niemcy z Rosją bolszewicką, stałaby się znakomitym instrumentem realizowania planów rewanżu niemieckiego i zresztą nie byłoby nawet pozoru usprawiedliwienia dla takiej cesji Wilna Litwie, bo w istocie sama jej niepodległość byłaby najzupełniejszą fikcją: byłaby ona li tylko ekspozyturą kontaktu niemiecko-bolszewickiego. Wilno więc musi być polskie, a w mowie Eyberta czuć było niedopowiedzianą myśl, że kto wie, czy nie musi być polskim i cały zresztą obszar Litwy. W każdym razie co do Wilna, to związek jego z Litwą, który nie jest przez Francję negowany, możliwy jest li tylko w drodze całkowitego i jak najdokładniejszego zsolidaryzowania Litwy z Polską. Zdaje się, że masowe przesłanki psychiczne, które tkwią w procesie odrodzenia narodowego Litwy i takichże procesach innych ludów na Wschodzie europejskim (Łotyszów, Estończyków, Białorusinów, Ukraińców) i które nie mają analogii ze zjawiskami etniczno-narodowymi na Zachodzie, przynajmniej romańskim, bo na Zachodzie analogię przedstawia Irlandia), nie są znane p. Eybertowi i nie są przeto przezeń uwzględniane, co zresztą cechuje politykę francuską. Do Łotwy i Estonii Eybert ma więcej uznania, niż dla Litwy, bo się one odcinają od Niemiec i idą w orszaku polityki polsko-francuskiej. P. Eybert, dowiedziawszy się ku końcowi naszej rozmowy, że jestem sędzią Trybunału, oświadczył mi komplementy uznania, jakie powziął dla Trybunału, przeczytawszy wyrok motywowany tegoż w pewnej sprawie między jakąś ziemianką a Ministerium Rolnictwa. Wyrok ten w tłumaczeniu posłał on nawet do Ministerium Spraw Zagranicznych w Paryżu przy raporcie informacyjno-politycznym i z przyjemnością stwierdził, że w osobie Trybunału Litwa ma przecie sędziów, którzy czynią ją państwem praworządnym. Sprawa, o której mówił, miała związek z polityką agrarną w duchu reformy rolnej i Trybunał w imię ustaw obronił ziemiankę od gorliwości wykonawców polityki.

14 maja, rok 1923, poniedziałek
Odwołuję opinię, którą wyraziłem o młodzieży uniwersyteckiej litewskiej, czyli raczej o swoich słuchaczach, przed paru tygodniami. W czambuł nie da się powiedzieć, że poziom jej rozwoju jest bardzo niski. Wówczas powiedziałem to pod wrażeniem odbytego ze słuchaczami kolokwium. Dziś pod wrażeniem również kolokwium, na którym był inny zespół młodzieży, mam opinię lepszą. Oczywiście za mały jest jeszcze

mój kontakt z młodzieżą akademicką, bym mógł sąd ścisły wydać o jej poziomie intelektualnym.
Wracam do dalszego ciągu listu Stefana Römera: „...Mam wybujałą fantazję, w głowie moc projektów i planów, lecz nie mam sił urzeczywistniać ich, a to dlatego, że bez zmuszania się nie mogę zadowolić się małym, wszystko zdaje mi się za małym, za mało godnym uwagi i niepotrzebnym. A przecież rozumiem dobrze i zdaję sobie sprawę, że muszę pracować i nad drobnostkami, i na małym polu pracy, jeżeli chcę być kimś w przyszłości, rozumiem, że każda wielka rzecz składa się z drobnostek, rozumiem, że na to, żeby dojść do czegoś, trzeba zacząć od całego szeregu prac drobnych, nieraz mało znaczących; rozumiem, że każda praca uszlachetnia człowieka, kształci go i rozwija; a jednak z takim trudem i rozpaczliwym wysiłkiem zmuszam się do pomagania Mamci w gospodarce. Nieraz czuję, że po prostu wykonywam Mamci polecenia dlatego tylko, że się upokarzam Mamci dobrocią dla mnie, po prostu miłość i przywiązanie do Matki zmusza mnie do wykonania tego a tego, robię wszystko jak automat, bez najmniejszego zamiłowania, owszem – nawet często ze wstrętem. Nie mogę Mamci o tym wszystkim mówić, bo nie chcę Ją smucić – i tak ma dużo kłopotów. Wujkowi zaś piszę dlatego, że muszę się przed kimś wyzewnętrznić, a wiem, że u Wujka zawsze znajdę radę i mądre słowo.
Obecnie jestem smutny i przybity tym bardziej, że od pewnego czasu skonstatowałem w sobie rozwijające się w szybkim tempie uczucie przekraczające zwykłą sympatię do p. Marii Narbutówny, tzw. miłość. Miałem dla Niej od początku naszej znajomości dużo sympatii i szacunku, sympatii – jako do przystojnej, młodej dziewczyny, szacunku zaś – jako należnego kobiecie. Przez czas zaś choroby Helci, widząc, z jakim zaparciem się siebie, dobrocią i słodyczą p. Maria opiekowała się Helcią, sympatia i szacunek mój dla Niej powiększał [się] stopniowo, czasami nawet uwielbiałem ją i otaczałem aureolą słonecznego ciepła duszy kobiecej Jej cichą i przedziwnie czystą sylwetkę. Nie analizowałem zresztą tego uczucia swego, nie zastanawiałem się nad nim, czasem tylko przypominałem sobie, że już nieraz spotykane na swej drodze kobiety idealizowałem, po czym następnie najczęściej rozczarowywałem się. Atoli w ostatnich czasach złapałem się na kilku faktach, że to, co brałem za zwykłą przyjaźń – sympatię, jest czymś większym, głębszym, to jest coś, co całym mną porusza aż do głębi. Od świąt Wielkiejnocy zbliżyliśmy się cokolwiek do siebie. Częściej widywałem się z p. Marią, która jest obecnie więcej swobodną, bo Helci nie ma. Rozmawialiśmy dosyć dużo i często w wolnych chwilach. I powoli doszedłem do wniosku, że te chwile rozmowy chociażby i banalnej były dla mnie jedyną pociechą, przebłyskami szczęścia. Obecnie już zdaję w zupełności sprawę z tego, co czuję. Staram się być lepszym, szlachetniejszym, obecność Jej nawet wystarcza mi, bym był pogodny i czuł się szczęśliwym. Czuję się jakby orzeźwionym z jakiegoś ciężkiego okropnego snu i to jest najgorsze i najsmutniejsze, [że] rozważam nad swym życiem. Bo cóż ja jestem – niczym – zerem! Staram się całą siłą nie zdradzić się ze swego uczucia. Nie wiem także, czy p. Maria mogłaby się odwzajemnić mi, lubi mię, tak sądzę, lecz czy coś więcej ma dla mnie prócz sympatii – nie wiem, nie czuję się nawet wart tego! Przypuśćmy, że tak, że przyjęłaby chętnie moje oświadczyny, lecz czyż ja mogę to zrobić, czyż mogę się żenić? Nic nie mam i nic nie umiem, na utrzymanie żony zarobić nie potrafię. Smucę się i dręczę tymi myślami od dłuższego czasu i wyjścia nie ma innego, jak zaniechać wszelkich marzeń o czymś, co jest mi obecnie dalekim i niemożliwym do osiągnięcia...”.

15 maja, rok 1923, wtorek

Stefan Römer kończy cytowany list do mnie w te słowa: „Wujek kochany zrozumie mnie i odczuje. Zrozumie moją potrzebę wyzewnętrznienia się ze wszystkiego, co mnie boli. Mamci nie mogę o tym mówić – i tak ma dość trosk codziennych na skołatanej głowie. Czuję się lepiej po tej spowiedzi. Będę się starał więcej pracować teraz, może w tym znajdę ulgę...”.
Ten list Stefana wcale mi się nie podoba. Nie mówię o tej części listu, która zawiera spowiedź miłości dla p. Narbutówny. Miłość ta jest bardzo naturalna, powiedziałbym nawet, że była konieczna. Oboje są młodzi – panna jest ładna, Stefan jest wrażliwy i przeto kochliwy, jak każdy człowiek żyjący wyobraźnią i głębokim nurtem uczuć wewnętrznych i ciągłej refleksji przy zupełnym braku ekspansji czynu; zresztą Stefan w Bohdaniszkach pędzi żywot odludka i jedyna osoba młoda płci pięknej, którą widuje i z którą obcuje towarzysko, jest p. Maria Narbutówna. Byłoby dziwne, gdyby się nie zakochał. Że się zakochał – to może nawet i dobrze. Co innego, że ta miłość jest jeszcze pensjonarską i nie odważa się na zdobywczość męską, która jest najskuteczniejszym środkiem powodzenia. Gdy się jest młodym – można każdej dziewczyny serce zdobyć; zdobycie miłości kobiecej jest dla młodego mężczyzny nie dziełem wypadku i losu, nie wynikiem swobodnej gry samorodnych uczuć panieńskich, lecz dziełem umiejętności i sztuki mężczyzny, jego – że tak powiem – polityki obcowania, w której do niego należy rola czynna. Trzeba nie czekać „zakochania się” panny, lecz „zakochać” ją w sobie. Miłość dziewczyny – to nie jest, że się ona zakochuje, lecz że mężczyzna ja zakochuje. Wiem o tym dobrze z mojego doświadczenia młodości. Ale ja sam do tej sztuki doszedłem dopiero w wieku lat 26-27, gdy zaś byłem w wieku Stefana, który za miesiąc kończy 23 lata, to też się kochałem jak on, po pensjonarsku, wstydząc się uczucia przed panną, tając je, wzdychając, uwielbiając i czekając cudu wzajemności, a spowiadając się i wynurzając w dzienniku własnym lub w listach do przyjaciół i w zwierzeniach siostrom. Ale co mi się w liście Stefana nie podoba, to część pierwsza wynurzeń – owe nicowanie się i żalenie na czczość życia, na bezużyteczność i próżnię, na zniechęcenie, owe niby walki między niedołęstwem a obowiązkiem itd. Co do tego ustępu listu, muszę go skarcić w odpowiedzi i wskazać, że uleganiu tej manii nicowania się, która rozkłada wszelką tężyznę ducha i więź woli i prowadzi do dekadencji, powinien położyć kres stanowczy, bo tu leży źródło wszelkich jego upadków i deprawacji, którym tylekroć ulegał. Powinien jak najmniej się wdawać z roztrząsanie tych swoich zniechęceń, czczości itp., unikać rozpisywania się o tym, w ogóle zabronić sobie jątrzenia własnych nastrojów ujemnych przez grzebanie się w nich z rozkoszą śmieciarza i w takich chwilach brać się do gimnastyki, szukać zmęczenia fizycznego, zadawać sobie pracę i potęgować ekspansywność energii. Te refleksje – to owoc pasożytnictwa i próżniactwa, najniebezpieczniejszych wrogów człowieka. Człowiek pracy im nie ulega, bo nie ma na nie czasu ani sił wolnych, ani wreszcie ochoty. Tych nastrojów nie chcę ani rozumieć, ani odczuć, ani tym mniej im współczuwać i roztkliwiać się nad ich głębią o próżniaczym „tragizmem”. Są one niegodne człowieka, jak my go w kulturze zachodniej, opartej o czyn, pojmujemy. Dobre są one dla syna Wschodu, ale trzeba mieć głęboki instynkt wschodni kontemplacji – to wtedy przestają być straszne. Człowiek w kulturze zachodniej jest wolnym twórcą swojego czynu, jest panem dumnym, który chce panować przez wolę i czyn, a nie grabać się jak żuk gnojowy lub robak trupi w tym, co się rozkłada, bo sam ulegnie rozprzężeniu i rozkładowi i nie zwycięzcą będzie, lecz zwyciężonym. To są rzeczy, które osłabiają i demoralizują i które prowadzą do upadku, do upokorzenia, do zbrodni wreszcie. Człowiek musi chcieć zwyciężać i zdobywać i do tego może się wdrożyć przez pracę i ekspansję. Życie należy do tych, którzy mają odwagę i chcą zdobywać. Jest ono jak kobieta, jak koń rasowy pod jeźdźcem. Wtedy jest ono piękne i daje mężczyźnie

rozkosz. Trzeba, aby to Stefan zrozumiał. Nie jest on o tyle głupi, aby to było nad jego siły psychiczne.

16 maja, rok 1923, środa
Nawiązuję jeszcze do rozmowy mojej z p. Eybertem, konsulem francuskim, o której wspominałem przed paru dniami. Błąd zasadniczy w poglądzie p. Eyberta i całej Francji urzędowej na młode twory państwowe nad Bałtykiem (Litwę, Łotwę i Estonię) polega, jak mi się zdaje, na tym, że się uważa, iż państwa te zawdzięczają swoje istnienie li tylko zwycięstwu Zachodu nad Niemcami i Traktatowi Wersalskiemu, którego rzekomo są kreaturą. P. Eybert wyraźnie to podkreśla, a to samo daje się stwierdzić w traktowaniu zagadnienia tych państw przez prasę i opinię francuską. I p. Eybert czyni stąd wnioski decydujące. Że Litwa, Łotwa i Estonia w zwycięstwie Zachodu nad Niemcami, którego wyrazem jest Traktat Wersalski, znalazły kapitalny warunek do zrealizowania swej państwowości, to nie ulega wątpliwości i w tym znaczeniu zawdzięczają istotnie temu zwycięstwu swoje istnienie. Nie tylko zresztą one, ale także takie nowe państwa, jak Polska i Czechosłowacja, które oczywiście bez żadnego porównania mają głębsze i silniejsze podstawy bytu państwowego, niż Litwa, Łotwa i Estonia, w zwycięstwie Ententy nad mocarstwami centralnymi (Austro-Niemcami) znalazły warunek realizacji swej niepodległości państwowej. O ileż bardziej jest to prawdą dla młodych republik bałtyckich! Co prawda, trzeba to uzupełnić poprawką: w nie mniejszym stopniu, niż zwycięstwu Zachodu nad Niemcami i Traktatowi Wersalskiemu, Litwa „zawdzięcza" swój byt państwowy poprzedniemu zwycięstwu Niemców nad Rosją, a więc – *horribile dictu*[152] – niefortunnemu Traktatowi Brzeskiemu. Bo najoczywistszą jest rzeczą, że gdyby Niemcy nie zadali Rosji klęski i gdyby Rosja była wspólniczką zwycięstwa Zachodu, to żaden Traktat Wersalski nie oderwałby od zwycięskiej Rosji jej terenów nadbałtyckich i nie stworzyłby z nich Litwy, Łotwy i Estonii. Ale i z tą poprawka pogląd ten nie ujmuje rzeczywistości. Wyniki wojny umożliwiły spełnienie państwowości tych krajów, ale państwowość ta nie mogłaby powstać, gdyby nie było dla niej podstawy psychicznej. Te podstawę dał Litwie jej proces odrodzenia narodowego. Bez niego nie byłoby nic i Litwa byłaby tylko pojęciem historycznym, który w żadnych warunkach nie wykształciłby się w pojęcie państwowe, tak samo, jak nie mogłoby powstać państwo na przykład łomżyńskie. Tego Francuzi nie pojmują i stąd wnioski ich są oparte na założeniach nieścisłych i mylne. Francja nie zna Wschodu europejskiego i jej agenci dyplomatyczni nie umieją jej o tym poinformować, bo dla nich realnymi są tylko zjawiska Rosji i Polski, które zaćmiewają inne. A Polska jest zainteresowana, by o ziemiach b. Rzeczypospolitej przedrozbiorowej informować Europę w duchu ignorancji nowych prądów narodowo-państwowych tych ziem.

17 maja, rok 1923, czwartek
Byłem dzisiaj wieczorem w operze na przedstawieniu „Eugeniusza Onegina" z udziałem Piotrowskiego. Była to premiera tej opery na scenie litewskiej i libretto *ad hoc* przetłumaczone było na język litewski. Teatr był przepełniony. Co żyje z inteligencji litewskiej – pośpieszyło na premierę, uświetnioną udziałem Piotrowskiego[153], kochanka publiczności kowieńskiej i zaiste śpiewaka wielkiej miary. Jednak mnie osobiście tym razem Piotrowski w roli Leńskiego mniej się podobał, niż gdym go słyszał w roli Fausta. Przedstawienia teatralne w roku bieżącym z powodu kapitalnego remontu gmachu teatru państwowego w Ogrodzie Miejskim odbywają się w tzw. „Sali

[152] *Horribile dictu* (lot.) – baisu ir pasakyti.
[153] Petrauskas Kipras.

Tilmansa" na Karmelitach. Dla wielkiej sceny publicznej teatru państwowego „Ala Tilmansa" nie jest odpowiednia. Jest ona za mała; ciasno jest i niesłychanie duszno na takim przedstawieniu, jak dzisiejsze, ściągającym wielkie tłumy publiczności, szczególnie latem. Toteż teatr jest poniekąd zarazem łaźnią.
Wyniki wyborów zaczynają się klarować. Jedną z najistotniejszych kwestii w tych wyborach było to, czy Chrześcijańska Demokracja w zespole swoich trzech frakcji („Ukininkų Sąjunga", centralna Chrześcijańska Demokracja i „Darbo Federacija") zdobędzie większość bezwzględną, czy nie zdobędzie jej. Pod tym względem kategorycznym i wyraźnym zdaje się być dotąd jedno: mianowicie że blok klerykalny nie stracił, czyli że połowę mandatów (albo połowę minus jeden) ma zapewnioną (38 na 78); chodzi jednak o to, czy nie zdobędzie jeszcze parę mandatów nad to, które by mu zapewniły przewagę absolutną. Chrześcijańska Demokracja w swoim organie „Laisvė" chwali się, że zdobędzie 40 mandatów, a ludowcy mieć będą tylko 15. Natomiast ludowcy twierdzą kategorycznie, że mają zapewnionych minimum 16 mandatów zasadniczych, nie licząc tych, które im jeszcze wypaść mogą na resztki, i że Chrześcijańska Demokracja zapewne nie przekroczy 38 mandatów, co ją zmusi do kompromisu z jakąkolwiek inną frakcją dla zdobycia większości rządzącej. Jeżeli się to ostatnie sprawdzi, to się okaże, że rozwiązanie Sejmu i nowe wybory były ze względu na cel, którym się kierował blok klerykalny – niepotrzebne, bo problem rządu okaże się takim samym, jakim był przed rozwiązaniem i konieczność bloku klerykałów z ludowcami (zważywszy, że ani z esdekami, ani z mniejszościami narodowymi w obecnych warunkach klerykali łączyć się dla większości rządowej nie mogą).
Wybitnym jest zwycięstwo mniejszości narodowych, które zdobędą około 14 mandatów zamiast pięciu, które miały w poprzednim Sejmie. Odzyskają więc one te mandaty, które im były w poprzednim Sejmie wydarte na skutek głośnego wyjaśnienia art. 76 ordynacji wyborczej i bodaj zarobią jeszcze parę mandatów nad to. Socjalni demokraci mieć będą około 9 mandatów. Słychać, że ewentualnie do dwóch mandatów mogą zdobyć „Pažanga" i „Žemdirbiai", choć to jeszcze się nie wyklarowało. Natomiast komuniści, którzy mieli 5 mandatów, nie otrzymają żadnego i w nowym Sejmie ich nie będzie. Ta kapitalna porażka komunistów osiągnięta została nie tylko ubytkiem głosów, spowodowanym świadomością, że głosowanie na nich jest bezcelowe z powodu gwałtownych przeciwko nim represji, stawiających ich kandydatów poza nawias (prawie wszyscy kandydaci list komunistycznych zostali osadzeni w więzieniu lub w obozach koncentracyjnych, względnie internowani), ale tez tym, że gdzieniegdzie w związku z tymi aresztami w ostatniej chwili cała lista komunistyczna została zanulowana przez Komisję po wykreśleniu z niej z różnych powodów wszystkich kandydatów i przeto głosy, które na nią padły, automatycznie uległy zmarnowaniu bez względu na ich liczbę.
Oczywiście dotąd cyfry ostateczne dystrybucji mandatów nie są całkowicie ścisłe, bo jeszcze nie ujawniły się mandaty resztkowe, ale rysy zasadnicze wyniku głosowania już się zaznaczyły. Za kilka dni rezultaty określą się już ściśle.

18 maja, rok 1923, piątek
Otrzymałem dziś z Szawel od Towarzystwa „Kultura" zaproszenie współpracownictwa w książce encyklopedycznej o Litwie. Towarzystwo czy spółka „Kultura", na której czele stoi zasłużony działacz społeczny Bugailiškis[154], ma na celu popularyzację wiedzy i prowadzi akcję wydawniczą, kierowanej względami nie spekulacji dochodowej, jak większość towarzystw wydawniczych, lecz względami ideowymi. Jest ona jedną z

[154] Bugailiškis Peliksas.

najdzielniejszych firm wydawniczych społecznych. Pod tym, jak i pod niejednym innym względem Szawle świecą przykładem Kownu. Propozycję opracowania i wydania książki encyklopedycznej o Litwie spółka „Kultura" otrzymała od Ministerium Spraw Zagranicznych. Ma to być książka o 300 stronach, ilustrowana, wydana w dwóch językach – litewskim i angielskim. Chodzi oczywiście o cele informacyjne, o spopularyzowanie ogólnych wiadomości o Litwie nie tylko dla Litwinów samych, ale także dla opinii anglo-amerykańskiej. Zarząd „Kultury" opracował plan książki i zaprojektował rozłożenie działów między autorów. Plan ogarnia 14 działów: 1, kraj, natura, bogactwo, 2. historia, 3. naród litewski i jego odrodzenie, 4. twórczość państwowa, 5. Wilno, 6. Kłajpeda, 7. prawo (konstytucja i in.) i administracja, 8. gospodarstwo krajowe: finanse, handel i przemysł, gospodarstwo rolne, 9. życie społeczne i polityczne, 10. kooperacja, 11. literatura, 12. sztuka, 13. oświata i 14. wychodźstwo. Do współpracownictwa zaprojektowano zaprosić całe mnóstwo osób, podług działów, a w szczególności zaprojektowane są następujące osoby: Paweł Matulionis[155], Tadeusz Iwanowski, prof. Jodelė[156], Jan Yčas, ks. Tumas, Piotr Klimas, Michał Biržiška, Vidunas[157], Antoni Smetona, Žilius[158], Janulaitis, Alfons Morawski, Karuža, Albin Rimka, ja, Fledżyński[159], Šalčius[160], Sruoga[161], Grigonis[162], Ignacy Šlapelis[163], Franciszek Mašiotas, Gineitis[164], Raczkowski[165]. Dla mnie przewidziany jest dział „Życie społeczne i polityczne", który obejmować ma 25 stron druku, a oprócz tego moje nazwisko wymienione jest obok nazwiska ks. Tumasa w dziale „Naród litewski i jego odrodzenie". Termin nadesłania rękopisu ustalony na 1 sierpnia. Chętnie się udziału w tej pracy zbiorowej podejmę i zajmę się nią w lipcu, gdy mi wypadnie samemu przez lipiec dyżurować w Trybunale. Muszę się jeno wpierw skomunikować z Bugailiškisem dla dokładnego uprzytomnienia sobie charakteru, celów i kierunku wydawnictwa oraz tej treści, o którą chodzi w przeznaczonym dla mnie dziale.

19 maja, rok 1923, sobota
W tych dniach, zdaje się, że we środę, przyjedzie do Kowna prof. Ruyssen, prezes międzynarodowej Unii Towarzystw Popierania Ligi Narodów. Ruyssen bawi teraz w Łotwie i w Estonii, dokąd był zaproszony przez towarzystwa lokalne. Nasze towarzystwo litewskie z Janulaitisem na czele przyjmie go jako gościa i będzie mu robiło honory przyjęcia. Przede wszystkim spotka go zarząd w osobach prezesa Janulaitisa i członków Jonynasa i dr Rocha Šliupasa. Odbędzie się prawdopodobnie konferencja publiczna prof. Ruyssena w języku francuskim, którą ma tłumaczyć na litewski Jonynas, poza tym w programie przyjęcia zamierzony jest obiad dla niego w gronie członków towarzystwa naszego, herbata towarzyska u Ślażewicza, obwożenie Ruyssena po Kownie i okolicach, zwiedzanie instytucji ciekawszych, zaprezentowanie mu Litwy, ewentualnie także – konferencja publiczna prof. Ruyssena na uniwersytecie, w której na tłumacza z francuskiego na litewski upatrzony jestem ja. Sądzę, że nie ujdzie uwagi Ruyssena głęboka różnica kierunku państwowego Litwy od kierunku

[155] Matulionis Povilas.
[156] Jodelė Pranas

[158] Žilius-Jonila Jonas (Žilinskas)
[159] Fledžinskas Jonas
[160] Šalčius Petras.
[161] Sruoga Balys.
[162] Grigonis Matas
[163] Šlapelis Ignas
[164] Gineitis Kazys
[165] Račkauskas Vytautas Aleksandras

Łotwy i Estonii. O ile dwa ostatnie kraje garną się do aliansu z Francją i pchają się pod skrzydła jej hegemonii, której wyrazem jest w ich najbliższym sąsiedztwie Polska, o tyle Litwa przez swój głęboki konflikt państwowy z Polską zachowuje bardzo wielką rezerwę wobec całej zwycięskiej Ententy zachodniej i w szczególności ledwie tai swoją niechęć głęboką do Francji, ciążąc do zsolidaryzowania się z Niemcami i oparcia się o sowiecką Rosję. Chociaż sam Janulaitis, jako niepodległościowiec, jest rusofobem, inni przeważnie nimi nie są, ale i Janulaitis z tych aspiracji niepodległościowych i przeto państwowo jaskrawie antypolskich podziela ogólną niechęć i nieufność Litwinów do Francji. Ma on w powitaniu prof. Ruyssena wyraźnie zaznaczyć, że Litwini witają nie urzędowego rzecznika polityki francuskiej, jeno szlachetnego działacza pacyfizmu, usiłującego organizować zasady sprawiedliwości w stosunkach między narodami. Nie usłyszy tu zapewne Ruyssen hymnów entuzjazmu dla Francji i zwycięskiego Zachodu, których się musiał nasłuchać u Łotyszów i Estończyków, a ponieważ stamtąd przyjeżdża, może go to razić. Ba – taką jest Litwa.

20 maja, rok 1923, niedziela
Dzień Zielonych Świątek. Cały niemal dzień spędziłem w domu. O, jakże już dalekie są te kochane lata, w których ten dzień był dla mnie hasłem wycieczek wiejskich z Aninką – do Trok na jezioro lub gdzie indziej. Oto już dziesięciolecie upłynęło od tych czasów słonecznych w moim życiu! Czeremcha kwitnie, sady owocowe białe od kwiecia, a ja samotny i tylko mi w sercu tęsknota gra za tym, co minęło i co się już dla mnie nie odstanie.
Czytam teraz między innymi rzeczami tom I publikacji emigracyjnej rosyjskiej pod tytułem „Историкъ и Современникъ” z r. 1922, wydawanej w Berlinie. Drukują sie tam w przekładzie wspomnienia Marcelego Paleologa, b. posła francuskiego przy dworze petersburskim z czasów wybuchu Wielkiej Wojny. Wspomnienia są pisane w postaci dziennika. Pomimo usiłowań p. Paleologa zrzucenia na Niemcy odpowiedzialności za krwawy wybuch wojny, nie widzę z relacji faktów dyplomatycznych, aby chęć doprowadzenia do wojny była ze strony Niemiec większa, niż ze strony mocarstw przeciwnego obozu. Wart Pac pałaca...

21 maja, rok 1923, poniedziałek
Bawi u mnie od dni 10 Jadzia Čepasówna, która porzuciła miejsce u Majkowskich i poszukuje nowego, a tymczasem przebywa u mnie. Dziewczynka ta, która obecnie ma już lat 18 skończonych, jest w fazie wielkiego rozbudzenia zmysłów, które ją sprzęgają ze mną wprawdzie nie miłością, lecz namiętnym pociągiem zmysłowym. Lgnie ona do mnie jak pszczoła do pyłka miodowego w kwiecie. Jest to pociąg samiczki do samca, do fizycznego tchnienia mężczyzny. Nie ja ją zdobywam, ale ona mię pożąda i bierze moją męskość, pochłaniając w siebie wydajność zmysłów i ciała męskiego. Dla niej to jest objawieniem. O stosunku tym napiszę jeszcze. Jest to forma rozkochania się czysto fizycznego dziewczynki w mężczyźnie-samcu. Obcowanie nasze jest zupełne w najwyuzdańszych przejawach łączenia się ciał, wszakże z jednym zastrzeżeniem – nierealizowania prostej formy zapłodnienia.

22 maja, rok 1923, wtorek
Urzędowo rezultaty wyborów nie zostały jeszcze ogłoszone. Są jednak one już znane publiczności z informacji prywatnych, pochodzących z samego źródła obliczeń. A więc Chrześcijańska Demokracja zwyciężyła. Będzie ona rozporządzała w trzech frakcjach swoich sumą mandatów 40, to znaczy będzie miała większość bezwzględną, chociaż nieznaczną w stosunku do ogólnej ilości mandatów wszystkich innych stronnictw

(ogółem 78 posłów Sejmu, w tej liczbie blok chrześcijańsko-demokratyczny – 40 posłów, inne stronnictwa – 38 posłów). „Pažanga” i „Žemdirbiai“ nie zdobędą pono ani jednego mandatu. Mniejszości narodowe mają otrzymać 15 mandatów, to znaczy tyleż, co i ludowcy, którzy przeto utracili do 5 mandatów. Esdecy – pono 8 mandatów. Na tym koniec. Komuniści – żadnego mandatu. Może obliczenie ostateczne w szczegółach da jeszcze jakąś drobną zmianę w tym rozkładzie sił, ale zdaje się, że to są już dane ścisłe, z których najkapitalniejszym jest większość chrześcijańsko-demokratyczna i znaczny przyrost mandatów mniejszości narodowych, stanowiących w sumie około 1/5 części Sejmu. W tym układzie sił uwydatnia się bądź co bądź znaczne przesunięcie się opinii publicznej na prawo. Jest to charakterystycznym wskaźnikiem okresu porewolucyjnego, który się już w usposobieniach masy ludowej rozpoczął.

23 maja, rok 1923, środa
Prof. Ruyssen, sekretarz generalny (nie prezes, jakem go mylnie w dzienniku przed kilku dniami nazwał) związku międzynarodowego towarzystw popierania Ligi Narodów, wczoraj przyjechał do Kowna. Bawił w Estonii (w Rewlu i Dorpacie) i w Łotwie (w Rydze) i po dwóch dniach pobytu w Kownie jutro wyjeżdża w dalszą podróż i przez Prusy Wschodnie jedzie na kilka dni do Polski (do Warszawy). Jest to wycieczka propagandy, którą prof. Ruyssen czyni na zaproszenie różnych towarzystw krajowych popierania Ligi Narodów. W Łotwie i Estonii, choć był tam, jak i u nas, tylko gościem odpowiednich towarzystw, jednak był przyjmowany i fetowany także przez przedstawicieli władzy państwowej. W Litwie przyjęciu jego nadany został charakter wyłącznie wizyty prywatnej: władze państwowe w przyjęciu jego udziału nie brały. Przyjęciem jego zajęło się wyłącznie nasze towarzystwo krajowe popierania Ligi Narodów z prezesem Janulaitisem na czele; do stałego asystowania mu wyznaczony został Jonynas jako znający względnie najlepiej z Litwinów język francuski; choć Jonynas należy do dyplomacji litewskiej jako współpracownik Ministerium Spraw zagranicznych i kilkakrotnie delegowany do reprezentowania Litwy na sesjach Ligi Narodów, jednak w tym wypadku asystował on Ruyssenowi w charakterze sekretarza towarzystwa naszego. I choć w obwożeniu Ruyssena po Kownie brali udział dyrektor departamentu Ministerium Spraw Zagranicznych Balutis i b. minister spraw zagranicznych, a obecny dyrektor Banku Litewskiego ks. Jurgutis, to jednak czynili oni to także li tylko w charakterze członków towarzystwa, nie zaś przedstawicieli formalnych władzy państwowej. Czy Ruyssen składał wizytę Prezydentowi Rzeczypospolitej Stulgińskiemu – nie wiem. Centralnym punktem wizyty Ruyssena był wyznaczony na dziś na godz. 7 wieczorem jego odczyt publiczny („*conférence publique*”) propagandy na uniwersytecie, a następnie wieczorem – obiad, ofiarowany mu w Klubie Litewskim (w sali Trzech Króli[166]) przez członków Towarzystwa Popierania Ligi Narodów. Odczyt odbył się w wielkiej sali uniwersytetu zapełnionej przez publiczność, profesurę i młodzież akademicką. Na estradzie zasiadał Ruyssen w otoczeniu Janulaitisa, rektora Šimkusa i Jonynasa, wyznaczonego do tłumaczenia przemowy Ruyssena z języka francuskiego na litewski (szczęściem, że obowiązek tłumaczenia nie spadł na mnie, jeno na Jonynasa, który znakomicie się z zadania wywiązał, podczas gdy ja, obserwując wykonanie Jonynasa, stwierdziłem, że nie dałbym sobie z tym rady i byłbym te czynność wykonał fatalnie). Odczyt poprzedzony został zagajeniem Janulaitisa, który je rozwinął w obszerną przemowę po litewsku. Ruyssen przemowy Janulaitisa nie zrozumiał – i dobrze, bo była ona rozmyślnie przeznaczona nie dla niego. Janulaitis dał w niej szkic rozwoju idei pacyfistycznej w

[166] Chodziło o Salę Trzech Książąt.

Europie i w szczególności zatrzymał się na hasłach Wilsona z czasów Wielkiej Wojny i na próbie ich realizacji w postaci Ligi Narodów, która zboczyła z tych założeń sprawiedliwości i prawa narodów, jakim służyć miała i stała się politycznym narzędziem imperializmu mocarstw zwycięskich, ekspozytura ich hegemonii i panowania nas światem w ich interesie. Tu Janulaitis wymienił te akty Ligi Narodów, którymi w szczególności wykazała ona swoje istotne oblicze imperialistyczne w stosunku do Litwy, usiłując zniewolić ją na rzecz Polski znanym projektem Hymansa i sankcjonując zabór i aneksję stolicy Litwy przez Polskę. Unikając złego wrażenia i posądzeń Ruyssena co do treści zagajenia, Janulaitis, dotykając tych kwestii, nie wymienił ani nazwiska Hymansa, ani nazwy Wilna, bo samo brzmienie tych imion w przemówieniu litewskim Janulaitisa zostałoby oczywiście przez Ruyssena zrozumiane i mogłoby go zaniepokoić. Zagajenie Janulaitisa było przeznaczone dla słuchaczy Litwinów, dla swoich, a nie dla gościa i prelegenta. Wreszcie Janulaitis podkreślił, że poprawką i narzędziem walki przeciwko wypaczeniu idei Wilsonowskich przez urzędową Ligę Narodów jako organizację międzypaństwową, zagarniętą przez imperializm zwycięzców, jest ruch społeczny w tym kierunku, krystalizujący się w tzw. towarzystwach popierania Ligi Narodów i ich związku międzynarodowym, którego wyrazicielem jest prof. Ruyssen.

24 maja, rok 1923, czwartek
Zagajenie Janulaitisa na wczorajszym odczycie publicznym prof. Ruyssena miało na celu, z jednej strony, uwydatnienie różnicy, jaka zachodzi między niepopularną w opinii litewskiej urzędową Ligą Narodów jako w istocie ekspozyturą hegemonii imperialistycznej mocarstw zwycięskich a swobodną akcją społeczną ludów przez tzw. towarzystwa popierania Ligi Narodów, skierowaną do ustalenia metod prawa w stosunkach między narodami (państwami), z drugiej zaś – uprzedzenie z góry słuchaczy przeciw ewentualnym wywodom prelegenta, gdyby się one zwracały do wielbienia urzędowej Ligi Narodów. Jakoż referat prof. Ruyssena w istocie do tego też się zwracał. W pięknie wygłoszonym i niezmiernie treściwie skondensowanym przemówieniu, którego każdy fragment z osobna był przez Jonynasa tłumaczony na język litewski, Ruyssen nakreślił problem zadań Ligi Narodów jako metody pacyfistycznej normowania stosunków międzynarodowych, opartej o zasady prawa, równości i sprawiedliwości i uwydatnił postępy, osiągnięte na tej drodze, ilustrując je kilku przykładami i podkreślając trudności i przeszkody, jakie się na tej drodze napotyka ze względu na nieufność wzajemną narodów, na głębokie uczucia nienawiści, jakie pomiędzy poszczególnymi narodami trwają i na konflikty tez prawnych, bronionych przez zainteresowane w poszczególnych zagadnieniach narody i wysnuwanych z nich założeń egoistycznych. Odczyt Ruyssena był w istocie propagandą na rzecz urzędowej Ligi Narodów, a bynajmniej nie krytyka tejże i nie przeciwstawieniem jej akcji Związku Towarzystw Popierania Ligi Narodów, jak informował w zagajeniu Janulaitis. O tej ostatnie Ruyssen prawie nic nie nadmienił i nie rozwodził się wcale nad perspektywami jakiejś walki między Ligą a związkiem towarzystw. Stąd się wytworzył dość widoczny i głęboki w założeniu rozdźwięk między zagajeniem Janulaitisa a prelekcją Ruyssena. Publiczność litewska była oczywiście po stronie Janulaitisa, ale rozumiejąc dobrze, że chodzi o akt grzeczności wysłuchania gościa, a nie o danie się przekonać, obdarzyła Ruyssena konwencjonalnymi oklaskami, w których nie mniej gorąco brał udział sam Janulaitis; wykonał on swoje, uprzedził publiczność po litewsku, jak się należy zapatrywać na rzecz, postawił kropki na i poufnie w niezrozumiałym dla Ruyssena ze względu na język zagajeniu i – w doskonałym kontakcie i porozumieniu z publicznością – oklaskiwał Ruyssena nie za wywody jego, lecz za wizytę złożoną Litwie, rozumiejąc,

że ta wizyta i te oklaski – to cement pierwszego aktu stosunku nowego towarzystwa litewskiego ze Związkiem Towarzystw, stosunku, który Litwini będą usiłowali wykorzystać dla swojej oczywiście akcji, która nie jest wcale obowiązaną do kroczenia drogami wywodów odczytu. Ruyssen, mówiąc o działalności Ligi Narodów, unikał oczywiście w przykładach poruszania spraw, które Liga Narodów załatwiła w stosunku do Litwy i które ją tak w Litwie zdepopularyzowały – w szczególności sprawy wileńskiej, projektów Hymansa, podziały zony neutralnej między Litwą a Polską itp. Czuć zresztą było, że Ruyssen w zupełności zdaje sobie sprawę z niechęci, jaka tkwi u Litwinów względem Ligi Narodów i z tego instynktu krzywd doznanych, jaki tu w Kownie jest dominujący i który cechuje cały stosunek Litwy do wszystkich przedsięwzięć, które są w ten lub inny sposób kierowane przez Francję. Toteż Ruyssen wciąż kładł nacisk umyślny na czynniki, paczące rozwiązanie problemu Ligi na trudności zachodzące i na konieczność uwzględniania niedoskonałości dzieł ludzkich. W zakończeniu Ruyssen udzielił odpowiedzi na szereg pytań, skierowanych doń w artykule ks. Dąbrowskiego-Jakštasa w „Laisvė", zaznaczając jeno, że z przyczyn łatwo zrozumiałych pomija on jedną czysto polityczną kwestię w tych zapytaniach (kwestią tą jest pytanie, jak Związek Towarzystw Popierania Ligi Narodów godzi swoje zasady i dążenia humanitarne z udziałem w nim Francuzów i Polaków, których państwa opierają swą politykę na jaskrawym gwałceniu tychże zasad).
Dziś w uniwersytecie miałem ostatni wykład. Kursu mego w tym roku nie dokończyłem.

25 maja, rok 1923, piątek
Przeczytałem w pismach litewskich wileńskich, które mi pożyczył do przeczytania Andrzej Rondomański[167], że moja praca o stronnictwach politycznych litewskich, pisana w r. 1921 i przesłana wówczas dwiema ratami Michałowi Biržišce do Wilna, jest wydana. Była ona w swoim czasie (w drugiej połowie r. 1921 i ewentualnie w początkach r. 1922) drukowana w gazecie polskiej lituanofilskiej „Nowiny Wileńskie" (zdaje się, że taki tytuł), wydawanej podówczas w Wilnie przez niejakiego Kozłowskiego i subsydiowanej pono przez Biržiškę. Praca ta była przeznaczona dla osobnego wydania książkowego, ale Biržiška zastosował do niej zwykłą swoją metodę drukowania poprzednio w gazecie, a następnie sporządzenia odbitki broszurowej. Rękopis był niezakończony i zawierał wstęp historyczno-społeczny i analizę poszczególnych styronnictw od „Pažangi" do socjalistów ludowych i Związku Włościańskiego włącznie. Rozdziały o socjalnej demokracji, o grupach ludowo-rewolucyjnych i o partii komunistycznej nie były jeszcze napisane. Na krótko przed ukazaniem się tej pracy w odbitce książkowej, która stanowić miała tom I, ogarniający stronnictwa do „Santary" włącznie, nastąpiły znane aresztowania Litwinów w Wilnie, w ich liczbie i Michała Biržiški, i wygnanie ich z granic Wileńszczyzny do Kowna. Odtąd wszelki ślad tak mego rękopisu, jak wydania książkowego pracy zginął. Ani Michał Biržiška, ani jego brat Wiktor, ani nikt inny z wygnanych Wilnian nie mógł wyjaśnić, co się stało z tą pracą. Wiktor Biržiška wspominał, że przy rewizji i aresztowaniu Litwinów korekta mojej pracy dostała się do rąk rewidujących. Zdawałoby się, że to nie powinno by stanowić przeszkody do wydania, bo utrata korekty jest rzeczą do naprawienia, a wobec tego, że praca już była drukowana w „Nowinach W.", można było zrobić nową odbitkę i nawet zaginięcie samego rękopisu nie byłoby decydującym. Przez Michała Biržiškę i różnymi innymi drogami kołatałem do Wilna do tych osób, które po usunięciu z Wilna Biržiški zajęły się tam w jego zastępstwie litewską akcją

[167] Randomanskis Andrius.

wydawniczą (w szczególności Sakowicz), ale nie doszedłem do żadnego ładu i niczego zgoła się nie dowiedziałem. Wreszcie zaniechałem wszelkich dowiadywań się i starań. Doszedłem do przekonania, że rzecz poszła na marne i że praca ta ani była, ani będzie wydana. W ostatnich czasach myślałem już tylko o tym, żeby w jakis sposób skomunikować się z Sakowiczem w Wilnie i prosić go, by się postarał o odłożenie dla mnie komletu tych numerów „Nowin Wileńskich", w których praca ta była drukowana. Chciałem to mieć do moich zbiorów archiwalnych. Oczywiście też, że dalszego ciągu tej pracy już nie pisałem. Aż oto w gazecie „Ziemia Ojczysta" – gazecie litewskiej wydawanej wydawanej po polsku w Wilnie, w numerze z d. 13 maja r.b., znajduję w liczbie kilku książek, traktujących po polsku o Litwie lub sprawach litewskich i polecanych przez redakcję pisma, wymienioną i moją pracę: „M. Remer. – Litewskie stronnictwa polityczne. Stronic 117". Widocznie więc praca moja ukazała się w druku w wydaniu książkowym. Nie podoba mi się tylko przekręcenie mojego nazwiska: „Remer" a nie „Römer" albo przynajmniej „Romer"; ale może to tylko błąd druku w gazecie. Czy te 117 stron zawierają całość tego, co przeze mnie było napisane (do ludowców i Związku Włościańskiego włącznie), czy też część tylko – nie wiem. Zdaje się, że w Kownie dotąd ani jednego egzemplarza tej książki nie ma. Będę musiał teraz poczynić starania o sprowadzenie jej. Spóźnione wydanie tej pracy musiało oczywiście jej zaszkodzić, bo stronnictwa polityczne w społeczeństwie żywym są w stanie ciągłego ruchu, toteż w ciągu paru lat dużo w nich zmian zaszło i wiele rzeczy w tej książce jest już dziś przestarzałych.

26 maja, rok 1923, sobota
W naszej praktyce trybunalskiej coraz więcej się wyczuwa reakcja przeciwko pierwotnej gorliwości radykalnych tez prawnych reformy agrarnej. Już i Janulaitis, jajjaskrawszy z nas trzech pod tym względem, ostygł i coraz częściej nie tylko że rezygnuje z tej gorliwości i nie usiłuje szukać w arsenale nowych ustaw środków do pognębienia za wszelką cenę strony, której interesy opierają się na zasadach ogólnych prawa cywilnego wbrew intencjom reformy agrarnej, ale nawet szuka starannie dróg i przepisów do złagodzenia ostrza nowych ustaw na rzecz legalizacji stosunków dawnego porządku prawnego. Pod jednym tylko względem Janulaitis zachował w sprawach tego rodzaju gorliwość jaskrawą – to w stosunkach dzierżawców z dworami; tu jest on zawsze rzecznikiem dzierżawców – z całą przesadą prozelityzmu reformatorskiego. Ostudzenie radykalizmu w forsowaniu tez reformy agrarnej daje się odczuwać nie tylko w naszych wyrokach, ale też w trybie prowadzenia tych spraw przez adwokatów i w całym w ogóle usposobieniu tak sądu, jak opinii publicznej. Znakomita część celów politycznych reformy agrarnej już jest osiągnięta: obszarnictwo polskie w kraju zostało mocno podkopane, jego stanowisko społeczne zniwelowane, częściowo – zostało nawet zniszczone. Konsekwencji ostatecznych, bezwzględnych, zadających cios śmiertelny wszystkiemu, co jest dotknięte reformą agrarną, gdy chodzi zwłaszcza o tych, co pozostali w kraju i borykają się na swoich stanowiskach gospodarczych – wyciągać się nie chce. Przeciwnie – znać prąd coraz wyraźniejszy do oszczędzania tych rozbitków, którzy wytrwali, do osłaniania ich od zbyt skrupulatnego rygoru tych praw drakońskich. Tendencje te są wyraźniejsze bodaj u gówy, niż u dołu, ale są one charakterystyczne i powoli skutkują. Dziś w naszym wyrokowaniu trybunalskim, które jest miarodajne dla całej praktyki sądowej w państwie, zrobiliśmy pod tym względem jeden kapitalny wyłom w rygorze ustawodawstwa reformy agrarnej. Uznaliśmy moc rozporządzeń testamentowych osób, zmarłych pod działaniem ustawy z r. 1920, zakazującej przekazywanie własności dóbr dotkniętych reformą agrarną. Chodzi oczywiście tylko o testamenty osób, zmarłych między r. 1920 a 1922 do czasu ogłoszenia ustawy o

reformie agrarnej, bo pod trybem tej ostatniej ustawy może być li tylko mowa o rozrządzalności niewywłaszczonej cząstki majątku. Nasz wyrok dzisiejszy dokonał wyłomu w zasadzie, która dotąd była w praktyce sądowej i w działaniu organów reformy agrarnej ustalona kategorycznie. Wyłom ten jest dużej wagi dla tych, kogo on dotyczy, choć może ilość osób i majątków, do których się on może stosować, nie jest wielka. Drogą bowiem testamentową majątek mógł ulec dowolnemu rozdrobnieniu, wyłączającemu go od reformy agrarnej.
Chciałbym jeszcze dokończyć relację z wizyty prof. Ruyssena w Kownie. Dziś mi na to miejsca nie starczy. Chcę mianowicie zdać sprawę z obiadu, który towarzystwo litewskie popierania Ligi Narodów wydało dla Ruyssena po jego odczycie na uniwersytecie. Obiad ten odbył się w Klubie Litewskim. Ze strony litewskiej wzięły w nim udział następujące osoby: prezes towarzystwa Janulaitis, sekretarz Jonynas, Antoni Smetona, dr Roch Šliupas, Antoni Tumenas, prof. Balogh, ks. Bučys, ks. prałat Aleksander Dąbrowski-Jakštas, Kriščiukaitis, Leonas, Zaunius, Czapiński, Michał Ślażewicz, Balutis, Jan Vileišis, rektor Šimkus, Zygmunt Žemaitis, ja i może jeszcze z parę osób, których tu wymienić zapomniałem. Jak z tego widać, dyplomacja i koła rządowe były bardzo słabo reprezentowane, przeważały zaś koła uniwersyteckie.

27 maja, rok 1923, niedziela
Rano byłem na posiedzeniu Rady Wydziału Prawniczego na uniwersytecie. Obecni byli Leonas, Wacław Biržiška, Mačys, Kriščiukaitis, Balogh, Tumenas, Bielackin, Šalčius, Büchler, Morawski, ja. Omawiane były różne sprawy bieżące, między innymi – wykładów na rok przyszły. W szczególności dla prawa karnego uznano za konieczne dobrać kogoś, bo się wyjaśnia, że na Papečkisa i w roku przyszłym liczyć niepodobna. Bielackin, który w roku ubiegłym wykładał prowizorycznie część ogólną prawa karnego, skoncentruje się w roku przyszłym na prawie cywilnym, które się skupia na nim i Szołkowskim. Leonas, obejmując prócz encyklopedii prawa historię filozofii prawa, usuwa się z prawa cywilnego. Büchler, który także wykładał część prawa cywilnego, na rok przyszły ogranicza się do prawa handlowego i do prawa rzymskiego wespół z Baloghiem. Na prawo karne pozostaje jeden Kriščiukaitis, który podejmuje się wykładania li tylko części szczegółowej, wykładając poza tym procedurę karną. Wobec tego zaangażowanie nowej siły dla prawa karnego – części ogólnej – staje się konieczne. Na wniosek Leonasa upatrzyliśmy kandydata w osobie posła Zygmunta Toliušisa. Jest to człowiek dzielny i pracowity, umysł żywy i pełny zapału, który się może wyrobić, choć formalnych kwalifikacji naukowych w postaci stopnia naukowego lub bagażu autorskiego dzieł naukowych nie posiada. Na jakich warunkach będzie ewentualnie zaangażowany, o ile się zgodzi podjąć tej pracy – to jeszcze omówione nie zostało. Ja podjąłem konieczność zwrócenia uwagi na wykładanie specjalnie prawa hipotecznego. Proszono mnie o podjęcie się tych wykładów. Oświadczyłem, że podejmę się tego dopiero na rok pozaprzyszły, bo jeszcze w roku przyszłym będę miał zbyt dużo roboty w zakresie wykładów mego zasadniczego przedmiotu – prawa państwowego. Prowizorycznie prawo hipoteczne w związku z ogólnymi wykładami prawa cywilnego wykładać będzie w roku przyszłym Bielackin. Omawiane były jeszcze niektóre kwestie dotyczące egzaminów, preliminarze na rok przyszły i w szczególności preliminarze na bibliotekę wydziałową i kilka spraw innych. Trzech z naszego grona – Balogh, Tumenas i Šalčius – zgłosiło się do wydelegowania ich dla studiów uzupełniających podczas wakacji za granicę (Tumenas – do Niemiec i Szwajcarii, Šalčius – do Paryża, Balogh – po całym świecie). Skorzystali z tej okazji i ci, którzy, choć nie dla specjalnych studiów jadą i nie żądają diet ani zwrotu kosztów, jednak chcieliby otrzymać tytuł delegacji dla ułatwień paszportowych i wiz – Büchler,

Bielackin. W tej ostatniej liczbie i ja się znalazłem. Będzie to w mojej zamierzonej podróży wielkie udogodnienie, bo będę miał wizy (niemiecką, francuską, szwajcarską) zapewnione i bezpłatne oraz bezpłatny paszport, co mi ze 200 litów zaoszczędzi.
Za tydzień mają, zdaje się, na ogólnym zebraniu Rady Uniwersytetu nastąpić wybory rektora, prorektora i sekretarza uniwersytetu. W liczbie kandydatów wymieniani są Leonas i dziekan Wydziału Teologicznego ks. Bučys. O kandydaturze Leonasa Voldemaras w „Krašto Balsas" palnął już siarczysty artykuł, wściekle atakujący tę kandydaturę i cały uniwersytet, artykuł bardzo niesmaczny i niestosowny spod pióra profesora tegoż uniwersytetu. Wszakże *in merito*[168] kandydatury Leonasa osobiście także nie uważam jej za właściwą, bo Leonas ma bardzo słabe formalne kwalifikacje na uczonego. Wolałbym kandydaturę prof. Czapińskiego.
Dziś wieczorem było na uniwersytecie uroczyste posiedzenie publiczne, poświęcone pamięci Pasteura w związku z uroczystościami imienia Pasteura w Paryżu. Nie byłem na tym posiedzeniu. Słyszałem jednak później, że jeden z prelegentów, mówiąc o Pasteurze, pozwolił sobie na wycieczki przeciwko polityce Francji w dobie obecnej, wycieczki niestosowne i nietaktowne na obchodzie Pasteurowskim. Konsul francuski, p. Eybert, który się tego nie spodziewał, poczuł się bardzo dotknięty. Jest to „*pendant*" do analogicznego nietaktu Smetony na obiedzie dla prof. Ruyssena.

28 maja, rok 1923, poniedziałek
Dziś miałem ostatnie kolokwium dla kilkunastu spóźnionych leniuchów, a potem egzamin dwóch studentów VI semestru, którzy mają zaliczone semestry prawa państwowego z innych uniwersytetów, lecz nie mieli egzaminu zdanego. Jednym z nich był Trifskin, Żyd z Rakiszek, drugim – Remeras, Litwin. Obaj zdali egzamin bardzo dobrze; byli dobrze przygotowani i udzielali odpowiedzi bardzo inteligentnie. Egzamin jest przez to przyjemniejszy od kolokwiów, że na kolokwiach zazwyczaj studenci nic nie wiedzą, podczas gdy do egzaminu stają przygotowani. Bodajże na wiosnę więcej kandydatów stających do egzaminu u mnie mieć nie będę. Moi słuchacze II semestru zdawać w tym roku egzaminu z prawa państwowego nie będą, bo stosownie do uchwały wydziału kurs prawa państwowego zarówno części ogólnej, jak prawa państwowego litewskiego (przedmiot wykładu Tumenasa), stanowi całość jednolitą, z której można zdawać egzamin jeno po przesłuchaniu całości, to znaczy po czterech semestrach. Ze studentów zaś IV semestru nikt się do mnie do egzaminu nie zgłaszał. Być może, będą oni zdawać na jesieni, a może wszyscy u Tumenasa.
Uzupełnię tu relację o wizycie prof. Ruyssena w ubiegłym tygodniu. Obiad upłynął bardzo ospale. Już to Litwinin nie należą do ludów obdarzonych temperamentem i werwą. Przyjęcia, obiady uroczyste – są zwykle u Litwinów bardzo nudne. Nudzi się i gość, nudzą się i gospodarze. W tym zaś wypadku wszystko się przyczyniało do spotęgowania nudów – zarówno brak temperamentu Litwinów, jak niesłychane marudztwo usługi (obiad, a szczególnie siedzenie bezczynne przy stole między poszczególnymi daniami – trwał trzy godziny, od dziewiątej do północy), jak wreszcie brak temperamentu u samego Ruyssena, który o ile ładnie i treściwie przemawia, o tyle jest martwy i sztywny poza przemawianiem. Długie siedzenie przy stole nie było przeplatane żadnymi mowami. Osób obcych nie było, tylko członkowie towarzystwa litewskiego i Ruyssen. Zarząd towarzystwa z Janulaitisem na czele umyślnie nie zaprosił do udziału w obiedzie ani przedstawicieli władz litewskich, ani miejscowych przedstawicieli Francji (konsula Eyberta, agenta dyplomatycznego Padowaniego), ani członków innych misji dyplomatycznych, aby nie dawać przyjęciu Ruyssena pozorów

---
[168] *In merito* (lot.) – už nuopelnus.

bratania się z Francją, którą Litwa traktuje wrogo jako główną autorkę jej krzywd. Litwa coraz bardziej pogrąża się w izolację i starannie to podkreśla. Toteż przyjęciu Ruyssena nadano charakter wyłącznie prywatny jako powitanie człowieka głoszącego hasła sprawiedliwości i pacyfizmu i przez to samo wyłączającego się ze świata polityki imperialistycznej, od którego Litwa się odcina. Sam Ruyssen z pewnością tak swego przyjazdu nie traktował i dał tez temu wyraz w swoim odczycie, ale dano mu aż nadto do zrozumienia, że się go li tylko prywatnie w charakterze apostoła pacyfizmu, a nie uczestnika akcji urzędowej przyjmuje. Podkreślił to bardzo mocno Janulaitis w swoim przemówieniu po zakończeniu obiadu. Mowa Janulaitisa, przetłumaczona przez Jonynasa na francuski, była bardzo ładną i treściwą, bardzo kurtuazyjną i pochlebną dla Ruyssena, ale mocno i kategorycznie odseparowała jego hasła i jego osobę od dyplomacji międzynarodowej i od polityki mocarstw zwycięskich, dyktujących małym ludom warunki krzywd i samowoli imperialistycznej. Bardzo kurtuazyjnie odpowiedział też na mowę Janulaitisa Ruyssen, wyrażając zadowolenie z zawartej znajomości i nadzieję współpracy na terenie Związku Towarzystw Popierania Ligi Narodów. Potem wystąpił z fatalną niesmaczną przemową Antoni Smetona. Kładł on w sposób brutalny kropki na i, zdzierał maski i polemizując z tezami i wywodami odczytu Ruyssena wykazywał tych wywodów imperializm. Była to mowa bardzo niestosowna i niegrzeczna, do jakiej Francuzi nie przywykli. Albo się kogoś zaprasza i traktuje jak gościa, albo się go zwalcza. Jednocześnie jedno i drugie – jest nieprzyjęte w obyczajach europejskich. Nieprzyjęte jest też polemizowanie na obiedzie z tezami publicznego odczytu. Przemówienie Smetony obdarzyło oklaskami dwóch ludzi: ks. Dąbrowski-Jakštas i Czapiński,

29 maja, rok 1923, wtorek
W każdym kraju i w każdej epoce znajdują się jacyś dziwaczni awanturnicy międzynarodowi i włóczęgi, którzy przychodzą nie wiadomo skąd i po co i wplatają się w stosunki krajowe i zaczynają grać rolę, usuwając nieraz w cień istotnych kraju gospodarzy i rządząc się na zapanowanej grzędzie jak szare gęsi. Szczególnie się tacy obieżysasi międzynarodowi krzewią w czasach niespokojnych i anormalnych, w okresach różnych powikłań, rewolucji, powstawania nowych państw itp. Są to jakieś duchy niespokojne, gnane ambicją, kaprysem lub pragnieniem przygód, ludzie, których ojczyzną jest cały świat albo raczej pole produkowania się ich własnej energii. Rzekłbyś, że gna ich jakiś wiatr po świecie. Wszędzie im dobrze, gdzie mogą się manifestować dowolnie, wszędzie się czują jak w domu i panoszą się bez ceremonii, jak żeby środowisko, do którego się jakimś trafem dostali, było tylko dla nich stworzone; nie dbają oni o to, że grunt nowy jest dla nich obcym, że nie są oni zrośli z podłożem i że mogą w działaniu swoim błądzić. Ich ekspansywność starczy im za wszystko. Sławny był taki włóczęga międzynarodowy i awanturnik książę de Nassau albo Denasów w końcu w. XVIII, który swoje przygody i czyny włóczył po całej Europie od Hiszpanii do Polski i Rosji. W obecnej dobie wszędzie ich pełno. Sowiecka Rosja ma takich obieżysasów międzynarodowych, rycerzy przygód i dziwactwa bez liku. Na mniejszą skalę ma ich i Litwa. Należą tu do nich w pierwszym rzędzie Ehret [169] i nasz prof. Balogh. Charakterystyczną ich cechą jest zwykle to, że nikt dokładnie nie wie, skąd i w jaki sposób się znaleźli, jaka ich jest przeszłość, pochodzenie, narodowość i wszelkie inne kwalifikacje społecznego określenia człowieka. Są oni sobą – i dość na tym. Ehret, człowiek młody, liczący dziś dopiero lat 27, znalazł się w Litwie podczas

---

[169] Eretas-Jakaitis Juozas (Jozeph Ehret)

czy zaraz po wojnie. Jaka była jego pierwotna ojczyzna i narodowość – tego szeroka publiczność dobrze nie wie i dojść nie umie. Jedni mówią, że jest Alzatczykiem, inni – że jest Szwajcarem. Zna równie dobrze język francuskie, jak niemiecki. W Litwie poczuł nagle ogromną miłość do Litwy. Nauczył się niezmiernie szybko po litewsku i dziś mówi doskonale. W patriotyzmie i nacjonalizmie litewskim prześciga nacjonalistów litewskich. Nienawidzi Polskę i Polaków, nienawidzi Francję, bo tak każe dzisiejszy kurs polityki państwowej litewskiej. Przy organizowaniu się państwowości litewskiej zostaje, jako znający Europę i języki zachodnie, a zarazem gorliwy rzecznik polityki litewskiej kierownikiem litewskiej agencji telegraficznej „Elty". Opracowuje i wydaje książkę informacyjną o Litwie. Jest jednym z najczynniejszych propagatorów i działaczy ruchu sportowego litewskiego. Spostrzega, że w Litwie przewagę polityczną osiąga Chrześcijańska Demokracja. Staje się więc *„plus catolique que la Papa*", wycofuje się z „Elty", wstępuje na służbę plus Chrześcijańskiej Demokracji jako jej agent. Czyni agitację, jeździ z odczytami, zwalcza wrogów Chrześcijańskiej Demokracji. Jednocześnie wprzęga się w ruch abstynencki i społeczno-etyczny, kierowany przez Chrześcijańską Demokrację, staje na usługi katolickiego ruchu kobiecego. Dzięki swoim zasługom dla Chrześcijańskiej Demokracji wścibia się na uniwersytet do Wydziału Teologicznego, zostaje profesorem. Od dawna już jest obywatelem litewskim. Staje się o tyle potrzebnym dla Chrześcijańskiej Demokracji, że kandydatura jego zostaje wystawiona do Sejmu. Dziś jest już on posłem do Sejmu. Nie zdziwię się, gdy wkrótce zostanie ministrem. Jest młody, długa go jeszcze kariera czeka.

30 maja, rok 1923, środa

Innym typem „obieżysasa" międzynarodowego jest profesor Elemir Balogh[170]. Dostał się on do Uniwersytetu Litewskiego z Wiednia, gdzie był także profesorem na uniwersytecie. Rodem jest Węgier albo – co zdaje się być prawdopodobniejsze – Żyd węgierski. Ten do polityki wewnętrznej, do jakiejś roli kierowniczej w tej polityce, jak to czyni Ehret, nie pretenduje i nie pcha się. Zdaje się, że w ogóle teren polityki i walk partyjnych jest dla niego zupełnie obcym, w którym się nie orientuje i nie kapuje nic zgoła albo bardzo mało i bardzo powierzchownie. Ruchliwość jego, niewyczerpana i nie zużywająca się nigdy, produkuje się w inny sposób i na innych terenach. Błyskawicznie, w najkrótszym czasie, w sposób zaiste dla mnie niepojęty, zawiązał on stosunki w Kownie we wszystkich kołach, grupach, sferach. Trzeba byłoby chyba ze świecą szukać w Kownie kogokolwiek spośród osób minimalnie się czymś wyróżniających z tłumu, kogo by Balogh nie znał, u kogo by nie bywał i o kim by nie wiedział. Zakres jego znajomości przekracza wielokrotnie zakres np. moich znajomości, pomimo że ja jestem krajowcem z krwi i kości i od dawna ustosunkowanym w społeczeństwie litewskim, a on – przybyszem sprzed niespełna roku. Jedną z manii Balogha jest kojarzenie ludzi i zapoznawanie ich wzajemne; gdy spostrzeże, że ktoś się z kimś nie zna, to się nie uspokoi, dopóki ich nie zapozna. Drugą manią są projekty i kombinacje. Pomysłowość jego jest niewyczerpana. zawsze w zanadrzu ma przeróżne pomysły, dla każdego człowieka inne, a oprócz tego pewną ilość ogólnych, którymi wszystkich szturmuje. Projekty wydawnictw (nie politycznych zresztą), stowarzyszeń i związków międzynarodowych, różnych kursów specjalnych, różnych instytucji i zakładów – są przez niego ciągle agitowane i obnoszone z gorliwością, pełną poświęcenia. To jego żywioł. Jest najszczęśliwszy, gdy mu się uda coś skojarzyć, skombinować, zainicjować; wtedy się sam od czynnego wykonania usuwa, bo to nie

[170] Balogh Elemėr (Baloga Elemeras).

należy do jego usiłowań, i jeno się przygląda z rozkoszą dziełu swojej inicjatywy i usiłuje gadaniem, prywatnym inspirowaniem itd. poszczególne rzeczy korygować, uzupełniać itd. Jest on prawdziwym totumfackim i czymś w stylu Bobczyńskiego i Dobczyńskiego z „Rewizora” Gogola. Totumfackość jego jest zresztą międzynarodową. Zna i ciągle się włóczy po całej Europie. Wszystkie święta, wakacje, przerwy w roku szkolnym spędza na podróżach. Niemcy, Austria, Węgry, Szwajcaria, Francja, Anglia, Belgia, Holandia – są dla niego jakby dzielnicami jednego miasta. I wszędzie ma mnóstwo znajomości, wszędzie coś układa, kojarzy, agituje, informuje. Listów, prospektów, katalogów, wydawnictw – z całego świata – otrzymuje co dzień z poczty całe pliki. Biega po Kownie z olbrzymim portfelem, wyładowanym najprzeróżniejszymi papierami, i dla każdego znajomego ma jakiś inny papier ciekawy do pokazania, ma coś do powiedzenia, do namawiania, do radzenia. Ludzi łapie na ulicy, odprowadza ich, gada godzinami. Niełatwo się oderwać od niego, gdy się przyczepi. Mówi po niemiecku, po francusku, po angielsku, rozumie już trochę po litewsku, uczy się po rosyjsku. Podobno jako znawca prawa rzymskiego jest dość znanym w świecie uczonym i ma książki wydane przez niego napisane i podobno przygotowuje nowe dzieła, ale kiedy ma czas na pracę – tego nie mogę pojąć, bo o wszystkich godzinach rana, dnia i wieczora można go spotkać na mieście. Na razie jego ruchliwość, pomysłowość imponowały Litwinom, którzy właśnie tych zalet nie mają; brano Balogha za fenomen i niezwykły nabytek dla Kowna, dla uniwersytetu, dla Litwy. Potem zaczął on po trochę ludzi nudzić; zaczęto od niego uciekać, bo pozbyć się go, gdy się przyczepi, niełatwo; wreszcie spostrzeżono, że z każdym inaczej rozmawia, każdemu prawi komplementy, do każdego stara się przystosować. Wreszcie zaczęto go brać coraz mniej poważnie, a po pewnym czasie stanie się on może gratem lekceważonym i będzie musiał, chcąc imponować, szukać nowych ludzi, ale ponieważ wszystkich już tu naraz poznał, będzie musiał chyba udać się do świeżego kraju, gdzie znowu na razie będzie grasować jako fenomen niepospolitego uczonego i świetnego umysłu. Jest też Balogh bardzo wrażliwy na płeć piękną, jest nieżonaty, jest organicznie kawalerem, bo innym by być nie potrafił – flirtu szuka na prawo i na lewo, bez żadnego wyboru. Zresztą jest człowiek, zdaje się, niezły. Nie jest, zdaje się, intrygantem ani złośliwym, nie lubi kłócić ludzi, nie lubi im szkodzić, chce raczej wszystko i wszystkich łączyć, zbliżać, sprzęgać. Niejedna tez z jego inicjatyw została zrealizowana, rozwija się i wydaje owoce. Bodźcem jego działania jest, zdaje się, nie ambicja, nie karierowiczostwo żadne, nie próżność jeno – organiczna ruchliwość i niezwykła dziwaczna ekspansywność. Cechy te wszakże tak są związane z próżniactwem, że nie wyobrażam sobie Balogha siedzącego poważnie nad dziełem naukowym i studiującego cokolwiek gruntownie lub pracującego w skupieniu nad własną myślą naukową – nad rękopisem książki.

31 maja, rok 1923, czwartek
Dzień Bożego Ciała. Wielka tradycyjna procesja kościelna po ulicach miasta. Pogoda dopisała.
Pokazywał mi wczoraj Ślażewicz pismo, które sejmowa frakcja ludowców otrzymała tegoż dnia od bloku frakcji katolickich z propozycją rozpoczęcia obrad nad utworzeniem solidarnej większości rządowej, złożonej z bloku i ludowców. Czy propozycja jest szczerą, czy tez stanowi tylko manewr dla wykazania, że Chrześcijańska Demokracja ze swej strony podjęła rzekomo wysiłki do nawiązania kompromisu i że przeto nie ona będzie winna, jeżeli do kompromisu nie dojdzie – trudno jeszcze sądzić. Sam Ślażewicz nie jest w tej mierze jeszcze dość zorientowany. W każdym razie, obrady się rozpoczną. Nie miałem czasu na szczegółowe przestudiowanie propozycji

chrześcijańsko-demokratycznej. Pismo jest długie i zawiera wielką ilość punktów programowych, mających stanowić zasadę kompromisu. Większość tych punktów – to ogólniki, które nic zgoła nie mówią. Zaledwie kilka jest tez konkretnych i ścisłych. W zakresie Ministerium Sprawiedliwości jedyny postulat kompromisu jest zredagowany typowo w duchu Karoblisa: zapewnienie ludności szybkiego i sprawiedliwego wymiaru sprawiedliwości; oczywiście – jest to próżnia zupełna, ogólnik niedosiężny; tu, gdzie chodzi o potrzeby tak pilne, jak ustawa zasadnicza o organizacji sądownictwa, utworzenie trybunału administracyjnego, przetłumaczenie ustaw działających z rosyjskiego na język litewski, kodyfikacja i prace przygotowawcze do opracowania ustaw krajowych, które z czasem winny zastąpić dotychczasowy spadek ustawowy rosyjski, sądy przysięgłych itp. – o tym ani słowa i wszystko się zbywa mdłym ogólnikiem. Pismo chrześcijańsko-demokratyczne proponuje ludowcom w kompromisie tekę sprawiedliwości i jeszcze jakąś drugą (nie pamiętam, którą, ale zdaje się czy komunikacji, czy rolnictwa, czy oświaty). Ludowcy będą się, zdaje się, domagali teki spraw wewnętrznych. W liczbie postulatów konkretnych jeden detaliczny zwrócił moją uwagę: jest nim powszechna rewizja paszportów dla wykrycia i usunięcia tych elementów, które w pierwszych latach państwowości litewskiej, korzystając z zamieszania i braku wprawy odpowiednich organów władzy, zdobyły nielegalnie paszporty litewskie krajowe, nie mając praw do poddaństwa litewskiego. Postulat ten jest, zdaje się, bardzo popularny w opinii litewskiej, która upatruje w tym jeden ze środków walki ze wzmaganiem się mniejszości narodowych. W praktyce oczywiście – ponieważ „*c'est le ton, qui fait la chanson*”[171] – będzie się w tej rewizji generalnej paszportów stosowało inną miarę do osób mniejszości narodowych i inną do Litwinów. To się samo przez się rozumie. To samo zresztą w przedmiocie poddaństwa – bodaj jeszcze jaskrawiej – czyni Polska. Ze stanowiska moich pojęć – to są zarządzenia dzikie, których realne wyniki w znaczeniu masowym będą znikome w stosunku do założeń i celów, ale które staną się źródłem mnóstwa szykan i rozgoryczenia. Jednak prąd nacjonalistyczny jest dziś wszędzie tak silny, że takich zarządzeń uniknąć się nie da i wszelkie występowanie przeciwko nim jest próżne. Taka rewizja generalna paszportów może wytworzyć poważne trudności dla moich sióstr w Bohdaniszkach, szczególnie dla Elwiry, której mąż w żadnym razie nie jest obywatelem litewskim.

1 czerwca, rok 1923, piątek
Wieczorem w lokalu Klubu Litewskiego zwołane było posiedzenie Litewskiego Towarzystwa Popierania Ligi Narodów. Posiedzenie było zwołane głównie dla dwóch spraw następujących: sprawy udziału naszego towarzystwa w zjeździe międzynarodowym tych towarzystw, mającym się odbyć w Wiedniu w d. 24-27 bieżącego miesiąca, i sprawy wniosku towarzystwa japońskiego w przedmiocie tzw. reparacji (odszkodowań). W tym ostatnim przedmiocie Janulaitis zaangażował na referenta – Voldemarasa. Osoba prelegenta Voldemarasa, który swoją zaczepną akcją prasową i nieznośnymi metodami polemiki, dotykającej osób, zdobył licznych wrogów, była zapewne przyczyną, dla której wiele osób, bywających dotąd na tych posiedzeniach, tym razem nie przyszło i na ogół zebranie nie było liczne. Obecni byli: Janulaitis, który przewodniczył posiedzeniu, Jonynas, Balutis, Klimas, Antoni Smetona, Balogh, Piotr Vileišis, Jan Vileišis, Voldemaras, Lisowski, dr Alekna, rektor Šimkus, ja i ktoś jeszcze, którego nie znam. Janulaitis, który został prezesem towarzystwa, ze zwykłą mu energią i mocno zarysowaną indywidualnością, która go czyni nie malowanym tylko prezesem, lecz istotnym kierownikiem nowej formy ruchu, prowadzi

[171] *C'est le ton, qui fait la chanson* (pranc.) – tai tonas, kuris kurią dainą.

towarzystwo wyraźnie po linii radykalizmu niepodległościowego, szukając oparcia w elementach wrogich oportunizmowi w polityce międzynarodowej. Jednym z zapoczątkowań zarządu, a właściwie Janulaitisa, które dziś przedstawione zostało do zatwierdzenia zebrania, jest projekt systematycznego i planowego urządzania odczytów publicznych z dyskusją na tematy z zakresu zagadnień stosunków i polityki międzynarodowych. Na razie w najbliższym czasie przewidziane są takie referaty na tematy: „Ententa i Litwa" i „Umiędzynarodowienie Niemna". W intencji Janulaitisa leży nie tylko spopularyzowanie wielkich zagadnień międzynarodowych w szerokich kołach opinii inteligenckiej litewskiej i zainteresowanie tej opinii polityką zagraniczną, co jest niewątpliwie bardzo dodatnie, ale także zorganizowanie w opinii publicznej kontroli społecznej nad polityka zagraniczną, prowadzoną przez czynniki urzędowe Litwy, i wytworzenie tą drogą czujnego pogotowia opozycji przeciwko oportunistycznej linii Gałwanowskiego i Chrześcijańskiej Demokracji. Stąd to płynie kontakt Janulaitisa z kierunkiem opozycyjnym prawicy, reprezentowanym przez Voldemarasa i Smetonę. Janulaitis w gruncie jest bardzo chytry i wie dobrze, co robi i do czego dąży, usiłując w wielu razach ukryć istotną swoją tendencję pozorami dobroduszności i zdawkowymi frazesami ot tak sobie niby okolicznościowych zaprojektowań. Pod jego ręką to Towarzystwo popierania Ligi Narodów, w założeniu pacyfistyczne i humanitarno-idealistyczne, wyrośnie na wybitne ostrze narzędzia politycznego, usiłującego w pewnym względzie sukursować, w pewnym – korygować i szachować politykę urzędową. W każdym razie, do tego, z pozorami tymczasem niewiniątka, zmierza Janulaitis i w tym celu wciąga Voldemarasa i Smetonę, którzy też akcji takiej pragną. Czy mu się to uda – nie wiem. Balutis i Klimas z Ministerium Spraw Zagranicznych czujnie obserwują towarzystwo, a gdyby towarzystwo to pod ręką Janulaitisa stało się kiedyś zbyt żenujące dla polityki stronnictwa rządzącego i rządu oraz dyplomacji, to może się wytworzyć walka, dla której w samym łonie towarzystwa może być przeciwko usiłowaniom Janulaitisa zużytkowana niechęć wielu członków do osoby Voldemarasa. Kto wie, czy Janulaitis nie osłabia swoich atutów przez zbyt szybkie wciąganie w tę akcję tych elementów fermentu.
Po omówieniu sprawy zaprojektowanych publicznych referatów dyskusyjnych propagandy omówiono sprawę udziału towarzystwa naszego w zjeździe wiedeńskim. Zjazd ten jest międzynarodowym kongresem poszczególnych krajowych towarzystw popierania Ligi Narodów i zarazem *ipso jure* najwyższym organem federacyjnego związku tychże towarzystw, w zjeździe bowiem mogą brać udział tylko sfederowane, to znaczy należące do związku towarzystwa. Postanowiono oczywiście wziąć udział w zjeździe wiedeńskim. Będzie to pierwszy zjazd, w którym wezmą udział Litwini. Na delegatów wybrano Janulaitisa, Voldemarasa, Czapińskiego i dr Jana Šliupasa. Czy pojadą wszyscy, czy tylko niektórzy z nich – będzie to zależało tak od środków, jak od zgody wybranych, bo Czapińskiego i Šliupasa na posiedzeniu dziś nie było.
O referacie Voldemarasa i dyskusji w sprawie reparacji powiem jutro.

2 czerwca, rok 1923, sobota
Referat Voldemarasa na wczorajszym posiedzeniu Towarzystwa Popierania Ligi Narodów był doskonały. Był to referat o tzw. reparacjach, ciążących na Niemcach z mocy Traktatu wersalskiego, o problemach prawnych i politycznych, związanych z reparacjami i wreszcie o okupacji okręgu ruhrskiego. Referat był ścisły, dokumentalny, dokładnie przedmiotowy. Sprawa była postawiona na porządek dzienny w naszym towarzystwie z powodu wniosku japońskiego (japońskiego Towarzystwa Popierania Ligi Narodów) do wszystkich innych towarzystw, proponującego tymże oddziaływanie na rządy państw własnych i na opinię publiczną w kierunku przekazania sprawy

reparacji z rak mocarstw zainteresowanych w ręce Ligi Narodów, względnie pod kontrolę tejże, co by miało gwarantować bezstronność i sprawiedliwość rozwiązania jej i wykonania. Sprawa ta została wniesiona na porządek dzienny mającego się odbyć w czerwcu bieżącym zjazdu Związku Towarzystw Popierania Ligi Narodów. Wczorajszy referat Voldemarasa miał cechy przedmiotowe i informacyjne: formułował problemy, dawał podstawę orientacyjną, natomiast wniosków dla towarzystwa nie wysnuwał. W dyskusji, która się rozwinęła, a w której wzięli udział Klimas, Smetona, Jan Vileišis, dr Alekna i ja, usiłowano formułować wnioski o stanowisku, jakie należałoby w tej kwestii zająć naszemu towarzystwu i które zarazem stanowiłyby dyrektywy dla naszych delegatów na zjazd. Antyfrancuski nastrój Litwinów, dominujący na zebraniu, wyrażał się w przemówieniach Vileišisa, Alekny i zwłaszcza Smetony, którzy na ogół popierali konieczność mocnego akcentowania przez nasze towarzystwo opozycji przeciwko imperialistycznym metodom traktowania sprawy reparacyjnej przez Francję; żądali domagania się przez nasze towarzystwo zmiany metod obecnych, zaniechania przedsięwzięć okupacyjnych i zastąpienia metod jednostronnego przymusu metodami solidaryzmu międzynarodowego i prawa, wykonywanego pod bezstronną kontrolą, oraz demaskowania dążeń czysto imperialistycznych, które się pod pozorami sankcji reparacyjnych wykonywają. Jedni wychodzili tu z założeń istotnie idealistycznych, zaznaczając solidarność głęboką interesów Litwy ze względami prawa i sprawiedliwości przeciwko względom imperialistycznym, które były i są źródłem wszystkich ciosów spadłych na Litwę, inni, jak Smetona, podkreślali poza tym mocno polityczną konieczność dla Litwy łączenia się z obozem malkontentów i szkodzenia Francji, której polityka triumfująca jest największym złem dla Litwy, zaznaczając przy tym, że Litwa bawić się w kurtuazję dyplomatyczną ani bać się drażnienia potężnej Francji nie ma powodu, bo tak już została ze wszech stron ukrzywdzona, że więcej nic do stracenia nie ma i jest w położeniu, o którym przysłowie rosyjskie mówi, że goły rozboju się nie boi. Te oto właśnie motywy Smetony, coraz popularniejsze w radykalnej narodowej opinii litewskiej, do której należy i Janulaitis, i wielu innych obecnych na wczorajszym zebraniu, zdają mi się niebezpieczne jako założenie romantycznej polityki rozpaczy, pchającej Litwę w objęcia Rosji, Niemiec i ewentualnie na drogi nieobliczalnego szaleństwa, czyniące z niej nad Bałtykiem to, czym na Bałkanach była nieszczęśliwa Bułgaria. Nastrój ten próbował dyplomatycznie miarkować Klimas i przeciwko niemu wystąpiłem ja. Wskazałem, że wielkim błędem i nieopatrznością jest twierdzenie, iż Litwa nie ma już nic do stracenia i żadnych wartości do cenienia na torach dominującej polityki międzynarodowej i że linia polityczna, polegająca na nieliczeniu się z żadnymi względami i swawolnego operowania demonstracjami, którą zaleca Smetona jako mądrość zrozpaczonych, jest szkodliwa, przed którą należy przestrzegać. Że więc w tym wypadku, jeżeli kwestia reparacji jest w istocie kwestią czysto polityczną i jeżeli zdajemy sobie sprawę z tego, że Francja nie ustąpi wobec powoływania się na sprawiedliwość i prawo, to choćbyśmy mieli świadomość antagonizmu naszych interesów państwowych z drogami polityki francuskiej, które pozbawiły nas Wilna i kwestionują samą naszą niepodległość, musimy zachować mądrość i takt środków działania; nie należy więc wiązać naszych delegatów na zjazd kategorycznymi dyrektywami w tym przedmiocie, mogącymi w pewnych warunkach stać się li tylko czczą demonstracją, lecz pozostawić im wolną rękę działania zależnie od tego, jakie się na zjeździe zaznaczą prądy, pomnąc na antagonizmy Litwy z interesem francuskim, ale uzależniając konkretne wnioski z tych antagonizmów nie od uczucia i chęci demonstrowania, jeno od realnego układu sił i wyzyskania czynników i środków.

3 czerwca, rok 1923, niedziela

Cały niemal dzień upłynął mi na posiedzeniach uniwersyteckich. Rano mieliśmy posiedzenie Rady naszego Wydziału Prawniczego, po obiedzie do głębokiego wieczora – wielkie posiedzenie plenarne Rady Uniwersytetu, na którym dokonano wyboru prezydium – to znaczy rektora, prorektora i sekretarza uniwersytetu na przyszły rok szkolny 1923-1924.

O posiedzeniu Rady Wydziału nie wspominałbym w dzienniku, gdyby nie pewien incydent z docentem Büchlerem, który chcę zanotować. Na poprzednim posiedzeniu Rady, gdy powstała kwestia udzielenia subsydium i delegacji trzem członkom wydziału, wyjeżdżającym na czas wakacji dla studiów za granicę – Tumenasowi, Šalčiusowi i Baloghowi, którzy się o tę zapomogę zgłosili, Büchler oświadczył, że ponieważ on także wyjeżdża i ponieważ przy tej okazji będzie tez korzystał z bibliotek niemieckich dla studiów naukowych, więc prosi o ułatwienie mu paszportu i bezpłatnych wiza na wyjazd – bez zapomogi. Z takiej ulgi, która nie obciąża budżetu uniwersyteckiego. korzystają zazwyczaj wszyscy podróżujący profesorowie, choćby nie jechali specjalnie dla studiów naukowych. Za przykładem Büchlera poszedł Bielackin i poszedłem ja. Ale „*l'apétit vient en mangeant*" i Büchler w międzyczasie od poprzedniego posiedzenia do dzisiejszego wykombinował, że nie zaszkodzi upomnieć się i o zapomogę, skoro dają. Toteż dziś, gdy uregulowana została decydująco zapomoga dla Tumenasa, Šalčiusa i Balogha, Büchler wystąpił z oświadczeniem, że i on o zapomogę prosi, motywując to tym, że rozpoczął on jakiś artykuł z zakresu prawa karnego, który właśnie zamierza przez czas wakacji wykończyć i dla którego potrzebne mus ą uzupełniające szczegółowe studia za granicą. Dla wszystkich zebranych było wyraźne, że chodzi tu Büchlerowi tylko o lity dla własnej zupełnie prywatnej wycieczki do „Vaterlandu", a ten „artykuł" – to tylko pozór i studia naukowe dla artykułu tego – to tylko humbug. Znamy już wszyscy Büchlera i wiemy, jak niepoważny, dyletancki i humbugowy jest cały jego stosunek do pracy uniwersyteckiej, a forma, w jakiej o tę zapomogę się zgłosił i oczywiste polowanie w tym wypadku li tylko na lity, po prostu, że się tak wyrażę, zapaszek prostytucki tej prośby u wszystkich wywołał uczucie niesmaku. Ale jeszcze jaskrawszym się to stało przez to, że do prośby tej Büchler nie powstydził się dodać także prośbę o paszport i o zwrot kosztów podróży dla żony swojej, która mu rzekomo w pracy naukowej jest pomocną. Gdy się odezwały głosy, że o zapomodze na podróż zagraniczną żony profesora nie może być mowy, Büchler nie tylko się nie dał zbić z tropu i nie cofnął przynajmniej tej części prośby, ale zaczął szeroko motywować i rozwodzić się nad tym, jak mu żona jest niezbędną w pracy naukowej, jak mu służy ze sekretarkę i wreszcie zaczął prawić o tym, że od teścia (jednego z najbogatszych ludzi w Kownie – fabrykanta Tielmansa) nie otrzymuje on żadnych wsparć pieniężnych itd. Ta żebranina pieniędzy i to prostytuowanie nauki i profesury dla wyrywania grosza przez człowieka, który zresztą wcale jakimś osobliwym nędzarzem nie jest, czyniło wrażenie wstrętne. Mieszanie w to żony, stosunków materialnych z teściem, rozwodzenie się o tym wobec środowiska kolegów profesorów, których te stosunki nie obchodzą i u których mógł on aż nadto wyraźnie spostrzec niesmak wywołany prośbą, było chamstwem, świadczącym o braku zarówno taktu, jak poczucia godności u tego człowieka, który zaiste tylko przez nieporozumienie mógł zostać profesorem. Byliśmy wszyscy zgorszeni i skandalizowani takim zachowaniem się kolegi, który poza tym był o tyle bezczelny, że nie uważał za wskazane po zgłoszeniu i umotywowaniu swej prośby usunąć się z sali i siedział czekając skutku. Obecnie (po czasie) żałuję, że nie postawiłem wniosku zaproponowania Büchlerowi opuszczenia sali na czas dyskusji nad jego prośbą albo przynajmniej głosowania tajnego. Jeden tylko Mačys zdobył się na otwarte argumentowanie i głosowanie wręcz

przeciwko prośbie Büchlera nie tylko w stosunku do jego żony, ale i do niego samego, oświadczając zasadnie, że zamiar napisania jakiegoś artykułu, szczególnie nie z tej dziedziny, do której należą wykłady profesora (Büchler wykłada prawo handlowe i rzymskie), nie może być podstawą do płatnego delegowania go za granicę. W głosowaniu przyznano zapomogę dla Büchlera i odrzucono ją dla jego żony. Co do mnie, to w stosunku do zapomogi dla Büchlera wstrzymałem się od głosowania, dla jego żony – głosowałem z innymi odmownie. Wyszliśmy z posiedzenia wszyscy z wrażeniem niesmaku i obrzydzenia do takiego kolegi.

4 czerwca, rok 1923, poniedziałek
Wczorajsze wybory rektora, prorektora i sekretarza uniwersytetu. W posiedzeniu rady, na którym dokonane zostały wybory, brało udział sześćdziesiąt kilka osób. Na porządku dziennym sprawa wyborów stała dość daleko. Przede wszystkim na wstępie stała nudna i przewlekła sprawa przyjęcia jednego z rozdziałów regulaminu, dotyczącego właśnie trybu wyborów prezydium uniwersyteckiego (rektor, prorektor i sekretarz) i funkcji każdego z tych dygnitarzy, następnie sprawa preliminarza budżetowego na rok przyszły. Dyskusja nad poszczególnymi artykułami regulaminu tak się zaczęła przeciągać, że gdyby rada miała dziś uchwalić cały odpowiedni rozdział regulaminu, to wybory wypadłoby albo odroczyć, albo dokonywać je w nocy. Ograniczono się więc do uchwalenia pierwszych trzech artykułów, stosujących się do wyborów prezydium, co zajęło około dwóch godzin dyskusji, resztę zaś odłożono do następnego posiedzenia. Odczytanie projektu preliminarza, dyskusja nad nim i uchwalenie go dokonało się w przerwach między głosowaniem, gdy komisja obliczała głosy. Zreferowanie cyfr preliminarza byłoby ciekawe, ale cyfr tych nie zanotowałem; są one zresztą tylko zlepkiem preliminarzy uchwalonych przez poszczególne wydziały, toteż cały preliminarz, wynoszący przeszło 6 milionów litów, został po dyskusji uchwalony *en bloc*. Nie przeszedł też wniosek Voldemarasa powiększenia pozycji preliminarza na bibliotekę uniwersytecką. W ogóle Voldemaras, który dopiero od niedawna zerwał ze swym na razie nieprzejednanym bojkotowaniem uniwersytetu i zdecydował się wkroczyć do uniwersytetu (objął katedrę literatury greckiej na Wydziale Humanitarnym) i wczoraj po raz pierwszy stawił się na posiedzenie rady, stoi na czele malkontentów i w każdym przemówieniu chłoszcze uniwersytet zjadliwą krytyką. Siedział on otoczony grupką zwolenników „Pažangi", w asyście Smetony i ks. Tamošaitisa; do „pažangowców" należą w profesurze także ks. Tumas i Jan Yčas, ale ci malkontentami nie są; entuzjasta Tumas jest zawsze optymistą i nie potrafiłby nawet być konsekwentnym i upartym malkontentem. Co do uchwalonego preliminarza, to oczywiście będzie on grubo przez Sejm, a może poprzednio i przez Ministerium Oświaty lub gabinet ministrów obcięty. Prócz preliminarza zwyczajnego, jest jeszcze ogromny preliminarz nadzwyczajny, przeznaczony głównie na budowę gmachu uniwersytetu i instytucji uniwersyteckich. Zaprojektowane jest zabudowanie całego kwartału uniwersyteckiego na niespełna 30 hektarach gruntu, gdzie miałyby się mieścić wszystkie instytucje uniwersyteckie i lokale mieszkalne dla personelu naukowego, obliczone na 50 mieszkań. W obecnych jednak warunkach braku gotówki i w ogóle finansów państwowych trudno bodaj liczyć na prędką konkretną realizację tak wielkiego przedsięwzięcia.
Uchwalone artykuły regulaminu dotyczyły wyborów, które się miały dokonać. Statut orzeka, że rektor, prorektor i sekretarz są co roku wybierani przez radę, każdym razem spośród profesorów innego wydziału. Regulamin uzupełnił ten przepis zastrzeżeniem, że coroczna zmiana wydziałów na wyborach ma być realizowana metodą cyklową, to znaczy każdy wydział dopiero wtedy zyskuje prawo do ponownego udziału w

odpowiednim stanowisku, gdy wszystkie inne wydziały (cały cykl wydziałów) stanowisko to wypiastują. Ponieważ jest sześć wydziałów, więc cykl wypada sześcioletni, czyli że każdy wydział co szósty rok obsadzi każde stanowisko. W roku ubiegłym rektorem był Šimkus (technika), prorektorem Czapiński (Wydział Przyrodniczo-Matematyczny), sekretarzem – ks. Česnys (Teologia). Zaznacza się tendencja do ustalenia reguły, aby na rektora był wybierany ustępujący prorektor. Był nawet wniosek dr Avižonisa, dziekana Wydziału Medycznego, aby uchwalić, że prorektor automatycznie bez głosowania zostaje rektorem; wniosek ten jednak nie był poddany głosowaniu, bo się sprzeciwia formalnie statutowi. Jednak jest bardzo prawdopodobne, że taki się ustali w naszym uniwersytecie *usus* tradycyjny. Uchwalono, że nowe prezydium, które zostaje wybrane na ostatnim posiedzeniu rady przed zakończeniem roku szkolnego, rozpoczyna urzędowanie od d. 1 września. Co do trybu wyborów, przyjęto wniosek dr Avižonisa. Podług tej uchwały (wniosek Avižonisa), wybory dokonywają się bez poprzedniego stawiania kandydatów – tajnym głosowaniem kartkowym. Jeżeli w pierwszym głosowaniu ktoś otrzymał większość bezwzględną (z ilości podanych głosów), to jest on wybrany. Jeżeli nikt większości bezwzględnej nie otrzymał, to powtórnie głosowanie dotyczy tylko tych dwóch osób, które otrzymały poprzednio względnie największą ilość .... może oświadczyć, że wyboru nie przyjmuje.

5 czerwca, rok 1923, wtorek
Zebrał się dziś na pierwsze posiedzenie nowy Sejm. Nie byłem na otwarciu, ale mam informacje od tych, co byli. Interesowała wszystkich kwestia, kto otworzy Sejm. Na pierwszym posiedzeniu prezesura należy do najstarszego z wieku posła. Najstarszym z posłów jest stary Rozenbaum, wódz syjonistów, Żyd. Przed paru laty był on persona grata w Ministerium Spraw Zagranicznych za rządów Puryckiego i w ogóle był dobrze ustosunkowany i wpływowy w sferach rządzących litewskich. Było to w tych czasach, kiedy Żydzi gorliwie popierali Litwę, a Litwini odpłacali się Żydom faworami i skwapliwym zaspokajaniem narodowych żądań żydowskich. Rozenbaum i Sołowiejczyk byli w Litwie tak pewni siebie, jak w Palestynie. Dziś rozbrat między Żydami a Litwinami jest zupełny. Stronnictwa rządzące bloku Chrześcijańskiej Demokracji są kategorycznie antysemickie. Rozenbaum i Sołowiejczyk wraz z całą masą syjonistów kopią za granicą dołki pod Litwą i pracują nad jej zdyskredytowaniem. Świeżo właśnie oliwy do ognia dolały publikacje antylitewskie Żydów w Paryżu. Imię Rozenbauma stało się u Litwinów symbolem wojującej żydowskiej litwinofobii. Toteż zastanawiano się nad tym, czy Rozenbaum uchyli się od udziału czy też, nie zważając na zgorszenie Litwinów, stawi się i obejmie przewodnictwo Sejmu. Rozenbaum przyszedł, ale ze swego przywileju wieku nie skorzystał. Otworzył Sejm któryś ze starszych posłów litewskich. Sejm dokonał wyboru prezydium. Marszałkiem Sejmu wybrany został Antoni Tumenas (chrześcijański demokrata), adwokat i docent Wydziału Prawniczego na uniwersytecie; na I wicemarszałka wybrany został poseł Butkys („Ukininkų Sąjunga”), na II wicemarszałka – dr Staugaitis (ludowiec); na sekretarzy wybrani zostali Ambrazaitis („Darbo Federacija”) i Sugint (ludowiec). Tumenas wybrany został głosami bloku Chrześcijańskiej Demokracji z udziałem głosów mniejszości narodowych. Tumenas dostąpił wysokiego zaszczytu. Jest to zresztą człowiek zupełnie godny: prawy charakter, czysty, kroczący zawsze prostymi drogami, człowiek, któremu ani karierowiczostwa, ani obłudy, ani w żadnym razie korupcji zarzucić się nie da. Znam go od dziecka; pochodzi on z Kurkleć o 4 wiorsty od Bohdaniszek. Jest mniej więcej w moim wieku albo o rok młodszy ode mnie. Pamiętam, jak przed laty przeszło trzydziestu jechał pod moją opieką do Wilna do

gimnazjum czy do szkółki jakiejś. Widziałem go potem w Wilnie w r. 1906, gdym wydawał „Gazetę Wileńską”, a on był studentem czy świeżo ukończonym prawnikiem. Już wtedy był takim zacnym, jakim jest dzisiaj: nie uniósł się gorącą falą rewolucji r. 1905, był katolikiem wierzącym i rzecznikiem kierunku chrześcijańskiego w polityce; cichy był zawsze, spokojny, zrównoważony, zastanawiający się, niezmiernie powolny; z wiekiem do tych cech dołączył się jeszcze zmysł humorystyczny, ale spokojny i niezłośliwy, zastosowany do stylu jego cech zasadniczych. Około r. 1910 Tumenas wpisał się do adwokatury w Wilnie jako pomocnik adwokata, ale krótko bawił w Wilnie i osiadł w Jeziorosach, gdzie też mieszkał i praktykował do wojny. Czy wyjeżdżał w czasie wojny do Rosji – nie wiem. Inwazja bolszewicka zastała go w Jeziorosach. Był przez bolszewików aresztowany, był na razie przez nich wywieziony jako zakładnik. W r. 1920 zastałem go na stanowisku dyrektora Departamentu Więzień w Ministerium Sprawiedliwości, ale wkrótce, będąc wybrany do Sejmu Ustawodawczego, porzucił to stanowisko. Był w Sejmie Ustawodawczym prezesem komisji konstytucyjnej i komisji prawniczej. Był jednym z najpoważniejszych pracowników sejmowych Chrześcijańskiej Demokracji. Ma takt i spokój niewzruszony i posiada szacunek przeciwników politycznych. Prawnikiem jest dobrym, choć przez swoją bardzo powolną cedzącą wymowę zanudza sędziów, gdy staje w sprawie jako adwokat. Jego skargi kasacyjne są zazwyczaj bardzo dobre, należą do najlepszych. W roku ubiegłym chcieliśmy stawiać jego kandydaturę na sędziego Trybunału, jeno on sam się na to nie zgodził. W uniwersytecie jest docentem na Wydziale Prawniczym, gdzie wykłada wraz ze mną prawo konstytucyjne (prawo konstytucyjne Litwy). Taktem, rozwagą, równowagą, bezstronnością chłodną, prawdziwie angielską – jest doskonały na przewodniczącego; chodzi tylko o to, czy nie okaże się za powolny, gdy w razie jakichś gwałtownych i nagłych zajść potrzebne jest szybkie orientowanie się i szybkie reagowanie. Wicemarszałek Butkys jest także prawnikiem i adwokatem; liczy około 60 lat, przed wojną był adwokatem, zdaje się, w Rydze. W ostatnich latach był sędzią pokoju w Jeziorosach; bardzo był na tym stanowisku chwalony. Od roku porzucił sędziostwo i przeszedł do adwokatury, osiadłszy na razie w Jeziorosach. Tam miał jakieś ciągłe zatargi i scysje z nowym sędzią pokoju, swoim następcą Bartoszewiczem; ten ostatni, wojując z Butkysem, wytropił kilka jakichś jego niedokładności fachowych czy nieopatrznych błędów i przesłał na niego skargę do Rady Adwokackiej, która uznała Butkysa winnym wykroczenia przeciwko etyce adwokackiej i skazała na pozbawienie praktyki w ciągu miesiąca; Butkys apelował do Trybunału, ale my wyrok Rady Adwokackiej utrzymaliśmy w mocy. Zresztą w Jeziorosach i okolicy Butkys miał u ludzi opinię jak najlepszą.
O niedzielnych wyborach prezydium na uniwersytecie napiszę innym razem.

6 czerwca, rok 1923, środa
Wieczorem byłem zaproszony do Mačysa. Mačys zaprosił Bielackina, mnie i Balogha na wieczór dzisiejszy, gdyśmy w niedzielę po wyborach uniwersyteckich byli na kolacyjce w restauracji „Wersalu”. Oprócz nas było u Mačysa jeszcze kilka osób, w ich liczbie sędziowie okręgowi Budrecki i Rustejko oraz dwóch jakichś panów, o których nie wiem, co są za jedni. Pani Mačysowa ma namiętność do gry hazardowej. Ile razy byłem u Mačysa, tyle razy grano w makao. Sam Mačys nie gra; gra tylko jego żona z gośćmi i gra z przejęciem, z zacietrzewieniem iście kobiecym, z chciwością lubieżną samicy. Tak było i tym razem. Gdym przyszedł, towarzystwo wraz z p. Mačysową siedziało już przy kartach i od razu bez dalszych ceregieli zasadzono mię do stolika. Jeden tylko Balogh nie grał, siedział osobno i czytał sobie jakąś książkę. Gra trwała bez wytchnienia do kolacji, a po kolacji zakropionej wódką znów wrócono do zielonego

stolika; przed godz. 1, która stanowi godzinę policyjną, po której chodzić po mieście bez specjalnych przepustek nie wolno, naszemu „gronu profesorskiemu”, to znaczy Baloghowi, Bielackinowi i mnie, udało się wyrwać i wyjść, podczas gdy reszta gości wraz z p. Mačysową grała w dalszym ciągu, zamierzając czekać świtu. W grze na razie wygrałem około 80 litów, potem przegrałem wygraną i ostatecznie wyszedłem mniej więcej na sucho, bez wygranej i bez przegranej.
Ale muszę jeszcze napisać o niedzielnych wyborach na uniwersytecie. Wyznaczono komisję dla skrutycjum, a raczej polecono Wydziałowi Technicznemu wyznaczenie tejże, bo technicy, do których należy ustępujący rektor Šimkus, są osobiście w wyborach nie zainteresowani, jako że nikt z nich nie może być wybrany. Rozpoczęło się głosowanie. Po obliczeniu głosów okazało się, że z liczby sześćdziesięciu kilku głosujących padło na Czapińskiego 29 głosów, na ks. Bučysa, dziekana Wydziału Teologicznego, 26 głosów i po kilka głosów rozstrzeliło się na Leonasa, Jana Yčasa i Michała Biržiškę. W myśl przyjętej uchwały, należało zarządzić ściślejsze głosowanie między dwoma kandydatami – Czapińskim i Bučysem, którzy otrzymali największą ilość głosów; w myśl również poprzedniej uchwały, kandydaci przed ostatecznym wynikiem głosowania nie mogli się zrzec kandydatury. Czapiński więc i Bučys milczeli i nikt też ich nie zapytywał, czy ewentualny wybór przyjmą. Wielka ilość głosów, która padła na Bučysa, pomimo wyrażonej poprzednio opinii, że pożądanym jest ustalenie zwyczaju, by na rektora stale był wybierany ustępujący prorektor (w tym wypadku właśnie Czapiński), wskazuje, że silne na uniwersytecie skrzydło klerykalne z teologami na czele miało już z góry ułożoną kandydaturę Bučysa i ze zwykłą klerykałom karnością głosowało zwartym szeregiem. W ściślejszym głosowaniu Czapiński otrzymał 38 głosów, Bučys – 27. Czapiński posiadł większość bezwzględną i okazał się wybranym na rektora na rok 1923-1924. Gdy ustały oklaski, którymi powitano wybór rektora Czapińskiego, tenże oświadczył, że dotąd nie spytano go, czy wybór przyjmuje. Ustępujący rektor Šimkus urzędowo uroczyście go o to spytał. Na to Czapiński, dziękując za zaufanie, którego mu dano dowód, oświadczył, że przyjęcia wyboru odmawia. Odmowę uzasadnił tym, że jest zmęczony, że od r. 1918 nie korzystał z wakacji, że stan zdrowia jego wymaga odpoczynku i że przyjmując wybór nie mógłby on sobie na ten odpoczynek wakacyjny pozwolić, wiedząc, że przez to obarczyłby on swymi funkcjami kolegę, który by go musiał zastąpić. Odmowa Czapińskiego, bardzo kategoryczna, choć nieprzekonywająca co do motywów, wywołała konsternację w kołach jego zwolenników. Na wniosek Žemaitisa zarządzono 10-minutową przerwę, podczas której grupy prywatne usiłowały namówić Czapińskiego do przyjęcia wyboru. Po usilnym naleganiu i ponawianej odmowie Czapiński wreszcie ustąpił i przyjął wybór pod warunkiem urlopu 6-tygodniowego latem w związku z uchwalonym wnioskiem Avižonisa o tym, że w razie choroby lub urlopu jednego z członków prezydium funkcje członka prezydium spełnia zastępczo z urzędu najstarszy członek senatu akademickiego. Z przemową powitalną do Czapińskiego wystąpił ustępujący rektor Šimkus, a następnie z wielkim taktem wypowiedział mowę rywal Czapińskiego ks. Bučys, witając wybór i podnosząc wybitne cechy charakteru i zasługi Czapińskiego. Mowa Bučysa wywołała huczne oklaski. Następnie w głosowaniu na prorektora wybrany został od razu Bučys i na sekretarza – dr Lašas. W przeszłorocznym prezydium reprezentowane były wydziały: technika (rektor Šimkus), przyroda (prorektor Czapiński) i teologia (sekretarz ks. Česnys); w nowym prezydium: przyroda (rektor Czapiński), teologia (Bučys) i medycyna (Lašas). Technika, która była na pierwszym miejscu, ustąpiła, przyroda przesunęła się z drugiego na pierwsze i teologia – z trzeciego na drugie, na trzecie zaś stanowisko wkroczyła medycyna. Prawo i Wydział Humanitarny czekają jeszcze kolejki. Za rok w myśl tego trybu rektorat

dostanie się teologii, prorektorat – medycynie, a o sekretariat stoczy się walka między humanistami i prawnikami.

7 czerwca, rok 1923, czwartek
Nic szczególnego do zanotowania nie mam.

8 czerwca, rok 1923, piątek
Zdaje się, że we wtorek odbędzie się posiedzenie Rady naszego Wydziału Prawniczego na uniwersytecie i że na tym posiedzeniu będzie debatowana sprawa mianowania mię profesorem nadzwyczajnym (dotąd jestem docentem). O ile mię doszły wieści, zabiega o to Mačys i Balogh. Mačys podnosi tę nominację w stosunku do mnie i docenta Bielackina; dziekan wydziału Leonas zaakceptował podobno tę propozycję i ma sam wystąpić z odpowiednim wnioskiem, który ma być postawiony formalnie na porządku dziennym posiedzenia. Ja osobiście byłbym bardzo zadowolony, gdyby ta nominacja została przez wydział uchwalona, bo tytuł profesora bądź co bądź określa stanowisko i ma swoją wagę, podczas gdy docent – to „ani ryba, ani mięso", coś niewyraźnego i niedowarzonego. Balogh od dawna mi wciąż gadał, że podniesie kwestię mojej nominacji na profesora, ale zdaje się, że dopiero Mačys sprawę tę podniósł realnie. Jednak i Balogh gorliwie teraz o to zabiegał, rozmawiając o tym z członkami senatu akademickiego i starając się o poparcie z ich strony wobec Leonasa. Czy jednak wniosek ten zostanie przez Radę Wydziału uchwalony – to się jeszcze przesądzić nie da, bo o ile wiem, zasadniczo jest temu przeciwny Wacław Biržiška – nie ze względu bynajmniej na osobę moją lub Bielackina, jeno ze względu na powagę wydziału i na autorytet profesury. Były już przykłady na innych wydziałach forsownego promowania docentów na profesorów bez żadnych kwalifikacji i zasług naukowych szczególnych, po prostu dla satysfakcji ambicji jednostek. Że prąd taki jest niebezpieczny i że grozi obniżeniem poziomu uniwersyteckiego – to pewne. Jest to szczególnie niebezpieczne na młodym uniwersytecie jak nasz, którego siły naukowe są w ogóle dyletanckie, ale też na takim uniwersytecie tendencja w tym kierunku jest największa, bo gdy sami profesorowie są dyletantami i w istocie niczym się nie wyróżniają naukowo od swych kolegów, posiadających tytuł docentów, a nawet od każdego, kto ma być dopiero angażowany, to nie ma żadnego powodu wyraźnego, dla którego docenci nie mieliby też zaraz być promowani na profesorów; brak poważnych kwalifikacji i zasług u tych, co maja tytuł profesorów, podnieca zazdrość docentów, a przygodni profesorowie, pragnąc odchylić od siebie ostrze krytyki swych kolegów niższego stopnia, płynące nieraz z zazdrości, skłonni są innych obdarzyć tymże tytułem. Na naszym wydziale np. tacy Mačys i Kriščiukaitis, a nawet sam nasz dziekan Leonas, którzy od razu byli mianowani profesorami zwyczajnymi (*ordinaire*), nie mają żadnych kwalifikacji naukowych; mogą mieć wiedzę fachową, płynącą głównie z długiej praktyki, mogą nieźle nauczać młodzież, ale nie są to uczeni; nie posiadają stopnia naukowego ani żadnych własnych prac naukowych, a niektórzy, jak zwłaszcza Kriščiukaitis, i erudycji żadnej naukowej nie mają. Wacław Biržiška, skądinąd słusznie, uważa za konieczne walczyć z tą tendencją forsownego fabrykowania profesorów i istotnie na naszym wydziale dotąd żaden z docentów nie został promowany na profesora. Biržiška jest zdania, że promocja taka może być uzasadniona dopiero po kilku leciech i pod warunkiem ogłoszenia w druku jakiejś pracy naukowej. Opozycja więc będzie zapewne ze strony Wacława Biržiški silna, a co do innych docentów, którzy sami marzą o profesurze, to nie wiadomo, jak się zachowają wobec wniosku. Co do mnie – pragnąłbym tej nominacji dla siebie. Że nie jestem mniej wart naukowo od Leonasa, Mačysa i Kriščiukaitisa – to pewne i poza tym mam za sobą moja klasyczną pracę

„Litwę", która, choć nie jest dziełem prawniczym, jednak ma związek z problemami nauki społecznej o państwie, stanowiącej element moich wykładów uniwersyteckich. Balogh dla popierania mojej nominacji zanotował sobie moją w tym roku wydaną w Wilnie książeczkę o stronnictwach politycznych litewskich i moje artykuły w „Teisė". Nominacja Bielackina będzie zapewne trudniejsza od mojej, bo wykłada on dopiero od Nowego Roku i żadnej pracy, opublikowanej w ciągu ubiegłego roku, to znaczy od czasu nominacji na docenta, nie posiada.

9 czerwca, rok 1923, sobota
Wczoraj odbył się pierwszy z publicznych odczytów dyskusyjnych, zainicjowanych przez Litewskie Towarzystwo Popierania Ligi Narodów. Odczyt odbył się w wielkiej sali uniwersytetu. Referentem był Antoni Smetona. Temat odczytu brzmiał: „Ententa i Litwa" („Santarvė ir Lietuva"). Publiczność był dość liczna, ale nie wyborowa. Przeważała młodzież akademicka i szara publiczność inteligencka. Ludzi wybitniejszych było niezbyt dużo, a polityków obu dominujących stronnictw litewskich – Chrześcijańskiej Demokracji i ludowców – wcale widać nie było. Może odstraszały ich imiona Smetony i Voldemarasa, atakujących zazwyczaj politykę zewnętrzną kierowniczych kół Litwy, a może nie było ich po prostu dlatego, że się po obiedzie tegoż dnia odbywało posiedzenie Sejmu. Odczyt Smetony nie ogarnął jednak całego problemu określonego w temacie i ściągał się do streszczenia dziejów sporu o Wilno na forum międzynarodowym. Znane jest stanowisko przywódców „Pažangi" w tej sprawie i ich rola w akcji przeciwko projektowi Hymansa i przeciwko usiłowaniom kompromisowym, ku którym ciążył Gałwanowski wraz z przywódcami Chrześcijańskiej Demokracji i w porozumieniu z pewnymi elementami z obozu ludowców (Ślażewicz, Grinius). Zresztą Smetona, nie tając swego kierunku nieprzejednanego w tej sprawie, unikał oskarżania zwolenników ugody, którzy usiłowali szukać dróg kompromisowych. Leitmotivem jego była teza, że możność kompromisu jest wykluczona i że Litwa ma albo drogę wcielenia się i roztopienia swej państwowości w Polsce, albo... winna się opierać, choćby ten opór miał ją kosztować zaboru jej przez Polskę. Stąd – idea oparcia się kategorycznego o Niemcy i o Rosję jako postulat polityczny w obronie niepodległości przed Polską. Postulatu tego Smetona w odczycie nie formułował, ale wypływał on logicznie sam przez się, a zresztą sformułowany był na innym miejscu przez ludzi tego obozu i przez samego Voldemarasa, Co do formy odczytu, to była ona słaba. Smetona nie jest zdolnym „*conférencier*". Dyskusja nie była właściwą dyskusją nieograniczoną. Dopuszczenie byli do przemawiania ci mówcy, którzy zechcieli się od razu zapisać do głosu jako oponenci lub życzący uzupełnić referat. Zapisało się do głosu trzech: generał Bułat, Voldemaras i Zygmunt Žemaitis. W toku następnych przemówień już się zapisywać nie było można. Voldemaras bardzo treściwie i trafnie ujął istotę sporu o Wilno ze stanowiska dążeń Polski, uwydatniając błąd upowszechnionego wśród Litwinów mniemania, jakoby Polska była na wschodzie tylko służką i narzędziem Francji, podczas gdy w istocie Polska sama bardzo zręcznie zużytkowuje dla swej polityki czynnik francuski, nadając mu na wschodzie europejskim kierunek dla niej pożądany; w tej części Voldemaras popełnił tylko ten błąd, że Traktat Ryski przedstawił nie jako zwycięstwo rusofilskiej idei endeków nad programem politycznym Piłsudskiego, czym on był w istocie, lecz jako rzekomo epizod wyjarzmienia się czynnika francuskiego od polityki polskiej i narzucenia tejże swojej w tym ważnym względzie zasady. W drugiej części przemówienia Voldemaras wdał się w epizodyczne szczegóły swojego udziału w akcji litewskiej o Wilno wobec Ligi Narodów w jesieni r. 1920 po zajęciu Wilna przez Żeligowskiego. W referacie Smetony i w mowie Voldemarasa było kilka wzmianek o

usiłowaniach rokowań litewsko-polskich, tak kół sejmowych litewskich z rządowymi polskimi w Warszawie, jak społecznych w Wilnie (w których ja czynny udział brałem) w końcu r. 1920 i na początku r. 1921. Wprawdzie wzmianki te były powściągliwe, ale przebijało w nich wyraźnie potępienie tego rodzaju akcji jako głównego czynnika, który wypaczył bieg międzynarodowej akcji litewskiej o Wilno i był punktem wyjścia fatalnego projektu Hymansa. To wywołało w następnej mowie Žemaitisa replikę, w której skierował on parę zarzutów do roli Voldemarasa w akcji wileńskiej w tymże czasie. Žemaitis, jako uczestnik rokowań warszawskich z grudnia 1920 i stycznia 1921, poczuł się dotknięty i chciał wykazać, że akcja ta bynajmniej nie szła w kierunku późniejszych kombinacji Hymanowskich. Przewodniczący Janulaitis nie dał jednak dyskusji zboczyć na tory oskarżania się wzajemnego.

10 czerwca, rok 1923, niedziela
W kołach ludowców, jak słyszałem od Ślażewicza, są pogłoski, że synowie Butkysa, obranego wicemarszałkiem Sejmu z łona „Ukininkų Sąjungi", służą dotychczas w wojsku polskim. Ludowcy zbierają teraz o tym informacje, aby ewentualnie skompromitować osobę Butkysa, a przez to pośrednio i prawicę, która go wysunęła. W obecnym stanie stosunków Litwy z Polską, gdy Litwa uważa się ze względu na Wilno na stopie wojny z Polską, byłby to moment wielce kompromitujący.
Chodzą też wśród ludowców pogłoski, że Chrześcijańska Demokracja w Sejmie doszła do pewnego porozumienia i kontaktu z frakcja polską, oczywiście po cichu i nieformalnie, bo otwarcie bałaby się do tego przyznać. Że Chrześcijańska Demokracja porozumiałą się z posłem Rosjaninem i dwoma posłami Niemcami, wzmacniając przez to swą większość o trzy głosy – o tym się mówi głośno, porozumienie zaś z frakcją polską, gdyby nawet istotnie w pewnym względzie nastąpiło, musiałby być w obecnych warunkach tajone, bo głośna nagonka na Polaków w obecnych stosunkach uchodzi w społeczeństwie litewskim za dowód patriotyzmu i służy za probierz tegoż. Ludowcy, którzy nie gardzą demagogią nacjonalistyczną i rozumieją, jakim ona być może nieraz cennym narzędziem, węszą oznaki kontaktu Chrześcijańskiej Demokracji z frakcją polską. Sami doświadczyli niedawno na sobie insynuacji Chrześcijańskiej Demokracji o ich rzekomej zmowie z Polakami w ostatnim Sejmie, toteż radzi by teraz zwrócić ostrze tej insynuacji na Chrześcijańską Demokrację. To są brudy metod parlamentarnych.

11 czerwca, rok 1923, poniedziałek
Mowa jest teraz o kandydaturze do Trybunału niejakiego Čepasa. Nie znam go i wiem o nim tylko tyle, ile słyszałem od Kriščiukaitisa i Janulaitisa. Jest to człowiek stary, w wieku bodaj lat 60 lub więcej, kolega Kriščiukaitisa, rodem ze Żmudzi, prawnik, który lat ze 20 czy więcej był sędzią w Rosji na Syberii. Wrócił on świeżo z Rosji. Kriščiukaitis od dawna wspominał o nim jako o kandydacie, który by się nadawał nam do Trybunału, i żałował zawsze, że Čepas nie wraca. Toteż teraz, gdy wrócił, Kriščiukaitis pragnie bardzo wciągnąć go do Trybunału. Co do mnie, nie mam nic przeciwko temu. Natomiast Janulaitis oponuje kategorycznie i oświadcza, że dopóki nie będzie mianowany Ciplijewski, którego kandydatura została formalnie przez Trybunał uchwalona, dopóty nie może być mowy o innej nominacji. Janulaitis wręcz oświadcza, że o ile w tych warunkach nastąpi nominacja Čepasa, on, Janulaitis, poda się do dymisji. W zasadzie Janulaitis przeciwko osobie Čepasa nie protestuje, ale uważa za niedopuszczalne, by został mianowany ktokolwiek bądź inny niż Ciplijewski. Kriščiukaitis nie wie, co począć; chciałby uniknąć konfliktu i dymisji Janulaitisa, ale chciałby też koniecznie pozyskać do Trybunału Čepasa, ponieważ powiada, że o ile Čepasa się nie wciągnie zaraz, to on, po rozejrzeniu się, znajdzie sobie jakieś inne

stanowisko i nie zechce potem porzucać go dla Trybunału, w którym pensja sędziowska, wynosząca mizernych 460 litów, nie będzie go bynajmniej nęciła. Oczywiście byłoby najlepiej, gdyby się dało jednocześnie mianować i Ciplijewskiego, i Čepasa, ale na to trzeba byłoby, żeby Sejm uchwalił w drodze ustawodawczej zwiększenie etatów sędziowskich Trybunału, bo dotąd w Trybunale jest tylko jeden wakans. Wprawdzie zwiększenie etatów będzie konieczne i niezależnie od tego incydentu, ale kto wie, czy to się da tak nagle w Sejmie wykonać. Gdyby była w kołach rządowych szczera chęć po temu, to by się dało, ale czy te koła życzą dać Trybunałowi w jego obecnym składzie satysfakcję – to jeszcze wielkie pytanie. Co do mnie, to uważałbym ewentualnie za wystarczające, żeby minister sprawiedliwości, o ile nim będzie nie Karoblis, zapewnił uroczyście, że wyznaje zasadę nominacji kandydata uchwalonego przez Trybunał (Ciplijewskiego) i prosił Trybunał o uwzględnienie wyjątkowo konieczności nominacji Čepasa, zaręczając, że następna nominacja zostanie udzielona Ciplijewskiemu. Jednak Janulaitis uważa to za niewystraczające i nie chce wierzyć żadnym zapewnieniom i zastrzeżeniom. Uważa on, że nominacja Čepasa, który bądź co bądź jest człowiekiem szkoły biurokratycznej, byłaby aktem wytworzenia w Trybunale posłusznej rządowi chrześcijańsko-demokratycznemu większości, która stałaby się drabiną do wprowadzenia do trybunału i Kalnetisa, i Karoblisa, i Oleki *e tutti quanti*, czyniąc z Trybunału narzędzie polityczne rządu. Zdaje mi się, że pod tym względem Janulaitis przesadza. Sytuacja jednak jest trudna. Słychać, że ministrem sprawiedliwości w nowym gabinecie ma zostać Oleka. Wolę go od Karoblisa, Janulaitis jednak uważa Olekę za równie ujemnego, jak Karoblisa. Na kompromis Chrześcijańskiej Demokracji z ludowcami, zdaje się, szans nie ma.
Na zaproszeniu na posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego, które zwołane jest na jutro wieczór, w jednym z punktów porządku dziennego jest „wybór (chyba nominacja) docentów pp. Bielackina i Römera na profesorów nadzwyczajnych (wniosek dziekana)". Na posiedzenie to nie pójdę. Zresztą akurat mam jutro posiedzenie loży.

12 czerwca, rok 1923, wtorek
Czy już jestem profesorem nadzwyczajnym Uniwersytetu Litewskiego czy wciąż tylko docentem – nie wiem jeszcze. Na posiedzeniu Rady Wydziału nie byłem i nie wiem, czy nominacja moja i Bielackina została uchwalona czy nie. Gdy na uniwersytecie odbywało się posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego, , ja w mieszkaniu Michała Ślażewicza przewodniczyłem posiedzeniu loży. W posiedzeniu tym brali udział bracia mistrze: ja, Michał Ślażewicz, Stefan Kairys, Jan Vileišis, Augustyn Janulaitis i Dominik Siemaszko i bracia uczniowie: Zygmunt Žemaitis, Purenas i Sugint. W zagajeniu moim, otwierając posiedzenie loży, zaznaczyłem, że nie mieliśmy posiedzenia loży od jesieni, to znaczy przez przeszło pół roku i że to miało miejsce nie tylko ze względu na brak lokalu, ale także ze względu na to, że ja i prezydium loży byliśmy zdania, iż zwoływanie częste posiedzeń, wobec braku jakiejś akcji czynnej, prowadzonej przez lożę jako taką, nie jest wskazane; zwoływane zbyt często posiedzenia nieraz nie dochodzą z braku kworum do skutku, co rozluźnia dyscyplinę loży i, że tak powiem, demoralizuje braci; praktyka paru lat ostatnich wykazał, że loża w warunkach obecnych własnej samodzielnej akcji czynnej rozwinąć nie może; prezydium uważało, że waga naszego bractwa polega na tym, iż bracia, z których każdy w zakresie swojej działalności realizuje nasze ideały, czują głęboką spójnię i więź ideową swego czynu z bratnimi czynami innych braci w innych sferach i że przeto obcowanie braci iści się nie w samych tylko posiedzeniach loży, jeno zwłaszcza w tym poczuciu jedności bratniej ich czynów poszczególnych. W tym przedmiocie jednak Vileišis wyraził życzenie, aby bądź co bądź w przyszłości posiedzenia loży były

zwoływane częściej, mniej więcej przynajmniej co miesiąc. Loża poparła życzenie brata Vileišisa, a brat Žemaitis podniósł podnoszoną kilkakrotnie w latach ubiegłych myśl, aby się loża zastanowiła nad wytworzeniem własnej akcji do walki z zachłannym klerykalizmem, który się szerzy w kraju i zdobywa wszystkie pozycje, albo przynajmniej nad ujęciem steru i dyrektyw w takiej akcji. Zaproponował więc Žemaitis, aby rzecz ta została wniesiona na porządek dzienny następnego posiedzenia loży (odbędzie się ono we wrześniu dopiero) i aby była ujęta w referat, w którym zaprojektowane zostaną wnioski. Loża pozycję brata Žemaitisa przyjęła i wyznaczyła referentów w osobie braci Žemaitisa i Purenasa. W zagajeniu moim poruszyłem też wszystkie inne kwestie dzisiejszego porządku dziennego, więc sprawę stosunku między bratem Janulaitisem a braćmi Kairysem i Purenasem, sprawę wydelegowania mnie do Szwajcarii, sprawę przyjęcia rozdziału II statutu i sprawę nowych kandydatur. Sprawa stosunków Janulaitisa z Kairysem i Purenasem przedstawia się tak, że Janulaitis, który, jak wiadomo, w roku zeszłym został wykreślony z partii socjalno-demokratycznej za to, że jest sędzią Trybunału, mającego w zakresie swojej kompetencji sprawy z wyrokami śmierci, uważa, że rola, jaka odegrali Kairys i Purenas jako członkowie Komitetu Centralnego partii w sprawie jego wykreślenia, jest z pewnych względów nieetyczna. Wskutek tego Janulaitis zerwał z Kairysem i Purenasem stosunki i nie podaje im ręki. Oczywiście taki stosunek między braćmi w loży jest niedopuszczalny, bo braci obowiązywać może tylko stosunek miłości i braterstwa, a wszelkie nieporozumienia muszą być zlikwidowane. Wskazałem więc, że loża powinna w sprawę tę wejrzeć z urzędu i postawiłem wniosek wyznaczenia dwóch braci do zbadania tej kwestii i zreferowania loży wyników śledztwa i wniosków, z których następnie loża wysnuje arbitralnie konsekwencje na rzecz zlikwidowania tej anomalii i przywrócenia stanu, który jest jedynie zgodnym z elementarnymi założeniami naszymi. Janulaitis, Kairys i Purenas wypowiedzieli się w kwestii swego stosunku. Loża, po wysłuchaniu szeregu uwag braci, podzieliła moje zdanie i wyznaczyła braci Vileišisa i Michała Biržiškę do wykonania zaprojektowanej przeze mnie czynności.

13 czerwca, rok 1923, środa
Dowiedziałem się, że nominacja moja i Bielackina na profesorów nadzwyczajnych została wczoraj przez Radę Wydziału uchwaloną. Zakomunikował mi o tym rano Bielackin. Z opozycją zasadniczą – nie *ad hominem* – występował w Radzie, jak było do przewidzenia, Wacław Biržiška, więc się nie obeszło bez dyskusji, ale uchwała zapadła bez większych komplikacji. Jestem z tego awansu formalnego zadowolony. Wniosek nominacji naszej obudził apetyty i innych docentów, nie przedstawionych do awansu. Jeden z nich, Alfons Morawski, sam na własną rękę zaproponował siebie do awansu, składając odpowiednia prośbę na piśmie. To samo podobno zamierzał uczynić Büchler. W odpowiedzi jednak uchwalono rezolucję, zabraniającą proponowanie samego siebie do nominacji i awansu i głoszącą, że awans może być tylko udzielany przez Radę Wydziału z jej inicjatywy. Zresztą Morawski, jak się dowiadujemy, nie ukończył uniwersytetu i nie posiada formalnego dyplomu, więc nawet właściwie docentem by być nie mógł, a o mianowaniu go profesorem mowy być nie może. Na wczorajszym posiedzeniu Rady uchwalono też zaangażować na katedrę prawa karnego niejakiego Stankiewicza, udzielając mu stopień docenta. Stankiewicz ma być podobno dzielną siłą jako prawnik. Jest on rodem Litwin, ale mocno zrusyfikowany; jako emigrant rosyjski bawił on dotąd w Berlinie.
Z inicjatywy Bielackina zaprosiliśmy dziś na kolację Mačysa i Balogha, którzy wczoraj na Radzie Wydziału gorliwie popierali naszą nominację profesorską. Mnie się takie fundowanie kolacji przez wdzięczność wcale nie podobało, ale sam Balogh mię na tę

fundowaną jemu kolację wzywał, więc trudno było się uchylić. Nie chodzi mi oczywiście o wydatek, jeno o samą formę wdzięczności za „usługę”. Pachnie to trochę korupcją, która uchybia godności uniwersyteckiej.
Dokończę o wczorajszym posiedzeniu loży. Sprawa wydelegowania mię w sierpniu do Szwajcarii do Neufchâtel dla zgłoszenia na ręce brata Quartier-la-Tente, Wielkiego Kanclerza Asocjacji Międzynarodowej Mularstwa, akcesu Wielkiego Wschodu Litwy do tejże Asocjacji została przez lożę uchwalona twierdząco. Następnie przyjęty został bez zmian rozdział II (artykuły 7-11) Statutu Wielkiego Wschodu Litwy. Wreszcie omówione zostały kandydatury nowych osób do loży. Z nich uchwalona została definitywnie do przyjęcia kandydatura Zygmunta Toliušisa, prawnika i posła do Sejmu z ramienia ludowców. Oddalona została ze względu na opozycję brata Suginta kandydatura Leonasa. Kandydatura Natkiewicza została uchwalona do śledztwa – śledztwo zlecone Sugintowi i Ślażewiczowi. Uchwalono do śledztwa jeszcze jedną kandydaturę (nazwiska kandydata nie pamiętam – b. nauczyciel w Mariampolu), wyznaczając braci śledczych w osobach Purenasa i Žemaitisa. Zaangażowanie Toliušisa polecono bratu Ślażewiczowi. Na tym posiedzenie loży zamknąłem.
Jutro wyjeżdżam. Moją służącą Helenę Bogusławską wysłałem dziś do Bohdaniszek.

14 czerwca, rok 1923, czwartek
W Trybunale na posiedzeniu gospodarczym rozpoznana była dziś kwestia nadania biegu głośnej sprawie Puryckiego i innych – pierwszej sprawie, która w myśl Konstytucji sądzona będzie w I i jedynej instancji w Trybunale (Konstytucja przekazuje najwyższemu sądowi Republiki sprawy karne z oskarżenia Prezydenta Rzeczypospolitej i ministrów o przestępstwa służbowe). Głośna sprawa Puryckiego była uległa pewnym zwłokom – może rozmyślnym – że aż w kołach opozycji zaczęto domniemywać, że się jej usiłuje łeb urwać i dać zamrzeć. Toliušis, który prowadził w tej sprawie śledztwo, będąc przed wstąpieniem do Sejmu sędzią śledczym do spraw szczególnej wagi, ukończył śledztwo w październiku roku ubiegłego. Od listopada dotąd sprawa leżała w prokuraturze Trybunału dla napisania aktu oskarżenia. Do Trybunału wpłynęła przed paru tygodniami. Prezes Kriščiukaitis wyznaczył ją do referowania mnie. Dziś chodziło o nadanie jej biegu. Jest charakterystyczne, że w sprawie, w której Purycki oskarża się między innymi o zdefraudowanie 11 milionów marek pieniędzy państwowych, co w przekładzie na lity (dotyczy r. 1920) wynosi 2 miliony litów, z ramienia państwa nie zgłoszono wcale powództwa cywilnego. Purycki jest na wolnej stopie za kaucją, która była od niego zażądana i został złożona w sumie 3000 litów. Otóż Janulaitis wniósł dziś o powiększenie kaucji do wysokości całkowitej sumy inkryminowanej defraudacji; Kriščiukaitis był temu przeciwny, ja wszakże poparłem Janulaitisa, ale na kwotę niższą (100 000 litów). Tak też zostało uchwalone. Trybunał zażądał od Puryckiego zgłoszenia poręki w sumie 100 000 lt., nakazując ujęcie go do czasu zgłoszenia tejże. Jak słychać jednak prywatnie, Purycki bawi znowu w Berlinie. W jaki sposób wypuszczono go za granicę bez wiedzy sądu – tego nie wiemy. Jeżeli istotnie jest on w Berlinie, to od jego kalkulacji osobistych będzie zależało, czy to zgłosić porękę (ewentualnie – kaucję), czy tez uchylić się od sądu, tracąc złożone dotąd 3000 lt., które dlań są bagatelą.
Pociągiem wieczornym o godz. 6 min. 45 wyjechałem na Taurogi do Adolfa Grajewskiego. Rozpoczynam część pierwszą moich wakacji.

15 czerwca, rok 1923, piątek
Z Kowna wyjechałem wczoraj pociągiem o godz. 7. W Szawlach około północy przesiadłem do pociągu na linię idącą przez Żmudź na Tylżę i zbudowaną przez Niemców w czasie wojny. Ta koleją miałem jechać do Taurog, skąd do majątku

Popenowa w okolicach Chwejdan trzeba jechać jeszcze 6 mil końmi. W drodze z Szawel do Taurog przejeżdża się pod Lidowianami przez wielką głęboką dolinę, po której się ciągnie łożysko Dubisy. Dolina jest przecięta pod kolej żelazną wielkim mostem zbudowanym przez Niemców i stanowiącym najwyższy most kolejowy w Litwie, słynący jako jedna z osobliwości sztuki budowniczej kolejowej w kraju. Toteż starałem się nie przespać tego przejazdu. Jednak ten most lidowiański nie sprawił na mnie takiego wrażenia, jakiego się po jego rozgłosie spodziewałem. Piękny zeń jest wprawdzie widok na dolinę z Lidowianami u dołu, ale efekt wysokości wzniesienia i głębi doliny u stóp wydał mi się mniejszy, niż na moście przez Niemen w Grodnie lub przez rzeczkę Wakę między Wilnem a Landwarowem.
Koło godz. 5 rano byłem w Taurogach. Dzień był dżdżysty, wietrzny, chłodny jak cały dotąd czerwiec, „złosłowiony" przez rolników. W Taurogach w hotelu Blinstrubowej, stanowiącym zajazd ziemian okolicznych, czekały mię konie Grajewskiego; woźnica doręczył mi list Adolfa, w którym zawiadamia mię, że jest w Szyłelach, gdzie ma u sędziego pokoju kilka spraw i czeka na mnie prosząc, bym z Taurog wyjechał dopiero około 10-11-tej po przespaniu się w hotelu. Nie znalazłem jednak w hotelu łóżka; po wypiciu więc herbaty powałęsałem się po miasteczku; Taurogi, uszkodzone przez wojnę, odbudowują się; miasteczko rozległe; w centrum ma kilka wcale ładnych kamienic z fragmentami zdobnictwa jednolitymi i nadającymi tym kamienicom rodzaj stylu lokalnego. Zajrzałem też o godz. 9 do sądu pokoju i słuchałem rozprawy. Wreszcie koło godz. 11 wyjechałem. Grajewski przysłał po mnie doskonałe konie. We trzy godziny dojechałem do Szyłel. Nie nudziło mi się w drodze; okolica jest lesista, na ogół ładna, w wielu miejscach przecięta wspaniałymi dolinami dyluwialnymi, co wraz z pięknymi zboczami tychże i bogactwem porostu leśnego tworzy wielką rozmaitość i piękno charakterystyczne widoków. Żywe ruchliwe rzeczki i strumienie na dnie dolin lub w wąwozach, pęki zarośli, mnóstwo kapliczek żmudzkich przeróżnych kształtów, ozdób i zawartości, kilka krzyżów ozdobnych, z których szczególnie jeden pod majątkiem Songajliszki zwrócił moją uwagę (gwiaździste duże promienie aureoli o linii falistej), wreszcie iście żmudzki chaos płotów i opłotków z ogrodzeniem skośnym, jakiego nigdzie gdzie indziej nie widziałem – tworzyły bardzo ciekawy kalejdoskop widoku w drodze. W Szyłelach Grajewski jeszcze był, spraw w sądzie pokoju nie skończył. Ma on tu swój pokój, w którym przyjmuje klientów, spędzając w Szyłelach dni targowe czwartkami i przyjeżdżając poza tym w dnie, na które ma wyznaczone swoje sprawy w sądzie. Wyjechaliśmy wreszcie z Grajewskim z Szyłel przed samym zachodem słońca i o zmroku przyjechaliśmy do Popenowa na herbatkę wieczorną. Poznałem tu mego chrzestnego syna, 10-letniego Gustawa-Adolfa, syna Grajewskiego, którego widziałem raz jeden przed laty 10 na jego chrzcinach w Wilnie. Chłopczyk miły i wesoły. Przywiozłem mu książkę w upominku, a on czekał mię, chcąc wreszcie poznać swego chrzestnego ojca.

16 czerwca, rok 1923, sobota
W Popenowie u Grajewskiego jestem po raz drugi. Byłem tu przed laty 17, w roku 1906, w warunkach osobliwych, dzięki którym ówczesna wizyta moja była w kołach ziemiańskich tych stron głośną i utrwaliła się w pamięci ludzi tutejszych. Było to tak. W lipcu r. 1906 redagowana przeze mnie „Gazeta Wileńska" o kierunku tzw. krajowym i społecznie radykalnym została zamknięta. Jednocześnie prokuratura w Wilnie za jeden z artykułów w jednym z ostatnich numerów pisma (artykuł „Ogniste półkole" pióra sekretarza redakcji Norberta Barlickiego, obecnie jednego z *leaderów* PPS i posła na Sejm w Warszawie) pociągnęła mnie, jako redaktora, do odpowiedzialności karnej pod zarzutem rozpowszechniania utworu nawołującego do obalenia ustroju państwowego i

społecznego oraz do czynu buntowniczego. Ponieważ był to czas, kiedy się jeszcze rewolucja ważyła z reakcją, więc ufny w rewolucję nie chciałem się na oślep poddać zarządzeniom represyjnym reakcji i postanowiłem uchylić się na razie od wszczęcia przeciwko mnie procesu i – przeczekać. Słowem, postanowiłem wyjechać za granice państwa rosyjskiego, a na miejsce pobytu upatrzyłem sobie Kraków. Nie mogłem jednak liczyć na paszport zagraniczny dla legalnego wyjazdu z państwa, bo osobom pociąganym do odpowiedzialności karnej paszporty oczywiście nie były wydawane. Trzeba więc było przedostać się za granicę nielegalnie. W tym celu z Wilna i Bohdaniszek pojechałem na Żmudź do stryja Izydora Römera do Pogryżowa. Stąd Eugeniusz Römer skierował mię końmi do swego dobrego znajomego, młodego Adolfa Grajewskiego nad granicę pruską – do tego samego Popenowa, w którym obecnie bawię. Adolfa Grajewskiego w tym czasie jeszcze nie znałem. I otóż pewnego dnia w jesieni – bodajże w październiku – zawitałem do Popenowa, do nieznajomego mi domu i nieznajomych ludzi. Ani Adolfa, ani jego brata Stanisława nie zastałem. Stara pani Grajewska, matka Adolfa, która i dziś jeszcze żyje, przyjęła mię i przeraziła się, gdym jej cel przyjazdu wyjaśnił. Miałem czekać na powrót Adolfa lub Stanisława Grajewskich. Sytuacja moja była przykra, bo czułem, że jestem ciężarem i wcale nie miłym gościem, mogącym dom narazić na jakieś komplikacje odpowiedzialności. Pani Grajewska w cichym ustroniu żmudzkim mogła w osobie mojej upatrywać jakiegoś tajemniczego rewolucjonistę, który Bóg wie co za grzechy ukrywa na sumieniu. Po rewolucji dużo się snuło takich osobników z podziemi, przemykających za granicę i mogących grubo narazić osoby, które ich przytuliły lub dopomogły do ucieczki. Po paru dniach, gdy synowie pani Grajewskiej nie przyjeżdżali, wywiozła mię ona w nocy cichaczem w zamkniętej karecie do majątku Judran państwa Bucewiczów o parę mil od Popenowa. Jedna z córek pani Grajewskiej jest tam zamężną za Stefanem Bucewiczem. W Judranach mię p. Grajewska zostawiła i sama czym prędzej wróciła, rada, że mię się pozbyła. Pozycja moja w Judranach była nie mniej przykra, niż w Popenowie. Czułem się ciężarem, z którym nie wiedziano dobrze, co począć. Chciano się dla mnie postarać o legalną przepustkę na przejazd granicy pod imieniem jednego z młodych Bucewiczów, od wielu lat bawiącego poza domem. Władze jednak przepustki nie wydały. Były pomysły ucharakteryzowania mię za kobietę i wywiezienia pod imieniem jednej z pań judrańskiego domu. Zaopiekowała się poczciwie mną i sprawą mojego przejazdu zacna pani Zygmuntowa Bucewiczowa, żona jednego z braci Bucewiczów, osoba z uboższej rodziny i niższego stanu, z którą się jeden z Bucewiczów mezaliansem połączył. Stanęło na tym, że pewnego dnia p. Zygmuntowa Bucewiczowa wraz z drugą panią, nie pamiętam którą, wywiozły mię karetą za granicę. Panie te, jako mieszkanki stałe pasa pogranicznego, miały przepustki i udając chore jechały niby do lekarza do Kłajpedy. Przy przejeździe komory granicznej rosyjskiej schowałem się na dno karety, ukrywając się w nogach tych pań, które rozrzuconymi chustkami nakryły mię i uczyniły niewidocznym. Cała rzecz polegała na nadziei, że urzędnicy komory, znający Bucewiczów z Judran, uwierzą w chorobę pań i nie każą im wysiadać dla dokonania rewizji we wnętrzu karety. Gdyby kazali wysiąść – byłbym wykryty. Przejazd się udał. Nie zapomnę tych chwil, spędzonych na dnie karety. Panie dowiozły mię do stacji kolejowej Karlsberg, skąd już spokojnie i bezpiecznie udałem się koleją na Poznańskie i Śląsk do Krakowa. Taka była moja epopeja w tych stronach przed laty 17.

17 czerwca, rok 1923, niedziela
Majątek Adolfa Grajewskiego Popenów (po litewsku – Papinaujas) ma swą nazwę od strumyka Pinauja (od wyrazu „pinti", „pintis" – pleść, wić się), który w krynicznych

zaroślach samego dworu tuż za ogrodem bierze początek z kilku sączących się spod ziemi źródełek i płynie krętą wąską smugą do pobliskiej Jury.
Dziś – dzień imienin Adolfa. Trafiłem na nie przypadkiem, bom jadąc tutaj nie wiedział o nich. Od rana się już manifestowały okoliczności imieninowe. Drzwi wejściowe i fotel Adolfa były ozdobione zielenią i kwiatami, na stole ukazał się duży kosz ozdobny z ładnie uplecionym bukietem bzu; dzieci na wiązanie deklamowały wyuczone *ad hoc* wiersze; matka ofiarowała mu tort i dywanik własnego wyszywania; słowem – była cała sielanka imienin ojca w gnieździe rodzinnym tradycyjnego litewskiego dworku szlacheckiego, która mi żywo przypominała takież fety domowe z moich lat dziecinnych. Na obiad przyjechał sędzia pokoju z Szyłel p. Cytowt – nie tyle dla powinszowania Grajewskiemu, ile dla złożenia uszanowania mnie jako sędziemu Trybunału Najwyższego, a więc dygnitarzowi sądownictwa. Dopiero pod wieczór zaczęli się zjeżdżać goście imieninowi, to znaczy całe sąsiedztwo szlachty z dworków i dworów okolicznych. Z alei wjazdowej zaczęły się wtaczać na dziedziniec i pod ganek jedne za drugimi – wózki, kary, linijki i bryczki najrozmaitszego zaprzęgu i staroświeckich kształtów, zapełnione „sąsiedztwem". Przybył cały rój Montwiłłów i kilka stadeł i grup Bucewiczów gniazda judrańskiego – zawziętych endeków. To była podstawa. Poza tym było kilku rozstrzelonych gości, nie należących ani do Montwiłłowskiego, ani do Bucewiczowskiego klanu. Montwiłłowski obóz reprezentuje tu nastroje ugodowe, ciążące do orientacji litewskiej – w tej liczbie są jednostki (Marian Montwiłł), wyraźnie się do litewskiej narodowości zaliczające – do tzw. Litwinów mówiących po polsku czy staro-Litwinów, według terminologii Jerzego Dowiatta; obóz Bucewiczów reprezentuje nieprzejednane litwinofobskie stronnictwo polskie szlachty miejscowej. W tym towarzystwie mało miałem znajomych. Była herbata, potem towarzystwo się rozproszyło po obszernym salonie i zabawiało się jak kto chciał i umiał; były dwa stoliki kart, trochę było muzyki na fortepianie, tańczono przelotnie, gawędzono, panie się zabawiały jakąś grą pocztówkami i kwiatów. Ze trzy godziny więził mię na rozmowie gadatliwy, skrajnie endecko usposobiony, średniowiecznych pojęć społecznych szwagier Adolfa Grajewskiego, p. Stefan Bucewicz, człowiek szkoły Józefa Hłaski. Wreszcie podano kolację, która miała stanowić finał zabawy. Podczas kolacji miał miejsce zgrzyt przykry. Jeden z Bucewiczów, młodszy brat Stefana, wystąpił z mówką do solenizanta Grajewskiego, nadając jej treść polityczną – stosownie do politycznej działalności Grajewskiego sprzed lat paru w Sejmie Ustawodawczym. Mówka była nie tylko jaskrawie i namiętnie antylitewska, ale wręcz trywialnie łająca i postponująca Litwę i Litwinów, używająca dobitnych określeń bez najmniejszej ceremonii i bez żadnego względu na to, że mogą być tym dotknięte uczucia i przekonania niektórych gości. Bucewicz wprost się silił na obrażanie wszystkiego, co litewskie. Co do myśli mowa była zresztą głupia – bez żadnego powiązania. Z publiczności – zwłaszcza od Mariana Montwiłła – mowa Bucewicza była przerywana okrzykami protestu i szmerami niezadowolenia. Wzburzony ta mową bez taktu i głupią – wstałem i w kilku słowach przemówienia wypiłem zdrowie Grajewskiego, wyrażając przekonanie, że ideały, które kierowały jego działalność poselską, nie mają żadnego związku z treścią przemówienia Bucewicza. Byłem bardzo wzburzony, a że byłem zarazem i alkoholem podniecony, więc już nawet nie bardzo pamiętam, co powiedziałem. Zdaje mi się nieumyślnie to udało, ale w każdym razie kategorycznie odciąłem się i odciąłem Grajewskiego od chamskich Bucewicza wyrazów. Incydent się następnie wyczerpał w dyskusji prywatnej w gronie kilku osób. Tak brutalnego wystąpienia, jak Bucewiczowskie, nie zdarzyło mi się dotąd w żadnym towarzystwie słyszeć. Po kolacji imieniny były zakończone.

18 czerwca, rok 1923, poniedziałek
Jak tylko się goście imieninowi po kolacji nocnej rozjechali – była to już godz. 4-5 rano – i my z Adolfem Grajewskim siedliśmy na bryczkę i ruszyliśmy w drogę. Grajewski jedzie na cały tydzień do Taurog, gdzie ma szereg spraw na sesji wyjazdowej cywilnej Szawelskiego Sądu Okręgowego, rozpoczynającej się dziś w Taurogach. Ja zaś, po wyczerpaniu mojej wizyty dwudniowej u Grajewskiego ruszam na Taurogi w dalszą podróż moją – do Kłajpedy. Senni, ociężali, po nocy niespanej, ogarnięci jeszcze wpływami pochłoniętego alkoholu tłukliśmy się z Grajewskim w bryczce. W Szyłelacj na popasie przespaliśmy się dwie godziny i nieco pokrzepieni pośpieszyliśmy dalej. Koło godz. 2 po południu przyjechaliśmy do Taurog. Grajewski udał się do sądu, ja zjadłem obiad w jadłodajni miejscowej „Moterų Sąjungos" i poszedłem spać. Spałem do godz. 10 wieczorem. Jestem wypoczęty i teraz, ustąpiwszy łóżka Grajewskiemu, siedzę przez noc do ranka, by się o godz. 4 udać na dworzec kolejowy. Tam się spotkam ze Stefanem Römerem, synem Maryni, który ma przyjechać z Bohdaniszek i z którym jedziemy we dwoje dalej – do Kłajpedy. Stefana biorę na tę wycieczkę moim kosztem. Funduję mu tę rozrywkę.

19 czerwca, rok 1923, wtorek
Przesiedziawszy noc całą, raniutko udałem się na dworzec kolejowy. Przyszedł pociąg; z jednego z wagonów wyskoczył Stefan Römer, który już pilnie mię wzrokiem z pociągu szukał, zaniepokojony tym, co by robił, gdyby mię nie zastał, bo w kieszeni miał zaledwie jednego lita. Pojechaliśmy więc dalej we dwoje. Po wjechaniu na terytorium autonomicznego okręgu Kłajpedy w dawnej pogranicznej stacji Łauksargach przesiedliśmy się do pociągu na Tylżę, którym dojechaliśmy do Pogiegiów. Tu wypadło nam czekać dwie godziny na pociąg do Kłajpedy. Stefan pierwszy raz jedzie nad morze, którego nie widział nigdy i pierwszy raz jedzie przez terytorium, tak rdzennie przesycone kulturą niemiecką, jak terytorium obecne Kłajpedy – część odwieczną Prus Wschodnich. Był wprawdzie w Poznańskiem, gdzie znaczne są także wpływy niemieckie, ale nie w tym stopniu, co tu; tam działanie ich było nieorganicznym i odbywało się w warunkach ostrej walki czynnika polskiego z niemieckim przez przyswajanie przez Polaków metod i pierwiastków niemieckich dla użycia tychże za oręż do walki z Niemcami; walka i przeciwstawienie określały tam treść istotną rozwoju, podczas gdy [tu] wpływy niemieckie toczyły się łożyskiem asymilacyjnym organicznie: czynnik litewski był materiałem biernym, przetrawianym kulturą czynnika niemieckiego. Analogii dla stosunków kulturtregerstwa niemieckiego w Litwie Pruskiej szukać należy nie w Poznańskiem, jeno na Mazurach Pruskich, ewentualnie na Kaszubach. Z moich wrażeń wagonowych do Kłajpedy zanotować mogę li tylko tyle, że tym razem cokolwiek więcej zaobserwowałem ujawniania się wśród publiczności elementu litewskiego, przynajmniej w mowie, niż przed dwoma laty, gdym tędy do Kłajpedy jechał. Mówię tu nie o nielicznych podróżnych przyjezdnych z Wielkiej Litwy (kilku oficerach, księżach, jakichś panienkach), ale o publiczności lokalnej. Języka litewskiego słyszy się na kolei już odrobinę więcej, niż przed dwoma laty. Że go używają nie tylko przyjezdni, ale także między sobą ludzie miejscowi – Litwini pruscy – to jest łatwe do rozpoznania, bo wymowa Litwinów pruskich tak charakterystycznie akcentem niemieckim się różni od wymowy litewskiej czy żmudzkiej rdzennej w Wielkiej Litwie, że w stwierdzeniu tego faktu nie pomyli się nawet ten, kto wcale po litewsku nie rozumie. Chociaż wszakże używanie publiczne języka litewskiego przez podróżnych na kolei wzrosło od lat dwóch, jednak jest ono jeszcze bardzo słabe; język niemiecki dominuje jeszcze w olbrzymiej przewadze i ogromna większość Litwinów pruskich, zwłaszcza tych, co się choć trochę noszą z miejska, wciąż jeszcze rezerwuje

swą mowę ojczysta wyłącznie na użytek domowy i ściśle prywatny, rugując i wypierając się go dla niemieckiego w miejscach publicznych. Formalne wcielenie Kłajpedy do państwa litewskiego w tym względzie owoców jeszcze prawie że nie wydało. Dla przygodnego obserwatora Kłajpedy nic się tu jeszcze prawie nie zmieniło. Tylko uważna i pilna obserwacja i głębsze wejrzenie w stosunki i w detale zjawisk mogłoby uwydatnić pewien powolny i w głębi postęp litwinizacyjny. W Kłajpedzie ma się wciąż wrażenie zagranicy, wrażenie kraju odrębnego i obcego Litwie. W Kłajpedzie jeszcze szyldy i napisy, i mowa wszędzie – niemieckie. Miałem nawet w ciągu dnia dzisiejszego wrażenie, że Niemcy i zgermanizowani Litwini w mieście są bardziej niechętni językowi litewskiemu, w którym się do nich próbowałem zwracać, niż przed dwoma laty; odczuwałem pewną niechęć i pewną szczególną zaciekłość i ostrość w reagowaniu Niemców na język litewski, czego przed dwoma laty mniej zaobserwowałem. Jest to zjawisko naturalne: litewsko-niemiecka dyferencjacja, która się rozpoczęła i która się w warunkach państwowości litewskiej pogłębiać będzie, a której czynnikiem zaczepnym muszą być i są z konieczności Litwini jako ci, którzy się przez tę dyferencjację wyzwalają, musi wytworzyć walkę, a więc i niechęć tych dwóch czynników, z których dotąd jeden był bierny i ulegał drugiemu, a drugi – asymilował i pochłaniał. Powtórzyć się tu muszą stany gorączkowe i nastroje uczuciowe wszelkiego procesu nowego, łamiącego długi układ dziejowy stosunków. Stanąłem ze Stefanem w hotelu litewskim „Rytas" (dawniej „Berliner Hoff"). Jeździliśmy przez Zalew Kuroński do Sandkrüg, ale za mierzeję nad morze Stefana nie prowadziłem, bo chcę mu morze zaprezentować w Juodkrantis (Schwarzort) w ulubionym miejscu moim, do Juodkrantis zaś statek dopiero jutro pójdzie. Wieczorem byliśmy na koncercie śpiewackim artysty Opery Kowieńskiej basa Audiejusa. Śpiewał piosenki kompozytorów litewskich i arie z oper.

20 czerwca, rok 1923, środa

Od rana pogoda była niezła; wprawdzie się trochę chmurzyło, ale deszcz nie padał; świeciło słońce i było ciepło. Musieliśmy do godz. 1 ½ czekać w Kłajpedzie na parostatek odchodzący do Juodkrantis. Zanim wyjechaliśmy, zadżdżyło się fatalnie, jednolite gęste chmury zaciągnęły całe niebo. Pomimo to wybraliśmy się w drogę, bo chciałem już koniecznie sam powitać morze i zaprezentować je Stefanowi. Wypłynęliśmy do Juodkrantis w deszcz. Całą drogę przesiedzieliśmy jednak na pokładzie, nie chowając się do kajuty. W Juodkrantis posililiśmy się w hotelu May i ruszyliśmy przez mierzeję na drugą jej stronę na pełne morze. Nie znalazłem mojej „Ewa-Berg" pod Juodkrantisem, którędy przed dwoma laty chodziłem stąd znaną mi drogą przez las nad morze. Poszliśmy więc pierwszą lepszą drogą w las na górę i szliśmy , kierując się wśród wijących dróżek wpierw orientacją, a następnie szumem morza, który przez las do uszu naszych dochodził. Wreszcie z jednego ze wzgórz przez karłowaciejące ku morzu zarośla sosen ujrzeliśmy morze! Niebo było szare jak i powietrze, mżył drobny deszcz i morze było mdłe, ledwie się różniące od mgiełki deszczowej. Przez piaski pośpieszyliśmy ku niemu. Wreszcie z wału nadmorskiego ujrzeliśmy je u stóp – dzikie, groźne, za falą wiecznie szumiącą i wściekle walącą o brzeg plaży. Pobiegłem ku niemu. Stefan był olśniony grozą i potęgą morza. Nie sądził je takim. Nie było wiatru, ale morze jak zwykle huczało i biło brzeg, niespokojne i dzikie, namiętne w swym ruchu i swej nienawiści do granic, które mu określa ląd. Pochodziliśmy po brzegu, Stefan znalazł i nazbierał bursztynu. Gdyby nie trzeba było dziś wracać do Kłajpedy, byłbym się kąpał, choć jeszcze nie ma sezonu; ciepło było. Nagle deszcz spadł gwałtowny i naraz zerwał się wicher ogromny, a nam już wracać wypadło. Zmokliśmy do nitki i chłód nas przejął głęboko. Gdyśmy wyszli przez las na

Juodkrantis – jakiż kontrast ciekawy stwierdziliśmy między tą osadą rybacką w łagodnej oazie drzew, krzewów, bzu, łąk nad cichym wybrzeżem zalewu, w którego gąszczu trzcin nadbrzeżnych rechoczą żaby, a cicha powierzchnia wody pokryta kołkami ustawionych sieci rybackich i buczów – a dzikim o kilometr stąd morzem, huczącym i tęsknotą wieczystą wyjącym hymn Kosmosu, tak nieskończenie dalekiego od dzieł i trosk ludzkich, od całego sztucznego i miniaturowego świata człowieka. Wróciliśmy na noc do Kłajpedy.

21 czerwca, rok 1923, czwartek
Od rana znowu pada deszcz. Rozpacz! Nie powodzi się nam na tej wycieczce. Tak ładnie się zapowiadało przed paru dniami, gdyśmy tu przyjeżdżali, a oto tak się rozedżdżyło, że nosa wychylić za dom nie można. Smugi wody cieką z nieba, z dachów spływają na ulice potoki, przechodnie ukrywają się pod wielkimi parasolami. Odważnie, bez żadnych parasoli, których oczywiście ze sobą nie mamy, z nogami przemokłymi od wczoraj, włóczymy się ze Stefanem po mieście, obserwujemy ruch roboty w porcie, gotujemy się wreszcie do nowej wycieczki do Juodkrantis nad morze. Nie będziemy przecież siedzieć w Kłajpedzie w hotelu, nie będziemy marnowali drogiego czasu naszej podróży na ukrywanie się od deszczu. Jedziemy dziś do Juodkrantis, skąd wrócimy dopiero jutro wieczór. Będziemy tam mieli czasu do syta i zabawimy się swobodnie na morzu. Może Bóg się zlituje i ukoi deszcz. Jest nie tylko mokro, ale także zimno. O godz. 1 ½ parostatek „Trude”, kursujący stale między Kłajpedą a Juodkrantisem, zabiera nas z Kłajpedy. Deszcz ustaje. Składamy rzeczy w kajucie i pozostajemy na pokładzie. Na statkach zwykle unikam kajut; wolę pokład, a chłodu się zbytnio nie boję; Stefan zaś stosuje się do mnie. Nastaje gęsta mgła, że na zalewie przeciwnego brzegu nie widać, a brzeg mierzei, wzdłuż którego sunie statek, jest ledwie widzialny. Dojeżdżamy do Juodkrantisu. Stajemy w hotelu Maya. Jemy obiad – ryba świeża, koniak, buterbrody z szynką, kawa – obstalowujemy pokój na noc. Po obiedzie – nad morze. Tym razem natrafiam pomyślnie na moją „Ewa-Berg” i prowadzę Stefana dobrze mi znaną drogą przez mierzeję nad Bałtyk. Morze szumi i wyje tak mocno, że je już z samej „Ewa-Berg” słychać. W miejscu, gdzie z drogi leśnej otwiera się nagle w perspektywie morze, w mgiełce, która czyni morze ledwie znacznym, zlewając je z takiejże szarej barwy niebem i powietrzem, dostrzegamy łyskające ruchome grzywy bałwanów; wichura chłoszcze, morze jest dziś szczególnie dzikie; deszczu nie ma. Morze – wspaniałe. Nie widziałem je takim przed dwoma laty. Wczorajsze wydaje się barankiem wobec dzisiejszego. Fale, zbałwanione na dużej przestrzeni od brzegu, wznoszą się dużymi wzgórzami nad poziomem plaży, rozlewają się wysoko na brzeg. Ani śladu tego zwykłego rzędu kamyków, który wskazuje na wybrzeżu linię, do której dobiegają i na której umierają fale. Tu już żadnej linii nie ma, a fale pędzą jak się zdarzy, bez widocznego kresu, bez linii wyraźnej. Zdjęliśmy obuwie i brodziliśmy po fali, potem przebraliśmy się aż do koszuli, bo nas brodzących fala zalewała. Nie kąpaliśmy się jednak, bo zimno było bardzo. Potem szliśmy wzdłuż brzegu, już ubrani, obserwując morze i zbierając bursztyn; minęliśmy samotną bezludną stację ratunkową i doszliśmy do wielkiego okrętu, który stał utkwiony w piaskach wybrzeża. Okręt ten wyglądał jak widmo w tym dzikim pustkowiu, które przypomina nam, ludziom lądu litewskiego, raczej jakąś fantastyczną z powieści dziecinnych wysnutą Australię, której zresztą nie widzieliśmy nigdy i która w wyobraźni naszej nie odpowiada wcale rzeczywistej, niż Litwę, którą znamy z pól zbożowych, łąk kwietnych, wzgórz, dolin, jezior, rzek i lasów, ale nie z wycia fal morskich, nie z piasków lotnych Mierzei Kurońskiej i nie z sosny karłowatej, której pewne krzewy są ledwie tak wielkie, jak krzewy truskawek. W tym dzikim pustkowiu, które wyło falą Bałtyku tak samo i

wśród tychże piasków, jak przed tysiącem lat, gdy tędy przybijały do ziem litewskich łodzie dzikich Skandynawów na podbój plemion i krain lądu europejskiego, widmowy okręt stał samotny i bezludny jak upiór przerażający. Stoi on głęboko ugrzęzły w piaskach, Bóg wie skąd i jak tu rzucony. U jednej z jego ścian stoi drabina, po której wdrapaliśmy się na pokład; jest to okręt handlowy o trzech rzędach masztów i z maszyną parową. Gdyśmy zwiedzali pokład, z jednej z kajut wyszedł majtek. Dowiedzieliśmy się od niego, że jest to okręt niemiecki z Bremy, który szedł w roku ubiegłym w grudniu koło Bożego Narodzenia z ładunkiem, ciągniony przez statek holowniczy. Zerwała się wściekła burza, podczas której fale Bałtyku sięgały wysokości nasypu nadmorskiego; liny, którymi okręt był ciągniony, urwały się i morze rzuciło okręt na wybrzeże, na którym ugrzązł on w piasku. Obecnie okręt został kupiony przez jedną z firm kłajpedzkich, która zamierza go wydostać, wykopawszy dokoła niego basen dla umożliwienia mu wypłynięcia na morze. Chciałbym widzieć taką burzę jak ta, która wyrzuciła ten okręt na brzeg.
Gdyśmy wieczorem wrócili do Juodkrantis na kolację do hotelu, gospodarz hotelu p. May opowiadał nam dużo ciekawego o piaskach lotnych mierzei w okolicach między Juodkrantisem a Nidą. Są tam w tych górach piaszczystych duże leje, utworzone w miejscach, gdzie stały drzewa, zasypane niegdyś przez piaski. Drzewa spróchniały i w piaskach pozostały na ich miejscu próżnie; gdy się w nie wpadnie, osunąwszy się z brzegu, wydobyć się na wierzch po ruchomym stoku góry piaskowej niepodobna. Są też jeziorka wody, uwięzione w piaskach i przykryte warstwą skorupy piaszczystej; gdy się na nią stąpi, zapada się i człowiek lub zwierzę tonie. Takie są dziwolągi i strachy tej Sahary nowolitewskiej.
Gdyśmy znad morza wracali wieczorem, usłyszeliśmy w powietrzu łoskot charakterystyczny: to leciał aeroplan. Piękny był kontrast! Dzikie rozhukane morze, zbałwanione wichurą – i lot Człowieka. Żywioł pierwotny – i najwyższy wykwit kultury w opanowaniu żywiołu.

22 czerwca, rok 1923, piątek
Dobrześmy się wyspali ze Stefanem w hotelu Maya w dwóch pokoikach, które nam obok siebie dano, pod ciepłymi pierzynami niemieckimi. Rano było pochmurno i nawet deszcz trochę padał; byliśmy już zasmuceni, bo się nam zdawało, że znowu nam deszcz zepsuje dzień przeznaczony morzu. Koło godz. 10 udaliśmy się na naszą wycieczkę. Tym razem postanowiliśmy zacząć od wyszukania zakładu publicznych kąpieli morskich – nie na zalewie, lecz na pełnym morzu za mierzeją – o których istnieniu tutaj, gdym był przed dwoma laty, nie wiedziałem. Słyszałem jednak w Kownie – i tu mi to potwierdzono – że zakład taki jest. Zresztą kupiłem mapkę Juodkrantisu i przekonałem się, że tak jest w istocie. Udaliśmy się tedy tzw. promenadą stosownie do planu. Jest to droga, dość odległa od mojej drogi do morza przez „Ewa-Berg". Jest ona bardziej równa, lepiej utrzymana, wygodniejsza. Po drodze, gdy już przez drzewa lasu morze się ukazywać zaczynało, ujrzeliśmy z boku wieżyczkę czy pomost wysoki na rusztowaniu drewnianym, z którego ponad zniżającym się i karłowaciejącym lasem rozlega się widok otwarty na pełne morze. Morze ukazało się nam błękitne, głębokiej barwy, piękniejsze niż dni poprzednich. Jednak widać było, że się ciągle jeszcze bałwani grzywami białymi fal. Grunt tu ku kąpielom morskim jest względnie tak twardy i ścisły, że za drobnymi sosnami nadmorskiego lasku, w samej dolince przed nasypem, broniącym brzegu, wyrasta mały lasek liściasty jak oaza wśród jedynej przedstawicielki flory drzewnej tej strefy – sosny. Ale oto i zakład kąpielowy. Jest tu parę domków, jest ślad ludzkiego mieszkania, kury, koty, pies – to wszystko należące do zakładu kąpielowego i jego funkcjonariuszy, wreszcie jest piękna oszklona restauracja ze

stolikami zasłanymi czysto, z lustrami, z widokiem przepysznym z nasypu poprzez szkła na wściekłe u stóp morze. Byliśmy sami w tej restauracji. Nikt jej jeszcze nie odwiedza, nikt się tu dotąd nie kąpie, a nawet liny urządzeń kąpielowych zerwane zostały przez fale nawałnicy wczorajszej. Właścicielka restauracji skarżyła się nam gorzko na los ciężki: nie ma lata, chłody nie ustają, sezon spóźniony, gości kąpielowych w Judkrantisie nie ma. Z Niemiec – dla drożyzny, jaką tu ustaliła waluta litowa wobec ciągłego spadku kursu marki niemieckiej (do 140 i nawet 170 tysięcy marek za 1 dolara!) – prawie nikt nie przyjeżdża, z Wielkiej Litwy gości mało. Na jutro wyznaczone jest otwarcie kąpieli, ale czy dojdzie do skutku – nie wiadomo; zresztą – nie ma dla kogo. Od zakładu kąpielowego ruszyliśmy wybrzeżem morskim do przystani łodzi rybackich, gdzie się mieści mój tradycyjny posterunek wycieczek na Bałtyk. Morze jest cokolwiek spokojniejsze, niż było wczoraj, ale jeszcze bardzo wzburzone. Pościeliliśmy się w łodzi rybackiej na brzegu; ja postanowiłem bądź co bądź się wykapać. Stefan bał się. Trochę i ja się zastanawiałem, bo mi mówiono, że burzliwe morze wyrywa doły głębokie w piasku dna u wybrzeża, które się potem po uspokojeniu fali zarównują piaskiem automatycznie. A wczoraj i dziś morze było właśnie burzliwe i szczególnie niespokojne. Uwiązaliśmy na sznurze rybackim pętlę, którą ja założyłem na ramię, Stefan zaś trzymał za koniec sznura, i z takim prymitywnym „przyrządem ratunkowym” wszedłem w morze. Okazał się on jednak zbyteczny; głęboko nie szedłem – nie dalej jak po pas i to tylko wyjątkowo; wreszcie i Stefana namówiłem na kąpiel, choć nie zdobył się on na większą odwagę, niż zagłębienie się w falę po kolana najwyżej. Kąpiel była miła, fale nas natłukły, że aż skórę kłuło jak ciarkami. Po kąpieli czuliśmy się rzeźwo i wróciliśmy do Juodkrantisu. Wracając widzieliśmy w lesie sarnę, która uciekła spłoszona, ale którąśmy biegnącą długo ze wzgórza widzieli.
Wieczorem wróciliśmy do Kłajpedy, a ponieważ w hotelu „Rytas” nie znaleźliśmy numeru, więc zanocowaliśmy w hotelu „Zum Sächsische König”, w którym mieszkałem przed dwoma laty.

23 czerwca, rok 1923, sobota
Spędziliśmy dziś dzień w Kłajpedzie. Nie wyjeżdżaliśmy na Mierzeję Kurońską na Bałtyk, bo dziś wieczór wyjeżdżamy z Kłajpedy. Nie opuszczamy jej jeszcze ostatecznie, bo powrócimy do Kłajpedy, jeno udajemy się na inny rodzaj wycieczki. Pod tym względem mamy do wyboru alternatywę: albo do Połągi na dzień jeden, albo statkiem po Niemnie na górę Rambynas, gdzie się odbywają w tym czasie corocznie wielkie zjazdy narodowe litewskich towarzystw śpiewackich i rozmaitych innych patriotycznych z Litwy Pruskiej. Z Kłajpedy dziś wyrusza wieczorem specjalny statek wycieczkowy na Rambynas. Lubiłbym widzieć to tradycyjne święto litewskie na Rambynasie i posłuchać pieśni Litwinów pruskich oraz mów i narad, które się tam będą toczyły, tym bardziej, że wezmą tam udział także towarzystwa litewskie zza Niemna – z Tylży i Ragnety, które wciąż jeszcze należą do Prus i które już bodaj skazane są na germanizację na wieki. Byłem już zdecydowany jechać na Rambynas, ale w ostatniej chwili zmieniłem projekt. Odstraszyły mię dwie noce na statku i zwłaszcza to, że w tej wycieczce jest się ściśle związany z całym gronem wycieczki, czego nie lubię, bo wolę jeździć samodzielnie, a uczestników tej wycieczki nie znam. Pojechałbym, gdybym mógł pojechać sam i gdybym mógł ograniczyć moje uczestnictwo do samej uroczystości na Rambynasie bez uczestnictwa w jeździe.
Wybrałem więc Połągę, do której jadę na dzień jeden. W Kłajpedzie udaliśmy się dziś ze Stefanem na latarnię morską, gdzieśmy na silnym wietrze i rozhukanym morzu obserwowali prześliczne widowisko – wściekłego ataku morza na mury wału,

prowadzącego od lądu do latarni. Bałwany morskie rozbijały się z rykiem i łoskotem o kamienie, strzelając kaskadami piany w górę i zalewając nawet powierzchnię wału. Pociągiem o godz. 6 wyjechaliśmy do Kretyngi, gdzie dziś nocujemy w miasteczku w zajeździe żydowskim, aby jutro raniutko udać się do Połągi.

24 czerwca, rok 1923, niedziela
Po nocy przespanej w zajeździe żydowskim w Kretyndze, dość czystym, w którym przynajmniej żadnych insektów w pościeli nie było, co się, niestety, często w naszych zajazdach i „hotelach" żydowskich zdarza, wstaliśmy ze Stefanem wcześnie i o godz. 7 byliśmy już na stacji kolejowej, dokąd o tej porze zjeżdżają się na nadchodzący z Kowna pociąg autobusy i furmanki z Połągi po podróżnych. Najęliśmy miejsca w furmance, co nam wypadło taniej, niż autobusem, i po nadejściu pociągu kowieńskiego odjechaliśmy wraz z jakąś rodziną litewską z Kowna, która do tejże furmanki wsiadła. Koło godz. 9 byliśmy w Połądze. Spędzamy w Połądze dzień cały i jutro rano wracamy do Kłajpedy. Chodziliśmy nad morze, zwiedziliśmy górę Biruty, park Tyszkiewicza. Posililiśmy się w kurhauzie i tamże najęliśmy pokój na noc. Widzieliśmy uroczystość miejscowego oddziału Związku Strzelców („Šaulių Sąjunga"), polegającą na paradzie, przemówieniach, pochodzie z muzyką wojskową i śpiewem. Mieliśmy wielką ochotę dokonać przejażdżki na morze łodzią motorową „Vaideliutė", którą też kurhauz w tym celu utrzymuje; za opłatą 3 litów od osoby za godzinę można używać tych wycieczek łodzią; ze względu jednak na silny wiatr i wzburzone morze dziś wycieczek łodzią nie było. Żałowałem bardzo tej okazji straconej, tym bardziej, że właśnie burzliwe morze mię nęciło. Tak sama Połąga, jak morze pod nią mniej mi się podoba od mego ulubionego Juodkrantis i od morza pod Mierzeją Kurońską. Wprawdzie Połąga ma bliżej morze, niż je ma Juodkrantis, bo tu dzielnica will niemal bezpośrednio dotyka wybrzeża, to jednak bodaj właśnie dlatego jest ona uboższa dekoracyjnie od pięknej oprawy will i wioski rybackiej w Juodkrantis nad Zalewem Kurońskim. Co stanowi dla mnie szczególny urok Juodkrantisu (Schwartzort) – to właśnie ten kontrast śliczny i zarazem mistyczny między z jednej strony słodyczą i kulturalnym pięknem tak will, lasków i osady rybackiej, jak ożywionego ruchem łodzi i pracowitości rybackiej Zalewu Kurońskiego, a z drugiej – morza dzikiego w prostej pierwotnej oprawie wybrzeża, tchnącego pustynią. O kilometr od uroczej osady Juodkrantisu, położonej wśród borów i lasków liściastych, mającej z jednej strony spokojny Zalew Kuroński, pełny ruchu i życia, a z drugiej – wysokie wzgórze sosnowe i laski urobione na park, wyje po drugiej stronie mierzei morze, mające za tło piaski i plantacje krzewów karłowatej zdegenerowanej sosny. W Juodkrantis kwiaty, łąki, drzewa, wille wesołe, sieci rybackie, ptaszki, łodzie na zalewie, natura utworzona praca i kulturą człowieka jak komfort i uśmiech wesela, a na morzu pustka dzika i natura pierwotna, jak przed wiekami. I na samej mierzei po obu stronach Juodkrantis cuda dzikiej natury: z jednej strony tzw. martwe diuny, czyli góry ruchome pasków lotnych – istne morze pustyni – Sahara litewska, z drugiej – w kierunku na Sandkrüg ogromne jednolite przestrzenie plantacji sosny karłowatej. Te kontrasty są przepiękne. I samo też morze na wybrzeżu mierzei pod Juodkrantisem jest piękniejsze, niż w Połądze; brzeg piaszczysty jest wyższy i fala morska uderza o brzeg i liże smugą plażę, i odpływa bezpośrednio, podczas gdy w Połądze wzdłuż brzegu jest martwy dołek, w który wpada smuga fali i więźnie, tworząc miałki nieruchomy zalew między falą a wybrzeżem. Do kąpieli może Połąga jest wygodniejsza, bo płytszą ma plażę, ale morze tu dalsze od suchego lądu i nie ściera się z nim tak bezpośrednio, jak na mierzei. Zresztą Połąga jest także piękną – ma śliczną górę Biruty i bardzo ładny park Tyszkiewicza. Ma kurhauz wygodny i dbały o potrzeby i rozrywki gości, ładny jest też w Połądze, choć zapuszczony bardzo i

zaniedbany, pomost drewniany w głąb morza, z którego jest śliczna obserwacja biegu fal. Wille w Połądze uboższe, niż w Juodkrantis, przemysł rybacki o wiele mniej rozwinięty. Kuracjuszów ma Połąga teraz znacznie więcej, niż biedny Juodkrantis, który pod tym względem, przynajmniej na razie, dużo stracił na przyłączeniu do Litwy. Z powodu różnicy drogiej waluty litowej i taniej spadającej stale waluty niemieckiej markowej Juodkrantis stał się dla Niemców niedostępny, toteż przyjazd gości letnich z Niemiec, który dostarczał Juodkrantisowi główny kontyngent klienteli letniskowej, ustał, natomiast Litwini mało tu jeszcze zaglądają, bo przywykli do Połągi, która jest u nich popularniejsza. Nawet teraz, gdy sezon się dopiero zaczyna i gdy jeszcze chłody nie ustały, w Połądze jest już gości dość dużo, a Juodkrantis jest prawie pusty. To osierocenie Juodkrantisu wywołuje tam niezadowolenie z Litwy i ostry nastrój tęsknoty do Niemiec. Wszystkie tez litewskie zakłady publiczne kuracji morskich, różne sanatoria wojskowe itd. zalokowane są li tylko w Połądze, a w Juodkrantis nie ma dotąd nic w tym rodzaju.

25 czerwca, rok 1923, poniedziałek
Rano po śniadaniu o godz. 9 min. 30 odjechaliśmy autobusem kurhauzu z Połągi do Kłajpedy. Mamy jeszcze trzy dzionki pożegnalne naszej wycieczki nadmorskiej, które postanowiliśmy poświęcić kochanemu Juodkrantisowi, bez wątpienia najpiękniejszej z miejscowości nadmorskich Litwy. Autobusem dojechaliśmy do Kłajpedy bardzo szybko. Jazda taka jest o wiele przyjemniejsza od jazdy furmanką albo choćby automobilem do Kretyngi i dalej pociągiem. Do Kłajpedy szosa jest świetna. Jak wszystko w sferze kultury materialnej, co Niemcy w okręgu Kłajpedy przekazali w spadku Litwie, drogi są tu doskonałe. Jedzie się jak istotnie po stole. Ku wstydowi Litwy muszę zaznaczyć, że te parę kilometrów drogi, które się przejeżdża z Połągi po terytorium Litwy właściwej, czyli tzw. Wielkiej – to hańba w porównaniu do tej klasycznej drogi, jaka się zaczyna w kierunku Kłajpedy od punktu przekroczenia dawnej granicy pruskiej, czyli obecnej granicy autonomicznego okręgu Kłajpedy.
Po przyjeździe do Kłajpedy złożyliśmy rzeczy na parostatku „Trüde”, pochodziliśmy parę godzin po mieście i o godz. 1 ½ po południu odjechaliśmy tymże statkiem do Juodkrantisu. Tu zalokowaliśmy się w hotelu Maya, zjedliśmy obiad i udaliśmy się na wycieczkę. Wycieczka wypadła śliczna. Wpierw przez Ewa-Berg poszliśmy nad morze. Było ono dziś spokojniejsze, niż dni poprzednich, ale jeszcze niezupełnie uspokojone. Pogoda była ładna i sucha, słońce świeciło, ale wiatr dął od morza ostry. Przy drugiej przystani rybackiej, moim tradycyjnym posterunku kąpielowym, gdzie się kąpałem zarówno przed dwoma laty, jak teraz, zdecydowałem się wykąpać znowu. Stefan, który z natury jest wielkim tchórzem, nie dał się namówić do kąpieli i jeno się przyglądał. Co prawda, po chłodach, które dotąd panowały, na kąpiel jest jeszcze trochę za wcześnie. Kąpiele publiczne w morzu jeszcze nie zostały otwarte i w ogóle kto wie, czy nie jestem tu jedyny z gości, który już zaczął używać kąpieli morskich. Ludzie miejscowi, którym mówiłem o kąpaniu się moim, dziwią się i śmieją z mojej gorliwości. Mnie jednak morze zbyt pociąga, bym się mógł wyrzec kąpieli. Czekać na stosowniejszą porę nie mogę, b wizyta moja u morza jest króciutka i już się kończy. Wykąpałem się wyśmienicie, szedłem w morze głębiej, niż ostatnią razą i stawiałem opór bałwanom albo się im dawałem porywać i rzucać o brzeg. Nachłostały mię też one, aż mi skórę piekło, ale za to potem, gdy wyszedłem z wody i zacząłem się na wietrze ubierać mokry i schnąć, tom cały zbielał i posiniał od chłodu. Toteż pomaszerowaliśmy wnet forsownie dalej. Przeszliśmy kawałek brzegiem morza, a następnie zawróciliśmy na mierzeję w głąb na prawo skos, kierując się na martwe lotne piaski wędrowne, które się rozpoczynają o parę kilometrów za Juodkrantisem i ciągną się ku Nidom, tworząc

charakterystyczną Pustynię Kurońską. Trafiliśmy na początki tych piasków, na pierwsze skrawki pustyni, które tu są jeszcze przerywane gdzieniegdzie małymi oazami lub pagórkami nędznych chropawych porostów twardego i rzadkiego zielska. Ale już miejscami są rozległe szczere pola i wzgórza nagich piasków, wielkie płaszczyzny złocisto-żółte, podnoszące się pochyło od morza ku Zalewowi Kurońskiemu. Ze szczytów tych żółtych pól pustyni otwiera się oku znużonego pochodem wędrowca prześliczny widok, który kolorystycznie jest cudowny. Oko ogarnia całą szerokość mierzei, ujętej w ramy wód – morza i Zalewu Kurońskiego. Żółte ciepłe barwy piasków ślicznie się kojarzą z ciemnym błękitem wód zalewu i niebiesko-zielonkawymi barwami Bałtyku, przechodzącymi na kresach widnokręgu w smugę błękitu prawie że czarnego, a po zboczach i za kresami pustyni ciągnie się szara zmęczona zieleń plantacji krzewu sosnowego, gdzieniegdzie – zarośli krzaczastych i nędznych suchych i twardych traw, jak wypłowiały stary gobelin. Jakieś ptaki – zapewne morskie – gnieżdżą się w ściankach topniejących wzgórz, sterczących s pól piaszczystych i obrywanych stopniowo ruchem piasków i smaganiem wichrów morskich. Pola piaszczyste kończą się nad zalewem wysoką linią o prostopadłych, stromo się obrywających na zalew zboczach. Na szczycie tej linii, wysoko, mając Zalew Kuroński u stóp, wypoczywaliśmy dość długo, rozkoszując się widokiem i wrażeniami tej niezrównanej turystyki krajowej, jedynej w swoim rodzaju i tak niezwykłej w naszych stronach Europy. Że Litwa nabyła takie piękno w Mierzei Kurońskiej – to jest wielki los. Nie tylko za granicą, ale i u siebie mamy teraz w Litwie do zwiedzania wspaniałe widoki i śliczne osobliwości. Tym razem widziałem w Juodkrantisie o wiele więcej, niż w pierwszej mojej wycieczce przed dwoma laty. Z pustyni wróciliśmy do domu na noc. Rad jestem, że wziąłem ze sobą Stefana. Miło jest mieć towarzysza podróży. Stefan jest bardzo delikatny i na ogół przyjemny, choć bierny jest bardzo i sam niezaradny. Ale dla mnie to tym lepiej, bo przynajmniej nie krępuje on żadną miarą mojej inicjatywy i stosuje się do mnie bez zastrzeżeń z powolnością domowego stworzenia. Jest zaś dość inteligentny, aby mi mógł służyć za towarzysza i wspólnika wrażeń.

26 czerwca, rok 1923, wtorek
Cały dzień spędziliśmy w Juodkrantisie. Ostatnia noc naszej wycieczki spędzimy także tutaj, jutro zaś mamy wrócić do Kłajpedy statkiem, idącym raz na tydzień z Kowna, i wieczorem wyjechać pociągiem na Możejki – do Rakiszek. Dwa razy chodziliśmy dziś nad morze. Raz, przed obiadem, drogą na Bloksberg, największą tu górę, której szczyt wznosi się na 60 metrów mad poziomem morza. Na szczycie tej góry zbudowana jest na wzniesieniu altanka kryta i oszklona, z której roztacza się widok rozległy na całą szerokość mierzei łącznie z morzem i zalewem, sięgając Kłajpedy; że jednak wierzchołki sosen, rosnących na górze, podnoszą się gdzieniegdzie ponad altankę, więc widok jest urywany i nie ma pełni całkowitej, toteż nie czyni zbyt wielkiego efektu. Stamtąd udaliśmy się do zakładu kąpielowego nad morze, który w tych dniach już został formalnie otwarty i urzędowo funkcjonuje, ale praktycznie nikt się jeszcze z powodu chłodu nie kąpie. Po obiedzie w Juodkrantisie znów pod wieczór poszliśmy nad morze, gdzieśmy się na pożegnanie morza wykąpali – oczywiście nie w zakładzie kąpieli publicznym, lecz na wolnym brzegu na własną rękę, jak zwykle. Morze dziś o wiele spokojniejsze; grzyw na morzu nie ma, fale pienią się tylko u brzegu. Wiatr też jest lżejszy, powietrze nie tak ostre. Pożegnaliśmy morze i wróciliśmy do Juodkrantisu. Trzeba już do Bohdaniszek jechać. Skończona wycieczka.
W Juodkrantisie ruch letniskowy po trochę wzrasta. Goście zaczynają przybywać, każdy parostatek przywozi jakąś garstkę osób lub rodzin albo jakąś wycieczkę przelotną. Jednak dotąd publiczności jest jeszcze bardzo mało w porównaniu do ilości

will, hoteli i pensjonatów, obliczonych na wielki ruch przedwojenny. Dziś jedynym ratunkiem hotelarzy juodkrantowskich są goście z Kowna, które jednak ani w połowie nie może dostarczyć normy przedwojennego, a nawet powojennego dopływu letników i kuracjuszy z Niemiec. Ustalenie w Okręgu Kłajpedzkim waluty litowej przy równoległym spadku marki niemieckiej wywołało tu drożyznę, która dla Niemców na ich marki czyni te letniska niedostępnymi. Do roku przeszłego, za czasów okupacji francuskiej, gdy tu jeszcze kursowała marka, pełno przyjeżdżało Niemców do letnisk tutejszych; tu było nawet taniej, niż w Niemczech. Kwitł tez handel z Niemcami i wielki szmugiel przez granicę tak do Niemiec, jak do Litwy; ludzie na tym zarabiali, spekulacja się rozrastała i stan ten wydawał się błogosławiony; tylko ideowi patrioci niemieccy byli usposobieni wrogo do wyłączenia Kłajpedy z państwa niemieckiego i Prus; masy tego zbyt boleśnie nie odczuwały. Teraz rzeczy się zmieniły, a ponieważ się to stało w związku z wcieleniem Kłajpedy do Litwy, więc nastroje antylitewskie i tęsknota do Niemiec wzrosły. Mam wrażenie, że nawet znaczna część miejscowej ludności litewskiej, kulturalnie i państwowo głęboko zgermanizowanej, ulega tym nastrojom i tęsknotom. W okręgu Kłajpedy masa ludowa litewska wciąż jeszcze jest masą etniczną, a nie narodem; na jej powierzchni zaledwie się żarzą poszczególne iskierki skupienia narodowego. Naród litewski musi się tu dopiero wytworzyć przez właściwy proces społeczny. Fermenty tego procesu już są, ale masa jest jeszcze bierna i idzie trybem rozpędowym przeszłości, zaś opór czynników niemieckich się kondensuje. Kłajpeda litewska – to dopiero kraj przyszłości.

27 czerwca, rok 1923, środa
Dzień odjazdu z Kłajpedy. Pożegnalny dzień naszej ze Stefanem wycieczki. Ranek nas zastał jeszcze w Juodkrantis. Ponieważ mieliśmy odpłynąć do Kłajpedy statkiem, który powinien był wczoraj wyjść z Kowna, a nie wiedzieliśmy, kiedy nadejdzie on do Juodkrantisu, więc trzeba było być stale na pogotowiu. Toteż o godz. 5 rano zbudziłem Stefana. Ubraliśmy się forsownie, bo już gwizdał jakiś parowiec w pobliżu i słychać było miarowy ruch maszyny idącego statku; okazało się jednak, że to jest jakiś statek idący w przeciwnym kierunku. Ale u przystani zastaliśmy nocujący parostatek „Trüde”, który się o 7 rano udaje do Kłajpedy, wioząc pasażerów i przekupni rybackich z rybami i jarzynami na tygodniowy targ środowy w Kłajpedzie. Toteż tym statkiem i my popłynęliśmy. Żegnaj, Juodkrantis kochany!
W Kłajpedzie mieliśmy czas do godz. 6 wieczorem. Rzeczy nasze złożyliśmy na przechowanie na dworcu kolejowym, sami zaś poszliśmy się włóczyć po mieście. Załatwiłem kilka sprawunków, w szczególności kupiłem zabawek i cukierków dla dzieci Elwiry do Bohdaniszek, to znaczy dla Andrzeja i Michasia Mieczkowskich, a potem spacerowaliśmy jeszcze lub siedzieliśmy na różnych ławeczkach bez celu, wyczekując godziny obiadowej. Obiad zjedliśmy w knajpce pod nazwą „Berliner Tunnel” przy hotelu „Rytas”, knajpce bardzo charakterystycznej i przyjemnej, w której się najczęściej posilaliśmy w Kłajpedzie. Po obiedzie mieliśmy jeszcze cztery godziny do rozporządzenia. Zrobiliśmy ostatnią wycieczkę – na Sandkrüg: przepłynęliśmy w poprzek zalew na parostatku, przeszliśmy w poprzek mierzeję do kąpieli publicznych na morzu i stamtąd wybrzeżem morza i zalewu okrążyliśmy cypel mierzei i tymże parostatkiem wróciliśmy do Kłajpedy. Sandkrüg ani się umył do Juodkrantisu. Jest on zanadto sztuczny, zanadto konwencjonalny, , aby mógł wywierać to wrażenie piękna, jakie sprawia otoczenie Juodkrantisu i morza tamże. I samo morze w Sandkrüg jest konwencjonalne, jakby zdrobniałe i ułaskawione, przystosowujące się do wygody ludzkiej i do komfortu kąpielowego osób wykwintnych i miękkich, nie lubiących pokonywać żadnych przeszkód. Nie jest już tu ono groźnym i gwałtownym, jakim jest

w Juodkrantisie. Jest jeszcze bardziej płytkim u brzegu, niż w Połądze. Toteż tylko w oddali tu dostrzec można falę, u stóp zaś człowieka na przestrzeni kilkunastu metrów nie uderza ona o brzeg, ale toczy się powolna i płytka, senna i nudna, w której nic zgoła nie ma z wieczystej tragedii morza i lądu, kontrastu i nienawiści, a więc walki nieustającej dwóch pierwiastków, dwóch systemów Kosmosu: nieskończoności i ograniczenia, powszechności i indywidualizacji. Sandkrüg nie podoba mi się wcale. Jest tu nie potęga, lecz rozpusta morza, jego korupcja lądowa. Zresztą było dziś wyjątkowo cicho i ciepło nad morzem. Słońce paliło, żadnego powiewu wietrzyku.
O godz. 6 wyjechaliśmy z Kłajpedy koleją na Możejki.

28 czerwca, rok 1923, czwartek
Przez noc przejechaliśmy z Kłajpedy *via* Kretynga-Możejki do Radziwiliszek. W Radziwiliszkach byliśmy przed godz. 5 rano. Pociąg z Kłajpedy przez Możejki na Kowno – jedyny pociąg na dobę – nie jest dopasowany do pociągów, idących z Radziwiliszek na Rakiszki-Abele, toteż w Radziwiliszkach trzeba czekać 9 godzin – od piątej rano do drugiej z minutami po południu. Wysiedzieliśmy więc te godziny i wreszcie po obiedzie odjechaliśmy z Radziwiliszek dalej. Koło godz. 9 wieczorem byliśmy w Rakiszkach. Tu na stacji spotkała nas parą koni w karach Marynia z Andrzejem, za furmana zaś był ogrodnik Bielski.
Znowu w tym roku narzekanie tu na zły i ciężki rok, na zapowiadające się złe urodzaje, na wielkie chłody, które aż dotąd trwają, na brak gotówki, na ogromne podatki i ciężary, na niskie ceny i brak zbytu produktów rolnych, słowem – same widmowe horoskopy gospodarcze. Znowu trzeci rok z rzędu daruję Maryńce dzierżawę mojej ziemi.
W drodze – między Poniewieżem a Poniemuńkiem – spotkałem Zygmunta Rutkowskiego, od którego dowiedziałem się o Waluniu Weyssenhoffie. Starania Walunia o uzyskanie pozwolenia na powrót do kraju, rozpoczęte w styczniu, zawiodły. Przed paru miesiącami odmówiono mu. Po odmowie wrócił był z Łotwy, skąd czynił te starania, do Wilna, gdzie przebywa jego rodzina. Zdecydował się jednak przyjechać do Litwy bez żadnego pozwolenia, mając jeno dokumenty, świadczące o jego prawach do obywatelstwa litewskiego, oraz list polecający od biskupa wileńskiego ks. Matulewicza do ks. Šaulysa w Kownie. Sam mu w swoim czasie radziłem listownie, by to uczynił. Opierałem się w tym względzie na poradzie, udzielonej mi w sprawie Walunia przez Gałwanowskiego, gdym próbował uprosić tegoż o udzielenie Waluniowi pozwolenia na wjazd. O postanowieniu Walunia przyjazdu do kraju byłem powiadomiony przed moim wyjazdem do Kłajpedy. Walunio był zupełnie przygotowany na to, że go tu na razie aresztują i że będzie narażony na różne przykre przejścia, nim się zalegalizuje. Ale że nic mu się dowieść nie da, bo przez czas pobytu w Polsce w żadnym charakterze przeciwko Litwie nie działał i żadnego stanowiska na służbie polskiej nie zajmował, więc się na ten przyjazd odważył, bo czyni to dla ratowania resztek swojej fortuny ziemskiej, którą ma tutaj, i dla utrzymania rodziny, która jest w Polsce w nędzy zupełnej. Otóż po przyjeździe do Litwy Walunio sam się zameldował w Rakiszkach u naczelnika powiatu Draugelisa i naczelnika milicji Vabolisa, którzy mu pozwolili w ciągu trzech dni wypocząć w Kowaliszkach i po trzech dniach zgłosić się do „Žvalgyby" w Rakiszkach. Walunio tak też uczynił. Žvalgyba go aresztowała i osadziła w więzieniu w Poniewieżu, ponieważ rozpoczęte zostało dochodzenie z fałszywego donosu o to, że rzekomo Walunio zajmował jakąś posadę za rządów Żeligowskiego w Wilnie. Jest to nieprawda, ale zarzut jest, więc dochodzenie się robi. Zdaje się, że rzecz jest na dobrej drodze. Walunio jest w Poniewieżu traktowany nieźle. Elizka Komorowska w tych dniach widziała się z nim w więzieniu. Czekają mojego przyjazdu,

bym powaga mojego poręczenia przyczynił się do uwolnienia Walunia. Oczywiście, co będzie w mojej mocy – uczynię.

29 czerwca, rok 1923, piątek
Cicho upłynął mi ten pierwszy dzień w Bohdaniszkach. Zabawię tu do końca przyszłego tygodnia, przeto wypocznę sobie. Od Elwiry nie ma tu jeszcze wiadomości, kiedy wraca z Helcią. Bawi ona teraz w Obodowcach u męża; Helcia jest niby rekonwalescentką, ale kto wie, czy ta dziwna choroba, którą lekarze nazywają „śpiączką", nie pozostawi stałych śladów kalectwa na zawsze. Głowę ma Helcia wciąż przykurczoną w szyi, oddech ma krótki, w członkach drżenie nie ustaje. Uczyć się w tym roku w każdym razie nie będzie mogła; Elwira chce wziąć Francuzkę na zimę, aby Helcia przez ten czas przynajmniej się francuskiego nauczyła, choć to nie na wiele się przyda.
Maryńka pojechała po obiedzie na imieniny Piotra Rosena do Gaczan; ja nie pojechałem, bo jestem zdrożony i wrzód mi się w Kłajpedzie uformował na szyi; choć pękł, ale mam jeszcze pretekst do uchylenia się od imienin. Musiałem za to pójść do Janówki do Kazimierza Jankowskiego, który zaprosił mię na chrzciny wnuczki. Chrzciny były w kościele, a w Janówce była tylko feta, która polegała na jedzeniu i piciu. Byli kumowie, domownicy, paru krewnych Kazimierza i sąsiadów z Janówki. Dobrze, że się obeszło bez nadmiernego pijaństwa, jadła zaś za to było w bród. Wróciłem przez Gaj do domu.

30 czerwca, rok 1923, sobota
Dzień upłynął sielankowo, wiejsko – bez żadnych wzruszeń i wydarzeń.

1 lipca, rok 1923, niedziela
Byliśmy dziś z Marynią w Kowaliszkach. Chodziło głównie o sprawę Walunia Weyssenhoffa. Elizka Komorowska, która jest szczerze i gorąco przejęta ratowaniem Walunia, to znaczy uwolnieniem go z więzienia, i która poczyniła już szereg starań o to w Kownie, jeszcze w czasie pobytu mego w Kłajpedzie szukała mię tu i prosiła Mrynię, abym zaraz po przyjeździe do Bohdaniszek zobaczył się z Elizką dla omówienia mojego udziału w akcji ratunkowej na rzecz Walunia. W Kownie Elizka robi starania za pośrednictwem pułkownika Głowackiego. Dyrektor Departamentu Milicji Novakas, u którego Elizka z Głowackim była, zapewniał ją, że sprawa Walunia będzie z pewnością pomyślnie i rychło zakończona. Jednak dochodzenie prowadzi „Žvalgyba", więc rzecz w obecnym stadium nie jest w ręku milicji. Elizka jest dobrej myśli, wiedząc, że Walunio istotnie nigdy w zarządzie Żeligowskiego w Wilnie ani też w wojsku polskim nie służył, i licząc przeto, że fałsz denuncjacji się wykaże i że Walunio rychło zwolniony będzie. Od Głowackiego była wczoraj depesza, że prośba Walunia jest rozstrzygnięta twierdząco, z czego należy, zdawałoby się, sądzić, że incydent jest wyczerpany i że Walunio zostanie lada chwila uwolniony. Atoli dziś dowiedziano się w Kowaliszkach telefonicznie z Poniewieża, że Walunio dziś w nocy będzie wyekspediowany do Kowna. Po co do Kowna – nie udało się przez telefon dowiedzieć. To Elizkę zaniepokoiło. Zatelegrafowała do Głowackiego, prosząc o opiekę i staranie o Walunia oraz o informacje. Elizka nalega na mnie, abym przyśpieszył mój wyjazd do Kowna, o ile Walunio nie będzie uwolniony – żeby poprzeć starania w jego sprawie. Ociągam się, ale może wypadnie pojechać. Gdyby nie to, mógłbym tu jeszcze zabawić do przyszłej niedzieli włącznie. Przedwczesny powrót do Kowna nie bardzo mi się uśmiecha – głównie ze względu na kieszeń, bo tydzień darmowego pobytu w Bohdaniszkach stanowi dla mnie dużą oszczędność, a kieszeń moja, wyczerpana

wycieczką do Kłajpedy i perspektywą jazdy w sierpniu do Paryża, domaga się wielkiej oszczędności.
W Kowaliszkach bawi panna Jadwiga Komorowska, siostra śp. Zysia. Hektor sprowadził ją tu z Warszawy dla uczynienia tu plenipotencji od jej imienia. Chodzi o manewr walki przeciwko reformie agrarnej, mianowicie o to, by się panna Jadwiga upomniała o swoją schedę w Radkunach, co dałoby możność ocalenia z Radkun jeszcze 80 hektarów na jej imię oprócz tych 80, które będą zostawione Piotrusiowi Komorowskiemu, synowi śp. Antoniego, brata panny Jadwigi. Panna Jadwiga przyjechała przez Łotwę; granicę litewska przekroczyła nielegalnie i bawi w Kowaliszkach bez żadnego paszportu, ale że jest kobietą i że właściwie służba ją zna dobrze i nie wie zgoła, skąd ona tu przyjechała, więc się liczy na to, że pobyt jej w Kowaliszkach niczyjej uwagi nie zwróci i posądzeń nie obudzi.
Na noc wróciliśmy z Maryńką do Bohdaniszek, gdzie też zastaliśmy gościa – p. Lysandra z Krewien. I ten ma biedę: odebrano mu paszport litewski, uznano za obywatela łotewskiego i kazano w ciągu dni 10 złożyć dokument osobisty łotewski. Lysander chce się przeciwko temu bronić i dochodzić obywatelstwa litewskiego.

2 lipca, rok 1923, poniedziałek
Choć jestem bardzo sceptycznie usposobiony do zwykłych co roku i co sezonu powtarzanych wykrzykników na temat o tym, że nigdy nie było takiej suszy albo takich deszczów lub chłodów, ewentualnie – tak spóźnionej lub wczesnej wiosny, lata, jesieni itd., zależnie od sezonu i stanu pogody, i że każdy stan istniejący jest rzekomo niesłychany i zgoła fenomenalny, to jednak muszę przyznać, że co do późnego lata w tym roku, co do chłodów długotrwałych i przymrozków (na św. Jan!) rok obecny rzeczywiście nie jest pospolitym. Rzeczywiście nie przypominam sobie, aby w lipcu kwitły jeszcze bzy, jak teraz. Zdaje się jednak, że temperatura zaczyna się już obecnie podnosić i że wreszcie doczekamy się prawdziwego lata. Ale już późno bardzo: lipiec. Na wsi jeszcze tutaj żaby rechoczą jak w maju, bzy kwitną, truskawki także kwitną dopiero, ani poziomek, ani trześni, ani innych jagód i owoców nie ma ani śladu. Żyto ledwie kwitnąć zaczyna.
Mieliśmy dziś z Marynią jechać do Annopola do p. Józefa Stawskiego na majówkę, która się miała odbyć po południu na jeziorze Sartach i w Puszczy Dusiackiej. Gdyśmy już siadali do linijki w drogę, ukazał się z bramy powóz kowaliski, którym przyjechały panna Jadwiga Komorowska i Zitka. Zaniechaliśmy więc jazdy na majówkę, a natomiast Maryni wypadła inna jazda. Chodzi o to, że p. Jadwiga Komorowska, po wydaniu plenipotencji Hektorowi i należytym wypoczęciu w Kowaliszkach, musi wracać do Polski. W Warszawie zajmuje ona posadę lektorki prywatnej u niewidomego Stanisława Bukowieckiego. Cel, dla którego tu była przyjechała, został osiągnięty – teraz chodzi o powrót. Trzeba przewieźć ją przez granicę łotewską, skąd już dalej pojedzie legalnie. W sprawie przejazdów nielegalnych przez granicę dla stosunków z Polską, które są w Litwie zabronione, i w sprawie ratowania się od reformy agrarnej różnymi drogami obejścia ustawy – całe społeczeństwo ziemiańskie tworzy u nas jedną gromadę solidarną, która uważa sobie za zasługę to, co w myśl przepisów polityki państwowej litewskiej jest przestępstwem. Choć mi nie uchodzi ze stanowiska sędziego przyczyniać się do takich działań, jednak z konieczności, gdy tu jestem, zachować muszę wobec tej akcji życzliwą neutralność. Jeżeli mię nawet niejedna rzecz w tym razi, to przecież muszę się z tym godzić, bo opozycja byłaby daremną, a denuncjacją nie splamię się nigdy. Zresztą, aczkolwiek ziemianie w tej akcji maltretują Litwę, czynią oni to wyłącznie dla swojej prywaty klasowej, nie zaś dla jakiejś akcji politycznej przeciwko państwu. Pod tym ostatnim względem, choć nieraz są oni jaskrawo wrogo

przeciwko Litwie usposobieni, nie mają oni ani odwagi, ani bodźców ideowych do wdawania się w działalność konspiracyjną polityczną. Mogą działalności takiej nieraz sprzyjać, ale sami się angażować po prostu boją. Masa ziemiańska jest bierna, tchórzliwa i trawiona prywatą. Ten fakt, że jest ona tu w Litwie całkowicie oderwana od podłoża ludowego, które jest jej obcym i narodowo, i państwowo, i pod wszelkimi względami, czyni ją bardziej samolubną i izolowaną klasowo, niż w innych krajach, gdzie jest ona ściślej bądź z masą ludową, bądź z państwem związana. Kąsać po cichu lubi, ale działać i poświęcać się jest zdolna tylko dla prywaty bądź osobistej, bądź klasowej. Mylą się głęboko ci Litwini, którzy sądzą, że każdy polski dom ziemiański w Litwie jest gniazdem szpiegowskim Polski. Błąd ten pochodzi ze zbyt wysokiej opinii o tej szlachcie ziemiańskiej. Szpiegiem można być ideowym, można być zdrajcą szlachetnym; jeżeli się nienawidzi i uważa za zło to, co się zdradza lub szpieguje, a czyni się to na rzecz tego, w co się wierzy i kocha – to szpiegostwo i zdrada może być nawet szczytna ofiarnością. Ale w każdym razie trzeba na to odwagi. A tej ziemianom brak. Oczywiście mówię o ogóle, a nie wyjątkach.
Panna Jadwiga Komorowska miała być przeszwarcowana przez granicę do Łotwy w okolicach Radkun przez p. Komorowskiego z Gikań, ale w ostatniej chwili Hektor skierował ją do Bohdaniszek na Użukrewnie p. Pawła Koziełły, którędy są także sposoby przejścia granicy. Widocznie Hektor bał się narażać Radkuny i Komorowskich i przeto umyślił zepchnąć ten ciężar na barki Maryni i Koziełły. Marynia więc końmi kowaliskimi udała się z p, Jadwigą i Zitką do Użukrewnia dla załatwienia tego interesu.

3 lipca, rok 1923, wtorek
Wczorajsza wycieczka Maryni z panną Jadwigą Komorowską i Zitką do Użukrewnia do Pawła Koziełły dla przemycenia p. Jadwigi za granicę łotewską – nie powiodła się. Paweł Koziełł nie podjął się tego załatwić. Gdyby to chodziło o osobę lżejszą, niż p. Jadwiga, to by się zrobić dało, ale przewieźć damę starszą, strojną, ociężałą, która sama chodzić nie może, z mnóstwem rzeczy, bagażu, pudełek z kapeluszami itd. – to sztuka trudniejsza. Tu chodzi już nie o przemknięcie się przez granicę, ale o całą ciężką wyprawę. Nie dziwię się Pawłowi Koziełle, że odmówił. Mieszka on nad granicą, więc często ułatwia osobom znajomym komunikację w tę i w tamtą stronę, ale tym bardziej musi być z tym ostrożny, bo gdyby nim nie był, to by się bardzo prędko naraził i skompromitował. Nie może on tego robić dla każdego i na każde zawołanie. Niech Hektor sam zorganizuje przeprawę p. Jadwigi przez granicę, a nie narzuca kłopotu Koziełle. To było nawet nietaktem, że bez żadnego uprzedzenia i bez konieczności skierowano p. Jadwigę do Koziełły, jak gdyby on miał jakieś przedsiębiorstwo przewozu. Koziełło jest uczynny i wielu osobom wiele w tym względzie świadczył i świadczy, ale trzebaż rzecz wpierw ułożyć, omówić, porozumieć się, a nie – narzucać. Gdy Helcia Mieczkowska była chora i Stefan Mieczkowski przyjechał do Subocza, Paweł Koziełł pośredniczył w komunikowaniu się jego z Bohdaniszkami, ułatwiał Maryni przechodzenie przez granicę do niego, pomagał on też Waluniowi Weyssenhoffowi w komunikowaniu się z Litwą i w przejściu granicy; pośredniczy też stale w korespondencji Maryni z Polską przez Subocz *via* Użukrewnie. Ale co za wiele – tego już nie można. Wróciła więc p. Jadwiga z Zitką do Kowaliszek, a Marynia z Abel wróciła w nocy do Bohdaniszek pieszo.
Po południu przez umyślnego Elizka Komorowska przysłała do nas z Kowaliszek list, w którym donosi, że Walunio Weyssenhoff wrócił już z Kowna i został uwolniony. Jest już w Kowaliszkach na wolnej stopie. Ma otrzymać tymczasowo świadectwo terminowe na prawo zamieszkania w Litwie, a potem otrzyma paszport. To znaczy, że zostanie zalegalizowany. Biedny człowiek! Szczerze się z tego cieszymy. Od paru lat

próbował rozmaitymi sposobami dostać się legalnie na Litwę, by odzyskać resztki majątku, który mu reforma agrarna pochłonąć miała; ta cząstka, którą reforma pozostawia nietykalną – i ta zginąć by mogła, gdyby się o nią nie upomniał. Człowiek niegdyś dostatni, żonaty z hrabianką Ledóchowską, bogatą dziedziczką z Wołynia – dziś jest z rodziną w nędzy. Majątki Ledóchowskich stały się pastwą bolszewików, a majątki litewskie Weyssenhoffa – Tarnów i piękne Jużynty – idą na parcelację reformy agrarnej. Ruchomość i inwentarz, meble, dochody z majątków lat ostatnich – zmarnowane niezbyt skrupulatnym zarządem plenipotenta i sąsiada Rosena. Ledwie gdzieś resztki Walunio łapie. W r. 1918 Walunio, który był podczas Wielkiej Wojny w Rosji, był wrócił do swoich majątków tutaj, ale w r. 1919, gdy tu byli bolszewicy, został przez nich aresztowany; uwolnił się za kaucją i przez Wilno, okupowane wtedy przez bolszewików, uciekł do litewskiego Kowna i stamtąd do Polski, gdzie się połączył z żoną i dziećmi, którzy też się wymknęli od bolszewików z Wołynia do Polski. Ciężko mu tam było – doszedł do nędzy zupełnej. Był już stary, do pracy niezdolny, posady żadnej objąć nie mógł, krewni go opuścili. Sprzedawał resztki kosztowności i rzeczy swoich i żony, żona dawała lekcje francuskiego i zarabiała szyciem. Doszło do tego, że biedak nie ma bielizny, nosi resztki ubrania, pokryty jest wszami. Od paru lat usiłował znaleźć sposób legalny powrotu do Litwy, ale wszystkie usiłowania zawodziły. Od nowego bieżącego roku rozpoczął starania formalne o pozwolenie powrotu, ale po kilku miesiącach tych starań, pomimo zabiegów moich i Komorowskich, otrzymał odpowiedź odmowną. Zdecydował się wtedy wrócić nielegalnie, idąc za moją wskazówką stosownie do porady, udzielonej mi dla niego przez Gałwanowskiego. I oto dopiął celu. Przesiedział dni 10 pod kluczem, nim się toczyło dochodzenie z powodu fałszywego donosu przeciwko niemu – i na tym się skończyło. Pokonał pierwszą i najcięższą przeszkodę. czeka go jeszcze ciężkie zadanie odzyskiwania szczątków mienia. Dla Piotra Rosena powrót Walunia jest nie na rękę. Opinia publiczna oskarża kategorycznie Rosena o malwersacje i przywłaszczenie znacznej części mienia Walunia.

4 lipca, rok 1923, środa
Wobec tego, że przyśpieszenie mego wyjazdu do Kowna dla sprawy Walunia Weyssenhoffa jest już zbyteczne, pozostaję w Bohdaniszkach do niedzieli.
Po obiedzie Marynia ze Stefanem wyjechała do Gaczan dla kupienia żyta od Rosena. Ja z dziećmi – Andrzejem i Michasiem – zostałem w domu. Biedny Andrzej czepia się mnie i chciałby się ciągle ze mną bawić. Nudzi mię to trochę, toteż się od zabawy często wykręcam. Michaś wyrósł, ale jest mało rozwinięty. Obawiamy się z Marynią, aby nie był głupowaty. Trudno to jeszcze orzec, gdy ma zaledwie cztery lata. Ale czyni wrażenie tępego i nawet powiedziałbym, że jest mniej bystry, niż przed dwoma laty. Za to mówi teraz o wiele lepiej i więcej.
Wiadomości polityczne bardzo skąpo tu na wieś dochodzą. Nic nie wiem, co się dzieje na świecie, ale taki odpoczynek od wielkiego świata jest czasem przyjemny. Gazety dochodzą do Bohdaniszek bardzo nieregularnie. Słyszałem jednak pozawczoraj od Piotra Rosena, który zajechał był wieczorem po drodze z Rakiszek z targu, że nowy gabinet ministrów w Litwie już się sformował. Prezesem gabinetu jest znowu Gałwanowski. Ministrem rolnictwa jest podobno ks. Michał Krupowicz, *leader* Chrześcijańskiej Demokracji, sprawiedliwości – Antoni Tumėnas, oświaty – Bistras, ministrem wojny pozostał Bolesław Sližys. Kto jest ministrem spraw wewnętrznych – Rosen nie pamiętał, ale mówił, że pono ktoś z obozu ludowców. Czyżby blok Chrześcijańskiej Demokracji z ludowcami doszedł do skutku? Jeżeli informacje Rosena są dokładne, to z nominacji Tumėnasa jestem bardzo zadowolony, ale za to nominacja Krupowicza na stanowisko ministra rolnictwa jest dziwaczna i, moim zdaniem, ujemna.

O kandydaturze Krupowicza na to stanowisko słyszałem jeszcze przed wyjazdem z Kowna.

5 lipca, rok 1923, czwartek
Znowu bieda z Waluniem Weyssenhoffem. Rzecz okazała się nie tak prosta, jak się zdawało. Uwolniono go wprawdzie spod zarzutu działania przeciwko Litwie w akcji Żeligowskiego, ale przez to nie zalegalizowano bynajmniej jego zamieszkania w Litwie. Przeciwnie – jednocześnie z odesłaniem Walunia z Kowna do Rakiszek i zwolnieniem go od czynionych wcześniej zarzutów, z Departamentu Milicji przysłano do Draugelisa, naczelnika powiatu w Rakiszkach, pismo, polecające wyekspediować Walunia za granicę, skąd on tu przybył nielegalnie. Dziś pod wieczór posłaniec z Kowaliszek przyniósł mi listy od Zitki Komorowskiej i Walunia, komunikujące mi tę wiadomość i zaklinające, bym się jak najprędzej udał do Kowna i postarał uzyskać u władz centralnych uchylenie tej decyzji. Draugelis zgodził się prolongować termin wykonania eksmisji do 10 lipca; jest więc kilka dni czasu na starania. Jutro na noc wyjadę wobec tego do Kowna. Jestem przekonany, że decyzja o wysłaniu Walunia pochodzi od dyrektora Departamentu Milicji Novakasa. Dwukrotnie w analogicznych wypadkach – w r. 1921 w stosunku do p. Maciejowej Kończyny i w r. 1922 w stosunku do Stefana Römera – udało mi się pomyślnie przez ministra spraw wewnętrznych – w pierwszym wypadku Skipitisa, w drugim – Oleki – uzyskać uchylenie takiejże decyzji Novakasa. Czy się uda teraz – nie wiem. Teraz jest nowy minister spraw wewnętrznych, więc trudno przewidzieć, jak się on na to zapatrywać będzie i czy w pierwszych dniach urzędowania swego zdecyduje się na uchylenie rozporządzenia Novakasa. Biedny Walunio! Los go dziwnie prześladuje.
Na skutek sprawy Walunia zmuszony jestem przyśpieszyć o dwa dni mój wyjazd do Kowna. Szkoda, bo teraz każdy dzień na wsi – to puchar rozkosznego upojenia naturą. Nasze lato jest tak krótkie i przeto tak piękne! Rozpoczęły się dni pogodne, gorące, dni sezonu letniego naszej wsi litewskiej. Z jakąż rozkoszą chodzę po polach, kładę się na łąkach pachnących i barwnych jak dywany wschodnie, chłonę prześliczne widoki bohdaniskie lub fragmenty natury wiejskiej. Kąpałem się dziś i pływałem w naszym stawie kąpielowym, chodziłem po Gaju, leżałem nagi w promieniach słońca na polance leśnej i w ogrodzie, dając mej skórze łaźnię słoneczną i słodycz jego promieni. Jeszcze tylko jeden dzionek jutrzejszy i potem – Kowno.

6 lipca, rok 1923, piątek
Tak jest pięknie w Bohdaniszkach, tyle słońca, które u nas jest tak rzadkie i przeto tak upragnione i rozkoszne, że prawdziwy żal opuszczać wieś o tej porze i zamykać się w rozpalonych murach miasta. Ale – co robić. Uważam sobie za obowiązek udzielić pomocy Waluniowi, o ile to ode mnie zależy, choć mam poważne wątpliwości co do tego, czy mi się to uda. Z całego serca pragnąłbym ulżyć doli biednego Walunia, aby wreszcie mógł on wytchnąć ze swojej tułaczki i ukoić się jakoś tutaj. Czekają go tu jeszcze ciężkie przejścia, zanim zdoła on uregulować swoje stosunki majątkowe, zlikwidować rachunki z Rosenem, co się zapewne bez konfliktu i jakichś sądów polubownych nie obejdzie, odzyskać i pozbierać swoje rozproszone meble i sprzęty, wreszcie objąć w posiadanie te 80 hektarów ziemi, które mu z jego byłych majątków powinny być zwrócone. To w najlepszym razie, o ile mu się uda pozostać w Litwie, bo jeżeli utrzymany zostanie w mocy nakaz wydalenia go za granicę, to jego stan majątkowy będzie jeszcze cięższy.
Dzień mi upłynął w Bohdaniszkach bardzo szybko. Kąpałem się, chodziłem po polach, rozegrałem z Andrzejem ostatnie cukierki, gawędziłem z Maryńką, poskładałem rzeczy,

aż nadszedł wieczór. Na stację do Rakiszek odprowadził mię Stefan. W Rakiszkach na stację przyjechała Elizka Komorowska z Zitką dla udzielenia mi dokładnych informacji o stanie sprawy Walunia i o dokumentach osobistych, jakie on posiada dla stwierdzenia praw obywatelstwa litewskiego. O godz. 11 wieczorem pociągiem prędkim wyjechałem z Rakiszek wraz z moją służącą Heleną Bogusławską.

7 lipca, rok 1923, sobota
Noc całą spędziłem w pociągu. Pociąg wygodny, bo o godz. 9 rano już się jest w Kownie, i dziś z powodu szabasu jechało się bez Żydów, więc względnie więcej było niż zwykle miejsca, a do Poniewieża można było leżeć nawet. A jednak zmęczenie nocną jazdą jest dość wielkie. Zły byłem w drodze i po przyjeździe do Kowna na Helenę, która bez mojej wiedzy umówiła się z jakąś swoją przyjaciółką o wspólną z nami jazdę do Kowna, gdzie taż przyjaciółka ma sobie miejsce szukać; oczywiście w projekcie miało być korzystanie z gościny w moim szczupłym mieszkanku do czasu znalezienia przez tę dziewczynę służby; zaprotestowałem przeciwko temu panoszeniu się u mnie bez odwołania się poprzedniego do mnie, ale szczęściem dziewczyna po przyjeździe do Kowna zdołała wyszukać sobie zaraz z pomocą Heleny służbę jakąś w piekarni u Żydów.
Choć niewyspany, musiałem zająć się dziś jeszcze sprawą Walunia Weyssenhoffa. W tym celu udałem się do ministra spraw wewnętrznych, którym jest obecnie Żołkowski, b. prokurator sądu wojennego. Nie zastałem go jednak, bo bawi na urlopie miesięcznym. Zastępuje go wiceminister Lipčius, b. naczelnik „Žvalgyby” w Kownie. Do niego się więc zwróciłem i powiodło mi się dobrze. Zgadza się on całkowicie i kategorycznie z zasadą, na której się opierałem – że obywatel litewski w żadnym razie nie może być wydalony z granic państwa i że gdyby nawet popełnił jakieś przestępstwo przeciwko Litwie, to może być li tylko karany za to, ale nie pozbawiony prawa pobytu na terytorium ojczyzny. Walunio zaś ma niewątpliwie prawo do obywatelstwa litewskiego, które się daje stwierdzić najformalniejszymi, przewidzianymi przez ustawy dokumentami. Sprawa więc jego pod tym względem – o ile tylko to stanowisko będzie konsekwentnie zachowane – jest najzupełniej mocna. Lipčius obiecał mi rewizję sprawy Walunia i w tym celu polecił mi złożyć podanie w zastępstwie Walunia, co też uczyniłem. Telegrafowałem po obiedzie do Kowaliszek i do Draugelisa, naczelnika powiatu w Rakiszkach. Potem napisałem list szczegółowy do Walunia, a jutro napiszę do Draugelisa. Chodzi teraz tylko o to, aby Draugelis w Rakiszkach nie wykonał poprzedniej decyzji o wydaleniu Walunia, nim się rozpocznie formalna rewizja sprawy w ministerium. Rad jestem, że rzecz weszła na dobrą drogę, choć już tyle razy nadzieja w sprawie Walunia zawiodła, że się boję zaufać nadziei.

8 lipca, rok 1923, niedziela
Nudno w lipcu w Kownie. Tęsknię do wsi, a nawet nie tyle do wsi, ile do podróży, do wędrówki, do morza, których zakosztowałem tak rozkosznie w Kłajpedzie. Z jakąż niewypowiedzianą radością wojażowałbym teraz po świecie, po krajach rozmaitych, po górach i morzach! Mam teraz przed sobą nudny i samotny miesiąc cały w Kownie, co gorsza – bezczynny, bo ani na uniwersytecie, ani nawet w Trybunale żadnych zajęć nie ma. W Trybunale ani prezesa Kriščiukaitisa, ani Janulaitisa nie ma – obaj są na urlopie; posiedzeń przeto żadnych nie będzie, ale w każdym razie musi ktoś dyżurować i reprezentować Trybunał; moja więc rola przez ten miesiąc będzie rolą li tylko dyżurującego: będę spędzał codziennie jakąś godzinę w Trybunale, żeby ewentualnie przyjąć jakiegoś interesanta, gdyby się ktoś zgłosił, będę przeglądał pocztę codzienną, notował rezolucje o ruchu spraw i podań napływających, podpisywał za prezesa papiery

ekspediowane z kancelarii trybunalskiej. Oto będzie cała moja czynność. Mam jeszcze kilka zaległych przedwakacyjnych wyroków do umotywowania – i to już wszystko. Jedyna poza tym robota, którą mam w Kownie na ten miesiąc – to praca literacka dla szawelskiego wydawnictwa zbiorowego encyklopedycznego o Litwie. Za kilka dni trzeba się będzie do tego zabrać. Ale się lenię brać do pracy. Upały szalone, które się rozpoczęły od kilku dni, jakby wynagradzając chłody czerwcowe, nie usposabiają do pracy sprężystej. Chce się „kejfu" i podróży, wrażeń. Wczoraj i dziś upał doszedł w Kownie do punktu kulminacyjnego, ale już dziś przed wieczorem zięba się odezwała na deszcz, koguty pośpiewały trochę na zmianę pogody, słońce zachodziło w chmurach, a po zachodzie powietrze się trochę ostudziło i lekki deszczyk pokropił. Może upał ustanie. Ludzi tu tymczasem nie widuję wcale i nie stykam się z nimi. Jakie są nowiny i anegdoty w świecie politycznym – nie wiem. Gazety litewskie rozpisują się o sprawie Kłajpedy, której losy i decyzje ważą się na konferencji w Paryżu. W Litwie prowadzi się kampania przeciwko niektórym warunkom, które Paryż chce narzucić w sprawie Kłajpedy, dotyczącym zwłaszcza zastrzeżeń o umiędzynarodowienie Niemna i ustanowienie mieszanego zarządu portu w Kłajpedzie z udziałem Polski i przedstawicieli Ententy. Co do nowego gabinetu ministrów, który, nawiasem mówiąc, zbudowany został istotnie na koalicji z ludowcami, to charakterystycznym jest zwrot rządu do złagodzenia konfliktów narodowościowych i zadowolenia mniejszości narodowych. Incydent ostrego zatargu z Żydami, streszczony w osobie Fridmana w poprzednim gabinecie, został zlikwidowany nominacją kandydata narodowego Żydów, starego Rozenbauma, na stanowisko ministra do spraw żydowskich. W deklaracji nowego gabinetu zapowiedziane jest rozwinięcie ustawowe zasad autonomii personalnej mniejszości narodowych, zadeklarowanych w Konstytucji. To oraz zapewnienia Gałwanowskiego w rozmowach z posłami polskimi, że oczywiście zasady autonomiczne muszą ująć i ludność polską Litwy, dało satysfakcję Polakom, którzy łącznie z Żydami poparli nowy gabinet koalicyjny. Słowem, chwilowo Sejm i rząd stanął pod znakiem „kochajmy się!", co oczywiście było szczególnie pożądane dla wzmocnienia stanowiska rządu na zewnątrz w pertraktacjach paryskich o Kłajpedzie.

9 lipca, rok 1923, poniedziałek
Wstąpiłem dziś do uniwersytetu po moją pensję miesięczną. Materialnie niedużo wygrałem na awansie z docenta na profesora nadzwyczajnego. Różnica pensji wynosi 50 litów miesięcznie, a dla mnie – ponieważ moja praca na uniwersytecie liczy się tylko za dodatkową (zasadniczą jest moja posada w Trybunale) i jest płatną tylko w połowie pensji – różnica ta będzie wynosić tylko 25 litów. Jednocześnie dowiedziałem się w kancelarii uniwersytetu o warunkach otrzymania paszportu na wyjazd za granicę. Na wiosnę Rada Wydziału Prawniczego na moją prośbę umieściła mię na liście delegowanych za granicę dla celów naukowych. O subsydium nie prosiłem, bo w istocie jadę dla własnej rozrywki bez zamiaru studiów specjalnych, ale chodziło mi o paszport i wizy cudzoziemskie bezpłatne. Tymczasem w czerwcu Ministerium Oświaty odmówiło wydania paszportów urzędowych delegowanym za granicę przez wydziały, a wreszcie po długich targach i pertraktacjach uzależniła wydawanie takich paszportów od złożenia szczegółowego planu zamierzonych za granicą prac. Trudno mi złożyć taki plan, gdy jadę w innym celu. Otóż dowiedziałem się teraz, że zamiast paszportów urzędowych wydawane są przez uniwersytet świadectwa o wydelegowaniu danego profesora za granicę; za świadectwami tymi wydział paszportowy wydaje paszport bezpłatnie, ale czy to będzie wystarczało dla konsulatów zagranicznych dla bezpłatnego wydania przez nie wiz – tego nie wiem. Kwestia zaś płatności wiz dużo stanowi, bo może tu chodzić o paręset litów różnicy. Być więc może, że zamiast wybierania

paszportu tą drogą udam się do Tumenasa, który jest obecnie ministrem sprawiedliwości i który w rozmowie ze mną w sobotę wspominał, że o ile z uniwersytetu ułatwienia paszportowego nie otrzymam, to ewentualnie on mi przez Ministerium Sprawiedliwości wyrobi paszport urzędowy; paszporty zaś urzędowe są od wiz wolne. Przyszło mi dziś na myśl zwiedzić w toku tej mojej sierpniowej wycieczki zagranicznej także Holandię, której nie znam, zamieniając nią Gdańsk. Do świadectwa, wydanego na uniwersytecie, wpisałem prócz Francji i Szwajcarii – Holandię. Ale Gdańsk nęci mię także, zwłaszcza gdy mi dziś p. Maria Micewiczówna opowiadała o Gdańsku i wabiła perspektywami jazdy z Pilawy morzem lub aeroplanem z Królewca do Gdańska. O jeździe aeroplanem od dawna marzę. Co by to była za rozkosz! Spotkałem się dziś i rozmawiałem przez czas dłuższy z p. Marią Micewiczówną, potem z Kamilką Römerówną, z Julkiem Komorowskim. Micewiczówna właściwie nie jest już Micewiczówną, bo od roku jest zamężną. Zdaje się, że jej mąż nazywa się Masalski. Nie znam go. Micewiczówna wyszła za niego w Polsce, dokąd stale jeździ, zaglądając do Litwy tylko od czasu do czasu przez wzgląd na swój mająteczek Romejnie, aby go nie stracić. O tym małżeństwie wiem od niej pod największym sekretem, bo kryje się ona z tym w Litwie, aby nie stracić praw obywatelstwa litewskiego. Micewiczówna jest jedną z tych istot w społeczeństwie Polaków litewskich, które są na wylocie z kraju. Istot takich są w tym społeczeństwie naszym całe legiony. Są to ludzie, którzy całą duszą swoją są w Polsce i z Polską są wyłącznie całą treścią psychiczną związani. Jeżeli dla pewnych względów majątkowych, które stały się dla nich kulą u nogi, zmuszeni są choć czasowo przesiadywać w Litwie, to odczuwają to jako nieszczęście, bo się tu czują jak w klatce i jak w niewoli. Są to już całkowicie ekspatriowani z Litwy ludzie, których stąd wysysa pompa polska. Ile mogą, likwidują tu swoje interesy i umykają. Powstanie państwa polskiego i litewskiego i rozdział między Litwą a Polską ogromnie wzmógł dyferencjację narodową polsko-litewską u nas i zaakcentował prąd w kierunku wyplenienia z Litwy pierwiastków kategorycznie polskich. I polityka litewska działa w tym kierunku, i same pierwiastki polskie samorzutnie dążą ku temu. Na razie były one skłonne do działań spiskowych na rzecz spojenia państwowego Litwy z Polską, a gdy do tego nie doszło, likwidują się i odpływają do Polski. To, co po ich odpływie pozostanie w kraju, to dopiero się skonsoliduje w społeczność Polaków litewskich jako rdzenny element krajowy i to z czasem znajdzie *modus vivendi* z Litwinami we wspólnym państwie.

10 lipca, rok 1923, wtorek
Józef Piłsudski – w tych czasach, gdy usiłował on realizować swój program federacyjny polityki wschodniej – zdobył tu wśród Polaków litewskich wielu gorących i wiernych adeptów, przywiązanych legendarnie do imienia jego. W ich liczbie znaleźli się zarówno tacy, którzy pojęli jego program federacyjny i przywiązali się do niego, szukając w nim pogodzenia konieczności państwowych Litwy narodowej z państwowością Polski, do której ciągnęły ich sympatie i tradycje kultury, jak skądinąd i ci, którzy w gruncie rzeczy są bardzo dalecy od ideałów Piłsudskiego i którzy na gruncie polskim byliby nieraz zajadłymi endekami i wściekłymi Piłsudskiego wrogami; ci ostatni, nie ceniąc wcale państwowych Litwy narodowej konieczności i negując wszelkich w tym względzie aspiracji prawowitość historyczną, garnęli się do imienia Piłsudskiego nie dlatego, że w jego programie federacyjnym była uwzględniona, aczkolwiek w podrzędnej roli służebnej, państwowość Litwy, ale li tylko dlatego, że w Piłsudskim węszyli czyn, który Litwę tak czy inaczej na rzecz Polski zagarnie; nie troszczyło ich zbytnio to, co się po tym zagarnieniu stanie, bo byli przekonani, że ewentualne formułki federacyjne, salwujące jakiś cień państwowości litewskiej, nie

ostoją się i zostaną pochłonięte mocarstwowo przez Polskę. Co ich do Piłsudskiego rwało, to wiara w jego moc czynu, słowem, w to, że wcześniej czy później przesądzi on spór litewsko-polski mieczem polskim, że wkroczy do Kowna i na Żmudź na czele Legionów. Dla tej kategorii ludzi w Piłsudskim był ceniony nie jego program i nie jego ideał, lecz jego szaleństwo awanturnika, jego patos faktów dokonanych czynami bezpośrednimi. Z różnych więc motywów szerzyła się tu wśród Polaków miejscowych wiara w Piłsudskiego, jego legenda i nimb. Piłsudczykami była tu większość ludzi usposobionych wszechpolsko. Rzadko się spotykał tutaj wróg Piłsudskiego w kołach nacjonalistów polskich. Jeżeli się tacy trafiali, to byli to najczęściej ludzie, którzy świeżo wrócili z Polski i tam na państwowym gruncie polskim nasiąknęli klasycznymi aspiracjami endeckimi wraz z nienawiścią do tej ideologii polskiej, która się streszcza w imieniu Piłsudskiego. Ci jednak wielkiego powodzenia w szerzeniu tu tych nastrojów nie mieli, nawet wśród tych, którym ideologia społeczna i narodowa endecji była bliższą od ideologii Piłsudskiego. Nie o ideologię im bowiem chodziło, ale o czyn zbrojny państwa polskiego na Litwie, a czyn taki wyrażał Piłsudski, podczas gdy endecja reprezentowała w Polsce metodę powolnych osiągań dyplomatycznych i politycznych, wprawdzie ścisłych i konsekwentnych, ale przewlekłych i stopniowych. Metoda endecji była w Polsce racjonalistyczna, metoda Piłsudskiego – czynna. O ten czyn im chodziło. Nie bali się jego konsekwencji w duchu aspiracji Piłsudskiego; byli o te konsekwencje spokojni, byle tylko stanął w Kownie i na Żmudzi żołnierz polski, choćby to był żołnierz marszałka Piłsudskiego. Tutejsi nacjonaliści polscy tego pokroju wiedzą dobrze, że Polska, choćby PPS-owska w Warszawie, będzie się tu na Litwie opierała nie o żywioły rewolucyjne, jeno o te czynniki społeczne, które są ideologicznymi odpowiednikami endecji w Warszawie i że oręż polski w Litwie służyć będzie im, a nie komu innemu i wyzyskany będzie na rzecz tych prądów, które dyktuje sama natura układu społeczno-narodowego w kraju, a nie jakieś marzenia szlachetne salonowych głów warszawskich. Byli więc spokojni o skutki i czekali czynu Piłsudskiego. Zaiste Polska ludowa może być przyjaciółką i sojusznicą Litwy, ale tylko wtedy, jeżeli przestanie panować na Litwie lub zrzecze się tego panowania, co jest najtrudniejsze do osiągnięcia. Polska bowiem panująca na Litwie – nie będzie tu ludową; panowanie Polski na Litwie jest, będzie i byłoby społecznie reakcyjnym. Toteż nasze tutejsze reakcyjne elementy polskie „orientacji" Piłsudskiego trzymają z nim i wierzą w niego dla jego czynu. Przynajmniej trzymały i wierzyły, dopóki on nie upadł.

11 lipca, rok 1923, środa
Tak, to jest faktem, że Piłsudskiego popularność i legenda była powszechniejsza w świadomych narodowych kołach polskich Litwy, niż w samej Polsce. I co ciekawsze, to to, że w Polsce popularność ta była silniejsza w elementach ludowych, stygnąc ku górze i ginąc a przeradzając się w nienawiść, podczas gdy wśród Polaków litewskich, przynajmniej w niepodległej części Litwy, była ona najsilniejszą właśnie w elementach szlachecko-ziemiańskich, gasnąc u dołu w nieświadomości.
Teraz – może chwilowo – zwyciężyła w Polsce endecja. Ster rządu przeszedł w ręce Witosa i endecji. Piłsudczycy, którzy od początku powstania Polski stali u steru jej polityki, aczkolwiek byli zmuszani do wielu kompromisów i odstępstw, zostali strąceni do opozycji. Polityka zagraniczna została przez Witosa oddana endecji. Piłsudski ustąpił. Może się jeszcze dźwignie do władzy, ale na razie jest „utrącony". Że polityka Polski będzie teraz w ręku endeków szczersza – to fakt. Alians francuski i front przeciwko Niemcom ze wszystkimi tego momentu konsekwencjami są właśnie wyrazem logicznym ideologii endeckiej. Wprawdzie to samo robił Piłsudski, bo to było w tej chwili koniecznością Polski, ale w istocie robił to wbrew woli, wbrew wierze

swojej, wbrew najgłębszym swej polityki założeniom. Bo w założeniu kierunek Piłsudskiego był germanofilski, a zwrócony natomiast ostrzem nieubłaganym przeciwko Rosji. Punktem centralnym i zasadniczym kierunku Piłsudskiego była jego polityka wschodnia, oparta na hasłach federacyjnych w stosunku do ludów litewsko-ruskich. Zorganizowanie Wschodu europejskiego od morza do morza pod sztandarem mocarstwowym federacyjnej Polski przeciwko znienawidzonej Rosji, Rosji nie tylko petersburskiej, ale i moskiewskiej – taką była stała wola Piłsudskiego. Chociaż nie mógł on jej wykonać, bo czyn jego w tym kierunku fatalnie się w układzie sił międzynarodowych załamał i polityka ta w r. 1920 tragicznie zbankrutowała, a Polska Piłsudskiego nawrócić musiała z żelazną koniecznością do roli, wyznaczonej jej konsekwencjami Wielkiej Wojny, ze zwróceniem ostrza przeciwko Niemcom i przesunięciem punktu ciężkości na zachód, pochłaniając i asymilując skrawki ziem „wschodnich", nabytych Traktatem Ryskim i wyrzekając się organizacyjnie tychże, to jednak Piłsudski poddał się temu nieszczerze i nie wyrwał ani na chwilę z serca swej wiary i swej woli zasadniczej, utrzymywanej przezeń z uporem Litwina. Tu są źródła tragizmu Piłsudskiego w ostatnich latach – po zakończeniu Wielkiej Wojny. Piłsudski wykonywał w pełni swój Czyn – przez ciąg wojny, przez ruch strzelecki i Legiony r. 1914, przez Magdeburg w r. 1917, przez wygnanie okupantów w listopadzie 1918, wreszcie przez wojnę polsko-rosyjską do Kijowa włącznie. Wtedy był on sobą, wtedy tworzył on dzieło swoje. Wprawdzie już od wczesnych początków r. 1919 dają się dostrzec pewne załamania w tej jego akcji, spowodowane przez czynniki przeciwne i kompromisowo przez Piłsudskiego wplatane w jego Czyn, i wprawdzie z chwilą, gdy Piłsudski dotknął ziem litewsko-ruskich w tymże roku, zaczęły się już ujawniać skazy w jego własnej ideologii w problemie wschodnim, czyniące jego dzieło wadliwym, a płynące z braku uświadomienia przezeń żywych procesów ludowych i społeczno-narodowych tych ziem i z operowania pojęciami, które już się we współczesnej formacji tych ziem przeżywają lub przeżyły, ale jeszcze Piłsudski tu był sobą, jeszcze był on panem sytuacji. Katastrofa jego polityki datuje się od r. 1920. Odtąd Piłsudski traci panowanie nad sytuacją i czynem swoim służy temu, w co nie wierzy i czego nie pragnie. Afera Żeligowskiego była ostatnią próbą na większą skalę przeforsowania jego linii i skończyła się ona zwycięstwem nie jego, lecz zasady przeciwnej: doprowadziła do aneksji Wilna, do stopienia dzieła wileńskiego w rozczynie endeckiej polityki Grabskich. Kto miał oczy – ten już w r. 1920, a nawet w r. 1919 widział, że to się tym skończyć musi, jeżeli panowanie polskie się ostoi i że Piłsudski wykonywa dzieło endecji, choć je wykonywa nieszczerze, łudząc się, że to jest jeszcze jego dawny czyn. Bo Piłsudski ma jeszcze to do siebie, że wystarczy chcieć, aby rzeczy wbrew logice poszły w pewnym kierunku. Zaiste – chcieć to móc, ale trzeba, aby czyn odpowiadał chceniu. Piłsudski zaś w kulcie woli czy chcenia odważył się pójść tak daleko, że zdało mu się, iż wystarczy chcieć robiąc rzecz przeciwną chceniu. I zwyciężała logika czynienia nad linią chcenia.

12 lipca, rok 1923, czwartek

Jakie będą teraz uczucia Polaków w Litwie wobec ustąpienia Piłsudskiego w Polsce, dokonanego w ostatnich czasach? Ze spostrzeżeń moich mam wrażenie, że liczni nasi tutaj gorliwcy Piłsudskiego, którzy czcili go i wierzyli w niego li tylko dlatego, że sądzili, iż on mieczem polskim przesądzi spór polsko-litewski na rzecz „związku" Litwy z Polską, a którzy w istocie są bardzo dalecy od ideałów, tkwiących w założeniu ideologii federacyjnej programu Piłsudskiego i duchowo najbardziej pasują do endeków – bardzo szybko zapomną o Piłsudskim i wyzbędą się swego kultu dla niego. Bo Piłsudski w opozycji, bez władzy, bez perspektyw czynu zbrojnego polskiego na Litwie

– jest dla nich niczym. Z chwilą, gdy z imieniem Piłsudskiego przestają się łączyć nadzieje inwazji zbrojnej polskiej, imię to jest dla tego gatunku adeptów martwym dźwiękiem. Nie przestaną oni wprawdzie wierzyć w zabór Litwy przez Polskę, dlatego że zaboru tego pragną, a niepodległość Litwy uważają li za element intrygi i groźnego niebezpieczeństwa pochłonięcia jej przez Niemcy lub Rosję, ale odtąd te ich pierwiastki wiary emancypują się od uroku imienia Józefa Piłsudskiego. Poza tym wszakże gatunkiem adeptów Piłsudskiego w obozie polskim w Litwie są jeszcze adepci inni – piłsudczycy z krwi i kości, piłsudczycy z najgłębszych tęsknot ducha. Są oni mniej liczni od pierwszych zwłaszcza w sferach ziemiańskich, ale są gorętsi i ofiarniejsi. Ci, jak Piłsudski, nie są zwolennikami aneksji i bezwzględnego zaboru Litwy przez Polskę; pokutuje w nich jeszcze stara ideologia litewsko-szlachecka, która wyczuwa odrębność Litwy, ale tylko Litwy solidarnej z Polską, Litwy, że się tak wyrażę – jagiellońskiej, wrosłej organicznie w wielki system „Rzeczypospolitej od morza do morza"; są oni do takiej Litwy przywiązani i kochają ja jak kocha Piłsudski, to znaczy bodajże bardziej niż Polskę; Litwa ludowa i litewska, ta, która się stała w wieku XIX i XX i dziś niepodległość swą wykuwa, jest dla nich zaprzeczeniem tamtej Litwy, którą oni ukochali i której legendy z serca swego i świadomości wykreślić nie zechcieli, a skorygować i uzgodnić z nową nie zdołali. Jak dla Piłsudskiego, tak dla nich Polska nie jest wartością bezwzględną i kochaną sama w sobie, jeno jest narzędziem i czynnikiem, który pokona tę nową „sfałszowaną" Litwę i odtworzy, odrestauruje dawną, kochaną jagiellońską Litwę. Wierzą naiwnie wespół z Piłsudskim, że Polska to dokonać może, zechce i musi. I jak Piłsudski w imię tej wiary czynił fakty dokonane polskie, które wprawdzie istotnie niszczyły nową Litwę, ale też bynajmniej nie odtwarzały tej, która już przez życie została przekształcona i w swej dawnej postaci umarła, a Polska na czynach Piłsudskiego ani śniła odtwarzać jakiejś Litwy, jeno po prostu pochłaniała i anektowała zdobyte terytoria receptą nacjonalistyczną – tak Piłsudskiego tego pokroju adepci w Litwie wciąż wierzyli, tęsknili i wierzyli, że Piłsudski jest geniuszem tej litewskiej misji Polski i że przez niego dokona się zbawienie i cud wskrzeszenia Polsko-Litewskiej Rzeczypospolitej, która nie będzie ani Polską endecką, ani Litwą obecną. Dla tego pokroju piłsudczyków polsko-litewskich upadek Piłsudskiego i triumf endecji, opartej o Witosa w Polsce – to cios i klęska. Z rzadka zdarza się tu spotykać takich ludzi. Mówię im, że ze względu na Litwę i na jej stosunek do Polski wolę panowanie w Polsce endecji, niż Piłsudskiego. Tak, wolę, mimo że ideowo Piłsudski jest mi bliższy, niż endecja i że był czas, kiedy w litewski program Piłsudskiego wierzyłem i gotów mu byłem współdziałać. Ta, wolę, bo polityka endecji jest szczersza i prostsza; endecja jest sobą i idzie do celu prosto; jest ona też realną. Prędzej by się były ułożyły stosunki Litwy z Polską, gdyby panowała endecja, a nie Piłsudski. Nikt takiej przepaści między Litwą a Polską nie wykopał, nikt takiej głębi nienawiści obustronnej czynami swymi nie spowodował, jak właśnie on, miłośnik starej Litwy – Józef Piłsudski, który chwilami dla miłości swego snu o Litwie nienawidzi Polski. To jest dramat i przekleństwo Piłsudskiego. Chciał czego innego, a robił to, czego chciała endecja. Litewska polityka Piłsudskiego była podobna do postępowania Marii-Teresy w czasie rozbiorów Polski: płakała i złorzeczyła gwałtowi, litowała się nad krzywdą, ale brała. Wolę Fryderyka Pruskiego, który brał, bo chciał brać.

13 lipca, rok 1923, piątek
Sędzią Trybunału mianowany został Čepas, kandydat forytowany przez naszego prezesa Kriščiukaitisa. dziś – pismem ministra sprawiedliwości – Trybunał został o tej nominacji powiadomiony urzędowo. Janulaitis, który bawi w Połądze na urlopie, nie wie jeszcze o tym, ale obawiam się, że zareaguje on na tę nominację dymisją.

Zapowiadał on kategorycznie przed wakacjami, że o ile będzie mianowany ktokolwiek bądź inny, niż Ciplijewski, którego kandydatura została dwukrotnie przez Trybunał uchwalona, on się manifestacyjnie z Trybunału usunie. Teraz się to stało, zaś Janulaitis należy do ludzi stanowczych. Szkoda będzie, jeżeli się wycofa, bo jest to umysł żywy, człowiek charakteru, głowa dobra, sędzia i prawnik zdolny, choć może zanadto gorący i namiętny. Co do Čepasa, to przeciwko niemu osobiście ani ja (nie znam go zresztą), ani Janulaitis nie mamy tych zarzutów, któreśmy mieli przeciwko Kalnetisowi. Chodzi tylko o zasadę, o to, że kandydatem, uchwalonym przez Trybunał, jest Ciplijewski. Przed wakacjami Janulaitis usiłował i mnie przekonać o konieczności podania się do dymisji, jeżeli będzie mianowany nie Ciplijewski. W jesieni istotnie byłem tego zdania, że mianowanie sędzią w Trybunale kogo bądź innego niż kandydata, uchwalonego przez Trybunał, jest zmaltretowaniem Trybunału, na które jedyną odpowiedzią może być dymisja. Z zasadą taką byłem oswojony w sądownictwie polskim, w którym wybór kandydata przez kolegium sądowe jest bezwzględnie szanowane przez czynniki, od których formalny akt nominacji zależy. Teraz wszakże umitygowałem się. Co kraj – to obyczaj. Ani konstytucja, ani specjalna ustawa o organizacji sądownictwa w Litwie nie określiła dotąd metody kompletowania sądów w ogóle i w szczególności Trybunału. Specjalnej ustawy o organizacji sądownictwa dotąd nie ma. Będzie musiał być wydaną i wtedy będzie już wiadomym tryb mianowania sędziów najwyższego organu sądowego. Działająca zaś prowizorycznie tymczasowa ustawa o sądownictwie litewskim nadmienia głucho, że sędziów Trybunału (i sądów okręgowych) mianuje Prezydent Rzeczypospolitej. Czy wszakże kolegium trybunalskie ma jakiś udział legalny w ustalaniu kandydatur osób do nominacji i jeżeli ma, to jaki – o tym ustawa tymczasowa milczy, a stare ustawy rosyjskie, które subsydiarnie są czynne, też nie są pod tym względem wyraźne, bo *primo* nie wiadomo, czy do trybunału maja być stosowane pod tym względem przepisy o b. Senacie rosyjskim, czy o b. Izbach Sądowych, ponieważ trybunał w pewnej mierze zastępuje b. Senat i w pewnej – b. Izby, a przepisy odnośne dla Senatu i Izb są różne, *secundo* zaś – w Rosji zawsze wola cara jako nieograniczonego zwierzchnika państwa w nominacjach nie była ograniczona żadnymi zastrzeżeniami wyboru kolegialnego kandydatów. Słowem, ścisłego gruntu prawnego dla domagania się nominacji kandydata uchwalonego przez Trybunał dotąd nie ma. Pod tym względem trzeba zaczekać na ustawę. Może ona przyzna w tym względzie jakieś prawa Trybunałowi, co, moim zdaniem, byłoby pożądane, a może i nie. Kategorycznie więc dzisiaj opierać się na formalnym gruncie uchwały Trybunału co do osoby kandydata nie można, w każdym zaś poszczególnym wypadku nominacji trzeba ustalić swój stosunek do nominacji *ad hoc*. Inna była sytuacja przy nominacji Kalnetisa i inna dziś – przy nominacji Čepasa. Tam były dwa momenty szczególne, które czyniły dla nas nominację Kalnetisa nie do przyjęcia i całkowicie usprawiedliwiały naszą z Janulaitisem kategoryczną opozycję: 1. to, że byliśmy zasadniczo przeciwni samej osobie Kalnetisa, podczas gdy w stosunku do Čepasa to nie zachodzi i 2. to, że o kandydaturze Kalnetisa, który sam się był na to stanowisko zaproponował, byliśmy z góry powiadomieni urzędowo i kandydaturę tę odrzuciliśmy, o czym minister Karoblis był przez naszego prezesa powiadomiony; jeżeli więc się do nas zwrócono z zapytaniem o kandydaturze Kalnetisa i myśmy udzielili odpowiedzi ujemnej, to mianowanie go nas dotykało: albo nie należało się do nas wcale zwracać, albo należało się do naszej odpowiedzi zastosować; inaczej było to jawnym lekceważeniem nas. Z Čepasem tego nie było. Różnica więc jest w tych dwóch nominacjach wielka. Swoją drogą, gdym się dziś o nominacji Čepasa dowiedział, to choć nie byłem zdecydowany do takiej opozycji, jak poprzednio w stosunku do Kalnetisa i jak mię Janulaitis

przekonywał, jednak uważałem, że z pewnych względów nie zachowano należnych Trybunałowi względów, ale o tym już jutro.

14 lipca, rok 1923, sobota
Chociaż więc teraz chłodniej patrzę na nominacje, nie uwzględniające wniosków w tym względzie Trybunału i uważam, że jednak trzeba robić różnicę między nominacją Čepasa, przeciwko któremu osobiście nic nie mamy, chociaż formalnie nie jest on naszym kandydatem, a nominacją Kalnetisa, przeciwko któremu we właściwym czasie oponowaliśmy formalnie, to jednak, gdym się wczoraj dowiedział o mianowaniu Čepasa, poczułem pewną niestosowność formy, w jakiej to zostało dokonane. O kandydaturze jego było nam prywatnie wiadomo; o ewentualności tej nominacji rozmawialiśmy między sobą prywatnie w Trybunale nieraz. Prezes Kriščiukaitis bardzo pragnął jej, Janulaitis, nie mając nic przeciwko osobie Čepasa, nastawał jednak na konieczności mianowania kandydata uchwalonego przez Trybunał, to znaczy Ciplijewskiego, zastrzegając, że w przeciwnym razie poda się do dymisji, ale zaznaczając zarazem, że o ile Ciplijewski będzie mianowany, to on, Janulaitis, chętnie poda głos i za Čepasa dla następnej nominacji; co do mnie, to szukałem wyjścia pośredniego, które dałoby możność zlikwidowania konfliktu ku zadowoleniu obydwóch stron; najlepszym byłoby mianowanie obu – i Ciplijewskiego, i Čepasa; dałoby to i formalną satysfakcję Trybunałowi w konflikcie, który się wytworzył, i Čepasa by się nie straciło ani też Janulaitisa; ale choć ze względu na przyrost pracy w Trybunale mianowanie dwóch nowych sędziów jest nawet konieczne, jednak mianowanie dwóch naraz jest na razie niewykonalne, bo stosownie do etatu wakans jest tylko jeden, a stworzenie drugiego jeszcze wakansu w etacie musi być dopiero uchwalone przez Sejm. Liczyłem jednak, że rzecz da się może załatwić w ten sposób, że po ustąpieniu ministra Karoblisa można będzie przez naszego prezesa uzyskać od nowego ministra sprawiedliwości zapewnienie, że mianując na razie Čepasa, którego trzeba dla sądownictwa pozyskać, przy następnej kolejnej nominacji uwzględni się kandydaturę Ciplijewskiego, uchwaloną przez Trybunał; słowem – że łącznie z nominacją Čepasa da się Trybunałowi wyjaśnienie, iż nominacja ta nie oznacza jakiejś chęci bagatelizowania uchwały Trybunału i nieliczenia się z wystawioną przezeń kandydaturą. Choć Janulaitis twierdził, że takie zapewnienie go nie zadowoli, to jednak przecież mógłby się bodaj znaleźć sposób załagodzenia sytuacji. Tymczasem stało się inaczej. O kandydaturze Čepasa urzędowo nawet nie zawiadomiono Trybunału; nie zasięgnięto opinii Trybunału, nie spróbowano znaleźć wyjścia kompromisowego, które by wykazało pewne liczenie się z Trybunałem w przedmiocie nominacji trybunalskich; po prostu postawiono Trybunał wobec faktu dokonanego i basta. Udałem się więc zaraz wczoraj do ministra sprawiedliwości Tumenasa, by z nim tę rzecz prywatnie omówić, polegając na naszym stosunku osobistym. Tumenas bardzo uważnie mię wysłuchał, ale, niestety, stanowisko jego w tej kwestii jest wręcz przeciwne od mego. Przede wszystkim – co nie należy zresztą do jego stanowiska zasadniczego – uważa on, że w sprawie nominacji Čepasa nie może być mowy o zaskoczeniu tym faktem Trybunału znienacka; kandydaturę Čepasa zgłosił osobiście sam prezes Trybunału Kriščiukaitis, który, jak się okazuje, sam przyniósł i doręczył ministrowi podanie Čepasa, popierając je; nie może zatem minister uważać, że to się stało bez wiedzy Trybunału, bo wszak prezes reprezentuje Trybunał na zewnątrz. Ha, to racja. Gdybyśmy teraz i mieli pretensję, to moglibyśmy ją mieć tylko do naszego prezesa, że on pozwala sobie na własną rękę forsować protegowane przezeń kandydatury, nie porozumiawszy się dokładnie kolegialnie z Trybunałem albo nawet wbrew uchwalonym przez Trybunał kolegialnie kandydaturom. Ale niezależnie od tego Tumenas kategorycznie jest zdania, że

nominacja sędziów Trybunału jest li tylko prerogatywą mianującego Prezydenta Rzeczypospolitej łącznie z ministrem sprawiedliwości, który przedstawia kandydatów do nominacji i kontrasygnuje akt nominacji. Przedstawianie kandydatów przez Trybunał jego uchwałą kolegialną jest dopuszczalne, ale w żaden sposób wiązać nie może czynników, do których należy nominacja. Taka jest teza Tumenasa. Ze stanowiska ustaw tymczasowo obowiązujących tak jest istotnie, ale skądinąd w krótkiej praktyce litewskiej dotychczasowej przyjęta była faktycznie droga zwracania się do Trybunału. Moja nominacja w r. 1921 opierała się na wyborze Trybunału, w jesieni r. 1922 też się do Trybunału zwrócono o wybór kandydata, proponując Kalnetisa, a choć po odrzuceniu przez Trybunał kandydatury Kalnetisa i uchwaleniu Ciplijewskiego mianowano Kalnetisa, to jednak wywiązał się z tego konflikt, zakończony rezygnacją Kalnetisa. Skoro czynniki rządzące nie uważają uchwały Trybunału w tym względzie za miarodajną, to oczywiście, dopóki będzie trwać taki stan prawny, na przyszłość ja przynajmniej w uchwałach takich wcale głosować nie będę, bo uważam za kompromitację Trybunału uchwalać rzecz, z którą się liczyć nikt nie będzie. Stanowisko Tumenasa, które sankcjonuje całkowitą zależność nominacji najwyższych sędziowskich od czynników politycznych, wydaje mi się niebezpieczne. Tą drogą posady w Trybunale mogą się stać środkiem rekompensaty rozmaitych „zasłużonych”, eksministrów, których nie ma gdzie podziać lub lokata dla faworytów.

15 lipca, rok 1923, niedziela
Upały nie ustają. Najgorętszy czas wypada na mój pobyt w Kownie. Ale tez rozleniwiłem się na potęgę tym razem. W ciągu kilku dni ubiegłych wykończyłem motywację kilkunastu zaległych przedwakacyjnych wyroków i w Trybunale nie będę już miał nic więcej do roboty poza przeglądaniem codziennym poczty. Do pracy zaś nad artykułem do szawelskiego wydawnictwa encyklopedycznego nie zabrałem się jeszcze. Co prawda, niewiele mi już zostaje pobytu w Kownie: za jakieś dwa tygodnie lub cokolwiek więcej wyruszę już w moja podróż. Przez ten czas nie zdążę już wykończyć tej pracy, bo jeszcze i materiału statystycznego do niej nie mam. Dlatego też nie bardzo się śpieszę z rozpoczynaniem jej i folguję lenistwu. Zamierzam wprawdzie zacząć ją przed wyjazdem i napisać przynajmniej część wstępną, ale ciągle jeszcze odkładam początek.
Marze teraz o mojej podróży sierpniowej i w szczególności zapaliłem się do projektu przejażdżki aeroplanem. Rozpocząłbym podróż od aeroplanu, udając się nim z Kłajpedy do Królewca. Strasznie się rwę do tego i jeżeli tylko jazda aeroplanem okaże się dostępna dla kieszeni mojej i w ogóle okaże się wykonalną, to na pewno jej spróbuję. A z Królewca, czyli raczej z Pilawy, pojechałbym dalej kawałek – zapewne do Szczecina – morzem.
Dziś wieczorem byłem z Hektorem Komorowskim w cyrku Salomońskiego. Jest to dawniejszy Cyrk Moskiewski, który obecnie funkcjonuje w Niemczech i debiutuje w różnych miastach państw bałtyckich – poprzednio był w Rydze, teraz od dwóch miesięcy w Kownie. Zespół artystów cyrkowych, liczna i ładna stajnia, staranny program, urozmaicony i często odświeżany, dobre wykonanie – wszystko to czyni ten cyrk bardzo ciekawym i dobrym. Jest to w tej chwili w Kownie jedna z najciekawszych rozrywek.

16 lipca, rok 1923, poniedziałek
Z obrad paryskich, na których się ważą losy Kłajpedy i ostateczna decyzja w przedmiocie zarówno stosunku Kłajpedy do Litwy, jak zwłaszcza rozmaitych zastrzeżeń międzynarodowych na rzecz Polski w porcie kłajpedzkim, wiadomości są

bardzo skąpe. W zakresie stawianych przez czynniki Ententy zastrzeżeń na rzecz Polski i przewidywanych mocnych forsowań tychże prasa i urzędowa opinia publiczna litewska, wyrażana w rozmaitych rezolucjach wieców, zebrań, posiedzeń itd., zajmuje stanowisko radykalnie nieprzejednane. Jak się jednak rozwijają obrady w Paryżu, na jakie kompromisy idzie delegacja litewska z Gałwanowskim na czele i jakie ewentualnie zyskiwane są na Litwie na rzecz Polski kompensaty za jakieś ewentualne zmiany i złagodzenia w zastrzeżeniach kłajpedzkich – o tym agencja telegraficzna litewska nie informuje opinii publicznej. Delegacja kłajpedzka w Paryżu, składająca się tak z Niemców, jak z Litwinów miejscowych, działa, jak wiadomo, ręka w rękę z delegacją państwową litewską. Kierownicze czynniki niemiecko-kłajpedzkie – może nawet niezupełnie w kontakcie z popularnymi niemiecko-kłajpedzkimi nastrojami – popierają akcję państwową litewską w sprawie kłajpedzkiej w opozycji do zastrzeżeń polskich. Tłumaczy się to bardziej instrukcjami, jakie te niemiecko-kłajpedzkie koła kierownicze mają z Berlina w myśl polityki państwowej niemieckiej, która woli powiązanie Kłajpedy, choćby ściślejsze, li tylko z Litwą, niż nałożenie na nią w jakiejkolwiek postaci ręki polskiej; Polski Niemcy się bardziej boją, niż Litwy, a w gruncie rzeczy wszelkie rozstrzygnięcie losów Kłajpedy traktują jako prowizorium, które z czasem rewanż mocarstwowy niemiecki skasuje, restytuując stan przedwojenny, to znaczy odbierając utracone fragmenty terytorium. Że Litwa w Paryżu, nawet przy energicznym i solidarnym poparciu Kłajpedczyków, nie zdoła przezwyciężyć wszystkich forsowanych na rzecz Polski zastrzeżeń i że w najlepszym razie będzie musiała iść na kompromisy i szukać kombinacji pośrednich – to pewne. Chodzi tylko o to, jakie to będą kombinacje i kompromisy i jak je potem opinia publiczna litewska i czynniki polityczne decydujące w kraju przyjmą, bo podług oświadczeń dotychczasowych opozycja przeciwko wszelkim zastrzeżeniom o kompromisom jest bezwzględna. Od dawna chodzą pogłoski, że jednym z wyników rokowań o Kłajpedzie będzie nawiązanie przez Litwę stosunków konsularnych z Polską. Nie będzie to jeszcze pokój formalny z Polską i Litwa nie usankcjonuje wcielenia Wilna do Polski, ale byłoby to już zapoczątkowanie stosunków regularnych w zakresie poczty, komunikacji, handlu. W kowieńskich kołach polskich, które od dawna tęsknią do kompromisu polsko-litewskiego, sprzyjając naturalnie takiej formie kompromisu, która udzieli jak najwięcej przywilejów Polsce, są szerzone pogłoski o nadzwyczajnych prawach, które rzekomo w Paryżu zostały Polsce w Kłajpedzie przyznane, w tej liczbie nawet część portu udzielono rzekomo na port wojenny Polski, zostawiając drugą część tegoż portu pod zarządem komisji mieszanej z udziałem Litwy, Polski itd., czyli że Litwa nie miałaby ani cząstki tego portu do swojego wyłącznego rozporządzenia, a Polska miałaby aż nawet port wojenny. Z tychże źródeł twierdzą, że umiędzynarodowienie Niemna uzupełnione zostało neutralizacją pasa czterokilometrowego po obu stronach Niemna przez całą jego długość. Pogłoski te muszą być przesadne; dają one zapewne miarę nie tyle tego, co jest lub będzie rolą Polski, lecz tego, co Polacy tutejsi pragnęliby widzieć dla spotęgowania autorytetu i potęgi Polski nad Litwą.

17 lipca, rok 1923, wtorek
Zachodził dziś do Trybunału nowo mianowany sędzia Čepas. Jest to człowiek w starszym wieku, tak mniej więcej między 50 a 60 laty. Przedstawił mi się zasięgnął parę informacji, krótko pomówił i wyszedł. Ma rozpocząć urzędowanie od d. 10 sierpnia. Z wrażenia nie mogę o nim sądzić, bo nie wywarł na mnie żadnego wybitnego wrażenia ani w kierunku dodatnim, ani ujemnym. Wiem o nim bardzo niewiele i tylko to, co słyszałem od Kriščiukaitisa, który go bardzo chwali. A więc wiem tylko tyle, że Čepas przed laty przeszło 20 wraz z Kriščiukaitisem i Mačysem służył przez czas jakiś w

sądownictwie w Mitawie, w kancelarii sądu okręgowego; potem przez lat 20 był sędzią w Rosji; ostatnio był w mieście Czycie sędzia okręgowym; jest bezpartyjny, przekonań ma być dość lewych, ale niezbyt jaskrawych; w r. 1917 brał udział w emigranckim zjeździe narodowym litewskim w Petersburgu, zwanym Sejmem i był nawet na razie wybrany przewodniczącym tego zjazdu, lecz nie mogąc podołać przewodniczeniu wobec roznamiętnienia waśni partyjnych ustąpił; ma być człowiekiem spokojnego usposobienia. Więcej na razie nie wiem o nim nic.
Do Janulaitisa, który spędza wakacje w Połądze, już napisałem o nominacji Čepasa, radząc mu i prosząc, aby zaniechał gwałtownego sprzeciwiania się tej nominacji i ewentualnego podania się z tego powodu do dymisji, jak zapowiadał. Wskazywałem mu, że jego niezależność może się jeszcze nieraz na stanowisku w Trybunale przydać i że jego ustąpienie byłoby już z tego względu dużą stratą, tym bardziej, że moje działanie nie może mieć takiej siły, co jego, bo to, że jestem Polakiem, może być zawsze przez czynniki rządowe użyte do osłabienia mię i podkopania mojej wagi. Na ustąpienie nie będzie za późno, gdybyśmy się przekonali, że istotnie czynniki rządowe chcą Trybunał nagiąć do roli posłusznego narzędzia i że my nie możemy temu przeszkodzić.

18 lipca, rok 1923, środa
Miałem list od Maryni z Bohdaniszek. Spotkała ją przykrość, bo na skutek jakiejś fałszywej wiadomości, udzielonej „Žvalgybie” rakiskiej przez jakiegoś włóczęgę bez dokumentów, aresztowanego przez milicję, „Žvalgyba” zarządziła rewizję u Maryni w Bohdaniszkach, połączoną nawet z rewizją osobistą. Włóczęga ten był oświadczył „Žvalgybie”, że z d. 6 na 7 lipca nocował w Bohdaniszkach i że przyniósł do Bohdaniszek trzy listy z Polski, co jest nieprawdą. Zrobiono rewizję u Maryni pod zarzutem należenia do jakiejś „organizacji polskiej”. Nic nie znaleziono, potem jeszcze wzywano ją do Rakiszek dla zbadania i na tym bodaj się rzecz skończyła. Marynia jest zgorszona i oczywiście korzysta skwapliwie ze sposobności, aby się ćwiczyć w modnym wygadywaniu na Litwę, co uchodzi za dobry ton w społeczeństwie ziemiańskim, a co Marynia z zamiłowaniem sportowca uprawia. Zdaje się, że nie tyle doświadczyła przykrości, ile będzie miała zadowolenia z tego gorącego żeru do wygadywania na Litwę i skwapliwego rozpisywania się o tym do wszystkich krewnych i znajomych w Polsce, którym przybędzie argumentu do gorszenia się Litwą i do obłudnej bądź szczerej zgrozy z powodu „prześladowania” Polaków na „Litwie Kowieńskiej”. Znam aż nadto Maryńkę, która jest w gruncie najpoczciwszą osobą pod słońcem, ale ma namiętność plotkarską czy nowiniarską kumoszki i wścibskiej. Wymyślanie na Litwę, popularne w sferze, do której ona należy, jest dla niej sportem, bo w istocie nie ma ona wcale nienawiści do Litwy, jak ma ją większość naszych ziemian. Tylko że Marynia nie ma dla Litwy ani szacunku, ani wiary, natomiast ma głęboki nałóg z czasów jeszcze panowania Rosji do potępiania i pogardzania wszystkim, co ma cechę rządową, a instynkty sportowo-kumoszkowe uzupełniają resztę w związku z podłożem usposobień ziemiańskich, na których tle rozwija się sport Maryni. Oczywiście nie pochwalam gorliwości „Žvalgyby” i uważam wyciąganie takich konsekwencji z jakiegoś zeznania włóczęgi i uczynienie na skutek tego rewizji mieszkania i osoby kobiety spokojnej, osiadłej i znanej za nieposzanowanie gwarancji konstytucyjnych nietykalności osobistej obywateli. O fakcie tym przeto złożę deklarację do ministra wojny, prosząc go o zbadanie działań Žvalgyby rakiskiej w trybie dozoru. Może przecie Žvalgyba rakiska będzie zmuszona do wytłumaczenia się, wobec czego na przyszłość będzie ostrożniejsza i poczuje, że jest kontrola nad jej czynami i w pewnej chwili może się znaleźć wędzidło na samowolę, gdyby granice były

przekroczone. Ale ostatecznie rzecz zbyt straszną i skandaliczną nie jest, a w wielu krajach, nie wyłączając bynajmniej Polski (tam oczywiście nie w stosunku do Polaków), rzeczy się dzieją nie lepsze, a bardzo często i gorsze. Wyciąganie więc stąd specjalnych wniosków li tylko przeciwko Litwie dla zdyskredytowania jej jest tendencyjne, zważywszy zwłaszcza, że Litwa ma pewne podstawy psychiczne dla specjalnego przeczulenia podejrzliwości względem swoich obywateli Polaków.

19 lipca, rok 1923, czwartek
Wieczorem w ogrodzie miejskim spotkałem się z pp. Duszewskimi. Duszewski jest emigrantem białoruskim zamieszkałym w Kownie, należącym ideowo i działalnością do tej grupy, z której się wywodzi tułaczy rząd Białoruskiej republiki Ludowej, to znaczy do grupy, której przywódcą jest Łastowski. Gawędziliśmy z nim długo. Stosunki moje z Białorusinami, którym istotnie sprzyjam szczerze, są od wielu lat, jeszcze z przedwojennych czasów wileńskich, bardzo dobre. Mam mir u nich i zaufanie zupełne, toteż rozmawiają oni ze mną zawsze szczerze. Choć jestem obecnie bardzo daleki od polityki, wiążącej się ze sprawami białoruskimi, jednak Białorusini lubią przy okazji zwierzać mi się ze swoich spraw i trosk politycznych i zasięgać nawet moich porad lub informacji. Dowiedziałem się od Duszewskiego, czego nie wiedziałem dotąd – mianowicie że ustąpienie Wacława Łastowskiego ze stanowiska „prezesa gabinetu ministrów” rządu Białorusiej Republiki, czyli inaczej mówiąc, kierownika akcji niepodległościowej, ujmowanej przez ten „rząd” symboliczny na emigracji, nie było wyrazem rezygnacji Łastowskiego, jeno wynikiem konfliktu, jaki się wywiązał między nim a gronem jego współpracowników w rządzie w osobach zwłaszcza Ćwikiewicza i Zajaca. Duszewski jest stronnikiem Łastowskiego. W jego interpretacji konflikt ten wywiązał się na gruncie dążeń Ćwikiewicza, Zajaca i innych do wyemancypowania się od autorytetu Łastowskiego i do forsowania polityki podług ich własnych pomysłów. Byłby to więc konflikt o wpływy, o osobistą wagę w ruchu. Duszewski nazywa Ćwikiewicza i Zajaca młodymi, zarozumiałymi, lekkomyślnymi i płytkimi, którzy, dopiero się dorwawszy do akcji politycznej, wierzą, że dokonają tego, co się im jeno zechce i którzy muszą wpierw wiele razy się sparzyć i doznać licznych zawodów, zanim się nauczą sztuki politycznej i będą w stanie rzeczywiście kierować akcją. Dziś Ćwikiewicz został formalnie następcą Łastowskiego, ale wątpliwym jest, aby zdołał w tym ruchu zastąpić popularne u Białorusinów i znane imię zasłużonego działacza Łastowskiego. Są to, niestety, zwykłe dzieje rozkładu form państwowych, tworzonych i utrzymywanych sztucznie na emigracji bez realnego bytu państwowego. Nie jest to bynajmniej rozkład ruchu białoruskiego jako ruchu narodowego i państwotwórczego, jeno rozkład jego przedwczesnej niezrealizowanej formy państwowej. Przez ustąpienie Łastowskiego autorytet tego tułaczego „rządu Republiki” będzie się w żywym postępie ruchu, tworzonym nieustannie w kraju, głęboko podkopany.

20 lipca, rok 1923, piątek
Minister sprawiedliwości Tumenas obiecał mi, że paszport zagraniczny urzędowy dla mnie z bezpłatnymi wizami państw obcych, które wskażę, będzie mi wyrobiony. Będzie to bądź paszport dyplomatyczny, bądź paszport na kuriera dyplomatycznego. W każdym razie, jak mnie zapewnił, mieć go będę. Dziś wieczorem na posiedzeniu Rady Ministrów Tumenas, który w zastępstwie Gałwanowskiego pełni obowiązki prezesa gabinetu, rozmówi się w tej sprawie z Klimasem, który zastępuje ministra spraw zagranicznych, ewentualnie przeprowadzi te rzecz przez uchwałę Rady Ministrów. Cieszę się z tego, bo to mi oszczędzi koszt wiz, a zresztą paszport urzędowy jest także z innych względów dogodniejszy w podróży. Za to będę musiał tylko spełnić jakieś

drobne polecenie Ministerium Sprawiedliwości, które bodaj będą się redukowały do zasięgnięcia informacji w sprawie organizacji i funkcjonowania sądownictwa administracyjnego.
Z kół polskich ziemiańskich, których kierownicze elementy polityczne są w tej chwili usposobione w stosunku do państwowości litewskiej kompromisowo, ujawniając skłonność do zastąpienia kierunku wyzywającego ugodowym, szerzone są, jak wspominałem, wersje optymistyczne tak na rzecz Polski w sprawie kłajpedzkiej, jak na rzecz szans porozumienia Litwy z Polską i likwidacji ostrego konfliktu dotychczasowego. Wersje te są szerzone w związku z obradami paryskimi w sprawie Kłajpedy, o których urzędowe źródła informacyjne litewskie zachowują uporczywe milczenie. Jakie idą wersje z tych kół polskich w przedmiocie zastrzeżeń na rzecz Polski w Kłajpedzie – o tym już pisałem. Tu wspomnę o innym elemencie tych wersji. Wspominają mianowicie, że w związku z ewentualnym nawiązaniem stosunków konsularnych Litwy z Polską i pod warunkiem uznania przez Litwę przynależności państwowej Wilna do Polski – Polska byłaby gotowa nawet do odstąpienia Litwie powiatu święciańskiego z udzieleniem jej granicy bezpośredniej z Rosją. Chodziłoby tu oczywiście nie tylko o pow. święciański, bo to by Litwie jeszcze granicy z Rosją nie dało, ale o część północną, narodowo litewską tego powiatu, łącznie z powiatem przynajmniej brasławskim i może częścią powiatu dziśnieńskiego, bo dopiero wtedy Litwa sięgnęłaby Rosji. Do pogłosek o takiej gotowości Polski, a przynajmniej do szans zrealizowania tejże nie przywiązuję konkretnie dużej wagi, bo ponieważ takie ustępstwo terytorialne odcięłoby Polskę od granicy bezpośredniej z Łotwą i przerwałoby komunikację bezpośrednią Polski i w szczególności Wilna z Rygą, to byłoby ono do pomyślenia pod warunkiem nie tylko kategorycznego zrzeczenia się przez Litwę Wilna, ale także ścisłego związku Litwy z Polską, dającego Polsce gwarancję, że Litwa nie wykorzysta tego nabytku terytorialnego przeciwko Polsce i w ogóle że Polska nic na tym nie straci. Tylko w takim układzie stosunków wersje o tych zamiarach Polski mogłyby się stać żywym słowem. W takiej kombinacji nie dziwiłbym się „wspaniałomyślności" Polski, bo Polska by na tym li tylko zyskała. Ustąpienie bowiem Litwie północnej – święciańskiej – części Wileńszczyzny, tej jedynej części, która posiada masową rdzenną ludność litewską, wzmocniłoby posiadanie pozostałej Wileńszczyzny przez Polskę i ułatwiłoby Polsce strawienie drobnych rozsianych pozostałości litewskich w innych częściach dzielnicy wileńskiej – w pow. wileńskim, lidzkim, oszmiańskim i na skrawkach trockiego. Przez Święciańszczyznę litewską Litwa ma ewentualnie największy do Wileńszczyzny dostęp. Wydzielenie z dzielnicy wileńskiej litewskiej Święciańszczyzny wytrąca Litwinom klucz etniczny do tej prowincji i czyni Wileńszczyznę przedmiotem etnicznym sporu li tylko między Polską a Białą Rusią. Toteż kto wie, czy Litwie warto byłoby się kwapić na taki dar Polski. A zresztą ponieważ w obecnych stosunkach bardzo trudno przypuścić, aby Litwa nie tylko się zgodziła na nawiązanie stosunków konsularnych z Polską, ale jeszcze na formalne zrzeczenie się Wilna, a jeszcze tym bardziej na ścisły związek z Polską, więc wersje te na razie żadnych bodaj szans spełnienia nie mają.

21 lipca, rok 1923, sobota
Odwiedziłem dziś w Romajniach-Werszwach pod Kownem p. Marię Micewiczówną, przez która byłem zaproszony. Była to przyjemna wycieczka w moim monotonnym wysiadywaniu letnim w Kownie. Dojechałem do Werszw statkiem po Niemnie, a stamtąd już do Micewiczówny z pół kilometra przez lasek. Wróciłem zaś o zmroku pieszo szosą czerwonodworską przez Słobodę Wiliampolską. Nie mogliśmy się jednak do syta nagadać z p. Marią, bo przyjechał do niej w sprawie wynajęcia jej domku w

Romajniach Górnych miejscowy nadleśniczy rządowy („miškų urėdas"), który się rozgadał i siedział aż do mojego odejścia. Lubię bardzo towarzystwo inteligentne wysoce wykształconej i rozwiniętej kulturalnie i intelektualnie p. Marii, z którą mię poza tym łączy nasze koleżeństwo paryskie. Obiecałem więc ją jeszcze raz odwiedzić. Otrzymałem dziś *via* Gdańsk list od Heli Ochenkowskiej z Wilna. Hela się z mego listu dowiedziała o mojej zamierzonej podróży do Paryża, który jest równie ukochany przeze mnie, jak przez nią. Każdy z moich bliższych znajomych, kto się dowiaduje o mojej projektowanej podróży, uważa się w obowiązku dorzucić od siebie jakiś epizod do mojego planu podróży; zwykle każdy taki epizod tentuje, bo ma w sobie coś ciekawego, ale gdybym chciał wszystko to w mojej krótkiej podróży zmieścić, to by mi ani czasu, ani zwłaszcza środków nie starczyło. P. Marii Micewiczównie zawdzięczam pomysł jazdy aeroplanem i parostatkiem przez Morze Bałtyckie, komu innemu – Holandię, stryjenka Bolesławowa Römerowa wzywa mię do zajechania do miejscowości leczniczej Bad-Oyenhausen w Niemczech nad Wezerą, gdzie bawi ona u syna, wreszcie teraz Hela nęci mię Gdańskiem i jazdą z Gdańska do Dunkierki morzem. Gdańska, który pierwotnie wchodził w moje rachuby, już się wyrzekłem, ale ochota pozostała, a Hela ją podsyca. Sam jeszcze nie wiem, jak improwizować będę moją jazdę. Hela sama świeżo była w Paryżu, którym, jak zawsze, jest zachwycona. Na Dunkierkę jechała i zachwala mi tę jazdę, w toku której widzi się panoramę Kopenhagi i wybrzeża szwedzkie. Na taką podróż się jednak nie zdobędę, ale Gdańsk nie jest z moich planów wykluczony.

22 lipca, rok 1923, niedziela
Na obiedzie byłem u Preissa, który świeżo wrócił z żoną z Karlsbadu. Opowiadał mi o życiu w Karlsbadzie, budząc u mnie wspomnienia mego tam pobytu przed laty 13 z Mamuśką moją ukochaną. Dobrze nam z nią wtedy było. Był to mój odpoczynek po ciężkiej burzy zerwania mego małżeństwa z Reginą i rekonwalescencja po żółtaczce, o którą mię zgryzoty tych przejść bolesnych przyprawiły. Karlsbad, który mię wtedy odrestaurował fizycznie i moralnie, zachował mi się żywo w pamięci i pozostawił wspomnienie bardzo przyjemne.
U Preissa dowiedziałem się od jego zięcia, pracownika firmy emigracyjnej niemieckiej „Wolters et Co" w Kownie, rodem Hamburczyka, że od d. 1 sierpnia ceny biletów jazdy na kolejach żelaznych niemieckich podniesione będą o 300%, poprzednio od 1 lipca były one podniesione o 100%. Wiadomość ta nie jest dla mnie przyjemną. Nie mogę jednak nic na to poradzić, bo wyjazd przed 1 sierpnia jest dla mnie niemożliwy. Wprawdzie i spadek marki niemieckiej między 1 lipca a 1 albo 7 sierpnia, kiedy kolejami niemieckimi pojadę, wyrazi się procentowo w cyfrze bardzo wysokiej, ale bodajże 300% nie wyniesie. Na 1 lipca kurs marki w dolarach wynosił około 150 000 za dolara, obecnie – około 300 000, a do 7 sierpnia wyniesie bodaj i więcej, ale przecież chyba nie 600 000! A gdyby nawet spadek marki wyniósł 300%, to w każdym razie jazda przez Niemcy po 1 sierpnia będzie dla mnie trzykrotnie droższą, niż by była w lipcu. Co robić! Obawiam się, że przecież koszta mojej podróży będą tak znaczne, że kto wie, czy na Holandię będę się mógł zdobyć. W ostateczności wolę wyrzec się Holandii, niż aeroplanu z Kłajpedy do Królewca i jazdy morzem z Pilawy.

23 lipca, rok 1923, poniedziałek
Wiadomości z obrad paryskich o Kłajpedzie – żadnych. Rząd litewski i urzędowa Agencja Telegraficzna „Elta" zachowują w tej mierze milczenie bezwzględne. Daje to dużo do myślenia, bo niepodobna, aby nic w tej kwestii do powiedzenia nie było. Wiadomo, jakie zastrzeżenia na rzecz Polski są w związku ze sprawą Kłajpedy przez

Francję forsowane na Litwie; wiadomo też, że w związku z tą sprawą są czynione przez czynniki decydujące europejskie usiłowania likwidacji całego sporu polsko-litewskiego i w szczególności usankcjonowania przez układ Litwy z Polską wcielenia Wilna do Polski. Z drugiej strony, opinia litewska protestuje gwałtownie przeciwko tym usiłowaniom, zastrzegając, że Kłajpeda powinna należeć do Litwy na warunkach autonomicznych bez żadnych zgoła przywilejów dla Polski, bez żadnych ograniczeń praw suwerennych Litwy przez jakieś prawa Polski do portu w Kłajpedzie i że sprawa ta w ogóle nie ma nic wspólnego z kwestią stosunku do Polski, a tym bardziej z kwestią Wilna, wreszcie że o jakichkolwiek ustępstwach Litwy co do Wilna ani mowy być nie może. Gdy to opinia publiczna głosi, gdy po całym kraju są inscenizowane wiece protestów, uchwały zebrań i stowarzyszeń, rezolucje samorządów itd. o jednolitym brzmieniu postulatów w tym względzie – rząd to akceptuje, nie przeciwdziała, nie przeciwstawia temu żadnej innej akcji i agitacji, a więc zdawałoby się, że się z tym solidaryzuje. I oto gdy się te rzeczy dyskutują i ważą w Paryżu z udziałem delegacji litewskiej, na której czele stoi sam prezes gabinetu Gałwanowski – rząd nie udziela żadnych informacji z tych obrad. A przecież coś się tam odbywa, bo nie dla zabawy obrady się toczą. Albo delegacja litewska osiąga jakieś rezultaty dodatnie w myśl żądań, zgłaszanych przez politykę litewską i w ogóle obrady wchodzą na dobre dla Litwy z jej stanowiska tory – to w takim razie niewątpliwie powodu do milczenia by nie było i rząd by się śpieszył pochwalić. Albo usiłowania przeciwne biorą górę, a w takim razie gdyby rząd podzielał szczerze bezwzględna opozycję głoszonych w kraju haseł i był zdecydowany nie ustąpić za żadną cenę – nie milczałby także, jeno pośpieszyłby odwołać się do kraju dla nabrania większej mocy w swojej rezerwie nieprzejednanej. Cóż zatem znaczy to milczenie godne Sfinksa? Na myśl przychodzi tylko jedno: że mianowicie pod płaszczykiem tej tajemnicy dyplomatycznej gotują się Litwie niespodzianki, które się jej później zreferują jako fakt dokonany, jako mus narzucony. Dzieje projektu Hymansa nauczyły oportunistę Gałwanowskiego i przywódców Chrześcijańskiej Demokracji, że lepiej do czasu milczeć, niż usiłować przeforsować coś w opinii przeciwko prądowi. Niech sobie opinia gada, niech się wiece i rezolucje fabrykują i szumią, a tajna dyplomacja po cichu robić będzie swoje i zrobi, co się da. A jeżeli to, co się zrobić dało, nie będzie odpowiadać uchwałom wieców i głosowi opinii, to choć huczek powstanie, ale już odrobić będzie trudno. Posądzam, że w tym kierunku rzeczy idą i że milczenie jest planowo rozmyślne, a prawdopodobnie i dążenia Gałwanowskiego i tych, których on jest wyrazem, bynajmniej nie sprzyjają nieprzejednanemu stanowisku opinii litewskiej i chętnie szukają możliwego kompromisu z Polską, ubranego jeno w pewne pozory. Tajna dyplomacja święci triumf, a nikt jej w prasie nie przerywa dzieła, odkąd umilkł organ Smetony i Voldemarasa „Krašto Balsas”. W polityce zagranicznej ludowcy ze Ślażewiczem na czele nie odbiegają od oportunizmu Vailokaitisa i Gałwanowskiego, toteż nie ma komu mącić wody i zakłócać milczenie rządu. Ciekawa rzecz, co to się ujawni, gdy z milczenia tego wyłonią się wnioski paryskie. Pogłosek tymczasem dużo, a nie wiadomo nic. Z kół polskich miejscowych gadają już nawet, że Gałwanowski pojechał z Paryża do Warszawy i że tam się układ dobija.

24 lipca, rok 1923, poniedziałek
Nieoczekiwanych miałem dziś gości. W godzinach poobiednich moja służąca Helena mi mówi, że przyszli jakiś pan z panią i chcą mię widzieć. Zajrzałem przez drzwi, zapraszając wejść i kogoż ujrzałem? Oto stoi Józef-Albin Herbaczewski i jego żona. Zdawałoby się, że Ziemia raczej się zatrzyma w swym biegu dokoła Słońca, niż Herbaczewski zdobędzie się na opuszczenie Krakowa i powrót do Litwy. Nie dlatego,

żeby Herbaczewski nie pragnął tego powrotu lub czuł się lepiej w Polsce, niż w Litwie, ale po prostu dlatego, że wrósł jakoś w Kraków od lat dziesiątków tak, iż nie można go było sobie wyobrazić przenoszącego się i osiadającego gdzie indziej. Dziwak to i fantasta, niespokojny duch, który się żadnej dyscyplinie nie poddaje, ale człowiek żywy, na wskroś oryginalny, umysł bądź co bądź głęboki i wyrazisty. Przez wiele lat z nim korespondowałem i nasze stosunki, nawiązane w r. 1906-1907 w czasie mojego pobytu w Krakowie, utrzymywały się stale jak najlepsze. Pod tym względem należałem niemal do wyjątków, bo Herbaczewski jest tak kanciasty, że nie ma prawie człowieka, z którym by obcując dłużej nie zadarł. Lubię go szczerze i nie przykrzę jego dziwactwami, a w jego twierdzeniach, które są zawsze niezmiernie kategoryczne i jaskrawe, trafiają się takie błyski jasnowidzenia, które czasem jednym rzutem myśli, jednym promieniem światła odsłaniają samo jądro zjawisk lub stosunków i czynią przeto obcowanie z nim niezmiernie pouczającym. Znałem ludzi (np. Staniejko), którzy byli wprost zahipnotyzowani tymi błyskami ducha Herbaczewskiego i ulegali jego indywidualności, całkowicie się nią przejmując i w niej topiąc. W tym samym stosunku do niego była, a zapewne i jest jego żona, rodowita Polka, kobieta osobliwa, natura Sfinksa, niezmienna jak sam czas. Małżeństwo to się zawiązało właśnie za moich czasów w Krakowie. Ona – nie wiem ani jej imienia, ani panieńskiego nazwiska – milcząca i tajemnicza, choć pogodna zawsze, była takąż przed „ślubem”, jak po ślubie i jak dotąd. Cała się streszczała w Herbaczewskim, u niego przesiadywała, z nim mieszkała, jego indywidualnością czuła i myślała. Skąd się wzięła, skąd jest rodem, kim jest, jakim sposobem przywarła tak do tej dziwacznej, paradoksalnej i bogatej indywidualności Herbaczewskiego – nie wiadomo. Herbaczewski stosunek ten ulegalizował małżeństwem, choć ani przed, ani po ślubie nie skonsumował jej dziewictwa i nie spełnił z nią małżeństwa płciowego, jako że w ogóle pędzi on żywot kategorycznie pozapłciowy. I jest ona dziś taką samą dziewczynką, jaką była przed laty 17; czas jej nie dotknął i nie naznaczył starością.
Coś kilka razy wspominał w latach ostatnich Michał Biržiška, że chciał on Herbaczewskiego sprowadzić do Litwy; wahał się zresztą, bo nie miał świadomości, czy Herbaczewski tu się zdoła zaaklimatyzować i jakoś wwiązać w stosunki tutejsze, a zresztą duże były trudności rozmaite do ściągnięcia go tutaj – ze względu na długi Herbaczewskiego w Krakowie, na jego wymagania itd. Jakoś więc ta rzecz poszła w odwłokę i w zapomnienie, aż oto Herbaczewski wreszcie sam się stawił. Dzisiaj przyjechał do Kowna. Nie wytrzymał już nędzy i poniewierki, jaką miał w Krakowie, zwłaszcza w ostatnich latach, odkąd się stosunki polsko-litewskie popsuły. Zerwał on ze swymi dawnymi przyjaciółmi polskimi w Krakowie z obozu prof. Zdziechowskiego, Konecznego i in., praca zaś jego lektorska na Uniwersytecie Jagiellońskim była po prostu dziadowsko płatna, dla działalności literacko-wydawniczej nie miał tam pola żadnego. Dobrze, że wrócił. Kownu i Litwie przybywa osoba ciekawa i człowiek miary niezwyczajnej. Ale z pewnością jego obecność prędko się tu zaznaczy rozmaitymi epizodami zajść, nieporozumień i konfliktów, bo to człowiek nie stworzony do wegetacji w błotku stojącej wody. Ale to i dobrze. Herbaczewski zapewne wejdzie do uniwersytetu i w sferę akcji literackiej i kulturalno-artystycznej. Jego żona pierwszy raz widzi Litwę, którą zresztą ukochała przez niego.

25 lipca, rok 1923, środa
Choć się dużo narzeka – i zresztą zasadnie – na wielki brak wykwalifikowanych ludzi do sądownictwa, już nie tylko prawników zawodowych, ale po prostu ludzi, którzy choć cokolwiek powąchali prawa, to jednak znajdują się przecie od czasu do czasu i prawnicy, którzy nawet czasem kołaczą do wrót sądownictwa, nie bardzo się mogąc

dostać do nich. W szczególności zaczynają się zgłaszać do sądownictwa i Polacy, z których nominacją zresztą rzecz idzie nie tak gładko, jak by szła, gdyby to byli Litwini. Wprawdzie jedna edycja Polaków prawników, którzy się byli zgłosili do sądownictwa litewskiego w samym początku jego powstawania, już się wykruszyła i usunęła, to jednak teraz zaczynają się zgłaszać nowi i w ostatnich czasach liczba ich wzrasta. Z tej pierwszej „edycji" prawników Polaków w sądownictwie litewskim można wymienić Adolfa Grajewskiego, który w r. 1919 był sędzia pokoju na Żmudzi, starego Bolcewicza, który do r. 1922 był sędzią pokoju w Kownie i został przez Karoblisa usunięty, Staniewicza, który był podprokuratorem w Poniewieżu i Ludkiewicza, notariusza tamże, Krasowskiego, który w latach 1919-1920 był prokuratorem Sądu Wojennego. Grajewski, Staniewicz i Ludkiewicz są dziś w adwokaturze, Krasowski wyemigrował do Polski. Na stanowisku sędziego pokoju pozostał od samego początku tylko stary Herubowicz w Kownie, który zresztą jest ultralojalny wobec wszelkiej władzy i który narodowość swoją chowa pod korcem; mówią o nim, że lojalizm litewski (dziś litewski, przed wojną – rosyjski) posuwa on tak daleko, że gotów by ukarać własną żonę, gdyby się odezwała do niego na ulicy po polsku (oczywiści żart szarżowany, bo w istocie Herubowicz nie uchyla się od mówienia na ulicy po polsku); Herubowicz jest doskonałym sędzią pokoju, jednym z najlepszych w kraju i bardzo szanowanym przez wszystkich bez różnicy narodowości; kocha swój zawód sędziowski, wykonywa go z pedanterią i zamiłowaniem, jest sprawiedliwy i w żadne tendencje polityczne zgoła się nie wdaje, a w istocie przeto nie wysługuje się żadnym prądom bądź politycznym, bądź narodowym.
Teraz zaczęli się nowi zgłaszać do sądownictwa litewskiego Polacy, ale przyjmowanie ich idzie jakoś powoli; czynniki rządowe, od których to zależy, są widocznie bardzo w stosunku do nich ostrożne i nie tylko badają o każdym co zacz za jeden i czy nie jest czasem wrogiem Litwy lub w jakimś kontakcie z Polską, ale także uważają, żeby nominacja elementu polskiego była obficie rozwodniona zasadniczym elementem litewskim dla zachowania kategorycznie narodowego charakteru sądownictwa w państwie. Oprócz mnie w Trybunale i Herubowicza na stanowisku sędziego pokoju jest jeszcze w prokuraturze Sądu Okręgowego w Kownie Polak podprokurator Dobrowolski, który ma u czynników litewskich opinię nieprawomyślnego państwowo, bo nazwisko jego znaleziono na jakiejś liście projektowanych nominacji sądowych w Kownie, ułożonej przez b. władze Żeligowskiego w Wilnie na wypadek zajęcia Kowna przez wojska polskie, co tez było w r. 1921 powodem, dla którego Dobrowolski nie został mianowany sędzią okręgowym, choć kandydatura jego na to stanowisko została przez Sąd Okręgowy w Kownie uchwalona. Przed kilku miesiącami, po długich wahaniach i wątpliwościach, mianowany został sędzią okręgowym w Kownie Polak Jan Buyko, obecnie zaś zgłosili się do sądownictwa w Kownie dwaj nowi Polacy, Weryho-Darewski do prokuratury i Bolcewicz młodszy (zdaje się, nie syn b. sędziego pokoju) bądź do prokuratury w Trybunale, bądź na sędziego okręgowego. Kandydatury ich są rozważane ze zwykłą skrupulatnością; na razie nawet nie ma dla nich wakansów w etatach, ale etaty będą zwiększone i wakansy się znajdą, nominacje zaś ich będą zależały nie tylko od kwalifikacji, ale i od względów na ich narodowość i stosunek do Litwy. W szczególności Bolcewicz ma kwalifikacje więcej niż przeciętne i może być cennym dla sądownictwa Litwy nabytkiem, toteż chyba na pewno będzie z czasem mianowany. Był on przez czas dłuższy prokuratorem w Rosji, a w r. 1917 notariuszem w Petersburgu i nieźle mówi po litewsku. Ten Bolcewicz jest moim kolegą, prawowiedem, a więc rzadkim egzemplarzem w świecie prawniczym litewskim. Pamiętam go trochę ze Szkoły Prawa; przez czas jakiś byliśmy z nim w Szkole jednocześnie, choć dzieli nas duża różnica klas: gdy ja byłem w najniższych, tzw.

przygotowawczych klasach, on już był w klasach tzw. wyższego kursu, to znaczy w klasach specjalizacji prawniczej, dzieliło więc nas jakichś 6-7 klas, ale teraz Bolcewicz wygląda bodaj młodziej ode mnie. Ja osobiście sprzyjam bardzo dopływowi krajowego elementu polskiego do pracy państwowej i przeto także do sądownictwa. Jest to bowiem jednym z czynników ukrajowienia się Polaków litewskich, ich państwowego przetrawienia się i uobywatelnienia, o które mnie tak chodzi i do którego tak zawsze tęskniłem i tęsknię. Powoli to idzie, ale przecież może pójdzie.

26 lipca, rok 1923, czwartek
Na zasadzie polecenia ministra sprawiedliwości Rumenasa Ministerium Spraw Zagranicznych wyda mi paszport zagraniczny. Paszport będzie gotów w poniedziałek. Nie będę mógł jednak wyjechać przed przyszłą sobotą, bo jak się okazuje, na ową sobotę wyznaczone jest posiedzenie sądowe Trybunału; muszę wziąć w nim udział, bo beze mnie nie byłoby kworum, uchylić się zaś od posiedzenia nie mam możności, bo formalnie mój urlop rozpoczyna się dopiero od następnej niedzieli. Paszport mój ma być wystawiony na Holandię, Francję i Szwajcarię z przejazdem tranzytowym przez Niemcy. Co do Holandii – to jeszcze nie jestem pewny, czy do niej zajrzę; będzie to zależało od kosztu. Chciałbym na podróż tę poświęcić ze 130 dolarów (1300 litów); tyle mogę wydać bez uszczerbku dla mojej kasy, ale obawiam się, że to mi nie wystarczy. Jednak w żadnym razie nie będę mógł przekroczyć sumy 200 dolarów. Marka niemiecka tak szybko spada, że wyrażone przeze mnie przed paru dniami obawy, iż podniesienie ceny jazdy na kolejach niemieckich o 300% od 1 sierpnia zwiększy mi koszt podróży, bodajże się nie sprawdzą: jeżeli dalej pójdzie w tym tempie, to do czasu mego wyjazdu spadnie i do miliona. Swoją drogą, ten karkołomny spadek marki niemieckiej jest zjawiskiem niepokojącym. Wprawdzie Rosja bolszewicka wytrzymała takie spadki pieniądza, ale wyżej ukształcone gospodarczo Niemcy o wiele ciężej znoszą takie zakłócenia.
Wczoraj po raz pierwszy ukazał się komunikat urzędowy „Elty" w sprawie rokowań paryskich o Kłajpedzie. Dowiedzieliśmy się z niego, że rokowania zostały znów na czas jakiś odroczone dla zasięgnięcia pono przez czynniki Ententy jakichś informacji od rzeczoznawców polskich. Jaki był przebieg tych rokowań, jakie zachodzą konkretne główne komplikacje w ich biegu, jakie były maksymalne ustępstwa ze strony litewskiej i francuskiej – tego komunikat nie podaje. W ogóle jest on lakoniczny. Gałwanowski w tych dniach wraca do Kowna.
Po upałach, które nas dręczyły przez pierwszą połowę lipca, a do których dziś znowu tęsknimy, rozpoczął się od tygodnia zwykły u nas o tej porze roku okres deszczów, połączonych ze znacznym obniżeniem temperatury.

27 lipca, rok 1923, piątek
Kurs marki niemieckiej, wykazany w dzisiejszej tabliczce dewiz, wynosi 750 tysięcy za dolara! Rzecz przestaje być zabawna i kto wie, czy nie kryje w sobie perspektyw tragicznych w najbliższe dni. Perspektywy te oczywiście dotknąć mogą nie same tylko Niemcy, ale całą Europę, w pierwszym zaś rzędzie te kraje Europy Środkowo-Wschodniej, które dzielą Niemcy od Rosji sowieckiej. Moje uwagi o "poczciwej marce niemieckiej", która swoim szybkim spadkiem paraliżuje dla mojej kieszeni ujemne skutki 300-procentowej zwyżki cen jazdy kolejowej w Niemczech w zamierzonej podróży mojej, tracą swoją sielankową jowialność. To nie „poczciwa" mareczka pracuje dla mnie, lecz groźny zwiastun burzy dalekim grzmotem tego spadku wieści nowe straszliwe konwulsje Europy, wstrząsanej od lat dziewięciu.

Marynia ostrzega mię w listach swoich przed jazdą aeroplanem i prosi, abym jej zaniechał. Zaiste nie jazda aeroplanem jest groźną w tej zamierzonej podróży mojej, ale wulkan katastrofy niemieckiej, który mię może od kraju odciąć lub porwać w swe łono podczas przejazdu przez Niemcy. Herbaczewski, który wracając do kraju przed kilku dniami przejeżdżał przez Niemcy i jakiś czas w Berlinie bawił, już mię ostrzegał, że się tam rzeczy mają źle i że ferment jest w takim stanie napięcia, wulkan jest już tak wyczuwalny, iż można wątpić, czy już na Niemcy wyjechać zdołam, a jeżeli zdołam – to czy moją podróż tak planowo i statecznie, jak sobie myślę, wykonam. Mam jeszcze około 10 dni czasu, więc się może do tej pory coś już wyklaruje, a zresztą jeżeli nie wyklaruje, to bądź co bądź pojadę. Ciekaw jestem nawet tego stanu, którym się Niemcy trawią i który podobno wyczuwa się tam na każdym kroku, rażąc cudzoziemca, przybywającego z kraju zrównoważonych stosunków.
To jedno pewne – że dokoła nas, tuż przy granicy, huczy i gotuje się żywioł olbrzymiej męki ludzkiej. Rozpacz upadającego narodu jest desperacko straszliwą. Nie drzemie też sowiecka Rosja, która na dramacie niemieckim przędzie swoją akcję rewolucji powszechnej. W jakich formach – komunistycznych czy monarchicznych – wybuchnie rozpacz niemiecka, jak na to odpowie Rosja i czy Francja zdoła szybko militarnie rozebrać Niemcy i zlikwidować na razie tę chorą państwowość, czy tez płomień rewolucji wystrzeli, czy też choroba wlec się będzie na limfatycznym organizmie desperata dalej jak dotąd – to nam bliska przyszłość wykaże.

28 lipca, rok 1923, sobota
Byłem dziś w biurze firmy Wolters, w którym pracuje zięć Preissa; jak wspominałem, obiecał mi on dowiedzieć się dla mnie o warunkach jazdy aeroplanem z Kłajpedy do Królewca i ewentualnie dostać dla mnie bilet. Powiedziano mi, że bilet kosztuje półczwarta dolara (35 litów). Nie jest to wcale drogo. Oczywiście, że za tę cenę pojadę. Biletu dla mnie jeszcze nie ma, ale obiecano mi obstalować dla mnie bilet przez agenta firmy Wolters w Kłajpedzie na poniedziałek 6 sierpnia. Uprzedzono tylko, że ponieważ aeroplan chodzi nie z Kłajpedy, ale z Rygi przez Kłajpedę, więc może się czasem zdarzyć, że w Kłajpedzie nie ma miejsca, o ile wszystkie miejsca są w Rydze do Królewca zajęte. Wypadek taki może się najprędzej zdarzyć właśnie w poniedziałek, bo w niedzielę aeroplan nie idzie. No cóż, w takim razie będę mógł zaczekać do wtorku. Im więcej o moim projekcie jazdy aeroplanem myślę, tym więcej mi się tego chce.
Z gazet wiadomo, że komuniści gotują w Niemczech na jutro jakieś demonstracje i wystąpienia publiczne pod hasłem protestu przeciwko tzw. „faszystom", to znaczy przeciwko knowaniom prawicy monarchistycznej. Rząd i koła socjalistyczne większości przeciwstawiają się tym wystąpieniom komunistów, które w obecnych nastrojach mogą się z łatwością wyrodzić w akty buntu i rewolucji. Zobaczymy, co dzień jutrzejszy w Niemczech przyniesie. Niemcy są jednak narodem statecznym i dyscyplinowanym, więc wybuchy tam na ogół idą ciężko, pomimo wielkiego nagromadzenia materiału palnego. Może więc jeszcze i teraz wszystkie strachy okażą się próżne. W mojej zamierzonej podróży najmniej myślałem i interesowałem się Niemcami, ale teraz z tego, co czytam i słyszę, zaczynam być ciekaw usposobień niemieckich i fermentu, który się tam ujawnia.
Weryho-Darewski zaprosił mię na dziś wieczór do lokalu „Prodrolu" na małą pogadankę grona osób w sprawie założenia jakiegoś litewskiego towarzystwa heraldycznego. Sprawą tą Weryho gorąco się zajmuje, a do inicjatorów prócz niego mają należeć Edward Kudrewicz, Dominik Dowgiałło, Konstanty Radziwiłł z Twoian, Mickiewicz – brat Stefana. Chcą i mnie do założycieli pozyskać. Właściwie zebrańko się dziś nie odbyło, bo prócz mnie z Weryhą był tylko Kudrewicz. Z tego, co mi

Weryho poprzednio o tym projektowanym towarzystwie mówił, wnioskowałem, że będzie to towarzystwo skierowane do badań naukowych heraldyki rodów arystokratycznych litewskich; oczywiście wyczuwałem dobrze, że założycielom chodzi zapewne i o ocalenie ciągłości rejestracji rodowej, gdy rejestracja urzędowa szlachty wraz ze skasowaniem stanów ustała. Dziś z odczytanego mi przez Weryhę projektu statutu towarzystwa przekonałem się, że właśnie o to w pierwszym rzędzie chodzi, a nawet – co więcej – o rzecz jeszcze ściślejszą: o wskrzeszenie i utrzymanie stanu szlacheckiego, skasowanego urzędowo w państwie – w postaci stowarzyszenia prywatnego. Właściwie więc byłoby to „Stowarzyszenie Szlachty". Poradziłem, żeby jednak tego na czoło nie wysuwać, bo choć nie uważam takiego przedsięwzięcia za przeciwne ustawom (z pewnego względu i taki zarzut mógłby być ewentualnie stawiany), jednak stowarzyszenie o takich cechach mogłoby dziś się narazić na różne szykany. Poradziłem więc położyć ewentualnie nacisk na charakter naukowy tego towarzystwa i nie ograniczać wstępu do towarzystwa zastrzeżeniem o pochodzeniu szlacheckim. W ogóle wolałbym nie angażować się w tę kombinację, bo ostatecznie nigdy nie byłem i nie jestem specjalnym rzecznikiem szlachetczyzny. Formalnie jednak nie odmówiłem mego udziału, bom go już był obiecał Weryzie.

29 lipca, rok 1923, niedziela
Wybrałem się dziś znowu parostatkiem po Niemnie na Werszwy, a stamtąd pieszo – do p. Marii Micewiczówny, która się już teraz przeniosła do swoich Romajń Górnych. Pojechałem dla poradzenia się co do niektórych szczegółów mojej podróży, bo p. Micewiczówna, która w tych latach b. dużo jeździła przez Królewiec-Gdańsk do polski, ma pod tym względem – w powojennych podróżach przez Prusy – doświadczenie, którego mi brak. W szczególności nie wiem, jak sobie poradzić z pieniędzmi. Wszyscy mówią, że do Niemiec lepiej jechać z dolarami, niż tu je wymienić na marki. Ze względu na ciągły i szybki spadek marki jest to zrozumiałe: trzymać pieniądze w markach choćby przez kilka dni – jest to narażanie się na stratę, bo ewentualnie co dzień te marki tracą na wartości i na zdolności kupczej. Ale swoją drogą, w Niemczech marki jako środek płatniczy są potrzebne, tym bardziej, że opłaty w markach wypadają taniej, niż w dolarach. Na wymianie zaś dolarów na marki w samych Niemczech można stracić, bo Niemcy ustanowiły na dolary pewny kurs urzędowy, który choć jest zmienny w zależności od zmian kursu giełdowego, jednak zawsze jest dla dolara nieco gorszy od giełdowego.
Wieczorem o księżycu wróciłem z Romajń do Kowna pieszo.

30 lipca, rok 1923, niedziela
Mam już paszport. Jest to paszport zagraniczny służbowy z całym szeregiem wiz bezpłatnych, a więc wizą wyjazdową litewską, wizami wjazdowymi francuską, szwajcarską i holenderską i wizą tranzytową niemiecką, uzupełnioną zastrzeżeniem o prawie zatrzymywania się w Niemczech po drodze. Cały ten paszport i wizy nie kosztowały mię ani centa.
Otrzymałem list od Janulaitisa z Połągi w odpowiedzi na mój, w którym go zawiadamiałem o nominacji Čepasa do Trybunału i prosiłem, aby zaniechał wyciągania z tej nominacji wniosków zbyt ostrych. List Janulaitisa przekonywa mię jednak, że Janulaitis zdecydowany jest na kategoryczne przeciwstawianie się tej nominacji, co musi być chyba podaniem się do dymisji. Z listu też widzę, że Janulaitis zły jest na mnie za to, że w tej materii skłonny jestem do kompromisu. Oto są cytaty z jego listu, które podaję w oryginalnym brzmieniu litewskim:
„Ar aš neatspėjau, kad padarys tą pačią, ką su Kalniečiu?

Matau, kad pasielgei kitaip. Ką padarysi.
Aš gi dabar padarysiu, ką rasiu reikalinga.
Prie ko jie eina, man aišku. Tat mato ir kiti, tu gi ne.
Ar manai, kad tavo padėtis yra ir dabar kitokia? Išgriauš, jeigu nenorėsi reaguoti.
Aš ir pirmiau esu girdėjęs kalbant valio-patriotus, jog „esi lenkas". Jų tvirtinimas įgys naujo pamato: dėl Kalniečio nerimo (nes „lenkams" ką ten daręs Vilniuje), čia gi tyli. Neužsigauna, kad administracija duoda žmogų, kurio neprašė, o neduoda, kurį buvo nurodę. Neaukštai reikės įvertinti tą kolegiją, kuri ramiai priima tokius administracijos žygius.
Aš ne iš tokių...
Turiu prisipažinti, jog ir anie supranta reagavimą. Jeigu dabar nutildyti, tai niekuomet nebus pamato priešintis – atmetamas pamatas. Principinė kova teduoda dvasinės jėgos ir gali būti visų gerbiama.
...Užmiršai pranešti, kokiam ministrui esant paskirtas Čepas – Karobliui ar Tumėnui? Jeigu Tumėnas tai padarė, tai asmens pakeitimas nieko nereiškia. Rodos ten minavojau ir tą, kad nereikia daug ko laukti iš asmens pasikeitimo.
Dar vienas dalykėlis: pas krikščionius buvo kandidatu į teisingumo ministerius – Šurna! Kaip tau patinka?
Tumėnas išgelbėjo.
Dar truko Butkio!"[172].
To, czym mnie usiłuje straszyć Janulaitis, że mianowicie w oczach ultra-„patriotów" jestem i pozostanę podejrzanym jako „Polak", a więc domniemany wróg Litwy albo przynajmniej „niepewny" – to mię w istocie nie wzrusza. Nie taję mojej polskości i nie usiłuję wcale udawać innego niż jestem, bez względu na to, czy się to komu podoba czy nie i czy są stąd czynione przez pp. „patriotów" jakieś wnioski przeciwko mnie czy nie. I wiem doskonale, że czy postąpię tak czy inaczej, zawsze ci, którym ta moja polskość jest solą w oku lub jest dobrym pretekstem do nagonki na mnie, o ile to im jest potrzebne – położą moje postępowanie na karb owej „polskości". Tego nie uniknę, toteż tym względem kierować się nie będę. Jakie są moje dla Litwy uczucia, zasługi lub winy – o tym świadczyć będą moje czyny i życie, a złej woli ust nie zamknę i przymilać się do niej lub podporządkowywać jej nie będę. Bądź co bądź między nominacją Kalnietisa a nominacją Čepasa widzę różnicę. I jeżeli kto w sprawie nominacji Čepasa zawinił, że nominacja ta co do formy swej dokonała się niezupełnie właściwie, z pewną ujmą dla

[172] Czyż nie zgadłem, że zrobią to damo, co z Kalnietisem.
Widzę, że zachowałeś się inaczej. Cóż robić.
Ja natomiast zrobię teraz to, co uważam za konieczne.
Do czego dążą tamci, jest mi jasne. Inni też to widzą, ale nie ty.
Czy sądzisz, że teraz jesteś w innej sytuacji? Wypchaj się, jeżeli nie będziesz chciał zareagować.
Już wcześniej słyszałem, jak hura-patrioci mówili, żeś „Polak". Teraz to ich twierdzenie zyska nowe podstawy: o Kalnietisa się niepokoił (bo ten z „Polakami" w Wilnie coś tam wyprawiał), a teraz milczy. Nie obraża się, że administracja daje człowieka, o którego nie było proszone, a nie daje wskazanego. Niewysoko będzie cenione takie kolegium, które spokojnie przyjmuje takie wybryki administracji.
Ja taki nie jestem...
Muszę przyznać, że i tamci rozumieją reakcję. Jeżeli teraz damy się uciszyć, to już nigdy nie będziemy mieli podstaw do oporu – zasady zostały odrzucone. Pryncypialna walka dodaje sił duchowych i może budzić powszechny szacunek.
...Zapomniałeś napisać, za jakiego ministra został mianowany Čepas – za Karoblisa czy Tumenasa? Jeżeli zrobił to Tumenas, to wymiana osób nic nie znaczy. Zdaje się, że tam wspominałem i o tym, że nie należy wiele się spodziewać po wymianie osób.
Jeszcze jedna rzecz: chrześcijanie [demokraci] mieli kandydata na ministra – Šurnę!
Jak to ci się podoba?
Tumenas wyratował.
Butkisa jeszcze tylko brakowało!

powagi Trybunału, to zawinił najbardziej nie minister Tumenas, lecz nasz prezes Kriščiukaitis, który sam ministrowi nominację Čepasa zalecił, mimo że Trybunał był Ciplijewskiego kandydaturę uchwalił.

31 lipca, rok 1923, wtorek
Przyjechał do Kowna Walunio Weyssenhoff i był dziś po obiedzie u mnie. Był bardzo serdeczny i miły, wdzięczny dla mnie i całej naszej rodziny za pomoc, którą mu okazywaliśmy w zwalczaniu przeszkód do powrotu i zalegalizowania się w Litwie. Teraz ma już paszport krajowy i zabiera się do porządkowania swoich interesów. Na ogół jest dobrej myśli, a jego głęboka religijność, która się w nim szczególnie w tych czasach pogłębiła, wpływa nań kojąco, uśmierza jego temperament dość porywczy i złośliwy i napełnia go pewną pogodą rezygnacji wobec różnych ciosów materialnych, jakie nań w tych czasach spadły. Takie przynajmniej na mnie sprawił wrażenie. W ogóle wrażenie to jest bardzo dodatnie. Goryczy, cierpkości – nie znać w nim wcale. I fizycznie na starość też raczej wyprzystojniał. Stracił jakoś swoją lalkowatość dawną, nabrał w rysach i wyrazie powagi i siły męskiej. Coraz bardziej się w nim zaznacza na starość typ Weyssenhoffowski, czyniącym go podobnym do śp. pana Antoniego z Pokrewnia i zwłaszcza do zmarłego malarza Henryka Weyssenhoffa i brata jego inżyniera Jana i w ogóle do portretów i wizerunków starych pokoleń Weyssenhoffów. Wszyscy mię straszą i odradzają jazdy aeroplanem, ale nie rezygnuję i nie chcę się jej wyrzekać. Powiadają, że dla tej jazdy trzeba mieć serce szczególnie zdrowe i silne, podczas gdy u mnie ono szwankuje. Marynia mi pisze prosząc, abym zaniechał tej jazdy, Walunio gorąco przekonywał, żebym dał temu spokój, stryjenka Bolesławowa pisze mi dziś z Niemiec, ostrzegając, bym tego raczej nie czynił i cytując przykład młodego Sołtana (jest to właśnie siostrzeniec Walunia), który po przejechaniu się z Paryża do Warszawy zarzekł się, że więcej aeroplanem nie pojedzie i kilka dni chorował leżąc w łóżku. Nie wierzę, żeby mi to miało szkodzić, a ciekaw jestem bardzo wrażenia tej jazdy. Zresztą będzie ona krótką – jakaś godzinka, bodaj niespełna.
Wczoraj byłem wieczorem z Herbaczewskim i Stadziewiczem na kolacji w restauracji „Wersal”. Herbaczewski jest człowiekiem zgoła nieobliczalnym. W zasadzie głosi on dla polityki litewskiej wskazania, którym i ja najzupełniej hołduję i które nieraz wyrażałem. Podkreśla z wielkim naciskiem, że Litwa nie powinna być tylko papugą państw, powtarzającą na drobną skalę to samo, co czynią i czym się kierują inne państwa zaborcze i nacjonalistyczne, lecz powinna dążyć czynnie i czujnie do wytworzenia takich wartości w swoich urządzeniach państwowych, które by z niej uczyniły atrakcję dla ludów Wileńszczyzny i ziem sąsiednich; jeżeli między nią a Polską będzie tylko ta różnica, że Polska gnębi na terytoriach mieszanych – Litwinów, Białorusinów, Żydów i wszystko, co nie jest polskie, a ona, Litwa, robi akurat to samo w stosunku do tego, co nie jest litewskie, to Wileńszczyzna nie będzie miała żadnych dobrych racji do państwowego ciążenia do Litwy, a swoją gospodarczą potrzebę związku z Litwą Kowieńską może równie dobrze zrealizować przez wykorzystanie polskich aspiracji zaborczych na Kowno. Słowem – Litwa musi zwyciężać nowymi zasadami organizacji państwowej w zagadnieniach społecznych i czasowo kulturalnych, zasadami, które Polska, opierająca się na wschodzie na czynnikach „*ancien régime*’u” społecznego, neguje. Litwa musi być nie tylko ilościowo, ale i jakościowo nową siłą, nową zasadą i metodą państwową. Nie jest to łatwe do skonkretyzowania, ale o tym trzeba wciąż myśleć i w tym kierunku sięgać czynem. To jedno. Poza tym, Herbaczewski podkreśla mocno istnienie pierwiastków dodatnich w krajowej kulturze szlacheckiej, która nie powinna być *a priori* bez zastrzeżeń całkowicie odrzucana; przeciwnie – jeżeli są ludzie i czynniki w obozie szlacheckim, które mogą być

pozyskane i zasymilowane dla kultury państwowej Litwy, to trzeba je przygarnąć, trzeba dla ich pozyskania poczynić nawet pewne ustępstwa, pewien wysiłek pojednania, bo się tym Litwa wzbogaci kulturalnie i wzrośnie. Herbaczewski, nieprzejednany w sporze wileńskim z państwem polskim, bardzo dzielnie te zasady konieczne wzrostu Litwy podnosi i chce walczyć o nie, a do walki ma on temperament niewyczerpany. Aż oto nagle w ferworze rozmowy ze zwykłą mu impulsywnością nieobliczalną wygłasza on wręcz przeciwną tezę (uczynił to wczoraj) i wtedy z całą zaciekłością żąda potwierdzenia przez interlokutorów i wścieka się, gdy się mu zaprzecza. Pokłóciliśmy się wczoraj na tym gruncie. Raptem zaczął z całą pasją dowodzić, że Litwa w odpowiedzi na akty gnębienia Litwinów przez Polskę w Wilnie powinna odpowiadać aktami represji względem swoich obywateli Polaków, czyniąc wet za wet narodowy w najbrutalniejszej i najprymitywniejszej postaci.

1 sierpnia, rok 1923, środa
Z inicjatywy Wysokiego Pełnomocnika Litwy na Okręg Kłajpedy Budrysa (Połowińskiego) zapoczątkowane są pod egidą Ministerium Sprawiedliwości narady przedstawicieli sądownictwa Kłajpedy z przedstawicielami sądownictwa Wielkiej Litwy, czyli ogólnopaństwowego. Delegacja sądownictwa Kłajpedy ma w tym celu jutro przyjechać do Kowna. Będzie ona reprezentowała tak sądy, jak prokuraturę, adwokaturę, notariat krajowy. Z naszej strony w konferencji wezmą udział osoby zaproszone przez ministra sprawiedliwości Tumenasa, który patronuje i przewodniczy tej akcji. Gwoździem (*le clou*) tej inicjatywy jest sprawa wspólnego i jedynego dla całego państwa włącznie z autonomiczną prowincją Kłajpedy sądu najwyższego, czyli w obecnych warunkach – Trybunału Najwyższego. Podług ogłoszonego na razie przez rząd tymczasowego statutu organicznego Kłajpedy, który właściwie dotąd sankcji ustawowo-konstytucyjnej nie otrzymał i który ma być jeszcze ostatecznie ustalony konwencją międzynarodową, lecz który w istocie formułuje zasady już przyjęte *a priori* za podstawę do konwencji międzynarodowej, sądownictwo należy do zakresu autonomii Kłajpedy. Wszakże ze strony litewskiej, która w ogóle ma oczywiście skłonność do restrykcyjnego traktowania tej autonomii na rzecz funkcji ogólnopaństwowych, jest dążenie do wyłączenia najwyższego sądu ze sfery autonomicznej, co zresztą ma poparcie w jednym z artykułów Konstytucji państwa, głoszącym, że sąd najwyższy jest jeden dla całego terytorium Rzeczypospolitej. Na ostatniej też międzynarodowej konferencji w Paryżu w sprawie Kłajpedy delegacja litewska łącznie z kłajpedzką broniły zasady wspólnego ogólnopaństwowego sądu kasacyjnego i zasada ta, choć jeszcze nie sformułowana w konwencji, zapewne się już ostoi i przez mocarstwa, uczestniczące w konwencji o Kłajpedzie, ostatecznie przyjęta będzie.
Dziś o godz. 1 po południu, jako w przeddzień przyjazdu delegacji sądownictwa kłajpedzkiego, odbyła się w gabinecie ministra sprawiedliwości narada wstępna nasza, to znaczy tych osób, które są przez ministra zaproszone do udziału ze strony litewskiej w konferencji. Chodziło o ustalenie programu konferencji i o przedyskutowanie stanowiska, które my popierać będziemy. W naradzie tej wzięli udział: minister Tumenas, prezes Trybunału Kriščiukaitis i sędziowie trybunału Janulaitis i ja, prezes Sądu Okręgowego w Kownie Piotrowski, prokurator Trybunału Kalvaitis i prokurator Sądu Okręgowego w Kownie Rymsza, starszy notariusz kowieński Linartas, juryskonsult Gabinetu Ministrów o prezes Rady Juryskonsultów Kalnietis, dziekan Wydziału Prawniczego i adwokat prof. Leonas, wreszcie dyrektor Departamentu Więzień i dyrektor I Departamentu Ministerium Sprawiedliwości.

Janulaitis, który przed przyjazdem na te narady był w Kłajpedzie i specjalnie się tam informował o budowie funkcjonującego sądownictwa kłajpedzkiego oraz o dezyderatach narodowo-czynnych kół litewskich w Kłajpedzie w tym przedmiocie, udzielił zebranym tych wiadomości. Co do kół narodowych litewskich w Kłajpedzie, to oczywiście są one za jak największym zwężeniem autonomii, rozumiejąc, że zastrzeżenia autonomiczne są w Kłajpedzie najistotniejszą twierdzą stanu posiadania narodowego niemieckiego. Głównym punktem naszej narady dzisiejszej była kwestia jedynego sądu najwyższego. Tylko my z Kriščiukaitisem popieraliśmy tezę jedynego sądu li tylko kasacyjnego, rezerwując całe wyrokowanie merytoryczne (apelacyjne) sądownictwu autonomicznemu kłajpedzkiemu. Ja uzasadniałem tę tezę zasadą ścisłego lojalizmu wobec zobowiązań o autonomii. Teza ta jednak się nie utrzymała. Wszyscy wychodzili z założenia istniejącego konkretnie sądu najwyższego w państwie, to znaczy naszego trybunału, który, jak wiadomo, ma także funkcje apelacyjne w stosunku do obszernej kategorii spraw. Na tym też stanęło. Uznano więc, że wspólnym dla całego państwa winien się stać Trybunał, w którym ewentualnie byłaby utworzona sekcja kłajpedzka; w sekcji tej braliby udział i Kłajpedczycy, ale byliby oni zarazem zwykłymi sędziami Trybunału, jak wszyscy inni sędziowie tegoż. Poza tym, omawiano szereg detalicznych kwestii o stosunkach między sądami, o prokuraturze, więziennictwie, adwokaturze itd. Kalnietis skorzystał skwapliwie z okazji licytowania się z innymi członkami narady w jaskrawości nacjonalizmu i centralizacji. Tylko że inni to czynili z sensem i z przekonania, z pewnego snucia linii przewodniej, jak Tumenas, Janulaitis, Leonas, on zaś, Kalnietis, czynił to szturmowo i po krzykacku, jak przystało na „hurra-patriotę”.

2 sierpnia, rok 1923, czwartek
Rano przed konferencją z Kłajpedczykami odbył się jeszcze dalszy ciąg naszej narady wczorajszej bez ich udziału. Omówione przez nas zostały kwestie stosowania ustaw lokalnych kłajpedzkich przez sąd najwyższy wspólny, kwestie pomocy sądowej i wymiany usług między sądami dzielnicowymi Kłajpedy i państwowymi itd. Delegaci sądownictwa kłajpedzkiego w liczbie pięciu przyjechali do Kowna rannym pociągiem. Spotkali ich na dworcu Janulaitis i prokurator Rymsza. W składzie tej delegacji kłajpedzkiej biorą udział następujące osoby: 1. Plehwe, prezes „Obergerichtu” i zarazem „Landgerichtu” w Kłajpedzie, 2. dr Hesse, sędzia „Obergerichtu”, 3. Schlütter, prokurator generalny, 4. dr Lorentz, adwokat i notariusz i 5. Merk, juryskonsult Wysokiego Pełnomocnika Litwy w Kłajpedzie. Wszyscy są rodowitymi Niemcami, nawet nie pochodzącymi z okręgu Kłajpedy. Żaden z nich ani słowa nie umie po litewsku. W ogóle w okręgu Kłajpedy nie ma ani jednego sędziego, który by umiał po litewsku. Choć w zasadzie ogłoszona jest teza równoległości obu języków lokalnych w Kłajpedzie w urzędowaniu i stosunkach publicznych – niemieckiego i litewskiego – jednak w sądownictwie o realizacji tej tezy nie mogło być nawet mowy, tym bardziej, że nie ma zgoła osób wykwalifikowanych, które by mogły w sądownictwie dzielnicowym zastąpić nie umiejących po litewsku.
Na naradzie naszej z góry było postanowione traktować Kłajpedczyków wprawdzie jako gości, ale tylko jako gości między dzielnicami, nie zaś wobec państwa. Stąd konsekwencje: zawsze pierwsze miejsce zajmuje minister, a nie szef delegacji kłajpedzkiej Plehwe; jedynym przedstawicielem rządu, z którym delegacja ma do czynienia, jest minister sprawiedliwości, wobec czego żadnego urzędowego przyjęcia delegacji przez Prezydenta Rzeczypospolitej lub prezesa ministrów – nie ma. Słowem – Kłajpedczycy powinni poczuć, że są w stolicy swego państwa, a nie w państwie obcym, równorzędnym do Kłajpedy.

O godz. 4 rozpoczęła się konferencja w sali posiedzeń Rady Ministrów. Z naszej strony brali udział ci sami, których wymieniłem wczoraj. Przewodniczył minister Tumėnas jako gospodarz. Na razie po krótkich przemówieniach powitalnych, gdy na porządku obrad stanęła główna kwestia konferencji – sprawa wspólnego i jedynego sądu najwyższego, szef delegacji kłajpedzkiej, Plehwe, wyraził bardzo kategorycznie pogląd delegacji, której zdaniem całe sądownictwo włącznie z sądem najwyższym na terenie Kłajpedy należy do zakresu autonomii, co oczywiście wykluczałoby jedność sądu najwyższego w państwie. Lorentz i Schlütter potwierdzili stanowisko prezesa Plehwego. Zastrzegli jednak, że byłoby inaczej, gdyby się potwierdziło, że na konferencji międzynarodowej w Paryżu przesądzona została dla przyszłej konwencji sprawa jedności tego sądu i zapytali przeto, jak się ta rzecz na konferencji paryskiej ustaliła. Tumėnas uchylił kwestię wszelkich podstaw międzynarodowych dla obrad naszych i zaznaczając, że w ogóle konkretyzacja autonomii sądowej w Kłajpedzie nie jest jeszcze ustawowo sformułowana, zaproponował omówienie tej sprawy ze stanowiska użyteczności, nie przesądzając zasad autonomiczno-konstytucyjnych, które będą określone nie przez nas, lecz przez czynniki polityczne. Gdy jeszcze kilku z naszej strony (w szczególności Leonas) wystąpiło z krytyką przekazywania sądu najwyższego sferze autonomicznej, Kłajpedczycy rychło spuścili z tonu i zastrzegając, że to nie przesądza zasad konstytucyjno-autonomicznych, które nie od nas zależą, w dalszym ciągu dyskutowali z nami realizację wspólnego sądu najwyższego w osobie Trybunału. Dalej obrady szły bez żadnego zgrzytu i na ogół Kłajpedczycy okazywali się bardzo ustępliwi i łatwi, bynajmniej się nie targując i nie opierając. Posiedzenie przeciągnęło się do godz. 8-9. Na ostatku omawiano cały szereg drobnych kwestii i informowano się wzajemnie. Generalnym tłumaczem był Janulaitis. Potem odbyła się kolacja wspólna w Klubie Litewskim, co prawda, niezbyt udana, bo zarówno szynka, jak kurczęta były mocno nieświeże (ja też nie jadłem przeto wcale dań tej niefortunnej kondycji, ale inni jedli w najlepsze, czy nie czując, czy się nie brzydząc mięsa zepsutego). Kłajpedczycy w rozmowach prywatnych przy kolacji jeszcze dalej posuwali swoją ustępliwość.

3 sierpnia, rok 1923, piątek
Rano o godz. 11 odbyło się jeszcze jedno krótkie posiedzenie naszej konferencji sądowniczej z delegacją kłajpedzką, które trwało godzinę. Omawiane były różne detale stosunku sądów i władz sądowych kłajpedzkich do takichże sądów i władz w państwie i poza tym były udzielane rozmaite informacje rzeczowe Kłajpedczykom z zakresu naszej organizacji sądowej. Następnie pożegnaliśmy się, wyrażając nadzieję, że konferencja jest pierwszym krokiem do uregulowania stosunków sądowych w państwie włącznie z okręgiem Kłajpedy. Kłajpedczycy dziś odjeżdżają z powrotem.
Rozmawiałem wczoraj z Janulaitisem w sprawie nominacji Čepasa. W rozmowie Janulaitis nie wydał mi się tak zdecydowanym do oponowania nominacji Čepasa i do ewentualnego demonstracyjnego usunięcia się z Trybunału, jak się to mogło z listu zdawać. Zresztą wytłumaczyłem mu, że tu najwięcej zawinił nietakt prezesa Kriščiukaitisa, który za plecami Trybunału forsował protegowaną przezeń osobiście kandydaturę Čepasa. Nominacja ta nie ma bodaj żadnych cech intrygi politycznej chrześcijańskich demokratów, czego się Janulaitis bał, a raczej posądzał najwięcej. Teraz gniew Janulaitisa zwrócił się przeciwko prezesowi, ale to zdaje się ustrzeże Trybunał od utraty, jaką by poniósł niewątpliwie na ewentualnym wystąpieniu Janulaitisa. Osobiście przeciwko Čepasowi Janulaitis, zdaje się, nie ma nic.
Jestem do podróży, którą rozpoczynam jutro, gotów. Biorę ze sobą na tę podróż 250 dolarów, ale nie chciałbym całej tej sumy wydać. Właściwie na podróż przeznaczam do

150 dolarów, a reszta – to rezerwa tylko. Jednak prawdopodobnie wypadnie mi trochę i tej rezerwy zahaczyć.

4 sierpnia, rok 1923, sobota
Urlop, czyli raczej wakacje moje dziś się rozpoczynają. Dziś tez rozpoczynam moją wielką podróż. Gdyby nie to, że na dziś wyznaczone było posiedzenie sądowe w Trybunale, w którym muszę uczestniczyć, bo beze mnie zabrakłoby kworum, byłbym już wyjechał przed dwoma dniami i może już dziś byłbym leciał aeroplanem. Ten aeroplan – to jeden z „gwoździ" mojej podróży.
Posiedzenie sądowe Trybunału z udziałem moim, prezesa Kriščiukaitisa i wypożyczonego *ad hoc* z Sądu Okręgowego wiceprezesa tegoż – Masiulisa – odbyło się regularnie i zakończyło się około godz. 1 po południu.
Rzeczy, których zresztą bardzo mało biorę, aby móc je bez wysiłku nosić, miałem spakowane już wczoraj. Na dworzec kolejowy zaniosła je moja służąca Helena, która dziś tez wyjeżdża – do Bohdaniszek. Z posiedzenia więc w Trybunale nie zachodziłem już do domu, jeno zjadłem obiad na mieście i udałem się na dworzec. O godz. 4 min. 40 wyjechałem. Z powodu szabasu u Żydów w pociągu tłoku nie było, a od Szawel było już całkiem swobodnie. Część pociągu, kierująca się na Kłajpedę, złożona była z wagonów rosyjskich, przystosowanych do wąskiego toru ogólnoeuropejskiego. Są to wagony wygodne, przechodnie wzdłuż bez poprzecznych przedziałek i wyjść, a co najważniejsze i najlepsze – z podnoszonymi ławami górnymi do spania i takimi u samej góry ławami na rzeczy, które też służyć mogą wygodnie do spania. Czyni to w wagonie w każdym rzędzie ław – trzy piętra ław do spania. Wagony te ukazały się niedawno w ruchu kolejowym litewskim, bo dotąd wraz z ogromnym taborem kolejowym były uwięzione w Olicie na małym odrębnym odcinku kolejowym między Oranami a Szostakowem, nie komunikującym się z żadnym innym torem kolei litewskich i odciętym z obu stron przez kolej polską. Dopiero w tym roku, po zakończeniu budowy toru łącznikowego od Kozłowej Rudy przez Mariampol i Kalwarię do Szostakowa, uwięziony tabor z niniejszymi wagonami został wycofany z tej pułapki i zużytkowany w ogólnym ruchu kolejowym litewskim.
Dzięki takiemu wagonowi mam możność dobrego wyspania się w pociągu w nocy.

5 sierpnia, rok 1923, niedziela
Rano przed dziewiątą przyjechałem do Kłajpedy. Ponieważ aeroplan do Królewca niedzielami nie kursuje i przeto muszę nań czekać do jutra, a skądinąd zamknięte jest w niedzielę i biuro podróży Mayhöffera, w którym mam załatwić wszystkie formalności jazdy aeroplanem, więc projektowałem dziś natychmiast po przyjeździe wyjechać statkiem do Juodkrantis dla spędzenia tam dnia całego, a dopiero jutro rano wrócić do Kłajpedy. Na pierwszy ranny statek już się zresztą spóźniłem, a następny odchodził dopiero o godz. 1 po południu. Nic właściwie w Kłajpedzie dziś załatwić nie mogłem, ale musiałem się z konieczności przewałęsać do pierwszej. Po przyjeździe do Juodkrantisu rozpocząłem mój tryb zwykły. Zacząłem od obiadu u Maya. Ani poznać hotel Maya od czerwca, gdyśmy tu byli ze Stefanem Römerem. Restauracja pełniutka, gwar, wszystkie stoły zajęte, usługuje dwóch kelnerów i ze sześć dziewcząt służących; stary ojciec May, May syn i Mayówna córka w ruchu. W hotelu wszystkie numery zajęte, mnie chciano zalokować w numerze z innym lokatorem do spółki, alem się nie zgodził, więc ledwie wytrząśnięto jakiś pokój, z którego lokatorzy mają dziś na wieczór wyjechać. Wprawdzie Litwinów i w Kłajpedzie, i tu jest trochę więcej, niż było w czerwcu, ale toną oni – jak również Niemcy – w masie Żydów, którzy tutaj stanowią chyba 80% gości letnich. Zresztą może ten procent i nie jest aż tak wysoki, ale

ponieważ Żydzi swoim zwyczajem trzymają się kupy, wszyscy się między sobą znają, nieustannie się włóczą po osadzie, robią harmider i panoszą się jak na swoich podwórkach i „kuczkach”, więc czyni to wrażenie, że poza nimi nie ma nikogo. Żydzi oczywiście ani myślą przemawiać tu do ludzi miejscowych po litewsku, używają tu ostentacyjnie języka niemieckiego, ewentualnie między sobą – rosyjskiego; te dwa języki dominują tutaj wśród letników. Rozpanoszenie i niechlujstwo Żydów, ich zachłanność gadatliwa, pełna rwetesu i afiszowania się – czynią Juodkrantis o wiele mniej miłym, niż w czerwcu, kiedy tych gości jeszcze nie było. Zresztą to się stosuje tylko do osady, bo w lesie, a zwłaszcza nad morzem – pusto jak zwykle. Żydzi nie kwapią się do morza; ich rozkosz największa – to trzymanie się kupy, szwargotanie i popisywanie się wzajemne przed sobą; pociągu do samotności, do kontemplacji, do piękna w naturze u tych mieszczuchów nie ma. Dziś jest tu szczególne zbiegowisko Żydów, bo wieczorem u Maya jest jakiś koncert, teatr i bal żydowski. Oprócz więc letników najechały całe tłumy gości żydowskich na ten wieczór.
U Litwinów z Żydami zdaje się ustalać jakiś automatyczny podział letnisk między sobą. Litwini zabrali sobie i unarodowili Połągę, która stała się ich wypieszczoną kochanką, a Żydzi zagarnęli w pacht Juodkrantis, gdzie mogą sobie swobodnie kultywować język rosyjski i utrwalać niemczyznę w tej „odzyskanej” cząstce Litwy, która dotąd jest tylko papierowo, lecz nie z ducha do Litwy włączona – przynajmniej w stosunku do urzędów wszelkich i do miast oraz wszelkich skupień ludzkich. Źle, że Litwini tak mało na Juodkrantis zwracają uwagi i że go Żydom ustępują, nie usiłując nawet rywalizować z nimi i nasadzać tu równolegle wpływy swoje. Żydzi są tu istotnymi pionierami denacjonalizacji.
Byłem naturalnie nad morzem. Fala była dość duża; nie udają mi się w tym roku wycieczki morskie; zawsze towarzyszy im chłód i deszcz. Wykąpałem się jednak z przyjemnością i nachodziłem po wybrzeżu więcej, niż nawet chciałem, bo gdym od mego zwykłego miejsca kąpieli poszedł do kawiarni nadmorskiej u kąpieli publicznych, obejrzałem się, żem moją papierośnicę zostawił, toteż musiałem wracać i znów brnąć przez piaski. Wolej bym wykonał wycieczkę na wydmy lotne. Deszcz mi zmoczył ubranie i bieliznę podczas kąpieli.
Nocuję u Maya. Jak mi się jutro uda aeroplanem?! Tymczasem i dziś dzień ładnie spędzony. Hdyby było można, to bym najlepiej lubił w Juodkrantisie nocować nad morzem w pięknej kawiarni nadmorskiej, co tu stoi jak palma w pustyni. W kawiarni tej na stolikach w kielichach kryształowych dla kwiatów ciętych – zamiast kwiatów są zielone gałązki brzozy i osiny, które na tym pustkowiu są jak kwiat egzotyczny.

6 sierpnia, rok 1923, poniedziałek
Przyjechałem do Królewca – aeroplanem – a jakże!! Wcale jazda nie straszna, a przyjemna bardzo.
Opiszę dzień po kolei. Ranek zastał mię w Juodkrantisie. Raniutko – o godz. 5 – już byłem na nogach, żeby zdążyć na parostatek ranny. O godz. 8 byłem już w Kłajpedzie. Oczywiście pierwszą moją czynnością po śniadaniu było udać się czym prędzej do biura podróży („Reisebureau”) Roberta Meyhoeffera, w którym już miejsce na aeroplan miało być dla mnie zarezerwowane. Rzeczywiście tak było. Opłaciłem 3 ½ dolara za bilet jazdy aeroplanem, 10 litów za zarezerwowanie miejsca i 5 litów 50 centów za dojechanie do aerodromu. Ciekawy szczegół: przy wydawaniu biletu jazdy bierze się od podróżnego zobowiązanie, że w razie nieszczęśliwego wypadku ani on, ani jego spadkobiercy (w zobowiązaniu przewiduje się już z góry ewentualna śmierć) nie będą rościć żadnej pretensji do towarzystwa, którego aeroplanem ma się lecieć. obowiązanie to jest wydrukowane na samym bilecie i podpisuje się tamże przez kalkę w dwóch czy

więcej egzemplarzach. Przesądnych i bojaźliwych podróżnych – zwłaszcza nowicjuszy – może to przestraszać, bo jest ono jakby „*memento mori*”, które się cyrografuje przed jazdą. Na mnie to jednak wrażenia nie czyniło, bo w ogóle ani tej jazdy, ani zresztą śmierci, gdyby nawet miała nastąpić, nie lękałem się. Po upewnieniu się w ten sposób o jeździe nie miałem już co robić w Kłajpedzie do godziny wyjazdu. Czekałem jej z niecierpliwością. Tyle mi nagadano i nastraszono o aeroplanie, że chwilami, myśląc o locie, niepokój się budził – nie tyle o życie albo w ogóle o wypadek, ile o ewentualne uczucie mdłości przy patrzeniu w dół na ziemię lub podczas podnoszenia się, opuszczania lub chwiania aeroplanu. Były to jednak przelotne chwile. Przezornie niedużo zjadłem na obiad – zadowoliłem się jedną flądrą smażoną, co prawda wyśmienitą. O godz. 3 byłem już znowu w biurze Meyhoeffera, skąd miałem jechać na aerodrom. Automobilu nie było; podano wspaniały faeton (lando), zaprzężony parą koni rosłych z furmanem Mulatem na koźle. Aerodrom mieści się o jakieś dwa kilometry za miastem – w pewnej fermie; jest tam duża otwarta równina porosła trawą – łąka sucha; na niej lądują aeroplany. Urzędnik milicji obejrzał mój paszport, urzędnik celny litewski spytał, czy nie ma nic szczególnego w moich rzeczach. Na tym się skończyło. Czekałem na mój aeroplan. Wkrótce – o jakiś kwadrans przed godziną wyznaczoną w rozkładzie – ktoś z obecnych powiedział, że aeroplan już leci. Jakoż zaraz usłyszałem charakterystyczny trzask propellera i wnet zza dachu budynku ukazał się lecący niziutko nad ziemią ten ptak osobliwy. Wkrótce dotknął ziemi i potoczył się w tempie gwałtownym w podrygach po łące, po czym zwolnił biegu i wreszcie stanął w pobliżu. Wyskoczyło zeń kilku ludzi – lotnik i ktoś inny, siedzący na aeroplanie przy lotniku (pilocie) – bodajże urzędnik pocztowy i dwóch podróżnych, z których jeden jechał do Kłajpedy, a drugi miał jechać dalej wraz ze mną. Aeroplan – jednoskrzydłowy w kształcie ptaka (monoplan) – należy do firmy „Junkers-Luftverkehr” i ma numer czy nazwę „D215”. Pilot się posilił, załatwiono jakieś formalności i o godz. 4 min. 15 wsiedliśmy i byliśmy gotowi do lotu. Bez trudu, po stopniach i kilku zazębieniach na skrzydle metalowym, dostałem się do wnętrza kabiny. Kabina jest na cztery osoby – dwa fotele na przedzie i dwa z tyłu, wszystkie frontem naprzód. Fotele głębokie, wygodne; siedzi się mocno w ich głębi, z boku ma się okna ponad skrzydłami i okienko na przedzie, przez które się widzi pilota, zegar do mierzenia wysokości lotu i inne jakieś przyrządy. U góry okna zwiesza się kutas do trzymania się, gdyby się ktoś bał, bo w istocie trzymanie się jest zupełnie zbyteczne. Mówiono mi w Kownie, że podróżni się przywiązują do siedzenia; istotnie, każdy fotel ma po bokach dwa pasy, które można połączyć sprzączką, ale pasy te są tak krótkie, że ani mowy nie było, bym się nimi mógł opasać; mogłyby one opasać chyba kogoś bardzo szczupłego, zgoła mizeraka, i to chyba nagiego. Ale przywiązanie było zupełnie zbyteczne. Usiadłem na przednim fotelu na lewo, mój towarzysz podróży – za mną. Oto zafurkotał propeller, oto aeroplan zatoczył krąg i zwrócił się frontem do rozległej równiny – oto się rozpędził i toczył coraz szybciej, jak szalony po łące, aż oto ziemia się nam usunęła spod nóg, miasto już pod nami, horyzont coraz szerszy, widać już i zalew cały, i Mierzeję Kurońską, i pełne morze; oto już w mig przelatujemy nad zalewem i mierzeją, jesteśmy nad pełnym Bałtykiem, zawracamy wzdłuż mierzei i pędzimy nad morzem równolegle do wybrzeża. Wszystko to się stało z przedziwną szybkością, nim się obejrzeć i dobrze zastanowić zdołałem. Tylko w samym początku lotu, gdyśmy jeszcze byli bardzo niewysoko i właśnie wylatywaliśmy sponad Kłajpedy nad Zalew Kuroński, dwukrotnie dość znacznie aeroplan się osunął, jakby się zapadał w przepaść – i znów targnął ku górze. Powtórzyło się to dwa razy raz po raz i kilka jeszcze razy słabiej. Na razie to uczucie zapadania się w dół w próżnię budzi jakiś odruch mdłości, aż mi się już zdawało, że to ciągle tak będzie raz po raz i że mię to zanudzi. Ale jest w tym uczuciu spadania,

zapierającym dech i powodującym niepokój i mdłości, pewna przyjemność, nawet wielka, bo wrażenie to jest ostre i silne, najefektowniejsze w całym locie, że się potem tęskni do tego – a nie powtórzyło się już potem więcej w tym samym stopniu przez całą drogę. Kilka razy zdawało się to leciutko odczuwać i za każdym razem budziło się we mnie pragnienie głębszego spadku, jak jakaś pasja pijacka tego wrażenia niezwykłego. Dokończę jutro.

7 sierpnia, rok 1923, wtorek
Piszę dziś już dziennik w Pilawie. Ale wpierw wracam jeszcze do mojej wczorajszej jazdy aeroplanem.
W 10 minut po wzniesieniu się w Kłajpedzie byliśmy już na linii Juodkrantisu. Lot był bardzo szybki. Wysokość lotu wynosiła stale przez cała drogę 600 metrów. Na prawo mieliśmy pod sobą jednolite morze, płonące blaskiem słońca, na lewo – mieliśmy wąski pas Mierzei Kurońskiej, zalew Kuroński i ląd stały. Kontury lądu za zalewem roztapiały się w barwach blado-zielonkawo-siwych lub niebieskawych, za to mierzeja była u spodu jak na dłoni; z lotu ptaka widać było całą jej topografię – z jej piaskami lotnymi, plantacjami sosny drobnej, gdzieniegdzie osadami rybackimi. Ponieważ lecieliśmy nad morzem, więc widać było i brzeg morski u mierzei; dziwne czyni wrażenie ta okoliczność, że morze u brzegu, widziane z wielkiej wysokości, a więc z daleka – wydaje się nieruchome; białe spienione grzbiety fal zdają się nie poruszać wcale i jeno przez lornetkę, gdy się w nie mocno wpatruje, daje się dostrzec bardzo powolny, bardzo leniwy ruch fali, która, widziana z bliska, pędzi i uderza wściekle jak szalona o brzeg. w locie posługiwałem się nieco lornetką, ale nie bardzo – wystarczyło mi przeważnie moich szkieł zwyczajnych, tylko niektóre detale studiowałem staranniej. Wkrótce skończyła się mierzeja, a myśmy skierowali ponad ląd stały: tu już wioski, miasteczka, osady, kościoły, wielka szachownica pól, gdzieniegdzie kępy lasów, długie jeziorka, ciągnące się od zalewu, to znów wody zamknięte. Aeroplan leciał równo – aż nadto równo. Chciało się doświadczyć znowu silnego wrażenia wielkich gwałtownych zapadań, od których serce zamiera, jak przy podnoszeniu się w Kłajpedzie. Wreszcie w pewnej chwili, gdyśmy już mocno w głąb ponad ląd wlecieli, łoskot propellera jakoś osłabł i zaraz poczułem, że aeroplan coraz się stopniowo zniża. Zrozumiałem, że dolatujemy na miejsce i że gotujemy się do lądowania. Jakoż wskazówka na zegarze wysokości coraz się przesuwała: oto już 500 metrów, oto 400, oto 300, 200, 100... Coraz bliższa ziemia, coraz rosną kontury domów, lasów, pól. Lecimy już nad samą ziemią, nad dużą równiną porosłą trawą, ziemia śmiga jak wiatr, bo tez lot jest szybszy od najszybszego pędu pociągu. Oto koło zaczepiło po raz pierwszy o ziemię i znów odskoczyło, oto wreszcie aeroplan toczy się po łące. Jakiś czas pędzi, potem czyni parę zwrotów, ukazują się ludzie, aeroplan staje. Jesteśmy u celu. Przed nami hangar dla aeroplanów, stacja komunikacji napowietrznej; spotykają nas agenci biura Meyhöffera, urzędnicy celni, urzędnicy kontroli paszportów, jacyś inni ludzie, wreszcie jakaś szkoła dziewczynek pod przewodnictwem przełożonej, przybyła na wycieczkę dla przyjrzenia się lądowaniu aeroplanów. W pierwszej chwili po wylądowaniu byłem trochę ogłuszony. Choć łoskot propellera nie był wcale tak wielki, jak sobie wyobrażałem, i choć ani drażnił, ani męczył mię zbytnio, to jednak to jego jednostajne ciągłe warczenie trochę mię widać ogłuszyło.
Na tym się ten mój debiut lotniczy, na którym nie myślę poprzestać, skończył. Im więcej wspominam tę moją jazdę, tym więcej zyskuje ona dla mnie uroku. Jest ona jak dobre stare wino, które nie odurza wręcz od razu, lecz działa tym silniej stopniowo. Specjalny automobil biura Meyhöffera odwiózł podróżnych z kilku aeroplanów do miasta. Automobil pędził wariacko przebiegając najrozmaitsze ulice, po których

rozwoził gości – tak, że mi chaos się zrobił w głowie. Na razie, pędząc automobilem, nie orientowałem się w mieście i nie poznawałem Królewca. Przed laty 19, w roku 1904, spędziłem w nim parę tygodni, towarzysząc Maryni na pierwszą operację nóg jej syna Stefana, mającego wówczas cztery lata. Pozostała mi w pamięci jedna długa ulica, kanały, mosty na nich, potem hen plac długi z ogrodem i wodą. Ta ulica – to Vordere Vorstadt, Kant-Strasse itd., wreszcie plac i Schloss-Garten. Przypomniałem wszystko, nawet znalazłem kawiarnię, w której siadywałem: jest to cukiernia Zappa przy tym placu. W pamięci ludzkiej jest jakby spiżarnia jakichś szczegółów przeżytych; są one gdzieś schowane, jakby w szufladkach zamkniętych, że się o nich nie myśli i nie wie zgoła, aż nagle, gdy się je otworzy, zwiedzając po wielu latach miejsca te same – powstają fragmenty przeżyte jak żywe. Lubię bardzo, będąc w miejscu, w którym niegdyś byłem, włóczyć się moimi własnymi śladami sprzed lat wielu i budzić wspomnienia, o których przetrwaniu w tych magazynach pamięci już zgoła sam nie wiedziałem.
Dzień dzisiejszy spędziłem w Królewcu. Zaznaczył się on szalonym spadkiem giełdowym kursu marki niemieckiej. Marka, która wczoraj rano stała jeszcze 1 milion 200 tysięcy (za dolara), a wczoraj wieczorem doszła do miliona 900 tysięcy, dziś o godz. 10 rano spadła do 2 milionów 200 tysięcy, a ku końcowi dnia doszła do 3 milionów 300 tysięcy. Jutro wrócę jeszcze do tego i innych tematów.
W biurze Meyhoeffera kupiłem dziś bilet „Rundreise" z kuponami na jazdę z Pilawy statkiem po Bałtyku do Swinemünde, stamtąd na Hannower do Oyenhausen i stamtąd na Bawarię do Bazylei. Kosztowało mię to 1 milion 134 tysiące marek, czyli – podług dzisiejszego kursu – około 3 ½ litów!! Za tę cenę przejadę przez całe Niemcy, włącznie ze czterystu kilometrami morza. Na noc przyjechałem do Pilawy (Pilau).

8 sierpnia, rok 1923, środa
Jestem na statku. Jest to duży parowiec Towarzystwa „Hamburg-Amerika-Linie"; nazywa się „Bubenday" i dwa razy tygodniowo idzie z Pilawy do Swinemünde (z Pilawy wychodzi we środy i soboty). Po drodze staje tylko w Sopotach. Jest to powód, dla którego zaniechałem jazdy do Gdańska, bo w przeciwnym razie musiałbym czekać w Gdańsku, względnie w Sopotach do soboty, a na to nie mam czasu. Statek „Bubenday" – duży, na trzy pokłady, ale bez kajut. Publiczność – prawie wyłącznie niemiecka, innej mowy nie słyszałem. Fali dużej nie ma, choć wiatr jest, jak zwykle na morzu, i chłód, zwyczajny na Bałtyku. Publiczność – wesoła, choroby morskiej – ani śladu (są na statku w toaletach specjalne urządzenia dla skutków choroby morskiej); chodzić można po pokładzie prawie równo, bez wielkiego zataczania się i bez słaniania. Wyjechaliśmy z Pilawy o godz. 11 z minutami. Koło godz. 3 po południu dojeżdżamy do Sopot. Na lewo, w niewielkiej odległości – wieże i kominy Gdańska. W Sopotach stajemy. Sopoty prezentują się ładnie. Duże są – wzdłuż wybrzeża morskiego długi rząd ładnych will, są ogrody, urządzenia kąpielowe, na wzór europejski budki ruchome do wysiadywania nad morzem, ładna obszerna plaża, piasek. Nasze miejscowości kąpielowe na Mierzei Kurońskiej i w Połądze nie mają takich wspaniałości, jak Sopoty. Mniej też są uczęszczane, nie mają takiego hinterlandu, jakim są dla Sopot Niemcy i Polska, dostarczające im tłumów gości i środków. Ale za to, o ile mogę sądzić z obserwacji ze statku, Sopoty nie mają tak ładnej fali morskiej, jak nasze wybrzeże i jak szczególnie Juodkrantis (Schwarzort): bo choć wiatr dziś niemały – nie widać było grzyw na fali u brzegu ani bałwanów bielejących po morzu. Morze bowiem u Sopot jest z jednej strony zasłonięte półwyspem czy mierzeją Helu, który je czyni zbliżonym do zatoki głębokiej. Ludzie do kąpieli wolą takie morze, ludzie – ale nie ja. Statek stał w Sopotach pół godziny. Wypatrywałem, azali nie ujrzę w tłumie, zgromadzonym na

pomoście przystani, znajomych z Polski, ale – nie. Zresztą ponieważ statek nasz przychodził tylko z Królewca (Pilawy) i idzie tylko do Swinemünde, więc na spotkanie go wyszli zapewne tylko Niemcy. Musi tu być z pewnością mnóstwo Polaków, bo Sopoty sławią się w Polsce i choć leżą na terytorium Gdańska, mają ludność rybacką kaszubską, której pozyskanie i unarodowienie jest w Polsce stałym usiłowaniem patriotycznym. Może w drodze powrotnej – choć wątpię – uda mi się wpaść do Gdańska i Sopot. Lubiłbym to, bo bym spotkał wielu znajomych. Po wyjeździe z Sopot okrążaliśmy półwysep Hel z miasteczkiem czy osadą tegoż imienia. Jest to już terytorium Polski – ziemia Kaszubów. Półwysep z wyglądu zewnętrznego trochę podobny do naszej Mierzei Kurońskiej. Ale łodzi rybackich na pełnym morzu o wiele więcej, niż pod mierzeją naszą – i to nie tylko żaglowych, ale i wiosłowych łódek małych. Płyniemy dalej wciąż brzegiem lądu, którego nie tracimy z oczu. Mijamy wybrzeże polskie, płyniemy wzdłuż brzegów Pomorza niemieckiego, które nam towarzyszyć będą aż do samego Swinemünde. Morze w tych stronach – jak wielki gościniec: stale w rozmaitych odległościach widać statki parowe, wielkie żaglowce i łodzie towarowe, ciągnione przez statki holownicze; w pobliżu osad – znaczna ilość łodzi rybackich. Noc zapada na brzegu, gdzieniegdzie świeci latarnia morska, okręt idzie raźno; powoli publiczność, otulona w pledy i wory, rozmieszcza się na improwizowanych łożach z szezlongów i taboretów. Spóźniłem się: pledu już nie ma do wynajęcia ani jednego, szezlongi – zajęte. Otulam się moim paltotem, biorę moją walizkę pod głowę i kładę się na ławie.
Ponieważ dzień spędzam na statku, przeto nie wiem, jakie dziś zaszły zmiany w kursie marki. Podsumowałem ilość kilometrów, która wypada na moją podróż z Królewca do Bazylei: jest 1953 kilometry – prawie 2000 – w tej liczbie 420 kilometrów morzem z Pilawy do Swinemünde. I to kosztuje 1 milion 174 tysiące marek, czyli podług wczorajszego kursu marki ± 3 lity 35 centów!! U nas za tę cenę nie wiem, czy się 30 kilometrów przejedzie. A jeżeli dziś marka spadła jeszcze, to podług kursu wyniosłoby to jeszcze taniej. Ale taniość ta istnieje tylko dla cudzoziemców, którzy przyjeżdżają do Niemiec z tzw. twardą walutą obcą, lub dla spekulantów giełdowych, którzy robią fortuny na olbrzymich obrotach handlu dewiz. Coraz bardziej się przekonywam i odczuwam prawdę tego, co mi o Niemczech mówiono w Kownie. Wystarczy tu pobyć króciutko, pochodzić po mieście, a jeszcze bardziej – otrzeć się o ludzi, przejechać koleją żelazną w klasie III, posłuchać rozmów ludu. Wulkan jest tutaj w ciągłym wrzeniu, głęboki dramat zwyciężonego narodu rozwija się. Pozawczoraj, gdym przyjechał aeroplanem, nie mogłem tego zaobserwować, bo tak aerodrom, jak pierwszorzędny hotel, w którym w Królewcu stanąłem, nie dotykają masy ludowej. Dzień wczorajszy już mię dużo pouczył, a dziś na statku dużom się rozmów między Niemcami nasłuchał. Już na oko w samym ruchu miejskim ujawniają się kontrasty społeczne. Z jednej strony ilość ubogich, jakiej się w Niemczech nie widziało nigdy, z drugiej – zbytek i luksus spekulantów. To ma miejsce zawsze w chwilach wielkich zakłóceń stosunków. Jedne fortuny się robią z godziny na godzinę olbrzymie, inne fortuny i fortunki giną, pochłaniane katastrofą. Chociaż spadek kursu wpływa na ogromną obfitość gotówki i na tendencję wzmożenia jej ruchu, przez co każdy, kto ma pieniądz w ręku, stara się go czym prędzej wydać i co bądź kupić, jednak ponieważ przecie zawsze gotówka ta tuła się po jakichś kieszeniach, więc na każdym spadku kursy ktoś tracić musi. Tracą naturalnie wszyscy, w których kieszeniach są pieniądze. Nie tracą spekulanci i spryciarze, bo ci w tych warunkach nigdy gotówki nie trzymają w markach, lecz zawsze w walucie twardej lub w towarach, toteż ci się ciągle wzbogacają, tracą zaś ci, co są nieopatrzni i mniej brutalni w tej ciągłej walce o byt. Nie praca więc, zasługa lub wartość osobnika, lecz chciwość i spryt, giętkość i bezwzględność

popłacają. To jest pierwsze, jedno z wielu, ale nie najmniejsze zło tego stanu rzeczy, zło, które nie może nie rodzić zła i nie prowokować odruchów.

9 sierpnia, rok 1923, czwartek
Wstałem rano cały osypany miałem węglowym, wyrzucanym obficie wraz z dymem z komina statku. W braku kajut noc na statku w naszych strefach jest niewygodna: na przedzie pokładu powietrze czyste, ale zimno, na środku, zazwyczaj osłoniętym (mówię o pokładzie średnim i niższym), w pobliżu maszyn i w natłoku lokujących się tam na noc ludzi – duszno, a na tyłach pokładu – dym i osad z komina. Ha, cóż robić! *Au voyage – comme au voyage*. Nie spałem już od godz. 4. Fala na morzu podnosiła się, statek się huśtał silnie. Na pokładzie wśród kobiet rozpoczęły się wypadki choroby morskiej. Raz po raz któraś z pań zrywała się z szezlongu swego i biegła do poręczy pokładu, skąd pochylając się nad morze realizowała swoje mdłości; niektóre dostawały ataku tak nagle, że i odbiec nie zdołały i jeno chustkę przyciskały do ust, by nie poplamić sukni. Chodzenie po pokładzie stawało się dla laików stawało się dla laików sztuką akrobatyczną. Wreszcie koło godz. 8 ukazało się miasto: port Swinemünde. Wjechaliśmy w kanał, stanowiący zakończenie ujścia Odry. Naprzeciwko przystani czekał podróżnych pociąg. Dojechałem nim do stacji Pasewalk, gdzie wypadło zmienić pociąg na Berlin. Pierwszy raz jechałem przez Pomorze, ziemię niegdyś słowiańską, która się mogła stać polską, gdyby państwo polskie nie rozwijało się po linii najmniejszego oporu na wschód ruski, rezygnując z roli organizatora Słowian zachodnich na rzecz ludów germańskich, które pochłonęły ziemie i plemiona słowiańskie nadmorskie i zachodnie. Pomorze z okien wagonu prezentuje się dobrze: równiny bogate, dobrze uprawne, urodzajne, urozmaicone licznymi jeziorkami, z których przy linii kolejowej największe Bęcławskie. Zbliżamy się ku Berlinowi, wjeżdżamy w kraj ubogi piasków brandenburskich, które stąd ciągnąć się będą aż pod Saksonię. Ziemia ta także niegdyś słowiańska, kraj tzw. Wendów czy Serbów, czyli też Połabian, których jedna latorośl szczątkowa zachowała się dotąd na Łużycach. Śladu ich tu już nie ma, a krew ich przetrawiona już dawno na rasę i kulturę iście niemiecką, na samo jądro państwowości Niemiec. Minęły i znikły te biedne ludy służebne jak cienie, których ledwie pamięć, ale nie ich czyny (bo tych nie było) przechowała historia. Nawet ich legenda nie przeżyła ich w psychice ich własnych potomków współczesnych. Niechaj ich cieniom lekką będzie ta plenna ziemia pomorska i chude piaski i sosny brandenburskie – ziemia, którą uprawiają ich potomkowie, nie rozumiejący ani mowy, ani uczuć przodków. Pełną jest ta ziemia ich kości, a stała się dziedzictwem ludu obcego z ich krwi.
O godz. 3 przyjechałem do Berlina, o godz. 7 wieczorem wyjechałem do Hanoweru, gdzie stanąłem o północy i wkrótce około godz. 1 w nocy pojechałem dalej – do Bad Oyenhausen o 80 kilometrów za Hanowerem nad rzeką Wezerą, dokąd jadę umyślnie dla zobaczenia się ze Stryjenką Elżusią Bolesławową Römerową, bawiącej w towarzystwie Heli Czarnej Römerówny (malarki) u syna – Stefana Römera, stale tu zamieszkałego z żoną, rodowitą Niemką.
Co mię w tej podróży dzisiejszej uderzyło szczególniejszym kontrastem – to ostry przeskok temperatury i pogody na Bałtyku i na lądzie. Na Bałtyku – chłód, trzeba się otulać od wiatru, mglisto i chmurno – coś jakby z jesieni. A zaledwie odjechaliśmy od brzegu w ląd – już upał, słonecznie, pot obfity się toczy. Zdawałoby się, że to różnica setek kilometrów. Ani się podejrzewało na morzu, że tuż obok lato złocistych żniw, które są w pełnym toku, bardzo spóźnione w tym roku nie tylko u nas, ale i tu w Europie Środkowej.

W przejeździe przez Berlin nie korzystałem z postoju czterogodzinnego i nie zaglądałem do miasta. Nigdy nie miałem nabożeństwa do Berlina, raczej zawsze, odkąd zacząłem bywać w Europie, stosowałem się ze szczególnym do Berlina uprzedzeniem i niechęcią. Był on dla mnie symbolem złej potęgi w Europie. Ze wszystkich miast, jakie znam, najmniej go lubię. Toteż wystarczyło mi w zupełności tego, com widział w Berlinie przez okno omnibusu w przejeździe z Dworca Szczecińskiego na dworzec Friedrichstrasse. Miałem dość. Ale choć Berlina i tego, co w Niemczech reprezentują Prusy, nie lubię – a zresztą i do Niemiec w ogóle zbytniej sympatii nie czuję, co nie przeszkadza, że miewam uczucia dla wielu cech ich charakteru, w szczególności dla ich dzielności i tężyzny twardej oraz dla ich kwalifikacji umysłowych – to jednak, powiadam, w chwili obecnej mam dla Niemców współczucie, a współczucie jest zawsze sympatią. Jakkolwiek by mi kto był mniej lub bardziej miły – zawsze w nieszczęściu jest mi on bratem i bliźnim. *Nihil humanum a me alienum est* – i przeto dla nieszczęśliwych Niemców w ich nieszczęściu i tragizmie dziejowym mam głębokie poczucie braterstwa. A niedola ich jest wielka. Nie powiem, żeby uczucia narodu niemieckiego były w tym nieszczęściu szlachetne i wzniosłe, ale wszak i piekło jest nieszczęśliwe, choć złe, i dla niego przeto godzi się mieć w sercu nie nienawiść, lecz litość – i sympatię dla brata, nieprawdaż, Boże?! A Niemcy obecne – to piekło. Kontrasty społeczne rodzą z jednej strony chciwość, cynizm użycia i deptanie tego, co może być jakimś hamulcem i miarą w człowieku, spekulację, spryt rabunku i egoizmu, z drugiej – nienawiść, gniew, zazdrość, upokorzenie, podłość; do tych uczuć i kontrastów natury psychiczno-społecznej na tle gospodarczym przybywa upokorzona pycha narodowa i państwowa, nienawiść wszystkiego, co obce, ukochanie siebie nie dla jakichś zasad i celów dobra, lecz dla zemsty i podeptania świata. Dopóki Niemcy będą w tym stanie, dopóki Europa z Francją na czele będzie je świadomie pchała na drogę nieszczęścia i piekła, dopóty nie będzie uspokojenia w Europie i dopóty wrzód niemiecki grozić będzie gangreną. Rodzą się w nim możliwości wszelkich rewolucji i zaszczepień wszelkiej trucizny najgorszej całego świata – do zniszczenia włącznie. Groźny jest i straszny ten stan umysłów, jaki się tu obserwuje w Niemczech. Widać i znać uczucia zła, dla dobrych – nie ma miejsca.

10 sierpnia, rok 1923, piątek
O godz. 3 rano byłem już w Oyenhausen. Było jeszcze ciemno. Oczywiście do Stryjenki Bolesławowej nie mogłem się zgłosić wcześniej, jak o jakiejś godz. 8. Godziny ranne spędziłem więc częściowo na dworcu, częściowo zaś spacerując po ulicach will Oyenhausen, uśpionych o tej porze. Dopiero po godz. 8 złożyłem wizytę stryjence, uprzedzonej już przez służącą o moim przyjeździe. Stryjenka Bolesławowa Römerowa, z którą, jako mieszkanką Wilna, widywać się teraz mogę li tylko na gruncie tak zgoła neutralnym, jak jakiś „bad” niemiecki w Westfalii, czekała mię już od dni paru. Wszak sama mię zaprosiła, a ja ją zawiadomiłem, że przyjadę, że przyjadę między 9-tym a 12-tym bieżącego miesiąca. Ucieszyła się Stryjenka z mojego przyjazdu i była bardzo serdeczna. Stryjenka ocenia mój przyjazd nie tylko i nie tyle ze względu na naradzenie się ze mną o interesie władykiskim, ile zwłaszcza ze względu na nawiązanie stosunków rodzinnych z jej synem Stefanem. Ze Stefanem – wobec jego przeszłości – cała rodzina zerwała i znać go nie chciała. Grzechy Stefana, który ma na sumieniu czyny bardzo brzydkie, słusznie go odsądzające od czci (fałszowanie niegdyś weksli od imienia rodziców, wynajmowanie się za pieniądze i za utrzymanie jednemu z magnatów – Tyszkiewiczów – do rozpusty, mianowicie za kochanka – w pederastii, udział czynny w międzynarodowej bandzie szulersko-złodziejskiej, operującej w kołach wysokiej arystokracji międzynarodowej i złożonej zresztą z łotrzyków nieskazitelnej błękitnej

krwi itd.) – datują się sprzed wojny i sprzed małżeństwa Stefana, które miało miejsce kilka lat przed wojną. Teraz Stefan jest chory, sparaliżowany w nogach, zresztą jest już człowiekiem dostatnim, a namiętności już tych, co dawniej, mieć nie może, więc zdawałoby się, że można przywrócić z nim stosunki rodzinne bez obawy kompromitacji na przyszłość. Stryjence bardzo o to chodzi. Wiem, że mi była wdzięczna już za to jedno, że napisałem do Stefana. Ja też jechałem dziś do Oyenhausen z uczuciem serdecznym powitania Stefana jako bliskiego kuzyna i towarzysza lat dziecinnych, zapominając o jego młodości grzesznej. Spodziewałem się, że choroba i przedwczesna starość nawróciły go do stosunków rodzinnych i do tęsknoty za życiem porządnym i uczciwym. Gdym więc ze Stryjenką i towarzyszącą Stryjence Helą Czarną Römerówną czekał w parku na Stefana, który miał w wózku przybyć na to spotkanie, byłem prawie rozczulony sentymentem pojednania rodzinnego ze Stefanem. Zawiodłem się jednak. Stefan pozostał mi obcym. Ustatkował się tylko o tyle, o ile choroba go uczyniła bezwładnym; ale jest zawsze dotknięty próżnością wielkopańską, prowadzi jakieś podejrzane spekulacje giełdowe, którymi środki swe zdobywa i pomnaża, patrzy na świat przez pryzmat bogactwa, urody, blasku, elegancji, bez żadnego względu na poczciwość, na jakieś wartości moralne. Obce mu są sentymenty czy to rodzinne, czy jakieś inne wyższego rzędu. Jak był, tak pozostał – pasożytem nie tylko z ciała, ale i z ducha. Przykre sprawił na mnie wrażenie. Wszelkie rozczulenie moje prysło – czułem przed sobą gada. Natomiast bardzo mi się podobała żona Stefana – kuzynka Stefania. Jest bardzo miła, uczynna, dobrze wychowana, bardzo przystojna dotąd i z twarzy, i z wyrazu, i z figury, i ze stroju, mimo że ma lat ze czterdziestkę, a nade wszystko – żona idealna, jakiej by Stefanowi każdy mąż pozazdrościł. Jest jemu oddana bez zastrzeżeń, uważna i usłużna, kochająca i troskliwa, słowem – nic ponadto wymarzyć. Udała się Stefanowi żona nie w miarę zasług jego. Stefan nie mógł jej uczynić matką, a dziś tym bardziej nie może być dla niej mężem w bezpośrednim znaczeniu, a przecież kocha go ona i jest mu żoną bez zastrzeżeń. Musi to być osoba wielkich zalet charakteru. Ze Stryjenką, Helą Czarną i Stefanostwem spędziłem prawie cały dzień w Oyenhausen do wieczora. Przeważnie siedzieliśmy w parku, poza tym byłem u Stryjenki na herbatce wieczornej (Stefanostwo mieszkają osobno w najwspanialszym hotelu „Kaiserhof", bo to Stefanowi jest potrzebne niby dla rozrywki i dla stosunków towarzyskich, a sądzę, że głównie dla jego przedsięwzięć spekulacyjnych, wymagających odpowiedniego wielkopańskiego *decorum* i odpowiednich stosunków środowiska); z pomocą Heli załatwiłem też parę sprawunków (obuwie kupiłem i kapelusz).
Co do samego Oyenhausen, to nie zachwyciło mię ono bynajmniej. Wprawdzie „bad" ten jest starannie urządzony, ma ładny park, śliczny kurhauz w parku ze wspaniałą perspektywą na modłę trochę wersalską i basenami i fontannami wód, jest pięknie zabudowany willami i właściwie z samych will się tylko składa, bo miasta tu nie ma, jednak mnie się nie podoba. Przykre bowiem na mnie sprawiają wrażenie chorzy tutejsi; są to paralitycy, reumatycy, artrytycy, tabetycy, słowem – przeważnie ofiary syfilisu. Oyenhausen jest pod tym względem małym Akwizgranem; w Oyenhausen ci chorzy jeszcze się jaskrawiej, niż w Akwizgranie, uwydatniają, bo Akwizgran jest poza tym miastem, podczas gdy Oyenhausen cały się koncentruje w chorych. Paralitycy wożeni tu są wózkami ręcznymi, Są tu takich wózkowych gości setki, jeżeli nie tysiące. Niektórzy z nich są widocznie już bardzo schorowani – apatyczni i ledwo żywi, ale większość rusza się w swoich wózkach, gestykuluje, gawędzi, tworząc jakiś dziwaczny świat półtrupów, do połowy bezwładnych i jakby umarłych, a w drugiej połowie poruszających się i oddających wszelki namiętnościom (*sic*!), jak żywi ludzie, bo nawet do flirtu ci panowie są skorzy, a jest wśród nich wielu młodych jeszcze. To panoszenie się tych kalek, to ich życie wystawne i towarzyskie, przeważnie tych, których całe życie

było próżne i egoizmowi oraz uciechom oddane – budzi we mnie wstręt instynktowny. U młodzieńca w pełni sił nawet rozpusta może być piękną. Ale gdy rozpusta ta go strawi i w trupiejące ciało zmieni, to człowiek ten staje się już wstrętny. Poza wożonymi na wózkach i wożącymi się za pomocą różnych przyrządów automatycznych jest tu niezliczone mnóstwo takich, co jeszcze o własnych siłach chodzą, bądź powłócząc nogami, bądź je stawiając krzywo lub sztywnie, lub rozkieraczając, i słowem – utyskując na wszelkie sposoby. Są to kandydaci do wózków, aspiranci paraliżu i tabesu. Co do Stefana Römera – jego paraliż jest oczywiście postępowy i połączony z bardzo wyraźnymi oznakami poczynającego się tabesu nie tylko nóg, ale i rąk. W oczach tez widać u niego chwilami wyraźne błyski charakterystycznego osłupienia paralitycznego.

11 sierpnia, rok 1923, sobota
Bez żalu, z uczuciem ulgi pożegnałem przykry Bad-Oyenhausen. Choć jest niebrzydko urządzony, jednak na ogół jest szablonowy, a gromady paralityków i tabetyków rozmaitego stopnia nie podnoszą bynajmniej uroku kurortu. Choć choroba jest nieszczęściem, któremu się należy współczucie, jednak tu dla niej wielkiego współczucia nie mam, bo chorzy są tu przeważnie z bogatych sfer, otoczeni najwyszukańszym komfortem, cackami i cackający się z egoizmem, który dla mnie jest zawsze przykry. W chorobie ładną i szlachetną jest pokora, pewna wstrzemięźliwość i rezerwa, a tego tu u tych chorych najmniej. Czują się oni bohaterami, a rodzajem szczególniejszej arystokracji chorobowej jest większy stopień sparaliżowania, to znaczy większy stopień strupienia. Słyszałem, że w szpitalach wenerycznych wojennych chorzy syfilitycy tworzą rodzaj arystokracji, która z pogardą traktuje chorych na lżejsze podrzędne choroby weneryczne; podobnie się rzecz ma w Oyenhausen z paralitykami i tabetykami. Idiociejący ludzie, szczególnie o „dobrym” nazwisku i „krwi” oraz o kieszeni pełnej i przeszłości bogatej w hulackie przygody – stanowią śmietankę rozkładającego się światka. Na mnie to wszystko czyniło wrażenie przykre i smutne. Oyenhausen mi trochę pokrzyżował mój plan rozkładu czasu podróży. Nie było innych dogodnych do wyjazdu pociągów, jak dziś rano z Hanoweru, a z Oyenhausen muszę wracać na Hanower i dopiero z Hanoweru dalej ruszać. Oyenhausen był więc dla mnie zboczeniem z drogi i to zboczeniem, które mię kosztuje co najmniej dobę. Kupiełm w Oyenhausen obuwie i kapelusz, ale trafiłem tak nieszczęśliwie, że akurat dolar, który się był pozawczoraj podniósł do 4 milionów 800 tysięcy marek niemieckich, spadł chwilowo trochę, a spadek ten został w sferach bankowo-giełdowych rozdmuchany w celach spekulacyjnych tak, że chwilowo płacono za dolar tylko po 2 ½ miliona, podczas gdy ceny na wszystkie towary spieszyły dostosować się nie do chwilowego spadku, lecz do poprzedniej zwyżki. Wprawdzie dzięki pośrednictwu kuzynki Stefanowej zmieniłem 5 dolarów po 3 miliony, ale to było mniej, niż bym mógł wziąć poprzedniego dnia, a natomiast kupować musiałem po cenach droższych. Słowem, obuwie i kapelusz kosztowały mię ze 7 dolarów. Gdybym był kupił w Królewcu, byłbym zapłacił znacznie taniej. Czy wzrost kursu marki jest rzeczywisty – wątpię; sądzę raczej, że zaraz jeszcze bardziej spadnie. Ale zdarzają się takie chwile zachwiania się spadku, rozdmuchiwane natychmiast dla względów spekulacji, czego też ofiarą chwilowo padłem. Niewielkie to zresztą nieszczęście.
Z Oyenhausen wyjechałem o godz. 2 w nocy. Druga to noc niespana, spędzona w pociągu. Przedrzemałem tej nocy ogółem nie więcej nad godzinę. Jestem dosyć zmęczony, ale się trzymam. W podróży zawsze moje nerwy i siły bardzo się zaostrzają i zyskują na wytrwałości.

O godz. 5 rano wyjechałem z Hanoweru. Kieruję się bezpośrednio na południe – na Szwajcarię. Hanower stanowi rodzaj punktu zwrotnego, w którym się przełamują Niemcy prusko-pomorskie, ciężkie, gruboskórne i twarde, wyhodowane na zapanowaniu i pochłonięciu ras miejscowych przez systematyczną i mocną dyscyplinę najazdu, i Niemcy zachodnio-południowe, europejskie, żywe i wrażliwe, twórcze inną niż pruska metodą. Wprawdzie oboje Niemcy się stopniowo stapiają w kulturę jednolitą, ale jeszcze różnicę w psychice tych dwóch części znać, a nawet znać ją na typie fizycznym. Od Hanoweru na północ i wschód – typ prusko-pomorski, na zachód i południe – ten drugi, niemiecko-europejski. Linia ta idzie mniej więcej przez Hanowerskie i Saksonię. Temu podziałowi psychicznemu z północy na południe odpowiada mniej więcej pod Hanowerem i podział fizyczny budowy terenu na płaski południowo-pomorski i górski południowy. W pociągu z Hanoweru na Hessen i Bawarię ukazują się już liczniej typy południowców, czyli Europejczyków niemieckich – smagłe, lekkie, żywe. Obok mnie siedzą dwie dziewczyny i chłopiec przed nimi; flirtują i drażnią się wzajemnie – są pyszni w swojej młodości i grze krwi, która gra w ich ruchach i mowie, w ich zabawie i ciągnie ich ku sobie; jedna z dziewczyn prześliczna jak rzadko: brunetka o rysach i linii twarzy od czoła do brody poprzez nos klasycznie greckiej, prostopadłej i równiutkiej bez żadnego zadarcia i występu, o głowie małej, osadzonej na długiej szyi jak kwiat piękny na łodydze. Linia rysów grecka, nos równy i nieduży, śliczne usta – dziecko doskonałej rasy aryjskiej bez żadnych atawizmów fińsko-mongolskich, których zapewne ani śladu we krwi nie ma.
Zaraz za Hanowerem ukazują się pierwsze wzgórza, na razie rzadkie, pojedyncze, wyrastające z równiny, porosłe cienką zielenią lasów. Są to pierwsze zwiastuny Alp, ku którym dążymy. Ostatnie dalekie echa Alp, ich kolonie kresowe na północy. Zaczepiamy tzw. góry Hercu, których ośrodek pozostaje na lewo od linii mojej drogi. Jadę teraz z częstymi przesiadaniami. Zboczyłem z wielkich traktów, biegnących ze wschodu na zachód i w moim kierunku na południe zjechałem na fragmenty odcinków różnych linii, biegnących od Morza Niemieckiego – od Hamburgu, Holandii i Renu na południowy wschód Dunaju i Bałkan. Przez to droga moja jest przerywana częstymi przesiadaniami. Pierwszy odcinek przerywa się na Getyndze. Mam tu dwie godziny czasu. Zaglądam do miasta, niewielkiego, ale sławnego swoją wszechnicą miary europejskiej. Z Getyngi jadę na stację węzłową Bebrę. Wjeżdżam w księstwo Hessen. Przed Bebrą podgórze się trochę rozrasta; przejeżdżamy dwa pierwsze tunele. Z Bebru przez Würzburg jadę na Stuttgart. Pociągi niemieckie idą ślicznie – ruch jest ścisły i szybki. Zakłócenie stosunków gospodarczych i społecznych, które cechuje Niemcy, nie dotknęło kolejnictwa w zakresie ruchu. Naród niemiecki jest tak zdyscyplinowany, że funkcje publiczne spełniają się ze ścisłością nawet na tle ogólnego rozprzężenia; tu nawet bodaj komunizm nie zniszczyłby tych funkcji, jak to miało miejsce w Rosji. W Stuttgarcie (godzina 7-8 wieczorem) jestem u kresu podróży na dziś. Nocuję.

12 sierpnia, rok 1923, niedziela
Nocowałem w Stuttgarcie w hotelu „Roter Hahn". Choć pokoik miałem na piątym piętrze (licząc piętra po europejsku, to znaczy po naszemu na szóstym) z okienkiem do góry na dach, jak na poddaszu, zapłaciłem o wiele drożej, niż we wspaniałym hotelu Continental w Królewcu, gdzie miałem pokój z telefonem, z kranami do wody ciepłej i zimnej, słowem – z komfortem pierwszego rzędu. W Królewcu płaciłem za pokój 325 tysięcy marek, tu w Stuttgarcie – przeszło milion. Jest to miarą nie tylko szalonego podskoczenia cen w ciągu tygodnia z powodu spadku kursu marki, ale i miarą chaosu w ogóle cen oraz stosowanej w wielu miejscach różnicy w tasowaniu cudzoziemców i Niemców na niekorzyść pierwszych. W Stuttgarcie w hotelu na samym wstępie, gdym

spytał o cenę, zapytano mię, czy jestem cudzoziemcem, a wtedy oznaczono cenę wyższą. Zresztą sytuacja, wytworzona ostatnimi spadkami walutowymi marki odbiła się na cenach chaotycznie. Wszyscy wiedzą, że trzeba na wszystko podnosić ceny, ale jak i ile – tego nikt na razie dobrze nie wie, toteż każdy niemal kupiec próbuje robić to na własną rękę, jak Bóg dał i ile mu odwagi starczyło. Na dwóch sąsiednich stacjach węzłowych – w Bebrze i Würzburgu – za takie same parówki duże w Bebrze brano po 150 tysięcy za sztukę, w Würzburgu – po 80 tysięcy za parę. W ogóle kupcy są przerażeni i ceny podnoszą na oślep. Wszystko się tu tak rozprzęga w stosunkach gospodarczych, gdy miernik powszechny wartości – pieniądz – traci sam wszelką wartość stałą mniej lub więcej określoną. W kursie marki są w tych dniach jakieś zygzaki i tarcia; to niby się podnosi, to znów spada, to stoi – nikt nic pewnego nie wie, notowania kursu są chwiejne i zmienne; jednak na ogół poziom kursu kręci się około 4 milionów (za dolara). Stan jest wciąż groźny, Reichstag został wezwany na sesję, gabinet Cuno jest atakowany, komuniści głowę podnoszą, w Saksonii i niektórych innych miejscowościach ruch komunistyczny już zmonopolizował rzesze robotnicze i sięga coraz natarczywiej po władzę, gdzieniegdzie wybuchają rozruchy żywnościowe i drożyźniane, a dzieje się to na tle wyczerpania nerwowego mas, na tle depresji moralnej i ogromnego rozprzężenia i przejaskrawienia uczuć wszelkiego rodzaju. A przecie jakiekolwiek są przyczyny realne rewolucji – gnieździ się ona przede wszystkim w nerwach i uczuciach i z nich się wyłania. Czy system nerwowy zdyscyplinowanych Niemców wytrzyma? W swoim czasie nie wytrzymał on wojny i po czterech leciech niezłomnego wysiłku i mocy – pękł. Czy nie pęknie wreszcie i teraz? Anglia, Ameryka, państwa neutralne – niepokoją się o to, Francja – ani dba i ryzykuje gnębienie Niemców do ostatka. Do Francuzów nienawiść jest u Niemców ogromna. W hotelach i wielkich kawiarniach Oyenhausen sam widziałem napisy, głoszące zakaz wstępu Francuzom i Belgijczykom. W wagonach, na stacjach – plakaty i ilustracje symboliczne z napisami, wieszczące umęczenie Niemiec, nawołujące do oporu w okupowanym okręgu Ruhry, kultywujące ideę rewanżu. Mówiono mi, że samo odezwanie się po francusku w miejscu publicznym mogłoby narazić na wrogą reakcję tłumu – nie dziwię się temu, widząc podniecenie uczuć niemieckich. Toteż Francuza w nieokupowanych terenach Niemiec nie znajdziesz na lekarstwo.
Już mię zmęczyły Niemcy z ich męką i potępieńczym uczuć chaosem. Rad jestem, że dziś wkraczam do wolnej Szwajcarii. Choć będzie mi drożej, niż w Niemczech, ale przecie zasmakuję Europy i będę miał przed oczyma coś innego niż ból niemiecki, który jest zarazem pełny nienawiści i chciałby kąsać dokoła. Cudzoziemiec w Niemczech czuje się dziwnie samotny i wciśnięty w otoczenie wrogie; podobnego uczucia musi doświadczać Europejczyk w głębokich prowincjach Chin, ale tu się to ma w samym środku Europy, w pełni cywilizacji romańskiej.
Ze Stuttgartu wyjechałem o siódmej rano. Nie miałem ani czasu, ani sił zwiedzać wczoraj wieczorem Stuttgart, bo po dwóch nocach niespanych potrzebowałem gwałtownie wypoczynku i w tym celu stanąłem w Stuttgarcie na noc. W każdym razie, ruch na dworcu kolejowym i w pobliżu był wieczorem olbrzymi, większy, niż w przejeździe moim przez Berlin.
Pociąg ze Stuttgartu na południowy zachód na Księstwo Badeńskie w kierunku Szwajcarii biegnie przez podgórze alpejskie coraz piękniejsze i coraz charakterystyczniejsze. Pędzimy wzdłuż dolin poza ścianami wzgórz, zataczając kręte półkola i linie rozmaitych wygibów, to znów przecinamy dolinę i przez tunele przebiegamy z jednej do drugiej. W Rotweil przesiadam i po kilku godzinach czekania wsiadam do pociągu pośpiesznego na Bazyleję. Pociąg idzie ze znacznym opóźnieniem, co jest w Niemczech rzeczą wyjątkową. Niedziela – pełno wycieczek młodzieży na

podgórzu. Na stacja Neu-Stadt, Titisee i innych – tłumy tych wycieczek zapełniają wagony, wracając do domu na obiad. Gwarno, wesoło, śmiech, śpiewy. Wśród młodzieży nie znać tych głębokich skaz i spazmów uczucia, których są pełni starsi. Młodzież żyje dniem dzisiejszym, chwilą, radością swej wiosny jak kwiat, który pachnie. Jednak z przelotnych spostrzeżeń w wagonie odnoszę wrażenie, że ta powojenna młodzież niemiecka mocno nasiąkła deprawacją i schamiała cywilizacyjnie. Upał od dwóch dni olbrzymi. W pociągu duszno, dym i kurz węglowy z lokomotywy. Góry coraz piękniejsze. Śliczne perspektywy dolin i wąwozów górskich, przepaści głębokich, zbocza majestatyczne. Najpiękniejszy jest odcinek między Donaueschingen a Freiburgiem, szczególnie krótki rzut oka w przelocie do tunelu – na tzw. „Koźli Skok" („Hirschensprung") – ciasny wąwóz skalisty. Ale góry są jeszcze do samego szczytu porosłe lasem – nie ma szczytów nagich ani wierzchołków śnieżnych. O godz. 5-6 przyjechałem do Bazylei. Rewizja rzeczy tak ze strony niemieckiej, jak szwajcarskiej – bardzo lekka. Na razie wybrnąłem z Niemiec. Witaj mi, ziemio szwajcarska, wolnością i ludzkością dysząca! Dziś się nauczyłem cenić cię więcej, niż ceniłem niegdyś.

13 sierpnia, rok 1923, poniedziałek
Dzień spędziłem w Bazylei. O jednej małej rzeczy zapomniałem, wybierając się w tę podróż i mając zajrzeć do Szwajcarii. Spostrzegłem się dopiero tu, że jej nie mam, gdy się nagle i zupełnie dla mnie samego niespodzianie okazała potrzebna. Tą rzeczą małą, która była niegdyś powszechnie sprzętem koniecznym w kieszeni, a którą wojna i pieniądz wyłącznie papierowy wyrugował u nas radykalnie z użycia, jest – portmonetka. Tak, pospolita portmonetka kieszonkowa do przechowywania monety brzęczącej. Ta ostatnia u nas – nie tylko w Litwie, lecz we wszystkich krajach naszego otoczenia (Niemcy, Polska, Łotwa itd.) – tak dalece wyszła z użycia, że o portmonetce się już dawno zapomniało; my znamy już tylko różne gatunki pugilaresów do pieniędzy papierowych. I ani mi przez myśl nie przeszło przy wyjeździe zabrać portmonetkę. Aż tu nagle w Szwajcarii obiegowa moneta brzęcząca: piękne nowiutkie, błyszczące jak klejnot, tradycyjne pięciofrankówki srebrne, srebrne monety frankowe i dwufrankowe, drobna moneta metalowa (centymy). Wygląda to na razie jak bajka, że aż uwierzyć trudno. Ale już po dniu pobytu w Szwajcarii człowiek się z tym oswaja i używa tych monet jak dawniej. Frank szwajcarski jest wartościowy: za dolara przy wymianie dają 5 fr. 35 cent., to znaczy na frank szwajcarski wypada około 2 litów naszych. Ceny na ogół wysokie, ale nie tak znów straszne, jak się zdawało. Po Niemczech oczywiście różnica drożyzny jest ogromna. Ale za to co za miłe tu otoczenie, co za dogodności, co za przyjemny pobyt i ruch ludzki. Wygody wszędzie, ludzie uprzejmi, swojscy, równowaga wielka, spokój. Jedzenie wyśmienite po restauracjach, wina w karafeczkach, kawa, mleko, masło. sery, jakich tylko w Szwajcarii kosztować można. Nic tu blagi, nic „ersatzu" powojennego, nasadzanego z Niemiec. Wczoraj, gdym przyjechał, na razie Bazyleja od Dworca Badeńskiego wydała mi się jak miasto zamarłe. Ale to było tylko złudzenie. Była to niedziela, sklepy zamknięte, ruch skierowany do wycieczek świątecznych. Dziś dopiero widzę Bazyleję powszednią. Ruch na ogół jest niemały. Wprawdzie mniejszy jest niż przed wojną, zwłaszcza w handlu jest cisza, ale życie pulsuje na ulicy i w ośrodkach ruchu tramwajowego. Cudzoziemców dużo, Anglików zwłaszcza, natomiast mniej Niemców. Wielkie hotele są pełne i pracują intensywnie. Wielkie restauracje, kawiarnie koncertowe są w ruchu. Zastój jest wprawdzie w przemyśle, w handlu, jest bezrobocie w miastach, ale ruch turystyczny i związane z nim przedsiębiorstwa żyją i prosperują. Natomiast ucierpiały drobne hoteliki, których ilość bardzo zmalała, wiele lokali sklepowych świeci pustką i proponuje się do wynajęcia. Szwajcarzy tęsknią do unormowania stosunków w

Niemczech, bo obecnie stosunki walutowe zamykają Niemcom dostęp do Szwajcarii i w ogóle na fermencie niemieckim spokojna drobnomieszczańska Szwajcaria dużo traci ekonomicznie. Jej żywiołem – dobrobyt, umiarkowanie, spokój, ruch powszedni.
Są tu kawiarnie (kasyno miejskie) z muzyka o tempie cygańsko-murzyńsko-hiszpańskim, jest w ogóle pewne tempo rozmachu o pokroju optymistycznym, co stanowi miły wypoczynek po depresji i ponurych barwach w usposobieniach niemieckich. A zawsze ta sama uprzejmość, grzeczność, dobroduszność szwajcarska, to samo oswajanie się tu ludzi z ludźmi – kraj współżycia doskonałego, kultura przeciętności i umiarkowania statecznego a dostatniego, które w naszych strefach Europy (włącznie z Niemcami, a nawet w Niemczech tym bardziej) zostały wyplenione radykalnie. Tu każdy człowiek robi co chce i jest sam sobą; wszyscy się godzą i stosują, nikt nikogo nie gwałci, nie krzywi się na bliźniego, nie nienawidzi i nie prześladuje go.
Dzień dzisiejszy użyłem na trzy rzeczy: na ułożenie marszruty skombinowanej wycieczki po Szwajcarii, na obejrzenie w muzeum obrazów Böcklina i na zwiedzenie zakładu poprawczego dla dzieci występnych w Closterfichten pod Bazyleją. Wycieczkę chcę odbyć do tunelu simplońckiego, to znaczy w głąb gór – zresztą li tylko koleją, ewentualnie z Perigue udam się jeszcze koleją aż do lodowca Rodanu. Marszrutę ułożyłem aż do Iselle na granicy włoskiej za tunelem Simplon i stamtąd na Berno do Neuchâtel. Obstalowałem bilet wycieczkowy.
Na muzeum miałem czasu mało, ale nie mogłem sobie odmówić obejrzenia Böcklina, którego obrazy tu już zresztą niegdyś oglądałem. Płótna Böcklinowskie, a w szczególności „Vita somnium breve”, Ofiara święta, Wyspa zmarłych, walka centaurów, Odyseusz i Kalipso – to są dzieła, które rysunkiem, doborem barw i kompozycją czynią na mnie wrażenie bardzo silne, szczególnie pierwszy obraz z wymienionych. Natomiast mniej mi się podoba Polowanie Diany i przykre czyni wrażenie chimeryczny straszny obraz dżumy – La Pesta.
Zwiedzanie i zapoznanie się z koloniami dla przestępców nieletnich, ewentualnie dla dzieci występnych stanowi jedną z rzeczy, które mi zostały zlecone przez nasze Ministerium Sprawiedliwości. Ponieważ to ministerium udzieliło mi paszportu i wiz bezpłatnych, więc czuję się w obowiązku wykonać to dla niego, tym bardziej, że chodzi tu o rzecz stanowiącą u nas jedno z pilnych zadań społecznych. Jeden z takich zakładów – dla chłopców w wieku od lat 6 do 14 (15) – istnieje właśnie pod Bazyleją w Closterfichten, dokąd się jedzie tramwajem i idzie trzy kwadranse pieszo. Nie będę referować w dzienniku wszystkiego, com się o zakładzie tym dowiedział i com tam widział. Poczyniłem sobie notatki, z których referować będę w Kownie. Wizyta była ciekawa. Kierownik zakładu i jego żona informowali mię dokładnie i pilnie, następnie oprowadzali mię po całym zakładzie, pokazywali wszystko. Zaproszony byłem przez nich na kolację, którą spożyłem w zakładzie z całym personelem pedagogicznym i z dziećmi. Zakład ten ma własną fermę, liczącą 18 ha, a więc swoje gospodarstwo polowe, ogrodowe, owocowe, swój inwentarz. Po raz pierwszy w życiu oglądałem oborę, stajnię, chlewy dla świń oświecone elektrycznością, posiadające podłogi, codziennie zmywane (u świń) i nie brudniejsze, niż podłoga np. w pokoju jadalnym lub dziecinnym w Bohdaniszkach, gdzie gospodarzy mały Michaś Mieczkowski. Okazy krów rasy simentalerskiaj – wprost wspaniałe, które by się u nas więcej niż na wystawę nadawały, a tu są okazami pospolitymi. Widziałem cielicę niespełna półtoraroczną, która jest co najmniej dwa razy większa od naszych krów dorosłych zwyczajnych. O zmroku wróciłem pieszo do Bazylei w towarzystwie nauczyciela zakładu pana Niklausa, który się okazał kolegą szkolnym i bliskim znajomym naszego zlituanizowanego Szwajcara Bazylejczyka p. Chreta, profesora Wydziału Teologicznego i posła sejmowego w Kownie.

14 sierpnia, rok 1923, wtorek
Rano wyniosłem się już z hotelu „Hôtel de Jura” (jeden z większych hoteli dla cudzoziemców przy placu dworca kolejowego południowego, w którym dwie noce spędziłem, po 5 franków szwajcarskich doba). Rzeczy złożyłem na przechowanie do garderoby dworca, ponieważ dopiero wieczorem wyjeżdżam w dalszą drogę, sam zaś udałem się tymczasem na zwiedzanie drugiego zakładu wychowawczo-poprawczego dla nieletnich. Jest to zakład w Neu-Hof w kantonie Argau (Argovie); jedzie się z Bazylei koleją w kierunku Zurychu do stacji Brug, stamtąd kolejką podrzędną do pobliskiej stacyjki Birrfeld, skąd do Neu-Hof jest koło 20-25 minut drogi pieszo. Zakład w Neu-Hof założony został niegdyś, jeszcze w wieku XVIII przez słynnego filantropa, pedagoga i miłośnika ludzkości i w szczególności młodzieży – Pestalozziego, jedną z najszlachetniejszych postaci w dziejach kultury Szwajcarii – i przetrwał do jego śmierci w r. 1827; upadł następnie i ferma w Neu-Hof stała się odtąd własnością prywatną, która zmieniła w ciągu w. XIX ośmiu właścicieli. Dopiero w początku w. XX podjęto inicjatywę wznowienia dzieła Pestalozziego w Neu-Hof. Ze składek, zarządzonych w szkołach w drodze sprzedaży pocztówek na ten cel, a więc z funduszów złożonych przez dzieci szwajcarskie, odkupiono Neu-Hof z rąk prywatnych i uczyniono zeń własność narodową federalną. Zakład założony został w r. 1913 i na czele jego stanął pedagog p. Otto Baumgartner-Bäz, który kieruje zakładem dotychczas i który mi dziś udzielał informacji i oprowadzał po zakładzie. Jest to młody jeszcze, w pełni sił i energii człowiek, liczący dziś dopiero 36 lat, człowiek światły i dzielny, który bardzo poważnie traktuje zadanie zakładu i bardzo ciekawych udzielił informacji. Zakład może być uważany za wzorowy. Baumgartner kładzie nacisk na to, że zakład jest przede wszystkim wychowawczy, a nie dyscyplinarno-poprawczy. Przeznaczony jest dla chłopców w wieku od [lat] 15 do 18 (przeważnie kradzieże), chłopców krnąbrnych i leniwych, których zwykłe metody wychowania szkolnego i domowego nie były w stanie nagiąć do nauki i pracy, kierowanych tu przez rodziców i przez publiczne urzędy opiekuńcze kantonalne, jak również chłopców, którzy dla braku charakteru nie umieli wytrwać w jakimś zawodzie i pracy, ciągle się przerzucając z jednego do drugiego. Zakład usiłuje chłopców wykształcić w pewnym fachu pracy (główne fachy: rolnictwo, ogrodnictwo, szewstwo, stolarstwo, projektowane – krawiectwo), ewentualnie zaprawić do pracy bez wyspecjalizowanego fachu, jeżeli chłopiec do żadnych z nich nie ujawnia skłonności; zwracana jest też baczna uwaga na rozwój charakteru i cnót społecznych oraz na wyćwiczenie w chłopcach umiejętności ogólnych i uczuć obywatelskich. W stosowanych metodach wybitną rolę grają pogadanki ogólne dyskusyjne, obcowanie kierownika zakładu na cztery oczy z chłopcami, awansowanie chłopców z kategorii niższych do wyższych przez głosowanie powszechne samychże uczniów, wreszcie wydzielanie chłopców najwyższej (III) kategorii ze współżycia koszarowego do posiadania osobnych własnych pokoików i samodzielnego użytkowania czasu wolnego od pracy. Wszystkiego w dzienniku nie spiszę, bo za daleko bym zabrnął. Jest to zakład b. ciekawy, którego poznanie sprawiło wielką przyjemność. Przy zakładzie jest spora ferma (45 ha ziemi), ogrody, oranżeria, żywy inwentarz itd.
Wracając z zakładu po obiedzie, który spożyłem z p. Baumgartnerem, spóźniłem się w Birrfeld na pociąg, musiałem więc, nie chcąc tracić dużo drogiego czasu, maszerować pieszo do Brug na kolej (5 kilometrów od stacji Birrfeld). Zwiedzanie zakładów wychowawczo-poprawczych w Closterfichten i Neu-Hof dało mi możność lepszego przyjrzenia się wsi szwajcarskiej i gospodarstwu wiejskiemu. Całe równiny na podgórzu między Bazyleją a Zurychem stanowią – za wyłączeniem wzgórz porosłych lasem – jeden ciągły sad. Gęsto zaludnione i zabudowane, mają wszystkie pola

obsadzone jabłoniami i gruszami, a drogi, o ile nie tworzą one ulic wioskowych między zabudowaniami, są też jabłoniami wysadzone. Przy drodze leżą jabłka opadłe z drzew: wystarczy nachylić się i wziąć owoc, gdyś głodny lub spragniony – byle nie zrywać z drzewa; owoce dobre, smaczne, nie nasze dzikie jabłka i gruszki polne; jabłonie przydrożne i polowe są takież, jak u nas w sadach, tylko lepsze, bo słońca mają tu więcej. Ciekawy rys – nie ma tu płotów i ogrodzeń w polach ani też w sadach i „ogrodach" warzywnych lub innych: domy, pola i drzewa – wszystko otwarte. Ludzie tu sobie szkód nie wyrządzają wzajemnie, bydło – poza kilku tygodniami w jesieni, kiedy już nic w polu nie ma – nie pasie się, ewentualnie wysyłane jest z początkiem lata na wielkie pastwiska górskie. Tylko bardzo rzadko, gdzie zabudowania są gęste, widzieć się dają płoty, raczej symboliczne, jako znaki ograniczenia jakiegoś miejsca obsadzonego, niż literalne płoty, stanowiące przeszkodę dla przejścia.
Dużo się widzi w Szwajcarii specyficznych zboczeń u ludzi. Przede wszystkim, należy do nich często napotykane wole, zwłaszcza u kobiet, co ma jakiś tajemniczy związek ze zjawiskiem kretynizmu, który tu też jest częsty. Wole najczęściej się widzi u starych kobiet. Są także karły – widziałem dziś w Brug takiego, co był wzrostem nie wyższy, niż mnie do kroku, a głowę, dłonie i stopy miał jak u dorosłego człowieka normalnego wzrostu i szedł kiwając się z nogi na nogę jak kaczor.
Po powrocie do Bazylei wykupiłem obstalowany wczoraj skombinowany bilet jazdy po Szwajcarii, który mię kosztuje 42 franki. Wieczorem o dziewiątej wyjechałem do Lucerny, gdzie stanąłem o godz. jedenastej. Numer dostałem w hotelu „Du Lac" nad jeziorem, za 8 franków za noc. Drożyzna szwajcarska daje mi się już we znaki. Ale pokój otrzymałem wspaniały, z balkonem na wybrzeże jeziora i widokiem tak pięknym w nocy na miasto, że nie żal 3 franków przepłaconych.

15 sierpnia, rok 1923, środa
Lucerna na oko znad brzegu Jeziora Czterech Kantonów prezentuje się świetnie. Z rozkoszą wpatrywałem się w jezioro i miasto, siedząc na balkonie mojego pokoju w „Hôtel du Lac" wczoraj wieczorem i dziś rano. Wczoraj w nocy jezioro, oświetlone elektrycznością miasta z okien domów i latarni nadbrzeżnych, których ognie odbijały się długą smugą świetlną w wodzie, wyglądało zgoła fantastycznie. Przed sobą miałem na węższym skrawku jeziora całe mnóstwo świateł domów, latarni wybrzeża i latarni mostów, a dalej w prawo – szedł monotonny równy szereg świateł latarni, rząd spokojnych równych smug na wodzie w dal – przepiękny w symetrii, spokoju i powadze, jak coś wiecznego. Dziś widok był inny. Wody jeziora – bladoseledynowe, jak wszystkie jeziora szwajcarskie – prześliczne w tej barwie – i miasto białe nad jeziorem.
Nie mogłem jednak zabawić dłużej w Lucernie. Trzeba było jechać, by dziś dotrzeć do Brig pod tunelem simplońskim. Wyjechałem o jedenastej. Zaraz za Lucerną góry podgórza zaczynają wyrastać w szczyty. Na razie góry są jeszcze przeważnie porosłe roślinnością, ale tu i ówdzie wystrzelają skalne wierzchołki szczytów. Pociąg biegnie wśród gór brzegiem jeziora. Pod Alpnach duża góra Pilatus, o której zbocza się ocieramy. Gór co raz przybywa, szczyty coraz dziksze i większe. Od Giswil pociąg, ciągniony i pchany przez specjalne lokomotywy, mocno się podnosi w górę, pnąc się na przełęcz, położoną między jeziorami, spadającymi ku Lucernie, a doliną Aaru. Na stacji Kaiserstuhl widzę na niektórych ukazujących się na przedzie szczytach pierwsze białe plamy śniegów. Nie są to jeszcze wierzchołki jednolicie śnieżne, jeno płaty i pasma śniegów po zagłębieniach i wklęsłościach szczytów oraz wąwozach zboczy, gdzie słońca promienie nie dochodzą. Na innych szczytach chmurki pełzają po zboczach. Na stacji Brünig jesteśmy na najwyższym punkcie przełęczy, którą przekraczamy. Płaty

śnieżne na górach mamy już przed sobą względnie niedaleko. Ale choć powietrze jest tu już względnie rzeźwiejsze, jednak upał trwa. Pogoda. Najwyższy moment rozwoju lata w górach. Okres najmniejszych śniegów. Gdzieniegdzie widać na zboczach wielkie strugi wodospadów, ale dużo też wodospadów już uschło z wyczerpania śniegów stopniałych – jeno ślady ich łożysk znaczne są na zboczach. Pełny sezon turystyczny. Gazety podają, że turystyka w tym roku doszła do potężnego rozwoju. Pod tym względem wróciły stosunki przedwojenne. Niemców tylko prawie się nie spotyka wśród turystów. Przeważają Anglicy i Amerykanie, dużo Francuzów, Holendrów. Sądząc z wnętrza wagonu, przepełnionego turystami, mogłoby się zdawać, że się jest w Anglii. Nawet konduktorowie często wykrzykują obwieszczenia po angielsku, ponieważ w tym języku jest się przez publiczność najlepiej zrozumianym. W pociągach jest najmniej – Szwajcarów. Pociągi tutejsze są tak do ruchu przystosowane, że służba kolejowa jednocześnie obsługuje cały szereg rozmaitych potrzeb podróżnych; u konduktorów czynią się zapisy na obiady na poszczególnych stacjach, o czym konduktorowie obwieszczają po wagonach, w bufetach konduktor uprzedza publiczność o odejściu pociągu trzy minuty przed terminem odejścia itd. Od Brünig spuszczamy się w dolinę Aaru. Oto stacja węzłowa Meiringen nad spienionym mętnobiałym Aarem. Dokoła olbrzymy gór. Chmury skądś – ogromne, ciężkie – wylazły zza szczytów od strony lodowców Aaru i Rodanu. Przed pół godziną była pogoda – teraz grzmot się rozlega po górach, błyskawice strzelają, deszcz rzęsisty pada. Krótka burza górska. Jedziemy dalej wzdłuż jeziora na Interlaken. Przed nami pogoda, za nami w Meiringen – ołowiane czarne chmury i mgły zasnuły całkowicie szczyty i góry aż do samego dołu. Z Interlaken jedziemy na Spiez. W Spiez mam parę godzin do pociągu, który mię powiezie przez tunel Lötschbergu do Brig. Jest godzina 5-6 wieczorem. Jestem jeszcze bez obiadu, toteż idę do pobliskiej przy dworcu kolejowym restauracji z tarasem, z którego roztacza się widok rozległy na jezioro z miasteczkiem głęboko u dołu, na góry naprzeciwko i na całą piramidę szczytów na prawo: to Lötschberg i gniazda wielkich gór lodowcowych. Siadam na tarasie i jem obiad. Jedzenie w Szwajcarii wyśmienite, kuchnia francuska, sałaty, przyprawy, sosy – doskonałe, nabiał i kawa też takie, jakich się zapomniało w naszych strefach, bo Niemcy w czasie wojny nauczyli nas wszelakich „ersatzów”, przez co zepsuli u nas nawet to, co mieliśmy w zakresie kuchni własnego dobrego, zresztą zaś kuchni francuskiej i jej przysmaków nie mieliśmy – poza wyjątkowymi domami bogatych ziemian – nigdy. Na tarasie, gdzie jem obiad, wiatr od gór wieje silny, głęboko w dole jezioro się pieni i grzywa się na falach ukazuje jak na morzu. Góry na prawo – w chmurach i mgle, ale w Spiez świeci słońce. Nie wiem, czy to jezioro „Thuner-See”, nad którym siedzę, jest tak szczególnie niespokojne, czy to tylko chwilowo na skutek wiatru jest ono tak wzburzone, jak żadne inne z tych licznych jezior i jeziorek, mimo których dziś jechałem. Barwa wszystkich tych jezior, począwszy od Jeziora Czterech Kantonów – śliczna, ale szczególnie jedno z nich – niewielkie jezioro Arnen-See o gładkiej spokojnej powierzchni wód z odbijającym się w nim widokiem gór naprzeciwko – było tak śliczne i subtelne w barwach płowoseledynowych, jak najszlachetniejszy gobelin. Po godzinie siódmej wyjeżdżam ze Spiez do Brig – miasteczka nad górnym Rodanem, położonego u wylotu tunelu simplońskiego. Droga prowadzi przez tunele Lötschbergu do doliny Rodanu i doliną tą w górę. Kolej ta jest elektryczna. Prowadzi w samo serce gór, a Brig jest już niedaleko od wielkich pól lodowcowych w samej głębi Alp. Wieczór zapada i nie widać drogi, którą jedziemy. O godz. 9 jestem w Brig. Rzeczy zostawiam na dworcu i znajduję sobie nocleg w jakimś hoteliku. Zamierzałem stąd jutro wybrać się kolejką specjalną do Gletsch na lodowiec rodański, ale się dowiedziałem w hoteliku, że wody z roztopów w

górach, spowodowanych upałem, uszkodziły kolejkę, która jutro nie będzie funkcjonowała. Ha, co robić – człowiek suponuje, Bóg dysponuje.

16 sierpnia, rok 1923, czwartek
Nocowałem w Brig w jakimś niewielkim hoteliku, który sobie wczoraj wyszukałem. W nocy znów wypadł deszcz i grzmoty łoskotały po górach. Rano po zboczach pełzły ze szczelin, wąwozów i przepaści opary, jak żeby góry dymiły i szczyty były w mgłach mętne albo zgoła chmurami zasłonięte.
Licząc, że kolejka „Fürke-Bahn" – do Gletsch do źródeł Rodanu na lodowiec – nie funkcjonuje, nie próbowałem tam jechać. Ograniczyłem się więc jeno do wycieczki przez tunel simploński do Iselle. Miałem w moim bilecie skombinowanej jazdy odcinek z Brig do Iselle, więc nie myśląc długo wsiadłem do pociągu, idącego do Iselle, i pojechałem. Tunel simploński, jeden z cudów budownictwa kolejowego – największy na świecie tunel – ciągnie się na przestrzeni 40 kilometrów; jedzie się nim trzy kwadranse. W drodze kompletna noc, wagon oświetlony elektrycznością, z którą się oko oswaja, gdy wtem wybiega się po trzech kwadransach tej nocy w pełne oślepiające słońce. Okno trzymałem w tunelu otwarte, ponieważ lokomotywa elektryczna – dymu nie ma. Ale powietrze w tunelu ciężkie i ma ten sam charakterystyczny zapach podziemny, który mi jest dobrze znany z „*métro*" paryskiego. Dopiero w drodze, gdy pociąg był w biegu, dowiedziałem się od konduktora, że stacja Iselle po drugiej stronie tunelu leży już na terytorium włoskim. W ten sposób zabrnąłem do Włoch. Urzędnikowi włoskiemu w Iselle, który wszedł do wagonu sprawdzić paszporty, oświadczyłem, że wizy na wjazd do Włoch nie mam i że trafiłem tu przez nieporozumienie, sądząc, że Iselle jest jeszcze w Szwajcarii. Urzędnik nie pozwolił mi ruszać się ze stacji. Kazano mi się wynosić zaraz następnym pociągiem i ewentualnie zaopatrzyć się w Brig w wizę u konsula włoskiego. Urzędnik włoski nic nie wiedział o istnieniu Litwy i paszport mój oglądał, nie mogąc zrozumieć, z jakiego kraju pochodzę. Gdym mu mówił, że państwem moim jest „Lituanie" – nie rozumiał i wezwał do pomocy jeszcze kogoś innego, znającego lepiej język francuski, aby zrozumieć, o jakie to państwo chodzi. W paszporcie stało: „République de Lituanie". Zaglądał on do specjalnego notesu, w którym miał wynotowany spis różnych państw, nie wyłączając Albanii, ale i tam Litwy nie znalazł. Wreszcie, czując się bezradny, dał temu spokój i przyglądał mi się, sądząc zapewne, żem albo oszust o sfałszowanym dokumencie, albo jakiś dziwny okaz z niewiadomych krajów zamorskich. Sprawdził, czy moje nazwisko nie figuruje na liście osób poszukiwanych listami gończymi przez policję włoską (miał długa listę takich nazwisk). Zresztą szukał nie pod nazwą „Römer" albo „Römeris", jak stało w paszporcie moim, ale pod nazwą „Mykolas" (w paszporcie było „Mykolas Römeris", biorąc moje imię w brzmieniu litewskim za nazwisko i nie zważając na moje perswazje, że jest inaczej. Na koniec się uspokoił i pozwolił mi usiąść i pić wino chianti (w plecionej butelce włoskiej) w oczekiwaniu na pociąg. Zresztą obejście się było grzeczne i na żadną przykrość lub szykanę uskarżać się nie mogę. Wkrótce przyszedł pociąg, którym przez tunel wróciłem do Brig. Iselle leży jakby w lochu, ze wszech stron zaciśniętym górami. Tunel simploński tylko na chwilę się tam otwiera i zaraz za Iselle znów się kolej w tunelu chowa. Tylko w jednym miejscu widać jakby ciasny wysoki wąwóz, którym się zapewne Iselle niezależnie od tunelu ze światem łączy. Podczas gdy w Brig u północnego wylotu tunelu szczyty toną we mgle i oparach, a niebo zaciągnięte chmurami, tu w Iselle od strony południowej – słonecznie i pięknie, zbocza gór czyściutkie, jakby samo słońce swą Italię pieścić chciało. Błyszczą góry w słońcu, tylko las jodłowy na jednym ze zboczy szumi jak wichrem jesiennym smagany. A w Brig znów chmury i mgły na górach. Po przyjeździe do Brig dowiedziałem się, że kolejka do

Gletsch funkcjonuje i że żadnej przerwy nie było. Ale zostawał już tylko jeden pociąg i już dziś nie mógłbym z Gletsch wrócić. Chociaż więc z żalem – zaniechałem tej jazdy, tak ze względu na oszczędność czasu, jak ze względu na koszt. O ile bowiem w Szwajcarii w ogóle jest drogo, o tyle w górach jest drogo w dwójnasób. Wszystko tu – zarówno środki lokomocji, jak hotele i jedzenie, obliczone na cudzoziemców-turystów – wypada bardzo drogo. Szkoda, że nie ujrzę pola lodowego ani nie stąpię po śniegu, który jeno okiem widzę. Lodowca w ogóle nie widziałem nigdy w życiu.
Zdecydowałem się więc na powrót z gór i skierowałem się na Bern – stolicę Szwajcarii. Jazda z Brig do Spiez wzdłuż górnego Rodanu, później na Lötschberg, jest przepiękna, jedna z pewnością z najpiękniejszych dróg. Śliczne rzeki spienione brudno-kremowej albo białawej barwy, wodospady, olbrzymy górskie dokoła, doliny i wioski u stóp, wspaniała konstrukcja drogi – wszystko to jest piękne i czyni wrażenie potężne. Za Spiezem w kierunku Berna góry jakby się ucinają. Wyjeżdża się w równinę, urozmaiconą bardzo nędznym podgórzem, które zwłaszcza po górach wydaje się zgoła mizernym. Przyjechałem do Berna. Skończyła się moja króciutka, niespełna dwudniowa wyprawa w Alpy, zresztą wyprawa li tylko koleją żelazną. Na spacery po górach nie miałem ani czasu, ani stroju stosownego, a może nie miałbym i sił. W ogóle gór w życiu mało używałem i nie jestem w tych trudnych wędrówkach zgoła biegły. Bądź co bądź, rozrywkę miałem. Będąc w Szwajcarii – trzebaż choć spojrzeć na Alpy. Widziałem.
W Bernie jestem po raz pierwszy. Ładne miasto, jak wszystkie miasta w Szwajcarii. I dosyć duże. Stanąłem w jakimś hotelu, który, zdaje się, jest prowadzony przez jakąś sektę ewangelicką, bo obok mieści się i jakiś dom modlitwy, i kawiarnia z restauracją abstynencką, a w hotelu w pokoju leży Biblia na stole,

17 sierpnia, rok 1923, piątek
Właściwie zatrzymałem się w Bernie dla zwiedzenia zakładu wychowawczo-poprawczego dla nieletnich dziewczynek pod nazwą „Victoria” w Wabern pod Bernem. Kierowałem się w tym względzie wskazówką p. Leu, kierownika zakładu Closterfichten, który mi rekomendował zakład „Victoria” jako oparty na zasadzie podziału wychowanek na tzw. rodziny, czyli grupy po kilka wychowanek, tworzące pod dozorem i kierunkiem odpowiedniej guwernantki odpowiednie jednostki współżycia w zakładzie. Tu wszakże dowiedziałem się, że zakład „Victoria” jest pospolitym wychowawczym, który nic wspólnego z poprawczo-karnym nie ma. Zresztą w Szwajcarii oba typy – wychowawczy i poprawczy – jak to spostrzegłem na zasadzie poznanych przeze mnie zakładów – stykają się bardzo blisko i przeważnie się w pewnym układzie łączą. Nieletni ulega tu wychowaniu przymusowo; wychować się na obywatela jest mniej więcej taką samą powinnością, jak gdzie indziej powinność wojskowa, a wszelkie zboczenie z drogi tej powinności są prostowane metodą poprawczą, która w zasadzie nie ma celów innych, jak także wychowawcze. Wszystkie więc zakłady dla nieletnich, nie wyłączając dla nieletnich przestępców kryminalnych, są w zasadzie wychowawczymi i są skierowane do jednego celu społecznego, którym jest ukształcenie obywateli, uczynienie z nieletnich, z dzieci – użytecznych członków współżycia społecznego. Przekonały mię o tym i Closterfichten, i Neu-Hof, a i dziś miałem okazję przekonać się o tym raz jeszcze, zwiedzając zakład poprawczy dla bardziej występnych chłopców.
Zacząłem więc dziś moje zabiegi od tego, że zwróciłem się w Bernie do władz publicznych o informacje co do zakładów wychowawczo-poprawczych lokalnych. Skierowano mię do dyrekcji policji kantonalnej, w której ręku jest ta sprawa. Przyjął mię jeden z wyższych urzędników dyrekcji, który mi bardzo uprzejmie udzielił wszelkich wskazówek i skierował do zakładu w Tessenbergu, położonego na górze

Montague de Diesse w kantonie Bernu w pobliżu Neuchâtel, a więc właśnie tam, dokąd skądinąd podróż moja zmierza. Uprzedził on telefonicznie dyrektora zakładu i udzielił mi autoryzacji zwiedzenia zakładu – na piśmie. Po krótkim więc obiedzie wyjechałem o godz. 1 do Neuchâtel. Droga z Berna do Neuchâtel prowadzi przeważnie równiną o niewielkich o niewielkich wzniesieniach podgórza; kraj tu szczerze rolniczy, produkcja zbożowa na polach, pola otwarte bez tej ilości drzew owocowych, które czynią z pól między Bazyleją a Zurychem jeden sad owocowy bez kresu. W Neuchâtel złożyłem me rzeczy na przechowanie na dworcu i pociągiem koło godz. 3 wyjechałem w kierunku na Biel do stacji Ligerz (po francusku Gléresse) o pół godziny drogi koleją od Neuchâtel. Jest to samo pogranicze mowy francuskiej i niemieckiej. Ligerz jest położone nad jeziorem Biel, łączącym się rzeką z jeziorem Neuchâtel u stóp u stóp góry Montague de Diesse, stanowiącej wielką masę z obszernym „*plateau*" na niej, zaludnionym przez wsie i uprawnym; w głębi „*plateau*" wznosi się jakby drugie piętro góry, porosłe lasem. „*Plateau*" góry Diesse wznosi się o 800 metrów nad poziom morza, a o 400 metrów nad poziom równiny nad jeziorem Biel, z której wyrasta; drugie – lesiste – piętro góry sięga 1600 metrów nad poziomem morza. Ostatnie miasteczko przed Ligerz po drodze z Neuchâtel – miasteczko Neuveville – należy do terenu mowy francuskiej, Ligerz należy już do terenu mowy niemieckiej, a „*plateau*" góry Diesse – jeszcze do mowy francuskiej (zresztą wszyscy tu, jak przeważnie w całej Szwajcarii, znają oba języki, bo obu się uczy w szkołach krajowych). Z Ligerz na górę Diesse prowadzi kolejka *funiculaire*, pnąca się bardzo stromo po zboczu góry na wysokość 400 metrów, toteż jazda tym „*funiculairem*" tak w górę, jak w dół jest bardzo efektowna i czyni silne wrażenie; piękny się tu roztacza widok, a u stóp przy podnoszeniu się wagonetki *funiculaire*'u rośnie stroma przepaść. Na górze na stacji *funiculaire*'u czekał mię dyrektor zakładu w Tessenbergu – p. Anliker – Berneńczyk języka niemieckiego. Dużym automobilem, którym sam kierował, zawiózł mię najpierw do swego mieszkania, gdzie udzielił mi na pytania informacji, które sobie notowałem. Zakład ten należy do cięższych poprawczych – są w nim przeważnie chłopcy występni (kradzieże, występki przeciw moralności i dobrym obyczajom, ciężkie wypadki krnąbrności, hultajstwa, ciężkie wady charakteru i woli). Potem automobilem udaliśmy się do fermy zakładu, którą oglądaliśmy szczegółowo. Zakład ten wpierw funkcjonował na mniejszą skalę w innej miejscowości; dopiero od trzech lat zakupione tu zostały i oddane do użytku zakładowi duże grunta bagniste nieużytków, porosłych nędznym chwastem i karłowatą jodłą. W ciągu lat trzech bagna zostały przez zakład osuszone i wydrenowane, większa część zarośli wykarczowana i dziś już na tych gruntach widziałem wspaniałe urodzaje owsa, pszenicy, koniczyny i innych plonów, o jakich u nas na najlepszych gruntach nie mają pojęcia. Ferma, licząca 140 ha ziemi, posiada już dziś 12 koni, 60 sztuk bydła i 90 świń. Zabudowania zakładu są tylko tymczasowe dotąd, bo w roku przyszłym zbudowany będzie w innym punkcie fermy wielki budynek zakładu, rodzaj koszar z celkowym więziennym systemem lokowania chłopców, a obecne zabudowania czasowe pozostaną jako kolonia „Frei-Hof" dla chłopców, którzy są już na stosownej drodze poprawy. Główną dźwignią wychowania jest w tym zakładzie intensywna praca na fermie i w warsztatach, które się składają z pięciu zawodów, nie licząc rolnictwa (kowalstwo, stolarstwo, krawiectwo, szewstwo, robienie powozów). Dyrektor – miły, dobroduszny, trochę rubaszny, serdeczny i gościnny człowiek. Zapoznał mię z rodziną swoją, ugaszczał winem i kiełbasą robioną w zakładzie – doskonałą. Wieczorem na noc wróciłem do Neuchâtel.

18 sierpnia, rok 1923, sobota

Po przenocowaniu w Neuchâtel w jakiejś dziurze, zwącej się hotelem, wstałem wcześnie i po śniadaniu i napisaniu dziennika udałem się dla spełnienia mej misji do brata Edwarda Quartier-la-Tente, Wielkiego Kanclerza A.M.Y. („Association Maçonnique Internationale") – podług adresu, któryśmy mieli w Kownie, Przewidywałem, że może on już tam nie mieszka. Jakoż nie znalazłem go w liczbie mieszkańców domu. Do wszystkich dzwoniłem po kolei mieszkań, aby się coś o nim dowiedzieć, ale dom był jak wymarły, nigdzie nikt mi nie otwierał. Tylko wreszcie na samej górze otworzyła mi drzwi jakaś stara kobieta, od której się dowiedziałem, że Quartier-la-Tente wyjechał do Genewy na stałe i że o jego adresie w Genewie może mię poinformować właściciel domu, p. Bonhôte, zamieszkały w sąsiednim domu. Poszedłem tam, ale powtórzyło się to samo. Ani w mieszkaniu p. Bonhôte, ani w innych mi nie otworzono, tylko na samej górze jakaś kobieta poinformowała mię, że p. Bonhôte, architekt, zajęty jest właśnie przy budowie domu w Serriéres, w pobliżu Neuchâtel, w miejscowości słynącej sławną fabryką czekolady Sucharda. Musiałem szukać p. Bonhôte, co mi nie poszło łatwo, ale wreszcie znalazłem. Jednak p. Bonhôte nie pamiętał jego adresu, ale za to wskazał mi, że w banku kantonalnym pracuje syn Quartier-la-Tente. Udałem się więc tam, ale syna nie zastałem. Wszakże jego kolega bankowy udzielił mi adresu genewskiego. Nie było innej rady, jak jechać do Genewy. Miałem jeszcze parę godzin czasu na Neuchâtel. Zjadłem obiad, jeden z tych doskonałych obfitych obiadów szwajcarskich, które męczą przeładowaniem żołądka, choć się na razie wydają lekkie, i poza tym miałem zaledwie jakąś godzinkę niespełna czasu. Neuchâtel, ile go poznać w mojej włóczędze przy poszukiwaniu adresu Quartier-la-Tente'a zdołałem, jest miastem niewielkim. Jak wszystkie miasta szwajcarskie, jest czyściutkie, urządzone i wytworne, najpiękniejszą zaś jego ozdobą jest jezioro. Było dziś rano ono wzburzone, pieniło się i biło wielką, prawie jak w morzu, falą o brzegi. Chwilami jezioro neuchâtelskie traci barwy wód alpejskich i błękitnieje, ale znów z innych punktów lub w innym układzie wiatru i chmur oraz powietrza, wpływających zawsze na barwę powierzchni wody, odzyskuje nieskalane piękno seledynu i zieleni wód alpejskich. Ślicznie dziś z Neuchâtel prezentowały się na horyzoncie dalekim góry. Żałowałem bardzo, że mi zabrakło czasu do przejechania się *funiculaire*'ami neuchâtelskimi; jazda ta musi tu być bardzo efektowna, bo zbocza wzgórz, po których się one pną, są bardzo strome i skaliste, a wysokość względnie bardzo wielka, sięgająca 1000 metrów. Neuchâtel, mając z frontu jezioro z rozległym widokiem, zamkniętym daleką koronką szczytów, z tyłu jest przytulone do zbocza góry podgórskiego typu i jest tym zboczem ściśle zamknięte, tak że znaczna część miasta, nie mieszcząc się u jego stóp nad jeziorem, pnie się po zboczu w górę.
O godz. 2 wyjechałem z Neuchâtel i o godz. 5 z minutami byłem w Genewie. Droga z Neuchâtel do Genewy przez Lozannę za najładniejszy szczegół ma widok linii koronkowej szczytów dalekich, widocznych w ciągu jazdy nad jeziorem neuchâtelskim i pod Lozanną znowu widok gór, dostrzeganych za Jeziorem Lemańskim. Zresztą jedzie się przez kraj rolniczy, zaludniony. Pod Neuchâtel mocno rozwinięta jest uprawa latorośli winnej na zboczach wzgórz, wznoszących się nad jeziorem: wyrabia się tu kwaskowate cienkie i lekko musujące winko lokalne. W Genewie stanąłem w hotelu Suisse w pobliżu dworca. Genewa, elegancka i ożywiona, pełna ruchu, z widocznymi już wpływami Paryża, sprawia wrażenie ładne. Jestem w stolicy Szwajcarii francuskiej. Co uderza w prasie szwajcarskiej i w krótkich rozmowach przelotnych, jakie mi się tu trafiają, to rozdwojenie Szwajcarii na francuską i niemiecką nie tylko językowe, ale i w usposobieniach politycznych; i propaganda z dwóch stron – francuskiej i niemieckiej – jest bardzo silna. Zdaje mi się, że potężne czynniki pracują nad rozbiciem jedności szwajcarskiej, co w dalszej konsekwencji zagrozi i samej państwowości Szwajcarii.

Kantony mowy niemieckiej są germanofilskie, kantony francuskie traktują sprawy polityczne przez pryzmat koncepcji franko-belgijskiej. Zapewne w ludzie szwajcarskim są jeszcze mocne czynniki spajające, ale separatyzm robi swoje, a nigdy bodaj nie był on tak zaakcentowany, jak podczas i po Wielkiej Wojnie. Mam wrażenie, że gdyby zaszła kolizja między uczuciem lub interesem francuskim czy niemieckim narodowym a szwajcarskim państwowym – ogromna ilość Szwajcarów dałaby pierwszeństwo pierwszemu. Państwowość szwajcarską ratuje jej neutralność. Dla mnie osobiście Genewa ma jeszcze tę atrakcję szczególną wspomnienia, że jest ona kolebką poczęcia mojej córki Cesi. W Genewie raz tylko dotąd byłem – z Reginą w r. 1909 późną jesienią po naszym ślubie i jedną tu tylko noc spędziłem, a nocy tej poczęło się nasze dziecko.

19 sierpnia, rok 1923, niedziela
[Dopisek do rysunku]: do soboty 18 sierpnia!
znak przez omyłkę umieszczony pod datą 19.VIII.
Wszystko w Genewie załatwione. Mogę jechać do Paryża. Szwajcaria zajęła mi aż nadto czasu. Na Paryż mi już mało zostaje, a 2-3 dni chcę jeszcze po Paryżu poświęcić Holandii. Toteż dziś chciałem jak najwcześniej wyjechać z Genewy. Wiedziałem, że pociąg bezpośredni do Paryża odchodzi o południu. Niestety, poinformowano mię na dworcu, że pociąg ten nie ma III klasy, a pociąg express do Paryża z III klasą odchodzi dopiero po godz. 8 wieczorem. Różnica ceny wynosi 11 franków szwajcarskich, toteż zdecydowałem się zaczekać w Genewie do wieczora, tym bardziej, że zaoszczędzę przez to nocleg (przez noc jechać będę) i będzie mi wygodniej przyjechać do Paryża rano, niż wieczorem. Dnia przez to w Paryżu nie stracę, jeno noc jedną, a choć będę może pierwszego dnia zmęczony, to mniejsza, bo ten pierwszy dzień poświęcę w Paryżu włóczędze po mieście, wycieczce do St. Cloud itd., a dopiero nazajutrz (pojutrze) zabiorę się do wizyt i interesów. Chcąc nie chcąc więc spędzam cały dzień dzisiejszy w Genewie, która zresztą jest do widzenia ciekawa. Jest to miasto wytworne, a klasycznie pięknym jest wybrzeże jeziora du Mont Blanc. Śliczne pałace, hotele, gazony i klomby, Jezioro Lemańskie, pełne ruchu łodzi przeróżnych, ruch publiczności eleganckiej, piękna wyspa u wylotu Rodanu, sam Rodan, wreszcie przez czas krótki rano puszczona była wielka fontanna na jeziorze, bijąca tak wysoko, jakem nigdy nie widział w życiu. Przyglądałem się temu wszystkiemu i wałęsałem się dzień cały. Genewa u wybrzeża jeziora przypomina mi Niceę, jak ją sobie wyobrażam, bom zresztą nie widział jej nigdy. Chciałem przy sposobności zapoznać się i pogawędzić z prof. Oskarem Haleckim, młodym uczonym polskim, który tu mieszka w Genewie i jest czynny przy Lidze Narodów, a w szczególności jest sekretarzem tzw. Komisji Międzynarodowej „*de coopération intellectuelle*”, założonej przy Lidze Narodów. Byłem w Pałacu Ligi Narodów i dowiedziałem się jego adres, ale go w Genewie nie zastałem. Na tym mi upłynął dzień. Wieczorem koło godz. 9 wyjechałem z Genewy. Na stacji Bellegarde – granica francuska, sprawdzanie bagaży i paszportów. Idzie to tak, jak przed wojną przy wyjeździe z Rosji: trzeba rzeczy wynosić z wagonu do specjalnej sali celnej na dworcu, gdzie urzędnicy go przeglądają i tamże sprawdzają paszporty. Przed wojną w Europie – prócz Rosji, Turcji i państw bałkańskich – nigdy przy przejeździe granicy żadnych paszportów nie żądano, a rewizja bagaży dokonywana była wewnątrz pociągu. Wojna cofnęła te ułatwienia i granice państw uczyniła ściślejszymi. Zresztą rewizja paszportów i rzeczy idzie dość gładko i grzecznie, Znów siadamy do pociągu, który jest przepełniony, i ruszamy w dalszą drogę.

20 sierpnia, rok 1923, poniedziałek

Koło godz. 10 pociąg nasz staje w Paryżu na *Gare de Lyon*. Jestem dość zmęczony; w nocy drzemałem, ale tylko w pozycji siedzącej; nie było miejsca na położenie się. Wychodzę z dworca; jestem dość oszołomiony. Wielki ruch, automobile, zgiełk na placu i na ulicach, które dostrzegam. Postanowiłem zamieszkać w Paryżu w dzielnicy studenckiej, w klasycznym „*quartier Latin*", który jest jakby osobnym miastem w Paryżu i z którym mię łączą wspomnienia szczególne, w jednym z małych hotelików, którymi się roją uliczki otaczające główną arterię tego kwartału ukochanego – bulwar St. Michel, czyli „Bul-Misz", jak go popularnie w kwartale łacińskim zowią. Nie pamiętałem okolic „*Gare de Lyon*", ale z pomocą policjanta znalazłem przed dworcem tramwaj, idący w kierunku pożądanym – na „*rive Gauche*" Sekwany – w kierunku bulwaru St. Germain wzdłuż. Nie dojeżdżając bulwaru St. Michel wysiadłem i poszedłem pieszo, odnawiając w pamięci każdy szczegół ulicy bulwaru St. Germain i uliczek poprzecznych i witając w każdym skrawku muru, w każdej niemal kawiarence coś znajomego i drogiego sercu, jak przyjaciela lat dawnych, którego się odnajduje po wielu latach zapomnienia z sentymentem zawsze jednakim. Ze szczególnym uczuciem tęsknoty i ulgi powitałem bulwar St. Michel, serce studenckiego kwartału, żywy i nie starzejący nigdy kwiat młodości, która i moją tu była. Te same odwieczne kawiarenki – *la Source*, *Café Soufflot*, *D'Harcourt*, *Taverne du Panthéon*... Mało tu zmian, przeważnie tak, jak było przed laty; te same kawiarenki, sklepy, cały charakter rzeczy i ruchu ten sam. Wlazłem w małą uliczkę Sorbony i tam w malutkim mikroskopijnym hoteliku – hoteliku studentów i ich miłostek przelotnych z gryzetkami „*du quartier*" – w jakimś „hôtel de Lutéce" nająłem sobie na czwartym piętrze pokoik, ładny i czysty, złożony z sypialni i przedpokoiku, z łożem równie szerokim, jak długim, w którym ze cztery osoby by się zmieściły. Hotelik typowy, położony wprost przez wąziutką uliczkę naprzeciwko sędziwych murów poważnej Sorbony, jeden akurat z tych, w których się gnieździły nasze pracowite koleżanki, studiujące literaturę lub historię na Sorbonie i tęskniące w wolnych od pracy chwilach do kolegów i do przyszłego męża, który był nie mniejszą atrakcją i dążeniem ich studiów, niż nauka. Hotelik, złożony z wąziutkich krętych schodów od dołu budynku do góry i z trzech pokoików na każdym piętrze, przylepionych jak gniazdka jaskółcze do miniatury galeryjki schodów. Poszedłem się zaraz włóczyć po mieście, ogolić, napić kawy w jednej z kochanych kawiarenek „*quartier*", zjeść obiad u Duvala, przypomnieć sobie to życie dzielnicy, w której się tyle przeżyło w ciągu trzech lat słonecznej młodości, tyle wzruszeń doznało, tyle chwil pięknych prześniło, przemyślało, przebawiło i przetęskniło. Włóczyłem się po tych uliczkach jak po kraju zaczarowanym. Ich same imiona, ich kawiarenki, ich wyraz, te wszystkie uliczki Champolion, Monsieur le Pince, Serpente, du Vieux Colombier, Seine, Jacob, Buci, Mazarine, St. André-des-Arts itd., itd. – wstawały przede mną jak sen i budziły rój wspomnień, rój obrazów młodości homerycznej, przygód, życia studenckiego, pełnego ruchu, wielkich marzeń, idei nieśmiertelnych, dążeń i walk przeczystych, a zarazem żartów, śmiechu, zabawy, miłostek, scen i wydarzeń, które utonęły w przeszłości lat dwudziestu. Potem pojechałem metropolitenem podziemnym, którego za moich czasów na lewym brzegu Sekwany jeszcze nie było, na bulwar Raspail, gdzie pod nr 295 przy samym placu „du Lion de Belfort" (plac Denfert Rochereau) przemieszkałem całe trzy lata moich studiów paryskich; teraz plac się rozrósł w ruchu, wypiękniał, posiadł ożywioną komunikację, przeistoczył znacznie na wielką arterię tranzytową miejską. Posiedziałem na ławeczce przed domem, w którym tyle przemieszkałem; patrzałem i tęskniłem. W całej tej części Paryża, zarówno w tej gęstwinie uliczek studenckich kwartału, w których nasze stosunki koleżeńskie płynęły, to znaczy na przestrzeni mniej więcej między Sekwaną, kościołem St. Germain-des-Prés i ulicą de Rennes a Luksemburgiem a ulicą Gay-Lussac, jak w moim starym

gnieździe mieszkalnym na kresach Raspail – ostatecznie typ pozostał ten sam, tylko ruchu przybyło, tylko życie bardziej kipi, tylko arterie komunikacji, stanowiące najistotniejszy wyraz wielkomiejskiego oblicza, nieco się zmieniły i rozrosły. Pod tym względem szczególnie mi się wydał zmienionym i uruchomionym ładny nasz bulwar St. Germain, poprzecinany komunikacją podziemną, zgiełkliwy ruchem samochodów, autobusów i tramwajów. Bul-Mich mniej się zmienił. Szczególnego piękna nabrał w tym wielkim ruchu nerwowym poważny samotny kościół St. Germain-des-Prés albo St. Culpice, jak Mohikanie przeszłości średniowiecznej, posągowo głębokiej i wieczystej na tle zgiełku nowego życia. Z żalem wielkim spostrzegłem, że znikły stare charakterystyczne tramwaje, omnibusy oraz autobusy paryskie, wysokie, dwupiętrowe z siedzeniami na „imperiale", skąd się miało widok jak z wieży i jechało się z trzy „susy" (3 sous – 15 centymów) po królewsku. Te olbrzymy, sunące po ulicach Paryża jak wieże lub góry, do których oko i pamięć tak przywykły że się do nich tęskni zawsze myśląc o Paryżu – znikły na zawsze. Są one zastąpione szablonowymi tramwajami elektrycznymi z siedzeniami wyłącznie we wnętrzu i takimiż autobusami, które, straciwszy na wysokości, rozrosły się w długość. Odwiedziłem też St. Cloud. Rój wspomnień mię ogarnął w Paryżu Kwartału Łacińskiego i w St. Cloud. Smutno mi się zrobiło.

21 sierpnia, rok 1923, wtorek
Taki mię smutek ogarnął wczoraj w tych cieniach wspomnień i pamiątek, po których się wałęsałem, że gotów byłem uciekać z Paryża i gdybym nic tu nie miał do załatwienia – byłbym może uciekł. Zrobiłem już nawet postanowienie, że nigdy już w życiu do Paryża więcej nie przyjadę i uroczyście to sobie przyrzekłem. W tym też guście pod wpływem tych wrażeń napisałem z St. Cloud do Maryni. Pisała mi ona do Kowna, gdy się dowiedziała o moim zamiarze lotu aeroplanem, że próżno brawuję me siły i szukam wrażeń jak młody, gdy życie mię już ku starości nakłania i siły nie wytrzymują wszystkiego, co młodość znieść może. Bagatela aeroplan; starczy mi jeszcze sił i do lotu, i do zniesienia o wiele większych zmęczeń; nie boję się ich i czuję, że im podołam. Ani aeroplan, ani żadne ciężary podróży, gdyby mi nawet przyszło na wielbłądach podróżować przez Saharę, nie byłyby w stanie mię zgnębi. Ale co mię zgnębiło i co rzeczywiście było w pierwszej chwili nad siły moje – to Paryż, to mianowicie ten szkielet wspomnień, który wczoraj jak upiór mojej młodości i mojej przeszłości paryskiej sprzed laty 20 stanął przede mną. Poruszyło mię to tak, że znieść tego na razie nie mogłem. Widok tych miejsc i otoczenia, w których tę młodość przeżyłem, tak ostro podziałał na mnie, że stanąłem w rozpaczy, zgryziony tęsknotą, jakiej dawno nie doświadczałem. Gdybym tu ciągle mieszkał, to by mię te wspomnienia tak nie drażniły. Ale ujrzeć Paryż w tej dzielnicy studenckiej, którą pożegnałem przed laty 18 i ujrzeć ją dziś bez tego, co było wtedy treścią i żywą krwią mojego życia i moich stosunków ówczesnych – to było za ciężko. Cóż mi po murach i miejscach, co po szkielecie kochanym, kiedy on już upiorem jest tylko! Nie napełni się on już dla mnie ówczesnym moim życiem, ówczesnymi stosunkami, ludźmi i całą tą ówczesną treścią psychiczną. To samo w St. Cloud. Wstąpiłem tam znowu do tej kawiarenki przy placu d'Orléans 1, która należała niegdyś do rodziców mojej Suzanne, siedziałem na tarasie, gdziem z nią tylekroć siadywał, gdzie wykwitło tyle uczuć moich, tyle scen tej wiośnianej miłości, mego zwycięstwa okrutnego nad p. Joubeau w pozyskaniu dziewczyny – cała epopeja, która jak rakieta barwami mi zabłysła i pozostała w sercu jak kwiat słoneczny. Nie kochałem Suzanne ani w setnej, ani w tysięcznej części jak Annę moją potem, toteż ten epizod życia z St. Cloud jest dla mnie tylko pięknym jak kwiat, ale zimnym i nie spalającym życia, jakim była śmierć Anny, która życie moje osobnicze zamknęła.

Pomimo to smutno mi było dotykać zmysłami miejsc, budzących upiora tej epopei romantycznej z St. Cloud. Wszakże bez żadnego porównania cięższym był dla mnie Paryż, niż St. Cloud. Nie trzeba budzić upiora, bo jest on straszny i ciężki, straszniejszy – o, straszniejszy o wiele – od lotu aeroplanem. Nie pomogłoby mi nawet, gdybym spotkał i ujrzał kogoś z tych ludzi, z którymi niegdyś tu żyłem za koleżeńskich młodości stosunków. I oni byliby już inni, i ja inny, i stosunki – różne. Nie wskrzesi się już to, co było tutaj dla mnie przed laty 20. Jest to rzecz umarła. Głupstwo zrobiłem, że zajechałem w Paryżu właśnie do *quartier Latin* i że łaziłem po tych uliczkach, szukając żywych wspomnień moich. Nie pomyślałem o tym, że znajdę tylko upiora. Trzeba być studentem, żeby mieszkać w *quartier Latin*. Zresztą zmęczony byłem nocą niewyspaną w podróży i dlatego szczególnie znerwowany. Drugi raz nie zrobię tego. Pod wieczór wczoraj już ochłonąłem. Gdym wyszedł na wielkie bulwary, gdym sobie dał wejść spokojnie w tętno paryskie i popłynął w nim jak kropla w arteriach ruchu Paryża żywego, odzyskałem równowagę i odnalazłem – odczułem znowu – mój Paryż kochany, żywy i nieśmiertelny. Gdym w Paryżu siebie szukał sprzed laty, stanął upiór przede mną, bo to już umarło; ale Paryż nie umarł bynajmniej. Żyje – jest ten sam i jest taki sam, jaki był za moich czasów. Wszak do Paryża jechałem dla Paryża, który kocham – i oto znalazłem go i mam go. I już nie myślę zarzekać się przyjazdu na przyszłość. Tylko już innym razem nie będę szukać tu moich lat studenckich i samego siebie młodego, bo to żyje li tylko w najgłębszych jaskiniach mojej pamięci, a nie w Paryżu. Dziś jestem zupełnie z Paryżem pojednany i mam w nim mojego kochanego przyjaciela, do którego zawsze tęskniłem i którego oto widzę, obcuję i czuję. Tak bywa czasem, że witając dawnego przyjaciela po długich leciech rozłąki, szukamy w nim niebacznie nie tę jego trwałą ciągłą istotę, lecz samych siebie sprzed laty w stosunku naszym z przyjacielem, a nie znajdując – doznajemy zawodu; natomiast przyjaciel pozostał sam sobą i stopniowo odzyskujemy w nim ten jego urok, który nas z nim trwale wiązał.
Byłem wczoraj w charakterystycznym teatrzyku „Du Grand Guignol”. Dziś cały dzień zeszedł mi na włóczędze po Paryżu i próbowaniu załatwiania różnych rzeczy, które tu do załatwienia mam. Ale prawie nic nie załatwiłem. Pomimo ulepszonej komunikacji (głównie métro), tyle czasu się zużywa na przejechanie z jednego punktu do drugiego, że wszystko bardzo powoli się załatwia. Zdobyłem tylko wizę belgijską (bezpłatną, jako dyplomatyczną) na przejazd do Holandii, poza tym nie zastałem nikogo, kogo szukałem. Za to o kilku osobach, które muszę widzieć, dowiedziałem się, gdzie są i kiedy można zastać, toteż jutro dzień powinien być pod tym względem owocniejszy. Dr Bolesława Motza, którego adres zdobyłem – nie zastałem: wyjechał na wakacje; ale przynajmniej, mając adres, będę mógł do niego napisać i może się od niego dowiem o miejscu pobytu panny Teodozji Kochanowskiej, z którą chciałbym bardzo się skomunikować.

22 sierpnia, rok 1923, środa
Dziś już więcej zrobiłem, niż dni poprzednich. Ale w ogóle załatwianie wszelkich interesów w Paryżu idzie mi bardzo powoli. Przestrzenie są tu olbrzymie, od jakich zgoła odwykłem, toteż przy załatwianiu każdej, choćby najdrobniejszej rzeczy, niezmiernie dużo czasu się marnuje na samą drogę, a to tym bardziej, że jednak pomimo mojej znajomości Paryża, nie znam go oczywiście tak na wylot, bym całkowicie panował nad rozkładem ulic i dzielnic. Zmęczony też się już czuję fizycznie i całą swoją dotychczasową podróżą, i samym Paryżem. Dziś zastałem już Woronieckiego, od którego rozpocząłem swoją wędrówkę ranną. Niestety, doręczył mi on zaledwie trzy listy. które nadeszły do mnie. A przecie pisałem z drogi dużo – co

drugi dzień regularnie do kogoś ze znajomych, przeważnie w Polsce (oczywiście korzystając ze sposobności komunikacji pocztowej z Polską, bo z Litwy komunikacja bezpośrednia nie istnieje i tylko pośrednio przez osoby, jadące za granicę lub za pośrednictwem w krajach neutralnych listy do Polski wysyłać można), co drugi dzień też pisałem do Bohdaniszek (do Maryni, do Stefana Römera, raz do Andrzeja). Otrzymałem zaś tylko trzy listy, choć prosiłem wszystkich o adresowanie odpowiedzi na imię Woronieckiego w Paryżu. Listy otrzymałem od Tadeusza Wróblewskiego, od Bronisława Miętkiewicza i od Maryni z Bohdaniszek jedyny! W listach tych nic zresztą szczególnego. Nieco ciekawszym jest list Miętkiewicza ze względu na szczegóły o całym szeregu znajomych w Kolnie. Z Woronieckim dopiero tu się poznałem. Rekomendowała mi go Hela Ochenkowska jako swego przyjaciela i gorąco mi zalecała poznanie go; to mię upoważniło do skorzystania z jego adresu do korespondencji. Jest to człowiek młody – literat, krytyk literacki i krytyk sztuki. Ponieważ sam pochodzi z rodziny, która niegdyś była osiadła w okolicach Brasławia na Litwie (w obecnej Wileńszczyźnie północnej), więc go zajmuje sprawa litewska; oczywiście przeto nawiązał ze mną rozmowę na temat stosunków litewsko-polskich i stosunków wewnętrznych w Litwie. Ale się mamy jeszcze z nim spotkać, więc dziś był nie koniec naszej rozmowy. Uprzedzony jest do Litwy i Litwinów jak wszyscy Polacy i wciąż śpiewa piosenkę o federacji i o odstąpieniu przez Polskę Litwie Wilna za tę cenę. Poza tym załatwiłem dziś sprawunki dla Zosi Eugeniuszowej Römerowej i byłem w poselstwie litewskim, którego długo szukać musiałem. Poseł litewski Miłosz przyjął mię herbatka poufną i udzielił mi wiadomości o stanie sprawy kłajpedzkiej, w której Rada Ambasadorów ostatecznie ułożyła warunki wcielenia Kłajpedy do Litwy i zakomunikowała je Litwie w postaci swojej decyzji, żądając w ciągu miesiąca odpowiedzi twierdzącej lub odmownej bez zastrzeżeń. Jak wiadomo, kwestia statutu autonomicznego Kłajpedy poważniejszych trudności nie budzi, lecz natomiast najtrudniejszymi dla Litwy są warunki, zastrzeżone na rzecz Polski, a więc otwarcie dla Polski tranzytu przez Litwę do Kłajpedy nie tylko drogą wodną przez Niemen, ale i kolejową – i to w obecnym stanie stosunków między tymi państwami, oraz udział Polski w radzie nadzorczej portu kłajpedzkiego. Wprawdzie ten ostatni punkt uległ pewnym zmianom, bo zarząd portu należeć będzie już nie do tej rady mieszanej, jeno do autonomicznego rządu Kłajpedy, a rada będzie tylko czuwała nad tym, by się stronom zainteresowanym krzywda nie działa – i chociaż z rady wykreślony został przedstawiciel Ententy czy Francji, a pozostawieni są tylko przedstawiciele trzech stron – autonomicznej Kłajpedy, Rzeczypospolitej Litewskiej i Polski i delegat polski ma być przedstawicielem nie politycznym państwa polskiego, jeno przedstawicielem interesów gospodarczych polskich, to znaczy, że ewentualnie byłby wybierany przez organizacje ekonomiczne Polski, ale faktycznie oczywiście będzie rzecznikiem także politycznych dążeń Polski, bo się oddzielić nie da, a każdy z członków rady – więc i Polak – będzie mógł z zachowaniem pewnych warunków formy odwoływać każdy wypadek, który uzna za krzywdzący stronę polską i jej zastrzeżone prawa tranzytowe, do Ligi Narodów jako arbitra. Byłoby to więc ciągłe źródło jątrzeń. Takie są główne warunki tej trudnej kwestii, postawione Litwie do kategorycznego przyjęcia. W ambasadzie litewskiej przywitał mię bardzo serdecznie niejaki Kuczyński, który w niej pracuje. Kiedyś – w r. 1905 – w ostatnim roku mego pobytu w Paryżu, kiedy mieszkałem w St. Cloud, poznałem go i zaopiekowałem się nim. Był on wtedy uciekł od prześladowań rosyjskich z Suwalszczyzny. Ja zapomniałem o nim i na razie nie mogłem sobie przypomnieć, ale on zachował tak żywą i gorącą wdzięczność i niemal kult dla mnie, jak zaiste tylko Litwin wdzięczny być potrafi. Mam się z nim jutro jeszcze spotkać i wieczór spędzić razem. Teraz go już sobie przypominam. Poczciwy to i dobroduszny człowiek, o

wykształceniu i inteligencji miernej, ale grunt zacny i serce żywe. Miło jest tak po wielu leciech doświadczyć wdzięczności za usługi, o których się już nawet zapomniało. Kuczyński od r. 1905 już na stałe pozostał w Paryżu.
Wieczór dziś przewłóczyłem się po bulwarach.

23 sierpnia, rok 1923, czwartek
Pod wieczór miałem na avenue des Champs Élysées w pewnej kawiarni spotkanie z Woronieckim, a potem wieczorem w Café de la Paix na rogu Placu Opery spotkanie z Kuczyńskim. Z tym ostatnim cały wieczór spędziłem. On mi wszystko fundował i za nic się nie zgadzał, bym za cokolwiek bądź płacił. Ten człowiek ma dla mnie wdzięczność, która z pewnością przekracza moje niegdyś usługi. Aż się dziwiłem, jak pamięta on dokładnie sprzed lat 18 każdy szczegół z mojego życia, z moich stosunków, z naszych z nim niegdyś rozmów i spędzanego czasu. Serdeczność i życzliwe przygarnięcie, które znalazł wtedy u mnie, wytworzyły w jego sercu kult dla mnie, który dziś po latach 18 jest tak samo żywy, jak niegdyś. I choć niezbyt dobrze dziś na jego fundowaniu wyszedłem pod względem zabawy, jednak wieczór był mi miły ze względu na serdeczność towarzysza wieczoru. To jest rzecz, która się przecież nie kupuje i która w tym stopniu jest rzadka. Kuczyński, choć od lat 18 mieszka w Paryżu, jest słabym Paryżaninem – niezbyt biegłym, gdy chodzi o czynienie gościowi honorów Paryża. Na kolację zaprowadził mię do wielkiej co prawda, ale wcale nie świetnej pod względem usługi i jedzenia restauracji włoskiej na wielkich bulwarach; już bym wolał u skromnego, ale, moim zdaniem, doskonałego tradycyjnego Duvala. Obiad ten w nocy przechorowałem. Zaś na zabawę zaprowadził mię do Folies-Bergéres, które stanowią jeden z najbardziej szablonowych wielkich szantanów, który był szablonowym już nawet za moich czasów przed laty 20, a który był świetnym i oryginalnym o wiele wcześniej przede mną i stąd ma imię imponujące profanom i ściągające tłumy przyjezdnych żądnych sensacji gości, nie umiejących trafić do żywych gniazd istotnych oryginalności bawiącego się Paryża. W Folies-Bergérach wynudziłem się, bo na scenie przedstawiano głównie różne choreograficzne i dekoracyjne efekty na olśnienie cudzoziemców – na ogół banalne i płytkie, a ponieważ do miejsc naszych trudno się nam było przecisnąć, więc staliśmy na samej górze w galeriach w upale takim, że mokry byłem od potu jak szczur i tylko w antrakcie wypoczywałem, bawiąc na sali foyer, słuchając dzikiej muzyki murzyńskiej, pijąc napoje mrożone i przyglądając się publiczności w zgiełku kamlotów, wykrzykujących różne sprzedawane artykuły – jakieś ilustracje, pocztówki, pamiątki itd. Ale antrakt trwał za krótko, a przedstawienie i pocenie się – stanowczo za długo.
A teraz, nie opisując pedantycznie szczegółów, co i po czym robiłem, udzielę miejsca różnym moim ogólnym wrażeniom i spostrzeżeniom z Paryża po 14 leciech niebytności (byłem w Paryżu po raz ostatni – wprawdzie króciutko – w roku 1909 po moim ślubie z Reginą). Obecnie jest już Paryż miastem prawie wyłącznie automobilów i w ogóle komunikacji automatycznej. Konie stały się rzadkie. Widuje się je jeszcze dość dużo w zaprzęgach ciężarowych i zwłaszcza rozwożących po Paryżu różne produkty (z tradycyjnym psem na koźle, strzegącym nietykalności powierzchni i zawartości wozu, gdy się gospodarz oddala); ale i w ciężarowych wozach postęp automobilowy jest duży; wielkie firmy posługują się automobilami. Nie widziałem wielkich wozów ciężarowych, jak niegdyś, ciągnionych czasem przez kilkanaście olbrzymich jak słonie koni, koni w lejc koń przed koń z wielkimi boa na karku, co czyniło wrażenie jakiejś karawany zgoła niepospolitej. Dorożki konne – fiakry – są jeszcze, ale już znikają; są one bardzo rzadkie. Te stare „fiakry” paryskie – latem w otwartych powozach – są już objawem szczątkowym, którego już tu zapewne przy następnym pobycie w Paryżu,

jeżeli jeszcze kiedyś będę – nie ujrzę. Miejsce fiakra zajął „taxis" – automobil uliczny najemny, który za moich czasów był już wprawdzie dość liczny, ale był jeszcze w mniejszości. Fiakra się ujrzy w Paryżu zaledwie parę razy na dzień, jak jakieś zabłąkane widmo przeszłości. Czytałem tu w gazetach, że w Londynie odpowiednik i kolega fiakra paryskiego – piękny i oryginalny „kab"[173] (keb) londyński – już zanikł całkowicie. Ale za to ginący fiakr paryski ma powodzenie; w naturze ludzkiej jest tęsknota do rzeczy ginących, które człowiek zresztą sam gubi. Jak lubiono oglądać żubry w Puszczy Białowieskiej, tak modnym jest dziś w Paryżu przejechanie się fiakrem, o którym się wie, że jego dni są policzone; zresztą fiakr może służyć tylko temu, komu się nie śpieszy. Wspominałem, zdaje się, pierwszego dnia, że autobusy i tramwaje w Paryżu są już inne, niż dawniej: tych wysokich z imperiałami sięgającymi piętra, z których na starych wąskich uliczkach można było do mieszkań na piętrze okna zaglądać, już nie ma. O omnibusach konnych z olbrzymimi kołami, wyższymi od wzrostu wysokiego człowieka – ani już mowy nie ma: już za moich czasów ginęły one, ustępując miejsca autobusom. Ale już i starego fasonu autobusów nie ma. Tych starych omnibusów, autobusów i tramwajów z imperiałami paryskich żałuję. Były charakterystyczne i ładne. Za to inne teraz olbrzymy kursują: są to wielkie jak jakieś okręty lub łodzie ogromne – automobile wycieczkowe firmy Coocka lub innych, jakich się w Alpach mnóstwo widuje jeżdżą nimi przeważnie Anglicy i Angielki. W takiej maszynie siedzi cała kolonia ludzka turystów. Już teraz nawet ulice się polewają w Paryżu automobilami specjalnymi, które jeżdżą specjalnie w tym celu i rozpryskują wodę wszerz szeroką linią, mieszcząc w sobie duże rezerwuary zapasu wody. Ogromną rolę w komunikacji miejskiej zdobył teraz „métro" i rywalizujący z nim tzw. „Nord-Sud", stanowiący takąż kolej elektryczną kolej podziemną, należącą do innego towarzystwa. Za moich czasów było zaledwie parę linii „métro" na prawym brzegu Sekwany, toteż komunikacja ta nie była powszechna. Dziś „métro" i Nord-Sud rozrosły się w ogromną rozgałęzioną na cały Paryż sieć komunikacyjną. Linie się przeplatają, przecinają, korespondują i właściwie dziś już prawie wszędzie w Paryżu tym środkiem dojechać można. I ja też w moich wędrówkach forsownych po Paryżu dużo się w tych dniach métro posługiwałem. Czasem godziny całe i więcej mi schodziły w métro (i Nord-Sud) jadąc, przesiadając z linii na linię i znów jadąc. Dla dalekich przestrzeni po Paryżu jest to komunikacja najtańsza i ze środków publicznych najszybsza, przeto najwygodniejsza; jest ona nawet ładna, ma swoje piękno swoiste i mają te pociągi podziemne z ich gwizdkami i całym ruchem nerwowym coś tajemniczego i niepokojącego, ale maja dwie wady: zaduch i to, że się przy tej jeździe nie korzysta z widoku Paryża. Z prawego na lewy brzeg Sekwany kolejki podziemne przechodzą przeważnie tunelami pod rzeką.

24 sierpnia, rok 1923, piątek

Ostatni dzień w Paryżu. Na dłuższy pobyt tutaj sobie pozwolić nie mogę, bo muszę zarezerwować jeszcze do trzech dni na Holandię, a już mi i wracać czas.

Główne wypadki dnia dzisiejszego są te: obiad w Café de Flore na B-rd St. Germain z Woronieckim, zwiedzenie wystawy akwareli Hani Römerowej i przejrzenie programu wykładów w Ecole Libre des sciences Politiques. Poza tym, wypadkiem była jeszcze burza z wichrem huraganowym i wściekłą ulewą, która po szeregu dni upałów nawiedziła Paryż. Resztę czasu wałęsałem się na pożegnanie po mieście. Z Woronieckim rozstaliśmy się w dobrej komitywie. Choć nie przekonałem go o błędach polityki polskiej wobec Litwy i o tym, że Litwa narodowa nigdy dobrowolnie nie

[173] Poprawna pisownia: cab.

zamieni programu niepodległości na program federacji z Polską, ani też nie przerobiłem zasadniczo jego pojęć o jednostronnych winach Litwinów w obecnym zatargu z Polską, jednak przecie trochę mu w głowie wyjaśniłem i udzieliłem różnych ciekawych poglądów, które były dlań nowymi, a które go zainteresowały, w szczególności o roli Polaków litewskich w stosunkach Litwy z Polską, o dwoistości ewolucji Litwy szlacheckiej i Litwy ludowej narodowej wraz z logiką konsekwencji dziejowo-politycznych z tego faktu, o charakterze i kierunku pierwiastków litewskich w psychice, o wadach „organicznych" tego kierunku. Swoją drogą, czasem dobre są i dla mnie takie dłuższe rozmowy z Polakami.
O wystawie akwareli Hani Antoniowej Römerowej, Sołtanówny z domu z gniazda Weyssenhoffów jużyncko-tarnowskich, dowiedziałem się od Woronieckiego. Wystawa jest w lokalu Towarzystwa „France-Pologne" (koło Madeleiny), mającego na celu propagandę znajomości kultury polskiej w Paryżu; wystawa ta była zimą w Warszawie, gdzie miała duże powodzenie. Tu w Paryżu, w wielkim ognisku ruchu artystycznego, jest ona prawie niedostrzegalna i tylko bardzo nieliczne koło osób, mających bliższe stosunki z Polską, ja odwiedza. Swoją drogą, wartość artystyczna dzieł Hani jest wybitna. Römerowie nie tylko sami pośród siebie mieli i maja talenty rysunkowe i malarskie, z których jedne się rozwinęły, inne – zamarły w cieniu (Alfred i Edward Römerowie z przeszłego pokolenia, ze współczesnych – Hela Czarna, trochę – Hela Biała Ochenkowska, moja siostra Elwira, Stefan Römer – syn Maryni), ale także żenią się z artystkami pędzla i ołówka (Zosia Eugeniuszowa, Hania Antoniowa). Podobały mi się zwłaszcza w dziełach Hani ładne główki kobiece wraz z jej własnym autoportretem oraz niektóre refleksy błysków i cieniów, uwydatniane ze szczególną na nie wrażliwością i szczególną ekspresją.
Co do programu Ecole Libre des sciences Politiques, który odczytywałem u wejścia do szkoły (w tym samym miejscu, co i za moich czasów), to znowu się mogłem przekonać, jak świetny pozostał układ studiów zagadnień społecznych w Ecole. Z profesorów, których jeszcze ja przed laty 18 słuchałem w Ecole, pozostało już tylko dwóch: Arnanné (wykłada, jak za moich czasów, „Le Monnaie, le Crédit et le Change" oraz coś jeszcze) i Halévy (wykłada, jak za moich czasów, dzieje socjalizmu w Niemczech i coś jeszcze innego). Jest jeszcze paru profesorów, którzy byli za moich czasów także, ale których wykładów nie słuchałem. Ogromna większość profesorów – nowi ludzie, choć często nazwiska znane. Jak by dobrze było, gdyby z Litwy tu więcej jeżdżono się uczyć. Wśród profesorów jest też jeden Polak, syn emigranta – Błociszewski, który wykłada coś z historii konstytucyjnej czy parlamentarnej porównawczej.
Jeszcze trochę wrażeń ogólnych z Paryża. Paryż uchodzi o tej porze roku za wyludniony, bo to sam czas ogórkowy wilegiatury letniej i wypoczynku wakacyjnego. Zapewne w godzinach przedwieczornych na przejażdżce po avenue des Champs Élysées lub w Lasku Bulońskim może się zmniejszenie tempa ruchu daje odczuwać, ale skądinąd w innych punktach i arteriach ruchu jest zawsze ruch olbrzymi. Przy tym ogromny jest napływ cudzoziemców, który się szczególnie uwydatnia w ośrodkach w ośrodkach kosmopolitycznych i miejscach zabaw (Wielkie Bulwary, wielkie kawiarnie, teatry, wielkie café-koncerty, szantany). Muzyka dominuje w Paryżu, co zresztą i w Szwajcarii w wielkich kawiarniach gościnnych spostrzegłem – murzyńska, czyli murzyńsko-amerykańska, hałaśliwa, zgiełkliwa, rubaszna, drażniąca; jest ona bardzo oryginalną, dziką i barbarzyńską, szczególnie zaś pewien kojarzący się z piszczałkami instrument o tonach dudniących jak w pustym dzbanie i wyjących w tempie rosnącym i opadającym jak jakieś zawodzenie – zmysłowe zarazem i tęskne. Ta modna muzyka, której początki sięgają jeszcze moich czasów dawnych – tańce cake-walk i matschitsch – i której gust może poniekąd został przez ostrą i gwałtowną, choć różną od tej

murzyńskiej, muzykę Wagnera przygotowany – rozwinęła się szczególnie za czasów Wielkiej Wojny pod wpływem wojsk amerykańskich i wojsk „kolorowych", które we Francji bardzo wielki wpływ na gusta i mody wywarły. Mnie się ta muzyka murzyńsko-amerykańska, muzyka temperamentu i wyrazu dzikiego bez kultury artystycznej – podoba w użyciu kawiarniano-ulicznym. Murzyni i Murzynki, którzy w Ameryce są prześladowani i upośledzeni, w Paryżu byli zawsze dość modni. Teraz są modni szczególnie – nie tylko Murzyni amerykańscy, ale w ogóle wszelcy „kolorowcy". Są oni tu bardzo liczni. Oryginalnie czasem wyglądają zwłaszcza kobiety Murzynki, w eleganckich strojach modnych, a o twarzy dziwacznej i dzikiej, jakby wyjętej z ilustracji dzieła etnograficznego o ludach Wysp Polinezyjskich. W szantanach ich dużo i maja powodzenie u mężczyzn, chciwych nowych podniet i nowych odmian ciała ludzkiego dla gry zmysłów. Są też w szantanach Chinki i Japonki, a Japończyków w ogóle jest szczególnie dużo. Mnóstwo młodzieży studenckiej japońskiej widzi się w kwartale łacińskim. Moje włóczenie się po wielkich bulwarach i kawiarniach dawało mi pole do różnych obserwacji. Ciekawy jest kontrast późnego wieczora między wielkim jaskrawym ruchem wielkich bulwarów, kosmopolitycznym i zgiełkliwo-pieniężnym, a swoistością stylową głuchych uliczek tuż obok, w których płynie życie nocne aborygenów paryskich i typów ludowych swojskich, pełne tez zmysłów i rozmaitej zabawy, ale szczerszej i głębszej od tamtej, swobodnej i barwnej, ale nie tak tłumnej i konwencjonalnej. Cudzoziemiec włóczęga, który na bulwarach jest panem za pieniądze, tu, gdy się zabłąka, może być wyśmiany i narażony na inne przygody. Jest coś groźnego dla przybyszów obcych w tej ciszy niegościnnej uliczek sąsiednich, które się po swojemu bawią i grzeszą, Ciekawy też jest kontrast między życiem w ekspozyturach wielkich kawiarni na ulicy – na ich tarasach ulicznych, a życiem w małych pokoikach i zakamarkach wnętrza tychże kawiarni we dnie, gdzie młode hetery z panami i przeważnie cudzoziemcami – piją, załatwiają *des mechandises* rozpusty i rozpalają namiętności; gdzie w cieniu stolików i norek zawiązują się intrygi polowania na zwierzynę męską, iszczą się pocałunki i pieszczoty, poprzedzające późniejsze spełnienie rozkoszy, jakie tylko Paryżanki za drogą cenę dać potrafią. To są poufne przedsionki drogich katuszy rozkoszy.

25 sierpnia, rok 1923, sobota
Jestem już w Holandii, ale jeszcze kilka słów o Paryżu. Nie wiem, czy to tylko z powodu lata, ale nie zaobserwowałem tym razem piosenkarstwa ulicznego w Paryżu, zwykle tu tak rozwiniętego. Czyżby i ono zginęło jak stare tramwaje, autobusy, omnibusy i fiakry? Nie słyszałem ani razu piosenki śpiewanej przez piosenkarza lub piosenkarkę na rogu ulicy i powtarzanej lub nawet improwizowanej w refrenie przez tłum otaczający. Czyżby tego nie było! Natomiast, jak dawniej, gdzie tylko uliczka jakaś zabarykadowana z powodu remontu czy robót ziemnych, tam zaraz rozkłada swój towar i zaleca, improwizując i błyskając dowcipem i pomysłowością, jakiś blagier, dokoła którego gromadzi się wnet garstka słuchaczy i gapiów, by posłuchać dowcipu, uśmiać się i czas spędzić, a potem się rozprasza, gdy blagier żąda zapłaty lub kupna zalecanego towaru – zwykle jakiegoś przecie prostaczka z sidła złapie. Tak samo wrzask wielki, jak na jakimś sabacie opętanych, rozlega się z Giełdy paryskiej, gdy się tamtędy w godzinach dziennych przechodzi, jak gdyby cały gmach Giełdy huczał ogromnym krzykiem ludzkim. Na mnie robi to zawsze wrażenie czegoś z piekła, bo to szaleństwo chciwości ludzkiej, a nigdzie nie słyszałem takiego wrzasku giełdy, jak na Giełdzie paryskiej. Muzeów w Paryżu nie zwiedzałem, bo czasu mi na to nie starczyło. Ani w Louwrze, ani w Luksemburgu, ani gdzie indziej nie byłem. Moja pięciodniowa wizyta paryska była ledwie tchnieniem, a miałem tu przecie jeszcze sporo do

załatwienia spraw, które mi gwałtownie czas pochłaniały. Nie było prawie chwili, prócz wieczorów czasem, żebym mógł się wałęsać i nie śpieszyć dokądś. Jedną wszakże wspaniałość nową a wielką zobaczyłem – to Grób Żołnierza Wielkiej Wojny, grób kości nieznanego z imienia żołnierza, kości, w których właśnie dla ich bezimienności streścił się Żołnierz zbiorowy, Człowiek-Rycerz, umęczony na śmierć w tej wojnie, dający wszystko – siebie – w ofierze. Grób ten jest pod Arką Triumfalną Napoleona, oznaczony płytą kamienną z napisem, ozdobiony wieńcami kwiatów; stają tu ludzie żywi w zadumie nad Człowiekiem, który zginął ofiarą wojny i spełnił do końca dzieło tej Walki Narodów, tej konwulsji Ludzkości, z której się przyszłość naradza w burzach rewolucji i mąk jeszcze nie spełnionych. Nad nim arka, orły Napoleona, epopeja największa w dziejach nowożytnych świata, Paryż nieśmiertelny i perspektywa najpiękniejsza na kuli ziemskiej, prowadząca do Luwru przez Tuilerje, Concorde i Pola Jelizejskie do Arki Triumfalnej. Wielkości miejsca odpowiada wielkość symboli. Rycerz-Bohater-Zbrodniarz-Męczennik, którego kości tu leżą i który ten hołd odbiera, nie ma innego imienia, jak Człowiek. Wspaniała to cześć tego grobu, większego od pomników wszelkich.
Ba, dużo bym jeszcze mógł o Paryżu i tych pięciu dniach napisać, ale poprzestanę na tym. O godz. 11 wieczorem wyjechałem wczoraj z Paryża z Gare du Nord pociągiem, którego część idzie bezpośrednio do Holandii do Amsterdamu. Wagon III klasy, jedyny, który idzie wprost do Holandii, przepełniony po brzegi. Zresztą nie wszyscy, co nim jadą, udają się do Holandii. Publiczność narodowo mieszana: Francuzi, Belgowie francuscy i Flamandzi, Holendrzy. Przeważają Flamandzi z Belgii i północnych okręgów Francji. Publiczność na ogół brudna, pijacka, od której się odwykło w Szwajcarii i nawet Niemczech, ale za to pomimo wszystko bez zarzutu grzeczna, do której się pod tym względem ani umyli Niemcy. W wagonie rozlegają się piosenki flamandzkie – jedna z nich wojenna satyra na Niemców. Mam miejsce w rożku przedziału, toteż mogę drzemać nieźle z głową na dłoni, oparty łokciem o moją walizeczkę podróżną. Im dalej, tym publiczności więcej; natłacza się do wagonu, a raczej do kuluaru nowa gromada chłopów północnofrancuskich. Ale oto przed świtaniem – granica belgijska. Wizyta celna bagaży i sprawdzenie paszportów – w wagonach; wysiadać nie trzeba. Wizyta celna – bardzo powierzchowna: nie trzeba mi było wcale rzeczy otwierać. Stajemy w Brukseli już za dnia. Jedziemy dalej na Antwerpię; godz. 7-8 rano. Śladów wojny i okupacji wojennej z okien wagonu nie dostrzegam, to znaczy, że nie można ich odkryć nie wiedząc, gdzie i co – bo w istocie wojna tu szalała mocno i ślady być muszą ciężkie; ale cudowne życie śpieszy pokrywać ruiny nowym porostem, który maskuje pozornie tło zniszczenia. Życie goi. Oto już Antwerpia. Do wagonu naszego wsiadają pierwsze Holenderki, obie młode rosłe dziewczyny, podobne do Angielek – piękne. Stwierdziłem w ciągu dnia, że Holenderki w ogóle są ładne, są bujne, białe, trochę może ciężkie, ale mają wyraz otwarty, naturalny, wesoły. Trochę za często się spotyka u nich górne zęby wystające, ale na ogół typ jest przystojny, usta duże i ładne, charakter typu germański, jak na wizerunkach się on zwykle przedstawia, ale nie współczesny berliński. Zresztą z obserwacji dalszej wyniosłem wrażenie, że wszyscy Holendrzy – oczywiście przeciętnie, jako typ – mają cechę zdrowia, czerstwości, w młodym wieku – wielkiej świeżości i kolorów, równowagi nerwowej i umysłowej, pewnej też jowialności, co wszystko czyni z nich naród miły i wartościowy, zwłaszcza że są bardzo pracowici, czyści, energiczni i wytrwali. Są to cechy bodaj wspólne tak mężczyznom, jak kobietom holenderskim. Dziewczęta są na ogół bardziej skromne, mniej ekspansywne, niż ich sąsiadki Francuzki, co zwłaszcza uderza przy przyjeździe do Holandii bezpośrednio z Paryża. Wyjeżdżam z Antwerpii dalej. Widać cokolwiek las masztów w porcie, ale

samego portu nie widać. Zbliżamy się do Holandii. Wieś flamandzka – czysta i ładna, tchnie dobrobytem i pracą. Równina szczera, nizina nawet – przesuwają się bliskie wybrzeża Morza Północnego. W miasteczkach, które mijamy, widać napisy i szyldy w języku flamandzkim, który w istocie jest niczym więcej, jak gałązką języka holenderskiego, podczas gdy ten ostatni jest także w istocie jeno odmianą lokalną gwary dolnoniemieckiej, czyli „Plat-Deutschu" i rozwinął się do poziomu i kultury języka li tylko przez państwowość odrębną Niderlandów. Mijamy stację graniczną belgijską Esschen i wjeżdżamy na terytorium holenderskie. Stacja Rosendaal. Znowu rewizja celna bagaży i sprawdzanie paszportów w wagonie. To zajmuje czasu niedużo i dokonywa się bardzo powierzchownie. Znowu nie potrzebuje wcale otwierać rzeczy, co mi jest bardzo na rękę, bo moje rzeczy przerosły w podróży moje walizeczki i ledwie się mieszczą, więc każde pakowanie i przepakowywanie jest prawdziwą męką. Pociąg napełnia się wyłącznie Holendrami i język holenderski staje się wyłącznym. Konstatuję używanie bardzo wydatne przez Holendrów dźwięku „ł", nieznanego u pokrewnych im Niemców i u ludów mowy romańskiej.

26 sierpnia, rok 1923, niedziela
Nocowałem już dziś w Haarlemie – w niewielkim hoteliku naprzeciwko dworca. Ale cofam się jeszcze do wczorajszego rannego przyjazdu mego do Holandii. Mój pierwszy postój był w Rotterdamie. Już w drodze z Roozendaalu do Rotterdamu uwydatnił się pejzaż holenderski, ale szczególnie charakterystyczny stał się on p drodze z Rotterdamu do Haarlemu, Pierwsze miasto, które poznałem, był Rotterdam. Przeszedłem się po mieście, ruszałem się jak najwięcej, zaglądałem w małe uliczki; zabawiłem w Rotterdamie ogółem koło pięciu godzin i w godzinach poobiednich pojechałem do Haarlemu. W Hadze nie stawałem, bo słyszałem, że ma cechy przeciętnego miasta europejskiego i niczym bardzo charakterystycznym się nie odznacza, choć przejeżdżając mimo Hagi koleją miałem wrażenie, że jest ona tak samo charakterystycznie zabudowana, jak inne miasta holenderskie, nie wyłączając największego z nich – portowego Amsterdamu, który przelotnie zwiedziłem dziś, zdobywając większą skalę porównawczą dla moich spostrzeżeń i wrażeń. Wrażenie moje jest to, że Holandia jest krajem, który warto widzieć, krajem ciekawym i zarazem ładnym. Jej piękno swoiste polega na oryginalności krajobrazu wiejskiego, na który się złożyli natura i człowiek pracowity i na charakterystycznej stylowości jej miast i miasteczek nie tylko pod względem budowy, ale i całego trybu miejskiego. Holandia jest już nie tylko równiną, ale niziną ogromną, ledwie wystającą z topieli morskich. Na pierwszy rzut oka nizina ta przypomina nasze torfowiska wielkie lub bagniste grunty Polesia (tylko bez lasów poleskich, które tu na nizinach zastępują duże przestrzenie zarośli, stanowiących krzaki). Lasów – przynajmniej w tej części Holandii – nie ma, a gdzie się trafiają poszczególne drzewa, tam są one przeważnie niewysokie. Rozległa nizina dokoła we wszystkich kierunkach jest zamknięta licznymi gajami tych gęstych zarośli chrustu, horyzont przeto na nizinie nie sięga zbyt daleko. Większa część niziny – pastwiska. Jeżeli jeszcze między Roozendaalem a Rotterdamem dają się widzieć liczne pola zbożowe i w ogóle uprawne, mające tam przewagę nad pastwiskami, to dalej w kierunku Haarlemu i od Haarlemu do Amsterdamu – pastwiska są prawie wyłączne. Pastwiska te – w większości, zdaje się, naturalne, choć oczywiście porosłe taką trawą, o jakiej się ani śni naszym torfowiskom lub Polesiu, bo muszą one być tu przynajmniej bronowane, czyszczone, gładzone i ulepszane dodatkiem doskonalszych traw pastewnych, a nie mają nie też oczywiście żadnych kępek, jak nasze zwyczajne pastwisko mokre, są jednak najciekawsze w połączeniu z wodą, która je przecina odwadniającymi rowami oraz kanałami znakomitych dróg wodnych, przecinających

cały kraj w sam głąb lądu w rozmaitych krzyżujących się kierunkach. Prócz tych większych kanałów – niezliczone ilości rowów szerszych i węższych rozbija jednolitość pastwisk i łąk niziny w szachownicę. Rowy te, jak kanały – nie są podobne do naszych. Są one pełne po brzegi wody, nieraz tak pełne, że jej poziom zdaje się być zupełnie równy powierzchni sąsiedniego lądu. W paru miejscach po drodze nizinę przecinają wielkie wydłużone zatoki morskie, wrzynające się głęboko w ląd. W wielu miejscach nizina przechodzi w trzęsawiska porosłe trzciną i zielskiem moczarów lub łyskające wodą stojącą, która gdzieniegdzie tworzy jeziorka. Woda na moczarach i w wielkiej ilości rowów pokryta pleśnią, zielona od porostów podwodnych, zaciągnięta jakimś namułem, brudna. Pastwiska pełne bydła, które się tu wszędzie widzi; są to przeważnie krowy, oczywiście rasy krajowej – holenderskiej, jednolite czarno-białe; koni się tu niezbyt dużo na pastwiskach widzi, bo w tej części kraju nie mają one chyba dużo do roboty, zważywszy, że większość pastwisk jest naturalnych, nieuprawnych pod zasiewy; dużo się też widzi owiec, czasem stadka świń. Bydło przechadza się, je lub leży swobodnie; nikt go tu nie pasie, ogrodzeń ani płotów żadnych nie ma – są one tu zbyteczne, bo zastępują je wybornie rowy. Z rzadka przez rowy prowadzą mostki i zwykle przed mostkiem stoi mały płotek, zagradzający bydłu przekroczenie rowu w tym miejscu; płotki te są podobne do wrotek w naszych płotach wiejskich, tylko że tu są same wrotka bez płotów. Dróg mało. Droga jest zwykle nieco wzniesiona – widocznie na nasypie; biegnie ona najczęściej wzdłuż kanału albo przez pastwiska, ograniczone z obu stron rowami. Przy drogach stoją wiatraki, których tu na ogół dużo, większych i mniejszych, stanowiących bardzo charakterystyczny, a nawet poniekąd fantastyczny szczegół krajobrazu niziny. Na płaskiej nizinie każdy przedmiot wyższy zdaje się wyrastać i olbrzymieć. Wiatraki machające skrzydłami lub o skrzydłach sterczących nieruchomo jak dwa rogi skośne i rozstrzępione litery Y, wyglądające w krajobrazie jak jakieś bożki mistyczne tej niziny. Osad ludzkich w głębi wsi poza miastami i miasteczkami – widzi się bardzo mało. W ogóle człowiek i jego siedziby należą tu w krajobrazie do epizodów rzadkich, zwłaszcza między Rotterdamem a Haarlemem, bo droga żelazna z Haarlemu do Amsterdamu prowadzi wzdłuż wielkiego kanału i dużej drogi gruntowej, po której idzie tramwaj elektryczny, chodzą automobile i oczywiście jeżdżą cykliści, od których się roją wszystkie ulice miast i drogi wiejskie Holandii. Poza drogami, które, jak powiadam, na wsi są rzadkie, człowiek i jego osady w krajobrazie wiejskim holenderskim są epizodem rzadkim. Na krajobraz typowy składają się tu pastwiska (względnie łąki), woda w kanałach i rowach, bydło i zarośla chrustu. Na większych kanałach duży jest ruch wielkich łodzi towarowych, posługujących się w ruchu żaglem albo też ciągnionych linami przez ludzi, gdzieniegdzie – przez konie. W pobliżu miast lub większych osad oraz w ogóle w miejscach nieco wyższych i suchszych dużo się widzi ogrodów nie w znaczeniu ogrodzenia, ale w znaczeniu uprawy warzyw i kwiatów. Ogrody te są rozległe i zajmują duże pole. Liczne są oranżerie. Haarlem – toć stolica kwiatów, zwłaszcza cebulkowych, a nade wszystko tulipanów. Na wiosnę są tu całe pola tulipanowe w pełnym kwiecie. Śliczny musi być widok wielkich pól kwiatowych. Wszakże i wczoraj, dojeżdżając do Haarlemu, widziałem wprawdzie niewielkie przestrzenie, ale przecież w pełnym kwiecie tych pól kwiatowych. Nie wiem, czy to były tulipany, czy inne gatunki, bo z okien pociągu nie mogłem poznać, ale kwiaty były wszelkich barw i nie w kwietnikach lub klombach, lecz w masie, jak rośliny polowe.

27 sierpnia, rok 1923, poniedziałek

Moja wycieczka do Holandii miała etapy następujące: sobota rano – przyjazd do Rotterdamu, w Rotterdamie pobyt koło 5 godzin, po południu – wyjazd do Haarlemu, w

Haarlemie nocleg, w niedzielę – w Haarlemie do godz. 1 po południu, następnie – wyjazd do Amsterdamu, w Amsterdamie – kilka godzin, wyjazd z Amsterdamu do Zwolle i nocleg tamże. O ile głęboka wieś holenderska jest bezludną z pozoru, o tyle miasta i miasteczka są ludne i ożywione. Zabudowane są miasta bardzo oryginalnie. Wszystkie domy są zwrócone do ulicy nie ścianą wzdłuż, lecz fasadą poprzeczną (szczytem). Wszystkie są ściśle przywarte do siebie, tak że tworzą jedną nieprzerwaną linię; ponieważ każdy domek jest do ulicy zwrócony fasadą poprzeczną, więc każdy ma szczyt dachu od ulicy, a przeto linia domów przedstawia się z ulicy jak zygzakowata u góry – łamana linia szczytów. A że każdy domek ma inny szczyt i inną zwykle ornamentację ścian, okiennic i linii szczytu, niejednostajną też wysokość, więc zespół jest bardzo urozmaicony i pełny epizodów oryginalnych. Domy są przeważnie bardzo wąskie, zajmując od ulicy minimalną przestrzeń, a rozciągając się jeno nieco w głąb. Wejścia też do domów – drzwi, a wewnątrz także klatki schodowe – są niezwykle ciasne, jak gdyby żałowano na nie miejsca. Natomiast, co jest szczególnie ciekawe w kontraście, okna są szerokie i duże, zaś specjalnie okna wystaw sklepowych. Wskutek tego przy przeprowadzkach meble nie są wynoszone i wnoszone, lecz windują się na zewnątrz i wewnątrz przez okna. Widziałem w Amsterdamie (a to samo jest zapewne w Haarlemie i Rotterdamie, jeno się nie przyjrzałem) wystające u szczytów domów belki żelazne z hakami, za które się zaczepiają sznury przy windowaniu mebli przez okna. Fasady domów bywają bardzo ciekawe i ładne pod względem architektonicznym. Ten system budowy domów w Holandii wszędzie taki sam – tak w Amsterdamie, jak w Rotterdamie i Haarlemie. Do Hagi nie wstępowałem; mówiono mi kiedyś – jeszcze przed ta moją podróżą – że Haga ma typ kosmopolityczny, powszechnie-europejski; wszakże gdym ja mijał, to sądząc z tego, com widział z okien wagonu, odniosłem wrażenie, że tak nie jest. Z miast, które tu widziałem, najciekawszy mi się wydał Haarlem. Na placu miejskim, który jest w Haarlemie śliczny – niewielki, ściśle zabudowany dokoła, bez drzew, z wylotami kilku ulic po rogach, z wielkim kościołem starym, na którego jednej z wież staroświecki zegar wygrywa co kwadrans kuranty, z pięknym ratuszem z XVII wieku naprzeciwko kościoła i szeregiem domków, z których parę mają prześliczne kształty i ornamentykę fasady i szczytu, przypominającą w jednym z nich jakieś świątynie indyjskie i architekturę naszych litewskich tzw. krzyżów kapliczkowych na wysokim postumencie – na takim placu miejskim Haarlemu w sobotę wieczorem orkiestra cywilna wygrywała stare w powolnym spokojnym tempie melodie holenderskie; wszystko ślicznie pasowało do siebie. Plac był pełny ludu, prawie wyłącznie młodzieży obojga płci, a dokoła placu poza chodnikami dziesiątki młodych ludzi i dziewczynek, przeważnie podlotków, przejeżdżało się w kółko powoli na rowerach. Cały ten plac z domami, muzyką, kurantami zegara i ludem tworzył ścisłą harmonijną całość stylową, jak obrazek ze średniowiecza, zmodernizowany jeno rowerami, jak szczegół dekoracyjny do wystawy jakiejś opery. Rotterdam, a tym bardziej Amsterdam jest od Haarlemu ruchliwszy i większy, ale posiada też uliczki głębokie i wąskie jak tunele – prawie tak wąskie, jak uliczki głębi Triestu. W Rotterdamie słyszałem śpiewaków ulicznych i bardzo liczne grupy po kilku chłopców w wieku po lat 12-15, włóczące się z jakimś dziwacznym instrumentem, w którym na drągu kolorowym jest przyczepiony bęben i jakieś piszczałki czy dudki, wygrywające i zbierające od publiczności datki. Choć nie znam języka holenderskiego, daję sobie radę i porozumiewam się z Holendrami nieźle. Przemawiam zwykle do nich, gdy czegoś potrzebuję, po francusku, ewentualnie potem po niemiecku. Wielu zna, a przynajmniej rozumie jeden z tych języków; zresztą dopomagam sobie mimiką.

W Haarlemie jeździłem sobie tramwajem w okolice podmiejskie, ładnie zabudowane willami i ozdobione kwiatami, które tu zastępują w zdobnictwie brak wielkich drzew.

Wielkie drzewa są natomiast w parku dużym, w którego pewnej części urządzony jest zwierzyniec. W ogrodzonym i oplecionym ponad ogrodzenie drutem zwierzyńcu pasą się stadka oswojonych jeleni rozmaitych gatunków, pawie, jakieś kaczki osobliwe, indyki czarne, w głębi drzew gruchają jakby gołębie leśne.
W Amsterdamie zabawiłem krótko – trzy do czterech godzin wczoraj. Na dworcu ofiarował mi się z usługami zaprezentowania miasta jakiś faktor Żyd, który za dwa guldeny (prawie że dolar) oprowadził mię trochę po mieście, pokazał różne ciekawe gmachy, wskazał przygotowania do uroczystości jubileuszu 25-lecia panowania królowej Wilhelminy, który ma być obchodzony w przyszłym tygodniu, pokazał mi też charakterystyczną handlową dzielnicę żydowską Amsterdamu, liczącą 80 tysięcy Żydów, z których większość jest pochodzenia portugalskiego tam synagogę żydowsko-portugalską. Jedną z cech miast holenderskich jest niezwykła czystość; gotów jestem przypuszczać, że ściany domów z zewnątrz są myte. Natomiast dzielnica żydowska w Amsterdamie jest tak klasycznie brudna, jak siedziby Żydów u nas. Korzystając z pobytu w Amsterdamie siadłem w porcie na jeden ze statków, idących co godzina do pobliskiego miasteczka Zaandam, położonego o trzy kwadranse drogi statkiem. Jazda jest bardzo ciekawa i ładna. Jedzie się wzdłuż portu, a potem kanałami, przecinającymi niziny nadmorskie tak niskie, że zdają się być niższe od poziomu wody i oddzielone od wody kanału małym nasypem; niziny te są jednak uprawne. Na statku grała muzyka, która, jak zwykle w Holandii, zarabia w ten sposób, że gra i potem zaraz na poczekaniu zbiera datki od publiczności. W drodze powrotnej z Zaandamu niebo się zaciągnęło chmurami i zaczął padać nudny deszcze jesienny. Deszcz ten i mgła ciągle mi towarzyszyły potem w całej drodze wieczorem koleją do Zwolle. W drodze z Amsterdamu do Zwolle jedzie się przez czas pewien przez piaski i zarośla sosnowe, które należą w krajobrazie holenderskim do wyjątków.

28 sierpnia, rok 1923, wtorek
Jestem już w Niemczech w drodze powrotnej do Litwy i dzień dzisiejszy spędzam w Berlinie. Ale w dzienniku wracam jeszcze do Holandii. Oczywiście byłem w Holandii za krótko, abym ją mógł głębiej poznać i moja przeto znajomość kraju ogranicza się z konieczności do bardzo powierzchownych wrażeń. Jednak zdobyłem pewne poczucie tego kraju i uchwyciłem w tych wrażeniach moich dużo poszczególnych charakterystycznych momentów. Zresztą ruszałem się ciągle, jechałem nie tylko koleją, ale także statkiem po kanałach i tramwajem ze Zwolle w samą głąb wsi holenderskiej; a w podróży w nowych miejscowościach człowiek o wiele więcej spostrzega, niż w kraju, do którego otoczenia przywykł i przystosował się; efekty nowe zawsze o wiele silniej działają na wrażliwość, niż to, co się dzieje w środowisku swojskim. Oczywiście na muzea, na piękną i ciekawą sztukę holenderską, której poznanie musi się znakomicie przyczyniać do zgłębienia natury kraju i jego istoty kulturalnej – nie miałem czasu; w ogóle moje poznawanie kraju nie było systematyczne. Jednak dało mi ono dużo i rad jestem, że zajrzałem do Holandii. Rotterdam, Haarlem i Amsterdam zajęły mi sobotę i niedzielę. W niedzielę wieczorem – w deszcz i mgłę – pojechałem koleją do Zwolle. Jechałem do Zwolle dlatego, że w okolicy tego miasteczka chciałem zwiedzić wzorowy zakład poprawczy dla nieletnich w Avereest, o którym mi w Szwajcarii mówił p. Anliker dyrektor zakładu w Trachsenwald-Tessenberg, radząc mi go poznać. Przez całą drogę do Zwolle padał deszcz, zresztą było ciemno, więc z okien wagonu nic obserwować nie mogłem. Przyjechawszy do Zwolle musiałem się długo włóczyć po miasteczku, nim jakiś hotel znalazłem. Przeklinałem szczerze to miasteczko, które nawet hotelu w pobliżu stacji kolejowej nie ma. Przez całą noc z niedzieli na poniedziałek lał deszcz. Myślałem, że mię zleje w mojej wycieczce do Avereest, ale

jakoś szczęśliwie rano ustał. Do Avereest jedzie się ze Zwolle tramwajem, który można ewentualnie nazwać kolejką, bo składa się z szeregu wagoników, w ogromnej większości towarowych, ciągnionych przez mały parowóz. W drodze z rozmowy z podróżnymi, wśród których znaleźli się umiejący mówić kiepsko po niemiecku, dowiedziałem się, że zakład poprawczy pod nazwą „Weldricht" mieści się nie w samym Avereest, jeno w osadzie Balkbrug, należącej do gminy Avereest; to mi oszczędziło jazdy, bo do Avereest musiałbym w Balkbrug przesiadać i czekać na inny tramwaj albo iść 4 kilometry pieszo. Ze Zwolle do Balkbrug musi być ze 30 kilometrów – tramwajem się jedzie koło dwóch godzin. Droga prowadzi wzdłuż dużych kanałów, po których ciągle suną wielkie łodzie towarowe o wysokim maszcie i dużym żaglu barwy *bordeau* rozpiętym. Fantastycznie wyglądają te łodzie, gdy czasem na jakimś sąsiednim pobliskim kanale , którego wody się nie widzi z pewnej odległości nagle się ujrzy taką łódź płynącą; wygląda, jakby wyrastała z łąk i pastwisk niziny, a że się posuwa – czyni wrażenie jakiegoś dziwacznego potwora lądowego, pełzającego po równinie; innym razem znad zarośli gdzieś sąsiednich wyrasta nagle maszt z żaglem ogromnym czerwono-brunatnym lub białym i majestatycznie się posuwa, jakby płynął nad ziemią. Wiatraków zawsze dużo. Grunta tu cokolwiek wyższe i suchsze , toteż mniej jest rowów i nie tak są przepełnione wodą; są pola uprawne i zasiewy. Spostrzegam, że znaczna część pastwisk jest sztuczna, porosła trawą, zasianą na gruncie uprawnym. Na dość znacznej przestrzeni od Zwolle droga, której brzegiem idzie tor tramwajowy, jest brukowana cegiełkami kamiennymi. Wszędzie – bydło, wiatraki, kanały, ruch towarowy na nich o wiele większy, niż na drodze lądowej. Wieś holenderska tchnie głęboką ciszą i spokojem. Dużo zarośli – całych lasków chrustu, nad kanałem i nad drogą przeważnie rzędy drzew z jednej strony; wśród tych drzew dużo dębów, ale są niezbyt rozłożyste i z kształtu podobne do naszej czarnej olchy. Ludzie tu dużo używają kłumpi drewnianych za obuwie; szczególnie pociesznie wyglądają w dużych kłumpiach, czyniących ich ruchy niezgrabnymi – dzieci. Gdzieniegdzie widać zaścianki; wiele domów w zaściankach krytych jest słomą, choć same są murowane. Kobiety wiejskie, szczególnie starsze, jadące tramwajem do miasta, są ubrane w stroje narodowe; stroje te są zawsze czarne; zresztą i mężczyźni, zwłaszcza starsi, mają ubiory czarne; staniki u kobiet (starszych) obcisłe i dość sztywne, w rodzaju gorsetu lub na gorsecie, ze stanem krótkim, spódnice bufiaste szerokie i sztywne w rodzaju krynoliny, w uszach kolczyki, na głowie ubiór oryginalny z koronek. Ludzie się przy spotkaniu na drodze pozdrawiają, nawet nieznajomi, co sprawdziłem w Balkbrug na sobie; czynią to nie tylko idąc pieszo, ale też jadąc rowerami – w stosunku tak do innych cyklistów, jak do idących pieszo. Zamiar mój zwiedzenia kolonii poprawczej spełzł na niczym. Ośmielony praktyką szwajcarską, gdzie dyrektorowie takich zakładów są zwykle ludźmi bardo „*simples*", którzy ceremonii nie przestrzegają i żadnych szczególnych autoryzacji do zwiedzenia zakładu i do udzielenia informacji nie żądają, nie zajeżdżałem do Hagi i nie prosiłem władz państwowych o upoważnienie obejrzenia zakładu w Avereest. Tutaj jest to wielki zakład, urządzony z ogromnym nakładem i posiadający całą hierarchię personelu pedagogicznego. Dyrektor, dystyngowany i wykształcony pan, oświadczył mi z widocznym zakłopotaniem, że nie może uczynić zadość mojemu życzeniu zwiedzenia zakładu, dopóki autoryzacji od ministerium w Hadze nie przedstawię. Musiałem więc zaniechać tego, a do Hagi już mi nie wracać po autoryzację. Przeszedłem się więc po okolicy, pełnej kanałów, lasków, zarośli itd. i potem w kawiarni w Balkbrug czekałem parę godzin na tramwaj powrotny do Zwolle. Nie żałuję jednak tej wycieczki w głąb wsi holenderskie. Po powrocie do Zwolle tegoż wieczora wyjechałem do granicy niemieckiej, żegnając sympatyczną Holandię.

Oryginalni są policjanci w miasteczkach holenderskich. Za przykładem policji szwajcarskiej, francuskiej, przede wszystkim angielskiej – policjanci posterunkowi na rogach ulic w miastach i miasteczkach Holandii mają zadanie regulowania ruchu jezdnego przez wskazywanie jadącym wolnego przejazdu lub wstrzymywania ich, gdy ktoś inny z bocznej ulicy wyjeżdża. W wielkich miastach to jest rzecz użyteczna, nawet konieczna. Ale w miasteczkach Holandii, jak takie Zwolle, gdzie w mieście tramwaje nie chodzą, dorożek nawet nie ma, automobile przejeżdżają rzadko – jedyny ruch jezdny stanowią cykliści, których tu, jak w całej Holandii, jest mnóstwo. Niemniej policjanci posterunkowi z całą powagą celebrują urząd regulowania ruchu i nie opuszczą ani jednego cyklisty, aby mu nie dać znaku ręką, czy przejazd wolny i w którym kierunku; toteż ciągle gestem uroczystym machają ręką, ubraną w białą rękawiczkę i czynią znaki. Wygląda to bardzo komicznie, bo jest zgoła niepotrzebne. Wystarczyłoby dać znak, kiedy trzeba się zatrzymać, by uniknąć scysji, ale to by było bardzo rzadko, bo cykliści tu jeżdżą bardzo powoli, przynajmniej w mieście. Ci poważni policjanci, uroczyście gestykulujący i wymachujący ręką, wyglądają trochę jak wiatraczki w ludzkiej postaci, przeniesione znad dróg i kanałów wsi holenderskiej do miast.
Wyjeżdżałem z Holandii trochę przeziębiony. Czułem łamanie w kościach, w nogach zwłaszcza, i lekki stan gorączkowy. Pora mi już do domu. Napodróżowałem się na razie dosyć.

29 sierpnia, rok 1923, środa
Nocy dzisiejszej przyjechałem już z Berlina do Królewca. Jestem więc już u wrót Litwy. Podróż moja się kończy, czeka mię jeszcze tylko ostatni większy akt podróży jutro – lot powrotny aeroplanem z Królewca do Kłajpedy. Po przyjeździe do Królewca zaszedłem do biura podróży Roberta Meyhöffera i obstalowałem bilet na aeroplan na jutro. Mam go już w kieszeni. Jak wszystko w Niemczech, tak i lot ten podrożał, mimo że się rachuje na dolary. Gdy przed trzema tygodniami lot Królewiec-Kłajpeda kosztował 3 ½ dolara – dziś kosztuje on już 5 dolarów.
Ale wracam jeszcze do toku podróży mojej z Holandii do przyjazdu do Królewca, a wpierw jeszcze kilka uwag i spostrzeżeń o pieniądzach, cenach i o kuchni holenderskiej. Tam dopiero w Holandii poznałem drożyznę co się zowie. Holandia należy z pewnością do najdroższych obecnie krajów w Europie. Jest znacznie droższa od Szwajcarii, uchodzącej dziś za kraj wyjątkowej drożyzny. Są to wszystko kraje waluty wysokiej i mocnej, których pieniądz nie uległ żadnym kryzysom podczas i po wojnie. A w ogóle daje się stwierdzić, że w krajach o walucie mocnej poziom cen jest tym wyższy, im wyższą jest jednostka pieniężna. Mam tu na myśli ceny na przeciętne artykuły spożycia niezbędnego, nie zaś na artykuły i towary specjalne, których ceny zależą od specjalnych warunków produkcji, handlu, komunikacji itd. w poszczególnych krajach. W Szwajcarii frank wynosi 5 fr. 50 cent. za dolara, w Holandii gulden wynosi za dolara nieco ponad 2 guldeny 50 cent. Gulden więc holenderski jest trochę więcej niż podwójnie droższy od franka szwajcarskiego. Koleje żelazne są w Holandii znacznie droższe nawet od drogich szwajcarskich. Za przejazd III klasą z Rotterdamu do Haarlemu – godzina drogi – 2 ½ guldena holenderskiego, czyli dolar, podczas gdy z Neuchâtel do Genewy też III klasą i tez pociągiem pośpiesznym – około 4 godzin drogi – cos ponad 10 franków szwajcarskich, czyli koło 2 dolarów. Często się u nas mówi, że teraz po wprowadzeniu litów Kowno i w ogóle Litwa są „najdroższym chyba" miastem i krajem w Europie. Tak mogą mówić tylko ci, którzy jeździli do Niemiec lub do polski albo co najwyżej także do Francji, lecz nigdzie więcej. W Litwie za 10 litów (dolar) III klasą można przejechać do 200 kilometrów albo i więcej, to znaczy z pięć dobrych

godzin jazdy albo ze cztery, a nich sobie i trzy – jeżeli uwzględnić szczególną szybkość pociągów w Europie. Befsztyk w restauracji – 2 guldenów, a więc coś koło 8 naszych litów lub 13 franków francuskich (franki francuskie po 17 fr. za dolara); u nas i w Paryżu każdy by się za włosy chwycił na taką cenę i uciekłby z restauracji. Pokój w hotelu – i to nie pierwszorzędnym – kosztuje w Holandii przeciętnie po 2 ½ guldeny (dolar) ze śniadaniem rannym włącznie, podczas gdy w Szwajcarii w pierwszorzędnym kosztuje 4-5 franków wprawdzie bez śniadania (wyjątkowo w Lucernie płaciłem 8 fr., ale to był pokój na dwa łóżka w sezonie turystycznym). Co prawda, befsztyk w Holandii – to kawał mięsa z polędwicy tak olbrzymi, o jakim u nas, a tym bardziej we Francji, której kuchnia polega na licznych daniach, ale niewielkich porcjach – pojęcia nie mają. Jeden befsztyk holenderski śmiało starczy za cały obiad albo kolację, a jest zawsze, jak w Anglii, prawie całkiem surowy, tylko nieco przypieczony po brzegach. Befsztyk taki pływa w całym jeziorku roztopionego tłuszczu. Porcja sera krajowego w Holandii podaje się tak wielka, jak dwie dobre płytki czekolady i ser jest wyśmienity. Śniadanie holenderskie różni się od klasycznego szwajcarskiego tym, że zamiast konfitur i miodu, ewentualnie paru kromek sera szwajcarskiego, podaje się do bułeczek i masła przy kawie ze śmietanką i cukrem, wędlinę, przeważnie szynkę, ser holenderski, czasem mięso zimne. Śniadanie szwajcarskie z konfiturami (konfitury są innowacją ostatnich lat – dawniej figurował miód) – jest dziś przyjęte wszędzie w wielkich hotelach tak Niemiec, jak Francji, jak bodaj innych krajów na Zachodzie; w Holandii miód i konfitury są zastąpione przez wędlinę. Masło jest w Holandii równie doskonałe, jak w Szwajcarii. Do kawy i herbaty podaje się wyborna śmietanka. Porcje potraw są w Holandii zawsze ogromne. Zresztą, gdzieżby, jak nie w Holandii, byłaby taka obfitość mięsa, masła, serów. Wszak to są owoce pastwisk holenderskich, które większą część kraju zajmują. Do kawy i herbaty nie podaje się w Holandii łyżeczek, jeno małe pałeczki szklane do mieszania cukru. Herbata jest aromatyczna i smaczna, ale niesłychanie mocna, jak sama esencja; w filiżance jest tak czarna, jak kawa. Pod nazwą chleba podaje się w restauracjach w Holandii cieniutkie, prawie jak opłatek, kromki bułki z najdelikatniejszego ciasta, bielutkiej jak mleko i pulchniutkiej, że nie ma co gryźć; u nas bułek tak delikatnych się nie dostanie, jak to, co się tu chlebem pospolitym nazywa. Kuchnia holenderska jest obfita, bardzo tłusta, mięsna, słowem – jest dopasowana do typu i natury Holandii i Holendrów. Smaczną jednak nie jest. Jedząc w restauracjach w Holandii, nie mogłem nigdy zjeść więcej, jak jeden befsztyk lub jedną porcję ryby – i zawsze pływało to w tłuszczu tak, że mimo iż tłuszcz zostawiałem – jeszcze mię od tłustego jadła nudziło. W Balkbrug w kawiarence obstalowałem obiad, nie mówiąc, co ma być dane, bo zresztą nie mogłem się dobrze z gospodarzem Holendrem rozmówić. Spróbowałem, co mi z własnego da konceptu holenderskiego. Na obiad ten złożyły się następujące dania: pieczeń wołowa, bardzo tłusta, ale wyborna – na zimno; ogromny kawał pieczeni gorącej, której przeszło połowę zostawiłem, bom nie mógł dać rady; pieczeń ta pływała w tłuszczu i jeszcze podana była pełna sosjerka roztopionego tłuszczu; do pieczeni tej – ogromna salaterka kartofli, których i ¼ części nie zjadłem, i druga salaterka fasolek zielonych, także pływających w tłuszczu; wreszcie jakieś dwa krążki, podobne do krążków, na jakie się kraje u nas szczupaka po żydowsku, co też ja na razie za rybę wziąłem, ale się to okazało jakimś rodzajem ciasta zmieszanego z jajami, a więc coś na pół pudding, a na pół omlet – do tego cukier miałki brunatny; za napój – szklanka jakiegoś trunku, który się różni zresztą od wody tylko barwą złocisto-żółtą, jak wino białe, ale smak ma literalnie czystej wody. Na moje pytanie gospodarz mi wprawdzie tłumaczył, co to za napój, ale ja nic nie zrozumiałem. W ogóle kuchnia holenderska nie podobała mi się, tylko mleczywo i wyroby z mleka – doskonałe. Nie ma to jak kuchnia francuska, którą sobie w Paryżu przypomniałem,

jadając zresztą skromnie u Duvala, który uchodzi za restaurację przeciętną, na smak i potrzeby burżuazyjne, ale nie dla smakoszów. Zajadałem się w Paryżu majonezami, langustami, wyborną baraniną, jaką tylko w Paryżu umieją tak świetnie przyrządzać, serami francuskimi, sałatami i przyprawami z pomidorów. Piłem też dużo doskonałego wina. Tylko ostryg nie mogłem sobie zafundować, bo to nie sezon na nie.
Oto i dziś mojej jazdy z Holandii nie opisałem.

30 sierpnia, rok 1923, czwartek
Zacznę od opisu mego lotu aeroplanem, a dopiero potem opiszę ostatnie dni mojej podróży – od Holandii do Królewca – i wrażenia z przejazdu przez Niemcy. Podług rozkładu komunikacji lotniczej w Królewcu, aeroplan na Kłajpedę-Rygę-Rewel odlatuje z Królewca o godz. 7 min. 45. O godz. 5 więc byłem już na nogach, ubrałem się, złożyłem do drogi me rzeczy, wypiłem śniadanie i czekałem na automobil, który o szóstej miał przyjść po mnie do hotelu Continental dla zawiezienia mię na stację lotniczą Denrau pod Królewcem. Wszystko to się stało tak, jak było przewidziane. Na stacji lotniczej urzędy policyjno-paszportowy i celny dokonały rewizji paszportów i bagaży. Zresztą rewizja celna na stacji lotniczej jest zgoła iluzoryjną. W istocie urzędnicy tutejsi komory celnej nie zaglądają do rzeczy wcale. Jeżeli ktoś chce coś przewieźć bez cła – może to robić kosztem jazdy aeroplanem. Podobno w Eydkunach Niemcy są bardzo brutalni w rewizji celnej, w której sięgają nawet do kieszeni i obmacują ubranie podróżnego na ciele. Tutaj nic podobnego nie ma.
Na polu przed garażem stały trzy aeroplany, przeznaczone do lotu dzisiejszego: jeden do Kłajpedy, drugi do Gdańska, trzeci – do Moskwy (do Moskwy aeroplany pocztowo-osobowe idą 2-3 razy tygodniowo). Aeroplan moskiewski odleciał pierwszy – nie oglądałem go. Do Kłajpedy miał iść ten sam, którym przed 24 dniami leciałem z Kłajpedy. Aeroplany, kursujące do Gdańska-Berlina i Kłajpedy-Rygi-Rewla, należą do firmy „Junkers" i są typu „Limousine" – jednopłatowe, mają kajutę umieszczoną pod skrzydłami. W aeroplanie gdańskim podróżni już zajęli miejsca; do stóp naszego zaniesiono już bagaże i podróżni się zgromadzili, gotowi do wsiadania. Tym razem nasz aeroplan kłajpedzki miał pełny komplet podróżnych, to znaczy prócz pilota i pocztyliona – czterech podróżnych do kajuty; byli nimi: ja, jakiś Niemiec z Kłajpedy w średnim wieku i jakieś młode małżeństwo niemieckie; młoda kobieta – nie wiem, czy z obawy lotu, czy z innego powodu – była czegoś niezadowolona, przygnębiona i kilkakrotnie płakała. Rozpoczęło się sprawdzanie i próbowanie maszyny przed lotem, co się zawsze czyni. Puszczono też w ruch propeller. Stojąc blisko aeroplanu, za skrzydłem tegoż, miałem możność przekonania się, co za wicher huraganowy wytwarza się w okolicy propellera w pełnym ruchu, rwał mi ubranie, zamiatał trawy na łące pod aeroplanem; to gwałtowne falowanie trawy przy aeroplanie w ruchu – miałem możność obserwowania też przeszłą razą przy spuszczaniu się w Królewcu, ale nie wiedziałem wtedy, że to skutek wirowania propellera. Sprawdzanie maszyny wypadło niepomyślnie. Przekonano się, że benzyna, użyta do maszyny, jest niezdatna. Partię tej benzyny kupiono właśnie wczoraj i dziś jej po raz pierwszy użyć miano. Podróżnych więc zaproszono z powrotem do poczekalni, a tymczasem pracowano nad umożliwieniem wylotu obu aeroplanów – gdańskiego i kłajpedzkiego. Usunięto benzynę nową i zaczęto zgromadzać resztki pozostałości benzyny starej, by ją użyć. Po jakimś czasie okazało się, że zapasów benzyny starej wystarczy jeno dla jednego aeroplanu – gdańskiego, który też wreszcie odleciał. Co do nas zaś, to zatelefonowano do Kłajpedy, wzywając stamtąd aeroplan tejże firmy i typu, posiadający jeszcze rezerwę benzyny w maszynie, by przyleciał po nas i zabrał nas do Kłajpedy. Wypadło więc nam dłużej zaczekać. Wreszcie aeroplan z Kłajpedy przybył. Był to aeroplan pod liczbą

D287. Władowanie nas i bagaży oraz przygotowanie do wylotu potrwało jeszcze czas jakiś, tak że dopiero koło godz. 11 mogliśmy odjechać. Wiózł nas ten sam pilot, który kierował aeroplanem za przeszłej mojej jazdy. Jest to prześliczny typ mężczyzny, jak posąg młodości i siły sprężystej męskiej, jak z rysunków, wyobrażających doskonały spiżowy typ Robotnika, wykuwającego przyszłość i wolność ludzką, twarz sucha, energiczna i zarosła wkoło, pełna otwartości i myśli szlachetnej – w ogóle typ piękny, tak fizycznie, jak psychicznie. Postać, głowa i twarz naszego pilota, widziane z kajuty przez okienko, czynią ten lot jeszcze piękniejszym. Podnieśliśmy się dobrze i polecieliśmy bez przygód. Ale tym razem niebo było zachmurzone i wiatr silny. Aeroplan nie szedł tak równo, jak przeszłą razą; leciał to zapadając się, to podnosząc i chwiejąc z boku na bok, co było widać po wznoszeniu się i opadaniu skrzydła, na które moje okno zwrócone było. Mnie ten lot nierówny sprawiał przyjemność, bo dostarczał wrażeń fizycznych silnych, do których zresztą doskonale się psychicznie przystosowałem, nie odczuwając najmniejszego niepokoju ani żadnego uczucia, podobnego do efektów choroby morskiej. Inaczej jednak musiała się czuć młoda pani, siedząca za mną, bo gdyśmy dojeżdżali – zaobserwowałem, że przykłada chusteczkę do ust i wychyla raz w raz główkę za okno otwarte – co, jak mi się zdaje, było spowodowane atakami wymiotów, choć oczywiście nie mogłem przypuszczenia tego sprawdzać zapytaniem lub szczególniejszym przyglądaniem się. Choć siedziałem po prawej stronie, a więc u okna zwróconego do lądu, a nie do morza, mniej tym razem widziałem, niż przeszłym, bo aeroplan szedł jakoś skośnie do lądu i tylko zawsze mały rożek mierzei widać było pod sobą między skrzydłem a przodem aeroplanu. Zdaje się, że lot był nieco niższy, niż przeszłą razą. Przyjrzałem się dobrze piaskom lotnym mierzei przez lornetkę, osadom po drodze, poznałem Juodkrantis (Schwartzort), wreszcie dolecieliśmy do Kłajpedy. Już znad Zalewu Kurońskiego zaczęliśmy się spuszczać i nad miastem przelecieliśmy nisko, a zaraz za miastem mieliśmy już przed sobą wielkie pole lądowania. Zaledwie aeroplan dotknął ziemi i mały kawałek przebiegł w wielkim pędzie, gdy zachwiany wiatrem przechylił się i prawym skrzydłem zaczepił o ziemię; skrzydło się wryło w ziemię i wygięło, pilot szybko wstrzymał motor. Aeroplan (jego skrzydło prawe) był cokolwiek uszkodzony. Wypadło nam wylądować, pożegnać naszego pilota i ruszyć pieszo do stacji, gdzie nastąpiła znowu krótka ze strony litewskiej rewizja paszportowa i celna – ta ostatnia równie fikcyjna, jak w Królewcu niemiecka. Rewizji paszportowej i celnej z ramienia Litwy dokonywają urzędnicy kłajpedzcy, którzy ani słowa nie rozumieją po litewsku. Cudzoziemiec, który by tędy przyjechał, sądziłby, że Litwa jest krajem tak samo niemieckim, jak np. Austria dzisiejsza. Dalej – obstalowaliśmy telefonicznie automobil z miasta i odjechaliśmy ze stacji lotniczej do Kłajpedy. Jestem w Litwie. Podróż moja – skończona. Spędziłem kilka godzin w Kłajpedzie, która – zarówno port, jak miasto – wydała mi się bezpośrednio po Europie Zachodniej mała i nędzna, że ledwie ją poznać mogłem. Deszcz padał, przesiedziałem więc przeważnie w knajpce „Berliner Tunnel", przyglądając się charakterystycznym typom i scenkom gromadzącej się tam publiczności bardzo pstrej, zaczynając od przyjezdnych wieśniaków z Wielkiej Litwy i urzędników litewskich i kończąc na dziewczynkach, żądnych wrażeń i przygódek i kokotkach oraz kurewkach niższego rzędu, zaglądających tutaj. O godz. 6 wyjechałem pociągiem na Kowno. Dworzec kolejowy przy odejściu pociągu na Kowno i wnętrze pociągu w Kłajpedzie – to coś z Palestyny, a nie Litwy. Żydzi tu szwargoczą, czynią charakterystyczny nieład, brud, smród i harmider. W ich mnóstwie tak Litwini, jak nawet Niemcy – toną. Żydzi tu są w charakterze i spekulantów, i letników z Juodkrantis, i handlarzy z miasteczek żmudzkich, zakupujących tutaj towar dla swych

sklepików. W wagonie tłumno. Brud i smród – „owoce Żydów", których skądinąd lubię i cenię.

31 sierpnia, rok 1923, piątek
O dziewiątej z minutami rano przyjechałem do Kowna. Na dworcu kolejowym spotkała mię moja służąca Helena, która od dwóch dni wróciła z Bohdaniszek. Dowiedziałem się od niej z żalem, że Maryńka, którą zaprosiłem do Kowna moim kosztem na wystawę i którą spodziewałem się tu teraz zastać, nie przyjechała. W liście, który zastałem w domu, Maryńka się tłumaczy, że nie przyjechała dla kilku powodów – w szczególności dla braku sukni stosownej, dla zajęć gospodarskich, które ma w domu, dla oszczędności, bo na wystawie byłaby się skusiła na kupienie czegokolwiek.
Dowiedziałem się też, że Elwira wróciła już z Helcią do Bohdaniszek. Elwira uważa, że Helcia wraca do zdrowia i że ma się coraz lepiej, Maryńka jednak pisze, że wygląd Helci jest bardzo smutny i że Elwira się łudzi tylko. Helena też potwierdza, że Helcia wygląda źle, ma głowę ciągle zwieszoną, jak podczas choroby, mówi prędko i niewyraźnie, oddech ma ciężki, jest kapryśna, o byle co się gniewa i płacze. Jestem przekonany, że w założeniu tej choroby jest histeria i sądzę, że Helcia pozostanie już kaleką na zawsze, jeżeli jeszcze w dodatku nie zidiocieje. szkoda dziewczynki i Elwiry szkoda.
Choć moje wakacje jutro się kończą, chcę jeszcze pojechać choć na dni kilka do Bohdaniszek. Ewentualnie pojadę jutro, muszę się jeszcze tylko z prezesem porozumieć. Tych kilka dni da się urwać bez wielkiej ujmy dla pracy trybunalskiej. Byłem dziś w Trybunale, ale trafiłem na odbywające się posiedzenie gospodarcze, więc nie mówiłem o tym z prezesem.
Kowno żyje pod znakiem wystawy, która podobno była w tym roku piękna i zasobniejsza, niż zeszłoroczna. Wystawa poruszyła całą Litwę, zjazd był w Kownie bardzo duży. Wystawa zamyka się w niedzielę. Może zdążę ją jeszcze zwiedzić, choć żywego inwentarza już nie ujrzę, bo został wycofany.
Z gazet dowiedziałem się, że rząd litewski uchwalił odrzucić propozycję ostateczną Rady Ambasadorów w sprawie Kłajpedy, uznając pewne jej punkty zastrzeżeń na rzecz Polski za gwałcące prawa suwerenne Litwy. Rząd litewski przedstawi Radzie Ambasadorów swój kontrprojekt, zawierający najdalej idące ustępstwa. W istocie całą trudność stanowi kilka punktów zastrzeżeń na rzecz Polski. Ponieważ propozycja Rady Ambasadorów była przedstawiona Litwie ultymatywnie dla odpowiedzi „tak" lub „nie" bez żadnych rezerw, więc przedstawienie kontrprojektu jest odpowiedzią „nie". Powstaje więc konflikt, ale Litwa Kłajpedę faktycznie posiada. Zobaczymy, jakie konsekwencje wyciągnie z tego „Ententa".
Oto skończyła się już moja podróż. Gdy sumuję wrażenia, rad z niej jestem. Była ona jednak piękną. Po obliczeniu pieniędzy konstatuję, że cała podróż kosztowała mię aż do powrotu do Kowna 149 dolarów. Nie jest to suma zbyt wielka. Obawiałem się, że wydam więcej. Moja pensja miesięczna w Trybunale i na uniwersytecie wynosi teraz 1240 litów, czyli koło 124 dolarów; to znaczy, że do pensji miesięcznej dokładam zaledwie 25 dolarów, ale w tej liczbie jest 20 dolarów od loży naszej na rozchody nawiązania stosunków z Międzynarodową Federacją Wolnomularską i spodziewam się jeszcze zwrotu kilku do kilkunastu dolarów z Ministerium Sprawiedliwości na koszta, związane ze zwiedzaniem kolonii poprawczych dla nieletnich w Szwajcarii. Podróż moja trwała akurat ani za dużo, ani za mało. Nie przesyciła mię i nie przemęczyła, ale nasyciła i zmęczyła, więc wracam pod dobrym wrażeniem podróży i jednocześnie bez żalu, że się podróż skończyła.

Muszę jeszcze uzupełnić moje notatki dziennika z podróży wrażeniami z Niemiec w drodze powrotnej w przejeździe z Holandii. Granicę holendersko-niemiecką przekroczyłem w poniedziałek wieczorem między stacją graniczną holenderską Oldenrach a niemiecką Bentheim. W Bentheim była rewizja celna niemiecka. Z niesmakiem wjeżdżałem do Niemiec. Znów te setki tysięcy i miliony marek, chaos kontrastów, w jakich płynie życie niemieckie, piekło uczuć. Rewizja celna w Bentheim odbywała się już nie w wagonach, jak przy wjeździe do Belgii i do Holandii, lecz na wielkiej sali specjalnej we dworcu kolejowym. Nie była ona zbyt ścisłą. Ale była to rewizja otwarta i urzędowa, podczas gdy za drzwiami sali przy wejściu do korytarza czekał jeszcze każdego z podróżnych agent specjalny do rewizji innej, nie wykonywanej publicznie, rewizji obmacywania kieszeni. Czekał i zaczepiał każdego wychodzącego z sali, a robił to ukradkiem, za drzwiami, jak wilk, czyhający na zdobycz z ukrycia. Robiło to wrażenie przykre, bo sami Niemcy zorganizowali tę rewizję dodatkową jako coś działającego pokątnie, jakby się wstydzono tych praktyk brutalnych. Mnie się jednak zaledwie dotknął po kieszeniach z zewnątrz, a gdym zwrócił mój wzrok na niego z wyrazem zdziwienia, bo rzeczywiście byłem nieprzygotowany do tej niespodzianki, spytał jeno, czy nie mam w kieszeniach poza bagażami jakiejś kontrabandy, na przykład cygar i tytoniu, sam machnął ręka i puścił mię dalej. Pieniądze wymieniłem w Bentheim na niemieckie, płacąc po dolarze za 5 milionów marek. Kupiłem zresztą tylko 15 milionów. Za bilety od granicy holenderskiej do Berlina zapłaciłem (III kl.) – 466 kilometrów – 2 miliony 700 tysięcy marek, czyli cokolwiek więcej, niż ½ dolara – przeszło 5 litów. Jest to już znacznie drożej, niż przed trzema tygodniami, kiedy za 2000 kilometrów zapłaciłem 1/3 część dolara, ale przecież znacznie taniej, niż jazda kolejami w Holandii, Szwajcarii albo nawet u nas.

1 września, rok 1923, sobota
Prezes Kriščiukaitis nie czynił żadnych trudności wyjazdowi memu na kilka dni do Bohdaniszek. Zresztą w przyszłym tygodniu jest tylko jedno posiedzenie sądowe – we środę – bo w sobotę będzie święto. Mogę więc opuścić posiedzenie środowe, w którym wezmą udział Janulaitis i Čepas, i wyjechać, ze względu na święto sobotnie, do niedzieli przyszłej. Wyjadę do Bohdaniszek jeszcze nie dziś, lecz w poniedziałek pociągiem dziennym.
Dokończę o mojej jeździe przez Niemcy. Przez noc z poniedziałku na wtorek przejechałem od granicy holenderskiej przez Osnabrück i Hanower do Berlina. W Berlinie zabawiłem cały dzień we wtorek i na noc wyjechałem do Królewca koleją przez korytarz polski. Środę całą zabawiłem w Królewcu i zanocowałem, a we środę wyleciałem aeroplanem do Kłajpedy. W ciągu tych paru dni przejazdu przez Niemcy marka znowu spadała forsownie i mianowicie spadła z 5 milionów do 7 milionów i kilkuset tysięcy za dolara. Tym razem, bawiąc cały dzień w Berlinie, dużo się nachodziłem po stolicy prusko-niemieckiej. Berlin smutne na mnie sprawił wrażenie. Piętno depresji i upadku, które ogarnęły Niemcy, ciąży na Berlinie wyraźnie. Miasto jest posępne, ruch względnie niewielki wobec ruchu, jaki się widzi w wielkich miastach na Zachodzie, strojów kobiecych modnych – niedużo. Ani śladu tu tej muzyki zgiełkliwej murzyńsko-amerykańskiej, jaka się rozlega w Paryżu i kawiarniach miast szwajcarskich. Berlin nie uczestniczy w gustach modnych Zachodu. Wielka pycha Berlina, który jak parweniusz pośród starych stolic Europy marzył o zapanowaniu nad światem, jest upokorzona. Przechadzka po tym mieście, które rosło i uroczyście się nadymało snami o potędze Fryderyków, Wilhelmów i Bismarcków, a dziś jest stolicą upokorzonego i tragicznie cierpiącego oraz nienawidzącego narodu – budziła jedną

myśl-uczucie: *vanitas vanitatis*. A zresztą Berlin i Niemcy noszą głęboko w sercu ideę odwetu, która się im śni jak zemsta nad znienawidzonym światem. Odwet niemiecki, gdyby się stał kiedyś zwycięskim, musiałby być strasznym. Spadek marki coraz bardziej akcentuje wszystkie bolączki – zwłaszcza społeczne – Niemiec i czyni kwestię społeczną coraz ostrzejszą. Całe Niemcy – przynajmniej ludność miejska – dzielą się teraz na dwa obozy: na tych, co pracują i przymierają głodem, żywiąc się kartoflami, margaryną i chlebem czarnym, i tych, co nie pracują, a wzbogacają się spekulacją. Ceny w Niemczech są teraz, licząc na dolary, o wiele droższe, niż były przed trzema tygodniami, kiedy jeszcze nie były zdążyły dopędzić spadku marki. Teraz wiele artykułów i usług stało się nawet droższymi, niż w krajach stałej i wysokiej waluty, bo po pierwsze, upadek wartości pieniądza niszczy konkurencję sprzedawców i zmniejsza podaż towaru, a po drugie, kupcy i właściciele towarów i produktów, o ile je sprzedają, wyznaczają ceny na zapas jeszcze większe, niż norma spadku marki, obrachowując w cenie nie tylko dokonany, ale jeszcze ewentualny spodziewany przyszły spadek waluty. Zresztą w cenach jest chaos i dowolność wielka. Co w jednym miejscu kosztuje tyle, to w innym może się trafić dwa razy drożej albo o połowę taniej. W Berlinie za butelką cienkiego nędznego białego wina niemieckiego (mozelskiego) do obiadu zapłaciłem przeszło 4 miliony, kiedy nazajutrz w Królewcu w restauracji pierwszorzędnej hotelu Continental za butelką bardzo dobrego tokaju węgierskiego zapłaciłem 1 milion 800 tysięcy. Obiad w Berlinie włącznie z tą butelką wina mozelskiego kosztował mię 12 milionów (tego dnia było to prawie 2 dolary), kiedy ani w Paryżu, ani nawet w Szwajcarii nie kosztowałoby to nigdy tyle, a zresztą ten obiad berliński ani się umył do francuskich i był zupełnie nędzny; składał się z porcyjki *beauf braisé*, sałaty z ogórka i kawałka rocqueforta.

2 września, rok 1923, niedziela
Zwiedziłem dziś i obejrzałem bardzo po łebkach wystawę przemysłowo-rolniczą, która ma cechy mieszane wystawy i jarmarku ze szczególnie rozwiniętym działem maszyn. Poza tym był dziś u mnie Piotr Rosen i Walunio Weyssenhoff, a po obiedzie spotkałem się na mieście i gawędziłem długo z Hektorem Komorowskim w sprawie ratowania centrum Antonosza ma rzecz Römerów antonoskich, którzy się wreszcie zainteresowali majątkiem i przez Elizkę przysłali swe plenipotencje do działania. I tym razem znowu jestem proszony o poczynienie pewnych kroków w Zarządzie Reformy Agrarnej dla poparcia sprawy. Na razie jutro wyjeżdżam do Bohdaniszek.
Jeszcze o Niemczech. W ciągu 2-3 dni – od wtorku do czwartku – w których przejeżdżałem przez Niemcy, marka niemiecka spadła z 5 milionów na przeszło 7 za dolara. Słyszałem wczoraj, że obecnie spadła już do 11 milionów. Stan ten jest katastrofalny. Chłopi w Niemczech nie bardzo się już kwapią przywozić na targ do miast produkty; sprzedawać chce tylko ten, co musi, to znaczy albo ten, kto ma produkty ulegające prędkiemu zepsuciu, albo ten, kto ma coś natychmiast do kupienia i który przeto w tej chwili wyda pieniądze otrzymane ze sprzedaży. Poza tym każdy woli trzymać produkty i towary, a nie pieniądze, które tracą co dzień na wartości. Sytuacja jest taka, że nie towar szuka nabywcy, ale nabywca szuka towaru, co jeszcze bardziej podnosi cenę i wpływa deprymująco na wartość pieniędzy. Ten, co sprzedaje, robi przez to łaskę. Do antagonizmów społecznych między bogatymi a biednymi, między spekulantami a pracującymi – przyłączają się jeszcze antagonizmy między wsią a miastem. Miasto nienawidzi wieś, robotnicy i mieszczanie nienawidzą chłopa, wieś i chłop odpłacają miastu tym samym uczuciem. I kupcy w sklepach niechętnie sprzedają towar i gdyby nie przymus władz miejskich i państwowych oraz policji, wiele sklepów by się pewnie zamknęło i zaniechało wyprzedaży towaru, ukrywając go dla śrubowania

cen i dla przechowywania w nim kapitału. Zresztą już przed kilku tygodniami właściciele sklepów w Berlinie uchwalili dokonywać sprzedaży tylko w ciągu sześciu godzin dziennie, a raz na tydzień (prócz niedziel i świąt) – we czwartki – wcale sklepów nie otwierać. Do jakiego stopnia niepodobna się w Niemczech orientować w cenach – zacytuję mały fakcik z mojej podróży, gdym pierwszy raz przed kilku tygodniami przez Niemcy przejeżdżał. W Pilawie musiałem przejechać przez kanał na łodzi promowej, by wsiąść z drugiej strony kanału na parowiec, którym miałem jechać do Swinemünde. zapytuje przewoźnika, ile mu się należy za przewóz; odpowiada krótko: „Sto"; nie mogę się zorientować, czego „sto"; sądzę, że sto tysięcy; zapytuję go więc znowu: czego sto? Ten nie rozumie, o co mi chodzi i powtarza dobitnie: „Sto"; dialog ten powtórzył się kilka razy, wreszcie spytałem kategorycznie: sto marek czy sto tysięcy marek; dwie Niemki, jadące promem, parsknęły śmiechem na moje zapytanie o stu tysiącach; było to 100 marek. Wtedy dolar stał 3 miliony marek. Sto marek na naszą walutę litową wynosiło 1/30 część centa, sto tysięcy marek – 30 centów. Przeskok od 100 do 100 tysięcy jest ogromny, a przecie mogło być równie dobrze 100, jak 100 tysięcy. Któż bowiem mógł zgadnąć, że cośkolwiek może jeszcze kosztować 100 marek. Banknotów stumarkowych zgoła już w obiegu nie było, bo przedstawiały one drobiazg tak znikomy, że się już za środek płatniczy nie nadawały. Teraz z jeszcze większym upadkiem marki sytuacja środków płatniczych jeszcze bardziej się pogorszyła i skomplikowała. Choć Bank Państwa drukuje już banknoty po 20 milionów, to jednak wypłaty w handlu hurtowym, w przemyśle, w przedsiębiorstwach prywatnych i publicznych stają się tak wielkie i wymagają takich sum olbrzymich, pochłaniają takie ilości banknotów, że Berlin nie może ich prowincji nastarczyć. Jednocześnie więc z chaosem cen, z upadkiem wartości pieniędzy – rośnie głód znaków pieniężnych, ich brak w obiegu. Wobec tego za drugiej mojej bytności w Niemczech ukazały się już równolegle do banknotów państwowych przeróżne lokalne znaki płatnicze, bony, kupony, wydawane przez poszczególne miasta, przedsiębiorstwa, zakłady, instytucje – słowem, nowy element chaosu pieniężno-gospodarczego. W Królewcu za mojej bytności był strajk robotników portowych. Słowem – sytuacja jest w Niemczech straszna.

3 września, rok 1923, poniedziałek
Pociągiem, odchodzącym z Kowna o godz. 9 rano, wyjechałem na Rakiszki. Jest to z dwóch pociągów, idących na Rakiszki-Abele, niby gorszy, to znaczy powolniejszy, ale wolę nim jechać niż drugim, bo się unika męczącej jazdy nocnej i w pociągu ma się więcej miejsca, co czyni jazdę wygodniejszą. W pociągu spotkałem się z sędziami okręgowymi z Kowna – Budreckim, Milczyńskim i Burkiewiczem, jadącymi na sesję wyjazdową do Rakiszek. O godz. 9 ½ wieczorem byłem w Rakiszkach. Spotkał mię na dworcu Stefan Römer i Kligys. Przez całą drogę końmi do Bohdaniszek musiałem im opowiadać o mojej podróży i w szczególności o moich wrażeniach z lotu aeroplanem. W Bohdaniszkach przywitała mię Maryńka. I jej też musiałem opowiadać, spać zaś poszliśmy o godz. drugiej w nocy. Elwiry i jej dzieci nie widziałem – spały.
Jeszcze kilka słów ostatnich z mojej podróży. Nigdzie nie widziałem tylu i takich nędzarzy, co w Berlinie w przejeździe powrotnym. Kto chce wzruszającego widoku nędzy ludzkiej – niech jedzie do Berlina. Ubodzy i nędzarze, jakich się widzi na ulicach Berlina, zwłaszcza pod wieczór, na ruchliwej Friedrichstrasse, stanowią widowisko, które trudno zapomnieć. Ubodzy, jakich się widuje w Kownie, są magnatami, są pączkami pływającymi w maśle wobec nędzy, którą się tam widzi. Stoją tam długim szeregiem ludzie, na których straszno jest spojrzeć. Koło jednego z nich przeszedłem trzy razy, nim się przekonać zdołałem, że to jest człowiek żywy, a nie jakiś manekin – i

ofiarowałem mu datek. Stoją tam przeważnie ludzie ślepi, których twarz jest mizerną i czarną jak mumia – strawioną głodem i biedą, jak przeraźliwa maska; całość postaci i ubiór są równie straszne. Jest tam wielu inwalidów wojennych, ślepych, którzy przychodzą żebrać z psami, służącymi im za przewodników, ubrani w stare mundury wojskowe. Są kobiety, które zdają się omdlewać i słaniają na nogach. Są ludzie starzy, których rysy i wyraz zdradzają inteligentów, a którzy, nie będąc już w stanie pracować, a nie mogąc się z żadnych dawnych oszczędności lub zasobów utrzymać, sprzedają na ulicach zapałki i pod tą postacią „handlu" w istocie żebrzą lub czekają biernie jałmużny. Kiedyś za mego dzieciństwa panował głód w Indiach; pisma ilustrowane podawały podobizny Hindusów głodnych; dziś mogłyby one reprodukować w ilustracjach nędzarzy berlińskich, których wygląd zaiste nie jest mniej straszny, niż owych Hindusów z wieku XIX. Tragicznym jest ów szereg postaci okropnych na ulicach jednej ze stolic Europy, która do niedawna w pysze swojej marzyła o panowaniu nad światem, a która dziś dyszy piekłem uczuć i męki, nie przestając zresztą ani na chwilę marzyć o zemście i odwecie. Odwet niemiecki, gdy nastanie kiedyś, będzie chyba straszny.
Z Berlina do Królewca przejeżdżałem przez tzw. korytarz polski między stacjami tzw. Chojnice (dawniejsze niemieckie Konitz) a Tczew (niemieckie Dirschau) włącznie. Przez korytarz ten przejeżdżaliśmy rano. Był już dzień słoneczny. Wagony nie były wcale zamykane na klucz lub strzeżone. Okna mogły być też odmykane. W pociągu była służba kolejowa polska. Przynależność tego skrawka terytorium pomorsko-kaszubskiego do Polski, choć politycznie stanowi wielką komplikację, utrudniającą stosunki w Europie Środkowej, czyni na mnie wrażenie przyjemne jako akt reparacji dziejowej na rzecz rasy słowiańskiej, tak okrutnie przez Germanów wydziedziczonej na wybrzeżach Bałtyku i w wielkim dorzeczu Elby, na olbrzymich połaciach Europy Środkowej. Rozmawiałem z konduktorem polskim w przejeździe. Gdy się dowiedział, że jestem obywatelem Litwy, z pogardą i przykrym przekąsem zaczął wyrażać swe opinie o Litwie jako znikomym państewku, któremu z dumą przeciwstawiał swą wielką Polskę, o której mię ignorancko zapewniał, że powołuje na tron króla rumuńskiego (tak pojmował niedawną wizytę króla rumuńskiego w Warszawie) i przez unię z Rumunią, jak niegdyś z Litwą, posiądzie ziemie, które pod berłem Korony polskiej sięgać będą od Bałtyku do Morza Czarnego. Głębokie są w umysłach narodu polskiego mrzonki imperializmu!

4 września, rok 1923, wtorek
Choć rok bieżący gospodarski był zły, bo lato było zimne i bardzo mokre, urodzaje słabe, plony niewystarczające, na owoce, które obrodziły bardzo dobrze – nie ma zbytu, to jednak tym razem mniej słyszę od sióstr narzekania w Bohdaniszkach i większą jakąś widzę pogodę umysłów. Jesień to czyni, bo w jesieni, nawet w gorszym roku, obfitość jest większa. Elwira przywiozła kilkaset dolarów, więc jest raźniejsza, wygląda też lepiej, jest wypoczęta. Maryńka jest w pełni prac gospodarskich. Helcia Mieczkowska źle się ma, mimo że chodzi i że utyła; głowę ma wciąż zwieszoną na piersi, oddech ciężki, mówi z trudnością, jest nerwowa i kapryśna. Przykre i smutne robi wrażenie. Elwira jest jednak dobrej myśli i liczy, że to przejdzie u Helci. Bawi też w Bohdaniszkach ciocia Paulinka Weyssenhoffowa z Pokrewnia, która, choć już bardzo stara, trzyma się dobrze, jest ruchliwa, pieści się niezmiernie, w ogóle umie się konserwować.
Muszę teraz, korzystając z tych kilku dni pobytu w Bohdaniszkach, zreferować w dzienniku moje zabiegi o nawiązanie stosunków naszej litewskiej organizacji wolnomularskiej z wolnomularstwem międzynarodowym. Było to jednym z celów mojej jazdy do Szwajcarii. Do Neuchâtel jechałem specjalnie dla zwrócenia się do brata

Edwarda Quartier-la-Tente, Wielkiego Kanclerza Międzynarodowego Stowarzyszenia Masońskiego, założonego w r. 1921 na zasadach federacyjnych, dla zgłoszenia naszego akcesu, względnie – kandydatury do tegoż stowarzyszenia na członka. Quartier-la-Tente'a w Neuchâtel nie zastałem; mieszka już od 1 ½ roku w Genewie. Tam się więc udałem po dowiedzeniu się w Neuchâtel jego adresu genewskiego. Było to w sobotę 18 sierpnia. Natychmiast po przyjeździe do Genewy i złożeniu rzeczy w hotelu pośpieszyłem pod wskazany adres – avenue des Vollandes, 1, bojąc się, że nazajutrz w niedzielę Quartier-la-Tente może gdzieś wyruszyć na wycieczkę. Dom i mieszkanie odnalazłem bez wielkiej trudności. Otworzyła mi jakaś starsza pani, pewnie żona Quartier-la-Tente, i wprowadziła do jego gabinetu, prosząc, bym chwilkę zaczekał. Jakoż w kilka minut potem wszedł do pokoju brat Quartier-la-Tente. Jest to człowiek lat koło 60 albo trochę więcej, wzrostu niewielkiego, z brzuszkiem, o wyrazie dość żywym i młodym, o wzroku bystrym. Przedstawiłem mu się i zanim wyłożyłem, w czyim imieniu i w jakim celu przybywam, on się już domyślił, że rzecz dotyczy stosunków wolnomularskich. Gdym mu oświadczył, że przyjeżdżam z Litwy w imieniu organizacji wolnomularskiej litewskiej, on wtrącił, że właśnie przed tygodniem jakiś brat z Berna, wybierający się do Litwy, zwracał się do niego i zapytywał, czy są tam jakieś formacje masońskie, prosząc o ich wskazanie, na co on mu dał odpowiedź, że o żadnych organizacjach w Litwie żadnych wiadomości nie ma. Przedstawiłem mu naszą genezę, która się wywodzi z grona braci przedwojennych lóż wileńskich byłego Wielkiego Wschodu Narodów Rosji, który ongi, w r. 1910 czy 1911, pod pierwotną nazwą Wielkiego Wschodu Rosji założony był z ramienia Wielkiego Wschodu Francji. Powiedziałem, że proklamowany przez nas przed 2-3 laty Wielki Wschód Litwy, liczący lożę macierzystą „Litwa" w Kownie i dwa zawiązki tworzących się lóż w Poniewieżu i Szawlach, nieliczny dotąd ze względu na nasze warunki pracy, ale już ukonstytuowany, miał sposobność zapoznania się z opublikowaną Deklaracją Zasad założonego w r. 1921 Międzynarodowego Stowarzyszenia Wolnomularskiego (czyli „A.M.I.", jak je będę odtąd nazywać, co odpowiada inicjałom nazwy „Association Maçonnique Internationale") i akceptując całkowicie zadeklarowane zasady, które są też naszymi zasadami – życzy zgłosić swój akces czy kandydaturę do A.M.I., w którym to celu zostałem tu wydelegowany.
Dalszy ciąg jutro.

5 września, rok 1923, środa
Jeździłem dziś do Gaczan. Prosił mię o to Piotr Rosen, którego żona jedzie w tych dniach na wypoczynek do siostry do Francji i chce przeto ode mnie informacji o warunkach i szczegółach podróży do Francji. Zdecydowałem ją jechać na Holandię, omijając w ten sposób niespokojny okręg Ruhry, w którym z powodu stosunków, wywołanych okupacją francuską i oporem biernym Niemców, podróżnego czekać mogą rozmaite, nieraz przykre niespodzianki. W Gaczanach zabawiłem dość krótko. Pojechałem tam po obiedzie, a po wczesnej kolacji o godz. 8 wyjechałem z powrotem. Niebo było zachmurzone i od czasu do czasu mżył deszczyk. Ciemno było tak, że nawet drogę na gościńcu trudno było rozpoznać. Wiózł mię ogrodnik Bielski siwą klaczą Maryni w linijce. Za Pietraszunami koła wpadły do rowu i wysypaliśmy się z Bielskim do rowu, ale bez żadnych innych konsekwencji. Potem niebo się rozchmurzyło, ukazały się gwiazdy i ostatnią część drogi – najgorszą – przejechaliśmy dobrze. W Gaczanach mieszka teraz Walunio Weyssenhoff, który się już zupełnie pojednał z Piotrem Rosenem. Walunio, który zaznał w ostatnich leciech dużo biedy, cieszy się, że ma u Rosena cichy kąt, dostatek, dobre pożywienie; zajmuje się po trosze sprzedażą części swoich mebli w Rakiszkach i czeka na wydzielenie mu przez rząd nietykalnej części

jego Jużynt, które chyba sprzeda, bo zdaje mi się, że jest już za mało sprężysty, aby zdołał się tam zagospodarzyć i wytrwać.
Ciąg dalszy o moich zabiegach wolnomularskich na Zachodzie. Quartier-la-Tente w odpowiedzi mi zaznaczył, że A.M.I. posiada swój statut i że przeto nasza organizacja litewska może być przyjęta na członka A.M.I. tylko w trybie, przewidzianym w statucie. Podług statutu zaś trzeba, aby jakaś inna organizacja, która jest członkiem A.M.I., poparła naszą kandydaturę czy ją nawet zgłosiła. Ponieważ mówiłem Quartier-la-Tente o Wielkim Wschodzie Francji jako o organizacji, z której pośrednio się wywodzimy, więc poradził mi on zwrócić się do Wielkiego Wschodu Francji i prosić go o poparcie kandydatury naszej. Wielki Wschód Francji jest jednym z założycieli A.M.I. Ponieważ oświadczyłem dalej, że jednak my sami żadnych stosunków z W. W. Francji nie mamy, Quartier-la-Tente napisał i doręczył mi bilecik do Wielkiego Wschodu Francji, polecający mię jako „brata litewskiego" względem W. W. Fr. Bilecik był adresowany do brata Arias – Sekretarza Generalnego Wielkiego Wschodu Francji. Oprócz tego Quartier-la-Tente poradził mi przy sposobności zawrzeć w Paryżu stosunek, to znaczy złożyć wizytę także drugiej organizacji wolnomularskiej francuskiej – Wielkiej Loży Francji, aby pozyskać także jej poparcie. Wielka Loża Francji, rywalka Wielkiego wschodu Fr., z którym przez długie lata konkurowała w wolnomularstwie francuskim, ustępując mu liczbą lóż i braci, obecnie wraz z nim należy do założycieli A.M.I. Quartier-la-Tente dał mi także bilecik polecający do Wielkiej Loży Fr. Ze swej strony Quartier-la-Tente zanotował sobie mój adres w Kownie. W rozmowie z Quartier-la-Tente dotknąłem tej kwestii bezwzględnej tajności naszej organizacji litewskiej, której zachowanie ze względów politycznych krajowych uważamy za konieczne i zastrzegamy kategorycznie – nie tylko co do osób i nazwisk uczestników, ale nawet do samego istnienia organizacji. Quartier-la-Tente oświadczył, że zachowanie tajności jest zupełnie możliwe i zacytował mi precedens analogiczny Polski. Okazuje się, że i organizacja polska należy czy też ma kontakt z A.M.I. z takimże, jak my, zastrzeżeniem tajności. Stosunki utrzymują się w ten sposób, że wszystko, co jest przeznaczone dla organizacji wolnomularskiej polskiej albo co wychodzi od niej,ześrodkowuje się w ręku Quartier-la-Tente, który jest wyłącznym pośrednikiem między organizacja polską a A.M.I. i który komunikuje się z organizacją polską, ewentualnie realizuje pośrednictwo przez brata polskiego, zamieszkałego w Genewie i specjalnie upoważnionego do tych stosunków. Ze słów Quartier-la-Tente wywnioskowałem (nie wiem, czy słusznie), że tym bratem polskim jest prof. Oskar Halecki.

6 września, rok 1923, czwartek
Z Kowaliszek przysłano po mnie konie, którymi pojechałem tam na obiad. Zastałem w Kowaliszkach Elizkę, Hektora i Julka, no i oczywiście Witolda Komorowskiego. Zitka z Litką są w Wilnie, gdzie zainstalowały się na czas dłuższy. Litka ze swą kuzynką i towarzyszką nauk Renią Jarosławówną Komorowską wstąpiły w Wilnie do gimnazjum w klasztorze nazaretanek, mieszkają zaś na Nadbrzeżnej z Zitką, która też ma zdawać maturę tamże, aby się potem do jakiejś dalszej pracy zabrać. Co do Julka – to małżeństwo jego z Madzią Gorską wciąż ulega zwłokom ze względu na nieustalenie warunków materialnych ich pożycia. Teraz jest projekt zamieszkania Julka po ślubie w Antonoszu, o ile Antonosz zostanie Römerom zwrócony. Ojciec panny – p. Tomasz Gorski – bodaj się na to godzi, toteż teraz Kowaliszki są skwapliwie zajęte staraniami o zwrot Antonosza. Od Römerów antonoskich – Macieja, Tadeusza i Jadzi – plenipotencje już są, ale ponieważ termin do zgłoszenia się właścicieli Antonosza, zabieranego na użytek reformy agrarnej, upłynął, więc co do realizacji ich praw zachodzą pewne trudności. Właśnie dla narady w tej sprawie wezwany dziś zostałem ja

oraz dziekan rakiski – ks. Łabanowski, który na ogół jest życzliwy dworom i należy do powiatowej komisji reformy agrarnej w Rakiszkach. Ja mam poprzeć starania w Kownie w Zarządzie Reformy Agrarnej. Do Kowaliszek przyjeżdżał też dziś p. Jan Przeździecki i Walunio Weyssenhoff. Zanocowałem w Kowaliszkach. Dużo racji mają ci, co twierdzą, że cały spór polsko-litewski streszcza się do sporu między dwoma odłamami samego społeczeństwa Litwy – mianowicie narodowo-litewskim i szlachecko-polskim. Są to jakby dwie Litwy: jedna stara, oparta na pierwiastku społecznie szlachecko-ziemiańskim i kulturalnie-polonizacyjnym, i druga – młoda, społecznie ludowa, przeważnie chłopska, narodowa. Ta ostatnia ześrodkowuje się w zachodniej części kraju, w Litwie etnograficznej, w Kowieńszczyźnie i Suwalszczyźnie, gdzie się ona zdołała skrystalizować mocno i wytworzyć państwowość niepodległą, pierwsza zaś – skupia się w Wileńszczyźnie, gdzie były najsilniejsze ośrodki polonizacyjne i gdzie układ społeczno-gospodarczy był bardziej zacofany, W walce z młodą Litwa ta Litwa szlachecko-polska, opierająca się na Wileńszczyźnie, szuka opieki pod skrzydłami Polski, nie będąc sama zdolna do wytworzenia mocnej indywidualności samodzielnej. Polska z tego korzysta, ale w gruncie sprawa wileńska nie jest tylko dziełem zaboru Polski, jeno dziełem przeważnie rozdwojenia dziejowego samej Litwy. Gdy się jest w środowisku naszych ziemian i słucha ich rozmów i sądów, to się widzi i czuje, jak dużo jest w tym prawdy. Wileńszczyzna stała się dziś ojczyzną całej naszej litewskiej szlachty ziemiańskiej, której tęsknoty, aspiracje, ukochania, stosunki – ześrodkowują się w Wilnie. Wszystko, co w Wilnie – jest dobre, kochane, mądre, uczciwe itd.; tam trwają stosunki społeczne, w których szlachta ziemiańska realizuje swój dobrobyt majątkowy, swoje wpływy, stanowisko itd., tam jest oaza wszelkiej doskonałości. tam się nasza szlachta czuje u siebie, w domu, na swoich śmieciach towarzyskich, jak za dawnych „dobrych czasów”. Nie Warszawa, ale i nie Litwa jest jej ojczyzną. Jest nią Wilno, czyli uratowana z przewrotów pozostałość dawnej Litwy szlacheckiej, tej, co to nie chce znać i nie zna żadnych „litwomanów”, żadnych nowinek socjalistyczno-wywrotowych. Tam i katolicyzm, i duchowieństwo, i klasztory, i szkoły, i uniwersytet, i bale, i używanie dworów i lasów – jest inne, lepsze, dawne, przepojone duchem uczciwego konserwatyzmu i hierarchii towarzyskiej. I większości naszej szlachty chodzi nie o spór między Polską a Litwą, lecz o zwycięstwo i ustalenie Litwy staro-szlacheckiej. Wilno i Wileńszczyzna, w których pod skrzydłem polskim to się realizuje, stało się metropolią dla całej szlachty ziemiańskiej i tu u nas w Litwie Niepodległej. To są dwa światy Litwy: Kowno – chłopi, Litwini, prostacy, którzy wszystko robią źle, i Wilno – szlachta litewska, gdzie wszystko się opiera na statecznym uszanowaniu hierarchii społecznej, gdzie każda rzecz się wiąże nićmi tradycji, a więc jest zawsze mądra, zacna i kochana.

7 września, rok 1923, piątek
Rano wróciłem do Bohdaniszek. Umówiłem traczy do piłowania desek i opiłowywania belek na mój dom (po 90 ct. od „sznura” na ich stole), nająłem robotnika do wykopania 20 dołów pod drzewka owocowe, które znów tej jesieni sadzić będę. W Rakiszkach Pejsach Ruch pożyczył ode mnie na weksel 150 dolarów do 1 czerwca 1924 na 12%. Chciał mi płacić 15%, ale ja sam się nie zgodziłem, uznając ten procent za zbyt wysoki i nie chcąc uprawiać lichwy. W Bohdaniszkach czekały mię siostry i dzieci. Biedna Helcia Mieczkowska jest bardzo przywiązana do mnie i stara się nie dać wyprzedzić Andrzejowi w towarzyszeniu mi, gdziekolwiek idę. Biedaczka nie zdaje sobie sprawy z tego, jak okropnie wygląda i jak przykrym jest jej widok; jest w niej coś monstrualnego; gdyby się taka istota przyśniła, można by się przerazić, ale cóż dopiero, gdy się ją widzi realnie: głowa zwieszona na piersi tak, że jej poziom nie wznosi się ponad kark, wzrok

mętny i smutny, kosy, patrzący od dołu spod głowy, cera blada, oddech ciężki, sapiący, całe ciało wstrząsane lekkimi podrygami jakby falowaniem, ręce jakby obrzękłe, drgające, często coś chwytające lub szukające czegoś jak u tabetyków. Strach pomyśleć, jak taka choroba niespodziana, która nie wiadomo skąd przyszła i której właściwie nikt z lekarzy nie ustalił, w tak prędkim czasie tak zmieniła dziecko. Przed rokiem była to jeszcze dziewczynka ładna, zdrowa, normalna. Dziś jest kaleka i wygląda jak potwór. W Bohdaniszkach zimno i deszcz. Cały sierpień było tak samo. Kartofle jeszcze kwitną, owies – zielony. Przymrozków jeszcze nie było. Marynia zaczęła już siać żyto, Elwira – młóci. Owoce z ogrodu, których jest w Bohdaniszkach w tym roku mnóstwo, siostry sprzedają pudami w Rakiszkach (opadki po 1 ½ do 2 litów pud).
Wieczorem dziś się rozchorowałem. Zaczęło mię ziębić przed kolacją, kończyny miałem zimne i sztywniejące. Położyłem się po kolacji, nogi ogrzałem butelką z wodą gorącą, zmierzyłem temperaturę: miałem 38,9°, to znaczy wielką gorączkę. Poczciwy Stefan Römer, Maryni syn, który w ogóle jest bardzo troskliwy o chorych, zaopiekował się mną i spał u mnie w pokoju na podłodze.
Dalszy ciąg moich zabiegów wolnomularskich za granicą. Rozmowa moja z Quartier-la-Tente była krótka. O nas on nie wiedział nic zgoła. Nie znał też dziejów współczesnych wolnomularstwa w Rosji, co mię zdziwiło, bo przecie od lat 20 był kierownikiem biura międzynarodowego stosunków masońskich („Bureau International des Ralations Maçonniques") i jak mi sam powiedział, od lat 40 jest masonem. Wprawdzie wolnomularstwo przedwojenne w Rosji (Wielki Wschód Rosji, a potem W. W. Narodów Rosji) było ściśle zakonspirowane i kontakt międzynarodowy realizowało przez Wielki Wschód Francji, z którego się samo wywodziło i z którym zachowywało stosunki ciągłe, to jednak dziwnym mi jest, że fakt jego istnienia i szczegóły jego rozwoju, zważywszy znaczenie międzynarodowe Rosji, uszły wiedzy czy tylko uwagi Biura Międzynarodowego Stosunków Masońskich, jedynej w tym czasie organizacji ześrodkowującej ruch międzynarodowy wolnomularstwa, będącego w samej idei swojej powszechnym. Gdym natomiast, mówiąc o przekształceniu Wielkiego Wschodu Rosji w Wielki Wschód Narodów Rosji w roku 1912 czy 1913, wspomniał o rozwoju lóż na kresach narodowych państwa rosyjskiego, co właśnie wpłynęło na owo przekształcenie, wytwarzając w wolnomularstwie Rosji prądy federalistyczne w dążeniu do przebudowy państwa, i gdym w szczególności wymienił Ukrainę, Quartier-la-Tente zaznaczył, że z wolnomularstwem ukraińskim był on w latach ostatnich w stosunkach bardzo ożywionych i czynnych (zrozumiałem, że te stosunki były ożywione i czynne zwłaszcza w latach mniej więcej 1919-1920). Czy te stosunki trwają i czy są równie ożywione, czynne i ścisłe dziś, kiedy Quartier-la-Tente jest rzecznikiem i wykonawcą stosunków międzynarodowych wolnomularstwa polskiego, realizujących się za jego pośrednictwem – nie wiem. Sądzę, że wolnomularstwo polskie, o którym wiem, że jest bardzo narodowe i narodowo-państwowe, nie może być bardzo solidarne i zgodne z wolnomularstwem Ukrainy, choćby ono miało bliski związek z akcją Petlury przed kilku laty, muszą być jednak silne prądy samodzielno-państwowe (niepodległościowe, czyli „samostijne"), a więc państwowo antypolskie. Zresztą tych rzeczy szczegółowo zbadać nie miałem możności. O obecnym odrodzeniu wolnomularstwa rosyjskiego na emigracji, na którego czele stoją Kiereński i Dołgorukow – o czym się w kilka dni później dowiedziałem w Paryżu w Wielkim Wschodzie Francji - Quartier-la-Tente zdawał się zdawał się nie wiedzieć, bo podnosząc z moich słów kwestie wolnomularstwa na Ukrainie i w Polsce, na moje słowa o wolnomularstwie w Rosji lub na emigracji rosyjskiej nie reagował wcale i słuchał o tym, zdając się nic nie wiedzieć zgoła.

8 września, rok 1923, sobota
Rano lepiej się czułem, choć byłem trochę osłabiony gorączką wczorajszą i miałem szum w głowie. Dziś wyjeżdżam wieczorem do Kowna. Siostry i Stefan namawiali mię, bym został, bo gorączka może się powtórzyć wieczorem, ale nie chciałem; gdybym miał chorować, to też wolę już być u siebie w Kownie. Ta gorączka wczorajsza przeszła jak burza; jest ona pewno echem jakichś zaziębień i niewczasów podróży mojej; podróż opłaciłem z kieszeni, ale trzeba trochę i zdrowiem zapłacić, bo nic za darmo; forsowna była podróż, więc rachunek wysiłku musi być uiszczony ze zdrowia. Już przy wyjeździe z Holandii gorączkowałem trochę; w Kownie i w ciągu kilku dni w Bohdaniszkach miałem bóle newralgiczne w lewej połowie twarzy – teraz będzie mała hiszpanka, a skończy się na kaszlu. Miałem leżeć do obiadu na sofie w Maryni pokoju, która dziś jest solenizantką, ale goście i różni interesanci przeszkodzili. Przyjechali do c. Paulinki z Pokrewnia młynarz i były ekonom Pietkiewicz, którego ciocia bierze na rządcę i plenipotenta, przyjechał też Piotr Rosen. Trzeba było omawiać z nimi rozmaite interesy pokrewieńskie. Potem przyjechali jeszcze pp. Neefowie z Rakiszek, p. Lysander i p. Florowa z Krewna. Wyjechałem o zmroku w deszcz na stację do Rakiszek. Dojechałem szczęśliwie. Gorączki nie czuję. Wziąłem do Kowna bilet II klasy.
Dalszy ciąg o moich stosunkach wolnomularskich za granicą. Rozmowa moja z Quartier-la-Tente – na ogół krótka – była prowadzona w tonie nieco więcej niż uprzejmym, bo zaprawionym bądź co bądź pewną poufnością braterskiej kultury wolnomularskiej, przynajmniej w formie i trybie. Używaliśmy też wzajemnie tytułu brata. Jednak była to rozmowa rzeczowa, rozmowa „*d'affaires*", a że poprzednio żadnego kontaktu nigdy między nami nie było, więc też szczególnej serdeczności i ciepła szczerego w niej specjalnie nie było. Gdybym wiedział, że nie zajmuję czasu Quartier-la-Tente i że go nie odrywam od jakichś innych zajęć lub gdybym był przez niego odpowiednio ośmielony, byłbym go długo i o wiele rzeczy rozpytywał. Miałem bowiem przed sobą człowieka biegłego w sprawach wolnomularskich i zajmującego wysokie w wolnomularstwie stanowisko międzynarodowe. Krępowałem się jednak nadużywać jego uprzejmości, a skądinąd obawiałem się wydać mu zbyt wielkim profanem i ignorantem w sprawach wolnomularskich, bo przecież my, tak przed wojną w naszych lożach wileńskich, jak obecnie w naszym kreowanym Wielkim Wschodzie Litwy – byliśmy zawsze pozbawieni kontaktu z ruchem wolnomularskim międzynarodowym, zajęci tylko swymi sprawami, nieświadomi prądów i rozwoju, a nawet dziejów wolnomularstwa powszechnego. Chodziło mi teraz o nawiązanie stosunków, o wytworzenie kontaktu, który by nam pozwolił obcować z wolnomularstwem powszechnym i przekonać się, czy jest ono istotnie tym czynnikiem ideowym braterstwa ludzkiego, jakim my go sobie wyobrażać pragniemy, i co nam to obcowanie dać może. W tym także obcowaniu tylko możemy się przekonać ostatecznie – w co wierzymy – że wolnomularstwo nie jest wcale ani kultem mistycznym zła i szatana, ani intrygą Żydów dla zdobycia dla nich panowania nad światem, ani miną dla wysadzenia kultury i zburzenia świata, jak twierdzą jego wrogowie z obozu klerykalnego. Ja osobiście wierzę w Boga i w boskość Chrystusa oraz mam kult dla Krzyża, a przecież nie waham się pracować w wolnomularstwie, które realizuje wielkie braterstwo ludzkie, stanowiące element zasadniczy nauki Boskiej Chrystusa. Nie indagowałem zbytnio brata Quartier-la-Tente, bo na informacje i poznanie wolnomularstwa będziemy mieli czas w obcowaniu. Rad byłe, że Quartier-la-Tente sam mię zbytnio nie indaguje i że potraktował mię z zaufaniem i udzielił wskazówek i poparcia dla nawiązania stosunku z Wielkim Wschodem Francji, co nam zdoła może otworzyć drogę do A. M. I., a w każdym razie wprowadzi już na tory obcowania międzynarodowego. Rad byłem z tego, bo to było dla mnie na razie najistotniejsze,

więc z litewską powściągliwością nie chciałem przeciągać struny i wydać się zbyt natrętnym. To, czego nam jeszcze brakuje – to zdobędziemy z czasem, byle wejść teraz na drogę. Quartier-la-Tente udzielił mi druków A. M. I. i na tym się nasze widzenie skończyło. Nazajutrz wyjechałem do Paryża, gdzie poczyniłem dalsze kroki.

9 września, rok 1923, niedziela
Noc w wagonie II klasy spędziłem bardzo dobrze. Gorączka się nie powtórzyła. Podróżnych było mało – całą drogę spałem. Po przyjeździe do Kowna poszedłem do siebie i nie wychodziłem więcej z mieszkania, a zaraz po obiedzie położyłem się do łóżka, aby się dobrze rozgrzać, wypocząć i ewentualnie zwyciężyć przeziębienie. Zastałem w Kownie paczkę listów, przesłanych mi przez Woronieckiego z Paryża. Są to listy, które nadeszły do mnie do Paryża pod jego adresem. Hela Ochenkowska wraz z listem przysyła mi egzemplarz mojej wydanej przez Litwinów w Wilnie książeczki pod tytułem „Stronnictwa polityczne litewskie" i cztery numery dziennika wileńskiego „Słowo", zawierające streszczenia kilku wygłoszonych przez Józefa Piłsudskiego w Wilnie odczytów. Odczyty te stanowią cykl. Piłsudski przedstawia w nich rolę i funkcję dowództwa w działaniu wojennym, analizując ja na genezie i wykonaniu zdobycia przezeń Wilna w roku 1919. Zdaje się, że te streszczenia są notatkami, dokonanymi bezpośrednio na odczytach przez Helę; są one pisane od pierwszej osoby („zrobiłem", „chciałem" itd.) i zawierają zdania i zwroty, wzięte żywcem z ust Piłsudskiego. Ciekawe są niewątpliwie i bardzo żywo, bardzo wiernie i bardzo głęboko ujmują tę twórczą pracę psychiczną, która się poczyna od koncepcji wodza i przechodząc przez wszystkie stadia myśli, uczucia, woli, czynu, przez wszystkie elementy psychiczne osobiste i zbiorowe, przez szereg walk między ruchem wyładowywanej energii, realizującej twór a oporem bezwładu, kończy się dziełem konkretnie czynionym i wykonanym. Co prawda, ten sam proces psychiczny realizuje się nie tylko w działaniu wojennym, ale we wszelkim wielkim dziele ludzkim, zwłaszcza wykonywanym zbiorowo. Z innego jednak względu odczyty Piłsudskiego czynią na mnie przykre wrażenie. Przede wszystkim jest w nich nadmiar rozkochania się Piłsudskiego w sobie, jest gorączka tworzenia własnej wielkości, jest kult bałwochwalczy swojego „ja"; w odczytach tych Piłsudski jest w jednej osobie bogiem i kapłanem, czyniącym kult własny, celebrującym misterium własnego nabożeństwa. Po drugie, jest rozmiłowanie w drapieżności, jest usprawiedliwienie wszystkiego zgoła jedynie siłą i wolą siły. Wreszcie jest niepojęte dla mnie prostytuowanie ukochanej przez Piłsudskiego Litwy. Piłsudski kocha Litwę, kocha się w jej pierwiastkach psychicznych, które chętnie przeciwstawia polskim jako wyższe, lepsze i doskonalsze w działaniu, a przecież zużywa je nie dla nich, nie dla Litwy, lecz dla triumfu, chwały i wielkości tego, co uważa za rdzennie niższe i gorsze. Ta wielka, ukochana i święta Litwa jest u niego służebną pogardzanej Polski, jest narzędziem rozdymania imienia i siły pierwiastka polskiego. Jest to rzecz, którą w Piłsudskim potępiam najbardziej. Gdyby Polak zdobywał Litwę dla Polski – rozumiałbym to, ale Piłsudski w tym, co mówi i co czuje o sobie, nie jest Polakiem, jeno jest Litwinem. Ale jeżeli nawet ta Polska, której Piłsudski służy i której swój czyn poświęca, nazywając ją ukochaną przezeń Litwą, nie jest w jego pojęciu Polską narodową i etniczną, Polską żywą i realną, jaką demokracja współczesna tworzy i rozwija, a którą Piłsudski w gruncie pogardza i nie lubi, jeno jest Polską wyśnioną starej formacji szlacheckiej, Polską romantyczną, na którą się składają pierwiastki zarówno polskie, jak ruskie, jak jeszcze bardziej litewskie, Polską fantastyczną, w której mało co jest polskiego prócz imienia i w której polskość Piłsudski chciałby przetrawić ukochanym czynnikiem psychicznym litewskim, pozbawionym jeno imienia własnego, ale zwycięskim w tej jego Polsce – bo takim

bodaj jest jego sen szlachecki o Polsce – to i w takim razie powinien on zrozumieć, że niszcząc Litwę imienną i ludową, tępi on to podłoże, z którego wyrasta owa psychika litewsko-polska, rąbie drzewo, które w skojarzeniu czynników litewskich z polskimi wydaje te owoce typu psychicznego Polaków litewskich czy Litwinów polskich, do których należy Mickiewicz i on sam i które on tak kocha.

10 września, rok 1923, poniedziałek
Czytając sprawozdanie notatkowe z odczytów wileńskich Józefa Piłsudskiego, otrzymuję wrażenie, że Piłsudski dziecinnieje już na starość. Myśl jest jeszcze silna i głęboka, ale są już pewne cechy psychiczne bodaj dziecinnienia, bodaj zmiękczenia tężyzny czynnej wieku męskiego. Tym ewentualnie tłumaczyć można to rozkochiwanie się Piłsudskiego w sobie i w kulcie jego osoby przez adeptów i to gorączkowe, pracowite, namiętne wytwarzanie własnej legendy, którymi przepełnione są wszystkie jego przemówienia i czyny w ostatnich czasach. Piłsudski nie tworzy już dzieła, z którego wyrasta legenda, lecz tworzy przede wszystkim samą legendę. Ma się wrażenie, że cała jego akcja wileńska z r. 1919 i 1920, a bodajże i cała jego akcja wschodnia z tych czasów była skierowana nie do jakichś dzieł i celów wielkich, jakimi były jego czyny poprzednie – ruch strzelecki, 6 sierpnia roku 1914, Legiony, I Brygada, Magdeburg, wyzwolenie Polski w dniu 11 listopada 1918 – ale już tylko do wytwarzania legendy imienia Piłsudskiego. Miłość i kult Siebie pochłonęły Dzieło. Jest coś dekadenckiego w przemianie, dokonującej się w tym Wielkim Człowieku. Jest sztuczność w stawaniu się Zarathustrą Nietzchego, w pięciu się do Napoleona. Są to rzeczy pracowicie robione.
Będę pisać w dalszym ciągu o moich stosunkach wolnomularskich za granicą. Po przyjeździe do Paryża udałem się w d. 22 sierpnia (wtorek[174]) do Wielkiego Wschodu Francji na rue Cadet, 16, gdzie się mieści gmach tego związku, przebudowywany w tym czasie i pokryty rusztowaniem od ulicy. Brata Ariasa, sekretarza generalnego, do którego miałem adresowany bilet polecający od Quartier-la-Tente, zastałem w jego mieszkaniu prywatnym w tymże gmachu, chorego w łóżku w pokoju sypialnym, do którego mię wprowadziły spotkane w przedpokoju jego dzieci małe. Przeczytał on bilecik, ale oświadczył, że będąc chorym i leżąc w łóżku trudno mu konferować ze mną, wobec czego prosił, bym z biletem tym udał się do biura Wielkiego Wschodu na innych schodach, dokąd mię jego mała córeczka uprzejmie zaprowadziła. Tam, przeszedłszy przez przedpokój ciemny, oświetlony, zdaje się, lampą czy też światłem przez szyby nad drzwiami z innych pokojów, wszedłem przez jakieś drzwi do pokoiku, w którym siedział przy stole jakiś średniego wieku mężczyzna. Podałem mu bilet Quartier-la-Tente w kopercie, zaadresowanej do sekretarza generalnego Ariasa (wymawiają „Arys”), tłumacząc, że tenże, będąc chory, skierował mię ze swego mieszkania tutaj. Wziął on bilet, mnie zaś odprowadził do przedpokoju i prosił zaczekać. Ściany w przedpokoju obwieszone rozmaitymi wizerunkami i fotografiami masońskimi. Po upływie jakichś 10 minut ten sam jegomość, tytułując mię już bratem (o moim charakterze masońskim przekonano się już z biletu Quartier-la-Tente), wezwał mię i zaprowadził przez poprzedni pokój do sąsiedniego, oddzielonego od tegoż tylko przegródką. Tam zastałem młodego mężczyznę w wieku nie więcej niż lat 30, który powstał na powitanie moje i uczyniwszy prawą ręką jakiś ruch półkolisty, który, jak sądzę, miał wyrazić jakiś symboliczny znak powitania, a na który ja mu tymże odpowiedzieć nie mogłem, bo my symboliki znaków masońskich nie znamy wcale – podał mi rękę. Ten brat, który mię przyjął w zastępstwie Ariasa, grzeczny był i

174 Pomyłka; była to środa.

uprzejmy bardzo. Kto to jest taki i jakie jego stanowisko w Wielkim Wschodzie Francji – tego nie wiem. Gdym mu zaznaczył w kilku słowach, o co mi chodzi i w jakim celu Quartier-la-Tente, do którego się zwracałem, skierował mię tutaj, uprzedził mię, że jednak będę się musiał w tym przedmiocie zobaczyć i porozumieć z bratem sekretarzem generalnym Ariasem, do którego właściwości to należy, a którego niedyspozycja jest tylko chwilową. Poprosił mię więc, abym zaszedł raz jeszcze nazajutrz, gdyż wtedy już Ariasa zastanę na pewno. Zechciał jednak wysłuchać mojej relacji szczegółowszej o naszej genezie i zgłaszanej kandydaturze i był na tyle uprzejmy, że udzielił mi pewnych użytecznych rad i wskazówek, do których się następnie zastosowałem. Mianowicie wskazał mi, że koniecznym jest, bym się do Wielkiego Wschodu Francji zwrócił na piśmie, proponując mu nawiązanie regularnych stosunków braterstwa i przyjaźni („amitié et fraternité") z naszą organizacją, o której genezie, budowie i składzie osobowym przynajmniej Rady Zakonu („Counceil d'Ordre"), czyli po naszemu Prezydium winienem w tymże piśmie udzielić wiadomości. Jednocześnie w tym samym piśmie należy prosić o poparcie przez Wielki wschód Francji naszej kandydatury do A. M. I.

11 września, rok 1923, wtorek
Litwa odrzuca propozycję Rady Ambasadorów w sprawie Kłajpedy, ale dla wygrania na czasie i dla zbadania efektu, jaki uczyni na razie odrzucenie odpowiedzi, która była od niej żądana terminowo, nie komunikuje jeszcze odrzucenia i projektowanej kontrpropozycji swojej, jeno tymczasem zwróciła się do rady Ambasadorów w Paryżu z prośbą odroczenia terminu odpowiedzi do czasu zebrania się Sejmu, który jeszcze korzysta z wakacji, a z którym rząd pragnąłby się w tej poważnej kwestii porozumieć. Na prośbę tę Litwa jeszcze odpowiedzi nie otrzymała, tymczasem zaś termin, który był Litwie dla odpowiedzi udzielony, w d. 9 września upłynął. Dotąd cicho. Litwa przez to zwlekanie chce się zorientować, jak będzie Rada Ambasadorów reagować na zwłokę, aby powziąć z tego wyobrażenie, jaką wagę tam do propozycji kłajpedzkiej przywiązują i czy rzecz bardzo ostro stawiają czy nie. Jest to więc gra dyplomatyczna ze strony Litwy, gra na zwłokę, jaką zwykle słabi uprawiają i czasem na niej zyskują, a przynajmniej zyskują czas do orientowania się.
Ale przejdę jeszcze do dalszego ciągu moich relacji wolnomularskich z Paryża. Zastosowałem się do wskazówek młodego brata z Wielkiego Wschodu Francji, który mię przyjął w zastępstwie sekretarza generalnego Ariasa. Nazajutrz rano (czwartek 23 sierpnia) wstałem wcześnie i zaopatrzony w przyrządy do pisania zainstalowałem się w kawiarni Soufflet na „Bulmiszlu", gdzie o tej porze jest jeszcze pusto, i zabrałem się do układania deklaracji do Wielkiego wschodu Francji. Ułożyłem deklarację bardzo treściwą i dokładną w dobrym języku francuskim, w której przedstawiłem całkowitą genezę naszego Wielkiego Wschodu Litwy od czasu utworzenia Wielkiego Wschodu Rosji pod patronatem W. Wschodu Francji aż do skupienia się naszego w latach 1920-1921 w loży „Litwa" w Kownie i proklamowania naszego samodzielnego Wielkiego Wschodu. Zaznaczyłem jego główne rysy organizacji, wymieniłem, że składa się on dotąd z jednej pełnej loży macierzystej w Kownie oraz ma dwie loże, będące w stanie formowania się (w Poniewieżu i Szawlach), a spodziewanym jest jeszcze powstanie drugiej loży w Kownie i loży w Kłajpedzie (w Kłajpedzie ma zamieszkać jeden z najbardziej oddanych wolnomularstwu naszych braci – Šaulys). Wspomniałem, że podług naszego statutu (w istocie – projektu statutu, bo ta część statutu jeszcze u nas uchwalona przez lożę nie jest), najwyższym organem naszym będzie konwent, który wszakże zacznie funkcjonować dopiero wtedy, gdy ilość lóż naszych wzrośnie do liczby 7, do tego zaś czasu zastępuje go nasza loża macierzysta „Litwa", której

prezydium stanowi też do tego czasu „la Conseil d'Ordre", czyli władzę najwyższą Wielkiego Wschodu Litwy. Wykazałem cały skład osobisty tego naszego „Conseil d'Ordre", który podług stanowisk jego członków przedstawia się wcale imponująco, bo Wielkim Mistrzem jestem ja, sędzia Trybunału Najwyższego, czyli Izby Kasacyjnej, i profesor uniwersytetu, Wielkim Dozorcą – br. Michał Biržiška, profesor uniwersytetu i dziekan Wydziału Humanistycznego („Sciences et Lettres"), Sekretarzem Generalnym i Skarbnikiem – br. Michał Ślażewicz, adwokat, poseł do Sejmu, *leader* Stronnictwa Ludowego i były prezes Gabinetu Ministrów, Wielkim Oratorem – br. Stefan Kairys, inżynier, poseł do Sejmu, *leader* stronnictwa Socjalnej Demokracji i były minister aprowizacji. Są to wszystko tytuły poważne. Tych braci z „Conseil d'Ordre" wymieniłem imiennie; innych nazwisk nie podawałem, jeno wskazywałem ich stanowiska społeczne, a w ich liczbie szczególną wagę posiadają burmistrz („le meire") miasta Kowna (br. Jonas Vileišis), rektor uniwersytetu (br. Wincenty Czapiński), były ambasador litewski w Rzymie przy Kwirynale (br. Jurgis Šaulys). Słowem, mogliśmy się zaprezentować dobrze i wcale poważnie. Zaznaczyłem, że nie czynimy w przyjmowaniu braci żadnych różnic narodowych i poza większością litewska posiadamy w loży jednego brata Polaka (nie cytowałem, że nim jestem ja, a w tworzącej się loży w Poniewieżu – dwóch braci Żydów (br. Kacenelenbogen i br. dr Romm). Wskazałem też, że nie czynimy wyjątków płci i posiadamy w lożach siostry (siostra Felicja Bortkiewiczowa w Kownie, siostra Gabriela Pietkiewiczówna w Poniewieżu). Deklarację moją wystosowałem poza informacją w tonie podniosłym i serdecznym, pełnym kurtuazji i uczuć braterskich dla braci Wielkiego Wschodu Francji, z którymi nas wiąże zarówno tradycja genezy naszej, jak wspólne dzieło powszechnego Braterstwa Ludzkiego, prosząc wielki Wschód Francji o nawiązanie z nami stałych i ciągłych stosunków przyjaźni i braterstwa. Zastrzegłem konieczność bezwzględnego zakonspirowania naszej organizacji litewskiej, której nie tylko imiona braci, ale i samo istnienie nie może być ujawnione profanom ani też wzmiankowane w żadnej publikacji. Wskazałem wreszcie, że zgłosiliśmy kandydaturę naszą do A. M. I. i prosimy Wielki Wschód Francji o jej poparcie. Adres nasz, stosownie do mego układu z Quartier-la-Tente, podałem w jego mieszkaniu w Genewie – avenue des Vollandes, 1, Quartier-la-Tente. Podpisałem deklarację moim imieniem i nazwiskiem (Michael de Römer) oraz tytułem Wielkiego Mistrza.

12 września, rok 1923, środa
Pisałem, zdaje się, w dzienniku o rewizji, którą agenci „Žvalgyby" w Rakiszkach zarządzili w lipcu u Maryni w Bohdaniszkach, łącząc ją nawet z rewizją osobistą, co oczywiście bardzo zaniepokoiło i było przykre dla Maryni. Zresztą Marynia wykorzystała to naturalnie przeciwko Litwie, biorąc z tego strawę do listów, pisywanych do rozmaitych krewnych i przyjaciółek w Wileńszczyźnie i Polsce, a pełnych zawsze utyskiwań na nieład, krzywdy, kiepskie rządy itd. w Litwie. Mnie to może jeszcze bardziej było przykre, bo boli mię każdy wypadek ujemny w Litwie, mogący ją kompromitować i dostarczać argumentów tym, co jej są niechętni. Choć wiem aż nadto dobrze, że ci, co są niechętni i chcą szkalować, potrafią i w słońcu znaleźć plamy i z białego uczynić czarne tak, że nawet najlepszy stan rzeczy nie ustrzeże od wyszukania usterek, których się skwapliwie szuka, bo zupełnej doskonałości nie ma i nie może być – jednak przecie im mniej wrogowie Litwy mogą mieć przeciwko niej argumentów i im trudniej im jest jej szkodzić, tym mi jest przyjemniej, każdy zaś argument, który sam im przyznać muszę, jest dla mnie bolesny. Niestety, tych wrogów Litwy, rzeczywistych albo uprawiających tę wrogość ot tak sobie – z mody lub dla sportu, jak Marynia – mam w najbliższym moim środowisku

rodzinnym. Owa więc rewizja w Bohdaniszkach bardzo mię obeszła jako fakt lekceważenia przez prowincjonalnych agentów Žvalgyby praw osobistych, zagwarantowanych Konstytucją, które tylko trybem przepisanym i na zasadzie pewnych względów poważnych mogą być przez organy władzy dotknięte. Wobec tego zaraz wtedy wystosowałem skargę do ministra wojny, w którego sferze władzy jest Žvalgyba, opisując zajście i zwracając jego uwagę na niewłaściwość działania tych agentów, w którym dostrzegam brak poszanowania praworządności konstytucyjnej. Wprawdzie sam nie przypuszczałem, aby skarga moja wydała jakieś konsekwencje nagany lub innego skarcenia tych agentów, jednak chodziło mi o to, aby przynajmniej przez sam fakt jakiegoś zażądania z ministerium wyjaśnień od Žvalgyby w Rakiszkach zwrócić uwagę tych kacyków lokalnych, że przecież jest jakaś kontrola nad ich działaniem i spowodować u nich zastanowienie nad możliwością odpowiedzialności za czyny i koniecznością liczenia się z prawem; chodziło mi więc o pewne ich zastraszenie, już samo przez się zbawienne, bo uśmierzające ich samowolę. Chciałem też, aby oni poczuli, że jednak niekoniecznie każdy dwór w Litwie jest dla nich terenem dowolnych doświadczeń i pokornym barankiem ich samowoli i że mogą oni się czasem natknąć na kogoś, co się upomni i zmusi ich do tłumaczenia się przed władzą, a w szczególności aby wiedzieli, że za Bohdaniszkami stoję ja i że ja przecie jestem w Litwie czymś, z czym małe pieski urzędnicze w Rakiszkach muszą się liczyć. O to mi tylko chodziło. O skardze tej już prawie zapomniałem. Żeby dochodzenie wydało konsekwencje i przyznało mi satysfakcję – na to nie liczyłem. Byłem pewny, że agenci Žvalgyby się wytłumaczą i że Žvalgyba ich wytłumaczy. Chodziło mi tylko o to, aby się tłumaczyć musieli. Z jakąż dziś przyjemnością zastałem w Trybunale urzędowe krótkie pismo, adresowane do mnie ze Sztabu Generalnego Ministerium Wojny, do którego należy Žvalgyba, zawiadamiające mię, że moja skarga lipcowa została zbadana i że urzędnicy, o których chodzi, niejacy Norvaišas i Zdanowicz, zostali przeniesieni do wydziału kryminalnego Departamentu Milicji. Jest to zupełna satysfakcja. Nie zostali oni formalnie ukarani, bo zgrzeszyli tylko zbytkiem niewłaściwej gorliwości i ostatecznie wielkiego wykroczenia nie popełnili, ale przecież zostali za tę niewłaściwość przetranslokowani służbowo ze stanowisk swoich na inną służbę. Ma więc Žvalgyba w Rakiszkach nauczkę. Daje mi to zupełną satysfakcję, tym większą, że rzecz tę załatwiono bardzo *correcte*, po europejsku, zawiadamiając mię o tym, co mi da możność odparcia zarzutów, czynionych z tego faktu rządom litewskim. Błędy i skazy mogą być wszędzie – cóż dopiero w naszych warunkach porosyjskich i powojennych! Ale jest odpowiedzialność i są czynniki władzy praworządnej, do których się odwołać można. Jestem z tego wyniku rad bardzo, jak zawsze ze wszystkiego, co moją Litwę rehabilituje i zamyka usta jej niechętnym.
Brałem dziś udział z Kriščiukaitisem i Janulaitisem w posiedzeniu sądowym Trybunału. Sędzia Čepas już od miesiąca pracuje w Trybunale, ale dziś nie zasiadał. W sobotę się z nim na posiedzeniu spotkam. Posiedzenia sądowe będą u nas nadal odbywały się jak dotąd, środami i sobotami. Kriščiukaitis będzie przewodniczył na wszystkich, my zaś – to znaczy Janulaitis, Čepas i ja – będziemy co trzecie posiedzenie wolni.

13 września, rok 1923, czwartek
Referowałem dziś szczegółowo dyrektorowi Departamentu Więzień w Ministerium Sprawiedliwości Brazaitisowi, podług notatek moich, rezultaty wizyt moich w trzech koloniach wychowawczo-poprawczych dla nieletnich w Szwajcarii. Referat ten zajął dobre dwie godziny. Zdaje się, że więcej się nawet dowiedziałem i ponotowałem, niż było potrzeba. W każdym razie, udzieliłem materiału obfitego. Założenie analogicznej kolonii właśnie jest projektowane w Litwie i Departament więzień, na którego czele stoi

dzielny i pracowity Brazaitis (syn znanego lekarza, prawnik, przed wojną był na służbie u Feliksa Platera w Belmoncie w charakterze plenipotenta sądowego), ma sobie zlecone wykonanie tego zadania. Jest przeznaczony na to któryś z dworów, przejętych na własność państwa, więc miejsce jest, tylko chodzi o technikę wykonania, która jest najtrudniejsza, gdy zwłaszcza rzecz jest w kraju zupełnie nowa.
Będę kontynuować moją relację z moich stosunków wolnomularskich za granicą. Jednocześnie z podaniem do Wielkiego Wschodu Francji napisałem króciutkie podanie do „Association Maçonnique Internationale" (A.M.I.) ze zgłoszeniem formalnym do tego związku kandydatury Wielkiego Wschodu Litwy. Tu nie wypisywałem dziejów naszego powstania ani żadnych szczegółów naszej organizacji. Powołałem się tylko na Wielki Wschód Francji, który posiada wszelkie niezbędne informacje o nas. Dodałem też niezbędne zastrzeżenie o zakonspirowaniu naszym. Pismo to wysłałem pocztą z Paryża do br. Quartier-la-Tente jako Wielkiego Kanclerza A.M.I., załączając list prywatny do niego z podziękowaniem za udzielone wskazówki i polecenia. W liście tym wskazałem mu też tryb, jakim się będziemy z nim komunikowali. Jak już nadmieniałem, Quartier-la-Tente był tak uprzejmy, że sam mi zaproponował korzystanie z jego adresu dla wszelkich naszych stosunków wolnomularskich zewnętrznych. Wszystko więc, co dla nas będzie przeznaczone lub do nas skierowywane z zewnątrz, będzie się koncentrowało u niego na avenue des Vollandes, a on będzie te rzeczy udzielał temu, kto się do niego z ramienia naszego zgłosi i od tegoż będzie przyjmował wszystko pochodzące od nas. Otóż napisałem mu, że upoważnionym przez nas będzie każdy brat nasz, który się do niego zgłosi osobiście lub listownie z załączeniem rekomendacji na piśmie za moim podpisem. Pismo zaś moje do Wielkiego Wschodu Francji tegoż dnia (czwartek 23 sierpnia) zaniosłem do tego związku osobiście. Gdym z przedpokoju w lokalu biura Wielkiego Wschodu Francji wszedł do pierwszego przyćmionego pokoiku kancelarii, ujrzałem przy stoliku, gdzie dnia poprzedniego siedział brat, który pierwszy przyjął z rąk moich bilet polecający Quartier-la-Tente'a, jakiegoś grubego mężczyznę, zwróconego do mnie plecami. Gdym do niego przemówił, odwrócił się on do mnie ciężko twarzą, nie wstając z miejsca, i spojrzał. Sam nie wiem dlaczego, widok jego mię przeraził tak, że mi się krew na razie w żyłach ścięła. Był to Murzyn, stary i otyły. Ujrzałem olbrzymie oczy o białkach tak przeraźliwie wielkich, że mi się na razie wydały nieludzkimi. Błysnęła mi niedorzeczna myśl o straszydłach i diabłach masońskich i była króciutka chwila, kiedy jakimś przeżytkiem przesądów o masonach („farmazonach"), zapominając, że sam nim od lat 12 jestem i że od lat 11 piastuję godność venerable'a loży, miałem jakieś wrażenie głuche czy przeczucie, że oto mam istotnie w gnieździe wolnomularstwa Diabła przed sobą, którego oglądam zmysłami. Może te białka oczu, osadzonych w czarnej twarzy Murzyna, nie miały w sobie nic nadzwyczajnego i nie były wcale tak potwornie wielkie, jeno się wydawały takimi przez kontrast ich blasku z czarną cerą skóry, ale na razie widziałem tylko te białka przeraźliwe na olbrzymiej twarzy, której rysów nawet nie zapamiętałem. Zresztą uderzył mię wnet smutny i jakby zmęczony, chory wyraz tych oczu o białkach tak wielkich, wyraz jakiś – powiedziałbym – tragiczny, a więc w istocie głęboko ludzki, który wszakże na razie wraz z tymi białkami przeraźliwymi przyczynił się do tego nagłego i niedorzecznego stropienia mię. Ale trwało to tylko chwilę i wnet ochłonąłem. Jednak nie wiem, czy się mylę, czy nie, ale czy to gdzieś czytałem, czy ktoś mi (czy nie nieboszczyk Iwan Łuckiewicz?) mi o tym Murzynie w poczekalni Wielkiego Wschodu Francji opowiadał, czy może nawet gdzieś fotografię jego widziałem – dość że od razu doznałem wrażenia – i do dziś mi się to wydaje – że o Murzynie tym wiedziałem i że powinien on był być właśnie takim, a nie innym i ta świadomość, to uczucie fatalizmu tego spotkania tym większe na mnie sprawiło

wrażenie. Zanim brat Murzyn mi coś zdołał odpowiedzieć lub spytać, w drzwiach sąsiedniego pokoju ukazał się młody brat, z którym rozmawiałem dnia poprzedniego. Oznajmił mi, że brata Ariasa zastaję.

14 września, rok 1923, piątek
I znowu mi wypada podróż – tym razem do Rzymu i tym razem nie dla własnej rozrywki tylko. Deleguje mię tam Wydział Prawniczy naszego uniwersytetu – na Kongres Międzynarodowy Socjologii, który się odbędzie w Rzymie od d. 1 do 8 października. Podróż jest ciekawa, Rzymu nie znam i sam kongres będzie zajmujący. Dla moich prac naukowych na uniwersytecie obcowanie z żywym ruchem nauki, który się na tym kongresie przejawi, będzie miało wartość niepoślednią. Nie przejrzałem jeszcze programu kongresu, ale zważywszy, że jest on powszechnym i że trwać będzie przez dni osiem, należy suponować, że uwydatni ogromny dorobek myśli i pracy naukowej. Mój przedmiot uniwersytecki – nauka o państwie i prawo konstytucyjne – ma ścisły związek z cyklem nauk o społeczeństwie, objętych mianem socjologii – zwłaszcza w interpretacji zjawisk państwa, jaką ja w moich badaniach stosuję. Delegacja na kongres do Rzymu była dla mnie niespodzianką. Poszedłem na posiedzenie Rady Wydziału wieczorem, nic o tym nie wiedząc. Kiedy już główne przedmioty porządku dziennego były wyczerpane, chciałem wychodzić, gdy dziekan Leonas mię zatrzymał, prosząc o zaczekanie, bo, jak powiedział, są jeszcze ważne kwestie, a wśród nich ewentualnie wypłynie może, że mi do Rzymu jechać wypadnie. Sama ta wzmianka była już dla mnie tyle zachęcającą, że pozostałem. Zaraz też na porządek dzienny wypłynęła sprawa tego kongresu, oparta na zaproszeniu z Rzymu. Senat uniwersytetu skierował otrzymane zaproszenie do wydziałów Prawniczego, Teologicznego i Humanistycznego. Wolałbym, żeby tamte dwa wydziały także wydelegowały przedstawicieli, abym nie był na kongresie sam jeden z Litwy. Leonas postawił moją kandydaturę do wydelegowania i choć Kriščiukaitis się krzywił, że mu odrywają sędziego z Trybunału, ja sam wyraziłem zgodę na jazdę i zarazem też to zostało zaprotokołowane. Rad jestem z tego, bo się znowu rozerwę, a kosztować mię to nie będzie.
Na posiedzeniu rady Wydziału – drugim w obecnym roku szkolnym (na pierwszym nie byłem) obecni byli: dziekan Leonas, sekretarz wydziału docent Wacław Biržiška, profesorowie i docenci Kriščiukaitis, Mačys, Bielackin, Pokrowski, Šalčius, Stankiewicz i ja (Stankiewicz jest świeżo zaangażowany na katedrę prawa karnego; jest to z pochodzenia Litwin, mocno zrusyfikowany, przyjaciel i w r. 1917 prawa ręka Kiereńskiego; bawi obecnie wraz z większością inteligencji rosyjskiej na emigracji, mieszka w Berlinie; zastrzegł, że w roku bieżącym wygłosi tylko wykład inauguracyjny, a wykładać stale zacznie dopiero od roku przyszłego, bo się musi przygotować; powiadają, że jest to człowiek poważny, który ma wiedzę; nie znałem go dotąd). Na dzisiejszym posiedzeniu postanowiono zaprosić na katedrę statystyki Albina Rimkę, który właśnie ukończył studia uniwersyteckie w Niemczech i zdobył dyplom formalny, choć pracą własną zdobył od dawna wiedzę rozległą. Jest to człowiek dziś w wieku lat 37, który początkowo żadnej nauki ani szkoły nie posiadał i był chłopem, rolnikiem na 40 morgach w Suwalszczyźnie. Wykształcił się samouctwem w wieku dorosłym, a dopiero w ostatnich 10 leciech zdobył maturę i obecnie już uniwersytet ukończył. Jego studia ekonomiczne o Litwie, ogłaszane w druku, są dużej wartości. Jest to człowiek zdolny, umysł mocny, wiedza wielka, najpoważniejszy ekonomista w kraju, siła naukowa dużej wartości, którą uniwersytet zdobywa. Omawiana też dziś była prośba Związku Kooperatyw dopuszczenia słuchaczy zorganizowanych przez związek kursów spółdzielczych do słuchania na Wydziale Prawniczym szeregu wykładanych u

nas przedmiotów, które związek wcielił do programu swych kursów. Przyjęto mój wniosek, wychodzący z założenia, że uwzględnienie takiej prośby przekracza kompetencję wydziału i stanowiący przeto o przesłaniu tej kwestii do decyzji senatu uniwersytetu z opinia naszą, iż uwzględnienie prośby nie przeszkadzałoby pracom wydziału.
Przed posiedzeniem Rady Wydziału odbyło się w lokalu uniwersytetu zwołane przez Zygmunta Žemaitisa zebranie utworzonego w roku zeszłym Komitetu Jubileuszowego 600-lecia Wilna. Komitet ten nie zbierał się wcale, ale jego komisja wykonawcza w ciągu roku coś niecoś zdziałała. Teraz chodziło o uchwalenie patronatu komitetu dla wydanego przez inny komitet (komitet przyjęcia gości angielskich, którzy odwiedzili Litwę) medalu jubileuszowego Wilna. Jest to medal litewski Wilna, wykonywany podług rysunku Piotra Rymszy. Uchwaliliśmy dać firmę dyplomowi tego medalu i wybić 1000 egzemplarzy oraz na tym czynność komitetu zakończyć. Na zebraniu był Žemaitis, Jan Yčas, ks. Tumas, ja i ktoś jeszcze, którego nie znam.

15 września, rok 1923, sobota
Rozpoznawała się dziś w Trybunale wielka i dobrze mi znana sprawa komunistów krewieńskich z byłym wójtem gminy krewieńskiej Izydorem Baranowskim na czele. Na ławie oskarżonych siedziało 12 ludzi, skazanych wyrokiem Sądu Wojennego w kwietniu r.b. Organizacja bolszewicka w gminie krewieńskiej, a więc w moich stronach rodzinnych, była wykryta latem r. 1921. Wtedy nastąpiły w wioskach naszych liczne aresztowania podług nici, jakie posiadała Žvalgyba miejscowa, a następnie sami oskarżeni, bici i katowani nielitościwie przez agentów Žvalgyby, wyśpiewali wszystko i dostarczyli obfitego materiału dla oskarżenia. Dochodzenie, a potem śledztwo formalne toczyło się blisko dwa lata. Organizacja krewieńska stanowiła formację rejonową wielkiego związku bolszewickiego, ogarniającego Litwę i kierowanego pod egidą Partii Komunistycznej z ośrodków propagandy z Rosji, streszczającej się w III Międzynarodówce. Organizacja krewieńska, której wodzem był wójt Baranowski, składała się z trzech kół lokalnych, z których najliczniejsze i najczynniejsze było krewieńskie, posiadające broń i amunicję i utrzymujące ścisłe stosunki z instruktorami, delegowanymi z centrum; drugie kółko było bohdaniskie, do którego zarządu należeli gospodarz Antoni Jachimowicz z wioski Bohdaniszek i mój chrzestny syn, Michał Nemeikšis, syn wieloletniego kucharza naszego śp. Antoniego Nemeikšisa; kółko bohdaniskie było najsłabsze; było ono zorganizowane przez wójta Baranowskiego, ale nie miało sił wybitniejszych, toteż wegetowało, podsycane tylko wizytami Baranowskiego, udzielanymi przezeń do czytania gazetkami komunistycznymi i improwizowanymi od czasu do czasu podczas wizyt Baranowskiego zebrańkami; na zebraniach tych Baranowski kreślił członkom kółka perspektywy przyszłego przewrotu komunistycznego, który ma oddać władzę z rąk „burżujów” w ręce „ludu” pracującego i spełnić wszelkie marzenia nędzarzy; a ci nędzarze, czyli „lud” z kółka bohdaniskiego marzyli bodaj wszyscy, z wyjątkiem jednego Michasia Nemeikšisa, o takim ustroju, który by im pozwolił pożywić się kosztem zrabowanego cudzego mienia; jak zwykle – garnęły się do takich tęsknot przewrotowych nie tylko elementy ideowe, ale jeszcze bardziej elementy hultajskie; takimi hultajami, z klasycznym hultajem Jachimowiczem na czele, było pełne kółko bohdaniskie; perłą wśród nich był Nemeikšis, gorąco oddany sprawie, jedyny, który poza przyjeżdżającym z Kowna Baranowskim usiłował kółko bohdaniskie utrzymywać i rozwijać, ale skądinąd sam za mało politycznie wyrobiony, aby mógł kółkiem kierować. Trzecie kółko było w Montowszczyźnie, na którego czele stał energiczny Władysław Malčius (Malec). Tam docierali także emisariusze i instruktorowie z centrum, ukrywający się pod pseudonimami, i tam w maju 1921 w

naszym lesie montowskim odbyła się konferencja delegatów rejonowych. Cała organizacja krewieńska trwała od roku 1920 do czerwca 1921, kiedy została rozbita przez aresztowania. Sąd Wojenny skazał Baranowskiego, po uwzględnieniu amnestii częściowej z r. 1922, na 15 lat ciężkiego więzienia, innych na terminy po lat 6 i 4, kilku uniewinnił, kilku skazał na terminy po 2 lata, zwracając się jednocześnie do Prezydenta Rzeczypospolitej o ułaskawienie tych ostatnich. W liczbie tych ostatnich była większość członków kółka bohdaniskiego. Z kółka bohdaniskiego pozostał skazany, bez przedstawienia do ułaskawienia, mój chrzestny syn Nemeikšis. Skazani apelowali do Trybunału. Leżało mi bardzo na sercu uwolnienie biednego Nemeikšisa albo przynajmniej zmniejszenie mu kary, bo na uniewinnienie nie bardzo liczyłem. Chodziło mi również o ulżenie losu Baranowskiego, którego znałem i szanowałem. Choć w roli wójta bywał on nieraz przykry dla mnie i choć kiedyś w r. 1920, kiedym z Bohdaniszek w jakimś interesie jeździł do gminy, Baranowski, którego wtedy poznałem, przyjął mię bardzo „groźnie", krzycząc na mnie jak na żaka i nie prosząc nawet siadać, a nie przeczuwając, że kiedyś ja go sądzić będę – to jednak miałem później sposobność przekonania się, że jest to człowiek, który ma sumienie i serce, człowiek, który tworzył organizację komunistyczną nie dla rabunku, nie z chciwości cudzego dobra, ale z pobudek ideowych, z wiary i przekonania, z tęsknoty braterstwa ludzkiego i emancypacji mas pracujących od wyzysku.

16 września, rok 1923, niedziela
We wczorajszej sprawie komunistów krewieńskich, która wystudiowałem starannie, chcąc ulżyć doli biednych oskarżonych, a w ich liczbie zwłaszcza Michasia Nemeikšisa, powiodło mi się pokierować wolą moich kolegów w zespole sądzącym, w którym prócz mnie brali udział prezes Kriščiukaitis, sędzia Čepas i prezes Sądu Wojennego Šniukšta. Uniewinniliśmy wprawdzie tylko jednego Jana Sadowskiego z Montowszczyzny, o którym mi zresztą dziś Michaś Nemeikšis mówił, że jest to właśnie w gronie oskarżonych jeden z najmniej wartościowych ludzi, który brał w ruchu udział li tyko z pobudek ewentualnego rabunku przy domniemanym przewrocie; wszystkim innym zmniejszyliśmy znacznie karę, Baranowskiemu zamieniliśmy 15 lat ciężkiego więzienia na lat 6, a czterem – w ich liczbie Nemeikšisowi – złagodziliśmy ją do 2 lat i zaliczywszy 2 lata wysiedziane wypuściliśmy ich. Ucieszy się stara matka Michasia, która dla opłacenia adwokata (bronił ich Leonas) sprzedała ostatnią (zresztą jedyną) krowę, i ucieszy się siostra jego, Kostusia Kozłowska. Michaś Nemeikšis już jest wolny. Dziś rano był u mnie, a po obiedzie wyjechał do Bohdaniszek. Rad jestem, że mogłem ocalić tego chłopca, który jest w gruncie zacny i szlachetny.
Wczoraj po raz pierwszy brałem udział w posiedzeniu sądowym z Čepasem. Nie chcę jeszcze zawczasu, może zbyt pochopnie, wydawać opinii o jego kwalifikacjach sędziowskich, ale na razie nie podobał mi się on. Wydaje się drobiazgowy i przez to kiepsko się orientujący. Posiedzenie wczorajsze wyjątkowo przeciągnęło się do godz. 9 wieczorem. Sama sprawa komunistów krewieńskich zajęła czas do obiadu (do godz. 3). Wieczorem zaś o dziewiątej, wprost z posiedzenia, udałem się na kolację pożegnalną, którą profesorowie uniwersytetu uczcili ustępującego rektora Šimkusa. Kolacja, jak zwykle, miała miejsce w Klubie Litewskim. Osób było niezbyt dużo, bo Šimkus nie jest lubiany. Mów jednak dużo było. Kolacja była kiepska, jak zwykle uczty zbiorowe w tym klubie. Siedziałem obok Ballogha, który już wrócił z wakacji spędzonych w Berlinie.
Dziś, zmęczony po dniu wczorajszym, czułem się senny i znudzony. Zaproszony byłem przez Józefa Stawskiego do zwiedzenia pawilonu rybnego nad Niemnem, w którym towarzystwo akcyjne „Speka" (Stawski jest dyrektorem tego towarzystwa, którego

akcje skupił już Vailokaitis, pochłaniający i finansujący stopniowo wszystkie większe przedsiębiorstwa w kraju) – sprzedawać będzie, a zarazem konserwować, wędzić i przechowywać w stanie żywym i mrożonym ryby, raki i produkty z tychże. Towarzystwo to ma wydzierżawione od rządu wszystkie jeziora w powiatach uciańskim, jezioroskim i rakiskim, w których ma zorganizować regularną gospodarkę rybną i eksploatację na wielką skalę. Stawski traktował mię doskonałymi rakami, których najadłem się do syta. Była do tego i wódeczka.

17 września, rok 1923, poniedziałek
dalszy ciąg relacji o moich stosunkach wolnomularskich za granicą. Brat Arias w Wielkim wschodzie Francji przyjął mię bardzo uprzejmie i przeczytał bardzo uważnie pismo, które mu od imienia Wielkiego Wschodu Litwy złożyłem. Po przeczytaniu powiedział, że doskonale i zupełnie wystarczająco, a nawet wyczerpująco zreferowałem w tym piśmie naszą organizację. Jedna tylko uczynił uwagę, że mianowicie czy nie będzie stanowiło trudności przyjęcie nas do A.M.I. ta okoliczność, że żądamy bezwzględnego zakonspirowania. Na to odrzekłem, że br. Quartier-la-Tente, z którym o tym mówiłem, znajduje, iż to jest możliwe i że precedens taki istnieje w stosunku do polski. O pochodzeniu byłego Wielkiego Wschodu Rosji br. Arias wiedział i spytał mię tylko, czy to jest ta sama organizacja, która obecnie stanowi grupa Kiereńskiego i Dołgorukowa. Odpowiedziałem, że tak, bo zarówno Kiereński, jak Dołgorukow należeli do byłego Wielkiego Wschodu Rosji, względnie – Narodów Rosji. Br. Arias mi nadmienił, że właśnie świeżo „grupa" br. Kiereńskiego i br. Dołgorukowa nawiązała z Wielkim Wschodem Francji stosunki stałe. Stąd dowiedziałem się o wznowieniu akcji masońskiej rosyjskiej na emigracji. Br. Arias spytał mię, jak długo zostaję w Paryżu, a dowiedziawszy się, że nazajutrz wyjeżdżam, wyraził żal, bo właśnie w kilka dni potem, w poniedziałek 27 sierpnia, miało się odbyć posiedzenie „Rady Zakonu" („Conseil d'Ordre") Wielkiego Wschodu Francji, na którym będzie nasza prośba rozpoznawana. Prosiłem o przesłanie odpowiedzi pod wskazanym adresem br. Quartier-la-Tente w Genewie. Oczywiście, że już odpowiedzi tej nie otrzymałem, ale otrzymam ją teraz w podróży do Rzymu, w której zboczę do Genewy. Konwent A.M.I. w Genewie odbędzie się właśnie w ostatnich dniach września, więc trafię do Genewy natychmiast po konwencie. Czy będziemy przyjęci na członka A.M.I. – w to trochę wątpię, bo z literatury wolnomularskiej, udzielonej mi przez br. Quartier-la-Tente, którą przewertowałem dopiero po powrocie do kraju, przekonałem się, że nie jest to tak łatwe. Przede wszystkim, wymagane jest poparcie trzech regularnych organizacji masońskich, podczas gdy ja zwracałem się tylko do dwóch – do Wielkiego Wschodu Francji i do Wielkiej Loży Francji, i jeszcze nie jestem pewny, czy obie te formacje nas uznają – zwłaszcza mam wątpliwości co do Wielkiej Loży Francji. Po wtóre, zachodzi kwestia, czy możemy być uznani za organizację regularną, a tylko takie maja dostęp do A.M.I. Choć nasz Wielki Wschód Litwy został proklamowany przez braci, którzy należeli do organizacji regularnej, to jednak w wolnomularstwie jest zwyczaj, że każda nowa organizacja musi być założona przez jedną z istniejących. Zresztą ten brak, jeżeli się okaże, będzie mógł być naprawiony przez regularyzację późniejszą, ale tymczasem jeszcze teraz nie bylibyśmy przyjęci do A.M.I. Zresztą br. Arias w rozmowie ze mną żadnej tego rodzaju wątpliwości nie podnosił. Dobrym byłoby już to, żebyśmy choć otrzymali uznanie formalne Wielkiego Wschodu Francji. W takim razie W. W. Francji zwyczajem masońskim mianowałby specjalnego przedstawiciela swego do stosunków z nami, zwanego w terminologii wolnomularskiej „Garant d'Amitié". Dobrze, że jadę teraz to się dowiem rezultatu moich poprzednich zabiegów.

18 września, rok 1923, wtorek
Korzystam z braku wybitniejszych tematów aktualnych, aby kontynuować o moich zabiegach wolnomularskich za granicą. Nazajutrz po rozmowie mojej z br. Ariasem, Sekretarzem Generalnym Wielkiego Wschodu Francji – to znaczy w piątek 24 sierpnia – udałem się do Wielkiej Loży Francji, ażeby tam także się zaprezentować i nawiązać z nią stosunki naszego Wielkiego Wschodu Litwy. I dla Wielkiej Loży bowiem miałem bilecik polecający br. Quartier-la-Tente. Jakiś brat Wielkiej Loży, którego zastałem w biurze i któremu okazałem bilecik, spytał mię, o co mi chodzi, a gdym mu powiedział, że pragnę rozmowy dla nawiązania stosunków i chcę prosić o poparcie kandydatury naszej na członka A.M.I., oświadczył, że należy mi się zwrócić do brata Sekretarza Generalnego, który na razie jest nieobecny; prosił mię więc, bym wstąpił nazajutrz. Powiedziałem, że tegoż dnia wieczorem wyjeżdżam z Paryża. Poradził mi więc, bym to uczynił listownie. Wobec tego w kilka dni później, bawiąc w Holandii, napisałem z Balkbrug do Wielkiej Loży Francji. Pismo to było krótkie. Nie rozpisywałem się obszernie o naszej organizacji, ograniczając się do zaznaczenia, że wszelkie szczegóły informacji o nas mogą być zasięgnięte w Wielkim Wschodzie Francji. Zaznaczyłem tez konieczność naszego zastrzeżenia o ścisłym naszym zakonspirowaniu, wreszcie prosiłem o poparcie naszej kandydatury, zgłoszonej do A.M.I. Pismo to wysłałem pocztą. Czy to wystarczy dla formalnego uznania nas przez Wielką Lożę Francji i udzielenia nam poparcia wobec A.M.I. oraz dla nawiązania z nami ciągłych stosunków braterstwa i przyjaźni, o co tez prosiłem, a co może być tylko konsekwencją uznania formalnego – nie wiem. Gdy się teraz z literatury i publicystyki wolnomularskiej zapoznaję z formami organizacyjnymi wolnomularstwa, sądzę, że to nie wystarczy, ale w każdym razie pierwsze kroki zrobione. Daliśmy znak istnienia, daliśmy wiedzieć o sobie, mamy początek stosunków, a z odpowiedzi, które otrzymamy, wywnioskujemy, co dalej czynić wypadnie. W podróży do Rzymu już się rychło dowiem czegokolwiek w odpowiedzi na pierwsze kroki nasze. Z Holandii też napisałem list do br. Kiereńskiego pod adresem gazety eserów rosyjskich w Pradze Czeskiej, przypominając mu nasze spotkanie na konwencie Wielkiego Wschodu Narodów Rosji w październiku r. 1914 w Petersburgu i prosząc o zaświadczenie mojego charakteru masona na wypadek, gdyby go z Wielkiego Wschodu Francji o to zapytywano. Oczywiście list ten zredagowałem tak oględnie, żeby profani nie zrozumieli z jego treści, że to o związki wolnomularskie chodzi. Zdaje się zresztą, że list do Kiereńskiego był zbyteczny.

19 września, rok 1923, środa
Na uniwersytecie rok szkolny się już rozpoczął w tygodniu bieżącym. W sobotę ubiegłą w południe odbyła się uroczystość immatrykulacji, na której nie mogłem być obecny, będąc zajęty na posiedzeniu sądowym w Trybunale. Zdaje się, że jeszcze niewielu tymczasem profesorów rozpoczęło wykłady. Ja zamierzałem rozpocząć wykłady od początku października, ale z powodu wyjazdu na kongres socjologii do Rzymu będę mógł je rozpocząć dopiero od drugiej połowy października. Tymczasem jeszcze nie zacząłem się do wykładów gotować. Zabiorę się do tego już po powrocie z Rzymu. Tymczasem, poza codzienną praca trybunalską, pracuję nad referatem dla naszej loży, w którym z publicystyki wolnomularskiej, udzielonej mi przez br. Quartier-la-Tente, czynię wyciągi i streszczenia w postaci krótkich treściwych artykulików informacyjnych o różnych formach organizacyjnych i zagadnieniach z zakresu międzynarodowych stosunków wolnomularskich. Znajomości tych stosunków brakło nam dotąd całkowicie. Byliśmy pod tym względem zupełnymi ignorantami. Materiał, zawarty w tych streszczeniach moich, zamierzam częściowo odczytywać, częściowo zaś referować ustnie na najbliższych posiedzeniach naszej loży, zaczynając od posiedzenia,

wyznaczonego na nadchodzącą sobotę, a rękopis tych streszczeń złożę następnie do naszego archiwum loży. Z pewnością zawiera on dużo błędów i niedokładności, nie mówiąc o lukach, ale na razie może on zapełnić jakkolwiek naszą kompletną ignorancję i może służyć tym braciom, którzy nie znają francuskiego i nie mogą korzystać z przywiezionej przeze mnie publicystyki lub którzy nie maja czasu na jej studiowanie uważniejsze. Piszę to po litewsku.

20 września, rok 1923, czwartek
Byłem dziś u ministra rolnictwa Krupowicza w sprawie Antonosza. Chodzi o wydzielenie Römerom antonoskim – Maciejowi, Tadeuszowi i Jadzi – ich normy własności nietykalnej, która im już została w zasadzie przyznana w ilości każdemu po 80 ha, czyli razem na trzech 240 ha – w samym centrum dworu antonoskiego. Komisja powiatowa postanowiła sam Antonosz oraz folwark Poweseje zarezerwować na użytek reformy agrarnej, a w szczególności samego Antonosza nie parcelować, jeno ze względu na jego piękne położenie nad jeziorem i przy szosie uczynić zeń tzw. fermę kulturalną wzorową, zaś Römerom wydzielić 240 ha gdzieś na uboczu. Ponieważ ustawa o reformie agrarnej udziela byłemu właścicielowi wywłaszczanego majątku prawa wybrania sobie swojej normy nietykalnej w dowolnym miejscu majątku, więc zdawałoby się, że Römerowie antonoscy tez mogą z tego prawa skorzystać i wybrać sobie normę w centrum majątku. Tymczasem z rozmowy w tej sprawie z Tomkunasem przed kilku dniami dowiedziałem się, że nowy minister Krupowicz, który się zabiera do wykonywania reformy agrarnej z właściwą mu zapalczywością demagogiczną, rzekomo tak interpretuje ustawę, opierając się na jakimś jednym słowie jej tekstu, iż właściciel tego prawa wyboru nie ma. Radził mi więc Tomkunas, bym się udał do Krupowicza, który może w tym wypadku pozwolić na wydzielenie Römerom samego centrum, bo to zależy nie od wyboru właścicieli, ale od woli wydzielającego. Byłem więc u Krupowicza, z którym dotąd osobiście się nie znałem, znając go tylko z widzenia. Był bardzo sztywny i zimny, ale grzeczny. Wyjaśnił mi, iż jego interpretacja dotyczy li tylko majątków, których właściciele są nieobecni i które były z tego względu w zarządzie państwowym. Zachodzi to właśnie co do Antonosza. Oświadczył zresztą, że wydzielenie Römerom ich normy nietykalnej nie na kresach majątku, lecz w centrum dworu, zależy nie od niego, jak mi powiedział Tomkunas, lecz od Zarządu Reformy Agrarnej, czyli poradził mi znowu zwrócić się do Tomkunasa. Mam mało nadziei, aby się to powiodło naprawić. Zresztą, szczerze mówiąc, Römerowie antonoscy niezbyt zasłużyli na jakieś względy; chodzi tylko o to, że to nasz majątek rodowy, który najdłużej był w ręku Römerów, więc by się go chciało w rodzinie zachować.

21 września, rok 1923, piątek
Z inicjatywy Toliušisa odbyło się dziś w gabinecie prezesa Kriščiukaitisa posiedzenie zarządu Litewskiego Towarzystwa Prawniczego. W posiedzeniu wzięli udział: prezes Kriščiukaitis, Janulaitis, Toliušis i ja; członek zarządu Norejka nie stawił się. Postanowiliśmy rozpocząć jesienną kampanię ogólnych zebrań odczytowo-dyskusyjnych Towarzystwa, rozpoczynając pierwsze w sobotę 6 października odczytami: a. adwokata Nargielewicza – o rozporządzeniach obowiązujących, b. Janulaitisa – o niezbędnych reformach sądowych i c. Toliušisa na jakiś temacik specjalny. Poza tym Toliušis podniósł kwestię zwołania II krajowego zjazdu prawników. Postanowiliśmy wnieść tę kwestię na porządek dzienny ogólnego zebrania w d. 6 października. Wreszcie omówioną była sprawa wznowienia pisma prawniczego „Teisė”. Nowy minister sprawiedliwości Tumenas jest członkiem czynnym naszego Towarzystwa Prawniczego, życzliwym wydawnictwu „Teisė”. Jest przeto nadzieja, że

wystara się o kredyty państwowe na to wydawnictwo, którego potrzeba jest wielka, zwłaszcza w stosunku do publikowania w nim bardziej zasadniczych wyroków kasacyjnych Trybunału, wyjaśniających ustawy i służących za drogowskazy dla naszej praktyki sądowej, błądzącej po omacku.

22 września, rok 1923, sobota
W mieszkaniu Michała Ślażewicza odbyło się posiedzenie loży. W poczet braci przyjęty został Toliušis. Obecni byli na posiedzeniu bracia mistrze: ja, Stefan Kairys, Michał Ślażewicz, Jan Vileišis, Felicja Bortkiewiczowa, Władysław Czapiński i bracia uczniowie: Antoni Sugint, Wiktor Biržiška, Zygmunt Toliušis. Zreferowałem moje kroki, poczynione w imieniu Wielkiego Wschodu Litwy za granicą w kierunku nawiązania stosunków międzynarodowych. Loża aprobowała je bez zastrzeżeń, wyraziła mi podziękowanie i upoważniła do dalszego ich prowadzenia. Loża uchwaliła też mój wniosek o zdjęcie konspiracji z samego faktu istnienia Wielkiego Wschodu Litwy w zakresie stosunków zagranicznych. To znaczy, że fakt ten na zewnątrz Litwy nie będzie tajnym i będzie mógł być wymieniany i publikowany w wykonywaniu międzynarodowego obcowania wolnomularskiego, rezerwując zresztą całkowitą tajność nazwisk i wszelkich innych szczegółów oprócz informacji o ilości lóż i członków. W stosunkach wewnętrznych Litwy konspiracja pozostaje takąż, jaka była dotąd. Następnie rozpocząłem mój referat informacyjny o wolnomularstwie międzynarodowym. Czyniłem to w postaci odczytywania moich zapisek, o których wspominałem w dzienniku pozawczoraj. Odczytałem dziś tylko cząstkę, zachowując ciąg dalszy do następnego posiedzenia. Słuchano z wielką uwagą, bo były to dla wszystkich rzeczy nowe, choć zwierały one zaledwie abecadło informacji. Bracia Ślażewicz i Wiktor Biržiška wyrazili życzenie, aby te zapiski, jako pierwszy rzeczowy i obfity materiał informacyjny o wolnomularstwie międzynarodowym, opracowany w języku litewskim, zostały wydane drukiem. Wszyscy bracia wniosek ten aprobowali, ale na razie nie był on poddany głosowaniu. Loża wróci do niego po zakończeniu mego referatu. W końcu posiedzenia br. Ślażewicz postawił kandydaturę Tadeusza Pietkiewicza, młodego prawnika, z przekonań ludowca. Loża wyznaczyła braci śledczych do zbadania osoby kandydata. Czynność tę polecono braciom Wiktorowi Biržišce i Toliušisowi. Na tym posiedzenie loży zostało zamknięte.

23 września, rok 1923, niedziela
Rano – posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego na uniwersytecie. Obecni: dziekan Leonas, profesorowie Kriščiukaitis, Mačys, Ballogh, Bielackin, ja, docenci Wacław Biržiška, Šalčius, Rimka. Omawiano różne kwestie bieżące, związane głównie z przyjęciem szeregu studentów i wolnych słuchaczy, których tytuły są z rozmaitych względów wątpliwe. W związku z tą sprawą wypłynęła kwestia regulaminu wydziału. Wyznaczono komisję regulaminową, do której powołano mnie, Bielackina i Biržiškę. Podjąłem w kancelarii uniwersytetu awans na moją podróż do Rzymu. Awans wynosi 1500 litów. Pono mam prawo do diet w ilości po 100 litów dziennie, nie licząc oczywiście ceny biletu kolejowego I klasy. Ogółem więc podejmę zapewne za tę podróż około 2000 litów. Ponieważ faktycznie jechać będę przeważnie III klasą, ewentualnie z rzadka II-gą i dziennie po 100 litów, czyli po 10 dolarów z pewnością wydawać nie będę, więc przypuszczalnie jeszcze z 500 albo i więcej litów na tej podróży zarobię, co tez nie jest do pogardzenia.
Janulaitis, który na razie z takim zgorszeniem był przyjął nominację Čepasa do Trybunału, stopniowo miękł i skończył całą kwestię bardzo nikłym efektem. Tu sprawdziło się przysłowie: z wielkiej chmury mały deszcz. Oczywiści Janulaitisowi nie

kwapi się ustąpienie z Trybunału, z czego ja się jeno cieszę. Na razie, gdy Janulaitis, który wówczas bawił w Połądze, dowiedział się o nominacji Čepasa z pominięciem wystawionej przez Trybunał kandydatury Ciplijewskiego, groził on w bardzo kategorycznej formie dymisją. Mam jego list do mnie, cytowany zresztą w dzienniku; treści tego listu nie można inaczej zrozumieć, jak że Janulaitis na znak protestu poda się do dymisji. Gdy się potem Janulaitis dowiedział ode mnie, że kandydaturę Čepasa zgłosił ministrowi osobiście prezes Trybunału Kriščiukaitis, wobec czego minister Tumenas oświadcza (w rozmowie ze mną), iż nie może uważać tej nominacji za dokonaną rzekomo bez wiedzy Trybunału, Janulaitis się trochę umitygował i zwrócił gniew na Kriščiukaitisa. Zapowiadał, że na ogólnym zebraniu Trybunału podniesie kwestię niewłaściwego i niedopuszczalnego postępku prezesa, który stojąc na czele instytucji kolegialnej i reprezentując ją nie może coś na własną rękę robić, co może mieć pozór aprobaty kolegialnej, a szczególnie gdy to jest przeciwne uchwale tejże instytucji (uchwała o kandydaturze Ciplijewskiego). Teraz po wakacjach Janulaitis jeszcze łagodniej stawiał sprawę. Mówił mi, że na ogólnym zebraniu podniesie sprawę nominacji Čepasa i postawi wniosek rezolucji, stwierdzającej, że nominacja nastąpiła bez wiedzy Trybunału i powiadamiającej o tym ministra sprawiedliwości. Istotnie na ogólnym zebraniu pozawczoraj Janulaitis kwestię tę podniósł i wniosek takiej rezolucji postawił, ale już w tak łagodnej i grzecznej formie, pełnej zastrzeżeń w wypowiedzianych motywach, że się nie czuło pierwotnych groźnych zapowiedzi. Wniosek nie przeszedł, a nawet prezes odmówił poddania go głosowaniu. Na moją propozycję, zresztą w formie prywatnej tylko, nie protokołowanej, przyjęte zostało tylko życzenie, poparte przez prezesa, aby prezes zwrócił się na piśmie do ministra sprawiedliwości, wyrażając opinię Trybunału, aby rychlej została wreszcie uregulowana ustawowa kwestia trybu nominacji sędziów Trybunału, gdyż stan obecny, jako niewyraźny, nie odpowiada potrzebom. Ponieważ Janulaitis postawił swój wniosek w związku z punktem porządku dziennego, traktującym o przyjęciu do wiadomości nominacji Čepasa, więc Janulaitis, po oddaleniu jego wniosku, zadowolił się tym, że w podpisie swoim zastrzegł, iż przyjmując do wiadomości nominację Čepasa, stwierdza, iż została ona dokonana bez wiedzy Trybunału. Zdaje się, że na tej rezerwie, która bodaj z ram księgi uchwał nie wyjrzy nigdy na światło dzienne, cały incydent został wyczerpany. Deszcz zaiste mały z pierwotnej chmury gniewu i groźby Janulaitisa.

24 września, rok 1923, poniedziałek
Za parę dni trzeba mi już ruszać w podróż do Rzymu na Kongres Socjologii. Jadę jeden, nikt więcej z Litwy nie jest delegowany. Wolałbym, żeby nas tam było co najmniej dwóch, żeby się można było w poszczególnych kwestiach i ewentualnych wystąpieniach naradzać. Nie mam doświadczenia w pracach kongresów międzynarodowych i nieraz mogę się znaleźć w położeniu niewyraźnym, z którego nie będę wiedział, jak wyjść. Trapią mię też różne detale, które bodaj nie są drobne – jak na przykład to, że nie mam ani fraka, ani nawet tużurka, a będą tam zapewne jakieś przyjęcia, prezentacje i bankiety dla delegatów, na których może wymagany będzie strój stosowny.

25 września, rok 1923, wtorek
Czyniłem przygotowania do jazdy do Rzymu. Z awansu, który otrzymałem z kancelarii uniwersytetu w kwocie 1500 litów, kupiłem za 1350 litów 130 dolarów na rozchody w drodze (sądzę, że faktycznie całej tej kwoty nie wydam). W uniwersytecie ułożyłem po francusku tekst mandatu dla mnie na kongres i po wypisaniu go na maszynce na

blankiecie uniwersyteckim dałem do podpisu rektorowi Czapińskiemu i do ostemplowania pieczęcią uniwersytecką.
Socjologię, która jest nauką nową, uważam trochę za blagę. Socjologia nie ma jeszcze ustalonego przedmiotu i przeto nie bardzo zasługuje dotąd na nazwę dyscypliny naukowej. Jej twórcy i szermierze, olśnieni ideą nauki o społeczeństwie, są skłonni do czynienia z niej jakiejś naddyscypliny czy pandyscypliny, panującej nad innymi dyscyplinami i ogarniającej niemal wszystkie inne, jakiejś encyklopedii nauk o człowieku społecznym, jakiejś wiedzy uniwersalnej niemal, która nie tylko pochłania wszystkie dyscypliny cyklu nauk tzw. humanitarnych i prawniczych, ale wkracza i w sfery przyrody, medycyny itd. Jak każda nauka młoda, bez ustalonego przedmiotu własnego, czyniącego z niej konkretną dyscyplinę, szukająca dopiero swych łożysk i rzucająca się na wszystko, pociąga ona liczne zastępy dyletantów, którzy nie przyczyniają się do postępu wiedzy i do ustalenia metod analizy, jeno rozpraszają badania i nadają socjologii pewne cechy szarlatanerii. Taka jest dotąd moja opinia o socjologii, co oczywiście nie ujmuje wagi poważnych i ścisłych zasług na polu badań społecznych, czynionych pod nazwą socjologii przez takich uczonych, jak Worms, Tarde i inni. Zobaczymy, czy obecny kongres w Rzymie wpłynie na zmianę moich poglądów na to, co się obecnie pod mianem socjologii praktykuje. Kongres obecny jest zwoływany przez instytucję stałą naukową, która nosi miano „Międzynarodowego Instytutu Socjologii w Turynie". Kongres jest III-cim. Instytut w Turynie nie ma zbyt wielkiej sławy w świecie naukowym. Zdaje się, że jest w nim sporo pierwiastka dyletanckiego. Program jego prac też czyni na mnie wrażenie przedsięwzięcia dość dyletanckiego i chaotycznego. Obejmuje on siedem sekcji: I – tzw. ogólna, w której zgłoszone są dwa referaty: o zasadzie solidaryzmu i o pojęciu postępu ludzkiego; II – międzynarodowe problemy jurydyczne, w której są zgłoszone referaty na takie np. tematy polityki międzynarodowej aktualnej, jak reforma Ligi Narodów lub kwestia statusu mniejszości narodowych; III sekcja zatytułowana „Zagadnienia polityczne międzynarodowe", w której zakresie zgłoszono najwięcej referatów (7); referaty ogarniają zagadnienia nieraz bardzo aktualne i ciekawe (np. kwestia stosunków politycznych i ekonomicznych z Rosją sowiecką, kwestia redukcji wojska stałego i instytucja milicji ludowej, aspiracje demokratyczne a konieczność społeczna autorytetu i dyscypliny, biurokracja a reforma administracyjna w stosunku do współczesnej koncepcji państwa itd.), które wszakże bądź stanowią wyłączne zagadnienia polityki, bądź należą do rozmaitych innych dyscyplin, w szczególności prawa publicznego, nauki o państwie itd.; IV sekcja – problemy gospodarcze międzynarodowe; V sekcja – zagadnienia międzynarodowe pracy; VI sekcja – zagadnienia eugeniki i biosocjologii; tu już socjologia wkracza w sferę przyrody i medycyny; dla mnie przedmioty tej sekcji są zgoła obce; co to jest „eugenika" – o tym nawet pojęcia nie miałem i nie wiedziałem, co znaczy to słowo – dopiero mi Czapiński wyjaśnił, że pod nazwą eugeniki tworzy się jakaś nowa i, jak mi się zdaje, dość dziwaczna nauka o produkowaniu rasy ludzkiej, biosocjologia zaś – to biologia traktowana społecznie; wreszcie VII sekcja – tzw. zagadnienia międzynarodowe aktualne, *varia*. Co do mnie, to zapisałbym się chyba na sekcję generalną i na sekcję zagadnień politycznych, bo tam, aczkolwiek nie jest to coś specjalnego, co by cechowało socjologię jako dyscyplinę właściwą i odrębną, znajdę tematy, które mię interesują tak w ogóle, jak w stosunku do zagadnień aktualnych mojej nauki o państwie i prawa konstytucyjnego.

26 września, rok 1923, środa
Zakończyłem moje przygotowania do podróży. Wyjeżdżam jutro o godz. 11 rano. Parę drobnych interesików zostawiłem do załatwienia na rano. Mam już bilet do Berlina. Z

Berlina zamierzam jechać na Bawarię i Tyrol. W Tyrolu przejadę przez Austrię na Innsbruk i stamtąd na tunel Brenner, gdzie już wprost wjadę na terytorium Włoch przez ziemie, zaanektowane od Austrii. W Berlinie muszę się zatrzymać przynajmniej na kilka godzin dla załatwienia wizy włoskiej, której mi jeszcze brak na paszporcie. Przeglądając program kongresu i spis zgłoszonych referatów spostrzegam, że nazwiska referentów są przeważnie podrzędne, mało znane w nauce. Francuzów ani Anglików nie ma wcale. Natomiast ze zdziwieniem spostrzegam, że poza Włochami dużo jest Niemców, kilku Rosjan. Mam coraz bardziej wrażenie, że kongres ten ma na celu nie tyle naukę, ile politykę i bodaj czy nie pewną propagandę.

27 września, rok 1923, czwartek
Wstałem wcześnie, Helenę z rzeczami wysłałem na dworzec kolejowy, a sam udałem się jeszcze na miasto dla załatwienia kilku ostatnich interesów. Na ostatek w Ministerium Spraw Zagranicznych otrzymałem formalny dokument, udzielający mi sankcji rządowej dla mojej reprezentacji z ramienia uniwersytetu na kongres. Balutis dał mi z ministerium automobil na dworzec, a o godz. 11 z minutami jechałem już pociągiem do granicy niemieckiej. O jakiejś 2 ½ byłem w Eydkunach. Wbrew zapowiedziom, które w Kownie z pogłosek od wracających przez Eydkuny z Niemiec słyszałem, rewizja bagaży w Eydkunach była bardzo łagodna. Żadnego rewidowania po kieszeniach ani macania po ciele nie było, a w rzeczach też prawie nic nie patrzono. Miałem w walizce na samym widoku dwa pudełka, zawierające koło 200 sztuk papierosów (a ogółem miałem cztery pudełka – 400 sztuk). Urzędnik celny spytał, ile mam papierosów; odrzekłem, że około 180. Na to urzędnik, nalepiając na walizkę znaczek dokonanej rewizji, uśmiechnął się i rzekł: „No, to dużo za wiele, bo właściwie u nas wolno wwozić tylko 25, a gdyby pan miał za resztę zapłacić cło, to jest ono tak wysokie, że taniej by wypadło panu kupić". I na tym się skończyło. Nakleił znaczki – i już było po rewizji. Pieniędzy wymieniłem na razie minimalnie – 3 dolary po 128 milionów marek niemieckich za dolara. Bilet do Berlina mam, więc na razie mi wystarczy aż nadto, a w Berlinie wymienię więcej dolarów na dalszą drogę. Naturalnie, że „Wekselsztuba" na dworcu w Eydkunach o kilkanaście milionów na dolarze skręciła, bo kurs wynosi przeszło 140 milionów, ale te miliony niemieckie są teraz taką bagatelą, że o to nie chodzi.
Jadę pociągiem, który idzie na Insterburg-Olsztyn (Allenstein) i przecina korytarz polski *via* Toruń-Bydgoszcz. A więc przejeżdżam o północy przez Bydgoszcz, w której mieszka Kotuńka Pruszanowska! Gdybym się był co do tego spostrzegł zawczasu! Byłbym ją zawiadomił i może, gdyby przyszła na dworzec – ona sama albo ktoś z jej dzieci, choć dla mnie jej dzieci jej nie zastąpią – może udałoby się nam pogawędzić chwilkę, póki pociąg stoi albo choćby uścisnąć, a wreszcie choćby zobaczyć siebie i zamienić kilka słów przez okno wagonu. Bo właściwie w przejeździe przez korytarz polski pociągami tranzytowymi niemieckimi bez wizy polskiej podróżnym nie wolno ani wysiadać, ani nawet okien otwierać, ani tym mniej wchodzić w stosunki z publicznością miejscową; podróżni są przewożeni jak bakterie jakiejś zarazy, ale przecież może by się Kotuńka była wystarała o odpowiednie pozwolenie na dworcu. Napiszę do niej, że jechałem na Bydgoszcz i może wracając tedy pojadę. Takaż to okazja zobaczenia się nam – rozdzielonemu rodzeństwu!
Jadę dobrze – *coupé* w wagonie nie przepełnione. Mam bardzo miłego towarzysza podróży – Niemca rodem ze Śląska, zamieszkałego na jeziorach mazurskich w Jańsburgu (Johannisburgu) niedaleko od Kolna. Zna on na wylot kraje okoliczne tutejsze – Prusy Wschodnie z Mazurami i Litwą Pruską, a za korytarzem polskim – Śląsk i Łużyce Dolne, kraje plemion niegdyś litewskich i słowiańsko-lechicko-

weneckich, pochłonięte przez cywilizację niemiecką i wprawdzie rasowo nie germańskie, a nawet jeszcze upstrzone pozostałościami mowy Litwinów, Mazurów i Wenedów serbołużyckich, ale w patriotyzmie niemieckim pono gorliwsze od rasowych Niemców, jak zwyczajnie neofici. Ciekawy to jednak twór dla etnologa – te kraje pruskie, cementowane pokostem, a raczej przetwarzane chemicznie pierwiastkiem niemieckim – kryjące jeszcze w swym łonie dużo elementów szczątkowych, których reakcja germanizacyjna jeszcze nie przetrawiła doszczętnie, a zresztą sama niemieckość w tym produkcie reakcji germanizacyjnej musi tu być i istotnie jest odrębną od niemieckości rdzennej.

28 września, rok 1923, piątek
Człowiek suponuje – Bóg dysponuje.
Rano przyjechałem do Berlina, choć niewyspany, ale wesoły nadzieją pięknej jazdy do Rzymu. Nie wiedziałem jeszcze i nie domyślałem się, jakie mię niebawem spotkać miało rozczarowanie. Ponieważ brakło mi jeszcze na paszporcie wizy włoskiej, bo z Kowna dla tej wizy trzeba byłoby posyłać paszport do Rygi, a na to nie było tam czasu, więc musiałem wystarać się o tę wizę w Berlinie w miejscowej ambasadzie włoskiej. W tym celu musiałem w Berlinie zrobić przystanek i zamiast jechać dalej na Bawarię zaraz o godz. 1 rano – czekać do pociągu wieczornego o godz. 8. Ponieważ zaś chodziło o wizę dyplomatyczną, bezpłatną, więc stosownie do wskazówki, udzielonej mi w Kownie, zwróciłem się do Włochów nie wprost, lecz przez nasze poselstwo litewskie w Berlinie. W poselstwie litewskim obiecano mi rzecz szybko załatwić i poproszono przyjść po odebranie zawizowanego paszportu o godz. 2. Poszedłem więc sobie na miasto, napisałem w kawiarni list do Kotuni Pruszanowskiej, wyrażając jej żal z powodu przejazdu przez Bydgoszcz bez możności zobaczenia się z nią, potem w Reisebureau „Mitropa" kupiłem sobie za przeszło 1 ½ miliarda marek niemieckich, czyli coś ponad 10 dolarów, skombinowany bilet jazdy (III klasą) do samego Rzymu – na Monachium, na Tyrol austriacki (Kufstein, Innsbruk, tunel Brenner przez Alpy) i dalej na Włochy przez Triento w anektowanych od Austrii dzielnicach, przez Florencję. Już sama perspektywa tej pięknej jazdy, nie mówiąc o Rzymie, napełniała mię radością. Po godz. 1 udałem się do poselstwa litewskiego po odebranie paszportu z wizą. Wprawdzie dano mi paszport z wizą włoską, ale jednocześnie zakomunikowano nowinę, która od razu zniszczyła całą podróż moją. Oświadczono mi mianowicie, że Staniejko, pełniący czasowo funkcje zastępcy posła litewskiego w Rzymie, który był z Kowna powiadomiony o mojej jeździe, dwukrotnie telegrafował do poselstwa litewskiego w Berlinie komunikując, że kongres socjologii został odroczony na czas nieokreślony. Wobec tak kategorycznego oświadczenia miałem do wyboru jedno z dwojga: albo pomimo to jechać do Rzymu, ale w takim razie tylko na koszt własny, bo tytuł do jazdy urzędowej odpadał, albo wrócić do Kowna. Nie zdecydowałem się na ponoszenie kosztu podróży do Rzymu, więc postanowiłem wracać niezwłocznie. Byłem strapiony i rozżalony. Czułem się jak żebym spadł ze szczytu na dno. Moja piękna podróż, na której samym progu stanąłem, prysła jak bańka mydlana i zamiast niej pozostała nicość. Cóż robić – musiałem przyjąć filozoficznie ten wypadek. Pośpieszyłem do biura „Mitropy", by ewentualnie odebrać pieniądze, wpłacone za bilet do Rzymu. Uczyniono to i zamieniono mi bilet do Rzymu na bilet do Kowna, zwracając gotówką nadwyżkę pobranych poprzednio pieniędzy. Ale ta gotówka został mi zwrócona oczywiście w markach niemieckich, na czym przez to samo miałem stratę podwójną: 1° marka od rana do popołudnia zdążyła już stracić na kursie po kilkadziesiąt milionów na każdym dolarze i 2° zamienić marki z powrotem na dolary nie było sposobu, bo tego wszędzie odmawiają, a trzymać marki – to strata na każdej

godzinie. Wyszedłem na podróży jak Zabłocki na mydle. Nie pozostawało mi nic innego, jak kupić cokolwiek za te 850 milionów marek reszty. Kupiłem zegareczek na rękę dla Jadzi Čepasówny, której go już dawno obiecałem. Wprawdzie wypadł mi drogo – w Kownie mógłbym kupić taniej – ale wolałem cokolwiek bądź, niż marki niemieckie. Miałem jeszcze kilka godzin na Berlin. Zawarłem na ulicy znajomość przelotną z prostytutka Lotti, ładną dziewczynką, z którą udałem się do jakiegoś pensjonaciku, gdzieśmy parę godzin na uczcie zmysłowej spędzili. Uczta była zresztą dla mnie, nie dla niej, bo ona była li tylko instrumentem mojej uciechy; ucztą dla niej były nie zmysły, lecz zapłata pieniężna w dolarach, stanowiących ideał biednych Berlinian i Berlinianek. Ale znalazłem w niej instrument dobrze wyćwiczony, umiejący dać maksimum tego, co płatna rozkosz posiąść może. Dziewczynka była ładna i w rozpuście biegła i zręczna bardzo. Na takim ochłapie ulicznym rozkoszy – ostrym, ale ostatecznie bardzo banalnym i poziomym – zakończyłem tę niedoszłą podróż, która zdawała się zapowiadać tyle rozrywki wspaniałej.

29 września, rok 1923, sobota
Wraz z upadkiem mojej podróży do Rzymu upadła oczywiście i moja jazda do Genewy dla spraw wolnomularskich. Akurat w tych dniach obraduje w Genewie Konwent Nadzwyczajny Międzynarodowego Stowarzyszenia Wolnomularstwa („Association Maçonnique Internationale"). Byłbym w Genewie w jakiś tydzień po konwencie, toteż miałbym świeżutkie sprawozdanie z niego i dowiedziałbym się zarazem tak odpowiedzi Wielkiego Wschodu Francji i Wielkiej Loży Francji na nasze do nich podania sierpniowe, jak losów naszej prośby o przyjęcie nas do A.M.I. Odpowiednio do tych odpowiedzi i wiadomości określiłaby się potrzeba naszych dalszych działań w kierunku międzynarodowym. Teraz nic jeszcze przedsięwziąć nie możemy, bo nie wiemy, jak rzeczy stoją i jak nas potraktowano. Napisałem więc tylko wczoraj przed odjazdem z Berlina list do Genewy do br. Quartier-la-Tente, oświadczając nasze pozdrowienie dla konwentu i omawiając *á priori* różne punkty, które mogą nas dotyczyć, w szczególności kwestię tzw. regularności masońskiej naszej, bo sądzę, że będzie ona podniesioną i może kwestionowaną. Udzieliłem też br. Quartier-la-Tente szeregu informacji o nas, podobnie jak to uczyniłem w sierpniu w piśmie do Wielkiego Wschodu Francji. Wreszcie zaznaczyłem, że uchwałą Wielkiego Wschodu Litwy zdjęty został sekret z faktu jego istnienia, ilości lóż i członków, zachowując nadal sekret bezwzględny tak co do wszystkich nazwisk, jak co do innych szczegółów naszej organizacji. Wkrótce zapewne przez kogoś z naszych braci, udającego się za granicę, skomunikujemy się z br. Quartier-la-Tente dokładniej i otrzymamy interesujące nas odpowiedzi i wiadomości. Zdaje się, że naszym stałym pośrednikiem do komunikowania się na zewnątrz będzie brat Wiktor Biržiška, który często wyjeżdża służbowo za granicę.
Wczoraj wieczorem wyjechałem z Berlina. Znów jadę na Bydgoszcz, Toruń i Olsztyn. Jechać było wygodnie, osób w przedziale mało. Od północy pozostałem w przedziale sam jeden z jakąś średniego wieku przystojną i miłą panią z Hamburga, jadącą do Prus Wschodnich do męża. Chętna ona była do gawędki, tylko że mi dość trudno szło po niemiecku. Wyspać się za to mogłem dobrze, mając całą ławkę do dyspozycji. Obudziłem się dopiero po przejechaniu korytarza polskiego. Jazda przez Prusy Wschodnie na Olsztyn-Insterburg jest ładna. Jedzie się wpierw przez Mazury Pruskie, kraj licznych jezior i falistej powierzchni, podobny do naszych stron na wschód od Rakiszek w powiatach jezioroskim, uciańskim, brasławskim i święciańskim oraz do Łatgalii, potem – przez zniemczone, a jeszcze niedawno z mowy litewskie okolice Wystruci (Insterburga) aż ku granicy Litwy. Prusy Wschodnie tworzą z Litwą aż po Łatgalię włącznie i ze skrawkami północnymi Polski (Kurpie, okolice Rajgrodu,

Augustowa i Suwałk) jedną charakterystyczną całość tak budową gruntu, jak zasadniczymi rysami krajobrazu. Musi być i w duszy ludności tych krajów dużo cech elementarnych wspólnych. Przyglądając się widokom Prus Wschodnich w przejeździe – lasom i jeziorom, równinom i wzgórzom, wyczuwam ogromne pokrewieństwo natury kraju i swojskość taką, jak żebym tu wszędzie był u siebie. Nie ma tu dla mnie w widoku nic niespodziewanego i nowego. Jak szkoda, że ten kraik Prus Wschodnich jest tak zniemczony. Wszak to w istocie on nasz – litewski i polski – ogniwo rdzenne litewsko-mazurskie, złamane germanizacją przybyszów krzyżackich.
O południu przyjechałem na granicę do Eydkun. Rewizja celna niemiecka była tak samo względna, jak przy wjeździe do Prus. Ale przy wyjeździe z Prus Niemców interesują nie tyle rzeczy, ile pieniądze. Chodzi im o niewypuszczanie z kraju waluty obcej mocnej. W tym celu po rewizji w rzeczach na sali ogólnej każdy podróżny przy wyjściu z sali musi przechodzić przez specjalnie urządzony labiryncik korytarzyków i przegródek, oddzielonych od sali ściankami z desek, gdzie nań czyha agent dla dokonywania rewizji osobistej. Osobny jest labiryncik dla kobiet, osobny – dla mężczyzn. Kobiety są rewidowane przez kobietę, mężczyźni – przez agenta mężczyznę. Ci, co przy wjeździe do Niemiec zadeklarowali walutę obcą i maja kwity na nią, mogą wywieźć tyleż, ile wwieźli, toteż ja za okazaniem takiego kwitu uniknąłem rewizji, która w zasadzie jest obowiązująca dla każdego. Sprawia to wrażenie nieprzyjemne i upokarzające.
O zmroku byłem już w Kownie. Gdyby nie odwołanie kongresu – to już bym o tej porze był we Włoszech i jechał przez Alpy.

30 września, rok 1923, niedziela
Wychodziłem dziś z domu tylko na spacer – na dłuższy spacer zamiejski po okolicach Góry Zielonej i Góry Witolda (dawniejsza „Piotrówka”). Wrzesień w tym roku był tak piękny, słoneczny i ciepły, że wynagrodził sowicie chłody letnie. Choć od wczoraj powiał wiatr zimniejszy, ale we dnie na słońcu jest jeszcze dosyć ciepła, aby chodzić bez paltotu. Umyślnie nie schodziłem dziś na dół do miasta, aby nie spotykać znajomych i nie potrzebować każdemu tłumaczyć mojego tak prędkiego powrotu z podróży „do Rzymu”. Drażni mię ten powrót. Wszak gdyby nie ta zmiana, już byłbym dziś w Rzymie!
W czasie pobytu mego w Niemczech tym razem nie spostrzegłem takich symptomatów rozkładu więzi społecznej i dyscypliny uczuć, jak w sierpniu. Wątpię jednak, aby się pod tym względem stan polepszył, gdy kurs marki z 7 milionów spadł do 160 i 190 milionów za dolara i gdy środek zaradzenia złu jeszcze nie został znaleziony. Wątpię, aby Niemcy zdołali się już zastosować do tego spadku kursu i jego konsekwencji gospodarczych; prawdopodobnie pochodzi to tylko z przypadkowo gorszych warunków mojej obserwacji tym razem. Zaburzenia prawicowo-nacjonalistyczne w Bawarii i ogłoszenie stanu wyjątkowego w całych Niemczech nie świadczy o ukojeniu stosunków. Ceny w Niemczech podniosły się już nie tylko w stosunku do spadku kursu marki, ale już o wiele wyżej ponad tę proporcję. Toteż Niemcy, które dla przyjezdnych posiadających walutę zagraniczną były przy niskim kursie marki krajem do niedawna bardzo tanim, teraz stały się krajem drogim. Drogo jest – nawet licząc na dolary. Tym cięższą jest ta drożyzna dla tych, co nie mają waluty obcej i pobierają dochody w markach.

1 października, rok 1923, poniedziałek
Na podróży do Rzymu byłbym pięknie zarobił kilkaset franków. Zresztą i teraz nie da mi ona straty, bo różnica na cenie biletu I klasy, która mi się należy, i III-ciej, którą

faktycznie jechałem, pokryje mi to, co z otrzymanego awansu wydałem. Z podróży mojej letniej za czas, poświęcony zwiedzaniu zakładów poprawczych dla nieletnich w Szwajcarii, Ministerium Sprawiedliwości zwraca mi 560 litów tytułem diet z pięć dni; diety bowiem za pobyt w Szwajcarii wynoszą dziennie po 60 franków szwajcarskich, czyli po litów 112; diety te są tak wysokie, że się zrzekłem zwrotu kosztów jazdy I klasą w Szwajcarii, bo uważałem, że to by już było za wiele. Ale też gotówka jest mi teraz bardzo pilnie potrzebna: muszę wysłać Elwirze za kupione od niej na kredyt dolary, muszę opłacić traczy, którzy mi piłują w Bohdaniszkach drzewo na budowę domu, wreszcie muszę płacić tu krawcowi Paszkowskiemu za ubranie, które mi szyje; w październiku też będę dosadzać drzewka do mego młodego sadu w Bohdaniszkach. Wszystko to wymaga pieniędzy i pieniędzy. Chcę też sobie tej jesieni zafundować zegarek złoty, który by mi choć w części wynagrodził stratę, poniesioną przed trzema laty na kradzieży mojego pięknego pamiątkowego zegarka, jaki miałem od mego zmarłego przed laty 26 przyjaciela Piotra Szymkowicza w Petersburgu.

2 października, rok 1923, wtorek
Prawdziwy jesienny dzień. Deszcz chłoszcze ziemię od rana, niebo powleczone jednolitą zasłoną gęstych niskich chmur, z deszczu się tworzy mgła, ciepło, dzień ciemny jak zmrok.
Chciałem dziś zacząć przygotowywać się do moich wykładów uniwersyteckich, które zamierzam rozpocząć od 15 października. W tym roku chcę już spróbować wykładać nie przez automatyczne odczytywanie rękopisu, lecz ustnie, posługując się tylko notatkami. Czy mi się to powiedzie – nie wiem. W każdym razie, w założeniu będę miał mój rękopis wykładów zeszłorocznych jako punkt wyjścia. Muszę zacząć od zorientowania się w planie mego rękopisu i następnie w układaniu notatek. Jednak powietrze dzisiejsze nie usposabia mię do rozpoczęcia tej pracy. Odłożę więc ja jeszcze na jutro, a dziś po napisaniu jeszcze jakiegoś listu i może ostatniego kawałka moich zapisek wolnomularskich dla loży – położyć się wczesnym wieczorkiem do łóżka.

3 października, rok 1923, środa
Nic szczególnego do zanotowania w dzienniku. Gdybym to teraz był na kongresie w Rzymie – mój dziennik byłby pełny po brzegi.

4 października, rok 1923, czwartek
Zacząłem dziś przeglądać mój plan wykładów zeszłorocznych i orientować się w trybie wykładania w roku bieżącym. W tym roku zamierzam wygłaszać wykłady z pamięci, żywym słowem mówionym, a nie odczytywanym. Do wykładu będę się posługiwać tylko notatkami. Taki jest mój zamiar. Ponieważ za punkt wyjścia będę brać rękopis wykładów zeszłorocznych, więc, zdaje się, nie będzie to zbyt trudne, o ile tylko nie wywiążą się szczególne trudności z operowania językiem litewskim, który mi jest nieraz trudniejszy w mówieniu, niż w pisaniu. Chcę też w tym roku rozpocząć drukowanie mojego rękopisu wykładów, oczywiście po poprzednim jeszcze przerobieniu go i opracowaniu dokładniejszym. Druk byłby wykonany z funduszów Wydziału Prawniczego jako wydawnictwo tegoż. Skierowuję do Rady Wydziału formalną propozycję w tym względzie. Drukować tę pracę zamierzam zeszytami, zawierającymi poszczególne działy pracy. Całość ukończyłbym w druku w ciągu lat 2-3. Jeżeli Rada Wydziału zaakceptuje tę propozycję, to będę miał sporo roboty z opracowaniem rękopisu do druku, a oprócz tego trzeba będzie kontynuować rękopis pracy, która w roku zeszłym w wykładach moich ukończona nie została.

Tumenas prosi mię o sporządzenie na piśmie referatu z moich wizytacji zakładów wychowawczo-poprawczych dla nieletnich w Szwajcarii. Chce on to mieć na piśmie dla popierania w gabinecie ministrów i w Sejmie żądania kredytów na analogiczny zakład w Litwie. Trzeba będzie to zrobić, choć to też mi roboty przyczyni na jakiś tydzień co najmniej. Ewentualnie referat ten, jeżeli go napiszę, odczytałbym na posiedzeniu Towarzystwa Prawniczego i dałbym do druku w piśmie prawniczym „Teisė", które ma być wznowione, bo jest nadzieja, że za interwencją ministra sprawiedliwości Tumenasa Rada Ministrów udzieli na to pismo kredytów.

5 października, rok 1923, piątek
Zacząłem wieczorem układać mój referat o koloniach wychowawczo-poprawczych dla nieletnich w Szwajcarii. Chciałbym, żeby się ten referat nie rozrósł nad miarę, ale materiału w notatkach moich, które poczyniłem przy ich zwiedzaniu w Szwajcarii, mam bardzo dużo. Nie przykrzę sobie tą pracą, ale może mi ona trochę wejść w drogę wobec forsownego w przyszłym tygodniu przygotowywania się do rozpoczęcia kampanii wykładowej na uniwersytecie. Rozpocząć wykłady zamierzam w poniedziałek 15 października. Kilka dni w przyszłym tygodniu wypadnie mi dobrze popracować nad sprecyzowaniem konspektu do pierwszych wykładów ustnych. Boję się ich trochę ze względu na trudności operowania mową litewską.
Słyszałem, że prezes nasz w Trybunale, Kriščiukaitis, w związku z projektowanym powiększeniem etatów w Trybunale i mianowaniem nowych sędziów trybunału po Nowym Roku, nosi się z zamiarem ustalenia po Nowym Roku ściślejszego podziału pracy w Trybunale, w szczególności zorganizowania osobnych wydziałów – cywilnego i karnego. Oczywiście ustalenie tego byłoby dokonane uchwałą ogólnego zebrania Trybunału. Gdy ilość sędziów wzrośnie, takie uporządkowanie pracy przez jej podział systematyczny byłoby bardzo wskazane. Co do mnie – będę reflektował na wydział cywilny, a sądzę, że Janulaitis osiądzie w wydziale karnym, bo ten zresztą bardziej odpowiada jego skłonnościom. Czy prezes zechce pozostać ponad wydziałami, skupiając w swym ręku całe przewodnictwo i kierunek techniczny, jak dotąd, czy też stanie na czele jednego z wydziałów, prawdopodobnie cywilnego (mimo że jest on z poprzedniej swojej praktyki sądowej raczej kryminalistą niż cywilistą) i kierownictwo wydziału karnego przekaże Janulaitisowi – nie wiem. W każdym razie, powiększenie etatów Trybunału, mianowanie kilku nowych sędziów i podział systematyczny pracy na wydziały będzie nowym etapem rozwoju Trybunału, co mu na dobre wyjdzie; jednym też z etapów rozwoju będzie rozciągnięcie właściwości Trybunału na Kłajpedę i oczywiście w związku z tym mianowanie do Trybunału kogoś z Kłajpedczyków.

6 października, rok 1923, sobota
Na dzisiejszym posiedzeniu sądowym w Trybunale w liczbie spraw karnych apelacyjnych była rozpoznawana sprawa niejakiego Kazimierza de Ramer. Sama sprawa pospolita i nieciekawa: Kazimierz de Ramer, łotrzyk, służył w milicji w Olicie już za rządów litewskich; wrócił z Ameryki z dolarami jego brat Władysław de Ramer i za przywiezione pieniądze kupił folwark w połowie na imię swoje i brata Kazimierza, który mu za to wydał rewers na 400 tysięcy ostmarek w r. 1921; następnie Kazimierz de Ramer wyłudził od Władysława swój rewers pod pozorem, że jest wadliwy i że mu w zamian wyda inny, porwał zwrócony rewers i innego nie dał, usiłując tą drogą przywłaszczyć cenę kupionej mu przez brata własności. Sąd okręgowy go skazał, my – wyrok zatwierdziliśmy. Nie wspominałbym o tej sprawie pospolitej, gdyby nie nazwisko oskarżonego i jego brata, podobne do naszego. Sądziłem na razie, że ci de Ramerowie są właściwie Romerami z kleryskiej zubożałej gałęzi Römerów, jeno trochę

przekręcone i z przeróbką naszego niemieckiego przydatku szlacheckiego „von” na francuskie „de”, bo właściwie my wszyscy po francusku piszemy się „de Römer” albo „de Romer”. Okazuje się jednak, że jest to ród zupełnie odrębny i że w Litwie oprócz Römerów są de Ramerowie, rodzina szlachecka pochodzenia francuskiego, dziś zubożała i zdeklasowana, która się wywodzi od jakiegoś wojaka francuskiego z armii Napoleona z r. 1812, który osiadł na Litwie. Rodzina ta ma jakieś posiadłości miejskie w Olicie i obecnie folwark, kupiony przez Władysława de Ramera w zaniemeńskiej części pow. olickiego. De Ramerowie ci uważają się za Polaków, ale już obaj bracia nauczyli się po litewsku i kto wie, czy się nie zlitwinizują. Notuję o tym w dzienniku.
Po obiedzie w gmachu sądu w sali posiedzeń sądowych odbyło się ogólne zebranie członków Litewskiego Towarzystwa Prawniczego. Obecnych było ze 20-25 osób. Przewodniczył Kriščiukaitis. Zebranie było przeważnie odczytowe. Na wstępie bez dyskusji przyjęto do wiadomości projekt zarządu zwołania po Nowym Roku II zjazdu ogólnolitewskiego prawników, upoważniając zarząd do działania w tym kierunku. Odczyty były na dzisiejsze zebranie zgłoszone trzy: a. adwokata Nargielewicza – o rozporządzeniach administracyjnych w Litwie, b. Janulaitisa – o niezbędnych reformach sądowych w Litwie i c. posła Toliušisa – o niektórych pożądanych zmianach w obowiązującym Kodeksie Karnym. Wysłuchałem tylko dwa pierwsze referaty. Referat Nargielewicza był słaby, miał charakter raczej anegdotyczny; kilku cytatami niefortunnych rozporządzeń administracyjnych, wydanych przez rozmaitych naczelników powiatów, a usprawiedliwiającymi się brakami techniki młodej i niedoświadczonej administracji litewskiej, Nargielewicz usiłował ośmieszyć samą instytucję tych rozporządzeń i zakończył wnioskiem uchwalenia protestu czy potępienia tego rodzaju praktyki administracyjnej. Nie zanalizował należycie samej instytucji, nie próbował wcale dać wskazań poważnych, dotyczących jej uzdrowienia i należytego uporządkowania. Za to odczyt Janulaitisa był znakomity. W zwięzłej formie dał on świetnie uzasadniony przegląd braków i niezbędnych reform w organizacji sądownictwa i ustawodawstwa cywilnego, karnego i hipotecznego Litwy. Gdyby Towarzystwo Prawnicze miało więcej takich odczytów i zajęłoby się gorącej poważną dyskusją na takie tematy, mogłoby ono odegrać poważną rolę w kierunku reform prawnych i ujawnić bardzo płodną w skutkach inicjatywę.

7 października, rok 1923, niedziela
Rano mieliśmy na uniwersytecie posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego. Obecni byli: dziekan Leonas, profesorowie i docenci Mačys, Kriščiukaitis, Balogh, Bielackin, Wacław Biržiška, Tumenas, Šalčius i ja. Na posiedzeniu obecni też byli przedstawiciele młodzieży akademickiej, po jednym z każdego semestru. Tematem obrad było rozdawnictwo stypendiów i zwolnienie od opłaty czesnego. Sprawa ta wypełniła całe posiedzenie. Przedstawiciele młodzieży udzielali nam opinii i informacji o kandydatach. Mieliśmy do rozdania 5 stypendiów, kandydatów zaś, którzy się zgłosili, było 15, przeważnie z I semestru. Zwolnić od czesnego mogliśmy 66 studentów (20% ogólnej ilości studentów wydziału), kandydatów zaś było z 90. Trzeba było zastanawiać się nad kwalifikacjami każdego zgłaszającego się, co oczywiście było rzeczą marudną.
Po obiedzie odbyło się posiedzenie pełnej Rady Uniwersytetu, na które jednak nie poszedłem. Nie lubię tych wielkich posiedzeń pełnej rady, na których czuję się obco, bo z większością profesorów innych wydziałów nie mam nic wspólnego, a przygodnie w sprawach ogólnouniwersyteckich, z którymi się stykam tylko na tych posiedzeniach, głosu zabierać nie mam zwyczaju. Zresztą deszcz pada i ruszać mi się wieczorem z Zielonej Góry po błocie nie chce, a w domu mam dość roboty. Słotę mamy już od

tygodnia, prawdziwie jesienne powietrze, ale na ogół ciepło dotąd; jeszcze ani razu w piecu nie paliłem.

8 października, rok 1923, poniedziałek
Nie chcę wymieniać nazwisk – nie nazwę człowieka, który znów, ratując swoje mienie ze szponów sięgającego po nie reformą agrarną państwa, fałszuje akt fikcyjny sprzedaży majątku, dokonany rzekomo w r. 1918, a w istocie fabrykowany dzisiaj. Sprzedaż nie jest fikcyjną; jest ona rzeczywistą, jeno się dokonywa dziś, kiedy już majątek jest na użytek reformy agrarnej wywłaszczony. Ale akt się robi datą r. 1918, aby opierając się na ustawie, która pozwala ówczesne akty prywatne uprawniać drogą sądową, wyrwać majątek z paszczy wywłaszczenia i przynajmniej jego cenę zrealizować. Nie chcę szkodzić człowiekowi, nie chcę ani w przyszłości kompromitować tej fałszywej sprzedaży, jeżeli się kombinacja uda i jeżeli kiedyś ten dziennik trafi do rąk ludzkich. Nie przykładam do tego ręki, ale nie chcę temu szkodzić, bo ten człowiek w pojęciu swoim ma rację i broni tego, co do niego należy. Nie stanie się też w istocie ani krzywda nikomu, ani ujma Litwie, jeżeli się kombinacja powiedzie, bo ziemia w istocie przejdzie w ręce nabywców – rolników i Litwinów, którzy, płacąc za nią, lepiej ją z pewnością zużytkują gospodarczo, niż zdołaliby zużytkować ci nędzarze, którym ona kapnęła parcelkami z łaski reformy agrarnej. Nie chcę kompromitować tej rzeczy, nie chcę szkodzić, mimo że w założeniu uznaję, iż kombinacja taka jest w swojej zasadzie czynem pasożytniczym, antyspołecznym i antyobywatelskim. Nie chcę szkodzić. Ale interesuje mię w tej kwestii zjawisko inne. Oto dziesiątki ziemian robią to samo. Nie mogą oni i nie chcą przyjąć konsekwencji reformy agrarnej i zaspokoić się pozostawionym im szczątkiem własności w ilości 80 ha. Usiłują wyspekulować realizację majątku rozmaitymi obejściami ustawy, wreszcie spieniężyć i swoją resztę 80-hektarową i po zlikwidowaniu wszystkiego uciekać z Litwy – do Polski. Z Litwą ludową i narodową, która nie jest pojęciem geograficznej cząstki Polski, nic ich nie wiąże prócz majątku. Rzucając majątek – zrywają wszelkie więzy. I oto bardzo rychło nastąpi tą metodą bardzo wielki ubytek elementu ziemiańskiego polskiego w kraju, bo z pewnością wielu i spośród tych, co dziś jeszcze chcą się ostać na swych resztkach 80-hektarowych, nie zdoła wytrwać i będzie musiało podążyć za dezerterami. Czy na tym straci mniejszość Polska w Litwie? Sądzę, że nie bardzo, jeno zmieni swój charakter i straci cechującą ja dziś przewagę szlachecko-reakcyjną. Bo lud litewsko-polski, jaki tu jest w kraju i ma swoje cechy charakterystyczne, nie pójdzie za ziemianami i pozostanie tu, gdzie jest osiadły. Jest on wierny ziemi i – da Bóg – będzie wierny swemu posłannictwu; może wyda on jeszcze z siebie Mickiewiczów, którzy będą i Litwie, i Polsce chlubą. Ziemian część duża ucieknie, z ludu litewsko-polskiego część pewnie się zlitwinizuje i jeszcze litwinizować będzie w państwie litewskim, ale osad stały i ciągły Polaków litewskich w ludowej masie pozostanie i wytrwa i może wreszcie pozna swoje oblicze swoiste, które nie jest ani odłamem Narodu polskiego, zamieszkałym na Litwie, ani Litwinami, mówiącymi po polsku, ale jest sobą, jest pierwiastkiem swoistego typu psychicznego.

9 października, rok 1923, wtorek
Od niedzieli pracuję bardzo intensywnie nad referatem o koloniach wychowawczo-poprawczych dla nieletnich w Szwajcarii. Daję w tym referacie na wstępie szereg uwag ogólnych o zasadach, na jakich oparta jest w Szwajcarii walka z pierwiastkiem występnym wśród młodzieży, a dalej przechodzę do szczegółowego zreferowania zwiedzonych przeze mnie trzech zakładów tego typu: zakładu w Closterfichten dla nieletnich młodszego wieku od lat 6 do 15 i zakładów dla nieletnich starszego wieku od

lat 15 do 20 – mianowicie kolonii „Pestalozziheim Neuhof” (dla mniej występnych dzieci) i zakładu Trachsenwald-Tessenberg (dla bardziej występnych dzieci). Pracę tę wykonywam na żądanie ministra sprawiedliwości Tumenasa, bom z polecenia Ministerium Sprawiedliwości te zakłady zwiedzał i otrzymałem za ich zwiedzanie diety w ilości 300 franków szwajcarskich, czyli 560 litów. Drugą – większą – część tej pracy piszę z notatek szczegółowych, które sobie poczyniłem przy zwiedzaniu tych zakładów. Notatki te są dość obszerne, a że zawierają one tylko bardzo treściwe skróty, więc w referacie się odpowiednio rozrastają. Referat zajmie do 10 arkuszy rękopisu drobnym pismem, pisanego zresztą tylko na jednej stronie arkusza, zostawiając odwrotną stronę niezapisaną, co czyni właściwie tylko 10 półarkuszy, ale i to jest niemało. Referat ten będzie za duży do odczytania go na posiedzeniu Towarzystwa Prawniczego, ale w każdym razie chcę go dać do druku w piśmie prawniczym „Teisė“, przeciwko czemu Tumenas oczywiście nic mieć nie będzie, bo dla ministerium jest on potrzebny dla argumentów do popierania i uzasadniania tak na Radzie Ministrów, jak w Sejmie wniosków o kredytach na założenie kolonii poprawczej dla nieletnich przestępców w Litwie. Prace tę wykonywam bardzo forsownie i chcę ją już koniecznie jutro skończyć, aby rozpocząć systematyczne przygotowywanie się do rozpoczęcia wykładów uniwersyteckich. Te ostatnie chciałem rozpocząć w przyszły poniedziałek, ale ze względu na zużycie kilku dni na ten referat o koloniach odroczę rozpoczęcie wykładów do przyszłego czwartku.

10 października, rok 1923, środa
Umarł były sędzia, ostatnio adwokat – Konstanty Preis. Wczoraj rano był jeszcze w sądzie, gdzie miał stawać w paru sprawach, ale poczuł się niedobrze i wrócił do domu, a o godz. 7 wieczorem tegoż dnia skonał. Śmierć ta uczyniła na mnie dość silne wrażenie, bo Preisa znałem dobrze i bywałem w jego domu. Choć nie był to stosunek przyjacielski, ale kolegowałem z Preisem w Sądzie Okręgowym w Kownie w latach 1920-1921 i stosunek się odtąd utrzymał. Preis był Rosjaninem pochodzenia niemieckiego, prawosławnym. Był sędzią okręgowym w Kownie jeszcze przed wojną, za czasów rosyjskich i potem był nim za czasów litewskich do r. 1922, bo jako człowiek miejscowy, w kraju urodzony, znał język litewski. Ponieważ wdowa po Preisie zawiadomiła mię dziś o jego śmierci, więc wypadło mi nawiedzić zwłoki, mimo że mi to przykrym było.
Przykre też miałem listy z Bohdaniszek od sióstr Elwiry i Maryni. Same tam kłopoty, ciężary i smutki. Gospodarstwo źle idzie, wciąż różne biedy, litów nie ma i nie ma źródła, z którego dałoby się je wyciągnąć, inwentarz żywy nie tylko nie przyrasta, ale jeszcze maleje, bo dohodowane krowy idą na sprzedaż za tanie pieniądze na łatanie dziur w potrzebach, urodzaj był w tym roku nędzny i zbiory trudne, na nic, co rolnictwo produkuje, ceny nie ma, a podatki duże, a robotnik drogo kosztuje, a parobków wynagrodzenie ogromne, podczas gdy robić chcą mało i zaledwie tak, jak się to im podoba, a Sejm co roku coraz bardziej podnosi minimum warunków wynagrodzenia parobków, zapominając o zastrzeganiu minimum tego, do czego oni są obowiązani, a tu spadają bajeczne sumy zapłaty, żądanej przez państwo za jakieś pozostałości nieuiszczonej rekwizycji zeszłorocznej, a tu jakiś okolicznościowy zatarg z parobkami, a dzieci Elwiry chorują, Helci stan nie lepszy, u Michasia z wylotu kiszki odchodowej wystaje jakiś guz i krew się sączy, lekarze zaś nie umieją określić, co to jest itd., itd... Każdy list z Bohdaniszek – to zgryzota. Ale jeżeli zgryzota dla mnie, to cóż dla nerwów moich biednych sióstr, które już nie wiedzą, co robić. Obawiam się poważnie, że nie będą mogły w Bohdaniszkach wytrzymać. Rozważają one tę ewentualność, jeno nie wiedzą, co dałoby się z Bohdaniszkami zrobić. Że Elwira nie wytrzyma, jeżeli jej mąż,

Stefan, nie zdoła przyjechać i tu osiąść – tego jestem prawie pewien. Jednak co do Maryńki – to mam nadzieję, że się utrzyma i zostanie, ale taka praca wyczerpuje ją bardzo. Biedna kochana Maryńka! Gdyby była sama bez Elwiry – może bym i ja jej mógł łatwiej pomagać. A wreszcie może by połowników wzięła, choć to nie najlepsze; miałaby przecież trochę więcej spokoju i mogłaby się ciszej i pracowiciej zająć ogrodami, które lubi, jakimś handlem itd. Smutne mi są te wieści i perspektywy z Bohdaniszek.
Ukończyłem dziś rano i wręczyłem Tumenasowi mój referat o koloniach dla nieletnich w Szwajcarii. Dowiedziałem się od Tumenasa, że Rada Ministrów zgodziła się na udzielenie subsydium dla pisma prawniczego „Teisė“. Zatem pismo to zacznie znowu wychodzić.

11 października, rok 1923, czwartek
Byłem na eksportacji zwłok śp. Preisa. Deszcz padał, słota jesienna, mokro z góry, mokro i brudno z dołu. Zwłoki się rozkładają, fetor ohydny płynie od karawanu z trumną nie tylko wstecz do tych, co idą w orszaku żałobnym za trumną, ale i w bok aż do trotuarów włącznie. Szczęściem, że się trochę spóźniłem i że zastałem już pochód w drodze na ulicy, bo podobno w mieszkaniu fetor był wprost nieznośny. Mój Boże, po co to ludzie tak się cackają z trupami i tymi ceremoniami publicznych eksportacji i pogrzebów profanują nieszczęsna pamięć świeżo zmarłego brata. Pojmuję, że to się czyni dla rodziny zmarłego, a więc dla żywych, by im wykazać współczucie i „uczcić” zmarłego ceremonią żalu, ale dla pamięci zmarłego jest to właściwie ohydne, że musi on nędzą smrodliwego rozkładu zwłok swoich brzydzić tych, co go znali i świeżo pamiętają człowiekiem, istota rozumną, która nie była li tylko smrodem gnijącego ciała. To rozwłóczenie nędzy cielesnej człowieka po śmierci jest dla mnie wstrętne. Jest to cios dla umierającego człowieka, że go się po śmierci będzie jeszcze publikować w tym, co jest najohydniejsze, a czemu on nie jest winien – w fetorze gnijącego trupa. Po co mu jeszcze taki epilog śmierci! Dla kochających, jak wiem z doświadczenia, nawet ten fetor jest prawie niczym, ale dla obojętnych – to odraza i zbrukanie pamięci człowieka zmarłego. A dla bliskich zmarłego, jeżeli ich ból straty jest głęboki, tłum ceremonialny ludzi czyż jest istotna ulgą! Ja wolę w bólu straty głębokiej głęboką smutność. Ja bym moich bliskich i kochanych chwał, gdyby można, samotnie i po kryjomu!

12 października, rok 1923, piątek
W uniwersytecie dałem już do wywieszenia ogłoszenie do słuchaczy I semestru Wydziału Prawniczego o tym, że rozpocznę wykłady od czwartku 18 października. Miałem dziś list od Heli Ochenkowskiej z Wilna, przysłany via Bad-Oyenhausen. Listy Heli są jak ona sama – zawsze tryskające życiem. Oto z niego ustępy. Nie pomijam i tych, które są osobiście do mnie zwrócone i zawierają dla mnie pochwały. A więc: „Kochany Michałku. Bardzo jesteś miły, żeś znalazł czas w drodze pisywania do mnie tak interesujących listów, zdumiewałem się, żeś tyle rzeczy tak galopem dojrzał, ja też byłam w Holandii i stwierdzam trafność Twego spojrzenia, w którym coś z artystycznego oka Romerowskiego dojrzałam w określaniu typów holenderskich. Rada jestem, żeś otrzymał „Słowo” – chciałabym, żebyś mi coś napisał, co myślisz o odczytach Piłsudskiego i o ty, co Ci w liście, który sądzę Woroniecki Ci przesłał, pisałam. Siedzę teraz ku wielkiej mojej irytacji bez zajęcia, bo w „Słowie” pracuje na moim miejscu Jankowski Cześ i cała gromada starych pierników, a na czele młodociany redaktor Mackiewicz monarchista !! z których to pojęć wyśmiewam mu się w żywe oczy, bo powiedz, czy to jest pogląd na dobie i czy przytomny człowiek może być marionetką? Pisanie o tym może dać możność wyciągania pieniędzy na pismo od

różnych magnatów (Tyszkiewicz, Sapieha, Sanguszko), którzy chyba łudzą się, że mogą być kandydatami na tron, ja zaś kpię, że mam gotowego kandydata, idąc za tradycja piastowską – mianowicie starego Bałabana, rybaka-analfabetę z naszych okolic. Ogromnie by się przydało tutaj pismo niezależne, traktujące serdecznie miejscowe sprawy, jak to robiła „Gazeta Krajowa", cóż, kiedy „hroszy" nie ma. Ludwik wydaje swój „Przegląd" kosmopolityczny białorusko-litewsko-żydowsko-polski, ale nie ma żadnego wpływu ani znaczenia, tyle że go ktoś wyłaje od czasu do czasu. Poza tym mamy plugawy Obstpresse („Dziennik Wileński") i humbug „Express", w którym tłustym drukiem co dzień opisują o pokrojonej na kawałki kobiecie lub miliardowej defraudacji – i w czym tu pisać. W ogóle Wilno dziwnie upada – taki tu *marasmus senilis*, tak nic nie idzie naprzód ani się rozwija – nie tylko nie czuć żadnego wpływu kultury, ale na wsi jest stanowczo gorzej pod tym względem, jak przed wojną. A w mieście senność w sprawach społecznych i namiętna pogoń za milionami. To jedno zajmuje ludzi. O tym mówią i myślą do obrzydliwości, a im kto więcej „zrobi" milionów, tym więcej „świnieje", wciąż to widzę koło siebie. Nie jest to widok przyjemny ani usposabiający dobrze do powojennego społeczeństwa.
Ach, ileż rozkoszy zaznał człek poza granicami Ojczyzny! Doprawdy albo ja te rzeczy zbyt biorę do serca, labo my jacyś jesteśmy przeklęci. Przed wojną każdy z nas wyrywał się za granicę jak z piekła, bo spod jarzma. Mnie tak dotkliwie upokarzało to, że je znosimy, że nigdy nie rozmawiałam o tym z cudzoziemcami, chyba z konieczności sprostowania błędnych pojęć. A dziś, kiedy mam wolną Ojczyznę, nie mogę jednak dumnie patrzeć i radośnie, bo te rzeczy, które się u nas dzieją, przechodzą miarę dozwolonych błędów państwu, powstałemu w takich, jak my, warunkach. Po prostu jest ciągły chaos, niepewność wszystkiego i robienie głupstw. Wszelki rząd, wszelki kierunek byłby dobry, byle był wyraźny i stały, a nie co kwartał inny rząd, inny kurs marki i polityki, inni ludzie i nikt nie wie *a quel saint se vouer*! Teraz oczekuje się tu przyjazdu prezydenta i wszyscy źli, jak pęcherze chodzą nadęci, bo to koszty szalone, a rozkoszy i honorów mało, lecz że przy nowym kursie nasz delegat Roman boi się wylecieć, więc stara się, aby było jak najwspanialej.
Rozumiem Twe uczucia w Paryżu i ich, że tak powiem, kolejność: i ja czułabym męki starości i osamotnienia sam na sam z hydrą pamiątek, która mię w Paryżu brała i tak w pazury, ale na szczęście miałam kochanych, miłych i pełnych życia towarzyszy, Woronieckiego znasz, a mój kolega Francuz Jordan i jego żona byli tak serdeczni, że nie czułam ani lat, ani przejść życiowych, gdyśmy we czwórkę pletli te niestworzone francuskie głupstwa, które tylko w tym języku uchodzą.
Czy chcesz jeszcze broszur z Twemi artykułami? To napisz coś do „Przeglądu" o stanie oświaty i kultury (szkoły, uniwersytet), jak jest właściwie z tym prześladowaniem polskiego szkolnictwa? Napisz też, czy Elwira szczęśliwie wróciła i jak się ma jej córka – i jej, i Maryni pisząc załącz serdeczne ode mnie pozdrowienie. Jeśli zechcesz, może odeślesz przy okazji ten list do Gieniów, by mieli o mnie wiadomości, bo przy obecnych kosztach korespondencji trzeba w ten sposób dawać sobie radę, by hurtem pisać do krewnych"...
Dokończenie zacytuję jutro.

13 października, rok 1923, sobota
Dokończenie listu Heli Białej Römer-Ochenkowskiej:
„...Ja byłam teraz ze trzy tygodnie na wsi, by Mamie dotrzymać towarzystwa i z żalem patrzałam na marnujący się majątek, bo gospodarstweczko Mamy to kpiny z publiczności, kilka krów i koni, podatki duże, Mama sobie zupełnie nie umie poradzić, a nie bardzo słucha, jak zwykle osoby stare, które całe życie były tylko od siebie

zależne. Jedyna pociecha, że jej zdrowie służy. Bardzośmy tu czekali Zosi z dziećmi, ale podobno odmówili jej – co to za nieznośne stosunki i co komu z tego, że się ludzie męczą?! Antosiowie Römerowie też mieli tu zjechać na zimę, ale ich jakoś nie widać, a Hani by było trzeba choć takiego Wilna na rozwój dużego talentu, jaki ma. Poza tym nic nowego w familii, nic się nie urodziło i nic dzięki Bogu nie umarło. Ściskam Cię serdecznie. Hela."
A więc z tym gospodarstwem nigdzie nie jest świetnie. Stękają moje siostry w Bohdaniszkach, które biedaczki bokami robią i ledwie dyszą, ale niewiele lepiej jest i tam, gdzie Stryjenka Alfredowa Römerowa w Karolinowie, pomimo że uchodziła zawsze za doskonałą gospodynię, też ledwo o kilku krówkach i konikach wegetuje. Co do artykułów dla „Przeglądu Wileńskiego", do których mię Hela nakłania, to na taką robotę stanowczo teraz nie mam czasu.
Ba, jak już listy – to listy. Zacytuję i drugi list otrzymany wczoraj – od Elizki Komorowskiej, która się wybiera do Wina do córek – Zitki i Litki, które są tam od lata zalokowane. List Elizki porusza sprawę Antonosza. Elizka jest pełna różowych nadziei, że moje starania o zachowanie dla Römerów antonoskich samej fermy antonoskiej z siedzibą zamiast projektowanego przez władze wydzielenia im sched na kresach majątku i zużytkowania centrum na reformę agrarną – wydadzą dobre owoce. Czyni jej te nadzieje Chodakowski, któremu Elizka ten interes zleciła, a który widocznie, choć już został mianowany sędzią Sądu Wojennego, nie porzuca praktyki adwokackiej w instytucjach administracyjnych, co nie bardzo jest dla sędziego, nawiasem mówiąc, właściwe. Co do mnie – obawiam się, czy dobre nadzieje Elizki nie są przedwczesne, bo sam w skuteczność moich starań przy reżimie Krupowicza bardzo wątpię. Ale udzielam głosu Elizce:
„...A to dopiero historia przykra z tym odroczeniem w ostatniej chwili kongresu, na który jechałeś! Nic o tym nie wiedziałam! Może co do Ciebie – co się odwlecze, to nie uciecze! Ale na razie to zawód musiał być dla Ciebie nie lada i setna irytacja – wyobrażam sobie – bo rozumiem doskonale – jak to Ciebie tentowało! Bardzo żałuję, że się tak niefortunnie stało!
W sprawie antonoskiej mam wielką radość, bo adwokat Chodakowski, któremu za pośrednictwem p. Bichniewicza sprawę tę do prowadzenia zdałam – kazał mi powiedzieć, że sprawę antonoską uda się bodaj pomyślnie załatwić – dzięki interwencji tak poważnej osoby, jak pan Michał Romer, z którym Krupowicz nie zechce zadzierać!! Radośc moja ogromna i podwójna. I tysiąc czułych podziękowań dla Ciebie, mój Michaśku drogi! Niech Ciebie cienie i dusze Dziadów naszych błogosławią! Ja też dla nich to robię! A fatyguję się, ile tylko mogę i umiem. Byłam znowu w Antonoszu i tu w naszym urzędzie reform rolnych, i do posłów się odniosłam, i p. Chodakowskiego wymyśliłam i postarałam się o niego. Ale p. Chodakowski znajduje, że tej drogi – protestu przez posłów – w tym wypadku używać nie należy, bo tamta droga liczenia się z Tobą – pewniejsza...". Dalej jeszcze dużo o tym samym, potem o drzewkach owocowych dla mnie itd. Tego już cytować nie będę.

14 października, rok 1923, niedziela
Rano na uniwersytecie odbyło się posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego. Obecni byli na posiedzeniu: dziekan Leonas, profesorowie i docenciKriščiukaitis, Mačys, Balogh, Bielackin, Wacław Biržiška, Tumenas, Rimka, Šalčius, Büchler i ja. Omawiana była cała litania spraw bieżących detalicznych. Przyjęto też do wiadomości zgłoszony przeze mnie na piśmie zamiar rozpoczęcia druku moich wykładów uniwersyteckich, odpowiednio ułożonych do wydania książkowego. W zgłoszeniu tym odwołuję się do wydziału dla pokrycia kosztów druku (wydział będzie nakładcą książki i zapewne jej

właścicielem, ja zaś otrzymam honorarium autorskie) i proponuję wydawanie książki zeszytami, z których potem ułoży się całość dzieła. Całe wydawnictwo byłoby zakończone dopiero w ciągu 2-3 lat. Zgłoszenie moje przyjęto bez dyskusji i głosowania jako rzecz, która już w zasadzie ogólnie dla wszystkich profesorów wydziału przyjęta została. Omawiano też udział naszego wydziału w organizowanych pod dyrekcją prof. Michała Biržiški powszechnych wykładach uniwersyteckich dla szerokiej publiczności. Cykl powszechnych wykładów uniwersyteckich ma być rozpoczęty od 20 października codziennie od godz. 5 do 6 po obiedzie. Naszemu wydziałowi udzielony jest poniedziałek. O tym była u nas mowa jeszcze przed wakacjami. Ustaliliśmy wtedy, że byłoby pożądane, aby nasz wydział w toku każdego cyklu takich wykładów dał szereg wykładów takich, które by stanowiły pewną logiczną i systematyczną całość. Projektowaliśmy wtedy w cyklu wiosennym dać wykłady z prawa cywilnego, rzymskiego i karnego, w jesiennym – z ogólnej teorii prawa, prawa konstytucyjnego i międzynarodowego, w innym jeszcze cyklu – z nauk ekonomicznych i finansowych. Do cyklu jesiennego i ja też byłem obiecał coś dać z prawa konstytucyjnego. Wiosennego cyklu nie było wcale, teraz zaś do jesiennego w myśl naszej uchwały zgłosili swój udział w wykładach powszechnych prof. Leonas, Tumenas, Janulaitis; chciano też mnie pozyskać, ale, niestety, musiałem odmówić, bo nie mam czasu na przygotowanie się, a język litewski wykładu podwaja ciężar pracy i występu publicznego. Wacław Biržiška bardzo nalegał, abym się podjął, ale wytłumaczyłem się niemożnością absolutną. Wówczas Tumenas zaproponował, abym do wykładów tych zużytkował mój referat o koloniach wychowawczo-poprawczych dla nieletnich w Szwajcarii, opracowany przeze mnie przed tygodniem dla Ministerium Sprawiedliwości. Na to się zgodziłem, wyrażając jednak wątpliwość, czy by się on dla wykładów tych nadawał, bo w istocie jego temat nie jest ściśle prawniczy nawet ze stanowiska prawa karnego i dotyczy raczej problemów polityki karnej i wychowania publicznego; byłby on właściwszy bodaj dla towarzystwa opieki nad dziećmi, niż dla powszechnych wykładów uniwersyteckich z dziedziny prawa. Wydział jednak uznał, że rzecz może być ciekawa i prosił mię o zgłoszenie tego tematu.
Byłem dziś pod wieczór na publicznym odczycie Herbaczewskiego, a potem wieczorem na posiedzeniu założycieli Towarzystwa Franko-Litewskiego. Pomówię o tym w dzienniku jutro.

15 października, rok 1923, poniedziałek
Jak wspomniałem w dzienniku wczoraj, byłem wczoraj po obiedzie na odczycie Józefa-Albina Herbaczewskiego. Odczyt odbył się w sali odczytowej w tzw. Domu Ludowym. Ze znajomych widziałem na nim mało osób: był Bolesław Stadziewicz, w pierwszym rzędzie świecili szlacheckimi łysinami Jerzy Dowiatt i Bitowt, w loży siedział staruszek Tomasz Żyliński, jeden z weteranów odrodzenia narodowego Litwy, poza tym nikt ze znajomych, choć sala była prawie pełna; sama młodzież obojga płci, ludzie imiennie jeszcze nieznani, przyszłość młoda narodu, żywa, żądna sensacji, a może i pewnych prądów mistycznych, może też słów gniewu i gromów na niesprawiedliwość i nierówność społeczną, bo odczyty Herbaczewskiego, pełne paradoksów i gwałtownej ekscentryczności, wszystko to dają. Nikt nie potrafi tak łajać jak Herbaczewski, tak sypać paradoksami, w których głębokie nuty myśli dziwnie się kojarzą z powierzchownością, z manią wielkości i manią prześladowczą, z dziecinną naiwnością twierdzeń płytkich, z niesłychaną ekscentrycznością formy, zgoła nieznaną Kownu i Litwie, a wyrosłą na kulturze cyganerii literacko-artystycznej Krakowa, na Michalikowskiej czarnej kawie i kabaretach, z dosadnością wyrażeń, które do chłostania używają określeń, zapożyczonych z pornografii i z publikacji bolszewickich.

Herbaczewski w odczycie jest chwilami wariat, chwilami – prorok, chwilami – maniak, chwilami – mistyk, chwilami – społecznik, chwilami – moralista, chwilami – dziecko, chwilami – myśliciel, chwilami – osioł. Temat odczytu: upadek kultury powszechnej. Herbaczewski zdążył już oczywiście pokłócić się i zadrzeć z całą poważną inteligencją litewską, zresztą zgoła nieprzywykłą do tego rodzaju umysłowości, naraził się wszystkim elementom silnym, wpływowym i statecznym, skompromitował się w ich oczach, do uniwersytetu się nie dostał, a zaangażowanie go na lektora do Wydziału Humanistycznego (do wykładania literatury polskiej) na warunkach opłaty od godzin bez pensji potraktował jako kpiny, protestując głośno; na poprzednim odczycie wywołał protest Tumasa, który się rozbiegł echem szeroko, i teraz zbliżył się do młodzieży, do pewnych kół literacko-artystycznych, do narastającej cyganerii litewskiej i rozpoczyna kampanię odczytową. Jego odczyt dzisiejszy – to był chaos, w którym powiedział i trochę rzeczy mądrych, i sporo głupstw, i najwięcej paradoksów. Pełno było wykrzykników w odczycie, nie brakło nawet... śpiewu, bo Herbaczewski kilkakrotnie nucił improwizowany „*danse macabre*” rozkładającej się cywilizacji współczesnej. O czym on tylko nie mówił – o wszystkim. Część odczytu poświęcił i masonom, o których wprawdzie przytoczył kilka faktów historycznie dokładnych, ale jeszcze więcej – fałszów i bzdurstw, a wreszcie nazwał współczesną masonerię – towarzystwem szajek żulików (*sic!*). Całe niemal dzieje wojen XIX wieku i ostatniej Wielkiej Wojny wyjaśniał akcją wolnomularstwa i walk między potęgami masońskimi , wreszcie insynuował, jakoby rządy Litwy były w ręku masonów i ulegały wpływom intryg Wielkiego Wschodu Francji!! Nie to jedno było równie dziwaczne w tym jego odczycie.

16 października, rok 1923, wtorek
Otrzymałem z Bohdaniszek list polecony od Maryni. Przysyła mi otrzymane na moje imię jako „šeimininkasa” lasów bohdaniskich zawiadomienie miškų urėdasa z Rakiszek o tym, że w d. 24 października przyjedzie on z komisją leśną do Bohdaniszek dla dokonania przejęcia lasów bohdaniskich w zarząd państwowy. Marynia uważa to zawiadomienie za dowód przesądzenia ostatecznego sprawy lasów bohdaniskich na rzecz ich odebrania (upaństwowienia). Może być, że ta, ale to jeszcze niekonieczne. Zawiadomienie jest drukowane, do tekstu wpisana tylko data, więc do słów tekstu zbyt wielkiej wagi przywiązywać nie można, bo to jest tylko szablon, zawierający formułkę pospolitą, nic w szczególności do danego konkretnego wypadku nie stosującą. Chodzi o to, że wszystkie lasy, które w swoim czasie (w r. 1920) były zarejestrowane jako podlegające ustawie o upaństwowieniu i oddane w zarząd czasowy, czyli tzw. „szeimininkostwo” byłym właścicielom – a lasy bohdaniskie, które wtedy nie były jeszcze podzielone, zostały też zarejestrowane i mnie w to „szeimininkostwo” oddane – musza potem przejść przez procedurę przejęcia ich w zarząd państwowy, co jeszcze samo przez się nie przesądza, że przejęcie to będzie dokonane, bo o ile właściciel wykaże, że dla jakichś powodów prawnych nie ulegają one upaństwowieniu, to się spisuje przez komisję protokół stosowny, stwierdzający o zwolnieniu lasu. Już w przeszłym roku miškų urėdas, będąc w Bohdaniszkach dla sprawy moich starań o pozwolenie wycięcia budulca w Gaju, wspominał o tym, że będzie musiał przyjechać z komisją dla przejęcia lasów bohdaniskich i że skończy się na tym, iż po przedstawieniu przeze mnie naszego aktu dzielczego i rozejrzeniu go przez komisję zostanie spisany protokół, stwierdzający, że lasy bohdaniskie, jako należące do kilku właścicieli drobnymi działkami, upaństwowieniu nie ulegają. „Miškų urėdas” mówił o tym jako o formalności. Może więc jest to to samo, choć skądinąd nie jest wykluczone, że może się to robić i na specjalne zlecenie Departamentu Leśnego, który wobec uporczywego

nieprzedstawiania przez nas parokrotnie żądanej metryki śmierci śp. Papy nakazał zarządzenie odebrania lasów, przeciwko czemu trudno by nam było obronić własność lasów, bo data śmierci Papy przemawia na naszą niekorzyść. Jeszcze więc dokładnie rzecz nie wiadoma. Marynia prosi mię o przyjazd na 24 października. Przyjadę na dzień jeden, aby być obecnym [przy] wizycie „miškų urėdasa" z komisją. Napisałem też do Hektora Komorowskiego, prosząc, aby też przyjechał.
Takie oto rozmaite ciosy majątkowe i ciężary, które raz po raz na Bohdaniszki spadają, działają zawsze na mnie bardzo przygnębiająco i poruszają mię niezmiernie. I dziś mię to bardzo poruszyło. Jednak potem się uspokoiłem. Ostatecznie, cóż robić – może i lepiej, aby się rzecz z lasami tak lub inaczej prędzej wyjaśniła, bo ten nieokreślony stan niepewności, który trwa już przeszło dwa lata, był dla interesów bohdaniskich bardzo komplikujący i ciężki. Widzę też z listu Maryni, że choć bardzo żałuje lasów i smuci się myślą o ich odebraniu, jednak pociesza się tym, że w razie odebrania lasów nasze działki w Bohdaniszkach o tyle zmaleją, że staną się wolne od reformy agrarnej, a przez to samo Elwira i Marynia będą miały ręce rozwiązane tak co do ewentualności wydzierżawiania Bohdaniszek, jak co do różnych ciężarów z parobkami i innych, nakładanych na ich posiadłości w Bohdaniszkach jako na dwór. Pod tym względem z pewnością byłoby ułatwienie. Zresztą kawałek lasu – co najmniej 25 hektarów na ogół – będziemy mieli prawo odzyskać, a jeszcze będzie można próbować odzyskania nie tylko 25 ha na ogół, ale po 25 ha na każdego z nas (choć prawnie nie jest to zupełnie mocne). W razie odebrania lasów najtrudniejsza byłaby kwestia wyrównania sched Kotuni i Henrysia. Kto wie też, czy pozwolono by mnie dokończyć zrealizowanie pozostałości wyrębu budulca w Gaju stosownie do pozwolenia zeszłorocznego.

17 października, rok 1923, środa
Data dzisiejsza – wprawdzie podług starego stylu – jest osiemnastą rocznicą zapomnianego dziś, a niegdyś bardzo głośnego i stanowiącego owoc rewolucji r. 1905 w Rosji – konstytucyjnego manifestu tzw. październikowego cara Mikołaja II, a dla mnie osobiście jest ona czternastą rocznicą mego ślubu małżeńskiego z Reginą. Nie dała mi ona szczęścia, które się dla mnie streściło nie w małżeństwie z Reginą, lecz w związku nieśmiertelnym z Anną. Niestety – bliskim jestem bardzo innej rocznicy, dziewiątej, zgonu Aninki, rocznicy, która jest grobem mego życia osobniczego.
W kilku słowach zanotuję tu niedzielne zebranie założycieli Towarzystwa Franko-Litewskiego. Towarzystwo to, które ma na celu propagandę kultury francuskiej w Litwie i w ogóle wszelkie działanie na rzecz zbliżenia Litwy z Francją, a więc w zasadzie i popularyzację wiadomości o Litwie we Francji, zawiązało się dzięki długim i wytrwałym staraniom Jerzego Dowiatta. Statut jest już zatwierdzony. W niedzielę odbyło się pierwsze zebranie założycieli, na którym obecni byli: Francuzi – Padovani – francuski „*chargé d'affaires*" w Litwie, kapitan Chabanier – agent wojenny francuski w Litwie i kupiec Benoît, i obywatele litewscy – burmistrz Kowna Jan Vileišis, Jerzy Dowiatt, były minister finansów Dobkiewicz, Marcin Yčas i ja. Oprócz tych osób do liczby założycieli należy Francuz p. Junieu, właściciel majątku ziemskiego Sołoki w pow. jezioroskim i poseł litewski we Francji Miłosz – i oto zdaje się wszystko. Wybrano zarząd prowizoryczny w osobach prezesa Vileišisa, wiceprezesów Dowiatta i Junieu'a i członków zarządu pp. Benoît, Chabanier i Dobkiewicza; mnie zaś, Yčasa i malarza Varnasa wybrano do komisji rewizyjnej; Padovaniego zaszczycono tytułem prezesa honorowego. Słowem – wszyscy otrzymali jakąś godność. Lokal towarzystwa będzie się na razie mieścił w mieszkaniu Jana Vileišisa. zaprojektowano rozpoczęcie odczytów francuskich o kulturze i literaturze francuskiej, sprowadzanie „*conférencierów*" z Paryża, zorganizowanie kursów języka francuskiego. Przez

czlonków Francuzów wejdziemy w relację z Paryżem, znajdą się zapewne i środki, i poparcie Francji w zakresie zadań Towarzystwa. Jest nadzieja, że się ono rozwinie.

18 października, rok 1923, czwartek
Wygłosiłem dziś pierwszy mój w tym roku szkolnym wykład na uniwersytecie. Przed wykładem tym byłem dość poruszony, bo w tym roku odważyłem się już na wykład nie odczytywany z rękopisu, jak w roku zeszłym, lecz wygłaszany ustnie. Trudności techniczne wykładania ustnego są dla mnie ze względu na język litewski bardzo duże, bo w toku wykładu – pomimo notatek, które streszczają konspekt tego, co mam mówić i którymi się posługuję jako nicią przewodnią – muszę nie tylko pracować nad samą myślą, ale jednocześnie nie mniej nad formą językową. A choć język litewski znam już dobrze i rozumiem biegle, jednak w wykładzie, który jest ciągłym, często utykam czy to na poszczególnych wyrazach, których mi braknie na poczekaniu, czy na konstrukcji zdań. Obawiałem się więc, czy podołam wykładowi ustnemu. I choć się starannie do wykładu przygotowałem, choć po kilkakroć notatki moje przestudiowałem i obmyśliłem wszystko, co mi powiedzieć wypadnie, jednak się całkowicie uspokoić nie mogłem i szedłem na ten wykład jak sztubak na egzamin; byłem pełny poczucia odpowiedzialności. Wszakże im bliżej byłem wykładu, tym bardziej odzyskiwałem równowagę. Miałem dwie godziny wykładu – od godz. 7 do 9 wieczorem. Wykłady dla I semestru Wydziału Prawniczego, liczącego dużą ilość słuchaczy, odbywają się w wielkiej sali uniwersytetu. Słuchaczy zebrało się na mój wykład do 100 albo i więcej. I zdałem egzamin nieźle. Wprawdzie były w moim wykładzie szorstkości języka, chwilami większa trudność wysłowienia się, jakieś ugrzęźnięcia w powikłaniach budowy słowa, ale na ogół – nienajgorzej. Wiele myśli powiodło mi się wyrazić dobitnie i ściśle. Wyszedłem z wykładu zadowolony, a sądzę, że i słuchacze cośkolwiek skorzystali. Mam wrażenie, że wykład ustny z notatek więcej jest wart dla słuchaczy, niż słuchanie odczytywanego rękopisu. Będę więc i nadal tą samą metodą w roku bieżącym wykładać.

19 października, rok 1923, piątek
Z dnia dzisiejszego nic szczególnego do zanotowania nie mam. Był to powszedni pracowity dzień. Pracowałem nad wyrokami trybunalskimi, pracowałem nad notatkami dla wykładów uniwersyteckich. Pracę dzienną ukończyłem wcześnie. O godz. 9 wieczorem mam dzień pracy skończony, co mi się dość rzadko zdarza. Ale bo też nikt i nic mi dziś nie przeszkadzał i od pracy nie odrywał. W Trybunale mieliśmy dziś nasze zwykłe tygodniowe posiedzenie gospodarcze, które się odbyło pod przewodnictwem Janulaitisa, ponieważ Kriščiukaitis wyjechał na dni kilka. Umarł Kriščiukaitisa ojciec (stary musiał być bardzo, bo już i Kriščiukaitis ma lat 60 albo i więcej). Na posiedzeniu gospodarczym była znowu rozpoznawana pewna kwestia detaliczna w sprawie Puryckiego. Sprawa ta przewleka się bardzo; są wszelkie poszlaki po temu, że same czynniki rządzące Chrześcijańskiej Demokracji działają na zwłokę. Akt oskarżenia Puryckiemu nie doręczony dotąd. Purycki, lekceważąc sobie to, że jest pod sądem, oskarżony o ciężkie przestępstwa, wyjechał sobie w najlepsze przed otrzymaniem aktu oskarżenia – do Berlina i wysiaduje tam najspokojniej. Choć sprawa jest głośna, choć milicja i władze bezpieczeństwa wiedziały dobrze o tym, że Purycki jest oskarżony i przebywa na wolności za kaucją, a więc nie może się wydalać bez wiedzy sądu, dano mu możność swobodnego wyjazdu. Gdy Trybunał zażądał od Puryckiego większej kaucji (w ilości 100 000 litów zamiast 2000) i wysłał dla doręczenia mu kopię aktu oskarżenia, okazało się, że Purycki jest w Berlinie. Gdy zaś Trybunał na skutek tego zarządził konfiskatę 2000 lt. dotychczasowej kaucji i zwrócił się do Ministerium

Sprawiedliwości o zażądanie od Niemiec wydania Puryckiego, ministerium odpowiedziało, że to nie może być wykonane, bo Litwa nie ma z Niemcami umowy o wzajemnym wydawaniu przestępców, a akt oskarżenia może mu być doręczony przez poselstwo litewskie w Berlinie, które zna adres Puryckiego. Nie Niemcy więc odmówiły wydania, ale ministerium nasze z góry, nie pytając Niemców, wymawia się od zażądania wydania, powołując się na brak umowy. Brak ten mógłby usprawiedliwić odmowę wydania, ale prośbie o wydanie nie przeszkadza. Zdaje się, że zwłoka robi się umyślnie, aby sprawa tak się przewlekła, by wreszcie straciła na aktualności i została w opinii publicznej zapomniana. A Purycki robi co mu się podoba, siedzi w Berlinie i kpi sobie z sądu.

20 października, rok 1923, sobota
W nieobecności prezesa Kriščiukaitisa odbyło się dziś posiedzenie sądowe Trybunału pod przewodnictwem Janulaitisa, który wprawy w kierowaniu posiedzeniem nie ma zgoła żadnej i czyni to bardzo nieumiejętnie, chwiejnie, nerwowo, popełniając nieraz bardzo znaczne błędy procesualne. W nieobecności Kriščiukaitisa staje się dla mnie szczególnie wyczuwalną jego rola ośrodkowa w Trybunale, cementująca i dająca podstawę naszemu kolegium. Bez niego czujemy się trochę jak owce bez pasterza; przynajmniej ja to czuję. Może przy bardziej biegłym przewodniczeniu, niż Janulaitisa, i przy innych kwalifikacjach psychicznych, niż te, jakie mają sędziowie Janulaitis i Čepas, to by się w tym stopniu nie wyczuwało, ale tak Janulaitis, który jest bardzo jednostronny i zaciekły w swoich „*parti pris*", jak Čepas, który jest drobiazgowo pedantyczny i niesłychanie uparty – wymagają koniecznie ich zneutralizowania przez element tak zrównoważony, spokojny i „wypośrodkowujący", jaki reprezentuje u nas Kriščiukaitis – znakomity prezes i klasyczny sędzia. Z samymi Janulaitisem i Čepasem jest mi trochę duszno, trochę ciasno. Co do Čepasa – to jest w nim dużo zalet, jest pracowitość i staranność wielka, jest niezły umysł, ale pedantyzm jego bywa chwilami wprost zabójczy, a stąd też skłonność do kazuistyki szczegółików i upór bardziej niż ultralitewski, który może czasem jego oponenta do rozpaczy doprowadzić. Człowiek to jednak, jak się zdaje, bardzo zacny.
Była dziś sądzona sprawa – choć w przedmiocie swoim drobna, jednak z pewnych względów znaczna; była to sprawa niejakiego milicjanta Žemaitisa, oskarzonego o pobicie syna adwokata Cymkowskiego. Sprawa trafiła do nas w apelacji oskarżonego. Ze strony oskarżenia i powództwa cywilnego stawał Ślażewicz, bronił – adwokat Šiling. Ten ostatni w obronie swojej używał pewnych sposobów, które w stosunku do starego adwokata Cymkowskiego, stawającego w charakterze świadka, były co najmniej niewłaściwe: zadawał Cymkowskiemu pytania, pomawiające go o działanie zgoła nieetyczne, podawał w wątpliwość jego zeznanie, zarzucał mu wprost przekręcanie faktów i nierzetelność twierdzeń. Na Cymkowskim znać było oburzenie, Ślażewicz też wrzał oburzeniem, a rozprawy słuchał także prezes Rady Adwokackiej adwokat Staszyński i coś sobie notował. Kto wie, czy nie wywiąże się z tego jakaś dyscyplinarka względem Šilinga, co mu by się należało. Sprawa ta była charakterystyczna też przez to, że ze strony milicji, która była w sprawie reprezentowana nie tylko przez oskarżonego, lecz także przez kilku świadków, ujawniła się sztuczna zmowa dla pokrycia czynów oskarżonego kolegi, a w stosunku do jednego ze świadków milicjantów – jaskrawy fakt fałszywego zeznania, który go zaprowadzi samego na ławę oskarżonych.

21 października, rok 1923, niedziela
Jak prawie co niedziela, odbyło się dziś na uniwersytecie od godz. 10 rano do 1 po południu posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego. Obecni byli: Leonas, Kriščiukaitis,

Mačys, Balogh, Bielackin, Wacław Biržiška, Rimka, Büchler, Tumenas, Šalčius i ja. Głównym przedmiotem obrad było ustalenie przepisów dotyczących zaliczania studentom wysłuchanych semestrów i przechodzenia ich z semestru na semestr. Ułożenie tych przepisów, czyli raczej zaprojektowanie ich było na poprzednim posiedzeniu zlecone specjalnej komisji regulaminowej, która ma za zadanie opracowanie całkowitego regulaminu wydziału, ale tym razem polecono jej zaprojektować do dzisiejszego posiedzenia tylko powyższe przepisy jako śpieszne, a mające skądinąd stanowić część ogólnego regulaminu. Komisja ta składała się z Wacława Biržiški, Bielackina i mnie. Wczoraj wieczorem komisja się zebrała i przepisy te zaprojektowała. Co do pewnych szczegółów zdania moje i Biržiški się podzieliły i wydział dziś rozstrzygnął kwestię uchwałą w myśl wniosków moich. Przepisy te streszczają się tak. Tu muszę tylko zaznaczyć, że choć statut uniwersytetu mówi o systemie semestrowym, u nas w istocie praktykowany jest system kursowy. Wprawdzie rok szkolny dzieli się na dwa semestry, ale wykłady są zawsze dwusemestrowe, tak że każda para semestrów (i-szy z II-gim, III-ci z IV-tym, V-ty z VI-tym i VII-my z VIII-mym) stanowi całość ciągłą; jednocześnie też oba semestry jednej pary nigdy nie działają, a więc gdy w półroczu jesiennym funkcjonują semestry I, III, V i VII, to semestry II, IV, VI i VIII nie funkcjonują, a w półroczu wiosennym jest odwrotnie. Otóż więc przepisy powyższe w uchwale wydziału ułożone zostały tak. Dla przejścia studenta z semestru II na III (czyli właściwie z I kursu rocznego na II), z IV na V i z VI na VII – student musi mieć wysłuchane całkowicie wszystkie przedmioty poprzedniej pary semestrów za wyjątkiem najwyżej dwóch przedmiotów, które musi w takim razie przesłuchać uzupełniająco w toku następnej pary semestrów. Przesłuchanie przedmiotu stwierdza się podpisami odpowiedniego profesora w książeczce studenta w obu semestrach i takimiż podpisami o odbytych kolokwiach w obu semestrach. Przy przejściu z pierwszej pary semestrów na druga ustanawia się wszakże jeden przedmiot bezwzględnie obowiązujący, którego nieprzesłuchanie wyklucza możność przyjęcia na semestr III. Ponieważ od semestru III rozpoczyna się u nas specjalizacja, wyrażająca się w dwóch sekcjach – ekonomicznej i ogólnoprawniczej – więc tym przedmiotem obowiązującym pierwszych dwóch semestrów będzie dla ekonomistów ekonomia polityczna, dla prawników – historia prawa rzymskiego. Oprócz tego dla przyjęcia na semestr III każdy student musi mieć co najmniej jeden egzamin zdany, a dla przyjęcia na semestr V – co najmniej ogółem trzy egzaminy razem z owym pierwszym. Takie są przepisy. Zaś dla przejścia z semestru na semestr wewnątrz każdej pary semestrów (a więc z I na II, z III na IV itd.) wystarcza podpis profesora o słuchaniu wykładów, natomiast odbycie kolokwium nie jest wymagane poprzednio i może być dokonane do upływu następnego semestru.
Uchwalono też dziś mianowanie Weryhy-Darewskiego, który był zaangażowany na lektora specjalnego kursu o podatkach i inspekcji podatkowej, asystentem przy katedrze prawa finansowego. Stwierdzono też, że w myśl statutu Weryha-Darewski będzie zapraszany na posiedzenia Rady Wydziału.

22 października, rok 1923, poniedziałek
Miałem dziś drugi wykład na uniwersytecie. Ten mi się gorzej udał niż pierwszy. Mam tu na myśli nie tyle treść, ile formę wykładu, sama technikę przemawiania; ale technika ta i forma – mniej lub więcej udatna – wpływa oczywiście i na wartość treści. Może dlatego dziś mi szło gorzej, że dzień był dżdżysty i słotny, co wpływa zawsze i na usposobienie.
Jutro rano wyjeżdżam do Bohdaniszek.

23 października, rok 1923, wtorek
Rano koło dziewiątej wyjechałem z Kowna. Droga upłynęła mi nieźle. O tej porze roku pociągi nie są przepełnione, miejsca więc jest dużo, nieraz i wyspać się można, a skądinąd nie jest jeszcze zimno w drodze. Bilet wziąłem do Abel, bo stamtąd do Bohdaniszek lepsza teraz droga, niż z Rakiszek. Jesień jest talk mokra, że ziemia pełna wody; drogi są wszędzie fatalne, ale z Abel jest jeszcze możliwie (droga z Abel na Matejki i Prapultinię poszerzona, poprawiona, okopana rowami – prowadzi się tą drogą gościniec na Rogiele i Komaje). W Abelach spotkał mię Stefan Römer, Maryni syn. W Abelach byłem o północy, a o godz. 2 nad ranem w Bohdaniszkach.
Jak słychać, ten przyjazd jutrzejszy „miškų urėdasa“ z komisją leśna nie jest tak straszny, jak się na razie siostrom moim zdawało. W tych dniach nadleśniczy (miškų urėdas) z komisją był w tym samym celu w Kowaliszkach i w Gaczanach. Jest to formalne likwidowanie tzw. „šeimininkostwa” prywatnego lasów dworskich, które jeszcze dotąd nie były na rzecz państwa przejęte. Tak w Gaczanach, jak w Kowaliszkach na zasadzie przedstawionych przez właścicieli dokumentów, wykazujących przynależność lasów drobnymi działkami kilku właścicielom, spisany został akt o tym, że wobec tego w myśl ustaw właściwych las upaństwowieniu nie ulega. Prawdopodobnie to samo będzie w Bohdaniszkach. Nie ma więc już tego strachu, jaki był na razie. Na komisję jutrzejszą przyjechał też z ramienia Elizki Julek Komorowski.

24 października, rok 1923, środa
Dziś był ów dzień fatalny komisji leśnej, który z góry tyle strachu nabawił Elwirę i Marynię, tyle je kosztował łez, troski i żalu. Las bohdaniski był już przez nie opłakany, szczególnie Gaj kochany, który towarowo w tej chwili przedstawia najmniejszą wartość, ale dla uczucia naszego jest najdroższy, bo był kochany i pielęgnowany przez Papę, a dla nas był najistotniejszą cząstką Bohdaniszek jako jeden z najserdeczniejszych naszej ojcowizny klejnotów. Bo też w ten żal i w to ratowanie ojcowizny ja i moje siostry więcej pono kładziemy sentymentu, niż interesu. Ze względu na czysty rachunek na chwilę dzisiejszą, tak trudną dla bohdaniskiej gospodarki Elwiry i Maryni, odebranie lasów bohdaniskich na rzecz państwa nie byłoby rzeczą tak ciężką, jaką byłoby ono dla uczucia naszego i nawet sprawiłoby pewną ulgę, uwalniając to gospodarstwo od innych nieznośnych ciężarów wiszącej nad nim reformy agrarnej i ułatwiając sposoby wyjścia z kryzysu, zwłaszcza że w najgorszym nawet razie pozostawiono by nam co najmniej 25 ha lasu podług naszego wyboru, a więc w najcenniejszym kawałku (wybralibyśmy oczywiście w Staczeragach). Ale uczuciowo odebranie nam tych naszych, bohdaniskich – byłoby bolesnym bezwzględnie.
Jednak tak źle się nie stało. Nastąpiło tylko to, co ja od razu przewidziałem – że to tylko akt formalny zlikwidowania mojego „šeiminkostwa” lasów bohdaniskich, który jeszcze w przeszłym roku zapowiadał nam „miškų urėdas“ jako konieczność – zlikwidowania nie na rzecz odebrania, jeno na rzecz zwolnienia – wobec naszego aktu dzielczego. Po okolicy jednak gruchnęła już wieść, że Bohdaniszkom lasy się odbierają i cała zawiść mnóstwa włościan, cała ich tradycyjna w ostatnich lat dziesiątkach niechęć do dworów i do panów, roznamiętniona ruchami politycznymi ostatnich czasów – zawrzała radością triumfu i złym uczuciem deptania pokonanego „wroga” i sycenia się rozkoszą jego klęski. Przedwczesny był jednak ten triumf, niemniej przykry i smutny dla tych, którzy są tych uczuć przedmiotem, i dla mnie, który działalnością moją publiczną służę właśnie sprawie ludu i Rzeczypospolitej Litewskiej. Tym razem triumf był nasz nad pospólstwem.

„Miškų urėdas“ przyjechał rano i po śniadaniu, gdy jeszcze innych członków komisji nie było, rozejrzał plany, wymierzył na nich przestrzeń lasów bohdaniskich, uwzględniając nasze uwagi co do cząstek, które już od dawna przerobione są na pole uprawne i w szczególności co do Kumsz, które w dziale naszym nie są policzone do lasu i które w istocie są tylko chrustami i pastwiskiem; następnie rozejrzał się w naszym akcie dzielczym, zestawił cyfry lasu i sched podzielonych i stwierdził, że lasy bohdaniskie są całkowicie wolne od upaństwowienia. Po pewnym czasie przyjechali dwaj inni członkowie komisji: abelski naczelnik obwodowy i wójt gminy krewieńskiej Tamaliunas. Naczelnik obwodowy milicji milczał i w sprawę się nie wtrącał. Ale Tamalinasowi wielce się nie podobały wywody „miškų urėdasa“, toteż nie mógł wytrzymać, aby nie poruszyć kilkakrotnie półgębkiem kwestii Kumsz jako lasu. Kilka razy to czynił, ale zawsze półgębkiem, nieśmiało, bojąc się skądinąd może narazić mnie, a może tylko czując się przykro w tej roli denuncjanta i napastnika. Miškų urėdas zbył te uwagi dość lekceważąco, zadowolił się spojrzeniem na las kumszański z okien wielkiego pokoju i stwierdzeniem samego Tamaliunasa, który, przyparty do muru, przyznał, że las ten nie przekracza jakichś 5 hektarów i że właściwie są to tylko krzaki wśród pola. W naszej nieobecności Tamaliunas z pewnością energiczniej by bronił swoich uwag na naszą szkodę, ale się krępował wobec nas i czuł się sam jeden bez poparcia niewyraźnie. Toteż nic w wywodach miškų urėdasa nie zostało zmienione i nawet nie udano się obejrzeć Kumsz. Spisany został protokół, zakończony wnioskiem o niewywłaszczalności lasów bohdaniskich i protokół ten wszyscy – nie wyłączając Tamaliunasa – podpisali. Tamaliunas jak niepyszny musiał zamilknąć. Musiał czuć duży zawód, bo jechał będąc pewny, że mu się trafi gratka asystowania naszej porażce – odebraniu lasów. Sądzę, że ze strony włościan będą jeszcze posyłane w tej sprawie do Kowna protesty i skargi, ale jeżeli tylko Departament Leśny nie wpadnie znów na ślad żądania metryki śmierci Papy, to sprawa nasza będzie wygrana i las ocalony. O, gdybyż ci wrogowie nasi z gminy wraz z p. Tamaliunasem wiedzieli, co jest słabą stroną naszej obrony i gdybyż się domyślali, że data śmierci Papy jest dla nas ciosem najtrudniejszym do odparcia – z jakąż by radością z tego skorzystali! Ale nikt z nich ani się domyśla tego, a nawet sam miškų urėdas nic nie wie o tym.

25 października, rok 1923, czwartek
Czynność, dla której przyjechałem do Bohdaniszek – zakończona. Tym razem jeszcze udało się nam las uratować. Oby to już była próba ostatnia! Jeżeli nie wypłynie znowu sprawa metryki śmierci Papy – lasy nasze będą ocalone. Dotąd Pan Bóg nas strzeże. Wracam do Kowna. Dłużej pozostawać w Bohdaniszkach nie mogę. Czas obecny dla mnie jest gorącym czasem roboczym. Dla przyjazdu do Bohdaniszek musiałem opuścić jedno posiedzenie Trybunału i dwie godziny wykładu na uniwersytecie. Jutro muszę być w Trybunale na posiedzeniu gospodarczym. Muszę więc wyjeżdżać dziś.
W Bohdaniszkach gospodarstwo idzie ciężko: poszoru na zimę bardzo mało, na sprzedaż zboża nie ma, jarzyna Maryni gnije w polu, na jabłka, których urodzaj duży, ceny są niskie, podatki nie opłacone. Od lat trzech gospodarstwo sióstr bardzo mało postąpiło. Nie ma gotówki, ciężary duże. Elwira wciąż myśli o sprowadzeniu męża, Stefana Mieczkowskiego, nie mogąc sama podołać, Maryńka jednak, choć często upada na duchu i zaczyna mówić o oddaniu swojej i mojej schedy w dzierżawę, jednak gdy się o tym wobec niej mówi i zaczyna traktować na serio – odchwytuje się i chce się uparcie trzymać rozpoczętej pracy. Jej syn, Stefan Römer, prowadzi się dobrze i pomaga matce pilnie, choć jest to pomoc li tylko wykonawcza, ekonomska.

Pod wieczór, zaopatrzony w ogromną skrzynię jabłek i w pak mieszczący trzy gęsi i kaczora, odprowadzony przez Stefana Römera, odjechałem na stację kolejową do Abel, skąd pociągiem wieczornym o godz. 10 wyjechałem do Kowna.

26 października, rok 1923, piątek
Już teraz i z Abel idą w pociągu wagony staroświeckie rosyjskie z podnoszonymi do spania ławami górnymi, przerobione na tor wąski, bardzo wygodne, bo dające podróżnym możność spania nawet przy znacznym przepełnieniu wagonu. Spałem więc w drodze dużo, ale przecież czuję się zmęczony.
Po przyjeździe rano do Kowna byłem ze trzy godziny zajęty wykupieniem i odebraniem przywiezionych bagażem i za frachtem towarowym gęsi i jabłek. Oczywiście przepłaciłem za przywóz tych rzeczy, szczególnie jabłek, które mi policzono do kategorii „jabłek suszonych”, drożej opłacanych za transport, a to dlatego, że urzędniczek kolejowy w Abelach nie wymienił we frachcie, że to są jabłka świeże, skonstatowanie zaś tego tutaj wymagałoby wezwania specjalnej komisji, co by mię na jeszcze większą zwłokę, kłopot i koszt podwójnego transportu jabłek z dworca do domu naraziło. Zapłaciłem więc, ile żądano i rad byłem, że wreszcie po trzech godzinach furmankę z rzeczami pod dozorem Heleny z dworca wyekspediowałem. sam zaś wprost z dworca poszedłem do Trybunału na posiedzenie gospodarcze. Wróciłem do domu o zmroku bardzo zmęczony.

27 października, rok 1923, sobota
Z powodu przelotnego pobytu w Kownie majora armii francuskiej, p. d’Etchegoyen, mającego opinię wielkiego przyjaciela Litwy i rzecznika spraw litewskich we Francji, zwołane było śpiesznie dziś wieczorem posiedzenie naszego młodego Towarzystwa Franko-Litewskiego, zwanego w skróceniu „*cercle français*”. Nie miałem co prawda ochoty iść na to zebranie, ale ponieważ Towarzystwo nasze jest jeszcze tak nieliczne, że nieobecność choćby jednego z członków, zwłaszcza krajowca, uczyniłaby znaczną lukę i miałaby pozór lekceważenia naszych współczłonków Francuzów oraz dzisiejszego gościa, przeto pójść musiałem. W Towarzystwie naszym więcej pono mamy Francuzów, niż krajowców, toteż ci ostatni muszą okazywać szczególną pilność, bo ich rola jest wobec członków Francuzów rolą gospodarzy wobec gości. W Klubie Litewskim, dokąd było zwołane zebranie, zastałem w jednym z gabinetów już zebrane następujące osoby: majora d’Etchegoyen, p. Padovaniego, kapitana Chabnier, p. Pawła Benoît, jeszcze jednego Francuza, którego nazwiska nie znam, z krajowców zaś – Litwinów – tylko Jana Vileišisa i byłego ministra Dobkiewicza. Nie było to właściwe posiedzenie, jeno pogawędka towarzyska przy lekkiej kolacji z wódkami i winem. Rozeszliśmy się o godz. 1 w nocy. Majora d’Etchegoyen nie znałem poprzednio, ale słyszałem o nim. Z pochodzenia jest on Baskiem z Pirenejów, w wieku około lat 40. W roku 1919-1920 był w Grodnie w jakimś charakterze urzędowym z ramienia Francji i stał się wielkim przeciwnikiem Polski, a w szczególności Piłsudskiego za jego politykę wschodnią, zwróconą przeciwko Rosji. Toteż w konflikcie, który się wywiązał między Polską a Litwą na gruncie właśnie wykonywania wschodniej polityki Piłsudskiego, stał się on gorliwym rzecznikiem tez litewskich. Zagląda on często do Litwy i jest tu przyjmowany bardzo serdecznie. Ma on pewne stosunki w Paryżu – w rządzie i prasie, toteż jest przez to cenny dla polityki litewskiej; czasem zabiera sam głos w prasie francuskiej, zwalczając prądy polonofilskie i argumentując na rzecz Litwy. Jak się jednak dziś z rozmowy z nim przekonałem – jego sympatia dla Litwy płynie li tylko z moskalofilstwa; wierzy on w Wielką Rosję mocarstwową i pragnie jej odrodzenia, a Litwie oraz innym dzisiejszym państewkom „kresowym”, nie wyłączając bodaj Polski,

wyznacza stanowisko li tylko „federacyjne” w systemie mocarstwowym Rosji. Dlatego też tak nie lubi Polski i zwalcza ją, że Polska (a nade wszystko Piłsudski) jest czynnikiem, który się najpoważniej tym kombinacjom przyszłości przeciwstawia. Ale też w moim przekonaniu ta cecha Polski jest właśnie tą, która najbardziej podnosi wartość dodatnią Polski dla wolności wszystkich ludów i państw Wschodu środkowo-europejskiego, nie wyłączając bynajmniej Litwy, i która czyni, że obecny konflikt litewsko-polski, pomimo całą jego ostrość, jest epizodem historycznym, a nie stanem ciągłym i prawdopodobnie ustąpi miejsca solidarności, jak tylko niebezpieczeństwo rosyjskie realnie się zarysuje. Cały fatalizm tego konfliktu, historycznie szkodliwego, tkwi w kwestii wileńskiej i Polaków litewskich. Ta kwestia, sama przez się bardzo poważna i skomplikowana, która wcale nie jest tak prosta, jak się to poniektórym Litwinom wydaje, może sfałszować działanie pewnych konieczności historycznych, określających solidaryzm tych dwóch krajów. Tacy przyjaciele Litwy, jak d’Etchegoyen, nie wydają mi się w istocie rzecznikami jej postulatów dziejowych, jeno spekulantami sprawy obcej.

28 października, rok 1923, niedziela
Czułem się niezupełnie dobrze po kolacji wczorajszej. Alkohol zawsze źle działa na mnie, a w ostatnich latach zupełnie odwykłem pić i zwłaszcza obficie jadać wieczorem; mój organizm, a szczególnie żołądek stał się bardzo wrażliwy na to. Toteż każdą taką kolację muszę przechorować – przynajmniej żołądkowo. Jestem też wrażliwy na późne położenie się do łóżka. Jeżeli się późno położę – czuję się nazajutrz zawsze niewyspany, choćbym wstał późno. Nie tyle mi zależy na dużej ilości godzin snu, ile na tym, aby przed północą być w łóżku. Im wcześniej się położę, tym krócej mogę spać i tym lepiej wypoczywam.
Musiałem więc dziś czyścić żołądek rycyną i mało wychodziłem z domu.

29 października, rok 1923, poniedziałek
Miałem dziś trzeci wykład tegoroczny na uniwersytecie. Ponieważ w tym roku wykładam nie metodą automatycznego czytania z rękopisu, jak w roku ubiegłym, jeno ustnie żywym słowem, posługując się jeno notatkami, co oczywiście jest dla mnie o wiele trudniejsze, zwłaszcza ze względu na język litewski, więc przed pierwszym wykładem w tym roku tak się tego rozpoczęcia wykładów obawiałem, że gdym pierwsze lody przełamał i przekonał się, że jednak jestem w stanie tej pracy podołać, byłem prawie zachwycony. Zdawało mi się, że już przeszkody pokonałem i że już całkowicie zadaniu podołać jestem w stanie. Jednak był to triumf przedwczesny, spowodowany li tylko wrażeniem, że się przecież kapitanie nie skompromitowałem – a na razie w pierwszej chwili i to mi już było czymś wielkim. Przekonywam się jednak teraz, że mi jeszcze dużo brakuje do zupełnego podołania zadaniu. Wykłady idą mi trochę jak po grudzie. Zdaje się, że są one treściwe i że słuchaczom materiał dają ciekawy i starannie opracowany, ale wysłowienie się – szwankuje, a w pewnych miejscach, gdy się muszę bardziej odrywać od moich notatek, staje się tak zawiłe i błąkające się w skorupie formy językowej, że sam czuję, iż myśl traci zgoła wszelką przejrzystość i przestaje wyrażać to, co chciałbym wyrazić. Co robić – daję co mogę. Chciałbym bardzo wiedzieć, jaka jest opinia słuchaczy o moich wykładach. Wykładanie ustne idzie mi też o wiele powolniej, niż czytanie z rękopisu. Zaczynam już teraz sie obawiać, czy przy tej ilości godzin (4 godziny wykładów tygodniowo) zdąże w tym roku szkolnym dalej posunąć wykład, niż w roku przeszłym (w przeszłym nie zdążyłem skończyć). Na kolokwia w grudniu chcę dobrać piąta godzinę w tygodniu.

Słuchaczy na wykładach moich mam zawsze przeszło setkę. Dotąd podpisałem tylko 42 książeczki studenckie. Nazwiska studentów notuję z książeczek przy ich pospisywaniu. Chcę mieć ich spis dla siebie, aby się lepiej orientować przy kolokwiach, a z czasem i egzaminach. Sporo jest wojskowych, bardzo mało kobiet. Z naszych stron rakiskich dotąd do spisu mego znalazłem zaledwie dwóch – niejakiego Adamonisa z gminy Poniemuńska i Mowszę Zaka z Abel, syna dobrze znajomego mi kupca abelskiego.

30 października, rok 1923, wtorek
Przed paru tygodniami były ogłoszone cyfry dokonanego w połowie września powszechnego spisu ludności, dotyczące Kowna (cyfr dotyczących całej Litwy jeszcze nie ogłoszono). Przy spisie ludności była też specjalna rubryka narodowości. I otóż w Kownie podług tego spisu okazało się na ogólną liczbę 91 302 osób: Litwinów – 55 068, czyli 60,3%, Żydów – 24 691, czyli 27%, Polaków zaś 3988, czyli 4,3%! Kto zna stosunki kowieńskie, ten oczywiście spostrzeże, że cyfra procentowa ludności polskiej jest w tej statystyce stanowczo niższa od rzeczywistej. Potwierdzają to zestawienia cyfr spisu z cyframi głosów, podanych na ostatnich wyborach do Rady Miejskiej w Kownie i do Sejmu. Na wyborach do Rady Miejskiej na 17 084 głosujących głosowało na listy narodowe polskie 4850 wyborców, czyli 28% ogółu i stosunek wybranych radnych Polaków do radnych Litwinów wyrażał się tak: 16 radnych Polaków, 17 radnych Litwinów. Na wyborach do Sejmu na wiosnę roku bieżącego na ogólną ilość głosujących w Kownie 38 695 – na listy narodowe polskie wypadło 8376 głosów, czyli około 22%. Cyfry te cytuję podług „Dnia Kowieńskiego”, dziennika narodowego polskiego, ale opierają się one na obliczeniu urzędowym. Mniejszą ilość odsetkową głosów polskich na wyborach do Sejmu w porównaniu do ich ilości odsetkowej na wyborach do Rady Miejskiej „Dzień Kowieński” tłumaczy przez to, że w głosowaniu do Sejmu brało też udział wojsko litewskie, stacjonowane w Kownie, którego głosy podnoszą ogólną liczbę w pływając na powiększenie głosów narodowych litewskich przez to samo automatycznie obniżyły stosunek odsetkowy głosów polskich.
Takie są cyfry spisu ludności i tak się one prezentują w zestawieniu z cyframi wyborów, w których głosowanie było tajne, podczas gdy przy spisie ludności rejestrowanie narodowości było jawne. Litwini triumfują: Polaków jest w Kownie zaledwie 4%, prawie tyleż, co Rosjan (niespełna 3%) i Niemców (nieco więcej niż 3%), Litwini mają w Kownie narodowo większość bezwzględną (60%), cyfry te muszą być przyjęte bez zastrzeżeń, bo polegają na swobodnym samookreśleniu ludności, gdyż każdy rejestrowany w spisie sam się podawał, za kogo chciał, a cóż może być dokładniejszego i „demokratyczniejszego” w ustalaniu czynnika narodowości, jak kryterium podmiotowe samookreślenia, jeżeli zaś na listy polskie przy wyborach do Rady Miejskiej i Sejmu głosował większy odsetek ludności, niż ten, co się okazał polskim przy spisie, to wcale nie obala cyfr narodowych spisu, jeno dowodzi, że jeszcze bardzo duża część Litwinów w Kownie jest narodowo bierna i poddaje się politycznie agitacji polskiej, dając Polakom pozory, które nie odpowiadają stosunkom narodowym rzeczywistym. Tak mówią Litwini. A co mówią na to Polacy – opowiem jutro, prawda zaś rzeczywista jest pośrodku.

31 października, rok 1923, środa
Znowu nieszczęsne zaproszenie na wieczór do Mačysa: wprawdzie dobra kolacja (gęś pieczona), poprzedzona przekąską i wódką, ale za to kolacja opłacona nieznośną, nie ustającą przez cały wieczór poza krótka przerwa kolacji – wiecznie tą samą grą w „*chemain de fer*’ka”, której amatorka namiętną jest p. Mačysowa. Towarzystwo składało się z osób następujących: 1. gospodyni domu, p. Mačysowa, pulchna starzejąca

się typowa żona urzędnika, klasyczna mieszczka, rozpróżniaczona i wynudzona, której jałowa duszyczka nie umie się skupić na wychowaniu dzieci i stworzyć sobie z tego wielki i głęboki cel i pracę życia, a której zmysły, przerastające widocznie miarę zdolności jej męża do sycenia tychże, szukają gorączkowo i chciwie sensacyjnych, choćby najtańszych wrażeń; przeszłości jej nie znam i o niej nie sądzę, bo zresztą gdy ona była młodsza, młodszym był – pomimo różnicy wieku – i mąż, a dziś jej więdnąca i poczynająca się rozpływać w przybytku ciała piękność (zresztą bardzo średnia) niełatwo by nawet znalazła, gdyby o to chodziło, spożywcę w postaci kochanka; wrażeń przeto szuka w hazardzie, uprawianym z drobiazgową chciwością wygranej, z namiętnym pochłanianiem się grą, lubi, gdy w grze ktoś z mężczyzn potrafi być dowcipnym i przyjmuje śmiechem dowcip i anegdoty; społecznych aspiracji nie ma, kumoszka doskonała; rodem jest pono z Mińska, Polka białoruska czy Białorusinka katoliczka; po litewsku się nauczyła, ale mówi kiepsko, do polskości się oczywiście nie przyznaje przez wzgląd na męża; 2. aptekarzowa Grygałowska, Polka, mówi trochę po litewsku, w wieku p. Mačysowej, miła osoba; 3. jeszcze jakaś pani, też widocznie Polka, bo po polsku mówi ładnie, a po litewsku choć nieźle, ale gorzej, zresztą chętniej przechodząca na rozmowę polską, żona widocznie Litwina, bo nazwiska litewskiego, którego nie pamiętam; miła, zrównoważona jak poprzednia, kulturalniejsza od p. Mačysowej; 4. jakaś doktorowa w tymże wieku około lat 35, Rosjanka zamężna za Litwinem, typ nieco wschodni, duża, kształtna, musiała być kiedyś piękna z twarzy i z budowy, dziś już wyblakła i rozpływająca się w rosnącej tuszy, zdaje się – głupia, ale dobra – coś w rodzaju kaukaskich kobiet, po litewsku mówi ledwie słów kilka; 5. gospodarz domu Mačys, który sam w grze udziału nie bierze, ale przez cały wieczór stoi przy stoliku, obserwuje grę, czyni żartobliwe uwagi, trochę drażni żonę, przysiada się do graczy – człowiek bardzo sympatyczny i towarzyski; 6. nasz prof. Balogh, poza swymi kwalifikacjami profesorskimi pospolity gaduła, plotkarz i pieczeniarz, którego już od dawna przestano brać na serio w Kownie; po co go Mačys zaprasza na te wieczory karciarskie i po co on przychodzi – nie pojmuję: chyba dla spożycia kolacji, bo w karty nie gra i przez cały wieczór poza kolacją siedzi sam przy biurku tyłem do stolika z kartami i coś czyta oraz wertuje książki, a po kolacji zmyka z pierwszymi wychodzącymi gośćmi; tak samo było przeszłą razą, tak samo dzisiaj; 7. Bielackin – ten gra w karty niedbale, udając, że nie pamięta i nie rozumie prawideł gry, stawiając stawki minimalne, gdy na niego kolej wypada, ale zawsze przy okazji powie coś wesołego, znajdzie na poczekaniu jakiś kalambur, jakiś dwuznacznik, dowcip, anegdotę, co się szczególnie p. Mačysowej podoba; 8. wreszcie p. Grygałowski, aptekarz, który przyszedł pod koniec wieczoru, mężczyzna przyjemny, towarzysko w grze dowcipny i żywy, zapewne Polak, bo chętnie przechodzący na język polski w rozmowie w grze i z żona mówiący po polsku, ale rodem ze Żmudzi i dobrze umiejący po litewsku. Oto było towarzystwo – na ogół nawet dość miłe, najmniej miła p. Mačysowa, która wszakże jest w tych wieczorach karciarskich hazardu centralną figurą, bo zdaje się, że dla niej te wieczory się przez męża aranżują i dla dogodzenia jej wszyscy inni w karty grają. Nie lubię tych wieczorów gry, ale przychodzę dla Mačysa, któremu o to chodzi, a którego lubię i cenię. Gdy się tam przychodzi, to wprost z przedpokoju po formalności przywitania siada się natychmiast do stolika, przy którym już siedzą i grają inni, i gra się jak opętany – bez tchu. Jest też pewne naprężenie co do języka rozmowy; większość grających wczoraj – byli Polacy, toteż wciąż się na rozmowę polską przechodziło, zaś Mačys i Mačysowa (ta ostatnia dla dogodzenia mężowi i zasadom domu litewskiego) wciąż nakierowywali rozmowę na litewski.

1 listopada, rok 1923, czwartek

Jak widzę z dziennika mego za lata ubiegłe – w ostatnich kilku latach o tej [porze], to znaczy w końcu października i w początku listopada mieliśmy już początek zimy – albo śnieg (w roku zeszłym), albo już nawet sanną (w r. 1920) i ostre mrozy (w r. 1920 i 1919)Natomiast w tym roku mamy wciąż ciepło; cały październik był mokry bardzo i ciepły; dotychczas mieliśmy od początku jesieni dopiero jeden czy dwa przymrozki nad ranem i to nie tylko tu, ale nawet w Bohdaniszkach, gdzie klimat jest znacznie ostrzejszy niż w Kownie; ani razu dotąd – nawet przelotnie – nie padał śnieg; temperatura trzyma się przeciętnie na poziomie 5-10° Réaumura (dziś – 9 stopni). Zanotuję tu dla *curiosum* kurs marki niemieckiej. W ostatnich dniach wynosił on 64 miliardy marek za 1 dolar (dziś podobno jeszcze więcej). Te cyfry przestały już dziwić. Nie zdziwiłbym się już, gdyby kurs ten doszedł do bilionów, trylionów, kwadrylionów, kwintylionów itd. W gruncie właściwie niewiele by się to różniło od obecnego stanu. W dzienniku moim na ogół mało poświęcam (a nawet obecnie wcale nie poświęcałem) miejsca temu, co się dzieje w Niemczech, bo za dużo by mi to zajęło czasu i pracy, a zresztą nie mam nawet czasu na systematyczne czytanie prasy o wypadkach niemieckich. Zresztą streszczenie w dzienniku tego, co należy do wypadków historycznych, ma mało sensu, bo dokładnej, niż bym to mógł robić, robi to prasa polityczna, a na czynienie wniosków, wywodów i horoskopów nie chcę się zdobywać. Ale niemniej te wypadku są bardzo ciekawe i doniosłe; czym się skończy ferment w kotle niemieckim, czy górę wezmą wybuchy komunistyczne czy monarchiczne, jak się rozwiną i do czego doprowadzą – to są rzeczy pierwszorzędnej wagi. Są to rzeczy, które bardzo kategorycznie i może prędzej, niż się spodziewamy i radykalniej, niż się to nam zdaje, zaważyć mogą na naszym losie.
Byłem dziś z wizytą u Liszyna, który mieszka z żoną przy ul. Młynarskiej na Zielonej Górze w niedalekim sąsiedztwie moim. Liszyn jest właścicielem majątku Suweki między Abelami a Jeziorosami, gdzieś koło Aleksandrówki (Aleksandravėlė), a więc w nieco dalszym sąsiedztwie Bohdaniszek. Jego ojciec po reformie włościańskiej 60-tych lat ubiegłego wieku zajmował w powiecie jezioroskim stanowisko tzw. pośrednika, do którego należało likwidowanie stosunków między dworami a uwolnionym z poddaństwa włościanami. Nabył on w tym czasie majątek Suweki. Był to rusyfikator, człowiek złej opinii w naszych stronach. Jego syn, obecny Suweków właściciel, liczący obecnie już lat 50, był przez czas dłuższy przed wojną naczelnikiem ziemskim w naszych stronach; do jego rejonu należała też gmina abelska, w której obrębie były wtedy Bohdaniszki. Obecnie Liszyn, który w czasie wojny był w Rosji, potem uciekł od bolszewików i przez parę lat mieszkał w Paryżu, utrzymując się z żoną z pracy, a przed parą laty wrócił do Litwy i zamieszkał w Kownie, ma w charakterze geologa posadę w Instytucie Przyrodniczym, kierowanym przez Tadeusza Iwanowskiego. Jego majątek Suweki jest zniszczony przez wojnę, spalony, większa część skonfiskowana i parceluje się, Liszynowi zaś wydzielono z majątku należne mu z tytułu ustawy o reformie agrarnej 80 ha ziemi. Liszyn i jego żona – bezdzietni – są oboje bardzo mili ludzie. On przypomina mi trochę z charakteru i umysłu mojego przyjaciela ze Szkoły Prawa w Petersburgu Iwana Krasowskiego, ona jest też kobietą rozumną, sympatyczną i robi wrażenie dzielnej. Zastałem u Liszynów p. Worobjowa z żoną, byłego przed wojną sędziego Sądu Okręgowego w Kownie, obecnie zajmującego jakąś posadę w Ministerium Spraw Wewnętrznych. W tym więc towarzystwie czysto rosyjskim spędziłem kilka godzin przy herbatce. Czas na rozmowie zeszedł przyjemnie. W ogóle mało kto jest tak zajmujący w rozmowie, jak inteligenci rosyjscy, których umysł jest urobiony na kulturze sceptycyzmu. Znalazłem się w atmosferze starego monarchizmu i nacjonalizmu rosyjskiego.

2 listopada, rok 1923, piątek
Na dziś zwołany był wielki zjazd oświatowy polski. Czytałem o nim w „Dniu Kowieńskim”, wspominał mi o nim Micewiczówna, wspominał Januszewski. Miałem ochotę zajrzeć na ten zjazd, mający się odbywać przez dwa dni, i choćby być na paru jego posiedzeniach, nie mogąc być z braku czasu na wszystkich. Wiedziałem, że udział mój nie będzie czynnym, ale przecież być chciałem. Czuje potrzebę jakiegokolwiek społecznego kontaktu z życiem zbiorowym polskim w kraju, a kontaktu tego dla różnych powodów jestem zupełnie pozbawiony. Grupa, która tu stoi na czele społeczeństwa polskiego, jest tak jednolita i zwarta, że ludzie innego kierunku, jak ja, nie mają właściwie dostępu do spraw publicznych polskich, szczególnie gdy są tak zajęci swą pracą specjalną, jak ja, tak dalecy od życia towarzyskiego, a zarazem tak, jak ja, czujący w kołach kierowniczych i czynnych społeczeństwa polskiego niepopularność tych przekonań i dążeń, które oni wyrażają. Narzucać się nie lubię i nie umiem, a ponieważ mój kierunek opiera się na głębokiej i kategorycznej państwowości litewskiej, zaś w stosunkach istniejących polsko-litewskich jest u Polaków naszych duża do tej państwowości nieufność, poniekąd nawet – niechęć, Litwini zaś stanowią tu stronę silniejszą i stronę i stronę występującą często bardzo agresywnie i ostro antypolsko, więc moje narzucanie się do udziału w sprawach publicznych polskich mogłoby być przez dominujące elementy polskie traktowane jako usiłowanie wnoszenia jakichś tendencji obcych w ich łono; może by nawet powstawało u niektórych posądzenie, że przychodzę z ramienia Litwinów, że jestem „szpiegiem” litewskim; w stosunkach tak zaostrzonych o posądzenie łatwo, zwłaszcza że słabszy jest zawsze podejrzliwy. Samo poczucie, że takie posądzenia byłyby możliwe, jest dla mnie przykre i utrzymuje mię w rezerwie. A że nie prowadzę życia towarzyskiego i przeto prywatnie się z Polakami też nie spotykam, a w zakresie mojej działalności uniwersyteckiej i trybunalskiej mam do czynienia z samymi Litwinami – więc się coraz bardziej oddalam od spraw publicznych polskich w kraju. Nieraz mi to jest przykre i nieraz czuję pewną tęsknotę w tym względzie. Bo przecie gdy jestem Polakiem, to nie może mię zadowalać to, że się nim nazywam; bo czymże jest narodowość, jak nie związkiem społecznym, a nie samym tylko osobniczym wyznawaniem narodowości lub stanem. Ta zupełna izolacja od spraw publicznych polskich w kraju ciąży mi. Chciałem więc dziś być na zjeździe choćby dla pewnego zbliżenia, ale w obawie narzucania się nie czyniłem żadnego kroku ku temu, bo się bałem, że może będę źle widziany. Z przyjemnością przeto zastałem dziś po powrocie z miasta na obiad bilet wstępu z zaproszeniem imiennym, podpisanym przez posła Budzyńskiego w imieniu frakcji poselskiej polskiej. Po obiedzie więc poszedłem na posiedzenie. Zjazd jest bardzo liczny, odbywa się w lokalu Prodrolu. Z powodu braku czasu nie mogłem być dłużej jak 1 ½ godziny. Postaram się być jeszcze jutro po obiedzie, jeżeli posiedzenie sądowe w Trybunale nie przeszkodzi. I chciałbym się zapisać na stałego członka Towarzystwa „Oświata”. Na zjeździe przewodniczy ksiądz Laus. Na tym pierwszym posiedzeniu, na którym dziś byłem, były referowane sprawozdania z różnych kół miejscowych, a następnie referat rzeczowy frakcji poselskiej polskiej, wygłoszony przez Budzyńskiego – o działalności Sejmu w dziedzinie ustawodawstwa oświatowego z uwzględnieniem szczególnie warunków prawnych i politycznych szkolnictwa polskiego w kraju i praw mniejszości narodowych w państwie. Referat Budzyńskiego był taktowny i utrzymany w duchu dobrej woli ugodowej i do porozumienia z Litwinami na gruncie obywatelsko-państwowym.

3 listopada, rok 1923, sobota

Niestety, mam tyle roboty, że nie mogłem dziś sobie pozwolić na udanie się na posiedzenie zjazdu oświatowego polskiego. Rad jestem, że miałem możność choć przez czas krótki wczoraj być na początkowym zjazdu posiedzeniu, choćby dla samego zamanifestowania mej solidarności z dziełem oświaty polskiej, dla aktu obcowania mojego w tym dziele. Postaram się też wpisać się na członka Towarzystwa „Oświata", aby trwalej i rzetelniej moją współpracę choć w tej członkowskiej postaci zafiksować. Ale już na posiedzeniu dziś być nie mogłem. Rano do obiadu miałem posiedzenie sądowe Trybunału, a po obiedzie miałem, jak zawsze, tyle do roboty w domu, że się na podróż do miasta i stratę co najmniej paru godzin czasu zdobyć nie mogłem. Robota wyrasta przede mną jak góra. Będę miał jej nawał szalony. Oprócz notatek, które muszę sobie streszczać dla wykładów bieżących, zabieram się do pisania dalszego ciągu mego rękopisu wykładowego, który w roku zeszłym pozostał niewykończony i do którego uzupełnienia dużo jeszcze trzeba. A do tego przychodzą bieżące wyroki trybunalskie i rozpoczęcie pracy nad przygotowaniem pierwszej części mojego kursu wykładowego do druku. Chciałbym się już i tym zająć po trochę, a przecież będzie to wymagało pracy dużo, bo trzeba przerabiać i przeredagowywać brulion i przewertować trochę książek. Ale co mię szczególnie przeraża, to to, że zdaje się szawelska „Kultura" upomni się u mnie o przyrzeczony rękopis o stronnictwach politycznych litewskich do wydawnictwa encyklopedycznego o Litwie. Obiecałem to w swoim czasie, licząc na czas wolny latem; w lipcu czas ten miałem, ale poleniłem się i nic nie napisałem. Teraz sam nie wiem, jak z tym poradzę. Wczoraj już otrzymałem list od „Kultury", który noszę w kieszeni jeszcze nie czytany, bo się lękam otworzyć i stwierdzić, że się upominają o rękopis. Nie wątpię jednak, że list dotyczy tej kwestii. To zobowiązanie, od którego trudno się uchylić dzisiaj, po prostu mię przeraża. Jak sobie z tym poradzę!

4 listopada, rok 1923, niedziela
Data mojej żałoby. Podług starego stylu wypada dziś dzień 22 października. Data śmierci Aninki, zmarłej w d. 22 października starego stylu, a d. 4 listopada nowego stylu – roku 1914. Upłynęło już 9 lat od tej daty. 9 lat bez Niej, 9 lat smutnego sieroctwa. Wprawdzie były to lata niezwykle obfite w wypadki, lata pełne ogromnej treści dziejowej, ale dla mego życia wewnętrznego ubogie i mdłe jak pustynia. Aninko!! To ja, Twój Michaś Cię wspomina!
O, jakże daleki dziś jestem od chęci życia, jak sam pragnąłbym umrzeć. Śmierć byłaby dla mnie ukojeniem. Jest ona dziś moim szczęściem, jest moim marzeniem. O, Panie Boże, ześlij mi śmierć.

5 listopada, rok 1923, poniedziałek
Dziś miałem wieczorem czwarty z kolei w tym roku szkolnym wykład na uniwersytecie. Udał mi się wcale nieźle, tylko pomyliłem się w obliczeniu zawczasu rozciągłości wykładu, toteż wyczerpałem przed końcem to, do czegom się z góry przygotował i kontynuowałem wykład nie mówiąc, lecz czytając z notatek – bez ich rozwijania. Słuchaczy mam zawsze dużo – około setki, ale też ogólna ilość studentów I semestru wynosi do 200 osób. Zaczynam już poznawać z twarzy tych, którzy bywają regularnie na każdym wykładzie i stanowią widocznie elitę pilnych studentów; w ich liczbie jest grono oficerów. Zresztą daleki jeszcze jestem od orientowania się należytego w audytorium.
Jest sensacja w Kownie. Dziś rano czy wczoraj z rozkazu komendanta Kowna, działającego na zasadzie stanu wojennego, wysłany został z Kowna Voldemaras. Aresztowano go w mieszkaniu, nie dano mu żadnej zwłoki i natychmiast wywieziono przymusowo gdzieś na Żmudź, bodajże do Worń, gdzie ma być na przeciąg miesiąca

osadzony w obozie koncentracyjnym, a następnie po wyjściu stamtąd internowany bodaj w Kretyndze. Powodem do tego były jego artykuły w tygodniku „Vairas”, w których oczywiście napadał on na rząd i politykę chrześcijańskich demokratów. Jednocześnie Antoni Smetona, który jest redaktorem „Vairasu”, osztrafowany został na parę tysięcy litów z zamianą, w razie niewypłacenia, na jakiś okres aresztu czy więzienia. Smetona, jak słyszałem, zamierza nie płacić grzywny i poddać się aresztowi czy więzieniu, co stanowiłoby także sensację niemałą, zważywszy na stanowisko Smetony jako byłego pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej. Sprawa banicji i internowania Voldemarasa jest szeroko omawiana i z pewnością mieć jeszcze będzie konsekwencje. Wydział Humanitarny uniwersytetu, na którym Voldemaras jest profesorem, zapewne poweźmie w tej sprawie jakąś rezolucję; rzecz ta jest omawiana wśród profesorów tego wydziału. W pewnych kołach, niechętnych rządowi i posądzających go o tajne intrygi i konszachty z Polską, w kołach kategorycznej prawicy narodowej, którym przewodzi Smetona i Voldemaras, autorytet Voldemarasa jeszcze wzrośnie.
Marka niemiecka przekroczyła już miliardy i wkroczyła w biliony. Kurs jej wynosi 1 ½ biliona za dolara!

6 listopada, rok 1923, wtorek
Nawiązuję do tego, com pisał w dzienniku pod datą wtorku 30 października o wynikach powszechnego spisu ludności w stosunku do cyfr procentowych narodowości w Kownie. Mówiłem, jak się zapatrują na to Litwini i jakie wnioski wyciągają oni z przesadnie optymistycznych dla narodowości litewskiej cyfr. Oczywiście wręcz przeciwne wnioski wysnuwają Polacy. Twierdzą oni, że właśnie najlepszym dowodem fikcyjności i fałszywości cyfr spisu jest rażąca ich sprzeczność na niekorzyść Polaków z cyframi procentowymi głosów, jakie podane były w Kownie na wyborach do Sejmu i do Rady Miejskiej, kiedy głosowanie było tajne. Wskazują, że przesadnie niski odsetek Polaków, zarejestrowany w spisie, jest li tylko dowodem, jak sztuczny i fałszywy jest system rejestrowania jawnego narodowości i jest wynikiem z jednej strony presji, dokonywanej na ludności przez funkcjonariuszy spisu, rekrutowanych spośród Litwinów, z drugiej – braku odwagi cywilnej Polaków, którzy, głosując na wyborach tajnych na listy polskie narodowe i wyrażając w ten sposób swoje istotne cechy i istotną świadomość narodową polską, boją się w istniejących stosunkach narodowych zamanifestować jawnie swoją polskość i symulują Litwinów, ale ta litewskość cyfrowa, osiągnięta na skutek sterroryzowania ludności polskiej nagonką popularną na Polaków, żadnej wagi realnej nie ma. Tak twierdzą Polacy. Któż zatem ma rację? I co mówią te cyfry?
Że funkcjonariusze spisu – bodaj wyłącznie Litwini – mogli tu i ówdzie w pojedynczych wypadkach rejestrować stronnie na korzyść Litwinów i na niekorzyść Polaków – to nie ulega wątpliwości, ale to samo przez się tak jaskrawych wyników by nie dało. Byłoby naiwnie kłaść cały ten wynik na karb li tylko tego jednego czynnika. Ten czynnik, gdyby ludność, która na wyborach tajnych głosowała na listy narodowe polskie, chciała się istotnie w spisie jawnym podawać za polską, mógłby z niej oderwać na rzecz Litwinów jakichś kilkaset osób, najwyżej tysiąc, no – dwa tysiące. Różnica jednak nie byłaby tak jaskrawa, jak się przedstawia teraz. Że nie agitacja i nie presja funkcjonariuszy spisu wpłynęła sama jedna na takie przesunięcie się masowe i prawie gremialne tych, co na wyborach tajnych głosowali na listy polskie, z określenia się polskiego na określenie się litewskie – to mam choćby dowód na mieszkańcach tego domu, w którym oto ja mieszkam tu na Zielonej Górze. Oprócz mnie – wszyscy się tu podali za Litwinów, choć jest kilka rodzin, które stale mówią w domu po polsku,

niektórzy nawet nie umieją po litewsku, po cichu prywatnie na Litwinów wygadują, ukradkiem chętnie szerzą i czytują odezwy lub artykuliki „Strzechy Rodzinnej”, niechętne Litwinom, a zwłaszcza w okresie wyborów znajdują kontakt żywy z agitacją na rzecz list polskich przeciwko litewskim; cieszą się, gdy coś znajdą, co przeciwko Litwinom przemawia. A jednak w spisie podali się za Litwinów. Trzeba przyjąć za fakt, że ta ogromna masa tych, co głosowali na wyborach tajnych na listy polskie, a w spisie jawnym podali się za Litwinów, istotnie uczyniła to dla względów oportunistycznych, licząc się z faktem, że władza należy do Litwinów. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że gdyby Kowno w obecnym składzie swego zaludnienia było politycznie i państwowo w ręku nie Litwinów, lecz Polaków, to cała ta masa podałaby się w spisie jawnym właśnie za Polaków, a nie za Litwinów i że stosunek procentowy Polaków do ogółu ludności wyrażałby się nie w cyfrze 3 czy 4% i nawet nie w cyfrze 22 czy 28%, jak na wyborach tajnych, lecz w cyfrze o wiele i o wiele wyższej. Jakież stąd jednak wnioski? Ano, pogadamy jeszcze o tym.

7 listopada, rok 1923, środa
Piszę krótko – czasu dużo nie mam. Po posiedzeniu sądowym, które się przeciągnęło do obiadu, po obiedzie pracowałem nad notatkami do wykładów, które czynię z pełnego rękopisu wykładów zeszłorocznych, następnie gotowałem się w zakresie notatek do wykładu jutrzejszego. Dalszy ciąg wczorajszego tematu w dzienniku odkładam przeto do innego razu.

8 listopada, rok 1923, czwartek
Na wieczór miałem zaproszenie na otwarcie „Teatru Narodowego” („Tautos Teatras”) litewskiego. Jest to nowy teatr, prywatny, który funkcjonować będzie równolegle do teatru państwowego. Jest założony przez grupę Sutkusa, Bičiunasa, Puidy i innych artystów i literatów, stanowiących opozycję i secesję wobec towarzystwa „Mano Kurėjų Draugija”, która pierwotnie łączyła wszystkich adeptów sztuki narodowej. Grupa secesyjna jest dziś pono poważniejsza i pracowitsza od grupy metropolitalnej, w której gnieździ się karierowiczostwo, ambicja, pieniactwo (na czele stoi Justyn Wienażyński). Grupa Sutkusa i in. zagarnęła dom towarzystwa artystycznego, prowadzi szkołę dramatyczną, kabaret satyryczno-artystyczny „Vilkolakis”, obecnie założyła teatr stały itd. Ponieważ miałem od godz. 7 do 9 wykład na uniwersytecie, więc się na przedstawienie spóźniłem i trafiłem na akt trzeci i ostatni odegranej sztuki oyginalnej litewskiej „Sen Giedymina” („Gedimino sapnas”) T. Vaišnory. Jest to dramat patetyczny, przedstawiający tragedię pogaństwa narodowego Litwy, zalewanego ze wszech stron falą zwycięskiego chrześcijaństwa. Przedstawienie było za zaproszeniami. Obecny był na przedstawieniu cały świat dygnitarzy, polityków, literatów i śmietanki inteligenckiej Litwy.
Po przedstawieniu byłem na kolacji z Józefem-Albinem Herbaczewskim i jego żoną.

9 listopada, rok 1923, piątek
Deszcz pada – ohydna pogoda. Całą jesień mamy taką. Przymrozków dotąd mieliśmy zaledwie kilka, śnieg nie padał ani razu. Na ogół jest ciepło. W mieście dużo jeszcze liści na drzewach. Szczególnie ogrody są jeszcze zielone, niewiele się różniące od lata – mówię o drzewach owocowych.
Aktualną w tej chwili kwestią w państwie jest forsowne zmniejszanie etatów urzędniczych we wszystkich urzędach i instytucjach państwowych. Ta reforma służby publicznej wyrzuci na bruk tysiące pracowników, których los będzie ciężki. Ten półinteligencki przeważnie proletariat wykolejeńców nie bardzo będzie zdatny do innej

pracy, a stan ich pogorszy się przez to, że życie gospodarcze kraju na ogół przechodzi od dłuższego czasu ciężkie przesilenie; w przemyśle zastój, handel też nieświetny, rolnictwo – w stanie krytycznym. To zmniejszanie forsowne etatów jest wywołane naglącą koniecznością oszczędności. Państwo znalazło się w położeniu finansowym bardzo trudnym. Zastój w interesach, a szczególnie kryzys rolnictwa, które cierpi na gwałtowny brak zbytu płodów i na zupełne niemal wyschnięcie źródeł dopływu gotówki, na głód pieniężny szalony, sprawia, że podatki bardzo słabo wpływają do kasy państwowej i czynią luki dotkliwe w dochodach. Państwo musi albo wkroczyć na tory emisji pieniędzy papierowych, co wywołałoby zniżkę lita i rozkład tak starannie i takim nakładem ofiar ustalonej mocnej waluty, albo – czynić oszczędności bezwzględne. Na rozkład waluty litowej rząd za żadną cenę odważyć się nie chce. Cała polityka finansowa ministra finansów Petrulisaześrodkowuje się na utrzymaniu stworzonej waluty. Ale utrzymanie to jest kosztowne, bo opiera się na nadmiernie ograniczonej ilości litów, co niesłychanie komplikuje kryzys gospodarczy brakiem pieniędzy. Podnoszą się zarzuty przeciwko polityce finansowej Petrulisa, która, łącząc się ze względami nacjonalizmu, utrudnia położenie. Przeciwnicy tej polityki, oponenci Petrulisa, których krytykę słyszałem zresztą tylko w rozmowach, ale nie w prasie, wskazują na to, że środkiem najskuteczniejszym na ciężki stan rzeczy byłoby ani zwiększanie inflacji pieniędzy papierowych za cenę rozkładu waluty, ani gwałtowna łatanina oszczędnościowa, jeno – oparcie się o Żydów. Faktem jest, że główna masa dolarów w krajuześrodkowuje się w rękach żydowskich. Masa chrześcijańska cierpi na głód litów, Żydzi zaś operują dolarami. Gdyby się Litwa oparła o Żydów, dała im udział w rządzie, zadowoliła ich żądania gospodarcze itd., to Żydzi dolarami swymi i kredytem stworzyliby dla waluty litowej podstawę o tyle szerszą, że można by od razu zwiększyć znacznie emisję litów bez rozkładu waluty, nasycić głód pieniężny i zarazem zorganizować stosunki gospodarcze dodatnio. Oczywiście Żydzi w tych stosunkach zajęliby pierwsze skrzypce, ale dalby też odetchnąć i żyć krajowi, a poza tym poparliby Litwę potęgą swych wpływów politycznych na zewnątrz. Tak powiadają filosemiccy oponenci polityki dominującej, ale nie są oni zdaje się liczni w społeczeństwie litewskim i ich tezy nie zdają się być zbyt popularne. Przeciwnie – prąd do emancypacji od Żydów jest silny, choć ciężki nieraz w skutkach natychmiastowych stanu gospodarczego.

10 listopada, rok 1923, sobota
Słyszałem dziś na mieście od adwokata Cymkowskiego jakoby najświeższą nowinę z Niemiec – że w Bawarii ogłoszona już monarchia: na tron (królewski bawarski?) powołany książę Ruprecht, wodzem naczelnym mianowany Ludendorf, wojsko przysięgło na wierność powołanemu monarsze. Gazet wieczornych jeszcze nie czytałem, więc nie miałem możności sprawdzenia tych wiadomości. W kotle niemieckim od dłuższego już czasu kipi. Rządy komunistyczne w Saksonii zostały już wprawdzie zlikwidowane, ale wrzenie jest powszechne. W Berlinie powtarzają się ciągle rozruchy, rabunki tłumne sklepów, koalicja republikańska, na której się opierał rząd Stresemana, rozsypała się i przesilenie w rządzie ogólnopaństwowym jeszcze bardziej komplikuje sytuację. W prowincjach nadreńskich, okupowanych przez wojska francuskie i belgijskie, ruszają się separatyści, protegowani przez Francuzów, a zwalczani przez miejscowych nacjonalistów, usiłujący zrealizować niepodległą Nadrenię. Całe Niemcy są ogarnięte fermentem, którego najistotniejszymi elementami są monarchiści i komuniści. Czynniki demokracji republikańskiej, usiłujący zachować połowiczny *status quo*, są bodaj czynnikiem posiadającym oparcie zgoła znikome. W Bawarii czynniki monarchiczne mocno się zagnieździły. Jeżeli się im teraz zamach

udał, to fakt ten może mieć konsekwencje bardzo doniosłe. Monarchiści nie chcą uznawać Traktatu Wersalskiego i dyszą żądzą odwetu. Jak zareaguje na to Francja? Skądinąd komuniści nie zechcą się dać wyprzedzić monarchistom, a Rosja sowiecka pilnie się przypatruje wypadkom w Niemczech i kto wie, czy nie gotuje się do interwencji. Jeżeli monarchiści niemieccy, którzy przez Bawarię mogą się rozlać na całe Niemcy, wystąpią zaczepnie lub jeżeli Francja zainterweniuje zbrojnie, a zwłaszcza jeżeli wciągnie w to Polskę, to ze wschodu ruszy zapewne i Rosja, a wtedy cała Europa Środkowa zapłonie pożarem, który i nas nie ominie. Wulkan dyszy dokoła, a krater niemiecki niezmordowanie dymi i tryska lawą. Czego się jeszcze doczekamy – Bóg raczy wiedzieć!

11 listopada, rok 1923, niedziela
Może się już zacznie zima, bo powietrze dziś nagle ochłodło i powiał ostry wiatr północny. Trzeba się w tych dniach spodziewać pierwszego śniegu.
Co do wczorajszych wieści, to są one, zdaje się, trochę przesadzone: nie *in meritum*, ale w formie, mianowicie co do proklamowania monarchii w Niemczech względnie Bawarii i powołania Ruprechta na tron. Gazety tego nie potwierdzają przynajmniej dotąd. Ale różnica nie jest zasadnicza, bo przewrót, który się dokonał w Bawarii, w istocie jest monarchiczny i jeżeli się utrzyma i narzuci całym Niemcom, to uwieńczy się logicznie monarchią. Rząd, który proklamowano w Bawarii, został obwołany jako rząd nie bawarski tylko, ale rząd całej Rzeszy, to znaczy wszechniemiecki. Ludendorf objął dowództwo wojskowe. Jak na to reagować będzie rząd republikański w Berlinie i który z tych dwóch rządów utrzyma się i zwycięży, jeżeli się im nie przeciwstawi jeszcze trzeci rząd – komunistyczny – zobaczymy.
Słyszałem dzisiaj, ale na razie ze źródeł polskich, nie litewskich, że wczoraj Smetona został „aresztowany”. Jeżeli to jest prawdą, to zapewne chodzi tu o zamianę na areszt tej kary pieniężnej, która została nałożona na Smetonę jako redaktora tygodnika „Vairas” rozkazem komendanta Kowna jednocześnie z internowaniem Voldemarasa. Smetona był zdecydowany kary pieniężnej nie płacić i poddać się manifestacyjnie aresztowi. Oczywiście areszt Smetony, pierwszego prezydenta Litwy, człowieka wielkich zasług w dziele Niepodległości Litwy, stanowi skandal jaskrawy, który nie może przejść niepostrzeżenie. Jednak społeczeństwo narodowe litewskie jest na ogół tak mało ekspansywne, że dotąd taki fakt, jak banicja i internowanie Voldemarasa, choć już tydzień upłynął od tego wypadku, nie wywołał żadnych objawów reagowania. Prawda, że Voldemaras ma wielu nieprzyjaciół i to właśnie wśród tych, co są najsilniejsi tak w rządzie, jak w opozycji, ale niemniej rzecz taka musiałaby poruszyć i wywołać żywe odruchy protestu.

12 listopada, rok 1923, poniedziałek
Gazety podają wieści niepokojące co do zamachu stanu w Bawarii; podobno w Monachium afera ta została zlikwidowana, a tylko gdzieś na prowincji pozostały jeszcze ośrodki tej akcji, opartej na działaniach zbrojnych oddziałów Gitlera[175], wodza ruchu demagogiczno-prawicowego. Jednak to niczego nie dowodzi. Niemcy są chore chronicznie, są w stanie straszliwego rozkładu. Epizodami się ciężka kwestia niemiecka nie rozstrzygnie.
Potwierdza się wieść o aresztowaniu Antoniego Smetony na rozkaz komendanta dla wykonania kary administracyjnej, zastępującej nieuiszczoną grzywnę 2000 litów. Represję, która spadła na Voldemarasa i Smetonę, prasa litewska dotąd zbywała

[175] Tak w tekście.

milczeniem. Zresztą prasa ta jest obecnie bardzo ubogą; składa się zaledwie z dwóch dzienników – rządowej „Lietuvy”, która oczywiście z krytyką działań rządowych nie wystąpi, i z „Lietuvos Žinios”, organu ludowców, redagowanego przez dr Griniusa; ludowcy, choć z radością chwytają okazje krytykowania rządów Chrześcijańskiej Demokracji, nie lubią prawicy obozu „Pažangi”, reprezentowanej przez Smetonę i Voldemarasa, nie chcą im robić reklamy i ujmować się za nich, toteż wolą milczeć dyplomatycznie. Innych organów politycznej prasy codziennej nie ma; jakie były – zostały zwinięte, bo się nie opłacały, a do wyborów daleko, więc bodźca agitacyjnego nie ma. Milczy też Sejm w sprawie Smetony i Voldemarasa, opinia publiczna poszemrała i ucichła – nikt jej wyrazu publicznego nie dał. I dopiero wczoraj ta cisza została złamana. Stało się to z inicjatywy jednego człowieka, przyjaciela politycznego Smetony i Voldemarasa, z inicjatywy mianowicie ks. Tumasa, który jednak podług mego najgłębszego przekonania (bo go znam) podniósł głos nie ze względów przyjaźni osobistej lub politycznej dla pokrzywdzonych, jeno dla krzywdy samej w imię sprawiedliwości i pobudek etycznych, i który wybrał dla protestu tego formę niezwykłą, powiedziałbym – poetyczną i nastrojową, która z pewnością niezupełnie odpowiada przepisom ładu publicznego, ale za to doskonale odpowiada wrażliwemu temperamentowi Tumasa, jego impulsywności gorącej i szlachetnej. Był dzień otwarcia sezonu dramatycznego w teatrze państwowym, w nowym starannie i kosztownie odremontowanym gmachu teatralnym. Szła premiera „Aušros Sunus” pióra Zofii Čurlanisowej treści patriotycznej, mająca za temat ciężkie, lecz bohaterskie epizody walki narodowej z okresu zakazu druków litewskich w Rosji. Teatr był pełny. Obecna była cała inteligencja litewska i władze. Był nastrój święta narodowego. Premiera treścią swoją podnosiła uczucia patriotyczne, obudzone świętem sztuki narodowej. W loży obecny był także Prezydent Rzeczypospolitej Stulgiński. I oto nagle w antrakcie, gdy publiczność ruszyła z miejsc do kuluarów, wstał ks. Tumas, wzywając gestem i głosem publiczność do pozostania. Publiczność stanęła i ks. Tumas zwrócił się do niej z przemową, proponując, by publiczność, biorąc asumpt z tego święta sztuki narodowej i kultury, ze święta miłości Ojczyzny i uczuć wzniosłych patriotycznych, obudzonych sztuką, zwróciła się do obecnego na sali Prezydenta Rzeczypospolitej i przedstawicieli rządu, którym też nie są te uczucia obce, z gorącą prośbą skasowania rozkazu komendanta i uwolnienia z aresztu wielkiego patrioty i pierwszego Prezydenta odrodzonej Litwy – Antoniego Smetony. Komendant, obecny także na sali, wezwał Tumasa do przerwania tej przemowy, zaznaczając, że jest ona niedopuszczalna, ale publiczność zawołała prosząc o dalsze mówienie. I Tumas dokończył mowy. Prezydent Rzeczypospolitej i przedstawiciele rządu opuścili teatr. Po zakończeniu antraktu, gdy publiczność zajęła miejsca, dyrektor teatru, Gira, ogłosił, że z rozkazu komendanta przedstawienie zostało przerwane i publiczność winna się niezwłocznie rozejść, co też nastąpiło. Nie byłem osobiście w teatrze, ale podaję z relacji tych, co byli obecni.

13 listopada, rok 1923, wtorek

Są pogłoski – gawędy – że Tumas za wystąpienie pozawczorajsze w teatrze uległ też represji, że został aresztowany albo, jak inni mówią, osadzony w jakimś klasztorze na pokutę. Takie chodzą wersie, a jak jest w istocie – jeszcze nie wiem. Ha, z pewnością rząd musi być konsekwentny: jeżeli się zdecydował na akt represji względem Voldemarasa i Smetony, to nie może dopuścić, aby czyniono w teatrze demonstracje, które, acz ubrane w formę doraźnej petycji zbiorowej do Prezydenta, są w istocie wymierzone manifestacyjnie przeciwko temu zarządzeniu. Toteż władze nie mogą tolerować wystąpień takich, jak onegdajsze Tumasa. Jako prawnik nie mogę zaprzeczyć, że wystąpienie Tumasa w teatrze jest aktem zakłócenia porządku

publicznego i demonstracją, obniżającą powagę władzy. Niemniej osobiści dla mnie jest ono sympatyczne. Podług mego przypuszczenia, wystąpienie Tumasa było impulsywne, bo zupełnie odpowiadające jego naturze wrażliwej, samorzutnej, dającej się unosić odruchom uczucia, a moment i nastrój działały właśnie po temu. Inni jednak, którzy byli w teatrze, twierdzą, że wystąpienie to nie było odruchową improwizacją, jeno bądź co bądź obmyślone i uplanowane, a opierają twierdzenie to na własnych słowach Tumasa, który w przemówieniu zaznaczył, że jest o to proszony przez grono osób i że mówi we własnym i innych imieniu. Może. Ale raczej bym sądził, że jeżeli pomysł ten nie zrodził się w głowie i sercu samego Tumasa, to ułożył się on i począł jednak już dopiero tu w teatrze, w pierwszym antrakcie, w grupce ludzi pod wpływem nastroju i w związku z obecnością Prezydenta na przedstawieniu. W żadnym razie zaś nie mogę przyjąć komentarza „Lietuvos Žinios", które traktują wystąpienie Tumasa jako „*putsch*" kliki Tumas-Smetona-Voldemaras. Nie jest to żaden „*putsch*", żaden gest zmowy, bo Voldemaras, który jest wywieziony, wyraźnie się zastrzegał, że nie życzy sobie żadnych starań o łaskę. W ogóle sposób i ton, w jakim „Lietuvos Žinios" zareagowały na wystąpienie Tumasa i na całą sprawę represji względem Smetony i Voldemarasa, budzą we mnie niesmak głęboki. Organ ludowców nie umie ani na chwilę zapomnieć, że ofiarą represji są jego przeciwnicy partyjni, z którymi partia i jej *leaderzy* maja porachunki i żale wzajemne.
Natomiast zarządzenie to i niedzielne wystąpienie Tumasa budzą żywe poruszenie w kołach młodzieży uniwersyteckiej, wśród której prądy jaskrawo narodowe, zbliżone właśnie do kierunku „Pažangi“, są silne i w tym roku zdobyły nawet stanowisko dominujące. I kto wie, czy ta młodzież, gdy milczą i ociągają się elementy starsze, nie podniesie głosu i nie zacznie w tej sprawie reagować czynnie odruchami protestów albo nawet strajkiem. Nie słychać jeszcze o tym, ale poruszenie rośnie.

14 listopada, rok 1923, środa
Dziś w teatrze dramatycznym państwowym powtórzona była sztuka Zofii Čurlanisowej „Aušros Sunus", której pierwsze przedstawienie przed kilku dniami przerwane było na skutek incydentu, wywołanego przez ks. Tumasa.
Poszedłem na przedstawienie dzisiejsze. Sam teatr, świeżo odrestaurowany, przedstawia się ładnie i wygodnie. Mały jest co prawda i jeżeli Kowno ma pozostać przez czas dłuższy stolicą Litwy, to tego teatru nie wystarczy na potrzeby sceny stołecznej. Tymczasem jednak mieści się w nim i dramat, i opera państwowa, których przedstawienia odbywają się co parę dni.
Sztuka patriotyczna Čurlanisowej „Aušros Sunus", bardzo ładnie skomponowana, ma za temat walkę narodową Litwinów o prawo do książki, do druku, do oświaty w języku własnym w czasie, kiedy rząd rosyjski im prawa tego domawiał i prześladował wysiłki w tym kierunku. Walka ta była niekrwawa, nie powstanie zbrojne, ale z jednej strony wysiłek jednostek, na razie pojedynczych, nielicznych, potem coraz liczniejszych, coraz bardziej masowy, powszechny, który przełamywał zakazy, przemycał i szerzył książkę i gazetę, drukowane w Prusach przez pionierów Odrodzenia Narodowego, zwalczając jednocześnie bierność i bezwład własnego środowiska narodowego, z drugiej – gwałt, żandarmi, więzienie, zesłanie, Sybir. Sztuka skupia tę akcję na jednej rodzinie włościańskiej na pograniczu pruskim w Suwalszczyźnie: ojciec jest ideowym przemytnikiem druków litewskich; uprawia tę akcję od czasów „Aušry", to znaczy od lat 10, bo rzecz się dzieje w r. 1894 za czasów „Varpasu" i rzezi krożańskiej; w synie wyrobił takiegoż ideowca i pomocnika; córka sprzyja tej robocie, ale nie jest do niej używana; matka, kobieta praktyczna, źle jest usposobiona do tego dzieła, boi się, przewiduje nieszczęście, wolałaby, aby mąż z dziećmi zajął się czym praktyczniejszym

i bezpieczniejszym; reprezentuje ona pierwiastek bezwładu w ludzie; żandarmi tropią przemytnika, ale on ich myli; przyrzeczona nagroda za ujęcie go z kompromitującą kontrabandą; żandarmi kwapią się na nagrodę; szpieg zyskuje zaufanie córki przemytnika udając miłość; rzecz się kończy dramatyczną sceną zasadzki nocnej, śmierci szpiega i syna przemytnika, rozpaczą ojca i matki, tragedią córki, która uświadamia sobie zdradę kochanka i zarazem to, że ona stała się współwinną śmierci brata, ale na tym tle nawiązuje się ofiara córki, która się poświęca dziełu ojca i staje z nim do kontynuowania pracy zmarłego brata. Rzecz jest ładna i ma momenty wzniosłe, miejscami niezwykle dramatyczne, dużo tez cech rodzajowych. Gra artystów była bardzo dobra, szczególnie pięknie grał przemytnika Rustejkę artysta Gliński, znakomity był rodzajowo artysta Vanagaitis, który grał żandarma rosyjskiego, Niemca. Sztuka sprawiła na mnie tym milsze wrażenie przez to, że nie miała w sobie ani jednej aluzji antypolskiej i nie dotknęła ani razu tego smutnego dla mnie stosunku, ograniczając się wyłącznie do prześladowania rosyjskiego. W scenie końcowej śmierci syna i rozpaczy rodziców, gdy napięcie dramatyczne doszło szczytu, na sali rozległy się okrzyki histeryczne i straszne rżenie śmiechu histerycznego; to ostatnie sprawiło ciężkie wrażenie, kojarząc opętanie histerii z dramatem na scenie.
Był i ks. Tumas w teatrze. Nieprawdą jest, że rzekomo był aresztowany. Natomiast ma mu być wytoczona sprawa karna – zapewne o zakłócenie porządku publicznego. Niektórzy sądzili, że może znowu dojdzie do jakiejś manifestacji w teatrze. Ci się zawiedli.

15 listopada, rok 1923, czwartek
Po raz pierwszy od dłuższego czasu otrzymałem z Bohdaniszek list pogodny. Listy otrzymuję z Bohdaniszek od sióstr często, ale w każdym są jeno troski, smutek, niepowodzenie. Każdy list taki – to jak cios. Zawsze tam jest jakaś bieda, zawsze przedmiot do skargi i utyskiwań. Gospodarstwo źle idzie, z robotnikiem bieda, litów nie ma, podatki i ciężary, nie wiadomo, co począć. I mnie zawsze z każdego listu troska, jak pomóc, co wymyślić, jak ulżyć doli biednych sióstr; wreszcie czasem aż się traci nadzieja utrzymania Bohdaniszek i utrzymania się sióstr na nich. Toteż taki rzadki list pogodny – to jak święto prawdziwe. Choć pieniędzy mało, choć podatki jeszcze za cały ten rok nie opłacone, choć z powodu mokrej jesieni nie ma dróg i nic wywieźć na sprzedaż nie można, choć owies zgnił na polu i zwiózł się jeno słomą na podściał, ale – siakie takie zapasy są, jest to i owo na sprzedaż, jest nadzieja gotówki na opłacenie podatków, a robotnik już opłacony, przez długa jesień zaoszczędziło się poszoru na zimę, bo bydło dotąd pasie się na polu. I Marynia znowu już ma otuchę, znowu ufa w siły swoje, znowu wierzy w pracę na Bohdaniszkach. Jest to dla mnie jak balsam. Od trzech lat nie biorę od niej ani grosza za dzierżawę mojej części w Bohdaniszkach, jeszcze jej po trochę pomagam gotówką, ale żebym to przynajmniej miał spokojna pewność, że to praca nie stracona, że Bohdaniszki będą nasze i że siostry moje się ostoją.

16 listopada, rok 1923, piątek
W mieszkaniu Michała Ślażewicza odbyło się posiedzenie loży. Obecni byli bracia: ja, Michał Biržiška, Michał Ślażewicz, Felicja Bortkiewiczowa, Wacław Biržiška, Augustyn Janulaitis, Antoni Purėnas, Wiktor Biržiška i Zygmunt Toliušis. Parę punktów porządku dziennego upadło z powodu niestawienia się niektórych braci. Mianowicie z powodu nieobecności Zygmunta Žemaitisa upadł referat jego i Purėnasa w sprawie klerykalizmu. Z powodu nieobecności Jana Vileišisa upadło sprawozdanie komisji śledczej, złożonej z Vileišisa i Michała Biržiški, w sprawie stosunku osobistego

między bratem Janulaitisem a braćmi Kairysem i Purėnasem. Posiedzenie zostało od początku do końca wypełnione kwestią kandydatur do loży; zresztą tym razem kwestia ta była traktowana nie ściśle osobiście co do poszczególnych osób kandydatów, ale szerzej w ramach zasadniczego zagadnienia organizacyjnego. Przede wszystkim w imieniu prezydium loży postawiłem wniosek o upoważnienie prezydium do dokonania w imieniu loży przyjęcia paru dyplomatów litewskich. Wciągnięcie do loży paru osób z tej sfery byłoby dla nas szczególnie pożądane ze względu na regularne wykonywanie nawiązanych przeze mnie latem stosunków międzynarodowych. Stosunki te teraz utknęły, bo nie posiadamy organu do ich prowadzenia. Gdybyśmy mieli kogoś spośród nas, który przebywa za granicą, moglibyśmy to czynić, stąd zaś z kraju drogą pocztową nie możemy nic robić, bo się możemy rozkonspirować, a to zadać by nam mogło cios śmiertelny. Już przed dwoma laty, z okazji zjazdu w Kownie przedstawicieli litewskich za granicą, zapadła uchwała naszej loży o przyjęciu do loży paru z tych dyplomatów (Zauniusa, Sidzikowskiego) i była w tym celu wyznaczona komisja, która miała przyjęcia dokonać, o ile by się oni zgodzili, propozycję zaś miał im uczynić br. Jerzy Šaulys. Ale nie doszło to do skutku, bo się dyplomaci rozjechali, Teraz jest znowu zjazd takiż. Loża wniosek prezydium przyjęła i uchwaliła do przyjęcia kandydatury Sidzikowskiego, Zauniusa i Naruszewicza, którzy są przedstawicielami Litwy w Berlinie, Pradze i Londynie. Ponieważ bawią oni w Kownie krótko, więc trudno z ich przyjęciem czekać na nastepne posiedzenie loży; przeto upoważniono prezydium w osobach mnie, Ślażewicza i Michała Biržiški (Kairys bawi chwilowo za granicą) do dokonania przyjęcia. Ma z nimi zapoczątkować rozmowę Ślażewicz, a jeżeli będą się oni na to decydowali, to w tych dniach u Ślażewicza dokonamy ich przyjęcia. Byłoby bardzo pożądane, abyśmy choć jednego z nich przyjąć mogli. Następnie loża uchwaliła do przyjęcia kandydaturę Tadeusza Pietkiewicza. Potem Michał Biržiška podniósł kwestię planowego rozszerzenia naszej organizacji na sfery takie, które dziś ogarnięte przez nas nie są, w szczególności na sferę wojska, artystów i literatów, lekarzy, nauczycieli szkół średnich itd. Obecnie reprezentowana jest u nas niemal wyłącznie profesura i działacze polityczni stronnictw lewicowych i dalsze nasze rozszerzanie się wciąż idzie w tym samym kierunku. Myśl Biržiški przyjęto z uznaniem i na razie zastanowiono się nad stosunkami wojskowymi. Wyłoniły się i zostały uchwalone kandydatury następujące oficerów: Steponaitisa (wprowadza Wacław Biržiška), Niemeikšy (wprowadza Wiktor Biržiška) i Były. Dwóch pierwszych uchwalono bezpośrednio do przyjęcia, co zaś do Były, to uchwalono zarządzenie śledztwa, które zlecono Janulaitisowi i Wiktorowi Biržišce. Poza tym zostały postawione i przyjęte kandydatury: Untulisa (uchwalono bezpośrednie przyjęcie, wprowadza Michał Biržiška) i Ignacego Kučiusa (śledztwo zlecono Purėnasowi).
Innych kwestii na posiedzeniu nie rozpoznawano. Pod wpływem nastroju braterskiego na posiedzeniu zaproponowałem ex promptu pojednanie bezpośrednie bez żadnych wniosków i wywodów komisji braci Janulaitisa i Purėnasa. Choć na razie to skutku nie odniosło, ale po posiedzeniu bracia ci podali sobie dłonie.

17 listopada, rok 1923, sobota
Bawi w Kownie Jan Kligys. Przyjechał wczoraj, zamieszkał u mnie. Zabawi parę dni, jutro wyjeżdża. Wyjechałby może i dziś, bo interes swój załatwił, ale zafundowałem mu na dziś wieczór bilet do teatru na dramat „Aušros Sunus". Kligys przyjechał w interesie własnym, ale bodaj na próżno, bo nic nie wskóra. W roku przeszłym na wiosnę po powtórnym ożenieniu się Kligys sporządził dla swego syna z pierwszej żony Emilki Tyczkówny – Michasia – akt notarialny wydziału połowy swojej ziemi. Bez takiego aktu Michaś Kligys, który przed dwoma laty ożenił się z bogatą córką gospodarską

Dailiniewiczówną i otrzymał za nią w posagu piękny folwark 30-dziesięcionowy Żydziszki za Puszczą Rudelską – nie chciał wychodzić z domu ojcowskiego, na czym bardzo zależało ojcu i macosze. Jan Kligys, czyniąc dlań wydział, zastrzegł dla siebie dożywotnią używalność zapisanej połowy. Akt dotąd nie był zatwierdzony przez starszego notariusza w Kownie, bo Michaś Kligys nie opłacił podatku na przelew nieruchomości. W jesieni zeszłego roku Jan Kligys rozmyślił się i pisał do starszego notariusza, prosząc o niezatwierdzanie aktu, co formalnie jednak nie może przeszkodzić zatwierdzeniu, bo wola stron już została już została zafiksowana podpisami i cofnięcie jej nie może zależeć od jednej strony. Teraz, gdy Janowi Kligysowi urodził się z drugiego małżeństwa synek, nazwany Alfredem, frasuje się on jeszcze bardziej o cofnięcie powyższego aktu, tym bardziej, że wioska Bohdaniszki ma się rozkolonizować na zaścianki: Kligys wolałby przy tej kolonizacji nie ruszać się z miejsca, ale w takim razie musiałby się zadowolić mniejszą ilością ziemi – mianowicie ośmiu dziesięcinami zamiast dziewiętnastu, z czego jeszcze odpadłoby parę dziesięcin, które sprzedał Kozłowskiemu i w takim razie po jego śmierci, gdyby Michaś odebrał swoją zapisaną mu połowę, małemu Alfredowi i wdowie pozostałoby zaledwie parę dziesięcin; jeżeli zaś wybierze kolonię na kresach, to choć ziemi będzie miał więcej, nie będzie miał z czego się zabudować, bo całe drzewo z kawałka lasu, jaki miał, oddał Michasiowi, nie mówiąc już o tym, że na starość trudno mu się zabudowywać. Ewentualnie tez miałby on ochotę swoja kolonię, jaka mu w Bohdaniszkach wypadnie, sprzedać, a za to kupić 16 dziesięcin z kawałkiem lasu, łąkę i leśniczówkę ze schedy Henrysia Wołłowicza w Montowszczyźnie, co jednak mógłby tylko o tyle uskutecznić, o ile połowa nie byłaby Michasiowi wydzielona. W tym celu przyjechał do Kowna do starszego notariusza. Tu jednak dowiedział się od starszego notariusza, że Michaś Kligys już wpłacił odpowiednie pieniądze i że akt będzie zatwierdzony. Kligys martwi się, ale wciąż jeszcze medytuje i nie bardzo wierzy, że pieniądze są rzeczywiście przez Michasia wpłacone.
W Bohdaniszkach i okolicy milicja kryminalna oddziału B (czyli polityczna) znów zaaresztowała wszystkich tych, którzy byli sądzeni w zakończonym procesie o należenie do organizacji bolszewicko-komunistycznej, w ich liczbie Michasia Nemeikšisa, który wyrokiem Trybunału został skazanym, ale uwolniony z więzienia, bo mu zaliczono więzienie prewencyjne na poczet kary, Michała Juszkiewicza (parobka Maryni), uniewinnionego przez Sąd Wojenny, leśnika Konstantego Aleksiejusa i innych. Aresztowanie ich nastąpiło w związku z wielkim procesem ogólnolitewskiej organizacji bolszewicko-komunistycznej, co do której toczy się śledztwo. Ujawnione tam zostały jakieś nowe okoliczności i dowody co do tych ludzi z naszych stron, ale jeżeli tylko nie dotyczy to jakiegoś nowego przestępstwa, jeno udziału w organizacji, to aresztowanie to jest nieprawne, bo wyrok sądowy w tym przedmiocie umorzył już w stosunku do nich wszelka odpowiedzialność ponowną – *non bis in idem*. Prosiłem naszego podprokuratora Valtisa, aby rzecz tę zbadał i ewentualnie zarządził zwolnienie tych biedaków od nowych aresztowań i dochodzeń, jeżeli tylko chodzi w stosunku do nich nie o wyraźny czyn występny nowy, który nie był przedmiotem poprzedniego oskarżenia.

18 listopada, rok 1923, niedziela
Rano na uniwersytecie mieliśmy posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego. Obecni byli: Leonas, Kriščiukaitis, Mačys, Balogh, Bielackin, Tumėnas, Wacław Biržiška, Rimka, Büchler, Šalčius, Morawski i ja. Omawiany był w szczególności projekt organizacji specjalnej sekcji ekonomicznej na Wydziale Prawniczym. Zorganizowanie tej sekcji jako podwydziału jest u nas uchwalone. Chodzi tylko o jej zorganizowanie

programowe. Pierwsze dwa semestry maja być wspólne. Specjalizacja przez podział wydziału na dwie sekcje – ogólną prawniczą i ekonomiczną – ma się rozpoczynać od semestru III. Na przyszły rok ma to już być zapoczątkowane dla semestru III i IV. Komisja, której było polecone zaprojektowanie sekcji ekonomicznej, składa się z Rimki, Šalčiusa i Wacława Biržiški. Oczywiście główną osobą w niej jest Rimka jako najpoważniejsza siła naukowa przyszłej sekcji ekonomicznej i najtęższa głowa. Przedłożony tez przez komisję projekt jest raczej projektem Rimki, niż projektem komisji. Projekt wywołał krytykę – nie tyle ze względu na układ przedmiotów ekonomicznych w sekcji, ile na stanowisko, udzielone podług tego projektu ogólnym naukom prawniczym na sekcji ekonomicznej: okazało się poniekąd przeładowanie i w szczególności jednostronne, nie dość umiejętnie usystematyzowane przeładowanie sekcji ekonomicznej poszczególnymi dyscyplinami prawa. Rimka zresztą zgadzał się z krytyką i usprawiedliwiał się tym, że musiał się liczyć z istniejącym ogólnym systemem wykładów prawa na wydziale, przystosowanym do potrzeb specjalizacji ściśle prawniczej. Wyłoniło się kilka poprawek i wniosków. Wszyscy się godzili na to, że w związku z podziałem na sekcje i specjalizację ekonomiczną niezbędnym jest przystosowanie wykładów prawniczych do potrzeb specjalizacji ekonomicznej, czyli innymi słowy – odrębna systematyzacja nauk prawniczych, a przeto i wykładów na sekcji ekonomicznej. Bodajże najlepszym był wniosek Tumėnasa, żeby dla sekcji ekonomicznej – poza ogólnymi wykładami semestru I i II, wspólnego dla prawników i ekonomistów – utworzyć osobną jedną jedyną katedrę prawa, na której po cztery godziny tygodniowo przez cztery semestry byłby wykładany cały cykl prawa pozytywnego, czyli prawa czynnego w państwie, ogarniającego wszystkie działy zasadnicze. Wniosków nie uchwalono żadnych. Zwrócono projekt do komisji, polecając jej nowe zaprojektowanie, liczące się z wyrażonymi dziś kombinacjami.
Wspomnę tu, że Antoni Smetona już jest wolny. Złożono zań sumę grzywny, na którą został skazany rozkazem komendanta, wobec czego w piątek wypuszczono go na wolność.

19 listopada, rok 1923, poniedziałek
Miałem wykład bieżący na uniwersytecie. Nie umiem traktować tych wykładów rzemieślniczo. Każdy wykład mię przejmuje i wzrusza, każdy jest dla mnie czymś podobnym do popisu, do egzaminu, który zdaję. Dzisiejszy udał mi się dobrze. Słuchacze zebrali się licznie – a to jest zawsze dla prelegenta przyjemne i działa podniecająco. Jestem teraz w moich wykładach w toku analizowania stosunku społeczeństwa do państwa i w szczególności rozpatruję teraz problem narodu jako związku społecznego, nie zaś elementu państwa.
Ogromnie mam czas przeładowany pracą – tak trybunalską, jak wykładową bieżącą. Układanie notatek do wykładów pochłania mi co dzień dużo czasu. Nie mogę się zdobyć na kontynuowanie mego zasadniczego rękopisu wykładów, którego w roku zeszłym nie dokończyłem. Pozostaje mi tam do opracowania kilka działów bardzo istotnych i zasadniczych, z których przynajmniej parę muszę w tym roku szkolnym objąć mymi wykładami, toteż muszę koniecznie opracować jej poprzednio starannie i gruntownie. Na żadne inne roboty zgoła czasu nie mam. Korespondencję prywatną zaniechałem całkowicie. Pisuję wyłącznie do Bohdaniszek – raz na tydzień. Na lekturę w zakresie mojej specjalności prawa konstytucyjnego bardzo mam mało czasu. Od dni 10 noszę nierozpieczętowany dotąd list od szawelskiej „Kultury”, w którym domyślam się przynaglania do przysłania rękopisu artykułu, obstalowanego na wiosnę (o stronnictwach politycznych litewskich), którego dotąd ani rozpocząłem i ani się domyślam, jak z nim sobie poradzę.

Wpadła mi dziś do rąk przypadkiem jakaś książka, napisana po francusku o Odrodzeniu narodowym Litwy. Miałem możność jeno przelotnego zajrzenia do niej. Nazwiska autora nie zanotowałem. Zdaje się, że jest to dzieło reklamowo-informacyjne. Zajrzałem do katalogu nazwisk cytowanych w książce, umieszczonego na jej końcu, i wyczytałem moje nazwisko z odwołaniem się do stronicy 195. Otworzyłem tę stronicę i cóż wyczytałem? Jest tam jeden czy kilka nawet rozdziałów, traktujących o Gabrysie i jego działalności. I oto ni mniej, ni więcej, jak powiedziałem, że to Gabrys wspólnie ze mną napisał około roku 1907 dzieło o historii odrodzenia narodowego litewskiego. A więc moja „Litwa" okazała się dziełem... Gabrysa!!! Tak się pisze reklama. Sądzę, że ten chrzest autorski Gabrysa na moją „Litwę" musiał być przez samego Gabrysa wycelebrowany, to znaczy, że tej „informacji" udzielił autorowi francuskiemu sam Gabrys, chciwy tytułów do zasług niezasłużonych.

20 listopada, rok 1923, wtorek
Dziś padał pierwszy śnieg. Był to śnieg mokry, padający wielkimi wodnistymi płatami, który śladu nie zostawiał, bo natychmiast topniał w błocie, a zresztą bodaj topniał przy samym spadaniu w powietrzu, bo na dachach nie zostawiał śladu zimowego. Po paru godzinach padania ustał.
Po obiedzie brałem udział w konferencji grona prawników litewskich z gronem działaczy sądowych z Kłajpedy, którzy w tym celu przyjechali do Kowna. Jest to jedno z dalszych ogniw tej pracy, która była rozpoczęta latem analogiczną konferencją. O tej konferencji letniej wspominałem w dzienniku. Zasadniczym punktem jest rozciągnięcie kompetencji zwierzchniej Trybunału na sądownictwo autonomiczne Kłajpedy. Po konferencji letniej sprawa ta była jeszcze kilkakrotnie omawiana w łonie czynników politycznych Kłajpedy i rządu litewskiego; wreszcie dla zaprojektowania redakcji ustawy odnośnej, a raczej kilku uzupełniających artykułów do działającej tymczasowej ustawy o organizacji sądownictwa w Litwie zwołana została dzisiejsza konferencja sądowników obydwóch stron. Wzięły jednak w niej udział prócz sądowników także czynniki polityczne. Ze strony Kłajpedy było kilku (bodaj pięciu) działaczy sądowych (z tych, co brali udział w konferencji letniej, był tylko jeden, inni – nowi, a w szczególności były prezes Oberlandgerichtu w Kłajpedzie Plehwe, który latem stał na czele delegacji sądowników kłajpedzkich, obecnie już został z tego stanowiska usunięty przez władze kłajpedzkie, które kierowały się względami na to, że był on obcym poddanym i w istocie podobno zdecydowanym państwowcem niemieckim i działaczem ruchu antylitewskiego, zaś w kołach niemieckich Kłajpedy jego usunięcie wzięto bardzo do serca) i oprócz tego z czynników politycznych – prezes Dyrektorium Kłajpedy Gailius, prezes jakiejś organizacji społecznej i wybitny działacz litewski w Kłajpedzie p. Stikliorius, wreszcie prezes Izby Handlowej w Kłajpedzie, znany Krause, jeden z wybitnych *leaderów* niemieckich w Kłajpedzie, który obecnie gra tam rolę oportunisty i reprezentuje niby kierunek ugodowy względem Litwy, ale w istocie jest dyplomatą zręcznym i szczwanym, który się liczy z instrukcjami z Berlina i prowadzi pewną linię polityczną niemiecką. Ze strony naszej minister Tumenas reprezentował czynnik polityczny państwowy, a czynnik działaczy sądowych reprezentowany był przez Janulaitisa, mnie, adwokata Bielackina, prokuratora Trybunału Kalvaitisa i sądu okręgowego Rymszy i dyrektora departamentu Ministerium Sprawiedliwości Bolcewicza. W łonie delegacji kłajpedzkiej Litwini Gailius i Stikliorius w istocie tez oczywiście reprezentowali tendencje ciążenia państwowego. Zresztą tak samo, jak na poprzedniej konferencji sądownicy kłajpedzcy nie obstawali kategorycznie za swymi pierwotnymi wnioskami, czując, że siła decyzji jest po stronie litewskiej. Zaczynali, jak zawsze, od większych i kategoryczniejszych żądań, ale szli na ustępstwa dość łatwo.

Głównym punktem dyskusji była kwestia, czy ma być ustawowo zastrzeżona osobna sekcja kłajpedzka Trybunału, jak proponowali Kłajpedczycy, czy ma być tylko zastrzeżone mianowanie pewnego minimum Kłajpedczyków do Trybunału bez przesądzania ustawowego osobnej sekcji. To drugie stanowisko, popierane przez Litwinów, zwyciężyło z pewnymi poprawkami niby kompromisowymi Janulaitisa, które są właściwie nieistotne i dają tylko pozorną satysfakcję Kłajpedczykom. Omawiano też inne detale stosunku. Wyłoniono komisję do zredagowania projektu artykułów ustawowych. Do komisji ze strony litewskiej weszli Janulaitis i Bielackin oraz dwóch sędziów kłajpedzkich.

21 listopada, rok 1923, środa
Odbył się dziś po obiedzie dalszy ciąg i finał rozpoczętej wczoraj konferencji z Kłajpedczykami. Od godz. 12 obradowała komicja redakcyjna, złożona pod przewodnictwem ministra Tumenasa z dwóch sędziów kłajpedzkich oraz dwóch prawników naszych – Janulaitisa i Bielackina, którzy najbieglej władają językiem niemieckim (żaden bowiem z sędziów kłajpedzkich nie umie ani słowa po litewsku). Komisja ta ułożyła projekt noweli czy też artykułów uzupełniających do ustawy tymczasowej o organizacji sądownictwa litewskiego – w przedmiocie rozciągnięcia władzy Trybunału na sądownictwo kłajpedzkie, które w myśl statutu organicznego Kłajpedy należy do jej sfery autonomicznej z wyjątkiem ogólnopaństwowej instancji najwyższej – Trybunału. Pierwotne dezyderaty Kłajpedczyków o tym, żeby był ustawowo zafiksowany osobny wydział kłajpedzki Trybunału, który by się składał w większości z sędziów Kłajpedczyków i rezydował w Kłajpedzie, do projektu tej noweli wciągnięte nie zostały. W dyskusji wczorajszej uznano, że ustawowo zastrzegać tego nie należy i że to będzie zależało od samego Trybunału jako wewnętrzna kwestia jego własnego regulaminu. W projekcie, ułożonym przez komisję redakcyjną, przyjęto, że do Trybunału powinno być mianowane nie mniej, jak dwóch sędziów spośród osób, które odpowiadają kwalifikacjom sędziowskim, przyjętym w Kłajpedzie, co Kłajpedczykom gwarantuje, że będą to istotnie sędziowie z ich łona, i w szczególności że nominacja tych sędziów kłajpedzkich Trybunału będzie dokonywana przez Prezydenta Rzeczypospolitej po zasięgnięciu opinii Sądu Okręgowego (Landgerichtu) Kłajpedzkiego. Jakie są inne artykuły, opracowane przez komisję – nie wiem. O godz. 5 odbyło się posiedzenie plenum, na którym projekt, ułożony przez komisję, został przyjęty. Potem była wspólna kolacja z Kłajpedczykami. Ja ani na tym posiedzeniu, ani na kolacji nie byłem, bo nie miałem czasu, a zresztą obecność moja nie była niezbędna. Ułożony i przyjęty przez komicję projekt będzie przez Tumenasa przedłożony Sejmowi do szybkiego przyjęcia i zapewne od Nowego Roku sędziowie kłajpedzcy już zostaną do Trybunału mianowani. Niedogodnym będzie dla nas w Trybunale to, że nie będą oni umieli ani słówka po litewsku, spośród nas zaś jeden tylko Janulaitis mówi biegle po niemiecku. Oczywiście Janulaitisowi wypadnie funkcjonować z nimi przy sądzeniu spraw kłajpedzkich, a choć może się praca nasza ułoży w ten sposób, że faktycznie utworzony będzie wydział kłajpedzki i że nasi koledzy kłajpedzcy będą przeważnie siedzieli w Kłajpedzie, to jednak przecie będą takie kwestie i takie posiedzenia ogólne, w których wypadnie nam z kolegami kłajpedzkimi obradować.

22 listopada, rok 1923, czwartek
Pod wieczór znowu padał śnieg. Wieczorem miejscami już było biało. Ale mrozu jeszcze nie ma, śnieg topnieje.
Miałem znowu bieżący wykład na uniwersytecie. Ogółem był to wykład dziewiąty, a ponieważ każdy mój wykład trwa dwie godziny, więc ogółem już wykładałem 18

godzin. Zapowiedziałem słuchaczom moim, że od grudnia rozpocznę kolokwia, którym zamierzam poświęcać po jednej godzinie extra tygodniowo. Kolokwia chcę urządzać częściowo metodą ustnych pogadanek publicznych z poszczególnymi słuchaczami, częściowo zaś – ponieważ tą metodą zaledwie nieznaczną cząstkę słuchaczy załatwię – urządzać je metodą pracy pisemnej słuchaczy: przygotowywałbym kilka tematów, podzieliłbym słuchaczy na grupy i każdej grupie dałbym jeden z tematów do udzielenia nań odpowiedzi na piśmie w ciągu godziny, Chociaż studentom naszym brak podręczników prawa konstytucyjnego, a ten wstęp, który im dotąd w wykładach moich daję, w ogóle w wielu istniejących dziełach lub podręcznikach wcale nie jest uwzględniony, więc się im trudno przygotować do kolokwiów, ale też kolokwia nie są żadnymi egzaminami, a dla mnie będą one sprawdzianem, o ile słuchacze orientują się w wykładach moich. Którzy na wykłady nie uczęszczają – będą prawić banialuki, ale pilni słuchacze – a takich jest spora garstka – będą mieli możność wykazania mi, czy i w jakim stopniu dostępny im jest mój wykład.
Na wniosek Tumenasa, który w przeciwieństwie do swego poprzednika Karoblisa jest na stanowisku ministra sprawiedliwości pełny inicjatywy tak w zakresie wniosków ustawodawczych i w ogóle opracowywania zasad reorganizacji sądownictwa, jak w zakresie zapewniania sądownictwu sił fachowych, Gabinet Ministrów uchwalił projekt podniesienia o 50% pensji sędziom Trybunału i sądów okręgowych bezwzględnie, a sędziom pokoju i śledczym o tyle, o ile są oni prawnikami i mają odpowiedni staż służby sądowej. Jeżeli projekt ten zostanie przyjęty przez Sejm, to uposażenie materialne sędziów będzie już wcale dobre. Dla sędziego Trybunału wyniesie ono 1200 litów miesięcznie zamiast 800. Ja osobiście miałbym w taki razie łącznie z pensją, która pobieram obecnie na uniwersytecie (biorę tam jeno pół pensji zasadniczej plus po 20 lt. za godzinę tygodniową) ogółem przeszło 1600 litów miesięcznie. Mając taką pensję mógłbym już i Maryni pomagać systematycznie, udzielając jej stałej subwencji miesięcznej. Ta dbałość o dobre uposażenie sędziów dobrze świadczy o administracji Tumenasa, szczególnie że się ona ujawnia w czasie, kiedy właśnie skarb z powodu ciężkiego kryzysu finansowego i braku środków płatniczych wszedł na tory kategorycznej polityki oszczędnościowej i niemiłosiernie obcina etaty wszystkich działów służby państwowej, wyrzucając ogromny odsetek balastu urzędniczego precz – na bruk. Nie poruszam tu kwestii użyteczności tak radykalnej polityki oszczędnościowej i ewentualnych niebezpieczeństw tego ryczałtowego wyrzucania na bruk proletariatu urzędniczego, ale zaznaczam, że tym bardziej charakterystycznym jest w takim momencie zapewnienie sędziom wyższego uposażenia.
Tumenas uzyskał też w Gabinecie Ministrów aprobatę projektu noweli, podług której dla przyjęcia pomocnika adwokata w poczet adwokatów przysięgłych będzie wymagane nie tylko pięć lat stażu praktyki ogólnej, ale także w liczbie tych lat pięciu co najmniej dwa lata służby państwowej w sądownictwie. Projekt ten będzie złożony do Sejmu. Tą droga pewna ilość sił prawniczych będzie sądownictwu [zapewniona] automatycznie.

23 listopada, rok 1923, piątek
Spotkałem się dziś w korytarzu sądowym przypadkiem z Feliksem Bugailiškisem, który przyjechał z Szawel i był zaszedł w jakimś interesie do sądu. Bugailiškis, który był w ciągu pierwszych kilku lat państwowości litewskiej sędzia pokoju w Szawlach, potem przy założeniu Sądu Okręgowego w Szawlach był mianowany wiceprezesem tegoż sądu, ale wkrótce, zanim jeszcze rozpoczął urzędowanie na tym stanowisku (r. 1922), podał się do dymisji, nie solidaryzując się z prezesem sądu Šurną w sprawie głośnego zajścia między sądem (raczej prezesem Šurną) a samorządem powiatowym szawelskim z powodu trybu wykonania sekwestru lokalu samorządu na użytek sądu. Obecnie

Bugailiškis po roku znów przyjął stanowisko wiceprezesa Sądu Okręgowego w Szawlach. Bugailiškis, były esdek (obecnie, zdaje się, do partii nie należy), nie zasklepia się zresztą w działalności zawodowej sędziowskiej. Wprawdzie i w charakterze sędziego pokoju w Szawlach zdobył sobie uznanie wyrokami, pełnymi zawsze treściwej sprawiedliwości i dość oryginalnej nieraz konstrukcji, ale nade wszystko zajął bardzo poważne w Szawlach stanowisko działacza społecznego i kulturalnego. Można rzec, że Bugailiškis stał się w Szawlach człowiekiem, ogniskującym cały ruch kulturalny i społeczny miejscowy, a szczególnie wybitne są jego zasługi na polu popularno-oświatowym. W ogóle Szawle mają całą garść ludzi o wybitnych kwalifikacjach społecznych i pod niektórymi względami przodują Kownu inicjatywą społeczną; podczas gdy w Kownie przeważa bądź nałóg biurokratyczno-urzędniczy, bądź biznes prywatny, Szawle ujawniają inicjatywę organizacji społecznej i tą metodą czynią o wiele więcej, niż Kowno, zwłaszcza w stosunku do sił swoich. W szczególności Bugailiškis stoi na czele ruchliwego i dzielnego towarzystwa wydawniczego „Kultura”, które publikuje tak osobne dziełka, jak pisma, szeroko popularyzujące zagadnienia społeczne i naukowe w duchu zwłaszcza wolnomyślnym i postępowym. Wspominałem kilkakrotnie w dzienniku o obstalowanym u mnie przez „Kulturę” szawelską artykule o stronnictwach politycznych litewskich do książki zbiorowej encyklopedycznej o Litwie. Pracy tej, która w swoim czasie była obstalowana na sierpień, nie wykonałem. Stała się ona w ostatnich czasach jak zmora jakaś dla mnie, bo czułem się obowiązanym i winnym, a nie mogłem ani wyobrazić sobie, jak ją zdołam obecnie wykonać przy tym nawale pracy, jaki mam. Niedawno otrzymałem list od „Kultury”, a domyślając się, że zawiera on upominanie się o przyrzeczony rękopis, nie odważałem się nawet listu otworzyć i nosiłem go do dziś w kieszeni nie otwierany, choć po rozmowie z Bugailiškisem i przeczytaniu go okazał się wcale nie tak straszny, jak mi się zdawało. Nie jestem bynajmniej w zwłoce co do tego artykułu, bo w ogóle „Kultura” dotąd tym wydawnictwem się nie była zajęła; nie miała bowiem pewności, czy Ministerium Spraw zagranicznych, które z nią konferowało o tym wydawnictwie, rzeczywiście udzieli nań kresytów. Wszakże teraz kredyty już zostały otwarte, więc można opracowywać rękopisy; ale terminu do złożenia rękopisu się nie określa. List „Kultury” do mnie zawiera zaś tylko zapytanie, czy pozwolę umieścić moje nazwisko na liście współpracowników i prośbę zasilania wydawnictw pojedynczych towarzystwa mymi pracami. Przy okazji spytałem Bugailiškisa, który też jest naszym bratem, czy „Kultura” nie wydrukowałaby bądź osobną książeczką, bądź w swoich wydawnictwach pojedynczych mojej pracy notatkowej o ruchu międzynarodowym masońskim, którą ułożyłem we wrześniu dla loży naszej. Bugailiškis rękopisu mego nie zna, więc odpowiedzi kategorycznej jeszcze nie udzielił, ale powiedział, że w zasadzie uważa to za pożyteczne dla celów informacyjnych, gdyż w literaturze litewskiej jest to temat zupełnie nowy i „Kultura” nie będzie się obawiała dotykać tego tematu; jednak byłoby lepiej drukować to nie osobną książeczką, bo na książeczki zbyt jest słaby, jeno artykułami w wydawnictwach pojedynczych. Rękopis prześlę mu do przejrzenia.
Byłem dziś z Zosią Eugeniuszową Römerową na przedstawieniu polskim w sali Tilmansa.

24 lutego, rok 1923, sobota
Bawiła parę dni w Kownie Zosia Eugeniuszowa Römerowa, która umie być niezmiernie miła i na ogół bardzo dba zawsze o stosunki rodzinne ze wszystkimi Römerami. Ja mam dla niej szczególny tytuł do wdzięczności za naszkicowany przez nią dla mnie przed dwoma laty portrecik mojej córki Cesi. Z Zosia mój stosunek jest bodaj nawet bliższy,

niż z Eugeniuszem; w naszym stosunku z Eugeniuszem, choć pojednanie nastąpiło dawno i choć mu nic zgoła do zarzucenia nie mam, a jego rolę przykrą dla mnie w czasie likwidacji moich stosunków z Reginą w roku 1910 tłumaczę li tylko nieporozumieniem, a nie złą wolą, jednak jest zawsze pewna sztywność – jakby jakiś cień owego zajścia między nami z tych czasów, któreśmy zlikwidowali, ale o którym każdy z nas pamięta. Z Zosią tego nie mam. Na jej zaproszenie mam po Nowym Roku odwiedzić ich w Pogryżowie. Wizytę tę odbędę z Marynią. Zosia ma podczas tej wizyty naszej naszkicować mój portret – z tym mi się przynajmniej ofiarowała. Chce ona w roku przyszłym urządzić w Kownie wystawę swoich dzieł malarskich – akwareli pastelowych. Wystawę tę chce urządzić albo sama, albo z miejscowymi artystami Litwinami, gdyby się dało, a dla publiczności litewskiej chce wystawić w liczbie swoich prac i mój portret jako osoby znanej Litwinom. Zosi tylko brak stosunków z malarzami Litwinami; przed paru laty zapoznałem ją z Varnasem, teraz na jej prośbę poszedłem z nią do malarza Kalpokasa. Ale wątpię, czy się na coś przyda ta nasza wczorajsza wizyta u Kalpokasa. Kalpokas, który niewątpliwie miał talent wybitny, jest w stanie dekadencji twórczej i psychicznej. Alkoholizm go wykoleja i niszczy. Smutne sprawił na mnie wrażenie. Pracownia jego w stanie zaniedbania, twórczość – jakaś postrzępiona. Ma on ślicznego synka, obecnie w wieku lat około 12-14, chłopca pięknego i z wielkim talentem rysunkowym. Kalpokas ma zachowanych parę prześlicznych portretów dziecinnych syna, wykonanych przez ojca przed wojną we Włoszech, w których się sam kocha i które są żywym świadectwem talentu biednego artysty, który zdaje się być dziś u schyłku. Ręce mu się trzęsą, w oczach blaski niezdrowe alkoholika.
Wieczorem byliśmy wczoraj z Zosią na zabawie polskiej w sali Tilmansa. Był koncert, potem teatr amatorski „Lutni", na którym odegrano „Grube ryby" Michała Bałuckiego. Potem była zabawa taneczna, na której nie pozostałem. W dziale koncertowym oprócz gry i śpiewu amatorek pań śpiewał też artysta opery litewskiej Sodeika, zyskując huczne oklaski. Przedstawienie teatralne udało się dobrze. Gra amatorów była średnia, język polski aktorek był typowo kowieńsko-polskim, nacechowanym klasyczną wymową litewską, ale sama sztuka Bałuckiego starczyła za grę; rozweselała werwą i humorem – trochę staroświeckim, ale żywym i serdecznym. Sala była pełniutka, publiczność była prawie wyłącznie kowieńska, rdzenna, uzupełniona młodzieżą szkolną; społeczeństwa ziemiańskiego prawie że wcale nie było. Była to publiczność starego Kowna przedwojennego, które w tym czasie było w swojej ludności osiadłej chrześcijańskiej polskie, a nie litewskie, jakim się dziś coraz bardziej staje. Widząc tę masę kowieńskiej publiczności w teatrze polskim, ma się żywe wrażenie tego, jak sztuczną jest cyfra znikoma tych rzekomo kilku tysięcy Polaków wśród ludności Kowna. Ze znajomych w teatrze widziałem posłów Budzyńskiego i Lutyka, Wielhorskiego, rodzinę Perkowskich, Salmonowicza Stanisława i innych.

25 listopada, rok 1923, niedziela
Pod wieczór poczułem się dziś niedobrze. Mam gorączkę. Musi to być przeziębienie. Sejmowe stronnictwa litewskie uwzięły się na ziemian. W przewidywaniu reformy agrarnej wiele rodzin ziemiańskich przed ogłoszeniem ustawy pośpieszyło rozmaitymi sposobami porozdrabniać swoje majątki. Jedni czynili antydatowane akty sprzedaży poszczególnych folwarków lub cząstek ziemi i następnie akty te legalizowali sądownie, korzystając z ustawy, dozwalającej w pewnych watunkach na legalizację aktów nieformalnych, sporządzonych w czasie wojny. Inni, tam gdzie spadkodawca właściciel tytularny majątku był umarł, rozdrabniali majątek aktem działu (tak właśnie podzieliliśmy Bohdaniszki my, a Komorowscy podzielili Kowaliszki). W innych

wypadkach, kiedy majątek należał do jednego właściciela i przeto nie było możności robienia podziału, właściciele próbowali robić tzw. wydziały na imię swoich spadkobierców, dzieci, żon itd. Te ostatnie akty są oczywiście nieprawne, bo stanowią akty darowizny, co zostało zabronione ustawą z r. 1920. Ale ponieważ na razie starszy notariusz zatwierdzał takie akty, więc tą drogą dużo własności dworskiej pozmieniało tytuły, a następnie nowymi aktami zostało posprzedawane w trzecie i dalsze ręce. Wiele też majątków, podzielonych najformalniej między spadkobiercami, w istocie ma podzielony jeno sam tytuł, w naturze zaś stanowią, jak poprzednio, jedną jednostkę gospodarczą. Wreszcie i sama ustawa o reformie agrarnej nie skasowała faktu utrzymania majątków, większych ponad 80 hektarów: jeżeli bowiem właścicieli na majątek jest kilku, to zostawia się każdemu z nich po 80 ha, czyli razem zostawia się w majątku niewywłaszczalny obszar większy. Choć ustawa o reformie agrarnej mówi, że jeżeli majątek jest we wspólnym posiadaniu rodziny, to się uważa za jedną jednostkę, której się pozostawia nie dla każdego członka rodziny po 80 ha, jeno na ogół jedną normę 80 ha, ale w interpretacji wykonawczej uznano, że to się nie stosuje do wypadków, kiedy wspólne posiadanie opiera się na odrębnej własności. Tą drogą reforma agrarna nie doprowadziła do bezwzględnego rozdrobnienia majątków i do niwelacji 80-hektarowej. Pozostały majątki, które są większe i które faktycznie zachowują jednolitość gospodarczą, ale się przeciwstawiają reformie agrarnej róznolitością tytułów własności. Otóż teraz „Darbo Federacija” wniosła do Sejmu projekt poprawki do reformy agrarnej, zmierzający do łamania wszelkich działów i doprowadzenia wszystkich majątków bezwzględnie do egalitarnej normy 80 ha. Nastrój jest taki, że można liczyć na uchwalenie tej poprawki. Zdaje się jednak, że będzie uwzględnione rozróżnienie między majątkami, które uległy działowi faktycznemu i wraz z działem formalnym rozpadły się na odrębne parcele gospodarcze, a takimi, które uległy podziałowi tylko w tytule własności, zachowując całość gospodarczą. Mam nadzieję, że nasze Bohdaniszki, które istotnie rozpadły się na odrębne gospodarstwa, nie będą ta poprawką dotknięte.

26 listopada, rok 1923, poniedziałek
Jestem mocno przeziębiony. Do południa leżałem w łóżku. Wahałem się w ogóle, czy wstawać, czy poleżeć dzień cały. Jednak wstałem, a wieczorem poszedłem do uniwersytetu i miałem wykład.

27 listopada, rok 1923, wtorek
Pracowałem dziś normalnie, byłem na mieście, studiowałem w Trybunale sprawy na jutro, po obiedzie śpiesznie zrobiłem wszystko, co na dziś zrobić miałem i o godz. siódmej położyłem się do łóżka. Czułem, że stan gorączkowy rośnie; miałem szum i ból w głowie. Jakoż po zmierzeniu gorączki okazało się 38,8°.

28 listopada, rok 1923, środa
Choć się czułem bardzo osłabiony, wstałem i poszedłem do Trybunału, gdzie brałem udział w posiedzeniu. Zmęczyło mię to niesłychanie. O godz. 4 ledwo żywy dociągnąłem się do domu i zaraz położyłem się do łóżka. O godz. 8 ½ zmierzyłem temperaturę – miałem 40,1°!

29 listopada, rok 1923, czwartek
Wczorajszy wieczór w gorączce, przekraczającej 40 stopni, przemajaczyłem na wpół przytomny w łóżku. Straciłem poczucie czasu, bredziłem trochę, miałem jakieś wizje dziwaczne; jednak całkowicie przytomności nie straciłem i sam dawałem Helenie

wszelkie zarządzenia, sam zmierzyłem sobie temperaturę. Czułem się mocno przeziębiony, opanowany przez katar i kaszel, ale nie wiedziałem, co mi jest, bo zdawałoby się, że przy pospolitym katarze 40 stopni gorączki nie bywa. Myślałem już, że to może tyfus i poniekąd się już cieszyłem na tę myśl; ale może to i hiszpanka, może influenca. Przełknąłem porcję rycyny i jeden proszek aspiryny z kofeiną na poty – z tych proszków, co mi przed 1 ½ rokiem podczas lumbago dr Šliupas zapisał. Noc przespałem w gorączce niespokojnie, ale rano czułem się już rzeźwiejszy. Nie wychodziłem dziś z domu wcale, nawet prawie że nie wstawałem z łóżka. Zawiadomiłem uniwersytet, że z powodu choroby wykład mój się nie odbędzie.
Ale gdzieżby tam mnie tyfus chciał wziąć naprawdę! Przez cały dzień dzisiejszy gorączka malała. Rano o godz. 7 miałem jeszcze 38°, w południe – 37,3°, wieczorem o 9 trochę więcej niż w południe, ale mniej niż rano – 37,7°.

30 listopada, rok 1923, piątek
Gorączka ustała niemal. Przynajmniej rano, gdym mierzył temperaturę, było już tylko 36,7°. Jak będzie wieczorem – nie wiem, bo zmierzę temperaturę dopiero po położeniu się do łóżka. Pewien szum w głowie już czuję, więc przypuszczam, że pewne podniesienie temperatury jest, ale w każdym razie nie ma i już dziś nie będzie wielkiej gorączki. Natomiast gorzej się dziś czuję pod innym względem. Dopóki rano leżałem w łóżku, to nie mając gorączki zdawało mi się, że jestem silniejszy i zdrowszy. Jednak jak tylko spróbowałem wstać, to się przekonałem, że wcale silniejszy nie jestem i że do zdrowia – daleko. Przede wszystkim poczułem tę dobrze mi znaną lumbagową sztywność w krzyżu; człowiek czuje się jak drzwi na niewysmarowanych zawiasach; każde poruszenie żywsze wywołuje ból, a nachylenie się jest zupełnie niemożliwe; poruszać się można tylko z największą ostrożnością, jak żeby człowiek był ze szkła i bał się rozbić; trzeba każdy krok stawiać z myślą o tym, żeby ruch nie sięgnął krzyża, bo inaczej bieda. To samo, co przed dwoma laty, tylko bez kurczów spazmowych w mięśniach pojaśnicy. Ale nie to jeszcze główne. Do lumbago dołączyło się tym razem bicie serca, ale to takie gwałtowne, połączone z brakiem tchu i kompletnym osłabieniem, jakiego nie przypominam sobie. Przy leżeniu to ustaje, przy siedzeniu słabnie, ale przy staniu i chodzeniu bicie serca i osłabienie tak wielkie, że w istocie muszę natychmiast siadać. Zacząłem brać konwalarię, jak w roku przeszłym i to mi trochę pomaga. Nie wiem, czy to bicie serca jest nerwowe czy reumatyczne. Jednak do łóżka się już na stałe nie kładłem i dopiero teraz, wieczorem (jest godz. 5) położę się już. Na ogół po południu mocniejszy się jednak czuję niż z rana. Apetytu wielkiego jeszcze nie mam. W ogóle nie umiem określić, czego bym chciał. Bicie serca i osłabienie może pochodzić też z wyczerpania sił po takim ich wysileniu w 40-stopniowej gorączce.
A jednak ten stan gorączkowy przy 40 stopniach temperatury jest niezwykle przyjemny. Jest sen i są wizje, jest jakiś szał, jakieś tempo samego snu szalone. O, gdybyś mi, Boże, zechciał zesłać tyfus! Wszak tylu ludzi szczęśliwych i użytecznych dla ich rodzin – umiera, dlaczego byś więc mnie, o Boże mój Chrześcijański, Boże Miłości Ludzkiej, miał tyfusu poskąpić! Ale klękam przed wyrokami Twoimi.
Ładnie na dworze. Śnieżyło przez noc i przez dzień cały. Gęste puchy śniegu nie tylko pokrywają ziemię i dachy, ale tez czepiają się gałęzi drzew i płotów. Helena powiada, że dorożkarza sankami już jeżdżą. Byłaby za prędko sanna, bo dopiero dziesięć dni od dnia pierwszego śniegu.

1 grudnia, rok 1923, sobota

Stan taki sam – ani gorzej, ani lepiej. Wieczorem temperatura lekko podniesiona – mniej więcej 37 ½ stopni – rano osłabienie, bicie serca, krótki oddech. Tak samo wczoraj, tak samo dziś. Różnica tylko ta, że wczoraj stan serca rano był znacznie gorszy, niż dziś, a za to wieczorem wczoraj, gdy się zaczęła faza gorączkowa, bicie serca prawie że ustało. Dziś natomiast to bicie serca, to uczucie niepokoju i osłabienia, powiedziałbym – uczucie starości, ten brak tchu trwają przez cały dzień prawie nieprzerwanym ciągiem. Konwalaria mało skutkuje. Przeszkadza mi to pracować, czyni niedołężnym i apatycznym. Zaczynam sądzić, że to jest to samo nerwowe bicie serca, na które cierpiałem ubiegłej jesieni. Jest to cierpienie, które się ciągnie długo. Wprawdzie kto wie, czy nie jest to właśnie droga, która Bóg spełnia moje modły o śmierć – to jednak jest ona ciężką. Ba – ciężka! Nie wszystkie dobro naraz!
Znowu więc mogę mieć w perspektywie te strachy, niepokoje, duszności, bicie serca, przerywające pracę, szkodzące usposobieniu, których doświadczałem całymi miesiącami w roku zeszłym. Zdaje się, że to tak i będzie.
Wyszedłem dziś trochę na przechadzkę. Jednak czułem się osłabiony i chodzenie mię zmęczyło. Jak staruszek – potrzebowałbym ławeczek do wypoczynku po drodze. Do miasta nie schodziłem, tylko się tu w obrębie Zielonej Góry przeszedłem.

2 grudnia, rok 1923, niedziela
Dziś się czułem znacznie lepiej. Zdaje się, że na wieczór nie będę miał nawet małej gorączki, bo przynajmniej nie czuję jej nawet w najmniejszym stopniu, a jest już godz. 8 wieczorem. Ale co najgłówniejsze – to, że dziś nie mam tego bicia serca i braku tchu, których doświadczałem poprzednich dni. Parę razy zaznaczyło się bicie serca, ale było ono leciutkie w porównaniu do poprzednich. Pod tym więc względem wracam do zdrowia i jeżeli jutro będzie nawet nie lepiej, jeno tak samo jak dzisiaj, to już będę mógł pójść do uniwersytetu na wykład tam i z powrotem pieszo i sam jeden, nie biorąc Heleny za towarzyszkę dla pomocy w ewentualnym zasłabnięciu. Z domu dziś nie wychodziłem, ale już od jutra zacznę wychodzić i pracować jak normalnie albo już prawie tak. Wszakże pono na tym nie koniec mojej choroby. Na lewo od kości pacierzowej nieco wyżej pasa namacałem na skórze coś, co wygląda na całą kolonię wrzodzików. Zdaje się, że są one tymczasem pod skórą. Dotąd nie są bolesne. Co to jest, nie wiem. Czy się z nich uformują wrzody czy jakieś ranki, podobne do zeszłorocznych na nogach – nie wiem. Czas pokaże. Ba, jestem na wszystko cierpliwy, prócz jednej jedynej rzeczy, której nie wymieniam – nigdy!
Wieczorem napisałem dziś artykulik po litewsku, zawierający recenzję wydanej w roku zeszłym przez czasopismo prawnicze „Teisė" słynnej książeczki Iheringa w przekładzie litewskim Janulaitisa („Kova dėl teisės" – „Walka o prawo"). Janulaitis od dawna mię o tę recenzje prosił i obiecałem mu ją napisać. Ma ona być podana do „Lietuvy". Napisałem i dam jutro lub pojutrze Janulaitisowi do przejrzenia i ewentualnie poczynienia uwag. Przy okazji zwróciłem uwagę na momenty krzywdy i pogwałcenia uczucia prawnego naszej reformy agrarnej, co z pewnych względów blisko się łączy z tematem poruszonym w pięknym dziełku Iheringa.

3 grudnia, rok 1923, poniedziałek
Dziś odważyłem się. I jeszcze sam nie wiem, jaki będzie skutek: dopiero jutro to pokaże. Byłem na mieście przed obiadem, dużo chodziłem, byłem w Trybunale, robiłem sprawunki w sklepach, byłem w kawiarni, w uniwersytecie po odbiór pensji miesięcznej, wróciłem do domu na Zielona Górę dorożką – saneczkami. Dzień wietrzny, droga śliska, pada szron iglasty. Niezupełnie właściwy dzień do ryzykowania rekonwalescencji. Toteż dostałem od razu ostrego kłucia i strzykania w prawym uchu.

Zacząłem nawet obawiać się, żeby mi się nie uformował wrzód wewnętrzny w uchu. Wystarczyłoby mi tej wycieczki dziennej na pierwszy raz. Ale wieczorem miałem wykład na uniwersytecie, którego tez opuścić nie chciałem. Napchałem więc sobie waty do uszu i poszedłem, a po wykładzie znów sankami wróciłem. Teraz siedzę z głową obłożoną watą i obwiązaną ręcznikiem i wyglądam jak baba. Rekonwalescencja moja nie jest jeszcze kategoryczna. Gotów jestem jeszcze na liczne komplikacje. Oczywiście będę czekać do wiosny.
Wykład mój dzisiejszy udał mi się dobrze, szczególnie gdy dotknąłem zagadnienia stosunku kościoła do państwa i uwydatniając ewolucje tego stosunku malowałem rolę Kościoła katolickiego po upadku Cesarstwa Rzymskiego. Słuchaczy teraz zgromadza się na wykłady dużo. Zapewne perspektywa spodziewanych wkrótce kolokwiów podnieca ich pilność. Ale jest całe grono młodzieży, które bez względu na kolokwia lub co innego – stale bez żadnego uchybienia jest na wykładach obecne. Tę garstkę pilnych uczni, których twarze mi się wraziły w pamięć, będę miał z czasem na względzie przy egzaminach. Ich pilność będzie zawsze ważyła na ich korzyść.

4 grudnia, rok 1923, wtorek
Jakoż istotnie wczoraj po położeniu się do łóżka i zmierzeniu temperatury okazało się, że gorączka po tym dwukrotnym wychodzeniu na miasto podniosła się: było 38°. Poprzednio zaś z dnia na dzień poziom temperatury wieczorem się obniżał i już pozawczoraj było tylko 37,3°. Jednak wczorajsze chodzenie i zmęczenie wyraźnej zmiany na gorsze nie sprowadziło. Pod względem osłabienia ogólnego, a zwłaszcza stanu serca i oddechu dziś jest znacznie lepiej, niż było dotąd. Bicie serca prawie że ustało. Konwalarię biorę już tylko raczej na zapas. Za to katar jest w całej pełni; nos zapchany; ma się wrażenie, jak żeby katar ogarniał całe wnętrze czaszki. Wysmarkać się niepodobna.
Kłucie w uchu ustało. Zaobserwowana przeze mnie przed paru dniami jakaś bolączka po lewej stronie krzyża, czyniąca wrażenie całego gniazda kiełkujących wrzodów podskórnych – nie rozwija się.

5 grudnia, rok 1923, środa
Kwękam i źle się wciąż czuję, ale to, co się formalnie za chorobę uważa – gorączka, osłabienie (może nie za chorobę, ale za jej oznaki) – to ustępuje. Dziś brałem udział w posiedzeniu sądowym Trybunału i zmęczenia stąd nie czuję.
Miałem dziś listy z Bohdaniszek. Tej jesieni, z powodu zwłaszcza złych dróg na wsi, moja korespondencja z Bohdaniszkami szła dość ociężale. Jakoś przeto się czuję oddalony od Bohdaniszek. Zresztą wkrótce, jeżeli Bóg pozwoli, tam będę. Piszą mi siostry, że z Elizką Komorowską, wracającą z Wilna od córek, przyjechała na Litwę i Józia Pruszanowska, jedna z córek Kotuni. Józia jest już panną dorosłą – 22-letnią. Przyjechała dla zajęcia się spieniężeniem leśnej schedy Kotuni w Montowszczyźnie. Biedna Kotuńka klepie biedę w Bydgoszczy. Zmarnowała ona piękna sumkę, którą przed 1 ½ rokiem wzięła ze sprzedaży swej działki w Wiwieliszkach, wyczerpała wszystkie pożyczki, zaciągnięte od O'Rourke'ów i ode mnie i teraz – choć położyć zęby na policę! Żeby Kotuńka była sama, to by je może i położyła na policę, ale musi się troszczyć o niedołężnego Ezechiela i wychowywać oraz kształcić dwie młodsze córeczki – 16-letnią Kasię i 14-letnią Stasię. Ze starszych dzieci Hala, Gienio i Józia zarabiają, ale tylko (i ubogo) na własne utrzymanie, a zamężne Elizka Tanajewska i Irka Węgłowska też się nie mają świetnie i rodzicom pomagać nie mogą. Toteż całą i ciągłą nadzieją Kotuńki jest ten las w Montowszczyźnie, o którego spieniężenie szturmuje, a nie mogąc się nic z tego źródła doczekać, przysyła córkę. Elwira już sama proponowała

raz Kotuni, żeby dla zajęcia się jej losem przysłała córkę. Mnie się jednak zdaje, że to na nic. Trudno jest jeszcze teraz wyprzedawać ten las, czy z pnia, czy z ziemią, kiedy wciąż jeszcze jest niepewna własność lasów bohdaniskich, mogących ulec konfiskacie, a sprzedaż towaru leśnego bez pozwolenia jest zabroniona. Chyba że się otrzyma pozwolenie na wyrąb jakiejś działki w Montowszczyźnie. Ale tymczasem, gdy to jest niepewne, jest jeszcze inna komplikacja. Wszak Józia nie ma żadnych tytułów do obywatelstwa litewskiego, więc nie rozumiem, jak się tu zainstaluje; może przyjechała tu za paszportem łotewskim? Bo jeżeli by się opierała li tylko na paszporcie polskim, to mogłaby się narazić na grube przykrości. Ujawnienie jej obcego obywatelstwa może też zaszkodzić w ogóle sprawie lasów bohdaniskich i samego działu bohdaniskiego.

6 grudnia, rok 1923, czwartek
Brzydka pogoda. Odwilż, śnieg topnieje, mgła. Och, słońca, słońca!
Gawędziłem dziś z p. Marią Micewiczówną, z którą się na ulicy spotkałem i do kawiarni wstąpiłem. Byłem zdziwiony, jak jeszcze panna Maria jest pełna życia i ile ma w sobie głębokiej pogody i entuzjazmu żywotnego. Nie spodziewałem się tego po niej, bo jej życie nie jest słane różami. Bardzo lubię chwile, które z nią spędzam. Żadne bodaj stosunki między ludźmi nie są tak trwałe i miłe, jak stosunki, które się datują z młodości.

7 grudnia, rok 1923, piątek
Pogoda, raczej niepogoda – wciąż taka sama: głęboka odwilż, śnieg rozpuszczający się w błoto, mgła. Taki czas może najzdrowszego człowieka nabawić melancholii i odjąć mu wszelką energię i ochotę życia. A ja z moją wrażliwością , z moją zwłaszcza imaginacją, która mię utrzymuje w ciągłej grozie strasznego niebezpieczeństwa wiszącego nade mną, o którym zaiste sam nie wiem, czy jest realnym, czy tylko manią wyobraźni, opartą li tylko na pewnych analogiach, będących zgoła innej natury – ja w takie okresy niepogody ginę zupełnie.
Fizycznie co do mego przeziębienia, na które chorowałem niedawno – jeżeli to tylko istotnie było przeziębieniem, a nie czymś innym – to już się mam lepiej i prawie dobrze: objawy słabości i bicia serca ustały, bólów lumbagowych nie ma, gorączki także nie ma. Ale jest katar, są jakieś bolenizny na lewej stronie ciała w pasie, głowa ciężka, ucho prawie jakby czymś zatkane z wewnątrz – no i to, co jest zawsze, co jest moją zmorą i zakałą życia, przyczyną pragnienia najrychlejszej śmierci, a co ja sam nie wiem, czy jest tylko imaginacją i manią, czy straszną, nie dającą się z niczym porównać rzeczywistością. Sam nie wiem – być może jestem wariatem! Czasem mi się to zdaje. I jeżeliby moje obawy (ach, więcej niż obawy!) były nie objawem rzeczywistości, lecz płodem wyobraźnia wariata, to dałby Pan Bóg, abym był wariatem!
Miałem dziś w kawiarni Perkowskiego spotkanie i rozmowę parogodzinną z pewnym przyjezdnym z Berlina dziennikarzem emigracyjnym rosyjskim z „kadeckiego" organu „Bul". Chciał się on informować u mnie o stosunkach partyjnych w Litwie, o naturze i dążeniach stronnictw politycznych. Trochę go o tym informowałem, a jeszcze więcej słuchałem, co mi on mówił. Biedny ten wykolejony świat emigracji rosyjskiej! A przecież marzą się im ciągle perspektywy odrodzenia Rosji burżuazyjnej, która odzyszcze te wszystkie państewka, jakie się oderwały od niej i niepodległość ogłosiły. Są oni tego pewni. W ich pojęciu Rosja wciąż nie jest państwem narodowym jak inne, jeno potęgą powołaną do organizowania Wschodu europejskiego i Azji, wielkim gospodarzem, w którego nieobecności lub chorobie tymczasowej podrzędni domownicy bawią się w jakieś odrębne porządeczki każdy u siebie. Arogancja Rosjan pod tym

względem niczym się złamać nie dała. Czują oni siebie panami, choć są sami okaleczeni, rozproszeni, bez żadnego bodaj bagażu moralnego i kulturalnego.
Spotkałem się dziś z moim kolegą prawowiedem Eustachym Rzewuskim, którego majątek po podziale pasa neutralnego między Litwą a Polską trafił do rąk Litwy. Szuka on tu adwokatów i chce jakoś regulować, ewentualnie likwidować swoje dobra.
Z listu z Bohdaniszek dowiaduję się, że Józia Pruszanowska jeszcze nie przyjechała. Siedzi ona w Rydze i stara się o to, by ją wpuszczono do Litwy, ale tymczasem konsul litewski w Rydze odmówił.

8 grudnia, rok 1923, sobota
Znowu pisze mi z Bohdaniszek Elwira prosząc, abym poczynił ze swej strony w Kownie starania dla pomyślnego załatwienia prośby Józi Pruszanowskiej o pozwolenie na wjazd do Litwy. Jednocześnie mam tez rozpocząć starania o umozliwienie przyjazdu Stefana Mieczkowskiego. Oba te starania trzeba by prowadzić u Danowskiego, obecnego dyrektora Departamentu Milicji w Ministerium Spraw Wewnętrznych. Danowskiego znam dobrze z niedawnych czasów, kiedy on był sędzią w Sądzie Wojennym i w tym charakterze brał niekiedy udział w posiedzeniach Trybunału. Mam wrażenie, że Danowski specjalnych utrudnień robić mi nie będzie i że będzie się szczerze starał zadowolić moje starania, o ile to będzie w jego mocy i o ile nie staną temu na przeszkodzie względy prawne; te ostatnie jednak wcale nie są łatwe do szczęśliwego ich ominięcia, bodaj bardziej jeszcze w stosunku do Stefana Mieczkowskiego, niż do Józi Pruszanowskiej. Bo Józia Pruszanowska opiera się na paszporcie Ligi Narodów jako była poddana rosyjska, emigrantka, która żadnego innego poddaństwa nie optowała i która chciałby tu uregulować sprawy majątkowe matki, mającej tu własność. Jeżeli nie na stałe, to może na czas jakiś Józi by się pozwolenie na przyjazd wyrobić dało, nawet bodaj bez tych podkłamywań, które mi Ewira podpowiada o rzekomym zamieszkaniu Józi w Bohdaniszkach do wieku lat 11 itd. Ze Stefanem Mieczkowskim może być trudniej, bo jest on z urodzenia niewątpliwym Polakiem i formalnych dokumentów na obywatelstwo litewskie nie ma, a opieranie się na fakcie kilkunastoletniego zamieszkania wpierw tu, a potem w Wileńszczyźnie jest bardzo śliskie, bo się opiera tylko na zapewnieniach ustnych; co gorsza zaś, że kwestia przyjazdu i obywatelstwa Stefana może nie tylko w stosunku do niego zakończyć się fiaskiem, ale i skompromitować obywatelstwo litewskie Elwiry jako jego żony. Strasznie więc poruszyć tę rzecz, ale już jeżeli zaryzykować i poruszyć, to lepiej jedną sprawę Stefana, niż naraz dwie – Stefana i Józi. Sprawa Józi może przyczynić się jeno do utopienia sprawy Stefana, bo w ostateczności Danowski może dla dogodzenia mi dopomóc mi w lżejszej sprawie – Józi – przez to samo ubijając kategorycznie ciężką sprawę Stefana. W istocie zaś uważam za wiele ważniejszą sprawę powrotu Stefana, niż przyjazdu Józi, bo powrót i zamieszkanie Stefana Mieczkowskiego w Bohdaniszkach mogłoby rzeczywiście postawić na nogi Elwirę i przeto miałoby wagę realną, podczas gdy przyjazd Józi wydaje mi się zgoła pozbawionym jakiejkolwiek użyteczności. Że Józi matka – Kotuńks Pruszanowska – jest rzeczywiście w położeniu rozpaczliwym – to prawda, ale iluzją jest (a może nawet niebezpieczną) mniemanie, że przyjazd Józi może tu coś Kotuńce dopomóc. Co do mnie, uważam, że gdyby nawet ktoś się znalazł, kto by chciał odkupić Kotuńmki Montowszczyznę z ziemią i lasem, to uczciwość nakazywałaby się z tym wstrzymać, bo własność ta nie jest jeszcze pewna, albo trzeba by było otrzymane ze sprzedaży pieniądze zachować do ewentualnego zwrotu nabywcy w razie, gdyby mu własność odebrano, boć niepodobna oszukiwać człowieka. A jeżeli chodzi tylko o pozwolenie na wyrąb lasu, to na to obecność Józi nie jest koniecznie potrzebna.

9 grudnia, rok 1923, niedziela
Rano mieliśmy na uniwersytecie posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego. Obecni byli Leonas, Mačys, Kriščiukaitis, Bielackin, Wacław Biržiška, Albin Rimka, Šalčius, Alfons Morawski i ja. Omawiane były różne sprawy drobne, w szczególności sprawa trybu egzaminów. Ujawnia się w wydziale tendencja do wciągnięcia do pracy egzaminowej kolegialnie wszystkich tych prelegentów, którzy wykładają rozmaite działy tego samego przedmiotu. Np. prawo konstytucyjne wykładamy ja (część ogólna – na semestrze I i II) i Tumenas (prawo konstytucyjne litewskie – na semestrze III i IV) albo prawo rzymskie wykładają Balogh i Büchler, prawo cywilne – Leonas, Szołkowski, Büchler, prawo karne – Kriščiukaitis i Bielackin. Podług reguły, uchwalonej przez nas w roku zeszłym, każdy przedmiot, który ma w dyplomie jedno stanowisko, stanowi jedną całość bez względu na podział wykładowy prelegentów i przeto z każdego takiego przedmiotu jest tylko jeden ogólny egzamin, który może być przez studenta zdawany dowolnie u któregokolwiek bądź z poszczególnych prelegentów tego przedmiotu. Okazało się, że studenci na tym spekulują, aby sobie ułatwić pracę egzaminową. Wiedza oni, że każdy z prelegentów ma głównie na względzie swój dział, a działy wykładane przez kolegów jeżeli nie lekceważy, to w każdym razie mniej na nie zwraca uwagi na egzaminie; jest to zrozumiałe samo przez się; mimo woli trudniej jest egzaminować studentów z przedmiotu, którego się im nie wykładało, bo się nie wie, na co kładł główny nacisk prelegent, jaka się kierował metodą itd. Studenci więc korzystali z tego i wybierając do egzaminu tego lub innego prelegenta – z góry wiedzieli, z czego się mają staranniej przygotować, a co mogą opuścić lub najpowierzchowniej po łebkach zaledwie dotknąć. Otóż teraz ma być inaczej: ma być zalecone, aby egzamin był wykonywany kolegialnie przez wszystkich prelegentów danego przedmiotu. Skądinąd nic szczególnego dziś na posiedzeniu wydziału nie omawiano.
Po obiedzie było posiedzenie ogólnej Rady całego uniwersytetu. Nie poszedłem na to posiedzenie.

10 grudnia, rok 1923, poniedziałek
Dziś na uniwersytecie zarządziłem pierwsze kolokwium kończącego się semestru. Na kolokwium poświęciłem jedną godzinę z dwóch godzin, przeznaczonych na wykład dzisiejszy. Stosownie do zapowiedzi, pierwsze kolokwium – ustne w postaci pytań, zadawanych poszczególnym wywoływanym studentom i następnie mojej z nimi (z każdym z nich z osobna) publicznej pogawędki na te pytania. Kolokwium zaliczam tylko tym, którzy zostali wywołani i którzy przez to faktycznie w nim udział wzięli. Ponieważ zaś byłoby za długo wszystkich w ten sposób ustnie do kolokwium zaprząc, co by zajęło ze 20 godzin ogółem, więc następnym razem zadam uczestnikom kolokwium tematy do odpowiedzi na piśmie. W ciągu godziny dzisiejszej zdążyłem wywołać i wypytać zaledwie 9 studentów. Wybierałem przeważnie albo pilniejszych, którzy najakuratniej na wykłady uczęszczają i których twarze dobrze mi się już wraziły w pamięci, albo takich, których znam osobiście i których uważam za chłopców inteligentnych. Choć szli oni na pierwszy ogień, ale wywołanie dzisiejsze uwolni ich od odpowiedzi pisemnej następną razą. W liczbie dziewięciu wywołanych byli znani mi z pilności na wykładach: oficerowie Józef Kubilius i Józef Katinskas, adiutant ministra wojny Wincenty Gurewicz, młody chłopiec spod Poniemuńka, Żyd Giecel Mariampolski; poza tym z moich znajomych wywołałem Mowszę-Arona Zaka (syn dobrze mi znanego kupca Zaka z Abel), Kiejstuta Domaszewicza (ludowiec, pracownik partyjny i współpracownik redakcji :Lietuvos Žinios”) i Jadwigę Gieczewską (młoda

dziewczyna, służyła w sądzie okręgowym, potem w Ministerium Sprawiedliwości, obecnie uwolniona z powodu generalnej redukcji etatów urzędniczych). Na ogół kolokwium szło z ożywieniem. Z wywołanych najlepiej się wywiązali Mariampolski i Strimaitis. Wprawdzie stwierdziłem, że przeważnie słuchacze moi słabo się orientują w tych wstępnych zagadnieniach, które im dotąd wykładałem, ale się trudno temu dziwić, bo podręczników brak. Takie kolokwium wydaje mi się dobrym uzupełnieniem do wykładów, bo wymaga przeżuwania głównych problemów przez samychże słuchaczy. Ludzie zaś najlepiej się uczą wtedy, gdy nie zadowalając się biernym pochłanianiem wiadomości muszą sami czynnie umysłem swoim przerabiać wiedzę. Niestety, zdaje się, że jeszcze i w tym roku nie zaczną drukować mojego kursu prawa konstytucyjnego. Zamierzałem początkowo zeszyty już w tym roku szkolnym do druku oddać, ale zaczynam się spostrzegać, że jeszcze trzeba w rękopisie dużo przerobić i że dotychczasowy rękopis jest jeno szkicem.
Bugailiškis odesłał mi rękopis o międzynarodowych stosunkach masońskich. Nie podjął się ich drukowania w wydawnictwach „Kultury”.

11 grudnia, rok 1923, wtorek
Najwstrętniejsza pora roku – najkrótszy dzień, najmniej słońca. Ani zima, ani lato – najgłębsza jesień – śmierć. Człowiek oddycha jakąś mgłą, a nie powietrzem, zamiast światła ma zmrok. Im starszy się robię, tym gorzej znoszę tę długa jesień naszą do Nowego Roku i tym bardziej tęsknię do słońca. O, cóż to za radość mieszkać w klimacie pełnym słońca, gdzie mgły nie sięgają i gdzie nie ma tej naszej ślepej martwej jesieni!
Pragnąłbym już jakiejś zmiany w życiu, pragnąłbym czegoś niezwykłego, co by dało nowe warunki, nową podstawę mojemu trybowi życia. Nie lubię przez zbyt długi czas być w warunkach ściśle takich samych. Zaczyna mię to nudzić i nużyć. Całe życie moje układało się w ten sposób, że miałem ciągłe zmiany, ciągłe nowe sytuacje, ciągle jakieś odrębne okresy życia: Petersburg, Paryż, „Gazeta Wileńska” w r. 1906, ucieczka do Krakowa i półtora roku emigracji, poświęconej pisaniu „Litwy”, powrót, rok w Bohdaniszkach, Wilno, lata młodości i miłości, małżeństwo z Reginą, krótkie dzieje tegoż i zerwanie, Aninka, wojna, Legiony, sądownictwo polskie w Kolnie i Łomży, wreszcie Kowno. Ale tu już wszystko u szczytów – Trybunał Najwyższy, profesura na uniwersytecie, nie ma gdzie sięgać ani wyżej, ani dalej; Litwa – teren maleńki, atmosfera duszna, stosunki trochę zaściankowe.
Chciałbym się jeszcze doczekać jakichś wypadków wielkich, które przełamią stan istniejący, wprowadzą jakieś nowe prądy, zagrożą nowymi niebezpieczeństwami, uczynią ruch i ciągi w umysłach, zmuszą ludzi do przeszacowywania swoich poglądów i uprzedzeń, do wielkiego wentylowania swoich lamusów pojęć. Chciałbym burzy!

12 grudnia, rok 1923, środa
Przed miesiącem przeszło (30 października i 6 listopada) pisałem w dzienniku o rezultatach spisu ludności pod względem układu narodowego ludności w Kownie. Wskazałem, jak znikomo małe cyfry Polaków spis ten ujawnił w Kownie i jakie wnioski stąd snują zarówno Litwini, ogłaszający z triumfem, że oto Polaków w Kownie prawie nie ma i że Kowno jest miastem czysto litewskim, a rzekoma polskość ludności kowieńskiej była li tylko sztuczną naleciałością polonizacji, której sama ludność zaprzeczyła, jak Polacy, którzy zaprzeczają wszelkiej wagi cyfrom spisu ludności i twierdzą, że jedyne cyfry miarodajne mieszczą się w cyfrach głosów, podanych podczas wyborów tajnych na listy narodowe. Że Kowno w ciągu lat ostatnich, odkąd powstała Litwa Niepodległa i odkąd Kowno jest tej Litwy stolicą, ogromnie się zlitwinizowało –

to fakt, który się zaprzeczyć nie da. Przed wojną Kowno niewiele bardziej było litewskie, niż Wilno. Wprawdzie wśród ludności miejskiej Kowna sporo było elementu, napływającego ze wsi litewskiej, ale element ten w mieście się przeważnie polonizował, rdzenne zaś mieszczaństwo kowieńskie było od dawna spolonizowane, uważało się całkowicie za polskie i po litewsku nie mówiło wcale. Była garstka inteligencji narodowej litewskiej, było trochę ludu, który w dobie odrodzenia narodowego litewskiego zachował swoją narodowość litewską, ale to była tylko kolonia litewska, tak samo jak w Wilnie. Żywioł litewski był tu nieco silniejszy niż w Wilnie – po pierwsze dlatego, że Kowno geograficznie jest bliższe ośrodkowi etnograficznemu litewskiemu (za Niemnem począwszy od Aleksoty wieś jest już czysto i wyłącznie litewską, podczas gdy Wilno ze wszech stron jest otoczone wsią spolonizowaną, a z jednej strony – od wschodu – przylega do etnicznego terytorium białoruskiego), a po wtóre dlatego, że Kowno w ogóle było zawsze mniejszym od Wilna centrum kulturalnym, w którym nigdy czynniki kultury polskiej nie były tak zogniskowane i tak nie promieniowały, jak w Wilnie. Założenie w Kownie stolicy państwa litewskiego ściągnęło do Kowna wszystkie siły narodowe litewskie, całą inteligencję, całą żywotność Litwy. Urzędy, teatr, uniwersytet – wszystko się w Kownieześrodkowało i bardzo szybko zaczęło zabarwiać miasto narodowością litewską. Obok starego Kowna żydowskiego i polskiego narastać zaczęło młode Kowno Litewskie, a narastanie to było tak intensywne i podsycane wpływami państwowości, że litewska cecha miasta zaczęła coraz widoczniej przeważać. Ale stare rdzenne Kowno pozostawało z mowy i uczuć polskim. Wprawdzie kto mógł – przypomniał sobie zapomniana mowę litewską, niejeden się nauczył, kto jej nie umiał, bo bez tej mowy trudno było czy to znaleźć służbę, czy w ogóle dawać sobie radę w handlu i życiu publicznym, a stąd niejeden dla kariery istotnie się też litwinizować zaczął. ale na ogół stara ludność kowieńska (chrześcijańska) w ciągu lat pięciu nie zatraciła swego oblicza polskiego. Tymczasem w spisie ludności litewskim się okazało nie tylko to, co napłynęło do Kowna w państwowości litewskiej, ale także ogromna część rdzennego starego Kowna. Nadużyciami urzędników spisu i ich presją przy sporządzaniu spisu wytłumaczyć takiego masowego litwinizowania cyfr niepodobna. Mogła być i była tendencja, ale gdyby sama ludność wyraźnie i kategorycznie się podawała za polską, to presja taka nie sfałszowałaby w tym stopniu wyników. Faktem jest, że sama ludność polska – która się za polską sama uważa – podawała się za Litwinów. Dlaczego? Przede wszystkim dla względów oportunistycznych, wiedząc, że w sporze litewsko-polskim podawanie się w Litwie za Polaków jest źle widziane. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że gdyby w Kownie panowali Polacy i gdyby spis taki był sporządzany pod rządami polskimi, to stosunek cyfr byłby wręcz odwrotny: ile teraz przeważają Litwinim tyle by wtedy przeważali Polacy.

13 grudnia, rok 1923, czwartek
Zarządziłem dziś drugie kolokwium na uniwersytecie – dla studentów wyłącznie I semestru (dla nielicznych studentów wyższych semestrów, którzy są zapisani na moje wykłady, wyznaczone jest osobne kolokwium na poniedziałek rano). Na kolokwium dzisiejsze poświęciłem obie godziny wykładowe – od godz. 7 do 9 wieczorem. Kolokwium było gremialne i pisemne. Wyznaczyłem osiem tematów następujących:
1. Naród. Naród-*populus* i naród-*natio*. Naród-*populus* i społeczeństwo.
2. Społeczeństwo. Społeczeństwo i państwo. Oddziaływanie tworów społecznych na państwo.
3. Doktryna umowy społecznej (*contract social*). *Status naturalis – status civilis*. Pojęcie prawa naturalnego.

4. Obcowanie społeczne. Dwie jego funkcje: zasadnicza funkcja materialna (zaspokajanie potrzeb społecznych) i funkcja formalna, czyli funkcja prawa.
5. Prawo. Normy prawa i normy moralne. Gwarancje norm prawnych. Etyka społeczna.
6. Najważniejsze związki społeczne i ich oddziaływanie na państwo. Narody (*nationes*), klasy społeczne, kościoły. Stronnictwa polityczne.
7. Metody historyczne analizy naukowej. Czynnik woli i celów w obcowaniu społecznym ludzi. Teoria celów zmiennych.
8. Pojęcie społeczeństwa i jego czynniki w Średniowieczu. Pojęcie społeczeństwa w czasach nowszych; negowanie społeczeństwa w doktrynie umowy społecznej wieku XVIII i w dobie Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Pojęcie społeczeństwa w nauce wieku XIX, w szczególności zasługi socjalizmu pod tym względem. Zagadnienie stopienia się społeczeństwa w państwie i zagadnienie anarchii.
Wywoływałem z kolei każdego studenta podług spisu, sporządzonego przeze mnie w tym porządku, w jakim słuchacze w ciągu semestru udzielali mi swych książeczek do podpisu, i każdemu dawałem temat do wyboru z zastrzeżeniem, że na jeden temat może się zgłosić nie więcej nad 20 studentów. Najbardziej rozchwytywane były temat 1 i temat 5. Na oba te tematy zgłosiły się pełne komplety po 20 osób, a amatorów było i więcej, ale już więcej nie przyjmowałem. Z kolei najwięcej się zapisało na temat 6 (14 osób) i na temat 4 (13 osób). Na temat 2 zgłosiło się 7 osób, na temat 3 – 4 osoby, na temat 8 – jeden jedyny student, niejaki Michał Janilionis, a na temat 7 – nikt. Ogółem w tym kolokwium pisemnym wzięło udział 79 studentów z ogólnej liczby 160 słuchaczy I semestru, zapisanych na moje wykłady. Ponieważ poprzednio 9 słuchaczy już odbyło kolokwium, więc takich, którzy jeszcze z I semestru kolokwium nie odbyli, pozostaje 72. Z kolokwium dzisiejszego zebrałem cały stos rękopisów, które posegreguję i przejrzę podczas świąt Bożego Narodzenia, a następnie po świętach omówię publicznie na wykładzie specjalnym. Zobaczymy, czy te odpowiedzi pisemne zawierają coś ścisłego, czy są tylko improwizacjami. Mam wrażenie, że wielu po prostu tylko improwizowało, ale może znajdą się w tych odpowiedziach i ślady pracy i myśli głębszej. Tegoroczne wykłady moje są przez studentów reprodukowane w odbitkach, ale chodzi o to, czy poziom wykształcenia tej młodzieży uzdalnia ją do zrozumienia wykładów, stanowiących bądź co bądź analizę problemów trudniejszych.

14 grudnia, rok 1923, piątek
Smutne nowiny. Nie są one może smutna dla przeciętnego z naszych Litwinów lub Polaków albo jeżeli są smutne dla Litwinów po stronie polskiej (w Wileńszczyźnie) i dla Polaków po stronie litewskiej (w Litwie Niepodległej), to są dla nich smutne li tylko ze względu na ich bezpośredni interes narodowy. Natomiast są one smutne dla nas, to znaczy dla tych ludzi, jak ja, którzy są wychowani na idei braterstwa godeł Pogoni i Orła i na idei doskonałego zespołu narodowości polskiej z obywatelstwem litewskim w kraju – nie tylko są na tym wychowani, ale i świadomie ukochali tę ideę i marzyli o wcieleniu jej życiem swoim w czyn. Ci widzą, jak życie i stosunki realne rozkładają brutalnie te dwa pojęcia – Litwy i Polski, narodowości i obywatelstwa, czyniąc jednych li tylko Polakami, tak narodowo, jak państwowo, i monopolizując narodowość wraz z państwowością litewską dla drugich. Wszystkie wysiłki tzw. „stanowiska krajowego", uczepione u nas począwszy od mojej „Gazety Wileńskiej", które zmierzały do uczynienia z Polaków litewskich solidarnych z Litwinami obywateli i synów Ojczyzny-Litwy, mogących przez to samo stać się mostem zbliżenia Litwy z Polską jako dwóch równych i wolnych krajów – prysły, realną się natomiast wykazała walka wzajemna i rozdział bezwzględny, w którym Polacy litewscy grają rolę kategorycznego rowu, dzielącego oba kraje nienawiścią.

Ale co tu gadać! Krótko mówiąc – oto nowe epizody dalszego zaognienia stosunku. Władze polskie w Wilnie zamknęły gimnazjum litewskie w Święcianach, jedno z dwóch jedynych gimnazjów litewskich w Wileńszczyźnie. Litewskie gimnazjum święciańskie istniało od r. 1918, utrzymując się z prywatnych funduszów litewskich. Urzędowa przyczyna zamknięcia podobno czysto formalna. Jest to cios dla sprawy litewskiej w Wileńszczyźnie bardzo dotkliwy i niewątpliwie krzywda wielka. Tu w społeczeństwie litewskim fakt ten wywołał ogromne poruszenie. Jest to podlanie oliwy do ognia. Dla rozjątrzenia zatargu litewsko-polskiego, który się ciągle żarzy, niewiele potrzeba. Wystarczyłby i fakt drobniejszy; a taki, jak zamknięcie gimnazjum w Święcianach, stanowi ciężki kamień obrazy, który jest zdolny zakłócić i lepsze stosunki. Płyną już protesty zbiorowe i uchwały dotyczące tego faktu. Na uniwersytecie młodzież narodowa zwołała wiec protestu, na którym uchwalono domagać się od rządu konsekwentnego odwetu na szkołach polskich w Litwie i w szczególności – zamknięcia jednego z gimnazjów polskich – w Poniewieżu, oraz zaniechania wszelkiego subsydiowania szkół polskich z funduszów państwowych. Podobne żądania mnożą się. Na niedzielę zwołany jest na placu publicznym w Kownie wielki wiec publiczny protestu w tejże sprawie. Agitacja rośnie, nastroje się rozpalają, może przyjść do ekscesów. Gdzie tu marzyć o pojednaniu, a choćby już tylko o współżyciu, gdy obie strony dążą li tylko do wytępienia się wzajemnego – Polacy Litwinów tam, gdzie władza jest w ręku polskim, a Litwini Polaków tam, gdzie władza jest w ręku litewskim. Większego roznamiętnienia i nienawiści nie było nawet w stosunku do Moskali i do Niemców przed wojną za czasów ucisku carskiego i hakatyzmu. Smutne, ale niestety bardzo realne.

15 grudnia, rok 1923, sobota
Co tu gadać! Smutno. Przez całe moje życie, jak jakiś Syzyf z legendy, dźwigałem kamień w górę – i kamień stale się staczał w dół. Dowodziłem, że nacjonalizm jest tworem sztucznym i obłudnym i że my, Polacy litewscy, powinniśmy stanąć do szeregów pracy obywatelskiej – dla Litwy, a nie dla Polski, powinniśmy zrozumieć i przyjąć to sobie za obowiązek i zaszczyt, żeby być zawsze w pierwszych szeregach budowniczych i kierować się względami dobra kraju, nie uzależniając go od interesów innej zbiorowości krajowej. Protestowałem przeciwko kresowej koncepcji Litwy, czyniącej z niej satelitę i służebnicę czy to Rosji, czy Polski. Odwoływałem się do tradycji przodków naszych. Tęskniłem do tego, byśmy szli w tym dziele ręka w rękę z Litwinami, którzy pracę tę rozpoczęli i z zapałem wykonywali. Wskazywałem, że to jest zarazem jedyna droga realna do istotnej solidarności samodzielnej Litwy z samodzielną Polską, bo jeżeli by miało być inaczej, jeżeli by Polska miała sięgać po panowanie nad Litwą, a Polacy litewscy mieli być tych usiłowań narzędziem, to o solidarności nie może być mowy i możliwą będzie tylko walka. Wierzyłem, że ziarno tej propagandy będzie kiełkować. Wprawdzie kiełkowało ono słabo, bo ci, którzy się niby ze mną teoretycznie w tej akcji łączyli, byli zawsze chwiejni i za lada podmuchem nacjonalizmu zbaczali z drogi. Ale przed wojną, dopóki był wspólny wróg, wspólny zaborca – Moskal – rzecz jakoś szła, choć kulała często. Aż oto nastał czas próby, kiedy przyszło do sprawdzianów żywych. I cóż się okazało? Polacy litewscy poszli gremialnie za nacjonalizmem polskim i oderwali od Litwy Wileńszczyznę; byliby chętnie wcielili do Polski i całą Litwę, bo bodaj w tym jedynym sensie utrwalili sobie naukę o „stanowisku krajowym” i „niepodzielności Litwy”, jeno że okoliczności temu przeszkodziły; Litwini zaś ani myślą tęsknić do zbratania się z Polakami i Polską i dążą jeno do ich wyplenienia, a nie do zbudzenia w nich „instynktu” obywatelskiego, na który zgoła nie liczą. Ja zaś zostałem zupełnie samotny na służbie państwa litewskiego.

Jestem sam konsekwentnie na stanowisku, które było wnioskiem z moich zasad i dążeń, ale przez to już żadnego kierunku nie wyznaczam, żadnego prądu nie reprezentuję: jestem liść zabłąkany. Jeżeli tu gdzieniegdzie spotykam dokoła siebie takichże Polaków litewskich na służbie litewskiej, to są to nie żadni ideowcy prądu, lecz karierowicze pospolici, w których szeregu i mnie zapewne niejeden z obserwatorów bierze za takiegoż karierowicza! Ba, co do mnie – wytrwam, ale przestałem czuć w moim czynie wszelki wyraz prądu społecznego. Jest wprawdzie jeszcze inna kategoria Polaków litewskich, która przeszła na stronę litewską bez żadnego karierowiczostwa – to są ci, którzy się zlitwinizowali z przekonania, jak przede wszystkim na ich czele Michał Biržiška i wielu innych. Ale ci nie są tym, co ja wyrażać i wytwarzać usiłowałem. Są oni tylko Litwinami, podczas gdy ja marzyłem nie o litwinizacji Polaków litewskich, jeno o ich ukrajowieniu i uobywatelnieniu. Moją ideą było nie pomnożenie Litwinów, nie asymilacja litewska Polaków krajowych, lecz to, aby ci Polacy litewscy jako tacy stanęli do szeregu z Litwinami w pracy krajowej. Dziś, zdaje się, idea ta – przynajmniej w obecnym stadium stosunków – zbankrutowała. Nikt z Polaków litewskich do tego się nie garnie, a trudno też dziś i namawiać kogoś do tego, bo Polacy litewscy są tutaj tak sponiewierani i tak brutalnie odpychani, że niepodobna, by się narzucali wbrew woli gospodarzy kraju – Litwinów. Tylko karierowicze się temu poddadzą i wyrzekną nawet swojej polskości, ale ci prądu, o który mi chodziło, nie stworzą.

16 grudnia, rok 1923, niedziela
Odbył się dziś manifestacyjny wiec uliczny dla wyrażenia protestu przeciwko zamknięciu przez władze polskie gimnazjum litewskiego w Święcianach. Oczywiście nie byłem na tym wiecu, bo bolesne jest dla mnie słuchanie szczucia na Polaków, choćbym uznawał, że w danym wypadku Polacy są winni. Niestety, winy Polaków i Polski są mi aż nadto dobrze znane. W bolesnym konflikcie polsko-litewskim żądło winy jest po stronie polskiej. Zagarnięcie Wileńszczyzny – oto klucz do tych stosunków: Polska ma ten klucz, ona go użyła. Zamknięcie gimnazjum litewskiego w Święcianach jest też aktem gwałtu i krzywdy, których winną jest Polska. Niemniej słuchanie potoku nienawiści i pomyj, wylewanych na Polskę, jest dla mnie zanadto ciężkie, a niesmaku dodaje karierowiczostwo patriotyczne tych, którzy się na takich manifestacjach popisują. Poszedłbym na manifestację protestu Litwinów w Wilnie, gdzie manifestowaliby pokrzywdzeni, ale tu, gdzie manifestanci są u władzy i gdzie protest dyszy nie tyle krzywdą, ile zemstą na bezbronnych obywatelach Litwy Polakach – te mowy patentowanych patriotów, robiących karierę na krzykactwie, oraz uczucie nienawiści tłumu – nie są wcale piękne. Oczywiście protest ma rację bytu i trudno żądać od Litwinów, aby przyjęli cios spokojnie i łagodnie; jednak tu wyładowuje on instynkty, które są złe i smutne. Wiec był zwołany przez narodową młodzież uniwersytecką. Musiał być liczny, bo koło godz. 1, gdym szedł przez Laisvės Aleję, była ona prawie pusta: tłumy były widocznie na wiecu – między Placem Ratuszowym a Sejmem. Potem, idąc do domu przez Zieloną Górę, dochodziły uszu moich głośne ryki wiecujących z doliny kowieńskiej. Żadnych relacji z wiecu nie mam. Nie wątpię, że mowy były zapalne i że ich leitmotivem było wzywanie do represji odwetowych na szkolnictwie polskim w Litwie.
Na uniwersytecie odbyło się rano posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego. Omawiany był projekt schematu sekcji ekonomicznej na wydziale naszym, mającej zacząć funkcjonować od roku przyszłego. Pod koniec posiedzenia, ponieważ już była pora wiecowa, mało pozostało obecnych: profesorowie nasi śpieszyli na wiec. W smutnym usposobieniu poszedłem do domu.

Tu zastałem listy z Bohdaniszek. Dowiedziałem się z nich, że z mego ogródka owocowego, który w roku zeszłym zasadziłem, a w tym roku dosadzałem, ukradziono 15 jabłonek zeszłorocznych ze szczepów kowaliskich. Niewiadomy złoczyńca ukradł jabłonki, a na ich miejscu posadził dla niepoznaki osinki. Spostrzeżono to przy obwiązywaniu drzewek na zimę. No i proszęż tu u nas podnosić kulturę i sadzić ogród, kiedy lud jest niestety tak złodziejski, że niczego nie uszanuje.
Marynia wspomina w liście o manifestacji, która się odbyła w Rakiszkach z powodu zamknięcia gimnazjum litewskiego w Święcianach i daje wyraz plotce, która widocznie kursuje tam wśród ziemian miejscowych na usprawiedliwienie władz polskich; mianowicie pisze, że mówca w Rakiszkach, napadając na Polaków za zamknięcie tego gimnazjum, zapomniał dodać, że w gimnazjum w Święcianach wykryto skład karabinów, bomb i nabojów (*sic*!). Oto jak ludzie fabrykują fałsze, jakie się im tylko podobają – na usprawiedliwienie tego, co chcą usprawiedliwić. Obie strony warte siebie wzajemnie. Jeżeli Litwini skrzywdzą Polaków, to ich przyjaciele znajdą setki argumentów na udowodnienie, że wina jest właśnie po stronie skrzywdzonych, a gdy Polacy skrzywdzą Litwinów, to ci sami Polacy tutaj, którzy są tu sami krzywdzeni, wymyślają plotkę o winie skrzywdzonych Litwinów.

17 grudnia, rok 1923, poniedziałek
Wcześnie dziś wstałem i o godz. 8 byłem na uniwersytecie, gdzie na tę godzinę wyznaczone było kolokwium dla studentów wyższych semestrów, zapisanych na moje wykłady. Choć moje wykłady należą do cyklu I i II semestru, jednak jest pewna garstka studentów na wyższych semestrach, którzy prawa konstytucyjnego w swoim czasie nie słuchali i wpisali się na moje wykłady w tym roku. Z nich zresztą mała korzyść, bo będąc zajęci wykładami na swoich semestrach, na moje wykłady zdaje się nie uczęszczają, jeno formalnie się liczą mymi słuchaczami. Kolokwium zarządziłem dla nich osobno. Wieczorem zaś miałem wykład normalny na I semestrze. Ponieważ są to już ostatnie dni semestru przed feriami świątecznymi, a większość moich słuchaczy I semestru – zwłaszcza najpilniejszych – już odbyła kolokwium, więc sądziłem, że audytorium będzie już dziś puste i zaledwie jakichś niedobitków zastanę. Toteż byłem niezmiernie zdziwiony stwierdzając, że audytorium jest pełne. Na ogół nie mogę się uskarżać na brak słuchaczy. W tym roku jest pod tym względem znacznie lepiej niż w przeszłym. Co prawda i liczba studentów jest w tym roku większa, ale mam wrażenie, że i dobór ich jest lepszy, to znaczy, że poziom i pracowitość, i zainteresowanie wykładami, i może inteligencji obecnego I semestru jest wyższy, niż zeszłorocznego. Zresztą przekonam się jeszcze o tym z odczytywaniem ich odpowiedzi na piśmie na zadane im na kolokwium pytania Te odpowiedzi przestudiuję w czasie świąt Bożego Narodzenia. Pewne grono słuchaczy, którzy dla różnych przyczyn w poprzednim kolokwium nie brali udziału, prosiło mię dziś o udzielenie im tematów do pisemnego opracowania przez święta. Zgodziłem się i ośmiu słuchaczom tematy rozdałem. Zapowiedziałem im tylko, że ponieważ pisać będą w domu, mając mniej możności lepszego opracowania tematu, więc też spodziewam się od nich gruntowniejszej pracy, niż te odpowiedzi, które były przez ich kolegów pisane na poczekaniu.
Byłem dziś u dyrektora Departamentu Milicji dla Stefana Mieczkowskiego i dla Józi Pruszanowskiej. Dyrektorem tego departamentu jest obecnie Danowski, były sędzia Sądu Wojennego, którego znam z posiedzeń w Trybunale (w posiedzeniach Trybunału do spraw idących z Sądu Wojennego bierze udział z urzędu jeden z sędziów tegoż sądu). Danowski przyjął mię bardzo uprzejmie i był bardzo miły. Zacząłem od sprawy Stefana Mieczkowskiego. Powiedziałem mu zupełnie otwarcie, jak się rzecz ma. Nie zataiłem tego, że Elwira mieszka w Litwie na zasadzie paszportu krajowego litewskiego

i że przyjazd jej męża może ją narazić na utratę tego paszportu, gdyby się nie dało ustalić obywatelstwa litewskiego Stefana. Co zaś do Stefana Mieczkowskiego, to powiedziałem, że jest z pochodzenia rdzennym Polakiem, urodzonym w byłej guberni płockiej, lecz od r. 1907 mieszka w Litwie – wpierw w Rakiszczyźnie przez lat kilka, a potem stale i dotychczas w Wileńszczyźnie. Danowski bardzo serdecznie i bardzo poczciwie się tym zainteresował i obiecał, że się to da załatwić. Powiedział, abym ja wniósł podanie o pozwolenie na przyjazd Mieczkowskiego na imię ministra spraw wewnętrznych; podanie faktycznie będzie załatwiane przez Danowskiego. Stefanowi udzielone będzie pozwolenie na przyjazd, a następnie po przyjeździe da mu się świadectwo obywatelskie zastępujące paszport, jakie się wydaje wszystkim Wilnianom w Litwie. Pożądane jest tylko, żeby Stefan wystarał się od Komitetu Litewskiego w Wilnie o poświadczenie, że jest mieszkańcem Wileńszczyzny. Będę musiał poprosić Stadziewicza o protekcję do Komitetu Litewskiego w Wilnie. Co do Józi Pruszanowskiej, to rzecz stoi gorzej, ale tez mnie o jej przyjazd mniej chodzi, bo uważam, że w sprawie majątkowej nic ona tu nie zrobi, a nawet może zaszkodzić, gdy się ujawni, że Kotuni scheda bohdaniska należy do obcej poddanej. Józia stara się o pozwolenie przyjazdu w charakterze emigrantki pochodzenia rosyjskiego (specjalne paszporty Ligi Narodów dla tej kategorii osób). Otóż Litwa nie chce wpuszczać tych emigrantów rosyjskich, których potem nie można się pozbyć.

18 grudnia, rok 1923, wtorek
W Polsce, jak donoszą depesze, otrzymane *via* Gdańsk i umieszczone w gazetach, zaszły sensacyjne zmiany w rządzie. Upadł gabinet endecko-piastowski, oparty na tzw. „większości polskiej", wytworzonej przez blok prawicy ze stronnictwem chłopskim Witosa. Upadek nastąpił na skutek rozłamu, jaki zaszedł właśnie w stronnictwie Witosa („Piasta") z powodu kompromisu z prawicą w sprawie reformy agrarnej. Część „piastowców" z posłem Brilem na czele, uznając tezy kompromisowe wykonania reformy agrarnej za niedostateczne, to znaczy ustępstwa Witosa za zbyt daleko idące, odłamała się od stronnictwa i wytworzyła już drugą secesję z „Piasta" (pierwsza secesja pod wodzą Dąbskiego już się poprzednio odłamała i stanęła na stanowisku radykalnego stronnictwa ludowców „Wyzwolenie"). Na skutek secesji brilowców większość rządowa znikła i rząd endecko-Witosowy, w którym figurowały takie filary endecji, jak sam pan Roman Dmowski na stanowisku ministra spraw zagranicznych, podał się do dymisji, nie czekając na *votum* nieufności Sejmu. Jak donoszą depesze, prezydent Rzeczypospolitej Wojciechowski polecił utworzenie nowego gabinetu posłowi Thugutowi, *leaderowi* „Wyzwolenia", a przez to samo dziś wodzowi opozycji, ponieważ „Wyzwolenie" stanowi w tej dotychczasowej opozycji i zwłaszcza w związku z przedmiotem upadku większości – to znaczy w związku z problemem reformy agrarnej – punkt ośrodkowy przeciwnego obozu. Thugut pono misję przyjął. Nasze tu koła polskie ziemiańskie są dość stropione tymi wypadkami w Polsce. Miałem dziś okazję rozmawiać o tym z kilku osobami z tych kół. Pragnęliby oni widzieć zawsze Polskę jako wzór rządów zachowawczych, jako ostoję przeciwko podmuchom rewolucji agrarnej. Do takiej Polski oni tęsknią. Przesilenie rządowe w Polsce na gruncie właśnie reformy agrarnej , stanięcie u steru rządu radykalnego „Wyzwolenia", zaakcentowanie prądów rewolucyjno-agrarnych – to się tu im nie podoba i boli. Co prawda, to biedne nasze ziemiaństwo jest tu rzeczywiście zbolałe ciosami i po prostu torturami, jakie się do niego tutaj stosują tak w zakresie narodowym, jak jeszcze bardziej społeczno-gospodarczym. Nie dają mu ani żyć i rozwijać się, ani likwidować się, ani też je dobijają od razu. Osaczono je ustawami i zarządzeniami politycznymi, które mu nie dają dyszeć, a jednocześnie uniemożliwiono mu wycofanie się ze swych

placówek majątkowych przez zrealizowanie tego, co mu tytularnie niby pozostawiono, stawiając je tymczasowo – ale na czas nieokreślony – w jakiejś pozycji „*glebae adscripti*”, niewolników i męczenników jakiejś specyficznej powinności majątkowej. Toteż nic dziwnego, że jego tęsknoty polskie są tak czułe i tak się czepiają jakichś perspektyw dlań sympatycznych choćby tam, a ranią się, gdy i stamtąd błyskają zawody jego sympatii. Toteż niektórzy z tych naszych ziemian już melancholijnie przyznają, że właściwie wszystko, co po wojnie powstało, nie wyłączając tej Polski wytęsknionej, jest w istocie licha warte, a właściwie najlepszą i godną tęsknoty jest stara przedwojenna carska Rosja z jej gubernatorem kowieńskim p. Wieriowkinem etc. To bądź co bądź charakterystyczne.
Wracając do sytuacji w Polsce – ewentualny rząd Thuguta też bodaj zbyt mocny nie będzie. Jego większość będzie bardzo nieznaczna, a składać się będzie z bardzo niejednolitych elementów, które bardzo łatwo mogą się na lada kwestii rozprzęgnąć; wchodzą tam na przykład mniejszości narodowe obce i robotnicy narodowi, chłopi i Żydzi. Taka większość nie jest ścisła i będzie trudna do utrzymania. Eugeniusz Römer, z którym rozmawiałem, przewiduje dyktaturę Piłsudskiego jako bodaj jedyne wyjście; można by jeszcze dodać – rozwiązanie Sejmu. Thugut jest człowiekiem twardym i pełnym woli. Był on ministrem spraw wewnętrznych w gabinecie Moraczewskiego. Poprowadzi on linie określoną i nie podda się lada przeszkodzie.

19 grudnia, rok 1923, środa
Z otrzymanego dziś z Bohdaniszek od Maryni listu dowiaduję się, że Józia Pruszanowska już przyjechała i bawi w Kowaliszkach. Zdaje się, że przyjechała z Łotwy przez granicę nielegalnie i że żadnego dokumentu, legalizującego jej pobyt w Litwie nie ma. Marynia znowu mię prosi, abym poczynił starania o przychylne załatwienie jej prośby o pozwolenie na wjazd do Litwy, podanej w Rydze w konsulacie litewskim i przesłanej stamtąd do Kowna. Cóż ja tu mogę wskórać! Mówiłem już wszak o tym z Danowskim i ten mi nie obiecał pomyślnego rezultatu. To Elizka Komorowska ją tu ściągnęła. Jeżeli teraz Józia będzie miała jakieś przykrości, o ile się jej pobyt nielegalny ujawni, albo będzie musiała wracać do Polski, co ją narazi na straty materialne, bo tam tymczasem posadę zerwała – to będzie temu winna Elizka, która rozporządza się nieopatrznie, nie zbadawszy gruntu zawczasu; a powinna by chyba wiedzieć, jak trzeba być ostrożnym w tych czasach.
Jakieś są tam znowu w Bohdaniszkach strapienia i biedy. Marynia nie pisze, o co chodzi, nadmienia jeno, że coś znowu takiego zaszło, co budzi wątpliwość u niej i u Elwiry, azali się zdołają utrzymać na Bohdaniszkach; o co chodzi – obiecuje mi opowiedzieć ustnie, w czasie świąt. Prawdziwa bieda. Chwilami się zdaje, że szczęściem by było nie mieć żadnego majątku, bo ten majątek – te nasze biedne kochane Bohdaniszki – są jeno źródłem ciągłych trosk, bied, zmartwień, a korzyści materialnej obecnie nie dają żadnej. Szczególnie są one tym dla mnie. Nie mam z nich ani grosza, muszę jeszcze siostrom pomagać, a co gorsza – to że mam za każdym listem z Bohdaniszek zgryzotę. Majątek w Litwie – to obecnie nędza i męka. Co się tam stało – nie wiem. może zażądano od Elwiry i Maryni uiszczenia litami zeszłorocznej zaległości rekwizycji, może coś innego. Elwira jest smutna, bo Stefan Mieczkowski, jej mąż, wykręca się od przyjazdu do Bohdaniszek; ona by go tu chciała ściągnąć, a on napisał, żeby lepiej ona zebrała pieniędzy (5000 dolarów – mała rzecz!) i przyjechała z dziećmi do niego. Bez Stefana Elwira sama nie może sobie dać rady w gospodarstwie na Bohdaniszkach, a zrywać się i jechać z dziećmi do niego, to i schedę bohdaniską żal porzucać na los niepewny, i nie wiadomo, jak się tam życie ułoży. Teraz mam przez Danowskiego zapewnioną dla Stefana możność przyjazdu do Litwy i wszelkie szanse

zalegalizowania tu jego pobytu, ale skądinąd nie wiadomo, czy warto go ściągać i czy tu się on utrzyma. Gdyby Stefan mógł objąć w Bohdaniszkach w zarząd i dzierżawę także schedę Maryni i moją – to byłoby warto, ale dziś to niebezpieczne, bo wobec wniesionego do Sejmu projektu poprawki do reformy agrarnej majątki, podzielone po r. 1920 formalnie, ale pozostające faktycznie we wspólnym posiadaniu, to znaczy gospodarzone w całości, mają być traktowane za jedną jednostkę, na którą ma być zostawione ogółem 80 ha nietykalnej normy, a nie po 80 ha na każdą schedę. Gdyby więc Stefan rozciągnął zarząd na wszystkie nasze schedy bohdaniskie, to Bohdaniszki mogłyby ulegać temu przepisowi. Zarząd więc ogólny Stefana jest niebezpieczny dla Bohdaniszek, zaś dla Stefana gospodarzenie na małej działce bohdaniskiej Elwiry, wynoszącej bez Staczerag czterdzieści kilka dziesięcin, może się nie opłacać, a w tym ciężkim zastoju gospodarczym, jaki się tu w Litwie wytworzył, trudno o jakieś interesy i przedsięwzięcia uboczne, które by dały Stefanowi inne pole zarobku.

20 grudnia, rok 1923, czwartek
Posłałem dziś Antoniemu Smetonie do „Vairasu" artykulik recenzyjny o przetłumaczonej przez Janulaitisa na litewski znanej książeczce Rudolfa Iheringa „Walka o prawa". Napisałem tę recenzję na prośbę Janulaitisa w drodze wyjątku, bo na ogół publicystyką się obecnie nie trudnię. Smetonę widziałem wieczorem; mówił, że artykuł wydrukuje.
Wykład mój na uniwersytecie dziś do skutku nie doszedł. Dziś był ostatni dzień semestru jesiennego, bo od jutra zaczynają się ferie świąteczne, toteż tempo pracy było już w stanie zaniku. Większość profesorów zakończyło już wykłady semestralne, frekwencja studentów także zmalała. Zresztą zastałem moją salę wykładową zajętą: uniwersytet udzielił jej Towarzystwu Popierania Ligi Narodów, które na dziś zarządziło w niej odczyt publiczny Antoniego Smetony na temat kwestii litewsko-polskiej. Wprawdzie dla mego wykładu została zarezerwowana osobna salka, ale słuchaczy zastałem w niej zaledwie trzech, bo reszta tych, którzy się dziś stawili, poszła na odczyt Smetony. Nie wykładałem więc.
Z depesz prasowych o Polsce okazuje się, że gabinet Thuguta do skutku nie dochodzi. Utworzenia gabinetu podjął się Grabski, który zresztą ma tworzyć gabinet czysto fachowy. Jest to więc wyjście pośrednie.
Od Zygmunta Žemaitisa dowiedziałem się pewnych szczegółów o zamknięciu przez władze polskie litewskiego gimnazjum w Święcianach. Zamknięcie to było dawno przez władze polskie przewidziane i zapowiedziane z góry Litwinom. Władze polskie uprzedziły Litwinów, że jeżeli oni nie będą robili z powodu tego faktu hałasu, to w postaci kompensaty za zamknięcie gimnazjum w Święcianach będą nadane litewskiemu gimnazjum w Wilnie (tzw. Gimnazjum Witolda Wielkiego) prawa gimnazjum państwowego z odpowiednia subwencją państwową. Rzecz ta była zawczasu rozważana w Kownie w gabinecie ministrów, gdzie jednak – w porozumieniu z Litwinami wileńskimi – uznano, że propozycja polska nie jest korzystna i że korzystniejszym będzie dla Litwinów wyzyskanie faktu zamknięcia gimnazjum w Święcianach na wszczęcie alarmu o uciemiężeniu przez Polskę mniejszości narodowych. Jak tłumaczą to koła polskie, gimnazjum litewskie w Święcianach było ogniskiem ciągłej agitacji i propagandy nie tylko narodowo antypolskiej, ale i przeciwpaństwowej, czego władze polskie nie mogły tolerować. Skądinąd koła poważniejszych działaczy litewskich tutaj, jak wiem od Žemaitisa i od Jana Vileišisa, są zaniepokojone tym, by akcje protestów, które się tu w społeczeństwie litewskim mnożą, nie doprowadziły do ekscesów antypolskich i nie sforsowały represji odwetowych na szkołach i gimnazjach polskich tutaj. Żądania takie są tu bardzo ostro podnoszone. Zaiste, jeżeli w Wileńszczyźnie jest

tolerowane tylko jedno gimnazjum litewskie – w Wilnie – to tu Polacy względnie mają sytuację o wiele lepszą, mając cały szereg gimnazjów polskich – dwa w Kownie, w Wiłkomierzu, w Poniewieżu, w Telszach. Rezultaty ostatniego spisu powszechnego ludności, który liczbę Polaków w Litwie wykazał w ilości zaledwie 3%, co wprawdzie nie odpowiada rzeczywistości, ale ma pozory samookreślenia się narodowego samej ludności, dają podstawę formalną agitatorom odwetu do uzasadniania swoich żądań represyjnych słusznością. Żądają oni, aby szkolnictwo polskie, tak ludowe niższe, jak średnie, było zastosowane procentowo do odsetka ludności polskiej w kraju, bo będąc wyższym od tego odsetka, korzysta ono już nie z gwarancji konstytucyjnej, lecz z przywileju i służy nie potrzebom oświatowym Polaków, lecz polonizowaniu Litwinów.

21 grudnia, rok 1923, piątek
Późno w tym roku jadę na święta – dopiero w niedzielę, w przeddzień kucji, a w Bohdaniszkach będę w dniu kucji nad ranem. Jutro bowiem mam jeszcze posiedzenie sądowe w Trybunale. Natomiast powrót do Kowna będzie tym razem późniejszy, bo po Nowym Roku dopiero 12 stycznia muszę być na posiedzeniu Trybunału. Wrócę więc do Kowna 11 stycznia. Przed powrotem do Kowna mam być z Marynią u Eugeniuszostwa Römerów w Pogryżowie. Mam już zakupionych do Bohdaniszek dla dzieci za kilkadziesiąt litów cukierków, słodyczy i zabawek. Jestem dla nich słodkim wujaszkiem, który nigdy z pustymi rękami nie przyjeżdża i którego przyjazd przeto jest zawsze z jak najżywszym utęsknieniem wyczekiwany.
Wróciłem już do zdrowia całkowicie. Mam się lepiej, niż się miałem w przeszłym roku około Bożego Narodzenia. Stan serca jest zupełnie dobry.
Słychać pogłoski, podawane jako pewnik, że stanowisko ministra finansów Petrulisa jest mocno zachwiane i że rychłe ustąpienie jego jest przesądzone. Zapowiadają, że następcą jego będzie ksiądz Jurgutis, obecny dyrektor emisyjnego Banku Litewskiego, były minister spraw zagranicznych.
Gałwanowski wrócił już z Paryża, gdzie na posiedzeniu Rady Ligi Narodów rozpoznawana była sprawa Kłajpedy, przekazana Lidze Narodów przez Radę Ambasadorów na skutek konfliktu w rozstrzygnięciu tej sprawy między Radą Ambasadorów a Litwą. Rada Ligi Narodów zaakceptowała wniosek delegacji litewskiej o przekazaniu tej sprawy specjalnej komisji, złożonej z przedstawicieli państw niezainteresowanych z wyłączeniem mocarstw, reprezentowanych w Radzie Ambasadorów. Formalnie więc delegacja litewska osiągnęła skutek pożądany, ale jaki będzie skutek merytoryczny – to jeszcze kwestia, bo sprawa przekazana została komisji do jej sformułowania w myśl deklaracji wielkich mocarstw z d. 16 lutego r. 1923, zaś ta deklaracja zastrzega uwzględnienie interesów tranzytowych Polski. Na sformułowaniu tych interesów Polski właśnie też polega cały konflikt w sprawie Kłajpedy.

22 grudnia, rok 1923, sobota
Jutro wyjeżdżam na święta.
Zabierając część mego rękopisu zeszłorocznego wykładów dla sporządzania zeń wyciągów i notatek do wykładów tegorocznych przekonałem się, że brakuje mi przeszło 20 arkuszy (około 90 pasków) rękopisu w samym środku. Tworzy to lukę dotkliwą, którą będę musiał uzupełnić na nowo. Zajmie mi to sporo pracy i opóźni opracowywanie dalszego ciągu niedokończonych wykładów zeszłorocznych, nad którym chciałem zacząć pracować zaraz po feriach świątecznych. Teraz będę musiał wpierw tę lukę wypełnić, a dopiero potem zabrać się do dalszego ciągu. Tę brakującą część rękopisu zatracili mi oczywiście zeszłoroczni studenci biorąc rękopis do litografowania. Spostrzegłem się dopiero teraz. Szkoda pracy.

Chciałem się widzieć z Kairysem, który od dłuższego czasu przebywa w Berlinie, studiując tam kwestię kanalizacji, którą ma on kierować w Kownie i bodaj wykładać o niej na uniwersytecie. Kairys przyjechał tu na dni dziesięć na święta. Chodzi o zużytkowanie Kairysa dla kontynuowania naszych stosunków masońskich międzynarodowych za łaskawym pośrednictwem br. Quartier-la-Tente. Kairys będzie się z Berlina komunikować z Quartier-la-Tente, bo z Berlina można to bez obawy czynić pocztą. Nie złapałem Kairysa; wobec tego napisałem mu instrukcję na piśmie, załączając dlań tekst rekomendacyjny do br. Quartier-la-Tente.

23 grudnia, rok 1923, niedziela
Rannym pociągiem o dziewiątej wyjechałem z Kowna. Moja służąca Helena z rzeczami wyjeżdża z Kowna pociągiem poobiednim, żeby się spotkać ze mną w Poniewieżu i dalej jechać razem, ja bowiem miałem spędzić wieczór w Poniewieżu na posiedzeniu organizującej się tamże loży. Wszakże stało się inaczej: w Poniewieżu na dworcu spotkał mię br.·. Urja Kacenelenbogen, który mi oświadczył, że z powodu, że z powodu wyjazdu br.·. Elisona i choroby s.·. Gabrieli Pietkiewiczówny posiedzenie do skutku nie doszło. Wobec tego tymże pociągiem pojechałem dalej – do Rakiszek, gdzie stanąłem o godz. 11 wieczorem. Konie bohdaniskie były obstalowane dopiero na pociąg ranny, przychodzący z Kowna o godz. 4 ½ nad ranem, którym i Helena z rzeczami przyjechać miała. Wobec tego wypadło mi doczekać się w Rakiszkach na stacji tego drugiego pociągu. Bufetowa na stacji pozwoliła mi przespać się na kanapce w pokoiku bufetowym, z czego też chętnie skorzystałem. Wypiłem herbaty, przekąsiłem i o północy położyłem się na kanapce, zamknięty na klucz z zewnątrz przez bufetową.

24 grudnia, rok 1923, poniedziałek
Po przespaniu się w Rakiszkach w bufecie o godz. 3 nad ranem wstałem, wypiłem herbatę i czekałem. Wkrótce przyszły sanie z Bohdaniszek; na moje spotkanie przyjechał Stefan Römer. O godz. 4 ½ przyszedł też pociąg, którym przyjechała Helena z rzeczami. Usadowiliśmy się więc w saniach i ruszyliśmy. Sanna znośna, choć miejscami na gościńcu goło. Jechaliśmy na Rakiszeczki: w Wiwieliszkach w samej wiosce na jakiejś pochyłości sanie się przechyliły i wysypały mnie; przygoda ta jednak, urozmaicając jazdę, nie miała żadnych przykrych skutków.
O świcie przyjechaliśmy do Bohdaniszek, gdzie już zastaliśmy wszystkich na nogach. Dzieci były uszczęśliwione tak z mego przyjazdu, jak z przywiezionych przeze mnie zabawek i słodyczy, stanowiących premie do gry. Stan Helci Mieczkowskiej taki sam: głowa zwieszona na piersi, wygląd straszny, mowa niewyraźna, ślinienie się, wyraz histeryczny. Biedne dziecko! Co do sióstr moich, to te biedy, o których mi Marynia w liście wspominała, polegają na tym, że umłót zboża wykazał u Maryni brak 80 purów zboża na ordynarię i że poszoru wystarczy ledwie na pół zimy, a u Elwiry też niewiele lepiej. Przyrzekłem Maryni po 100 litów subsydium miesięcznie.
Dzień spędziłem na rozmowie z siostrami i zabawie z dziećmi i Stefanem w lotto i w karty. Wieczorem spożyliśmy skromną kucję i zapaliliśmy choinkę dla dzieci, a Stefan ku wielkiej uciesze dzieci puszczał przywiezione przeze mnie fajerwerki.
Józia Pruszanowska jest w Kowaliszkach i czeka na zalegalizowanie jej przyjazdu do Litwy; tymczasem nielegalnie – bez żadnej przepustki – i siedzi nie meldowana. Liczy na moją protekcję, ale, jak już nadmieniłem, w tym względzie nie udało mi się nic uzyskać i przeto wątpię, aby się jej pobyt tu dał ulegalizować. Winna jest Elizka Komorowska, że ją tak lekkomyślnie tu ściągnęła, naraziwszy na koszt i na zerwanie się z posady w Polsce dla niepewnego i w gruncie niepotrzebnego przyjazdu na Litwę.

25 grudnia, rok 1923, wtorek
Boże Narodzenie rozpoczyna się w tym roku pod znakiem mrozów. Mróz przenikliwy, wieczorami i w nocy – nawet trzaskający.
Znowu niepokój. Gligys mi przywiózł z gminy wezwanie „miškų urėdasa" (nadleśniczego), który wzywa mię na pojutrze do swej kancelarii w Rakiszkach w sprawie, jak głosi wezwanie, przejęcia lasów (przejęcie, po litewsku „perėmimas" – oznacza przejęcie na własność państwa, czyli realizację upaństwowienia lasów). Co znaczy to wezwanie – nie wiemy. Być może, że chodzi tu tylko o dalszy szczegół tej procedury, której pierwszy akt był bardzo pomyślnie w październiku dokonany i która może prowadzić nie do upaństwowienia, lecz właśnie do ostatecznego stwierdzenia niewywłaszczalności naszych lasów; ale równie dobrze może tu chodzić o jakąś odpowiedź Departamentu Leśnego, kwestionującą październikowy protokół miejscowej komisji leśnej, która na zasadzie zgłoszonego przez nas aktu dzielczego na Bohdaniszki uznała lasy nasze za nie podlegające upaństwowieniu, nie wchodząc w rozpoznanie szczegółów takich, jak zwłaszcza data śmierci Papy. Od tej w tym wypadku wszystko w istocie zależy: jeżeli Papa umarł przed ogłoszeniem ustawy o upaństwowieniu lasów, to w r. 1921 mogliśmy się lasami dzielić, jeżeli zaś po ogłoszeniu ustawy, to las już nie mógł ulegać działowi jako upaństwowiony z rąk Papy. W istocie Papa umarł po ogłoszeniu ustawy o upaństwowieniu, co kompromituje nasz dział w stosunku do lasów, ale w akcie dzielczym data śmierci Papy nie jest wymieniona. Departament Leśny dwukrotnie już (raz w roku 1921 i drugi raz w r. 1922) żądał ode mnie złożenia metryki śmierci Papy, ale ja jej nie złożyłem. Otóż możliwe, że teraz, po otrzymaniu w Departamencie Leśnym październikowego protokółu komisji znów na to uwagę zwrócono. Sytuacja nasza w sprawie tych lasów jest niewyraźna i przykra, bo nie mamy za sobą formalnego gruntu prawnego. Bronimy się przeciwko gwałtowi legalnemu na naszym mieniu, ale obrona ta jest możliwa tylko o tyle, o ile odpowiednie organy państwowe przeoczą konsekwencje prawne.
Byłaby wielka szkoda, gdybyśmy stracili nasze lasy. Jest to dla mnie źródłem ciągłego niepokoju. Ile razy coś dotyka nasze lasy – zawsze się ten niepokój budzi. Napsuł mi on dużo krwi. Obecnie już Elwira i Marynia ewentualnej straty lasów zbyt do serca nie biorą, ale ja ją biorę, bo czuję w tym tragiczny fatalizm reformy agrarnej, której cień wisi nad Bohdaniszkami i nasuwa się na razie na lasy, ale kto wie, czy nie zagarnie piędź po piędzi całej reszty, łamiąc wszystkie nasze działy i niwelując nas strychulcem ogólnej 80-hektarowej normy do poziomu wszystkich innych dworów. Odkąd reforma agrarna dostała się do rąk Krupowicza, który wykonywanie reformy uzależnił od nowych poprawek, zwróconych do zupełnego pognębienia wszelkich prób – nawet legalnych – jakie były dotąd czynione przez ziemian w kierunku uwolnienia się od reformy lub złagodzenia jej i odkąd wszystko, co dotąd było uczynione w tym kierunku najlegalniej (działy itd.), stanęło znowu pod znakiem zapytania – człowiek się nie czuje niczego pewnym i jeno czeka ciosów.

26 grudnia, rok 1923, środa
Zaniepokojony wciąż jestem tym wezwaniem „miškų urėdasa" na jutro. Kto wie, czy ocalimy dla nas ten biedny las. Jutro się dowiem. Zresztą gdy się zastanawiam nad przyszłością Bohdaniszek, to sam nie wiem, po co i dla kogo my się tak tych Bohdaniszek trzymamy i tyle ofiar, tyle trosk i ciężarów dla ocalenia naszej własności ponosimy. O ile chodzi o schedy Kotuni Pruszanowskiej i Henrysia Wołłowicza, to rzecz jest jasna i prosta: chodzi o możność spieniężenia ich, nie zaś utrzymania własności na stałe. Co do schedy Elizki Komorowskiej, to rzecz jest także prosta: chodzi o zabezpieczenie już nieformalnie dokonanej sprzedaży Kumsz i o ten kawałek

lasu w Staczeragach i Montowszczyźnie, który bądź zostanie przez Komorowskich w tej czy innej postaci spieniężony, bądź pozostanie jako daleki aneks leśny do Kowaliszek; samodzielnej wartości ten skrawek lasu jako taki dla Komorowskich nie posiada. Ale samo centrum Bohdaniszek z dworem i polem dworskim oraz działkami leśnymi do nich, stanowiące schedę moją, Elwiry i Maryni – co z nimi się stanie? Walczymy o nie i ratujemy od pochłonięcia przez reformę agrarną – nie dla zachowania możności ich spieniężenia, lecz właśnie dla ich utrzymania, dla posiadania w nich własności naszej. Póki my żyjemy – są one dla nas drogie jako gniazdo nasze, jako pamiątka rodzinna, jako najukochańsza cząstka nas samych. Ja oto nic z mej schedy nie mam – od trzech lat ani grosza nie otrzymuję i jeszcze łożę na wspieranie Maryni, a ileż mi jeszcze trosk, niepokoju i zgryzot ta walka o Bohdaniszki kosztuje. Marynia pracuje, męczy się, wysila, szarga, wyczerpuje siły i zdrowie na tę gospodarkę, która tak jest niewdzięczną. To samo Elwira. Zdawałoby się – czy nie lepiej ratować Bohdaniszki li tylko dla ich spieniężenia, jak się tylko możność i okazja nadarzy, tak samo, jak robią inni dokoła. Ale nie – my walczymy nie dla spieniężenia Bohdaniszek, lecz dla nich samych, dla ich zachowania, a więc dla ciężarów, kłopotów i pracy na nich. Ale zachowując je za cenę tych ofiar – dla kogo je zachowujemy? Nie wiemy sami. Moją jedyną spadkobierczynią prawną jest moja córka. Dla niej Bohdaniszki są i będą obce. Ich zachowanie żadnej wartości dla niej by nie miało. Z dzieci Maryni – Stefan jest tak lekkomyślny i niezaradny, że oczywiście gdyby mu się Bohdaniszki dostały, to choć jest do nich przywiązany, straciłby je natychmiast i za lada cenę, zaś Ewa Meyerowa tak się przygarnęła do męża i tak się zaaklimatyzowała w Polsce, że kto wie, czy by już miała chęć i energię powrotu do Litwy i osiadania tu na twardej pracy. Może więc być mowa bodaj tylko o dzieciach Elwiry – o Andrzeju i Michasiu, którzy są jeszcze tak mali, że nic pewnego o nich się powiedzieć nie da. Ale z ojca są oni Polakami czystej krwi i kto wie, czy nie pociągną do Polski i czy zresztą obywatelstwo litewskie mieć będą. Choć więc perspektywy są niewyraźne, jednak przywiązanie nasze do Bohdaniszek jest tak wielkie, że się ich trzymamy rękami i nogami; serca nasze tak wrosły w Bohdaniszki, że się nam oderwać niepodobna. A cała nadzieja polega chyba na tym, że dzieci Elwiry, rosnąc tutaj, wrastają także sercami w Bohdaniszki i pokochają je jak my, a wtedy ta miłość ziemi i ich także zdobędzie, jak zdobyła nas – i może w nich się przeleje naszych przodków więź z krajem.

27 grudnia, rok 1923, czwartek
Rano pojechałem do Rakiszek. Wiózł mię ogrodnik Bielski w saneczkach siwą klaczą Maryni. Sanna niezła, ale zimno; mróz kilkustopniowy z wiatrem. W Rakiszkach zastałem Kligysa ze Stefanem Römerem, którzy wyjechali z domu przede mną. Zebraliśmy się wszyscy u Pejsacha Rucha. Pejsach i Kligys byli już zawczasu zbadali, że „miškų urėdas" zajęty jest w kancelarii gminnej licytacją działek leśnych. Wobec tego nie szedłem już do biura „miškų urėdasa", lecz czekałem u Pejsacha, aż się licytacja skończy. Tymczasem zaś Pejsach zaprosił „miškų urėdasa" do siebie. Czekać wypadło długo, bo dopiero o zmroku „miškų urėdas" przyszedł. Okazało się, że moje obawy i tym razem były płonne. Po prostu Departament Leśny, do którego „miškų urėdas" przesłał październikowy akt komisji leśnej, stwierdzający niewywłaszczalność lasów bohdaniskich jako należących do kilku właścicieli drobnych działek, zażądał, byśmy złożyli dokumenty lub formalne oświadczenia („pasižadėjimai"), że nie posiadamy gdzie indziej własności ziemi lub lasu. Odetchnąłem swobodnie. Spadł mi kamień z piersi. Nie ma żądania złożenia metryki śmierci Papy. Może będzie to już ostatni szkopuł na drodze do zupełnego ocalenia własności lasów i może da Bóg, że już otrzymamy wkrótce ostateczną i formalną decyzję przyznającą nam własność naszych

lasów. Poszedłem z „miškų urėdasem” do jego biura i tam żądaną deklarację w moim imieniu napisałem i podpisałem. Reszta współwłaścicieli Bohdaniszek uczyni to każdy we własnym imieniu. „Miškų urėdas” pokazał mi odpowiednie pismo Departamentu Leśnego. Powiedziano tam, że własność lasów bohdaniskich będzie nam pozostawiona dopiero po złożeniu odpowiednich deklaracji. Uradowany wyjechałem z Rakiszek. Wracając zajechaliśmy do Rudel do Stanisława Janki, gospodarza tej wsi, dobrego mego znajomego, który przed wojną służył u Papy za nadleśnego i którego syn 14-letni Staś jest moim chrzestnym synem. Na wiosnę roku 1909 trzymałem go do chrztu z panną Anną Konupek. Janka traktował nas likierami, herbatą i słodkimi bułkami, a na wyjezdnym ofiarował mi upolowanego zająca. Głodny wróciłem na wieczór do Bohdaniszek, bo przez cały dzień nic nie jadłem; tak u Pejsacha, jak u Janki pojono nas wódką, a na przekąskę dawano słodką bułkę i u Pejsacha konfitury, ale solidnego – nic. Ale grunt – że las uratowany. Wprawdzie nie chcę jeszcze mówić „hop!”, nim nie przeskoczę, ale nadzieję mam, a Bóg nam dotąd pomaga.

28 grudnia, rok 1923, piątek
Dzień upłynął w Bohdaniszkach zwyczajnie – bez żadnych szczególnych wydarzeń. Trochę pracowałem nad wyrokami, grałem z dziećmi w różne gry na cukierki, ze Stefanem – w szachy.

29 grudnia, rok 1923, sobota
Przyjeżdżał Paweł Koziełł („Pawełek”) z Użukrewnia z żoną. Zabawili do wieczora ku niezmiernej rozpaczy Elwiry dzieci – szczególnie Andrzeja, którego każdy gość pozbawia możności gry ze mną na cukierki i przez to jest przez Andrzeja – bez względu na osobę gościa – znienawidzony. Paweł Koziełł jest bardzo miłym gościem – zawsze wesoły, humorystycznie pesymistyczny, przedstawiający wszystko w czarnych barwach, ale zawsze przez pryzmat komizmu, dowcipny i niegłupi. Umie opowiadać znakomicie, szarżując i uwydatniając w każdej rzeczy stronę komiczną, zaprawioną zawsze satyrą. Jego żona – rodem Koziełłówna z Wadw, córka śp. Karola Koziełły, słynna niegdyś w naszych stronach Terenia Koziełłówna jako sportsmenka i amazonka, kochająca się w koniach i unikająca zabaw i towarzystwa, jest rodzoną siostrą mojej „pierwszej miłości” – pani Oskarowej Rutkowskiej – i głośnego z pomysłowych „kawałów” pijackich Karola Koziełły (Lolusia) oraz Ottona Koziełły. Obecnie p. Pawłowa Koziełłowa jest już matroną podstarzałą; jest milcząca w towarzystwie, prawie nigdzie nie bywająca, ale pogodna i miła. P. Paweł wygadywał na Litwinów, opowiadał krotochwile, bawił nas przez cały wieczór, zwyczajem swoim roztaczał najczarniejsze perspektywy przyszłości ziemian, kraju, kultury.

30 grudnia, rok 1923, niedziela
Wybraliśmy się do Kowaliszek. Elwira i Marynia pojechały osobno w jednych saneczkach wcześniej i o zmroku wyruszyły z powrotem, ja zaś pojechałem z parobkiem Łasińskim później i wróciłem do Bohdaniszek po kolacji. W Kowaliszkach zastaliśmy Elizkę Komorowską, rezydenta Witolda Komorowskiego, Piotrusia Komorowskiego radkuńskiego, Litkę, która przyjechała na święta z Wilna, gdzie się teraz kształci, i – Józię Pruszanowską. Józia, której nie widziałem od r. 1919, jest w kwiecie młodości; ma już obecnie 22 lata; wygląda ładnie, ładniej, niż się zapowiadała będąc podlotkiem. Brunetka, włosy nosi podstrzyżone i wieszające się szeroką czupryną naokoło głowy do wysokości uszu, usta ma wąskie i długie, oczy duże, twarz podłużną, nie jest piękną, nie ma rysów prawidłowych, ale ma coś żywego i zawadiackiego w całym wyrazie, jest co się nazywa – pikantną; ładną ma szyję i osadę głowy. W ogóle

podobała mi się, a sama młodość dodaje krasy w tym wieku. Miła też jest, dość dziecinna, serdeczna i wesoła, a zwłaszcza – pogodna. Marzy o pojechaniu do Rosji i odwiedzeniu Bielcza; ciągle o tym mówi i egzaltuje się tęsknotą za ta swoją ziemią rodzinną. Jest jeszcze dzieckiem niepraktycznym i trudno sobie wyobrazić, jak by ona zdołała zająć się sprzedażą lasu ze schedy swej matki w Montowszczyźnie, gdyby się udało zalegalizować jej pobyt w Litwie. Ma ona wciąż nadzieję, że władze litewskie udzielą jej sankcji na przyjazd legalny i pobyt w Litwie – choćby czasowy dla zlikwidowania interesów; prosiła mię więc o ponowienie starań w tym celu, o co mię też i Elizka Komorowska gorąco prosiła. Obiecałem to uczynić, chociaż wątpię, aby się to udało, bo Litwa nieskora jest do dopuszczania na swe terytorium emigrantów za tzw. paszportami Nansenowskimi, za którym też Józia tentuje o zalegalizowanie wjazdu i czasowego zamieszkania w Litwie. Bardzo mile spędziłem dzień w Kowaliszkach. Józia bardzo ożywiała towarzystwo. Szkoda mi jej. Co zaś do lasu Kotuni, który jest celem przyjazdu Józi, to Hektor podobno uzyskał zapewnienie rakiskiego „miškų urėdasa” (bodajże nie bezinteresownie), że udzieli pozwolenia na wyrąb „dzielanek” w lasach bohdaniskich w schedach Komorowskich, Kotuni, Elwiry i Henrysia Wołłowicza. Hektora i Julka nie zastaliśmy dziś w Kowaliszkach – akurat pojechali na polowanie gdzieś za Poniemuńkiem. Zitki w Kowaliszkach nie ma – nie przyjechała z Wilna na święta. Zitka od jesieni zamieszkała w Wilnie z Litką i Litki kuzynką i towarzyszką nauk – Renią Jarosławówną Komorowską (ze Skrobiszek). Litka z Renią uczą się w Wilnie w szkołach klasztornych, a Zitka gotuje się do egzaminu matury, aby wstąpić na uniwersytet i kształcić się do zawodu nauczycielskiego. Urzędowo wobec władz litewskich nazywa się, że są one w Rydze i ten ich rzekomy pobyt w Rydze jest tak umiejętnie symulowany dokumentami, że żadnej obawy wykrycia ich rzeczywistego miejsca pobytu nie ma. Pobyt bowiem w Wilnie uchodzi tu w obecnych stosunkach za nielegalny i może narażać na przykre konsekwencje, których każdy unika.

31 grudnia, rok 1923, poniedziałek
Mróz siarczysty. Rano było 16 do 17° mrozu Réaumura. Pogoda. Śniegu mało. Ostatni dzień roku. Lecą lata rok za rokiem – jakby je coś gnało.
Zwyczajem bohdaniskim, przekazanym nam przez Rodziców naszych – żadnego „spotykania” Nowego Roku nie robiliśmy: pożegnaliśmy rok 1923 i spotkaliśmy rok 1924 każdy w swoim łóżku, śpiąc smacznie.

1 stycznia, rok 1924, wtorek
Rok ubiegły nie był w Bohdaniszkach szczęśliwy. Szczególnie był on bolesny dla Elwiry, której córka – Helcia – zapadła na ciężką chorobę. Oby rok nadchodzący ją mógł uzdrowić, w co wątpię. Biedna Helcia wygląda monstrualnie. Żal na nią patrzeć. Głowę ma zwisłą na piersi pod kątem prostym, twarz brzydka, jakby nabrzmiała, wyraz oczu zmęczony i mętny, wzrok kosy z konieczności, bo patrzy z dołu i nieco przechylając zwieszoną głowę na bok, palce na rękach wybrzękłe, oddech krótki, sapiący i chrapliwy, drganie głowy i rąk, głos gruby i głuchy, mowa niewyraźna jak u paralityka, ślina często ciecze z ust albo przy śmiechu z nosa się leje, korpus jakiś zginający się w połowie jak złamany, jakby brakło kości pacierzowej. Nieszczęśliwe dziecko. Chyba pozostanie kaleką na całe życie – na utrapienie rodziny i na nieszczęście własne. Dopóki żyje matka i dopóki bracia są dziećmi, dopóty jeszcze los jej jest znośny; ona sama nie zdaje sobie sprawy ze swego wyglądu, a Andrzej i Michaś, jak zwykle dzieci, prędko się oswajają z kalectwem, które widzą codziennie i na które przestają zwracać uwagę, bo przestaje ich ono razić. Zaś dla matki kalekie dziecko nie jest mniej kochane od zdrowych, a może bardziej jeszcze, bo nieszczęśliwe. Do

kochającego serca matki wstręt nie ma dostępu. Ale dla obcych kalectwo takie i brzydota są rażące i stają się nieznośne w obcowaniu. Smutna przyszłość takiej dziewczyny – chorej, spaczonej i niedołężnej. Lepiej by jej było umrzeć. Czy Helcia zdaje sobie sprawę ze swego stanu i z wrażenia, które wywiera na obcych – nie wiem. Zdaje się, że nie. Nie unika ona ludzi, a gdy są goście, to siada przy wszystkich i zapewne ani myśli o tym, że się nią ludzie brzydzą i że sama jej obecność jest odrażająca. Nie jest też dla mnie przyjemnie, gdy w zabawach i grach w karty lub inne gry z Andrzejem i ze Stefanem Römerem uczestniczy Helcia, której sam widok jest przykry. Ale niepodobna ją wyłączyć, bo to by było okrutne. Lubi ona te gry i zabawy i łakomi się na cukierki i inne słodycze. Przez litość więc trzeba ją do gier tych dopuszczać. Czuje jednak Helcia, że jedyne serce, które jest jej niezachwianie wierne i które nie czyni żadnej różnicy między nią a innymi, owszem – kocha ją tym bardziej – to serce matki. Toteż jest do matki przywiązana niezmiernie i chodzi za nią jak cielę za krową, a każdy wyjazd Elwiry do sąsiedztwa, na targ, do lasu jest dla Helci dramatem. Andrzeja prześladuje Helcia często, skarży matce, drażni. Jest coś histerycznego w jej usposobieniu, a może i sama choroba jest jakąś ostra formą histerii. Przypuszczam, że choroba Helci musi być oparta na syfilisie ojca. Tak mi się zdaje.

2 stycznia, rok 1924, środa
Przez wczorajszy dzień nowego roku szalała zawieja. Stefan Römer, który jeździł wczoraj do Rakiszek, wrócił dopiero dzisiaj. Nocował w Rakiszkach. Dziś nie śnieżyło, ale wiatr nosił śnieg wczorajszy. Mrozy wciąż kilkunastostopniowe.
Wczoraj przyjechał do Bohdaniszek Hektor Komorowski; odjechał dziś przed obiadem. U Hektora zawsze każda wizyta ma cel. Tym razem chodziło o naradzenie się ze mną w sprawie eksploatacji lasu Kotuni w Montowszczyźnie i o ułożenie podania na wyrąb naraz 8-10 hektarów dla wyrobienia pola uprawnego pod folwark. Gdyby w tej postaci dało się uzyskać pozwolenie, byłoby to dla Kotuni bardzo dobre, bo i z lasu wpłynęłaby gotówka, i z kawałkiem pasieki łatwiej byłoby potem ziemię sprzedać. Hektor ma nadzieję, że się to może da zrobić za protekcją „miškų urėdasa“ rakiskiego, którego Hektor umie zjednywać. Podanie ułożyliśmy od imienia Kligysa , na którego imię ma być przelana plenipotencja Kotuni przez jej pierwotnego plenipotenta – Józefa Petrulisa w Rakiszkach.
Przychodził dziś do mnie z wioski Dogil gospodarz Andrzejewski w takiej oto sprawie. Dwór Dogile, niegdyś własność Klimańskich, ostatnio zaś własność Przeździeckiego z Rakiszek, został w tym roku wywłaszczony na rzecz reformy agrarnej i rozparcelowany dla małorolnych. Część ziemi dworskiej przedzielona do wsi Dogile. Andrzejewski dostał z ziemi dworskiej 4 hektary nadziału. Teraz wieś Dogile się komasuje i z szachownicy przechodzi na kolonie. Otóż przy tej komasacji niektórym wypada skupić całą swoją kolonię na ziemi dworskiej, to znaczy nie tylko otrzymać nadział dodatkowy z tej ziemi, ale i swoją dawną własność wioskową przenieść na teren wywłaszczonej ziemi dworskiej. Tego się gospodarze boją. Dopóki chodzi o otrzymanie kawałka ziemi dworskiej – dotąd dobrze, ale gdy chodzi przy tym o zamianę własnej ziemi na dworską, to powstają obawy: a nuż państwo litewskie się nie utrzyma, a nuż zapanuje tu Rosja, Polska lub ktoś inny, a nuż nastaną inne rządy i inne prądy, które nie uznają wywłaszczenia dokonanego przez Litwę i zechcą zwracać dwory pierwotnym właścicielom tychże! A nuż wtedy wróci do dworu Dogil Przeździecki i wyprosi tych, co osiedli na jego ziemi. A dokądże wtedy się udać, gdy się tymczasem własną ziemię już zamieniło na dworską i gdy już na swojej dawnej ziemi dziedzicznej w wiosce siedzi ktoś inny. Takie oto obawy trapią kolonistów, których reforma agrarna osadza na parcelowanych ziemiach dworskich. Charakterystyczne też jest na przykład, że 80-

hektarowe centra wywłaszczonych dworów, które rząd od swego imienia sprzedaje, nie znajdują nabywców, podczas gdy takie same centra, sprzedawane przez ziemian z pozostawionych im niewywłaszczalnych cząstek ich dawnych majątków, są nabywane chętnie i nawet nieraz drogo. Ludzie się od rządu kupować te centra boją, aby w razie jakiejś zmiany państwowości i prądu nie uznano ich praw za kaduczne i nie odebrano im kupionej nie od właściciela, jeno od zaborcy ziemi.

3 stycznia, rok 1924, czwartek
Chodziłem dziś z leśnikiem Sadowskim do Gaju dla cechowania jodeł do wyrębu na zimę bieżącą. W roku zeszłym otrzymałem pozwolenie z Departamentu Leśnego na wyrąb 350 sztuk jodeł na wybór – na budowę domu. Ubiegłej zimy wyrąbałem 142 sztuki, które tej jesieni popiłowałem na deski i belki. Tej zimy wyrąbię resztę 208 sztuk, a może i więcej – do 250-300 sztuk, bo władze leśne dokładnie ilości wyrąbanych drzew nie sprawdzą, a dla lasu to nie zaszkodzi, gdyż stare jodły w Gaju, sterczące pojedynczo wśród młodego rosnącego lasu, są tam zupełnie zbyteczne – i same są łamane przez wiatr, i młodzieży rosnąć przeszkadzają. Na dom jeszcze mi dużo potrzeba drzewa, a jeżeli coś zbywającego pozostanie – to sprzedam. Rąbać mi i zwozić drzewo do dworu na „rum" będzie Marynia swoimi parobkami i końmi; tą robotą spłaci mi ona 42 dolary, które mi jeszcze pozostała winna z r. 1922 ze 100 dolarów, pożyczonych jej na dzierżawę ogrodu Stawskiego w Anopolu. W przeszłym roku rąbałem drzewo po lewej stronie drogi centralnej idącej przez Gaj i tylko w jednej działce, gdzie było najwięcej grubych drzew. Dziś cechowałem znowu po lewej stronie tejże drogi w następnej działce. Wycechowałem na wyrąb 50 sztuk. Brałem jodły tylko od 11 cali (w przeszłym roku brałem od 10 cali). Okazuje się, że jeszcze sporo jest towaru na wyrąb dla budowy domu. Z pozoru zdaje się, że w Gaju nie ma już budulca; gdy jednak się wchodzi w las i ogląda sztuki, to się ich jeszcze dużo znajduje. Jutro pójdę cechować w dalszym ciągu. Śliczny jest las zimą. Rozkosznie chodzić po lesie. Śniegu napadało dużo; jest on sypki, więc głęboki – chodzić przeto miejscami ciężko, ale jest ładnie, bo jodły są osypane śniegiem. Mróz wciąż trzyma duży – kilkunastostopniowy. Zimno tym większe, że jest wietrzno. W lesie dużo śladów lisów, zajęcy, wiewiórek. Wilków, których ubiegłej zimy dużo było, teraz tu w okolicach Bohdaniszek nie słychać. Jednak niezbyt daleko stąd, w okolicach Poniemuńka, jest ich sporo. Komorowscy kowaliscy polowali już na nie parokrotnie.
Nie tylko na dworze jest tej zimy tak zimno. W domu bohdaniskim chłód jest też wielki, a w moim pokoju na górze jest tak przeraźliwie zimno, mimo że się co dzień dwukrotnie pali w piecu, że niepodobna wytrzymać. O siedzeniu tam ani mowy nie ma, ale i spać jest zimno. Dziś wieczorem temperatura w moim pokoju była tak lodowata, że uciekłem spać na dół i położyłem się w salonie na herbowej kanapie.

4 stycznia, rok 1924, piątek
Jakem wczoraj wspomniał, chłód mię wygnał z mego pokoju na górze i nocy dzisiejszej spałem w salonie na kanapie, a więc w samym środku domu. Po jednej stronie – na jednym końcu domu – lokuje się Marynia i Stefan Römer, po drugiej stronie – w sferze korytarza – gnieździ się Elwira z dziećmi i służącymi. Bohdaniszki mają dobry zwyczaj wczesnego snu: zimą o godz. 7-8 wieczorem Morfeusz obejmuje panowanie nad domem i wtedy uśpionych ludzi zluzowuje czynna armia paców, które czuwają i grasują po całym domu przez nic, szanując jeno pokój Maryni, w którym śpi ich wróg – Maryni bolończyk „Rusak". Dorośli i dzieci śpią snem sprawiedliwych; Elwira zimą już od godz. 5 po południu myśli o śnie, a jeżeli czasem którego dnia jakiś gość spóźniony przetrzyma ją do godz. 10 albo nawet 9 wieczorem, to już nazajutrz o godz. 5 po

południu Elwira daje dzieciom i sobie sygnał do snu. Za to rano dom się budzi przed świtem: o jakiejś godz. 5 rano albo wcześniej przychodzi Łasiński po klucze dla karmienia inwentarza; słychać otwieranie drzwi, kroki, dzwonienie kluczy; potem budzi się i wstaje Elwiry pięcioletni Michaś, raźny i wesoły, pełny energii z rana, którego głosik rozlega się donośnie i dzwoni jak śpiew skowronka; potem Michaś biegnie do Maryni, budzi ją, gada; Marynia wstaje, rozpala sama piece na swojej stronie, budzi swoją służbę, dom coraz bardziej napełnia się gwarem i ruchem pracowitego trybu gospodarki domowej. Śpiąc w salonie słychać wszystkie te dźwięki, słychać całe to budzenie się stopniowe domu. Przyjemnie. Ma się rzeczywiście uczucie spokoju wiejskiego i błogości na łonie rodziny. Przez cały dzień Elwira i Marynia się krzątają, doglądają swego gospodarstwa, kręcą się, wydają zarządzenia, same coś robią, przenoszą, gderzą; dzieci myślą tylko o zabawie, a Maryni syn Stefan, o ile ja go nie wzywam do wspólnej gry z dziećmi lub gry w szachy ze mną i o ile Marynia nie posyła go do gospodarstwa, siedzi w swoim kąteczku w wielkim pokoju i cos pisze, rysuje, fabrykuje, tworząc w swoim ustroniu jakiś swój własny świat fantazji i pomysłów, do którego nikogo nie dopuszcza. Zdolny on jest, ale niezrównoważony i słabego charakteru. Do życia praktycznego jest on zupełnie niezdatny. W gospodarstwie Marynia mało ma z niego pożytku, bo Stefan robi li tylko to, co mu Marynia każe doraźnie, jest więc popychadłem i to kiepskim. Ale pisze ładnie, ładnie rysuje i maluje, śliczne ma kompozycje architektoniczne, dekoracyjne i w pisaniu – stylistyczne. Nie umie jednak tego zużytkować praktycznie ani bodaj powiązać w całość. Do pism posyła wiersze, które wypisuje ze starych publikacji periodycznych, albo ilustracje, które przerysowuje ze starych roczników „Tygodnika Ilustrowanego", „Kłosów" lub innych wydawnictw. Popełnia więc plagiaty. Rozmaitymi charakterami pisma pisuje sam do siebie jakieś egzaltowane, ekscentryczne, pełne polotu, ideałów, sentymentu, pieszczot lub nawet momentów dramatycznych listy miłosne lub inne od wyimaginowanych osób. Komponuje jakieś nowelki, w które wplata różne wyciągi z książek, podając je za oryginalne. Kocha się w efektach, w sytuacjach niezwykłych, dramatycznych – w burzy uczuć, w gruchaniu pieszczotliwym, w zwątpieniu, w pesymizmie, w grze kontrastów uczuciowych, którymi zapełnia swoje twory i plagiaty. Jego dziennik i pamiętniki są zbiorem osobliwości kompozycyjnych, w których wszystko jest zmyślone, sztuczne, niepospolite, pościągane z rozmaitych autorów, częściowo przerobione i dopasowane. Osobliwy człowiek. Marnuje się on tutaj – to pewne, ale gdyby się tylko stąd dostał do miasta i miał żyć na własną rękę z jakiegoś zarobku, to by nie potrafił, bo się wykolei zaraz i nie umie się utrzymać na wodzy; jak Cygan – żyje tylko chwilą, wrażeniem i odruchem, nad którymi panować nie umie i nie jest w stanie.

5 stycznia, rok 1924, sobota
Mrozy trzymają ostre. Wczoraj wieczorem było 18° Réaumura, dziś rano – 19°, we dnie się zachmurzyło i termometr podniósł się do 12°, trochę śnieżyło i zawiewało, ale na wieczór mróz znowu większy. Jeżeli przez dzień jutrzejszy mróz nie zelży, to ciężko nam będzie pozajutro z Marynią wyjeżdżać na kolej i jechać do Cytowian. Szkoda mi wyjeżdżać, bo w Bohdaniszkach mam doskonały wypoczynek.
Mam przykry ból newralgiczny w lewej szczęce, toteż nie odważyłem się iść dzisiaj do Gaju cechować drzewa na wyrąb. Umówiłem Michasia Nemeikšysa do stawiania w Gaju sążni drew z powału i suchostoju.

6 stycznia, rok 1924, niedziela
Ostatni dzień w Bohdaniszkach. W nocy wyjeżdżamy z Marynią. Mróz lżejszy – 18° Réaumura, ale wiatr zawiewa sypkim lotnym śniegiem, który lata po polach i nie

lokalizuje się nigdzie, a zasypuje niziny, ogałaca wyżyny, niweluje drogi i niszczy wszelkie ślady. Do Bohdaniszek przyjeżdżały na parę godzin panie Anna Pisaniowa i Piotrowa Rosenowa. Moja służąca Helena mi zachorowała dzisiaj: ma silną gorączkę i ból gruczołów szyi; leży w łóżku. Zostaje ona w Bohdaniszkach do soboty i ma wieźć moje rzeczy i ptactwo dla mnie do Kowna po powrocie Maryni z Cytowian. Boję się jednak, żeby się nie rozchorowała poważniej. Zresztą czasem myślę chętnie o ewentualnym wydaleniu lub wydaleniu się Heleny; wtedy wziąłbym na jej miejsce znowu Jadzię Čepasówną, która już jest moją kochanką (wprawdzie dotąd tylko na jeden nie niebezpieczny dla niej rodzaj zabawy zmysłowej) i z której może wyrobiłbym matkę mego syna, o czym wciąż marzę.

7 stycznia, rok 1924, poniedziałek
Po krótkim przespaniu się wstaliśmy z Marynią o godz. 2 po północy i o godz. 3 wyjechaliśmy do Rakiszek na kolej. Mróz ostry (14-15° Réaumura) z wiatrem. O godz. 6 rano wyjechaliśmy pociągiem z Rakiszek. Wagon był nieopalony, mroźny, pusty. Pociąg ciągnął się żółwim tempem, stojąc na stacjach tyleż czasu, ile szedł między stacjami. Wystygliśmy porządnie, a nogi marzły nieznośnie. Na dalszych stacjach wagon napełnił się żołnierzami, wracającymi z urlopów świątecznych, ale to niewiele pomogło na chłód. W Radziwiliszkach jedliśmy obiad i przesiedliśmy na pociąg lokalny, idący do Szawel. I tu było równie zimno. W Szawlach o godz. 7 wsiedliśmy do pociągu idącego na Taurogi i koło godz. 9 dojechaliśmy do stacji Pogryżowa. Tu czekały już nas konie cytowiańskie – dobra para rosłych koni, zaprzężonych w wygodne szerokie sanie wyjazdowe. Od stacji do dworu w Cytowianach, w którym mieszkają Eugeniuszostwo Römerowie – 3 do 4 kilometrów. Mróz taki sam, kilkunastostopniowy, z wiatrem. Eugeniuszostwo czekali nas z herbatą i kolacją. Byliśmy zziębnięci całodzienną jazdą w nieopalonych wagonach, ale i w domu cytowiańskim nie zaznaliśmy ciepła fizycznego, a pokoje gościnne, w których nam spać wypadło, okazały się lodowato zimne – z temperaturą nie wyższą ponad 3-4 stopnie ciepła.

8 stycznia, rok 1924, wtorek
Zaraz po śniadaniu Zosia Römerowa zabrała się do roboty nad portretem moim. Ten portret był od dawna zapowiedziany i służył nawet za formalny powód dla specjalnego zaproszenia mię do Cytowian. Zosia Eugeniuszowa Römerowa, Dembowska z domu, córka dr Tadeusza Dembowskiego z Wilna, ma duży talent artystyczny. W swoim czasie, będąc panną, kształciła się w rysunku i malarstwie za granicą, w szczególności przez czas długi w Paryżu, gdzie się szczególnie zaprzyjaźniła z bawiącą tamże w tym czasie Helą Römer-Ochenkowską. Ta ostatnia była potem w Wilnie bodaj głównym ogniwem zapoznania się, zbliżenia i następnie małżeństwa Zosi z Eugeniuszem Römerem (w r. 1911). Małżeństwo to doszło do skutku wbrew woli rodziny Eugeniusza i w szczególności woli jego matki – Celiny z Przeciszewskich stryjenki Izydorowej Römerowej (Eugeniusza ojciec – stryj Izydor – w tym czasie już nie żył). Główną przyczyną tej niechęci było to, że matka Zosi – doktorowa Dembowska, znana w Wilnie ze swego skąpstwa, czyniącego ją postrachem chorych w klinice chirurgicznej dr Dembowskiego, której gospodarką zarządzała – skądinąd osoba zacna, światła i miła – była rodem mieszczką krakowską. Choć jej mieszczaństwo było stare i patrycjuszowskie w genealogii mieszczaństwa polskiego, to przecież nie było ono szlachectwem – i to było „brakiem” Zosi. Zosia jednak po wyjściu za Eugeniusza zdołała pozyskać zaletami osobistymi całą rodzinę mężowską. Wprawdzie stryjenka Izydorowa do końca życia (umarła w roku 1916) krzywiła się na nią, ale poza tym

wszyscy inni bliżsi i dalsi krewni z rodziny Römerów uznali i ocenili wartość Zosi Eugeniuszowej. Jest ona bardzo dobrą żoną, doskonałą matką obecnie już pięciorga dzieci, pracowitą i gospodarną ziemianką, osobą pełną taktu, kobietą rozumną i posiadającą sztukę życia, giętką, umiejącą się zastosować do warunków i okoliczności, ceniącą stosunki rodzinne, umiejącą żyć z ludźmi i bardzo zręcznie zdobywać ich sympatie. Po rodzicach swoich odziedziczyła ona praktyczność, która nie jest u niej wypaczona przez naturę artystyczną, tak rzadko się kojarzącą z praktycznością. Zosia jest dzielną i umie sobie dawać radę w życiu. Umie ona z każdym człowiekiem tak się obejść zręcznie, tak umiejętnie się im zająć i zainteresować – szczerze czy symulacyjnie – jego osobą, że każdy lgnie do niej i gotów w niej widzieć przyjaciółkę swoją osobistą, mimo że w głębi jest ona może zimna i – jak powiadają Rosjanie – „себе на уме». Doświadczyłem to nawet sam w stosunku moim kowieńskim do Zosi. A choć może ona bardziej udaje to zainteresowanie się osobą, niż się interesuje istotnie, jednak robi to w sposób bardzo miły i zjednywający serca. Umie okazać się ciepłą i serdeczną, a umieć okazać się – to nie mniej, niż być. Pomimo zamążpójścia, trosk gospodarstwa domowego, obowiązków żony i matki, które spełnia bez zarzutu, nie zerwała ona i ze sztuką. Z natury praktyczna, dzielna, karna – pracuje i nad sztuką systematycznie. Jej rodzaj – to portrety pastelowe. Ma duży talent i ciągle ćwiczy swoją technikę. Rysuje i maluje dużo, powiększając zastęp artystów w rodzinie Römerów. Nosi sie obecnie z zamiarem wystawienia w Kownie prac swoich, które następnie wystawi ewentualnie i w Polsce oraz gdzie indziej. Dla wystawy w Kownie zaprojektowała ona zrobienie mojego portretu jako osoby znanej i popularnej wśród społeczeństwa litewskiego. Dziś portret ten zaczęła pracując nad nim aż do zmroku, jutro go skończy. Portret zapowiada się bardzo dobry. Pozowanie nie tyle mię zmęczyło, ile radykalnie „zmroziło”, bo chłód był taki, że aż dygotałem, szczególnie że trzeba było siedzieć bez ruchu. Kilkakrotnie wypadło zarządzić przerwę i rozgrzewać mię sznapsem.

9 stycznia, rok 1924, środa
Znowu od śniadania do zmroku Zosia Römerowa pracowała nad moim portretem. Portret jest gotów. Pozostają do wykończenia pewne szczegóły tła, do których obecność moja nie jest potrzebna. Portret jest, jak wspominałem, pastelowy. Wyobraża on popiersie moje; siedzę w fotelu, z głową wspartą na prawym ręku, opartym łokciem o kantorek staroświecki mahoniowy; na półce górnej kantorku na poziomie głowy szereg ksiąg, symbolizujących moją powagę męża nauki – profesora. Portret jest udany, ładny. Podobieństwo, zdaje się, duże. Zosia obiecała darować mi ten portret z zastrzeżeniem udzielania go na wystawy jej prac. Ten portret będzie dobrym nabytkiem do galerii naszych portretów rodzinnych. Szkoda tylko, że nie mam syna do kontynuowania rodu Römerów w pokoleniu moim, któremu bym mógł przekazać tę ciągłość portretów, w której są tylko dwie luki: mego prapradziada Stefana-Dominika i mego ojca Michała-Kazimierza.
Oprócz tego Zosia wieczorem narysowała małe portreciki – mój i Maryni – w albumie, w którym ma zwyczaj portretowania wszystkich gości odwiedzających Cytowiany. Ten albumik będzie ładną i wartościową pamiątką w przyszłości.
Tak oto ubiegły dwa dni naszej gościny cytowiańskiej. Jutro rano wyjeżdżamy. Przez te dwa dni nie wyszliśmy ani razu z domu. Ostry mróz z wichrem i zamiecią nie usposabia do przechadzek. W samym domu cytowiańskim jest tak zimno, że się przez cały dzień jest skostniałym, a nogi są stale lodowate i czasami aż bolą od chłodu. Dom w Cytowianach jest duży, stary, pięknie zbudowany, ale na takie mrozy zimny, choć się cały opala. Dom ten składa się z dwóch domów – jeden wzdłuż, drugi, takiejże wielkości, dobudowany do poprzedniego w poprzek. I jeden, i drugi jest zbudowany w

ten sposób, że pokoje tworzą w nim jakby galerię, obiegającą wieńcem cały dom, a przeto wszystkie są przechodnie, mające cechę pokojów bawialnych. We wszystkich pokojach posadzki, piece kaflowe z ornamentacją i karnizami ozdobnymi, niektóre – okrągłe. Jeden pokój duży z kolumnadą, mogący służyć do zebrań, posiedzeń, teatru; był on kiedyś jadalnym, pamiętny jest przez to, że w r. 1831 został w nim za czasów ówczesnego pana Cytowian Przeciszewskiego (Cytowiany przeszły w ręce Römerowskie po kądzieli przez matkę Eugeniusza – Celinę z Przeciszewskich Izydorową Römerówą) podpisany akt akcesu powiatu rosieńskiego do powstania polskiego. Dużo ładnych mebli, mahoniów staroświeckich. Na ścianach pełno obrazów, przeważnie portretów roboty Zosi, jest także kilka obrazów Edwarda-Mateusza Römera, które były posagowymi jego córki, a mojej żony Reginy i które ona sprzedała Eugeniuszostwu, wyjeżdżając w r. 1921 z Cytowian do Grodna. Cały dom ma cechę staroświeckiego domu pańskiego. Kiedyś pokoje sypialne mieściły się na dole w murowanych półsuterenach, a cały parter, stanowiący obecną rezydencję, był przeznaczony dla celów towarzyskich. Jest i pokój kwiatowy na oranżerię zimową z oknami dużymi aż do posadzki.
Eugeniuszostwo mają obecnie dzieci pięcioro: dwóch synów – 11-letni Roch-Edward, pierworodny w rodzinie Römerów i niespełna trzyletni Andrzej, i trzy córki – 12-letnia Zosia, 9-letnia Gienia i 5-letnia Hela. Dzieci bardzo miłe, dobrze ułożone i przeważnie ładne. Ładną będzie dziewczynką najstarsza Zosia, bardzo nad wiek wysoka, o malutkiej główce na wysokiej szyi, o czarnych dużych oczach; pełną wdzięku jest mała Gienia, rezolutna i dzielna, z typu przypominająca siostrę Eugeniusza – Anię, obecną Adamową Virionową; najmłodsza Hela będzie zapewne najbrzydsza – przypomina ona z grymasu swego dziada po kądzieli, dr Tadeusza Dembowskiego z Wilna, który urodą się bynajmniej nie odznacza; Hela ma i grymas, i takie same malutkie oczy, jak u dziada. Synowie obaj się udali: starszy – Roch-Edward – którego w spieszczeniu nazywają Redziem, jest ze wszystkich dzieci najmniej podobny do rodziców, ma nos duży, nieco zagięty krogulczo, robi wrażenie charakteru energicznego i pełnego temperamentu chłopięcego; drugi, maleńki, jest jednak rozwinięty, wymowny, śmiały, bardzo miły.

10 stycznia, rok 1924, czwartek
Pożegnaliśmy dziś z Marynią Cytowiany. Wracamy, ja – do Kowna, Marynia – do Bohdaniszek. Pociąg, który idzie w kierunku na Szawle, odchodzi ze stacji Pogryżowa o godz. 9 rano. Trzeba więc było wstać bardzo wcześnie i po rannym śniadaniu i pożegnaniu się z rodziną Eugeniuszostwa wyjechaliśmy o godz. 8 na stację. Zachodziła obawa, czy pociąg pójdzie w porę. Z powodu sypkiego śniegu, który nie zaznał odwilży i który jest suchy i lotny jak mąka, unoszący się za lada podmuchem wiatru i z powodu dużych wichrów dni ostatnich ciągłe się tworzą zaspy, które utrudniają regularny ruch pociągów. Wczoraj np. pociąg odszedł z Pogryżowa zamiast o godz. 9 rano – o 5 po południu. Wiedzieliśmy o tym, więc nie mieliśmy pewności, czy jeszcze nie wypadnie nam do Cytowian wrócić. Ale nie mieliśmy już ochoty wracania, bo spieszno nam było do domów. Gdyby pociągi szły podług rozkładu jazdy, powinienem był na godz. 5 po obiedzie być już w Kownie, a Marynia o 11 w nocy w Abelach. W Pogryżowie na stacji powiedziano nam na razie, że pociąg może się spóźnić, ale będzie. Odprawiliśmy więc furmana z końmi. Atoli niebawem ogłoszono na stacji, że pociąg jeszcze nie ruszył z Pożerun i przeto nic nie wiadomo, kiedy przyjdzie do Pogryżowa. Stanęła więc przed nami perspektywa kilku godzin czekania na małej stacyjce w lodowatym chłodzie nędznej poczekalni. Szczęściem przyszedł nam z pomocą p. Michał Montwiłł, wieloletni rządca Eugeniusza, który właśnie bawił na stacji, odprowadzając swego

synka Michasia i krewną Sakielównę, odjeżdżających do Poniewieża do gimnazjum. Zaprotegował on nas do władz stacyjnych. Zalokowano nas w pokoiku ciepłym w miniaturowym mieszkanku naczelnika stacji, gdzie ogrzeliśmy się w upale przy piecu za wszystkie te czasy chłodów. Władze stacyjne, bardzo wrażliwe na protekcję Montwiłła jako rządcy wielkich dóbr, a więc potentata wobec tych nędznych urzędniczków, wysilały się na jak najgościnniejsze przyjęcie nas. U pomocnika naczelnika stacji byliśmy zaproszeni na herbatkę i przekąskę, złożoną z wódki i gorącej świeżej kiełbasy, potem u naczelnika stacji na obiad. Byliśmy więc przynajmniej ogrzani i syci. Każdy z tych biednych urzędniczków stacyjnych, ledwie zipiących na nędznej pensyjce i dorabiających się trochę na gościńcach z rąk żydowskich przy ładowaniu i wyładowywaniu wagonów z towarami, co jest jedyną ich gratką na tym skąpym pustkowiu ich służby, aspiruje do jakichś łask dworu – ten do udzielenia mu mieszkania w zabudowaniach dworskich, tamten do poszoru dla krówki; nic też dziwnego, że protekcja Montwiłła jest u nich potężną rekomendacją, która wywołuje na stół i wódeczkę, i kiełbaskę, i obiad. I naczelnik stacji, i jego pomocnik, jak się to często spotyka na głuchych stacyjkach Litwy, nie są Litwinami, choć publicznie gorliwie używają języka litewskiego, którego się już nauczyli siako tako i ze swą mową właściwą domową ukrywają się w domu jak mysz pod miotłą. Naczelnim stacji, niejaki Zieńczyk, młody człowiek, jest Białorusinem z Grodzieńszczyzny, żonatym z rodowitą Warszawianką, kobieta młodą i ładną jak krew z mlekiem, rodzącą dzieci i karmiącą je pięknymi piersiami, co zdaje się być jedyną, ale naturalną i przeto ładną – racją jej bytu; pomocnik naczelnika jest prawosławnym z kolonistów rosyjskich powiatu trockiego, żonatym z Sybiraczką rodowitą. Obydwa te gniazdeczka urzędników, zamknięte w miniaturowych pokoikach budek stacyjnych na pustkowiu, są pepinierami produkcji dzieci jako jedynej sztuki życia, która jest i ucieczką, i zabawą, i zasadą tych żywotów głuchych. Koleje tej wojny pokojarzyły Białorusinów z Warszawiankami, kolonistów rosyjskich z Litwy z Sybiraczkami – i dziwną grą przygód i przypadków zagnały tych ludzi na służbę Litwy, która zatyka nimi głuche dziury luk, wytworzone przez brak odpowiednich wykwalifikowanych sił litewskich. Siedzą oni tu po małych stacyjkach , siedzą do czasu, wiedząc, że przyszłości tu wielkiej mieć nie mogą, ale są tolerowani, dopóki są jeszcze potrzebni, a potem przy okazji i sami gdzieś wyruszą w dalszy świat. Pociąg przywlókł się do Pogryżowa dopiero koło godz. 3 po południu i zabrał nas. Przed przyjazdem pociągu Eugeniuszowie przysłali jeszcze po nas konie, proponując nam powrót i nocleg do jutra, ponieważ dziś spóźnimy się już na dalsze pociągi z Szawel, ale woleliśmy już *quand meme* ruszać naprzód i próbować szczęścia, bo wszak i jutro nie wiadomo, czy się lepiej powiedzie. W Szawlach rzeczywiście nie zastaliśmy już żadnego pociągu w kierunku Radziwiliszki-Kowno. Utknęliśmy więc na dworcu i siedzimy cierpliwie, nie ruszając się z miejsca. Pociąg ma być dopiero o godz. 3 ½ w nocy. Tymczasem szły tylko pociągi na Janiszki i Możejki. Widziałem się z przejeżdżającymi lub czekającymi w Szawlach z pociągu na pociąg – wszystkimi trzema braćmi Biržiškami – Michałem, Wacławem i Wiktorem, ze Stanisławem Szołkowskim, z Jerzym Šaulysem.

11 stycznia, rok 1924, piątek
Wypadło nam przesiedzieć na dworcu kolejowym w Szawlach calutką noc. Pociąg, który miał przyjść o godz. 3 w nocy, spóźnił się z powodu zasp śnieżnych i przyszedł o godz. 7 rano. Wynudziliśmy się i wymęczyliśmy tym siedzeniem na dworcu. Publiczności było dużo, a krzeseł w bufecie, gdzieśmy siedzieli, mało, toteż gdy się miało krzesło, trzeba je było pilnować, bo gdy się na chwilę wstało, zaraz je ktoś chwytał. Nad ranem zebrały się już całe tłumy publiczności, że gdy nadszedł spóźniony

pociąg, cały biały od śniegu, w którego zaspach był pogrążony, takie mrowie się nań rzuciło, że nie pozostawało mi nic innego do zrobienia chcąc zapewnić sobie miejsce, jak wpakować się z Marynią do wagonu II klasy. Zdążyłem jeszcze wybiec na stację i dopłacić do biletu II klasy. W Radziwiliszkach pożegnaliśmy się z Marynią, która, znużona tą wycieczką cytowiańską i klnąca niewygody podróży zimowej, wraca do Bohdaniszek, podczas gdy ja ruszam do Kowna. Drzemiąc przez całą drogę, dojechałem na godz. 1 po południu do Kowna. Gdyby pociągi szły normalnie, byłbym w Kownie od godz. 5 wczoraj, czyli spóźniłem się o 20 godzin. Chwała Bogu, że przynajmniej tą razą było ciepło, bo i na dworze temperatura się podniosła, i wagony były opalane. Po przyjeździe do Kowna pośpieszyłem jeszcze do Trybunału, gdzie się dziś odbywało posiedzenie gospodarcze. Spóźniłem się zresztą na nie. Przywitałem się z kolegami, odebrałem moją pensję miesięczną. Zastałem już wydany z druku po przerwie rocznej wydawnictwa numer czasopisma „Teisė". Jest w nim wydrukowany mój artykuł sprawozdawczy o koloniach wychowawczo-poprawczych dla nieletnich w Szwajcarii. Zanotuję jeszcze ten szczegółik, że wszystkie trzy wyroki Trybunału, umieszczone w tym numerze „Teisė", są wyrokami opracowanymi przeze mnie. Od Janulaitisa dowiedziałem się, że podczas świąt w tygodniku „Vairas" Antoniego Smetony ukazała się moja recenzja tłumaczonej przez Janulaitisa książki Iheringa „Walka o prawa". W recenzji umieściłem parę pochlebnych (ale pradziwych) zwrotów, tyczących osoby Janulaitisa, które go, zdaje się, bardzo ujęły.

12 stycznia, rok 1924, sobota
Do obiadu brałem udział w posiedzeniu sądowym Trybunału. Wieczorem na doroczne ogólne zebranie Litewskiego Towarzystwa Prawniczego nie poszedłem wcale. To posiedzenie było przystosowane do mającego się jutro odbyć ogólnego zjazdu dorocznego adwokatury i zwołanego na jutro przez Ministerium Sprawiedliwości zjazdu sędziów pokoju z całej Litwy. Łącznie z tymi dwoma zjazdami wyznaczony został na jutro przez zarząd Towarzystwa Prawniczego II zjazd (kongres) prawników Litwy.
Na obiedzie w restauracji „Wersalu" spotkałem się z Czernichowem. Jest to działacz społeczny i publicysta żydowski kierunku demokratycznego, z zawodu prawnik, przed wojną pomocnik adwokata w Wilnie, obecnie w Kownie nie praktykujący w adwokaturze, bo nie zna języka litewskiego. Czernichow po powrocie z Rosji po wojnie zamieszkał w Litwie, bojąc się wracać do Wilna, bo nie ufał Polsce i był do niej uprzedzony z powodu osławionego antysemityzmu polskiego. Z pojęciem Litwy łączył pojęcie jakiegoś szczególnego raju żydowskiego, który tu ma kwitnąć. Tu jednak powoli zaczął się rozczarowywać i zwracać stopniowo w kierunku wręcz przeciwnym. Miałem możność obserwowania tej ciekawej ewolucji , charakterystycznej dla bardzo wielu Żydów litewskich. Przede wszystkim, iluzje Czernichowa o raju żydowskim w Litwie zaczęły pryskać pod wpływem obserwacji stosunków społeczno-gospodarczych. Rozwijająca się ruchliwość gospodarcza chrzescijan, pozbawiająca stopniowo gruntu pośrednictwo żydowskie, następnie wzrost antysemityzmu politycznego w społeczeństwie litewskim, polityka finansowa Litwy ostatnich czasów, nieprzychylna aspiracjom gospodarczym Żydów itd. – zaczęły zacierać różowe barwy poglądów pierwotnych. Poza tym osobiście Czernichow niczym nie był związany z tą częścią kraju, która dziś tworzy Litwę niepodległą ani też z samym społeczeństwem narodowym litewskim. Zaczęło mu być ciasno i duszno w Litwie, gdzie wobec Żydów stawały perspektywy twardej walki o byt i o stanowisko gospodarczo-społeczne w nowym układzie stosunków oraz zagadnienie kurczenia się i mozolnego przystosowywania do różnych nowych zjawisk. I oto stopniowo tęsknoty jego, jak

wielu innych w żydostwie wschodnim, zwróciły się do... Polski, tej samej Polski, którą on i jego towarzysze tak byli okrzyczeli za antysemicką, barbarzyńską i depczącą prawa ludów. Właśnie Czernichow świeżo jeździł (oczywiście po sekretem) do Polski, był w Warszawie i Wilnie. I wrócił całkowicie przekonany na rzecz Polski, zdecydowany do zamieszkania w Polsce, co więcej – przekonany o konieczności połączenia Litwy z Polską na jakichś zasadach autonomicznych. Widzi on wprawdzie w Polsce dużo braków, ale imponuje mu jej wielkość, rozmach, szerokie perspektywy gospodarczo-przemysłowe i handlowe, ruch polityczny, w ogóle – ramy mocarstwowe Polski. Jest to ewolucja w usposobieniach żydowskich bardzo charakterystyczna, która dziś w sprawie wileńskiej czyni postawę Żydów z agentów opozycji na rzecz Litwy – rzecznikami rozciągnięcia państwowości polskiej na Litwę.

13 stycznia, rok 1924, niedziela
Ponieważ mojej służącej Heleny jeszcze nie było, bo nie wróciła z Bohdaniszek, więc nocy dzisiejszej pozwoliłem sobie na ucztę zmysłową, sprowadziwszy do domu dziewczynkę, niejaką Karusię z Poniewieża. Na ogół prowadzę obecnie życie pod względem zmysłowym cnotliwe, rozpusty przygodnej z dziewczynami nie uprawiam i kontentuję się moim stosunkiem z Jadzią Čepasówną, która mię co niedziela odwiedza. Ten stosunek jest zaprawiony subtelną poezją budzenia się młodziutkich świeżych zmysłów Jadzi, które lgną do zmysłów męskich, a nie znajdując ujścia w obcowaniu prostym i naturalnym, narażającym na konsekwencje zapłodnienia i przeto dotąd przez nas nie zrealizowanym, zbaczają na moanowce rozkoszy niezwykłych, jakie gdzie indziej tworzy sztuka lunaparów i pieszczoty kurtyzan paryskich.
Rano byłem na uniwersytecie na posiedzeniu Rady Wydziału Prawniczego. Obecni byli dziekan Leonas, profesorowie Kriščiukaitis, Balogh, Bielackin i ja, docenci Rimka, Šalčius, Morawski, Szołkowski. Posiedzenie trwało krótko. Rozpoznawane były różne podania studentów. kwestie obchodu 200-letnej rocznicy urodzin Kanta, uroczystości 16 lutego itd.
Wieczorem w sali posiedzeń sądowych odbyło się posiedzenie zjazdu prawników litewskich. Zjazd jest krótki, ograniczony do tego jedynego posiedzenia. Prawdopodobnie ze względu na zeszłoroczny incydent na pierwszym takimże zjeździe, który na wniosek Suginta uchwalił rezolucję, stwierdzającą, że wybory Prezydenta Rzeczypospolitej dokonane zostały z pogwałceniem przepisów Konstytucji, co nadało zjazdowi zeszłorocznemu pewną cechę jaskrawie opozycyjną, na zjazd nie przybył wcale minister sprawiedliwości Tumenas, który zwykle bierze czynny udział we wszelkich przejawach życia zbiorowego prawników, i nie stawił się także nikt z prawników sejmowych obozu chrześcijańsko-demokratycznego, a więc ani Oleka, ani Karoblis, ani Šiling. W pozwoleniu na zjazd, udzielonym przez władze, zastrzeżono też wyraźnie, że przedmiotem obrad mogą być li tylko przedmioty wskazane w porządku dziennym – bez żadnych zboczeń na inne tematy. O zjeździe zreferuję jutro.

14 stycznia, rok 1924, poniedziałek
Słówko o II zjeździe prawników litewskich, który się odbył wczoraj. Na zeszłorocznym I zjeździe prawników nie byłem obecny, bo się odbył w czasie mego pobytu w Bohdaniszkach na feriach świątecznych. O ile wnosić mogę z tego, co o nim słyszałem, był on mniej liczny i mniej poważny od obecnego; referaty były słabsze, obrady miały cechę bardziej wiecową, uchwalano rezolucje o charakterze politycznym, na ogół przebieg zjazdu był bardziej chaotyczny. Inicjatywa tych zjazdów należy do Toliušisa, który ją pierwszy podjął w jesieni r. 1922 w zarządzie Towarzystwa Prawniczego. Zjazd tegoroczny zapowiadał się na razie gorzej od zeszłorocznego. Choć zarząd

Towarzystwa Prawniczego jeszcze w listopadzie ogłosił o zamierzonym zjeździe, wzywając prawników do zgłaszania referatów na zjazd, to jednak do samych świąt Bożego Narodzenia ani jeden referat nie był zgłoszony. Termin zjazdu był już jednak wyznaczony, a nie można go było odraczać, bo z konieczności musi on być przystosowany do dorocznego zjazdu adwokatury, aby ułatwić jak najliczniejszy udział prawników z prowincji w zjeździe. Poza tym w tym roku w tymże terminie zwołany był przez ministerium zjazd sędziów pokoju z całej Litwy, co także zapewniało zjazdowi prawników liczny zastęp uczestników. Zresztą w ostatnich paru tygodniach zgłoszono kilka referatów. Do prezydium zjazdu powołano na przewodniczącego adwokata posła Michała Ślażewicza, na zastępcę przewodniczącego – prezesa Sądu Okręgowego w Mariampolu Stankunasa, na sekretarzy – pomocników adwokatów Norejkę i Kerpego. Asystencja zjazdu była liczna; wszystkie ławy sali posiedzeń, w której odbywał się zjazd, były zajęte. Obecni byli sędziowie Trybunału i Sądu Okręgowego w Kownie, członkowie adwokatury, wyżsi urzędnicy Ministerium Sprawiedliwości, sędziowie pokoju prowincjonalni, spory zastęp studentów-prawników. Wygłoszone były cztery referaty. Wysłuchałem tylko trzech. Pierwszy był referat Zygmunta Toliušisa informacyjny o organizacji sądownictwa w Łotwie. Referat był zajmujący i wyczerpujący, oparty na starannym przestudiowaniu kwestii w specjalnej wycieczce, odbytej w tym celu przez Toliušisa do Łotwy w czasie ubiegłych świąt Bożego Narodzenia. Drugi – znakomity – referat wygłosił poseł żydowski do Sejmu i pomocnik adwokata przysięgłego Robinson na temat o ustawodawstwie ochrony lokatorów po wojnie tak w Litwie, jak w Europie Zachodniej. Referat ten był znakomity, bardzo starannie opracowany, rzecz pierwszorzędnej wartości naukowej, uzupełniona dzielnymi wnioskami referenta. Młody Robinson jest siłą wybitną w kraju, która ma wagę nie tylko dla społeczeństwa żydowskiego, którego jest rzecznikiem politycznym obozu syjonistów. Jest bardzo wykształcony i zdolny, zna dobrze język litewski, jest dobrym politykiem i dobrym prawnikiem, poza tym bardzo sympatyczny i chwalony człowiek. Jako początkujący adwokat – zyskuje także bardzo rozległą praktykę. Potem był „referat” adwokata Zabielskiego, nędzny, dotyczący kilku drobnych szczegółików praktyki adwokackiej, zgoła nie opracowany. Ostatnim był referat ściśle teoretyczny, Leonasa, streszczający doktrynę Duguita. Ponieważ doktrynę tę znam na wylot, bo mam z nią ciągle do czynienia w moich wykładach uniwersyteckich, więc referatu Leonasa nie słuchałem. Zjazd polegał li tylko na wysłuchaniu referatów. Była to więc raczej akademia.

15 stycznia, rok 1924, wtorek
Dziś nas w Trybunale w gabinecie prezesa Janulaitis swoim aparatem fotografował. Ażeby sam mógł wziąć udział w grupach, przyszedł z żoną, która dokonała zdjęć za niego. Żona Janulaitisa (piękna i młoda kobieta) z pewnością lepiej od niego zna się na fotografii, bo sama osobiście jest malarką portrecistką, a jako Jurašaitisówna z domu jest córką znanego przed wojną w Wilnie fotografa Jurašaitisa, właściciela zakładu fotograficznego i cynkograficznego. Toteż fotografie te się może udadzą. Zrobione zostały cztery zdjęcia: jedno – całego Trybunału w komplecie, to znaczy sędziów, prokuratury i kancelarii; drugie – samych sędziów (prezes Kriščiukaitis i trzech sędziów – Janulaitis, ja i Čepas); trzecie – samej prokuratury (prokurator Kalvaitis i podprokurator Valtis); czwarte – samej kancelarii (sekretarz Vaidelis, podsekretarz Rymkiewicz i dwóch kancelistów). Zdjęcia te zostały dokonane z okazji zwróconej do nas wszystkich przez redaktora Puidę prośby udzielenia mu naszych fotografii do reprodukcji w piśmie ilustrowanym „Krivulė”. Zresztą tam chodzi o fotografie

pojedyncze i zdaje się, że zdjęcia Janulaitisa nie będą tam reprodukowane, jeno prośba Puidy nastręczyła Janulaitisowi myśl o tych zdjęciach jako pamiątkach dla nas samych. Zwracał się dziś do mnie były sędzia okręgowy, obecnie poseł do Sejmu, nasz brat Antoni Sugint w sprawie tematu do pracy dyplomowej. Sugint przed wojną i podczas przesłuchał cały kurs nauk prawniczych na którymś z uniwersytetów rosyjskich, ale egzaminów ostatecznych nie zdał i dyplomu nie ma. Chce otrzymać dyplom naszego uniwersytetu w Kownie i w tym celu zdaje u nas egzaminy z tych przedmiotów, z których w Rosji nie zdawał lub które są u nas, a których tam nie było. Z prawa konstytucyjnego ma egzamin zdany w Rosji, więc tu u nas zdawać z wykładanego przeze mnie kursu nie potrzebuje. Musi on jednak złożyć nam pracę naukową na piśmie z dowolnie obranego przedmiotu. Otóż wybiera on temat z zakresu prawa konstytucyjnego, mianowicie cos ze sfery tzw. parlamentaryzmu, czyli rządów parlamentarnych. Przyszedł się radzić ze mną. Chce analizować instytucje kontroli Sejmu nad władzą wykonawczą w ustroju parlamentarnym. Jest to pierwszy w mojej praktyce profesorskiej wypadek wyboru tematu do pracy dyplomowej w zakresie mego przedmiotu. Oczywiście mię to zainteresowało. Zresztą na naszym uniwersytecie do prac dyplomowych jeszcze właściwie nie doszło, bo dopiero w tym roku pierwsza grupa naszych słuchaczy – nieliczna – będzie próbowała aspirować do dyplomu.

16 stycznia, rok 1924, środa
Zajęty jestem pracą wypełniania luki w moim rękopisie wykładów uniwersyteckich, którego część została w roku zeszłym zatracona przez studentów, pożyczających ode mnie ten rękopis dla sporządzenia sobie odbitek wykładów. Jeszcze się nie wdrożyłem w tę pracę, jeszcze jej tempa nie wyrobiłem. Od jutra wezmę się do tego energicznie, przysiądę fałdów, zmuszę siebie do roboty rzetelnej.

17 stycznia, rok 1924, czwartek
Przełamałem siebie i zmusiłem się do forsownej pracy nad uzupełnieniem luki w moim rękopisie wykładów. Najwyższy czas było to zrobić, bo niebawem dojd już w wykładach do tej luki, która przeto do tego czasu musi być uzupełniona, gdyż improwizować wykładu nie potrafię. Siłą woli wdrożyłem się dziś w to pisanie i poszło mi jak na początek dobrze.
Wieczorem miałem na uniwersytecie wykład, pierwszy po feriach świątecznych. Moi słuchacze należą już do II semestru.
Wysłałem dziś przez Bank Litewski (emisyjny) pieniądze do Paryża na zakup książek naukowych z dziedziny prawa konstytucyjnego. Sprowadzam sobie dzieła Esmeina, Duguita, Hauriona, Nézarda i Dicey'a (w tłumaczeniu francuskim). Frank francuski dużo stracił na kursie – płaciłem po licie za 2 franki, co czyni 20 franków za 1 dolara (latem, gdym był w Paryżu, kurs franka wynosił: 1 dolar = 17 franków, potem doszedł nawet do 16 franków za dolara).

18 stycznia, rok 1924, piątek
Dużo dziś i dobrze pracowałem nad uzupełnieniem rękopisu moich wykładów uniwersyteckich. Luka w rękopisie, którą obecnie muszę odrobić, dotyczy rozdziału o czynniku prawa w państwie. Jest to rozdział wielkiej wagi i wartości, który w moim systemie wykładów poprzedza i stanowi klucz do drugiej części nauki o państwie – mianowicie do właściwego prawa konstytucyjnego, część pierwsza bowiem stanowi w moich wykładach społeczną naukę o państwie, czyli naukę o państwie jako związku społecznym, jako zjawisku obcowania społecznego ludzi.

Praca, którą teraz rozpocząłem, wypełniając tę lukę, jest podobną do tej, która mie pochłaniała w ubiegłym roku szkolnym. Jest to właściwa praca twórcza. W semestrze ubiegłym pracy tego rodzaju nie miałem: tam przerabiałem tylko rękopis zeszłoroczny wykładów, wygładzając go, częściowo skracając lub przerabiając. Ta praca twórcza, do której obecnie zmuszony zostałem wrócić, jest co do wysiłku cięższa, wymaga większego przełamywania siebie, ale w samym procesie twórczym – już po przełamaniu siebie – ciekawsza, dostarczająca pewnej rozkoszy, jak każda twórczość. Cały obecny semestr do wiosny wypadnie mi tego rodzaju pracy poświęcić, bo po zapełnieniu tej luki, nad którą obecnie pracuję, będę musiał się zabrać do dalszego ciągu rękopisu, niedokończonego w roku zeszłym i dokończyć rozdział o tzw. przedstawicielstwie , czyli o mandacie publicznym ze szczególnym uwzględnieniem mandatu z wyborów masowych i rozmaitych systemów wyborczych i następnie opracować obszerny i kapitalny rozdział o podziale funkcji władzy ze szczególnym uwzględnieniem parlamentaryzmu angielskiego i kontynentalnego, systematycznego rozdziału władz w metodzie amerykańskiej i systemu szwajcarskiego.

19 stycznia, rok 1924, sobota
W Kownie – obchód rocznicy zeszłorocznego powstania kłajpedzkiego, które zadecydowało o wcieleniu Kłajpedy do Litwy. Było nabożeństwo, pochody uliczne z muzyką, plakatami, mowami, widowiska dla ludu w kinematografach i teatrze. Wieczorem byłem znowu zaproszony do Mačysa na kolację i oczywiście – na karty. W grze brały udział same panie – i ja. Był dr Roch Šliupas z żoną, p. Bernotasowa, Bielackin, jeszcze jakaś pani Rosjanka. W karty na razie przegrywałem, potem wygrałem przeszło 100 litów, a w końcu po kolacji przegrałem wygraną i wyszedłem mniej więcej z tym samym, z czym przyszedłem. Takie wieczory karciane nie przypadają mi wcale do gustu. Kiedys lubiłem hazard: za moich czasów szkolnych w Szkole Prawa w Petersburgu przez jakiś czas z pewnym gronem kolegów (w szczególności Zmiejow, Jewreinow) namiętnie się hazardowi karcianemu oddawałem. Czasami przez całe noce grywaliśmy. Potem namiętność ta u mnie ustała i dziś w hazardzie karcianym żadnej przyjemności nie znajduję.

20 stycznia, rok 1924, niedziela
Rano byłem na posiedzeniu Rady Wydziału Prawniczego. Obecni byli Leonas, Balogh, Kriščiukaitis, Mačys, Bielackin, Tumenas, Wacław Biržiška, Rimka, Šalčius, Büchler i ja. Zgodnie z przepisem statutu, dokonaliśmy wyborów dziekana i sekretarza wydziału na rok 1924. istocie wybory te były komedią, bo jedynym kandydatem na dziekana z rozmaitych względów może być u nas tylko Leonas, a że jemu bardzo o ten zaszczyt chodzi, bo jest on dla niego faktycznie stopniem do godności prorektora i rektora, gdy przyjdzie tej godności kolej na nasz wydział, więc tym bardziej nikt z nas nie myślał o pozbawieniu go zaszczytu dziekana i o żadnej też innej kandydaturze ani pomyślano. Sekretarzem wydziału obrano ponownie Wacława Biržiškę, który się na to stanowisko istotnie najbardziej nadaje, bo od początku jest sekretarzem, ma w ręku całe archiwum i akta nasze, zna wszystkie uchwały wydziału, jest jego kroniką chodzącą i ma gust do tej pracy. Przy rozpoznawaniu pewnego podania w sprawie udzielenia dyplomu niejakiemu Judelewiczowi, który ukończył studia prawnicze w Rosji, wypłynęła na posiedzeniu dzisiejszym ciekawa kwestia. Judelewicz przesłuchał cały cykl nauk prawniczych na uniwersytecie w Rosji (w Petersburgu i częściowo w Tomsku) jeszcze przed reformą uniwersytecką bolszewików, która skasowała wydział prawniczy i zastąpiła go wydziałem tzw. nauk społecznych, wypaczając jednocześnie tradycyjne klasyczne założenia nauki prawa. Judelewicz przeto trzymał świadectwo z przesłuchania całości

nauk na wydziale prawniczym i ze zdania egzaminów z szeregu przedmiotów na wydziale oprócz tych przedmiotów, dla których w Rosji były wymagane dla dyplomu uniwersyteckiego egzaminy tzw. państwowe przed komisją specjalną. Z powodu rewolucji bolszewickiej tych egzaminów państwowych, które zostały skasowane, dać już nie mógł i pozostał bez dyplomu. W Rosji jednak po reformie uniwersyteckiej bolszewików ustalił się prawem kaduka zwyczaj dopuszczania młodych ludzi, którzy ukończyli przed reformą wydział prawniczy i pozostali na skutek reformy bez dyplomu, do zdawania egzaminów prywatnie u byłych profesorów wydziału prawniczego z wydawaniem przez zreformowany wydział nauk społecznych zaświadczenia o tym, że dany osobnik wypełnił wszystkie warunki, wchodzące do planu nauczania byłego wydziału prawniczego. Zaświadczenie takie ma być surogatem dawnego, nie istniejącego już i nie udzielanego dyplomu. Judelewicz w r. 1920 pozdawał w Petersburgu u byłych profesorów wydziału brakujące mu egzaminy i uzyskał takie zaświadczenie. Chciał obecnie, abyśmy mu te egzaminy zaliczyli na rzecz naszego dyplomu. Nasz wydział jednak tej nienormalnej praktyki, przyjętej w Rosji, nie usankcjonował i zastrzegł zdanie przez Judelewicza u nas brakujących mu egzaminów. Wieczorem byłem w teatrze państwowym na sztuce Moliére'a „George Dandin" w przekładzie litewskim Zofii Čurlanisowej. O przedstawieniu tym nadmienię w dzienniku jutro.

21 stycznia, rok 1924, poniedziałek
Słówko o wczorajszym przedstawieniu „George Dandin" Moliére'a w litewskim teatrze państwowym. Sztuka szła już po raz czwarty. Odważyć się na wystawienie Moliére'a w małym teatrze, który właściwie jest początkującym – to rzecz nie lada. Sztuki Moliére'a, Racine'a, Corneille'a stanowią w Paryżu przedmiot specjalnej kultury scenicznej, na którą się byle jaki teatr i tam nie odważa. Toteż z wielkim zaciekawieniem szedłem wczoraj do teatru. Teatr litewski niewątpliwie robi duże postępy, ma już zastęp zdolnych i doskonalących się technicznie artystów, a praca ta w kulturze scenicznej prowadzi się intensywnie. Ale Moliére – to nie byle co! Przekonałem się, że jednak sztuka była nad siły teatru litewskiego. Nieźle wprawdzie grał samego George'a Dandina komik Vanagaitis, który wprawdzie chwilami zanadto błaznował w stylu klauna cyrkowego, jednak niektóre ustępy zagrał świetnie (szczególnie scenę z okna w zamkniętym z wewnątrz domu po przyłapaniu żony na schadzce nocnej). Znakomicie też były odegrane role subretki Klodyny przez Helenę Żaliukiewiczównę i chłopa Lubina przez Józefa Lauciusa. Natomiast wszystkie role szlachty francuskiej, pełne stylowego konwenansu, zresztą bardzo trudne właśnie przez to, mianowicie role Anželiki (Anna Rymówna), jej rodziców – pana i pani de Sotenville (Stanisław Pilka i Nelli Vosyliutė) i kochanka Anželiki, viconte'a de Clitandre (Wincenty Steponavičius) – odegrane były fatalnie: pełne przesady, dziwnie niezgrabnej sztuczności, bardzo mało odpowiadającej konwenansowemu, ale stylowo żywemu typowi starej szlachty francuskiej czasów Ludwikowych. Widać, że ten typ konwenansowy poza jego ojczyzną, a zwłaszcza w kraju o tak odrębnej strukturze społeczno-kulturalnej, jak Litwa, gdzie nawet szlachta nic wspólnego z rycerstwem dworaków wersalskich nie miała i tym bardziej obecnie nie ma i gdzie artyści pochodzą przeważnie ze sfery chłopskiej i współcześnie inteligenckiej – nie może być dobrze odtworzony, chyba że artysta byłby obdarzony zgoła niezwykłą intuicją.
Bądź co bądź, dobrze jest, że młody teatr litewski ćwiczy swe siły na utworach europejskich i próbuje dzieł klasycznych. Duża jest zasługą Zofii Čurlanisowej, że dostarcza teatrowi przekładów takich dzieł.

22 stycznia, rok 1924, wtorek
Nic szczególnego.
Bardzo zimno. Po paru dniach odwilży – mróz znowu się sroży. Dmie przenikliwy wiatr północny.

23 stycznia, rok 1924, środa
Maryńka przysłała mi z Bohdaniszek list Kotuńki Pruszanowskiej z Bydgoszczy, pisany do jej córki Józi, bawiącej wciąż w Kowaliszkach w oczekiwaniu ewentualnego pozwolenia od władz, mającego ulegalizować jej pobyt w Litwie. Kotuńka opisuje w nim śmierć swojej córeczki 16-letniej Kasi, zmarłej do 26 czy 27.XII.1923. Jest to pierwsze zmarłe dziecko naszego rodzeństwa. Biedna Kotuńka – głęboko przejęta ta stratą. Strapiona jest zresztą biedaczka wszystkimi warunkami swego życia. Ciężko im. Z bogatego życia, z wielkiego majątku, z wygód, z marzeń o wielkości rodu i o świetnych partiach małżeńskich dla córek, o których ręce – podług zapowiedzi Ezechiela przed wojną – mieli się ubiegać hrabiowie i książęta, chciwi lasów białoruskich i łuhów zalewnych nad Berezyną, z wyżyn pogardy Ezechiela i jego dzieci dla naszych skromnych majątków, jak Bohdaniszki i Kowaliszki – zeszli Pruszanowscy na tułaczkę, ubóstwo, niedolę. Ich Bielcz został pochłonięty przez rewolucję bolszewicką. Wojna polsko-bolszewicka nie spełniła ich nadziei na odzyskanie Bielcza: Traktat Ryski pozostawił Bielcz po stronie rosyjskiej. Dziś są oni w nędzy. Dwie starsze córki wyszły za mąż wcale nie świetnie ani pod względem koligacji, ani pod względem materialnym; ich mężowie muszą zarabiać służbą państwową w Polsce, która jest mało płatna, bo z braku kwalifikacji zawodowych nie mogą zajmować wysokich stanowisk, toteż ledwie wiążą końce z końcami. Gienia, Hala i do niedawna Józia też zajmowały jakieś skromne posadki w Bydgoszczy, mieszkając przy rodzicach. Sami zaś starzy rodzice z dwiema najmłodszymi córkami – Kasią i Stasią, z których Kasia obecnie umarła, utrzymują się z wielkim trudem. Kapitałów nie mają, zarabiać nie mogą, a pieniądze, które z różnych źródeł wpływały (od Maryli O'Rourke'owej, z pożyczki 100-dolarowej ode mnie, ze sprzedaży Wiwieliszek), rozeszły się, a sporo już sprzedano i kosztowności, i resztek jakichś innych rzeczy. Jedyna Kotuńki nadzieja, jedyny jej punkt oparcia – to ten kawałek lasu, należący do jej schedy bohdaniskiej. Kiedyś Ezechiel odzywał się lekceważąco o Bohdaniszkach i o posagu żony, a dziś te Bohdaniszki są jedyną ewentualną podstawą ich bytu, a nawet nie całe Bohdaniszki, jeno ich cząstka drobna. Ale dotąd tego lasu nie dało się ugryźć – i teraz w tym celu wyprawiła się na Litwę po złote z lasu runo Józia. Wyprawiła się i wprawdzie dotarła, ale lasu dotąd dotknąć nie zdołała i kto wie jeszcze, czy nie będzie musiała jak niepyszna wracać, nie uzyskawszy pozwolenia na pobyt w Litwie.
U mnie w domu dziś wielka zmiana. Odchodzi moja służąca Helena Bogusławska, powraca zaś na służbę moja dawna służąca – Jadzia Čepasówna. Stało się to zupełnie niespodziewanie. Nieraz mi przychodziło na myśl zamienić może Helenę na Jadzię, ale się wahałem dla wielu względów. Jadzia miała wielką ochotę wrócić do mnie, a czułem, że Helena nie miałaby nic przeciwko zmianie miejsca i po cichu może tęskni do puszczenia się w świat na służbę z własnego wyboru. Ale nie forsowałem rzeczy. Tymczasem wczoraj Jadzia przyszła i poprosiła o gościnę u mnie do czasu znalezienia nowego miejsca, bo porzuciła ostatnie. Zgodziłem się oczywiście, a oto dziś Helena oświadczyła mi, że chciałby postąpić na służbę na miejsce Jadzi i że się już tam rozmówiła, więc prosi mię o uwolnienie. Tak się też i stało. Jadzia pozostaje u mnie, Helena – odchodzi. Żal mi i Heleny, bo przywykłem do niej, a z wielu względów ma ona zalety większe od Jadzi. Każda z nich – to inny rodzaj. Zresztą stosunek mój do

Jadzi jest trochę innej natury, niż do zwyczajnej służącej – bo jest ona razem w pewnej mierze kochanką.

24 stycznia, rok 1924, czwartek
Wyszedł nr 1 pisma żydowskiego w języku litewskim pod nazwą „Musų Žodis" („Nasze Słowo"). Młody Robinson – gwiazda wschodząca syjonistów w Kownie, zresztą mający wszelkie kwalifikacje umysłu, serca i bodaj charakteru dla świecenia blaskiem co najmniej gwiazdy – przysłał mi z dedykacją egzemplarz tego pisma. Będzie ono wychodzić raz na dwa tygodnie w formacie dziennika. Pisemko to wyłoniło się z inicjatywy, którą pierwotnie był podjął nasz brat Urja Kacenelenbogen. Kacenelenbogen chciał nawiązać to pisemko do akcji masońskiej, utworzywszy grupę Żydów specjalną, która jednocześnie stanowiłaby organ kierowniczy pisma. Ponieważ sam Kacenelenbogen mieszka w Poniewieżu, a zresztą chodziło mu o to, aby ta grupa żydowska była połączona organicznie z akcją masońską przez kogoś z chrześcijan-masonów, więc wybrał on do tego mnie jako venerabla loży kowieńskiej. Ja miałem mieć dozór ogólny nad samą grupą i mad pismem, a jednocześnie przeze mnie grupa żydowska wchodziłaby w kontakt z innymi braćmi Litwinami i z grupy tej pojedynczy ludzie byliby wciągani do loży; sama zaś grupa o istnieniu loży nic wiedzieć nie miała. Kacenelenbogenowi nie udało się utworzyć takiej grupy, ale jego pomysł o piśmie żydowsko-litewskim w języku litewskim nie upadł i został zrealizowany przez innych ludzi, w których liczbie jest i Robinson. Ten ostatni miał brać udział i w grupie projektowanej przez Kacenelenbogena. W obecnym wykonaniu tej myśli ja już nie figuruję i nie ma mowy o jakimś kontakcie z lożą, o której istnieniu wykonawcy zresztą nic nie wiedzą. Pismo to ma na celu informować społeczeństwo litewskie o Żydach i sprawach żydowskich i omawiać te sprawy po litewsku, aby popularyzować wśród Litwinów odpowiednie zagadnienia i oczywiście – walczyć przeciwko fali antysemityzmu. W piśmie, sądząc z pierwszego numeru, obok syjonistów biorą udział i demokraci żydowscy (artykuł Finkelszteina). W piśmie dużo miejsca udzielono krytyce antysemityzmu, który się od paru lat zaczął ujawniać wśród Litwinów, i szczególnie bolesnym dla Żydów kwestiom takim, jak dokonane w grudniu faktyczne zlikwidowanie Ministerium do Spraw Żydowskich ustawą budżetową Sejmu, cofającą kredyty na wynagrodzenie urzędników tego ministerium. Jest w piśmie i gorący artykuł Herbaczewskiego, potępiający zwrot polityki litewskiej przeciwko Żydom i zerwanie poprzedniego przymierza z nimi.
Moja służąca Helena dziś odeszła, a Jadzia rozpoczęła służbę. Brakło mi Heleny. Przywyka się niezmiernie do ludzi w otoczeniu codziennym. Helena odeszła wesoła – nowość sama przez się ją bawi.

25 stycznia, rok 1924, piątek
Marynia chce wybrać się do Kowna na sprzedaż jabłek, które przywiozłaby tu z Bohdaniszek końmi. Jest to wyprawa nie lada – coś około 30 mil – ale nęci ja ewentualny zarobek. W Bohdaniszkach i na targach miejscowych w Rakiszkach i Abelach ceny na jabłka są znikome, po 3, 2, 1 ½ lita za pud. Tu w Kownie na rynku za zmarzłe jabłka płacą po 6-10 litów za pud, za zdrowe zaś, szczególnie antonówki – płacą sklepy po 18, 20 i więcej litów, a za wyborowe – po 25 lt. W Bohdaniszkach plon owocowy był ubiegłego lata świetny, a zbytu nie ma. Eksportu jabłek nie ma wcale, bo na południe nasze owoce nie idą, a Łotwa, protegując własne owoce, odgradza się cłem od wwozu naszych. I u Maryni, i zwłaszcza u Elwiry pełne składy jabłek, które się marnują i idą za bezcen.

Osobiście byłaby to dla mnie duża rozrywka, gdyby Maryńka zawitała do Kowna choćby na krótko.

26 stycznia, rok 1924, sobota
Wyjątkowo dziś posiedzenie sądowe Trybunału przeciągnęło się do godz. 10 wieczorem z przerwą obiadową od godz. 4 do 5 ½. Na wokandzie było spraw niezbyt dużo – osiem (poza kilku detalicznymi) – ale przeważnie były to sprawy skomplikowane, o dużej liczbie oskarżonych, sprawy adwokackie. Była to sesja karna apelacyjna. Zasiadaliśmy – prezes Kriščiukaitis, ja i Čepas. Przeszła przed nami cała galeria adwokatów, których mowy wypadło nam słuchać. Mowy adwokackie nieraz przeciągają posiedzenie, ale też nieraz znakomicie upraszczają sprawę i z terenu papierowego protokółów, którymi przeładowana jest sprawa w apelacji, przenoszą ją na żywy teren dyskusyjny i uwypuklają to, co jest w sprawie istotnym. Na znakomitego mówcę wyrobił się Michał Ślażewicz. Przed wojną był on w Wilnie adwokatem bardzo przeciętnym, jednym z młodszej generacji, nie wyróżniającym się bynajmniej z tłumu innych. Dziś, gdy się stał politykiem i mężem stanu wybitnym, *leaderem* silnego stronnictwa, byłym kierownikiem rządu i zawsze ministrem *in spe*, człowiekiem wpływowym w Republice – wysunął się on i w adwokaturze na czoło. I istotnie się wyrobił i dojrzał znakomicie. Mowy jego w obronach karnych są pełne siły i temperamentu, nieraz – jak np. mowa dzisiejsza w sprawie Klimontowiczówny – świetne. O ile zostanie przywrócona w Litwie instytucja sądów przysięgłych – Ślażewicz stanie się obrońcą pewnym sukcesu. Niewątpliwie polityka wyrobiła w nim talenty, które mu się i w adwokaturze znakomicie przydają. A jest to umysł giętki i otwarty, polityk zręczny, człowiek kariery wybitnej, który w młodej Rzeczypospolitej chłopskiej, ubogiej w talenty polityczne i w trudną sztukę rządzenia państwowego – stanowi punkt jaskrawy i pełny wartości publicznej.

27 stycznia, rok 1924, niedziela
Wychodziłem dziś z domu tylko na parę godzin do Trybunału, gdzie w ciszy świątecznej mego gabinetu pracowałem nad wyrokami. Na posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego nie poszedłem; ot, tak sobie, zaleniłem się. Bodajże to pierwsze posiedzenie tej rady, które opuściłem z własnej woli, bez żadnej przeszkody.
Poza tym cały dzień spędziłem w domu. Pracowałem dużo i dobrze nad moim wykładem uniwersyteckim, gawędziłem i pobawiłem się z Jadzią, miałem pierwszą wizytę mojej byłej służącej Heleny Bogusławskiej. Helena jeszcze jest, zdaje się, w miodowym miesiącu swojej nowej służby, która ją bawi większym ruchem, niż tu miała u mnie, nowością wrażeń, ciekawością życia. Jest ona jeszcze bardzo dziecinna i potrzebuje podniet zewnętrznych, bo własnej wewnętrznej głębszej treści nie ma. Jest to zresztą jej wdziękiem. Ale kto wie, czy nie przyjdzie jeszcze reakcja, gdy jej nowe warunki spowszednieją, a praca, której ma tam dużo, znuży i przestanie nowością bawić i czy nie zatęskni wtedy do spokojnego trybu pracy u mnie. Co do mnie – oswoiłem się już z powrotem Jadzi zupełnie i przestałem tęsknić do Heleny. Jadzia jest bardzo miła, bardzo się poczciwie garnie do mnie, ale jest zarazem bardzo karna i w służbie sprężysta. Ma ona duże zalety. Wzrusza mię też jej przywiązanie głębokie do mnie, wszystkie jej tęsknoty, którymi się rwała do powrotu do mnie, wreszcie miłym jest to, że mam w niej towarzyszkę i do rozmowy, i do żartu, i do zabawy zmysłowej, która z jakąś przedziwną kobiecością ucieka od całego świata zewnętrznego, aby tylko być ze mną i przy mnie, pozostając jednocześnie doskonale karną i uległą; jest w tej dziewczynce i w jej stosunku do mnie coś podobnego, jak w stosunku wiernego psa do pana w najlepszym znaczeniu słowa.

28 stycznia, rok 1924, poniedziałek
Ciekawy pomysł ma Tumenas. Chodzi o likwidację olbrzymiej zaległości spraw, obciążającej Sąd Okręgowy w Kownie. Narastanie zaległości jest w tym sądzie chroniczne. Obecnie jest w tym sądzie zaległych spraw 12 000. Coroczny dopływ spraw, jak wykazuje statystyka ruchu, wynosi około 7000 spraw. Podług najskrupulatniejszych obliczeń, które zostały dokonane dla ustalenia sposobów likwidacji zaległości, obecny komplet sędziów tego sądu przy doprowadzeniu ich liczby do najwyższej normy i przy największym wyzyskaniu intensywności pracy – będzie w stanie rozpoznać rocznie tyleż spraw, ile ich wpływa, czyli że zaległość, jeżeli się nie zwiększy, to jednak i nie zmaleje. Uznając ten stan rzeczy za niedopuszczalny i wymagający koniecznych środków zaradczych, minister sprawiedliwości Tumenas zarządził w tych dniach specjalną naradę nad środkami likwidacji tej zaległości. W naradzie wzięli udział minister Tumenas, prezes Trybunału Kriščiukaitis, prezes Sądu Okręgowego w Kownie Piotrowski i wiceprezes tegoż Masiulis oraz z ramienia Rady Adwokatów adwokaci Cymkowski i Bielackin. Narada ta ustaliła, że bieżący dopływ spraw winien być likwidowany własnymi siłami sądu okręgowego, doprowadzonymi obecnie do poziomu tegoż dopływu, a w miarę, jak się dopływ będzie ewentualnie zwiększać, winny być odpowiednio zwiększane kadry sędziów, prokuratury i kancelarii sądowej; natomiast dla likwidacji istniejącej mają być zarządzone środki nadzwyczajne, polegające na zużytkowaniu sił adwokackich do pracy sądowej, na zastosowaniu do szeregu zaległych spraw karnych amnestii, na ograniczeniu w stosunku do tych spraw normalnej procedury wzywania stron, na ograniczeniu kasacji itd. Najwięcej sporną okazała się sprawa powołania adwokatów do udziału w likwidacji zaległości. Przedstawiciele adwokatury na naradzie zaakceptowali konieczność powołania adwokatów przysięgłych i ich pomocników do tej nadzwyczajnej funkcji sądowej, ale tylko w postaci udziału pomocniczego, polegającego na tym, że każdy z członków adwokatury byłby obowiązany przez czas jakiś – aż do ukończenia likwidacji zaległości – poświęcić 2-3 dni miesięcznie czynności sędziego; to znaczy, że komplety normalne sądu okręgowego byłyby uzupełnione doraźnymi sędziami z adwokatury, ale adwokaci, zasiadający *ad hoc* periodycznie w sądzie jako czynnik uzupełniający, nie byliby przez to wycofywani z adwokatury i pełniliby swoją praktykę fachową – oczywiście z wyłączeniem spraw, w których pełniliby funkcje sędziowskie. Wszakże Tumenas zaprojektował inne rozwiązanie sprawy i wbrew opozycji adwokatury obstawał za swoim projektem i zdecydowany jest kategorycznie sformułować swój projekt i wnieść go przez Gabinet Ministrów do Sejmu w postaci projektu ustawy. W myśl tego projektu, byłby utworzony dla likwidacji całej zaległości Sądu Okręgowego w Kownie sąd odrębny, złożony z sił adwokatury. Adwokatura byłaby powołana do tego sądu drogą mobilizacji zawodowej na tych samych założeniach, na jakich bywają mobilizowane na usługi publiczne siły lekarzy w czasie epidemii. Sąd ten miałby funkcjonować w ciągu roku, a gdyby w tym terminie nie zakończył pracy – byłby prolongowany aż do jej zakończenia. Cała adwokatura byłaby podzielona na trzy komplety, liczące przeciętnie po 15 ludzi i każdy komplet byłby po kolei mobilizowany – to znaczy powoływany do tego sądu na przeciąg czterech miesięcy. Przez czas urzędowania w sądzie adwokaci nie mogliby uprawiać praktyki prywatnej i byliby płatni przez państwo jak sędziowie. Sąd ten miałby swoją kancelarię i funkcjonowałby na zasadach ogólnych.

29 stycznia, rok 1924, wtorek

Gdyby się Tumenasowi udało wykonać zamierzoną mobilizację sądową adwokatów – choćby tylko terminową dla pewnej naglącej potrzeby – likwidacji zaległości – która nie może byc wykonana rozporządzalnymi siłami aparatu sądowego i którą on przyrównuje do epidemii, usprawiedliwiającej mobilizację sanitarno-medyczną lekarzy, to by był precedens zgoła niezwykły i śmiały w praktyce państwowej. Czy Tumenas doprowadzi tę rzecz do skutku, czy Gabinet Ministrów i Sejm zaaprobują i uchwalą ten projekt, czyniąc zeń ustawę i czy reakcja adwokatury na ten pomysł nie złamie go przed czasem – to się pokaże. Może zresztą i sam Tumenas jeszcze się rozmyśli i nie odważy się na krok tak kategoryczny. Jeżeli jednak to do skutku dojdzie – to kto wie, czy nie będzie to pierwszy wydadek w kronikach państwowych mobilizacji cywilnej prawnikó w tej formie, jeżeli nie uwzględniać rozmaitych w tym guście precedensów w sowieckiej Rosji, której państwowość zresztą jest zbudowana na zupełnie odrębnych zasadach i nie może być wzorem dla państw praworządnych.
Niewątpliwie, są w pomyśle Tumenasa pewne elementy, które się mogą w skutkach okazać dodatnie dla naprawy sądownictwa w Litwie. Niejeden może z adwokatów, oderwany od pracy zawodowej i przymusowo na czas pewien zaklasyfikowany do czynności sędziowskich, przekona się w toku pełnienia tychże, że są one dlań odpowiedniejsze od praktyki adwokackiej, poczuje gust do sądownictwa i utrwali się na tym stanowisku. Mogą być i inne epizody dodatnie realizacji tego projektu. Ale adwokatura jest temu przeciwna i jeżeli Tumenas będzie sie upierać, to zapewne ona będzie zwalczać projekt energicznie. Jednym z argumentów – niewątpliwie poważnych – podnoszonych przez adwokaturę przeciwko projektowi Tumenasa, jest ten, że taka mobilizacja czasowa adwokatów, wyrywająca ich ze sfery ich praktyki, koliduje z ciągłością funkcji adwokackich, stanowiących jedną z cech tego zawodu i zaszkodzi fachowej adwokaturze przysięgłej na korzyść tzw. adwokatów prywatnych, nie prawników z wykształcenia, którzy mają być wolni od mobilizacji i którzy pośpieszą przywłaszczyć sobie znaczną część klienteli, podczas gdy poważna adwokatura specjalistów będzie miała wykolejoną i zachwianą praktykę.

30 stycznia, rok 1924, środa
Gazety podają wieści o nowych przewrotach w Rosji, które nastąpiły po śmierci Lenina. Z tych depesz trudno jeszcze dokładnie wywnioskować, o co chodzi. Jeżeli wierzyć komentarzom prasy, to zdawałoby się, że dokonywa się ostry nawrót do radykalnego komunizmu i likwiduje się tzw. polityka „Nepu”, która repreztowała umiarkowanie i ustępstwa na rzecz ustroju burżuazyjnego, opartego na częściowym przynajmniej ulegalizowaniu gospodarki kapitalistycznej. Lenin, choć już był przed śmiercią od dłuższego czasu chory i bezczynny, jednak olbrzymim swym autorytetem wodza rewolucji komunistycznej hamował walkę między dwoma skrzydłami rządzącego komunizmu. Po jego śmierci walka wybuchła z całą bezwzględnością i rzecznicy kierunku umiarkowanego z Trockim na czele zostali złamani. Podobno sam Trocki został internowany.
Z listów z domu – z Bohdaniszek – dowiaduję się, że starania niektórych ze współspadkobierców naszych, poczynionych w czasie świąt za pośrednictwem rakiskiego „miškų urėdasa” o pozwolenie na wyrąb lasu, zostały uwieńczone skutkiem pomyślnym. Na imię Kotuni Pruszanowskiej udzielono pozwolenia na wyrąb całkowity 8 hektarów lasu w jej cząstce Montowszczyzny dla wyrobienia tychże na pole orne; ze schedy Henrysia Wołłowicza pozwolono na wyrąb dzielanki 1 ½-hektarowej ; wreszcie ze schedy Elizki Komorowskiej w Staczeragach pozwolono na wyrąb 200 pni na wybór. Dla nich wszystkich więc kapną pieniądze, tylko kłopot z nabywcami na las. W Gaju u

mnie Marynia zabiera się energicznie do wyrębu reszty pni na materiał na dom – stosownie do zeszłorocznego pozwolenia, nie wykorzystanego dotąd całkowicie.
W Sejmie wpłynął pod obrady na plenum projekt poprawek do ustawy o reformie agrarnej. Ten projekt mię niepokoi. Podług wniosku autorów projektu – stronnictwa „Darbo Federacija" – miałyby być dotknięte wszystkie działy majątków większych, dokonane po r. 1920; mogłyby one być w pewnych warunkach obalone, co jest i dla naszych Bohdaniszek niebezpieczne. Choć komisja agrarna Sejmu projektuje złagodzenie tych wniosków drakońskich, ale nie wiadomo jeszcze, w jakiej formie to będzie przez Sejm uchwalone.

31 stycznia, rok 1924, czwartek
Na uniwersytecie zakończyłem dziś wykład rozdziału o celach państwa i rozpocząłem kolokwia dla tych słuchaczy, którzy jeszcze kolokwiów z I semestru odbytych nie mają. Kontynuować będę te kolokwia przez parę następnych wykładów. Dziś przedmiotem kolokwium był temat o istocie i elementach państwa – władzy, narodzie i terytorium. Ogółem zdążyłem przesłuchać zaledwie kilku słuchaczy. Odpowiedzi były przeciętnie niezłe. Wcale dzielnie odpowiadało dwoje – Salomon Kodesz i Albina Matulaitisówna.

1 lutego, rok 1924, piątek
Dzień powszedni. Pracuję.

2 lutego, rok 1924, sobota
Marynia pisze z Bohdaniszek, że na sesji Kowieńskiego Sądu Okręgowego w Rakiszkach została rozpoznana i wreszcie zakończona wyrokiem sądowym sprawa nabywcy Wiwieliszek Jovaišisa z Bejnarowiczem. Jovaišis sprawę wygrał. Niezmiernie się z tego cieszę, bo sprawa ta mocno mię trapiła. Jovaišis przed paru laty nabył od Kotuni Pruszanowskiej 1 ½ włóki ziemi dworskiej w wiosce Wiwieliszkach, należącej do Bohdaniszek, która w dziale naszym dostała się schedzie Kotuni. Od wielu lat dzierżawcą tej ziemi był stary Julian Bejnarowicz, stary i zacny w gruncie szlachcic, któremu Papa ufał najzupełniej. Do r. 1908 Papa zawierał z Bejnarowiczem formalne kontrakty notarialne, a od r. 1908 kontentował się umową ustną. Bejnarowicz płacił czynsz akuratnie i ani mowy nie było o tym, by sobie ziemię przywłaszczał. W r. 1920, jeszcze za życia Papy, zapłacił dzierżawę osobiście mnie, gdym wrócił z Polski i gdy Papy nie było. W r. 1921 po dziale naszym spisałem kontrakt z Bejnarowiczem na rok dzierżawy do r. 1922, podpisany od imienia Kotuni jako właścicielki przez jej plenipotenta Petrulisa. Po kupieniu tej ziemi Jovaišis w r. 1922 wytoczył powództwo do Bejnarowicza o eksmisję, bo się dzierżawa skończyła, a Bejnarowicz z rodziną nie wychodził. Niespodziewanie Jovaišis u sędziego pokoju w Rakiszkach sprawę przegrał. Na sprawie stanął u sędziego syn Bejnarowicza, który dwoma świadkami wykazał, że Bejnarowicze posiadają Wiwieliszki od lat 30 i sędzia na tej zasadzie, nie zważając na kontrakt dzierżawy z r. 1921 i na to, że powództwo wytoczone do ojca, a nie do syna, oddalił skargę powodową. Jovaišis apelował, ale w sądzie okręgowym sprawa, kilkakrotnie odraczana, szła ciężko. Syn starego Bejnarowicza, występujący w sprawie nie wiadomo z jakiego tytułu, bo ani dopuszczony formalnie w charakterze trzeciej osoby, ani działający z mocy plenipotencji ojca, bronił się przeciwko powództwu Jovaišisa twierdzeniem, że rzekomo od wielu lat gospodarzem jest na tej ziemi on, a nie ojciec, i że on tę ziemię od Papy w swoim czasie odkupił, my zaś w r. 1921 rzekomo przez podejście wyłudziliśmy od niedołężnego i zdziecinniałego starca Bejnarowicza kontrakt dzierżawny, który przeto wagi mieć nie może. Sąd okręgowy z inicjatywy sędziegoBudreckiego, który zwykle na sesje do Rakiszek przyjeżdża, już parę razy

odraczał sprawę, żądając osobistego stawiennictwa starego Bejnarowicza. Bałem się, że sąd gotów jeszcze rzeczywiście uznać kontrakt za nieważny, bo po Budreckim, który z zasady faworyzuje wszystkich dzierżawców i w ogóle wszystkich mających zatargi z dworami, wszystkiego się spodziewać można. Dla Jovaišisa zaś i dla nas przegrana byłaby fatalna. Kotunia dawno już wydała, a raczej zmarnowała pieniądze, otrzymane od Jovaišisa z tej sprzedaży (zmarnowała, bo je zlokowała w jakimś interesie w postaci pożyczki w markach polskich i na spadku marek całą wartość tych pieniędzy straciła). Gdyby Jovaišis przegrał, musielibyśmy wszyscy go w jakiś sposób odszkodować, a to byłaby rzecz bardzo trudna i bardzo dla nas uciążliwa, a nie moglibyśmy przecie tego człowieka skrzywdzić i spychać go na poszukiwanie pieniędzy od Kotuni. Bardzo się więc ucieszyłem z wiadomości o wygranej Jovaišisa. Całą akcją Bejnarowiczów kierował ksiądz Stakiełło z Rogiel, znany awanturnik i półgłówek, pieniacz, uważający siebie za obrońcę naturalnego wszystkich rzekomo pokrzywdzonych. W istocie Bejnarowiczowie żadnej krzywdy nie mieli od nas, bo dzierżawili od Papy na bardzo dogodnych warunkach, a że im się zachciało przywłaszczać cudze i że my się przeciwko temu bronili – to krzywdą dla nich nie jest. Ks. Stakiełło jest człowiekiem z temperamentem i fantazją; namiętnie broni on swoich protegowanych i nie przebiera w środkach, gdy mu się cel wydaje dobry: nie waha się namawiać Bejnarowiczów do twierdzenia o rzekomym nabyciu tej ziemi od Papy, choć to jest fałszem. Stary Bejnarowicz, uczciwy z gruntu, sam tego nie twierdzi i nie broni się, ale bojąc się syna i rozgrzeszany przez księdza wykręca się milczeniem i udaje niedołężnego, głuchego i nic nie rozumiejącego. Na rozprawę sądową Stakiełło wprowadził starego Bejnarowicza, niby 100-letniego starca, głuchego i niedołężnego – pod rękę. Gdy nic nie pomogło i Bejnarowicz przegrał, Stakiełło był wściekły, krzyczał na Jovaišisa, że ten pije krew Bejnarowiczów i dawał do zrozumienia, że to moje wpływy podziałały na sąd.

3 lutego, rok 1924, niedziela
Zachodziła obawa, że cały dzień dzisiejszy będzie zatopiony w powodzi posiedzeń uniwersyteckich. Na rano bowiem było wyznaczone nasze zwykłe posiedzenie Rady Wydziału, które trwa zawsze do godz. pierwszej, potem małe posiedzeńko naszej wydziałowej komisji dyplomowej, a po obiedzie o godz. 4 wielkie posiedzenie Rady całego uniwersytetu, które zwykle się przeciąga do ósmej albo i dłużej. Szczęściem to ostatnie zostało tym razem nadspodziewanie szybko zakończone: po załatwieniu bez dłuższej dyskusji kilku drobnych spraw bieżących, jak wydelegowanie przedstawiciela na uroczystość jubileuszu uniwersytetu w Neapolu (na delegata wybrano prof. Stanisława Szołkowskiego z Wydziału Teologicznego), jak przyjęcie do wiadomości mianowania przez Wydział Humanistyczny prof. Niemi z Finlandii doktorem honorowym i wysłuchanie listu dziękczynnego tegoż prof. Niemi itp. – przed rozpoczęciem obrad nad dalszym ciągiem regulaminu uniwersyteckiego, zajmujących zwykle lwią część każdego posiedzenia, zgłoszony został wniosek, dotyczący uproszczenia trybu rozpoznawania projektu regulaminu; po pewnej dyskusji w tej kwestii wniosek uchwalono, a wobec tego punkt ten z porządku dziennego wypadł i projekt regulaminu pójdzie nadal nowym trybem. Przez to samo posiedzenie zostało wyczerpane.
Posiedzeńko komisji dyplomowej, złożonej z Wacława Biržiški, ze mnie i z Šalčiusa, trwało krótko. Komisja ta ma polecone sobie zaprojektowanie tekstu dyplomu uniwersyteckiego. Ponieważ nasz wydział faktycznie pierwszy zacznie wydawać dyplomy, bo już mamy parę osób, które zdały na dyplom i mają go otrzymać, więc kwestia tekstu dyplomu w naszym wydziale najpierwiej powstała. Komisja nasza

zaprojektowała tekst dyplomu w dwóch językach – litewskim i łacinie, następnie wypisanie w tekście wszystkich przedmiotów studiów bez wyszczególnienia stopni, ale z rozróżnieniem w dyplomie „bardzo dobrego” i po prostu „dobrego” ukończenia zależnie od większości uzyskanych stopni.
Na posiedzeniu Rady Wydziału najwięcej śmy się napracowali nad kwalifikowaniem kandydatów do zwolnienia od opłaty czesnego. W końcu posiedzenia docent Šalčius, który wprawdzie osobiście jest może mniej ukwalifikowany na uczonego i profesora niż inni, a nawet podobno nie posiada regularnego tytułu wykształcenia wyższego, ale jest pracowity i ambitny, zgłosił wydziałowi do druku rękopis swej pracy, zawierającej historię doktryn ekonomiczno-społeczno-państwowych, począwszy od fizjokratów i szkoły prawa naturalnego. kończąc na doktrynie komunistycznej bolszewików. Praca ta jest, zdaje się, kompilacyjna, oparta na paru najnowszych monografiach francuskich i niemieckich, ale dla młodej literatury naukowej litewskiej będzie stanowiła nabytek cenny i będzie użytecznym podręcznikiem pomocniczym dla młodzieży.

4 lutego, rok 1924, poniedziałek
Wieczorem moje dwie godziny wykładu na uniwersytecie poświęciłem na kolokwium. Przez pierwszą godzinę prowadziłem kolokwium z tymi studentami, którzy go jeszcze nie odbyli w I semestrze. Niektórzy wykazują wcale dzielną umiejętność myślenia i orientowania się w zagadnieniach państwa. Drugą godzinę poświęciłem omawianiu pisemnych prac studentów na zadane tematy w kolokwium grudniowym. Odczytuję teraz w domu te prace, zanotowuję sobie uwagi z powodu każdej z nich i następnie z każdym ze studentów omawiam publicznie jego pracę, a raczej to, co wymaga poprawek. Większość tych prac jest słaba, niektóre zawierają zgoła nonsens, ale trafiają się i dobre, a w niektórych myśl jest dzielna, są nawet oryginalne spostrzeżenia ciekawe i mądre.

5 lutego, rok 1924, wtorek
Zapracowany jestem, toteż na dziennik mało mam czasu. Ciągle mię rozrywają rozmaite inne zajęcia, tak że nie co dzień mam czas na pracę nad rękopisem wykładu uniwersyteckiego. Toteż chciwie łowię każdy dzionek i każde parę godzin na tę pracę, a na inne (w tej liczbie i na dziennik) skracam czas.
Miałem wieczorem lekkie łamanie w kościach, jakby stan przedgorączkowy. Boję się, żeby znowu się nie rozchorować.
Zima w całej pełni. Mocno się trzyma w tym roku.

6 lutego, rok 1924, środa
Byłem dziś w teatrze na dwóch premierach głośnych w swoim czasie dramatów głośnych pisarzy europejskich. Na scenie litewskiej ukazały się one po raz pierwszy. Są to: Maeterlinka nastrojowy dramat jednoaktowy p.t. „Gość nieproszony”, którym jest śmierć, przeczuwana przez cały ciąg gry w dziwacznych rojeniach ślepego starca, udzielających nastroju grozy całej rodzinie, zebranej w pokoju obok pokoju chorej, i Hauptmanna silny dramat „Hannele”; oryginalna, pełna charakteru i głębi mistycznej twórczość Hauptmanna, która znam z „Dzwonu zatopionego” i „Tkaczy”, zawsze sprawiała na mnie głębokie wrażenie, a dramat „Hannele”, którego nie znałem, interesował mię przez wspomnienie sensacji, jaką w swoim czasie sprawiał on w kołach petersburskich przed laty dwudziestu kilku, gdy tam był wystawiany; było to za moich czasów szkolnych w Petersburgu i rzecz ta żywo mię wtedy obchodziła. W „Hannele” na scenie ukazuje się Chrystus. Choć programy teatralne nie wymieniały Chrystusa i podawały go pod nazwą wędrowca („*странникъ*”), to jednak z akcji całej i z wizji

nieba w następnym obrazie nie dawała się ukryć Chrystusa tożsamość. Sfery konserwatywne z duchowieństwem prawosławnym na czele podniosły wtedy wielki krzyk z powodu profanacji Chrystusa przez produkowanie go na scenie i domagały się zakazu gorszącej sztuki, mimo że Chrystus jest w „Hannele" bez zarzutu wyidealizowany; natomiast koła postępowe brały sztukę gorąco w obronę. „Hannele" stała się jednym z tych punktów, które w społeczeństwach niezrównoważonych, pełnych głębokich kontrastów wewnętrznych, sztucznie tłumionych pozornym bezwładem formy, jak to było w Rosji carskiej wieków XIX i XX, kiedy jeszcze pozornie trwała w całej mocy niewzruszonej reakcja, a w głębi społeczeństwa narastały i gotowały się silne odruchy postępu i rewolucji – odsłaniają nagle prawdę kontrastów, tryskających namiętnością o byle co i służących prawdziwym „*memento*" – znakiem ostrzegawczym sygnałem walki, która ma rychło wybuchnąć realnie – już nie o Chrystusa na scenie, już nie o „Hannele", lecz o władzę, o przewagę realną, o prawo do dyktatury wstecznej lub przewrotowej. Skończyło się wtedy w Petersburgu tym, że zabroniono dalszych przedstawień „Hannele". Choć sztuki tej wtedy nie znałem – gorąco w tym sporze o nią byłem uczuciami mymi zaanga zowany – oczywiście po stronie postępowej. Te wspomnienia mię pociągnęły na „Hannele" do teatru. Tu w Litwie oczywiście „Hannele" tych cech, jakie miała ongi w Petersburgu, nie ma. Dramat był wystawiony bardzo ładnie, tak pod względem dekoracji, jak reżyserii. Gra też była na ogół bardzo dobra. Na razie sztuka mi się nie podobała – miałem wrażenie, że Hauptmann po prostu odtworzył histerię kobiecą, ale w dalszym toku gry poznałem głębokie tego dzieła cechy.
Dramacik Maeterlinka był słabo odegrany.

7 lutego, rok 1924, czwartek
Wieczorem na uniwersytecie kontynuowałem prace, związane z *colloquium* I semestru. Z liczby tych kilkudziesięciu (około 50) studentów, którzy jeszcze tego *colloquium* nie odbyli, stawiło się do zapowiedzianej na dziś pracy na piśmie zaledwie dziewięciu. Oczywiście reszta, za bardzo małymi wyjątkami, to już same osły, którzy studia swe zgoła zaniedbują i poczucia obowiązku nie mają. Po rozdaniu tematów do pracy na piśmie zająłem się tymi studentami, których wezwałem na dziś dla omówienia z nimi uwag nad ich pracami colloquialnymi na piśmie, wykonanymi w grudniu. W liczbie tych prac, których większość jest słaba, a w najlepszym razie stanowi kompilację i parafrazę tekstu moich wykładów, hektografowanych przez komisję wykładową studencką, trafiają się niektóre prace wcale dobre, a pojedyncze nawet doskonałe, pełne myśli oryginalnych i trafnych i świadczące o orientowaniu się w przedmiocie i o pewnej wiedzy. Zdarzają się też wypadki, że praca jest napisana nędznie, zaś przy ustnym wyjaśnieniu okazuje się, że jej autor o wiele trafniej myśli i rozumie, niż to sformułować na piśmie zdołał. Z tych względów dochodzę do przekonania, że system *colloquiów* na piśmie z następnym ustnym omówieniem wykonanej pracy jest użyteczny i lepszy od *colloquium* wyłącznie ustnego.

8 lutego, rok 1924, piątek
Dobrze się dziś i intensywnie napracowałem nad rękopisem moich wykładów uniwersyteckich. Lubię pracować, gdy trafię w sedno tematu, uchwycę myślą samo jądro analizowanego zagadnienia i trzymam w głowie cały zawiązek odpowiedniej treści. Twierdzenia są wtedy ścisłe i myśl się rozwija jak z kłębka, przelewana ręką na papier z dokładnością i przejrzystością niezamąconą. Praca jest wtedy rozkoszą; natomiast jest ona męką, pełną przygnębienia, gdy się dopiero zagadnienie maca i dopiero przeczuwa jego jądro, ale się go jeszcze myślą nie pochwyciło.

Obawiamy się w Trybunale, że koła rządzące zechcą skręcić kark głośnej sprawie Puryckiego. Są wszelkie poszlaki po temu. Ta nieszczęśliwa sprawa szła dotąd po grudzie; ze strony rządu czyniono, zdaje się, wszystko, aby jej bieg przewlec, a teraz widocznie zdecydowano się na odwagę zrobienia „*coup d'état*" i unicestwienia jej. Robi się to bardzo sprytnie, ze wszelkimi pozorami i legalności, i taktu politycznego, a wykonawcą tego przedsięwzięcia, jeżeli poszlaki nie mylą, jest minister Tumenas. Z pewnością chodzi tu nie o samego pupilka Chrześcijańskiej Demokracji – Puryckiego – którego kariera osobista w polityce litewskiej jest bodaj skończona i którego osoba, a nawet sutanna – boć wszak Purycki jest księdzem! – mało zapewne wzrusza Chrześcijańską Demokrację. Chodzi o grubszą grę i grubsze względy polityczne, a jeżeli o osobę, to tez grubszą – o osobę potentata Vailokaitisa. Chrześcijańska demokracja wie dobrze, że proces Puryckiego w publicznej rozprawie sądowej będzie pełny sensacyjnych rewelacji, wielce kompromitujących jej rządy i jej ludzi w dobie Sejmu Ustawodawczego, a w szczególności uwydatniający w świetle zgoła niesmacznym i nie zaprawionym szlachetnymi barwami dzieje narastania pewnych fortun, które są bardzo cenne swymi usługami dla Chrześcijańskiej Demokracji, czyli dzieje spekulacji pana księdza Vailokaitisa. Po cóż rzucać takie przykre rewelacje w tłum, na pastwę języków i namiętności ludzkich! Przygotowuje się więc kombinacja taka. Konstytucja powiada, że ministrowie za przestępstwa służbowe są pociągani do odpowiedzialności karnej li tylko uchwałą Sejmu i że ich sądzi Najwyższy Sąd Rzeczypospolitej. Sprawa Puryckiego jest właśnie sprawą o przestępstwo służbowe ministra. Wszczęta ona była tak co do rozpoczęcia śledztwa, jak co do postawienia Puryckiego w stan oskarżenia decyzją sędziego śledczego (śledztwo prowadził Toliušis) w czasie, kiedy jeszcze konstytucja obecna nie działała i kiedy nie było żadnych wyjątków trybu pociągania ministrów do odpowiedzialności. Były podnoszone w sferach rządzących wątpliwości, czy Trybunał jest istotnie Sądem Najwyższym Republiki, bo jest on dla pewnej kategorii spraw tylko instytucją apelacyjną i pierwotnie był stworzony na wzór Izby Sądowej („Судебная Палата") rosyjskiej, która tam nie była Sądem Najwyższym i czy przeto wobec tego jest on konstytucyjnie sądem właściwym do sądzenia Puryckiego. Zastanawiano się nad tymi wątpliwościami, ale ostatecznie zaniechano ich, bo jednak, choć można byłoby wyobrazić sobie sąd jeszcze wyższy nad Trybunał, to jednak takowego nie ma i Trybunał faktycznie i prawnie jest istotnie Najwyższym Sądem Litwy, a z tego poczyniono nawet konsekwencje konstytucyjne w stosunku do Kłajpedy, więc już zaprzeczyć temu niepodobna.

9 lutego, rok 1924, sobota
W mieszkaniu Michała Ślażewicza odbyło się posiedzenie loży. Obecni byli bracia: Michał Ślażewicz, Jan Vileišis, Felicja Bortkiewiczowa, Dominik Siemaszko, Augustyn Janulaitis, Zygmunt Žemaitis, Antoni Sugint i ja. Na dziś wyznaczony był referat Žemaitisa o walce z klerykalizmem. Przed zagajeniem jednak tego przedmiotu wniosłem na porządek dzienny kilka spraw organizacyjnych. Przede wszystkim po wyproszeniu z sali braci uczniów, których na posiedzeniu było dwóch – Žemaitis i Sugint – loża, zasiadająca w stopniu mistrza, uchwaliła na mój wniosek nominację braci uczniów Žemaitisa, Suginta i Toliušisa – na mistrzów. Uczniami więc zostają w naszej loży nadal jeno dwaj bracia – Purėnas i Wiktor Biržiška. Chodziło mi tu zwłaszcza o nominację Toliušisa, którego chciałem wciągnąć do prezydium loży. Toliušis jest bardzo żywy i ruchliwy, pełny inicjatywy, a to nam w prezydium bardzo potrzebne. Podług statutu zaś, do prezydium loży może być wybrany li tylko mistrz. Ale ponieważ Toliušis jest najmłodszym bratem, przyjętym do loży dopiero w r. 1923, więc mianując go mistrzem nie wypadało pominąć dwóch starszych odeń obecnych na posiedzeniu

uczni – Žemaitisa, przyjętego w r. 1921 i Suginta, przyjętego w r. 1922. Purėnas i Wiktor Biržiška tylko dlatego nie zostali mianowani, że nie byli obecni. Potem poruszyłem sprawę naszych stosunków międzynarodowych, które utknęły na moich zabiegach jesiennych i odtąd z miejsca nie ruszyły. Brat Kairys, który bawi w Berlinie i któremu na Boże Narodzenie dałem w tym względzie zlecenie szczegółowe, prosząc go o skomunikowanie się z bratem Quartier-la-Tente, odpisał mi niedawno, że nie może tego uczynić ze względu na niedostateczną znajomość języków francuskiego i niemieckiego, które są do tej korespondencji niezbędne. Kairys pisze, że mogłaby mu w tym dopomóc jego żona (córka Leonasa), ale że ze względów na konspirację naszą nie może on jej do tego użyć. Uważałbym, że nic by nie było strasznego, gdyby żona Kairysa dowiedziała się o istnieniu loży, nie wiedząc o osobach, które do niej należą. Ale loża uznała to za niedopuszczalne i uznała, że ja sam mogę to zrobić, mianowicie tu zredagować list do br. Quartier-la-Tente i przesłać go stąd okazyjnie do Kairysa, który go wyekspediuje pocztą. Potem dokonane zostały wybory doroczne prezydium loży. Z członków poprzedniego prezydium wybrani zostali: ja na venerabla, Michał Ślażewicz na dozorcę (zastępca venerabla) i Michał Biržiška na oratora. Kandydatura Kairysa upadła, bo Janulaitis zaprotestował przeciwko niej ze względu na zarzut natury etycznej, uczyniony przezeń Kairysowi; ten zarzut łącznie z kwestią uregulowania stosunku między Kairysem a Janulaitisem jest przekazany specjalnej komisji, złożonej z Vileišisa i Michała Biržiški, która sprawy jeszcze nie zlikwidowała. Wskutek upadku kandydatury Kairysa wybrany został skarbnikiem Jan Vileišis, a na sekretarza Zygmunt Toliušis. Była jeszcze mowa o kandydaturach. Na wniosek Žemaitisa uchwalono kandydatury Tadeusza Iwanowskiego (śledztwo polecono Vileišisowi) i Kazimierza Ślażewicza (śledztwo polecono Purėnasowi). Następnie referował o walce z klerykalizmem Žemaitis. Potraktował on rzecz dość ogólnikowo, przejaskrawiając zresztą perspektywy zachłanności klerykalnej. Wniosków konkretnych nie postawił. Poruszył on jedną ciekawą kwestię celowości naszego rozwoju organizacyjnego, wskazując na to, że byłoby może lepsze, abyśmy wzrastając liczebnie segregowali się na loże pokrewnego zawodu, to znaczy dobierali się w lożach podług sfery działalności; to by nas bardziej wiązało i skierowało do pracy konkretniejszej. Temat antyklerykalizmu jest ulubionym konikiem Janulaitisa, który tez niezwłocznie wsiadł na niego i zaczął jeździć nieubłaganym radykalizmem. Ślażewicz, uwydatniając naszą – masońską – rolę w walce z klerykalizmem o kulturę wolnej myśli jako tajnego ośrodka kierowniczego, wskazał różne sfery konkretnego i pilnego działania, na które powinniśmyześrodkować wysiłki – w szczególności akcję wydawniczą, odczytową, wreszcie wpływy w zainicjowanym klubie lewicowym. Ostatecznie polecono Janulaitisowi i Žemaitisowi przedstawić loży wnioski konkretne na następne posiedzenie. Mam wrażenie, że jak zawsze u nas, nic żywego się nie wyłoni.

10 lutego, rok 1924, niedziela
Wielka osobliwość – nie mieliśmy dziś posiedzenia Rady Wydziału Prawniczego; posiedzenia te stały się tak częste, że gdy trafi się niedziela bez posiedzenia, to zaiste jest osobliwością.
Siedziałem dzień cały w domu, trochę mię głowa bolała, ale na wieczór wyszedłem, bo miałem bilet do teatru kupiony na operę, a po teatrze byłem z Józefem-Albinem Herbaczewskim na kolacji w restauracji „Metropol". W teatrze byłem na „Traviacie". Nie znałem dotąd tej opery, to znaczy nigdym jej na scenie nie słyszał, bo co do poszczególnych arii, to znałem je ze słyszenia. Na operę skusiło mię to, że dziś występował w niej Cyprina (Kipras) Piotrowski, gwiazda opery litewskiej, który występuje rzadko, bo zwykle buja sobie po świecie i do Kowna zagląda rzadko – raz na

kilka miesięcy. Kiedy afisze zapowiadają występ Piotrowskiego – kasa teatru jest oblegana, mimo że ceny są o półtora raza wyższe, bo Piotrowski prócz pensji stałej pobiera honorarium od występów. Na występach Piotrowskiego wszystko co żyje jest w teatrze. Ukazywanie się w operze na występach Piotrowskiego uchodzi za dobry ton, za rodzaj towarzyskiego obowiązku w wyższych sferach inteligencji i świata urzędniczego litewskiego. Toteż wieczory opery z Piotrowskim są rodzajem rautu w kuluarach teatru, a damy się wysadzają na toalety. Zresztą prócz Litwinów bywa w operze dużo Żydów i Polaków. Ale też Piotrowski jest rzeczywiście śpiewakiem i artystą z Bożej łaski, dużym talentem, który i przed wojną na wielkiej scenie petersburskiej w Teatrze Maryjskim, stanowiącym pierwszorzędną scenę europejską, uchodził za solistę świetnego i był znakomitością. Jego rola w „Traviacie" (rola Alfreda, kochanka Violetty) jest jedną z jego ról największych, to znaczy takich, które zapełniają (łącznie z rolą samej Violetty) całą niemal sztukę. Choć mi się w „Fauście" Piotrowski bardziej podobał, to jednak i dziś byłem nim zachwycony. Violettę śpiewała panna Józefska (Jozefskaitė), młoda artystka, która świeżo przyjechała ze studiów śpiewu we Włoszech. Ma ładny głos i dużą kulturę śpiewu. Wykonała rolę Violetty ślicznie. W ogóle Litwa operą swojąmoże się poszczycić. Zdołała ją w krótkim czasie podnieść do wyżyn wielkiej sztuki. Ładna jest też wystawa – dekoracje, kostiumy. Baletu dziś było mało. Pod względem wystawy tak opera, jak dramat prezentują się bardzo dodatnio. Takie dekoracje, taka wystawa, jakimi obsadzona jest np. „Hannele" Hauptmanna i „Gość nieproszony" Maeterlinka, które w tych dniach widziałem, czyniłyby zaszczyt każdemu teatrowi stołecznemu.

11 lutego, rok 1924, poniedziałek
Ksiądz Tumas napisał w nr 6 redagowanego przez Antoniego Smetonę tygodnika „Vairas" bardzo ładną recenzję o mojej książeczce por tytułem „Stronnictwa polityczne litewskie", wydanej w Wilnie przed dwoma laty, której z wielkim trudem jeno dwa egzemplarze zdołałem w roku zeszłym tu sprowadzić. W recenzji Tumas nie tylko podniósł wartość samej książki, która stanowi jeno część pierwszą pracy (część druga nigdy się już nie ukaże, bo zresztą sam rękopis jest niedokończony i nie będzie dokończony, a kawałek dalszego ciągu – o stronnictwach „Santary", socjalistów-ludowców i Związku Włościańskiego – choć była napisana, ale gdzieś bodaj zaginęła), ale także bardzo ładnie i pochlebnie dla mnie mówi o mojej osobie i moich zasługach dla kraju. Myli się tylko Tumas twierdząc, jakoby mój stosunek do ziemiaństwa polskiego w Litwie był zasadniczo ujemny. Nie jest on takim i z książeczki tej wniosku takiego, zdaje się, wyciągnąć nie można. Chciałbym więcej egzemplarzy tej książeczki z Wilna sprowadzić, ale to jest bardzo trudne.
Zarobiłem dziś nieźle. W papierach wartościowych Papy, skonfiskowanych mu w r. 1919 przez bolszewików (zdaje się, przez Lutkiewicza) i cudownym sposobem w r. 1921 znalezionych przez niejakiego Jakowickiego w Jeziorosach wmurowanymi do pieca, były i weksle Mieczysia Bohdanowicza na imię Mamy. Część długu z tych weksli była już dawniej przez Mieczysia niektórym z sióstr naszych spłacona – reszta zaś nie była jeszcze spłacona. Mieczyś chciał je spłacić rublami carskimi, które żadnej wartości nie mają, ale Elizka Komorowska, będąc w Wilnie, zajechała do niego do Obodowiec i wytargowała spłacenie długu tego listami zastawnymi Wileńskiego Banku Ziemskiego. Z podziału tych listów na mnie wypadło 4000 rubli nominalnych. Zamierzałem te listy spieniężyć, a Marynia i Elwira tez mi dały po 500 rb. nominalnych tymi listami z tegoż długu do spieniężenia. Słychać było, że za listy zastawne płacą na giełdzie po 20 dolarów za 1000 rb. nominalnych. Niewielką więc przywiązywałem wagę do ich sprzedaży. Od świąt Bożego Narodzenia nosiłem je w kieszeni, nie bardzo

się kwapiąc z ich sprzedażą. Aż tu niespodzianie – zupełnie wypadkowo – dowiedziałem się przed paru dniami w kawiarni od p. Franciszka Kończy, że te listy zastawne nagle podskoczyły niesłychanie w kursie i doszły do 100 dolarów za 1000 rb. nominalnych. I oto dzisiaj Żyd, zarekomendowany mi przez p. Kończę, kupił je ode mnie po tej cenie. Za 5500 rb. nominalnych wziąłem 340 dolarów i 2100 litów. Zarobek to zgoła nieoczekiwany. Gdybym je sprzedał przed miesiącem, nie wziąłbym ani połowy. Może pójdą one jeszcze bardziej w górę, ale nie będę żałował, bo nie spodziewałem się nigdy i tego. To się Marynia i Elwira ucieszą, gdy im w tych dniach tysiączek litów prześlę! Toż to będzie zachwyt! Jaka jest tajemnica tego gwałtownego podrożenia listów zastawnych – nie wiem. Bank Wileński Zienski przyjmuje spłatę długów hipotecznych w tych listach i widoczniej jest dogodniej płacić nimi, niż gotówką, bo widocznie rublami carskimi ani markami polskimi nominalnie spłacać nie można, więc stąd widocznie jest na te listy taki popyt, a że je już zapewne wyłowiono w Wileńszczyźnie, więc robi się na nie przez spekulantów wielka obława w państwach sąsiednich i stąd taki podskok kursu.

12 lutego, rok 1924, wtorek
Uwaga społeczeństwa narodowego litewskiego zwrócona jest znowu na sprawę Kłajpedy, która weszła w stadium nowych prób międzynarodowego rozwiązania. Do Kłajpedy zjechała komisja międzynarodowa z Amerykaninem Davisem na czele, utworzona uchwałą grudniową Rady Ligi Narodów w myśl wniosku samejże Litwy. Stosownie do tego wniosku Rada Ligi Narodów , której sprawa statutu międzynarodowego Kłajpedy została przekazana decyzją Rady Ambasadorów Ententy z powodu niemożności pogodzenia projektu tejże Rady z kontrprojektem litewskim – postanowiła powołać specjalna *ad hoc* komisję międzynarodową, złożoną z przedstawicieli trzech państw, nie należących formalnie do Ententy obecnej, nie reprezentowanych w Radzie Ambasadorów i nie zainteresowanych osobiście ani w samej Kłajpedzie, ani w sporze polsko-litewskim, która ma zbadać sprawę i złożyć wniosek opracowanego przez nią statutu. Do komisji tej weszli: Amerykanin (Stany Zjednoczone), Holender i Szwed. Komisja przyjechała już do Kłajpedy, gdzie na miejscu orientuje się ona w sytuacji. Po wystudiowaniu sprawy na miejscu uda się ona bodaj do Genewy, gdzie ułoży swój wniosek. W marcu pono rzecz ma już być zakończona. W grudniu dyplomacja, rząd i koła rządzące sejmowe litewskie przedstawiały opinii publicznej uchwałę Rady Ligi Narodów o powołaniu tej komisji jako wielki sukces dyplomatyczny litewski i tylko opozycja „Pažangi“ z organem Smetony „Vairasem” na czele wraz z gronem ludzi, którzy w sprawach polityki międzynarodowej Litwy zajmują stanowisko jaskrawie niepodległościowe i radykalnie antypolskie i antyfrancuskie i idą w tym względzie ręka w rękę z „Pažangą“ (taki Janulaitis przede wszystkim) wyrażała wątpliwości o „sukcesie“ powyższym i ostrzegała, że w istocie prowadzi on prostą drogą do tego, czego rząd niby uniknąć pragnął. Jak wiadomo, największą trudność i największy szkopuł w uregulowaniu międzynarodowym sprawy Kłajpedy stanowią prawa Polski w użytkowaniu portu Kłajpedy i w tranzycie przez Litwę. Polska domaga się tych praw i żąda dla nich gwarancji międzynarodowych w organizacji zarządu gospodarczego i politycznego – portu, Litwa chciałby w ogóle prawom tym przeczyć, rozumiejąc, że uznanie ich międzynarodowe, a jeszcze bardziej uznanie przez nią samą sankcjonowałoby aneksję Wilna przez Polskę, a jeżeli już nie można praw tych w zasadzie nie uznać (bo w pewnym naciąganiu Litwa może je wiązać nie z Wilnem, lecz z przynależnością do Polski terenów słonimskich i nowogródzkich nad górnym Niemnem i Szczarą, do których Litwa pretensji nie rości), to przynajmniej chciałaby nie dopuścić do udzielenia

Polsce jakiegoś formalnego udziału w zarządzie i kontroli portu, wyczuwając, że może się to stać punktem zaczepienia do ciągłych usiłowań Polski zniewolenia Litwy i powiązania jej z Polską ściślejszymi więzami, przez które słabsza Litwa utraciłaby swoją niepodległość. A nade wszystko pragnęłaby Litwa – jeżeli już niemożliwe jest zupełne negowanie praw hinterlandu polskiego (oczywiście dopóki ten hinterland białorusko-litewski jest państwowo polskim) – wykręcić się od ich realizacji przez pozbawienie ich wszelkich międzynarodowych sankcji formalnych i zachowanie możności uzależnienia ich działania od likwidacji jej zatargu państwowego z Polską. Takie są aspiracje Litwy urzędowej ze względu na opinię publiczną w kraju. Co zaś do opozycji nieprzejednanych – to ta odrzuca stanowczo wszelki kompromis i połowiczność w tym względzie i uznając logikę i konieczność oparcia praktyki zewnętrznej litewskiej na solidarności z obozem upośledzonych i zwyciężonych – w pierwszym rzędzie Niemiec i ewentualnie Rosji – domaga się radykalnego odrzucenia wszelkich zabiegów międzynarodowych o uwzględnienie interesów i praw Polski.

13 lutego, rok 1924, środa
Uchwała grudniowa Rady Ligi Narodów o wyznaczeniu dla sprawy kłajpedzkiej komisji, złożonej z przedstawicieli państw niezainteresowanych, była przez dyplomację i rząd litewski obwołana za wielki sukces dyplomatyczny Litwy. Wprawdzie opozycja, której najkonsekwentniejszym rzecznikiem jest w sprawach polityki zagranicznej „Vairas", słusznie wskazywała, że nie to jest istotnym, z kogo się składa komisja, ale to, na jakich założeniach oparto jej zadanie i że komisja, której polecono ułożyć projekt statutu Kłajpedy na zasadach, wyrażonych w akcie z d. 16 lutego r. 1923, nie może zadowolić żądań przeciwnych temu aktowi, to jednak rząd i większość rządowa[176] na to nie zważali. A wiadomo, że akt z d. 16.II.1923, którym państwa Ententy uroczyście przekazały suwerenność nad Kłajpedą Litwie, zawiera zastrzeżenie o zagwarantowaniu Polsce użytkowania portu kłajpedzkiego i tranzytu przez Litwę. Rząd litewski w swoim czasie wyraził uroczyście akceptację tego aktu ze wszystkimi jego zastrzeżeniami, przeciwko czemu opozycja wówczas protestowała. Sejm, wiedząc o przyjęciu tego aktu i o jego treści, nie wyraził rządowi nagany i przez to samo aprobował jego stanowisko. Czyż można obecnie żądać, aby z aktu tego nie poczyniono wniosków bez względu na to, czy się one Litwie podobają czy nie. I bez względu na to, jaka będzie i z kogo się będzie składać komisja – wnioski te musi wyciągnąć i do projektu swego wcielić. Można oczywiście nie być przeciwnym tym zastrzeżeniom na rzecz Polski i wtedy nie ma powodu się bać wniosków; ale rząd i koła większości sejmowej, które wprawdzie w duchu nie są tak nieprzejednane w tym względzie, jak to usiłują symulować, nie mają odwagi przyznania się do tego i udają, że chodzi im o to samo, o co chodzi opozycji i że gorliwość ich nie jest bynajmniej mniejsza. To wytwarza fałszywą pozycję rządu i większości sejmowej i niewątpliwie osłabia jego akcję tak na zewnątrz, jak wewnątrz, czyniąc ją połowiczną, dziecinnie głupią i kompromitującą Litwę. Jedno się robi i obiecuje, a inne się mówi; gdy chodzi o zobowiązanie, udziela się go, a gdy chodzi o wnioski i konsekwencje danego słowa – to się cofa, gada, tłumaczy, oponuje itd. Wszystko to robi wrażenie wykrętów. Opozycja dawno wskazywała, że jeżeli większość rządząca, odpowiedzialna za politykę rządu, chce istotnie uniknąć konsekwencji zobowiązań, przyjętych przez rząd, to powinna rząd usunąć, powinna dezaprobować jego zobowiązania i odzyskać wolną rękę. Ale większość sejmowa ani słuchać o tym nie chciała i uprawiała taktykę strusią na zewnątrz i wewnątrz. Teraz rząd i większość kręcą się jak w ukropie. Chcą lawirować między pozorami nieprzejednania,

[176] Chodzi raczej o większość sejmową.

którymi chcą wytrącić broń opozycji, a narzucaniem Litwie warunków na rzecz Polski, które chcieliby wprawdzie łagodzić, ale które w duchu uważają za możliwe do przyjęcia, może nawet za pożądane, byle się do tego nie przyznać.

14 lutego, rok 1924, czwartek
Projektowane jest ustanowienie togi i beretu dla sędziów i prokuratury. Mówiło się o tym od czasu do czasu i dawniej, ale teraz minister Tumenas, który w ogóle lubi rozmaite pomysły, bardzo żywo się tą sprawą zainteresował, a że w najbliższym czasie ma nastąpić nominacja do Trybunału dwóch sędziów z Kłajpedy, gdzie togi i berety są w użyciu, więc sprawa wprowadzenia tóg u nas uchodzi za aktualną. Ja osobiście jestem zwolennikiem tej innowacji, jak również jest jej zwolennikiem nasz prezes Kriščiukaitis, podczas gdy Janulaitis i Čepas są temu przeciwni. Janulaitis, który w ubiegłym tygodniu jeździł do Kłajpedy dla zbadania tam stosunków sądowych w związku z rozciągnięciem na okręg Kłajpedy właściwości Trybunału, przywiózł stamtąd na pokaz togę i beret sędziowskie, które tam utrzymały się od czasów niemieckich. Dziś Tumenas zaprosił do lokalu ministerium grono osób dla ustalenia szczegółów kroju i ornamentyki sędziowskiej togi i beretu. Przyszło kilka osób: Kriščiukaitis, ja, minister Tumenas, wiceminister Brazaitis, radca ministerium Bolcewicz, sędziowie okręgowi Staszkiewicz, Borejsza i Adamowicz. Oglądano i mierzono togę kłajpedzką, projektując jednocześnie togę litewską. Toga litewska ma być czarna, luźna, o dużych szerokich rękawach jak niemiecka, ale obramowanie kołnierza, wylotów i rękawów ma być ciemnozielone. Pod szyją ma być zakładany gładki plastron czerwony, zakrywający koszulę i krawat, a na plastronie ma być naszyty metalowy znak Pogoni. Beret będzie skopiowany dokładnie z czapki wielkoksiążęcej Witolda Wielkiego o dnie czerwonym. Berety i togi maja być w najbliższym czasie wprowadzone.
Poruszenie wywołane sprawą Kłajpedy bardzo przypomina analogiczny przebieg sprawy projektu Hymansa w Kownie. Analogiczna akcja opozycji, analogiczna połowiczność rządu i kół sejmowych, w których, jak za czasów projektu Hymansa, ludowcy, kierowani przez Ślażewicza, idą ręka w rękę z Chrześcijańską Demokracją. W Sejmie sygnał do alarmu dał Šiling, który stanął kategorycznie na stanowisku opozycji Smetony i wszczął akcję radykalną przeciwko jakim bądź kompromisom i ustępstwom w sprawie Kłajpedy. Šiling zajmował stanowisko prezesa sejmowej komisji spraw zagranicznych. Wystąpił on z żądaniem, by rząd litewski odrzucił kategorycznie zastrzeżenia aktu z d. 16 lutego 1923, ustanowione na rzecz tranzytu polskiego i udziału Polski w zarządzie gospodarczym portu kłajpedzkiego. Rząd i inni członkowie komisji – tak chrześcijańscy demokraci, jak ludowcy – nie zgłosili się na to, uznając, że skoro ten akt został przez Litwę przyjęty, to nie może on być teraz nagle przez nią odrzucony i że należy bronić się inną metodą – odpowiednią interpretacją tekstu. Šiling nastawał na tym, że interpretacja nic nie pomoże i że przyjęcie, a obecnie zachowanie aktu prowadzi z konieczności do przyjęcia jego wniosków i konsekwencji. W rezultacie Šiling zrezygnował ze stanowiska prezesa komisji zagranicznej i z niej się usunął. Pojechał też do Gałwanowskiego z wizytą i oświadczył, że odtąd zwraca się przeciwko niemu i będzie go zwalczał wszystkimi środkami walki parlamentarnej. Wszystkie stronnictwa (partia soc.-demokratów) zgłosiły w Sejmie interpelację solidarną do prezesa gabinetu w sprawie Kłajpedy. Obrady nad interpelacją toczyły się wczoraj i mają być zakończone jutro. Zdaje się jednak, że interpelacja ta jest tylko komedią, która ma służyć stronnictwom do wygadania się, do zamanifestowania frazesu patriotycznego, lekkiego na pozór pokrytykowania rządu i pogrożenia Ententcie i Polsce, by przez ten moment zachować sobie furtki do radykalnego odwrotu od kompromisu na wypadek,

gdyby opinia publiczna zmusiła do zerwania ustępstw, jak to było z projektem Hymansa – i udzielenia rządowi votum zaufania, które usankcjonuje tymczasowe kroczenie drogami kompromisu na „a nuż się uda". Jeden Šiling dokłada starań i wysiłków do kampanii przeciwko rządowi, ale bodaj nic nie wskóra. Słychać, że zdołał pozyskać 14 adeptów dla swej akcji.

15 lutego, rok 1924, piątek
Obym był złym prorokiem (zresztą zawsze się w proroctwach myliłem), ale mi się zdaje, że w sprawie statutu Kłajpedy będzie taki sam koniec, jak przed dwoma laty w sprawie projektu Hymansa. Rząd i większość sejmowa będą lawirowały, zwlekały, bałamuciły tak opinię publiczną, jak czynniki międzynarodowe z jednej strony zapewnieniami o swojej stanowczości w obronie suwerenności Litwy i o zbyteczności obaw, z drugiej – kontrprojektami i zastrzeżeniami, licząc na to, że nuż się uda z jednej strony uzyskać od Europy jakieś ustępstwa i złagodzenie nieprzyjemnych punktów statutu, słowem – coś utargować, a z drugiej – usypiając alarmy i obawy, postawić wreszcie w pewnej chwili opinię wobec faktu dokonanego, który się będzie następnie tłumaczyło bądź koniecznością, bądź zapewnieniem, że ostatecznie nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło i że nie taki straszny diabeł, jak go malują. Typowa taktyka oportunistów. Chociaż w moim przekonaniu alarmy opozycji są rzeczywiście przesadne i niebezpieczeństwo polskie dla Litwy, chociaż ono się zaprzeczyć nie da, nie jest tak groźne i tak wielkie, jak ono w przeciętnej opinii litewskiej wyrosło, a ostatecznie Litwa – zwłaszcza w pojęciu narodowym – jest dość zahartowana i odporna na to, aby w żadnym razie nie dać się strawić i nie dać Polsce wykorzystać na Litwy zgubę tych ustępstw i zastrzeżeń tranzytowych, które jej Europa chce zapewnić – to jednak niewątpliwie linia, po której idą oportuniści, choć może się zasadza na tych samych lub podobnych do moich poglądach na przesadność niebezpieczeństwa polskiego – jest chybiona pod względem taktyki i nie budzi u mnie ani szacunku, ani sympatii. Osobiście gotów jestem uznać, że w twierdzeniach opozycji, która wskazuje na to, że udzielenie Polsce tranzytu przez Litwę do Kłajpedy i jakichś praw w użytkowaniu i dozorze gospodarczym portu kłajpedzkiego byłoby usankcjonowaniem polskiego posiadania Wilna i wzmocniłoby tam panowanie Polski, osłabiając niedogodności państwowego oderwania Wilna od Litwy – jest pewien błąd metody politycznej. Że na razie skutek taki byłby – to pewne. Ale ostatecznie odzyskanie Wilna na rzecz Litwy powinno się zasadzać na wytworzeniu w Wileńszczyźnie głębszych procesów spójni litewskiej, niż tylko doraźne czynienie Wilnu niedogodności z powodu jego oderwania od tego związku. Zaś opozycja zapomina o czynnikach innych i zasadza całą politykę wileńską na szykanowaniu Polski i Wilna z powodu zaboru i ewentualnie na grze spekulacyjnej dyplomatycznej, opartej na atutach niemiecko-rosyjskich. Te czynniki i ta gra mogę się w pewnym zakresie przydać, toteż nie są do odrzucenia bezwzględnego, ale trzeba nie przeciągać ich struny, pamiętając, że kij ma dwa końce i że czasem może uderzyć boleśniej od ciosu, który się nim paruje, i trzeba równolegle o innych czynnikach pamiętać. Wszakże koła rządowo-sejmowe, które w założeniu bodajże mądrzej rozumują od opozycji, w taktyce są niesłychanie słabe i niedołężne i bez żadnego porównania od opozycji głupsze. Opozycja może błądzi i przejaskrawia, ale argumentuje ściśle i posługuje się metodą logiczną: wie, czego chce i mając cel wyraźny – ma też świadomość środków, czego właśnie brak kołom rządzącym, działającym połowicznie i na zwłokę i błąkającym się beznadziejnie w jakimś chaosie kontrastów między frazesem a działaniem. I skończy się z pewnością na tym, że w kategorycznym momencie koła rządowe stchórzą przed stanowczą postawą opozycji, silnej swą logiką i konsekwencją – i cofną się. Ale takie cofnięcie się po zaangażowaniu

będzie zawsze gorsze niż to, czego się domagała i domaga opozycja: nieangażowania się. Cofanie się w chwili decydującej, gdy się zaangażowało dla otrzymania zadatku, kompromituje Litwę. A Litwa wciąż to czyni.

16 lutego, rok 1924, sobota
Szósta rocznica Niepodległości Litwy.
Tym razem pod pretekstem chłodów zimowych manifestacja publiczna Niepodległości, która się co roku odbywała i wyrażała w pochodach z udziałem szkół, stowarzyszeń, organizacji ze sztandarami, plakatami, muzyką, z przemówieniami publicznymi itd. – została odwołana zawczasu. Choć zima w tym roku rzeczywiście jest mocna i mrozy dobrze trzymają, to jednak w tych dniach bynajmniej mrozu wielkiego nie ma: nie jest większy, niż był lat ubiegłych. Sekret odwołania manifestacji publicznej polega nie na mrozach, ale na sprawie Kłajpedy, którą koła rządzące nie życzą sobie rzucać na pastwę manifestacji i mów ulicznych, które by wniosły zaognienie i działały podniecająco na poruszoną opinie publiczną. Cała więc uroczystość dzisiejsza została ściągnięta do obchodów o charakterze urzędowym w szrankach zamkniętych. Składała się ona z elementów następujących. O godz. 11 – msza śpiewana w Bazylice, o godz. 12 uroczyste posiedzenie Sejmu z udziałem gości za zaproszeniami, rozsyłanymi w imieniu marszałka Sejmu; wieczorem w teatrze przedstawienie opery „Faust” z Cyprianem Piotrowskim w roli Fausta – za biletami płatnymi; wreszcie o godz. 11 wieczorem w lokalu Klubu Litewskiego wielkie przyjęcie publiczne za zaproszeniami od imienia prezesa Gabinetu Ministrów Gałwanowskiego i jego żony – z kolacją zimną „*á la fourchette*”, trunkami, muzyką, tańcami i rautem. Miałem zaproszenie na nabożeństwo do Bazyliki z zastrzeżeniem zarezerwowanego miejsca, zaproszenie na posiedzenie Sejmu i zaproszenie na wieczór w Klubie Litewskim. Wszędzie byłem. Oprócz tego na uniwersytecie było o godz. 4 wielkie posiedzenie publiczne doroczne, nie tylko z okazji rocznicy Niepodległości, ale także z okazji rocznicy dwuletniej samego uniwersytetu (16 lutego r. 1922). Ale postaram się opisać szczegóły dnia i fet. W Bazylice na nabożeństwie byłem, ale stałem skromnie w nawie bocznej wśród pospolitej ciżby pobożnych; nie skorzystałem z zarezerwowanego miejsca w liczbie dostojników i gości honorowych. Po nabożeństwie miał kazanie biskup Karewicz. W Sejmie posiedzenie uroczyste było wypełnione przemówieniem marszałka – kanonika Staugaitisa, które, jak zwykle w takich razach, polegało na retrospektywnym przeglądzie tego, co zostało w ciągu lat ostatnich dokonane i co stanowi dorobek narodowy i państwowy, i następnie na dotknięciu najaktualniejszych problemów, które streszczają się dla Litwy w zagadnieniach międzynarodowych Kłajpedy i Wilna. Przemówienie kanonika Staugaitisa było taktowne i umiarkowane. Uwydatnił on oczywiście w barwach optymistycznych dodatnie postępy Litwy, dotknąwszy zwłaszcza stosunków gospodarczych, waluty, finansów, oświaty i złożywszy tradycyjny konwencjonalny hołd reformie agrarnej. Dotykając stosunków zewnętrznych Litwy i je dzieła Niepodległości, nie mógł on oczywiście nie dotknąć konfliktu z Polską, który wypełnia sobą całą treść tego dzieła i wiąże się ze sprawą tak Kłajpedy, jak Wilna. Nie wymienił on jednak ani razu imienia Polski i nazywał jeno sąsiadem, który itd. Mówiąc o aktualnej sprawie Kłajpedy zaznaczył, że oczywiście Litwa, która podpisała Konwencję Barcelońską o wolności tranzytu handlowego i neutralizacji dróg komunikacji wodnej, nie ma na myśli przeszkadzania swobodnemu handlowi, ale nie może dopuścić i nie ścierpi, aby sąsiad, który złamał ugodę (umowę suwalską) i zagarnął część terytorium państwowego Litwy wraz z jej stolicą, mógł rościć pretensje i pozyskać prawa do zobowiązań Litwy i do jej usług, a tym bardziej by mu Litwa udzieliła jakiegoś przywileju w Kłajpedzie, kolidującego z jej prawami suwerennymi i

mogącego mu posłużyć za drugie ogniowo obręczy, którą ściśnie Litwę i zniszczy jej niepodległość. Ten ustęp mowy wraz z innym, w którym Staugaitis wyraził coroczne tradycyjne życzenie, by w roku następnym rocznica Niepodległości obchodzona już była nie tu w Kownie, lecz w Wilnie, i wraz z trzecim jeszcze, oddającym hołd wojsku, wywołały na ławach poselskich i w krzesłach publiczności żywe oklaski.

17 lutego, rok 1924, niedziela
Mieliśmy, jak zwykle, rano posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego na uniwersytecie. Po obiedzie byłem na herbatce publicznej proszonej w Klubie Litewskim, urządzonej przez Towarzystwo Franko-Litewskie. Poza tym pracowałem w domu. Ale o herbatce franko-litewskiej napiszę może jutro, a tymczasem kontynuować będę o uroczystościach dnia wczorajszego. W końcu przemówienia swego na uroczystym posiedzeniu Dejmu marszałek tegoż, ksiądz kanonik Staugaitis wspomniał o depeszach gratulacyjnych, nadesłanych do Sejmu z okazji szóstej rocznicy Niepodległości. Gratulacje te liczebnie prezentowały się słabo, bo były tylko dwie – od delegacji Sejmu Łotewskiego, która w liczbie trzech posłów – od trzech frakcji łotewskich – przyjechała właśnie z wizytą do Litwy i zasiadała na uroczystym posiedzeniu Sejmu, i od Sejmu Czechosłowackiego. Obie wzmianki o tych gratulacjach wywołały oklaski i owację w ławach poselskich i wśród publiczności, ale gorętszą była owacja na rzecz Czechosłowacji, niż na rzecz Łotwy. W ogóle Czechosłowacja jest bardzo popularna w Litwie, a popularność jej zwiększa jeszcze bardziej to, że ma ona zatargi z Polską i że jej polityka na Wschodzie jest z wielu względów polskiej przeciwna. Czesi zręcznie tez umieją zabiegać o zwiększenie sympatii ku sobie i o zyskanie popularności. Dziś oni, korzystając z osłabienia Rosji i z oderwania jej polityki od spraw słowiańskich, dążą do wysunięcia się na czoło Słowiańszczyzny i popierają oraz protegują wszystko i wszystkich, co się potworzyło w spadku po starej Rosji i zwłaszcza co jest lub uważa się za skrzywdzone przez antagonistkę i rywalkę Rosji – Polskę; stąd ich przygarnianie Białorusinów i Ukraińców, stąd ich dbałość o sympatie Litwy, która, choć słowiańską nie jest, jest bliska światu słowiańskiemu i solidaryzuje się tak z Rosją, jak z antagonistami Polski. Marszałek Staugaitis dla większego zaakcentowania szczególnej przyjaźni czeskiej, mówiąc o depeszy gratulacyjnej Sejmu Czechosłowackiego, zaopatrzył tę wzmiankę komentarzem, wskazującym, że jest to gratulacja od narodu, który jest Litwie szczególnie sympatyczny, czego o Łotyszach, wzmiankując ich gratulację, nie powiedział, mimo że delegacja łotewska była obecna na posiedzeniu. Uroczystość wczorajsza popołudniowa na uniwersytecie ładnie się udała. Posiedzenie odbywało się w wielkiej sali uniwersytetu, tej samej, która służy moim wykładom. Sala była pełniutka. Za wielkim stołem prezydialnym zasiadł cały senat uniwersytetu *in corpore* (brakowało tylko dziekana Wydziału Humanistyki Michała Biržiški) z rektorem Czapińskim na czele. Wśród senatu za tymże stołem zasiadł gość honorowy – prezes Gabinetu Ministrów Gałwanowski. Naprzeciw stołu prezydialnego pierwsze rzędy, jak również krzesła boczne obsiadła profesura oraz znaczniejsi goście. Głąb sali zajęła młodzież. Posiedzenie otworzył przemówieniem Czapiński. Po nim o roli i zasługach młodego uniwersytetu przemówił Gałwanowski. Po mowie Gałwanowskiego młodzież odśpiewała hymn narodowy, który wysłuchano stojąco. Następnie sekretarz uniwersytetu prof. Lašas odczytał sprawozdanie roczne uniwersytetu, zaczem z głębi sali odśpiewano piękne „Gaudeamus igitur”, wykonane przez młodzież z werwą i dobrym taktem. Następnie zarządzona została pauza, z czego skorzystałem i wyszedłem. Nie zostałem na prelekcję publiczną prof. Dovydaitisa, który miał wykład o Anglii.

18 lutego, rok 1924, poniedziałek
Jeszcze o pozawczorajszym dniu uroczystym 16 lutego. Tego dnia wieczorem – na zakończenie fet – był raut publiczny w salonach Klubu Litewskiego, wszakże za zaproszeniami osobistymi pana i pani Gałwanowskich. Nie wiem, czy właściwie się go nazywa rautem, bo były także i tańce. Słowem – był to wieczór. Był on późny, bo zaproszenia opiewały na godzinę: trzy kwadranse na jedenastą wieczorem. Godzina była wyznaczona późna, aby umożliwić gościom wysłuchanie opery. Na operze nie byłem. W pierwszym saloniku Klubu Litewskiego od wejścia stał pośrodku pokoju p. Gałwanowski z żoną, spotykając wchodzących gości i czyniąc honory gospodarzy wieczoru. Po raz pierwszy poznałem panią Gałwanowską, która jest rodem Francuzką, podobno szwaczką z zawodu, która prócz urody Paryżanki nie miała ani posagu, ani wykształcenia; będąc młodą wdową z córeczką, która dziś już jest panną, obecna pani Gałwanowska wyszła za mąż za młodego inżyniera i emigranta Litwina, ani marząc o tym, że ten ubogi chłopiec za lat kilkanaście wybije się na czoło rządu w nowo powstałej Republice Litewskiej, o której się nikomu wtedy nie śniło jako o rzeczy bliskiej.
Wieczór był żywy i zabawa liczna. Byli ministrowie, posłowie sejmowi, dyplomaci obcy, wyżsi urzędnicy, duża liczba pań i panien. Gdy przybył pan Prezydent Rzeczypospolitej Stulgiński z żoną, całe towarzystwo ruszyło do sal jadalnych, gdzie na licznych dużych stołach były poustawiane jadła zimne, przekąski, trunki, ciasta, słodycze, owoce. Następnie towarzystwo się rozproszyło po salonach i gabinetach. W wielkim salonie pod dźwięki muzyki, wygrywającej egzotyczne melodie murzyńsko-amerykańskie, zapożyczone z Europy Zachodniej, gdzie są one obecnie w modzie – szły tańce; gdzie indziej pito kawę przy stolikach, zjadano torty i owoce, prowadzono rozmowy; w gabinetach ubocznych grano w karty. Zabawiłem na wieczorze do godz. 3 w nocy. Czas spędziłem nieźle. Prowadziłem dłuższe rozmowy z Toliušisem, z posłami sejmowej frakcji żydowskiej Robinsonem i Garfunklem, z posłem frakcji polskiej Lutykiem, z ministrem sprawiedliwości Tumenasem, z prokuratorem Sądu Wojennego Vimerem, z Sugintem i Janulaitisem. Dużo się ciekawych rzeczy dowiedziałem. Dobrze jest tak czasem otrzeć się towarzysko o rozmaitych ludzi.
Zwracało uwagę, że przywódcy opozycji przeciwko rządowi w sprawie Kłajpedy, jak Šiling, Antoni Smetona i ich poplecznicy (z wyjątkiem bodaj Janulaitisa), na raucie „świecili nieobecnością”.

19 lutego, rok 1924, wtorek
Dziś opiszę niedzielną herbatkę Towarzystwa Franko-Litewskiego. Był to pierwszy występ publiczny tego towarzystwa, pierwsza jego prezentacja. Publiczność litewska wiedziała o założeniu tego towarzystwa z dzienników, które w jesieni podały wzmiankę o jego założeniu ze wskazaniem założycieli oraz osób, które weszły do zarządu i komisji rewizyjnej. Prasa żadnych uwag z powodu założenia nie poczyniła, ale opinia publiczna na fakt ten uwagę zwróciła. Nie brakło niechętnych komentarzy i ostrej krytyki, wskazującej, że zakładanie Towarzystwa Franko-Litewskiego dla kultywowania przyjaźni z Francuzami i dla propagandy francuskiej na Litwie jest dziełem niepatriotycznym ze względu na to, że Francja, która popiera Polskę i na której poparciu Polska funduje zabór Wilna i całą swoją politykę, zmierzającą do złamania niepodległości Litwy, jest rzekomo największym wrogiem Litwy, któremu należy się od Litwinów pogarda, a nie pochlebstwo i nie okazywanie jakichkolwiek sympatii choćby w sferze apolitycznej kultury. O Towarzystwie Franko-Litewskim, do którego założycieli i ja należę, zachodziła często rozmowa i u nas w Trybunale. Moi koledzy

Janulaitis i Kriščiukaitis dawali wyraz tym nastrojom opinii publicznej, mówiąc z wielkim przekąsem o tej próbie kontaktu z Francją.
Ale w naszym Towarzystwie Franko-Litewskim są przekonani rzecznicy zbliżenia kulturalnego, a pośrednio i politycznego z Francją. Do nich należy przede wszystkim były minister finansów Dobkiewicz i nasz prezes Towarzystwa – Jan Vileišis, burmistrz Kowna. Ja sam także jestem gorącym sympatykiem Francji i wielkim przyjacielem idei zbliżenia Litwy do Francji.
Towarzystwo Franko-Litewskie dotąd szerszego znaku życia nie dawało. Oprócz podania do prasy i do prasy francuskiej w Paryżu notatki o powstaniu Towarzystwa, oprócz kilku posiedzeń prywatnych założycieli i potem zarządu oraz jednej kolacyjki w łonie członków Towarzystwa, wydanej na cześć bawiącego przejazdem w Kownie kapitana d'Etschegoyen – niczym życia swego nie zaznaczyło. Był w jesieni projekt urządzenia wykładu publicznego po francusku o literaturze francuskiej jako pierwszego publicznego wystąpienia Towarzystwa. Prelegentem miał być prof. Voldemaras, ale wygnanie Voldemarasa z Kowna zwichnęło ten projekt. Była mowa o założeniu czytelni publicznej francuskiej, o rodzaju klubu franko-litewskiego, o kursach języka i literatury francuskiej, o odczytach publicznych, o zapraszaniu prelegentów z Paryża za pośrednictwem Alliance Française. Ale wszystkie te projekty pozostają w sferze projektów. Wreszcie zarząd zdobył się na proszoną herbatkę publiczną w karnawale, która się też pozawczoraj w niedzielę odbyła w salonach Klubu Litewskiego i udała się bardzo dobrze. Ogółem było z 50 osób. Z okazji herbatki przybyło też Towarzystwu członków, bo wielu gości się na członków wpisało. Wśród obecnych na herbatce – oprócz dawnych członków i założycieli Towarzystwa – ze strony litewskiej Jana Vileišisa, Dobkiewicza, Marcina Yčasa i ze strony francuskiej p. Benoîta, kapitana Chabaniera, konsula Eyberta, agenta dyplomatycznego francuskiego Leclerca (następca odwołanego Padovaniego) – byli między innymi: Tadeusz Iwanowski, prof. Šimkus, Jonynas, szambelanowa (papieska) Zaleska, p. Ślażewiczowa, panna Gałwanowska (raczej córka pani Gałwanowskiej z pierwszego małżeństwa), Dominik Siemaszko, młody Grinius (syn Kazimierza) i wiele innych panów, pań i panien. Towarzystwo porozmieszczało się grupami przy stolikach, popijało herbatę, słodką wódkę i likiery, zabawiało się rozmową, zjadało torty, pączki, ciasta. Muzyka grała, kilka par tańczyło. Wreszcie podano szampan w kielichach, a Jan Vileišis, prezes Towarzystwa, wystąpił na środek i z kielichem szampana w ręku wypowiedział po litewsku bardzo ładną mowę, w której wskazał cel Towarzystwa, powitał gości i odwołał się do pięknych haseł humanizmu – miłości, równości, braterstwa i wolności, które dała Europie Francja w swojej Wielkiej Rewolucji i które oby się urzeczywistniały w stosunkach nie tylko między ludźmi, ale i między narodami, do czego właśnie tęskni Litwa. Ładne też były zwroty w mowie Vileišisa do braci Francuzów. Potem przemówił jeszcze po francusku p. Leclerc.

20 lutego, rok 1924, środa
Jakie będą losy sprawy kłajpedzkiej – trudno z góry ustalić, ale coś prezentuje się ona w perspektywach źle. Prezes komisji międzynarodowej – Amerykanin Davis – należy na nieszczęście do ludzi, którzy lubią dużo gadać, a to jest w tej sprawie bardzo ujemne, o ile miałoby chodzić o przyjęcie przez Litwę kompromisowego układu. Te czynniki litewskie, które są za przyjęciem znośnego kompromisu, boją się – jak mówiłem – otwarcie się do tego przyznać; cała ich nadzieja polega, zdaje się, na tym, że da się tę rzecz jakoś zamydlić i niepostrzeżenie przeprowadzić; ale opozycja jest cała nasrożona, czujna i o każdy szczegół podnosi alarm głośny. Im więcej jest okazji do tego alarmu, tym trudniej liczyć na to, że rzecz przejdzie niepostrzeżenie, bo każdy alarm

wyprowadza rzecz na czystą wodę i zmusza czynniki odpowiedzialne polityki litewskiej, usposobione kompromisowo, ale połowiczne – do wypowiedzenia się. ponieważ czynniki te boją się przyznać otwarcie, czego chcą, nie mają odwagi wystąpienia przeciwko opozycji i zmuszone są przez to udawać publicznie, że właściwie chodzi im o to samo, o co krzyczy opozycja i że same są zdecydowane iść tą samą drogą i istotnie też rzekomo idą, więc że różnica między nimi a opozycją jest jeno ta, iż opozycja przedwcześnie i bez racji podnosi alarm, kiedy nie ma jeszcze do alarmu powodu – przeto przy każdym alarmie muszą one publicznie wygłosić coś radykalnego, co potem z konieczności ich wiąże i komplikuje szanse kompromisu. A pan Davis gadatliwością swoją, w której co chwila podkreśla konieczność ustępstw Litwy i konieczność zastrzeżeń na rzecz Polski, dyktowanych zarówno sprawiedliwością, jak względami pokoju, jak wreszcie zobowiązaniem samejże Litwy, która przyjęła w zasadzie całość aktu z d. 16 lutego 1923 – mnoży momenty alarmu, wszczynanego przez opozycję. Jeżeli się jeszcze do tego doda pewne szczegóły postępowania p. Davisa, zaiste dziwne i pełne nietaktu względem Litwy w tym stanie jej stosunków z Polską i jej drażliwości szczególnej na tym punkcie – to można byłoby nawet sądzić, że p. Davis po prostu prowokuje Litwę, gdyby się ta rzecz nie tłumaczyła inaczej jego nieświadomością psychologii stosunków i jego lekceważeniem drobnego zbuntowanego przeciwko potęgom świata państewka, które w jego pojęciu, jak się zdaje, jest tworem jeno przejściowym do czasu unormowania mocarstwowych stosunków rosyjskich, co dopiero da jakiś stały układ państwowy na Wschodzie europejskim. Tak oto np. – nie mówiąc o wszystkich jego przemówieniach poprzednich – p. Davis obecnie zrobił rzecz taką: po wyjeździe z Kłajpedy, gdzie komisja bawiła służbowo dla zapoznania się na miejscu ze stanem rzeczy i opinia ludności, komisja udała się – do Warszawy i tam p. Davis z kolegami był na przyjęciu u Prezydenta Rzeczypospolitej, przyjmował śniadanie w Ministerium Spraw Zagranicznych itd. Natomiast w Kownie nie był, jeno przejazdem przez Kowno przyjmował na dworcu kolejowym delegację sejmową; ale do miasta nie zaglądał, bawił w wagonie. Takie potraktowanie Kowna w związku z wizytą w Warszawie oczywiście drażni Litwinów, każe im posądzać Davisa o stronność polską i daje opozycji śliczną okazję do tym głośniejszego krzyku. W tych dniach rozmawiałem obszerniej o sprawie Kłajpedy z posłem Toliušisem, jednym z młodych *leaderów* ludowców i członkiem sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych. Wiadomo, że u ludowców specjalistą i wyrocznią w sprawach polityki zewnętrznej jest Ślażewicz, idący ręka w rękę z Gałwanowskim, rzecznik kompromisu i – powiedziałbym – orientacji zachodnioeuropejskiej. Opinia Toliušisa jest więc opinią Ślażewicza oraz rządu. Otóż mówił on bardzo uspokajająco, twierdził, że żadnego powodu do alarmu nie ma. Powiedział, że oczywiście Litwa będzie musiała udzielić tranzytu, bo to jest nieuniknione i zresztą słuszne, ale że żadnych praw specjalnych w zarządzie i użytkowaniu portu kłajpedzkiego, żadnej dzierżawy 99-letniej i jakiejś zony eksterytorialnej Polsce nie będzie udzielone; że podobno pod tym względem Davis [daje] to wyraźnie do zrozumienia i obaw istotnych nie ma. Wypadałoby więc, że na tranzyt koła urzędowe i rządzące się godzą. Tymczasem Gałwanowski w Sejmie w odpowiedzi na interpelację kategorycznie twierdził, że nie może być mowy o żadnym tranzycie dla Polski, dopóki ona Wilno trzyma. Inaczej więc brzmią słowa publiczne, a inaczej się chce i mówi prywatnie.

21 lutego, rok 1924, czwartek

Na uniwersytecie w godzinach wykładowych kontynuowałem częściowo wykład, a częściowo znowu pogadankę z tymi studentami, którzy wykonali *colloquium* na piśmie. Na ogół, odczytując te krótkie prace colloquialne młodzieży naszej, stwierdzam, że

wynik jest lepszy, niż się spodziewałem. Dotąd przeczytałem już i sprawdziłem oraz uzupełniłem pogadanką ustną ze 40 tych prac. Poza tym przeszło 20 studentów odbyło *colloquium* wyłącznie ustnie. Z ogólnej przeto liczby 60-70 studentów, których *colloquium* z I semestru jest załatwione ostatecznie, zakwalifikowałem 15 rezultatów stopniem „bardzo dobrze" (formalnie colloquia nie są kwalifikowane, ale kwalifikuję je dla własnej wiadomości – dla orientowania się potem przy egzaminie). Oto nazwiska tych najlepszych uczni: Gecel Mariampolski, Jan Strimaitis, Andrzej Razwicki, Antoni Laugalis, Wawrzyniec Pociunas, Józef Karklys, Zuzanna Katiliusówna, Wincenty Nainys, Maksymilian Eirošius, Józef Igaunis, Bolesłąw Giedra, Julia Wojciechowska, Salomon Kodesz, Mojżesz Fortuna i Antoni Urbelis.
Jeszcze parę słów z okazji sprawy kłajpedzkiej. Na perspektywy jej szybkiego załatwienia zapatruję się pesymistycznie. Do jakiego stopnia opozycja przesadza niebezpieczeństwo kompromisu w sprawie Kłajpedy, siejąc zdenerwowanie i trwogę w opinii publicznej, widać z artykułu literata Kreve-Mickevičiusa w organie Strzelców „Trimitas" i z przemówienia tegoż na zebraniu Związku Strzelców w d. 16 lutego. Kreve-Mickevičius, jeden z adeptów opozycji Smetony, literat zdolny i znany oraz profesor literatur słowiańskich na uniwersytecie, twierdzi, że w trzy miesiące po przyjęciu przez Litwę statutu Kłajpedy, który opracuje komisja Davisa, Polska nie tylko że już dokona ostatecznej aneksji Litwy, ale już i zdoła rozpędzić wszystkich inteligentów litewskich, a wszyscy oporni patrioci będą już bądź na wygnaniu, bądź w więzieniach polskich. Ten strach i ta nienawiść Polski, którymi się tu operuje w masach, dochodzą już wprost do jakiejś histerii. Jakże się tu spodziewać, żeby statut kompromisowy Kłajpedy, w którym będzie choć jakiś cień ustępstwa na rzecz tranzytu dla Polski, mógł być przyjęty? Chrześcijańska Demokracja, w której łonie zdają się przeważać – przynajmniej u szczytów – czynniki, bojące się radykalizmu w polityce międzynarodowej i skłonne do przyjęcia kompromisu, jest tak sterroryzowana, że o wiele więcej się boi krzyku opozycji, niż konsekwencji odrzucenia kompromisu i w swoim organie „Rytas" ani piśnie o kompromisie, a nawet zaczyna usiłować uderzać także w ton radykalizmu nieprzejednanego, żeby się nie dać opozycji przelicytować i nie dać przez nią skompromitować. Bodaj najumiarkowaniej zachowują w swojej prasie milczenie ludowcy, których wódz – Ślażewicz – jest zdecydowanym rzecznikiem kompromisu, ale i on w chwili decydującej sam się przeciwstawić nie odważy, bo skutku nie osiągnie, a jeno się skompromituje. Jakież więc są szanse na kompromis?! A że komisja Davisa zaprojektuje kompromis z zastrzeżeniami dla Polski – to jasne.

22 lutego, rok 1924, piątek
Zgłosił się dziś do mnie Tadeusz Pietkiewicz, jeden z młodych sympatycznych ludowców, dość znany i wybitny działacz z młodszego pokolenia litewskiego, były sekretarz Gabinetu Ministrów za czasów ministerium Griniusa, próbujący kariery prawniczej i dyplomatycznej, kandydat do loży naszej. Zgłosił się do mnie jako profesora prawa konstytucyjnego w sprawie swojej pracy dyplomowej uniwersyteckiej. Pietkiewicz skończył studia prawnicze na jednym z uniwersytetów rosyjskich przed czy podczas wojny, ale wypadki wojenne przeszkodziły mu zdać egzaminy państwowe, które w Rosji były wymagane dla dyplomu. Reflektuje więc obecnie na dyplom naszego uniwersytetu. Zdał już u nas egzaminy, których nie miał zdanych w Rosji, ale musi jeszcze napisać pracę dyplomową, która u nas jest wymagana. Praca ta może być napisana z dowolnie wybranego przez samego piszącego przedmiotu i na temat, przezeń dowolnie wybrany po porozumieniu się z odpowiednim profesorem. Pietkiewicz ma temat obrany, który go szczególnie interesuje i do którego posiada on odpowiednią literaturę. Tematem tym jest „Opinia publiczna". Miał on jednak wątpliwości, czy

uznam ten temat za należący do sfery wykładanego przeze mnie przedmiotu. Dałem mu odpowiedź całkowicie twierdzącą. Choć mój przedmiot nazywa się urzędowo „prawem państwowym” albo „konstytucyjnym”, jak ja go nazywam, to jednak ja go w wykładach traktuję obszerniej, mianowicie ogarniam tak społeczną naukę o państwie jako jednej z form związku społecznego w zestawieniu funkcjonalnym z całokształtem obcowania społecznego – jak naukę właściwego prawa konstytucyjnego. Muszę to czynić tym bardziej, że osobnej katedry ani socjologii, ani nauki społecznej o państwie nie ma u nas. Zagadnienie opinii publicznej jest niezmiernie ważne tak dla pierwszej – socjologicznej – części mojego przedmiotu, jak dla prawa konstytucyjnego, albowiem opinia publiczna jest jednym z tych czynników, które stanowią gwarancję działania norm prawnych, zwłaszcza zaś niedoskonałych („*imperfectum*”) norm prawa konstytucyjnego, pozbawionych sankcji i opieki kontroli sądowej. Temat opinii publicznej jest bardzo ciekawy i coraz aktualniejszy we współczesnym obcowaniu społecznym. Pietkiewicz jest już drugim chcącym pisać pracę dyplomową u mnie. Pierwszy – Sugint – po namyśle i wertowaniu ksiąg wybrał sobie temat o konstytucyjności ustaw i spornej w nauce i praktyce państwowej kontroli sądowej tejże konstytucyjności. Wybrał., ale czy on wytrwa i napisze – nie wiem, bo zgłębiając przedmiot przekonał się, że „im dalej w las – tym więcej drzew” – im bardziej się temat studiuje i rozczytuje w opinii uczonych, tym się ma więcej wątpliwości i tym decyzja jest trudniejsza, co w ogóle cechuje wszystkie nauki prawnicze i społeczne, a w szczególności prawo konstytucyjne. Toteż Sugint przez studiowanie tematu zaczyna coraz bardziej tracić pewność siebie i boi się brać do pracy, toteż kto wie, czy nie zrejteruje.
Oko lewe mię dziś boli. Łzawi się, świerzbi, boli i powieka brzęknie. Może to jęczmień. Po obiedzie obwiązałem oko i tak cały wieczór przesiedziałem, używając w pracy tylko prawego oka.

23 lutego, rok 1924, sobota
Przed kilku dniami wspominałem w dzienniku o ujawniającym się zamiarze Chrześcijańskiej Demokracji umorzenia sprawy Puryckiego. Do kwestii tej postaram się w najbliższych dniach wrócić, a zresztą jeżeli ten zamiar się zrealizuje, to zapewne wypadnie mi doń wrócić choćby dlatego. że podług wszelkiego prawdopodobieństwa sprawa ta wywoła komplikacje i zagadnienia w łonie samego Trybunału, o ile do tego czasu Trybunał nie będzie zdegradowany. Na razie o tym właśnie zdegradowaniu chcę mówić. Ciąży ono obecnie nad trybunałem jako rzecz wprawdzie jeszcze nie zdecydowana, ale zaczynająca się wyłaniać i krystalizować w sferze możliwości i projektów. Ministerium Sprawiedliwości pod rządami Tumenasa odżyło z gnuśnego niedołęstwa i bezwładu, które cechowały rządy kilkuletnie jego poprzednika – Karoblisa. Wszystko tam jest teraz w ruchu, wszystko kipi projektami, wszystko jest postawione pod rozwagę, wszystkie pomysły, wątpliwości i możliwości, które były kiedykolwiek przez kogokolwiek wyrażone – wypłynęły jak oliwa na poziom roztrząsań zainicjowanych przez Tumenasa. Począwszy od kwestii tóg i beretów dla sędziów w sądach kolegialnych, od kwestii likwidacji zaległości w Sądzie Okręgowym Kowieńskim, od drobnych kwestii dozoru służbowego nad trybem pracy sędziów (na interwencję Tumenasa Sąd Okręgowy Kowieński rozpoczął wreszcie regularnie zaczynać posiedzenia sądowe o godz. 9 rano, a Tumenas rozciąga dozór nad sędziami tak dalece, że spotykając sędziego na ulicy w godzinach urzędowych, zapytuje go – oczywiście w formie prywatnego zapytania – jaka nagląca potrzeba oderwała go od zajęć służbowych w sądzie), a kończąc na kwestiach przebudowy całego sądownictwa i nawet całkowitej przebudowy kodeksów cywilnego i karnego – wszystko się naraz

znalazło na warsztacie pracy ministerialnej Tumenasa. Wspominałem, dotknąwszy zamiarów umorzenia sprawy Puryckiego, o tym, że podnoszona była w związku z tymi zamiarami kwestia, czy Trybunał nasz jest istotnie tym Sądem Najwyższym Litwy, o którym Konstytucja Rzeczypospolitej głosi, że jest on jedynym dla całego państwa i któremu też Konstytucja przekazuje do rozpoznania karnego sprawy o przestępstwa służbowe ministrów. Jak tam stwierdziłem, wątpliwości, połączone z ta kwestią, upadły jednak, po pierwsze dlatego, że istotnie w tej chwili innego sądu, wyższego nad Trybunał, w Litwie nie ma, a po wtóre dlatego, że właśnie świeżo na zasadzie tego artykułu Konstytucji, który ustanawia jedyny Sąd Najwyższy dla całego państwa, została uchwalona przez Sejm ustawa, rozciągająca jurysdykcję Trybunału na autonomiczny okręg Kłajpedy, którego autonomia ogarnia i sądownictwo, a przez to samo ustanowiony został precedens ustawowy o zakwalifikowaniu Trybunału jako Sądu Najwyższego Litwy. Ale kwestia stworzenia nowego Sądu Najwyższego, wyższego nad nasz obecny Trybunał, wypłynęła w sferze projektów Tumenasa inną drogą. Konstytucja mówi, że Sąd Najwyższy jest jedyny, ale nie mówi, że tym Sądem Najwyższym jest obecny Trybunał, ani w ogóle podaje jego nazwy. Dopóki nie ma innego wyższego, dopóty jest Trybunał najwyższym. Ale to nie znaczy, że przez stworzenie wyższego Trybunał obecny nie może być zdegradowany. W ten sposób sprawa Sądu Najwyższego, jak ją Konstytucja określa, nie wiąże się organicznie ze stanowiskiem Trybunału w organizacji sądownictwa Litwy.

24 lutego, rok 1924, niedziela
Zdawało mi się rano, że nie mam wezwania na posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego, toteż nie poszedłem do uniwersytetu, sądząc, że posiedzenia nie będzie. Dowiedziałem się potem, że było i że obradowano nad ciekawymi kwestiami, dla których na pewno bym na nie poszedł. Znalazłem też w kieszeni wezwanie, o którym zapomniałem.
Po obiedzie w ogromnej sali Klubu Wojennego (były lokal polskiej „Lutni" i biur frakcji poselskiej w r. 1920) odbyło się zebranie założycieli nowego klubu politycznego, zainicjowanego przez ludowców. Zaproszenia na to zebranie podpisane były w imieniu grupy inicjatorów przez Kazimierza Griniusa, Michała Ślażewicza i niejaka p. Nowicką. Najczynniejszym w gronie inicjatorów jest poseł sejmowy z frakcji ludowców Niemiec litewski Tornau, młody i dzielny człowiek (zresztą ludowcy są stronnictwem, w którym ludzi zdolnych przybywa i które ma ich dobór o wiele lepszy, niż inne stronnictwa, wyjąwszy może prawicową „Pažangę"). Ogółem na zebranie przybyło około 50-60 osób obojga płci. Przewodniczył nasz brat dr Jerzy Šaulys, sekretarzował nasz brat Sugint. Był przedyskutowany i przyjęty projekt statutu klubu, potem była zarządzona przerwa dla ustalenia kandydatur do zarządu i dla naradzenia się nad nazwą, którą się ma klubowi nadać. Klub ma być polityczny, wszakże ze zwykłymi klubowymi atrakcjami towarzyskimi. Klub ma łączyć inteligencję tzw. postępową, organizować jej opinię, ma też służyć (co oczywiście się w statucie i nawet w ogóle szeroko publicznie nie mówi dla niezastraszania ludzi pozorami partyjności) do szerzenia i pogłębiania wpływów ludowców, którzy zaiste gotują się do roli stronnictwa rządzącego w bliskiej może przyszłości. Ludowcy – niezależnie od tego, że są mi oni pod wielu względami ideowo bliscy, mimo że mię od nich dzieli mój stosunek ujemny do reformy agrarnej – zyskują w moich oczach przez to, że mają ludzi o szerszych perspektywach politycznych i umieją patrzyć na Zachód, a nie tylko na Wschód rosyjski lub na dyszące zemstą Niemcy. Staja się oni coraz bardziej ze stronnictwa chłopomańskiego stronnictwem kultury postępowej i myśli eklektycznej; wpływa to na

ich oportunizm, ale zarazem szerzy w ich łonie powiew Wolnej Myśli. Najlepszym wyrazem obecnej ewolucji ludowców jest ich wódz Ślażewicz.

25 lutego, rok 1924, poniedziałek
Chciałbym pisać obszerniej na temat w tych dniach rozpoczęty – o zamiarach degradacji Trybunału, o zamiarach likwidacji sprawy Puryckiego i ewentualnych na tym gruncie perspektywach komplikacji w Trybunale, ewentualnie też o innych zamierzeniach polityki reform sądowych Tumenasa, ale tak mi czasu brak na dziennik, że dziś zaniecham.
Nadmienię tylko, że projekt Tumenasa o mobilizacji adwokatury do specjalnego Sądu Okręgowego Tymczasowego, który by był utworzony dla likwidacji zaległości Sądu Okręgowego Kowieńskiego, o czym pisałem przed paru tygodniami, upadł. Ma być przyjęte natomiast to, co przez samych przedstawicieli adwokatury było akceptowane – mianowicie nowela ustawowa o powoływaniu adwokatów przysięgłych do udziału w poszczególnych posiedzeniach sądu okręgowego w razie potrzeby – i nawet Trybunału (w tym ostatnim wypadku – tylko adwokatów, którzy są już najmniej od trzech lat przysięgłymi). Ma to być nowela ogólna i stała, ale chodzi głównie o zużytkowanie jej do likwidacji obecnej zaległości sądowej w Kownie. Szeregowi adwokaci i na to szemrzą, ale Rada Adwokacka akceptuje. Tumenas zrzekł się swego projektu radykalnego mobilizacji adwokatury przekonawszy się, że napotka on kategoryczną opozycję i nie przejdzie. Prezes Rady Adwokackiej Staczyński na naradzie w tym przedmiocie wypowiedział obszerną i stanowczą mowę przeciwko projektowi Tumenasa.

26 lutego, rok 1924, wtorek
W gazetach dzisiejszych ukazał się komunikat „Elty", podający zarys tez międzynarodowego statutu Kłajpedy, zaprojektowanego przez komisję Davisa. Tezy te są ułożone dość sprytnie. Z jednej strony, ustanawiają one specjalny zarząd portu Kłajpedy, który zapewniłby istotną kontrolę międzynarodową tego zarządu i usunął go spod wyłącznego widzimisię Litwy w stosowaniu Konwencji Barcelońskiej o swobodzie tranzytu i użytkowania portów i w szczególności w zaspokajaniu potrzeb tranzytu polskiego, z drugiej, menażując specjalne zastrzeżenia i drażliwości Litwy względem Polski, wyłączałby bezpośredni udział Polski w tym zarządzie. Komisja zarządu portu – podług tych tez – składałaby się z trzech osób, z których dwie – członkowie komisji (czy komitetu) – byłyby mianowane jedna z ramienia Litwy i druga z ramienia autonomicznej Kłajpedy, zaś prezes komisji byłby mianowany przez odpowiednie czynniki Ligi Narodów z zastrzeżeniem, że nie mógłby nim być ani Litwin, ani Polak, ani Kłajpedczyk. Polska więc formalnie udziału bezpośredniego w tym zarządzie mieć by nie mogła. Stanowisko jednak tego prezesa międzynarodowego w komisji zarządu portu byłoby niezmiernie silne: komisja nie mogłaby powziąć żadnej decyzji wbrew jego głosowi; w sporach mógłby się odwoływać do odpowiednich czynników Ligi Narodów. Tranzyt Niemnem i kolejami żelaznymi litewskimi zastrzeżony na zasadach Konwencji Barcelońskiej z wyłączeniem możności dla Litwy decydowania o jego zamknięciu dla jakichkolwiek względów. Litwa miałaby albo znieść cło wwozowe na towary tego tranzytu w pewnych proporcjach, albo udzielić w Kłajpedzie miejsca do przeróbki przewożonych towarów na fabrykaty. Jest sporo tez, stanowiących niewątpliwie pewną uciążliwość dla Litwy, jak np. uzależnienie kierunków nowych linii kolejowych ku Kłajpedzie od porozumienia z komisją zarządu portu itp. Zgoła niepojętym i dziwacznym wydaje mi się w tezach projektu o statucie międzynarodowym punkt, który zastrzega tranzyt kolejowy przez Litwę między

Wilnem a Libawą w zaplombowanych wagonach. Co wspólnego ma ta kwestia ze sprawą Kłajpedy i jaką zasadą komisja Davisa mogła się nią zajmować – tego zgoła nie rozumiem.
Zreszta wyjąwszy ten punkt ostatni i z pewnymi jeszcze zastrzeżeniami co do innych niektórych punktów, dającymi jeszcze ewentualnie możność do ich przerobienia w detalach przy redagowaniu projektu, tezy te wydają mi się nienajgorszymi. Ale wątpię, aby były jakiekolwiek szanse na ich przyjęcie. Projekt Davisa zostanie z pewnością w Litwie tak samo zohydzony, jak był zohydzony projekt Hymansa o Wilnie. Litwa zanadto przywykła do stawiania się sztorcem bezkarnie, zanadto rozwinęła w swoich pojęciach – nieco lekkomyślnie – ideologię maksymalizmu bezwzględnego, głoszącego za lepsze raczej stracenie niepodległości pod ciosami przemocy, niż jakiekolwiek ustępstwo, zanadto pod wpływem doznanych zawodów, a z drugiej strony brakiem sankcji międzynarodowych – rozpaliła się w bezwzględnym lekceważeniu czynników międzynarodowych, licząc na wagę potencjalnych konfliktów, grożących Europie i Polsce ze strony Rosji i Niemiec, z którymi chwilowo automatycznie jej interesy się solidaryzują na skutek jej ostrego z Polską konfliktu, zanadto wreszcie wykultywowała w sobie nienawiść do Polski, w której widzi li tylko upiora wszelkiego zła – aby dała się do kompromisu jakiegokolwiek ukołysać. Charakterystyczny już jest dopisek „Elty” do komunikatu o tezach komisji Davisa. W dopisku stwierdzono lakonicznie, że z samego tekstu tez widać, iż praca komisji Davisa jest bezowocna i zgoła chybiona, o której przyjęciu nie może być ani mowy. Nie ulega wątpliwości, że dopisek „Elty” został jej podyktowany przez czynniki rządzące Sejmu i rządu (Gałwanowskiego nie ma – jest on w Genewie u warsztatu).

27 lutego, rok 1924, środa
Ani nadziei na to, żeby projekt Davisa, jeżeli będzie on ustalony na zasadach, ogłoszonych we wczorajszym komunikacie „Elty”, mógł być przez Litwę przyjęty. W dzisiejszym numerze organu rządzącego stronnictwa (Chrz. Demokracji) „Rytas” ukazał się już artykuł, ostro potępiający tezy Davisa i usuwający wszelką myśl o przyjęciu go przez Litwę. Artykuł jest tym znamienniejszy, że podpisany przez posła księdza Šmulkštysa, który po ustąpieniu Šilinga został prezesem sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych. Chrześcijańska Demokracja oczywiście stchórzyła kategorycznie i cofa się na całej linii ze stanowiska kompromisowego na teren argumentów nieprzejednanej opozycji. Poczuła, że walka z maksymalizmem, z którym na razie próbowała walczyć półgębkiem, nie przeciwstawiając mu wprawdzie argumentów kompromisu, jeno warcząc na niepotrzebny alarm, będzie niepopularną i zaszkodzi stronnictwu. Właściwie rzecznikami przekonanymi kompromisu są jedni ludowcy, którzy reprezentują dziś młodą burżuazję postępową, ze Ślażewiczem na czele i jego satelitami dokoła. Ale i ci się już boją odzywać i boją przyznawać głośno do sprzyjania kompromisowi. Boją się i dla względów oportunizmu we własnym obozie, i dal popularności na zewnątrz. Ludowcy w obecnym stadium są zlepkiem inteligencji postępowej z drobną burżuazja wiejską (chłopską) i z pewnymi jeszcze przeżytkami elementów radykalnych chłopomańskich przedrewolucyjnych; nie wszystko jest jeszcze w ich obozie wyklarowane i dobrze stopione, toteż wymaga lawirowania i ciągłego oglądania się na unikanie rzeczy, mogących drażnić wpływami z zewnątrz. Ale opozycja maksymalizmu narodowego, na której czele stoi Smetona z jego rzecznikami, wie dobrze, gdzie szukać samego ośrodka kompromisu. Nie myli się ona wytykając Ślażewicza jako figurę, ku której się zbiegają jego rozgałęzienia, sięgające znacznie poza szeregi ludowców. Kreve-Mickiewicz w szeregu swoich gwałtownych wystąpień w Związku Strzelców („Šiaulių Sąjunga”) napadł wyraźnie na Ślażewicza, wytykając

go jako jednego z istotnych winowajców zabagnienia kompromisowego sprawy Kłajpedy. Koła maksymalistyczno-narodowe młodzieży i innych grup społeczeństwa głoszą Ślażewicza omalże nie zdrajcą. Ślażewicz otrzymał już wcale niedwuznaczne pogróżki osobiste terroru. Ślażewicz, czując, że napaści te mogą mu szkodzić i kompromitować tak jego wpływy, jak powagę stronnictwa, broni się w „Lietuvos Žinios" osobiście i przez przyjaciół politycznych, odpierając zarzuty i napadając na alarmistów. Ale się już do kompromisu tak on, jak jego przyjaciele przyznać boją. Chrześcijańska Demokracja w istocie żadnym przekonaniom nie hołduje, jeno idzie za wiatrem. Wprawdzie woli, by wiatru wcale nie było, a wtedy w ciszy i bezwładzie poszłaby na pewno na kompromisy, ale gdy się wiatru powstrzymać nie udaje, idzie z nim. Jednak to, że przebiegli księża zawrócili tak stanowczo na maksymalizm i że się nie boją odrzucać projektu Davisa, zdaje się być oznaką uspokajającą. Bo że fanatycy maksymalizmu gotowi są poświęcić mu zgoła wszystko, nie wyłączając niepodległości samej – to się do oportunistycznych księży zastosować nie da. Widocznie mają oni szanse spodziewać się, że istotnego niebezpieczeństwa Litwie po odrzuceniu projektu Davisa na razie nie ma i że maksymalizm zbyt kosztownym jeszcze nie będzie. Bardzo prawdopodobny jest rychły upadek gabinetu Gałwanowskiego.

28 lutego, rok 1924, czwartek
W salach ratusza odbył się wieczorem koncert-bal polski, prywatnie zwany balem ziemiańskim, którego dochód przeznaczony na cele oświaty polskiej w Litwie. Miałem zaproszenie i poszedłem – nie przez zamiłowanie balu, bo się na tych zabawach bawić nie umiem, ale dla zaznaczenia mojego związku narodowego ze społeczeństwem polskim w kraju, dla zrobienia „*acte de présence*" i zsolidaryzowania się zasadniczego z celem wieczoru – oświatą polską. Krótko zabawiłem zresztą na wieczorze. Ponieważ miałem z wieczora wykład i pracę colloquialną ze studentami na uniwersytecie, które się przeciągnęły do godz. 9 ½, więc dopiero o godz. 10 stawiłem się na wieczór. Trafiłem na koncert – grę solistów, deklamacje, śpiew. Miejsca były nienumerowane, zajęte wszystkie, więc jeno we drzwiach stałem, potem w bufecie byłem. Towarzystwo na wieczorze było doborowe, przeważał kwiat ziemiaństwa, panie strojne, panowie eleganccy. Bufet wspaniale zaopatrzony, pełny znakomitych przysmaków, mięsiw, ciast, cukrów, przypraw, na których wyrób wysiliła się cała sztuka pań ziemianek. Nie doczekałem się właściwego balu i po godz. 11 czmychnąłem do domu. Na bal ten zjechała się z całej Litwy Niepodległej szlachta z paniami i pannami na wydaniu. Termin balu połączony był z terminem dorocznego zjazdu zawodowej organizacji ziemiańskiej „Prodrolu" i szeregu innych stowarzyszeń i związków, w których ziemiaństwo udział bierze. Na dorocznym zjeździe „Prodrolu" odnowiony został zarząd, który wreszcie, po kilkuletnich odchyleniach, wrócił do rąk „starych" przedwojennych działaczy byłego Towarzystwa Rolniczego Kowieńskiego. Na prezesa zarządu wybrany został p. Zygmunt Węcławowicz z Narun, na wiceprezesów wybrano Eugeniusza Römera i Szwoynickiego. „Młodzi" (grupa Kazimierza Janczewskiego, Wielohorskiego, Budzyńskiego, Lutyka i innych) zarezerwowali sobie politykę, a kierownictwo organizacji zawodowej wróciło do starych doświadczonych działaczy przedwojennej pracy organicznej.
Pokazywał mi Janulaitis odezwę, wydaną w sprawie Kłajpedy przez Litewskie Towarzystwo Popierania Ligi Narodów, którego on jest prezesem, do wszystkich takichże towarzystw innych narodów. Odezwa ta jest zwrócona przeciwko zasadom, przyjętym w tezach Davisa, chociaż o projekcie Davisa nie wspomina. Protestuje ona przeciwko narzucaniu Litwie tranzytu dla Polski, która zagarnęła część jej ziem ze

stolicą, i przeciwko wszelkim usiłowaniom odebrania Litwie zarządu portu kłajpedzkiego.

29 lutego, rok 1924, piątek
Coś mi się znowu z okiem lewym robi, jak przed tygodniem. Jest ból przy zmrużaniu powieki – zupełnie taki sam, jak wtedy przed wybrzęknięciem.
Przykre i smutne zajścia toczą się od pewnego czasu w kościołach kowieńskich niedzielami. Są to zajścia na gruncie sprzeczki o język dodatkowego nabożeństwa – polski czy litewski. Przed wojną i przed powstaniem państwa litewskiego Kowno było językowo polskim i w kościołach panował też w nabożeństwie dodatkowym język polski. W ostatnim dziesięcioleciu przed wojną (po r. 1905) w związku z osiedlaniem się w Kownie inteligencji litewskiej i ogniskowaniem się tu lokalnych ośrodków ruchu litewskiego kler, który stawał się coraz bardziej narodowym w diecezji żmudzkiej, zaczął w kościołach kowieńskich udzielać miejsca i językowi litewskiemu. Po wojnie – w Litwie Niepodległej, której stolicą faktyczną stało się Kowno, nabożeństwa litewskie w kościołach się rozrosło, zwłaszcza że i ogólna litwinizacja Kowna czyniła szybkie postępy przez ogromny napływ Litwinów. Wreszcie Litwini poczuli się o tyle na siłach, że zaczęli myśleć o wyrugowaniu języka polskiego. Stanowisko stolicy Litwy, które Kowno zajęło, niechęć do polskości na skutek zatargu politycznego z Polską, chęć odwetu za krzywdy, czynione Litwinom przez Polaków w Wilnie, wreszcie rezultaty spisu powszechnego, które uwydatniły przesadnie niski procent Polaków w Kownie i kraju (z winy samychże Polaków, którym brakło odwagi zapisywania się Polakami, a może i przez to, że zróżniczkowanie narodowe na „Polaków” i „Litwinów” nie przenikło głęboko do psychiki mas mówiących po polsku i ceniących swą mowę przybraną) – usposabiało Litwinów niechętnie do tolerowania języka polskiego w kościołach. I oto od pewnego czasu w kościołach zaczęły się zaburzenia i przerywanie kazań i śpiewów polskich przez gromadki młodzieży litewskiej, urządzające doraźne „bojówki” w tym celu. Powtarza się tu ze strony litewskiej rzecz podobna do tej, która była czyniona w Wilnie przed wojną ze strony polskiej, nie dopuszczającej tam do rozszerzania języka litewskiego w kościołach. Wtedy tam protestowali Litwini, a Polacy bronili napaści. Teraz tu jest odwrotnie. W roku 1913 ze strony polskiej występowałem z protestem przeciwko gwałtom polskim na Litwinach w kościele św. Jana. Czy ktoś z Litwinów wystąpi teraz z takimże protestem przeciwko gwałtom litewskim?

1 marca, rok 1924, sobota
Marzec się zaczyna pod znakiem pełnej zimy, która się w tym roku dobrze i równo trzyma. Śniegi ogromne, odwilże bardzo rzadkie. Od Bożego Narodzenia w Kownie sanna nie ustawała.
Przez parę dni bawiła u mnie moja była służąca Helena Bogusławska, która przed miesiącem z taka radością wybiegła ode mnie w świat na własny lot, wierząc, że o własnych siłach zdobędzie sobie służbę i lżejszą, i weselszą, i swobodniejszą niż u mnie. Rychło się przekonała, że z bliska rzeczy nieraz nie są tak powabne, jak się z daleka w wyobraźni dziewczęcej przedstawiają. Doznała służby twardej i nie wytrzymała. Porzuciła miejsce u Karużów i przyszła do mnie dla spędzenia kilku dni, nim nowej służby nie znajdzie. Przyszła przygnębiona, ale z wiarą – może tylko z uporem nadziei – że miejsca się dziesiątkami znajdą dla niej i że pensję podwójną otrzyma. Żałuje poniewczasie, że się ode mnie zerwała, ale się do tego nie przyznaje, bo jak wszystkie Litwinki, ma hardą duszę. Swoją drogą, lepiej mi z moją Jadzią, która jest

przywiązana do mnie jak wierny pies, łaknie pieszczot moich i – co rzadko chodzi z tym w parze – jest niezmiernie karna z natury.

2 marca, rok 1924, niedziela
Zapusty. Starym zwyczajem, zapożyczonym jeszcze od kuligów szlacheckich, rozjeżdżają po mieście saniami pary młodzieży lub gromadki dzieci; zaprzęgi z brzękadłami, sanki ozdobne i zgrabne. Nie widać tego w dnie powszednie zimy. A zapusty, choć późne, wypadły w tym roku piękne, śnieżne, o doskonałej sannie i niewielkim mrozie. Ślizgawki błyszczą elektrycznością, grają po mieście orkiestrami.

3 marca, rok 1924, poniedziałek
Poniedziałek zapustny. Wielka słoneczna odwilż. W powietrzu czuć wiosnę. Śliczny dzień. Zrobiłem sobie święto – wykład na uniwersytecie opuściłem.
Projekt kłajpedzki Davisa chyba już zupełnie w decyzjach Litwy pogrzebany. Ostatni połowiczni rzecznicy kompromisu – ludowcy, którzy, choć także nie mieli odwagi publicznego i otwartego wystąpienia w obronie już nie tylko projektu Davisa, ale nawet samej zasady kompromisu, jednak poufnie szerzyli nastrój oportunizmu i po cichu przez swego wodza Ślażewicza, będącego w ścisłym kontakcie z Gałwanowskim i dyplomatą Naruszewiczem, oddziaływali w tym kierunku na koła rządzące – obecnie zdecydowali się na odwrót na całej linii. Ostrożny i giętki polityk Ślażewicz zważył sytuację, zważył nastroje ruchliwych kół opinii narodowej, usposobionej maksymalistycznie w sprawach polityki międzynarodowej i poddającej się alarmowi, idącemu od Smetony, zważył względy popularności swojej i swego stronnictwa, narażonej na szwank przez zarzuty oportunizmu – i dał hasło ludowcom do kroczenia szerokim torem popularnych w sprawie projektu Davisa nastrojów. Wiem o tym od Janulaitisa, z którym Ślażewicz konferuje zawsze w sprawach politycznych i w szczególności polityki zagranicznej. Janulaitis – choć jest po wyrzuceniu go z partii socjalno-demokratycznej samotny, nie zawiązany żadnymi węzłami partyjnymi z tą lub inną grupą – ma wpływy i powagę osobistą, ma związki w sferze polityki zagranicznej z kołami maksymalistycznymi na prawicy, stanowiące w tym względzie rodzaj mostu między prawicą a lewicą, jest poza tym prezesem Litewskiego Towarzystwa Popierania Ligi Narodów, któremu nadaje pewien kierunek wyraźny i oddziaływa nim mocno na opinię publiczną. Te wszystkie cechy czynią Janulaitisa osobą, z którą się Ślażewicz chce liczyć i usiłuje konferować, nie mając innych dróg kontaktu z kołami maksymalistów na prawicy, czyniących ze Ślażewicza symbol oportunizmu i złego geniusza wszelkich knowań, zagrażających zabagnieniem niepodległości Litwy. Zwrot ludowców na kategoryczne tory maksymalizmu w sprawie Kłajpedy zaznaczył się natychmiast w dzisiejszym numerze „Lietuvos Žinios", gdzie ukazał się artykuł odpowiedni o projekcie Davisa.
Janulaitis ma wystąpić w piątek na konferencji publicznej Towarzystwa Popierania Ligi Narodów z referatem na temat stosunku Litwy do Rosji. Jestem bardzo ciekaw tego referatu, bo stanowisko Janulaitisa jest w tym względzie oryginalne, nie odpowiadające zgoła popularnym tendencjom maksymalistycznych kół narodowych litewskich, z którymi Janulaitis zazwyczaj w zwalczaniu oportunizmu kół rządzących kroczy. W kołach tych bardzo jaskrawie – zwłaszcza w ostatnich czasach – kiełkuje dążenie do sojuszu Litwy z Niemcami i Rosją z kategorycznie wrogim stosunkiem względem Polski i Francji. Janulaitis zaś (mam wrażenie, że podobnym jest też stanowisko samego Smetony) jest zdecydowanym politycznym moskalofilem i w gruncie rzeczy, będąc kategorycznym i nieprzejednanym przeciwnikiem imperializmu polskiego, zwłaszcza o ile się on wyraził w sprawie wileńskiej, jest pomimo to wyznawcą zasady, że sojusz Litwy z Polską przeciwko Rosji jest konieczny i że sama Polska swą polityką wileńską i

całym swoim imperializmem, który on uważa za dzieło panowania szlachty w Polsce, uniemożliwia wykonanie tego naturalnego sojuszu. Pójdę posłuchać referatu Janulaitisa.

4 marca, rok 1924, wtorek
Wieczorem byłem na przedstawieniu w teatrze „Vilkolakis”. O teatrze tym dużo słyszałem i od dawna się wybierałem pójść, ale ze wstydem się przyznaję, że byłem dziś po raz pierwszy. „Vilkolakis” istnieje od kilku lat. Rozpoczął się on z improwizacji scenicznych grupy literatów i artystów z Bičiunasem na czele i wytworzył swój odrębny typ teatru, stanowiącego rodzaj pośredni między satyrą polityczno-społeczną a kabaretem artystycznym. Teraz jest to teatr stały, funkcjonujący regularnie, ale zawsze w zakresie li tylko tego rodzaju. Repertuar dlań układają Bičiunas i paru jego towarzyszy. Sztuki są zawsze lekkie, przeplatane tańcem i kupletami, a stanowiące satyrę i karykaturę na aktualne tematy i zagadnienia przeważnie stosunków krajowych. Dowcip jest tak pełny gustu, taktu i werwy, tak trafiający w sedno i zarazem ludzki, że się go po młodej surowej kulturze litewskiej i po twardym na pozór charakterze Litwinów trudno było spodziewać. Kultury scenicznej „Vilkolakisa” mogłyby Litwie pozazdrościć o wiele kulturalniejsze narody. Pod niejednym względem „Vilkolakis” nie zawstydziłby się i Paryża. Przedstawienia „Vilkolakisa” są zawsze pełne publiczności. Wykonawcami sztuk „Vilkolakisa” są celniejsi uczniowie szkoły dramatycznej Sutkusa, kształcącej artystów dla sceny litewskiej. Gra jest bez suflera. Styl rodzajowy jest tak w repertuarze, jak w grze. Dziś grano tzw. „Likieromachię”, jednoaktową satyrę na głośną sprawę zdemaskowania fałszerstw w produkcji spirytualiów w Litwie i dwuaktową „Burydaniadę”, lekką satyrę-farsę na stosunki teatralno-artystyczne. Ubawiłem się znakomicie i wyszedłem pełny zadowolenia, jak po wesołym winie szampańskim.

5 marca, rok 1924, środa
Sprawa degradacji Trybunału dojrzewa. Zdaje się, że jest ona jeszcze dość daleka od realizacji, bo prawdopodobnie konkretnie wypłynie dopiero w związku z reformą ogólną ustaw sądowych, projektowaną przez Tumenasa, a to jest rzecz, która wymaga pracy i czasu. Tumenas szeroko zakreśla dzieło reformy sądowej, którą chce ująć nie tylko sądownictwo, ale także kodeksy: karny i nawet cywilny. Dla opracowania projektów tej reformy, która szczególnie w zakresie prawa cywilnego stanowiłaby zadanie niezmiernie trudne i skomplikowane, stwarza on specjalny organ pod nazwą Rady (Taryba) przy ministrze sprawiedliwości. Komisja prawnicza Sejmu, która rozpoznawała wniesiony przez Tumenasa projekt ustawy o organizacji tej Rady, odrzuciła go, uznając tworzenie takiej Rady drogą ustawodawczą za zbyteczne, ponieważ minister może sam bez specjalnej ustawy taką Radę w łonie ministerium wytworzyć i zaprosić do niej kogo mu się spodoba. Tumenas wziął bardzo do serca odmowę komisji sejmowej, obraził się nawet podobno i nastaje przed plenum sejmowym na przyjęciu ustawy o Radzie. Chce aby to był organ stały i specjalny do opracowywania wniosków ustawodawczych reformy sądowej, prawa cywilnego i karnego oraz do czynności kodyfikacyjnych. Na członków stałych tej Rady upatrzeni byli początkowo Bolcewicz i Bielackin. Bolcewicz – rodem z pow. poniewieskiego z rodziny ziemiańsko-szlacheckiej polskiej, syn starego Bolcewicza, który za czasów rosyjskich był naczelnikiem ziemskim, a za czasów litewskich był od r. 1919 do r. 1921 czy 1922 sędzią pokoju w Kownie (dopóki go minister Karoblis, poprzednik Tumenasa, nie usunął z tego stanowiska w sposób bardzo brutalny i w swoim czasie bardzo głośny), sam już jest dziś także człowiekiem niemłodym, liczącym przeszło 50 lat. Jest on, jak ja, prawowiedem; ukończył Szkołę Prawa o jakieś 8 lat przede mną; trochę go jeszcze sobie przypominam z czasów szkolnych w Petersburgu, kiedy ja byłem w

niższych klasach, a on już był na ukończeniu (około roku 1894); bywał on czasem u staruszków pp. Budrewiczów na ul. Podjaczewskiej, u których ja stale święta spędzałem. Potem Bolcewicz służył w sądownictwie rosyjskim i dość wysoko zaszedł; był prokuratorem w Petersburgu, co dla katolika było rzeczą niezwykłą, za rządów Kiereńskiego zaś czy za bolszewików został notariuszem w Petersburgu. O Litwie niegdyś ani marzył; po litewsku zaczął się uczyć dopiero za bolszewików, przewidując ewentualny powrót do Litwy, która już była państwem niepodległym; brał lekcje języka litewskiego u Purenasowej. Do Litwy wrócił czy w końcu roku 1922, czy nawet na początku 1923. Choć nie zrywa on stosunków towarzyskich z kołami polsko-ziemiańskimi i bywa na wieczorach polskich, prywatnie nie boi się mówić po polsku, czego się wielu na służbie państwowej litewskiej boi i starannie unika, udając gorliwszych Litwinów od samych Litwinów, jednak znalazł dostęp do kół wpływowych litewskich i jest wobec nich Litwinem.

6 marca, rok 1924, czwartek
Bolcewicz jest typem człowieka niezmiernie giętkiego, który się doskonale przystosowuje do wszelkich okoliczności, warunków, ludzi, środowisk i wszędzie się dobrze czuje, wszędzie daje sobie radę. Mógł on być równie dobrze urzędnikiem carskiej Rosji, jak funkcjonariuszem reżimu bolszewickiego, jak wysokim urzędnikiem i kodyfikatorem w Litwie niepodległej Narodowej, nie będąc ani Rosjaninem, ani prawosławnym, ani bolszewikiem, ani Litwinem. Wszyscy go mają po kolei za swojego, a on jest żadnym, jest niczyim. Jest zręczny, nie ma żadnych określonych przekonań ani gorących umiłowań, ale nie jest też obłudny. Zapatruje się na życie dość filozoficznie i lekko – *sup specie* humoru i obserwacji nieco figlarnej, robi, co mu wygodnie i co go bawi zarazem, ale nie udaje gorliwca i renegata-prozelity, zresztą stara się być użyteczny tym, dla których pracuje. Po przyjeździe do Litwy Bolcewicz się przez czas jakiś przyglądał i orientował w nowym dla niego środowisku, a mając zamiar zaangażowania się do sądownictwa litewskiego (myślał o posadzie podprokuratora w Trybunale), wyczekiwał ustąpienia ministra sprawiedliwości Karoblisa, do którego nie chciał się zgłaszać ze względu na sposób, w jaki Karoblis potraktował jego ojca, usuwając tegoż bez prośby o dymisję ze stanowiska sędziego pokoju, Z chwilą nominacji ministra Tumenasa Bolcewicz zbliżył się do niego i zdołał tak dalece pozyskać jego zaufanie, że stał się jego prawą ręką. Został mianowany do ministerium na stanowisko dyrektora Departamentu Wniosków Ustawodawczych, a po skasowaniu tego departamentu pozostał w ministerium czymś w rodzaju referenta czy radcy, obecnie zaś Tumenas chce go wprowadzić do zaprojektowanej Rady Kodyfikacyjnej jako specjalisty do opracowania projektu Kodeksu Karnego. Tumenas faworyzuje Bolcewicza, wszędzie go używa, wprowadza na wszelkie narady; ludzie żartują nazywając Bolcewicza „Wunderkindem" – cudownym dzieckiem – wynalazku Tumenasa, Szczególnych zdolności Bolcewicz nie ma, przynajmniej nie czyni takiego wrażenia, ale ma pewność siebie i uważa, że nie święci garnki lepią, toteż do wszystkiego się bierze, o co Tumenasowi chodzi i umie mu dogodzić, umie tańczyć jak Tumenas zagra. Drugim, który był zaprojektowany do Rady Kodyfikacyjnej, był adwokat i profesor uniwersytetu Bielackin, rzeczywiście głowa dobra i prawnik jeden z lepszych w kraju. Bielackin był znanym adwokatem cywilistą w Petersburgu, do Litwy, z której był rodem, wrócił przed trzema laty i bardzo prędko nauczył się po litewsku. Jest on Żydem, ale więcej bodaj się obraca w kołach litewskich niż żydowskich i w ogóle jest na narodowe sprawy żydowskie obojętny. Umie się urządzić, umie ludzi zjednywać, jest zdolny, rozumny i dowcipny, pełen też erotyzmu, skłonny do biegunowych przeciwieństw – od subtelnego humoru, od słonecznej pogody śmiechu do

melancholii graniczącej z obłędem. Niewątpliwie Bielackin jest wybitną siłą w cywilistyce, choć na uniwersytecie prócz prawa cywilnego wykładał też czasowo prawo karne. Jest stale zapraszany na wszystkie narady i konferencje w rozmaitych ministeriach jako rzeczoznawca prawny, gdy chodzi o wnioski ustawodawcze. Jego też Tumenas zamierzał wprowadzić do projektowanej rady, polecając mu opracowanie Kodeksu Cywilnego. Potem jednak zwyciężył wzgląd narodowy i uznano, że byłoby „niewłaściwe", gdyby autorem pierwszego Kodeksu Cywilnego Litwy był Żyd, a nie Litwin. Toteż powołany będzie do tej czynności adwokat z Szawel i docent uniwersytetu Kazimierz Szołkowski, ale Bielackin także do Rady Kodyfikacyjnej wejdzie.

7 marca, rok 1924, piątek
Referat Janulaitisa na publicznym posiedzeniu Litewskiego Towarzystwa Popierania Ligi Narodów, zapowiedziany i ogłoszony w pismach na dziś w wielkiej sali uniwersytetu – nie odbył się. Tematem referatu Janulaitisa miała być kwestia „obecnych stosunków rosyjsko-litewskich". Janulaitis, który podziela całkowicie maksymalizm niepodległościowy Smetony *et consortes* i który, stojąc na czele Lit. Towarzystwa Popierania Ligi Narodów, idee te przez to Towarzystwo szerzy, urządzając referaty polityczne różnych działaczy i publicystów na tematy aktualne polityki zagranicznej zawsze i konsekwentnie w kierunku maksymalistycznym przeciwko polityce kompromisów i oportunizmu, miał w tym referacie własnym wystąpić z krytyką moskalofilskich tendencji politycznych, szerzących się mocno w kołach właśnie swoich przyjaciół z obozu maksymalizmu niepodległościowego. Janulaitis, który jest przekonanym przeciwnikiem moskalofilstwa, chciał w tym referacie wyraźnie odseparować maksymalizm niepodległościowy litewski, wyrażający się w zatargu Litwy z Polską i Europą Zachodnią o Wilno i Kłajpedę, od naleciałości moskalofilskich, które same przez się są dla tejże niepodległości niebezpieczne, a które u jednych wypływają z iluzji szczerych, a u innych po prostu z ciążenia do Rosji. Referat ten jest ciekawy i użyteczny, bo jest najwyższy czas, by społeczeństwo litewskie się zastanowiło nad bagniskiem problemu moskalofilstwa, ku któremu pcha szukanie przeciwwagi niebezpieczeństwu polskiemu.
Referat Janulaitisa dziś do skutku nie doszedł, bo uniwersytet odmówił sali na zebranie. Janulaitis powiada, że widocznie czynniki decydujące uniwersytetu (rektor Czapiński jest chwilowo nieobecny i zastępuje go prorektor ks. Bučys), które nie oponują występowaniu na rzecz moskalofilstwa, nie chcą dopuścić do wystąpienia przeciwko Rosji, bo znają przekonania Janulaitisa i wiedzą z góry, co mówić będzie. Janulaitis jest zdecydowany swój referat jednak wygłosić; ma on się odbyć innym razem w Sali Białego Łabędzia (Ratusza). Sądzę, że nie względy moskalofilstwa kierowały czynnikami decydującymi uniwersytetu (ks. Bučysem) w tej odmowie sali dla referatu Janulaitisa. Chodziło o co innego. Referaty Towarzystwa Popierania Ligi Narodów przez swój kierunek maksymalistyczny, zwracający się ostro przeciwko oportunizmowi, szerzyły niewiarę do rządu i kół rządzących sejmowych i odczytami lub przemówieniami Šilinga, Krėvė-Mickiewicza, Herbaczewskiego i innych nabierały cechy jaskrawej agitacji antyrządowej. Na tych posiedzeniach publicznych, przepełnionych młodzieżą, zaczęły się już z publiczności sypać okrzyki namiętności przeciwko rządowi. Podobno Bučys był na ostatnim posiedzeniu Towarzystwa przed tygodniem (referat Šilinga) tak tym dotknięty, że zapłakał. Widocznie władza uniwersytecka w osobie Bučysa uznała za niewłaściwe udzielanie na uniwersytecie lokalu zebraniom politycznym, które nabierają cech akcji przeciwko rządowi, a poza tym Bučys osobiście nie podziela tych dążeń.

8 marca, rok 1924, sobota

W tych dniach powraca z Genewy delegacja litewska z Gałwanowskim na czele, W ostatnich dniach toczyły się ożywione debaty między delegacją litewską a komisją Davisa. W sprawie organizacji zarządu portu komisja, jak wnosić można z doniesień „Elty", szła na ustępstwa – zgadzała się mianowicie na to, by prezes tego zarządu, mianowany przez Ligę Narodów, nie miał tego głosu decydującego, jaki mu pierwotnie podług projektu Davisa miał być nadany. Ale w sprawie tranzytu komisja była nieubłagana. W toku tych debat była poruszona także kwestia rozciągnięcia władzy naszego Trybunału na Kłajpedę, przesądzone ustawą, uchwaloną przed miesiącem przez Sejm litewski. Członkowie komisji Davisa – Szwed i Holender – zarzucali ostro Litwie, że ustawą tą pogwałciła ona zastrzeżoną autonomię Kłajpedy. Zresztą ta kwestia jurysdykcji Trybunału na terytorium Kłajpedy jest podrzędną i epizodyczną wobec kapitalnych kwestii tranzytu i zarządu portu. Co będzie po powrocie Gałwanowskiego, jakie przywiezie on tu wnioski ostateczne, jak na nie będzie reagować Sejm, co uchwali Rada Ligi Narodów, która ma pojutrze się zebrać i wysłuchać projektu Davisa – oto są sprawy najbliższych dni. Dziś w prasie ukazały się jakieś niewyraźne wieści o rzekomym zamiarze odroczenia jeszcze na czas pewien decyzji ostatecznych w sprawie Kłajpedy – decyzji Rady Ligi Narodów czy też komisji Davisa. Jeżeli się to potwierdzi – to będzie pytanie, czy odroczenie to ma na celu udzielenie czasu Litwie do przetrawienia pewnych kompromisów, czy też otwarcie nowej dyskusji dla nowych jeszcze prób rozwiązania problemu. Ale tak czy inaczej – czy zaraz, czy trochę później – dylemat powstanie znowu w tych samych zasadniczych tezach i sprawa tranzytu stanie fatalnie przed Litwą. Trzeba będzie albo przyjąć tranzyt, albo go odrzucić. Od żądania tranzytu Europa nie ustąpi, a do zgodzenia się na tranzyt nie dopuszcza maksymalizm niepodległościowy litewski. Jakież będzie wtedy wyjście? Nie widać go. Litwini uzależniają tranzyt od jednej rzeczy – bagatela!! – od zwrotu Litwie Wilna przez Polskę! A że na to chyba żadnych szans nie ma – więc sprawa jest bez wyjścia. Że państwa Europy Zachodniej nie będą same z bronią w ręku odbierać Kłajpedę krnąbrnej Litwie – to pewne. Wykonawcą przymusu międzynarodowego może być w tym względzie li tylko Polska, która też sama jest bezpośrednio w całej sprawie zainteresowana. Wiedzą o tym Litwini, ale liczą na to, że Polska nie odważy się wystąpić zbrojnie z obawy przed Rosją, która rzekomo czeka li tylko okazji do obalenia Traktatu Ryskiego i do wszczęcia nowej wielkiej zawieruchy. Czy istotnie Rosja jest tak skora do wojny i czy rachuby Litwinów nie zawiodłyby – nie jestem o tym wcale przekonany. To prawda, że poselstwo rosyjskie w Kownie robi do maksymalistów litewskich słodkie miny i szeptem podnieca nadzieje patriotów litewskich, zacietrzewionych li tylko zatargiem z Polską – ale czy robi to szczerze i czy nie ma intencji ukrytych? Wszak tranzyt po Niemnie dla spławu towarów leśnych jest i dla Rosji ważny i wszak w tym względzie jej interes jest raczej solidarny z polskim. Ale też Rosja może mieć sama powody do obawiania się wojny – to też jest bardzo prawdopodobne. A kto wie jeszcze, czy Rosja, podniecając opór Litwy, nie ma na myśli zgoła innej spekulacji politycznej, niż ta, którą łatwowierna Litwa upatruje. Kto wie, czy Rosja nie pragnie wykorzystać wojny polsko-litewskiej na to, by za udzielenie Polsce wolnej ręki w Litwie nie wytargować sobie od niej wolnej ręki w Łotwie i Estonii, które Polska, pomimo swego z nimi sojuszu, poświęciłaby może za Litwę i za zapewnienie sobie spokoju ze strony Rosji. To są możliwości, jak mi się wydaje, wcale realne, nie mniej realne, niż liczenie na zbytnia pochopność Rosji do wojny. Zresztą skrajni maksymaliści narodowi litewscy nie lękają się i tego. Uważają oni nawet utratę niepodległości Litwy za mniejsze zło niż kompromis, a jeżeli tracąc niepodległość

Litwa odzyszcze w podległości przymusowej związek z Wilnem – to uważają oni, że te atuty mogą skompensować utratę.

9 marca, rok 1924, niedziela
Rano na uniwersytecie byłem na posiedzeniu Rady Wydziału Prawniczego. Obecni byli: dziekan wydziału Leonas, profesorowie Kriščiukaitis, Mačys, Balogh, Bielackin i ja, docenci Tumenas, Wacław Biržiška, Rimka, Šalčius, Morawski i Stankiewicz. Docent Stankiewicz dopiero od lutego objął stanowisko. Wykłada on prawo karne. Z pochodzenia jest Litwinem, rodem, zdaje się, z pow. poniewieskiego, ale mieszkał stale w Rosji i zrusyfikował się całkowicie. Brał czynny udział w życiu publicznym Rosji, był jednym z zaufanych ludzi i współpracowników Kiereńskiego, po rewolucji bolszewickiej uciekł z Rosji i osiadł na emigracji w Berlinie. Jego znajomi litewscy od dawna namawiali go do powrotu do Litwy i wzięcia udziału w pracy państwowej litewskiej, ale Stankiewicz miał skrupuły i odmawiał. Powiadał, że byłoby nieszlachetnie, gdyby nie dzielił losu swoich przyjaciół rosyjskich w nieszczęściu na emigracji, gdy za dobrych czasów w Rosji był z nimi i korzystał z ich przyjaźni. Uważał więc, że jego przyjazd do Litwy byłby wobec emigracji rosyjskiej dezercją. Na emigracji napisał i wydał jakąś książkę o rewolucji czy emigracji rosyjskiej. Wreszcie zdecydował się jednak na Litwę i przyjął proponowaną mu katedrę prawa karnego na Uniwersytecie Litewskim. Stankiewicz jest człowiekiem młodym – w wieku trzydziestu kilku lat. Po litewsku mówi źle, ale pracuje nad językiem i czyni postępy. Zdolny jest i podobno prawnik dobry. Na mnie osobiście nie sprawia przyjemnego wrażenia. Stankiewicz przez całą jesień, bawiąc w Berlinie, gotował się do rozpoczęcia wykładów uniwersyteckich w Kownie i napisał przez ten czas podręcznik prawa karnego (w rękopisie po rosyjsku), który tu obecnie (w tłumaczeniu litewskim) wyda.
Na posiedzeniu dzisiejszym – poza innymi kwestiami – omawiana była sprawa utworzenia osobnej katedry ustaw karnych wojennych, stosownie do wniosku Tumenasa. Kriščiukaitis i ja – a za nami inni – wystąpiliśmy przeciwko temu. Szczegóły prawa karnego i procesu karnego wojennego mogą być uwzględniane w ogólnych wykładach prawa karnego i procesu, a to, co stanowi szczególną cechę nauczania w specjalnych wojennych akademiach prawniczych – to nie sama odrębna nauka prawa, która jest ta sama ogólnie, jeno nauczanie jednoczesne pojęć ogólnych wojskowości. Dla funkcji sądownictwa wojennego potrzebna jest szczególna znajomość pojęć dyscypliny i honoru wojskowego, których uniwersytet dać nie może przez stworzenie osobnej katedry prawa wojennego.

10 marca, rok 1924, poniedziałek
Kto wie, czy nie nastąpi zwrot kojący w sprawie kłajpedzkiej. Nawet w kołach wyraźnych maksymalistów niepodległościowych , którzy – zdawało się – ani słyszeć nie chcieli o jakimkolwiek, choćby najlżejszym ustępstwie z nieprzejednanego stanowiska „wszystko albo nic” (rozumiejąc pod „nic” nie tylko utratę Kłajpedy, ale nawet całkowitej niepodległości), czuć pewne sfolgowanie. Tak przynajmniej sądzić mogę po słowach Janulaitisa, z którym dziś rozmawiałem o tym. Janulaitis osobiście należy do tych maksymalistów najtwardszych, najkategoryczniejszych i z pewnością najszczerszych. A że jest on prezesem Litewskiego Towarzystwa Popierania Ligi Narodów, które – równolegle do czasopisma Antoniego Smetony – najenergiczniej wyraża ten maksymalizm i szerzy jego propagandę – przeto opinia Janulaitisa jest, jak się zdaje, dla tych kół miarodajną. Otóż Janulaitis uznaje, że tranzyt jest mniejszą rzeczą – to znaczy, że nie stanowi on najważniejszej przeszkody do przyjęcia do przyjęcia wniosków Davisa i że ostatecznie można byłoby się z tym z pewnymi

zastrzeżeniami zgodzić, ale że najgorszą rzeczą w tych wnioskach jest ów zarząd portu, odbierany od Litwy i przekazywany jakiejś komisji; zarówno fakt wprowadzenia do tej komisji czynników międzynarodowych, jak udzielenie w niej miejsca „przedstawicielowi" Kłajpedy, co stawia Kłajpedę na poziomie jakiegoś odrębnego „państwa", równoległego do Litwy i przeto przeczy samej suwerenności Litwy w Kłajpedzie – czyni, zdaniem Janulaitusa, te kombinacje Davisowskie niemożliwymi do przyjęcia. Skłonność nieprzejednanych maksymalistów do ustępstwa na punkcie tranzytu jest jednak sama przez się znamienna i mogąca ułatwić wyjście z sytuacji, bo ostatecznie zdaje się, że główną i najistotniejszą rzeczą, o którą czynnikom międzynarodowym (Anglii) chodzi, jest właśnie tranzyt i w szczególności spław drzewa po Niemnie z obszarów wileńsko-grodzieńsko-mińskich. Jeżeli tylko na punkcie tranzytu będzie możność porozumienia się, to sprawa się już o połowę ułatwi.
Czuć tez falę optymistyczną ukojenia w kołach rządowych i rządzących i w opinii publicznej. Wyczuwa się wyraźnie satysfakcja z osiągniętych przez Litwę bądź co bądź dużych ustępstw z pierwotnych tez komisji Davisa. Gaiwanowski z członkami delegacji litewskiej (Sidzikowskim, Balutisem) wczoraj czy pozawczoraj wrócił do Kowna dla zreferowania rezultatu robót i naradzenia się z całością rządu i kołami sejmowymi dla dalszej akcji, która będzie się już toczyła na Radzie Ligi Narodów w dniach najbliższych. Wczoraj i dziś trwały nieustające posiedzenia i obrady w Gabinecie Ministrów z udziałem i bez udziału sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych, leaderów stronnictw i polityków pozasejmowych. Gaiwanowski referował, a w obradach ustalano dalsze linie akcji. Komisja Davisa poczyniła bardzo znaczne ustępstwa z pierwotnych wniosków projektu. Projektowana komicja zarządu portu zupełnie już inaczej wygląda teraz, niż poprzednio. Przewodniczącym tej komisji już nie będzie z urzędu jej członek międzynarodowy; komisja będzie sama wybierała przewodniczącego; decyzje będą w komisji zapadać większością głosów, przewodniczący prawa weta mieć nie będzie; budżet zarządu portu będzie zatwierdzany przez Litwę. W tranzycie tez poczyniono zmiany – tranzyt lądowy (w zaplombowanych wagonach) z Wilna do Libawy upadł. To są główne najjaskrawsze ustępstwa, których zresztą w szczegółach jest więcej. Dziś w „Lietuvie" podany jest w streszczeniu zasad projekt ostateczny komisji Davisa, a w „Lietuvos Žinios" podobno podany *in extenso*. Projekt w tej ostatecznej postaci złożony do Rady Ligi Narodów, która go będzie w tych dniach rozważała. Delegacja litewska jutro rusza do Genewy z powrotem. Nie wiem, jakie zapadły na naradach w Kownie decyzje, ale nastrój w kołach politycznych, bliskich rządu (chrześcijańsko-demokratycznych i ludowców) jest optymistyczny. Ze sprawozdań i prywatnych rozmów z członkami delegacji litewskiej (między innymi wiem to od Leonasa, opinia litewska, która poprzednio była bardzo zażalona na Davisa, zaczyna się do niego nawracać. Podobno właśnie sam Davis bardzo przyjaźnie i bezstronnie traktował zastrzeżenia litewskie, natomiast wrogie Litwie stanowisko zajmowali członkowie komisji – Holender i zwłaszcza Szwed, powodujący się wyraźnym germanofilstwem przy zastrzeganiu statutu autonomicznego Kłajpedy.

11 marca, rok 1924, wtorek
Prasa litewska podaje informacje o ostatecznej redakcji projektu Davisa, przyjętej przez delegację litewską, sama jednak nie śpieszy z wyrażaniem swojej opinii, aby nie dawać pola mety ewentualnym pociskom opozycji i móc się nawet, zależnie od okoliczności, wykręcić i zatrąbić do odwrotu, gdyby zaszła potrzeba. Mówię tu o prasie kół rządowych i popierających politykę zagraniczną rządu, to znaczy o takich organach codziennych, jak urzędowa „Lietuva", jak chrześcijańsko-demokratyczny „Rytas", jak ludowców „Lietuvos Žinios". Koła te doświadczyły już kilkakrotnie, jak jest

niebezpiecznie i niewygodnie otwierać karty zawczasu i zachwalać to, co potem nagle okazuje się zbyt niepopularne i od czego trzeba się odżegnywać. Toteż choć już się tym razem nie podnosi krzyku, bo się w duchu sprzyja przyjęciu projektu i choć się ubocznie – pewnym doborem informacji – oddziaływa na opinię w kierunku przychylnym – usposobienia jej do projektu, jednak formalnie nie agituje się za nim, a nawet pozwala się sobie na lekka krytykę projektu i na udawanie, że się nie jest z niego wcale zbyt zadowolonym. Jak czasem „*ou fait bonne mine au mauvais jeu*", tak znów czasem w polityce popłaca się zasada przeciwna: „*faire mauvaise mine au bon jeu*" – w duszy się cieszy, a na zewnątrz udaje się niezadowolenie lub obojętność. Ciekawa rzecz, jak zareaguje na ostatnią redakcję projektu Davisa i na skłonność rządu i Sejmu do przyjęcia go opozycja maksymalistów niepodległościowych i w szczególności organ Smetony. Janulaitis coś chodzi skrzywiony; widać, że mu się nie bardzo podoba tendencja na rzecz przyjęcia projektu Davisa. Ale o ile prasa kół rządzących i popierających rząd jest wstrzemięźliwa, o tyle w opinii publicznej, zbliżonej do tychże kół, optymizm rośnie. Argumentem nowym, którym operuje rząd i koła rządzące na rzecz przekonania opinii publicznej o konieczności przyjęcia projektu Davisa, jest ten, że Niemcy, dążące do rewizji Traktatu wersalskiego i mające pewne poparcie w tym względzie czynników angielskich i innych, chcą jednym z punktów tej rewizji uczynić zwrot Kłajpedy Niemcom, co oczywiście byłoby łatwiejsze do uskutecznienia, gdyby Litwa nie przyjęła układu; wobec tego akcja niemiecka polega na tym, żeby z jednej strony podniecać opór i rozżarzać jej maksymalizm, a z drugiej – wpływać ile możności na postawienie Litwie przez czynniki międzynarodowe trudniejszych warunków układu, czyniących układ niemożliwym do przyjęcia. Podług wersji Gałwanowskiego i członków delegacji litewskiej, Niemcy rozwinęli w Genewie bardzo energiczną akcję w tym kierunku; agenci niemieccy usiłowali różnymi drogami oddziaływać na komisję Davisa i na czynniki Ligi Narodów, by mnożyć trudności, komplikować układ i doprowadzić do udaremnienia go. Czy tak jest w istocie, czy też jest to tylko sztuczny argument, spreparowany przez Gałwanowskiego dla agitacji na rzecz przyjęcia układu przez opinię publiczną litewską – trudno sądzić; zapewne jest i jedno, i drugie, ale tymczasem argumentem tym od paru dni się szeroko operuje i trzeba przyznać, że on, jak dotąd, zdaje się działać skutecznie. Maksymaliści, chwilowo zdekoncentrowani nowym powiewem ugodowym, zapatrują się sceptycznie na ten nowy argument niebezpieczeństwa niemieckiego. Na razie więc wytworzyła się sytuacja taka, że przeciwnicy ugody straszą Polską i uderzają na alarm niebezpieczeństwa z Warszawy, a rzecznicy ugody, którzy od paru dni podnieśli głowę, straszą Niemcami i biją na alarm niebezpieczeństwa z Berlina. Kto zwycięży – zobaczymy. Gałwanowski z delegacją litewską dziś wyjeżdża z powrotem do Genewy. Otrzymał on od kół rządzących aprobatę dla swojej akcji.
Gałwanowski powiada, że nie tylko bezpośredni agenci Berlina, ale i delegacja Niemców kłajpedzkich – delegacja nieurzędowa, zakulisowa i ukrywająca się starannie od oczu delegacji litewskiej, a działająca oczywiście w ścisłym kontakcie z Berlinem, siedzą w Genewie i prowadzą pokątną akcję przeciwko układowi. Gałwanowski na ilustrację słów swoich cytował taki wypadek: jednego wieczora posiedzenie komisji z udziałem delegacji litewskiej przeciągnęło się do godz. 2 w nocy; po skończeniu posiedzenia uczestnicy obrad, głodni, chcieli udać się na kolację, ale że pierwszorzędne restauracje były już o tej porze zamknięte, udali się do jakiejś podrzędniejszej knajpy; i jakież było zdziwienie Gałwanowskiego i członków delegacji litewskiej, gdy ujrzeli w tej knajpie bawiące się wesoło grono dobrze im znanych Niemców z tłustym leaderem kłajpedzko-niemieckim Krausem na czele, o których pobycie w Genewie ani się domyślali. Kłajpedczycy i p. Krause, którzy się bawili wesoło przy kielichu i w

towarzystwie jakichś śpiewaczek, byli niezmiernie stropieni ukazaniem się Litwinów i jak zmyci ucichli, spuścili głowy do talerzy i niepostrzeżenie jeden po drugim się wynieśli, udając, że nie widzą Litwinów. Ci panowie pełnili tam zakulisowo służbę berlińską przeciwko Litwie. Krause – szczwany lis – umiejący się przystosować do wszelkich okoliczności, a zawsze, we wszelkich warunkach prowadzący akcję na rzecz Niemiec. Był on rzecznikiem „Freistadtu” kłajpedzkiego za czasów okupacji francuskiej w Kłajpedzie; prowadził wtedy konszachty z Polakami przeciwko Litwie; potem, po przejęciu Kłajpedy w ręce litewskie, zainicjował politykę pozorów ugodowych względem Litwy, ale zawsze działał i działa dla Vaterlandu.

12 marca, rok 1924, środa
Wreszcie prasa litewska kół rządzących i popierających rząd odważyła się wykrztusić przyznanie o przyjęciu przez Litwę projektu Davisa. Przez parę dni po przyjeździe Gałwanowskiego, kiedy się sfery rządzące zdecydowały na przyjęcie kompromisu w ostatecznej i mocno dla Litwy złagodzonej redakcji, prasa urzędowo tego nie podawała, ograniczając się jeno do artykułów i sprawozdań informacyjnych – zresztą teraz już w tonie przychylnym projektowi. Przez ten czas urabiano opinię publiczną oddziaływaniem poufnym. Widocznie się już przekonano o mocnym nastroju optymistycznym, jaki zastąpił w opinii publicznej poprzednia depresję i gorycz, bo dziś już puszczono balon próbny przyznania, że projekt jest przez Litwę przyjęty. Nie czytałem dziś urzędowej „Lietuvy”. ale w chrześcijańsko-demokratycznym „Rytasie” w dziale kroniki znalazłem wzmiankę o ponownym wyjeździe delegacji litewskiej do Genewy; we wzmiance tej zaznaczono „*en passant*”, że delegacja będzie popierała przyjęcie przez Radę Ligi Narodów projektu Davisa, przyjętego przez Litwę.
Wieczorem byłem na przedstawieniu „Vilkolakisa”. Były grane dwie improwizacje: jednoaktówka „Linksmų Naujienų Redakcijoje” („W Redakcji Wesołych Nowin”) i „Alma Mater” w dwóch aktach. Na ogół tym razem trochę mniej mi się „Vilkolakis” podobał, niż za pierwszym razem. Głównie mię ściągnęła tym razem do „Vilkolakisa” druga sztuka – „Alma Mater”, stanowiąca satyrę na nasze stosunki uniwersyteckie. Z profesury byłem ja jeden na przedstawieniu dzisiejszym, ale za to studentów była moc: stanowili oni ze ¾ ogółu publiczności. Improwizacja „Alma Mater” miała sporo dowcipnych kawałków, ale na ogół można rzec, że trochę za mało wejrzano w nasze stosunki uniwersyteckie, w których znalazłoby się dużo więcej materiału do satyry i karykatury i że zbyt jednostronnie skarykaturowano zwłaszcza jedną cechę – mianowicie brak sił naukowych i przeto zbytnia skłonność do angażowania lada miernoty i zwłaszcza do skwapliwego przyjmowania za złoto lada błyskotki zagranicznej. W szczególności w typach skarykaturowanych dało się z łatwością rozpoznać prof. Balogha, prof. Ehreta, Józefa-Albina Herbaczewskiego, bredzącego mistycznie o ruchu Narodu, o wampirach itp., docentkę Arcimowiczową, wykładającą egiptologię, prof. Bagdonasa (którego jedynym tytułem zasług naukowych jest w myśl tej satyry to, że jest twórcą wiekopomnego „dzieła”, które zyskało rozgłos wszechświatowy i zostało przetłumaczone na wszystkie języki – mianowicie plakat „Nie pluć na podłogę” oraz przepisy sanitarne dla fryzjerów). Dobra była dewotka, domagająca się katedry na uniwersytecie za usługi oddane Chrześcijańskiej Demokracji agitacją na wyborach do Sejmu, która też ostatecznie katedrę otrzymała, zyskawszy stanowisko „pełniącej czasowo obowiązki docenta”, a mania łapania wszelkiej tandety i lada dyletanta do zapchania nimi wakujących katedr uwydatniona została bardzo dowcipnie na obmyślaniu stosownej katedry dla surowego chłopca wiejskiego, który się zgłosił do uniwersytetu dla wstąpienia na studenta, a którego gorliwy senat, zajęty poszukiwaniem sił lektorskich, przyjął także za kandydata na profesora. Dyletant Ehret

– zręczny Szwajcar karierowicz do wszystkiego, sportsmen i agitator popularnych haseł, udający patriotę litewskiego oraz tandeciarz nauki Balogh – ruchliwy Żydek węgierski, plotkarz i totumfacki, którego w pierwszych miesiącach jego zainstalowania się w Kownie uznawano za wielkiego człowieka i za gwiazdę nauki, nim nie dostrzeżono jego próżni – byli tez zręcznie skarykaturowani.

13 marca, rok 1924, czwartek
Ukazały się we wczorajszych gazetach wieczornych dwie noty rosyjskie – jedna do rządu litewskiego, druga do „tak zwanej Ligi Narodów" (Cziczerin tytułuje Ligę Narodów „tak zwaną Ligą Narodów"), w których komisarz ludowy spraw zagranicznych SSSR („Sojuz Socjalisticzeskich Sowietskich Respublik", czyli „Związek Sowieckich Republik Socjalistycznych") „towarzysz" Cziczerin występuje głośno w sprawie Kłajpedy. Cziczerin protestuje przeciwko rozstrzyganiu sprawy kłajpedzkiej bez udziału Rosji, która tych decyzji nie przyjmie, a w stosunku do Litwy jest pełny sympatii i gorącej dbałości o jej dobro i niepodległość. Szczwany lis! Poczuł, że Litwa czuje się osaczona, pełna goryczy i że się ogląda za przyjaciółmi, których nigdzie poza obozem zwyciężonych i zbuntowanych (Niemiec i Rosji) nie dostrzega. A tak Niemcom, jak Rosji niezmiernie ważnym jest pogłębiać nieporozumienia na Wschodzie, jątrzyć i pozyskać w zrozpaczonej a krnąbrnej i upartej Litwie atut do gry przeciwko ustalającym się stosunkom i przeciwko istniejącemu czy tworzącemu się ładowi międzynarodowemu. Jeno się o parę dni p. Cziczerin spóźnił. Poprawki w projekcie Davisa udobruchały Litwę, a zakulisowe intrygi niemieckie w Kłajpedzie, istotne, a może i przesadzone nieco przez Gałwanowskiego, skierowały jej czujność podejrzliwą na tych, do których wczoraj jeszcze opinia publiczna tęsknie wzdychała. Wątpię, aby noty Cziczerina wywarły na koła decydujące Litwy pożądany dla ich autora efekt.
Rozciągnięcie władzy naszego trybunału na Kłajpedę stało się faktem dokonanym. Odpowiednia ustawa, uchwalona przez Sejm i opublikowana w „Vyriausybės Žinios", przekazała już Trybunałowi najwyższą władzę sądową w Kłajpedzie od d. 1 marca, ale dotąd nie było możności zrealizowania tego faktu prawnego, bo nie było jeszcze mianowanych do Trybunału sędziów z Kłajpedy, których udział w Trybunale jest dla wykonywania tej władzy w Kłajpedzie ustawowo przewidziany. Obecnie zostało to już dokonane. Mianowani zostali sędziami Trybunału dwaj Kłajpedczycy, których kandydatury już od dawna były ustalone. Są to sędziowie Hesse i Plumecke. Obaj są Niemcami i po litewsku nie umieją, bo innych zresztą w Kłajpedzie nie ma. W niedzielę nasz prezes Kriščiukaitis w towarzystwie Janulaitisa i prokuratora Trybunału Kalvaitisa udają się do Kłajpedy dla dokonania aktu przejęcia na rzecz Trybunału spraw zlikwidowanego „Obergerichtu" kłajpedzkiego i aktu objęcia władzy sądowej nad okręgiem Kłajpedy przez Trybunał Najwyższy Litwy. Następnie kłajpedzcy sędziowie Trybunału przyjadą do Kowna na ogólne posiedzenie Trybunału, które omówi i ustali tryb funkcjonowania Trybunału w zakresie sądownictwa kłajpedzkiego. Kłajpedczycy zamierzają mieszkać w Kłajpedzie; prawdopodobnie tam będzie funkcjonował Wydział Kłajpedzki Trybunału, na którego posiedzenia sądowe będzie jeździł jeden z naszych sędziów do kompletu; tym sędzią, jeżdżącym od nas na kłajpedzkie posiedzenia Trybunału, będzie oczywiście Janulaitis, który jedyny z nas zna język niemiecki w zupełności; a choć w Kłajpedzie formalnie urzędowymi są równolegle oba języki – litewski i niemiecki – to jednak w praktyce dotąd w sądownictwie jest stosowany wyłącznie niemiecki; będzie się to musiało stopniowo zmienić i Litwini gotują się do stanowczego w tym kierunku działania, ale tymczasem fakt ten jest faktem. Natomiast na ogólne zebranie Trybunału – zapewne w jakichś ustalonych terminach – kłajpedzcy

sędziowie Trybunału będą przyjeżdżali do Kowna. My w Trybunale z tych naszych nowych kolegów kłajpedzkich pożytku w pracy naszej powszedniej mieć nie będziemy, a kłopotu przybędzie, bo prawdopodobnie się ujawnią pewne tarcia narodowo-polityczne między kowieńską większością litewską a nimi.
Dziś na uniwersytecie podczas pracy kolokwialnej z grupą studentów II semestru natrafiłem przypadkowo na studenta Polaka. Jest to na naszym uniwersytecie większa pono osobliwość, niż student Chińczyk w Paryżu. mimo że Chińczycy nie należą do krajowej ludności Francji i Paryża, a Polacy są bardzo pospolitym żywiołem ludności krajowej Litwy i tym bardziej Kowna. Tym unikatem (jest on rzeczywiście jedyny na II semestrze Wydziału Prawniczego) jest niejaki Edward Gaworski, rodowity Kownianin. Ukończył on gimnazjum polskie w Kownie, gdzie się trochę nauczył litewskiego i kontynuuje studia prawnicze w kraju. Zwyczajnie uczniowie gimnazjów polskich w Litwie masowo ciągną na studia uniwersyteckie po kryjomu do Polski.

14 marca, rok 1924, piątek
Na godz. 7 Žemaitis zwołał posiedzenie b. komitetu jubileuszowego 600-letniej rocznicy Wilna dla omówienia rozdawnictwa medalów jubileuszowych. Medale te, odlane w brązie, są gotowe. Zostały wykonane podług rysunku rzeźbiarza Piotra Rymszy. Na jednej stronie przedstawiony jest w płaskorzeźbie wielki xiążę Giedymin, założyciel Wilna, na drugiej – widok Wilna z basztą na Górze Zamkowej. Nadpis po litewsku; Wilno w nadpisie tytułowane jest stolicą Litwy. Chodziło o omówienie, komu mają być rozdane egzemplarze tego medalu, odbitego w ilości kilkuset sztuk i który stanowić będzie rzadkość numizmatyczną. Na posiedzeniu obecni byli Žemaitis, Michał Biržiška, Šiling, Piotr Rymsza, Michał Ślażewicz, Jan Yčas i ja. Pierwotnie Michał Biržiška zaprojektował rozdanie medalu całemu szeregowi wybitnych i zasłużonych działaczy litewskich ze szczególnym uwzględnieniem Wilnian, poza tym wszystkim tym osobom, które stały na czele rządu, wojska i dyplomacji Litwy od dnia ogłoszenia Niepodległości, wreszcie muzeom zagranicznym, naczelnikom państw obcych, premierom i marszałkom sejmów obcych. Jednak przyjętą została poprawka Žemaitisa, podług której postanowiono udzielić medalu za granicą muzeom i osobom, które ujawniły szczególną sympatię dla Litwy (w szczególności szeregowi Anglików, w ich liczbie Lloys-George'owi), a w kraju nie tyle osobom prywatnym, choćby najbardziej zasłużonym, ile instytucjom publicznym, zbiorom rozmaitym, szkołom.
Po godz. 8 byłem w sali Ratusza na odczycie publicznym Janulaitisa, urządzonym pod egidą Towarzystwa Popierania Ligi Narodów na temat stosunku Rosji do Litwy. Publiczne odczyty dyskusyjne tego Towarzystwa, na których omawiane są zagadnienia polityki zagranicznej i na których prądy maksymalistyczne najjaskrawiej się wyrażają, stały się w Kownie poważnym czynnikiem opinii publicznej. Wyrobiły już one sobie szerokie audytorium, w którym dominującą jest młodzież uniwersytecka, ale nie brak i innych elementów inteligencji i półinteligencji litewskiej – głownie z kół frondujących. Nastrój tego audytorium jest zazwyczaj bardzo radykalnym w zakresie narodowym i niepodległościowym, gwałtownie antypolski, niechętny polityce rządowej, węszący wszędzie intrygę, kategorycznie wrogi Francji i Ententcie, orientujący się coraz bardziej w kierunku sympatii rosyjskich w myśl ogólnej tendencji maksymalistów niepodległościowych do szukania dla Litwy oparcia o Rosję. Janulaitis jest jednym z bardzo nielicznych sympatyków i rzeczników tego maksymalizmu, nie ulegających moskalofilstwu. Zresztą moskalofilstwo tych kół, grupujących się pod sztandarem nieprzejednanego ekskluzywizmu niepodległościowego Litwy, jest tylko w pewnej mierze konsekwencją orientacji politycznej, a w jeszcze większej mierze jest ono przesłanką uczuciową ludzi, którzy się wykształcili na kulturze rosyjskiej i którzy w

istocie tęsknią do Rosji. Do takich zaliczam wśród najjaskrawszych tego maksymalizmu Krewe-Mickiewicza, a nawet Šilinga. Dla wielu z nich Niepodległość Litwy jest bodaj tylko środkiem do szachowania Polski jako czynnika przeciwnego Rosji, jest pewnego rodzaju rezerwą dla przyszłości, której uwieńczeniem będzie wielka federacja pod skrzydłami Rosji. U wielu z tej kategorii najjaskrawszych dziś niepodległościowców ten sentyment rosyjski i to marzenie o federacji w Rosji może się niezupełnie skrystalizowało w świadomości, może jest do pewnego stopnia bezwiedne, ale w istocie w ich instynktach woli moskalofilstwo jest w nich nie tyle wnioskiem polityki realnej, ile założeniem uczuciowym, z którego się spekulacyjnie wysnuwają wnioski i koncepcje polityczne sztuczne, znajdujące łatwe usprawiedliwienie w fakcie konfliktu litewsko-polskiego. Ze względu na to specyficzne moskalofilstwo środowiska byłem tym bardziej ciekaw odczytu Janulaitisa, wymierzonego, jak mi on sam zapowiadał, przeciwko iluzjom polityki, szukającej oparcia w Rosji. Ciekaw byłem nie tylko odczytu Janulaitisa, ale także efektu na słuchaczy. I muszę się przyznać z żalem, że się zawiodłem nieco na Janulaitisie. Miałem wrażenie, że Janulaitis, jak powiada przysłowie litewskie, wyniósł się wysoko do lotu sokolego, a skończył na skromnym pełzaniu po ziemi jak robak.

15 marca, rok 1924, sobota
Na dzisiejszym posiedzeniu sądowym Trybunału Trybunał po raz pierwszy zasiadał w nowej sali, odrestaurowanej specjalnie dla jego posiedzeń na II (licząc zwyczajem krajowym – na III) piętrze gmachu instytucji sądowych. Sala jest mniej wspaniała, niż wielka sala posiedzeń Sądu Okręgowego, która przecina dwa piętra i ma galerię, nie licząc ozdób w postaci okrągłych pieców kaflowych. Choć nasza sala nie jest ani tak wielką, ani tak wspaniałą, jest ona dla Trybunału wystarczającą i ma także pewne dekorum architektoniczne – mianowicie rząd okien kulistych nad rzędem okien zwyczajnych. Posiadanie własnej sali będzie dla Trybunału stanowiło duża wygodę, bo dotąd był on pod tym względem poniekąd na łasce Sądu Okręgowego.
Pomówię jeszcze o wczorajszym referacie Janulaitisa na publicznym posiedzeniu Litewskiego Towarzystwa Popierania Ligi Narodów. W pierwszej części odczytu Janulaitis dość radykalnie dawał wyraz swojej nieufności do Rosji, kreśląc jej imperializm i zachłanność, manifestujące się bez względu na to, czy w Rosji jest car czy komuniści. Ilustrował swą tezę dosadnie przykładami zaboru przez Rosję sowiecką Armenii, Azerbejdżanu, Gruzji i jej stosunkiem do Finlandii, Estonii, Łotwy, Litwy, Polski i Ukrainy od samego początku powstania tych państw i nawet już po zawarciu z nimi pokojów formalnych. Tej ekspansji Rosji, która pod tym względem jest takąż za rządów bolszewickich, jaka była dawniej, usiłował nadać założenia gospodarczo-społeczne, aby uwydatnić bardziej przekonywająco realizm tego faktu. Powiedziałbym nawet, że w charakteryzowaniu imperializmu i zaborczego cynizmu bolszewików Janulaitis, folgując swym antypatiom, przesadzał, zapoznając te społeczne przesłanki ideowe rosyjskiej rewolucji komunistycznej, które dają zupełnie inne światło względom narodowym i narodowo-państwowym w pojęciu bolszewików i czynią ich działania. depczące państewka narodowe, zgoła innego rzędu zjawiskiem, niż imperializm kapitalistyczny albo nacjonalizm burżuazji. W każdym razie, pierwsza część odczytu Janulaitisa była jaskrawie moskalofobska, trzeźwiąca audytorium, przywykłe do nawoływań politycznego moskalofilstwa mówców, bardzo skądinąd dalekich społecznie od komunizmu. Pod tym względem ta część odczytu była posobną do dmuchnięcia w gniazdo os. W audytorium nietrudno było rozpoznać licznych sympatyków bolszewizmu, agentów agitacji komunistycznej, poza tym moskalofilów uczuciowych, wreszcie ludzi, których maksymalizm niepodległościowy i nienawiść do

Polski, a odpowiednia agitacja przywódców tego nawróciły na moskalofilizm ściśle polityczny, od którego, jak od każdej wiary (w prądach politycznych jest także wiara), ludzie się niełatwo dają argumentacją przeciwną odciągnąć. Oczywiście wszystkie te elementy audytorium – a ich była większość – nie były zbyt zachwycone referatem Janulaitisa. W tej pierwszej części referatu Janulaitis, dotykając przygodnie Polski, był zupełnie bezstronny i nie dawał się unosić nienawiści, która zmusza ludzi do negowania wszelkich faktów i prawd historycznych gwoli tezy uczuciowej. Janulaitis stwierdził fakt, którego Litwini zazwyczaj nie chcą uznawać lub który w najlepszym razie omijają milczeniem, że gdyby nie zwycięstwo Polski nad bolszewikami pod Warszawą w roku 1920, to bolszewicy, zająwszy Warszawę, nie tylko nie oddaliby Litwie w sierpniu tego roku Wilna, pomimo Traktatu Moskiewskiego z d. 12.VII.1920, ale zagarnęliby i Litwę całą włącznie z Kownem, czyniąc z niej „Litewską Republikę Sowiecką" i wcielając ją do swojej federacji fikcyjnej; nie uczyniliby tego drogą zaboru mechanicznego, ale – co na to samo wychodzi – zainscenizowaliby „powstanie" komunistyczne w Litwie, które z pomocą odpowiednich oddziałów wojska, zapożyczonych od bolszewików (podobnie do tego, jak to uczyniła Polska potem metodą „buntu" Żeligowskiego), zagarnęłoby władzę w Litwie, obwołało ją Republiką Sowiecką i uczyniłoby akces do federacji; faktem jest bowiem ujawnionym, że bolszewicy mieli w Wilnie w r. 1920 w odwodzie sformowany i gotowy do działania rząd komunistyczny Litwy i specjalne bataliony do wykonania powstania w Litwie. Tak więc Warszawa w r. 1920 automatycznie ocaliła Niepodległość Litwy, tak samo, jak oczywiście samo powstanie państwa polskiego (a więc przez to samo i czyn Legionów Polskich Piłsudskiego w czasie Wielkiej Wojny) było jednym z istotnych warunków powstania państw narodowych Litwy i innych. Jest to właśnie ten moment, który ja stale w Legionach Polskich, stając do ich szeregów, dostrzegałem i dla którego nie uważam mojego udziału w Legionach w latach 1915-1917 za omyłkę wobec Litwy. Janulaitis z tego wprawdzie konsekwencji w odczycie swoim nie wyciągał, choć wiem, że w istocie nie są one jego przekonaniom obce, ale dla audytorium litewskiego ważnym jest nawet stwierdzenie samego faktu.

16 marca, rok 1924, niedziela
Był u mnie Wielohorski, którego nagle władze litewskie zaczęły w ostatnich czasach posądzać o nielegalne posiadanie paszportu litewskiego, zakwestionowały jego obywatelstwo i pomimo złożonych przezeń dowodów (metryka urodzenia w Wilnie) uznały za urodzonego na Wołyniu, a więc za obywatela rzekomo polskiego (dlaczego nie rosyjskiego?) i nakazały odebranie mu paszportu i opuszczenie granic Litwy do 15 kwietnia. Decyzję tą powziął Gabinet Ministrów, więc skargi na to wyżej już nie ma. Jest to krzywda oczywista i jeden z bardzo przykrych epizodów w stosunkach polsko-litewskich krajowych, które się znowu bardzo zaogniły w ostatnich tygodniach i wyrażają się w coraz to smutniejszych przejawach (zajścia w kościołach kowieńskich, projekt ustawy o poprawkach i uzupełnieniach do reformy agrarnej, polityka agrarna Krupowicza, mowa Tumenasa w Sejmie, cały szereg epizodów wyzuwania Polaków z własności lub banicji z kraju, jak sprawa p. Zanowej, sprawa Wielohorskiego itd., itd.). Wielohorski przyszedł mię prosić, abym się wstawił, gdzie się da, już nie o niego – bo wie dobrze, że to byłoby próżnym – ale o żonę jego, Lewoniewską z domu, by jej nie wyrzucano z Litwy wraz z mężem i by mogła ona pozostać w majątku rodzinnym. Postaram się mu to zrobić, ale czy się da – nie wiem. Nie byłem zwolennikiem ostrego tonu, który Wielohorski wnosił do polityki Polaków litewskich i uznawałem zawsze za nielojalną akcję jego, która się opierała na komunikowaniu się z czynnikami państwowymi polskimi i na instrukcjach od nich dla polityki Polaków litewskich tu w kraju, ale osobiście Wielohorskiego szanuję i cenię jako człowieka szczerego i

człowieka przekonań, który zresztą, pomimo wszystko, jest nawet na swój sposób przyjacielem Litwy. Ale nie chodzi mi o sympatie i szacunek dla jego osoby ani też o ocenę jego działalności politycznej, jeno o sposób, w jaki go się władze litewskie pozbywają; działalność Wielohorskiego ze względu na jego konszachty z czynnikami państwowymi Polski w akcji politycznej w Litwie (Wielohorski był nawet czymś w rodzaju zakonspirowanego konsula polskiego w Litwie) w moim przekonaniu – gdyby te fakty mogły mu być udowodnione (mnie są one wiadome poufnie, ale władze litewskie, choć są na ich tropie, nie mają na to dowodów dokumentalnych i zresztą wolą pozbyć się Wielohorskiego przez proste usunięcie go, niż wszczynać wątpliwy i drażniący proces, który stałby się głośnym), dawałaby podstawę do oskarżania go o zdradę stanu, ale nie usprawiedliwia formalnie tego sposobu, w jaki go pozbawiono obywatelstwa litewskiego. Jest to droga politycznie może – doraźnie – wygodniejsza, ale śliska, bo prawnie krzywa. Wielohorski był istotnym łącznikiem między władzami państwowymi polskimi a polityka Polaków litewskich w kraju – i to było jego wykroczeniem przeciwko państwu, które dotychczas zbudowane jest na zasadach terytorialnych, a nie narodowościowych czy personalnych, jakim może się stanie państwo przyszłości.
Jeszcze o pozawczorajszym referacie Janulaitissa. Janulaitis nie wypowiedział wniosków z tego zaznaczonego przezeń bardzo prawdziwego faktu, że gdyby bolszewicy w r. 1920 zajęli Warszawę i złamali Polskę – już by było po niepodległości Litwy, bo Rosja sowiecka byłaby ją pochłonęła wraz z Łotwą i Estonią, jak pochłonęła Ukrainę i państewka kaukaskie; że przeto Litwa i inne państwa niepodległe tzw. kresowe na zachodniej rubieży byłego terytorium carskiej Rosji trzymaj asie oporem Polski, której niepodległość i odporność jest warunkiem ich bytu. Dalszym etapem tego wniosku jest to, że pomimo wszelkie nieporozumienia i zatargi między Polską a Litwą, jest jednak realna głęboka solidarność niepodległości tych dwóch krajów, solidarność, zapoznawana tak przez Litwę, jak przez Polskę, która odbierając od Litwy Wilno i zagarniając w zabór tereny Ukrainy i Białej Rusi, osłabia swoją odporność wobec Rosji, bo wieniec niepodległych i zadowolonych ludów państwowych byłby najlepszą dla Polski gwarancją jej odporności i jej stanowiska mocarstwowego na Wschodzie. Przeto gdy niebezpieczeństwo Rosji realnie zaciąży nad obszarami tych krajów, solidarność ich niepodległości się zamanifestuje i da Bóg, że może nawet zlikwiduje spór wileński. Nie chodzi zresztą o przepowiednie, ale o fakt, że solidarność taka realnie istnieje i że wbrew intencjom stron zamanifestowała się rzeczowo w r. 1920. Litwini nad faktem tym się nie zastanawiają i zastanawiać nie chcą, bo zbyt ich boli Wilno. Jeżeli polska w r. 1920 swym zwycięstwem nad Rosja obroniła niepodległość Litwy, to jednak natychmiast potem sama zabrała Litwie Wilno. Toteż nie dziw, że Litwini nie unoszą się wdzięcznością dla Polski za rok 1920.

17 marca, rok 1924, poniedziałek
Dziś złożyłem w tzw. Muzeum Kultury część moich dzienników w depozyt warunkowy. Muzeum Kultury zostało założone w roku zeszłym jako instytucja należąca do Wydziału Humanistycznego na Uniwersytecie Litewskim. Kierownikiem muzeum jest z ramienia tegoż wydziału kr. Tumas. Muzeum to gromadzi wszelkie rękopisy, fotografie itd., słowem – materiały do dziejów kultury krajowej w najszerszym znaczeniu. Zeszyty dziennika mojego są złożone w dużej ładnej szkatule, której klucz pozostaje u mnie. Depozyt ten jest do dnia mojej śmierci depozytem, który mogę dowolnie wycofać, po mojej śmierci zaś przechodzi on na własność muzeum z zastrzeżeniem, że w ciągu 25 lat od dnia mojej śmierci jego zawartość nie jest dostępna dla nikogo z wyjątkiem mojej córki, a po upływie 25 lat od mojej śmierci staje się bez

żadnych ograniczeń dostępny do użytku publicznego. Znaczna część moich dzienników (z lat 1911-1913 i z lat 1915-1916 oraz 1918) pozostała w Wilnie na przechowaniu u p. Tadeusza Wróblewskiego. Niepokoi mię ich los. Chciałbym je z Wilna ściągnąć i wszystko razem skupić w tym depozycie w Muzeum Kultury. Temu muzeum ofiarowałem dziś 9 zeszytów z naklejonymi wycinkami moich artykułów, drukowanych w różnych pismach (przeważnie w r. 1906 w „Gazecie Wileńskiej", w latach 1911-1915 w „Przeglądzie Wileńskim", „Gazecie Krajowej" i innych pismach oraz w latach 1920-1922 w pismach wileńskich i kowieńskich).
Przez Kamilę Römerówną, która była przed kilku tygodniami w Wilnie i dziś zachodziła w swoich interesach do mnie, otrzymałem trochę wiadomości o mojej córce Cesi. Wiadomości te pochodzą od Stryjenki Bolesławowej Römerowej, którą odwiedzała Regina. Wiadomości są takie: Cesia uczy się bardzo dobrze, ma też zdolności do rysunku, malarstwa i muzyki. Bardzo mię to cieszy.
Potrzeba, żeby byli w narodzie ludzie, którzy umieją *sine studio et ira* obserwować fakty i ciągnąć z nich naukę ich wymowy żywej, niezależnie od przemijających sympatii lub antypatii, zrodzone przez okoliczności chwili politycznej. Tłum, wielka masa – nigdy nie są do tego zdolne. Żyją one chwilą, rozumują namiętnościami, widzą uczuciami i chęciami. Nie uznają one nigdy , a nawet nie dojrzą – faktu, który się nie wiąże z ich namiętnością i nie usprawiedliwia jej. Ale i poszczególni ludzie, poszczególni narodu wodzowie i politycy – bardzo rzadko umieją widzieć i oceniać fakty, które się ich uprzedzeniom nie nadają. Przeciętny obywatel takich zdolności obserwacyjnych tym bardziej mieć nie może. Toteż prawie nikt z Litwinów nie wie i nie chce wiedzieć o tym, co podniósł Janulaitis w swym referacie piątkowym, że w r. 1920 Warszawa ocaliła Litwę od pochłonięcia jej przez Rosję. A fakt ten jest pouczający. Co prawda, Polska, ocaliwszy Litwę od jednego pożarcia, sama wnet pochłonęła Wilno, przez co sama wymazała w sercach Litwinów tytuł do wdzięczności za swój czyn poprzedni (zresztą ten czyn nie był wykonany przez Polskę dla Litwy; był on aktem jej obrony własnej, który automatycznie wyzwalał Litwę bez intencji samychże Polaków, ale to go tylko czyni tym bardziej pouczającym dla stosunku realnego, zachodzącego między dwoma krajami niezależnie od przesłanek podmiotowych). Janulaitis wskazał na ten fakt, ale wniosków stąd w tym audytorium nie wyciągnął i kropek nad i nie stawiał. Było to zresztą dyktowane samym taktem, bo często zbyt gorące przekonywanie i zbyt staranne stawianie kropek na i oraz wysnuwanie wszystkich konsekwencji mniej przekonywa, niż lekkie *en passant* stwierdzenie samego faktu w jego więzi logicznej z innymi faktami. Uwydatnił też Janulaitis inną rzecz w stosunkach Litwy z Polską, mianowicie czynnik społeczny, bardzo, niestety, silny i smutny dla perspektyw pojednania, dopóki on trwa, ale za to wyzwalający ten stosunek od uprzedzeń do Polski jako takiej. Moim zdaniem, w tym czynniku mieszczą się nawet drogi usunięcia zatargu – chociaż przez ból i krzywdy kolejne. Czynnik ten polega na roli szlachty i obszarnictwa polskiego w Litwie. Ale o tym jutro.

18 marca, rok 1924, wtorek
Dzięki Bogu – w sprawie żony Wielohorskiego rzecz poszła dobrze. Zwróciłem się nie do ministra spraw wewnętrznych Żołkowskiego, od którego formalnie zależy udzielnie p. Wielohorskiej pozwolenia na pozostanie w Litwie, ani do dyrektora Departamentu Milicji Danowskiego, ale bezpośrednio do Tumenasa, z którym osobiście łączą mię stosunki bliższe, a który w obecnym gabinecie Gałwanowskiego jest formalnie zastępcą prezesa gabinetu, a faktycznie w zakresie polityki wewnętrznej gra pierwsze skrzypce i więcej pono waży od Gałwanowskiego. Gałwanowski ma ster polityki zagranicznej i daje firmę rządowi, ale mężem zaufania i leaderem stronnictwa rządzącego, wyrazem

władzy sejmowej – jest w rządzie nie Gałwanowski, lecz Tumenas. Choć to właśnie Tumenas wystąpił w Sejmie tak ostro względem akcji politycznej Polaków litewskich, wykazując jej związek i zależność od urzędowej polityki państwa polskiego, dotykając jednocześnie sprawy Wielohorskiego, uznanego decyzją Gabinetu Ministrów za obcego poddanego i obecnie wydalanego z granic Litwy, to jednak uznałem, że właśnie do niego będzie się najstosowniej zwrócić. Uczyniłem to dal dwóch względów: po pierwsze dlatego, że sprawa Wielohorskiego jest zbyt głośną i zbyt jaskrawą pod względem politycznym, aby się organy niższe, nie wyłączając ministra spraw wewnętrznych (którego zresztą osobiście znam bardzo mało), odważyły na decyzję samodzielną co do żony Wielohorskiego, a po wtóre dlatego, że ufałem prawości i bezstronności Tumenasa, który odróżnia moment polityczny, zachodzący co do osoby Wielohorskiego, od momentu apolitycznego krzywdy, zachodzącego co do osoby p. Wielohorskiej, gdyby ona też miała być z Litwy wraz z mężem wyrzucana. Nie zawiodłem się. Tumenas obiecał mi zainterweniować osobiście u ministra Żołkowskiego, zastrzegając, że gdyby Ministerium Spraw Wewnętrznych miało jakieś specjalne racje przeciwko pozostaniu w Litwie osobiście p. Wielohorskiej, to on z tymi racjami walczyć nie będzie. Mam nadzieję, że takich racji nie będzie. P. Wielohorska, Lewoniewska z domu, ma jeszcze z dawnych czasów dużo tytułów do zasług kulturalnych w kraju i nawet w szczególności wobec Litwinów. Pragnąłbym serdecznie, aby się ta rzecz uwieńczyła dobrym skutkiem.
Chcę w dzienniku – w szczególności w tym zeszycie – umieścić odpis statutu Wielkiego Wschodu Litwy, przyjętego przez nas. Był on przed dwoma laty opracowany przeze mnie właśnie w tekście polskim, następnie przez Purenasa przetłumaczony na litewski. Cytuję go jako dokument historyczny. Będę się starał udzielić ile możności co dzień kawałek miejsca w dzienniku na tekst statutu, aż go wyczerpię. Zaczynam:
Rozdział I. O Wielkim Wschodzie Litwy.
art. 1. Niniejszym utworzony jest „Wielki Wschód Litwy”.
2. „Wielki Wschód Litwy” ogarnia całe terytorium Rzeczypospolitej Litewskiej i w każdym razie włącznie z Wilnem i Kłajpedą; poza tym terytorium działalność jego rozciąga się: a. na całej Kuli Ziemskiej na kolonie litewskie i w szczególności na Litwinów i obywateli Litwy, b. na te przyległe do Litwy terytoria Prus Wschodnich, Suwalszczyzny, Białej Rusi i Semigalii, które, nie należąc do państwa litewskiego, są zaludnione całkowicie lub częściowo przez Litwinów lub których ludność dąży do połączenia państwowego z Litwą, wyrażając je przez akces żywiołów rdzennej ludności do „Wielkiego Wschodu Litwy” (c.d.n.).
W Genewie projekt Davisa o Kłajpedzie został przez Radę Ligi Narodów przyjęty. Akt przyjęcia podpisany przez Gałwanowskiego w imieniu Litwy. Delegaci Francji, Włoch i Japonii zarezerwowali jeszcze podpis. Skirmunt w imieniu Polski podpisu odmówił. Pozostaje jeszcze przyjęcie projektu przez Radę Ambasadorów jako organ Ententy, od której formalnie zależy przekazanie suwerenności Kłajpedy Litwie. Tu w Kownie przeciwnicy projektu Davisa podniosą jeszcze z pewnością krzyk, ale zdaje się, że ratyfikacja jego w Sejmie jest zapewniona.

19 marca, rok 1924, środa
Dziś znowu byłem w teatrze „Vilkolakis” na przedstawieniu czteroaktówki „Monkey-Business”, satyry na grasujących w kraju „Amerykanów” (powracających z Ameryki), spekulujących na łatwowierności swych rodaków w kraju i wyłudzających pieniądze na rozmaite humbugowe przedsiębiorstwa. Satyra jest wesoła, dobrze skonstruowana i grana z werwą. Wszystkie sztuki, grane w „Vilkolakisie”, są improwizacją nie tylko

autora pomysłu, ale też wykonawców artystów. Żadna z nich nie posiada tekstu pisanego.
Mało mam czasu, więc nic więcej dziś pisać nie będę – tylko zacytuję w dalszym ciągu ustęp ze statutu Wielkiego Wschodu Litwy:
3. „Wielki Wschód Litwy" dąży do powszechnego braterstwa ludzi wolnych i przeto tworzy kult człowieka w rodzinie, społeczeństwie, narodzie, państwie i ludzkości; rozumie, że poza współżyciem ludzkim człowiek upada i że każda z powyższych form współżycia może wydać maximum owoców w warunkach najściślejszej spójni psychicznej i moralnej jej elementów składowych; uważa przeto za zło i zwalcza wszelki gwałt i oparte na przymusie panowanie człowieka nad człowiekiem, klasy społecznej nad klasą, narodu nad narodem, państwa nad państwem; dal tych celów domaga się w kulcie człowieka maximum światła i rozwoju władz umysłowych oraz sił moralnych woli, charakteru, uczucia i czynu człowieka.
4. W Litwie, jako jednym z wolnych i czynnych pierwiastków Ludzkości, „Wielki Wschód Litwy" buduje obywateli na tych samych zasadach, na jakich pragnie widzieć współżyjących ludzi we wszystkich ich zespołach współżycia; to, co jest wiecznie ludzkim w mężczyźnie czy kobiecie, w starcu czy młodzieńcu, w Litwinie, Polaku, Żydzie, Białorusinie, Tatarze i osobniku każdej innej kultury narodowej i co przeto jest przedmiotem kultu „Wielkiego Wschodu Litwy", oczyszczone z wszelkich przypadkowości i możliwie w granicach sił i środków ludzkich udoskonalone – ma być zużytkowane za materiał do budowy obywatela Litwy, to znaczy Litwina w znaczeniu czynnego i biernego udziałowca Wolnego Państwa Litewskiego; jak godność człowieka, obywatela, Litwina nie odbiera nikomu jego cech płci i stanu rodzinnego, tak nie odbiera ona też nikomu ani jego mowy, ani kultury narodowej, ani jego przynależności do związków i formacji społecznych.
C.d.n.

20 marca, rok 1924, czwartek
Z masy moich słuchaczy II semestru na uniwersytecie wydzieliłem grupę wyborowych uczni, którzy się wyróżnili bądź szczególnie pilnym uczęszczaniem na wykłady, bądź zwłaszcza najlepszymi odpowiedziami na colloquium I semestru. Grupie tej zaproponowałem rozpoczęcie colloquium II semestru, nie czekając na zakończenie roku szkolnego. Ułożyłem dla nich listę tematów colloquialnych, z których każdy z nich będzie mógł sobie wybrać temat dowolny i odbyć pracę colloquialną bądź ustnie, bądź na piśmie. Zanotuję tu spis tej grupy wyborowych studentów tegorocznego II semestru. Może kiedyś z ich liczby niektórzy się podniosą na stanowiska wybitniejsze w społeczeństwie i zdobędą zasługi, które usprawiedliwią moje wyróżnienie. Oto lista tych 27 młodych ludzi – przyszłych prawników Litwy (podaję nazwiska w brzmieniu i pisowni litewskiej): Juozas Katinskas, Gecelis Mariampolskis, Vincas Gurevičius, Juras Kubilius, Jonas Strimaitis, Edvardas Gavorskis, Andrius Razvickas, Pranas Porylaitis, Antanas Langelis, Jonas Mačiulaitis, Laurynas Paciunas, Feliksas Senkus, Juozas Karklys, Zuzanna Katiliutė, Vincas Nainys, Mykolas Janilionis, Maksimilijonas Eirošius, Juozas Įgaunis, Balys Giedra, Pranas Barkauskas, Aleksandras Marcinkevičius, Salomonas Kodešas, Mozė Fortuna, Kazys Ramanauskas, Antanas Urbelis.
Wieczorem po wykładzie uniwersyteckim byłem z prof. Baloghiem i Jerzym Dowiatem na kolacji w restauracji „Wersal". Bardzo rzadko sobie na taki „*divertissement*" pozwalam. W „Wersalu" na sali restauracyjnej na scenie otwartej artyści kabaretowi produkują się piosenkami i tańcem. Bardzo ładnie się prezentuje grupa taneczna, złożona z czterech Łotewek i jednego mężczyzny; Łotewki te – w kostiumach męskich,

uwydatniających ich kształty, z puklami włosów podstrzyżonych, piękne z twarzy i wspaniałej budowy, tańczą z huraganowym temperamentem, z wykrzykami i wyciem, przeplatając gwałtowny taniec figurami plastycznymi. Taniec ten nie jest narodowym litewskim – jest on zapożyczony z tańców rosyjsko-kozackich, jeno przygodnie wykonawczyniami są Łotewki. Nie masz kobiet jak Łotewki! Jest w nich siła i wyrazistość niepospolita, kształty budowy bajeczne, a gdy się Łotewka trafi piękna – to jest piękna nie jak anioł wprawdzie, ale jak żywioł nieposkromiony, uosobiony w kobiecie.
Na zakończenie ciąg dalszy statutu Wielkiego Wschodu Litwy:
5. To, co jest dążeniem „Wielkiego Wschodu Litwy" w budowie rodziny, społeczeństwa, narodu, państwa i ludzkości, jest już faktem dokonanym w jego własnym łonie; współżycie braci w „Wielkim Wschodzie Litwy" będzie już takim, jakim dopiero ma ono być powszechnie we wszystkich współżycia ludzkiego formach.
6. „Wielki Wschód Litwy" szuka i dąży do Powszechnego Wielkiego Wschodu Ludzkości, jak element do formacji.

21 marca, rok 1924, piątek
Są już wiadomości o tym, że Rada Ambasadorów projekt kłajpedzki przyjęła. Tak więc sprawa ta zbliża się do rozwiązania metodą kompromisową. Prasa rządowa i kierunków dominujących w Kownie wyraźnie popiera przyjęcie projektu konwencji. Zapewne ratyfikacja wkrótce zostanie przez Sejm Litewski przyjęta. Jak się teraz wyjaśnia i na co prasa sprzyjająca konwencji kładzie duży nacisk, aby zjednać opinię publiczną i rozproszyć obawy i nieufność, szerzone przez przeciwników układu kłajpedzkiego – tranzyt między Wileńszczyzną a Kłajpedą, jaki został ustalony układem, jest bardzo daleki od normalnego tranzytu na potrzeby Polski; będzie on dotyczył li tylko spławu drzewa po Niemnie (li tylko po Niemnie – bez jego dopływów) i mianowicie drzewa zakupionego przez kupców państw obcych jako towaru należącego do firm zagranicznych (nie polskich), w stosunku zaś do handlu polskiego Litwa rezerwuje wszelkie prawa, płynące z Konwencji Barcelońskiej i dozwalające zamknięcie tranzytu względem państw, z którymi się jest na stopie wojennej. Litwa więc będzie mogła zachować swoje stanowisko zasadnicze, odmawiające Polsce tranzytu, dopóki Polska nie likwiduje zaboru Wilna. Wprawdzie tranzyt drzewa da Wileńszczyźnie i Grodzieńszczyźnie (zwłaszcza Grodzieńszczyźnie) bardzo duże atuty materialne, których była ona w tych latach pozbawiona, a parawanik firm angielskich i francuskich nie będzie zbyt uciążliwym w tym względzie, jednak formalnie Polska żadnych praw tranzytowych nie zyskuje i poza tranzytem drzewa nie tylko formalnie, ale i faktycznie nic nie osiąga. Stan ten jest bardzo daleki os zapowiedzi zupełnego oddania Litwy na łaskę i niełaskę Polski przez sam fakt przyjęcia układu – jak głosili i głoszą panowie Krėvė-Mickiewicz, Šiling, Herbaczewski i inni. Jednak przeciwnicy układu kłajpedzkiego nie pasują i ani myślą godzić się z układem w tej najbardziej złagodzonej dla Litwy formie, uważając przyjęcie jego za klęskę i bankructwo polityki i niemal samej niepodległości Litwy.
W tych dniach przyjadą do Kowna nasi nowi koledzy kłajpedzcy, mianowani sędziami Trybunału – pp. Plumicke i Hesse. W poniedziałek odbędzie się z ich udziałem ogólne zebranie Trybunału, na którym mają zapaść decyzje co do trybu ich współpracy w Trybunale i co do trybu funkcjonowania Trybunału w zakresie sądownictwa Kłajpedy. W związku z tym zebraniem poniedziałkowym dziś omówiliśmy te sprawy w naszym gronie, to znaczy bez nich, aby się w poniedziałek nasze głosy nie rozstrzeliły. Na tej naradzie dzisiejszej Trybunału chciał też być obecny prywatnie minister Tumenas ze względu na doniosłość polityczną sprawy; chęć te usprawiedliwiał tym, że tryb, jaki

ułożymy dla sądzenia spraw kłajpedzkich, będzie miał wagę precedensu nie tylko dla Kłajpedy, ale ewentualnie kiedyś i dla Wilna, jeżeli ono będzie przez Litwę na analogicznych do Kłajpedy warunkach autonomicznych odzyskane. Tu zatem trzeba mieć na względzie nie tylko względy techniki sądowej, ale także względy polityczne państwowości. U nas wszakże przeważyło zdanie, że obecność ministra na naradzie Trybunału byłaby niewłaściwa, toteż odbyliśmy tę naradę sami, nie zapraszając Tumenasa. Zaznaczyły się na tej naradzie naszej bardzo jaskrawe dążenia centralistyczne państwowe, zwrócone kategorycznie przeciwko wszelkim koncesjom na rzecz lokalizmu kłajpedzkiego. Szczególnie twardy i bezwzględny był w tym kierunku Čepas, stary biurokrata rosyjski, wierny metodzie centralizacji rosyjskiej, węszący w każdym ustępstwie niebezpieczeństwo zdrady i intrygi buntowniczej. W tym suchym formaliście i rzeczniku władzy dla władzy nie ma ani krzty lojalizmu zobowiązań, jakie się przyjęło wobec autonomicznego kontrahenta, ani tez poczucia tej prawdy, że najsilniejsza spójnia się wytwarza nie przemocą, lecz solidaryzmem. Państwowiec Janulaitis popierał Čepasa. Kriščiukaitis jest miększy, ale ci dwaj twardzi zwyciężyli, a ja się nie bardzo odzywałem, bo byłoby to próżnym – zwłaszcza z mojej strony. Uznano więc na tej naradzie, że osobnego wydziału kłajpedzkiego wcale ani formalnie, ani faktycznie tworzyć w Trybunale nie będziemy, że wszystkie sprawy kłajpedzkie będą rozpoznawane w Kownie (wyjazd do Kłajpedy na sesję może być tylko wyjątkowo dopuszczalny), przewodniczyć w posiedzeniach przy rozpoznawaniu spraw kłajpedzkich będzie na zasadach ogólnych ten sędzia, który jest najstarszy datą nominacji. Szczególnie wydaje mi się niewłaściwym odmawianie utworzenia wydziału kłajpedzkiego, co jest przewidziane w Konwencji Kłajpedzkiej. Jasnulaitis i Čepas opierają się na tym, że konwencja nie jest ratyfikowana. Ale tym gorzej będzie, gdy dziś z własnej woli damy mniej, niż do czego będziemy zmuszeni po ratyfikacji. W poniedziałek będzie na pewno walka z Kłajpedczykami.

22 marca, rok 1924, sobota
Na prośbę grona studentów prawników wyższych semestrów wyznaczyliśmy z Tumenasem na dziś dla nich egzamin z prawa konstytucyjnego – oczywiście dla tych, którzy mają całkowity kurs czterosemestrowy wysłuchany. Stosownie do ostatnich uchwał Rady Wydziału, egzamin z przedmiotu, wykładanego przez kilku profesorów, składa się nie wobec jednego z nich, lecz wobec nich wszystkich. Toteż egzaminowaliśmy dziś z Tumenasem razem. W roku przeszłym była inna praktyka. Studenci egzaminowali się z całego kursu prawa konstytucyjnego albo u mnie, albo u Tumenasa podług swego wyboru, a nie u nas obu. Z całego grona aspirantów do egzaminu stawiło się ostatecznie tylko dwóch – Makowski i Łowcewicz, obaj sekretarze Sądu Okręgowego w Kownie. Są oni studentami VI semestru, to znaczy, że moich wykładów nie słuchali (moi uczniowie obecni są w II semestrze, zeszłoroczni – w IV, studenci zaś wyższych semestrów do moich uczni nie należą). Makowski i Łowcewicz zdali egzamin średnio. Ja zadawałem im pytania z zakresu teorii prawa konstytucyjnego, Tumenas – z zakresu prawa konstytucyjnego Litwy. Egzaminowanie przez obu profesorów tegoż przedmiotu naraz nie wydaje mi się jednak wcale lepsze niż egzaminowanie pojedynczo przez jednego z nich, przynajmniej w stosunku do takiej nauki nieścisłej, jak prawo konstytucyjne, gdzie tak terminy, jak pojęcia różnią się w interpretacji każdego uczonego. Krępuje to nas samych przy egzaminowaniu, bo tak ja, zadając pytanie, nie wiem, czy pojęcia, ustalone przeze mnie, zgadzają się z pojęciami i terminologią Tumenasa, jak Tumenas nie wie tego w stosunku do mego nauczania. Czyni to, że ewentualnie to samo pojęcie naukowe na tym samym egzaminie ma być przez studenta inaczej oświetlane w odpowiedzi mnie, a inaczej w odpowiedzi

Tumenasowi. Gdy student na moje pytanie udziela odpowiedzi, która nie zgadza się albo wręcz przeczy mojej interpretacji nauki, a nie jest tak biegły, żeby zdołał swoje twierdzenie należycie sformułować i uzasadnić, wobec czego należałoby mi mu rzecz wyjaśnić, nie jestem pewien, czy siedzący tuż obok mój kolega Tumenas nie wykładał tego pojęcia właśnie tak, jak się wypowiada student – i odwrotnie. Np. zapytuję, jakie są zasadnicze elementy państwa; Makowski odpowiada: władza, mieszkańcy i terytorium. W moim wykładzie terminu „mieszkańcy" nie używam i uważam go za niewłaściwy, zamieniając go terminem ściślejszym „naród" (*populus*). Nie jestem jednak pewny, czy mogę studentowi wyjaśnić, dlaczego termin „mieszkańcy" jest niewłaściwy i dlaczego lepszy jest termin „naród" (*populus*), bo nie wiem, czy właśnie Tumenas nie uczy, że niewłaściwym jest termin „naród" i czy on go dla innych niż moje względów nie zastępuje terminem „mieszkańcy". Boję się więc uwydatniania sprzeczności między nami, mogącej demoralizować studenta. Albo Tumenas zadaje pytanie o władzy i podziale jej funkcji (ustawodawczej, wykonawczej i sądowej), żądając wyjaśnienia, że podział ten dotyczy nie samej władzy, która jest jedną, lecz li tylko wykonywania jej (funkcji); ale boi się, że może ja właśnie nauczam studentów, że władza ustawodawcza, wykonawcza i sądowa są właśnie odrębnymi władzami; jednocześnie więc porozumiewa się ze mną szeptem co do tożsamości naszego pojmowania tych rzeczy. Źle jest, gdy może być w jednolitym egzaminie brak jedności samego systemu nauki, z której się egzaminuje.

23 marca, rok 1924, niedziela
Rano na uniwersytecie mieliśmy posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego. Żadnych poważniejszych spraw nie dyskutowano.
Na wieczór miałem bilet na koncert łotewski w teatrze w związku z wizytą młodzieży akademickiej łotewskiej z Rygi w Kownie. Wahałem się, czy iść na ten koncert i nie bardzo wiedziałem, co to będzie. Zwabiony jednak perspektywą widoku bratania się młodzieży łotewskiej z litewską, zdecydowałem się pójść. I nie żałuję tego. Był to koncert śpiewacki, wykonywany przez chór młodzieży akademickiej łotewskiej pod batutą specjalnego „dyrektora muzyki" na Uniwersytecie Łotewskim w Rydze Artura Bobkovicsa. Chór, złożony z jakichś 60-80, jeżeli nie więcej osób obojga płci wyłącznie z młodzieży akademickiej, wypełnił całą estradę teatru. W programie było 18 piosenek, niektóre zaś były wykonane na bis parokrotnie. Chór bardzo dobrze wyćwiczony, głosy ładne. My tu na Uniwersytecie Litewskim nie mamy takiego chóru stałego młodzieży, co jest wielką szkodą, bo chór taki, niezależnie od innych względów dodatnich, stanowi bardzo cenny czynnik takich oto wizyt pomiędzy narodami bałtyckimi, posiadających niewątpliwie dużą wagę polityczną. Łotysze mają w ogóle bardzo starą tradycję chórów śpiewackich, które od wielu lat i już od paru pokoleń rozwijały się w kraju i były poważnym czynnikiem ruchu narodowego. Piosenki, wykonane dziś przez chór akademicki, były osnute na motywach ludowych. Motywy te mają duże pokrewieństwo z litewskimi pieśniami ludowymi, są melodyjne i bardzo ładne, zasadniczo różne od pieśni sąsiednich ludów słowiańskich. Bardzo ładnie też dźwięczy sam język łotewski w tych pieśniach, szczególnie w niektórych, jak perły pięknych i dźwięcznych („Miniona" E. Darzinša, „Pa negaisa joniem" A. Kalninša i cały szereg piosenek E. Melngailisa). Entuzjazm publiczności litewskiej, która się przeważnie składała z młodzieży i świata uniwersyteckiego, ale wśród której były także elementy świata politycznego i urzędniczego, był szczery i gorący; panował nastrój bratania się i gorącej sympatii do bratniej Łotwy, z którą formalnie stosunki polityczne wcale nie są serdeczne u Litwy. Chór odśpiewał też na początku i na końcu hymn litewski, po którym publiczność zażądała hymnu łotewskiego; po wyczerpaniu repertuaru chór

odśpiewał też dwukrotnie jedną piosenkę litewską po litewsku. Scena była ozdobiona chorągwiami o barwach narodowych Litwy i Łotwy. W jednym z antraktów na scenę wkroczyła delegacja Towarzystwa Litewsko-Łotewskiego z prezesem księdzem Tumasem na czele, która ofiarowała kwiaty Łotyszom i następnie wypowiedziane były mowy do młodzieży łotewskiej przez ks. Tumasa, przez przedstawiciela młodzieży akademickiej litewskiej i przez dyrektora Teatru Państwowego Litewskiego Ludwika Girę. Mowy te, wygłoszone po litewsku, były tłumaczone na łotewski. Odpowiedział na nie ktoś z Łotyszy. Wrażenie wieczoru było bardzo sympatyczne, a cała rozrywka, tak co do śpiewu, jak co do manifestacji uczuć – bardzo szlachetna.

24 marca, rok 1924, poniedziałek
Przyjechali nasi Kłajpedczycy – sędziowie Trybunału Plumicke i Hesse. Od godz. 10 do 3 po południu toczyło się z ich udziałem ogólne zebranie Trybunału, na którym zostały ustalone prowizoryczne zasady funkcjonowania Trybunału w sądownictwie kłajpedzkim. Ostatecznie – ponieważ nasza była większość i ponieważ myśmy byli związani pewną dyscypliną poprzednich prywatnych decyzji naszych oraz względów państwowych, reprezentowanych przez nas w stosunku do decentralistycznych i autonomicznych tendencji Kłajpedczyków – więc przeszło wszystko to, co przez nas było zaprojektowane. Szczególnie twardo i bezwzględnie nastawał na wnioskach centralistycznych Čepas. Prezes też prowadził linię równą, bez zboczeń, opartą na tekstach przepisów prawnych o jedności Trybunału i o jego trybie funkcjonowania, nie przewidującym zresztą takich stanów, jak rozciągnięcie działania na okręg, korzystający z autonomii sądowej. Ja tylko parę razy zabrałem głos, usiłując zaproponować formułę kompromisową. Kłajpedczycy przy każdej kwestii próbowali uzyskać maximum decentralizacji, ale ostatecznie zbytnio się nie upierali. W dwóch tylko kwestiach szczególnie gorąco nastawali na swoich wnioskach, odwołując się do względów na technikę pracy i na ich osobisty autorytet w Kłajpedzie; mianowicie – w kwestii przewodniczenia na posiedzeniach i w kwestii incydentalnego rozstrzygania spraw przez nich samych na miejscu. Jednak nic w tych dwóch kwestiach nie wskórali. Janulaitis pełnił funkcję tłumacza w obradach i sam się merytorycznie nie wypowiadał, ale głos swój przy uchwałach dawał większości (ponieważ głosowania nie dokonywano formalnie, jeno wyrażaniem opinii, więc Janulaitis, czyniąc to w kilku słowach po litewsku, mógł głosować niepostrzeżenie dla Kłajpedczyków, nie rozumiejących po litewsku ani słowa). Ostatecznie przyjęte zostały tezy następujące: osobnego autonomicznego wydziału kłajpedzkiego w Trybunale nie ma – przynajmniej formalnie; wszakże tworzy się specjalny stały komplet sędziów do spraw kłajpedzkich; do kompletu tego należą z urzędu – stosownie do litery prawa – obaj sędziowie Kłajpedczycy – Plumicke i Hesse – oraz delegowany przez Trybunał Janulaitis; przewodniczyć na posiedzeniach w sprawach kłajpedzkich będzie ten z sędziów, który jest najstarszy datą nominacji – to znaczy w obecnym komplecie Janulaitis; sprawy kłajpedzkie są w zasadzie rozpoznawane w Kownie, ale na razie, zwłaszcza w sprawach apelacyjnych i cywilnych kasacyjnych, posiedzenia będą się odbywały także w Kłajpedzie; w przyszłości mogą one być także w razie potrzeby odbywane w Kłajpedzie; pierwsze posiedzenie będzie jednak w Kownie – w d. 10 kwietnia; dwa następne posiedzenia – w końcu kwietnia i w maju – wyznaczono w Kłajpedzie; akta trybunalskich spraw kłajpedzkich będą tu w Kownie w ogólnej Trybunału kancelarii (na razie dla spraw kwietniowych akta pozostaną w Kłajpedzie i sędzia Plumicke będzie upoważniony do kierowania ruchem tych spraw); na stałe będzie obsługiwała sprawy kłajpedzkie ogólna kancelaria Trybunału, a ruchem spraw będzie kierował Janulaitis; sędziowie Plumicke i Hesse będą mieszkali w Kłajpedzie, skąd będą przyjeżdżali do

Kowna na posiedzenia sądowe, wyznaczane w Kownie i na posiedzenia gospodarcze w sprawach kłajpedzkich.
Ciąg dalszy statutu Wielkiego Wschodu Litwy:
Rozdział II. O braciach Wielkiego Wschodu Litwy.
7. W łonie „Wielkiego Wschodu Litwy" wszyscy są braćmi (i siostrami).
8. Bracia (siostry) dzielą się na dwa stopnie; stopień pierwszy, niższy, stanowią „uczniowie", stopień drugi, wyższy, stanowią „mistrze".
9. Różnica stopni nie uwłacza równości braci i nie ustanawia żadnej różnicy ich godności; jest ona tylko wyrazem okresu próby nowego brata; konkretne skutki podziału na stopnie określone są w innych rozdziałach i artykułach.
10. Każdy brat należy do jednej z lóż „Wielkiego Wschodu Litwy"; nie można należeć jednocześnie do dwóch lóż.

25 marca, rok 1924, wtorek
Z Zielonej Góry słyszałem pierwszego śpiewającego nad doliną Wilii skowronka. Wiosna idzie! Ziemia jeszcze pod śniegiem – biała – rzeki pod lodem, ale od dwóch dni odwilż gwałtowna i deszcz często pada, więc tym razem będzie to już zapewne odwilż ostateczna.
W sprawie Konwencji Kłajpedzkiej jej ratyfikacja przez Sejm Litewski jest zapewniona. Opinia kół rządzących stoi mocno na gruncie tej konwencji, a do popularyzacji jej przyjęcia przyczyniają się różne trudności i próby zmodyfikowania jej w pewnych szczegółach na niekorzyść Litwy, czynione rzekomo przez niektóre mocarstwa, uczestniczące w Radzie Ambasadorów (Francja?), o czym się tu dość dużo mówi i zaczyna pisać. Czy rzeczywiście zachodzą poważne dążenia do zmodyfikowania pewnych szczegółów tekstu rzekomo pod pozorem poprawienia błędów w tłumaczeniu angielskim tekstu, czy też te tendencje są tutaj sztucznie rozdmuchiwane dla nawrócenia opinii do gorliwszego popierania konwencji – tego nie wiem, ale faktem jest, że wieści czy pogłoski o kwestionowaniu tekstu konwencji przyczyniają się bardzo skutecznie do spopularyzowania jej w opinii litewskiej i do wytrącenia argumentów z ust jej przeciwników. Przeciwnicy Konwencji Kłajpedzkiej nie skapitulowali i nie dali się przekonać, ale są stropieni i czują, że przeciętna opinia jest skłonna do umiarkowania i nie pójdzie za nimi tak, jak szła w przeciwdziałaniu projektowi Hymansa lub przed miesiącem w pierwszym stadium projektu Davisa. Przeciwnicy Konwencji Kłajpedzkiej nie występują już tak szumnie i głośno, jak poprzednio i nie mają już tego posłuchu. Za to w rozmowach prywatnych i w sferze swoich stosunków i wpływów osobistych nie przestają wyrażać poglądu, uznającego przyjęcie Konwencji Kłajpedzkiej za klęskę Litwy, z której się może logicznie wywiązać ni mnie, ni więcej, jak utrata niepodległości i pochłonięcie Litwy przez Polskę. W ich argumentacji jest dużo momentów mistycznych, bo logicznie trudno pojąć, w jaki sposób ta Konwencja Kłajpedzka, która całkowicie neguje roszczenia Polski i wywołuje w Polsce poczucie zupełnej porażki tych roszczeń, może drogą stosowania tej konwencji doprowadzić do pochłonięcia Litwy przez Polskę. Mogłaby ona doprowadzić do tego chyba tylko drogą wręcz przeciwną – mianowicie przez sprowokowanie Polski do wymierzenia sobie samej sprawiedliwości wbrew tej konwencji, ale na to chyba nie zakrawa i nie to też mają na myśli litewscy przeciwnicy konwencji. Przy ratyfikacji konwencji w Sejmie opozycja z pewnością będzie protestowała, ale będą to już tylko ognie fajerwerkowe. Wystąpi z wielką mową „złotousty" Šiling, poprze go w prasie Smetona, trochę rejwachu poczynią Herbaczewski i Krėvė-Mickiewicz, stłumi w sobie złość Janulaitis – i oto wszystko. Šiling, z którym zdarzyło mi się w tych dniach rozmawiać na temat Konwencji Kłajpedzkiej, dość zabawnie tłumaczy akcję komisji Davisa. Nie przeczy

on, że nowa redakcja projektu Davisa, która stała się tekstem projektu konwencji, uchwalonego przez Radę Ligi Narodów i podpisanego w Genewie przez przedstawicieli Litwy i Anglii, jest lepsza od pierwszej redakcji tez komisji Davisa, ogłoszonych przez nią poprzednio i z takim oburzeniem przyjętych przez opinię litewską. Ale zwraca on uwagę na to, że tekst projektu konwencji powinien być porównywany nie z tekstem pierwszego projektu Davisa, lecz z tekstem zeszłorocznego projektu Rady Ambasadorów, który był w swoim czasie przez Litwę odrzucony i z powodu którego powstał cały spór, przekazany do kompromisowego rozstrzygnięcia Ligi Narodów i powołanej przez nią komisji Davisa. Otóż Šiling twierdzi, że projekt konwencji, ułożony przez komisję Davisa, nie jest lepszy, ale raczej gorszy od projektu Rady Ambasadorów, odrzuconego przez Litwę. Nie wiem, czy tak jest istotnie, bo tekstów nie porównywałem i nie analizowałem osobiście. Otóż Šiling wyjaśnia akcję Davisa wobec Litwy taką anegdotą: Był sobie pewien Żyd, który miał bardzo niewygodne mieszkanie i nie wiedział, co na to poradzić udał się więc na poradę do rabina. Rabin go wysłuchał i ku zdumieniu Żyda kazał mu zainstalować w mieszkaniu krowę, kozę i psa, a po tygodniu przyjść do rabina znowu. Po tygodniu Żyd przychodzi i powiada, że z krową, kozą i psem jest jeszcze gorzej w mieszkaniu – wprost nieznośnie. Wtedy mu rabin kazał wyrzucić z mieszkania psa i po tygodniu przyjść znowu. Po tygodniu rabin pyta Żyda: „No, jakże teraz?”. „Teraz lepiej cokolwiek” – odpowiada Żyd. „Wyrzuć więc z mieszkania kozę i przyjdź po tygodniu” – mówi rabin. Za tydzień przychodzi Żyd; rabin pyta: „No, wyrzuciłeś kozę?”. „Wyrzuciłem”. „Jakże ci teraz?”. „O, już znacznie lepiej”. „No, to wyrzućże teraz krowę i po tygodniu przyjdź”. Po tygodniu Żyd przychodzi rozpromieniony. Rabin pyta: „No, jakże ci teraz w mieszkaniu?”. Żyd uszczęśliwiony oświadcza, że teraz jest mu doskonale i dziękuje gorąco rabinowi, że tak mądrze mu radami swymi uczynił mieszkanie wygodnym.

26 marca, rok 1924, środa
Mieliśmy dziś w Trybunale dwie sprawy, charakterystyczne dla prądów obecnych. Obie sprawy powstały na gruncie tzw. ochrony społecznej, czyli ochrony pracy od wyzysku, stosowanej przez państwo do stosunków między dworem a parobkami. W pierwszej sprawie właściciel dworu w Suwalszczyźnie, Żyd, niejaki Giejsztorowski, był oskarżony przez inspektora pracy o pogwałcenie ustawy o najmie parobków, które się wyraziło w tym, że dobrowolną umową na piśmie z parobkami ustanowił wynagrodzenie za ich prac niższe, niż przewidują normy tejże ustawy. Sędzia pokoju uznał Giejsztorowskiego winnym i skazał go na 100 litów grzywny. Sąd Okręgowy w Mariampolu, do którego się odwołał oskarżony Giejsztorowski, stwierdził na zasadzie zeznania jednego z parobków, zbadanego w charakterze świadka, że umowa była przez parobków zawarta z właścicielem dobrowolnie, bez żadnej presji z jego strony, że parobcy są zadowoleni, żadnych reklamacji nie zgłaszają i nikomu się nie skarżyli na właściciela. Wobec tego sąd okręgowy uniewinnił Giejsztorowskiego. Jednak inspektor pracy zaskarżył ten wyrok w drodze kasacji do Trybunału, uważając, że żadna umowa dobrowolna nie może uchylić norm prawnych wynagrodzenia robotnika i że za sam fakt takiej umowy pracodawca winien odpowiadać karnie, stając się winnym pogwałcenia ustawy, za które w tejże ustawie jest przewidziana kara. Skargę kasacyjną oddaliliśmy w Trybunale, bo oczywiście, że gdyby taka umowa dobrowolna nie mogła nawet skutkować cywilnie i pozbawić parobków prawa żądania wynagrodzenia podług norm prawnych, to w każdym razie momentu karnego w zawarciu i wykonywaniu przez obie strony umowy – nie ma. Sprawa ta jest tylko charakterystyczna dla tendencji, z jaką jest forsowana ta ochrona społeczna parobków w skazanych skądinąd na zagładę dworach. Kto zna stosunki społeczne w kraju i tę szczególną troskliwość i opiekę, jaką otoczeni

są parobcy, którzy pod obecnymi rządami zostali z siły roboczej i z elementu produkcji społecznej przekształceni na pasożytów przywileju, ten się tylko uśmiechnąć może na samo tylko przypuszczenie, że w tych warunkach, jakie są, właściciel dworu ma jakąkolwiek możność wywierania presji ekonomicznej na parobków w kierunku zmuszenia ich do przyjęcia umowy na warunkach gorszych, niż przewidziane w ustawie. Panami sytuacji są bowiem w stosunkach z dworem – parobcy. Ale jeszcze ciekawsza i charakterystyczniejsza – gospodarczo i społecznie karykaturalna – jest druga sprawa, powstała na tymże gruncie, w której oskarżonym był wielki obszarnik kowieński – p. Justyn Strumiłło, brat adwokata wileńskiego Marka Strumiłły. Ustawa o ochronie parobków ustanawia proporcję ilości parobków do ilości ziemi uprawnej we dworze (na pewne quantum hektarów, zmienne zależnie od kategorii ziemi, ustanawia po jednym parobku); ta ilość parobków jest przymusowa. Otóż Strumiłło był oskarżony o to, że w jednym ze swych dworów miał o dwóch parobków mniej, niż ustanawia norma. Strumiłło bronił się tym, że ilość parobków odpowiada normie w stosunku do ilości ziemi danego dworu, będącej w jego posiadaniu gospodarczym. Sąd Okręgowy Kowieński wszakże, rozpoznając sprawę w trybie apelacji, uznał, że ustawa określa normę ilości parobków w stosunku bezwzględnie do całej ilości ziemi dworskiej, nie wyłączając ziemi wydzierżawionej i wskutek tego skazał Strumiłłę na 100 litów grzywny. Dokończę jutro.
Ciąg dalszy statutu Wielkiego Wschodu Litwy.
11. Bracia są czynni i delegowani; czynnym jest brat, który przebywa w miejscu siedziby swojej loży; poza miejscem siedziby jest on delegowanym; czynni bracia są czujni lub uśpieni; czujnym jest czynny brat, który bierze udział w posiedzeniach loży; uśpionym jest czynny brat, który nie bierze udziału w posiedzeniach loży; uśpienie następuje bądź w sposób naturalny, kiedy czynny brat nie wziął udziału w pięciu z kolei posiedzeniach loży, bądź z wyroku loży; naturalne uśpienie ustaje przez przybycie uśpionego brata na posiedzenie loży; uśpienie z wyroku loży ustaje również tylko mocą wyroku loży.
Rozdział III. O lożach Wielkiego Wschodu Litwy.
12. Grupa braci tworzy lożę; loża liczy nie mniej niż siedmiu czynnych braci w stopniu mistrza i nie więcej niż 14 czynnych braci w tymże stopniu; liczba braci w stopniu ucznia nie może w loży przekraczać liczby braci w stopniu mistrza.
C.d.n.

27 marca, rok 1924, czwartek
Justyn Strumiłło wniósł do Trybunału kasację. Oczywiście uwzględniliśmy kasację i wyrok skasowaliśmy. Rozumowanie sądu okręgowego było oparte na enigmatycznym brzmieniu tekstu ustawy, który mógł być pojęty dwojako – albo w znaczeniu całej dworskiej ziemi uprawnej, albo też w znaczeniu całej ziemi uprawianej przez dwór. Sąd okręgowy przyjął pierwszą interpretację, wyciągając z niej wniosek wprawdzie logicznie ścisły, ale zgoła bezsensowny, jakoby właściciel dworu był przez ustawę o ochronie parobków zobowiązany do najmu i utrzymywania takiej liczby parobków, która w stosunku do normy hektarów, wypadającej na pracę jednego parobka, odpowiada ogólnej ilości ziemi uprawnej dworskiej, bez względu na to, czy cała ta ziemia jest uprawiana bezpośrednio przez dwór, czy też wydzierżawiana. Wniosek więc ten byłby taki, że jeżeli właściciel dworu, posiadającego, dajmy na to, 120 hektarów ziemi uprawnej I kategorii, dla której ustawa określa normę jednego parobka na 12 hektarów ziemi, ma 108 hektarów wydzierżawionych innej osobie (nb. podług praw działających dzierżawy usunąć nie może), a sam zachował sobie 12 hektarów, to dla uprawy tych 12 hektarów, którym dałby radę jeden parobek, musi trzymać 10

parobków, płacąc im pełną normę ordynacji, zapłaty, opału, poszoru dla inwentarza itd. Oczywisty nonsens. Trybunał, idąc logiką nie tylko tekstu, ale też prostego sensu gospodarczego, przyjął drugą interpretację. Ciekawe jest jednak i charakterystyczne nie tyle to, że sąd okręgowy popełnił błąd, ile to, że tak inspektor pracy, jak sąd okręgowy, składający się bądź co bądź z ludzi dorosłych i cokolwiek znających życie, mógł przypuszczać, iż ustawodawca, wydając ustawę o najmie parobków dworskich, mógł taki nonsens mieć na myśli. To jest w całej tej sprawie najcharakterystyczniejsze i to najlepiej świadczy o tendencjach, jakie są w polityce demagogicznej obecnych ustawodawców Litwy nadawane zadaniom „ochrony pracy". I choć nie można zaręczyć, że posłowie sejmowi takiej „Darbo Federacji", głosując za tą ustawą, istotnie pojmowali rzecz tak, jak to interpretował sąd okręgowy, to jednak my, Trybunał, takiej zniewagi ustawodawcom naszym uczynić nie mogliśmy i musieliśmy, strzegąc powagi państwa i Sejmu, orzec w wyroku, że ustawodawca nie mógł tego chcieć i miał intencję inną. Wyrokiem naszym może spaczyliśmy intencje, ale za to ocaliliśmy honor ustawodawców Litwy.
Janulaitis, który jako marksista z przekonań społecznych bynajmniej nie faworyzuje obszarników, zauważył, że takie wyroki sądu, jak ten w sprawie Strumiłły, i takie ustawy, które mogą dawać przesłanki dla takiej interpretacji i takich wniosków – warto opisać w prasie. Poradził mi, bym to zrobił. Odrzekłem, że posądzono by mię o to, iż przemawia przeze mnie obszarnik, który broni stanowiska klasowego.

28 marca, rok 1924, piątek
Zadanie reformy sądowej, nad którym rozmyśla i pracuje minister Tumenas, jest skomplikowane. Tymczasem całkowitego planu reformy, która by stanowiła zakończone dzieło, nie ma. Są jeno fragmenty poszczególnych, przeważnie drobnych, poprawek i zmian, przeznaczonych do tymczasowego łatania braków w mechanizmie wymiaru sprawiedliwości. Do takich należą projekty noweli, wniesione przez Tumenasa do Sejmu, o powoływaniu adwokatów przysięgłych do uzupełniania kompletów sędziowskich na poszczególnych posiedzeniach sądowych sądu okręgowego i ewentualnie Trybunału, o zobowiązaniu pomocników adwokatów przysięgłych do przesłużenia co najmniej dwóch lat w sądownictwie (warunek legalny dla przyjęcia w poczet adwokatów przysięgłych) itp. Gdyby się na tych projekcikach i łatkach nowelistycznych skończyć miało, można byłoby rzec, że „góra zrodziła mysz". Większe zasadnicze zadania reformy – o sędziach przysięgłych, o sądzie administracyjnym, o reorganizacji Sądu Najwyższego, która by zdegradowała obecny Trybunał – są zaledwie w stadium pomysłów mgławicowych. Do pilnych wprawdzie i użytecznych, ale także detalicznych projektów należy projekt utworzenia nowego (czwartego) sądu okręgowego w Poniewieżu. Ten nowy sąd okręgowy byłby utworzony dopiero od przyszłego roku, ale już teraz ma rozpocząć funkcjonowanie specjalny Wydział Poniewieski Kowieńskiego Sądu Okręgowego, do którego już ogólne zebranie tegoż sądu uchwaliło wydelegować na stałe sześciu sędziów, w ich liczbie Rustejkę, Burkiewicza, Milczyńskiego, Józefowicza, Frydmana. Sędziowie Wydziału Poniewieskiego już by tam zaraz się zainstalowali i zaczęli funkcjonować. Jeno są jeszcze pewne kwasy między wydelegowanymi – na gruncie odwiecznych konfliktów osobistych w sądzie kowieńskim.
Ciąg dalszy statutu Wielkiego Wschodu Litwy:
13. Każda loża ma imię, które jej nadają bracia w chwili jej utworzenia.
14. Każda loża ma siedzibę w określonej miejscowości; bracia, tworzący lożę, mogą ją przenieść w inne miejsce.

15. Kiedy liczba braci w loży przekroczy ustanowioną w art. 12 normę, natychmiast loża wydziela ze swego łona nową lożę, która na tymże posiedzeniu ukonstytuowuje się; wydzielanie braci z loży macierzystej do nowej odbywa się drogą dobrowolnego układu, a gdyby powstały trudności układu, to drogą delegowania przez głosowanie.

29 marca, rok 1924, sobota
Wiosna robi postępy. Padają deszcze, śniegi szybko topnieją, ziemia się obnaża. Ptactwo świergocze i śpiewa na wszelkie głosy i tony, rano całe roje skowronków nucą swą piosenkę w niebiosach; na Zielonej Górze jest pod tym względem jak na wsi: liczne ogrody i sąsiedztwo doliny Wilii czynią te okolicę podobną do wsi podmiejskiej. Na Wilii potworzyły się już zatory lodów, które puściły; rzeka częściowo rozlała, zalewając ulicę Janowską i zagrażając Wiliampolowi; masy lodów skupiły się u mostu na Wilii i groźnym wałem nań naciskają. Na Niemnie lód jeszcze nie ruszył, ale już poziom rzeki od napływu wód podniósł się o kilka metrów, zatapiając wyspę między dwoma mostami (kolejowym i Aleksockim) i wylewając częściowo na wybrzeże w okolicy Karmelitów i ujścia ulic Mickiewicza, Dowkonta i Maironisa. Wody przybywa, szybka wiosna po zimie śnieżnej grozi powodzią. Artyleria rozsadza minami lody, otwierając ujścia wodzie. Lada chwila lód puści i masy ruchome lodu mogą utworzyć nieprzewidziane zatory, powodujące nagłe wylewy wezbranych wód. Wymaga to dużej czujności władz i sił, uruchomionych do zapobieżenia powodzi. Przez cały dzień wybrzeże Niemna było pełne ludu; wszystkie stany, płcie, wyznania, języki – pomieszały się w tej wizycie masowej, składanej przez ludność Kowna staremu Niemnu. Panowie i panie, robotnicy, młodzież rozmaitego stanu, pareczki flirtujące lub zakochane, uboga ludność suteren, Żydzi szabasujący, urzędnicy, prostytutki, „żuliki” kowieńskie, dzieci – wszystko się miesza i szturcha na błotnistej „promenadzie” wybrzeża Niemnowego. Piękny i groźny widok potęgi wzbierających wód, oczekiwanie drgnienia lodów, niepokój, flirt, rozpusta, ciekawość – wszystko się tam łączy na tym publicznym raucie nadniemeńskim, ogłaszanym hukiem min.
Ciąg dalszy statutu Wielkiego Wschodu Litwy:
16. Każda loża odbywa swoje posiedzenia osobno; przy wydzieleniu loży nowej (art. 15) może być uchwalone odbycie przez określony czasokres posiedzeń wspólnych loży macierzystej i nowej; takie posiedzenia wspólne odbywają się na tych samych zasadach, jak posiedzenia poszczególne; poza tym posiedzenie połączone dwóch lóż może się odbyć tylko na skutek każdorazowej jednogłośnej uchwały każdej z nich. Na posiedzeniach loży brat najmłodszy datą przyjęcia zasiada obok brata najstarszego tą datą.
C.d.n.

30 marca, rok 1924, niedziela
Byłem znowu w teatrze. Zdaje się, że żadnego roku tyle nie uczęszczałem do teatru, co tego. Dziś byłem w teatrze państwowym na przedstawieniu jednej z komedii francuskich Scribe’a i Legouvé (tytuł w tłumaczeniu litewskim: „Meilės dvikova”, w oryginale więc francuskim powinno być „Duel d’amour”). Repertaur teatru litewskiego, co mu się bardzo chwali, opiera się na tłumaczeniu i wystawianiu wyborowych utworów scenicznych sztuki zachodnioeuropejskiej. Utworów oryginalnych scena litewska ma dotąd bardzo mało i nimi żyć nie może. W tegorocznym sezonie były wystawione tylko dwa dramaty oryginalne – „Aušros Sunus” Čurlanisowej, rzecz pierwszorzędnej wartości w sztuce narodowej litewskiej, i „Keistutis” czy też „Keistuto mirtis”, stary utwór patetyczny Maironisa, podobno bardzo niesceniczny i sztywny („Vilkolakis” gotuje parodię wystawienia „Keistutisa”). Komedii oryginalnej litewskiej

nie ma. Musi się więc teatr żywić tłumaczeniami. I dobrze, że karmi publiczność nie rosyjskimi utworami, lecz europejskimi, popularyzując kulturę zachodnią i kładąc jej pokost na umysły inteligencji litewskiej, zbyt przepojone pierwiastkami rosyjskimi. Jest to wielka zasługa teatru; europeizacja Litwy, która w kulturze zasadniczej jest oparta na czynnikach zachodnich, lecz jest pokryta grubą warstwą rusyfikacji swej inteligencji – jest jednym z istotnych zadań narodowych. Dzisiejsza komedia Scribe'a była wykonana znakomicie przez cały zespół; nie tylko znakomitym był, jak zawsze, Gliński, ale również doskonałe typy odtworzyli wszyscy inni artyści – Żaliukiewiczówna, Pilka, Jurgis Piotrowski i Vainiunasówna.
Dalszy ciąg statutu Wielkiego Wschodu Litwy:
17. Braciom wolno wiedzieć o liczbie, imionach i siedzibach innych lóż „Wielkiego Wschodu Litwy"; ale ewidencja składu osobistego loży nie może być nikomu poza daną lożą komunikowana.
18. Posiedzenia loży są zawsze zamknięte i poufne; treść obrad może być komunikowana ustnie tylko braciom należącym do loży, nieobecnym na posiedzeniu; obrady nie protokołują się.
C.d.n.

31 marca, rok 1924, poniedziałek
W Sądzie Okręgowym w Kownie są ciągłe kwasy i konflikty w stosunkach między sędziami, które doprowadzają nieraz do zajść i wybryków skandalicznych i kompromitują sądownictwo. Nieporozumienia, dające podstawę do tych zajść, wybuchają tam na gruncie stosunków osobistych między niektórymi sędziami, ambicji podrażnionych i w szczególności walki o przewodniczenie na sesjach. Najostrzejsze zatargi powstają między z jednej strony Budreckim i Penkaitisem, z drugiej – Rustejką i Burkiewiczem. Dotyczy to tylko wydziału cywilnego, bo wydział karny jest od tych stosunków i zajść wolny. Wyżej wymienieni sędziowie (dwaj przeciwko dwóm) na gruncie różnicy częściowo przekonań, częściowo usposobienia, a jeszcze bardziej konkurencji ambicji – tak siebie znienawidzili i tak siebie wzajemnie nie znoszą, jak nie znoszą się histeryczki. Dochodzi do takich zajść gorszących, że na posiedzeniu sądowym jeden lub dwóch sędziów podczas rozprawy sądowej czyta gazetę, a gdy przewodniczący czyni mu uwagę – demonstracyjnie się rozsiada, gazetę podnosi i wystawia przed oblicze swoje, zasłaniając się nią od sali i czyta dalej; czasem dochodzi do dyskusji głośnej na posiedzeniu między sędzią a przewodniczącym; przewodniczący dyktuje głośno sekretarzowi do protokółu uwagi o zachowaniu się sędziego; zdarza się, że w rezultacie wybuchającego na posiedzeniu sądowym konfliktu między sędziami a przewodniczącym sędziowie wstają i wychodzą z sali, zostawiając przewodniczącego samego; bywa, że sędziowie sami redagują i podpisują rezolucję wyroku i wychodzą ogłaszać ją bez przewodniczącego; bywa, że przewodniczący, któremu sędziowie w pokoju narad oświadczają, że z nim rozmawiać nie będą, wzywa sekretarza i woźnego na świadków takiego oświadczenia. Słowem – zachodzą na sesjach rzeczy skandaliczne i gorszące, które, tocząc się w obliczu publiczności i uczestników procesu, obrażają powagę sądu i dyskredytują go w opinii publicznej.
Dalszy ciąg statutu Wielkiego Wschodu Litwy:
19. Uchwały i wyroki loży mogą być spisywane, ale należy to czynić w ten sposób, by unikać ujawniania na piśmie natury organizacji; uchwały i wyroki loży, zależnie od przedmiotu i przeznaczenia, mogą być przez organy wykonawcze loży i jej delegatów komunikowane poza lożą, ale tylko w łonie „Wielkiego Wschodu Litwy".
20. Posiedzenia loży bywają: a. posiedzenia zwyczajne i b. posiedzenia w stopniu mistrza; w posiedzeniu w stopniu mistrza biorą udział tylko bracia mistrze.

C.d.n.

1 kwietnia, rok 1924, wtorek
I znowu w tym roku nie zakończę w wykładach moich całkowitego kursu prawa konstytucyjnego. Dobrze, jeżeli doprowadzę go choć cokolwiek dalej, niż w roku zeszłym. Ale cały szereg zasadniczych działów – o podziale funkcji władzy, o głównych społecznych typach form ustroju państwowego, o decentralizacji władzy państwowej w samorządach i autonomii terytorialnej i personalno-społecznej, o państwach związkowych i związkach państw – pozostaną nietknięte. Jeszcze parę lat upłynie, nim całkowicie opanuję mój przedmiot i uporządkuję wykład. W tym roku jużem dużo skorygował w moim kursie zeszłorocznym i poza samym wykładem dość dużo pracowałem nad ćwiczeniem słuchaczy przez colloquia. Teraz do końca maja będę kontynuował opracowywanie w rękopisie brulionowym, z którego wykładam – dalszych działów, nietkniętych w roku ubiegłym – co tylko w części wejdzie w mój wykład tegoroczny. Latem rozpocznę przygotowanie do druku pierwszej, wstępnej części kursu, którą na jesieni za pośrednictwem Wydziału Prawniczego chcę wydać w postaci pierwszego zeszytu „Wykładów prawa konstytucyjnego”. W roku przyszłym postaram się w wykładach skrócić jak najbardziej część wstępną kursu, która, jak mam nadzieję, ukaże się już w druku i stanie się w tej postaci dostępniejszą słuchaczom, a za to postaram się rozszerzyć i ogarnąć całokształt tych działów właściwego prawa konstytucyjnego, które w tych dwóch pierwszych latach nie były należycie rozwinięte. Boję się jednak bardzo drukowania moich wykładów, bo czuję się wciąż jeszcze nowicjuszem w mojej specjalności i w toku dalszych własnych studiów, które wciąż prowadzę, zmuszony jestem ciągle uzupełniać i korygować moją metodę analizy i moje wnioski. Choć pewne założenia i wytyczne już ustaliłem mocne, to jednak wciąż dostrzegam luki lub słabe punkty w mojej pracy. Właśnie teraz studiuję teorię Duguita, bardzo ciekawą i głęboką, z którą choć się nie całkowicie zgadzam, ale która jednak duży wpływ na moją myśl wywiera i zmusza mię do przekontrolowania wielu tez, przyjętych przeze mnie i zapożyczonych od Jellineka. A w nauce zastąpienie jednego szczegółu innym nie jest rzeczą prostą i łatwą, bo nauka stanowi system logiczny, w którym wszystko się wiąże architektonicznie, wobec czego każda poprawka szczegółu dotyczy całości systemu.
Ciąg dalszy statutu Wielkiego Wschodu Litwy:
21. Posiedzenia loży w stopniu mistrza mają miejsce w wypadkach następujących: a. dla mianowania braci uczniów mistrzami; b. dla uśpienia brata mistrza z wyroku loży lub odwołania takiegoż uśpienia; c. dla sądu nad bratem mistrzem; d. w wypadkach, kiedy konwent Wielkiego Wschodu Litwy przekaże sprawę lożom w stopniu mistrza; e. w wypadkach, kiedy prezydium loży uzna jednogłośnie sprawę za podlegającą rozpoznaniu loży w stopniu mistrza.
[C.d.n.]

2 kwietnia, rok 1924, środa
Rozpocząłem dziś pracę nad dalszym ciągiem mego rękopisu wykładów uniwersyteckich, przerwanym przed rokiem. Przez zimę bieżącego roku pracowałem tylko nad wygładzaniem, korygowaniem i systematyzowaniem rękopisu zeszłorocznego dla wykładów bieżących, ewentualnie – nad jego uzupełnianiem co do niektórych luk , ale dalszego ciągu nie tykałem. Teraz muszę popracować nad dalszym ciągiem, przynajmniej w tej części, która jeszcze w tym roku do wykładów wcielę. Dotyczy to przede wszystkim rozdziału o systemach wyborczych.

Szkoda, że jeszcze w tym roku mój wykład będzie niezupełny. Było też jeszcze dużo innych braków w wykładzie, ale na ogół czuję, że w tym roku pewne postępy tak w samym wykładzie, jak w trybie nauczania poczyniłem. Słuchaczy moich tegorocznych polubiłem i z żalem się z nimi rozstanę. Więcej też i szczerzej, a zwłaszcza bezpośredniej z nimi w tym roku popracowałem, zużytkowując do tego system colloquiów, toteż o wiele bardziej się w tym roku do słuchaczy moich zbliżyłem, niż w roku zeszłym, którym poza wykładami, czytanymi z rękopisu, nic nie dawałem. Teraz już także nie tak ślepo się trzymam rękopisu w wykładach, jak w roku zeszłym, a na przyszły rok postaram się jeszcze dalej w tych postępach zarówno techniki wykładu, jak metody nauczania i współpracy ze słuchaczami zaawansować.
Ciąg dalszy statutu Wielkiego Wschodu Litwy:
22. Posiedzenia zwyczajne loży odbywają się z udziałem wszystkich braci czynnych, którzy przybędą, za wyjątkiem braci uśpionych z wyroku loży; o każdym posiedzeniu loży muszą być zawiadomieni bracia czynni zarówno czujni, jak uśpieni naturalnie.
C.d.n.

3 kwietnia, rok 1924, czwartek
Byłem dziś zirytowany tym, że mi „ukręcono" wykład na uniwersytecie, a jeszcze bardziej sposobem, w jaki to wykonano. Mój kurs prawa konstytucyjnego i nauki o państwie jest tak skonstruowany, że pierwsza jego część, ogarniająca społeczną naukę o państwie, jest nieco przeładowana, a najważniejsze zagadnienia prawa konstytucyjnego są na końcu i w ogóle nie są jeszcze w systematyzacji mojej wyczerpane. Z czasem postaram się tę dysproporcję przerobić, ale obecnie rzecz się ma tak, że najciekawsze i najważniejsze elementy kursu są wykładane przeze mnie w końcu roku i że mi na nie braknie czasu. Toteż teraz chodzi mi bardzo o oszczędność czasu, aby jak najwięcej go mieć dla wykładów. Ogółem do końca roku pozostaje mi ze 12 wykładów dwugodzinnych, a przedmiotu do wykładu mam jeszcze huk. Będę nadal wykładami mymi zapełniał prawie całkowitą każdą godzinę, zostawiając najwyżej po kilka minut wolnej pauzy. Toteż strata dwóch godzin wykładu jest teraz dla mnie w końcu roku bardzo niedogodna. A straciłem te dwie godziny w taki oto sposób. Rano w Trybunale zastałem wraz z zaproszeniem na posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego w niedzielę – krótką kartkę od dziekana wydziału, prof. Leonasa, w której prosi on ze względu na rekolekcje i spowiedź wielkanocną dla studentów nie czynić wykładów w ciągu trzech dni – 3, 4 i 5 kwietnia – między godz. 7 a 9 wieczorem. Mój zaś wykład czwartkowy obejmuje właśnie godziny 7-9. Byłem zdziwiony tą prośbą, pochodzącą od „wolnomyślnego" Leonasa i zarazem zgorszony nieco formą, w jakiej wykłady są uzależniane od rekolekcji. Żadnej uchwały wydziału w tej materii nie ma, ustawa też nie przewiduje święta z powodu rekolekcji, kartka dziekana nie powołuje się też na żadną decyzję senatu uniwersyteckiego. Czy może dziekan *motu proprio* czynić takie propozycje profesorom w postaci prośby wstrzymania się od wykładów, gdy zasady prawnej do tego nie ma. Sądziłbym, że dziekan mógłby co najwyżej powiadomić profesora o fakcie rekolekcji, zwracając tą drogą jego uwagę na kwestię, czy nie zachodzi potrzeba powstrzymania się od wykładu ze względu na tych studentów, którzy mogą chcieć korzystać z rekolekcji bez ujmy dla studiów; ale decyzja w takiej kwestii zależałaby całkowicie od uznania profesora bez żadnej presji ani prośby dziekana. Taką samą „prośbę" otrzymał od Leonasa Janulaitis, który też był zgorszony formą tego wystąpienia oraz jego treścią. Zdziwiło mię i zgorszyło jeszcze bardziej, gdym przeczytał w gazetach wzmiankę o tym, że „za uprzejmą zgodą dziekanów poszczególnych wydziałów wykłady na uniwersytecie z powodu rekolekcji się nie odbędą", jak gdyby odwołanie wykładów należało do dziekanów. W każdym razie, na

wykład poszedłem. Stanąłem na tym stanowisku że prośba dziekana oznacza li tylko propozycję do mojej rozwagi i uznania, ponieważ nakazać mi zaniechania wykładu dziekan nie może, a żadnej uchwały ani ustawy, która by czyniła wykłady na uniwersytecie zależnymi od rekolekcji – nie ma. Uznałem, że sam się mam przekonać o tym, czy zachodzi potrzeba odwołania wykładu dzisiejszego (czy słuchaczy stawi się mało, czy będą prosili o odwołanie wykładu itp.). Jakiż jednak był szczyt mojego zgorszenia, gdy w witrynie ogłoszeń Wydziału Prawniczego na uniwersytecie znalazłem ogłoszenie od imienia kancelarii uniwersyteckiej o tym, że wykładów z powodu rekolekcji nie będzie. Postawiono nas więc od razu wobec faktu dokonanego. Oczywiście wykładu nie było, bo sami studenci po przeczytaniu ogłoszenia rozeszli się. Jest to precedens zgoła niewłaściwy. Zamierzam podnieść tę rzecz na posiedzeniu Rady Wydziału.

4 kwietnia, rok 1924, piątek
„Vilkolakis” jest nie tylko teatrem satyrycznym, ale także stowarzyszeniem pewnej grupy artystów, czyli „klubem” artystycznym. Od czasu do czasu urządza on odczyty i pogadanki dyskusyjne w zakresie zagadnień sztuki i kultury artystycznej. Niektóre z tych odczytów i pogadanek są publiczne, ze wstępem wolnym dla wszystkich za opłatą paru litów, inne – są zamknięte z udziałem gości za rekomendacją imienną członków „klubu”. Do dyskusji są dopuszczane tylko osoby, które się zapisały z góry. Na takim odczycie dyskusyjnym „Volkolakisa” byłem dzisiaj. W charakterze prelegenta występował Józef-Albin Herbaczewski. Tematem odczytu był teatr; tytuł brzmiał: „Nasz teatr” (to znaczy litewski), ale w istocie prelegent wyjaśniał raczej samą istotę teatru jako zjawiska sztuki i twórczości artystycznej, a teatru litewskiego dotknął jeno paru rysami w końcu odczytu. Jak zawsze – pełno było w odczycie Herbaczewskiego paradoksów i dziwactw, które, akcentowane szczególną gestykulacją mówcy i dosadnymi wyrażeniami, wywoływały nieraz homeryczne wybuchy śmiechu na sali, ale nie brakło też myśli głębokich, oryginalnych i dzielnych, podobnych do błysków jasnowidzenia. Oczywiście, dotykał Herbaczewski alchemii, astrologii, kabały, w których moc i żywotność wierzy głęboko, mówił o duchu, o wampirach, o prostytucji i bajzlach, bo bez tych pojęć nie umie się on obejść w analogiach swoich i w chłoście, ale mówił też rzeczy piękne i nawet wspaniałe – o Szekspirze, o architekturze w grze scenicznej, o bezpośredniej twórczości teatru itd. Bardzo ładny też i bardzo ciekawy wyraził pogląd na filozofię sztuki i teatru w szczególności. Mówił o problemie lustra i mirażu, o wyobrażeniu, które odtwarza i odzwierciedla i które zarazem tworzy, stanowiąc ekspansję osobowości twórcy, co jest, zdaniem prelegenta, istotą wszelkiej sztuki. Bóg, którego czczą i któremu się modlą ludzie, nie jest Bogiem Wiecznym, Stwórcą i Przyczyną świata, jeno odbiciem Boga, Jego wyobrażeniem w zwierciadle ducha ludzkiego, mirażem takim samym, jakimi są złudne miraże wody i roślinności, rojące się podróżnym w szczerej pustyni, a to ludzkie wyobrażenie Boga jest Jego antytezą, jest niczym innym, jak Szatanem. Człowiek zna li tylko Szatana i jego kult Boga jest zawsze i tylko ciągłym i wiecznym kultem Szatana na Ziemi. Założenie wszelkiej sztuki – wszelkiej twórczości artystycznej, zawierającej wyobrażenie i realizującej ekspansję osobowości twórcy – mieści się w stosunku płci; artysta jest samcem, jest pierwiastkiem męskim, jest Bogiem, jest czynnikiem gry, która rozszerza się i wychodzi poza siebie, promieniując w ekspansji i tworząc wyobrażenie, które się odzwierciedla w antytezie – w pierwiastku kobiecym. Jak kogut gra wobec kury, jak gołąb tworzy sztukę w gruchaniu i zalotach, jak mężczyzna flirtuje z kobietą, gdy ta go wzajemnie „kokietuje”, tak scena w teatrze jest samcem-artystą-twórcą, a widownia – samicą, która zresztą wielbi i kocha nie samego artystę i nie jego osobowość, której nie

zna, jeno wyobrażenie tworzone grą, zupełnie tak samo, jak człowiek czci i kocha nie Boga, lecz – Szatana. Każda sztuka jest stosunkiem czynnym pierwiastka męskiego do żeńskiego.
Po odczycie Herbaczewskiego wyszedłem. Na dyskusji, w której byli zapisani do głosu Puida, Bičiunas, Sutkus, nie pozostałem.
Pomimo wielu głębokich i pięknych myśli, wyrażonych przez Herbaczewskiego, pełno było śmiechu na odczycie. Mnie osobiście śmieszył nie tylko sam Herbaczewski, ale jeszcze bardziej zestawienie w myśli jego gestów i słów z tą parodią jego osoby i jego mowy, jaką widziałem reprodukowaną na scenie tegoż „Vilkolakisa" w satyrze uniwersyteckiej pod tytułem „Alma Mater",

5 kwietnia, rok 1924, sobota
Podczas przerwy w posiedzeniu sądowym Trybunału Leonas, który w charakterze adwokata miał sprawy na posiedzeniu, wstąpił do mego gabinetu i usprawiedliwiał się z owego zarządzenia czwartkowego co do zawieszenia wykładów z powodu rekolekcji dla studentów. Uznał, że decyzja o zaniechaniu wykładu mogła należeć li tylko do samego profesora i że on też inaczej tego nie pojmował, zwracając się do mnie i do innych profesorów z odpowiednia prośbą, zaś owe ogłoszenie w witrynie Wydziału Prawniczego o tym, że wykładów „nie będzie", było istotnie niewłaściwe i ukazało się bez jego wiedzy na skutek jakiegoś nieporozumienia. Wobec tego wyjaśnienia i usprawiedliwienia się osobistego Leonasa – nie będę już wnosił tej sprawy na posiedzeniu Rady Wydziału, bo zakrawałoby to na akcję, skierowaną przeciwko dziekanowi, byłoby rodzajem skargi na niego, stwierdzającej, żem się nie zadowolił ekskuzą. Nie chcę tego robić. Zaznaczyłem tylko Leonasowi, że zamierzałem właśnie reagować na ten wypadek deklaracją na piśmie, uznając go za wymagający wyjaśnienia.
Ciąg dalszy statutu Wielkiego Wschodu Litwy:
23. Do praw i obowiązków loży należy: a. działalność w zakresie ogólnych celów Wielkiego Wschodu Litwy, określonych w art. 3 i 4, i ustalanie środków dla osiągnięcia tychże celów stosownie do warunków miejsca i czasu; b. przyjmowanie braci do loży; c. wybór prezydium loży; d. rozszerzanie Wielkiego Wschodu Litwy przez mnożenie jego lóż; e. udział w konwencie Wielkiego Wschodu Litwy przez brata posła; f. wykonywanie przepisów niniejszego statutu i uchwał konwentu; g. stosowanie się do legalnych zarządzeń władzy centralnej Wielkiego Wschodu Litwy, komunikowanych przez prezydium loży; h. zwłaszcza pilne przestrzeganie art. 5 statutu we współżyciu loży; i. wyrokowanie dyscyplinarne; j. sąd nad braćmi w wypadkach określonych statutem; k. inicjatywa ustawodawcza na konwencie.
24. Posiedzenie zwyczajne loży jest prawomocne, kiedy w nim bierze udział nie mniej niż siedmiu braci, w ich liczbie co najmniej jeden brat mistrz; posiedzenie loży w stopniu mistrza jest prawomocne przy udziale nie mniej niż pięciu braci mistrzów.
C.d.n.

6 kwietnia, rok 1924, niedziela
Niespodzianka weszła w moje projekty świąteczne. Miałem za dziesięć dni jechać, jak co roku na Wielkanoc, do Bohdaniszek, Nagle mi się dziś szyki pomieszały, ale nie na złe: jadę do Rzymu. Znowu na ten sam Międzynarodowy Kongres Socjologii, na który jechałem już raz w końcu września roku ubiegłego, a który wtedy został odwołany, wobec czego musiałem wrócić z pół drogi z Berlina. Deleguje mię, jak tamtym razem, nasz Wydział Prawniczy z ramienia Uniwersytetu Litewskiego. Wydział Humanistyczny także uchwalił delegować przedstawiciela na ten kongres w osobie prof. Voldemarasa, ale nie będzie on mógł pojechać, bo z powodu jego stanowiska jaskrawie

opozycyjnego politycznie, władze odmawiają mu wydania paszportu. Z naszego wydziału jedzie także na ten kongres docent Stankiewicz, nasz kryminolog, ale jedzie on własnym kosztem, bez mandatu od uniwersytetu. Rada naszego wydziału na posiedzeniu dzisiejszym potwierdziła mój mandat na kongres, uchwalony w jesieni. Kongres odbędzie się w Rzymie od 22 do 28 kwietnia. Z wielką radością gotuję się do tej podróży. Poza udziałem w kongresie, przejadę się po Europie, zwiedzę Rzym, zajrzę do Neapolu, zobaczę wulkan (nie widziałem nigdy w życiu wulkanu), może uda mi się zahaczyć o południe Włoch, świeżo nawiedzone katastrofą trzęsienia ziemi (chciałbym osobiście trzęsienia ziemi doświadczyć), postaram się tez przelecieć jakiś odcinek mojej drogi aeroplanem, zajrzę do Genewy – słowem na wrażeniach mi nie zbędzie.
Na razie powziąłem zamiar pojechania bądź co bądź do Bohdaniszek przed kongresem – choć na kilka dni. Gdybym pojechał do Bohdaniszek w kwietną niedzielę, to mógłbym tam zabawić do Wielkiego Czwartku i jeszcze bym zdążył do Rzymu na kongres, który się rozpocznie dopiero na trzeci dzień świąt Wielkiejnocy. Ale po namyśle postanowiłem wyjechać w kwietną niedzielę wprost do Rzymu, to znaczy wyjechać wprost z Kowna. Da mi to możność przyjrzenia się uroczystościom kościelnym rzymskim obchodu dni Męki Pańskiej i Zmartwychwstania. Są to najwspanialsze święta kościelne, a gdzież są one wspanialej obchodzone, jak nie w papieskim Rzymie! Toteż mając okazję do jazdy do Rzymu w tym czasie – nie mogą dla Bohdaniszek poświęcić tego widoku, który mi się w życiu nie powtórzy.
Szkoda mi w Bohdaniszkach tylko Andrzeja, który czeka mojego przyjazdu jak Żydzi czekali manny na pustyni. Od kilku miesięcy marzy on o tym święcie mojego przyjazdu i tęskni, aż tu w przeddzień przyjazdu się dowie, że nic z tego nie będzie. Zabawa tarzania jaj – teatr dziecinny w Bohdaniszkach – w tym roku chybi. Ale nic – prędko się mię Bohdaniszki doczekają na wakacje letnie: w czerwcu będzie mój pierwszy miesiąc wakacyjny, a tymczasem – do Rzymu!

7 kwietnia, rok 1924, poniedziałek
Wczoraj pod wieczór byłem u Jana Vileišisa na posiedzeniu zarządu Towarzystwa Franko-Litewskiego. Obecni byli: Vileišis, Padovani, Benoît, Jerzy Dowiatt i ja. Oto są epizody z kroniki rozwoju tego Towarzystwa. Senat uniwersytetu zgodził się udzielić miejsca na szafę biblioteczną Towarzystwa i dwa razy na miesiąc udzielać sali na posiedzenia lub konferencje publiczne, urządzane przez Towarzystwo. W d. 3 maja ma się odbyć pierwszy odczyt publiczny – po francusku – urządzany przez Towarzystwo. Prelegentem ma być prezes oddziału „Alliance Française" w Rydze, Francuz. Temat odczytu ma być: „Le France d'anjourd'hui". W Paryżu wystarano się dla nas o przysyłanie nam bezpłatnie do czytelni „L'Illustration", „La Revue Scientifique" i niektórych innych poważniejszych wydawnictw periodycznych. Znany przyjaciel Litwy we Francji, p. d'Etschegoyen, rodem Bask, oficer, obecnie działacz polityczny dość ustosunkowany, stawiający na nadchodzących wyborach swoją kandydaturę do Izby Deputowanych w jednym z okręgów Paryża, bardzo gorliwie popiera akcję naszego Towarzystwa w Paryżu i jest w ciągłym kontakcie z Towarzystwem przez korespondencję z naszym sekretarzem p. Benoîtem. W ostatnim liście d'Etschegoyen informuje nas o swoich zabiegach w sprawie utworzenia takiegoż Towarzystwa Franko-Litewskiego w Paryżu, które by stanowiło w stolicy Francji „*pendant*" do naszego Towarzystwa w stolicy Litwy. Oczywiście posiadanie w Paryżu takiego społecznego ogniska przyjaciół stanowiłoby dla Litwy rzecz dużej wagi. Na prezesa takiego Towarzystwa w Paryżu p. d'Etschegoyen uprosił jednego z wiceprezesów Izby Deputowanych, który w zasadzie osobiście się na to zgadza, jeno uzależnia jeszcze swoją decyzję ostateczną od porozumienia z Quai d'Orsay (francuskie Ministerium

Spraw Zagranicznych)Towarzystwo sprowadziło tu filmy z reprodukcjami widoków i scen z Francji, które będą reprodukowane w kinematografach kowieńskich. Liczba członków Towarzystwa w Litwie wynosi już około 70 osób (około 50 nowych członków wpisało się do Towarzystwa podczas herbatki proszonej, urządzonej przez Towarzystwo na Zapusty). Gałwanowski obiecał Vileišisowi udzielenie Towarzystwu 2-3 tysięcy litów subsydium od rządu litewskiego; w tych dniach Vileišis z Benoîtem mają się zwrócić w tej sprawie formalnie do Gałwanowskiego. Natomiast na subsydium od rządu francuskiego Towarzystwo na razie liczyć nie może. Padovani, bawiąc niedawno w Paryżu, robił o to starania, ale, jak powiada, system oszczędności ścisłych, który Francja przeprowadza bardzo kategorycznie w związku z kryzysem waluty frankowej, stoi temu na przeszkodzie. Czy to jest tylko pretekst odmowy, czy też powód istotny – nie wiem, ale w każdym razie tymczasem z Francji Towarzystwo pieniędzy mieć nie będzie.
Ciąg dalszy statutu Wielkiego Wschodu Litwy:
25. Wszelkie uchwały i wyroki loży, powzięte na posiedzeniu prawomocnym, są obowiązujące dla wszystkich należących do niej braci.
26. Uchwały i wyroki loży, o ile ona z góry nie zastrzeże jednogłośnie w każdym poszczególnym wypadku innego trybu, zapadają zwykłą większością głosów; wyjątki z tej zasady są ustalone w art. 27; każdy brat ma w loży głos równy.
C.d.n.

8 kwietnia, rok 1924, wtorek
Rozpocząłem starania w sprawie mojej jazdy do Rzymu. Sfotografowałem się, co jest niezbędne dla paszportu, otrzymałem z uniwersytetu order do Banku Litewskiego na 2000 litów awansu na diety i koszta podróży, otrzymałem mandat na piśmie za podpisem rektora Czapińskiego do reprezentowania Uniwersytetu Litewskiego na Kongresie Socjologicznym.
Dalszy ciąg statutu Wielkiego Wschodu Litwy:
27. Przyjęcie nowego brata w poczet loży, udzielenie mandatu imperatywnego posłowi loży na konwent, mianowanie brata ucznia mistrzem, wyrok dyscyplinarny o usunięciu brata z loży i o odwołaniu brata z prezydium loży – wymagają orzeczenia jednogłośnego wszystkich braci na prawomocnym posiedzeniu loży.
28. Loża, która posiada mniej niż 10 braci mistrzów czynnych, może na określony czasokres ograniczyć prawomocne quorum posiedzeń do liczby pięciu braci.
29. Dla wykonania pewnych określonych funkcji w imieniu loży może ona każdorazowo wydelegować *ad hoc* trzech braci, w których liczbie musi być co najmniej jeden mistrz; w razach wyjątkowych zlecenie takie może być dane pojedynczemu bratu mistrzowi, który je wykonywa w imieniu loży.
C.d.n.

9 kwietnia, rok 1924, środa
Wczoraj i dziś zajęty byłem układaniem tematów dla colloquium II semestru dla II grupy studentów. Do tej II grupy wchodzi 70 studentów. Są to ci, którzy na ogół wykonali colloquium I semestru zadowalająco. Całą grupę podzieliłem na 14 pododdziałów po pięciu studentów w każdym pododdziale, a ogólną ilość tematów kolokwialnych – 42 tematy – podzieliłem także na 14 grup po trzy tematy w każdej grupie. Na każdą więc piątkę studentów wypada grupa trzech tematów, spośród których każdy może sobie wybrać jeden temat, ale z tym zastrzeżeniem, żeby wypadło nie więcej, niż po dwóch na jeden temat. II grupa ma przeto warunki cięższe, niż miała I grupa wyborowych studentów. Tematy są też dość trudne. Wychodzę z zasady, że im

mniej kto wykazał pracowitości i umiejętności w kolokwium I semestru, tym większe mu stawiam wymagania w kolokwium II semestru i następnie na egzaminie. Choć prace kolokwialne formalnie się nie cenzuruje i choćby była najsłabszą – nie może służyć za kryterium do zaliczenia studentowi semestru i dopuszczenia go do egzaminu, to jednak z rezultatami kolokwium będę się poważnie liczył na egzaminach. Im kto będzie miał lepszy wykaz kolokwium z obu semestrów, tym mniej go będę na egzaminie indagował, a najlepsi będą u mnie mieli egzamin bardzo łatwy. Układanie tematów kolokwialnych zajęło mi dużo pracy. Na ogół tematy dla II grupy nie są łatwe.
Wieczorem u Michała Ślażewicza odbyło się zebranie prezydium naszej loży. Obecni byli: Michał Ślażewicz, Jan Vileišis i ja. Michał Biržiška i Toliušis nie przyszli. Niewiele mieliśmy do omówienia. Chodziło tylko o moją jazdę do Genewy po drodze do Rzymu. Korzystając z posiedzenia prezydium, mieliśmy dokonać dziś przyjęcia nowych braci, których przyjęcie było dawno przez lożę uchwalone i polecone do wykonania prezydium. Z liczby tych kandydatów – Sidzikowskiego i Tadeusza Pietkiewicza nie było w Kownie, był więc tylko Tomasz Naruszewicz, były poseł litewski w Londynie, obecny minister komunikacji. Ślażewicz już poprzednio się z nim rozmówił i zaprosił go dziś na wieczór dla przyjęcia. Naruszewicz jest człowiekiem politycznie bliskim ludowców, jednym z ludzi obozu Ślażewicza. Naruszewicz przyszedł, widział się z nami, ale nie został przyjęty. Nie odważył się zobowiązać się uroczystym przyrzeczeniem. Samo przez się to przyrzeczenie nie jest straszne, toteż sądzę, że to był tylko pretekst. Strasznym jest samo imię masonów i bodajże w tym imieniu jest cała tajemnica naszego związku, który skądinąd jest bardzo słaby i wegetuje dość bezbarwnie (mówię tu o masonerii litewskiej, a nie o potężnej powszechnej). Nasz dobór braci jest wprawdzie wyborowy i każdy z osobna jest w swoim zakresie czynu jednostką wybitną i dzielną, ale loża jako taka jest mdła i blada w czynie. Z trzech elementów naszego przyrzeczenia uroczystego – miłości braterskiej, posłuszeństwa i tajemnicy – tylko posłuszeństwo nie budziło wątpliwości i zastrzeżeń u Naruszewicza. Kwestionował on natomiast miłość braterską jako rzecz, która się nie poddaje dyktowaniu, i tajemnicę jako rzecz, która może być zdradzoną, bo się nie jest nigdy gwarantowanym, że się nie znajdzie szpieg lub zdrajca, który wreszcie działać będzie przez złość lub zemstę. Ostatecznie więc Naruszewicz poprosił o czas do namysłu. Mam wrażenie, że się nie namyśli, a zresztą nie wydaje mi się on człowiekiem szczerym. Jest to człowiek mądry, dbały o swą karierę polityczną. Naruszewicz nie wyrzekł się nadziei na prezydenturę Republiki, toteż chce być ostrożny.

10 kwietnia, rok 1924, czwartek
Dziś odbyło się pierwsze posiedzenie Trybunału dla spraw kłajpedzkich. Stosownie do uchwały ogólnego zebrania członków Trybunału odbyło się ono w Kownie. W posiedzeniu brali udział sędzia Janulaitis i sędziowie Kłajpedczycy Plümicke i Hesse; przewodniczył Janulaitis. Funkcje sekretarza pełnił sekretarz Trybunału Kołodny czy Kaladnas (Żyd, student prawa VI semestru, znający oba języki – litewski i niemiecki, przyjęty umyślnie na służbę w Trybunale jako znający język niemiecki dla spraw kłajpedzkich). Ponieważ na sesji były rozpoznawane sprawy karne rewizyjne, więc w posiedzeniu brał udział prokurator. Dla zaznaczenia organicznej jedności Trybunału i podkreślenia, że w sprawach kłajpedzkich w Trybunale prokuratura działa na zasadach ogólnych zupełnie tak samo, jak w innych sprawach trybunalskich, nasz prokurator Kalvaitis, który sam po niemiecku nie umie, nie wezwał na posiedzenie prokuratora kłajpedzkiego, lecz wyznaczył prokuratora Sądu Okręgowego Kowieńskiego Rymszę, znającego język niemiecki (Rymsza ma być wkrótce mianowany drugim podprokuratorem Trybunału). Na otwarcie posiedzenia zebrało się na sali grono osób

ciekawych: byliśmy my – prezes i sędziowie Trybunału, byli sędziowie okręgowi, adwokaci. Posiedzenie upłynęło bez incydentów. Choć się cały tok spraw odbywał po niemiecku i po niemiecku był pisany protokół, to jednak Janulaitis otworzył posiedzenie po litewsku i po litewsku zwracał się, jako przewodniczący, do prokuratora i do sekretarza, a prokurator Rymsza także w pierwszym przemówieniu rozpoczął od sformułowania swego wniosku po litewsku, przemawiając dalej już po niemiecku. W ten sposób została zaznaczona równoległość obu języków jako współurzędowych dla spraw kłajpedzkich. Wprawdzie sędziowie Kłajpedczycy po litewsku nie rozmawiają, to jednak ustawa przewiduje równoległość obu języków i Janulaitis wraz z czynnikami sądowymi litewskimi są zdecydowani stopniowo w całej pełni tę równoległość ze wszystkimi jej konsekwencjami realizować, co jest zupełnie zgodne z naturą i słuszne ze względu na ludność Kłajpedy, której językiem większości jest litewski. Dziś pod tym względem było tylko zamarkowanie precedensu, ale nadal realizacja ta ma być rozwinięta i dotychczasowy monopol języka niemieckiego w sprawach kłajpedzkich będzie musiał ustać. Jak na to będą reagować sędziowie Kłajpedczycy i w jaki sposób się do tego zastosują, nie umiejąc dotąd po litewsku – to się okaże. Pierwszy więc raz dziś brzmiała niemiecka mowa w Trybunale Najwyższym Litwy, ale mowa litewska także się swymi „trzema groszami" zamanifestowała.

11 kwietnia, rok 1924, piątek
Jak zawsze przed odjazdem – mnóstwo się skupia najrozmaitszych prac i interesów, że aż złość bierze. Jak naumyślnie rozmaite też ze wszystkich stron przychodzą nowe jakieś i pilne rzeczy, które trzeba załatwić, a rozmaici ludzie – jakby się zmówili – lazą z drobnymi interesami i uprzykrzają się. Ani chwilki wypocząć. A tu jeszcze i posiedzenia w Trybunale – i dziś, i jutro. Mam już bilet, pieniądze, dokumenty dla kongresu, tylko brak jeszcze paszportu, który mam jutro otrzymać – oby nie zawiódł. Brzydki słotny i wietrzny czas wczesnej wiosny litewskiej towarzyszy memu wyjazdowi, jakby dla ujaskrawienia mi kontrastu ze słońcem, ciepłem i pięknem, jakie za tydzień ujrzę we Włoszech.
Korzystając z miejsca, podam znów fragment ciągu dalszego statutu Wielkiego Wschodu Litwy:
30. Posiedzeniom loży przewodniczy brat venerable; w razie jego nieobecności przewodniczy najstarszy brat mistrz; przewodniczyć w żadnym razie nie może brat orator; przemawiając do brata lub wymieniając jego nazwisko w loży, poprzedza się je zawsze tytułem „brat" („siostra"); to samo stosuje się przy wymienianiu godności funkcjonariusza loży lub stopnia brata: „brat venerable", „brat orator" itp., „brat mistrz", „brat uczeń"; prosząc brata przewodniczącego o udzielenie głosu należy prawą dłonią uderzyć lekko o otwartą i trzymaną przed sobą na wysokości piersi lewą dłoń i następnie wznieść ją do wysokości głowy.
31. Żadnych własnoręcznych notatek ani podpisów braci w archiwum loży być nie może; w ogóle żadne spisy braci jako takich nie mogą być sporządzane; o ile to jest potrzebne do ewidencji lub do skarbowości, musi to być czynione przez odpowiedniego brata funkcjonariusza w jego notatkach prywatnych bez żadnego zaznaczenia natury organizacji.
C.d.n.

12 kwietnia, rok 1924, sobota
Mam wszystko gotowe i jutro rano wyruszam w podróż. Paszport urzędowy z wizami wyjazdową litewską i tranzytowymi niemiecką, szwajcarską i austriacką otrzymałem w Ministerium Spraw Zagranicznych w ostatniej chwili: bałem się, że go już nie

otrzymam i że wypadnie mi czekać nań do poniedziałku lub wtorku. Ponieważ sam nie mogłem w tym interesie się dziś krzątać, bo brałem udział w posiedzeniu Trybunału, więc biegał parokrotnie w mojej sprawie do Ministerium Spraw Zagranicznych podsekretarz Trybunału Rymkiewicz i kurier trybunalski Micka, a wreszcie musiałem prosić listownie o interwencję p. Balutisa, jednego z dyrektorów departamentu tegoż ministerium. Nairytowałem się przy tym.
Wizy włoskiej nie mam jeszcze – będę musiał się o nią postarać w Berlinie za pośrednictwem poselstwa litewskiego. W Berlinie będę pojutrze, zabawię tam ze 12 godzin od rana do wieczora. Załatwię wizę włoską, odwiedzę Stankiewicza i Kairysa. Z Berlina jadę na Frankfurt do Bazylei, dokąd już mam kupiony bilet, a z Bazylei jadę bezpośrednio do Genewy. Spodziewam się być w Genewie we wtorek na noc lub we środę rano. Środę zabawię w Genewie i następnie ruszam do Rzymu. W Rzymie będę zapewne w Wielki Piątek, a na pierwszy dzień Wielkiejnocy zrobię zapewne wycieczkę do Neapolu. Kongres socjologii rozpoczyna się we wtorek trzeciego dnia Świąt.
Przed wyjazdem wpakuję tu jeszcze fragmencik statutu Wielkiego Wschodu Litwy:
32. Każda loża posiada jeden egzemplarz statutu oraz uchwał konwentów Wielkiego Wschodu Litwy; może też posiadać spisane rozporządzenia wykonawcze władzy centralnej Wielkiego Wschodu Litwy; dokumenty te nie mogą być w tym lokalu, gdzie się odbywa posiedzenie loży.
33. Loża, która w ciągu roku nie odbyła ani jednego posiedzenia, jest uśpiona; o uśpieniu loży jej brat venerable zawiadamia konwent za pośrednictwem brata venerable'a tej loży, która jest względem uśpionej macierzystą, a gdyby ona macierzystej loży nie miała, to tej, która pierwsza z niej była wydzieloną, w innych zaś wypadkach – jakiejkolwiek spośród najbliższych siedzibą; uśpiona loża może zawsze przejść w stan czynny przez odbycie posiedzenia.
C.d.n.

13 kwietnia, rok 1924, niedziela
O godz. 11 przed południem wyjechałem z Kowna. Odprowadziła mię na dworzec kolejowy i pożegnała z bólem serca moja poczciwa Jadzia, która się tak przywiązała do mnie, że się na mój wyjazd trzytygodniowy nie może utulić z żalu i zalewa się łzami smutku (i zazdrości, bo jest przekonana, że ile spotkam dziewcząt, tyle razy się skuszę).
Na pożegnanie miałem w Kownie śnieg, który w nocy wypadł obficie i zainscenizował doskonały krajobraz zimowy z bieluchnym śniegiem na ziemi i gęstymi płatami śniegu na gałęziach drzew. Aż dopiero za stacją Kozłowa Ruda urwała się powierzchnia śniegu i otworzył się krajobraz ziemi przedwiosennej, jeszcze nieporosłej, oczekującej rolnika i pracy słońca. Wkrótce już byłem w Wierzbołowie, a o godz. 2 ½ w Eytkunach.
Tak się w przeszłym roku przyzwyczaiłem w Niemczech do milionów i miliardów, że teraz i same pieniądze (mareczki rentowe w papierkach i fenigi metalowe), i cyfry cen, opiewające na pojedyncze marki i fenigi, wydają się na razie dziwaczne. Ale za to nie słychać, jak w roku zeszłym, wszędzie dokoła nieustających rozmów na ten sam wieczysty temat pieniędzy i drożyzny; nie czuć tego nastroju nerwowego, który w roku zeszłym od razu uderzał każdego przekraczającego granicę niemiecką, ani tej jaskrawej nienawiści do cudzoziemców; zapewne ta nienawiść i dziś nie ustąpiła miejsca miłości, ale się już nie demonstruje tak jaskrawie.
W wagonie miałem miejsce wygodne. Mogłem się wyciągnąć i spać, ale dokuczał mi ból w szczęce i całej prawej strony twarzy z okiem włącznie. Ból ten dokucza nieznośnie i ogłupia człowieka.
O godz. 9 wieczorem wjechaliśmy w Korytarz Polski na Toruń. O północy przejeżdżaliśmy przez Bydgoszcz.

14 kwietnia, rok 1924, poniedziałek
Wyspałem się w drodze do Berlina wcale dobrze. Gdyby nie newralgiczny ból prawej połowy twarzy – byłbym zupełnie wypoczęty. Od godz. 4 nad ranem już nie spałem. Za towarzysza podróży, nie licząc lokalnej publiczności niemieckiej, która się często zmieniała, miałem dwóch Żydów litewskich: jeden, młodziutki, idealista narodowiec, bardzo sympatycznym jedzie na Triest do Palestyny; drugi, nieco starszy, Szawlanin rodem, jedzie do żony do Włoch. Z tym ostatnim się rozmówiłem. Zmiarkował, żem z Litwy, zaczął ze mną mówić po litewsku, ze zwykłym u Żydów wścibstwem wypytał mię o wszystko – kto jestem, jak się nazywam, po co jadę; na razie był ostrożny i choć tykał polityki – sam się nie wypowiadał, jeno stawiał mnie rozmaite pytania, dość zresztą drastyczne i trudne dla państwowości litewskiej; ale gdy wreszcie wymacał, żem nie Litwin rodowity, jeno Polak litewski, to dopiero dał upust swoim uczuciom. Polityka antysemicka chrześcijańskich demokratów z ostatnich paru lat – zamazywanie szyldów, szykany czynione Żydom w przedmiocie obywatelstwa, opodatkowywanie handlu, wyłudzanie od Żydów łapówek przez rzesze urzędnicze, skasowanie przez Sejm ministerium do spraw żydowskich itd. – uczyniły z Żydów namiętnych wrogów Litwy. Z pewnością nie jest to dla Litwy dodatnie. Żydzi zawsze pogardzali Litwą jako *quantité négligeable*, ale cenili ją dla praw narodowych żydowskich, które w niej mieli, bo był to dla nich jedyny precedens państwowy w tym kierunku. Toteż popierali ją międzynarodowo – a było to poparcie silne. Dziś już Żydzi są jej wrogami, a dla Litwy to tym gorsze, że jest ona zupełnie osamotniona w stosunkach międzynarodowych. Dziś wypłynęła na wierzch jak oliwa cała pogarda Żydów do drobnego nowotworu państwa litewskiego, a natomiast z właściwą Żydom tendencją praktyczności rośnie u nich uznanie dla Polski jako realnego czynnika siły i organizacji na Wschodzie. Jest to fakt. Minął czas, kiedy Żydzi w sprawie Wilna popierali stronę litewską. Mam wrażenie, że dziś poparliby oni Polskę nie tylko w sprawie wileńskiej, ale także kowieńskiej. Nie miłość to, ale rachunek żydowski na Polskę. Mówię to nie przez uogólnienie rozmowy wyłącznie dzisiejszej, ale z obserwacji dłuższej i głębszej, która mi jest zresztą łatwiejsza niż Litwinom, bo ze mną, jako Polakiem litewskim (pomimo mego stanowiska państwowego litewskiego), są oni otwartsi. Mieli rację bracia Studniccy, kreśląc w swoim czasie wagę i przyszłe wytyczne czynnika żydowskiego w polityce polskiej. Polska pozyszcze w Żydach poważny czynnik polityczny na Wschodzie, pomimo że go sama nie umie zużytkować.
O godz. 7 rano przyjechałem do Berlina. Za pośrednictwem poselstwa litewskiego otrzymałem wizę dyplomatyczną włoską. Stankiewicza i Kairysa, których szukałem, nie zastałem w Berlinie. Dla wizy włoskiej wypadło mi cały dzień do wieczora spędzić w Berlinie. Włóczyłem się dużo. Zwiedziłem ogród zoologiczny, który przed wojną był w Berlinie piękny i obficie zaopatrzony. Dziś jest to nędza w porównaniu do tego, co było, ale gdyby Litwa miała to, co jeszcze ma w swym ogrodzie zoologicznym Berlin, to dla nas i to byłoby jeszcze bogactwem. Są ładne okazy zwierząt drapieżnych (lwy, tygrysy, hieny), strusiów, słoni. Ogród zoologiczny berliński po trochę się restauruje – są sprowadzane z Afryki nowe okazy zwierząt.

15 kwietnia, rok 1924, wtorek
Cały dzień w podróży. Z Berlina wyjechałem wczoraj pociągiem bezpośredniej komunikacji na Bazyleę. Droga prowadzi na Erfurt, Frankfurt nad Menem, Heidelbarg,, Karlsruhe, Rastatt, Baden-Baden, Freiburg – cały szereg miast i miejscowości znanych, mających swoje karty w historii i w nauce; to nie nasze przestrzenie dziewicze na

Wschodzie, które są białymi kartami w cywilizacji ludzkiej. Tu każda piędź ma swoją tradycję, każda nazwa geograficzna – swoje imię historyczne.
Wiosna tu już w pełnym rozkwicie, dzień bardzo ciepły, okna w wagonie na przestrzał otwarte, ludzie w miastach i na wsi chodzą bez paltotów. Roboty wiosenne w ogrodach i w polu w pełnym toku. Trawy już bujnie rozwinięte, na łąkach kwiatki się ukazują, ale drzewa mają jeszcze przeważnie wygląd zimowy, niektóre zielenieją, na innych pąki pękają, ale większość jeszcze naga. Droga moja prowadziła cały czas przez równinę nadreńską. Podgórze miałem z boku, ale przez nie nie jechałem, jak ubiegłego lata. Na wzgórzach między Baden-Baden a Freiburgiem sporo widać płatów śniegu.
O godz. 1 ½ wjechałem do Szwajcarii. Z moich wrażeń i spostrzeżeń niemieckich w Berlinie i w drodze mało mam do zanotowania. Na pozór wszystko się wydaje tańsze, gdy ceny opiewają na fenigi i pojedyncze marki, ale w istocie w przerachowaniu na dolary wszystko jest wielokrotnie droższe, niż było w roku zeszłym w cenach milionowych, miliardowych i bilionowych. Stare papierki miliardowe kursują za fenigi: 100 miliardów = 10 fenigów, 200 miliardów = 20 fenigów, 1 bilion = 1 marka rentowa. Dziś już Niemcy maja wysoką walutę, a choć ona w istocie podniosła drożyznę, jednak zarazem ustatkowała życie. Nastrój jest równiejszy, bezrobocie się zmniejszyło, ustały narzekania i niepokój nerwowy, mniej widać nędzy, stosunek do cudzoziemców zewnętrznie przyzwoitszy, ruch w magazynach normalny: ludzie kupują i sprzedają mając ścisły miernik wartości, a przez to i wytwórczość ma bodźca. Gdy już i Polska przejdzie na walutę złotą, co ma w maju być dokonane, wtedy cały Wschód europejski wróci mniej więcej do przedwojennych stosunków pieniężnych. W Berlinie nowina: w kawiarniach brzmią melodie amerykańskie, których przed rokiem Niemcy jeszcze uznawać nie chcieli; dziś moda zachodnioeuropejska na muzykę murzyńską zwalczyła ambicje niemieckie, które nie chciały tej muzyki ze względu na jej genezę z czasów Wielkiej Wojny (wojska kolorowe kolonialne i amerykańskie przeciwko Niemcom). W kawiarniach berlińskich, jak zawsze, olbrzymie targowisko prostytucji. Chyba pod tym względem i Paryż spasowałby przed Berlinem. Wejść do kawiarni na Friedrichstrasse i Unter den Linden – to jakby się przyszło na rynek handlu ciała ludzkiego do konsumpcji zmysłowej. Dziesiątki i setki prostytutek rozmaitego wieku czyha i usiłuje pozyskać nabywców. Im starsze – tym są bezczelniejsze i natrętniejsze. Gdy spojrzysz przypadkiem na jej nogę – już ci ją wystawia bezwstydnie, a spojrzysz w twarz – to łowisz wzrok utkwiony w ciebie i czekający oferty ceny. Ta prostytucja berlińska – to ohyda tej brzydkiej stolicy. Nie jest tu ona ozdobiona wdziękiem Paryżanek ani dyskrecją flirtu i zabawy: rynek i nic ponadto. Nie wiem, czy jest miasto, w którym prostytucja wyrażałaby się w formie dzikszej, niż w Berlinie.
Z Bazylei pośpieszyłem prościutko do Genewy *via* Bern-Fryburg-Lozanna. Jest to droga nieładna, nie zaczepiająca Alp, które się ukazują jeno w perspektywie. W Genewie wziąłem pokój w Hôtel Suisse na placu przy stacji kolejowej.

16 kwietnia, rok 1924, środa
Wczoraj po przyjeździe do Genewy pisałem w liście do Maryni, że pragnąłbym doświadczyć trzęsienia ziemi – byle nie było zbyt silne. Wprawdzie co do mnie osobiście – pragnąłbym doświadczyć jak najsilniejszego trzęsienia ziemi, to jednak ze względu na ludzi, dla których jest ono nieszczęściem, niepodobna go życzyć. Zima i początek wiosny roku bieżącego zaznaczyły się gwałtownymi trzęsieniami ziemi, które nawiedziły Japonię, Włochy Południowe i niektóre inne kraje. Toteż jadąc do Włoch i mając nadzieję ujrzeć po raz pierwszy wulkan (Wezuwiusz) formułowałem to życzenie. Okazuje się, że życzenie moje już było spełnione, bo oto wczoraj o godz. 1 minut 49 po południu leciutkie wstrząśnienie ziemi nawiedziło całą Szwajcarię, nie wyłączając

Bazylei, w której akurat w tym czasie byłem. Nie poczułem go jednak i zaledwie dziś z gazet się o nim dowiedziałem. Podobno mieszkańcy górnych pięter w domach poczuli je wyraźnie: niektóre meble się przewracały, obrazy popadały, kominki się uszkodziły. Ja w tym czasie albo jechałem tramwajem z Dworca Badeńskiego na Centralny, albo na Dworcu Centralnym lokowałem rzeczy na przechowanie i zabierałem się do obiadu. Pragnąłbym silniejszego trzęsienia, żebym przynajmniej mógł je wyczuć zmysłami. Dzień dzisiejszy cały spędziłem w Genewie. Pochmurno, kilkakrotnie padał deszcz – pogoda górska. Gęste chmurzyska ciągną od gór i wielkimi mgłami zasłaniają zbocza za jeziorem. Na mój ból w twarzy nie działa to dodatnio. Celem mojego pobytu w Genewie była wizyta u brata Quartier-la-Tente. Byłem u niego i zastałem go w domu. Bardzo się przez tę zimę posunął, postarzał tak, że go ledwie poznałem. W roku zeszłym był to starzec czerstwy w pełni sił, o wzroku bystrym i przenikliwym, z dobrym brzuszkiem, żywy i dość jowialny. Dziś uczynił wrażenie starca zgrzybiałego, bez temperamentu i bez energii; schudł i skurczył się, wydawał się jakby przygnębiony i na wpół martwy. Mam wrażenie, że niedużo mu już życia pozostało. Jest to już tylko cień człowieka, któregom widział w roku zeszłym. Posunięcie się i zgrzybienie – bardzo jaskrawe. Nie wiem, czy to był tylko stan czasowy z powodu jakiegoś zmęczenia czy choroby, czy też stan ciągły, który by zwiastował niechybnie rychłą śmierć. Brat Quartier-la-Tente przypomniał mię, gdym mu się przedstawił. Znalazła się u niego dla nas przysłana pod jego adresem odpowiedź Wielkiego Wschodu Francji na naszą zeszłoroczną prośbę uznania i nawiązania stosunków przyjaźni. Wielki Wschód Francji (Grand Orient de France) komunikuje nam, że jego „Conceil d'Ordre" po zbadaniu naszego pisma zdecydował odmówić formalnego uznania nas z tego względu, że u nas przyjmowane są do lóż kobiety, natomiast przystaje chętnie na nawiązanie z nami stosunków przyjacielskich. Nie bardzo rozumiem, jak się to daje pogodzić, ale zapewne z samego faktu nawiązania stosunków skorzystamy, bo będzie to dla nas pierwszy punkt oparcia w obcowaniu międzynarodowym. Brat Quartier-la-Tente mię objaśnił, że sprawa przyjmowania kobiet w lożach została międzynarodowo rozstrzygnięta ujemnie ze względu na Amerykanów, którzy się trzymają mocno tradycji konserwatywnych, a których udział w Asocjacji Międzynarodowej Masońskiej jest bardzo przez wolnomularstwo europejskie ceniony. Dla łączności więc z Amerykanami, którzy są w wolnomularstwie współczesnym potęgą, panuje obecnie w wolnomularstwie tendencja raczej prądu konserwatywnego, a przynajmniej tendencja nieakcentowania tradycyjnego niedopuszczania kobiet.
Ofiarowałem na ręce brata Quartier-la-Tente 10 dolarów od Wielkiego Wschodu Litwy na cele Międzynarodowego Związku Masońskiego, czym staruszka ująłem. Dał mi on sprawozdanie drukowane z zeszłorocznego konwentu międzynarodowego i kilka ostatnich numerów „Bulletinu". Udzielił mi też niektórych informacji i spisał w kilku punktach rodzaj ankiety, na które to punkty powinniśmy udzielić odpowiedzi o sobie dla ułatwienia nam akcesu do Związku.

17 kwietnia, rok 1924, czwartek
Drugą noc zanocowałem w Genewie, żeby jechać przez Alpy w dzień. Spałem czujnie, o godz. 4 już byłem na nogach, a o godz. 6 siedziałem w pociągu. Jechałem na Lozannę, Vevey, Montreux na Tunel Simploński. Dużo sobie po tej jeździe obiecywałem, ale zawiodła mię ona. Nie jest tak piękną, jak droga z Lucerny do Brunig albo na Spiez na Lötzellberg do Simplonu, którymi przejeżdżałem latem. Co prawda, jestem rozpieszczony, bo każdy profan z Litwy i w tej drodze dopatrzyłby się cudów piękna, gdyby mu się zdarzyło tędy jechać. Najładniejszym w tej drodze jest odcinek wzdłuż Jeziora Lemańskiego od Lozanny do Montreux. Sądziłem, że w Brig o tej porze natrafię

już na strefę śniegu, bo się ciągle od Lemanu do Brig jedzie coraz wyżej – w górę doliny Rodanu. I to mię zawiodło. Daleki się jeszcze ujrzałem w Brig od strefy śniegów. Pociąg, do którego wsiadłem w Lozannie i którym jechałem do samego Mediolanu – to był wielki express komunikacji wschodniej, idący z Paryża do Triestu jako punktu wyjścia nawigacji do Egiptu, Syrii itd.
Druga część tej jazdy, za Tunelem Simplońskim po stronie włoskiej do Mediolanu, wynagrodziła mi zawód pierwszej. Wprawdzie tu Alpy w swoich zboczach południowych w świetle coraz większego słońca tracą swoją cechę dziką, to jednak mają one tu wdzięk nowy, który szczególnie się uwydatnia przy ich opadaniu i szybkim przejściu w Równinę Lombardzką. Tu góry, a potem wzgórza kojarzą się z licznymi jeziorami, pełnymi wesela w słońcu i bogatej kultury ludzkiej, która się wyraża szczególnie w zabudowaniach. Niektóre wyspy na jeziorach są zabudowane jak zwarte miasta i czynią osobliwe wrażenie jakiegoś zamku, wyrastającego murami wprost z jeziora. Im dalej, tym bardziej wzrasta ruch ludzki, cywilizacja miejska łączy się z podgórzem, roślinność, uprawa, drogi – wszystko ma wysoce rozwinięte piętno długich dziejów cywilizowanego człowieka. Oto wreszcie szczera Równina Lombardzka z plantacjami wina i drzewa morwowego dla kultury jedwabników. Znam ten widok z mojej podróży z Aninką w r. 1914.
Pociąg staje w Mediolanie. Mam trzy godziny czasu, ale nie idę do miasta. Decyduję się dopłacić do II klasy i ruszać dziś dalej pociągiem pośpiesznym, żeby rano być w Rzymie, bo inaczej – III klasą – ciągnąłbym się z przesiadaniami może jeszcze cały dzień jutrzejszy. W Mediolanie na stacji rwetes, ruch nieopisany, przypominający powojenny upust ruchu ludzkiego na kolejach w latach 1918 i 1919, tylko nieco bardziej dyscyplinowany tutaj, niż wtedy u nas na Wschodzie. W pociągu pośpiesznym pełno jak w roju pszczół. Ludzie się nie mieszczą, siedzą i stoją w korytarzach i przejściach. Mnie się udaje znaleźć miejsce siedzące i przy oknie. Ale już noc zapada – czarna noc włoska – przez okno nic nie widać. W moim przedziale gwarno i wesoło; tylko ja jeden w tym gwarze nie uczestniczę, bo nie umiem po włosku. Wprawdzie za wyjątkiem jednej pary niewątpliwej i rodowitej włoskiej, reszta podróżnych w przedziale – to, zdaje się, wyłącznie Żydzi – nawet ci nasi, rdzenni, tzw. litwacy, z Polski i Litwy, z Białej Rusi i Ukrainy, ale we Włoszech wobec Włochów (nie wobec siebie) udają patriotów włoskich i nie afiszują się ze swym żydostwem. Mdli byli ci Żydzi, jak są zawsze mdli ci, co siedzą na kilku stołkach i lękają się być samymi sobą. Cała ich gra polegała na przystosowaniu się do towarzysza podróży Włocha i na zręcznym trafianiu w unisono z nim. Za to wspaniały był i niezmiernie charakterystyczny ten Włoch, znakomity aktor życiowy i deklamator, który prawdziwie posiada sztukę grania życia, jak kogut lub cietrzew, o czym w swoim odczycie o teatrze mówił niedawno w Kownie Herbaczewski. Mówienie tego Włocha było dziełem sztuki, było teatrem, który działał i na mnie, mimo że słów w nieznanym mi języku nie rozumiałem. A trzeba tez znać włoską wyrazistość gestykulacji, aby zrozumieć, czym jest przemawianie lub nawet gawędzenie żartobliwe Włocha. Jego towarzyszka podróży była prawdziwie pięknym okazem Włoszki z tej ich odmiany, która zapewne po barbarzyńcach lub po Longobardach we Włoszech Północnych odziedziczyła piękne jasne lub rude włosy, a płeć ma niezrównaną i kształty rasy romańskiej, zaś spokój i rytm kobiecy – rzymski. Ta para Włochów – to była sama Italia w wagonie.

18 kwietnia, rok 1924, piątek
Przyjechałem do Rzymu bardzo zmęczony po nocy niewyspanej w wagonie. Jak gdyby naumyślnie – dla jakiejś tortury – męczono podróżnych we Włoszech. W przepełnionych wagonach w kwietniu, kiedy we Włoszech jest ciepło, kaloryfery były

w nocy nagrzane do gorąca. Duszno było w dużym natłoku ludzi, a ciepło kaloryferów czyniło siedzenie w wagonie zupełnie nieznośnym. Niepodobna było oddychać, a cóż dopiero spać! Z obawy zaś ciągów i dla ochrony przed dymem i kurzem, co zwłaszcza jest konieczne wobec licznych tunelów, publiczność okien otwierać nie pozwalała. No ale przecież jestem w Rzymie!
Nie wiem, jak sformułować wrażenie, które uczynił na mnie Rzym. Jestem w Rzymie po raz pierwszy. Jeżeli dawniej miewałem w podróżach okazje zboczenia do Rzymu, nie robiłem tego, bo czułem, że Rzym – Wieczne Miasto, kolebka naszej cywilizacji – jest czymś tak wielkim, że nie potrafię podołać najpowierzchowniejszemu obejrzeniu miasta. Bałem się Rzymu – wydawał mi się za wielkim do zwiedzania, zbyt przeładowanym pamiątkami i wielkością.
Już jadąc przez Italię Europejczyk kulturalny, za jakiego się mam, doznaje osobliwego wrażenia. Nie może się pozbyć uczucia, że ziemia, po której stąpa i na którą patrzy, jest tą ziemią Italii, której każda szczypta, każdy hektar są świadkami wielkich wypadków historycznych, które układały praprzyczyny naszej cywilizacji. Wielka Roma starożytna, Hannibal, barbarzyńcy deptali tę ziemię i tworzyli fakty, na których snuła swą nić cywilizacja zachodnia współczesna. Tu się skupiały i rosły pojęcia prawa, moralności, ludzkości, obcowania społecznego, które Rzym starożytny i Rzym chrześcijański formułował dla całej kultury społecznej. Rzym nie jest dla nas li tylko punktem geograficznym na mapie. I gdym się znalazł w Rzymie i zaczął się w nim dziś rozglądać – choć prawie nic jeszcze nie zdążyłem zobaczyć – miałem uczucie, że jestem u siebie. Niech sobie Włosi przywłaszczają Rzym i czynią zeń swoją stolicę narodową, do czego mają prawo – przecież jest on nie ich wyłącznie własnością, jeno wspólnym dobrem całej ludzkości, należącej do cywilizacji zachodniej – rzymskiej. Rzym jest metropolią i ogniskiem rodzimym dla pielgrzyma z najdalszych kresów tej cywilizacji europejskiej, a dla mnie z Litwy jest on tak samo swojski i bliski, jak dla Francuza lub Amerykanina. Wszyscyśmy jego dziećmi, a widok Rzymu działa na mnie podobnie, jak by działał widok wielkiego dworu na mieszkańca folwarku, należącego do dworskiego klucza. Wszystkie pierwiastki naszego ducha są tu – w tym Rzymie, w jego pamiątkach i murach, w jego tradycji i ciągłości wiecznej. Wszystko jest nam tu swojskie i zrozumiałe, obcego nie ma nic.
Na razie po przyjeździe do Rzymu złożyłem rzeczy na przechowanie na dworcu i udałem się do poselstwa litewskiego po informacje, pomoc w znalezieniu mieszkania, które jest bardzo trudne w tym czasie i dla załatwienia rozmaitych formalności mojego udziału w kongresie. Nie zastałem posła litewskiego, p. Klimasa – wyjechał do Neapolu. Długo szukałem jego zastępcę – Wojciecha Staneikę, mego dawnego dobrego znajomego z Krakowa z r. 1906-1907, którego ledwie o godz. 5 wieczorem udało mi się złapać. Od Staneiki dowiedziałem się, że sprawa tego Kongresu Socjologii, na który przyjechałem, przedstawia się dość niewyraźnie. Jest jakiś pech z tym kongresem – coś co najmniej nieokreślonego. Dziwnym było jego odroczenie w jesieni, a teraz znowu dziwnym jest to, że rząd włoski, zapytany w tej mierze przez poselstwo litewskie, zakomunikował, że to jest rzecz zupełnie prywatna, z którą rząd nic wspólnego nie ma i nic nie wie. Wygląda to tak, jak gdyby Włochy się wypierały tego kongresu. Co to jest – nie wiadomo. Już dawno zwróciłem uwagę na to, że na liście zapowiedzianych prelegentów w programie kongresu widać niemal samych Niemców i Rosjan-emigrantów oraz kilku Włochów, natomiast nie ma wcale uczonych francuskich, angielskich i innych. Mam więc podejrzenie, że jest to jakieś przedsięwzięcie germanofilskie. Staneika zaś sądzi, że rząd faszystów włoskich jest niechętny kongresowi dla domniemanych jego tendencji socjalistycznych. Z pewnością więc Mussolini nie obejmie przewodnictwa honorowego kongresu, jak to było pierwotnie w

jesieni zapowiadane. Jakiej natury są te tarcia między polityką włoską a inicjatywą tego kongresu – Staneika nie wie, ale wobec tego zachodzi kwestia, czy warto mi się zgłaszać do udziału w kongresie w charakterze urzędowego przedstawiciela Litwy i uniwersytetu w Kownie. Jeżeli ten kongres jest bojkotowany przez same Włochy i może przez inne kraje, to Litwie się angażować – baz zbadania, o co chodzi – nie warto. Nie przedsięwezmę przeto nic bez porozumienia z przedstawicielem Litwy Klimasem, na którego powrót będę czekał. Skądinąd jednak, skoro już tu przyjechałem, chciałbym przynajmniej coś się o kongresie tym dowiedzieć i móc zreferować o nim naszemu uniwersytetowi. Sądzę więc, że jeżeli nie wezmę w nim udziału urzędowo, to przynajmniej za pośrednictwem Klimasa poproszę, aby mi prezydium kongresu pozwoliło być obecnym w charakterze gościa na posiedzeniach, nie ujawniając mojej delegacji i powołując się li tylko na to, że przygodnie bawię w Rzymie i że interesuję się socjologią. Zapewne w tej tylko postaci wystąpię. Do wtorku mam czas. Klimasa nie ma. Tymczasem zwiedzę Neapol w czasie świąt.
Staneika znalazł mi pokój w eleganckim wielkim Hôtel des Princes na Piazza d'Espania, ale nie można było inaczej, jak z całodziennym utrzymaniem (pensjonatem), co mi jest niewygodne, bo krępuje mię i wypada drogo – po 114 lir (około 5 dolarów) dziennie. Długo w tym hotelu nie zabawię.

19 kwietnia, rok 1924, sobota
Wczoraj ujrzałem z Monte Pincio w perspektywie Rzymu – z daleka – Bazylikę św. Piotra. Widziałem tylko jej kopuły, ale któż ich nie pozna! Sam ich widok wzruszył mię głęboko. Oto miałem przed sobą – dostrzegałęm zmysłowo – kontury św. Piotra. Oko moje je widzi. Jak św. Zofia w Konstantynopolu, którą przed 10 laty widziałem, tak św. Piotr w Rzymie – to jeden z największych symbolów uzmysłowienia Kościoła. Św. Piotr – to nasz Kościół Rzymski Powszechny. Wystarczyło mi na wczoraj widoku z daleka. Nie śpieszyłem nerwowo. Postanowiłem dziś się udać do św. Piotra na nabożeństwo rezurekcyjne, obchodzone zwyczajem rzymskim w Wielką Sobotę w południe. Pomimo wszelkie atrakcje, jakie posiada Rzym i pomimo największe pamiątki starożytnej Romy i wielkiej epoki Odrodzenia, które same przez się wystarczyłyby do jego unieśmiertelnienia w obliczu naszej cywilizacji – na mnie osobiście największe sprawia w Rzymie wrażenie to, co się wiąże z Kościołem Katolickim – z Rzymem Chrześcijaństwa i Papiestwa. Dlatego też ze wszystkich monumentów Rzymu największą dla mnie atrakcją był św. Piotr. W dobie upadku Cesarstwa Rzymskiego, gdy stary świat klasyczny runął w gruzy – Kościół Rzymski utrzymał jedność ludzkości, przechował ciągłość cywilizacji, stał się opoką i szkołą ludów, która dźwignęła wszystko, co jest w pojęciu dzisiejszych i nawiązała dzieje nowe do głębokich pierwiastków kultury rzymskiej, greckiej i semickiej. Wszystko, co potem przyszło, nie wyłączając Renesansu, umożliwione zostało dziełem wieków pracy Kościoła Rzymskiego. On jest największą i najistotniejszą piastunką cywilizacji naszej. I niechby nawet znikły te formy kultu, w których się katolicyzm wyraża – dzieło jego jest wieczne. Że one znikną – to prawdopodobne, ale Idea Boska, która się w nauce kościelnej mieści, nie jest od form tych zależna, a zresztą czyż jest pewne, że nowe metody postępu i bytowania społecznego ludzkiego, które są tworzone przez naukę Kościoła lub wbrew jej tradycjom, uczynią ludzkość lepszą i szczęśliwszą, i czy jest istotnie dla ludzkości droga doskonalsza i szlachetniejsza od tej, która mówiła: „Noe moja, lecz Twoja stań się Wola". Oj, bardzo trudno dać na to odpowiedź. Któż ze śmiertelnych posiadł tajemnicę Boską dobra i szczęścia ludzi: czy myśl współczesna wolna, czy nauka Kościoła o Chrystusie?! Kościół zwyciężył śmierć, jego wierni w dobie wiary głębokiej byli nieśmiertelni, a dziś czy myśl wolna zdoła dać ludziom życie

wieczne? W Kościele cała ludzkość żyje i obcuje ciągle, zarówno w tych, co dziś chodzą po ziemi, jak tych, których zwłoki są w grobie – a dziś? Oto Rzym, oto cywilizacja nasza – oto przeszli tędy Rzymianie, barbarzyńcy, męczennicy i mężowie Kościoła, papiestwo wspaniałe, Michały Anioły, Leonardo, świeżo Garibaldi i inni, a oto my na chwilę goście, po nas inni – i cóż nas sprzęga poza tym życiem krótkim, jeżeli nie ma spójni, jaką nam Kościół daje na wieczność, zachowując w tej spójni nie tylko powszechność, ale i indywidualność każdego. Lecz dość tego. Frazesem nic nie stworzę, a traktatu pisać nie będę. Przechodzę do rzeczy realnej. Poszedłem dziś na godz. 10 rano do św. Piotra, którego olbrzymi plac z Bazyliką wyrasta z uliczek starego Rzymu, zakonserwowanych sprzed bynajmniej 100 lat w swoim typie. Nie będę opisywał widoku placu i Bazyliki ani z zewnątrz, ani z wewnątrz. Trafiłem w porę przed nabożeństwem. Kończono przysposabiać wielki ołtarz, a przez nawę Bazyliki, olbrzymią jak ogromny plac, ciągnęła malownicza procesja śpiewając litanię za długim szeregiem strojnego duchowieństwa. Potem rozpoczęło się nabożeństwo, celebrowane przez kardynałów. Odśpiewano Alleluja, odprawiono mszę. Słuchało nabożeństwa kilka tysięcy osób, nie licząc rzesz wysokiego duchowieństwa w stallach. Duża część zebranych stanowili turyści. Słychać było wszystkie języki w szeptach tłumu. Na kolosalne rozmiary Bazyliki te kilka tysięcy ludzi – to kropla w przestrzeni. Nie oglądałem skarbca i ubikacji bocznych, po których też szwendali się turyści, obsługiwani chciwie przez służbę kościelną. Po sumie, gdy się zaczęto rozchodzić i gdym tez myślał o opuszczeniu Bazyliki, ujrzałem nagle jeden z wysokich balkonów u góry udrapowany czerwonymi dywanami i oświecony jarzącymi świecami. Domyśliłem się, że z balkonu tego ukaże się Papież błogosławiący ludowi. Słyszałem czy czytałem gdzieś kiedyś o tych błogosławieństwach papieskich z balkonu w Bazylice św. Piotra. Stanąłem, a stanęło też sporo innych ludzi, którzy dostrzegli oświetlenie i udrapowanie balkonu. Niektórzy poklękali. Jakoż niebawem rozległ się głos dzwonu wewnątrz kościoła i na balkonie ukazał się Ojciec Święty Pius XI (dawny kardynał Ratti). Był w bieli, w asyście paru osób z kleru. Wielkim krzyżem, a potem relikwiarzem nakreślił w powietrzu powoli na trzy świata strony (na wprost, na prawo i na lewo) znak krzyża świętego. Po przeżegnaniu ludu cofnął się i znikł w głębi balkonu. Dzwon znów się ozwał, obwieszczając koniec uroczystości. Uroczystość błogosławieństwa papieskiego z balkonu wewnątrz św. Piotra jest pewno przeżytkiem szczątkowym dawnego błogosławieństwa „Urbi et orbi", udzielanego z balkonów zewnętrznych Watykanu. Od czasu aneksji Rzymu przez Królestwo Włoskie papieże błogosławieństw powszechnych nie udzielają. Tak przeto – i w Rzymie byłem, i Papieża widziałem. Staneika miał mi ułatwić wstęp na audiencję publiczną Papieża w Watykanie, abym mógł Go widzieć. Ze względu jednak na kwestię stroju i inne – może się już o udział w audiencji ubiegać nie będę, skorom był na błogosławieństwie papieskim i widział Papieża.
Na dziś mi tego wrażenia (św. Piotr, Papież) wystarczyło. Nie oglądałem dziś nic więcej w Rzymie. Będę jeszcze miał na to czas. Zająłem się tylko sprawą jazdy jutrzejszej do Neapolu; fatalni mi krępował swobodę ruchów ten pensjonat w hotelu; jest on drogi, wcale nie doskonały, zupełnie nie taki, jaki bym sobie swobodnie wybrał co do jedzenia, a trzeba się ciągle stosować do godzin posiłków pensjonackich. Bilet do Neapolu już mam i jutro rano jadę.
Wieczorem był u mnie Staneika i przywiózł mi kartę wstępu na Kongres Socjologii. Jest to tylko karta wstępu, ale nie członkowska. Na razie nie przedstawię swojego mandatu na kongres, póki się nie zorientuję, jak się ten kongres przedstawia i nim nie zasięgnę dokładnych informacji przez Klimasa.

20 kwietnia, rok 1924, niedziela, Wielkanoc

Rano o godz. 8-9 wyjechałem z Rzymu na dwudniową wycieczkę do Neapolu. Jechałem III klasą pociągiem pośpiesznym. Publiczność miałem w wagonie przeważnie włoską i ludową, co właśnie stanowi w podróżach najważniejszy atut obserwacyjny III klasy. Mogłem się przyjrzeć do syta Włochom wszelkiego wieku, płci, stanu i upodobań. Ekspresywny tu lud, żywy, gestykulujący, dość hałaśliwy, szczególnie ku Neapolowi, ale bardzo miły, uprzejmy, łatwy do stosunków i nawet w swej teatralności – naturalny. Ślicznie się wyrażają u Włochów stosunki płci między młodymi parkami zakochanymi, pełne wdzięku ze strony kobiecej i siły nieco brutalnej ze strony męskiej. Namiętne to są temperamenty, krew gorąca krąży po żyłach i musuje upajająco jak wino w krajach słonecznych. Miałem dziś w podróży okazje do tej obserwacji. W obecnej też podróży stwierdziłem, że Włoszki są istotnie piękne, czego dawniej przyznać nie chciałem. Tu na południu typy są już stanowczo czarne i w barwie włosów, i w cerze śniadej. Typ blondynów lombardzkich tu niknie. U wielu południowców wyraźnie już występuje domieszka krwi afrykańskiej, szczególnie się uwydatniająca w owłosieniu, które ma cechę raczej wełny, niż włosów. Włosi są miłymi towarzyszami podróży, chętnymi do rozmowy i udzielania informacji. Szkoda tylko, że nie jestem w stanie się z nimi skomunikować. Droga z Rzymu do Neapolu – bardzo ładna; wielkie żyzne równiny, pola uprawne, gaje oliwne, ogrody, winnice przeplatają się z łańcuchami Gór Apenińskich, których szczyty, acz przeciętnie nie nazbyt wysokie, są w wielu miejscach pokryte jeszcze obficie śniegiem. Gdzieniegdzie widoki zupełnie jak z krajobrazów na licznych u nas starych reprodukcjach i oleodrukach niewiadomego pochodzenia; stado kóz lub baranów, pasterz w pelerynce lub na wpół nagi i bosy, na podgórzu w głębi miasto ze szczerych murów albo jakieś ruiny na skale. W górach wiele wzgórz stożkowatych wulkanicznego kształtu, czasem całe gniazda takich stożków, ułożone w symetryczne półkole z głębokim wewnątrz półkola wklęśnięciem. Zbliżamy się do Neapolu. Widać Wezuwiusz w postaci potężnej góry, o której nie sądziłem, że jest tak wysoka. Ale wierzchołek Wezuwiusza zakryty chmurą, toteż nie widać, jak dymi – i już przez cały dzień chmura nie zeszła z Wezuwiusza i nie ukazała mi wulkanu. Nie było też widać – gdy noc zapadła – blasku czerwonego nad kraterem. Niebo się na ogół chmurzyło przez cały dzień, rzadko się jeno chmury rozrywały ukazując słońce, ale najczarniejsza chmura otaczała wierzchołek Wezuwiusza, uczepiona do niego, nieruchoma. Wicher dął szalony, chwilami wzmagał się do pędów huraganowych. Nie był to wprawdzie wiatr zimny, ale przez sam pęd powietrza i przez brak promieni słonecznych czynił wrażenie chłodu. Licząc na upał w Neapolu, zostawiłem palto w Rzymie. Na ogół trudno tu się obliczyć ze zwierzchnim ubraniem. W paltocie za ciepło, bo wziąłem ze sobą z Kowna palto jesienne, licząc na jego użyteczność tylko w przejeździe przez Niemcy i Szwajcarię, a bez paltotu chwilami – zwłaszcza wieczorami i rankami – zimno. Toteż przeziębłem już we Włoszech i nabawiłem się kataru i kaszlu. ale za to ból zębów, szczęki i twarzy ustał radykalnie. Włóczyłem się przez cały dzień po Neapolu. Obszedłem wielkie arterie promenady turystów, orientując się biegiem pędzących samochodów, byłem nad zatoką morską, przyjrzałem się cudownym widokom morza i wybrzeża z pnącymi się na wzgórza murami miasta i ze wspaniałymi zamkami, spojonymi ze skałą w potężne bloki, ociosane ręką ludzką. W tych zamkach dzieło człowieka nie przeciwstawia się dziełu natury, lecz oboje – człowiek i natura – współpraca ukształcili twór piękniejszy od dzieł wyłącznej twórczości czy to ludzkiej, czy naturalnej. Zaglądałem też do małych uliczek bocznych w dzielnicy przy dworcu kolejowym i na zboczach góry nadmorskiej. Uliczki te – ciasne i głębokie między wysokimi murami – są niezmiernie charakterystyczne. Podobne do nich widziałem w r. 1914 w Trieście, podówczas jeszcze austriackim. Maja one wszystkie cechy miast włoskich: przede wszystkim

niezliczone ilości bielizny rozwieszonej do suszenia w oknach i między oknami, czasem przez ulicę, następnie brud, bo wszystko się tu z kamienic na ulicę wylewa, wyrzuca i wysypuje, czasem wprost przez okno, dalej charakterystyczne życie uliczne, szczególnie gwar dzieci, liczne traktiernie, szyneczki, bary, restauracyjki, winiarnie itp., kozy uwiązane na ulicy przy wejściach do domów itd. Magazyny z powodu święta Wielkiejnocy były zamknięte, ale bary, kawiarnie, restauracyjki i tym podobne ubikacje odżywiania się i ochładzania się albo rozgrzewania – dla użytku ludowego – były otwarte. W jednej takiej restauracyjce zjadłem doskonały obiad, złożony ze znakomitych makaronów neapolitańskich, jagnięcia i jakiejś sałaty oraz doskonałego białego wina sycylijskiego (raczej nie białego, lecz ciemnożółtego). Wieczorem na bocznych uliczkach – prawdziwy raut ludowy. Grają rozmaite muzyczki, ludzie i dzieci spacerują, biegają, krzyczą, hałasują jak opętani, jakby im ktoś sadła za skórę zalał, restauracyjki i bary pootwierane, na rogach ulic handlarze sprzedają napoje chłodzące, kasztany, owoce, jakieś specjały i smakołyki, ślimaki morskie w muszlach (mule). Gdybyż to jeszcze małe trzęsienie ziemi do tego!

21 kwietnia, rok 1924, poniedziałek
Bardzo mi się chciało będąc w Neapolu zrobić wycieczkę na Wezuwiusz i do zwalisk Pompei. Tak też byłem postanowił sobie i z tym się wczoraj spać położyłem. Chciałem wstać raniutko i jechać o godz. 7 kolejką elektryczną do funiculaire'a na Wezuwiusz, a do Rzymu zamierzałem wrócić w nocy, pociągiem, który odchodzi z Neapolu o 11 wieczorem. *Mais – la nuit porte conceil*. Rozmyśliłem się w nocy i postanowiłem wracać do Rzymu zaraz. Pomimo wszelkie tentacje Wezuwiusza i Pompei – nie mogę zaniedbać obowiązku, dla którego tu przyjechałem, nie mogę uchybić sprawom Kongresu Socjologii, który się otwiera jutro rano. A czuję się fizycznie tak zmęczony ciągłym łażeniem, nieustanną zmianą miejsca, wrażeniami podróży, że gdybym miał wracać pociągiem w nocy, byłbym nazajutrz fizycznie i psychicznie bezwładny i rozbity – byłbym na kongresie do niczego. A choć na otwarciu kongresu będę tylko w charakterze gościa należącego do publiczności, a nie do uczestników kongresu, to jednak muszę być czujny jako jedyny gość z Litwy, co może być przez sekretariat kongresu podkreślone w pewnych propozycjach skierowanych do mnie, a może wypadnie mi nawet zamienić rolę bierną na czynną. Trzeba więc zaniechać Wezuwiusza i Pompei i cieszyć się tym, że miałem możność choć rzucić okiem na Neapol i pewne ogólne wrażenie pozyskać. Bardzo sympatyczne wywożą stąd wrażenie, a piękno panoramy Neapolu i wybrzeża morskiego pozostanie mi wyryte w pamięci, jak pozostały mi w pamięci z r. 1914 Korfu i Konstantynopol z Bosforem. W szczególności jest w Neapolu podobieństwo do Korfu – w zapachu charakterystycznym, w którym oliwa miesza się z czosnkiem i jakimiś odorami słodkawymi. Zapach ten napełnia ulice i przenika sprzęty; nawet ręcznik w hotelu ma tenże zapach. Zresztą Korfu wydało mi się jaskrawsze i w barwach światlejsze niż Neapol – takim mi przynajmniej Korfu w pamięci utkwiło.
Rano więc wstałem, zapłaciłem rachunek w hoteliku „Boston", w którym za 13 lirów nocowałem i udałem się wprost na dworzec kolejowy. Choć niebo było dziś pogodniejsze niż wczoraj, jednak wierzchołek Wezuwiusza tak samo jak wczoraj tonął w czarnej chmurze i przeto dymiącego krateru nawet w perspektywie nie widziałem. Co robić!
O godz. 8.45 wyjechałem pociągiem pośpiesznym na Rzym. Znów się przyglądałem pięknym widokom krajobrazu italskiego, Apeninom czarnym lub z białego kamienia, licznym ruinom, zamkom starożytnym lub wielkim hotelom współczesnym na szczytach skał, miastom białym w amfiteatrze gór kamiennych, gajom oliwnym i

winnicom bez końca i sadom kwitnącym, wielkim stadom baranów na pastwiskach pod Rzymem itd. Koło godz. 2 przyjechałem do Rzymu. Tym razem, nauczony doświadczeniem, byłem przezorniejszy. Nie liczyłem już na Staneikę, by znów nie dostać wielkiego hotelu z szablonowym i niesłychanie drogim pensjonatem, lecz zacząłem od razu od zdobycia lokaty. Zresztą trafił mi się na dworcu jakiś faktor, który mi nastręczył pokoik w mieszkaniu prywatnym pp. Bombardini przy via Principe Amadeo nr 135. Pokoik nędzny i mały, z okienkiem wysokim do kuchni, ale tani i przynajmniej bez utrzymania, a więc jestem swobodny. Zużyłem całe poobiedzie do wieczora na łażeniu po Rzymie. Kupiłem sobie plan, co mi ułatwia oglądanie miasta i doskonale się już zaczynam w układzie miasta orientować. Obejrzałem ogromne mauzoleum przy pomniku złoconym Wiktora-Emanuela II, świetny monument z marmuru, wystawiony z całą wspaniałością jak przystało na Rzym – rodzaj panteonu bojowników o niepodległość i zjednoczenie Włoch. Mauzoleum to, wystawione na Piazza Veneria, góruje nad miastem i jest zewsząd widoczne, przerastając w panoramie Rzymu Bazylikę św. Piotra. A jednak ta Bazylika więcej mi do serca przemawia, bo Kościół Rzymski jest powszechnym dobrem naszej cywilizacji i św. Piotr ma wagę dziejową dla wszystkich ludów europejskiej, to znaczy rzymskiej kultury, a Świątynia Oswobodzenia i Zjednoczenia Włoch jest dobrem narodowym li tylko Włochów. Prawda, że irredenta Garibaldiego i zjednoczenie Włoch miały wagę pobudki dla wszystkich ludów i stanowiły precedens punktu zwrotnego w dziejach, wiążąc państwo z czynnikiem społecznym narodowości i w tym znaczeniu, jak wszystko, co pochodzi z Włoch, miały cechę powszechności, ale przede wszystkim było to i dzieło, i dobro narodowe włoskie.
Obejrzałem jeszcze szczątki Forum Romanum i odrestaurowane przez papieży olbrzymie Koloseum. Z tych dwojga głębsze na mnie uczyniło wrażenie Forum Romanum u stóp Wzgórza Palatyńskiego. Długo jeszcze chodziłem po Rzymie. Przechadzałem się między Akademią Francuską w Villa Medici a Monte Pincio, skąd roztacza się cudowna panorama nocnego Rzymu. Ten widok nocnego Rzymu z tego miejsca należy chyba do najpiękniejszych widoków miejskich w Europie. Z powodu jakichś wielkich dziś uroczystości faszystowskich (bodajże rocznica założenia Rzymu czy coś podobnego) odbywały się dziś różne manifestacje faszystów. Wieczorem gmachy publiczne były iluminowane. Domy, tramwaje, wszystko – w chorągwiach. Po obiedzie na Placu Colonna grała orkiestra faszystów. Faszyści z Mussolinim są dziś wszechwładni we Włoszech, a świeżo dokonane wybory do parlamentu utwierdziły i ulegalizowały ich przewagę bezwzględną i olbrzymią. Oryginalne są metody władzy partii, jakie się tu w faszyzmie wyrażają. Jest w tym pewna analogia do metod władzy partyjnych, zainicjowanych przez komunistów w Rosji, mimo że natura społeczna komunizmu i faszyzmu jest zasadniczo różna. Stronnictwo rządzące ma tu swoje oddziały wojskowe i poniekąd cały swój partyjny pomocniczy aparat państwowy. Wszędzie – na kolei, w urzędach, na ulicy – są posterunki partyzantów faszystów, a policja państwowa należy do partii.

22 kwietnia, rok 1924, wtorek
Nastąpiło dziś otwarcie Kongresu Socjologii. Uroczystość otwarcia była wyznaczona na godz. 10 rano w zamku na Kapitolu w Wielkiej Auli Senatorskiej. Osób na otwarciu kongresu było niezbyt dużo – ogółem z gośćmi do czterdziestu. Wspaniały był tylko lokal, poza tym uroczystość robiła wrażenie mizerne. Czuje się, że ten kongres naukowy, dotyczący zagadnień socjologii – nauki zresztą nie dość ustalonej i posądzanej o aspiracje socjalistyczne – nie bardzo pasuje do współczesnego Rzymu i współczesnej Italii w dobie upojenia triumfującym faszyzmem. Czuje się, że władze

włoskie zaledwie tolerują ten kongres, lecz go nie myślą otaczać protekcją i reklamą jako rzecz nie na czasie. Po wielkich popularnych uroczystościach wczorajszych, w których popularny faszyzm manifestował się z wielka pompą, a bohater dnia – Mussolini – był proklamowany obywatelem honorowym Rzymu, i równolegle z otwarciem dziś Międzynarodowego Kongresu Prawniczego Awiacji, na którym przemawiał Mussolini i na które przybyła cała elita Rzymu wraz z ciałem dyplomatycznym wszystkich państw, reprezentowanych przez swe poselstwa w Rzymie – otwarcie naszego Kongresu Socjologii było epizodem zgoła podrzędnym, który żadnej uwagi ani zainteresowania publicznego nie budził. Nie tylko Mussolini, ale też nikt inny z ministrów lub dygnitarzy włoskich nie raczył się Kongresem Socjologii bezpośrednio zainteresować i osobiście się na otwarciu stawić. Komisarz królewski Rzymu był reprezentowany przez delegata, który powitał kongres w jego imieniu. Było też paru przedstawicieli poszczególnych ministeriów – i na tym koniec. Gości było mało. Poza tym byli organizatorowie kongresu z generalnym sekretarzem tegoż (z ramienia Instytutu Socjologii w Turynie) profesorem Cosentini i członkowie kongresu tak Włoch, jak przyjezdni z różnych krajów. Listy uczestników kongresu nie widziałem; szczegółowo nie ogłoszono, jakie kraje i instytucje są reprezentowane. Cosentini poinformował jeno ogólnikowo, że w kongresie bierze udział 10 instytucji naukowych i kilkadziesiąt uniwersytetów – ogółem coś koło 50 narodów (państw), ale chyba liczył i tych, którzy jeno zasadniczo akces swój zgłosili, nie uczestnicząc w kongresie bezpośrednio. Z Francuzów jest bodaj tylko jeden Kergalle (nie ma Wormsa, Yves Guysta, Leona Bourgeois), Anglicy i Amerykanie Stanów Zjednoczonych są nieobecni, Niemców sporo, z Polski jest jedyny prof. Kozłowski z Poznania, poza tym – Włosi i najliczniej reprezentowani Amerykanie południowi (Chile, Peru, Urugwaj itd.). Na inauguracji były wygłoszone przemówienia powitalne dość banalne i ogólnikowe z pewnym akcentem politycznym i ze zwrotami patetycznymi do Rzymu. Przemawiali: prof. Cosentini o programie kongresu, prof. Alvarez z Santiago w Chile, Kergalle, Tönnies (prezes Niemieckiego Towarzystwa Socjologii), Kozłowski, jakaś pani w charakterze przedstawicielki jakiegoś związku kobiet w Urugwaju (bardzo deklamacyjna mowa z rękopisu, odczytana z patosem iście południowoamerykańskim) i przedstawiciel Peru (na razie blado – francuszczyzną łamaną, potem – po włosku z coraz rosnącym temperamentem, ku końcowi – wprost namiętnie). Najtreściwsza i najgłębsza była mowa niemiecka starego prof. Tönniesa, zaś Polak Kozłowski w swej mowie dość nietaktownie dotknął Niemców. Na ogół wrażenie otwarcia było mizerne. Żałowałem poniewczasie, że się nie domyśliłem przygotować także krótkiego powitania po francusku w imieniu Litwy. *Ex promptu* nie odważyłem się tego uczynić, ale gdybym się przygotował, to by mi zbyt trudnym nie było. Po inauguracji zdecydowałem się przedstawić mój mandat i wpisać się do liczby członków kongresu urzędowo. Po obiedzie o godz. 5 ½ w innych ubikacjach Zamku Kapitolińskiego odbyło się przyjęcie dla członków kongresu, ofiarowane przez miasto Rzym. Nazywano to bankietem, ale były tylko w szeregu sal bufety z ciastami, lodami, słodyczami, kawą, piwem i napojami chłodzącymi. Trwało to dość krótko. Ludzie się przechadzali, członkowie kongresu zaznajamiali się wzajemnie – i na tym koniec. Pierwsza sesja prac naukowych kongresu – jutro rano w Pałacu Sprawiedliwości.

23 kwietnia, rok 1924, środa
Dziś się już rozpoczęły posiedzenia normalne Kongresu Socjologii. Odbywają się one w jednej z pięknych sal marmurowych wspaniałego Pałacu Sprawiedliwości (Pallazzo di Giustizia) nad Tybrem, udzielonej kongresowi przez adwokaturę rzymską. Nie ma już oczywiście tej uroczystości dekoracyjnej, co wczoraj na inauguracji kongresu, nie

ma tego dwurzędu gwardii, tworzącej szpaler na stopniach Zamku Kapitolińskiego, prowadzących do frontowej Auli Senatorskiej, ale jest bądź co bądź wspaniałość lokalu, jaką tylko Rzym udzielić może. Gdy na zewnątrz dzień słoneczny, upał – tu w marmurach chłód, jakiego u nas nawet nasze kamienie – nasze kościoły – dać latem nie są w stanie. Ale w tej obszernej sali marmurowej , w której przygotowano siedzeń dla jakichś 80 osób – tym mizerniej się przedstawia nasz kongres, na którym na sesji rannej było ogółem do 40 osób, a na sesji wieczornej coś koło 20 wraz z prezydium. Byłem zdumiony, ale razem ucieszony, gdym po przyjściu rano na sesję ujrzał siedzącego naszego profesora Voldemarasa z żoną. Wiedziałem w Kownie, że Wydział Humanistyczny naszego uniwersytetu uchwalił wydelegowanie Voldemarasa na Kongres Socjologii, ale wiedziałem także, że władze odmówiły mu wydania paszportu zagranicznego – oczywiście ze względu na jego systematyczne i radykalne stanowisko opozycyjne względem rządu i na szereg wytoczonych mu spraw polityczno-karnych. Okazało się jednak, że Voldemaras, który nie ustępuje łatwo, te trudności pokonał, paszport zdobył i przyjechał.
Prace kongresu podzielone są na siedem sekcji. Jednak sekcje te funkcjonują nie w ten sposób, że ogół członków kongresu jest podzielony między sekcje obradujące równolegle osobno, komunikując swoje wnioski na plenum, jeno w ten sposób, że wszystkie posiedzenia są zarazem i sekcyjnymi, i plenarnymi. Wskutek tego posiedzenia każdej następnej sekcji następują po wyczerpaniu problemów sekcji poprzedniej. Dzień dzisiejszy był poświęcony sekcji I, zatytułowanej „Socjologia ogólna" i ogarniającej zwłaszcza dwa kapitalne problemy: solidarności i postępu. Kongres jest zbyt nieliczny, aby można było dokładnie posegregować członków sekcjami i wyznaczyć równoległe posiedzenia sekcyjne. Na każdą sekcję wypadłyby po jakieś trzy osoby. Każda sekcja ma osobne prezydium. W prezydium sekcji I, która dziś funkcjonowała, zasiadali: Włoch prof. Vaccaro, Niemiec prof. Tönnies, Francus prof. Kergall, Polak prof. Kozłowski i sekretarz generalny kongresu prof. Cosentini. W dyskusji prócz członków prezydium zabierali głos: Voldemaras, Oppenheymer, parę osób z sekretariatu kongresu i ktoś jeszcze. Charakterystyczne, że z Anglików nie ma nikogo, z krajów skandynawskich, z Hiszpanii, z Czech, z Węgier, Jugosławii itd. – nikogo, z Łotwy i Estonii bodaj także, z Finlandii podobno ktoś jest, ale się nie ujawnił; najliczniejsi są naturalnie Włosi jako gospodarze kongresu, Niemcy i Amerykanie południowi; dla okrasy jest jeden Francuz i jeden Polak i aż dwóch Litwinów (klasyfikują państwowo, przeto z natury rzeczy osobiście należą do grupy litewskiej). Jeżeli jeszcze Stankiewicz się stawi, który jest już w Rzymie i wczoraj widział się ze mną i miał dziś być na kongresie, ale nie wiem dlaczego dziś nie przyszedł – to nasza mała i młoda Litwa okaże się raptem szczególnie w socjologii zaawansowaną, bo aż trzema profesorami reprezentowaną. Trzeba jednak przyznać, że w osobie Voldemarasa grupa litewska zyskała pierwszorzędną reprezentację na kongresie i błyszczy w szeregu innych jako czynnik jeden z najpoważniejszych. Voldemaras, biegły mówca, ambitny, lubiący i umiejący się wysunąć na czoło dyskusji, śmiały i posiadający niezbędną dla mówcy zimną krew, dającą mu panowanie nad formą i układem myśli (czego ja właśnie na większych zebraniach nie posiadam), mający niewątpliwie dużą erudycję, doskonale też, jak się przekonałem, włada językiem francuskim, mając żonę Francuzkę (Normandkę). Chociaż w przemówieniach swoich nie umie się pozbyć nałogu kaznodziejstwa, prawiącego morały innym i celującego zwłaszcza w krytyce, a mniej twórczego w konstrukcji, co *á la longue* uczyniło go w Kownie nieznośnym i znienawidzonym przez wszystkich, którym swą systematyczną i zjadliwą krytyką dokuczył, jednak tu na kongresie w wystąpieniach doraźnych to robi efekt i czyni jego mowy szczególnie ciekawymi i chętnie przez wszystkich – a przez panie w pierwszym

rzędzie – słuchanymi. Toteż dwoma swymi przemówieniami dzisiejszymi wybił się on od razu na czoło kongresu i pozyskał dla Litwy markę znakomitą, stawiającą jej przedstawiciela na równi z czołowymi przedstawicielami Francji, Włoch i Niemiec. Mnie oczywiście, który się wcale dziś nie odzywałem, zaćmił całkowicie, ale mniejsza mi o to. Reprezentacyjnie dał on Litwie reklamę jak najświetniejszą. Jeżeli chodzi Litwie, bardzo mało dotąd znanej, o zaprezentowanie o zaprezentowanie w tych kongresach najważniejszego – powinna ona jak najczęściej posyłać Voldemarasa. Jest on właśnie doskonały na krótko, na efekt doraźny. W Litwie, gdzie poza małą garstką przyjaciół ma on samych wrogów, zdążywszy już wszystkim zalać sadła za skórę, nie oceniają tych jego kwalifikacji i nie chcą go dopuszczać do reprezentacji. Jest to wielka szkoda, bo ma on do tego kwalifikacje znakomite.

24 kwietnia, rok 1924, czwartek
Prace Kongresu Socjologii posuwają się powoli. Posiedzenia odbywają się codziennie od godz. 9 ½ rano do południa i od godz. 3 do 6 po południu. Wczoraj program I sekcji został wyczerpany, dziś podług rozkładu zajęć powinien był być wyczerpany program II i III sekcji, ale został wyczerpany tylko program drugiej. Ogółem sekcji jest 7 i do poniedziałku wieczorem prace kongresu mają być zakończone, a tymczasem jutro po obiedzie i w niedzielę czas ma być użyty na wypoczynek i rozrywki. Trzeba więc będzie obradować galopem, co ostatecznie może będzie najlepsze. Kongres jest na ogół mizerny i nudny. Posiedzenia dzisiejsze były jeszcze bardziej jałowe od wczorajszego. Coraz bardziej się utrwalam w moim przekonaniu, że „socjologia" jest dotąd jeszcze wielką blagą, a nie nauką. Nikt, zdaje się, dokładnie nie wie, co jest właściwie przedmiotem socjologii. Pod tę nazwę pchają wszystko, co ma związek z zagadnieniami społecznymi. Toteż „socjolodzy" bez żadnej ceremonii wkraczają na teren wszystkich poszczególnych nauk prawniczych, społecznych, gospodarczych i nawet przyrodniczych i gospodarzą na nim po dyletancku, nie licząc się z metodami ścisłymi tych nauk. Taka socjologia, która sama dyscypliny nie stanowi i usiłuje być jakąś uniwersalną encyklopedią wszech nauk społecznych w najszerszym znaczeniu – jest w istocie tylko profanacją nauki i dyletancką publicystyką, zabawą w efekty, dobrą zwłaszcza dla kobiet, które zdaje się najgoręcej się taką „socjologią" entuzjazmują. Dotychczas najpoważniejsze było wczorajsze posiedzenie ranne, na którym omawiany był problem solidarności czy solidaryzmu („la Solidarité"). To był może jedyny z tematów programu kongresu, mogący być uważany za należący do socjologii. Wprawdzie i tam nie wypowiedziano nic osobliwego, co by skądinąd nie było wiadome przeciętnemu społecznikowi, jednak przemówienia Tönniesa i Vaccaro były rzeczowe i głęboko ujmujące problem. Tönnies formułował swoją teorię o dwoistym manifestowaniu się solidaryzmu – w postaci naturalnych związków („communanté"), tworzące ugrupowania ludzkie u podstawy obcowania społecznego (takimi są klasy społeczne, narody itd.) i w postaci stowarzyszeń masowych („associations"), organizowanych przez ludzi świadomie u góry – dla określonych celów społecznych. Z tezą Tönniesa ostatecznie się wszyscy zgodzili. Wczorajsze posiedzenie wieczorne, na które się zresztą spóźniłem, było mniej ciekawe. Między innymi na tym posiedzeniu wygłosił referat prof. Kozłowski z Poznania na dziwacznie zatytułowany temat: humanizacja socjologii i sokratyzacja społeczności. Kozłowski reprezentuje bardzo ubogą siłę naukową, chociaż zabiera głos co chwila. W tym referacie uzasadniał on i wskrzeszał tezy demokracji klasycznej, nawiązując je do zasad Rousseau i upatrując rozwiązanie problemu politycznej budowy społeczeństwa w państwie w tym, żeby wszyscy obywatele byli traktowani za równorzędne jednostki woli powszechnej, „sokratyzacja" zaś ma polegać na tym, aby każdy obywatel stał się mądrym i

świadomym członkiem społeczeństwa, umiejącym myśleć samodzielnie. Na tymże posiedzeniu długą mowę wypowiedział po włosku, której treści wprawdzie ze względu na język nie zrozumiałem, ale która ze względu na formę – wyrazistość gestykulacji i melodyjność pięknego języka włoskiego – należała do najpiękniejszych, jakie były wygłoszone na kongresie.
Dzisiejsze posiedzenie wypełniła sekcja II, zatytułowana: „Problemy prawa międzynarodowego". Składała się ona z dwóch zagadnień: zagadnienia reformy Ligi Narodów i zagadnienia praw mniejszości narodowych. Do reformy Ligi Narodów byli powołani przedstawiciele krajów egzotycznych Ameryki Południowej i... ja jako przedstawiciel Litwy. Mianowicie w prezydium były kraje następujące: Chile, Peru Urugwaj i Litwa!! Przewodniczył Chilijczyk, profesor prawa międzynarodowego z Santiago p. Alvarez, z Urugwaju była gruba stara panna, społeczniczka i entuzjastka p. Luisi. Temat Ligi Narodów ściągnął na posiedzenie ranne większą niż wczoraj ilość osób, zwłaszcza gości, ale najpoważniejsze siły kongresu – Tönnies, Vaccaro, Kergall – były nieobecne. Znaleźli się dziś przedstawiciele Szwajcarii i Hiszpanii, a na poobiednie posiedzenie przybył też urzędnik sekretariatu Ligi Narodów, wydelegowany na kongres dla celów informacyjnych. Niemcy się dziś zupełnie z posiedzenia usunęli – zapewne przez wzgląd na to, że ich ojczyzna dotąd do Ligi Narodów nie należy i należeć nie chce, będąc krzywdzoną i uważając Ligę w jej formie obecnej nie za istotny związek kooperacji ludów, lecz za narzędzie oligarchii kilku mocarstw zwycięskich. W dyskusji na temat Ligi Narodów zabrałem głos i ja, ale przemawiałem krótko i dość bezbarwnie. Pęta mię w przemówieniu częsty brak słów francuskich.

25 kwietnia, rok 1924, piątek
Dziś na posiedzeniach kongresu prawie że nie byłem. Ranne posiedzenie kongresu odbyło się normalnie w godzinach od 9 ½ rano do południa, poobiednie zaś posiedzenie nie mogło się w godzinach ustalonych odbyć, bo sala posiedzeń, udzielona kongresowi przez adwokaturę w Pałacu Sprawiedliwości (jednym z najpiękniejszych nowych gmachów Rzymu na Prati nad Tybrem), była potrzebna adwokaturze na jakieś własne jej posiedzenie. Wobec tego gospodarze kongresu – pp. Cosentini z garstką Włochów – urządzili w tych godzinach dla członków kongresu wycieczkę na Forum Romanum i Palatyn oraz na Zamek św. Anioła. Ponieważ jednak prace kongresu się późnią, bo dziś dopiero nad III sekcją obradowano, podczas gdy w programie na dziś była już IV sekcja wyznaczona, więc było postanowione kontynuować posiedzenie do godz. 9 wieczorem, aby zakończyć przynajmniej III sekcję. III sekcja ogarnia problemy polityczne międzynarodowe i w szczególności składa się podług programu z całego szeregu zagadnień, a mianowicie: porozumienie polityczne, „armatura społeczna", autorytet i dyscyplina, biurokracja, armia, stosunki międzynarodowe z Rosją sowiecką, kolonizacja. Prace toczą się w ten sposób, że prof. Cosentini referuje sumarycznie tezy i wnioski zgłoszonych referatów, ewentualnie, o ile autor referatu jest obecny osobiście (co jest na tym kongresie bardzo rzadkie, bo referaty są prawie wyłącznie nadesłane), sam referent je streszcza i następnie toczy się nad nimi sumaryczna dyskusja, która zwykle dotyczy tylko jakiegoś jednego jaskrawego punktu. Wprawdzie na rano była zapowiedziana ciekawa atrakcja – mianowicie przybycie na kongres kilku wybitnych przywódców faszyzmu, którzy w związku z zagadnieniami sekcji III mieli informować kongres o istocie faszyzmu jako ruchu dyscypliny społecznej i planowej konsolidacji życia społecznego, to jednak, choć to było ciekawe, nie mogłem przyjść rano na początek posiedzenia, bo miałem trochę zajęcia na mieście. Przyszedłem dopiero koło 11-tej. Nie wiem, czy wodzowie faszyzmu byli i przemawiali – ja ich nie zastałem. Natrafiłem na dyskusję tak banalną i daleką od wszelkiej naukowości, że długo nie

wysiedziałem. Urugwajka p. Luisi, kobieta najzacniejsza pod słońcem, najlepszego serca, otyła, ekspansywna, ale straszna plaga nauki, działaczka demokratyczna, dewotka szablonów i pewników o woli ludu i innych dogmatach demokracji klasycznej, perorowała na te tematy i stawiała Europie za przykład doskonałości demokratyczne republiki południowoamerykańskie. Kozłowski zaś znów zalecał swoje panaceum „sokratyzacji społeczeństwa", to znaczy podniesienia maksimum świadomości i wiedzy jednostek i zwalczania partyjności i demagogii klik przez demokrację świadomych i mądrych obywateli, decydujących samodzielnie i bezpośrednio. Była to polemika z Kergallem, który zalecał coś w rodzaju syndykalizmu, organizującego solidarność interesów międzynarodowych i opierał się na znanej akcji syndykatów rolniczych francuskich.
Wycieczka poobiednia na Forum Romanum i do Zamku św. Anioła była niezwykle ciekawa. Wycieczka odbyła się pod kierunkiem prof. Artioli, dyrektora Instytutu Historii Sztuki, jednego z najwytrawniejszych znawców przeszłości Rzymu, sztuki i kultury. Miły to przy tym człowiek – wesoły, dowcipny, towarzyski, typ zapewne Longobarda – mężczyzna wysoki i jasny szatyn. Palatyn i Forum Romanum zdążył on nam tylko częściowo pokazać, ale za to Zamek Anioła zaprezentował od a do z – z doskonałym i wyczerpującym objaśnieniem wszystkich szczegółów. Poznaliśmy całe dzieje zamku i każdy jego epizod, wiążący się ze starożytnością, z papiestwem, sztuką, fortyfikacją i więzieniem. Ze szczytu Zamku św. Anioła oglądaliśmy panoramę Rzymu. Potem gospodarze kongresu ofiarowali gościom herbatkę na jednym z tarasów Zamku Anioła. Była to wycieczka przepiękna. Była większość członków kongresu z żonami, poza tym szereg pań włoskich. Na wieczorne posiedzenie kongresu już nie poszedłem. Byłem zanadto zmęczony. Wieczorem miała być debatowana sprawa stosunków z Rosją. Między innymi referentem miał być Rosjanin Zagórski, były docent Uniwersytetu Petersburskiego na katedrze ekonomii politycznej, obecnie członek Międzynarodowego Biura Pracy w Genewie.
Na wycieczce przekonałem się, że jest wśród członków kongresu także Anglik, który jednak nie zna innego języka jak angielski i przeto nic z obrad kongresu nie rozumie i sam nie przemawia, choć na posiedzeniach jest regularnie obecny.
Voldemaras (który jest z żoną) na wycieczce nie był. Czy dziś przemawiał – nie wiem. Zdaje się, że jest on trochę znudzony kongresem. Z przyjemnością stwierdzam duży takt u Voldemarasa, którego się po nim nie spodziewałem. W szczególności ani razu nie dotknął sprawy polsko-litewskiej i w ogóle w żaden sposób Polski nie zaczepił, rozumiejąc, że byłoby to tutaj niewłaściwe. W innych wypadkach przedstawiciele Litwy na uroczystościach naukowych tego taktu i poczucia miary nie miewali.

26 kwietnia, rok 1924, sobota
Zbrzydł mi już i znudził porządnie ten banalny kongres, w którym wszystko jest pomieszane jak groch z kapustą. Ale skoro na kongres ten przyjechałem na koszt naszego uniwersytetu – muszę chodzić na jego posiedzenia, choćby dla celów informacyjnych. Taki też zresztą wyłącznie stał się mój udział w kongresie. Jeden raz głos zabrałem i więcej zabierać nie myślę, jeden raz zasiadałem w biurze prezydialnym – i tego dosyć. Voldemaras – ten się nie zraża, choć się także zapatruje sceptycznie na kongres. Ale ma on ambicję błyszczenia na pierwszym miejscu, ma tupet wielki, łatwość wypowiadania się na wszelkie tematy na zawołanie, wreszcie płynny i dobry język francuski. Ambicję mam i ja, ale mi brak tupetu i czuję, że mi brak słów w języku francuskim. A ponieważ obrady nie są ciekawe ani przeważnie treściwe i przeto nie usposabiają do dyskusji, a skądinąd kongres musi się ciągle śpieszyć, aby nadążyć programowi i przeto zabieranie głosu, gdy się nie ma pewności wypowiedzenia krótko i

lapidarnie rzeczy mądrej, jest przez członków kongresu niechętnie widziane jako marnowanie czasu – więc wolę milczeć. Litwa ma dość honoru z ciągłych przemówień Voldemarasa. Zresztą trafiają się czasem posiedzenia ciekawe i rzeczowe. Takim było posiedzenie dziś rano, poświęcone zagadnieniu stosunków z Rosją. Na kongresie zjawiają się coraz to nowe osoby; podczas gdy jedni po kilkakrotnym pokazaniu się nie przychodzą więcej, znajdują się inni, nowi, których Cosentini natychmiast pcha do prezydium. Tak oto dziś ukazał się Holender, Chińczyk i jakiś nowy Szwajcar – profesor z Fryburga, z których też uformowano prezydium (przewodniczył Holender). W prezydium zasiadał też stary Tönnies z uniwersytetu w Kiel – najpoważniejsza siła naukowa na tym kongresie, który zresztą nikogo nie reprezentuje formalnie i zaproszony został przez Cosentiniego na kongres osobiście – dla uświetnienia tegoż. Dyskusja nad problemem rosyjskim składała się z zagajenia, wygłoszonego przez Cosentiniego, który streścił tezy i wnioski kilku referatów, nadesłanych na ten temat przez osoby nieobecne (profesorów Rosjan Taube i Sorokina oraz prof. Ericha z Helsingforsu), następnie ze znakomitego pod względem formy i treści referatu młodego profesora Zagórskiego, który zna Rosję sowiecką, bo jeszcze za bolszewików był profesorem w Petersburgu, skąd dopiero przed dwoma laty wyjechał do Genewy, wreszcie z przemówień Voldemarasa i prof. Tönniesa. Zagórski uwydatnił kapitalne momenty społeczno-gospodarcze dokonywającej się w Rosji rewolucji. Oto nakreślone przezeń etapy tego procesu: katastrofa wielkiej szlacheckiej własności agrarnej, która ginie prawdopodobnie raz na zawsze, różniczkowanie się własności chłopskiej, która dokonywa ewolucji właśnie w kierunku indywidualistycznym, pomimo ogłoszonej przez bolszewików ustawy o nacjonalizacji tytułu własności ziemskiej, wydzielanie się gospodarstwie włościańskim typu kapitalistyczno-farmerskiego, opartego na pracy najemnej, rozkład kategoryczny „wspólnoty” ziemskiej („obszczina”, „mir”), w stosunkach miejskich i przemyśle oraz handlu narastanie nowej burżuazji, która w warunkach niezwykłych walki i obchodzenia prawa zdobywa giętkość i wyrasta wprost z ludu jako klasa nowa i idąca przebojem, co ją różni od starej przedrewolucyjnej burżuazji, która była inteligencka i cieplarniana, a którą rewolucja zmiotła całkowicie, wreszcie głęboka przemiana w proletariacie robotniczym, który jest solidarny z nową burżuazją, bo w przemyśle prywatnym ma lepsze warunki niż w przemyśle upaństwowionym biurokratycznym, utrzymywanym przez bolszewików. Takie są założenia społeczno-gospodarcze, które bynajmniej nie idą po linii polityki bolszewickiej i z których się wyłoni Rosja nowa. Bolszewików Zagórski traktuje jako czasowy czynnik rządowy, który w rewolucji może być nawet użyteczny jako ten, który dopomógł do rozbicia sił starych i wyzwolenia nowych, a jednak sam nie jest w stanie zapanować nad kształcącym się życiem nowym. Czynniki tego życia nowego są silniejsze od bolszewików i albo ich podporządkują, albo uprzątną. Referat Zagórskiego, ciekawy i poważny, może nieco zbyt kategoryczny i za mało się liczący z interwencją bolszewików jako jednym z realnych i silnych czynników kształtowania się stosunków i form społecznych w nowej Rosji, jeszcze bardziej uwypuklił swoim przemówieniem Tönnies, który słusznie zaznaczył, że wypadków w Rosji nie należy traktować przez pryzmat ujemnego szacowania aspiracji bolszewickich, bo ten przewrót, który się w Rosji dokonywa, jest głębszy od programów jakichkolwiek stronnictw aktualnych i w istocie swojej jest rzekomo dokonującym się podług konsekwentnych praw natury społecznej, przypominającym te przemiany, które Europa zachodnia przeżyła przed paru setkami lat. Bolszewicy bądź co bądź dają temu okresowi przejściowemu rząd, a wszelki rząd jest lepszy od anarchii. Że zaś bolszewikom się zarzuca terror – to w dobie takiego łamania się ustroju społecznego zjawisko terroru zawsze w tej czy innej postaci wypływać musi. Słowem, dyskusja w

sprawie rosyjskiej dzięki referatowi Zagórskiego była może najudatniejszym epizodem kongresu.

27 kwietnia, rok 1924, niedziela
Od obiadu wczoraj zastrajkowałem wobec kongresu. Na posiedzenie poobiednie wczoraj nie poszedłem i nie wziąłem dziś udziału w wycieczce zbiorowej członków kongresu nad morze do portu. Nie lubię tych wycieczek zbiorowych z gromadą ludzi, z którymi bliższych stosunków nie mam. Jestem samotnikiem i nudzę się na zebraniach i wycieczkach towarzyskich. Co zaś do wczorajszego posiedzenia poobiedniego, to nie straciłem nic na tym, że nie byłem obecny, bo jak wiem od Voldemarasa, toczyła się na tym posiedzeniu w dalszym ciągu polemika, zainicjowana ku końcowi posiedzenia porannego przez Peruwiańczyka p. Peccara przeciwko wywodom referatu Włocha prof. Ciamarry w sprawie kolonizacji. Polemika ta, bardzo namiętna ze strony Peccara, sekundowanego przez p. Luisi z Urugwaju, dotyczyła jakichś sprostowań co do Ameryki Południowej. Co prawda, niedużo z tej polemiki zrozumiałem, bo jak referat prof. Ciamarry był wygłoszony po włosku, tak repliki Amerykanów południowych były wygłoszone po hiszpańsku, ja zaś tych języków nie umiem. Coś tam Ciamarra był uogólnił w stosunku do Ameryki Południowej i powiedział coś, co się tym Kreolom nie podobało. Są oni niezmiernie drażliwi na punkcie szerszej ojczyzny – Ameryki Południowej – i są bardzo solidarni między sobą w przeciwstawieniu do Europy' wytykają przy lada okazji Europejczykom ich błędy, ignorancję i wszelkiego rodzaju wady, a stawiają za wzór swoją Amerykę jako doskonałość współżycia i cnót obywatelskich, urządzeń społecznych i prawnych itd. Nie ma to nic wspólnego z nauką i jest tylko komiczne. Dla obserwacji ciekawy jest tylko gorący temperament Peruwiańczyka.
Poobiedzie więc wczorajsze i dzień dzisiejszy poświęciłem zwiedzaniu Rzymu i sprawom osobistym. Zwiedziłem dość szczegółowo dwa piękne kościoły, pełne pamiątek i prześlicznych malowideł – kościół S. Maria Maggiore i kościół S. Giovanni wraz z dziedzińcem klasztoru laterańskiego. Oczywiście, że zwiedzając te kościoły bez przewodnika, udzielającego wskazówek, mam jeno bardzo niedokładne pojęcie o tym, co widzę i muszę się kontentować wrażeniami bezpośrednimi, które są z konieczności przygodne i nie ogarniają całej ekspresji rzeczy oglądanych. Są to bowiem rzeczy sztuki i kultury, które nie dość widzieć, lecz trzeba jeszcze znać i rozumieć. Pod tym względem tylko piątkowa wycieczka do Zamku św. Anioła i do Palatynu miała istotną wartość dzięki wyjaśnieniom doskonałym prof. Artioli. Choć Palatyn zwiedziliśmy wtedy tylko w malutkiej cząstce, jednak to, co widzieliśmy, poznaliśmy w całej perfekcji. W szczególności obejrzeliśmy ruiny najstarszego kościoła chrześcijańskiego w Rzymie z malowidłami ściennymi epoki pokatakumbowej, wśród których jest jeden z najstarszych znanych wizerunków Chrystusa Ukrzyżowanego, datujący się, zdaje się, z VII wieku (Chrystus ma na tym krzyżu oczy otwarte). Nie wiedziałem, że chrześcijanie w epoce katakumbowej, to znaczy wtedy, gdy byli jeszcze sektą prześladowaną, unikali emblematu krzyża i że w całej sztuce katakumbowej nie ma podobizny krzyża: ukrzyżowanie było bowiem śmiercią tak haniebną, przeznaczoną dla najpodlejszych zbrodniarzy, że chrześcijanie nie mieli ochoty reprodukowania swego Boga na krzyżu i nie chcieli się tym chwalić demonstracyjnie wobec świeżych adeptów.
Najszczegółowiej zapoznałem się z Zamkiem Świętego Anioła, który ma nie tylko prześliczną architekturę z zewnątrz, ale tez niezwykle ciekawą historię i cały szereg pięknych ozdób dekoracyjnych, malowideł i innych ciekawych zabytków w ubikacjach dawnego mieszkania papieskiego.

Wczorajsze i dzisiejsze oględziny samotne kościołów nie dały mi nic poza czysto podmiotowymi wrażeniami. Byłem tez wczoraj na wzgórzu Janiculum (Gianicolo), oglądałem piękny pomnik Garibaldiego wraz z perspektywą Rzymu i latarnią, ofiarowaną Rzymowi, którą poprzednio brałem z daleka za latarnię morską.
Wieczór wczoraj spędziłem w kawiarni w towarzystwie Voldemarasa i jego żony. Dziś byłem zaproszony na obiad do pp. Klimasów w poselstwie litewskim. Klimas mię namawia, bym pozostał i w początku ma ja – po skomunikowaniu się telegraficznym z Kownem i otrzymaniu odpowiedniego mandatu od naszego uniwersytetu – pojechał do Neapolu dla wzięcia udziału w uroczystościach 700-letniego jubileuszu tamecznego uniwersytetu i w mających się tamże jednocześnie odbyć kongresach filozoficznym i geograficznym, które będą poważniejsze od naszego socjologicznego. Nie mogę jednak pozostać, a zresztą nie bardzo się nadaję do roli reprezentacyjnej na kongresach. Dobry byłby do tego Voldemaras, ale ze względu na jego opozycję do rządu i na jego nieobliczalne czasem wystąpienia, które mogą kompromitować politykę litewską, Klimas nie decyduje się proponować mu tego. Klimas właśnie zajrzał wczoraj na nasz kongres i trafił na przemówienie Voldemarasa w sprawie rosyjskiej. Został zgorszony jednym ustępem tego przemówienia, w którym Voldemaras twierdził, że państwa tzw. kresowe (to znaczy Litwa i inne bałtyckie) wcześniej czy później będą tworzyły grupę orientującą się na Rosję. Klimas słusznie zaznacza, że takie oświadczenie z ust delegata Litwy może być przyjęte za uznanie tymczasowości tych państewek przez nie same. Opinia o ich tymczasowości jest bardzo rozpowszechniona i tym bardziej należy się jej przeciwstawiać.

28 kwietnia, rok 1924, poniedziałek
Voldemaras, choć ma wybitne kwalifikacje do udziału w kongresach – bo ma tupet, dużo i dobrze przemawia, jest słuchany i umie budzić zainteresowanie, a przeto reklamuje automatycznie Litwę, którą reprezentuje – jednak miewa szusy ujemne. Mam tu na myśli nie tylko to jego odezwanie się o skoordynowaniu się przyszłym państewek bałtyckich z Rosją, co z pewnością osłabia stanowisko niepodległościowe, które Litwa musi sobie dopiero wyrabiać w koncepcji układu międzynarodowego i potwierdza zarzuty, insynuowane poniekąd zasadnie przez Polskę o tym, że Litwa jest tylko ekspozyturą polityki rosyjskiej, ale także fakt częstego podkreślania przez Voldemarasa jego profesury poprzedniej w Rosji. Czyni to wrażenie, że Voldemaras nie uważa Uniwersytetu Litewskiego za tytuł do stanowiska naukowego i wobec powagi dawnych uniwersytetów rosyjskich ma go za quantité négligeable. Choćby to w pewnym stopniu było prawdą – jest to nielojalne dla reprezentanta tego uniwersytetu.
Wczoraj wieczorem wybrałem się na prześliczny koncert muzyki kościelnej – na „Missa Solemnis" (Msza Solenna) Beethovena, wykonaną w wielkiej sali Augusteum labo Augustao przez chór z 350 osób i orkiestrę pod kierunkiem wybitnego dyrygenta Bernardino Molinari. Taki koncert – to rzadkość, która się trafia zaledwie sześć razy do roku w Rzymie. Utwór Beethovena sam przez się jest piękny, pełny olbrzymiej ekspresji i głębi zaiste filozoficznej, a w wykonaniu włoskim jest on dziełem sztuki, jakiego nie słyszałem nigdy dotąd. Jeżeli koncert religijny wszędzie jest piękny, to w Rzymie jest on najpiękniejszy na świecie. Włochy – to kraj muzyki i śpiewu. Tu każdy facchini (tragarz) i każdy dorożkarz jeżeli nie śpiewa, to przynajmniej nuci. Koncert w Augusteo jest piękniejszy od opery. Całość kompozycji Beethovena ujmuje ledwie pięć krótkich tekstów – „Kyrie", „Gloria", „Credo", „Sanctus et Benedictus" i „Agnus Dei" – ale każdy z nich jest w tej kompozycji tak rozwinięty, że stanowi niemal każdy z osobna cały dramat natury ludzkiej w jej stosunku do Boga, to znaczy w ciągłym dążeniu do ideału i ciągłej nędzy upadku, dźwigania się, tęsknoty, a również majestatu,

doskonałości i szalonej potęgi i wielkości Boskiej. Ten koncert należy do najpiękniejszych epizodów mojego pobytu w Rzymie.
Dziś rano poszedłem na krótko na kongres. Sekcja ekonomiczna i zagadnień pracy była załatwiana z pośpiechem niesłychanym. Sekcja ta, ogarniająca cały szereg tematów i liczne referaty nadesłane, była załatwiona w ciągu jakiejś półtorej godziny. Był to tylko skrót pobieżny. Dyskusja była słaba – dotyczyła głównie zagadnień robotniczych w związku z działalnością Międzynarodowego Biura Pracy przy Lidze Narodów. Potem rozpoczęto obrady w zakresie sekcji VI, dotyczącej zagadnień tzw. eugeniki i biosocjologii. Prof. Barbera z Mesyny w Sycylii wygłosił po włosku referat o zagadnieniu naukowego doskonalenia rasy, po czym pani Luisi, podstarzała madonna demokracji, postępu i oczywiście społecznego (a jakże!) traktowania zagadnień seksualnych, których badaniom oddaje się naturalnie z pasją, rozpoczęła długą mowę na temat o tym, czy należy bezwzględnie walczyć ze sztucznym wytrawianiem płodu i czy nie należy raczej w pewnych razach sankcjonować i popierać sztuczne poronienie, gdy się daje tą drogą niszczyć w zarodzie ujemne i niechybne skutki dziedziczności. Nie dosłuchałem do końca seksualnej mowy p. Luisi, która poza tym ma w tejże sekcji wygłosić referat własny na temat moralności seksualnej, mianowicie „o konieczności moralności biologicznej jako podstawy moralności płciowej”. Uciekłem, bo mdło się robi, gdy na kongresie naukowym pod pretekstem badania naukowego podstarzała baba zaczyna się babrać w zagadnieniach seksualnych, co jej sprawia szczególną przyjemność, ale nie jest ani rozkoszne, ani ładne dla audytorium. W pozorach quasi-naukowej dyskusji wałkuje się publiczne rozpustne tematy prostytucji, chorób wenerycznych, spółkowania, zapłodnienia i wszelkich innych epizodów, dotyczących funkcjonowania organów płciowych. Pani Luisi wszystkich tych „problemów” należycie dotknęła, a że następnie miała jeszcze wygłosić specjalny referat w tejże materii płciowej, więc nie byłem tego ciekaw i wyszedłem.
Kongres właściwie już ukończony. Pozostaje jeno małe zagadnienie tzw. kooperacji intelektualnej, zorganizowanej przez Ligę Narodów, której się przy okazji robi tutaj reklamę. W ogóle, jak twierdzi Voldemaras i co zdaje się odpowiadać rzeczywistości, ten kongres jest zużytkowany dla celów propagandy Ligi Narodów i stanowi ekspozyturę jej akcji. Nie ma on cech bynajmniej kongresu naukowego. Międzynarodowy Instytut Socjologii w Turynie, który jest inicjatorem kongresu, jest dziełem prof. Cosentinego i jego żony, p. Lilly Franck, która mu sekunduje z właściwą kobietom ekspansywnością; ta jej ekspansywność aż do ckliwości ujawnia się na kongresie. Jako „pendant” do Instytutu jest wydawany przez Cosentinich organ socjologii i obcowania międzynarodowego pod tytułem „Vox Populorum”, który pani Cosentini gorliwie reklamuje. Instytut i pismo są w oczywistym kontakcie z biurami Ligi Narodów, od których muszą pobierać subsydium i muszą się im wysługiwać propagandą. Kongres ten jest, zdaje się, egzaminem użyteczności pp. Cosentinich dla akcji Ligi Narodów. Że chodzi o Ligę Narodów, a nie o naukę, świadczy o tym nie tylko liczba osób związanych w ten czy inny sposób z Ligą Narodów, które w tym kongresie biorą udział, i nie tylko dobór i układ tematów, ale też odpowiednie kierowanie dyskusji i formułowanie rezolucji; przystosowanie nauki do polityki Ligi Narodów *ad majorem* tejże *gloriam*.

29 kwietnia, rok 1924, wtorek
Dziś wyjeżdżam z Rzymu. Bilet kupiłem wczoraj w biurze Cooka – III klasy do Monachium. Wziąłem tylko do Monachium, bo ewentualnie poleciałbym stamtąd aeroplanem do Berlina, ale zapewne nic z tego nie będzie i pojadę koleją żelazną. Po drodze chciałbym stanąć w Innsbrucku. Zamierzałem wyjechać z Rzymu o godz. 5.30

po obiedzie, ale okazało się, że jest to pociąg „direttissimo”, w którym III klasy nie ma. Muszę wyjechać o 11 w nocy. Rzeczy mam ze sobą na dworcu, więc się już nie ruszam i czekam na pociąg. Nie urządza mię jazda tym pociągiem, bo przez Tyrol wypadnie mi jechać jutro po ciemku, a to jest najpiękniejsza część podróży.
Byłem dziś do południa na posiedzeniu kongresu, który się jeszcze nie zakończył. Od południa zaś do godz. 2 poświęciłem czas Watykanowi. Obejrzałem Bibliotekę Watykańską wraz ze wspaniałymi darami, ofiarowanymi w różnych czasach – przeważnie w wieku XIX – papieżom przez rozmaite osoby koronowane i niekoronowane oraz przez rozmaite grupy osób i wśród tych darów widziałem ogromną wazę czy miednicę na postumencie (nie wiem, jak ją nazwać), wykutą z jednolitego kamienia zielonego (nie znam się na kamieniach, więc nie wiem, jaki on jest – czy nie malachit?) – rzecz świetna i kosztowna, warta całej fortuny – ofiarowaną przez cara Mikołaja I papieżowi Grzegorzowi XVI. Ten dar – to cena krwi polskiej, której powstanie w r. 1831 Grzegorz XVI potępił, dając satysfakcję carowi. Wśród tych darów, eksponowanych w salach biblioteki, są rzeczy przepyszne, stanowiące najwyższy zbytek. Są tam zresztą i inne rzeczy ciekawe – rysunki map starych z czasów odkrycia Ameryki, numizmata, prześliczne miniatury kolorowe w starych księgach itd. Obejrzałem też stanze i loże Rafaela oraz Kaplicę Sykstyńską z jej nieśmiertelnymi malowidłami Michała Anioła. Gdy się widzi w Rzymie w naturze te rzeczy, o których się tyle słyszało, czytało, oglądało w reprodukcjach, to się zdaje, że się śni. Mam w tej podróży szkła bardzo mocne w moim pince-nez, toteż mogłem widzieć sławne kompozycje Michała Anioła na suficie Kaplicy Sykstyńskiej, ale nie tak doskonale, jak by należało. Co za przepaść między dziełami Rafaela a Michała Anioła. Pierwsze są wdzięczne i słodkie, melodyjne jak śpiew włoski, podczas gdy twory Michała Anioła są tragiczne, niepokojące, są tajemnicami straszliwymi jak tajemnice życia i śmierci. Te malowidła Michała Anioła są jak upiory wiecznych zagadnień, powstających wobec człowieka. W Kaplicy Sykstyńskiej straszno byłoby pozostać przez noc samemu.
Wracam jeszcze do kongresu. W ogóle bardzo niedokładnie, fragmentarycznie wspominałem o nim w dzienniku. Po powrocie do Kowna postaram się dać jeszcze szereg obserwacji o kongresie. Podług programu dziś miał się odbyć tylko akt zamknięcia kongresu. Na wszelki wypadek przygotowałem już nawet mówkę pożegnalną, o ile by mię zresztą Voldemaras nie uprzedził, bo z nim konkurować w świetności mowy nie jestem w stanie i poczucie niższości wobec niego mię onieśmiela, a występować jednocześnie obydwom delegatom Litwy nie ma sensu – chyba że mowa moja byłaby na równym poziomie oryginalności z mową Voldemarasa. Każde przemówienie Voldemarasa robi niemal furorę – jest on stanowczo najbardziej słuchany na kongresie, wszyscy są w jego słowa wsłuchani, a on głosi mowę jak ewangelista kazanie, audytorium go oklaskuje, przewodniczący wyraża mu publicznie podziękowanie i uznanie, ja więc wobec niego jestem w cieniu i ani marzę o konkurowaniu. Voldemaras jest na kongresie triumfatorem i to go napełnia dumą i zadowoleniem ambicji. Pewno więc i moja mowa pożegnalna nie doszłaby do skutku. Ale w ogóle nic z tego nie było, bo zamknięcia kongresu się nie doczekałem. Ponieważ porządek dzienny nie był wyczerpany, a ku końcowi kongresu coraz to nowe siły przybywały, więc dziś jeszcze posiedzenia toczyły się normalne. Na posiedzeniu rannym była omawiana sprawa tzw. kooperacji intelektualnej międzynarodowej, agitowana z łona Ligi Narodów. Na posiedzeniu poobiednim miały być sformułowane rezolucje w omawianej rano sprawie i miały być wyczerpane pozostałe tematy, w ich liczbie referat p. Luisi o moralności płciowej. Jednak na posiedzeniu poobiednim z powodu wyjazdu już nie byłem. Przewodniczył dziś Francuz Kergall z udziałem w prezydium Włocha Colojanni i milczącego Anglika, który stale bywał na posiedzeniach,

coś sobie notował, ale nie umiejąc języków używanych na kongresie nic nie rozumiał i tylko w przerwach informował się u Panamczyka o toku rozpraw.
Dziś stawili się na kongres jeszcze dwaj delegaci – ze Szwecji i Stanów Zjednoczonych. Ogółem więc były reprezentowane osobiście na kongresie następujące państwa: Włochy, Anglia, Francja, Niemcy (na razie było się zgłosiło kilku Niemców, ale pozostał i brał czynny udział tylko Tönnies), Polska, Litwa, Szwajcaria, Hiszpania, Holandia, Szwecja, Stany Zjednoczone, Chile, Urugwaj, Panama, Peru i Chiny,
O dzisiejszych obradach w sprawie międzynarodowej kooperacji intelektualnej powiem może innym razem. Był też wygłoszony dziś przez jakiegoś neofitę referat o języku międzynarodowym, zalecający jeszcze jakiś nowo wynaleziony „język" pod nazwą „unilingua", który ma być rzekomo doskonalszy od wszystkich wynalezionych dotąd „volapüków", esperanto, ido itd.

30 kwietnia, rok 1924, środa
Wyjechałem więc z Rzymu wczoraj w nocy o godz. 11.25. Była noc, więc obserwować z wagonu kraju nie mogłem. Drzemałem smacznie – i tyle. Wieś podrzymska jest zresztą wyjałowiona, nieciekawa, zwyrodniała w półdzikie pastwiska owiec – niedużo więc straciłem, żem jej nie widział. Do Florencji przyjechałem już za dnia, toteż stamtąd już nie spałem. Pierwsza część drogi – z Rzymu do Bolonii – stanowi wielką arterię komunikacyjną na Mediolan i Wenecję, toteż pociąg – pełniutki. Przeciętny typ Włochów w podróży na północ od Rzymu znacznie się różni od typu, jaki się widzi ku południowi. Mniej tu typów czarnych i wełniastych, ludzie są przeciętnie wzrostu wyższego, temperamentu spokojniejszego i głębszego, jest pewien procent jasnowłosych. W podróży przez Włochy niezmiernie miły jest stosunek towarzyszy podróży. Tak spokojnego, łatwego i giętkiego w obcowaniu ludu, jak włoski – prawie się nie spotyka. Pod tym względem z mego doświadczenia podróżnego porównać mogę z Włochami tylko Serbów, którzy są równie uprzejmi i serdeczni. W ogóle muszę stwierdzić, że ani razu we Włoszech, w żadnej okoliczności, nie wyłączając uliczników neapolskich, nie doświadczyłem i nie zaobserwowałem uchybienia grzeczności. Jest to rzecz bardzo w podróży przyjemna.
Droga z Florencji do Bolonii prowadzi przez Apeniny i na ogół jest ładna. Jednym z epizodów krajobrazu, który tu szczególnie lubię, są prześliczne piramidalne topole włoskie, które są dla mnie wspomnieniem Bohdaniszek z moich lat dziecinnych, bo dziś już topoli w Bohdaniszkach nie ma. Tu w swej ojczyźnie topole są piękniejsze niż gdziekolwiek.
Przed Bolonią urywają się Apeniny i otwiera się wielka Równina Lombardzka, która jest zarazem jednym z najpiękniejszych ogrodów Europy. Północne Włochy na tej równinie – to świat zupełnie inny, niż reszta Włoch. Równiną tą jadę z Bolonii przez Modenę i Mantuę aż do Werony. Na tej linii ruch jest mniejszy i przeważnie lokalny. Trochę tylko Niemców jedzie tędy tranzytem na Innsbruck-Monachium. W ogóle Niemców podróżujących po Włoszech w tym roku bardzo dużo. Widziałem ich w Rzymie i w Neapolu, i wszędzie po drodze. Podróże do Włoch są zresztą w tradycji niemieckiej, ale niska waluta niemiecka w roku zeszłym tamowała ich turystykę. Teraz „Gots-marka" znów ich pod tym względem na nogi postawiła.
W Weronie znów przesiadłem do innego pociągu, który idzie na Brenner – do nowej granicy austriackiej. Zaraz za Weroną rozpoczyna się podgórze alpejskie, które od razu ostro się podnosi. Jest to wjazd do Tyrolu, który obecnie po wojnie podzielony został między Włochami a Austrią. Kolej biegnie doliną Adygi w górę. Wkrótce przekraczamy starą przedwojenną granicę włosko-austriacką i jesteśmy w Tyrolu włoskim, świeżo po Wielkiej Wojnie zaanektowanym przez państwo włoskie. W

wagonie publiczność mieszana – niemiecka i włoska. Kto wie, czy nie więcej Niemców niż Włochów. Wprawdzie większość tych Niemców tylko przejeżdża tędy w powrocie z Włoch do Vaterlandu, ale są i miejscowi Niemcy. Słychać to po rozmowach, które prowadzą z Niemcami przejezdnymi. Na ogół wyrażają się z przekąsem o aneksji włoskiej tych ziem, oderwanych od Austrii. W szczególności jako argument najważniejszy słyszałem opowiadanie o upadku Triestu, który stracił swoje znaczenie portowe z chwilą, gdy został granicą odcięty od hinterlandu austriackiego, o niezadowoleniu samych nawet Włochów triestańskich itd.
Ponieważ chciałem jechać przez piękny Tyrol tak włoski, jak austriacki we dnie, postanowiłem przenocować w Trento (Trydencie) – jednym z głównych miast zaanektowanej doliny Adygi. Tak też uczyniłem.
Trydent – niewielkie miasteczko, otoczone dokoła górami. Robi wrażenie miasta czystego, co jest widocznie spadkiem po Austriakach, bo to nie jest zaletą włoską. Nie ma nawet tramwaju. W mieście ruch, zdaje się, wyłącznie pieszy. Zastałem Trydent udekorowany barwami narodowymi włoskimi i królewskimi Domu Sabaudzkiego, iluminowany, świąteczny. Przejeżdżał dziś tędy królewicz następca tronu włoski książę Humbert, jedyny syn króla Wiktora-Emanuela III, czyniący wycieczkę po świeżo zaanektowanym Tyrolu. W mieście pełno ruchu, mnóstwo mundurów wojskowych włoskich, pełno faszystów w charakterystycznych koszulach czarnych. Wszyscy usiłują się przelicytować w gorliwości patriotycznej, a z pewnością nie są najmniej gorliwi ci, co przed kilku laty manifestowali w tym samym Trydencie czarno-żółty lojalizm habsburski, święcąc „zwycięstwa" austriackie nad „wiarołomnymi" Włochami. *Tempora mutantur*. Wszyscy paradują językiem włoskim, niemieckiego nie słychać – jest nielojalny; żeby się rozmówić po niemiecku, gdy się nie umie po włosku (a po niemiecku umieją tu wszyscy), trzeba mówić szeptem i na stronie. Język niemiecki jest tu bardziej zahukany, niż polski w Kownie; jest zahukany tak, jak np. polski na kolejach żelaznych w Litwie, gdzie publicznie się nim nie mówi, zachowując go jeno do użytku prywatnego. Wieczorem w Trydencie gwar, ludzie podochoceni, śpiewy, ciągnę gromadki młodzieży z pieśnią faszystów. Echo murów i gór roznosi głosy.

1 maja, rok 1924, czwartek
W Trydencie znać jednak silny neofityzm patriotyzmu włoskiego. Robi to wrażenie, jak żeby ludzie się lękali posądzenia o sympatie austriackie i dlatego na wyścigi się przesadzali w najbardziej demonstracyjnym manifestowaniu swej włoskości. *Il parait qu'ou est ici plus italien qu-eu ancienne Italic fachiste même*[177]. Taki prozelityzm jest zwykle podejrzany. Nie chcę przez to bynajmniej poddawać wątpliwości zasadność zjednoczenia Tyrolu włoskiego z Królestwem Włoskim, bo Włosi tyrolscy są dziećmi tejże Italii z mowy i serca, ale faktem być musi, że w tym jaskrawym i głośnym manifestowaniu się uczuć włoskich najgłośniejszymi starają się być bodaj ci, co do niedawna byli najgorliwszymi Austriakami. Dziś boją się oni własnego cienia czarno-żółtego i dlatego nawet język niemiecki, powszechnie tu znany, jest przez nich w takim Trydencie skwapliwie negowany; publiczne odezwanie się po niemiecku uchodzi u nich za rzecz niewłaściwą, której starają się unikać; gotowi są nawet udawać, że nie umieją po niemiecku. Parokrotnie to w mojej krótkiej obserwacji spostrzegłem.
Wyjechałem z Trydentu o godz. 9 rano. W Bolzano (Bozen) trzeba było zmienić pociąg. Jadę pociągiem idącym na Monachium. W wagonie prawie sami Niemcy. Włochów prawie nie ma – z rzadka trafiają się tylko na krótki przejazd między stacjami lokalnymi. Niemcy prawie wszyscy – tranzytowi. Krajowców Niemców zaledwie paru.

---

[177] Wydają się być bardziej włoscy, niż nawet sami starzy faszyści.

Słyszę dyskusję między „Reichsdeutschem”, to znaczy Niemcem z Niemiec właściwych, a Niemcem miejscowym poddanym włoskim. Reichsdeutsch sprzyja Włochom i usprawiedliwia ich, stwierdza na zasadzie doświadczeń własnej podróży, że u Włochów są żywe sympatie dla Niemców i że Włosi w Wielkiej Wojnie nie mieli nic przeciwko Niemcom, jeno walczyli wyłącznie przeciwko Austrii, którą Włosi tradycyjnie nienawidzili i od której chcieli odzyskać resztę ziem narodowych włoskich, słusznie się im należących. Niemiec miejscowy nie zgadza się z tą koncepcją i wygaduje na Włochów, na ich akcję w prowincjach świeżo zaanektowanych, kwestionuje wreszcie zasadność samej aneksji tych ziem. Bądź co bądź to duży i piękny kawał ziemi, którym Włosi po wojnie powiększyli swoje królestwo. Od Trydentu do nowej granicy w Brenner jedzie się pociągiem „treno diretto” całe cztery godziny. Ale im bliżej granicy, tym, zdaje się, ludność coraz bardziej mieszana, coraz wyraźniejsze ma cechy niemiecko-autriackie. Typ fizyczny coraz mniej włoski. Na stacjach tragarze (facchini) i służba kolejowa niższa – typowo austriackie – typowe figury „treniarzy” austriackich z Wielkiej Wojny, ciągnących się z taborami wojskowymi za szeregami czołowymi armii liniowej; te same typy zbiedzone, chude, apatycznie niezdarne, dobrze nam wszystkim pamiętne na wojnie, pesymistyczne, tchórzliwe, szerzące popłoch, gotowe zawsze do ucieczki lub masowego poddania się, wydrwiwane i pogardzane przez dzielne wojsko niemieckie. Figury te są charakterystycznie międzynarodowo-austriackie, to znaczy nijakie – ani włoskie, ani niemieckie, ani inne. Teraz są one ubrane w czapeczki włoskie i na tym koniec ich metamorfozy narodowo-państwowej. Od Bolzano napisy na stacjach kolejowych dwujęzyczne – po włosku i po niemiecku. Góry wciąż rosną i my też wraz z doliną Adygi coraz wyżej się podnosimy. Pogoda zaczyna się stawać kapryśna. Na ogół jest dość słonecznie, ale często się góry przelotnie zachmurzają, wreszcie im dalej – tym częstsze w górach mgły i deszcze. Temperatura coraz niższa. Cofamy się w naturze do wiosny coraz wcześniejszej. Drzewa się dopiero zaczynają zaliściać. Wreszcie między godz. 12 a 1 po południu pociąg nasz, ciągniony i pchany dwiema silnymi lokomotywami górskimi, zaczyna się stromo piąć w górę na przełęcz Brenneru, dzielącą spady doliny Adygi od skłonów, spadających ku dolinie Innu. Jest to naturalna granica włosko-niemiecka, dzieląca dziś państwo włoskie od Austrii i przecinająca stary Tyrol historyczny. Przekraczamy obecną wiosenną linię śniegu. Mamy płaty śniegu przy drodze, miejscami leżą one nawet niżej toru kolejowego. Wreszcie zaczyna śnieżyć, choć śnieg padający wnet topnieje. Oto stajemy na stacji Brennero, która jest pograniczną stacją Włoch. Stacja położona jest na wysokości 1370 metrów nad poziomem morza. Zimno, śnieży. Teraz od strony austriacko-niemieckiej Włochy już bodaj zrealizowały całkowicie zjednoczenie swoich ziem narodowych. Jeżeli się jeszcze w tym względzie ich apetyty będą ujawniać – to już nie na Niemcy, lecz na Francję, która ma włoską Niceę i Sabaudię i ewentualnie na językowo włoską część Szwajcarii. Jakaś akcja faszyzmu włoskiego w Nicei się już ujawnia, a i pogranicze włosko-szwajcarskie nie jest wolne od fermentu nacjonalistycznego włoskiego.

W Brennero Włosi trzymają nas całą godzinę, załatwiając formalności graniczne. Podróżni Niemcy się niecierpliwią i sarkają na Włochów. Pomiędzy faszystami w Brennero, którzy się tam licznie kręcą, jak wszędzie we Włoszech, stanowiąc przede wszystkim milicję, a poza tym ujawniając się wśród młodzieży swymi charakterystycznymi koszulami czarnymi – widać typy, które stanowczo nie są miejscowymi, jeno importowanymi z głębi Włoch: są to typy o włosach wełniastych, fryzujących się naturalnie i tworzących *sui generis* czapkę naturalną na głowie. Ci na pewno nie są Tyrolczykami.

Wreszcie pociąg rusza i biegnie prędko z przełęczy coraz niżej. Wyjechaliśmy z terytorium Włoch – jesteśmy w Austrii. Pociąg staje w Steinbach in Tirol. Ukazują się żandarmi i urzędnicy celni i kolejowi austriaccy w typowych czapeczkach austriackich dawnego fasonu. Rewizja paszportów i rewizja bagaży w wagonie. Ruszamy dalej. Za pół godziny pociąg staje w Innsbrucku – stolicy umniejszonego Tyrolu. Wysiadam, bo dziś w Innsbrucku zanocuję.

2 maja, rok 1924, piątek
Innsbruck znam trochę – byłem tu przed laty 20: będąc studentem Ecole des Sciences Politiques, wracałem na wakacje z Paryża do kraju i okazyjnie dostałem bilet z Paryża na Alzację, Szwajcarię, Tyrol, Wiedeń, Warszawę. Odbyłem wtedy tę podróż prawie bez pieniędzy i prawie o głodzie, mając tylko bilet w kieszeni, ale podróż przeciągałem umyślnie i wszędzie stawałem po drodze, aby jak najwięcej nowych miejscowości poznać. W Innsbrucku spędziłem wtedy pół dnia. Podobał mi się i pozostał żywo w pamięci, a lubię bardzo wracać po pewnym czasie do miejsc, w których byłem i przypominać je sobie. Może to i nie ja tu byłem, bo podobno całe ciało człowieka co pewien czas przez stopniową wymianę materii się odnawia, więc może jestem dziś cały inny, niż byłem wtedy, będąc młodzieńcem 24-letnim. Ale jeżeli to nie ja obecny tu byłem, to w każdym razie był to człowiek najbliższy mnie obecnemu z ludzi, którego zastąpiłem stopniowo i którego [jeśli] nie materialne cząstki, to w każdym razie przecie coś z czucia i pamięci pozostało we mnie obecnym – bo jest ciągłość w tej przemianie materii, która tworzy ową osobowość, ową „duszę" stałą człowieka, wędrującego przez transformacje materii. I w tym powrocie do rzeczy i zjawisk dawnych dusza odnajduje siebie, porównywając się w dwóch ciałach różnych – tam w ciele młodzieńca, studenta paryskiego, tu w ciele mężczyzny starzejącego, profesora, sędziego, pełnego doświadczenia w życiu za sobą, a jednak ciągłego w tych dwóch fazach wcielenia zmysłowego.
I tym razem Innsbruck podobał mi się nie mniej, niż przed laty 20. Położony w dolinie Innu i ze wszech stron górami zamknięty, przedstawia on teraz na wiosnę piękny widok kontrastu między wiosną w rozkwicie u dołu a pełnymi śniegu wierzchołkami gór, których białość oślepiająca i bliska kojarzy się z błękitem nieba słonecznego. Wkrótce jednak po przyjeździe moim do Innsbrucku góry zaczęły się chmurzyć i kapryśna pogoda górska zaprószyła deszczem słoneczną chwilę wjazdu. W Innsbrucku zastałem święto 1 maja. W pobliskich Włoszech, które dopiero co opuściłem, wielmożny faszyzm wyrugował wszelkie przejawy socjalizmu; nie ujrzysz tam żadnych znaczków czerwonych ani żadnego zamanifestowania święta rewolucyjnego 1 maja. We Włoszech żadne manifestacje socjalistyczne nie byłyby dziś do pomyślenia – nastrój panujący faszyzmu przeciwstawiłby się jej kategorycznie; tu w Innsbrucku austriackim wszystko tchnie socjalistycznym 1 maja: magazyny pozamykane, ludzie chodzą z kokardami czerwonymi, tramwaje, kawiarnie – udekorowane zielenią ze wplecioną w nią barwą czerwoną. Biedny smutny lud zwyciężonego kraju szuka ukojenia w wierze w ideały rewolucyjne międzynarodowe i w tych emblematach rewolucji i rozkładu czerpie pewną pociechę i pewien smutny narkotyk do wytrwania. Nie jest to prąd rewolucyjny zdobywczy i silny, jeno cicha poezja tęsknoty, jakiś Weltschmerz biednej Austrii. Jej szczątki, skurczone i okrojone, zdrobniałe z Wielkiej Monarchii Europejskiej do małej Republiki Deutsch-Oesterreich, którym odebrano walor mocarstwowy i nie pozwolono zastąpić go nowym walorem narodowego zjednoczenia z Rzeszą Niemiecką, są czymś dziwnym i nieokreślonym, nielogicznym i pozbawionym wszelkiej indywidualności, wszelkiego uzasadnienia w psychice popularnej. Lud szczątkowy Austrii tęskni i choruje na Weltschmerz: śnią mu się wspomnienia habsburskie lub roją ideały

Zjednoczenia Niemieckiego – a to i drugie jest mu odjęte. Ze swą obecną teraźniejszością „deutsch-austriacką" nie wie co robić i żadnych w niej nie zakłada ideałów. I przypina w dniu 1 maja kokardę czerwoną jako symbol nie tego Socjalizmu Wielkiego, co tworzy nowe światy ludzkości, ale tęsknoty i rozkładu uczuć ludowych, którym kazano wisieć w nienaturalnym przestworzu – między przeszłością i przyszłością – w próżnej wegetacji. Gdym przyjechał wczoraj do Innsbrucku, wziąłem pokój w jednym ze świecących pustką hoteli na placu przy dworcu kolejowym i poszedłem na miasto. Miałem jeszcze kilka godzin dnia przed sobą. Zużyłem je na wycieczkę małą. Pojechałem do podmiejskiego Hungerburga wpierw tramwajem, stamtąd funiculairem na 700 metrów wysokości, a stamtąd ruszyłem w górę pieszo w kierunku na Arzlenalpe. Wszedłem w las jodłowy i piąłem się przez trzy kwadranse w górę, chcąc dotrzeć do pierwszego śniegu. Byłem otoczony lasem rodzimym w stylu zupełnie naszych lasów litewskich o wczesnej wiośnie, który mię przeniósł w inny świat, jakby w coś biegunowo przeciwne słonecznym Włochom, które dopiero co pożegnałem. Dokoła bór, gdzieniegdzie się ukazują pierwiosnki – pierwsze zwiastuny budzącej się wiosna natury, a deszczyk drobny mży zupełnie jak u nas w kwietniu. Czułem się jakby u siebie – po śnie italskim, nienaturalnym dla przybysza z Litwy. Wreszcie natrafiłem w lesie na pierwsze płaty śniegu. Po wycieczce tej wróciłem do miasta. Musiałem być wysoko, bo samo schodzenie do funiculaire'a zajęło mi pół godziny czasu. W Innsbrucku dużo się widzi ludzi udających się lub wracających z wycieczek w góry dla sportu biegania na ski. Ten sport zimowy jeszcze tu o tej porze roku w pełnym rozkwicie. Wieczorem chodziłem po mieście, zaglądałem do kawiarenek. Miasto ciche – tylko tramwaje i ruch wyłącznie pieszy. Kilka dorożek widziałem, stojących na placach lub na Marie-Teresiestrasse, ale nie widać, by ktoś z nich korzystał. Za to kawiarenki wieczorem są pełne życia i typowo niemieckiej mieszczańskiej „Gemütlichkeit". Ludzie tam siedzą, gawędzą, grają w karty, w bilard, pędzą swoje życie powszednie w codziennym trybie cichych wieczorów kawiarnianych. Dziś wyjechałem z Innsbrucku.

3 maja, rok 1924, sobota
Wczoraj wyjechałem z Innsbrucku. Pomimo że miałem bilet z Rzymu kupiony aż do Monachium ze wskazaniem drogi z Innsbrucku przez Kufstein, jednak dałem się skusić opowieściom o pięknej drodze koleją elektryczną na Mittenwald, kupiłem bilet na tę kolejkę i wyjechałem nią z Innsbrucku w południe. Straciłem na tym 118 tysięcy koron austriackich, co wynosi wartość mniej niż 1 ½ dolara, ale za to zyskałem kawałek podróży ładnej. Kolejka elektryczna na Mittenwald pnie się od samego Innsbrucku mocno w górę, otwierając w drodze coraz to piękniejszy widok na dolinę Innu i perspektywę gór za nią. Przebiega tunele i tuneliki, przemyka się nad wąwozami górskimi i przepaściami, wreszcie przekracza linię obecną śniegów, których duże płaty ukazują się w zacienionych miejscowościach lasu i w cienistych rowach przy drodze. Wreszcie dojeżdżamy do najwyższego punktu drogi, do Seefeld bardzo wysoko położonej doliny górskiej z jeziorem i wsią kościelną. Roślinność tu jeszcze nie rozwinięta, a lasku iglastym, spuszczającym się ze zbocza góry po samo wybrzeże jeziora, widać pełno śniegu aż do samego poziomu doliny. Od Seefeld kolej stopniowo się spuszcza, ale że spuszczamy się po zboczu północnym, więc długo jeszcze spotykamy śnieg po drodze na poziomach już zapewne znacznie niższych, niż poprzednio przy wspinaniu się na górę od strony Innsbrucku. Na stacji Mittenwald granica austro-bawarska. Rewizja paszportów i rzeczy idzie szybko, na stacji piękna Bawarka, podobna do Józi Pruszanowskiej *en beau*, sprzedaje piwo i Würstchen; po pewnym czasie jedziemy dalej. Na jednej ze stacji bawarskich kończy się kolejka

elektryczna mittenwaldzka i trzeba się przesiadać do pociągu zwyczajnego – parowego. Wkrótce góry się zniżają, otwierają i tak samo szybko i nagle, jak od strony południowej Alp – od Werony i Mediolanu – urywają się i pociąg wyjeżdża na wielką równinę, która mię już nie opuści do samego Kowna. Przez czas jakiś widać jeszcze w pobliżu śnieżne wierzchołki gór, które coraz to maleją i uciekają w dal. Choć jesteśmy na równinie, jednak roślinność tu mało rozwinięta – żadnego porównania ze stanem na południu Alp, a nawet mniej roślinności, niż w Innsbrucku. Zdaje mi się nawet, chociaż to mnie samego dziwi, że pod Monachium rozwój wiosenny roślinności jest dopiero taki, jaki przed przeszło dwoma tygodniami obserwowałem w Nadrenii pod granicą szwajcarską, choć te punkty są względnie bliskie sobie i oba położone na północ od Alp. Po przyjeździe do Monachium zjadłem na dworcu obiad, kupiłem bilet do Eytkun i nie zaglądając do miasta, którego zresztą nie znam, wieczornym pociągiem odjechałem na Berlin. Dziś rano obudziłem się pod Lipskiem, w kraju przemysłowym, pełnym fabryk. Czułem się już na północy, w zupełnie innej atmosferze, niż słoneczna Italia lub Tyrol. Niebo pochmurne, ciemnoszare, zieleni – prawie nie ma. Pod Berlinem zaczął padać deszcz, dzień słotny, jakiego nie widziałem tam na południu. W Alpach też doświadczałem deszczu, ale tam pogoda jest kapryśna, deszcze są krótkie, słota kojarzy się z pogodą. Tu dopiero zaczynają się te nasze ciężkie trzydniowe deszcze i niebo, które gdy się zachmurzy – staje się ołowiane i z barwy, i z niewzruszalności powłoki chmurnej. W Berlinie przejechałem tylko z dworca Anhalckiego na Friedrichstrasse i o godz. 9 rano wyjechałem dalej. Chłód w wagonach, okna pozamykane, można już siedzieć w paltocie, co mi jest na rękę, bo ubranie moje jest przez drogę zniszczone i poplamione. W Cüstrin dopiero wiosenny wylew Odry, łąki zalane, traw prawie żadnych. Wjeżdżamy w Korytarz Polski pod Chojnicami. Pierwszy raz przejeżdżam przez ten korytarz we dnie. Na stacjach wywieszone chorągwie narodowe z powodu święta 3 maja. Przyglądam się nowym ziemiom polskim, cieszę się rewanżem słowiańskim nad zachłannością niemiecką, ale zadaję sobie pytanie, czy zdoła Polska, skonstruowana tak dziwacznie systemem korytarzowym, utrzymać te korytarze – zarówno zachodni, gdański, który się jej słusznie należy, jak wschodni, wileński, którym tak fatalnie zepsuła ona politykę wschodnią, usposabiając przeciwko sobie Litwę i Białoruś i tracąc stanowisko naturalnej rzeczniczki wolności tych ziem, naturalnego sztandaru, pod którym ten zespół ludów byłej Rzeczypospolitej byłby się gotów skupić do wspólnej obrony przed moskiewskim i niemieckim zalewami. Puste marzenia! „Egoizm narodowy” współczesny nie chce znać tych solidaryzmów równości. Korytarzowa Polska albo straci swe korytarze wobec Rosji i Niemiec, które się odchwycą – a ich strata zagrozi niepodległości Litwy i litewskiemu posiadaniu Kłajpedy – albo będzie musiała skonsolidować swoją pozycję korytarzową przez pochłonięcie Litwy i Prus Wschodnich, lecz na takie dzieło konsolidacji Polska będzie zapewne za słaba, bo wymagałoby ono wielkiej mocy nie tylko bynajmniej militarnej na pierwsze zapanowanie, ale zwłaszcza mocy tak gospodarczej, jak społeczno-kulturalnej i w szczególności narodowej na spojenie ziem skonsolidowanych z Polską. Korytarzem Polskim wjeżdżamy przez Malbork krzyżacki do Prus Wschodnich. Pod Królewcem ocieramy się o Bałtyk i pędzimy dalej. Koło północy pociąg staje w Eytkunach. Tu się dowiaduję, że pociąg ten nie koresponduje z żadnym litewskim i że muszę nocować w Eytkunach. Zabieram się do hotelu i chrapię.

4 maja, rok 1924, niedziela
Wstałem wcześnie i pośpieszyłem na dworzec kolejowy, gdzie musiałem czekać na nadejście pociągu pośpiesznego z Berlina. Dopiero wraz z pasażerami tego pociągu miałem przebyć cały czyściec rewizji celnej i wszelkiej innej procedury przekroczenia

granicy, która tu na pograniczu niemiecko-litewskim zachowała całą klasyczną formalistykę dawnych czasów. Do nadejścia pociągu z Berlina miałem jeszcze przeszło godzinę czasu. Wypiłem kawę w bufecie i przyglądałem się życiu stacji, Dziś w Niemczech dzień wyborów sejmowych. Stronnictwa umiarkowane dotychczasowej większości rządzącej – centrum katolickiego, demokratów i zjednoczonej socjalnej demokracji – walczą z maksymalistycznymi skrzydłami skrajnymi prawicy i lewicy – z grupami nacjonalistów i z komunistami. Z pozorów wnosić można, że skrzydła krańcowe mają w usposobieniach niemieckich najgłębsze oparcie, zaś umiarkowany kierunek republikańsko-demokratyczny obecnych Niemiec żadnych gorliwych wyznawców nie posiada, a jeżeli ma swoich rzeczników, to ci się trzymają szeregu li tylko rozsądkiem i dyscypliną, lecz nie żadnym uczuciem głębszym i żadnym porywem nastroju popularnego. Zresztą zwycięstwo pokaże, które grupy i kierunki dominują w obecnych Niemczech. Tymczasem strony się ujadają w prasie. Między prawicą nacjonalistyczną reakcyjną a obozem demokratycznym toczy się szermierka, licytująca się w pomawianiu przeciwnika o szkodzenie Niemcom wobec zagranicy. Nacjonaliści nazywają stronnictwa umiarkowane stronnictwami zagranicy, wysługującymi się znienawidzonej w Niemczech Francji i pachołkami Żydów. Demokraci, podnosząc swoje zasługi w uporządkowaniu finansów i zwłaszcza waluty, twierdzą, że zwycięstwo nacjonalistów odpowiadałoby życzeniom Poincarégo, czekającego tylko okazji do jeszcze większego pognębienia Niemiec, ujawniających niesforność i awanturniczość.
Na dworcu w Eytkunach widziałem tylko mały obrazek agitacji wyborczej w stylu zresztą doskonałej dyscypliny pruskiej: wewnątrz dworca przy drzwiach wyjściowych ustawili się w szeregu jak żołnierze karni agenci wyborczy różnych grup wyborczych z plakatami agitacyjnymi i z nazwą stronnictwa zawieszonymi na piersiach, i z paczką kartek wyborczych w ręku. W doskonałej harmonii ładu zewnętrznego stali obok siebie: jakiś wyrostek nędzny reprezentujący partię komunistyczną, gruby mężczyzna z plakatami nacjonalistów, jakiś inny z ramienia „christlich-demokratische" grupy, paru innych z ramienia jakichś list zawodowych politycznych. Nie było między nimi kłótni ani dyskusji, wszyscy stali milczący i karni. Urzędnicy stacyjni przyglądali się im, podchodzili do tego lub innego, gawędzili, rozpytywali – i oto wszystko.
Ale oto przyszedł pociąg z Berlina. Zaroiło się na sali rewizji celnej, która tu stosowana jest nie tylko do wjeżdżających, ale i do wyjeżdżających z Niemiec, czego nigdzie na żadnej innej granicy nie spotykałem nigdy. Rewizja zresztą i inne formalności (paszportowe i inne) załatwione zostały szybko z doskonałą niemiecką sprawnością mechaniczną i publiczność zainstalowała się w pociągu, który ją przewiózł do Wierzbołowa litewskiego. Tu znowu rewizja celna na dworcu i przesiadanie do nowego pociągu – ekspresu na Rygę.
Od granicy do Kowna jechałem II klasą. W tymże wagonie jechała ze mną cała garść podróżnych, udających się na Rygę do Rosji, z Rygi bowiem idzie do Moskwy pociąg pośpieszny rosyjski. W liczbie tych podróżnych było grono jakichś agentów bolszewickich z poselstwa rosyjskiego w Berlinie – mężczyzn i panien. Sprawiali oni przez całą drogę na mnie wrażenie wstrętne, wprost obrzydzające – swoim nieopisanym sobkostwem, dbałością o wygody, afiszowaniem komfortu, słowem – wszelkimi cechami burżujów najgorszego gatunku parweniuszy, zgoła nie licującymi z ideałami komunizmu, z hasłami rewolucyjnymi braterstwa i nowego świata stosunków ludzkich. Kwiaty, czekolada, zbytek, podkreślanie komfortu, szafowanie pieniędzy, używanie w wagonie restauracyjnym, rozmowy, z których płynęła jedna myśl – wygody i użycia – wszystko to jest w rażącej sprzeczności z tymi hasłami, które komuniści szerzą w masach za granicą. Nie ma dla nich w nocy innej jazdy, jak w wagonie sypialnym, nie ma bodaj innego bożka, jak komfort – tym są tylko pełne ich rozmowy. Wszyscy oni

pozują na zblazowanych burżujów, nie mających nic wspólnego z emancypacją krwawą proletariatu. Tacy ludzie – śmieci rewolucji – są chyba przez bolszewików wybierani dla kompromitowania komunistów w oczach tych ludzi za granicą, którzy się z nimi przygodnie stykają. Toteż nie są to żadni bojownicy proletariatu i nowej ludzkości, jeno bydło zdemoralizowane parweniuszy i karierowiczów, pasożytów może błądzącego, ale pięknego komunizmu rewolucji bolszewickiej. Takie bydło umie się urządzić i ono tez się przeważnie snuje po zagranicy. I co jest charakterystyczne, że pośród tych ludzi tylko jedna dziewczyna złotowłosa, sympatyczna, choć zmanierowana, była widocznie Rosjanką z akcentu, typu i temperamentu, reszta zaś – to widoczne było – ludzie o typie i akcencie nierosyjskim, jacyś Żydzi, Polacy i Bóg wie zresztą kto. Ich język – to tylko żargon rosyjski. Komuniści powinni by przede wszystkim tych swoich adeptów fałszywych uprzątnąć, bo to są ich pijawki. A z jaką to pogardą, z jakim oburzającym cynizmem ci ludzie drwili z Litwy, przez którą przejeżdżali! Chciało się ich w łeb trzasnąć, bo oczywista, że w sercu drwią oni i pogardzają równie szczerze ludem rosyjskim, z którego łaski używają.
O godz. 2 przyjechałem do Kowna. Moja podróż rzymska skończona.

5 maja, rok 1924, poniedziałek
Skończyła się więc moja piękna podróż rzymska. Może się ona nie udała ze względu na jej cel formalny – na Kongres Socjologii – ale pod względem wrażeń, których mi dostarczyła, pod względem piękna, którym mię napoiła, należy ona do wycieczek najładniejszych, jakie mi się trafiały. Dziesięć dni spędzonych w Rzymie bardzo mię z tym miastem spokrewniły. Mam Rzym w pamięci i widzę go w mej wyobraźni zupełnie wyraźnie. Widzę ulice i gmachy publiczne, świątynie i zamki, orientuję się w nich i kontynuuję sen rzymski, który mi zastępuje sen na jawie. Tutaj czuję się jeszcze *„dépaisé”*, zdezorientowany, nieswój. Jedyne, co mi truje nieco wspomnienie Rzymu – to ten kongres: nie tyle ze względu na to, iż sam kongres był mało wart ze stanowiska nauki, ile zwłaszcza ze względu na to, że czuję, iż ja sam nic do kongresu tego nie wniosłem i nie byłem dla udzielonego mi mandatu odpowiedni; czuję, że byłem na tym kongresie tylko balastem, a ponieważ podróż moja była suto opłacona przez Uniwersytet Litewski, więc to mi sprawia pewien wyrzut sumienia.
W powrocie z żadnej bodaj podróży nie wyczuwałem tak mocno kontrastu między tym, gdzie byłem, a tym, dokąd wracam. Dotyczy to przede wszystkim cech fizycznych kraju, klimatu zwłaszcza. Jaskrawe słońce Italii i chmurna wiosna północnej Litwy – to dwa bieguny. Okazuje się, że tu przez cały czas mojej nieobecności były chłody, deszcze i śniegi, podczas gdy we Włoszech byłem cały czas w słońcu. Liści tu na drzewach jeszcze ani śladu, trawy nawet nie ma, a jadąc do Kowna widziałem jeszcze po drodze dużo płatów zimowego śniegu. Co za kontrast z widokiem sprzed kilku dni w cudownej Lombardii, w jej ogrodach morwowych i winnicach błyszczących w słońcu! Zimno tu, w piecach się jeszcze pali.
Czuję się dość zmęczonym z podróży i choć tęskno mi do słońca i pięknego Rzymu, skądinąd czuję zadowolenie z powrotu. Spotkała mię wczoraj na dworcu moja poczciwa Jadźka, stęskniona do mnie, wierna, rozkochana we mnie zmysłowo. Miło mi, że mam w jej osobie w domu istotę ludzką, która mi jest oddana bez granic i której serce i myśl zawsze biegnie do mnie. Nie czuję się tak samotny.
Wyleżałem się wczoraj po przyjeździe, a dziś po wyspaniu się czuję się jak pijany. Rozpocząłem już pracę, byłem w Trybunale i miałem wieczorem wykład na uniwersytecie.

6 maja, rok 1924, wtorek

Gdy wracam po dłuższym pobycie za granicą do kraju, niepokoję się zawsze o Bohdaniszki, czy coś tam nie zaszło złego przez ten czas. Niepokoiłem się i tym razem, ale listy od Maryni, które tu zastałem, uspokoiły mię. Wszystko dzięki Bogu idzie nieźle. Oczywiście brak poszoru, są różne podatki zaległe, zaczynają się kłopoty z przygotowaniem nasienia na siew, wypłatami parobkom i zmianą tychże itd., ale ostatecznie nic szczególnie złego. Ze zdrowiem dzieci Elwiry – niedobrze. Helci stan raczej gorszy, niż lepszy. Do wszystkich innych cech jej choroby i kalectwa przyłącza się rodzaj częściowego paraliżu ręki czy też połowy ciała. Andrzej także cherlał, miewał przez czas dłuższy rankami gorączkę.
Otrzymałem list od mego przyjaciela dr Adolfa Narkiewicza z Wilna. Pisze, że się ożenił z jakąś wdową, chce latem przyjechać na Litwę dla zajęcia się sprawami swego folwarku na Żmudzi. Czy mu się to uda, a jeżeli się uda, to czy nie skończy się na zaaresztowaniu go tutaj i wytoczeniu mu sprawy karnej, ponieważ w charakterze lekarza wojskowego brał udział w szeregach wojsk Żeligowskiego (choć się osobiście nie entuzjazmował aferą zdobycia Wilna na Litwinach) – tego nie wiem. Muszę go jednak w tym względzie ostrzec, tym bardziej, że mogłoby to sprowadzić w skutku także konfiskatę tego folwarku, który on kocha i dla którego chciałby przyjechać.
W samym Kownie nic szczególnie nowego. W dniu 1 maja komuniści urządzili w Kownie demonstrację – pochód publiczny przez Laisvės Aleję, wskutek czego nastąpiły areszty. Sejm obraduje nad zniesieniem stanu wojennego, ale jednocześnie chce, zdaje się, rozciągnąć jakiś specjalny stan wyjątkowy, którego projekt debatuje. Nie wiem, czy zostały uchwalone i w jakiej redakcji ostatecznej tzw. poprawki do reformy agrarnej, zawierające szereg przepisów drakońskich dla ogromnej kategorii ziemian.

7 maja, rok 1924, środa
Dzień gorący i duszny z wiatrem i niebem zachmurzonym; wieczorem deszczyk ciepły, dokoła na horyzoncie dalekie błyskawice. Inne to już jednak ciepło, niż ciepło słoneczne Włoch. Niestety, tego słońca włoskiego mieć nie będę, a pokochałem je przez czas mego pobytu w Rzymie.
Chciałbym uzupełnić moje relacje z Kongresu Socjologii w Rzymie. Był on zwołany przez Międzynarodowy Instytut Socjologii w Turynie. Dwa są instytuty socjologii pod tą nazwą. Jeden w Paryżu, znany pod imieniem Instytutu Wormsa, wybitnego badacza socjologii, który stoi na jego czele; paryski Instytut Wormsa założony jest dla studiów ściśle naukowych, którym też służy wyłącznie. Drugi jest w Turynie; jego *spiritus movens* jest prof. Cosentini, któremu sekunduje żona, rodem Francuzka, skądinąd znana pod imieniem pani Lilly C.-Frank, bardzo gorliwie z zaciekłością kobiecą i temperamentem Francuzki popierająca prace męża. Ten instytut turyński Cosentinego jest bardziej dyletancki. Obchodzą go nie tyle studia poważne naukowe w zakresie teorii, ile wytwarzanie obcowania międzynarodowego we wszystkich sferach życia społecznego, interwencja czynna w tok życia, propaganda wszelakiego uspołecznienia, słowem – ruch praktyczny. Instytut ten ma poniekąd – tylko w szerszym zakresie, choć o mniejszych środkach – te same cele i zadania, które sobie nakreśla i usiłuje organizować dla realizacji Liga Narodów przez rozmaite wytworzone pod jej egidą instytucje, jak Międzynarodowe Biuro Pracy, Komisja Kooperacji Intelektualnej itp. Toteż między tym instytutem turyńskim socjologii a Ligą Narodów zachodzi pewnego rodzaju pokrewieństwo i sympatia, zwłaszcza ze strony instytutu względem Ligi. Prof. Cosentini z żoną wydają czasopismo pod tytułem „Vox Populorum", umieszczające artykuły w językach francuskim, włoskim i innych i propagujące idee obcowania międzynarodowego, zbliżenie ludów, studiowanie i organizowanie najrozmaitszych form współpracy społecznej itd. Pismo to jest półurzędowym organem instytutu

turyńskiego i mam wrażenie, że jest subsydiowane przez Ligę Narodów, a bodajże i sam kongres, jeżeli nie instytut, jest w tej czy innej formie , jeżeli nie wprost, to jakoś ubocznie przez Ligę subsydiowany. Tym sobie tłumaczę tę okoliczność, że rzecznicy instytutu i kierownicy „Vox Populorum" tak gorliwie propagandzie Ligi Narodów służą i że kongres był najwidoczniej kierowany przez czynniki Ligi, której pracownicy i delegaci grali na kongresie pierwsze skrzypce. Ta widoczna tendencja, ta sztuczność roboty, kierowanej z góry podług określonego planu czyniła kongres nieciekawym i jałowym, mimo że kwestie, które były debatowane, choć nie były może teoretycznie naukowe, były same przez się ciekawe i w zgłoszonych na kongres referatach miały nawet interpretację wcale oryginalną i interesującą. Do ubóstwa kongresu przyczyniało się też to, że był on na ogół słabo obsadzony, nie miał wybitniejszych ludzi nauki, referaty były przeważnie zgłoszone na piśmie bez osobistego udziału referentów, a główny i najczynniejszy kontyngent członków kongresu stanowili ci sami agenci Ligi Narodów.

8 maja, rok 1924, czwartek
Aż dziw, jak mi tęskno do Włoch! Gdy byłem we Włoszech, nie sądziłem, że mi ich tak będzie brakło. Zresztą zaczynam się po trochę odchwycać. Na razie przez pierwszych kilka dni po powrocie do Kowna byłem jakiś oszołomiony, ogłupiały, jakby pijany. Sam nie wiem, skąd to pochodziło. Może to było tylko zmęczenie. Teraz odzyskuję równowagę, wdrażam się w tryb powszedni życia i pracy. Jakże nam jednak tutaj daleko do Europy! Nie tylko pod względem fizycznym przestrzeni, ale także pod względem kultury i wyglądu naszych miast, mieszkań ludzkich, komunikacji, wreszcie pojęć, zwyczajów etc. Czasami po przybyciu z Europy zdaje się, żeśmy tu gdzieś w Średniowieczu lub przynajmniej o 200 lat wstecz cofnięci.
Dziś resztę karty dziennika poświęcę dalszemu ciągowi statutu Wielkiego Wschodu Litwy (patrz dziennik z d. 12 kwietnia):
34. W miejscowości, w której żadna loża nie posiada siedziby, może być z liczby pięciu braci delegowanych utworzona loża niezupełna, byle w liczbie pięciu był co najmniej jeden mistrz; quorum loży niezupełnej liczy trzech braci z udziałem w ich liczbie co najmniej jednego mistrza, jeno w sprawach wymagających uchwał jednogłośnych (art. 2) quorum powinno liczyć pięciu; taka loża niezupełna funkcjonuje jak każda zwyczajna, tylko główny jej wysiłek powinien być skierowany do całkowitego uzupełnienia się; jeżeli liczba braci mistrzów w loży niezupełnej wynosi mniej niż trzech, to posiedzeń loży w stopniu mistrza nie ma i jej sprawy, należące do właściwości loży w stopniu mistrza (art. 21), są rozpoznawane przez jej lożę macierzystą; za macierzystą uważa się ta loża, z której pochodzi większość braci mistrzów w loży niezupełnej, względnie jeżeli większości takiej nie ma, ta loża, która jest najstarsza wiekiem.
35. Jeżeli w jakiejś miejscowości przebywa trzech braci delegowanych jednej loży, mogą oni odbywać posiedzenia, ale loży nie stanowią; ich uchwały podlegają sankcji loży, do której delegowani bracia należą.
36. Brat może być przeniesiony z jednej loży do innej nie inaczej, jak za zgodą jego i obydwóch lóż.
37. Prezydium loży składa się z pięciu lub czterech braci: a. brata venerable'a, b. brata dozorcy, c. brata oratora, d. brata sekretarza i e. brata skarbnika; urząd sekretarza i skarbnika może być połączony w jednej osobie.
Ciąg dalszy nastąpi.

9 maja, rok 1924, piątek

Zosia Römerowa przywiozła mi mój portret, wykonany przez nią w styczniu r.b. w Cytowianach. Portret jest ładny i podobny. Przedstawiony jestem na nim – to znaczy upozowany i odpowiednio też scharakteryzowany – w postaci uczonego, siedzącego głęboko w fotelu, zamyślonego, z głową opartą o rękę, wspartą łokciem na kantorku staroświeckim na tle ksiąg. Miałem też wyraz, odpowiadający temu upozowaniu, bo byłem trochę znudzony siedzeniem i wysiłkiem rozmowy towarzyskiej, a stosunek mój z Eugeniuszostwem jest zawsze trochę sztywny, wykluczający u mnie swobodę ruchów i ekspansję; wesołość moja rozwija się tylko w atmosferze zupełnego niewymuszenia, kiedy się nie czuję skrępowany i kiedy zapanowuję nad środowiskiem. Nie mam w naturze wesołości wybuchowej – raczej wielką powściągliwość i skupienie, którymi się kurczę w sobie i zamykam, wykwitając temperamentem na zewnątrz tylko wtedy, gdy jestem sam lub pośród ludzi bardzo bliskich. Niełatwo się oswajam, a dopóki się nie oswoję – odgradzam się od ludzi na zewnątrz pewną ścianą rezerwy. Są ludzie, wobec których tej rezerwy nie umiem nigdy przezwyciężyć. Wspomnienie mojego zatargu z Eugeniuszem w r. 1910, którego nie mogę wyrugować z pamięci, choć zatarg jest dawno zlikwidowany i choć nie zachowałem żadnego żalu do Eugeniusza, krępuje mię wobec niego i wiąże w mojej rezerwie. Dlatego też w Cytowianach w domu Eugeniusza i w ogóle wobec jego rodziny cechy pewności siebie i jowialności nie uwydatniają się we mnie wcale, a wyraz skupienia mię nie opuszcza. Ale Zosia swym okiem artysty nawet w tym skupieniu zasępionym uchwytuje zasadnicze rysy mojej natury pogodnej, toteż w portrecie jej roboty powaga mego zamyślenia skupionego nie wyradza się w srogość, którą nadają często wyrazowi skupionemu mojej twarzy partacze fotografii retuszowanej. Na ogół ten portret podoba mi się bardzo. O, gdybymże miał syna, któremu bym mógł przekazać ten portret wraz z całą galerią portretów przodków! Zosia mi swój portret darowała, ale z tym zastrzeżeniem, że go będę miał w Kownie i że go dostarczę na zawołanie na wystawę jej obrazów, gdyby się taka wystawa miała odbyć. W czasie świąt Wielkiejnocy Zosia sportretowała tez poetę litewskiego – starego Maironisa, który jej z okazji tego portretu ofiarował wierszyk ładny.

10 maja, rok 1924, sobota

Ogłoszona została w „Vyriausybės Žinios" ustawa o tzw. poprawkach do reformy agrarnej. Ustawa ta była od pewnego czasu terrorem ziemian, którzy się już byli oswoili i poniekąd przystosowali do zasadniczej ustawy reformy agrarnej. Różnymi aktami, zręcznie sfabrykowanymi *ad hoc*, wielu potrafiło konsekwencje reformy agrarnej w stosunku do siebie złagodzić i osłabić, zmieniając ile możności tej reformy uciążliwe dla siebie dyspozycje. Czyniono to głównie dwoma rodzajami aktów – aktami sprzedaży, datowanymi z czasów wojny i okupacji niemieckiej, którym na zasadzie specjalnej ustawy można było sądownie nadać moc rejentalną, co też robiono, i aktami wydziałów części majątku przez rodziców dzieciom oraz działami familijnymi, dokonywanymi w dalszym ciągu już po ogłoszeniu ustawy o reformie agrarnej. Tymi metodami wielu ziemian zdołało znaczną część swoich majątków wyeliminować spod działania reformy agrarnej, spieniężając je lub rezerwując dla siebie niezależnie od zagwarantowanej przez ustawę reformy agrarnej nietykalnej normy 80-hektarowej, na którą liczono z pozostałej części majątku. Skądinąd urzędy litewskie, tak sądowe, jak przeznaczone do wykonania reformy agrarnej, ustaliły dogodną dla ziemian interpretację ustawy, uznającą, że w wypadkach wspólnej własności każdy współwłaściciel osobno zachowuje prawo do swojej własnej wyłącznej normy 80 hektarów. Minister Aleksa, który stał na czele Ministerium Rolnictwa do roku przeszłego i p. Tonkunas, który stał na czele Głównego Urzędu Reformy Agrarnej, traktowali wykonanie reformy dość liberalnie dla ziemian, mimo że Aleksa należał do

obozu ludowców i uchodził dawniej w przekonaniu ziemian za bardzo czerwonego. Wszystkie te interpretacje i akty, którymi ziemianie pośpieszyli złagodzić ile możności ostrze reformy agrarnej, zyskały w pierwszym stadium wykonania reformy prawo obywatelstwa. W reformą w tych jej kształtach zaczęto się już godzić – zaznaczało się już pewnego rodzaju ukojenie. Ziemianie sarkali na reformę, ale już do niej z tymi rezerwami i złagodzeniami przywykali. Nominacja księdza Krupowicza, chrześcijańskiego demokraty, na stanowisko ministra rolnictwa w r. 1923 popsuła wszystkie szyki. Krupowicz, który sam nie jest specjalistą w kwestiach gospodarki rolnej, traktuje te sprawy li tylko ze stanowiska politycznego, a nienawidząc osobiście ziemiaństwo polskie w kraju, które nienawidzi go równie szczerze, i pragnąc jego zniszczenia, a hołdując celowo demagogii w metodach polityki klerykalnej, której służy, zerwał z tradycją swego poprzednika Aleksy. Współpracownik Aleksy Tonkunas, nie mogąc się zgodzić na radykalne zerwanie przez Krupowicza z całą dotychczasową tendencją i planem wykonywania reformy agrarnej, ustąpił, a jego miejsce kierownika Zarządu Reformy Agrarnej zajął młody Endriulaitis, student prawa z VIII semestru, kreatura Krupowicza. Zaczęły się dla ziemian czasy bardzo trudne, pełne niepokoju i nieraz tragicznego bólu.

11 maja, rok 1924, niedziela
Krupowicz rozpoczął swoje rządy w Ministerium Rolnictwa w stosunku do majątków, dotkniętych reformą agrarną, od tego, że zaczął odmawiać ziemianom, których majątki z powodu ich nieobecności były wzięte w tzw. opiekę państwową, prawa wyboru nietykalnej normy 80-hektarowej. Odpowiednio interpretując pewien ustęp w tekście ustawy, zaczął twierdzić, że tym ziemianom sam Urząd Reformy Agrarnej, niezależnie od ich wyboru, wyznacza arbitralnie owe 80 hektarów w miejscu, które sam uznaje za właściwe. Poza tym rządy Krupowicza zaznaczyły się od samego początku wyraźnie zaakcentowaną na każdym kroku tendencją interpretowania reformy agrarnej w duchu ile możności ujemnym dla dotkniętych nią ziemian. „*C'est le ton qui fait la chanson*"[178], jak mówią Francuzi. Otóż ten „ton", ta tendencja Krupowicza w wykonywaniu reformy agrarnej w kierunku złośliwym dla ziemian uczyniła od razu tę reformę dotkliwszą, niż była ona za czasów Aleksy i Tonkunasa. Ze szczególną zawziętością ministerium zaczęło ścigać sądownie akty, którymi ziemianie próbowali się od konsekwencji reformy agrarnej ochronić i, co gorsza, zaliczać ziemię, wydzieloną z majątku takimi aktami w normę 80-hektarową, pozbawiając odpowiednich ziemian tej normy. Zaczęto, nie oglądając się na wyrok sądowy, konfiskować całkowicie majątki tych, którym się zarzuca działanie na szkodę Litwie (konfiskata majątku Tomasza Zana i innych). Słowem, zaczęło się dziać ziemianom źle. Wkrótce zaczęły się gromadzić nad nimi chmury jeszcze cięższe. Demagogiczna frakcja „Darbo Federacji" w Sejmie, inspirowana przez Krupowicza i dążąca do nadania kształtów ustawowych tendencjom wykonywanym przez Krupowicza, wniosła do Sejmu projekt tzw. poprawek do reformy agrarnej, które miały anulować wszelkie działy majątkowe, wydziały i akty, dokonane po lipcu r. 1920 i zawierać poza tym cały szereg przepisów drakońskich dla ziemian. Komisja rolna sejmowa i plenum Sejmu złagodziły nieco i zmodyfikowały projekt „Darbo Federacji" i wreszcie uchwalone zostało prawo, które właśnie w tych dniach ogłoszone zostało. Zawiera ono dla ziemian cały szereg przepisów bardzo ciężkich, które czasem są po prostu zabójcze materialnie dla tych, co usiłowali różnymi ubocznymi furtkami się od ciężkich skutków reformy agrarnej choć częściowo wyzwolić i którym się to, jak się już mogło zdawać, udało.

[178] Znaczenie zależy od sposobu (tonu) powiedzenia czegoś (fr.).

Między innymi przepisami ta nowa ustawa kasuje wszystkie działy familijne, dokonane po ogłoszeniu ustawy reformy agrarnej (po 3.IV.1922), ustanawia kategorycznie, że w razie, gdy własność jest wspólna, pochodząca ze spadku lub darowizny, na cały ogół współwłaścicieli pozostawia się jedna norma 80 hektarów, kasuje wszystkie wydziały, dokonane przez żyjących rodziców dzieciom po lipcu r. 1920, a w wypadkach, gdy te wydzielone schedy zostały sprzedane w trzecie ręce, utrzymuje te sprzedaże, ale zalicza sprzedaną ziemię w normę 80-hektarową, przez co właścicieli tych majątków wyzuwa całkowicie z własności, dalej w pewnych wypadkach niweczy akty sprzedaży ziemi, dokonane w czasie okupacji niemieckiej i zatwierdzone sądownie z mocy specjalnej ustawy litewskiej i zawiera cały szereg innych przepisów, pogarszających sytuację ziemian dotkniętych reformą. Dla bardzo licznej kategorii ziemian ogłoszenie tej ustawy będzie ciosem, mającym cechy prawdziwego „coup de grace" i stawiającym krzyż na ich własności ziemskiej, do której nieraz byli oni nie tylko materialnie, ale i uczuciowo dziedzicznie przywiązani jako do swego gniazda i ojcowizny.

12 maja, rok 1924, poniedziałek
Skądinąd ta ustawa o poprawkach do reformy agrarnej, tak zabójczo twarda, tak nielitościwie bezwzględna dla wielu ziemian, zawiera przepisy, które na przykład dla nas w Bohdaniszkach albo dla Komorowskich w Kowaliszkach stanowią zwrot dodatni. Przede wszystkim, jej surowe przepisy o działach nas nie dotykają, bośmy się podzielili przed ogłoszeniem ustawy reformy agrarnej – w r. 1921 – tak samo i Kowaliszki. Nasz więc dział zachował moc prawną; nie będziemy traktowani jako jedna wspólna jednostka własności, na którą wypada ogółem jedna łączna norma 80 hektarów. Przez nasz dział każdy z nas znalazł się jako osobna jednostka własności w kategorii mniejszej własności dworskiej, która wprawdzie jest dotknięta reformą, jednak jest nią dotknięta w formie najlżejszej. Z nas sześciorga na Bohdaniszkach – Kotunia Pruszanowska i Henryś Wołłowicz, jako mający schedy mniejsze niż po 80 ha, nie są wcale reformą agrarną dotknięci, my zaś czworo – ja, Elwira Mieczkowska, Marynia Römerowa i Elizka Komorowska (która zresztą ma schedę także po dziale kowaliskim po mężu) – mamy wprawdzie trochę więcej niż po 80 hektarów, ale mniej niż po 150 ha (ja, który mam w Bohdaniszkach schedę największą, mam zaledwie 99 dziesięcin, czyli około 115 hektarów). Ustawa reformy agrarnej wprawdzie niweluje wszystkie własności ziemskie do poziomu 80-hektarowego, jednak dla tych, którzy mają nie więcej nad 115 ha, zastrzega odszkodowanie za odebraną ziemię po cenach rynkowych i zastrzega odbieranie od nich nadwyżki ziemskiej dopiero po rozparcelowaniu wszystkich majątków większych. Ale do czasu zastosowania do nich reformy agrarnej ustawa ta stawiała właścicieli tej najdrobniejszej kategorii dworskiej w pozycji prawnej analogicznej do pozycji wszystkich innych ziemian: przestali oni być prawnymi właścicielami swoich dotkniętych reformą ziemi, zachowując do czasu wyboru 80 hektarów prawo użytkowania bez prawa zbywania, obciążania i wydzierżawiania nieruchomości; stosowały się też do nich wszystkie przepisy, dotyczące gospodarstw większych w zakresie ustawodawstwa robotniczego itd. Utrzymywało to ich w sytuacji bardzo niedogodnej i krępującej. Otóż teraz ustawa o poprawkach wniosła bardzo radykalną zmianę do ich pozycji prawnej: wolno im sprzedać samym z wolnej ręki po dowolnej cenie tę nadwyżkę ich ziemi, która przekracza normę 80 hektarów. Zlikwidowawszy nadwyżkę i doprowadziwszy siebie do 80 hektarów, zwolnią się oni od reformy agrarnej i związanych z nią ograniczeń, odzyszczą własność całkowitą pozostałej ziemi i podpadną pod działanie praw powszechnych o własności. Jedyne ograniczenia tej udzielonej im możności sprzedaży nadwyżki są następujące: sprzedać nadwyżkę mogą tylko tym osobom (małorolnym i bezrolnym rolnikom), które mają

prawo do otrzymania ziemi na mocy ustawy reformy agrarnej i na sprzedaż musi być uzyskane pozwolenie Ministerium Rolnictwa, które przy udzielaniu tych pozwoleń kontroluje tylko formalnie prawo, nie mogąc dowolnie odmawiać pozwolenia tam, gdzie wszystkie warunki prawne są zachowane. Ten przepis o możności sprzedaży rozwiązuje ręce nam w Bohdaniszkach, a także w Kowaliszkach. Kto z nas zechce – ten się będzie mógł do 80 hektarów doprowadzić i uwolnić się od wszelkich skrępowań. Najpierwsza skorzysta z tego zapewne Maryńka. Co do mnie, to mógłbym zrobić to samo, sprzedając kawał z Kowaliszek, ale czy to uczynię – nie wiem, bo mi żal tracić ten kawałek ziemi. Zbyć łatwo, nabyć potem trudniej. A może z czasem w ogóle cofnięte będą przepisy reformy agrarnej dla własności do 150 hektarów. Jak więc ja postąpię – tego jeszcze nie wiem.

13 maja, rok 1924, wtorek
Wracam jeszcze do tej świeżo ogłoszonej ustawy o poprawkach do reformy agrarnej. Jest ona bardzo charakterystyczna i uwydatnia tendencje tego przewrotu społecznego, którego wyrazem jest reforma agrarna w Litwie. Tendencje litewskiej reformy agrarnej polegają na rozdrobnieniu własności ziemskiej i na zniszczeniu przewagi polskiej w stosunkach agrarnych. Obie tendencje się doskonale zbiegają, bo przewaga polska opierała się właśnie na wielkiej własności dworskiej. Uderzając w tę ostatnią, zadaje się cios najdotkliwszy tej przewadze polskiej. Własność średnia folwarkowa po kilkadziesiąt i mniej więcej do 100 dziesięcin już przed wojną konsolidowała się coraz mocniej w ręku litewskim, podczas gdy w większej własności Litwini należeli jeszcze do białych kruków. Norma 80 hektarów, którą reforma litewska przyjmuje za granicę, ponad którą rozpoczyna się działanie reformy, dość trafnie w przybliżeniu ujmuje granicę, do której się już silnie rozwinęła własność litewska. W następnej z kolei kategorii, obejmującej od 80 do 150, względnie do 200 hektarów, własność litewska mieszała się już z polską i w każdym razie pewne placówki już tu posiadała. I reforma agrarna tę kategorię pośrednią chociaż już zaczepia, ale wydziela ją w osobną uprzywilejowaną grupę w porównaniu do majątków przekraczających 150 i 200 hektarów, które są już prawie wyłącznie polskie, względnie poniekąd rosyjskie i niemieckie, a w których odsetek litewski jest zgoła znikomy. Dla tej kategorii pośredniej, dotkniętej reformą, ale dotkniętej na zasadach wyróżnienia przywilejowego, ustawa zasadnicza reformy agrarnej ustanawia takie fawory, jak odszkodowanie za wywłaszczenie po cenach rynkowych i poddanie jej operacji wywłaszczeniowej na samym ostatku. Tę tendencję obecna ustawa o poprawkach jeszcze bardziej podkreśla, stwarzając dla tej kategorii dalszy przywilej – możność sprzedaży nadmiaru ziemi ponad normę z wolnej ręki. Mając tę możność, właściciele tej kategorii ziem stracą bardzo mało i rozdrobnienie własności ziemskiej w stosunku do nich przejdzie prawie bezboleśnie, dla niektórych z nich nawet z korzyścią, bo zdobędą gotówkę ze sprzedaży nadwyżki i wzmocnią swoje gospodarstwo. Dla własności litewskiej więc, która jest w tej kategorii już dosyć powszednią, chociaż nie nazbyt liczną, krzywdy nie będzie, a za to własność polska tej kategorii trochę się zmniejszy, bo to, co się z tej kategorii rozparceluje, przejdzie w ręce małorolnych Litwinów. Co zaś do wielkiej własności, to ta się łamie niemiłosiernie bez żadnych względów. W stosunku do niej ustawa ma cel podwójny: nie tylko ją osłabić i doprowadzić do poziomów dla niej karłowatych, które ją postawią na równym stopniu z folwarkową własnością litewską i pozbawią przewagi gospodarczej, przenosząc jednocześnie całą masę ziemi odebranej na małorolnych chłopów litewskich, ale także wykoleić całe mnóstwo ziemian Polaków, którzy nie zdołają się przystosować do warunków gospodarzenia na niewielkich folwarkach, zwłaszcza bez inwentarza i kapitału po ciężkim przesileniu wojny i emigracji i wyzbędą

się tych resztek, uciekając do Polski, co też masowo się teraz w ziemiaństwie obserwuje. Tylko mniejsza część ziemian, mocno osiadłych na roli, trzyma się i decyduje się utrzymać nawet po tym, gdy ich obetną do 80 hektarów. Całe gromady już się wyprzedają i likwidują, a jeszcze całe szeregi siedzą dotąd w Polsce, nie umiejąc lub nie odważając się wcale wracać. Ale dużo było takich, którzy próbowali rozmaitymi furtkami prawnymi i aktami ubocznymi jakoś się od działania reformy ratować, coś poza swą normą uchwycić itp. Otóż obecna ustawa uderza w samo sedno tych usiłowań i czyni z nich straszliwy oręż, którym po prostu likwiduje przymusowo całe masy tych, co się bynajmniej sami zlikwidować nie chcieli, a przeciwnie – myśleli się ratować i wyrwać od reformy jak najwięcej, by się mocniej utrzymać.

14 maja, rok 1924, środa
W tych dniach miałem właśnie bolesną ilustrację działania nowej ustawy o poprawkach do reformy agrarnej. Bawił tu p. Adrian Mazarski, który się zgłosił do mnie. Nie znałem go dotąd osobiście, choć ze słyszenia wiedziałem o nim. Rodzina Mazarskich jest pochodzenia grecko-albańskiego, osiadłą w Polsce i nobilitowaną od czasów króla Jana Kazimierza. Mazarskiowie posiadają dobra na Wołyniu i gdzieś bodaj na Ukrainie czy w Lubelskiem. Jedna zaś gałąź tej rodziny wyemigrowała z Polski do Rosji, zrusyfikowała się i została prawosławną, ale jej potomek, Eliasz Mazarski, ojciec obecnego Adriana, przez małżeństwo z Polką z Litwy (nazwiska nie pamiętam), która mu wniosła w posagu majątek Poszyrwińce pod Szyrwintami w pow. wileńskim, spolonizował się; dzieci z tego małżeństwa, wychowane w katolicyzmie i w duchu polskim, stali się bardzo gorliwymi Polakami i katolikami, choć do roku 1905, dopóki w Rosji nie było wolno przyjmować prawosławnym katolicyzm i dopóki dzieci z mieszanych małżeństw musiały być przymusowo prawosławnymi, młodzi Mazarskiowie liczyli się urzędowo prawosławnymi. Po r. 1905 cała rodzina przyjęła katolicyzm. Adrian Mazarski, pochodzący z tego małżeństwa, był przed laty przeszło 20 zaręczony z Helą Białą Römerówną, obecną Ochenkowską; małżeństwo nie doszło do skutku właśnie z powodu tego formalnego prawosławia Mazarskiego. P. Adrian Mazarski, który w czasie wojny bawił na emigracji w Rosji, a po wojnie wrócił do majątku, względnie do Wilna, bawił w Wilnie do roku przeszłego. Miejscowość, w której położony jest majątek Mazarskich, była do roku 1920 w ręku polskim, od roku zaś 1920 znalazła się w ręku litewskim, odcięta os Wilna. Nie mogąc się dostać na stronę litewską legalnie, Mazarski przeszedł granicę samowolnie. Były jakieś na niego donosy, zarządzono dochodzenie, ale ostatecznie nic mu nie udowodniono i Mazarski zamieszkał u znajomego chłopa w pobliżu swego majątku, który był i jest w zarządzie państwowym. Przez Romana Chodakowskiego, który praktykuje jako adwokat, chociaż jest sędzią w Sądzie Wojennym, Mazarski rozpoczął starania o zwrot majątku, a właściwie o wydzielenie na zasadzie reformy agrarnej jemu i rodzeństwu normy nietykalnej. Rzecz ta była w zasadzie rozstrzygnięta zeszłoroczną decyzją Urzędu Reformy Agrarnej, przyznającą rodzeństwu Mazarskich dwieście kilkadziesiąt hektarów ziemi nietykalnej z majątku, licząc na każdego z rodzeństwa po normie. Mazarski przyjechał więc teraz do Kowna dla zalegalizowania swego obywatelstwa litewskiego i dla rozmówienia się z Chodakowskim o przyśpieszenie wydzielenia mu z majątku przyznanej do zwrotu ziemi. Zwrócił się do mnie z prośbą poczynienia pewnych starań w sprawie jego legalizacji i o towarzyszenie mu do Chodakowskiego, z którym się osobiście jeszcze nie znał. Mazarski jest zbiedzony, bo pieniądze ma na wyczerpaniu, źródeł dochodu żadnych prócz nadziei na zwrot części majątku, ale był dobrej myśli, że przecie coś dostanie. Byłem z nim u Chodakowskiego. I byłem świadkiem, jak grom ruiny uderza w człowieka ciosem prawa, od którego nie ma

ucieczki. Okazało się, że rodzeństwo Mazarskich nie jest formalnie podzielone, a że majątek jest spadkowy, przeto w myśl nowej ustawy o poprawkach wydzielona będzie na całe rodzeństwo jedna wspólna norma 80 hektarów. Poprzednia decyzja Urzędu Reformy Agrarnej nic nie znaczy, bo nowa ustawa ją anuluje. Ostatecznie byłaby to tylko strata, choć ciężka, ale nie pozbawiająca całkowicie majątku, bo bądź co bądź zostałoby choć 80 hektarów. Ale chodzi o to, że w roku 1919, zaraz po inwazji bolszewickiej, gdy strony szyrwinckie były po stronie polskiej, Mazarski zaprzedał przeszło 80 dziesięcin włościaninowi, u którego teraz mieszka i wziął od niego zapłatę. Zapłata była w rublach i dawno się już rozeszła. Akt jest prywatny, nabywca żadnego tytułu formalnego nie ma i oczywiście transakcja ta żadnego skutku mieć nie będzie wobec Urzędu Reformy Agrarnej. Z tej więc normy, która będzie wydzielona Mazarskiemu, będzie on musiał oddać wszystko nabywcy albo zwrócić mu pieniądze. Mazarski, człowiek bez zarzutu uczciwy, ani chwili się nie waha co do oddania ziemi chłopu, który mu za nią zapłacił. Sam więc zostanie bez niczego. Ruina majątku – kompletna. Cóż było na to robić? Mazarski wraca do Wilna. Wraca – bez niczego, majątek stracony. W podobnych warunkach jeden z ziemian, p. Matusewicz spod Koszedar, odebrał sobie tej zimy życie, krwią pieczętując zadany mu cios.

15 maja, rok 1924, czwartek
Dziś wielkie święto narodowe litewskie, poniekąd zaimprowizowane, a właściwiej – zlane z kilku tytułów w jeden majowy dzień. Sam przez się dzień dzisiejszy jest czwartą rocznicą dnia, w którym wskrzeszone państwo litewskie posiadło swój pierwszy Sejm. W dniu 15 maja roku 1920 miało miejsce otwarcie Sejmu Ustawodawczego Litwy. Ta rocznica nie byłaby żadną osobliwością. Ale że wypada ona w dniu wiosennym, dogodnym dla publicznych manifestacji ludowych, więc przeniesiono na ten dzień z dnia 16 lutego obchód publiczny rocznicy Niepodległości i oprócz tego nawiązano do dnia dzisiejszego święto wojskowe, na które zaproszono przedstawicieli wojska sąsiednich państw bałtyckich – Łotwy, Estonii i Finlandii. Przybyłe delegacje oficerskie Łotyszy, Estończyków i Finów uświetniły święto dzisiejsze, które wypadło też bardzo ładnie. Prześliczna pogoda słoneczna, upał, upał, tak pożądany w naszym zimnym klimacie, świeża zieleń krzewów i drzew, niezupełnie jeszcze rozwinięta i tym piękniejsza, że się już stęskniło do niej przez długą zimę, dodały znakomitego uroku świętu narodowemu. Cała ludność wysypała na ulice śródmieścia. Miasto było udekorowane, uroczyste i wesołe zarazem. Nastrój ulicy był tak pełny ekspansji, że zdawałoby się, iż to nie nasza Litwa, lecz jakiś kraj południowy, w którym ludzie przywykli żyć pod słońcem – bez dachu nad głową i ścian mieszkania dokoła. Wszystkich szczegółów uroczystości nie widziałem, bo rano Hektor Komorowski mię odwiedził i siedział u mnie do południa, a od godz. 4 siedziałem w domu. Program uroczystości był obfity. Na Zielonej Górze był wielki popis wojskowy z mszą polową, w Bazylice była msza, celebrowana przez sufragana Skwireckiego dla wyższych dostojników państwa, z placu popisu wojskowego, na którym był wyznaczony punkt zborny dla stowarzyszeń, związków, szkół itd., ruszył ogromny pochód ze sztandarami, plakatami, muzykami – do Muzeum Wojennego, gdzie się ustawiły delegacje wszystkich organizacji po złożeniu wieńców na pomnik poległym za Niepodległość. Były tam mowy, manifestacje, dzwonił wielki Dzwon Wolności, wprawiany symbolicznie w ruch przez najstarszego działacza doby „Aušry" dr Jana Šliupasa, potem godzinami całymi chodziły po mieście różne pochody poszczególnych organizacji, a jeden z pochodów, mający na czele delegacje oficerów łotewskich, estońskich i fińskich i zawierający w swoich szeregach Związek Strzelców („Šaulių Sąjunga") oraz korporacje młodzieży akademickiej „Neo-Lithuanii" (narodowcy) i

„Ateitininków” (chrześcijańscy demokraci) w czapeczkach w barwach korporacyjnych, demonstrował i wyprawiał owacje przed konsulatami Łotwy, Estonii i Finlandii z przemówieniami, graniem hymnów itd. Wieczorem była iluminacja, efekty świetlne na Górze Zamkowej, Górze Zielonej i Górach Aleksoty, kinematografy i teatry były dla ludu bezpłatne itd. W Klubie Litewskim oficerowie litewscy fetowali oficerów łotewsko-estońsko-fińskich, w pochodach barwy czerwono-zielono-żółte litewskie na sztandarach mieszały się ze sztandarami o barwach czerwono-biało-czerwonych łotewskich, błękitno-czarno-białych estońckich i barwach błękitnego krzyża fińskich. Dziesiątki tysięcy ludu włóczyły się po mieście, przyglądały, cieszyły, bawiły, podziwiały. Uroczystości państwowo-narodowe skojarzyły się z popularnymi sympatiami do bratnich ludów bałtyckich, tworzących dwie grupy plemienne swoiste, osiadłe tu od wieków, niegdyś w prahistorii współczynne, potem ujarzmione, a dziś jednocześnie odrodzone i rozbite na cztery narodowości, ale instynktownie ciążące ku zbliżeniu, choć politycznie niezupełnie zgodne. Jest to grupa litewska (Litwa i Łotwa) i fińska (Estonia i Finlandia). Jest to w Europie nowy i odrębny świat – świat wschodniobałtycki.

16 maja, rok 1924, piątek
Mamy upały i burze. Dziś wieczorem mieliśmy burze kilkugodzinową z dość wielkimi piorunami i nieustającym hukiem grzmotu. Wiosna robi bardzo szybkie postępy i wielkimi krokami zbliża się do lata. Co prawda, rozwój roślinności w Kownie jest dopiero taki, jaki akurat przed miesiącem obserwowałem nad Renem na pograniczu Księstwa Badeńskiego (Niemcy), Alzacji (Francja) i kantonu Bazylei (Szwajcaria). Ale z dnia na dzień postęp jest ogromny. Krzewy są już zieloniutkie, młode drzewa także, na innych też pączki pękają, czeremcha zakwitła, lada dzień zakwitną sady. Lękam się, żeby w Bohdaniszkach bzy nie zakwitły przed moim przyjazdem. A przyjechać do Bohdaniszek zamierzam około 3 czerwca, za dwa tygodnie z małym czubkiem. Od 1 czerwca rozpoczynają się moje wakacje trybunalskie, które się w tym roku będą składać z dwóch miesięcy – z całego czerwca i z drugiego miesiąca od połowy sierpnia do połowy września.
Przed kilku dniami byłem na kolacji w restauracji „Metropol” z Józefem-Albinem Herbaczewskim, jego żoną i Jerzym Dowiattem. Oczywiście, że Herbaczewskiemu kolację fundowałem. Herbaczewski przez dziwaczny kontrast ze swą powierzchownością uduchowioną i niemal bezcielesną, która doskonale licuje z mistyczną treścią jego mowy, lubi dobrze zjeść i wypić, a nawet jest wielkim smakoszem i gastronomem. Naturalnie, że lubi to cudzym tylko kosztem, jak lubi tez pożyczać pieniądze, a raczej otrzymywać je, bo o ich zwrocie nawet się nie wspomina. Nie mówię tu ze złego, bo w ogóle do Herbaczewskiego, który jest typem koczowniczym wagabundy artystycznego – tego, co się nazywa „bohemą” lub cyganerią, pospolitej miary statecznego typu osiadłego i unormowanego stosować się nie da. Herbaczewski jest głęboko do Litwy zrażony, właściwie nie do Litwy samej, lecz do tych, co w Litwie rządzą, do tych, co państwo litewskie reprezentują. Było to do przewidzenia. Herbaczewski nie umie należeć do żadnej koterii, jest organicznie samotnikiem, jak wszyscy, którzy mają umysł proroczy, nie umie się do nikogo nagiąć, nie znosi kompromisu ani oportunizmu, nie umie kroczyć karnie w szeregach pracy zbiorowej. Skądinąd zaś, będąc samotnikiem, nie wystarcza sam sobie i potrzebuje ciągłej ekspansji dla swego ducha proroczego. To sprawia, że w żadnym środowisku nie umie się zaaklimatyzować i zawsze jest malkontentem i rewelatorem, czego zaś ludzie nie lubią. Jego jaskrawość, przekorność, paradoksalność zjednywa mu wrogów. Miał on różne fazy w życiu. Był czas, że łajał Litwinów i zarzucał im zdradę wobec Polski. Po

wojnie z całą gwałtownością występował, będąc w Krakowie, przeciwko państwu polskiemu za jego politykę wschodnią i wileńską. Wracając do Litwy czekał, zdaje się, że go tu przyjmą jako natchnionego proroka i słuchać będą z namaszczeniem jego nauk. Zawiódł się. Czuje, że jest tu dla tych, co rządzą, niepotrzebny i że jego nauk ludzie słuchać nie chcą. Zawiódł się też materialnie. Dano mu na uniwersytecie bardzo mizernie płatny lektorat w zakresie literatury polskiej i na tym koniec. Występował z odczytami publicznymi, w których demaskował intrygi i zbrodnie ludzi i kół rządzących Litwą, licząc, że od jego kazań i gromów, jak od głosu trąby jerychońskiej, runą istniejące rządy, kierownicy ich się przestraszą, a on, Herbaczewski, będzie ogłoszony prorokiem i jedynym zbawcą Ojczyzny. Tymczasem na odczytach jego było pełno, młodzież go słuchała dla oryginalności jego mowy, ale wszystko szło i idzie po staremu. Inercji złamać mu niepodobna, jego słowo cudów nie czyni, panuje wielmożne niedołęstwo, spekulacja polityczna i pieniężna, prywata, pospolitość.

17 maja, roki 1924, sobota
Herbaczewski ma już dość Litwy. Zapowiada solennie, że wyjedzie z Kowna, że weźmie paszport emigracyjny i opuści granice Rzeczypospolitej. Czy to uczyni – nie wiem. Wszak z Krakowa od lat kilkunastu wciąż się wybierał wyruszyć w świat, a jednak siedział ciągle: wprawdzie raz, gdy żona zrealizowała mały spadeczek, wyjechał z nią do Włoch i przemieszkał tam cały rok, ale gdy pieniądze się wyczerpały, wrócił do Krakowa; drugi raz opuścił Kraków na początku wojny, ale przymusowo, zainternowany przez władze austriackie w Czechach jako poddany rosyjski. Słowem, narzekał wiecznie na Kraków, grzmiał, zapowiadał wyjazd i siedział. Przymierał z głodu, ale trzymał się tej nędznej pensyjki, jaka miał na Uniwersytecie Jagiellońskim na stanowisku lektora języka litewskiego – i siedział. Może to samo powtórzy się z nim w Kownie, bo Herbaczewski jest na ogół nieobliczalny. Zrażony jest do sfer kierowniczych Litwy i do całej bodaj inteligencji litewskiej, która mu nie świadczy hołdu jako prorokowi i geniuszowi Litwy, za jakiego się ma. W Herbaczewskim i w tym, co on mówi, jest jak zawsze pełno sprzeczności, są paradoksy, i najgłębsze spostrzeżenia, bliskie jasnowidzeniu, mieszają się z twierdzeniami naiwnymi i dziecinnymi. Czasami Herbaczewski, oburzony na Polaków za Wino, przejęty wieścią o zamknięciu gimnazjum litewskiego w Święcianach, oburza się na rząd litewski za to, że nie stosuje w drodze odwetu aktów gwałtu i krzywdy do Polaków obywateli litewskich. Innym razem z wielkim przejęciem i bardzo słusznie wini politykę urzędową litewską za to, że nie zdołała ona wyzyskać i zużytkować do budownictwa państwowego Litwy pierwiastka szlacheckiego, który, choć jest kulturalnie polski, przedstawia wielkie wartości twórcze i zawiera w sobie zaklętą tradycję państwową starej Litwy; ten pierwiastek szlachecki, choć spolonizowany, jest pomimo to bliższy Litwie niż Polsce z natury swojej; zamiast go krzywdzić systematycznie i odpychać, czyniąc zeń wroga i pchając go w objęcia Polski, należało w nim rozbudzić drzemiące tradycje i spoić z młodą państwowością odrodzonej Litwy, pozyskując w nim ciągłość tradycji. Problem to co prawda bardzo trudny, któremu stoją na przeszkodzie reforma agrarna litewska i polityka wileńska Polski, ale trzeba przyznać, że Litwa nad problemem tym ani się zastanowiła, przywłaszczając państwowość na rzecz wyłącznie synów chłopskich. Herbaczewski zaznacza – co niewątpliwie zawiera w sobie część prawdy – że najszlachetniejszą i najpiękniejszą jest nie ta Litwa, która istnieje realnie i którą w Kownie obserwować można, lecz ta, którą wystylizowała i wyidealizowała romantyczna literatura polska i umysłowość tego typu psychicznego, który się w Litwie polsko-szlacheckiej wyraził. Herbaczewski wspomina o wyjeździe stąd do Wilna. Idealizuje on Wilno na zasadzie artykułów Ludwika Abramowicza w „Przeglądzie

Wileńskim". Gdyby pojechał do Wilna, rozczarowałby się szybko. Przekonałby się, że Ludwik Abramowicz jest głosem wołającego na puszczy, który równie dobrze mógłby wydawać swój „Przegląd" w Wilnie, jak na jakiejkolwiek wyspie Oceanu Spokojnego. Przekonałby się, że Wilno jest coraz bardziej bezmyślne, coraz bardziej się przetwarzające na prowincjonalną mieścinę urzędników, a potomkowie Mickiewiczów, Śniadeckich i innych mężów pierwszej połowy w. XIX bardzo dalecy są od styk\lizowania Litwy i asymilują się pokornie pospolitej endeckiej ideologii p. Romana Dmowskiego. Wszak może! – może tam gdzieś drzemią jeszcze siły i tęsknoty Litwy Giedyminowskiej i Mickiewiczowskiej w tych murach wileńskich, które były zawsze pełne snów i niespodzianek oraz charakterów, zadających kłam gnuśności powierzchownej! Może – ale muszą one być i w Kownie. Zaś smutnym faktem jest ten, że każdy rok ubiegający tego rozdziału między Wilnem a Niepodległą Litwą oddala nie tylko Wilno od Litwy w kierunku polskim, ale, co ważniejsze, Litwę od Wilna i od tych pierwiastków psychicznych, które w Wilnie mogłyby się rozwinąć i przez które Litwa mogłaby dotrzeć do serca wileńskiego, a które są obce czynnikom etnicznie litewskim, sponiewierane, niedostrzegane i niedoceniane, nie użytkowane w budownictwie państwowym.

18 maja, rok 1924, niedziela
W tych dniach miałem list od Heli Ochenkowskiej z Wilna. Nie wiem dlaczego pisze mi ona – w odpowiedzi na moją wzmiankę o zamierzonym ewentualnie przyjeździe moim pod jesień do Wilna – że chyba przyjadę incognito; dosłownie pisze tak: „Ale inaczej jak incognito przez Rygę nie uda ci się – bądź pewny". Co to znaczy? Czy że władze polskie nie dadzą mi pozwolenia na wjazd? Bo chyba przecie nie o pozwolenie od władz litewskich Hela tu mówi? Czyżby władze polskie i dlaczego miały mi czynić przeszkody w przyjeździe do Wilna, skoro na ogół pozwoleń tych z łatwością udzielają? Czyż dlatego, że jestem sędzią i profesorem w Litwie, a więc że zajmuję tu stanowisko na służbie państwowej? Czy może dlatego, że wiadome są moje sympatie państwowe litewskie w sprawie Wilna i że władze polskie się boją, iż będę w Wilnie coś przeciwko nim robił, a może dlatego, że nie nienawidzę Litwy jak większość ziemian, którzy stąd do Wilna jeżdżą i tam dają swej nienawiści upust? Ale przecie daleki jestem od nienawiści do Polski, którą kocham i nigdy wrogiem Polski nie byłem: walczyłem czynnie w szeregach jej najlepszych synów pod Józefem Piłsudskim o jej niepodległość podczas Wielkiej Wojny, ale nie mogłem walczyć w tychże szeregach ani orężem, ani słowem przeciwko niepodległości mojej Ojczyzny – Litwy i w tym bolesnym dla mnie konflikcie po stronie Polski nie stanąłem, nie przestając jej kochać! Ale jeżeli władze polskie mię nie zechcą wpuścić , to jakże bym mógł wjechać do Polski incognito i być incognito w Wilnie, gdzie mię wszyscy jak szarą gęś znają? Sądzę jednak, że się wybrać do Wilna spróbuję. Chcę uczynić to w sierpniu, Pojechałbym na krótko – na jakiś tydzień, a z tego jeszcze urwałbym parę dni na Grodno, gdzie postarałbym się coś dowiedzieć o mojej córce. W Wilnie zobaczyłbym się ze starymi przyjaciółmi mymi, do których tęsknię, i zabrałbym od Tadeusza Wróblewskiego zlokowane u niego w roku 1920 zeszyty mojego dziennika (nie wszystkie są tam zlokowane, ale część znaczna).
Na uniwersytecie mieliśmy dziś posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego. Byli obecni: dziekan Leonas, profesorowie Mačys, Kriščiukaitis, Balogh, Bielackin, i ja, docenci Tumenas, Wacław Biržiška, Szołkowski, Šalčius, Stankiewicz i Morawski. Dyskutowane były przeważnie kwestie formy i treści dyplomu uniwersyteckiego. Odnowiono też umowę z prof. Baloghiem, który był pierwotnie zaangażowany na swa lata z zastrzeżeniem, że po dwóch latach wykładania po niemiecku będzie już w trzecim roku wykładać po litewsku. Oprócz tego była z nim wtedy zawarta umowa specjalna o

wynagrodzeniu, której termin się kończy na 1 czerwca tego roku. Balogh oświadczył, że historię prawa rzymskiego będzie już mógł od jesieni wykładać po litewsku, a pandekty będzie jeszcze przez rok jeden wykładał po niemiecku. Przyjęliśmy to do wiadomości. Balogh wprawdzie może się już trochę rozmówić po litewsku, ale bardzo słabo, więc nie wiem, jak będzie mógł po litewsku wykładać. Co do wynagrodzenia, odnowiliśmy umowę na warunkach, że będzie pobierał nie mniej, niż pobierał dotąd. Balogh tentuje o objęcie wykładów prawa międzynarodowego prywatnego.

19 maja, rok 1924, poniedziałek
Pracy mam teraz przed wyjazdem na wakacje bardzo dużo. W Trybunale przez cały maj po dwa posiedzenia sądowe tygodniowo, to znaczy, że we wszystkich posiedzeniach udział biorę, nie mając dni wolnych; odrabiam to, com w Trybunale opuścił podczas mojej wycieczki do Rzymu, kiedy to za mnie musieli siadywać na posiedzeniach Janulaitis i Čepas; oczywiście że na skutek tego mam i wyroków do motywowania więcej. Ale ogromną też mam pracę na uniwersytecie. Wykłady idą normalnie, ale z nimi mam mało kłopotu, bo odrabiam je ze starego rękopisu z roku zeszłego. Cięższą mam pracę z colloquiami. Pod koniec roku studenci składają mi masowo swoje prace colloqialne, które są wykonywane podług przyjętego przeze mnie systemu na piśmie. Muszę wszystkie te prace przeczytać, ocenić, za notować sobie uwagi o każdej i następnie z każdym studentem jego pracę omówić. Zacząłem to od dziś robić. A jest tych prac bardzo dużo, bo niektórzy studenci dopiero mi z I semestru prace colloquialne przedstawiają. Zostaje mi na to około dwóch tygodni tylko. Muszę też ostatniej grupie studentów – to znaczy najsłabszym uczniom i spóźnionym – układać jeszcze tematy dla prac colloquialnych z II semestru. Przed samym zaś wyjazdem – w sobotę 31 maja i w poniedziałek 2 czerwca – będę miał egzaminy, do których będzie stawało dużo studentów VI i IV semestru.
Po dwóch godzinach wykładów pracowałem ze studentami jeszcze dwie godziny, omawiając z nimi te prace colloquialne, które już przejrzałem. Były to prace studentów I grupy – najlepszych, toteż i prace ich były najlepsze. Wracałem do domu późnym wieczorem zmęczony, ale śliczny wieczór majowy, ciepły i trochę wilgotny, mię rzeźwił. Młode liście drzew napełniały powietrze subtelnym aromatem wczesnego lata, który jest właściwy bodaj tylko naszym strefom i naszej roślinności. Zdaje się, że roślinność słonecznej Italii, której zapomnieć nie mogę, tego aromatu naszych drzew nie posiada. Natura wszędzie ma swoje właściwe piękno barw, kształtów i woni, różne, ale zawsze na swój sposób urocze.

20 maja, rok 1924, wtorek
Zachodziłem do uniwersytetu po order do Banku Litewskiego na wypłatę mi reszty należności z rachunku podróży do Rzymu. Wynagrodzenie takiej podróży jest sowite, oparte na ustawie o dietach i kosztach podróży w delegacji służbowej za granicę. Wynosi ono dla mnie po 100 litów diety dziennej i zwrot ceny biletu kolejowego I klasy. Policzyłem sobie za 17 dni diety i bilet kolejowy z Kowna do Rzymu i *retour*. Wyjeżdżając otrzymałem 2000 litów awansu, które wziąłem wtedy w dolarach i teraz ma mi być dopłacone 798 litów. Z awansu pozostało mi jeszcze około 40 dolarów. Czyli że na tej podróży „zarobiłem” jeszcze mniej więcej 1000 litów.
Na uniwersytecie spotkałem Zygmunta Žemaitisa, który mię zainterpelował poufnie o zachowaniu się Voldemarasa na Kongresie Socjologii w Rzymie. Chodzi o to, że, jak powiada Žemaitis, księża tutejsi na zasadzie relacji, otrzymanych z Rzymu, bardzo chwalą wystąpienia Voldemarasa na tym kongresie i czynią mu z tego dużą zasługę, gdy tymczasem poseł litewski w Rzymie – Klimas – w nadesłanej do Ministerium

Spraw Zagranicznych relacji czyni Voldemarasowi poważne zarzuty, jakoby on kompromitował na kongresie sprawę Niepodległości Litwy. Jakie są konkretne zarzuty Klimasa – tego mi Žemaitis nie mówił, jeno że relacjami swymi obudził w kołach rządowych niezadowolenie i nawet oburzenie na Voldemarasa oraz zarzuty wobec uniwersytetu, że go wydelegował. Wiem dobrze, co Voldemarasowi zarzuca Klimas. Był on raz na posiedzeniu kongresu i trafił na mowę Voldemarasa (nietrudno było o taki traf, bo Voldemaras na każdym posiedzeniu na każdy debatowany temat zabierał głos i zawsze miał mowę kapitalną), w której tenże, mówiąc o wielkich ośrodkach cywilizacyjnych w obcowaniu ludów, zaznaczył, że jednym z takich ośrodków stanie się na Wschodzie Europy niewątpliwie Rosja, z czym się należy liczyć i zrobić dla niej miejsce obok takich ośrodków promieniowania międzynarodowego, jak Francja, Anglia, Niemcy, bo cały szereg młodych ludów i państw, które wyrosły na kresach Rosji, będą się w swym rozwoju kulturalnym na nią orientowały. Osobiście nie jestem wyznawcą tej tezy Voldemarasa i wolałbym, aby Voldemaras tego nie był mówił, ale nie mogę uważać, aby się w tym zawierała myśl o zlaniu się państwowym czy sfederowaniu państw tzw. „kresowych” (bałtyckich) z odtworzoną Wielką Rosją. Klimas zaś tak właśnie interpretuje Voldemarasa przemówienie, uważając, że Voldemaras na kongresie kompromitował wobec uczonych Europy Niepodległość Litwy jako zjawisko przejściowe. Poza tym słyszał Klimas ode mnie, że Voldemaras chętnie się na kongresie chwalił tym, że był profesorem w Petersburgu, wysuwając to za swój właściwy tytuł do imienia uczonego i kasując tym swój tytuł profesora młodego Uniwersytetu Litewskiego, którego nie uwydatniał wcale jako rzecz podrzędną. Z tego Klimas też mu pewnie czyni zarzut. Zarzuty te są jednak względem Voldemarasa niesprawiedliwe. Gotów jestem posądzać Klimasa o mściwe kłucie Voldemarasa za jego w kraju ostre wystąpienia przeciwko rządowi i przeciwko polityce zagranicznej Litwy – także przeciwko składowi osobistemu Ministerium Spraw Zagranicznych i w szczególności także przeciwko temuż Klimasowi.

21 maja, rok 1924, środa

Napaści na Voldemarasa ze strony kół Ministerium Spraw Zagranicznych, powodowane w najlepszym razie uprzedzeniem, a przypuszczam, że raczej mściwością ludzi małych, sprawiają wrażenie przykre. Mam za złe Klimasowi, że tak nieopatrznie, opierając się tylko na wrażeniu – i stanowczo przejaskrawionym niechęcią osobistą – uważał za właściwe pisać tu z Rzymu, skarżąc Voldemarasa o kompromitowanie publiczne w Europie Niepodległości Litwy. A czy to Klimas w doniesieniu swoim tak rozdął tę sprawę, czy to już tu panowie z ministerium skorzystali z doniesienia Klimasa i dając upust nienawiści do Voldemarasa, postarali się o rozwałkowanie rzeczy – ale dość, że zarzuty te przeciwko Voldemarasowi dostały się aż do sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych, były tam referowane i będą może jeszcze dyskutowane. Wiem o tym od Toliušisa, który dziś umyślnie zachodził do mnie, aby się u mnie w tej materii poinformować. Ja z mojej strony przedstawiam tym, co mię zapytują, tę rzecz tak, jak się ona istotnie miała, to znaczy – owe straszne zarzuty dyskredytowanie Niepodległości Litwy w opinii międzynarodowej – redukuję do miary właściwej.
Z pewnością nikt z tych, co tak na Voldemarasa napadają, nie położył i nie zdołałby położyć na kongresie tyle zasług dla Litwy, ile położył Voldemaras. Na zjazdach i kongresach międzynarodowych nikt lepiej od niego nie zareklamowałby Litwy. Nie znaczy to, aby on Litwę chwalił lub coś o niej rozgłaszał. Ani jedna z jego mów w Rzymie nie dotyczyła Litwy. Ale robił on Litwie reklamę przez to samo, że zabierał głos, przemawiał ładnie i rozumnie i sprawiał na członków kongresu wrażenie dodatnie. Co mówię – wrażenie? Nie wrażenie, ale furorę. Stał się on na kongresie osobą

najwybitniejszą, centralną. Jego mowy były najtreściwsze. Nieraz się zdarzało, że po jego przemówieniu przewodniczący oświadczał *ex catedra*, że z pewnością wyrazi on uczucia wszystkich obecnych, składając Voldemarasowi podziękowanie za tak elokwentne i pouczające przemówienie, a audytorium kongresu potwierdzało to oklaskami, wyrażającymi niekłamane uczucia. Na tle słabych na ogół sił kongresu Voldemaras uwydatniał się jako gwiazda pierwszorzędna, a elokwencją kasował tych, którzy, jak stary prof. Tönnies, przerastali go powagą nauki. Elokwencja Voldemarasa jest inną, niż elokwencja Włochów lub Amerykanów południowych, u których gest i bieg mowy pochłaniają treść i nadają mowie szczególną formą artystyczną. Mowa Voldemarasa, w doskonałej wyrażona formie francuskiej, jest skupiona i pełna siły. ogromnie treściwa i działająca na słuchaczy elokwencją argumentacji. Voldemaras jest dyletantem uniwersalistą, ale ma ogromną erudycję, oczytanie, niepospolitą pamięć i umiejętność operowana cytatami i nazwiskami, która mię zadziwia i która czyni wrażenie, że ten człowiek umie i wie wszystko. I nikt też nie był tak na kongresie słuchany, jak on. Wszyscy się starali z nim poznać, każdy miał z nim o czymś do pomówienia. I automatycznie ten jego blask czynił reklamę Litwie, którą on przedstawiał. Toteż wrogowie jego, którzy są przeważnie wobec niego karłami, szkalując go i pomawiając o kompromitowanie Litwy, mówią nieprawdę. Voldemasasowi szkodzi w kraju jego nadmierna ambicja i zarozumiałość, która mu stwarza wrogów, a wobec wrogów nie posiada on równowagi. Ale Litwa nie ma człowieka, który by ja lepiej od niego reklamował na arenie popisów międzynarodowych.

22 maja, rok 1924, czwartek
Dziś znowu miałem dzień bardzo zapracowany. Wieczorem miałem na uniwersytecie wykład – bodaj czy nie przedostatni w bieżącym roku szkolnym – i potem parę godzin odrabiania colloquiów ze studentami, których prace przejrzałem. Do domu wróciłem koło godz. 11 wieczorem, a tu zastałem jeszcze Julka Komorowskiego, który przesiedział u mnie prawie do pierwszej w nocy. Julek przyjechał do Kowna w sprawach podatkowych. Ściągają z Kowaliszek 3000 litów zaległego podatku z roku zeszłego, a w rezerwie spodziewane są jeszcze 3000 lt. za nieoddane dawne rekwizycje i 1500 lt. bieżącego podatku. Za zaległy podatek opisano im bydło i zagrożono licytacją, jeżeli nie będzie zapłacony do końca maja. Tymczasem po nieurodzaju zeszłorocznym Kowaliszki są bez pieniędzy i bez możności sprzedania czegokolwiek, a Piotruś Komorowski radkuński ze swym przyjacielem i współwychowankiem Jankiem Zommerem i Zitka z Litką w Wilnie są dwiema pannami, które ssą i pochłaniają każdy grosz wpływający do kasy i całą rezerwę resztek listów zastawnych, pozostałych po Papie, itd. Julek podał z Kowaliszek prośbę o odroczenie przynajmniej połowy zaległych podatków do jesieni i przyjechał tu popierać tę prośbę za moją protekcją i ewentualnie poszukać pieniędzy. Chciał 1 ½ tysiąca litów pożyczyć ode mnie, ale mu odmówiłem, bo Kowaliszki są beczką bezdenną, w której każdy pieniądz tonie i z której dług odebrać jest bardzo trudno. Zresztą w ogóle najtrudniej jest odebrać dług od swoich. Pomogę Julkowi w sprawie uzyskania odroczenia egzekucji, ale pożyczyć coś prawie na przepadłe z moich uciążliwie zbieranych oszczędności nie myślę. Elizka, Hektor i Julek bardzo mię zapraszają na wesele Julka, które się odbyć ma w drugiej połowie czerwca w Berżynianach na Żmudzi – majątku pp. Gorskich, przyszłych teściów Julka. Wesele ma być z wielką pompą odprawione, z czego Julek wcale nie jest zadowolony. Zapewne wypadnie mi pojechać. Julek przywiózł mi frak, abym miał w czym wystąpić.

Ten kawałek strony, który pozostaje, poświęcę dalszemu ciągowi statutu Wielkiego Wschodu Litwy:
38. Do prezydium loży mogą być wybierani tylko bracia mistrze; w loży niezupełnej (art. 34) w braku braci mistrzów urząd venerable'a może być łączony przede wszystkim z urzędem dozorcy, a w ostateczności i oratora, zaś urzędy sekretarza i skarbnika mogą być polecone przez lożę braciom uczniom; z chwilą jednak powiększenia ilości braci mistrzów połączenie urzędów venerable'a, oratora i dozorcy ustaje i urzędy sekretarza i skarbnika przechodzą do braci mistrzów; brat uśpiony nie może należeć do prezydium.
39. Funkcjonariusze prezydium są wybierani corocznie na pierwszym posiedzeniu loży każdego roku kalendarzowego; wyrok loży o odwołaniu brata venerable'a staje się prawomocny tylko za sankcją Rady Wielkiego Wschodu Litwy.
C.d.n.

23 maja, rok 1924, piątek
W awizacji na posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego na pojutrze wpisany jest do porządku dziennego wniosek dziekana Leonasa o mianowaniu naszego sekretarza wydziału docenta Wacława Biržiški profesorem ekstraordynarnym. Jest to wniosek bardzo na czasie, który, jak się spodziewam, będzie uchwalony. Jest on na czasie nie tylko dlatego, że się to Wacławowi Biržišce należy, ale także dlatego, że jest to poniekąd warunkiem koniecznym dla naszego udziału w zarządzie centralnym uniwersytetu, o co zwłaszcza samemu Leonasowi chodzi, Wacław Biržiška wykłada u nas prawo administracyjne. W zakresie ściśle prawniczym żadnych prac drukiem dotąd nie ogłosił, podręcznika swego dla studentów jeszcze nie wydał, ale w innym zakresie praca jego ma cechy naukowe, a poza tym ma on duże zasługi dla uniwersytetu i Wydziału Prawniczego. Jest on bibliotekarzem uniwersytetu, kieruje systematyzowaniem i inwentaryzacją księgozbioru, sam też osobiście poświęcając temu dużo czasu. Kocha się on zresztą i zna się na pracy bibliotecznej. Jest bibliofilem namiętnym i pracowitym. Ma ogromny zakres wiedzy bibliograficznej, zna bodaj wszystkie księgozbiory w kraju; nikt nie jest tak dobrze poinformowany o książkach, jak on; prawie o każdej książce wie, kto ją ma, toteż gdy trzeba jakiejś książki, o którą trudno, Wacław Biržiška zawsze ją wynajdzie. Redaguje on i prawie wyłącznie sam zapełnia treść specjalnego organu bibliograficznego litewskiego „Knygos". Poza tym jest z samej natury swoich upodobań bibliofilskich szperaczem różnych szpargałów, koneserem osobliwości książkowych, miłośnikiem archiwów, kolekcjonistą druków, rękopisów i akt. To go też pobudza do drukowania różnych przyczynków historycznych, bibliograficznych itd. w całym szeregu pism miesięcznych specjalnych, których jest czynnym współpracownikiem. Pod tym względem wydajność jego jest wybitna. Cała ta jego praca w prasie periodycznej jest wyłącznie przyczynkowo-naukowa; publicystyki politycznej nie uprawia wcale; od wszelkiego udziału w życiu politycznym usunął się od lat kilku i bardzo konsekwentnie się trzyma na uboczu, zachowując ścisłą neutralność polityczną. W latach 1917-1919 będąc wpierw w Rosji, dał się porwać prądowi rewolucyjno-bolszewickiemu, był jednym z zaufanych współpracowników Mickiewicz-Kapsukasa, usiłującego w r. 1919 w czasie najazdu bolszewickiego tworzyć Litwę sowiecką, był komisarzem bolszewickim w Wilnie podczas okupacji Wilna przez Armię Czerwoną, a pozostawszy potem w kraju – zrażony niepowodzeniem tej rewolucji i rozczarowany w niej, a nie oczarowany bynajmniej przez przeciwne prądy rządzące krajem, daleki od jakiegokolwiek karieryzmu – uchylił się stanowczo i raz na zawsze od polityki, oddał się pracy naukowej, społeczno-kulturalnej i oświatowej – i wytrwał. Był czynny na Wyższych Kursach Naukowych od samego ich początku, położył dużo zasług w organizacji

Wydziału Prawniczego, którego sekretarzem jest od początku i którego jest żywa kroniką, bo zna na wylot wszystko, co dotyczy wydziału i w ogóle w życiu uniwersyteckim jest bardzo czynny i zorientowany. A jest to człowiek, w którym nie ma ani cienia blagi, zarozumiałości, próżności i względów osobistych. Nominacji Biržiški Wacława profesorem nadzwyczajnym jest potrzebna także, jakem wspomniał, dla naszego udziału w zarządzie uniwersytetu. Na uniwersytecie naszym utarło się albo uciera się świadomość takiej tradycji w zajmowaniu stanowisk w zarządzie. Zarząd ten składa się z trzech osób: rektora, prorektora i sekretarza. Każdy z nich powinien być z innego wydziału i wszystkie wydziały po kolei mają uczestniczyć w godności rektora. Rektorem obierany jest ten, kto w roku poprzednim był prorektorem, a prorektorat otrzymuje ten wydział, który w roku poprzednim miał sekretariat, z tym wszakże, że na prorektora jest wybierany nie ten profesor, który był sekretarzem, bo sekretarzem jest zwykle jeden z młodszych profesorów, rektorem zaś i prorektorem którykolwiek ze starszych i najpoważniejszych w wydziale. W tym roku rektorem jest prof. Czapiński z Wydziału Przyrodniczo-Matematycznego, prorektorem ks. Bučys z Wydziału Teologii, sekretarzem prof. Lašas z Wydziału Medycyny.

24 maja, rok 1924, sobota
Nawiązując do tego, com pisał wczoraj, kontynuuję. Na rok przyszły przeto, licząc się z obecnym składem zarządu uniwersytetu i uwzględniając ustalającą się tradycję, rektorat Uniwersytetu Litewskiego należeć będzie do Wydziału Teologicznego. Rektorem będzie oczywiście ks. prof. Bučys, prorektor tegoroczny. Prorektor będzie obrany z Wydziału Medycznego, bo ten wydział ma w tym roku sekretariat. Natomiast sekretariat powinien się dostać albo nam – prawnikom, albo Wydziałowi Humanistycznemu, bo to są jedyna dwa wydziały, które dotąd w zarządzie uniwersytetu nie uczestniczyły. Czy między humanistami a nami będzie rywalizacja o pozyskanie sekretariatu – nie wiem, ale słyszałem, że humaniści nie bardzo się o to kwapią. Jeżeli nasz wydział na rok przyszły trafi do sekretariatu, to na pozaprzyszły będzie miał prorektora, który w roku następnym, to znaczy już szkolnym 1926-1927 zostanie rektorem. Leonas o rektoracie marzy i wie, że będzie on jedynym na to stanowisko z naszego wydziału kandydatem bez konkurencji. A że jest stary i nie ma czasu do stracenia, więc wolałby, aby z tym już dłużej nie zwlekać. Zależy więc mu z pewnością na tym, aby na wyborach do zarządu na rok przyszły, które już w najbliższym czasie mają się odbyć, został wybrany sekretarz z naszego wydziału. Tymczasem w tym względzie zachodzi komplikacja następująca: nie tylko rektorem i prorektorem, ale także sekretarzem uniwersytetu może być tylko profesor, a nie zaś docent. My zaś w naszym wydziale nie posiadamy profesora, który by mógł być wybrany sekretarzem: Leonas, dziekan wydziału i rektor *in spe*, nie może być sekretarzem, bo to by było degradacją, Mačys i Kriščiukaitis są zbyt poważni wiekiem, aby ich można było sekretarzami mianować, Balogh nie umie po litewsku, Bielackin zaś i ja też nie tak jesteśmy biegli w języku litewskim, jak rodowici Litwini, więc do sekretariatu nie bardzo jesteśmy odpowiedni. Wszyscy inni są docentami. Wacław Biržiška byłby najodpowiedniejszy na stanowisko sekretarza uniwersytetu. Nikt bodaj nie jest tak biegły w sprawach uniwersytetu, jak on. Ergo – trzeba go mianować profesorem. A że ma on także tytuły zasług i pracy dla tej nominacji – więc z pewnością będzie mianowany. Może to co prawda budzić zazdrość u wielu równych mu docentów, którzy, jak Morawski, Šalčius i Büchler, bardzo tęsknią i wzdychają do tytułu profesora, ale cóż robić. Niewątpliwie Wacław Biržiška więcej wart od nich.
Ks. Tumas zachodził dziś do mnie w sprawie mego depozytu dzienników moich w kierowanym przezeń Muzeum Kultury. Złożyłem w tym muzeum, które jest organem

Wydziału Humanistycznego, szkatułę z zeszytami mego dziennika na warunkach następujących: Dopóki żyję – jest to depozyt, który mogę dowolnie wycofać; mogę też wycofywać i składać do szkatuły pojedyncze zeszyty dziennika; po mojej śmierci, jeżeli depozyt nie będzie wycofany za życia, przechodzi on na własność muzeum względnie wydziału, ale z zastrzeżeniem, że będzie dostępny do użytku dopiero po upływie 25 lat od mojej śmierci. Spisałem akt depozytu na warunkach powyższych i doręczyłem go przed tygodniem Tumasowi dla zaakceptowania go przez Wydział Humanistyczny. Otóż okazuje się, że Wydział Humanistyczny, któremu Tumas o tym referował, ma jakieś wątpliwości co do zaakceptowania tego depozytu. Niektórzy członkowie wydziału kwestionują zwłaszcza dwa punkty: możność wycofania depozytu i możność wycofywania poszczególnych zeszytów. Powiadają, że wygląda to tak, jakbym chciał mieć sejf bezpłatny: muzeum będzie strzec depozytu, a ja go potem wycofam i na tym się skończy. Inni (stary prof. Jabłoński) wskazują na to, że rzekomo główną wartością dziennika jest bezpośredniość wrażeń i spostrzeżeń w nim spisanych. Jeżeli będę miał możność wycofania pojedynczych zeszytów, to może kiedyś zechcę coś w nich zmieniać, korygować, wprowadzać tendencje późniejsze, które mogą zepsuć wartość rękopisów. Chcieliby więc zabezpieczyć mój dziennik przede mną samym.

25 maja, rok 1924, niedziela
Nie zgodziłem się na poprawki w akcie depozytu dziennika, wynikające z zastrzeżeń, wyrażanych w łonie Wydziału Humanistycznego. Oświadczyłem ks. Tumasowi, że chcę zachować prawo zarówno wycofania depozytu, jak brania do domu i ewentualnego całkowitego wycofywania poszczególnych zeszytów dziennika. Zgodziłem się wprawdzie, o ile by wydział żądał, zaznaczyć w akcie depozytu, że wycofanie zupełne depozytu czynię zależnym od niebezpieczeństwa, grożącego zbiorom muzealnym ze strony jakichś możliwych wypadków niezwykłych, ale znaczenia prawnego takie zastrzeżenie nie mogłoby mieć, bo prawi decyzji o tym, czy takie niebezpieczeństwo zachodzi, zarezerwowałbym sobie. W ogóle te wątpliwości Wydziału Humanistycznego uważam za niewłaściwe. W roku zeszłym, gdy Muzeum Kultury było założone, ogłaszało ono, że będzie przyjmować nie tylko dary, ale także depozyty. Prawda, że mój depozyt , o ile by miał być przeze mnie za życia mego wycofany, nic by nie dał, bo zabraniam kategorycznie użytkowania i nawet zaglądania do moich dzienników przed upływem 25 lat od dnia mojej śmierci. Ale gdyby nawet rola muzeum polegała li tylko na prostym przez czas jakiś przechowaniu tych rękopisów dziennika, co by zabezpieczyło te rękopisy od ewentualnej utraty lub zniszczenia, co zawsze jest możliwe przy trzymaniu ich w mieszkaniu prywatnym, gdzie może się zdarzyć pożar lub jakiś inny wypadek i gdzie ewentualnie w razie śmierci mojej mogą się one dostać w niewłaściwe ręce osób, mogących nie uszanować ich lub wywieźć, ukryć itp., to o ile ten dziennik mógłby mieć w przyszłości jakąś wartość przyczynku do dziejów chwili bieżącej, już by muzeum miało zasługę i cel w przyjęciu depozytu. Oczywiście nie do mnie należy sądzenie, czy i o ile ten dziennik jakąś wartość dla potomnych posiadać będzie. Jest w nim trochę grochu z kapustą, jest moc balastu, który społecznie wartości mieć nie będzie. Ale poza przyczynkiem do chwili obecnej jest on także dokumentem życia człowieka. Niechże się więc zachowa. Prawdopodobnie go nie wycofam z tego depozytu nigdy i po śmierci mojej przejdzie on na własność zbiorów publicznych. Że jednak stosunki są nieustalone, że mogą zajść jeszcze najprzeróżniejsze możliwości polityczne, chce mieć możność cofnięcia depozytu. Wieczorem wczoraj ks. Tumas, którego w teatrze spotkałem, powiedział mi, że jednak Wydział Humanistyczny zapewne przyjmie mój akt bez zmian i że dziekan wydziału prof. Michał Biržiška zapewne podpisze akceptację aktu.

Wczoraj wieczorem byłem w teatrze na koncercie śpiewackim chóru fińskiego pod dyrekcją Heikki Klemetti. Chór ten odbywa wycieczkę koncertową, której etapami są Rewel, Ryga, Kowno i Królewiec. Chór liczy 60-70 osób z przewagą głosów kobiecych. Wczoraj dawał on w Kownie koncert pieśni kościelnych, dziś pieśni ludowych fińskich. Teatr był pełny – publiczność litewska witała entuzjastycznie Finów. Takie wycieczki koncertowe między młodymi krajami bałtyckimi są niewątpliwie jednym z bardzo istotnych czynników politycznych propagandy i zbliżenia między ludami, a przeto i państwami. Chór fiński zresztą i pod względem artystycznym zupełnie zasługuje na czynione mu owacje. Oprócz pieśni fińskich chór odśpiewał także parę piosnek litewskich, w ich liczbie charakterystyczną „Ant kalno karkliai siubavo" Naujalisa. Były też odśpiewane hymny litewski i fiński; ten ostatni po raz pierwszy słyszałem – jest bardzo ładny. Były też wypowiedziane ładne co do treści przemówienia powitalne wzajemne przez ks. Sobolewskiego ze strony litewskiej, tłumacza „Kalevali" fińskiej na język litewski i przez jednego Finladczyka z chóru. Były tez przemówienia delegacji młodzieży akademickiej, litewskiego towarzystwa śpiewackiego „Daina" itd. Niezmiernie miłe czynią wrażenie nie tylko pieśni fińskie w pięknym wykonaniu chóru, ale także same postacie i oblicza Finlandczyków i Finlandek. Kobiety przeważnie nieładne, o ile chodzi o rysy i figurę, niektóre bardzo typowo brzydkie – małe, przysadziste, o wielkich głowach i krótkich nogach, o kościach policzkowych wydatnych, nosach i małych oczkach fińskich, ale na podziw wszystkie twarze niezmiernie sympatyczne, dobroduszne, budzące zaufanie szczerością i prostotą, która tchnie z ich wyrazu. Patrząc na te twarze zgaduje się lud cichy i twórczy, lud rzetelny i wolny, może trochę posępny, łączący pierwiastek czynu i pracy z pierwiastkiem marzenia i tęsknoty, bardzo zrównoważony w subtelnym układzie cech twardych i miękkich natury ludzkiej. Z wielkiej rodziny ludów fińskich z Północy i Wschodu Finlandia jest prawie jedyną, która ten swój pierwiastek rodzimy rozwinęła do wielkiej [...][179] narodowej zamiast go udzielić do tworzenia i zabarwiania kolonizacji obcej, jak się to stale z Finami [...]. Niech żyje Finlandia!

26 maja, rok 1924, poniedziałek
Wczoraj na posiedzeniu Rady Wydziału Prawniczego mianowaliśmy jednogłośnie głosowaniem tajnym kartkowym docenta Wacława Biržiškę profesorem nadzwyczajnym. Wacław Biržiška – co należy podkreślić – sam nie tylko się o ten awans nie ubiegał, jak niektórzy inni (którzy zresztą, choć się ubiegają nie otrzymują go i chyba nieprędko otrzymają, bo ubiegają się najbardziej właśnie ci, co bodaj najmniej mają do niego tytułów), ale wręcz był stale, tak w stosunku do siebie, jak do innych, zbyt szybkiemu bez zasług szczególnych i ściśle naukowych stanowczo przeciwny. Nie będąc sam do zaszczytów i godności formalnych ambitny, był on i jest zawsze zdania, że z nominacjami profesorskimi trzeba jak najbardziej zwlekać i obchodzić się bardzo ostrożnie, aby ich powagi nie umniejszać i uniwersytetu nie błaźnić. I jestem przekonany, że gdyby nie względy na udział naszego wydziału w zarządzie uniwersytetu, czyniące jego awans profesorski poniekąd koniecznym, byłby on bardzo energicznie protestował przeciwko tej swojej nominacji.
Zdarzenie czyni, że dzisiejsza kartka dziennika będzie poświęcona wyłącznie Biržiškom, bo oto ledwiem skończył o Wacławie, gdy mi wypada zacząć o jego bracie Michale. Michał Biržiška, profesor i dziekan Wydziału Humanistycznego, jednocześnie dyrektor gimnazjum „Aušry", odkąd zamieszkał w Kownie po przymusowej banicji z Wilna przez władze polskie na początku roku 1922, zamknął się wyłącznie w zakresie

[179] Urwany róg karty.

pracy ściśle naukowej i pedagogicznej. Kiedyś był on socjalistą, jednym z wybitnych członków Socjalnej Demokracji litewskiej – obok Stefana Kairysa i Augustyna Janulaitisa. Łączy mię z nim znajomość dawna i bliska; był on jednym z pierwszych Litwinów, z którymi mi wypadło kiedyś pracować: mianowicie w roku 1906, gdym rozpoczął w Wilnie wydawnictwo radykalnej i krajowej :Gazety Wileńskiej", zgłosił się pewnego dnia do mojej redakcji młody student Litwin i zaoferował swoje usługi do prowadzenia w piśmie działu sprawozdawczego z prasy i z życia litewskiego. Tym studentem był Michał Biržiška. Pracę tę w „Gazecie Wileńskiej" prowadził on nie dla zarobku, ale dla idei, dla popularyzacji w opinii miejscowej polskiej spraw litewskich, a wybrał „Gazetę Wileńską" dlatego, że zaznaczyła ona od samego początku swoje kategoryczne stanowisko krajowe, przeciwstawiające się aspiracjom kolonizatorskim nacjonalistów polskich i przez to samo traktowała życzliwie wszystkie ruchy krajowe, w ich liczbie narodowy litewski jako zmierzający do tego samego celu – emancypacji i samowystarczalności kulturalnej i społeczno-politycznej Litwy. Ponieważ w późniejszych latach tak Michał Biržiška, jak ja mieszkaliśmy w Wilnie, więc spotykaliśmy się z nim i nadal stale. Od roku 1911-1912 spotkaliśmy się znów oba w lożach masońskich Wilna jako bracia.

27 maja, rok 1924, wtorek
Nie dlatego zacząłem wczoraj pisać o Michale Biržišce, aby powiedzieć to, , co wiem o jego osobie. Zresztą Michał Biržiška jest człowiekiem zbyt znanym, aby go trzeba było atestować w dzienniku. Wspominam tu o nim dla tego, co niżej wyrażę, a poprzedzam to wstępem przelotnym o jego osobie, żeby lepiej uwydatnić to, co dalej powiem. Otóż na początku wojny Michał Biržiška by jeszcze esdekiem partyjnym i jednocześnie masonem – bratem naszym z jednej z trzech lóż wileńskich (loża „Jedność"). Będąc esdekiem partyjnym, nie był on jednak nigdy jednostronnym, zaciekłym i zbyt zaangażowanym w akcję wyłącznie polityczną. Jest on psychicznie typem pokrewnym tym, co w socjalizmie polskim tworzyli kierunek PPS. Jest on człowiekiem głębokiej kultury szlachecko-inteligenckiej, której nie jest i nie może być obca, jak większości narodowców litewskich pochodzenia włościańskiego, cała przeszłość i tradycja starej Litwy szlacheckiej litewsko-polskiej. Pochodzący z rodziny spolonizowanej, wychowany w domu na kulturze polskiej i na tradycjach polsko-litewskich, zachował on czucie ciągłości i jedności kraju, ogarniającej tak lud, jak ewolucję polską szlachty krajowej i jej manifestowanie w wielkich ruchach przeszłości. W czasach gimnazjalnych i studenckich, pod wpływem prądów społecznych ideowych, stał się socjalistą i swoje uczucia syntezy krajowej zespolił ze sprawą narodowego odrodzenia litewskiego, określając siebie jako Litwina i partyjnego esdeka, ale nigdy nie był renegatem i neofitą, nienawidzącym te założenia kulturalno-psychiczne, z których jego własna umysłowość wyrosła i które bardzo ściśle z polskością były związane. Toteż ani socjalistyczna zasada walki klas nie zdołała w nim zabić zmysłu społecznego ciągłości i jedności solidarnego kraju, ani patriotyzm litewski narodowy, którym się przejął, nie wyrodził się w jego duszy w nacjonalizm, nienawidzący wszystko dokoła i hołdujący wyłączności li tylko jednego czynnika w skomplikowanym ustroju krajowym. Był on socjalistą przez zmysł sprawiedliwości społecznej i wrażliwość na krzywdę ludzką, Litwinem zaś – przez świadomość, że li tylko przez rodzimy pierwiastek litewski kraj zdoła się odrodzić i odzyskać indywidualność swoją, niwelującą się przez prąd polonizacyjny, względnie – rusyfikacyjny. Ale w tym odrodzeniu ogarniał on, cenił i pragnąłby uobywatelnić i zużytkować [wszystkie narodowości?][180]. W istocie kochał on

[180] Zdanie niepełne.

Litwę i jej cały lud, a przywiązywał się do pewnych ruchów i związków społecznych w kraju, dostrzegając w nich czynnik konstrukcyjny dalszych dziejów litewskich. Gdy się zbliżały do Wilna wojska niemieckie, Michał Biržiška nie uciekł wraz z innymi do Rosji; pozostał w Wilnie. W roku 1917, gdy Konferencja Litewska w Wilnie wyłoniła „Tarybę" – Radę Krajową, względnie – Radę Stanu Litwy, Michał Biržiška wszedł do niej, należąc w niej do lewicy. Gdy Taryba, licząc się ze zwycięstwami niemieckimi i hołdując oportunizmowi w zainicjowanej przez nią budowie państwowej Litwy, wdała się w kombinacje monarchistyczno-germanofilskie i wreszcie uchwaliła powołanie księcia Uracha na tron litewski, Michał Biržiška wraz z kilku innymi członkami lewicy – Janem Vileišysem, Stefanem Kairysem i Stanisławem Narutowiczem – demonstracyjnie się z Taryby wycofał.

28 maja, rok 1924, środa
W jesieni roku 1918, gdy wojna pękła i rozpoczął się moment likwidacji, niezmiernie ważny i odpowiedzialny dla ludów, które proklamowały swoją państwowość, lecz jej nie zrealizowały jeszcze, gdy w Niemczech rewolucja zmiotła monarchię i skapitulowała przed zwycięskim Zachodem, gdy okupacja niemiecka Litwy musiała w najbliższym czasie ustąpić, gdy tuż o miedzę w Rosji, szalał bolszewizm o hasłach propagandy rewolucyjnej powszechnej, gotujący się do zalania w pierwszym rzędzie terenów z terytorium dawnej Rosji, opróżnianych z okupacji niemieckiej, gdy skądinąd Polska, której sił i zdolności ekspansyjnej nikt jeszcze nie znał, nie myślała rezygnować z Wilna i bodaj całej Litwy, gdy wreszcie pod skrzydłem cofającej się fali okupacyjnej niemieckiej na tle rodzącego się chaosu i rozprzężenia zaczynały się na tych ziemiach, dotykających morza bolszewickiego, skupiać jakieś awanturnicze żywioły kontrrewolucji rosyjskiej, gdy słowem wszystko się rwało i rodziły się wszelkie możliwości i niespodzianki najbliższej przyszłości, pełnej chmur i burzy dokoła dzieła Taryby, tworzącej w tym rozgwarze prądów i usiłowań słabiutki ośrodek statecznego budownictwa własnej państwowości krajowej. W tych warunkach Michał Biržiška (i Jan Vileišis) nie wahali się wrócić do szeregów Taryby, z której byli poprzednio demonstracyjnie wystąpili. Ale Michał Biržiška wrócił do Taryby już tylko osobiście, w swoim własnym imieniu, nie w charakterze członka partii LSD, z której w tym czasie wystąpił i która w osobie swego leadera Kairysa nie wróciła do Taryby i pozostała na uboczu, przeżywając sama ciężki kryzys rozdroża między rewolucjonizmem, kroczącym pod hasłami bolszewizmu a stanowiskiem narodowym i niepodległościowym, skupiającym pierwiastki „burżuazyjne". Michał Biržiška wystąpił z partii, ale nie odrzucił imienia socjalisty. Gdy fala bolszewicka z Rosji zalała Wilno na samym schyłku r. 1918 i gdy Taryba zwiała do Kowna, gdzie Michał Ślażewicz stanął na czele rozbitków i zaczął ich skupiać do czynu, a wielu z tych uciekinierów tarybowego dzieła, uważając już pozycje za przynajmniej na razie stracone, tak drapnęła, że oparła się aż o Niemcy – Michał Biržiška pozostał w Wilnie. I tu w tych latach od początku r. 1919 do roku 1922 rozwinął się najwspanialszy okres życia Michała Biržiški – najwspanialszy nie zaszczytami i powodzeniem, ale ofiarą, wolą i czynem. Bolszewicy w Wilnie czepiali się Biržiški, ale Mickiewicz-Kapsukas, który pod ich skrzydłem i ideologią usiłował tworzyć Litwę i Białoruś sowiecką („Litbieł"), szanował Michała Biržiškę, choć był świadom, że jest to wróg jego dzieła. Michał Biržiška stał się w Wilnie rzecznikiem idei państwowej litewskiej, ośrodkiem żywym, dokoła którego skupiała się Sprawa, jej kierownikiem i wreszcie symbolem i wodzem. Zyskał on w tym charakterze w Wilnie autorytet ogromny, który się zwłaszcza uwydatnił i wzrósł za czasów okupacji polskiej, która wyrugowała bolszewicką.

29 maja, rok 1924, czwartek
Michał Biržiška za czasów polskich w Wilnie – tak za pierwszej okupacji w r. 1919-1920, pod rządami Piłsudskiego i Osmołowskiego, jak za czasów „Litwy Środkowej” Żeligowskiego – stał się w Wilnie prawdziwym wodzem Sprawy Litewskiej. W jego ręku była cała prasa litewska wileńska, tak w języku litewskim, jak polskim wydawana, w jego ręku skupiała się cała akcja litewska, którą on kierował, przez jego ręce szedł cały stosunek tej akcji z Litwą Niepodległą; a nie był on tylko agentem rządu litewskiego w Wilnie, pełnomocnikiem tegoż i wykonawcą jego zleceń i dyrektyw. Dyrektywy te ustanawiał sam, był wodzem całkowitym i odpowiedzialnym. Na tym stanowisku, które sobie sam zdobył mocą swego autorytetu i woli, nie poddanej nigdy względom osobistym, lecz określanej względami dobra Sprawy, zdobył sobie Michał Biržiška powagą, prawością, taktem, odwagą – szacunek tych, przeciwko którym walczył. Był on dla władz i nacjonalistów polskich w Wilnie solą w oku, był przeciwnikiem bardzo szkodliwym i przykrym, ale – nie można mu było nigdy udowodnić żadnej plamy; nie można mu było udowodnić nawet – nienawiści do Polski. Taki przeciwnik jest najniedogodniejszy. Pomimo procesów, które mu wytaczano, pomimo szczerej chęci pozbycia się tego przeciwnika niezłomnego – nie można mu było nic zrobić. Skończyło się na tym, że się go pozbyto – banicją. Jego żona, która mu dzielnie sekundowała w tej akcji, przebyła w Wilnie o rok dłużej, ale wreszcie i ona przejechała do Kowna do męża. W Wilnie był Michał Biržiška wspaniały, był bodaj nawet wielki. W Kownie nie miał on już tego gruntu i poczuł się wykolejony. Zdaje się, że się też tu rozczarował i że powszedni bieg państwowości, tworzonej w Kownie i opierającej się na czynnikach ściśle etnicznych litewskich, nie odpowiada jego założeniom, tam w Wilnie organizowanym przezeń. Zmalał on tu i usunął się w cień. Nie przeszedł do malkontentów i opozycjonistów, nie zapalił się ani gorączką ambicji, ani żółcią goryczy – pozostał zrównoważony i prosty, spokojny i cichy, skupiony, jakim był zawsze. Nie mogąc być tym, czym był i działać w zakresie i kierunku poprzednim, stanął i umilkł. Ale nie został bezczynny. Energię swoją w całej mocy zastosował do pracy naukowej i pedagogicznej. Jednak ten przełom, który się w nim musiał dokonać w stosunku do stanowiska i czynu, musiał głęboko oddziałać na jego układ psychiczny i na kierunek jego uczuć i myśli. I oto dochodzą mię wieści, że Michał Biržiška zwrócił się w kierunku religijnym, że się nawrócił na katolicyzm. Był on przez cały czas i jest dotąd bratem czynnym w naszej loży, w której należy on do prezydium, będąc poprzednio Dozorcą, obecnie – Oratorem. Zdawałoby się, że katolicyzm i wolnomularstwo powinny by się wykluczać; dotąd jednak nie mieliśmy w loży żadnych z jego strony wskazówek, aby zaszła jakakolwiek zmiana w jego stosunku do masonerii i nic nam nie wskazywało, żeby Michał Biržiška był pod jakimkolwiek względem inny, niż był i niż my wszyscy jesteśmy.

30 maja, rok 1924, piątek
Powiedziałbym więcej jeszcze, niż to, com powiedział wczoraj na końcu stronicy: nie tylko że nic nam w loży nie wskazywało, żeby u Michała Biržiški zaszła jakakolwiek zmiana w jego stosunku do masonerii, ale nawet przeciwnie – jego braterskie traktowanie zasad masońskich i naszego współżycia w stosunkach wzajemnych jak gdyby jeszcze bardziej wysubtelniało i stało się cieplejszym, miększym i żywszym. Czy prawda jest, że Michał Biržiška nawrócił się na katolicyzm – tego nie sprawdziłem; na razie podaję tylko to, co o tym usłyszałem. Mówił mi o tym Antoni Sugint, mówił Michał Ślażewicz. Sami oni jeszcze nie są tego pewni. Ale faktem jest tymczasem tylko to, że tu o tym gadają i że litewska klerykalna prasa amerykańska szeroko się o tym nawróceniu rozpisuje jako o triumfie idei katolickiej w kraju, która zaczyna nawracać

na łono Kościoła zabłąkanych inteligentów, pozyskując najtęższe umysły tych, którzy znani byli notorycznie z przekonań i działalności socjalistycznej i antykościelnej, hołdując pogańskim ideałom Wolnej Myśli. Prasa ta cytuje nawrócenie Stanisława Šilinga i Michała Biržiški, otwierając im szeroko ramiona i czyniąc z ich nazwisk i ich nawrócenia (co do Šilinga jest to rzecz stara) spekulację klerykalną. Sugint, który jest naszym bratem i który w obecnej chwili redaguje dziennik ludowców „Lietuvos Žinios", na razie nie chciał temu wierzyć, czytając o tym w prasie klerykalnej litewsko-amerykańskiej i skłonny był nawet upatrywać w tych artykułach prowokację celową, obliczoną na to, by wywołać replikę Michała Biržiški i wypowiedzenie się antyklerykalne, które dałoby klerykałom pretekst do wygryzienia „bezbożnego" Biržiški ze stanowiska dyrektora gimnazjum „Aušry". Ale zapytany w tej kwestii przez Suginta Andrzej Rondomański, przyjaciel Michała Biržiški i jego towarzysz z akcji wileńskiej, jeden z wygnanych z nim razem, potwierdził fakt nawrócenia się Biržiški i dodał, że Michał Biržiška odbył już nawet akt spowiedzi. Sugintowi już nawet ktoś ze współpracowników „Lietuvos Žinios" chciał dać jakąś wzmiankę do gazety w tej sprawie czy też artykulik, ale Sugint na razie to wstrzymał, wskazując mi jednak konieczność omówienia tej sprawy w loży. Jeżeli nawrócenie Michała Biržiški i wykonywanie przezeń praktyk katolickich jest faktem prawdziwym, to, znając go, nie wątpię, że jest ono zupełnie szczerym i że pochodzi nie z innych pobudek, jak z przekonania. Nie przywiązuję zgoła wagi do insynuacji Józefa Herbaczewskiego, który, gniewając się skądinąd na Michała Biržiškę za jakieś uczynione przezeń rzekomo Herbaczewskiemu zawody, mówi, że Michał Biržiška tym pozornym nawróceniem się i spowiedzią spełnia warunek paktu z Chrześcijańską Demokracją, mając od niej za to obiecana prezydenturę Rzeczypospolitej po Aleksandrze Stulgińskim. Michał Biržiška nie jest człowiekiem takich paktów.

31 maja, rok 1924, sobota
Ja osobiście nie czyniłbym Michałowi Biržišce żadnego zarzutu z faktu jego nawrócenia się na katolicyzm, gdyby się ten fakt okazał rzeczywistym. Ja sam jestem religijny, mimo że moja wiara jest indywidualna, niezupełnie usystematyzowana i że się nie klasyfikuje w żadnym z istniejących systemów kościelnych. Sam czuję tęsknotę do religii właśnie kościelnego typu, spajającego jednostki ludzkie w wielką zbiorowość wiary społecznie czynnej. I mam pociąg do katolicyzmu większy, niż do jakiejkolwiek innej religii kościelnej. Wyczuwam też cały skomplikowany proces psychiczny Michała Biržiški, który albo go już skierował, albo skierowuje do religii i kościoła. W dobie porewolucyjnej – po wielkich przeżyciach i wstrząśnieniach, po wysiłkach czynów i myśli, po wytężeniu uczuć i woli – przychodzą załamania i reakcje, przychodzi refleksja i tęsknota. Bardzo jest częstym w dobie porewolucyjnej zjawisko, że najtęższe umysły, ludzie najgorętsi niepospolitej wartości zwracają się ku religii. Niemniej uważam za słuszne i właściwe żądanie Suginta i innych braci naszych, z którymi o tym mówiłem, aby ta sprawa nawrócenia Biržiški, jeżeli się ono sprawdzi, była u nas w loży z nim omówiona. Bo takie nawrócenie katolickie zbyt głęboko przetwarza psychikę człowieka, aby mogła nie zachodzić potrzeba zbadania tej nowej sytuacji psychicznej w stosunku do braterstwa masońskiego. Wolnomularstwo szanuje wszelkie szczere przekonania ludzkie – na tym polega sama istota, sama idea najgłębsza związku masońskiego. Jeżeli czasem tak nie jest – to jest to zboczeniem i deprawacją wolnomularstwa. Dlatego też ze stanowiska masońskiego sam fakt nawrócenia religijnego brata nie może stanowić bynajmniej powodu do zerwania z nim lub do kwestionowania jego kwalifikacji masońskich. Ale niewspółmierny jest z istota wolnomularstwa klerykalizm. Ten zaś ostatni jest w formacji kościelnej katolickiej tak

silny i organicznie z nią zrosły, że prawie niepodobna jest należeć do Kościoła Rzymskiego bez uczestniczenia w specyficznym klerykalizmie katolickim. To właśnie jest pierwszą i kapitalną rzeczą do wyjaśnienia. Po wtóre, zachodzi kwestia tajemnicy masońskiej. Czy jest ona współmierna ze spowiedzią katolicką? Z tych względów rozprawa w przedmiocie nawrócenia Michała Biržiški staje się w loży konieczną i żądanie takiej rozprawy, zgłaszane przez braci, jest zupełnie zasadne. Rozprawa ta musi być wykonana w zasadach braterstwa: chodzi nie o inkwizycję, lecz o akt stosunku braterskiego.
Po obiedzie mieliśmy z Tumenasem wyznaczony na uniwersytecie egzamin z prawa konstytucyjnego dla studentów IV i VI semestrów. Egzaminowaliśmy obaj równolegle każdego studenta. Zdawało się, że aspirantów do egzaminu będzie dużo, ale większość stchórzyła i stawiło się zaledwie pięciu. Egzamin jednak trwał ze cztery godziny, bo Tumenas, jak w każdej innej czynności, jest niezmiernie powolny i marudny w egzaminowaniu. Z pięciu egzaminujących się studentka panna Gineitytė „obcięła się", to znaczy nie zdała, bo tez nic zgoła nie umiała i nic nie kapowała. Studenci Mąstowicz, Gonionis-Goniądzki i Goldberg zdali „bardzo dobrze", student Janušonis – „dobrze".

1 czerwca, rok 1924, niedziela
Na wtorek wyznaczyłem posiedzenie loży w mieszkaniu Ślażewicza. Na porządku dziennym będzie kwestia Michała Biržiški. Z Michałem Biržišką widziałem się na posiedzeniu Rady Uniwersytetu i uprzedziłem go o postawieniu tej kwestii na porządku dziennym w loży. Biržiška powiedział, że rozumie w zupełności motywy, dla których ta sprawa jest przez nas stawiana. Powiedział, że nigdy nie czynił tajemnicy ze swych uczuć religijnych i z faktu nawrócenia się na katolicyzm, że istotnie spowiedź odbył i to jeszcze przed rokiem, że wie, iż wolnomularstwo szanuje wszelkie przekonania szczere, toteż nie uważa swojego katolickiego wyznania wiary za niewspółmierne z przynależnością do loży i z ideałami masońskimi, że na artykuły klerykalnej prasy litewsko-amerykańskiej nie reagował i nie reaguje dla tych samych przyczyn, dla których w ogóle nie rozgłaszał o swoim nawróceniu, traktując to za osobisty akt wiary, nie zaś za demonstrację publiczną, która by miała posłużyć na użytek klerykalnej spekulacji politycznej. Dla tych samych powodów – uważając wiarę swoją za rzecz osobistą i prywatną, a spowiedź swoją za akt tejże – nie podnosił tej rzeczy sam w loży. W ogóle Michał Biržiška, jak się przekonałem z tej rozmowy przelotnej, oddziela starannie wyznanie wiary katolickiej od klerykalizmu. Nie wiem, jak się loża na to będzie zapatrywała, sądzę jednak, że większość naszych braci – w szczególności tacy ludzie, jak Sugint, Janulaitis, Purėnas – nie będą skłonni podzielać stanowiska Michała Biržiški. Co do mnie, uważałbym jego pozostawanie w loży i braterstwo nasze za dające się pogodzić z jego katolicyzmem w tej formie. Szacunek do Michała Biržiški przez to nie zmalał – przeciwnie. Trudniejszą jest tylko kwestia reagowania lub nie reagowania Biržiški na spekulację klerykalną prasy litewsko-amerykańskiej, operującej jego nawróceniem dla celów, których on nie łączy ze swym nawróceniem bynajmniej. Choćby on ich nie łączył, to jednak nie jest oto w jego mocy przeszkodzić, aby klerykalizm jego nawrócenie dla tych celów zużytkował. Michał Biržiška nie reaguje zarówno na taką spekulację jego aktem wiary, jak skądinąd na miotane nań z tegoż obozu oszczerstwa: niedawno w Wilnie wydana został po litewsku przez pewnego księdza Litwina broszura, zawierająca paszkwil na Biržiškę, Jonynasa i innych, zarzucająca mu niesumienność, spekulowanie materialne na działalności społecznej, wszelkie tym podobne brudy.
Po obiedzie w wielkiej sali uniwersytetu odbyło się posiedzenie Rady Uniwersyteckiej, zwołane dla dokonania wyborów rektora, prorektora i sekretarza na rok akademicki

przyszły. Na ogół zebrania Rady Uniwersyteckiej bywają nudne i wielu profesorów ich unika. Ale to doroczne zebranie wyborcze stanowi „*clou*” życia uniwersyteckiego i ściąga niemal pełny komplet profesorów. Zdawało się, że nasz Wydział Prawniczy będzie interesowała w wyborach tegorocznych li tylko kwestia osoby sekretarza uniwersytetu, którego wybór chcieliśmy zapewnić dla Wacława Biržiški. Już wczoraj z rozmowy z Purenasem dowiedziałem się, że o sekretariat będzie się także ubiegał Wydział Przyrodniczo-Matematyczny, który chce mieć stanowisko w prezydium ze względu na mające się rozpocząć budownictwo zakładów uniwersyteckich, w których wydział ten jest zainteresowany. Uprzedziłem dziś rano o tym naszą Radę Wydziału na jej posiedzeniu. Nasza Rada uważała pretensje przyrodników za niezasadne, bo już w tym roku mieli oni w prezydium udział w osobie rektora Czapińskiego, podczas gdy my w prezydium dotąd ani razu nie uczestniczyliśmy, co zaś do zainteresowania Wydziału Przyrodniczego względami budownictwa, to mając stanowisko w senacie uniwersyteckim przez swego dziekana Žemaitisa, przyrodnicy mogą się od krzywdy, gdyby im ktoś myślał ją czynić, bronić. Szliśmy więc na posiedzenie, będąc pewni, że wybór rektora (w osobie obecnego prorektora ks. Bučysa) i prorektora (w osobie dr Avižonisa, wystawianego przez medyków) jest z góry zapewniony i że ewentualnie walka skupi się na kandydaturze sekretarza. Okazało się jednak inaczej, o czym powiem jutro.

2 czerwca, rok 1924, poniedziałek
O wyborach uniwersyteckich wczorajszych. W pierwszym głosowaniu na rektora większości absolutnej nie otrzymał nikt. Stosownie do regulaminu zarządzono drugie głosowanie – ściślejsze i ostateczne – między dwoma kandydatami, którzy w pierwszym głosowaniu otrzymali względnie największą ilość głosów. Byli nimi ks. Bučys i dr Avižonis. Głosowanie ściślejsze, jak zresztą było do przewidzenia, dało przewagę Bučysowi. Rektor zatem na rok akademicki 1924-1925 został obrany. Ponieważ Bučys na posiedzeniu nie był obecny, więc jeszcze wybór ostateczny zależny będzie od przyjęcia go przez Bučysa, który może odmówić przyjęcia. Zresztą zapewne nie odmówi, bo przypuszczam, że teolodzy, którzy są dobrze zorganizowani i karni, zapewnili się o jego zgodzie zawczasu. Postanowiono zawiadomić piśmiennie Bučysa o wyborze i udzielić mu trzy dni terminu dla udzielenia odpowiedzi. Następnie zarządzono pierwsze głosowanie na prorektora. Tymczasem w międzyczasie – podczas zbierania kartek i obliczania głosów przez komisję, złożoną z dwóch docentów – Rada debatowała inne przedmioty porządku dziennego, a więc preliminarz budżetowy na rok następny, poszczególne zagadnienia planu budownictwa uniwersytetu, wolne wnioski. Pierwsze głosowanie na prorektora znowu nie dało większości absolutnej. Zarządzono głosowanie ściślejsze między dwoma kandydatami, którzy otrzymali najwięcej głosów – dr Avižonisem i Michałem Biržišką. Jak było do przewidzenia, wybranym okazał się Avižonis, upatrzony przez medyków. Gdy jednak obecny rektor Czapiński, przewodniczący na posiedzeniu, spytał Avižonisa, czy przyjmuje wybór, ten, pomimo rzęsistych oklasków, potwierdzających nominację, odpowiedział odmownie. Zaczęto mu przerywać, prosić, ale Avižonis stał twardo na swoim. Zarządzono przerwę, by dać możność przyjaciołom Avižonisa namówić go do przyjęcia wyboru, ewentualnie zaś zastanowić się nad sytuacją, jaką stwarza ta odmowa i nad nowymi kandydaturami. Tymczasem jednak, jednocześnie z głosowaniem ściślejszym na prorektora, szło głosowanie kartkami na sekretarza, na które to stanowisko, jakem już wspominał, pretendowaliśmy my, to znaczy Wydział Prawniczy, i Wydział Przyrodniczo-Matematyczny. W rezultacie tego głosowania, które nie dało nikomu większości absolutnej, okazało się jednak, że kandydat przyrodników Purenas otrzymał względnie

większą ilość głosów – 31, niż nasz kandydat Wacław Biržiška, który otrzymał 29 głosów. Ponieważ jednak wybór prorektora z powodu odmowy Avižonisa okazał się niezałatwionym, więc ściślejsze głosowanie na stanowisko sekretarza między Purenasem i Wacławem Biržišką zostało zawieszone do czasu zakończenia wyborów prorektora. W zarządzonej przerwie duża grupa osób zebrała się dokoła Avižonisa, usiłując go nakłonić do przyjęcia wyboru. Inni potworzyli grupki, dyskutujące nad ewentualnymi nowymi kandydaturami na wypadek, gdyby Avižonis kategorycznie nie przyjął mandatu. Miano jednak nadzieję, że tak, jak w zeszłym roku Czapiński na razie odmówił przyjęcia mandatu rektora, a potem dał się uprosić i przyjął, tak teraz da się namówić i Avižonis. Rzecz jednak chybiła. Po przerwie Avižonis, zapytany ponownie przez rektora Czapińskiego, ponowił odmowę. Trzeba było zarządzić głosowanie od początku. Zarządzono znów przerwę, aby ustalić prywatnie nowe kandydatury. Ujawniło się, że medycy żadnej kandydatury poza Avižonisem nie mają. Zaczęto szukać kandydata wśród prawników i humanistów, którzy na ogół dotąd w prezydium nie uczestniczyli i którym przeto uznawano pierwszeństwo. Ale wystawiany przez humanistów Michał Biržiška odmawiał kategorycznie, motywując tym, że wybór ten zmusiłby go do zrezygnowania ze stanowiska dyrektora gimnazjum „Aušry", do czego on nie może z pewnych względów dopuścić.

3 czerwca, rok 1924, wtorek
Cofam się do pozawczorajszych wyborów uniwersyteckich. Odmowa Avižonisa wprawiła Radę w kłopot nie lada. Wszyscy się tak byli oswoili z myślą o tym, że prorektor będzie Avižonis, że nikt zawczasu się do innej kandydatury nie przygotował. Zaczęto szukać śpiesznie kandydata. Medycy nikogo innego w rezerwie nie mieli. Humaniści, których ewentualny kandydat – Michał Biržiška – kategorycznie się zastrzegał odmową, nikogo innego spośród siebie też wskazać nie mogli. W tych warunkach wypadało kandydata wskazać nam. Oczywiście wypłynęła u nas kandydatura Leonasa, na którą się wszystkie inne wydziały chętnie godziły. Leonas wszakże ani słyszeć nie chciał o swej kandydaturze. Dla mnie było to niespodzianką, bo zdawało mi się zawsze, że rektorat jest najgorętszym marzeniem Leonasa, a przecie stanowisko prorektora jest tylko przedsionkiem rektoratu. Zresztą i teraz nie jestem pewny, czy odmowa Leonasa nie jest tylko w warunkach obecnych, jakie się wytworzyły, okolicznościową. Może jako jeden z mężów stanu lewicy nie chce on być prorektorem za rektoratu teologa ks. Bučysa, a może, jako człowiek wielkiej ambicji, uważa sobie za ujmę, by jego wybór nastąpił, że tak powiem, epizodycznie, zastępczo, dla zatkania luki, wywołanej odmową prawdziwego kandydata – Avižonisa. Może na kandydaturę w czasie właściwym się zgodzi, gdy będzie kandydatem nie zastępczym, lecz zasadniczym. Ale dość, że odmówił. Może zresztą chodzi mu ze względów materialnych o pozostanie w adwokaturze, którą kto wie czy nie musiałby porzucić , obejmując stanowisko prorektora i rektora uniwersytetu. Żadne perswazje nie pomogły. Szukając dalej, zaczęto wysuwać nazwisko Wacława Biržiški, który zresztą nie nadawałby się już choćby dlatego, że poza językami litewskim, rosyjskim i polskim innych języków nie posiada i do stanowiska reprezentacyjnego przeto kwalifikacji nie ma. Zresztą Wacław Biržiška zaprotestował sam przeciwko swej kandydaturze kategorycznie. Co było robić wobec tego? Wszelka kandydatura z łona teologów była wykluczona, bo już teologom oddano rektorat. Przyrodnikom też się to stanowisko nie należało, bo z ich łona jest rektor ustępujący Czapiński. W braku innego kandydata przed samym zakończeniem przerwy zaczęto wymieniać nazwisko Šimkusa, który był rektorem w roku ubiegłym. Przerwa się skończyła bez żadnych wyników realnych. Zaczęto pisać kartki. Tu Kriščiukaitis bąknął coś szeptem przelotnie o mojej

kandydaturze, na co ja mu zaoponowałem, ale była to rozmowa tylko między nami. Kriščiukaitis zaczął nalegać i poszedł nawet do innych naszych kolegów prawników agitować za mną, ale już w tym czasie ich kartki były podane. Kto wie, jak by się rzeczy złożyły i czy nie byłbym wybrany, gdyby Kriščiukaitis był moją kandydaturę podniósł wcześniej. Nie wiem tylko, czy dałoby się to pogodzić z moim stanowiskiem w Trybunale, którego bym nie porzucił dla krótkotrwałego rektoratu. Po obliczeniu głosów okazało się, że największą ilość głosów otrzymali Šimkus i Michał Biržiška, między którymi należałoby przeto zarządzić głosowanie ściślejsze (parę kartek było z moim nazwiskiem). Šimkus uprzedził kategorycznie, że wyboru nie przyjmie. Skończyło się więc na tym, że wybory odroczono do czwartku, aby dać czas się zorientować i zastanowić w wydziałach nad kandydaturami. We czwartek już nie będę, a ciekaw jestem, jak się to skończy. Dziś słyszałem wersję, że Avižonis już się zgadza kandydować i że odmowę swoją pozawczorajszą motywuje tym, że niektórzy go wybierali dla wytworzenia przeciwwagi klerykalnemu rektoratowi Bučysa, podczas gdy on, Avižonis, nie chce łączyć tych funkcji z jakimkolwiek zabarwieniem politycznym. Podług innej wersji jednak, Avižonis odmowy nie cofa. Słyszałem też wersję, że wobec tej sytuacji Bučys nie chce przyjąć stanowiska rektora, aby nie było pozoru, że to jego osoba jest przeszkodą do wybrania prorektora.

4 czerwca, rok 1924, środa
Wyjechałem z Kowna do Bohdaniszek. Wyjeżdżam na miesiąc do 1 lipca. Podczas tej pierwszej części wakacji (druga część – również miesięczna – wypadnie mi w samym końcu lata) wykonam krótką wycieczkę do Kłajpedy i Juodkrantisu z Marynią i Andrzejem, a potem z Kligysem, resztę zaś czasu spędzę w Bohdaniszkach. W końcu czerwca wypadnie mi jeszcze może pojechać na Żmudź do pp. Gorskich na ślub Julka Komorowskiego, jeżeli ślub odroczony znowu nie będzie.
Z Kowna do Abel chodzi teraz znowu tylko jeden pociąg, który do Rakiszek i Abel przychodzi w nocy, a z Kowna odchodzi o godz. 8 rano; wszakże ewentualnie wyjechać można z Kowna w południe prędkim pociągiem, który w Radziwiliszkach dopędza pierwszy pociąg. Jadzia z rzeczami wyjechała pierwszym pociągiem, ja zaś ze względu na pewne zapomniane w domu rzeczy (palto, bałachon biały od kurzu) musiałem ze stacji wracać i dopędziłem Jadzię w Radziwiliszkach kurierem. W Rakiszkach na stacji czekały mię konie Maryni, która sama nie przyjechała na moje spotkanie, bo dzień był bardzo zimny. Zdaje się, że po paru tygodniach upałów rozpoczną się zwykłe u nas w początkach lata chłody, trwające parę tygodni, czasami sięgające aż za św. Jan.
Mam jeszcze dużo do napisania z ostatnich dni pobytu w Kownie. Zacznę od posiedzenia loży wczoraj. Obecni byli na posiedzeniu bracia: Michał Ślażewicz, Felicja Bortkiewiczowa, Dominik Siemaszko, Antoni Purėnas, Augustyn Janulaitis, Antoni Sugint, Zygmunt Toliušis i ja. Na porządku dziennym była sprawa Michała Biržiški i relacja z mojej wizyty u brata Quartier-la-Tente w Genewie. W pierwszej sprawie potrzebną byłaby obecność samego Michała Biržiški, którego uprzedziłem o tym i który mi wpierw obiecał stawienie się, ale potem zawiadomił mię, że tym razem w żaden sposób przybyć nie może, bo okazało się, że ma akurat posiedzenie rady pedagogicznej w gimnazjum „Aušry", na którym obecność jego jako dyrektora jest niezbędna. Wobec tego nie mogliśmy w całej rozciągłości sprawy tej omawiać, bo wymaga to wysłuchania samego Biržiški. Zreferowałem wszakże braciom, o co chodzi i postawiłem pod dyskusję kwestię, czy loża uważa za właściwe w ogóle tę sprawę podnosić. Na razie siostra Bortkiewiczowa zaoponowała temu, wyrażając zdanie, że ponieważ wszelkie szczere przekonanie jest u nas szanowane i przeto wolne, my zaś nie mamy powodu do posądzania Michała Biržiški o obłudę, więc nie powinniśmy interweniować w zakres

jego wiary i żądać od niego legitymowania się pod tym względem. Ku tejże konkluzji, choć z innych nieco motywów, skłaniał się na razie ku memu zdumieniu Janulaitis. Zaznaczył on, że choć, jak się obecnie dowiadujemy, Michał Biržiška już od dłuższego czasu się nawrócił na katolicyzm i już przed rokiem zaczął chodzić do spowiedzi, to jednak w ciągu tego roku nie było żadnych oznak, aby jego działalność społeczna i kulturalna zboczyła z dróg dotychczasowych; że przeto możemy zaufać, że Biržiška nie łączy swego katolickiego wyznania wiary z klerykalizmem i że wobec tego żadnej realnej potrzeby do reagowania na jego „nawrócenie się" nie mamy, a gdybyśmy go zaś zaczęli indagować i zbyt go sobie przeciwstawiać, to moglibyśmy go właśnie pchnąć w kierunku klerykalizmu: często się bowiem zdarza z ludźmi, którzy stanęli na rozdrożu, że przez niewczesną krytykę i drażnienie ich rozterki wewnętrznej wpędza się ich ba drogę, na którą by może w innych okolicznościach nie zboczyli. Nie trzeba czasem pewnych rzeczy zbyt precyzować, bo tym precyzowaniem można czasem osiągnąć skutek wręcz przeciwny pożądanemu. Mogłoby to zmusić człowieka, w tym wypadku Michała Biržiškę, do postawienia kropek na i w kierunku właśnie wręcz klerykalnym. Taką była teza Janulaitisa, skłaniającego się w konkluzji do niewszczynania przedwcześnie tej sprawy.

5 czerwca, rok 1924, czwartek
Pierwszy dzień w Bohdaniszkach. Zastałem tu wszystko w dobrym stanie. Urodzaje zdają się zapowiadać dobrze, siewy skończone, chłopcy Elwiry zdrowe, a nawet Helcia lepiej wygląda. Stefana Römera – Maryni syna – w Bohdaniszkach nie ma. Zimą popełnił on znowu pewne nadużycie, mianowicie sprzedał na własną rękę Żydom kilka sążni brzozy z lasu Maryni i pieniądze pobrał. Gdy się Żydzi po kupione sążnie zgłosili, rzecz się wykryła. W skutku tego Marynia, bojąc się dalszego rozpróżniaczenia Stefana, postanowiła go oddać do pracy. Piotr Rosen przyjął go do Gaczan w charakterze niby praktykanta, niby pomocnika w gospodarstwie i Stefan siedzi teraz w Gaczanach, słucha Rosena, jest staranny i pracowity, używany jest przez Rosena do wszelkich zleceń i tak Rosen z niego, jak on z Rosena i Gaczan są zadowoleni. Stefan siedzi w Gaczanach tymczasem bezpłatnie, potem ma, zdaje się, pobierać po 25 litów miesięcznie. W Bohdaniszkach w życiu domowym brak mi Stefana. Jego obecność była mi tu przyjemną i wygodną.
Będę kontynuować moją relację kowieńską. Na razie kontynuuję o pozawczorajszym posiedzeniu loży. Przeciwko wnioskom Bortkiewiczowej i Janulaitisa, uważającym wszczynanie sprawy „nawrócenia się" Michała Biržiški za niepożądane, zaoponował Sugint, który podniósł szczególnie polityczny moment kwestii. Wskazał on na to, że choćby nawet sam Michał Biržiška kategorycznie oddzielał sprawę swoich przekonań religijnych od klerykalizmu i zastrzegał ściśle prywatny charakter swego wyznania katolickiego, to jednak już klerykali uczynili z tego użytek tak w opinii, jak w swojej prasie amerykańskiej, nadając nawróceniu się Biržiški odpowiedni charakter, użyteczny dla ich celów. Prasa postępowa nie będzie mogła tej kwestii pominąć i sam Biržiška będzie musiał się określić w dyskusji i w uszeregowaniu sił walczących. Zdaniem Suginta, w chwili, gdy klerykalizm dąży do opanowania Litwy, gdy wszystkie pozycje wolnościowe są zagrożone, gdy żądanie praktykowania katolickiego staje się faktycznie pod rządami Chrześcijańskiej Demokracji warunkiem dla zajmowania wyższych stanowisk i dla posiadania wpływów w państwie, obóz postępowy nie może tolerować w swych szeregach pozycji nieokreślonych i dwuznacznych pod tym względem: albo Michał Biržiška będzie się musiał znaleźć w obozie klerykalnym, albo będzie musiał sam wyraźnie reagować na wyciąganie przez klerykałów wniosków z jego nawrócenia się i znaleźć formę współdziałania z postępowcami, pozostając katolikiem; rzecz musi

wypłynąć na czystą wodę; ekiwoków w tym względzie być nie może – szczególnie w samym ośrodku akcji postępowej i wolnomyślnej, jakim winno być wolnomularstwo. Suginta poparli ludowcy Ślażewicz i Toliušis, a Purėnas rzecz tę pogłębił przenosząc ją z gruntu wniosków politycznych na grunt samych założeń ideowych wolnej myśli i w szczególności kwestionując możność pogodzenia tajemnicy masońskiej ze spowiedzią katolicką. Uchwalono uznać sprawę nawrócenia Michała Biržiški za ulegającą rozpoznaniu loży i wnieść ją na najbliższe posiedzenie w obecności Biržiški.
Moją relację z wizyty u Wielkiego Kanclerza Międzynarodowego Stowarzyszenia Masońskiego przyjęto do wiadomości, udzielono mi wskazówek co do odpowiedzi na kwestionariusz brata Wielkiego Kanclerza, polecono mnie z Wacławem Biržišką postarać się o ułożenie wzoru statutu naszego, który by odpowiadał tradycyjnym zasadom statutów masońskich, bo nasz statut obecny jest ułożony tylko dla naszych potrzeb i ze stanowiska formalnego masońskiego jest dyletancki. Chodzi o to, abyśmy się mogli zaprezentować wolnomularstwu międzynarodowemu w kształtach tradycyjnych, które by nas nie kompromitowały i nie czyniły wrażenia jakichś ignorantów lub profanów samozwańców. Wreszcie przyjęto do wiadomości odpowiedź Wielkiego Wschodu Francji, który choć odmówił nam dla względów formalnych (przyjmowanie do naszych lóż kobiet) uznania formalnego, jednak zgodził się nawiązać z nami stosunki ciągłe. Postanowiliśmy te stosunki realizować i korzystając z podróży Janulaitisa, udającego się w czerwcu do Lyonu na kongres Związku Towarzystw Popierania Ligi Narodów i mającego być po drodze w Paryżu, upoważniliśmy go do zgłoszenia się w naszym imieniu do Wielkiego Wschodu Francji dla omówienia sprawy wykonywania tych stosunków.

6 czerwca, rok 1924, piątek
Zimno i mokro. Niemiła jest wieś w taki czas. W Kownie mieliśmy upały, w których tęskniłem do wsi – tu natrafiłem na chłody. Jeżeli taki będzie czas na naszą wycieczkę kłajpedzką, to będzie ona chybiona. Mamy wyjechać do Kłajpedy z Marynią i Andrzejem we wtorek rano.
Wracając do sprawy nawrócenia się Michała Biržiški, nadmienię, że niektórzy nasi bracia w loży – mimo całą sympatię do osoby Michała – są skłonni przypuszczać, że jednak wzgląd na karierę nie był obcy Biržišce. Przypuszczają, że to nawrócenie się mogło być dziełem p. Michałowej Biržiškowej, kobiety bardzo ambitnej, która siłą woli, temperamentem i charakterem męskim panuje nad mężem. Pani Michałowa Biržiškowa, która w Wilnie dzięki stanowisku i wpływowi męża w ruchu litewskim była przywykła do rozkazywania i do grania pierwszej roli, nie może się pogodzić z podrzędnym stanowiskiem w Kownie. Litwini wileńscy często się na nią skarżyli; była arbitralną, niedostępną, nie znosiła opozycji ani dyskusji, wymagała w ruchu litewskim od wszystkich karności i posłuszeństwa mężowi i sobie. Tutaj nie ma ona pola do rozkazywania i z tym się oswoić nie umie, toteż jej ambicja marzy o zaszczytach i stanowiskach dla męża, które by i dla niej piedestałem były. Jej tęsknotą jest prezydentura Rzeczypospolitej, a wie ona dobrze, że dla osiągnięcia tej godności Michał Biržiška musi uzyskać aprobatę panującej Chrześcijańskiej Demokracji. Toteż ona miała go skłonić do rozpoczęcia praktyk katolickich. Umie ona pokierować znękanym umysłem męża i uczynić go posłusznym swojej woli. Podług pewnej wersji, pani Biržiškowa w ten sposób „nawróciła" męża, że gdy jedna z ich córeczek była chora, wmówiła Michałowi wiarę w cud – mianowicie uczyniła z nim votum do Boga on uzdrowienie dziecka; córka wyzdrowiała i Michał Biržiška uwierzył w cud. Taką ma być geneza nawrócenia się katolickiego Biržiško. Michał Biržiška wierzy, a pani Michałowa steruje i prowadzi go do prezydentury.

Inna kwestia, którą chciałem zreferować w dzienniku, to zamierzone w naszym Wydziale Prawniczym dochodzenie dyscyplinarne przeciwko docentowi Büchlerowi. Büchler bardzo się zaniedbuje w pracy uniwersyteckiej i zachowuje się dość nieprzyzwoicie. Wykłady opuszcza bardzo często, na posiedzenia Rady Wydziału nie przychodzi prawie nigdy, a jeżeli przychodzi, to tylko wtedy, gdy ma jakiś interes lub zysk materialny na względzie. Chciwy jest na pieniądze, chciałby zawsze wyłudzić od Rady Wydziału jakieś subsydium pod jakimkolwiek pretekstem, co mu się zresztą nie udaje, traktuje pracę naukową po dyletancku i na każdą wakującą katedrę gotów jest zawsze na zawołanie ofiarować swoje usługi – byle mieć więcej płatnych godzin wykładowych. Zdawałoby się, że to jakiś uniwersalny uczony, choć jest tylko uniwersalnym dyletantem i tandeciarzem nauki. Poznaliśmy się już na nim dawno, toteż w wydziale naszym jest powszechna ku niemu niechęć, a nawet obrzydzenie, bo swoją chciwość i dyletantyzm manifestuje gruboskórnie i niesmacznie. Z wielką chęcią pozbyto by się go u nas, ale usunąć docenta nie jest tak łatwo, jak zaangażować. Obecnie Leonas znalazł jego przewinienie, toteż wydział skwapliwie podjął okazję do skarcenia go. Chodzi o to, że Büchler z ramienia naszego wydziału jest członkiem sądu uniwersyteckiego. Niedawno temu w senacie uniwersyteckim, na którego posiedzenie byli zaproszeni członkowie tego sądu, Büchler na uczynioną mu uwagę, że nie stawił się na posiedzenie tegoż sądu, odrzekł, że uczynił to dlatego, iż otrzymawszy wezwanie i sądząc, że to jest wezwanie na posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego, nie zajrzał wcale do niego. Leonas, który był obecny, uczuł się dotknięty takim publicznym oświadczeniem lekceważenia wezwań wydziału i zreferował nam o tym. Na naszym posiedzeniu wydziałowym w niedzielę uznaliśmy to za przewinienie, dające podstawę do zażądania wyjaśnień od Büchlera i postanowiliśmy go wezwać w tym celu. W tych dniach ta sprawa będzie rozpoznawana w Radzie Wydziału. Usposobienie przeciwko Büchlerowi jest u nas ostre, toteż koledzy nie oszczędzą starań o skazanie go. Gdyby była okazja – chętnie by się nawet pozbyto całkowicie Büchlera.

7 czerwca, rok 1924, sobota
Przyjechał na Zielone Świątki z Gaczan Stefan Römer. Po nadużyciu, popełnionym zimą z sążniami brzozy, był on bardzo strapiony głównie obawą przede mną, bo się mnie lęka w Bohdaniszkach najbardziej. Ja po otrzymaniu od Maryni relacji o tym wypadku przez czas pewien milczałem, nie chcąc od razu przecinać węzłów i czekając, co się dalej okaże. Dopiero po pewnym czasie, gdym się już dowiedział, że Stefan oddany został do Gaczan i że się tam dobrze sprawia, napisałem do niego, skarciłem za wybryk i zaznaczyłem, że tym razem jeszcze przez wzgląd na jego poprawne zachowywanie się w ciągu ostatniego półtora roku w Bohdaniszkach, ufam, że to było tylko zboczenie chwilowe, które się nie powtórzy. Stefan odpisał mi, pełny wdzięczności i pokory. Uznałem ten wypadek tym razem za zlikwidowany. Stefan przywitał mię dziś bardzo gorąco. Nie wszczynałem z nim kwestii o tym, co było. Dałem mu aparat fotograficzny, który dla niego przywiozłem, a który, będąc mu dany do używania, będzie się liczył własnością moją, bo się boję, że w przeciwnym razie go sprzeda. Obiecałem mu też, że go zabiorę do Kłajpedy z Kligysem, z czego się niezmiernie ucieszył.
Po wczesnym obiedzie pojechałem do Pokrewnia, wezwany przez ciocię Paulinę Weyssenhoffową, która tam wczoraj przyjechała od brata z Łukini wraz ze swym synowcem Medardem Kończą. W Pokrewniu bawi komornik, przysłany z Rakiszek od „žemės tvarkytoja”, który wymierza całość majątku dla obliczenia ilości ziemi wywłaszczalnej na parcelację i dla wydzielenia współwłaścicielom Weyssenhoffom ich normy nietykalnej. Choć nowa ustawa o poprawkach do reformy agrarnej przewiduje

dla ogółu nie podzielonych spadkowych jedną wspólną normę niewywłaszczalną w ilości 80 ha, to jednak w Pokrewniu w myśl zeszłorocznej decyzji Zarządu Refromy Agrarnej ma być wydzielone obecnie na trzech współwłaścicieli 240 ha, to znaczy na każdego po 80 ha. Zapewne w myśl nowej ustawy to będzie zmienione, ale tymczasem ma być wydzielone 240 ha, z czego ciocia Paulinka bardzo się cieszy. Ciocia pisała do Bohdaniszek do Maryni o swoim przyjeździe prosząc, abym przyjechał do Pokrewnia jako jej doradca i plenipotent p. Jana Weyssenhoffa dla ewentualnego rozmówienia się z komornikiem. Przyjechałem i zastałem towarzystwo, złożone z cioci, p. Medard Kończy, komornika i plenipotenta cioci – p. Pietkiewicza z rodziną – przy obiedzie. Z komornimiek nie tylko się nie rozmówiłem, ale się z miejsca poróżniłem. Musiałem bowiem zacząć od tego, żem go skarcił. Gdy bowiem na moje powitanie ciocia, p. Medard, Pietkiewicz i cała jego rodzina wstali, komornik, młokos dwudziestoparoletni, siedział zajęty otwieraniem jakiejś butelki i gdym się do niego zbliżył, zamierzając się z nim przywitać – ani spojrzał na mnie. Wobec tego się z nim nie przywitałem wcale i usiadłem, a gdy Pietkiewicz chciał mi go zaprezentować, oświadczyłem, że się nie witam z ludźmi, którzy się ze mną nie witają. Komornik milczał, a gdy potem nalał kieliszki i zapraszając do picia nadmienił, że jeden z kieliszków będzie dla tego pana, który się nie chciał z nim przywita i na moją uwagę, że się zachował ze mną niegrzecznie i otrzymał za swoje, zaczął się tłumaczyć, że „u nas nie ma „zwyczaju", aby się rzucano witać tego, co przychodzi i sam się przywitać musi" – dałem mu reprymendę. Wskazałem, że będąc starszy od niego, wiem lepiej, jakie są u nas zwyczaje i że jako profesor uniwersytetu umiem lepiej sądzić o grzeczności niż on, który nie jest nawet studentem. Wskazałem, że gdy kobieta starsza, siedząca przy stole, wstaje, to sama grzeczność nakazuje wstać wszystkim, co są przy tymże stole, toteż samo siedzenie, gdy wszyscy na moje przyjście wstali, jest impertynencją i uchybieniem grzeczności elementarnej. Komornik zamilkł i po obiedzie prędko wstał i odszedł do roboty. Takich urzędników bez wychowania, którzy stracili kulturę i zwyczaje grzeczności ludu, a nie nauczyli się form towarzyskich powszechnych i udają dygnitarzy, traktujących z góry interesantów i nawet się nie umiejących zachować w stosunkach prywatnych – na obiedzie lub w przywitaniu – namnożyło się po wojnie bez liku. Są to chamy w prawdziwym znaczeniu wyrazu, których trzeba cywilizować reprymendami. Taki błazen, czując się organem „władzy", myśli, że mu wszystko wolno i że wszyscy muszą mu się kłaniać i zabiegać o łaski. Niedoczekanie! Nie gadaliśmy tez więcej z komornikiem. On sobie poszedł do swojej roboty, a ja zabrałem ciocię z p. Medardem i pojechaliśmy do Bohdaniszek, a z komornikiem rozmówi się Pietkiewicz i jeżeli będzie trzeba jakiegoś podpisu, to nas z ciocią wezwie. Jeżeli inni podporządkowują się takim urzędniczkom i potakują ich dygnitarskim pretensjom, to przecież mnie na to nie stać. Moje stanowisko jest za wysokie, abym się korzył przed takimi błaznami i nie wymagał od nich nawet pospolitej towarzyskiej grzeczności. Jest pewna „kultura chamstwa" w szeregach tej prowincjonalnej młodzieży urzędniczej i chamstwo to trzeba w niej tępić ucząc grzeczności i wybijając z głowy dygnitarstwo aroganckie.

8 czerwca, rok 1924, niedziela
Niedziela Zielonych Świątek. Pogoda słoneczna, ale bez upału. Kwitną bzy, konwalie – powietrze pachnie; piękne, wczesne lato północne. Nie ma jeszcze much, nie widać komarów, pod ciepłem promieni słonecznych czuć jeszcze chłód, nawiany wiatrami Północy i Wschodu. Noce są krótkie i jasne; z północnego okna mego pokoju w nocy świeci przez drzewa blade niebo zorzy, odbijające swój blask w sadzawce dworskiej,

która w cieniu drzew połyskuje światłem fosforycznym. Piękne są Bohdaniszki o tej porze roku.
Korzystam z czasu i miejsca w dzienniku, aby zreferować oryginalna rozmowę z Krėvė-Mickiewiczem, jaką miałem wigilią mego wyjazdu z Kowna. Krėvė-Mickiewicz, poeta i beletrysta litewski, jeden z lepszych, profesor literatur słowiańskich na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Litewskiego, z przekonań politycznych należy do konserwatywnej prawicy narodowej – do kierunku „Pažangi" jako jeden z towarzyszy ideowych Smetony, Voldemarasa, ks. Tamošaitisa i innych. Na arenie politycznej dał się poznać ze swej akcji w Związku Strzelców i z licznych mów, które wygłaszał i wygłasza, występując ostro przeciwko projektowi Hymansa i kłajpedzkiemu projektowi Davisa, za akcją czynną w sprawie wileńskiej, za sojuszem politycznym z Rosją – z gwałtownymi napaściami na Polskę, na kompromisową politykę zagraniczną Chrześcijańskiej Demokracji in ludowców itd. Sądząc z jego wystąpień publicznych, liczyłem go zawsze za najjaskrawszego rzecznika moskalofilstwa na prawicy i to moskalofilstwo przypisywałem nie tylko orientacji politycznej, zależnej, jak u Smetony, od chwilowej konstelacji sił i dążeń różnych państw w układzie międzynarodowym, ale zwłaszcza osobistym ciążeniom jego sympatii; wiedziałem, że mieszkał na Kaukazie, że jest żonaty z Rosjanką, toteż kładłem jego sympatie na karb rusyfikacji. Niespodzianka było dla mnie, gdym się od niego dowiedział, że był on niegdyś PPS-owcem, że należał do PPS od r. 1905 do r. 1908, że znał osobiście Józefa Piłsudskiego, że był bliski akcji bojowej PPS-owskiej w r. 1905-1906, że słowem – należy do tych co przeszli przez wpływy polskie. Zdziwiłem się też, gdy Krėvė-Mickiewicz, ten sam, co niedawno na zebraniach publicznych piorunował na projekt kłajpedzki Davisa i zapowiadał, że przyjęcie projektu przez Litwę przekreśli jej niepodległość i odda ją w moc Polski do tego stopnia, iż za kilka miesięcy cała inteligencja litewska, o ile nie pójdzie na usługi polskie, będzie wypędzona z kraju na emigrację przymusową lub zamknięta w więzieniach i obozach koncentracyjnych polskich, zaczął mi mówić, że może Litwa popełniła błąd przed kilku laty, odrzucając projekt Hymansa. Następnie zaczął mi wskazywać na konieczność porozumienia z Polską i załatwienia z nią sprawy Wilna na drodze ugodowej ustępstw wzajemnych, motywując konieczność ugody korzyścią obustronną, bo jak z jednej strony Litwa będzie się musiała wcześniej czy później porozumieć z Polską albo zostać przez Polskę pochłonięta, tak z drugiej strony Polska w zadowolonej wolnej Litwie zyskałaby sprzymierzeńca, który by jej najskuteczniej w jej polityce sekundował. Zdaniem Krėvė-Mickiewicza, Rosja wcześniej czy później upomni się o Łotwę i Estonię, których porty są Rosji konieczne, natomiast Litwa rzekomo nie przedstawia dla Rosji nic wartościowego i będzie w polityce rosyjskiej atutem, który Rosja ofiaruje Polsce za zabór Łotwy i Estonii. Litwa wchodzi kategorycznie do systemu politycznego polskiego i konsekwencji tego faktu nie uniknie. Toteż najlepiej byłoby dla Polski i Litwy, gdyby się porozumiały i dobrowolnie polubownie stosunek swój ułożyły w sposób zadowalający obie strony, nie czekając na to, jak fatalizm dziejowy stosunek ten ułoży interwencją czynników obcych. Zdziwiło mię to niepomału w ustach Krėvė-Mickiewicza. Wreszcie Krėvė zaczął mi perswadować, że ja powinienem się podjąć misji pośredniczenia w nawiązaniu tej ugody, bo jestem bodaj jedynym posiadającym naturalne kwalifikacje do tego. Moje zastrzeżenia i sprzeciwy nie przekonały Krėvėgo, który wciąż nastawał na tym twierdzeniu i usiłował mię przekonać, że jest to konieczne. Nie wiem, czy jego słowa były tylko improwizacją i skąd się ona w takim razie wzięła, czy też w pewnych kołach istotnie myśl taka była podnoszona. Charakterystyczne jest, że gdy w r. 1921 ja taką właśnie akcję usiłowałem nawiązać, to przecie nie kto inny, jak „Pažanga", stanowczo się od współdziałania uchyliła i potem nieraz publicyści obozu „Pažangi" wytykali tę

akcję jako zgubną dla Litwy, aczkolwiek nazwiska mojego, napomykając o tej akcji, nie wymienili nigdy. Odrzekłem Krėvėmu, że podnoszenie samozwańcze takiej akcji jest bardzo trudne i niebezpieczne i że mógłbym o tym myśleć tylko w takim razie, gdybym miał tu za sobą poparcie jakiejś grupy wpływowej albo gdybym był przekonany, że akcja taka może wydać owoce i że będzie ona użyteczna dla kraju. Robić tego na własną rękę bez porozumienia z nikim i bez wiary w skuteczność i użyteczność takiego przedsięwzięcia nie mogę. Byłaby to niewdzięczna rola Filipa z konopi, Don Kiszota lub faktora nieproszonego, która do niczego b y nie doprowadziła i zwróciła przeciwko mnie obie strony. Nie bałbym się tej ostatniej konsekwencji, gdybym miał wiarę w dobry skutek – ale jej nie mam. Niewdzięcznej i śmiesznej roli generała Babiańskiego, który usiłował to robić przed paru laty – ponawiać nie chcę. Krėvė-Mickiewicz nalegał jednak i twierdził, że powinienem przynajmniej poinformować się i zbadać szanse. Treść tej rozmowy bardzo mię zdziwiła, bo to jakoś nie licuje z całą dotychczasową tendencją kół „Pažangi". Co to znaczy – nie wiem!

9 czerwca, rok 1924, poniedziałek
Opatrywałem dziś drzewa rosnące na mojej cząstce dworu; nadawałem im kierunek, obrąbywałem gałęzie dolne forsując ich wzrost ku górze, bo lubię drzewa wysokie i strzeliste. Przetrzebiłem tez zarośla rosnące wzdłuż bocznej linii ogrodu lipowego – od stajni roboczych koni ku wiosce; wyciąłem tam krzewy, jarzębinę, czeremchę, wiśnie, zostawiając tylko drzewka szlachetne – jesiony, klony, lipy, gdzieniegdzie osinki; znalazł się tez tam jeden dębuszek i mały kasztanek – jedyny, zdaje się, na mojej schedzie, czego nie żałuję, bo kasztanów na ogół nie lubię. Z dzikich zarośli utworzyłem lasek szlachetny. Pomagali mi w tej robocie Stefan Römer, p. Medard Kończa i Andrzej. Drzewo, które się w Bohdaniszkach najlepiej udaje i pleni się niepospolicie, jak żadne inne – to jesion.
Ciepło jest i duszno. Chmurzy się na deszcz. Nie daj Boże, żeby się zadżdżyło na naszą wycieczkę kłajpedzką. Jutro o świcie ruszamy z Maryńką i Andrzejem na kolej – do Kłajpedy, nad morze.
Stefan Römer wypróbował już aparat fotograficzny, który mu przywiozłem. Wczoraj sfotografował on grupę i widoczek, które wieczorem wywołał, a dziś już odbił na papierze.

10 czerwca, rok 1924, wtorek
Z wieczora położyliśmy się wczoraj bardzo wcześnie, aby dziś wstać przed świtem. Wstaliśmy tez o godz. 1 po północy i o drugiej Marynia, Andrzej i ja siedzieliśmy już na wozie. Dla Andrzeja wszystko było w drodze nowiną, począwszy od samego widoku pociągu i zwłaszcza lokomotywy, a kończąc na samym procesie jechania. Ale jak to zwykle u dzieci bywa, każda poszczególna rzecz, która go interesuje niezwykłością, po chwili – wypróbowana – traci urok nowiny i gdy się nieco przeciąga – nudzi. Nadejście pociągu w Rakiszkach było dla Andrzeja atrakcją, potem jazda, patrzenie przez okno – ale już po paru stacjach Andrzej był znudzony i dopytywał, kiedy dojedziemy do mety. Ta pierwszą metą były Radziwiliszki, względnie Poniewież – jako pierwsza duża stacja, pierwsze miasto po drodze. Ale pociąg na tej naszej nieszczęsnej linii abelskiej, zapominanej i traktowanej zawsze po macoszemu, wlecze się jak żółw. Linia ta była podrzędną za czasów rosyjskich, podrzędna pozostała i za czasów litewskich, choć w małej Litwie stanowi ona jedną z najdłuższych linii kolejowych. W roku 1922 i 1923 zdawało się już, że linia Radziwiliszki-Abele podniesie się do stanowiska jednej z magistrali; pociągi zaczęły już na całej linii – nie tylko z Radziwiliszek do Poniewieża – kursować po dwa w obie trony na dobę, z nich jeden – tylko do Abel, drugi – za Abele

do Grzywy na Łotwie (Grzywą nazwano na Łotwie dawne Kałkuny); ten drugi pociąg, do Grzywy, szedł już zupełnie dobrze, nie gorzej od pociągów na magistrali litewskiej, łączącej Kowno z Wierzbołowem, Szawlami, Możejkami i Janiszkami; mówiono już o puszczeniu w ruch na Abele specjalnego pociągu pośpiesznego komunikacji międzynarodowej, który łączyłby Berlin z Rosją przez Dyneburg. Jednak nie tylko że się te zapowiedzi nie sprawdziły, ale jeszcze cofnięto nas w tym roku do stanu sprzed dwóch lat, odbierając linii abelskiej drugi pociąg. Mamy tu więc znowu jeden pociąg, wlokący się nieskończenie długo, wystający na stacjach godzinami, bo przez czas postoju jego lokomotywa musi obsłużyć każdą stacyjkę, tak że jazda robi się nieznośnym kunktatorstwem i stratą czasu. Wreszcie dociągnęliśmy się do Radziwiliszek. Tu znowu dalsze kunktatorstwo, bo zarząd kolejowy nie potroszczył się o to, aby pociąg linii abelskiej był zastosowany do ruchu pociągów na Kłajpedę. Dość powiedzieć, że nasz pociąg przychodzi do Radziwiliszek między dwunastą w południe a pierwszą, podczas gdy pociąg idący z Kowna na Możejki-Kretyngę do Kłajpedy (jedyny do Kłajpedy) przechodzi przez Radziwiliszki o jedenastej w nocy. Ale my jedziemy do Kłajpedy nie na Możejki-Kretyngę, jeno na Szawle-Taurogi-Pojegie. Obrałem tę drogę tak dlatego, by przewieźć Marynię przez terytorium Kłajpedy i zaprezentować jej wieś kłajpedzką, jak dlatego, że się tą drogą, choć jest ona dalsza i droższa, prędzej przyjeżdża do Kłajpedy. Z Radziwiliszek więc pojechaliśmy do Szawel, a tam do dziewiątej wieczorem musieliśmy znów czekać na pociąg taurogowski. Skorzystałem z kilku godzin siedzenia w Szawlach, by się przejść po tym mieście – wpierw z Andrzejem, potem z Marynią. Nie widziałem Szawel od r. 1921, kiedym tu na sesję wyjazdową sądu okręgowego z Kowna przyjeżdżał. Szawle były wtedy w gruzach, spowodowanych wojną. Dziś, choć gruzów się jeszcze widzi mnóstwo, jednak miasto się intensywnie przez te parę lat budowało, wskutek czego wyrastają z gruzów nowe Szawle. Domy nowe są przeważnie z białej cegły, niektóre bardzo ładne – efektowniejsze niż w Kownie. Szawle nie były niegdyś takimi, jakimi się dziś odbudowują. Przedstawiają one wygląd oryginalny, bo równolegle są i gruzy, i nowe miasto. Nowe domy wznoszą się to tu, to ówdzie – bez jednolitego planu odbudowy, a między eleganckimi kamienicami pełno ruin i gruzów. Co chwila trzeba skakać na środek ulicy, bo chodniki się przerywają sterczącymi rusztowaniami albo kałużami. Trzeba lawirować lub brnąć.
O godz. 9 wieczorem wyjechaliśmy wreszcie z Szawel na Taurogi i Pojegie. Byliśmy zmęczeni, ale o śnie regularnym nie było co marzyć – pociąg był pełny. Tylko dla Andrzeja Marynia urządziła siako tako nocleg leżący w wagonie, bo jako dziecko ma on pierwszeństwo.

11 czerwca, rok 1924, środa
Byliśmy zmęczeni podróżą, bo poprzedniej nocy wstaliśmy da wyjazdu z Bohdaniszek na pociąg o pierwszej po północy, a te noc całą przesiedzieliśmy w wagonie kiwając się i drzemiąc, co wypoczynku nie daje. Komunikacja od nas do Kłajpedy jest tak fatalna, że gorszej trudno sobie wyobrazić. Wprawdzie wojna przyzwyczaiła nas do wszelkich najgorszych warunków jazdy, ale co się w czasie wojny przyjmuje z rezygnacją, to w czasie pokoju wydaje się nieznośnym. Jazda z Rakiszek do Kłajpedy – niespełna 400 kilometrów – trwa przeszło dobę, w tej liczbie na siedzenie w Radziwiliszkach i Szawlach – jadąc na Taurogi i Pojegie – siedzi się siedem godzin, a spora część czasu, która się używa na jazdę, nie licząc tego siedzenia – marnuje się na stanie pociągu na stacjach, bo tak na linii Abele-Radziwiliszki, jak na linii Szawle-Taurogi pociąg stoi na każdej stacyjce jeżeli nie godzinami, to przynajmniej po półgodzinie. Marynia, która bardzo rzadko się rusza z Bohdaniszek, nabiera z tych jazd jak najgorszego

wyobrażenia o kolejach litewskich, które jak naumyślnie kompromitują się w jej oczach. Wprawdzie jadąc na Możejki-Kretyngę unika się tego nieznośnego wystawania na stacjach, ale za to trzeba jeszcze dłużej czekać na pociąg w Radziwiliszkach i przyjeżdża się jeszcze później do Kłajpedy.
Od Pożerun, gdyśmy wjechali na teren okręgu Kłajpedy, nie spaliśmy więcej. Do Pojegów kraj czyni wrażenie zamożne, rolnictwo – kwitnące, okolice – ładne, roślinność – bujna, osady – wesołe, wszystko dyszy dobrobytem i kulturą. Od Pojegów do Kłajpedy widok się zmienia: gleba coraz uboższa, piaski, torfowiska, roślinność coraz mizerniejsza. O godz. 7 ½ przyjeżdżamy do Kłajpedy. Miasto robi na Maryni wrażenie bardzo dodatnie. Andrzej łowi coraz to nowe wrażenia. Wreszcie widok statków i łodzi na kanale, ruch ładowania towarów, rozwodzenie mostów itp. coraz bardziej Marynię i Andrzeja zajmują. Miasto portowe – to nie byle co, dla mieszkańców lądu, którzy morza i ruchu morskiego nie znają, dostarcza ono wrażeń niezwykłych. Choć ruch mi się wydał tym razem słabszy w porcie kłajpedzkim, to jednak Maryni i Andrzejowi imponował; nie widzieli oni nigdy portu, więc nie mają skali porównania. Szczególnie tym razem dużo tratew drzewa, ciągnionych holownikami w górę kanału. Zabawiliśmy w Kłajpedzie do godz. 1 ½ po południu, pochodziliśmy po mieście, zjedliśmy śniadanie w knajpce „Berliner Tunnel”, oglądaliśmy targ, kupiliśmy prowizji na wycieczkę nad morze i odjechaliśmy parostatkiem „Trude” do Juodkrantisu. Tam złożyliśmy rzeczy w hotelu Maya i moją zwykłą drogą przez Ewa-Berg pośpieszyliśmy nad morze. Jadąc statkiem po Zalewie Kurońskim mieliśmy ostry przenikliwy wietrzyk, który, jak mi się zdawało, zapowiadał chłód i dużą falę na morzu. Gdyśmy jednak z ubogiego sośniaku nadmorskiego wybrnęli przez piaski nad morze, które poprzednio ukazało się nam w perspektywie blade i ledwie dostrzegalne – doznałem zawodu. Morze było ciche i prawie bezwładne. Nigdym jeszcze plaży bałtyckiej tutaj tak spokojnej nie widział. Fale, które uderzały o brzeg, nie były większe nad fale na dużym jeziorze litewskim. Nie chodzi mi o mój zawód własny, b ja znam morze i wiem, jakim ono bywa tutaj, ale o zawód prezentacji morza tym, którzy wyobrażenia o morzu nie mają. Morze dzisiejsze a morze burzliwe i groźne, huczące spienionymi bałwanami – to dwa różne żywioły. Co do mnie – wolę morze burzliwe i dzikie. Marynia cieszyła się, że jest ciepło i cicho, a Andrzej cały się zatopił w poszukiwaniu bursztynu, który z ogromnym powodzeniem zbierał. Wietrzyk ustał niemal zupełnie i przeszedł w leciutki zefirek wionący od lądu. Fala leniwa i powolna podpływała do brzegu ociężale, uderzała o piasek i konała – bez żadnej namiętności, bez siły, walki i męki. Wykąpaliśmy się z Andrzejem, ale nie była to już ta dzika kąpiel w rozhukanym żywiole, jakąśmy w roku zeszłym na tym samym miejscu ze Stefanem Römerem improwizowali. Marynia i Andrzej pozdejmowali obuwie i brodzili brzegiem, zadowoleni i pełni błogiej rozkoszy. Morze nas, cząstek lądu, nie chciało nienawidzić, było obojętne i sztywne jak piękna kobieta, która się oddaje bez miłości: ciało jej leży piękne i chłodne, ale zmysłom mężczyzny nie odpowiada drżeniem i nie daje tańca, który przetapia kontury w ruch i tworzy piękno wyższego rzędu. Przeszliśmy się wybrzeżem morza do kąpieli publicznych, wypiliśmy tam herbaty w kawiarni nadmorskiej i twarda bitą drogą wróciliśmy do Juodkrantis do Maya na kolację z flądry. Po drodze weszliśmy na werandę, zbudowaną na wysokim rusztowaniu, wznoszącym się nad las w połowie drogi przez mierzeję. Widok stamtąd na morze zachwycił Marynię ponad wszystko.

12 czerwca, rok 1924, czwartek
Trzeba przyznać, że pogoda wyjątkowo nam służy. Kłajpeda, kapryśna i przekorna, chce zadać kłam temu, com Maryni i Andrzejowi o jej morzu opowiadał. Pokazuje ona

im morze barankowe, tak łagodne i ciche, jak gdyby to było nasze jezioro kumszańskie, powiększone do nieskończoności. Grozy, dzikości, wściekłości namiętnej, właściwej morzu – ani śladu. Dziś, gdyśmy wyspani i pełni sił przyszli rano nad morze, zastaliśmy je jeszcze spokojniejsze, niż było wczoraj. Grzywy bałwanów nie ukazywały się już nawet na najbliższej fali. Fala nie rzucała się na brzeg, nie smagała piasku, ale się z nim pieściła, głaskała i lizała serdecznie. Wprawdzie przez to morze zyskało na barwie, stając się złocistym i mieniącym dużymi smugami seledynu i lazuru – coś w rodzaju mórz greckich – ale za to zdawało się nie potęgą, lecz pieścidełkiem i piękną dekoracją, zabawką dla Andrzeja, brodzącego w jego brzegach i poszukującego bursztynu na piaskach, a wypoczynkiem i rozrywką dla Maryni. Nie budziło ono w sercu ludzkim tych uczuć tęsknoty ruchu i tragedii woli i bezwładu, jakie budzi rozhukane zbałwanione morze, chłoszczące bezwład lądu nienawiścią czynu. O, Morze! Jesteś piękne w każdym stanie, jesteś wielkie – zawsze! Ale kto cię widział tylko takim, jakim byłeś wczoraj i dziś, ten jeszcze w tobie nie poznał pierwowzoru wszystkiego, co żyje i w pierwszym rzędzie – wzoru duszy ludzkiej. Kąpiel dziś w takim morzu była dla nas tylko wesołą i miłą rozrywką, słodka jak poziomka – kąpielą barw i woni oraz miłych głaskań skóry wodą. Kąpalismy się, ja pływałem, potem tarzaliśmy się i zakopywali z Andrzejem w ciepłym piasku. Woda w morzu była przeźroczysta i czyściutka, piasek na dnie pomarszczony w regularne fale, powierzchnia wody spokojna i ledwie dysząca leciutkim ruchem. Na morzu, jak wczoraj, pełno było w bliższej i dalszej odległości łodzi rybackich drobnych, łodzi żaglowych i łodzi motorowych wycieczkowych. Suchy miarowy trzask motorów panował nad szelestem fali liżącej wybrzeże. Nie słychać było charakterystycznego huku i łoskotu morza. Lekki ciepły zefirek wiał od lądu, słońce to się chowało w chmury, zachowując blask, to się ukazywało grzejąc, ale nie rażąc pełną siłą promieni. Można by powiedzieć, że słońce nie świeciło, ale rozlewało blask przez lekką zasłonkę chmurek mglistych. Andrzej zebrał ogromną kolekcję bursztynu, kamuszków i konszek kredowych drobmiutkich, Marynia podziwiała barwy morza. Było nam słodko i pogodnie jak w dzień lipcowy wśród trzesien[181] i malin sadu. Przeszliśmy się nie śpiesząc i robiąc częste sjesty w piasku – od juodkrantowskich kąpieli publicznych za drugą przystań rybacką na 23 kilometrze od krańca mierzei – wykąpaliśmy się, przyjrzeliśmy się połowowi flądry przez rybaków, widzieliśmy na wybrzeżu szczątki cuchnące olbrzymiej ryby, wielkiej jak spory pies. Pogoda, ciepło i spokój morza ściągnęły nad morze dużo ludzi przechadzających się po wybrzeżu lub wylegujących się na piaskach – Żydzi i Żydówki z letniska, panie, dzieci większe i mniejsze, niemowlęta w wózkach. Po przejściu się nad morzem skierowaliśmy się skośnie w głąb mierzei ku brzegom pustyni, zaczynającej się za Juodkrantisem. Szliśmy przez nędzne dyrwany[182], porosłe sucha kolącą trawką i zieleniejące w zagłębieniach terenu drobnymi smutnymi oazami zieleni drzewek liściastych i innych roślin soczystych, usiłujących się tu utrzymać i rozwinąć, lecz schnących przy wzroście i skazanych na jałowość wysiłku życia. Długo brnęliśmy przez to szare i brunatne pole roślinności pustynnej, wobec której zielonymi i prawie jaskrawymi się wydają widoczne na niedalekich zboczach plantacje sosny karłowatej. Spotykaliśmy ślady łosi, szliśmy gdzieniegdzie przez pola drobnych bratków i widzieliśmy przed sobą coraz bliżej pustynię piasków lotnych o prześlicznej barwie żółto-różowawej, ciepłej jak samo słońce. Wreszcie weszliśmy w piaski i szliśmy nimi ciężko pod górę, aż doszliśmy i minęliśmy wystające z ich łona szczątki wzgórz niegdyś żywych, a dziś przez nie duszonych, rozsypujących się w morzu piaszczystym jak cukier się rozpuszcza w masie płynnej. Wreszcie doszliśmy do cypla płaskowzgórza piasków w miejscu, gdzie piaski

[181] Trześnia (reg,) – czereśnia.
[182] Dyrwan (reg.) – ugór, nieuprawne pole porosłe trawą.

się obrywają i pod kątem niemal prostym zanurzają się z dużej wysokości wprost do Zalewu Kurońskiego. Śliczne są te góry piasku, obrywające się nad błękitem zalewu. Stanowią one jeden z najpiękniejszych efektów kolorystycznych mierzei.

13 czerwca, rok 1924, piątek
Z Mierzei Kurońskiej na ląd stały jest oczywiście komunikacja tylko wodna – parostatkiem po Zalewie Kurońskim. W czerwcu, kiedy się jeszcze sezon kąpielowy na Bałtyku nie rozwinął, kursują między Kłajpedą a Juodkrantisem tylko dwa parostatki – jeden specjalny między tymi dwoma punktami i jeden tranzytowy na Krantz (Królewiec). Oba odchodzą z Juodkrantisu na Kłajpedę wieczorem, pierwszy – p godz. 7, drugi – o 9, a ponieważ jedyny pociąg z Kłajpedy na Kowno, a przeto i na Radziwiliszki, odchodzi o godz. 6 ½ wieczorem, wiec ani pierwszy, ani drugi parostatek na ten pociąg nie trafia. Wskutek tego, chcąc wyjechać z Kłajpedy pociągiem, trzeba z Juodkrantisu wyjechać dnia poprzedniego (jest parę dni w tygodniu, kiedy odchodzi z Juodkrantisu jeszcze trzeci parostatek – rano, ale wyjazd Maryni na taki dzień nie wypadł). Marynia wyjeżdża dzisiaj, więc musieliśmy z Juodkrantisu wyjechać do Kłajpedy wczoraj wieczorem. Toteż się wczoraj Maryńki króciutka wycieczka morska zakończyła. Zamknęła ją wyprawa na piaski, na pustynie litewska – jeden z najpiękniejszych efektów Mierzei Kurońskiej i z największych jej osobliwości. Tych piaskowych „gór martwych", utworzonych przez piaski lotne, wędrujące od morza do zalewu i spadające stromymi zboczami do wody, nie wiem, czy się gdzie indziej ujrzy w Europie. Piaski tej miniaturowej pustyni kurońskiej – tej Sahary prusko-litewskiej – do chodzenia są znośne, bo dość zwarte, a więc pod stopą twarde, prześlicznej ciepłej barwy żółto-różowej, złociste, maja powierzchnię morza pomarszczonego falami, których fałdy zmieniają kontury zależnie od kierunku i siły wiatru. Wysokość zboczy piaszczystych nad zalewem wynosi kilkadziesiąt metrów. Na krawędzi takiego zbocza można siedzieć wygodnie i bezpiecznie, mając u stóp niemal prostopadłą przepaść. Widok z tej wyżyny na zalew jest bardzo piękny i efektowny tak we wrażeniu przepaści, jak w skojarzeniu barw, piasków i wody. Marynia na razie się bała siedzieć na krawędzi zbocza, potem się bała zeń schodzić, sądząc, że spadnie lub się zsunie z piaskiem z tej wyżyny. Przykład dał Andrzej, ośmielony przeze mnie, bom już znał to zbocze z doświadczenia lat poprzednich. Andrzej się zsuwał, znów wdrapywał, zbiegał w podskokach, grzęznąc za każdym krokiem w suchym piasku, spływającym spod nogi powolnym strumieniem, doskonale naśladującym spływający strumień wody. Odważyła się więc wreszcie i Marynia, schodząc z góry piaszczystej po jej stromym zboczu majestatycznie, topiąc bose nogi w subtelnej masie piasku, co jej wielką przyjemność sprawiało. Ale powrót z pustyni do Juodkrantisu wzdłuż zalewu był tak daleki, że zmęczył Marynię i Andrzeja i wyczerpał ich siły. I dziś jeszcze, w Kłajpedzie, przez cały dzień nie mogła się ona odchwycić po tym zmęczeniu. Noc, przespana w hotelu, nie odrestaurowała sił. Andrzej rano zdawał się być mniej zmęczony i rwał się do przyrzeczonej mu przeze mnie pożegnalnej wycieczki nad morze do Sandkrug. Deszcz padał z rana, ale trybem kłajpedzkim można było się spodziewać, że ustanie, bo tu nad Bałtykiem deszcz i pogoda zmieniają się jak w kalejdoskopie. Koło jedenastej pojechaliśmy więc z Andrzejem do Sandkrug. Deszcz ustał; przeszliśmy w poprzek mierzei i wyszliśmy nad morze. Było cicho i ciepło. Fala, która jest tu zawsze mniejsza niż w Juodkrantisie, była niemal taka, jak na sadzawce, to znaczy, że jej właściwie nie było. Przeszliśmy się kawałek, wykąpaliśmy się w płytkim morzu Sandkrugu, którego plaża jest utworzona z bardzo zwartego i twardego piasku, pomarszczonego na dnie morza w drobne fale o grzbietach ostrych i tak twardych, że stopy bolą przy stąpaniu – i wróciliśmy do Kłajpedy. Andrzej był rozczarowany, bo w Sandkrug bursztynu nie

znajdował; tu nawet kamuszków morskich nie ma, jeno piasek i jako jedyna zdobycz mnóstwo drobniutkich muszelek białych, których Andrzej miał już pełne worki. Wrócił Andrzej z Sandkrug i był już aż do wyjazdu cichy, senny, roztargniony. Nie wiem, czy żałował, że wyjeżdża, czy tez był ostatecznie przemęczony wrażeniami podróży, ale się już niczym nie interesował, nie był w stanie nic obserwować, nie reagował na nic, był apatyczny i roztargniony. Andrzej wpierw bardzo pragnął pozostać ze mną po wyjeździe Maryni i zabawić jeszcze parę dni z Kligysem i Stefanem Römerem, którzy jutro do Kłajpedy przyjeżdżają. Marynia mu jednak nie pozwoliła zostać, bo się bała, że wśród mężczyzn zabraknie mu należytej opieki i troskliwości i że nie wytrzyma naszych forsownych wycieczek. Andrzej był tym na razie bardzo zasmucony, ale dziś już o tym nie wspominał. Może już nawet tego nie żałował, bo siły swe wyczerpał i stracił pobudliwość wrażeniową. Wątły z niego chłopczyk, cichy, posłuszny, z natury głęboki i wrażliwy, ale wrażliwy intensywnie w głąb – na przetrawianie wrażeń, nie zaś na ich recepcję zewnętrzną. Miłe to i wielkiej wartości moralnej dziecko, subtelna i delikatna konstrukcja psychiczna, marzyciel i idealista gruntowny i głęboki, szlachetny w każdym calu, ale nieżywotny, nie-czynny, nie ekspansywny – czy za słaby fizycznie do czynu, czy za subtelny, zanadto uduchowiony, za głębokim nurtem wewnętrznego życia trawiony. Irytował mię on czasem w tej wycieczce roztargnieniem swoim i brakiem koordynacji logicznej w swoich odruchach na wrażenia zewnętrzne. Ale go kocham szczerze i gorąco, najbardziej ze wszystkich moich siostrzeńców – i nie tylko kocham, lecz i cenię; i tym bardziej mi go żal, że jest tak wątły i tak wysubtelniony, że aż czasem strach, czy się ostoi ciężarowi twardemu życia. Dobrze, że go Marynia zabiera, bo przedłużenie tej wycieczki przeciążyłoby jego siły, a bodajże nawet ujęłoby mu zadowolenia. Bo kilka silnych i nowych bezpośrednich wrażeń większą mu da satysfakcję z mniejszym nakładem sił, niż ponawianie kilkakrotne tych samych wrażeń, które go przesycą i zarazem zmęczą.
Wieczorem odprowadziłem Maryńkę z Andrzejem na dworzec kolejowy, wsadziłem do pociągu i pożegnałem, a sam wróciłem samotny do Kłajpedy, pełny tęsknoty. Niedobrze, gdy się było z kimś i nagle się zostaje samotnym. Człowiek jest „*zoon politikon*”[183] – być z człowiekiem bliskim jest słodziej, niż być jednemu. A jutro czekam drugiej serii moich towarzyszy wycieczki kłajpedzkiej w osobach Stefana Römera i Kligysa.

14 czerwca, rok 1924, sobota
Przyjechała do Kłajpedy druga edycja moich towarzyszy wycieczki nadmorskiej w osobach Stefana Römera i Jana Kligysa. Spotkałem ich rano na dworcu kolejowym. Do godz. 1 ½ włóczyliśmy się z nimi po Kłajpedzie. Kligys był zachwycony Kłajpedą – tak miastem samym, jak jeszcze bardziej portem i ruchem handlowo-towarowym morskim. Imponowało mu to wszystko. Nie widział on w życiu innych miast większych, jak Wilno i Kowno, toteż Kłajpeda była dlań rewelacją. Kligys jest jednym z tych Litwinów włościan starego pokolenia, którzy nie bardzo wierzą w Litwę, bo swoje im nie imponuje i bo przywykli uważać Litwę i Litwinów za coś pospolitego i pośledniejszego, co jest zaniedbane i nędzne, a przeto nie będzie w stanie ani cos stworzyć, ani uporządkować, ani rozkazywać. Pracowita, czysta i kulturalna Kłajpeda, perspektywy handlu morskiego, łączącego Litwę ze światem – to są rzeczy, które w oczach Kligysa nie tylko mają wartość same w sobie, ale też podnoszą walor i autorytet Litwy jako państwa. Oglądając Kłajpedę i jej port Kligys medytował i ciągle powtarzał, że Litwa posiadła w Kłajpedzie ogromne bogactwo i że dopiero przez Kłajpedę staje się ona

[183] Zwierzę polityczne, istota społeczna (gr.).

państwem zdolnym do istnienia. Oczywiście też zaznaczał, że nie Wilno, ale Kłajpeda była i jest potrzebna Litwie. I rzeczywiście Kłajpeda, pomijając jej istotną olbrzymią wagę dla Litwy, ma wszelkie dane, jak żadne inne miasto, do imponowania trzeźwemu umysłowi chłopa: na każdym kroku widać tu pracę i ruch handlowy, którymi to miasto dyszy; w Kłajpedzie nie widać zbytku ani próżniactwa, nie ma też strojów eleganckich, nie ma pasożytnictwa wielkomiejskiego; wszystko jest ścisłe, rzeczowe, skończenie celowe.
O pół do drugiej wyjechaliśmy parostatkiem do Juodkrantisu na dni parę. Po obiedzie w hotelu Maya poszliśmy nad morze, kąpaliśmy się, Stefan fotografował. Na ogół Stefan dziś zrobił trzy zdjęcia: jedno w Kłajpedzie u wylotu kanału w Zalew Kuroński z widokiem na statki w porcie handlowym, drugie – na morzu z kąpiącymi się Kligysem i mną, trzecie – mnie zakopanego w piasku na wybrzeżu morskim na tle łodzi rybackich. Jeżeli się te zdjęcia udadzą, będą to ładne fotografie. Stefan znakomicie pamięta Kłajpedę i Juodkrantis z roku zeszłego i orientuje się tu jak w domu.
Morze zastaliśmy mocno wzburzone, choć trudno było zrozumieć przyczynę wzburzenia, bo na wybrzeżu było ciepło i nie było wiatru od morza. Dopóki była Marynia z Andrzejem, morze było spokojne i wyglądało jak pieścidełko; chciałem wtedy, by ono się choć raz wzburzyło, by Marynia je ujrzała takim. Jak tylko wyjechała i jak przyjechał Stefan, który już widział morze burzliwe i falujące w roku zeszłym – wzburzyło się ono nagle. Teraz i Marynia, i Stefan mogą mię mieć za blagiera. Marynia może myśleć, żem przesadzał, gdym jej opowiadał o fali morskiej chłoszczącej brzeg i o dzikości krajobrazu morskiego pod Juodkrantisem, bo rzeczywistość, którą oglądała, zadawała kłam mojej opowieści. Stefan zaś może myśleć, że przesadzam opowiadając mu o spokoju samym morza w ciągu tych paru dni, które tu spędziła Marynia, bo dzisiejsza rzeczywistość temu kłam zadaje i świadczy mu, że morze jest zawsze tak dzikie i burzliwe, jakim je widział w roku zeszłym i jakim oto jest teraz.

15 czerwca, rok 1924, niedziela
Przed obiadem zrobiliśmy ze Stefanem i Kligysem wycieczkę na piaski pustyni. W nocy, jak codziennie, padał deszcz, ale zdawało się, że się później wypogodzi. Tymczasem w drodze zaczęło się chmurzyć i grzmieć. Burza zwróciła się wprawdzie na ląd, omijając Mierzeję Kurońską, ale deszcz nam wciąż od czasu do czasu przerywał wycieczkę zmuszając do chronienia się w zarośla sosnowe. Wreszcie dotarliśmy do lotnych piasków, którymi przeszliśmy nad Zalew Kuroński. Stefan zrobił w toku tej wycieczki trzy zdjęcia fotograficzne: widok drobnych pełzających plantacji sosnowych na piaskach na pograniczu pustyni, następnie widok gór piaskowych wzdłuż zalewu i wreszcie mnie, zsuwającego się po stromym zboczu góry piaskowej. Po obiedzie byliśmy nad morzem, które było tak samo wzburzone, jak wczoraj. Wietrzno było i zimno nad morzem. Niebo było zachmurzone, światło się nie nadawało do fotografii migawkowej. Wykąpałem się jednak, by nie tracić okazji. Wieczorem w sali restauracyjnej u Maya grano, tańczono i śpiewano: bawiła się miejscowa młodzież rybacka obojga płci. Miałem możność obserwowania, do jakiego stopnia język niemiecki jest tu jeszcze modny i dominujący nad litewskim. Ludzie miejscowi, którzy w domu mówią po litewsku, używają niemieckiego nie tylko nie tylko w stosunkach na zewnątrz, ale nawet między sobą, gdy są w miejscu publicznym. Na zabawie nikt z tej młodzieży, będącej z urodzenia litewską, po litewsku się ani odezwał; byłby to znak złego tonu, coś poniżającego w opinii tych ludzi; język litewski jest dla nich domowym, ale tylko ściśle domowym, niegodnym manifestowania publicznego. Co prawda, mówią oni tu wszyscy bardzo ładnie po niemiecku, bardzo poprawnym językiem, lepszym, niż gdziekolwiek w rdzennych Niemczech, gdzie są używane rozmaite gwary ludowe –

„platdeutsche" i inne. Wiadomo, że za najładniejszy uchodził język niemiecki mówiony w Kurlandii, Inflantach i Estonii, gdzie był on językiem kulturalnym, nie psutym przez gwary ludowe, gdyż lud miejscowy miał swój język domowy odrębny – łotewski i estoński. To samo tyczy Litwy Pruskiej: język niemiecki jako język wyłącznie kulturalny, różny od języka domowego użytku ludu, zachował tu doskonałą czystość i nieskazitelność, czyniącą zeń wzór dla rdzennych dzielnic niemieckich.

16 marca, rok 1924, poniedziałek
Spędzamy z Kligysem i Stefanem Römerem ostatni dzień w Juodkrantisie. Pogoda nam nie służy. Pochmurno, z rzadka kropi deszcz, duży ostry wiatr, zimno. Do obiadu włóczyliśmy się po sennym Juodkrantisie, wybierając widoczki do fotografowania. Stefan wykonał trzy zdjęcia, ale wątpię, czy się udadzą, bo światło było słabe, a bez statywów można fotografować tylko migawkowo na bardzo krótki błysk światła, co wymaga jaskrawego oświetlenia. Zdjęcia dzisiejsze są następujące: widoczek z Ewa-Berg na Juodkrantis i zalew, widoczek na dwie łodzie żaglowe rybackie na zalewie u wybrzeża Juodkrantisu i widoczek na falujące morze. Morze, nad którym przechadzaliśmy się po obiedzie, było wzburzone i zgiełkliwe. Tak było zimno, że się nie odważyłem kąpać nawet ja, nie mówiąc o Stefanie i Kligysie, z których pierwszy boi się morza, a drugi boi się chłodu. O godz. 7 wieczorem pożegnaliśmy Juodkrantis i odpłynęliśmy parostatkiem „Trude" do Kłajpedy. Gdyby nie ja, Stefan i Kligys z pewnością wykonaliby ten przejazd w kajucie, bo na pokładzie zimny przenikliwy wiatr wystudził nas gwałtownie, że aż w nogi było zimno jak w mróz. W Kłajpedzie natrafiliśmy na jarmark doroczny, który się dziś rozpoczął i trwać będzie tydzień. Jarmark ten nie przedstawia nic ciekawego ani oryginalnego. Na placu nad kanałem i aż pod ulicę Giełdy sklecone są tandetnie budki, pokryte płachtami, towar zaś, który jest w tych budkach sprzedawany, jest równie tandetny, jak one same. Przeważają cukierki, pierniki, rozmaite słodycze, ciasta, następnie drobne towary łokciowe, zabawki dziecinne, wszystko w kiepskich tanich gatunkach i obliczone na nabywców bardzo niewybrednych. Jarmark był ciekawy wieczorem nie sam przez się, jeno ze względu na zabawę ludową, dla której posłużył za pretekst. Kłajpeda – zwykle taka cicha i martwa wieczorami – teraz na placu jarmarcznym wrzała ruchem wyuzdanej zabawy ludowej. Liczne karuzele, huśtawki mechaniczne, kręcące się w szalonym ruchu maszyny, uwieszane siedzeniami, w których dzieci, podlotki, chłopcy, dziewczęta fruwają w powietrzu i wirują jak opętani, połączona z muzyką mechaniczną, wygrywającą najrozmaitsze melodie, czynią zgiełk i kakofonię dźwięków, uzupełnianych gwarem, piskiem, krzykiem, śmiechem, ostrymi tonami różnych piszczałek, trąbek i innych facecji, sprzedawanych na jarmarku i rozchwytywanych przez dzieci. Między budami jarmarcznymi i dokoła karuzel i huśtawek płyną gęste fale ludu – przeważnie młodzieży obojga płci, robotników, subiektów sklepowych, służących itd. Cała Kłajpeda ludowa z przedmieściami jest tu obecna. Krzyk, gwar, śmiechy – chłopcy ćwiczą dziewczęta rózgami po plecach, te piszczą, obrzucają się confettiami, młodzież się zaczepia, ściska, maca, bawi się wyuzdanie, hałas, ostre wybryki – wszystko się miesza i kłóci w dźwiękach. Dużo pijanych i podchmielonych, atmosfera roznamiętnienia i zmysłowości – bawi się zwierzę ludzkie. Na jednym z placyków pod płachtą tłoczy się tłum, gra muzyka – tu jest plac tańców publicznych. Tu w atmosferze podniecenia wyuzdanie staje się najdziksze – między mężczyznami wybuchają kłótnie i bijatyki o dziewczyny, w ręku błyskają noże, którymi rywale grożą sobie wzajemnie. Ogólny charakter zabawy jest ciężki, dziki, wielce różny od takichże zabaw na Zachodzie, świadczący, że pod warstewką zewnętrzną kultury mieszka tu jeszcze w tej ludności pruskiej barbarzyńca i

brutal, nic nie lepszy i nie subtelniejszy, jeżeli nie cięższy i nie dzikszy od naszej ludności wielkolitewskiej. Ten jarmark wieczorny zmienia Kłajpedę do niepoznania. Zanocowaliśmy w hotelu „Baltischer Hof”.
Dzień dzisiejszy – niezależnie od jarmarku w Kłajpedzie – dostarczył nam w Juodkrantisie wrażeń i spostrzeżeń innego rzędu, niż natura i morze. Są to wrażenia psychologii ludzkiej na tle stosunków, rozwijających się w okręgu Kłajpedy. U przystani na Zalewie Kurońskim w Juodkrantisie stały dwie łodzie żaglowe, którymi chłopi z lądu stałego przywieźli tu na sprzedaż nabiał i jarzyny. W Juodkrantisie, który jest osadą rybacką i który poza grządkami kartofli nie ma ziemi uprawnej, ani jarzyn, ani nabiału, ani innych artykułów na potrzeby kuchni letników nie ma – to wszystko się tu z lądu stałego przywozi. Podeszliśmy do jednej z tych łodzi, by napić się mleka i posłuchać, po jakiemu ci wieśniacy z lądu gadają. Ojciec z synem rozmawiali między sobą po litewsku, z kupującymi zaś letniczkami – Niemkami i Żydówkami – oczywiście po niemiecku. Przychodziły też baby rybaczki z Juodkrantisu kupować to lub owo z łodzi i targowały się z wieśniakiem po litewsku. Raz, gdy jedna z letniczek – jakaś pani Litwinka z Wielkiej Litwy, słysząc, że wieśniak rozmawia z innymi po litewsku, zmieniła z nim rozmowę z niemieckiej na litewską, ten wyraził zdziwienie, że ona, „ubrana po niemiecku” (sic!), mówi po litewsku. „My – dodał – Litwini, oto tak się ubieramy (tu pokazał na swoje ubranie samodziałowe), to i mówimy po litewsku, ale pani, ubrana po niemiecku, jakaż jesteś Litwinka i dlaczego mówisz po litewsku!..”. Widoczne było, że go razi ta niezwyczajna dla niego dysharmonia stroju i mowy, nie odpowiadająca tradycyjnej klasyfikacji ludzi w tym kraju. Tak, okręg Kłajpedy zaczyna przeżywać pierwsze etapy tego łamania się pojęć tradycyjnych, co się też w dalszym ciągu będzie musiało rozrość w wielkie przesilenie kulturalne. Wdaliśmy się z tym wieśniakiem w rozmowę.

17 czerwca, rok 1924, wtorek
Ostatni nasz dzień wycieczki kłajpedzkiej ze Stefanem Römerem i Kligysem spędziliśmy w samej Kłajpedzie. Pogoda tym razem sprzyjała. Dzień był słoneczny, ciepły i wesoły. Stefan wykonał kilka zdjęć migawkowych, a „clou” dnia dzisiejszego stanowiła wyprawa na latarnie morska u wrót Zalewu Kurońskiego. Jest to dobry kawał drogi pieszej, ale widok morza i wjazdu do portu u latarni opłaca ciężar spaceru. Mur, ciągnący się od lądu w morze do latarni, świeżo i pięknie naprawiony, stanowi śliczne miejsce przechadzki. Morze było błyszczące w słońcu, ruchliwe, ale spokojne. Nie było tej wściekłej fali, walącej z łoskotem o mur i o gromady kamieni pod murem i strzelającej kaskadą wody przez mur, jak podczas naszej ze Stefanem wycieczki na latarnię w roku zeszłym. Doszliśmy do samej latarni i spuściliśmy się za nią do zwaliska starych murów w morzu, ochraniających mur obecny. Tu położyliśmy się i napawali widokiem. Z morza wyłaniały się parowce płynące do portu; z zalewu wypływały na morze żaglowce i łodzie rybackie. Morze połyskiwało i ruch okrętowy ładnie je ożywiał. Wróciliśmy stamtąd do miasta, by zakończyć sprawunki i udać się na kolej. O godz. 6 ½ wieczorem odjechaliśmy pociągiem na Kretyngę i Możejki, żegnając piękną Kłajpedę i morze.
Cała tygodniowa wycieczka moja do Kłajpedy z Marynią, Andrzejem, Stefanem Römerem i Kligysem kosztowała mię koło 600 litów, w tej liczbie 200 litów kosztowała sama jedna jazda koleją.
Wracam do naszych doświadczeń i spostrzeżeń wczorajszych z dziedziny psychologii stosunków kłajpedzkich. Mówiłem, żeśmy się wdali w Juodkrantisie w rozmowę z wieśniakiem Litwinem znad Zalewu Kurońskiego, który przywiózł łodzią do Juodkrantisu na sprzedaż nabiał i warzywa. Rozpytywał go Kligys – o stosunki

gospodarskie na wsi, o jego usposobienie polityczne, o to, jak się teraz ludzie czują po przyłączeniu kraju do Litwy, czy żałują oderwania od Niemiec, czy lepiej im było dawniej czy teraz. Chłop, mówiący wcale dobrze po litewsku, rdzenny Litwin kłajpedzki, okazał się wielkim prusofilem, stanowczym zwolennikiem przynależności do Prus i Niemiec, całą siłą duszy wyczuwający jedność kulturalno-gospodarczą i polityczną z Niemcami i obcość Litwie. Twierdzenia swoje opierał na argumentach ściśle ekonomicznych, wskazując, że za produkty swojego gospodarstwa rolnego, które są w rolniczej Litwie pospolite i tańsze, niż w przemysłowych Niemczech, może on tutaj kupić mniej potrzebnych mu artykułów – żelaza, cukru, ubrania, skóry itd., niż mógł kupić w Niemczech. Uzasadniał to rachunkiem cyfrowym. Podług jego słów, wszystko, co mu jest potrzebne do spożycia bezpośredniego i gospodarczego, produkuje się w Niemczech i stamtąd przychodzi, a przeto staje się droższe, gdy musi przejść przez granicę i opłacić się cłem; natomiast to, co rolnik tu sam produkuje, ma zbyt najlepszy w Niemczech, ale z powodu granicy i cła sprzedawać się musi tutaj taniej, niżby się sprzedawało w Niemczech. Stąd wniosek, że rolnikom okręgu Kłajpedy pożądane jest odseparowanie się granicą i cłem od Litwy, podczas gdy odseparowanie się takie od Niemiec jest dla nich zgubne. Jego zdaniem, stan, jaki się wytworzył obecnie, nie tylko że nie sprzyja postępowi rolnictwa, ale cofa je fatalnie wstecz, obniżając kulturę gospodarczą i ogólną. po kilku leciech takiego stanu rolnicy okręgu Kłajpedy, cofając się ku barbarzyństwu, zrównają się z niskim poziomem kultury wsi litewskiej i okręg Kłajpedy straci swoje cechy wyższego rozwoju, które go pod wpływem niemieckim wyróżniały dodatnio od sąsiedniej Litwy. Ogromne podatki i ciężary jeszcze bardziej akcentują konieczność regresu. Swoje twierdzenia pesymistyczne, świadczące o tęsknocie do państwowości niemieckiej, wieśniak zakończył słowami" „Gdybyśmy mogli – wypełzlibyśmy wszyscy na czworakach („repliom repliotų") do Niemiec". Miało to oznaczać najwyższy stopień ich ciążenia państwowego do Niemiec: gotowi by iść choćby na czworakach, gdyby tylko w ten sposób mogli dojść do upragnionego raju – do zjednoczenia z Niemcami. Było dużo przesady w tych twierdzeniach, było tendencyjne usiłowanie przejaskrawienia korzyści związku z Niemcami i szkód związku z Litwą, bo w rachunku wszystko, zaczynając od obuwia, a kończąc na czapce, było obliczane jako pochodzące z Niemiec, jak gdyby Niemcy były jedynym i uniwersalnym wytwórcą i źródłem wszystkich artykułów kupowanych przez rolnika i jak gdyby nic z tych rzeczy Litwa dać nie mogła – argumenty gospodarcze były oczywiście nie samorzutne, lecz dorabiane do zasadniczego argumentu psychicznego – przyzwyczajenia do pewnego układu ekonomicznego, który się przez odcięcie od Niemiec łamie – ale choć w istocie podłoże tego usposobienia jest bardziej irracjonalne niż argumentowe, sklecone *ad hoc*, niemniej usposobienie takie musi tu być wśród ludu kłajpedzko-litewskiego silne, a Niemcy miejscowi bardzo umiejętnie je wyzyskują i energicznie agitują wśród ludu, by je utrwalić i rozniecić jak najbardziej, dostarczając mu argumentów i przejaskrawiając plusy gospodarcze Niemiec i minusy Litwy. Przychodzi to im z łatwością, bo takie plusy i minusy niewątpliwie są, a siła bezwładu i przyzwyczajenia, panujące nad umysłami ludzkimi, czyni je zawsze skłonnymi do przyjmowania takich argumentów, które odpowiadają pożądaniu. Dla przekonania człowieka o tym, czego chce, nie trzeba dużo pracy, podczas gdy dla przekonania do przeciwnego trzeba argumentów zgoła nadzwyczajnych.

18 czerwca, rok 1924, środa
W samej rzeczy, mogłaby Litwa, mając tak małą sieć kolejową, tak ułożyć ruch pociągów, aby pociągi na poszczególnych liniach choć mniej więcej pasowały do

siebie. Państwa o bardzo rozgałęzionej sieci, jak Niemcy, umieją przecie dostosować ruch na poszczególnych kolejach; nie zdarza się tam chyba nigdy, żeby trzeba było na stacji łącznikowej między dwiema liniami czekać po 10 godzin z pociągu na pociąg. Taki układ ruchu, jak w komunikacji między Kłajpedą a linią abelską jest po prostu kompromitujący i świadczy o niedołęstwie i niedbalstwie czynników kierujących komunikacją. Przyjeżdża się z Kłajpedy do Radziwiliszek koło piątej rano, a jedyny pociąg z Radziwiliszek na Abele odchodzi koło czwartej po południu. Jest to komunikacja skandaliczna. Dla skrócenia sobie czasu tego nieznośnego czekania zatrzymaliśmy się ze Stefanem i Kligysem nie w Radziwiliszkach, lecz w Szawlach, gdzie się ma przynajmniej miasto; ale byliśmy po nocy spędzonej w wagonie tak senni i na poły nieprzytomni, że snuliśmy się po Szawlach jak muchy w deszcz. Wreszcie doczekaliśmy się wyjazdu. W Rakiszkach stanęliśmy o godz. 11 w nocy. Zastaliśmy konie i dojechaliśmy do Bohdaniszek o świcie. W Kłajpedzie nad morzem mieliśmy co dzień deszcz, tu w stronach rakiskich – susza gwałtowna i ostry wiatr lądowy wschodni, deszczu zaś przez cały czas ani kropelki.
Tego samego dnia, w którym miała miejsce w Juodkrantisie nasza rozmowa z wieśniakiem ze stałego lądu, spotkała nas tamże pewna przygoda, która nam zepsuła humory na czas krótki, ale która jest charakterystyczna dla stosunków, układających czy może rozkładających się w okręgu Kłajpedy. Chodziliśmy po osadzie, poszukując charakterystycznego widoczku dla fotografii. Chcieliśmy sfotografować podwórko rybackie nad zalewem z rozwieszonymi do suszenia się sieciami i buczami oraz łodziami żaglowymi w przystani. Na jednym podwórku znaleźliśmy ładny widoczek tego rodzaju: prócz licznych sieci stały tam u brzegu zalewu trzy łodzie z rozstawionymi żaglami. Było to podwórko obok jakiegoś hotelu o kilkaset kroków za hotelem Maya. Dokoła sieci i łodzi uwijało się dwóch chłopców i jakiś młody człowiek w czarnej pruskiej czapce i w bluzie robotniczej jasnoniebieskiej. Zaszliśmy na podwórko i ja spytałem grzecznie po niemiecku jednego z chłopców, czy można wykonać tu zdjęcie fotograficzne. Chłopiec nie zrozumiał pytania, ale nadbiegł natychmiast ten człowiek w bluzie, któremu powtórzyłem pytanie. Człowiek ten był pijany, cuchnęło mu z ust alkoholem, oczy miał osłupiałe i złe, sam był niewielkiego wzrostu i chudy, twarz bardzo blada i sucha. Zamiast odpowiedzi na moje pytanie zaczął szybko i natrętnie powtarzając raz po raz zapytywać (po niemiecku): „Jacy jesteście poddani, jacy poddani, czy rosyjscy, jacy poddani...?" Odrzekłem mu spokojnie: „Jestem litewski poddany". Na to on, nie zmieniając wyrazu twarzy ani tonu, tak samo szybko i ostro, mierząc mię kamiennym złym wzrokiem, zaczął mówić i powtarzać: „Ach, litewscy! No to wynoście się, natychmiast, zaraz, idźcie precz, czy słyszycie? Wychodźcie, prędzej wychodźcie! Ach, wy, litewskie... (tu nie dokończył epitetu, który mu już wisiał na ustach). Wychodźcie, wychodźcie!". Zawróciłem i ze słowami: „Jeżeli nie można, to dobrze, wychodzimy" – skierowałem się do furtki, przez którąśmy weszli, a za mną Stefan z Kligysem, którzy tez zrozumieli, o co chodzi. Człowiek ten szedł wraz z nami i wciąż tym samym tonem powtarzał szybko to samo, patrząc mi w oczy ze złością i nienawiścią. Stanął przy furtce i za każdym z nas wychodzącym robił gest jakby wypychania, prawie że dotykając nas ręką. Zakrawało już na awanturę – hamowałem gniew, który wrzał we mnie. Czułem, że gdybym podniósł głos lub odtrącił tego człowieka, rzuciłby się on na nas i zaczął się bić. Awantura by się rozrosła w głośny skandal i jakąś bijatykę uliczną, nie licującą z moim stanowiskiem sędziego i profesora. Szedłem więc spokojnie, a za mną Stefan i Kligys, a mój chłód i spokój wprawdzie drażnił awanturnika, który się wściekał i wybiegł za nami na drogę, ale go jednocześnie w ekspansji hamował. Miał gesty podsuwania się do mnie, które mogły świadczyć, że miałby ochotę rzucić się i bić, miał też słowa,

stanowiące początki frazesów, których koniec, gdyby był dopowiedziany, byłby obelgą, ale nie odważył się dopowiadać tego ani słowem, ani czynem. Widoczne było, że szukał przyczepki, ale mój chłód sztywny go wiązał. Głosem stłumionym wciąż tylko powtarzał: „Idźcie, wychodźcie, tu hotel niemiecki dla Niemców, wy, Litwini i Żydzi, idźcie sobie do hotelu Koscha – tam miejsce dla was, czy słyszycie? Tu dla was w niemieckim hotelu nie ma miejsca, tu was nie potrzeba, tu tylko dla Niemców jest miejsce...” itd. Impertynencki był ton i gest, ale wyraz obelgi, którego się bałem, nie chcąc doprowadzić do awantury, nie wyszedł z ust awanturnika. Odprowadził nas drogą poza hotel. Tam zawrócił, a my poszliśmy sobie dalej. Byliśmy oburzeni i zwarzeni przygodą. Bezczelność pruska tego pijaka przechodziła granice. Wypadek ten świadczy, jakie są uczucia Niemców miejscowych i renegatów litewskich w tym kraju i jak się też oni czują silni, jakimi są panami położenia, kiedy pomimo przynależności państwowej kraju do Litwy śmią tak maltretować Litwinów. Poskarżyć się policji – cóż z tego, kiedy policjanci są tu, zdaje się, z ludzi miejscowych i mogą mieć sami takież uczucia.

19 czerwca, rok 1924, czwartek
Powietrze w Bohdaniszkach zupełnie różne od kłajpedzkiego. Dziś różnica jest szczególnie widoczna. Mamy tu pogodę niezwykłą dla naszego klimatu, jakby zapożyczoną ze stepów kirgiskich: pełne słońce jaskrawe, niebo bez chmurki, powietrze suche, ostry chłodny wiatr, kojarzący się z gorącem promieni słonecznych. Prawdziwy klimat lądowy z pustynnych głębi ziemi, którym się ani śni o morzu. Jest to klimat, który nam bardzo rzadko przynosi długotrwały wiatr wschodni z Rosji.
Jeszcze z wrażeń wycieczki kłajpedzkiej. Ostatni dzień pobytu naszego ze Stefanem Römerem i Kligysem w Juodkrantisie – poniedziałek – był obfity we wrażenia tego rodzaju. Po rozmowie rannej z wieśniakiem z lądu stałego i po przygodzie niesmacznej z pijanym awanturnikiem w bluzie niebieskiej wysłuchaliśmy przy obiedzie filipiki starego Maya, wypowiedzianej na poły łamaną litewszczyzną, na poły po niemiecku. Stary May, niezbyt jeszcze stary, liczący z pięćdziesiąt kilka lat, dziś jest zamożnym właścicielem jednego z największych hoteli w Juodkrantisie. Jest to człowiek energii i pracy, ruchliwy i gospodarny, mało wykształcony i nie grzeszący inteligencją, jeno pełny zmysłu praktycznego. Pochodzi on z rdzennych rybaków Juodkrantisu, a więc jest rdzennego pochodzenia litewskiego czy kurońskiego. Wzbogacił się na szyneczku, który tu utrzymywał i który stopniowo rozszerzył, zamieniając klientelę rybacką na klientelę letników. Wybudował hotel, z szyneczku zrobił restaurację i jest właścicielem zakładu, w którym prócz hotelu i restauracji wraz z piwiarnia jest i scena dla przedstawień teatralnych, i sala do zebrań i do zabaw, słowem – jeden z pierwszorzędnych zakładów Juodkrantisu. Jak tu się działo pospolicie, lada parweniusz, pnąc się towarzysko i społecznie wyżej, przerabiał się automatycznie z Litwina na Niemca. Język i zwyczaj litewski – to tutaj był tylko element folkloru, swoistość etniczna niższych warstw ludu, nie zaś czynnik narodowy, równoległy do niemieckiego. Na wyższym szczeblu wykształcenia lub bogactwa folklor o barwach litewskich ustępuje miejsca szablonowi cywilizacyjnemu niemieckiemu. Toteż językiem domowym w rodzinie starego Maya stał się niemiecki. Jego syn i córka już wcale po litewsku nie umieją i oboje – syn i córka panna – mieszkają dotąd przy ojcu i pomagają mu w prowadzeniu hotelu, ale rządzi despotycznie stary; syn, młody May, przeszło 30-letni, nosi się już bardziej z pańska, czyni wrażenie całkowitego inteligenta, jest subtelniejszy i wykształceńszy od swego rubasznego ojca, który wszakże chodzi także w stroju marynarkowym; młody May był oficerem niemieckim i pełnił służbę lotniczą na froncie zachodnim w czasie Wielkiej Wojny. Stary May nie zapomniał po litewsku, ale mówi gwarą tak wypaczoną i przeplataną słowami niemieckimi, że Litwin z

Wielkiej Litwy, który by nie umiał po niemiecku, nie mógłby go zrozumieć. Język litewski stary May zachował tylko na wypadek potrzeby do uzupełnienia rozmowy z rybakami lub wieśniakami z lądu znajomością gwary ludowej i wyrażeniami lokalnymi, bo zresztą mówi nawet z Litwinami miejscowymi po niemiecku, wstawiając tylko czasem jakiś wyraz gwarowy litewski dla dobitniejszego wyrażenia jakiegoś pojęcia lub rzeczy okolicznościowej. Stary May jest naturalnie konserwatystą, nie lubi i nie uznaje żadnych nowinek, zakłócających tradycyjny układ stosunków i uważa wszelkie nowe procesy społeczno-kulturalne, będące w stadium ruchu ideowego, za dziwaczne mrzonki lub wichrzenie warchołów. Oczywiście takimi samymi wydają mu się usiłowania odrodzenia narodowego litewskiego w tym kraju tradycyjnym litewsko-pruskim, w którym litewskość nie przeciwstawia się niemieckości, lecz służy jej za podnóżek, za stadium niższe – za coś w rodzaju nawozu etnicznego pod kulturę niemiecką. Fakty dokonane mają w jego oczach walor, bo opierają się na realnym ustosunkowaniu sił, a czynniki siły imponują zawsze umysłom tej struktury. Toteż z faktem przynależności okręgu Kłajpedy do państwa litewskiego, dopóki Niemcy są po wojnie osłabione i nie mogą tego faktu zmienić na rzecz restytucji, godzi się on lojalnie i fakt ten szanuje, a nawet gotów jest wyciągać zeń konsekwencje, o których by dawniej ani pomyślał, jak np. publikowanie swojej reklamy hotelowej w dwóch językach – niemieckim i litewskim. Ale język litewski jest dlań symbolem państwowym, nie zaś wyrazem narodowości litewskiej lokalnej, równoległej do niemieckiej. Fakt państwowości i płynących z niej konsekwencji lojalnych nie ma w jego przekonaniu niż wspólnego z wewnętrznym krajowym układem stosunków.

20 czerwca, rok 1924, piątek
Stefan Römer wczoraj wywołał, a dziś skopiował na papierkach wszystkie zdjęcia kłajpedzkie. Większość klisz zepsuta albo kiepska, parę jest dobrych, a jedna – śliczna, której by i zawodowy fotograf lepiej nie wykonał: klisza ta przedstawia widoczek kanału w Kłajpedzie z parostatkami na kanale.
Byłem dziś w Gaju z Jadzią; wzięliśmy ze sobą małe piły ręczne, którymi ścinaliśmy gdzieniegdzie leszczynę, łozę, jarzębinę, czeremchę, tłumiące młode pędy szlachetnych drzewek leśnych. Darowałem w Gaju na wyrąb i sprzedałem kilka sztuk starych jodeł pogorzelcowi Kuryłowiczowi z Ażubal.
Kąpałem się z Andrzejem w stawie polowym. Po kąpieli morskiej kąpiel w tym stawie jest zabawką dziecinną, ale przynajmniej można tu do syta pływać.
Dalszy ciąg o starym hotelarzu Mayu z Juodkrantisu. May był w poniedziałek świeżo wrócił z Šiluti (Šilutė albo Šilokarčiama, po niemiecku Heydekrug – jedno z trzech miast powiatowych w okręgu Kłajpedy). W Šiluti w niedzielę odbył się zjazd tzw. „Kulturbundu" – organizacji krajowej niemieckiej, kierowanej przez czynniki niemieckie nacjonalistyczne, ale bardzo dowcipnie maskującej swoje oblicze polityczne. Niemcy są w okręgu Kłajpedy stroną społecznie silniejszą wobec nielicznych tam narodowców litewskich. Stary układ stosunków, mocno się fundujący na tradycji i przyzwyczajeniu ludu, nie wyłączając litewskiego miejscowego, daje im przewagę nad pionierami ruchu narodowego litewskiego. Czują oni i wiedzą dobrze, że młody, dopiero świtający tam ruch litewski będzie się usiłował oprzeć na państwowości Litwy i będzie do niej apelował, powołując się – przeciwko przewadze zachłanności niemieckiej – na względy ogólnopaństwowe i ogólnonarodowe. Niemcy się tego boją i przeciwko temu się organizują. Wiedzą oni, że najlepszą gwarancją oderwania się w przyszłości kraju od Litwy i powrotu do Niemiec będzie utrzymanie w stosunkach masowych *status quo* i niedopuszczanie do unarodowienia się świadomego Litwinów miejscowych. Bo to unarodowienie stałoby się najpoważniejszym czynnikiem,

sprzęgającym kraj z Litwą, czynnikiem, przeciwko któremu *á la longue* mógłby się okazać bezsilnym nawet zaborczy oręż pruski. Kraj, który stoi dotąd mocno na drodze automatycznej germanizacji, nie da się wyrwać na stałe Niemcom, jeżeli jego litwinizacja nie wytworzy prądu przeciwnego. Niemcy kłajpedzcy, a przynajmniej ich przywódcy polityczni, gotowi są najlegalniej akceptować na razie państwowość litewską, którą uważają za przejściową i której, jako realnej siły międzynarodowej, się nie boją wcale – pod warunkiem, żeby w stosunkach wewnętrznych kraju (Kłajpedy) nie zaszły zmiany i żeby państwowość litewska nie stała się narzędziem procesu litwinizacyjnego w okręgu kłajpedzkim. Tego jednego się lękają i z tym jednym za żadną cenę się nie pogodzą, bo to podkopywałoby ich najistotniejsze dążenia powrotu w przyszłości do ojczyzny niemieckiej. Nienawidzą oni nie samej Litwy, która dla nich sama straszną nie jest, ale tych rodaków swoich Litwinów, którzy się poczuli Litwinami i którzy ogół krajowej ludności litewskiej usiłują pociągnąć za sobą na stanowisko narodowe litewskie. Boją się jednak w warunkach obecnych podnosić przeciwko sztandarowi odrodzenia litewskiego sztandar germanizacji czynnej i bojowej, aby nie wywołać reakcji ze strony państwa litewskiego i nie dać strawy dla agitacji narodowców litewskich. Są więc ostrożni i – pragnąc germanizacji – głoszą zasadę apolityczności i opierania rządów i ustawodawstwa krajowego li tylko na realnych potrzebach kulturalnych i gospodarczych. Stworzony przez nich tzw. „Związek Kulturalny” odrzuca rzekomo wszelką walkę polityczną czy narodową wewnętrzną i przeciwstawiając się wszelkiemu wichrzeniu w jakimkolwiek kierunku troszczy się rzekomo tylko o spokój wewnętrzny, dobrobyt i postęp kulturalny, o zagojenie ran zadanych wojną i zmianą przynależności państwowej. Pod osłoną tych haseł chcą przywódcy Niemców utrzymać w kraju bezwład polityczny i tym bezwładem biernym – ufni w moc czynników tradycji i przyzwyczajenia – pokonać agitację litewską i ocalić stary układ stosunków, stanowiący twierdzę niemieckości kłajpedzkiej. Na lep tych haseł biorą się z łatwością bierne masy lokalnej ludności litewskiej, ciążącej siłą nałogu i całej swej psychiki odwiecznej do germanizacji. Pionierzy odrodzenia narodowego mają ciężki trud z przezwyciężeniem bierności i bezwładu ludu, wyzyskiwanych przez Niemców. Lud sam stosuje się nieufnie do nowinek agitatorów narodowych.

21 czerwca, rok 1924, sobota
Burza. Wypadł wielki deszcz. Rolnicy, którzy narzekali na suszę, są uszczęśliwieni, ale modlą się, by deszczu było więcej. Nie mogą zresztą narzekać na zły rok, zwłaszcza w naszych stronach. Urodzaje są ładne, łąki ślicznie porosłe, Marynia ma przepiękną koniczynę, która po ubiegłym głodowym na poszor roku cieszy oko i serce gospodyni. Lato jest ciepłe, słoneczne, bujne. Szkoda, że moje wakacje trwać będą teraz tylko do lipca.
O starym Mayu w Juodkrantisie ciąg dalszy. May był świeżo wrócił z Šilutė ze zjazdu „Kulturbundu”, cały napompowany jego debatami i uchwałami. Toteż nie miał nic pilniejszego, jak prawić każdemu ze swych gości długie perory na temat bolączek kraju i sposobów zaradzenia tymże. Prawił komunały, żywcem wzięte ze zjazdu, które można byłoby zestenografować i podać jako protokół zjazdu. Stary May ma umysł prosty i bezpośredni, który przyjmuje twierdzenia jednomyślnych ludzi za pewniki tak ścisłe, jak prawda objawiona z Ewangelii i argumentuje nimi jak gramofon, święcie przekonany o ich niezbitej doskonałości. Umysł bez żadnych kwalifikacji dialektycznych – typowo dogmatyczny. Zupełnie w tym samym guście był mój św. p. Papa. Ale za to rozmowa z tego gatunku ludźmi ma tę wartość, że najdoskonalej informuje o popularnych przeciętnych poglądach i tendencjach środowiska, do którego oni należą i z którego wierzenia swoje czerpią. Z filipiki starego Maya, którą on prawił

nam, a potem inny gościom, a wreszcie rozmaitym rybakom, których spotykał i których przy okazji gorąco agitował, tak przekonany o prawdziwości i doniosłości swoich twierdzeń, jak Kolumb o odkryciu Ameryki, jak wszyscy apostołowie i uczniowie proroków o prawdzie, głoszonej przez ich mistrzów – można było doskonale odcyfrować obrady odbytego w Šilutė zjazdu i linię agitacji Niemców kłajpedzkich. Cała nienawiść skierowuje się tu nie na Litwę i rząd litewski, jeno na tych narodowców Litwinów miejscowych, którzy brużdżą w kraju i którym udało się zająć pewne stanowiska w zarządzie i administracji krajowej. Tych to ludzi uważa się za największych szkodników, którzy są źródłem wszelkiego zła, bo łamią tryb stosunków i wprowadzają niedopuszczalne innowacje. Główne dwie dziedziny stosunków są zakłócone akcją tych „szkodników" – kościół i szkoła. Argumentacja Maya w tym względzie jest prosta. Po co dzieciom litewskim język litewski w szkole? Wszak po litewsku umieją bez szkoły, po litewsku mówią w domu, języka litewskiego uczą się od matki. Szkoła jest na to, żeby nauczyć dzieci tego, czego nie umieją, żeby ich wykształcić, dać oświatę, uczynić ludźmi kulturalniejszymi, przysposobić do życia szerszego. W szkole – dla dobra samych dzieci i samego ludu – trzeba nauczyć dzieci języka niemieckiego, którego z domu nie umieją. Wszak język niemiecki – kulturalny – jest ludowi potrzebny dla stosunków z Niemcami i dla wykształcenia ogólnego. Zresztą im więcej się umie języków – tym lepiej. Nie jest wcale dobrze, żeby dziecko znało tylko jeden język ojczysty, domowy, szczególnie gdy ten jest mało rozwinięty. Żaden szczery przyjaciel ludu nie będzie chciał, aby lud był mniej oświecony i mniej znał języków, które mogą mu być użyteczne. Ci sami agitatorowie wielkolitewscy, którzy usiłują tu zastąpić w szkołach język niemiecki litewskim i którzy udają wielkich narodowców, będąc w istocie obłudnikami i wrogami ludu, karierowiczami, marzącymi o przypodobaniu się Kownu i o stanowiskach dla siebie, rozumieją doskonale potrzebę języka niemieckiego i narzucając ludowi wyłącznie język litewski, sami własne dzieci nie zaniedbują uczyć po niemiecku – często nawet posyłają je na naukę do Berlina. Cała ich robota sprowadza się do obniżania poziomu kultury ludu. Są to szkodnicy społeczni, którzy poświęcają przyszłość powszechną dla doraźnych korzyści własnych. Trzeba też mieć na względzie, że ten język niemiecki, którego tu uczą w szkołach dzieci litewskie, nie jest żadną gwara ludową, żadnym „platdeutschem", jeno piękną mową literacką i kulturalną, która tak samo nie zabije ludowej gwary litewskiej, jak nie zabija ona w rdzennych krajach niemieckich ludowego „platdeutschu". Ale tak samo, jak tam nikomu nie marzy się o tym, by „platdeutschem" zastąpić w szkołach język literacki i kulturalny niemiecki, tak samo tu nonsensem jest rugowanie tego języka niemieckiego na rzecz gwary domowej litewskiej.
Tak argumentuje stary May.

22 czerwca, rok 1924, niedziela
Śliczne jest lato tegoroczne i cudne są wieczory i noce. Lato jest ciepłe, suche, wspaniałe wegetacją roślinną, która szczególnie o tej porze roku, gdy dzień jest najdłuższy, a noce najkrótsze i najjaśniejsze, jest bujna i bogata. Nic jeszcze nie koszono, drzewa. łąki i zboża w najpełniejszym rozwoju. Mam kulminacyjny punkt lata. Ptaszki jeszcze śpiewają – słowik, kukułka, skowronek. Rechot żab w jasne noce letnie napełnia Bohdaniszki życiem osobliwym. Nie pamiętam, żeby żaby tak długo i tak głośno rechotały, jak w tym roku. Niezmiernie lubię ich rechot – prawie tak, jak Marynia, która mówi, że woli rechot żab od śpiewu słowika. Nocami sowy i sowięta nawołują się po ogrodzie. Za to w tym roku bardzo mało owadów, szczególnie komarów, na które właśnie jest pora. Widocznie susza przeszkadza ich mnożeniu się. Gołębie, przed kilku laty przeze mnie w Bohdaniszkach zahodowane, bardzo się

rozmnożyły. Jest ich całe stadko; lokują się w jednym z pokoi na górze i wciąż fruwają po dworze. Jedyna nowość w Bohdaniszkach, która się tu od paru lat zagnieździła i nie podoba mi się wcale – to hałaśliwe kawki, których dawniej nie było, a które upodobały sobie stare lipy bohdaniskie i rozwielmożniły się na dobre. Przypominają one cmentarz żydowski – ulubione ich miejsce gnieżdżenia się. Wieczorami i nocami – szczególnie w dnie świąteczne – słychać dokoła z pól i wiosek śpiewy młodzieży wiejskiej – charakterystyczne melodie litewskie. Wieś litewska w naszych stronach zawsze dźwięczała latem pieśnią ludową – czy to pogodnymi wieczorami w dnie powszednie, gdy robotnicy wracają z pola, czy w dnie świąteczne i przedświąteczne, gdy młodzież się bawi lub gdy chłopcy z jednej wsi udają się gromadnie na zabawę do wsi sąsiedniej. Od dzieciństwa pamiętam te same śpiewy. Lud wiejski litewski pozostał w zwyczajach swoich ten sam. Był on i pozostał żywiołem rdzennym tych pól, gospodarzem nieśmiertelnym tej ziemi litewskiej, z którą jest związany w dobrym i złym losie i która pozostanie na wieki jego dziedzictwem i jego ojczyzną. Jakże smutna jest w porównaniu do tego stanu dola naszej szlachty ziemiańskiej, która, siedząc jeszcze resztkami na swoich uszczuplonych majątkach litewskich, czuje się już na tej ziemi, odrodzonej do własnego bytu niepodległego, obcą i przypiętą jak łata do surduta. Trzyma się ona swoich szczątków fortuny li tylko względami materialnymi, podczas gdy sercem i duszą – całą siłą tęsknot swoich – ulata ona tam, do Polski, niepomna Litwy, z której łona dziejowo wyszła. Przebywa ona tu faktem własności, ale nie dzieli losów swoich z losami kraju, nie splata się ze zbiorowością ojczyzny, bo ojczyznę ma gdzie indziej. Psychologia kolonistów zwyciężyła w niej stare tradycyjne stanowisko obywatelskie. Dla niej Litwa – to nie „my", ale „oni" – to jakiś mus obcy, to społeczeństwo bodaj wrogie, z którym trzeba się liczyć i które trzeba znosić, bo niepodobna majątku ziemskiego przenieść z tej ziemi na terytorium Polski, ale też tylko dlatego. Jest nawet tendencja wśród pozostałej szlachty do uważania rzeczników stanowiska krajowego litewskiego, stanowiska obywatelskiego – za zaprzaństwo, za jakąś zdradę narodową. Za cnotę jest tu w tym środowisku uważany nielojalizm, za patriotyzm i ideowość jest uważane ocalenie jak najwięcej ze swojej fortuny i uszczuplenie jak największe ofiary dla państwa. Im lepiej się uda państwo podejść i oszukać, tym się to bardziej chwali. Taka psychologia rozwija egoizm i zabija ducha społecznego. Dla dalekiej umiłowanej Polski ofiar się nie ponosi, bo nie ma do nich okazji, a tu dla Litwy nie ma dla ich ponoszenia zasady. Zanika instynkt obowiązku społecznego i solidarności, wyradza się umysłowość pasożytnicza. Pokolenie, które się wychowa w tych pojęciach, niedużo chyba będzie warte, jeżeli tylko u młodych nie wybuchnie idealizm, który albo pchnie ich do Polski, albo ich ku Litwie i rzetelnemu obywatelstwu skłoni. Szlachta ziemiańska tutaj jest jako ciur obcy w obozie nieprzyjacielskim. Wykolejenie jej uwydatnia się tez w jej życiu towarzyskim własnym. Gdy lud się bawi jak bawił – ona milczy i nie zna zabawy. Dawniej miała ona także własne zjazdy towarzyskie, zabawy, imieniny, tańce, uczty – dziś nie ma tego w jej życiu. Milczy ona, a jeżeli się w sąsiedztwie zjeżdża, to tylko po to, aby się pocieszać kąsaniem złośliwym Litwy – obmową.

23 czerwca, rok 1924, poniedziałek
Przyjeżdżali goście – p. Flor z żoną z Krewien i Julek Komorowski z Kowaliszek. Ślub Julka odroczony znowu, ale już tylko do 9 lipca. Ma to być termin ostateczny. Komorowscy i rodzice panny młodej – pp. Gorscy – siedzą bez pieniędzy, poszukując na wszystkie strony gotówki, a jednak Gorscy nie chcą zrezygnować z kosztownego wesela, na które zapraszają dużo gości. Będę musiał się wybrać na to wesele, co mię wcale nie aranżuje, bo to będzie droga zabawka. Sam nie wiem, z jakim prezentem

ślubnym wystąpić. Nie znam się na tych rzeczach, a nie mogę na to dużo pieniędzy wyłożyć.
Dzień niezwykle upalny i duszny. Marynia zaczęła kosić siano. Zaczęła od łąki przy stawie kąpielowym i następnie na „Prudelis”. U mnie w Gaju pracowało dziś czterech mężczyzn nad oczyszczaniem młodego lasu z zarośli pasożytniczych (głównie leszczyna), które są niezmiernie gęste i zachwaszczając las przeszkadzają rosnąć młodym drzewkom. Wytrzebione z tych zarośli działki młodego lasu wyglądają ślicznie, choć wycięte zarośla jeszcze nie uprzątnięte.
I znowu będę pisał o starym Mayu z Juodkrantisu, a raczej o jego zapożyczonej żywcem od „Kulturbundu” argumentacji, bardzo charakterystycznej dla obecnej fazy rozwoju stosunków kulturalno-narodowych w okręgu Kłajpedy. Pod data pozawczorajszą zacytowałem z ust starego Maya argumenty, jakimi się zwalcza ujawniające się tam usiłowania litwinizacji szkolnictwa dla dzieci niemieckich. Ale Niemcom i wiernym tradycjom pruskim konserwatywnym Litwinom wszelkie uszczuplenie niemieckiego monopolu szkolnego jest solą w oku i wydaje się herezją społeczną. Nie chcą oni ustąpić z tego monopolu ani piędzi. Wszystkie zacytowane przeze mnie argumenty są klasyczne w tym względzie. Znane mi są one od dawna, bo są identyczne słowo w słowo w każdym kraju, gdzie narodowość panująca obca usiłuje się przeciwstawić budzącym się prądom emancypacyjnym narodowości rdzennej upośledzonej. Wszędzie te budzące się prądy wystawiają w pierwszym rzędzie hasła unarodowienia szkolnictwa i usiłują je realizować i wszędzie przeciwnicy tych prądów – rzecznicy *status quo* – argumentują tak samo, podnosząc względy kultury i dobra ludu jako rzekomo wymagające oświaty w języku bardziej kulturalnym i powszechnym. Takimiż argumentami zwalczali unarodowienie szkolnictwa w Wielkiej Litwie Rosjanie, to samo dawało się i daje słyszeć z ust Polaków w stosunku do szkolnictwa białoruskiego w Wileńszczyźnie i Grodzieńszczyźnie itd., itd. Ale młody ruch nigdy nie słucha tych argumentów. Wie on dobrze, że argumenty przeciwników o tym, że przez język szkolny nie myśli się rzekomo zwalczać i rugować ludowy język domowy, którego uczą matki i który rzekomo doskonale współżyje z językiem wyższym kulturalnym, jak również argumenty o tym, że samo dobro ludu wymaga, aby się umiało więcej języków, są obłudnym wykrętem i bajką, którą się opowiada dorosłym dzieciom z ludu. Ten sam May, który z takim przekonaniem tymi argumentami operuje, daje we własnej rodzinie przykład, kategorycznie zadający kłam tym twierdzeniom: oto choć on sam jest z pochodzenia Litwinem, jego własne dzieci już po litewsku nie rozumieją. Okazuje się więc, że jeżeli Litwinom zaleca się umiejętność kilku języków, bo od przybytku głowa nie boli, to o ten przybytek dla Niemców nie chodzi – im niemiecki wystarczy, a umiejętność miejscowego litewskiego jest dla nich zbędna. I zawsze dopóki z dwóch języków jeden będzie utrzymany na poziomie legalnie panującego, kulturalnego, szkolnego i pańskiego, a drugi – na poziomie gwary ludowej, to skutek będzie ten, że drugi będzie zanikał i że, jak w rodzinie Maya, młode pokolenie będzie miało tendencję wyzbycia się go. Walka o unarodowienie szkolnictwa, czyli o język szkoły ludowej jest walką o stopień w hierarchii języków, o stanowisko społeczne danego języka. Tę samą cechę ma walka o język litewski w kościele w okręgu Kłajpedy. Język w szkole i w kościele – oto dwa punkty walki litewsko-niemieckiej w Kłajpedzie. W kościele język litewski ma tam pewne stanowisko, ale podrzędne. Walka się toczy o zrównanie go z niemieckim, o postawienie na równej stopie, ewentualnie nawet – wyżej.

24 czerwca, rok 1924, wtorek

O ile wczoraj był upał, o tyle dziś było chłodno – szczególnie pod wieczór. W Gaju trzech mężczyzn czyściło mi w dalszym ciągu, wyrąbując leszczyny, białe olchy itd. Ja sam większą część dnia spędziłem w lesie, gdzie tez pracuje Jadzia Čepasówna, dozorując robotnika i bawiąc się także wycinaniem nieużytecznych zarośli piłką ręczną. Pod wieczór jeździłem do Pokrewnia w interesie cioci Paulinka, która tam bawi i czeka na wydzielenie jej z majątku nietykalnej normy ziemskiej. Z powodu chłodu nie mogłem dziś myśleć o kąpaniu się, co bardzo smuci Andrzeja, który uczy się pływania i który wczoraj po raz pierwszy potrafił utrzymać się sam na powierzchni wody i przepłynąć kawałek o własnych siłach.
Trzeba mi wreszcie dokończyć o starym Mayu z Juodkrantisu. Szkoła i kościół. Oto dwa główne tereny rozpoczynającej się walki o stanowisko społeczne języka litewskiego i niemieckiego w okręgu Kłajpedy. Oczywiście May, jak wszyscy broniący starych prerogatyw języka panującego w kościele (czyż nie to samo twierdzili u nas Polacy wobec litwinizacji nabożeństwa dodatkowego w kościołach przed wojną?!), uważa te innowacje za szkodliwe i twierdzi, że usiłowania te są dziełem ludzi, będących w istocie bezbożnymi, których kościół nic nie obchodzi i którzy chcą go użyć za narzędzie agitacji politycznej. To, jego zdaniem, kompromituje kościół i obniża jego powagę. Środki, zalecane przez te innowacje, musiałyby być policyjnie nasadzane i kontrolowane, co pozbawiałoby kościół autonomii i wolności. Kościół, w którym by policjant czy żandarm sprawdzał używalność języków i prawomyślność narodową kazań, byłby w oczach ludu zohydzony i lud, który jest tam pobożny, traciłby wiarę i unikałby tych świętych, zbezczeszczonych agitacją i namiętnością polityczną. Byłaby to wielka krzywda dla ludu, który ma swoje potrzeby religijne i jest głęboko do tradycji kościelnej przywiązany. Oczywiście jest w tych twierdzeniach i skargach przesada, bo narodowcy litewscy, walczący o skasowanie starej hierarchii języków w kościele, czyniącej język niemiecki uprzywilejowanym, a ludowy litewski – podrzędnym i ledwie tolerowanym, ani myślą o jakichś szczególnych zarządzeniach policyjnych w kościele i tym mniej chcą lud pozbawić wiary. Owszem, usiłują oni użyć kościoła do podniesienia języka litewskiego, uważają więc kościół za wybitny czynnik społeczny i chcą go dla języka litewskiego mieć silnym. Ale przeciwnicy reform straszą konserwatywne masy wierzące wszelkimi sposobami i wmawiają babom, że litwinizacja kościoła doprowadziłaby ni mniej, ni więcej, jak do skasowania ślubów i chrztów. Chodzi im o to, by sama ludność masowo przeciwstawiłaby się innowacjom i pod tym względem mają jeszcze w szerokich masach posłuch. Te masy są bierne i niechętnie zrywają z tradycją. Jednak te prądy nowatorskie litewskie płyną, jak się dowiaduję z ust Maya, a więc z ust pod tym względem nie podejrzanych o stronność, nie z samego Kowna, nie z zewnątrz, lecz z łona samych Litwinów miejscowych Okręgu Kłajpedzkiego. To znaczy, że ruch litewski nie jest tam tylko importowany, lecz budzi się już i kiełkuje na miejscu. Imiona przywódców krajowych tego ruchu – braci Gailiusów, zwłaszcza pastora Gailiusa z Ruśni, który został wysunięty na czoło kościoła krajowego, Simonaitisa i innych – są znienawidzone przez Niemców. Ale dowiaduję się od Maya, że ci agitatorowie i pionierzy litewskości znajdują się nie tylko u góry, ale i u dołu pośród samego ludu – nie brak ich nawet wśród rybaków Juodkrantisu. May ich uważa za głupców, za ludzi ciemnych i upartych, którzy nie rozumieją oczywistości. Jest to znak, że się ci ludzie mnożą i że z samej masy strzelać zaczynają błyski unarodowienia – irracjonalne, ale psychicznie uzasadniające rozpoczynające się odrodzenie narodowe ludu. Że ruch ten opiera się o Kowno i że się zasila stamtąd, wzmocniony przynależnością państwową kraju do Litwy – to pewne, ale niemniej stanowi on już dziś wewnętrzny proces krajowy, który się będzie rozwijał. I Niemcy na swoim zjeździe Kulturbundu myślą już nie tylko o separowaniu się od Kowna dla przeciwwagi temu

ruchowi, ale właśnie o przymierzu z Kownem przeciwko tym wichrzeniom wewnętrznym. Postanowili oni, jak powiada May, zwrócić się do władz centralnych w Kownie ze skargą na panoszenie się tych agitatorów krajowych i ze wskazaniem, aby raczej Kowno wydelegowało od siebie ludzi do zarządu w kraju, niż popierało ruch lokalny. Wskazują oni na to, że rząd w Kownie jest w stosunkach dobrych z państwem niemieckim i rozumie konieczność kontaktu Litwy z Niemcami – kontaktu tak gospodarczego, jak politycznego – toteż powinien on zrozumieć, że interes Litwy w Kłajpedzie wymaga dobrego porozumienia władz państwowych litewskich z niemieckim czynnikiem krajowym, a wichrzenia garstki fanatyków litewskich lokalnych. May ciągle podkreślał, że Kłajpedczycy nie maja nic przeciwko Kownu, z którym chcą porozumienia, ale mają przeciwko litwinizatorom miejscowym – pastuchom i warchołom. Jeżeli zaś ich Kowno nie wysłucha, to dopiero odwołają się do Ligi Narodów.

25 czerwca, rok 1924, środa
Dzień mi upłynął na robocie w Gaju, na grze w karty na cukierki z dziećmi i na rachunkach z Pejsachem Ruchem. Pejsach Ruch, syn starego Michela Rucha z Kurkleć, jest mi znany od lat dziecinnych. Michel, liczący obecnie koło 70 lat, kupiec okolicznościowy lokalny, pochodzący z kolonistów rolnych żydowskich, osadzonych na ziemiach byłego starostwa kurkleckiego, stanowiącego dziś wieś Kurklecie (z Kurkleć pochodzi też Antoni Tumėnas, który obecnie po upadku gabinetu Gałwanowskiego zajął stanowisko prezesa ministrów), jak większość kolonistów Żydów, nie trudnił się rolnictwem, jeno rozmaitą spekulacją handlową, jaka mu się tylko nadarzała. Był on w ciągu wielu lat w stałych stosunkach handlowych z Papą, kupował od Papy zboże, las i co się trafiało, dostarczał mięsa itp. Jednym z jego synów, najbardziej udanym, jest Pejsach, na którego ślubie przed laty 20 albo i więcej byłem wraz z Papą. Pejsach, garbus, jest mądry Żyd, ma duży spryt do interesów, zarazem człowiek rzetelny, życiowo mądry, stateczny, konserwatywny i ortodoksalny Żyd. Za czasów okupacji niemieckiej stanął on mocno na nogi, zarobił dobrze, wybił się na zamożnego kupca w Rakiszkach, po wojnie wybudował dom tamże, handlował lasem, ma skład żelaza, ma duże obroty handlowe. Stał się w Rakiszkach jednym z najpoważniejszych kupców i z wpływowych ludzi w miejscowym społeczeństwie żydowskim. Pejsach jest moim dłużnikiem. Pożycza u mnie dolary. Nie ja siedzę w długach u Żyda, lecz sam Żyda mam za dłużnika. Pejsach był mi winien 268 dolarów na weksle. Z tej liczby na 168 dolarów wypadał obecnie termin zwrotu długu. Przyjechał z pieniędzmi, ale nie tylko że ich nie wziąłem, ale jeszcze mu dopożyczyłem, tak że teraz będzie mi winien ogółem 376 dolarów. Jest to tylko cząstka moich oszczędności dolarowych, których ogólna suma wynosi już obecnie 946 dolarów. Pejsach przyjeżdżał dziś z ojcem Michelem i z całą gromadką swoich dzieci – coś ze siedmioro Żydziąt, z których dwie córeczki – starsza Cipeńka i mała Basieńka – są bardzo ładne, szczególnie Cipeńska – szczupła blondynka o delikatnej różowej cerze, bujnych jasnych włosach i dużych czarnych oczach, typ kobiety prawdziwie piekny, wychowana skromnie, bez żadnych zalotów, delikatna i subtelna jak kwiat, czysta i cicha jak woda jezior.

26 czerwca, rok 1924, czwartek
Z rana dzień chłodnawy, pod wieczór ocieplało. Do obiadu pracowałem z Jadzią w Gaju, oczyszczając młody las z zarośli pasożytniczych. Po obiedzie jeździłem do Pokrewnia na prośbę cioci Paulinki Weyssenhoffowej dla ustalenia granic centrum majątku, które sobie właściciele wybierają na własność nietykalną.

27 czerwca, rok 1924, piątek
Tak się zapaliłem do czyszczenia Gaju, że oddaję się z Jadzią temu zajęciu z całą namiętnością i tak śpieszę do tej pracy, jak pijak do wódki. Całe też prawie dnie na tym spędzam. Na zdrowie ta praca fizyczna służy mi bardzo dobrze. Czuję się po niej wieczorem zmęczony, bolą mię ręce i dłonie od piłowania, ale to mi służy na zdrowie. Żadnej pracy umysłowej nie robię, nie piszę nic. Praca fizyczna jest dla mnie wypoczynkiem najlepszym. Na przyszły rok na wakacje będę zajęty czym innym – będę stawiał dom. Przyjazd Stefana Mieczkowskiego, który wkrótce ma przyjechać do Bohdaniszek z Wileńszczyzny i ma tu już ewentualnie pozostać na stałe (porobiłem w Kownie starania o pozwolenie dla niego na przyjazd), doda mi bodźca do budowy domu. Bo obecność Stefana Mieczkowskiego w roli pana domu bohdaniskiego będzie miała dla mnie pewne strony nieprzyjemne, które mię skłaniać będą do energiczniejszego odseparowania się od wspólnoty bohdaniskiej.

28 czerwca, rok 1924, sobota
Mój pierwszy miesiąc wakacji dobiega końca. Za parę dni wracam na półtora miesiąca do Kowna. Od połowy sierpnia do połowy września będę miał drugi miesiąc wakacji. Na ten ubiegły miesiąc wakacji złożyły się dwa elementy – Kłajpeda z morzem i Gaj. Tak się zapaliłem do trzebienia pasożytniczych zarośli w Gaju dla wyzwolenia od nich młodego rosnącego lasu, że z prawdziwym żalem przerywam teraz tę robotę. Dziś i przed, i po obiedzie siedziałem z Jadzią w lesie, zajęty trzebieniem. Rozkoszuję się w tej robocie widokiem lasu, któremu pomagam rosnąć, wyzwalając młode szlachetne drzewka. Gęstwina w Gaju niesłychana. Trzebienie nasze przerzedza ją, czasami otwiera całe polanki, ale wszędzie strzelają obficie z ziemi młode drzewka. W tej działce, którą my z Jadzią osobiście trzebimy, przeważa jesion i osina; sporo jest jodły młodej i brzozy, trafia się często dąb. W innych miejscach znajduje się też lipa. Nie ma natomiast zupełnie młodej sosny i klonu. W całym Gaju jedną tylko widziałem rosnącą małą sosenkę i jeden mały klonik. Robotę tę w Gaju na dniu dzisiejszym już przerwałem. Jutro bowiem jadę do Gaczan na imieniny Piotra Rosena, a pojutrze – do Kowaliszek, skąd nazajutrz nad ranem wyjadę już na pociąg.

29 czerwca, rok 1924, niedziela
Jeździłem z Elwirą i Marynią do Gaczan na imieniny Piotra Rosena, tradycyjnie co roku obchodzone. Marynia wróciła zaraz po herbacie, my zaś z Elwirą zostaliśmy do końca fety, uproszeni przez Piotra, który udzielił nam do odjechania faeton w parę koni. Gaczany są jednym z nielicznych domów ziemiańskich, w których bywają na stopie równej towarzyskiej gości także Litwini. Towarzystwo więc imieninowe było, jak zwykle w Gaczanach, mieszane. Byliśmy my, byli także z kategorii ziemian Polaków dr Władysław Rapacki, rodem z Szetekszni, praktykujący w Uszpolu, i pani Jadwiga Wasilewska z Norwidyszek z 17-letnią córką Marychną Wasilewską, z Litwinów zaś byli ksiądz proboszcz z Jużynt, kapitan Budrys z Kowna, Józef Stawski starszy z Annopola, Alfons Masiulis z Gudziszek, ksiądz Konopacki – były proboszcz katolicki Moskwy i Tweru, który świeżo wrócił z Rosji. Oprócz tych gości był jeszcze nieokreślonej narodowości aptekarz z Jużynt, osobnik wielce dziwaczny, choć poczciwy, który się przy kolacji upił kapitalnie. Domownicy składali się z Piotra Rosena z żoną i trojgiem małych dzieci, z 13-letniej siostrzenicy Piotra Anulki Stawskiej, spędzającej wraz z młodszą siostrzyczką Marysieńką wakacje w Gaczanach i z mojego siostrzeńca Stefana Römera, który mieszka w Gaczanach i jest czymś w rodzaju praktykanta czy też bezpłatnego „*attaché*” i popychadła w ręku Piotra Rosena. Wreszcie podczas herbaty przyjechali automobilem z Poniewieża: szwagier Piotra Józef

Stawski z żoną Marysia i synem Justysiem i p. Anna Pisaniowa, siostra Marysi Stawskiej i Piotra Rosena. Języki się mieszały polski z litewskim, w rozmowie przeważał polski, w mowach i toastach przy kolacji – oba równolegle. Do kolacji szło nieźle – ludzie się grupowali kółkami, gawędzili, spacerowali. Piotr zaprezentował jakąś wróżkę burłaczkę, która amatorom wróżyła z kart, pani Wasilewska przysiadał się do p. Rapackiego, którego by zapewne chętnie usidłała na małżeństwo, ale który od niej, jak się zdaje, uciekał, młodzież zaś w osobach Stefana Römera, Marychny Wasilewskiej i Anulki Stawskiej trzymała się swej kupy osobno, umykając na balkon i stroniąc od starszych. Choć była na zawołanie do flirtu pani Wasilewska, dojrzała wprawdzie, matka dorastających dzieci, ale w pełnym rozkwicie, piękna jeszcze, pełna wdzięku, dziwnie kojarzącego wyraz twarzy i ust z bujnym rozwojem ciała w całym rozroście kobiecości przejrzewającym, zmysłowa i stęskniona rozkoszy, marząca jeszcze, jak się zdaje, o małżeństwie, ciepła wdówka słomiana, opuszczona przez męża, ciepła podwójnie, bo i wdziękami swego ciała, i dolarami, które zrealizowała ze sprzedaży Norwidyszek; ale że ja osobiście nie lubuję się w dojrzałości kobiecej i wolę kobiecą młodość albo nawet dziewczęcość, pełną swoich tajemnic, aromatów wiośnianych, dreszczów przeczucia poetyczniejszych od świadomości smaku, więc wolałem towarzystwo młodzieży i coraz to do ich kółeczka nawracałem. W tym trojgu młodych ważyła się subtelna gra miłostki między Stefanem a 17-letnią Marychną Wasilewską, dziewczynką pięknej budowy i typu blondynki o oczach twardego i smutnego wyrazu, jak u kobiet skandynawskich. Dziewczyna ta będzie piękna dopiero za lat kilka, ale już dziś jest w niej siła i coś tragicznego w przeczuciu jej piękna, zaćmiewanego przez namiętną matkę. Podoba się ona bardzo Stefanowi Römerowi i sama, zdaje się, ma się ku niemu jeżeli nie uczuciem własnym, to rozkoszą budzenia miłości ku sobie. Druga dziewczynka – mała Anulka Stawska – dopiero dziecko 13-letnie, jest ładna jak z obrazka. Ma z krwi Pisanich coś w sobie z typu włoskiego; jest skromna i pełna jeszcze dziecinności naiwnej, która ślicznie uwydatnia jej wdzięk młodziutki, jej róż subtelny policzków, połączony z brwią i rzęsą czarną, a choć jeszcze nie ma gorących podniet miłości, jednak już się lubuje w pochwałach i cieszy się, gdy się jej o jej pięknie mówi, co tez czyniłem przez cały wieczór demonstracyjnie. Przy kolacji pito dużo wódki, wskutek czego wytworzył się nastrój trochę karczemny, tak w krzykach, jak w mowach i toastach, a po kolacji próbowano śpiewu i tańca, ale też po pijacku – ku zgorszeniu pań polskiego koła. Z takiej nocy mogło się coś wyłonić jak z nastroju „Wesela" Wyspiańskiego, nawet się chwilami poczynało, ale – nic z tego.

30 czerwca, rok 1924, poniedziałek
Już był dzień, kiedy wyjechaliśmy z Elwirą z Gaczan, a gdyśmy przyjechali do Bohdaniszek, już robotnicy pracowali w polu – nie tylko gospodarze, ale i parobcy dworscy. Toteż zmęczony byłem i niewyspany przez cały ten ostatni dzień pobytu w Bohdaniszkach. O godz. 5 pod wieczór wyjechaliśmy z Elwirą na Rakiszki do Kowaliszek, gdzie zanocujemy i skąd jutro raniutko Elwira mię odwiezie na kolej. W Kowaliszkach zastaliśmy Elizkę, rezydenta Witolda Komorowskiego, chłopców radkuńskich i obie córki Elizki – Zitkę i Litkę, które wróciły z Wilna na wakacje. Zitka zdała w Wilnie egzamin na maturę. Dzielna dziewczyna. Szkół, które rozpoczęła przed wojną w zakładzie naukowym klasztornym w Merentehti w Finlandii, nie ukończyła, bo naukę przerwała w roku 1914 wojna (przeszła w tym zakładzie coś zaledwie trzy klasy), ale kształciła się stale, pracowała sama i oto zdobyła maturę. Julka i Hektora nie zastaliśmy. Hektor jest na posadzie u pani Choiseulowej w charakterze administratora i naczelnego likwidatora dużych dóbr choiseulowskich, które się wyprzedają z ziemią i lasem jako należące do obcych poddanych i nie ulegające reformie agrarnej z

zastrzeżeniem ich likwidacji. Na tym stanowisku Hektor pobiera po 1000 litów miesięcznie i tantiemę od sprzedanego lasu. Tym zarobkiem poprawia on nadszargane interesy kowaliskie, wymagające dopływu gotówki. Julek bawi u narzeczonej. Za dziesięć dni jego ślub w Berżynianach u pp. Gorskich, na który i ja jestem zaproszony.

1 lipca, rok 1924, wtorek
Pociągiem o godz. 6 rano wyjechałem z moją służącą Jadzią z Rakiszek do Kowna. Z Radziwiliszek jechaliśmy pociągiem pośpiesznym. Koło godz. 4 byłem w Kownie. W drodze spotkałem się z adwokatem Nargiełowiczem, od którego się dowiedziałem trochę aktualnych nowinek kowieńskich. W Kownie na miasto już nie wychodziłem. W pociągu czterokrotnie sprawdzano dziś paszporty podróżnych – zupełnie jak w czasie wojny. Powodem do tego jest niedawny bunt zbrojny więźniów w więzieniu kowieńskim i ucieczka kilkudziesięciu ciężkich zbrodniarzy, których się teraz energicznie poszukuje.

2 lipca, rok 1924, środa
Rozpocząłem urzędowanie w Trybunale, w którym zastępuję teraz nieobecnego prezesa. Prezes i Janulaitis na urlopie. Z urlopu korzysta też Čepas, ale bawi jeszcze w Kownie i siedzi w swoim gabinecie pracując nad wykańczaniem wyroków. Ten jest jak maszyna: taki jest pedant w pracy i w jej trybie regularnym, że bez tego czułby się chyba źle; nawet urlop nie jest mu słodki bez tej pracy systematycznej, do której przywykł codziennie. Byłem też na uniwersytecie, gdzie wziąłem moją pensję za czerwiec. Zapłacono mi na uniwersytecie już podług nowej normy wynagrodzenia – po 80 litów za godzinę wykładową (dotąd płacono po 20 litów). Czyni mi to za cztery godziny wykładowe w tygodniu 320 litów miesięcznie, co wraz z połową pensji zasadniczej profesorskiej (zajmując dwie posady płatne państwowe, na drugiej posadzie, jako dodatkowej, pobieram tylko pół pensji) wynosi 670 litów. W Trybunale zaś pobieram teraz 1370 litów, czyli że ogółem z obu posad mam teraz miesięcznie po 2030 litów. W porównaniu do zimy ubiegłej wynosi to o 700-800 litów więcej, niż miałem. To dobrze, bo pieniądze są mi teraz bardzo potrzebne. Moich oszczędności dolarowych nie chcę poruszać i z pensji chcę opędzić całe mnóstwo wydatków, które mam teraz – w szczególności zapłata traczom za piłowanie desek na dom, 300 litów za bufet i stół jadalny, kupiony od c. Paulinki Weyssenhoffowej, 300 litów za frak, który kupiłem od Julka Komorowskiego, 400 litów obiecałem pożyczyć Kazimierzowi Jankowskiemu, 100 litów daję Maryni miesięcznie itd. Wszystkiego od razu nie uiszczę, ale chcę to opędzić stopniowo z moich poborów miesięcznych.
Byłem tez dziś u Danowskiego, dyrektoa Departamentu policji, w sprawie pozwolenia Stefanowi Mieczkowskiemu na wjazd do Litwy. Zimą Danowski mi obiecał, że się to da zrobić. Przed wyjazdem na wakacje wniosłem na ręce Danowskiego podanie, adresowane na imię ministra spraw wewnętrznych. Okazało się, że w czerwcu, gdy Danowski był nieobecny, podanie to skierowano do Ministerium Spraw Zagranicznych do zaopiniowania i podanie jeszcze stamtąd nie wróciło. Obawiam się, że Ministerium Spraw Zagranicznych będzie czyniło jakieś trudności i że się przez to sprawa może skomplikować, a Stefan Mieczkowski bardzo się już z zamiarem przyjazdu śpieszy i Elwirze bardzo na tym pozwoleniu zależy, a liczy ona na nie na pewno. Danowski uważa, że nie było potrzeby skierowywania podania do Ministerium Spraw Zagranicznych. Za kilka dni Danowski obiecał mi udzielić odpowiedzi; powiada, że prawdopodobnie pozwolenie otrzymam. Gdyby mi odmawiano, będę kołatał energicznie. Jeden po drugim wszyscy z naszej rodziny ściągają tu z Polski i Wileńszczyzny; choć się krzywią na Litwę, ale nęcą ich bohdaniskie dobra ziemskie.

Wybiera się i Henryś Wołłowicz, i Ewa Meyerowa. Z tymi może być większy kłopot i przykrości, szczególnie z Henrysiem, dla którego nie mogę się wcale starać o pozwolenie i który, gdyby przyjechał, może być narażony na odpowiedzialność karną, bo służył dotychczas w wojsku polskim i ta okoliczność się zapewne ukryć ani zaprzeczyć nie da. Siedząc w Wilnie nie zdaje on sobie sprawy z tego, co mu tutaj grozi. Skonfiskowano by mu własność i skazano na kilka lat ciężkiego więzienia – oto skutek jego powrotu do Litwy.

3 lipca, rok 1924, czwartek
Nudne jest siedzenie latem w Kownie. Do obiadu siedzę w Trybunale, trochę się po mieście pokręcę, a po obiedzie – w domu. Byłoby w domu roboty, ale się jeszcze lenię zaczynać, zwlekam.
Słychać o kandydaturze byłego ministra spraw wewnętrznych, Żołkowskiego, na stanowisko drugiego podprokuratora Trybunału. Żołkowski jest prawnikiem, był przed objęciem stanowiska ministra prokuratorem Sądu Wojennego. Jest człowiekiem młodym jeszcze, bez dłuższego doświadczenia zawodowego, ale zdolny, pracowity i systematyczny. Żołkowski jest ewangelikiem i zna język niemiecki, a nam w Trybunale ze względu na Kłajpedę potrzebny jest w prokuraturze człowiek umiejący po niemiecku, bo ani nasz prokurator Kalvaitis, ani podprokurator Valtys nie znają niemieckiego. Był poprzednio projekt nominacji na to stanowisko Rymszy, prokuratora Sądu Okręgowego w Kownie, ale minister Tumenas go nie mianował, może przewidując właśnie rychły kryzys gabinetu i rezerwując to miejsce dla Żołkowskiego. Inne wersje podają taką kombinację: prezes Sądu Okręgowego w Kownie Piotrowski, który nie wykazał zdolności administracyjnych i nie może doprowadzić do ładu tego sądu, byłby mianowany sędzią Trybunału, na jego miejsce prezesem Sądu Okręgowego byłby mianowany obecny prezes Sądu Wojennego Šniukšta, znany z twardej ręki, na miejsce zaś Šniukšty byłby mianowany obecny prezes Sądu Wojennego Żołkowski. Że takie kombinacje są rozważane – to jest bardzo prawdopodobne, bo o postawienie na czoło Sądu Okręgowego w Kownie człowieka, który byłby w stanie uporać się z panującym tam chaosem i nieładem, Tumenasowi chodziłoby bardzo, a skądinąd o ewentualnej nominacji Piotrowskiego do Trybunału słychać już było na wiosnę. Ale zdaje się, że ani Żołkowski nie kwapi się do Sądu Wojennego, ani Šniukšta nie chciałby zamienić Sąd Wojenny na Sąd Okręgowy. Swoją drogą, nie byłoby pożądanym precedensem, aby sędziostwo w Trybunale miało być uważane za archiwum dla ludzi, którzy gdzie indziej są niezdatni i których trzeba gdzieś podziać. Trybunał jako sąd kasacyjny, a w przyszłości może i administracyjny, ma w młodej Republice Litewskiej duże zadanie do spełnienia i wymaga ludzi żywych i sprężystych, a nie mumii biurokracji, których nie ma gdzie wetknąć. Piotrowski jest może niegłupi i ma pewną rutynę prawniczą, ale jest bardzo leniwy i nie ma samodzielności; największą jego mądrością jest posłuszeństwo i wysługiwanie się władzy. Taki człowiek twórczym i niezależnym sędzią nie będzie. Piotrowski aż nadto uwydatnił swe cechy służalcze na stanowisku juryskonsulta Ministerium Rolnictwa.

4 lipca, rok 1924, piątek
Zanotuję pewną rozmowę, którą miałem w pierwszych dniach czerwca przed moim wyjazdem do Bohdaniszek – z prof. Krėvė-Mickiewiczem. Ale ba! – po sprawdzeniu spostrzegam, żem już o tej rozmowie pisał pod datą 8 czerwca.
Wobec tego, że to teraz sezon ogórkowy, będę kontynuował kopiowanie tekstu naszego statutu Wielkiego wschodu Litwy:
40. Brat venerable:

a. wyznacza posiedzenia loży;
b. przewodniczy jej posiedzeniom;
c. porozumiewa się z Radą Główną Wielkiego Wschodu Litwy;
d. jednoczy prezydium;
e. spełnia wszystko to, co w poszczególnych artykułach statutu przekazane zostało jego właściwości.
41. Brat venerable zna i komunikuje się w razie potrzeby z braćmi venerable'ami innych lóż wspólnej siedziby.
42. Brat dozorca jest zastępcą brata venerable'a i staje się czynnym wtedy, gdy brat venerable dla jakich bądź powodów nie może działać lub gdy sprawa dotyczy osoby brata venerable'a; w tym celu bratu dozorcy musi być wiadoma droga porozumiewania się z władzą centralną Wielkiego Wschodu Litwy. Na posiedzeniu loży brat dozorca zajmuje miejsce w pobliżu drzwi wejściowych do lokalu i pilnuje wstępu do loży, by nikt obcy nie wkroczył.
43. Brat orator:
a. przechowuje statut i dokumenty loży, stanowiące jej archiwum;
b. obowiązany znać biegle statut;
c. udziela loży miarodajnych wyjaśnień co do przepisów statutu i uchwał konwentów;
d. na posiedzeniach loży może zaoponować każdej uchwale i decyzji, gdy uważa ją za sprzeczną z przepisami statutu lub uchwałami konwentów Wielkiego Wschodu Litwy. Brat orator przez lożę odwołany być nie może.
44. Opozycja brata oratora zawiesza każdą uchwałę i decyzję loży do orzeczenia brata Wielkiego Oratora.
45. Brat sekretarz jest organem pomocniczym brata venerable'a i prezydium w czynnościach administracyjnych i technicznych oraz prowadzi ewidencję loży.
46. Brat skarbnik prowadzi kasę i rachunkowość loży.
47. Prezydium gremialne czuwa nad wykonaniem uchwał loży, przyjmuje do wiadomości zarządzenia Rady Wielkiego wschodu Litwy i komunikuje je loży, a gdyby uznało zarządzenie za nielegalne, to swoje zastrzeżenia przedstawia przez brata venerable'a bratu Wielkiemu Oratorowi, który orzeka decydująco.
C.d.n.

5 lipca, rok 1924, sobota
Wyczytałem w „Dniu Kowieńskim" klepsydrę, głoszącą o śmierci Jerzego Dowiatta. Nie chciało mi się wierzyć, że to ten sam dobrze mi znany i bliski mi z wielu względów „Starolitwin" Jerzy Dowiatt, ale Dominik Siemaszko, którego spotkałem, potwierdził mi, że to on i udzielił kilku szczegółów o tej śmierci. Szczerze żałuję Dowiatta. Użyteczny to był i rozumny człowiek. Był rezonerem, gadułą, który o wiele więcej mówił, niż działał i był w stanie gadać nie tylko godzinami, ale dniami całymi. Ale to, co mówił, było rozumne, oryginalne, nieraz bardzo głębokie i w spostrzeżeniu trafne. Jeżeli sam nie był człowiekiem czynu, to jednak był w stanie niejeden czyn swoimi pomysłami zapłodnić. Był on też jednym z nielicznych okazów społeczeństwa ziemiańskiego, który mimo polonizacji językowej i kulturalnej nie zerwał głębokiego związku swego z krajem i czuł się zawsze obywatelem prawowitym Ojczyzny litewskiej. Jerzy Dowiatt ze starej szlacheckiej rodziny litewskiej, spolonizowanej jak inne, był za młodu prawowiedem, a więc moim kolegą ze Szkoły Prawa w Petersburgu, o jakichś 6-8 lat i tyleż klas ode mnie starszy. Tak samo jak ja, udał się z Petersburga na dalsze studia do Paryża, gdzie – około r. 1900 – spędził parę lat. Już w Paryżu występował on w charakterze Litwina. W r. 1900 podczas Wystawy Powszechnej w Paryżu urządzał on ze Stachem Gierszyńskim i dr Bagdonasem, który w tym czasie był

czynnym działaczem litewskim demokratycznym na emigracji, małą wystawę etnograficzną litewską. W późniejszych latach Dowiatt zawsze w kraju uważał się za Litwina i odpowiednio się zachowywał, choć politycznie bardzo czynny nie był, a od młodej ludowej inteligencji litewskiej dzieliły go przekonania zachowawcze. Przed wojną wdawał się trochę w przemysł, był założył pod Wilnem jakąś fabryczkę. Majątek miał na Żmudzi. W r. 1918 założył w Wilnie i redagował z Kazimierzem Łukomskim dziennik polski o kierunku państwowym i narodowym litewskim, o którym pisałem w dzienniku. Na początku r. 1919 brał udział w pierwszej delegacji litewskiej w Paryżu, która w tym czasie tworzenia się państwa litewskiego reprezentowała je i usiłowała realizować na własną rękę politykę zewnętrzną Litwy w dość luźnym kontakcie z rządem krajowym. Gdy rząd litewski opanował te placówkę i obsadził ją zależnymi odeń ludźmi, Dowiatt wrócił do kraju. Odtąd roli politycznej nie grał, ale nie zaniechał interesowania się sprawami publicznymi Ojczyzny, które brał zawsze żywo do serca. Choć był w opozycji do radykalnych kierunków polityki państwowej, zwłaszcza w kwestii agrarnej i w kwestii stosunku do ziemiaństwa, jednak nigdy nie poszedł śladami ani tych kół ziemiańsko-polskich, które tworzyły w kraju antylitewską politykę polską, ani tych, które się zamknęły w sferze prywaty. Przeciwstawiał się tak prądom odśrodkowym polskim w środowisku ziemiańskim, jak prądom politycznym, panującym w inteligencji ludowej litewskiej, które nazywał młodolitewskimi i którym zarzucał brak zmysłu ciągłości dziejowej i kultury.
Śmierć jego była dla mnie niespodzianką. Widywałem go w Kownie często, bo bawiąc w Kownie zachodził do mnie zawsze i jeszcze w maju go po raz ostatni widziałem. Był zdrów i zawsze równie dużo mówiący, powolny i pełny projektów i myśli. Nic nie zapowiadało rychłej śmierci. Z czego umarł – dobrze nie wiem. Wiem tylko, że zasnął, spał bez przebudzenia cztery doby i zmarł. Siemaszko powiada, że są przypuszczenia, że zażył jakiegoś ostrego narkotyku – może nawet rozmyślnie w celach samobójczych. Miał w tych czasach duże przykrości, był znerwowany, wreszcie jego majątek zabrano na reformę agrarną i właśnie zaczęto parcelować. Pokój Tobie, bracie.

6 lipca, rok 1924, niedziela
Bank Ziemski, świeżo założony w Litwie dla kredytu ziemskiego długoterminowego. jest, jak to się zaczyna ujawniać, jedną z instytucji w ręku rządu, służącej między innymi celami – do obdarzania synekurami ludzi „zasłużonych”. Choć bank ten jest akcyjny i niby przeto prywatny, ale podobno 98% akcji jest w ręku państwa, wobec czego obsadzanie stanowisk w banku odbywa się właściwie metodą nominacji z ramienia rządu, bo ten jest w stanie dyktować swoją wolę. W ten sposób zarząd banku został skompletowany prawie wyłącznie ze świeżo upieczonych „obszarników” litewskich, którzy przez reformę agrarną stali się właścicielami tzw. centrów 80-hektarowych byłych dworów ziemiańskich, wywłaszczonych od ich poprzednich właścicieli i sprzedanych przez państwo z licytacji nabywcom czystej krwi litewskiej, przeznaczonych do utworzenia kadrów nowej burżuazji agrarnej narodowej. Choć centra te były sprzedawane z licytacji, ale faktycznie licytacje te pokrywały jeno formalnie to, co poprzednio zostało ułożone między gronem kapitalistów z Vailokaitisem na czele. Była to więc właściwie dystrybucja tych centrów – przynajmniej w znacznej ilości wypadków – przeważnie na rzecz ludzi wiernych i posłusznych Chrześcijańskiej Demokracji. Tą drogą cały szereg takich ludzi hołyszów, jak np. Oleka i inni, doszło do posiadania mająteczków z ładnymi rezydencjami. Co prawda, oprócz nich pokupowało te centra i wielu świeżo upieczonych plutokratów litewskich, którzy w jakiś osobliwy sposób – rozmaitymi spekulacjami i kunsztykami – doszli w ciągu kilku lat do bogactwa. Hołyszom, jak Oleka, którzy nie mają ani

pieniędzy, ani kwalifikacji rolniczych, nie dość było dać kredytami Vailokaitisów majątki i rezydencje, z którymi nie dalby oni sami rady – trzeba było jeszcze dać im ciepłe miejsca, przytulić i wychuchać te poczwarki przyszłej agrarnej burżuazji narodowej. Takich, zdaje się, najwięcej wpasowano do zarządu tworzącego się banku. Jak niegdyś w Banku Ziemskim wileńskim panowały wszechwładnie protekcyjne rządy Kończów i Montwiłłów, tak tu w litewskim Banku Ziemskim zapowiada się panowanie Vailokaitisów z ich wierną kliką kreatur, opartą na systemie protekcyjnym i na posłuszeństwie Chrześcijańskiej Demokracji. Vailokaitis i Krupowicz wiedzą co robią. I jak w banku wileńskim pierwszym szczeblem synekury dla aspirantów protekcjonizmu były stanowiska członków komisji szacunkowej, tak analogiczne stanowiska szafują się i tu aspirantom do pieniędzy bez pracy, wysłużonym i odrzuconym niedołęgom, którzy wypadkiem losu mieli jakąś godność i okazali się niepotrzebni i niezdatni, a nigdzie indziej się też nie nadają. Do takich właśnie należą Dominik Siemaszko, były „minister do spraw białoruskich", człowiek bez zdolności i bez fachu poza znajomością kunsztu strażackiego. Nie umie on i nie może znaleźć sobie miejsca, bo do żadnej tęgiej rzeczowej pracy nie jest zdatny. Chodził on, węszył i zabiegał, biedak, aby jakiś ochłap płatnej posady otrzymać i oto teraz Tumenas obiecał mu dać stanowisko agenta szacunkowego w Banku Ziemskim. Tą drogą Chrześcijańska Demokracja przywiązuje ludzi i unieszkodliwia ich sobie, każąc im liczyć się z nią jako rozdawniczką synekur, a im mniej ktoś jest zdolny i im mniej może polegać na własnych siłach w znalezieniu sobie stanowiska i zarobków, będąc natomiast już nawykłym z czasów ministerskich do wygód i pieniędzy, tym łatwiej go taką synekurą trzymać w ręku. A Siemaszko nie ma najmniejszego pojęcia o funkcjach obiecanego mu stanowiska. Ale o to widocznie nie chodzi. Choć Siemaszko jest bratem naszym, to jednak muszę wyznać, że nie jest to człowiek zbyt wysokiego poziomu i zbyt stalowej dyscypliny etycznej. Nie zarzucam mu świństwa, ale są w nim kwalifikacje do pasożytnictwa, które są moralnie i społecznie niebezpieczne.

7 lipca, rok 1924, poniedziałek
Jutro rano muszę wyjechać na ślub Julka Komorowskiego z panną Madzią Gorską, który się odbędzie w majątku rodziców panny młodej – w Berżynianach na Żmudzi (powiat szawelski, stacja kolejowa Kurczany). Jutro dziewic-wieczór, pojutrze – ślub. Ma być ze 30 osób gości, paradne przyjęcie, tańce, strój – frak. Bardzo nie mam ochoty na tę jazdę, bo wiem, że się będę nudził i że zmęczenie dwóch nocy niewyspanych nie będzie mi wynagrodzone zabawą. Jestem ani do tańca, ani do kart, to znaczy nieznośny i nieużyteczny grat na zabawie, z którym gospodarzom nie wiadomo, co zrobić i na którego zabawianie trzeba się wysilać. Ale jestem zaproszony i muszę jechać, bo jestem najbliższym krewnym Julka ze strony jego matki i z tej strony będę jedynym reprezentantem rodziny. Mam już frak, który kupiłem *ad hoc* tej uroczystości od tegoż Julka i przerobiłem na siebie. Po raz pierwszy od wielu lat się ubiorę we frak. Ostatni raz miałem frak na sobie w roku 1915 w maju, kiedym w Wilnie składał przysięgę na adwokata przysięgłego. Dla panny młodej wiozę w darze najlepsze cukierki w ładnym pudełku. Oto i wszystko. Jadę na wesele jak na pańszczyznę, choć Julka lubię i cenię, a do panny Madzi jestem też sympatycznie usposobiony. To wesele mię z góry nudzi nie ze względu przeto na młodych, jeno ze względu na długie ceremonie zabawy towarzyskiej.

8 lipca, rok 1924, wtorek
Jadę na wesele Julka Komorowskiego. Z Kowna wyjechałem rano o godz. 8. Po drodze zaczęło przybywać do pociągu osób, udających się na to wesele. W Janowie, w

Kiejdanach – wsiedli młodzi Zabiełłowie, synowie Karola Zabiełły z Opitołok – Cześ i Władzio, dalej Stanisław Dowgiałło, czyli tzw. „Stasiunieczek”, syn p. Dominika Dowgiałły z Siesik, p. Władysław Montwiłł i biskup Edward O'Rourke. W Radziwiliszkach przyjechała pociągiem rakiskim Elizka Komorowska z Zitką i młodym Wincentym Komorowskim, synem śp. Szymona Komorowskiego z Syrutyszek, i p. Jan Przeździecki z Rakiszek. W tym towarzystwie dojechaliśmy do stacji Kurszany, gdzie czekało na nas kilka powozów z Birżynian. Zaprzęgi eleganckie, konie piękne, faetony. Po bardzo dobrej drodze gościńcem bitym wygodnie i prędko przejechaliśmy te pięć mil, które oddzielają Birżyniany od Kurszan i jeszcze przed wieczorem stanęliśmy na miejscu. Droga jest bardzo ładna, pełna widoków urozmaiconych, szczególnie w drugiej połowie, gdzie się zaczynają wzgórza, wąwozy, parowy, jeziora, rzeczki, pilkalnie – wśród licznych dworów, dworków, lasów, kapliczek, krzywych płotów żmudzkich. Dwór Birżyniany – w samym sercu Żmudzi, parę mil od Telsz i tyleż od Worń, czyli Miedników starożytnych – najstarsze gniazdo Gorskich tutaj – jest położony nad rzeczką Wyrwitą, dopływem Wenty, przy gościńcu telszewskim. Dwór jest usytuowany bardzo ładnie, ma widoki ciekawe i piękne, śliczne stare drzewa, lasy piękne, dom mieszkalny staroświecki sprzed paru wieków, ale o obszernych pokojach, sufitach wysokich, piecach kaflowych starożytnych ozdobnych. Zabudowania folwarczne rozległe, stare, fundamentalne, oficyny z kominami tworzącymi u dołu murowany czworobok wielkości pokoju, jak nasz komin ze spalonej oficyny bohdaniskiej. Jest w Birżynianach papiernia – jedna z trzech fabryk papki (tektury), które istniały na Żmudzi przed wojną – wszystkie trzy nad rzeką Wyrwitą (papiernia Jana Hrehorowicza, papiernia Syrutowicza i papiernia Gorskich w Birżynianach), obecnie prawie że nie funkcjonująca, zastosowana też do wytwarzania elektryczności, którą oświecony jest cały dwór wewnątrz i zewnątrz. Dom mieszkalny w Birżynianach stoi na wzniesieniu nad boczną ślepą odnogą rzeki, kończącą się bagnistym stawem, który może być pozostałością dawnego łożyska rzeki czy też kanałem sztucznym; wzniesienie to stanowi, jak przypuszcza p. Gorski, pilkalnię. W tej okolicy pilkalni, gór świętych, ofiarniczych („aukos kalnai”), kulgrynd, czyli starożytnych brukowanych dróg podwodnych (brodów brukowanych) w jeziorach i bagniskach („kulgrindis” – patrz dzieło Ludwika Krzywickiego o pilkalniach na Żmudzi) jest pełno. Tu być musiało wielkie centrum religijne Żmudzi pogańskiej, będąc zarazem jej centrum politycznym i kulturalnym w czasach przedhistorycznych, toteż tu pełno pozostało pamiątek i tradycji pogaństwa narodowego i starego systemu obronnego Żmudzi. Tutaj też najdłużej się pogaństwo utrzymało, chroniąc się w te góry, lasy, bagna i rzeki od czujnego oka kleru chrześcijańskiego. Tu w pobliżu wznosi się najwspanialsza góra Żmudzi i Litwy – starożytna Šatrija, mająca jedyną rywalkę w Miedwiekalni, słynąca podaniami i tradycją, widoczna z drogi, którą jechaliśmy z Kurszan. W samych Birżynianach pod lasem jest źródło wody pod nazwą „Laumos pėda” o żywej jeszcze tradycji pogańskiej, słynące czarodziejską siłą; nad źródłem tym rośnie drzewo – stara brzoza; podług tradycji ludowej, dla spełnienia życzeń, głównie zaś dla zamążpójścia dziewczyn, trzeba trzy razy obejść brzozę dokoła na kolanach i napić się wody ze źródła. Wiara w tę moc czarodziejską obchodzenia drzewa na klęczkach dla spełnienia życzeń jest dotąd niewygasła. Do niedawna praktykowano to jeszcze bardzo powszechnie, a i dziś się to jeszcze praktykuje, Żeby odebrać temu zwyczajowi jego cechę pogańską, zawieszono tu na drzewie obrazek Matki Boskiej pod daszkiem, przybitym do pnia drzewa, by w ten sposób siłę cudowną pogańskiej Łaumu uchrześcijanić. Do jakiego stopnia zwyczaj ten jest zachowywany – świadczy to, że p. Gorski, który mi to miejsce pokazywał i objaśniał, sam tez obszedł trzy razy dokoła drzewa, wprawdzie nie na klęczkach, ale z uszanowaniem zupełnym dla starego zwyczaju – z głową obnażoną. Sam p. Tomasz

Gorski jest typem ciekawym i charakterystycznym. Zdawałoby się, że cóż można nadto o nim powiedzieć, jeżeli już Elizka Komorowska, która nie ma w sobie ani cienia postępowości i radykalizmu i jest z krwi i kości i z ducha i wiary arystokratką i przeciwniczką wszelkich nowinek demokracji i zrównania społecznego, nazywa go człowiekiem poglądów przedpotopowych. Ale ta jego „przedpotopowość" jest na wskroś oryginalna, tchnąca o wiele głębszym ukochaniem kraju i ludu, niż u panów konserwatystów modernistycznej szkoły. P. Gorski kocha się w tradycji rodowej; senatorski stary ród Gorskich, który przez wieki szczycił się wysokim stanowiskiem na Żmudzi i dobrami, które do dziś dotrwały, by dziś ulec ciosom reformy agrarnej, stawia p. Tomasz na piedestale kultu szczególnego i każdemu gościowi opowiada o rodzie swoim, wylicza wszystkich protoplastów, wykłada historie każdego z nich i wtajemnicza w dzieje ich fortuny. Piorunuje na reformę agrarną, na rządy Litwy – to prawda. Z pogardą (przynajmniej na słowach) odrzuca te 80 hektarów nietykalnej własności, które reforma ta raczy pozostawić dziedzicom ziemi i ani słyszeć nie chce o jakimś kompromisie i przystosowaniu się do nowego stanu rzeczy. A jednak mało kto chyba tak kocha ten kraj i ten lud, jak on i mało kto potrafi tak pięknie o kraju i o ludzie żmudzkim mówić z serca i wyczuwać sercem, jak ten „przedpotopowy" p. Tomasz Gorski. Tak, to konserwatysta i żubr ziemiański, ale żubr litewski, syn Żmudzi, jeden z najwierniejszych. Jest szczególna poezja dziejowa w tym człowieku „przedpotopowym", jak go sami ziemianie nazywają.

9 lipca, rok 1924, środa
Dzień ślubu Julka Komorowskiego. Potem opiszę towarzystwo weselne i szczegóły zabawy dwudniowej; na razie opiszę sam ślub. Odbył się on w kościele parafialnym w Łuknikach (po litewsku: Luokė), do którego parafii należą Birżyniany. Ślub dawał ksiądz biskup Edward hrabia O'Rourke. Pezyjazd biskupa O'Rourke'a na to wesele był niespodzianką. Biskup Edward O'Rourke – ze starej arystokratycznej rodziny irlandzkiej, osiadłej od kilku pokoleń na Litwie, posiadającej dobra ziemskie w powiecie nowogródzkim i spolonizowanej – był, podobnie do arcybiskupa Roppa, za młodu człowiekiem światowym, tancerzem i kawalerem, lubiącym zabawy i goniącym za życiem towarzyskim. Jest on bratem stryjecznym mego krewnego Karola O'Rourke'a ze Wsielubia, żonatego z moją cioteczno-rodzoną siostrą Marylą Tyszkiewiczówną z Pleszczenic, i bratem rodzonym zmarłego w czasie wojny Jóefa O'Rourke'a, byłego jednego z dyrektorów Banku Ziemskiego wileńskiego, żonatego z Montwiłłówną. Wdowa po Józefie O'Rourke ma majątek ziemski w Litwie, w którym mieszka. Obecny biskup Edward O'Rourke wstąpił do stanu duchownego już w wieku dojrzałym, mając lat dwadzieścia kilka. Co go do tego skłoniło – nie wiem. Dzięki swemu imieniu, swemu pochodzeniu wysokiemu, stosunkom i wykształceniu szybko zrobił karierę duchowną. Koło roku 1917, gdy wznowiona została diecezja ryska, ks. Edward O'Rourke został mianowany biskupem ryskim. Choć na tym stanowisku potrafił on zdobyć sympatie i uznanie Łotyszów, jednak w utworzonej niepodległej Łotwie życzono mieć na stanowisku biskupa katolickiego w Rydze rodowitego Łotysza. Wobec tego biskup O'Rourke został z tego stanowiska przez Watykan odwołany. Obecnie jest on tytularnym biskupem Pergamonu *in partibus infidelium*, faktycznie zaś zajmuje stanowisko delegata apostolskiego w Gdańsku, który, kreowany na wolne miasto, jest i pod względem kościelnym katolickim wyłączony z Niemiec i wcielony do Polski. Z Gdańska przyjeżdża on czasem do Litwy odwiedzić swoją bratową na wsi. Jest on taktowny, politycznie wyrobiony, pod względem narodowym, zdaje się, elastyczny i nie nazbyt ostry (co go zresztą kwalifikuje na stanowisko w Gdańsku, na którym jaskrawy Polak byłby niewłaściwy); jest on przede wszystkim katolik rzymski,

a dopiero potem Polak z kultury, Litwinom się nie naraża. Bawił on właśnie teraz u swej bratowej, a gdy się dowiedział o małżeństwie Julka z panną Gorską, sam zaproponował telegraficznie państwu Gorskim przyjazd dla pobłogosławienia związku małżeńskiego. Propozycja została skwapliwie przez pp. Gorskich przyjęta, bo biskup uświetnia ślub i wesele, a pp. Gorscy, szczególnie zaś sam p. Tomasz Gorski jest bardzo na świetność i okazałość dekoracyjną i ceremonialną wrażliwy, będąc pod tym względem, jak i pod każdym innym, prawdziwym z krwi i charakteru synem starej szlachty litewsko-polskiej. I rzeczywiście obecność biskupa O'Rourke'a dodała wielkiego splendoru weselu. Nie tylko dla zebranych gości weselnych obecność biskupa była faktem doniosłości towarzyskiej, ale i dla ludu była ona punktem niepospolitej atrakcji, podnoszącej urok pańskiego wesela. Odkąd biskupem diecezjalnym jest u nas ks. Karewicz, który nie tylko jest Litwinem, ale też jaskrawym narodowcem litewskim, niechętnym dworom i Polakom, popierającym znienawidzoną przez ziemian rządzącą Chrześcijańską Demokrację, faworyzującym reformę agrarną i publicznie jaskrawie manifestującym nieraz swą niechęć do dworów, odtąd w ziemiaństwie obecność swego biskupa nie stanowi bynajmniej atrakcji: ziemiaństwo stroni od biskupa, nie bierze udziału w przyjęciach dla niego w czasie wizytacji diecezji, odpłaca mu za niechęć niechęcią i złośliwością. Ale tym goręcej się garnie do biskupa z krwi i kości swojego, jak O'Rourke, którego z dumą przeciwstawia biskupom litewskim i całą swą tęsknotę do duchowieństwa starej daty, łączącego swą działalność z prerogatywami społecznymi arystokracji, przetapia na miłość i cześć dla fioletów symbolizujących ten Kościół starej tradycji społecznej. Toteż w towarzystwie weselnym, złożonym z ziemian najwyższego szczebla społecznego w arystokracji rodowej, obecność biskupa O'Rourke'a była epizodem najgorętszego wzruszenia. Lud zaś birżyniański, łuknikowski i okoliczny był przez księży miejscowych o przyjeździe biskupa powiadomiony. Już dziś rano biskup O'Rourke był w Łuknikach w kościele i odprawił nabożeństwo w asyście miejscowego proboszcza dziekana i wikarego przy licznym udziale pobożnych z ludu, ciekawych widoku zagranicznego biskupa. Ślub Julka z Madzią Gorską był wyznaczony na godz. 6 wieczorem, a odbył się koło godz. 7. Jazda z Birżynian do Łuknik do kościoła była świetna. Pierwszym ruszył automobil Hektora, którym Hektor wiózł brata do ślubu. Za nim szedł szereg karet wspaniałych i faetonów, pozaprzęganych w czwórki i pary dobranych pięknych koni, wreszcie bryczki resorowe dla pomniejszych gości i młodzieży, w ostatniej karecie p. Tomasz Gorski wiózł córkę do ślubu. A jeszcze za tą karetą na samym ostatku w faetonie jechał w fioletach, wyzierających spod gęstej burki, ksiądz biskup. W Łuknikach ulice i rynek przed kościołem były pełne ciekawych jak na widowisku i kościół był po brzegi pełny ludu. Państwo młodzi – szczególnie Julek – ślicznie się prezentowali, tchnący świeżością i urodą wzrostu i rysów. Julek był wzruszony, ale panował nad sobą i nadrabiał miną. Madzia też była spokojna. Elizce łzy ledwie nie tryskały z oczu, a p. Tomasz Gorski też był bliski płaczu.

10 lipca, rok 1924, czwartek
Ślub Julka z Madzią wczoraj. Po ustawieniu się orszaku w kościele przed wielkim ołtarzem ks. biskup O'Rourke, ubrany w szaty właściwe z kapelusikiem pasterskim dwurożnym na głowie, zasiadł w fotelu pod samym ołtarzem i zwrócił się z przemówieniem do nowożeńców po polsku. Biskup O'Rourke nie jest zbyt elokwentny. Mówił powoli, cedząc słowa i między każdymi dwoma frazesami przyglądając się swemu pierścieniowi na palcu, jakby w nim szukał natchnienia. Mówił ogólnikowo o trudnych czasach, o ciężkich warunkach i odwoływał się do zasad wiary, miłości nowożeńców i tradycji cnót obywatelskich w obydwóch rodzinach, które się tym małżeństwem łączą. Potem biskup dokonał obrządku ślubnego – odebrał przysięgę od

młodych i pobłogosławił związek. Małżeństwo stało się faktem dokonanym. Cały orszak ślubny z biskupem na czele wyruszył z kościoła i posiadał do powozów. Wszyscy pojechali do Birżynian – przyłączyło się jeszcze kilka osób z sąsiedztwa i ksiądz dziekan z wikarym z Łuknik, zaś państwo młodzi w karecie, zaprzężonej w czwórkę koni białych, udali się na przejażdżkę, by dać czas domownikom i gościom zebrać się w Birżynianach i przygotować się na ich uroczyste spotkanie na ganku. W Birżynianach całe towarzystwo domowe i goście zgromadziło się na ganku, a przed gankiem opodal zebrał się tłum służby dworskiej, młodzieży i dzieci wiejskich, śpiewając żmudzkie pieśni weselne na przyjęcie państwa młodych. W jakieś pół godziny z gościńca wpadła na dziedziniec i zatoczyła pędem pod ganek czwórka koni białych w pełnym galopie przy klaskaniu z bicza furmana, a z karety wysiedli państwo młodzi. Nastąpiły powitania, uściski, życzenia, potem państwo młodzi wyszli do ludu, następnie w salonie podano szampan w kielichach, przy którym znów składano młodym życzenia i pito ich zdrowie. Wieczorem przy obiedzie czy kolacji weselnej o północy wygłoszono kilka mów i toastów. Mowę wypowiedział Hektor, podnosząc zasługi i cnoty Nałęczów-Gorskich, potem p. Tomasz Gorski – mowę odczytaną z rękopisu. Toasty spełniano za młodych, za ich rodziców, za babkę (staruszkę p. Gorską, Mineykówną z domu, spokrewnioną jakoś z Römerami przez de Raësów), za rodziny itd. Mowa Hektora była pretensjonalnie wystylizowana, zawczasu napisana i wyuczona na pamięć, pełna górnolotnych i patetycznych wyszukanych frazesów i komplementów, które się bardzo dziwacznie kojarzyły z równym i spokojnym głosem Hektora, nie mającego w sobie nic entuzjazmu i ekstazy. Potem, jak nocy poprzedniej, były tańce, które przeciągnęły się aż do ranka. Wszyscy goście pozostali, ja jeden wyjechałem o godz. 4 ½ rano, zostawiając towarzystwo w pełnym tańcu. Drzemiąc dojechałem w faetonie czwórką koni do Kurszan, skąd pociągiem pośpiesznym przyjechałem dziś koło godz. 4-5 po obiedzie do Kowna. Państwo młodzi też mieli rano tym samym, co ja, pociągiem wyjechać, by z Radziwiliszek zawrócić na Rakiszki do Kowaliszek, gdzie ich ma czekać i przyjąć Marynia Römerowa, ale się rozmyślili i postanowili zostać do jutra rana, o czym ja z drogi zatelegrafowałem do Kowaliszek. Madzię z Gorskich Komorowską, młodą żonę Julka, poznałem dopiero teraz na weselu – poprzednio widziałem ją tylko z daleka w Kownie, ale się nie mogłem przyjrzeć. Madzia sprawiła na mnie przyjemne wrażenie, ale drugiego dnia – może z powodu śladów zmęczenia – już mi się wydała mniej miła i ładna, niż pierwszego dnia. Jest wysokiego wzrostu, wyraz ma dobry; nos ma trochę na końcu zanadto wydłużony i ma coś w wyrazie takiego, co jakby łączyło nienaturalnie miękkość z twardością, dobroć ze złośliwością. Nie umiem tego określić. Zresztą dopiero przy dłuższej znajomości ustali się moje przekonanie o niej i uwydatnią mi się należycie jej rysy i wyraz, które w pierwszym poznaniu nie dość mi się sprecyzowały.
Wśród gości weselnych była panna Mielżyńska z Mielżyna na Żmudzi, w której od lat kilku się kocha i o którą się stara – bezskutecznie dotąd – Hektor Komorowski. Ta jest rzeczywiście ładna, chwilami piękna, czyniąca fizycznie i psychicznie wrażenie kobiety renesansowej. Jest w niej coś z rozkosznych snów o kobiecie haremowej, o lwicy sennej i leniwej, gotowej do skoku i okrucieństwa dla zabawy i coś z kobiety ambitnej i rozumnej, ciekawej życia i żądnej władzy, jakimi były kobiety włoskie, ale typ fizyczny jest wcale nie włoski. Ta może być okrutna i drapieżna, ale zarazem zmysłowa, słoneczna i nade wszystko mądra i dzielna. Hektor się w niej wciąż kocha, a ona flirtuje, bawiąc się z każdym. Elizka bardzo jej pragnie dla Hektora i przygląda się jej z coraz rosnącym zainteresowaniem. Mówiła mi Elizka, że teraz zacznie kuć to żelazo i że – ustaliwszy los Julka – zabierze się do losu Hektora i ma nadzieję, że Mielżyńska zostanie dla Hektora zdobyta.

11 lipca, rok 1924, piątek
Choć się wyspałem, jednak po zmęczeniu dwóch poprzednich nocy niespanych nie jestem jeszcze wypoczęty i czuję się jak pijany. Będę jeszcze pisać o tym weselu Julka i Madzi Komorowskich. Trwało ono dwa dni, a jeszcze bardziej dwie noce – tzw. dziewic-wieczór i wieczór oraz noc swadziebna. Na dziewic-wieczór po kolacji, która miała miejsce o północy, tańczono do godz. 3-4 rano. Nazajutrz – w dniu ślubu – część towarzystwa wstała wcześnie i pojechała do kościoła do Łuknik na mszę, odprawianą przez biskupa O'Rourke'a, reszta – i ja w tej liczbie – wstał koło południa. Po śniadaniu towarzystwo męskie udało się pod wodzą p. Tomasza Gorskiego na zwiedzanie folwarku, parku i lasu (niestety – już wywłaszczonego). Potem miało miejsce przebieranie się panów we fraki, pań i panien – w stosowne suknie balowe na ślub i zabawę nocną, panny młodej – w tradycyjną suknię ślubną z welonem. Po zakończeniu strojów odbyła się fotografia całej grupy weselnej przed gankiem dworu birżyniańskiego (na ten cel była zaangażowana umyślnie z Telsz fotografka), potem – wyjazd do Łuknik, ślub, powrót, życzenia państwu młodym, przekąska z wódką, kolacja, czyli obiad weselny, tańce przez noc całą. Taki był tok uroczystości weselnych. Przy stole i w powozie na Łukniki ja byłem wyznaczony do towarzyszenia starej pani Potulickiej, z domu Czapskiej, ziemiance spod Telsz. Poczciwa to, zdaje się, kobieta, ale mało rozmowna i wcale nie grzesząca nie tylko wdziękami, ale nawet śladami tychże, a poza tym jeżeli o p. Tomaszu Gorskim, który mi się na ogół bardzo podobał nie tylko z temperamentu, ale i ze swych uczuć w gruncie głęboko krajowych i obywatelskich, pełnych sentymentu Mickiewiczowskiego i na wskroś oryginalnych mimo głęboki konserwatyzm, jeżeli, powiadam, o p. Tomaszu Gorskim mówią, że jest ze swych przekonań człowiekiem przedpotopowym, to o p. hrabinie Potulickiej należałoby chyba powiedzieć, że jest typem kopalnianym z epoki jaskiniowej lub z epoki olbrzymich jaszczurów – tak dalece jej poglądy są archaiczne i nie przewentylowane żadnym zgoła powiewem prądów współczesnych. Wobec takich ludzi nasz p. Jan hr. Przeździecki, a tym bardziej Hektor i Julek Komorowski, którzy przecie mogą się słusznie zaliczać do obozu zachowawczego, wydawać się muszą omalże nie czerwonymi radykałami, a nawet sam biskup O'Rourke, choć umie wyrozumiale milczeć nie przecząc i dyplomatycznie się uśmiechać, słuchając utyskiwań p. Potulickiej, jest co najmniej liberałem i zamaskowanym farmazonem. Widząc takie typy wykopaliskowe w arystokracji na najgłębszej Żmudzi, człowiek się jednak przekonywa, że jest przecie postęp na świecie i że jednak konserwatyzm nowych pokoleń ziemiańskich bardzo się zmodernizował wobec pojęć starszego typu.

12 lipca, rok 1924, sobota
Jeszcze o weselu Julka Komorowskiego z Madzią Gorską. Ano, Julek Komorowski, ten „nieudacznik", który przed wojną uchodził za zwichniętego, bo skończył zaledwie parę klas gimnazjum w Wilnie i musiał być z III klasy odebrany do domu, gdyż się uczyć nie chciał czy nie umiał – wybił się przecie na człowieka, który zresztą pod względem ogłady i wykształcenia nie ustępuje przeciętnemu ziemianinowi, i oto się ożenił „dobrze" z panną z bogatego domu i rodziny arystokratycznej. Pamiętam te czasy sprzed lat kilkunastu – około roku 1908-1909: Julek i Hektor uczyli się w gimnazjum Winogradowa w Wilnie, mieszkali u p. Czyżowej, Pisaniówny z domu. Julek – natura wrażliwa i skomplikowana, z natury inteligentny, ale nie umiejący się skupić i przełamać, niezdolny do pracy ciągłej i systematycznej, do nauki szkolnej – zaczął się zaniedbywać; wychodził z domu, ale nie szedł do gimnazjum, nie uczył się; wykryło się to raptem i Julka miano bodaj wydalić z gimnazjum; Julek ze strachu przed ojcem i ze

wstydu próbował sobie życie odebrać; zatruł się narkotykiem nasennym – weronalem; przez kilka tygodni chorował, jakiś czas był między życiem a śmiercią. Gdy wreszcie wyzdrowiał – nie było już mowy o dalszej nauce. Rodzice zabrali go do domu. Odtąd aż do wojny mieszkał w Kowaliszkach pod ręka Zysia. Zyś go używał do gospodarstwa, ale już Julek był zwichnięty. Jednak czytał dużo, kształcił się po swojemu, studiując to, co go interesowało, bo zresztą umysł miał żywy i wrażliwy. Z wybuchem wojny wstąpił do wojska i był w dywizji swego wuja – generała Dowbora-Muśnickiego – w szeregach rosyjskich, wpierw w charakterze sanitariusza, potem urzędnika intendentury wojskowej – i tak aż do końca wojny. Po powrocie do Kowaliszek po wojnie został w czasie najazdu bolszewickiego w r. 1919 przez bolszewików aresztowany i wywieziony do Rosji w liczbie zakładników z Litwy. Tam się męczył do r. 1920 i wreszcie wrócił przez Polskę do Kowaliszek. Wojna i niewola bolszewicka bardzo go wyrobiły. Poziomem wykształcenia i wyrobieniem umysłowym nie ustępuje bynajmniej przeciętnemu inteligentowi, a nawet pod wielu względami stoi znacznie wyżej nad poziom przeciętny. Ale że do pracy systematycznej nie bardzo się kwalifikuje, więc nie wiem, jak będzie dawał radę na gospodarstwie swojej części w Kowaliszkach. Tam dotąd głową był Hektor, ale teraz bracia się rozdzielili majątkowo nie tylko formalnie, lecz także faktycznie.
Najistotniejszą część zabawy weselnej stanowiły tańce. Co do mnie – nie tańcząc – nudziłem się w nocy, ale młodzież była pełna werwy. Do tańca było kilka par. Z młodych ludzi tancerzy byli: Komorowski Loran (Leon), który był wodzirejem tańców, Hektor Komorowski, dość już ociężały do tańca, Wincenty Komorowski, nie tańczący, Cześ i Władzio Zabiełłowie, synowie Karola Zabiełły z Opitołok, Stanisław Dowgiałło, zwany Stasiunieczkiem, drobny odpowiednio do swego spieszczonego imienia, bardzo zacny i prawy chłopiec, syn ojca potężnych wymiarów – p. Dominika Dowgiałły z Siesik, tym jaskrawszy w swojej miniaturowości, im większy jest kontrast między nim a potężnym fizycznie ojcem, dalej Antoni Gorski, brat panny młodej, Stanisław Zyberk-Plater z Kurtowian, dzielny człowiek, wzorowy gospodarz, sportsmen, doskonały obywatel, choć pełną gębą Polak, Michał Zyberk-Plater, brat stryjeczny Stanisława, i wreszcie Władysław Montwiłł, starzejący kawaler, liczący już 38 lat wieku. Z panien do tańca były: dwie siostrzyczki młode panny młodej Madzi – podlotki jeszcze, Litka Komorowska i Renia Komorowska – także podlotki, Zitka Komorowska, panna Mielżyńska, najpiękniejsza i najciekawsza z panien, starzejąca panna Perkowska, siostrzenica rodzona p. Tomasza Gorskiego i panna Potulicka, też nie pierwszej młodości, córka tej pani Potulickiej, o której pisałem wczoraj, bardzo inteligentna i w poglądach bardzo szeroka i światła, jak niebo od piekła, tak od swej matki w poglądach i horyzontach społecznych różna. Do tańca grał na fortepianie przeważnie p. Jan Przeździecki i trochę p. Władysław Montwiłł.

13 lipca, rok 1924, niedziela
Będąc daleki od życia towarzyskiego (zresztą nigdy bardzo towarzyskim nie byłem, a moje liczne i głębokie nieraz stosunki z ludźmi – w tej liczbie częste w mojej młodości stosuneczki miłości – wolałem zawsze kultywować w obcowaniu wyodrębnionym, niż na szerokim tle towarzyskim), otóż będąc – powiadam – daleki od życia towarzyskiego, rzadko mam okazję do obserwowania ludzi nie w oderwaniu, lecz w ich sferze zbiorowego życia; w szczególności stosuje się to do świata ziemiańskiego. Stykam się z nim prawie wyłącznie w Bohdaniszkach i sąsiedztwie najbliższym Bohdaniszek, a poza tym widuję tylko poszczególne jednostki okazyjnie, w kawiarni, na ulicy lub z okazji jakiegoś interesu. Toteż taka sposobność, jak wesele Julka w Birżynianach, daje mi pole do ciekawych obserwacji. Trafiłem tam w samą śmietankę arystokratyczną naszych

ziemian polsko-litewskich, w grono Komorowskich, Gorskich, Zyberk-Platerów, Przeździeckich, Potulickich, Zabiełłów, Mielżyńskich, O'Rourke'ów, Dowgiałłów, Montwiłłów. Ta śmietanka stanowi osobne społeczeństwo, niemal rodzinę wielką, bardzo ścisłą i karną, wyodrębnioną tu w Litwie tak z ludu i społeczeństwa narodowego litewskiego, jak nawet od masy drobniejszej szlachty ziemiańskiej. Jest ona natomiast jak najściślej związana z wielkim pniem swoim takiegoż społeczeństwa arystokratycznego na dalszych terytoriach Litwy historycznej i Białej Rusi, rozdartych dziś między Polską a Rosją sowiecką. Przewroty polityczne, społeczne i państwowe, które się dokonały na tych ziemiach w ostatnich latach, nie dotknęły bodaj żadnej klasy tak głęboko, boleśnie i tragicznie, jak to właśnie społeczeństwo ziemiańskie najwyższych stopni. Rozdarcie kraju historycznego, stanowiącego dla tego społeczeństwa najbardziej realną jedność, na trzy części, z których z jednej – wschodniej, pozostałej przy Rosji – zostało ono brutalnie i bezwzględnie wyrugowane, w drugiej – litewskiej – zostało najbardziej dotknięte w swoich podstawach materialnych bytu i jest szykanowane i maltretowane na każdym kroku w najdroższych swoich tradycjach i przywiązaniach dziejowych, a wreszcie w trzeciej – wileńsko- i grodzieńsko-polskiej – jest faworyzowane i otaczane troskliwa opieką jako podstawa polonizacyjna dzielnicy – wykoleiło i podeptało ten stary, dziwaczny z pewnością pod wielu względami, ale charakterystyczny i ciekawy kwiat kultury dziejowej kraju. Nic dziwnego, że tu ciąży on bardzo do Wileńszczyzny polskiej, w której wyczuwa najcieplejsze promienie dla swej ekspansji – a każdy przecie kwiat i każdy liść zielony tęskni i wyrywa się do miejsca, w którym słońce nań świeci. W istocie cieplarniane warunki stanowiska społecznego, które tej grupie zapewnia dziś Wileńszczyzna polska, też nie są dla niej społecznie zdrowe, wypaczając ją, demoralizując w kierunku pasożytniczym i nie wróżąc jej bynajmniej trwałego stanowiska. Ale nie może ona nie tęsknić na przykład tutaj do Wileńszczyzny, będąc tu gnębiona ze wszech stron. Niestety – tak się okoliczności złożyły, że ta grupa społeczna chyba zginie jako taka, bo wszędzie jej stanowisko jest nienormalne i nie sprzyjające jej zdrowemu rozwojowi w kształtach dawnych, do których się przystosowała. Swoją drogą szkoda, że Litwa nie potrafiła tej grupy społecznej wyzyskać dla swej państwowości, bo bądź co bądź są w niej charaktery wybitne i jest w gruncie bardzo głęboki pokład przywiązania do kraju i do ludu. Mogła się stąd odrodzić niejedna głęboka tradycja dziejowa.

14 lipca, rok 1924, poniedziałek
Przez czas mego półtoramiesięcznego dyżuru latem w Trybunale – od początku lipca do połowy sierpnia – wyznaczone są tylko dwa posiedzenia sądowe: dziś i jutro. Na te dwa dni przyjechał do Kowna Janulaitis, co daje możność utworzenia kompletu sądzącego. Zasiadaliśmy na posiedzeniu dzisiejszym – Janulaitis w charakterze przewodniczącego, ja i sędzia okręgowy Frydman. Sprawy były cywilne kasacyjne, niektóre dość skomplikowane. Większość zaskarżonych wyroków skasowaliśmy. Wszystkie sprawy referowałem ja. Do godz. 2 skończyliśmy posiedzenie. Pozostaje jeszcze sesja jutrzejsza – a potem aż do moich wakacji sierpniowych więcej już posiedzeń w Trybunale nie mam.
Janulaitis przyjechał do Kowna z zagranicy i jedzie na wypoczynek do Połągi. Był on we Francji i Szwajcarii. W Lyonie wraz z Ignacym Jonynasem przedstawiał Litwę na kongresie Związku Towarzystw Popierania Ligi Narodów. Był też w Paryżu i w imieniu Wielkiego Wschodu Litwy konferował z Wielkim Wschodem Francji o trybie wykonywania naszych stosunków wzajemnych. Powiada, że bracia z francuskiego Grand-Orientu bardzo byli dlań uprzejmi, chętnie z nim mówili (w rozmowach brali udział Wielki Mistrz i Sekretarz Generalny), informowali się o stosunkach litewskich,

ale ostatecznie zaznaczyli, że ten fakt, iż jesteśmy zakonspirowani, czyni ich stosunki regularne z nami dość bezprzedmiotowymi, toteż ściślejszego i ciągłego kontaktu z nami nie przewidują, bo nasze stanowisko zakonspirowane uzdalnia nas właściwie tylko do pełnienia jakichś zadań wewnętrznych, ale nie do akcji międzynarodowej. Janulaitis sam też podziela ten pogląd.

15 lipca, rok 1924, wtorek
Podług nowej ustawy, wydanej w czerwcu, do kompletu sądzącego w sądach okręgowych i Trybunale Najwyższym mogą być w razie potrzeby powoływani – na poszczególne posiedzenia – adwokacji przysięgli. Sąd Okręgowy w Kownie, który ma ogromne zaległości i musi intensywnie pracować, szeroko już korzysta z tej możności. W Trybunale w czerwcu raz zasiadał także adwokat Cymkowski. Z tej ustawy skorzystałem też na posiedzenie dzisiejsze. Sąd okręgowy bowiem, do któregom się był zwrócił z prośbą o wyznaczenie jednego ze swych sędziów na to posiedzenie, zawiadomił mię, że nie ma na dzień dzisiejszy ani jednego sędziego rozporządzalnego. A że jesteśmy we dwoje i Janulaitisem, więc się bez trzeciego do kompletu obejść nie możemy. Zwróciłem się więc do Rady Adwokackiej, by wyznaczyła jednego z adwokatów. Rada wyznaczyła Kalnietisa. Tak więc oto Kalnietis, którego nominacja do Trybunału przed dwoma laty wywołała protest z mojej i Janulaitisa strony, na skutek którego on się sam cofnął, obecnie, chociaż tylko przygodnie na raz jeden, zasiadł w Trybunale właśnie ze mną i Janulaitisem. Wyznaczyłem Kalnietisowi część spraw do referowania, spychając je z siebie. Mieliśmy z Janulaitisem możność obserwowania Kalnietisa w czynności sędziowskiej. Słaby jest, choć się do spraw starannie przygotował i starał się dostosowywać do nas z Janulaitisem, by nasze względy dla swej umiejętności zaskarbić.

16 lipca, rok 1924, środa
Zdarza mi się za kilka dni okazja pojechania do Kłajpedy. Od 24 do 26 bieżącego miesiąca mają się odbyć w Kłajpedzie posiedzenia Trybunału. Na posiedzeniach Trybunału do spraw kłajpedzkich muszą zasiadać z urzędu sędziowie Kłajpedczycy – to znaczy Plümicke i Hesse (ewentualnie jednego z nich może zastępować ktoś z magistratury sądowej kłajpedzkiej), trzecim zaś do kompletu sądzącego jest przez ogólne zebranie Trybunału wyznaczony Janulaitis. W myśl uchwały Trybunału, Janulaitisa może zastąpić inny sędzia Trybunału, wyznaczony przez prezesa. Otóż Janulaitis wyjeżdża do Połągi i nie chce się stamtąd podczas swoich wakacji ruszać. Chętnie się zgodziłem zastąpić go w Kłajpedzie, toteż Janulaitis w zastępstwie prezesa wyznaczył mię do zastąpienia go w tej czynności. Wprawdzie z powodu posiedzeń sądowych będę musiał te trzy dni – 24, 25 i 26-go – przesiedzieć w samej Kłajpedzie, to jednak postaram się tak urządzić, żeby wyjechać z Kowna trochę wcześniej i jakiś dzionek ukraść dla Juodkrantisu. Nie wiem tylko, czy mi się uda przejechać się do Kłajpedy lub z Kłajpedy do Kowna statkiem po Niemnie; statek kursuje, ale zdaje się, że tylko raz na tydzień, więc nie wiadomo, czy dzień wypadnie właściwy.
Chodziłem znowu do Departamentu Policji w sprawie pozwolenia Stefanowi Mieczkowskiemu na przyjazd. Biedna Elwira bardzo zaniepokojona tą kwestią. Boi się, żeby nie odmówiono, a uważa przyjazd Stefana za konieczny, bo sama nie da sobie rady w gospodarstwie i dozorowaniu dzieci. Przyjazd więc męża uważa po prostu za zbawienie. Sam Stefan Mieczkowski też się już niecierpliwi. Zerwał się już z posady u Mieczysia Bohdanowicza w Obodowcach, żeby przyjechać do Bohdaniszek i dotąd pozwolenia tego nie ma. Piszą mi z Bohdaniszek, że była wiadomość od Stefana Mieczkowskiego, iż 15 bieżącego miesiąca (więc wczoraj) przyjeżdża do Subocza

łotewskiego na granicy litewskiej i tu będzie czekał na załatwienie sprawy wjazdu do Litwy. W Departamencie Policji dowiedziałem się, że jeszcze z Ministerium Spraw Zagranicznych podania mego nie zwrócono, ale urzędnik, który ze mną mówił (mój słuchacz z uniwersytetu), telefonował przy mnie do Jonynasa, który przyrzekł rzecz tę szybko załatwić. Jestem więc dobrej myśli. Jednak jutro osobiście do Jonynasa się udam.
Dalszy ciąg statutu W. Wschodu Litwy:
48. Brat, wybrany do prezydium, może zrzec się swego obowiązku tylko za zgodą loży.
Rozdział V. O kandydatach i przyjęciu ich w poczet braci Wielkiego Wschodu Litwy.
49. Kandydat na posiedzeniu zwyczajnym loży może zgłosić kandydaturę jakiej bądź osoby do loży; zgłaszając kandydaturę, powinien zakomunikować braciom wszystko, co mu jest o tej osobie wiadome.
50. Po wymianie między braćmi zdań o zgłoszonej osobie kandydata brat przewodniczący zarządza głosowanie; jeżeli choć jeden głos jest przeciw – kandydatura upada.
C.d.n.

17 lipca, rok 1924, czwartek
W sprawie Stefana Mieczkowskiego wszystko jest już na dobrej drodze i bodajże już załatwione. Sam byłem u Jinynasa, który zarządza sprawami wileńskimi w Ministerium Spraw Zagranicznych. Choć Jonynas mówił, że trzeba jeszcze otrzymać sankcję ministra, ale na moją instancję sam na własną odpowiedzialność napisał na moim podaniu rezolucję przychylną i obiecał odesłać zaraz papiery do Departamentu Policji. Wkrótce potem telefonował mi do Trybunału Danowski komunikując, że rzecz jest załatwiona i że konsulowi litewskiemu w Dyneburgu posłano polecenie wydania Stefanowi, gdy się zgłosi, przepustki na wjazd do Litwy przez Abele. Zakomunikowałem zaraz tę dobrą nowinę Elwirze, aby się ucieszyła i uspokoiła. Jutro lub pojutrze zajdę jeszcze do Departamentu Policji dla poinformowania się dokładnego o szczegółach wymaganych formalności wjazdu.
Z listu Maryni z Bohdaniszek dowiaduję się, że Stefan Römer, jej syn, oświadczył się o rękę Marychny Wasilewskiej, córki Brunona, ex-dziedzica sprzedanych obecnie przez jego żonę Norwidyszek. Spodziewałem się tego, bo na św. Piotr widziałem w Gaczanach, jakimi uczuciami Stefan pałał do Marychny, która jest bardzo ładną dziewczyną, choć liczy dopiero 17 lat. Zresztą Stefan Römer ma serce szerokie i zakochuje się bardzo łatwo. Przed rokiem spowiadał mi się z gorącej miłości do panny Marii Narbutówny, ex-nauczycielki dzieci Elwiry. Biedak Stefan, jak było do przewidzenia, dostał od matki panny rekuzę. Nic dziwnego: dziewczynka jest bardzo młoda, Stefan nic nie skończył, nie ma żadnego stanowiska, pracować nie umie, przeszłość ma brzydką, pełną drobnych kradzieży i szelmostw, o której wszyscy wiedzą, poza tym jest podejrzenie, że był chory na syfilis, czemu zresztą on przeczy.
Dalszy ciąg ze statutu Wielkiego Wschodu Litwy:
51. Po uznaniu jednogłośnie danej osoby za kandydata loża wyznacza niezwłocznie brata polecającego i dwóch braci śledczych, brat zaś venerable w drodze kontaktu z braćmi venerable'ami innych lóż (art. 41), sprawdza, czy kandydat nie jest już bratem innej loży Wielkiego wschodu Litwy i gdyby się okazało, że jest, to obowiązany jest przy następnym głosowaniu nad kandydatura głosować przeciwko niej.
52. Zadaniem braci śledczych jest zebranie wszelkich użytecznych informacji o kandydacie, zwłaszcza co do jego kwalifikacji ze stanowiska celów ogólnych Wielkiego Wschodu Litwy, określonych w art. 3 i 4, ewentualnie też zapoznanie się osobiste z kandydatem dla otrzymania wrażenia bezpośredniego; na jednym z najbliższych

posiedzeń loży – ile możności na następnym – bracia śledczy udzielają loży sprawozdania z rezultatów dokonania czynności śledczej.
C.d.n.

18 lipca, rok 1924, piątek
W moim samotnym i pracowitym życiu domowym na Zielonej Górze, które płynie równo i monotonnie poza tą częścią dnia, jaką spędzam na mieście, i które jest urozmaicone li tylko obcowaniem z moją służącą Jadzią, kochającą się we mnie zmysłowo, jest rzeczą rzadką, że mię ktoś odwiedza. Nikt ze znajomych i przyjaciół moich nie fatyguje się do mnie na Zieloną Górę. Tylko ludzie przyjezdni zaglądają tu czasem i to najczęściej wtedy tylko, gdy mają do mnie jakiś pilny interes i gdy dla tej lub innej przyczyny nie zdołali lub nie zdążyli złapać mię na mieście – w Trybunale. Dziś były aż dwa takie wyjątki: był u mnie Józef Petrulis z Rakiszek i był p. Adrian Mazarski. I jeden, i drugi zabawił u mnie po jakichś parę godzin. Choć mię takie wizyty odrywają od pracy i bywają czasem wcale niemiłe, gdy trwają długo, jednak stanowią one bądź co bądź pewną rozrywkę, a latem, gdy pracy mniej – nie szkodzą.

19 lipca, rok 1924, sobota
W Departamencie Policji, w którym referentem akurat tych spraw, do których należą pozwolenia Wilnianom na przyjazd do Litwy, legalizacja wątpliwych obywateli itp., jest młody Olechnowicz, student prawa V semestru – mój były słuchacz, Wilnianin, były sekretarz Michała Biržiški w r. 1919 czy 1920 w Wilnie, który ratował w tym czasie Helę Ochenkowską od represji bolszewickich, dano mi na ręce papier urzędowy z Ministerium Spraw Zagranicznych, stwierdzający zezwolenie na wjazd Stefana Mieczkowskiego do Litwy, wraz z dopiskiem Departamentu policji, określającym termin trzymiesięczny pobytu Stefana w Litwie. Dzięki uprzejmości Olechnowicza mam więc dla Stefana ten cenny papier, który mu da możność otrzymania wjazdu bez ewentualnego pokazywania konsulowi litewskiemu w Dyneburgu paszportu polskiego, co mogłoby potem wielce utrudnić uzyskanie dlań obywatelstwa litewskiego. Wkrótce więc zapewne Stefan Mieczkowski zawita do Bohdaniszek. Kto wie, czy zainstaluje się on w Bohdaniszkach na stałe. Zdaje się, że Elwira tego życzy, a zapewne i Stefan jak klapnie, to już zechce siedzieć. Wprawdzie na małej zaściankowej schedzie Elwiry Stefan wielkiego pola do pracy mieć nie będzie, a kto wie, czy nawet przy najstaranniejszym gospodarzeniu będzie mógł mieć jakieś wystarczające dochody na kształcenie dzieci i ewentualne kurowanie Helci, to jednak być może, że po rozejrzeniu się znajdzie tu jakieś inne zarobki. Elwira na to głównie liczy. W jesieni wypadnie więc zapewne robić w sprawie Stefana nowe starania – o pozostanie jego w Litwie i może o obywatelstwo litewskie. Zdaje się, że Elwira będzie chciała, abyśmy my z Marynią oddali tez Stefanowi nasze schedy w dzierżawę. Co do mnie, nie bardzo bym tego życzył, bo Mieczkowski jest chciwy i będzie eksploatował nasze schedy w dzierżawie rabunkowo. Boję się przynajmniej tego. Oto więc dom bohdaniski po trosze coraz bardziej się zaludnia i opierza trybem rodzinnym. Dla Elwiry, a może i dal samych Bohdaniszek jest zapewne lepiej, że Mieczkowski tam zamieszka, ale milej to dla mnie nie jest. Bądź co bądź Stefan Mieczkowski jest dla mnie elementem obcym, który mię trochę razić będzie w Bohdaniszkach. Muszę też wyznać, że jego przyjazd pod jednym też w szczególności względem jest dla mnie przykry: oto bardzo kocham Andrzeja, Elwiry i Stefana synka, który też niezmiernie jest przywiązany do mnie i obecnie o wiele bardziej mię kocha, niż ojca, którego ledwie pamięta i z którym nie łączą go te żywe ciągłe więzy, co ze mną. Oczywiście teraz ojciec odzyszcze serce dziecka, które się przez to oderwie trochę ode mnie. Nie chcę czynić konkurencji ojcu i uznaję w

zupełności jego prawa do serca syna, ale swoją drogą szkoda mi tego stosunku, który się odtąd zapewne zmieni. Poza tym żal mi kochanego subtelnego Andrzeja na wpływ Stefana, który jest tak mało subtelny i taki w swoich poglądach i swojej mądrości życiowej gruboskórny i trywialny. Co do mnie, pośpieszę zbudować sobie domek osobny w Bohdaniszkach i stanąć na odrębnym własnym gruncie.

20 lipca, rok 1924, niedziela
Na zaproszenie mojej starej koleżanki paryskiej p. Marii Micewiczówny-Masalskiej zrobiłem do niej małą wycieczkę za miasto – do Romajń. O godz. 9 rano pojechałem parostatkiem do Werszw, stamtąd – pieszo. Bardzo przyjemnie s pędziłem z p. Marią dzień na gawędce i wieczorkiem wróciłem pieszo do Kowna. P. Maria Micewiczówna, obecna pani Masalska, wróciła świeżo – przed dziesięciu dniami – z Polski (spędza ona zawsze półrocze zimowo-wiosenne w Polsce, półrocze zaś letnio-jesienne w Litwie w swoich Romajniach dla intraty z folwarku). Ma ona brata na Podkarpaciu w Galicji Wschodniej – gdzieś koło Nadwórny, zajętego przy eksploatacji nafty, męża ma w Wileńszczyźnie, dzierżawiącego tam jakiś mająteczek, ma poza tym bliskich znajomych w Poznaniu i różnych częściach Polski. Toteż czas spędzany w Polsce dzieli między różne części kraju. Stąd ma bardzo dużo ciekawego do opowiadania, a że jest inteligentna i spostrzegawcza, więc rozmowa z nią jest wielce interesującą. Opowiadała mi ona o ciężkich stosunkach pieniężnych w Polsce w związku z ustanowieniem statecznej waluty złotej, co zresztą ze wszystkich stron od ludzi, mających kontakt z Polską, słychać. Mówiła też o Piłsudskim, zwracała uwagę na ten ciekawy i niespodziewany fakt, że z chwilą usunięcia się Piłsudskiego ze stanowiska Naczelnika Państwa i wycofania się z życia publicznego Piłsudski zupełnie zmalał i został prawie że zapomniany. Zaiste, w pierwszych latach Niepodległości Polski Piłsudski był taką w Polsce potęgą, że mogło się zdawać, iż się w nim jeżeli nie cała Polska, to jej część znakomita, nie idąca za sztandarem endecji, po prostu streszcza; zdawało się, że Piłsudski ma taki w Polsce „rząd dusz”, że za jego wolą i rozkazem będzie szło całe mrowie, które skądinąd bez niego byłoby jak tułów bez głowy. Piłsudski ustąpił – i dziś o nim w Polsce prawie nie słychać. Przeciwko rządom endeckim jest opozycja czynników, które dawniej były imieniem Piłsudskiego jednoczone. Dziś one działają, mają swoich wodzów, a Piłsudski jest w cieniu. Niesłychana popularność Piłsudskiego, która mu towarzyszyła do niedawna i która przestraszała endecję, rozwiała się i pozostała może jako pewna tradycja, ale nie jako rzecz żywa i warunkująca czyn. Ciekawe też rzeczy opowiadała mi p. Maria o usposobieniu Kaszubów na Pomorzu. Okazuje się, że jest ono zupełnie takim samym, jakim jest usposobienie ogromnej większości chłopów Litwinów w okręgu Kłajpedy: Kaszubów nie nazbyt wzrusza państwo narodowe polskie – tęsknią oni do Niemiec i wola tryb organizacji państwowej niemieckiej, niż tryb państwowości polskiej.

21 lipca, rok 1924, poniedziałek
Mam niespodziankę. Zawitał do mnie mój przyjaciel z Wilna – dr Adolf Narkiewicz. Narkiewicz ma mały folwark dziedziczny na Żmudzi w okolicy Taurog, liczący około 30-40 ha ziemi, do którego jest bardzo przywiązany. Przyjechał właśnie w sprawach tego folwarku. Dzięki swoim stosunkom z Litwinami w Wilnie otrzymał on od władz litewskich pozwolenie na przyjazd czasowy do Litwy, był w swoim folwarku i teraz zajechał do Kowna, aby już stąd via Łotwa wracać do Wilna. Ożenił się on niedawno z wdową Wojtkiewiczową, Umiastowską z domu (z Umiastowskich wileńskich, siostrą rodzoną dr Witolda i Franciszka Umiastowskich, którzy za młodu brali czynny udział w ruchu białoruskim i w których procesie politycznym około r. 1909 ja osobiście bardzo

dużo pracy i starań w ich obronie kładłem). Narkiewicz zamierza ewentualnie w roku przyszłym przyjechać zamieszkać na stałe w Litwie w swoim folwarczku, łącząc gospodarkę z praktyka lekarską. Odważył się tu przyjechać, mimo że służył wojskowo w Polsce jako lekarz wojenny i że służył w tym charakterze za Żeligowskiego w Wilnie. Gdyby się ta jego służba tutaj ujawniła, ulegałby on odpowiedzialności karnej, grożącej mu co najmniej dwoma latami ciężkiego więzienia i oprócz tego konfiskatą folwarku. Ale jakoś nikt go tu nie zaczepił. Co prawda, Narkiewicz, choć jest Polakiem patriotą, ma bardzo duże czucie krajowe i należy do tych, co sprzyjają gorąco zjednoczeniu Litwy i co pragną żywego kontaktu tak z Litwinami, jak z Białorusinami. Ale formalnie te jego sympatie nic nie zagładziłyby jego przestępstwa „służby dobrowolnej w wojsku nieprzyjacielskim", gdyby mu o to proces wytoczono.
Byłem rad serdecznie z wizyty Narkiewicza, który zalokował się u mnie. Gawędziliśmy przez cały wieczór do późna w noc. Mamy z Narkiewiczem całe mnóstwo wspólnych znajomych i przyjaciół w Wilnie, bo należy on do tych samych kół demokratycznych wileńskich, do których należy większość moich dawnych przyjaciół i z którymi łączył mię przez długi szereg lat bardzo bliski stosunek współpracy. Opowiadał mi on o Witoldzie Abramowiczu, Krzyżanowskim, Bagińskim, Zasztowcie itd., itd. Rozmowa budziła we mnie tęsknotę do wielu ludzi kochanych, do wielu wspomnień dawnych, oprócz tego dała mi bardzo dużo wiadomości o stosunkach wileńskich i o sytuacji politycznej w Polsce. Ciekawe, że z tych opowiadań uwydatnia się głęboko odrębny charakter układu stosunków w Wilnie od takiegoż układu w Polsce. Sprawa litewska i zwłaszcza białoruska nie jest w państwowo-polskim Wilnie wcale rzeczą podrzędną. Słuchając relacji z ust niewątpliwie polskich odnoszę wrażenie, że sprawy narodowościowe i w szczególności białoruska nigdy dawniej za czasów rosyjskich nie miały w Wileńszczyźnie tej wagi, jaką mają obecnie, mimo że Wilno należy przecie formalnie do Polski. To mię cieszy, bo widzę, że Wilno pozostaje nadal wielkim problemem krajowym, jednym z kluczy problemu naszego i że nie dało się ono przetrawić Polsce na zaścianek prowincjonalny. Przez to samo sprawa ziem wileńskich nie jest bynajmniej przesądzona. Jest ona wielkim zagadnieniem dziejowym, które dopiero dojrzewa do rozwiązań, od których zależne będą w dużej mierze losy Litwy i Białej Rusi.

22 lipca, rok 1924, wtorek
Wieczorem pokazywałem trochę Narkiewiczowi Kowno. Zaprowadziłem go do Muzeum Wojennego (Karo Muziejus) na uroczystość spuszczania sztandarów. Podniosły i oryginalny ceremoniał tej pięknej uroczystości podobał się Narkiewiczowi, jak również zewnętrzny wygląd ogródka przy muzeum, ozdobionego pomnikami Basanowicza i ofiar walki o niepodległość, krzyżami zdobnymi litewskimi itd. oraz ożywionego ślicznym doborem róż. Potem byliśmy z Narkiewiczem i Herbaczewskim na kolacji w restauracji „Wersal". Narkiewicz i Herbaczewski nie bardzo się sobie, jak mi się zdaje, podobali. Bądź co bądź, na Narkiewiczu, choć on w Wilnie wśród Polaków tamecznych reprezentuje kierunek najbardziej krajowy i pojednawczy względem Litwinów i Białorusinów, znać wpływ państwowości polskiej, zacierającej stopniowo zmysł odrębności krajowej. Ta ostatnia przeradza się już tylko w jakąś dzielnicowość, która nie ma cech równorzędności państwowej. Jeżeli takie jest działanie państwowości polskiej na ludzi jak Narkiewicz, to cóż dopiero mówić o zdecydowanych narodowcach polskich. Cała rzecz, że prócz Polaków są tam Litwini i zwłaszcza Białorusini. Ale mnie jest smutno, że zanika pierwiastek polski krajowy i że niepodległość oraz całość Litwy może się uiścić tylko przeciwko pierwiastkowi polskiemu.

23 lipca, rok 1924, środa
Jadę do Kłajpedy na dni kilka – na posiedzenia Trybunału w zastępstwie Janulaitisa, bawiącego na urlopie. Jednocześnie wyjeżdża do Rygi w powrocie do Wilna Adolf Narkiewicz. Liczyliśmy, że pojedziemy z nim aż do Szawel tym samym pociągiem. Po kilku leciech niewidzenia się i przy tak utrudnionych i przeto rzadkich stosunkach z Wilnianami, w których liczbie mam tylu przyjaciół, chciałoby się jak najwięcej wyzyskać czasu na gawędkę. Chociešmy się dużo z Narkiewiczem nagadali, to tego jeszcze wcale nie za dużo. Toteż żałowaliśmy obaj, gdyśmy się na dworcu kolejowym dowiedzieli, że musimy jechać różnymi pociągami. Odprowadzał nas – a właściwie Narkiewicza – na dworzec Bolesław Stadziewicz, także Wilnianin, tęskniący w Kownie jak ptak w klatce. Byliśmy trzej razem – trzej bracia jednej rasy psychicznej, pełnej dziś rozterki i ginącej, pochłanianej forsownie bądź przez Litwinów, bądź przez Polaków. Rasa to nie krwi, ale kultury i psychiki, ogarniająca tak umysłowość, jak charakter, rasa bezimienna, nieświadoma swojej indywidualności, a jeżeli nawet w poszczególnych swych przedstawicielach świadoma i wyczuwająca swoją odrębność, to nie pragnąca jednak ja kultywować lub nie wierząca w przyszłość odrębną własną, a stąd w tym najistotniejszym zagadnieniu bytu – w dążeniu do konserwacji swojej – bierna i skazana bodaj na zagładę. Dawniej zwała się ona powszechnie imieniem Litwinów, czasem z podgatunkiem Rusinów na Białej Rusi, dziś, gdy Litwini, a za nimi i Białorusini, skonstruowali się w naród, oparty na ścisłym pierwiastku etnicznym i językowym litewskim, względnie białoruskim, monopolizując imię sobie, ta stara rasa krajowców, łączących podłoże psychiczne litewskie (względnie białoruskie lub litewsko-białoruskie) z mową i kulturą polską w odrębny swoisty zespół kulturalny, wyzuta z dawnego imienia – nie wie sama, kim jest i kim być powinna i – ginie. Imię własne – to wielka rzecz. Dziś niektórzy nazywają ją „Polakami litewskimi", niektórzy (nieboszczyk Jerzy Dowiatt) próbują określać ją mianem „Starolitwinów", a jej dzieci, jak owce rozproszone, rozleciały się w różne strony, próbując zlać się to z Litwinami, to z Polakami... A jest to przecie rasa nie lada, rasa, która wydała Adama Mickiewicza i Tadeusza Kościuszkę, rasa, która wydaje jeszcze epigonów wielkich, choć już zbłąkanych i rzucających się na oślep w rozmaite ścieżki wielkiej myśli i wielkiego czynu bez własnego wszakże sztandaru, a przeto służących już tylko wrogom jej idei własnej i jej tradycji dziejowej – mówię o Józefa Piłsudskiego wielkiej i tragicznej postaci ... naszej. Byliśmy trzej – Bolesław Stadziewicz, Adolf Narkiewicz i ja. Trzej jednego rodu psychicznego, a każdy trochę różny – trzej jakby symbolizujący tragizm roztrojenia i upadku naszej rasy: Stadziewicz, który się nazwał Litwinem, ja, który stanąłem w połowie drogi między Litwą a Polską, jak most, może najbliższy naszej tradycji dziejowej, i Narkiewicz, który się nazwał Polakiem. A jednak spotkawszy się we trzech – czuliśmy się braćmi jednego gniazda, bliżsi sobie, niż Litwinom i Polakom, do których się ten lub ów z nas przygarnął, odrębni od jednych i drugich, bliscy jednak tak jednym, jak drugim, a dopiero najbliżsi sobie. Oto „Litwin" Stadziewicz – „Polak" Narkiewicz – i ja – lepiej siebie rozumiemy i łatwiej się ze sobą psychicznie komunikujemy, niż „Litwin" Stadziewicz z Litwinami, a „Polak" Narkiewicz z Polakami. I jak „Litwin" Stadziewicz, wygnany z Wilna przez Polaków, nie potrafi z Litwinami nienawidzić Polski, która mu jest bliską, tak „Polak" Narkiewicz nie potrafi z Polakami nienawidzić Litwy, którą przecie wyczuwa sercem bliską, a o mnie – co do mojej niezdolności nienawidzenia bądź Litwy, bądź Polski – nie ma nawet co mówić.

24 lipca, rok 1924, czwartek

Rano przyjechałem do Kłajpedy i wprost z dworca udałem się do gmachu sądowego na posiedzenie. Sędziowie Plümicke i Hesse już mię czekali. Spodziewali się oni zresztą przyjazdu Janulaitisa, nie zaś mojego, ale formalnie to różnicy nie robi. Natychmiast też rozpoczęliśmy urzędowanie. Boże! Co za nuda i jednocześnie co za głupia sytuacja moja! Z urzędu mnie wypada przewodniczyć, bo jestem datą nominacji do Trybunału starszy od Plümickego i od Hessego. Bez żadnych też zastrzeżeń mnie przewodniczenie oddane zostało. Ale doprawdy jestem tu tylko malowanym przewodniczącym, bo zarówno słaba umiejętność języka niemieckiego, jak nieświadomość procedury i kodeksu działających w Kłajpedzie pozbawia mię zupełnie możności efektywnego przewodniczenia. Toteż przewodniczenie moje polega wyłącznie na tym, że siedzę na zaszczytnym miejscu i że podczas wchodzenia lub wychodzenia sądu na salę lub z sali – ja idę pierwszy i dopiero Plümicke i Hesse za mną. W istocie jednak nie odzywam się wcale i nie kieruję rozprawą sądową. Czyni to za mnie ten z sędziów, który referuje sprawę. Nie mogę kierować rozprawą, bo, po pierwsze, nie znając procedury, nie bardzo wiem, co i w jakim trybie trzeba robić, a po wtóre, nie odważam się odzywać publicznie po niemiecku, bo byłoby to parodią języka. Nie jestem też w stanie, słuchając referatu sędziów i rozpraw stron, uchwycić dokładnie wątek sprawy, toteż i na naradzie sędziowskiej moja obecność jest zupełnie jałowa. Decydują więc Hesse i Plümicke sami. A rozprawy toczą się tu wyłącznie po niemiecku, jak po niemiecku też są wyłącznie pisane akta. Sędziowie tu – i nie tylko ci dwaj nasi, Plümicke i Hesse, ale wszyscy sędziowie w Kłajpedzie, a także adwokaci – są wyłącznie Niemcy i żaden z nich ani słowa po litewsku nie umie. Przepis o równorzędności języków urzędowych w Kłajpedzie – litewskiego i niemieckiego – jest tu w ogóle, a już zwłaszcza w sądownictwie, literą martwą na papierze, której żadna rzeczywistość nie odpowiada. W ogóle zresztą było tu dotąd zjawiskiem powszechnym, że nie tylko prawnicy, ale wszelka inteligencja zawodowa za bardzo małymi wyjątkami była i jest niemiecką, nawet przeważnie napływową, litewskim zaś jest tylko lud wiejski – rolnicy i w bardzo małym stopniu robotnicy miejscy lub rzemieślnicy. A nawet te nieliczne wyjątki w inteligencji, które są pochodzenia litewskiego – najliczniej się one prezentują wśród pastorów – są całkowicie zniemczone i w gorliwości germanizacyjnej nie ustępują, jeżeli nie przerastają Niemców. Nasi sędziowie Plümicke i Hesse są obaj Niemcami, Hesse – bodaj z Bawarii rodem, Plümicke – Prusak, ale nie miejscowy (posądzam, czy nie jest on czasem z Mazurów pruskich i czy jego nazwisko obecne, które się wymawia teraz „Plümicke", nie pochodzi od polskiego „Plumicki" lub coś w tym rodzaju). W całym sądzie tutaj jedyny tylko z sekretarzy Gelčius jest rodowitym Litwinem, mówiącym już zresztą lepiej po niemiecku niż po litewsku, a nazwisko jego w transkrypcji niemieckiej pisze się charakterystycznie „Geltschus". A przecie większość stron, które uczestniczą w rozpoznawanych sprawach, jak sądzić można niechybnie z brzmienia nazwisk, należy do Litwinów rdzennych. Oto dla próbki spis nazwisk w sprawach wokandy dzisiejszej.

Nazwiska w pisowni niemieckiej:	Jak być powinno po litewsku:
1. Schwillus – Einars.	1. Švilius – Einars.
2. Kattuschies – idem.	2. Katušys – idem.
3. Tareilus – Funkat.	3. Tarėlis – Funkaitis albo Punkaitis.
4. Schröder – Hirschberg.	4. nazwiska czysto niemieckie.
5. Mickeleit – Naujoks.	5. Mikėlaitis – Naujoks albo Naujokas.
6. Jacksteidt – idem.	6. Jakštaitis – idem.
7. Schakinnis – idem.	7. Šakėnis albo Šakinis – idem.
8. Jagschas – Baitis.	8. Jakšas – Baitis.
9. Stolz – idem.	9. nazwiska czysto niemieckie.

10. Nelaimischkies – Friedman.	10. Nelaimiškys – nazwisko niemieckie.
11. Mattuttis – Gelszinnis.	11. Matutis – Gelžinis.
12. Lewin und Siratzky – Landau.	12. Nazwiska niemiecko-słowiańsko-żydowskie.
13. Smilgies – Mikschas.	13. Smilgys – Mikšas.

Nikt z tych uczestników procesu, choć dużo jest w ich liczbie rdzennych Litwinów, ani myśli żądać języka litewskiego. Wszyscy mówią na sądzie po niemiecku i wydaje się im to zupełnie naturalne, raczej zdziwiłoby ich wielce, gdyby na sądzie mógł się rozlegać język litewski. Sąd niemiecki – to rzecz, która się sama przez się rozumie, a sąd litewski wydałby się im zapewne czymś niepoważnym, jak szopka. Swoją drogą, godzi się zaznaczyć, że Niemcy w transkrypcji niemieckiej nazwisk litewskich są bardziej wrażliwi na fonetykę litewską, niż np. Polacy: tak np. Niemcy rozróżniają litewską końcówkę nazwiska na „ys” („i” długie), którą piszą po niemiecku „ies”. od końcówki „is” („i” krótkie), którą piszą bez zmiany, podczas gdy Polacy, którzy nie znają akcentu na ostatniej sylabie, piszą po polsku litewskie „ys” i „is” jednostajnie – mianowicie zawsze „is”. To tylko przykład, ale takich dałoby się dużo więcej stwierdzić.

25 lipca, rok 1924, piątek

Dzisiejsze posiedzenie Trybunału w Kłajpedzie trwało krócej niż wczorajsze, a zważywszy, że większość spraw odracza się tu na każdym posiedzeniu dla rozmaitych przyczyn okolicznościowych, posiedzenie byłoby się skończyło znacznie wcześniej, gdyby sędziowie Plümicke i Hesse nie byli tak marudni i drobiazgowo rozwlekli w prowadzeniu sprawy – w szczególności w referowaniu, w pedantycznym ustalaniu każdego szczegółu i w niewyczerpanym omawianiu sprawy z adwokatami i stronami. Pod tym względem tak ustawa procesowa, jak praktyka sądowa niemiecka różni się wielce od naszej, zapożyczonej od Rosji. U nas proces jest ściśle dialektyczny – cała niemal inicjatywa i ryzyko należy do stron, które się ubiegają przed sądem jak dwa koguty przed kurą, sąd zaś jest bierny – słucha i decyduje. Zwłaszcza starsze pokolenie sędziów naszych, wychowane na klasycznych tradycjach reformy sądowej rosyjskiej z 60-tych lat ubiegłego stulecia, bardzo starannie przestrzega tej bierności sztywnej sądu i uważa za niedopuszczalne wtrącanie się sędziów w bieg sprawy lub ujawnianie jakiejkolwiek wrażliwości na wywody stron, zanim wyrok będzie wydany. Wskutek tego strony u nas muszą same sobie radzić, nie licząc na pomoc i wskazówki sądu, a wyrok jest dla nich wypadkiem losowym – sentencją sfinksa, która się im staje zrozumiała dopiero po odczytaniu motywów wyroku. Sąd słucha – ani aprobuje, ani dezaprobuje – i dopiero w wyroku wyrzeka słowo, które często spada jak grom z jasnego nieba. Dla naszego ludu jest coś kabalistycznego w wyrokach sądu, działającego tą metodą. Tu jest inaczej. Tu sąd wdaje się w dyskusję ze stronami, obcuje z nimi swobodniej, udziela wskazówek, tłumaczy, wyraża swoje wątpliwości i przypuszczenia, a jednocześnie proces udziela sądowi bardzo dużo nieznanych u nas środków, skierowanych do ujawnienia prawdy materialnej. Toteż cały tok sprawy staje się tu bardziej zrozumiały dla stron; tak same strony, jak adwokaci mają możność orientowania się w toku procesu myślowego sędziów i oddziaływania nań rozporządzalnymi argumentami, a wyrok nie jest gromem z jasnego nieba, nie jest sentencją starannie ukrywanej od stron myśli sędziów, jeno logiczną konsekwencją debat, w których sąd się także wypowiada. Ma to niewątpliwie dobre strony, bo wyrok jest bardziej zrozumiały dla zainteresowanych, a przecie wymiar sprawiedliwości wtedy dopiero osiąga sukces i jest społecznie twórczy, gdy strony rozumieją, dlaczego musiał on być taki, a nie inny. W przeciwnym razie lud uważa wyroki sądowe nie za wymiar

sprawiedliwości, jeno za łaskę i niełaskę sędziów, za jakiś wynik loterii losowej. Ale system niemiecki, który się w Kłajpedzie praktykuje, ma za to tę niedogodność, że rozwija pedanterię sędziów, do której skądinąd Niemcy są w ogóle skłonni. Trudno się zdobyć na cierpliwość, by usiedzieć spokojnie, gdy Plümicke i Hesse zgłębiają z adwokatami sprawę i w kółko bez końca żują, przeżuwają i przetrawiają wszystkie szczegóły i szczególiki, gdy już wszystko zdaje się być od dawna jasne i gotowe. Aż mię diabli biorą, gdy w ten sposób najprostsza rzecz się wałkuje do nieskończoności. I były prezes Sądu Okręgowego w Kownie Mačys – klasyczny maruda – i nasz sędzia Čepas, który też ma szczególne do pedanterii drobiazgowej upodobanie, są niczym w porównaniu do Plümicke i Hessego. Muszę zresztą przyznać tym sędziom Kłajpedczykom wielką sumienność w pełnieniu obowiązku sędziowskiego, ogromną staranność i dużą rutynę fachową. Są też oni bardzo biegłymi prawnikami – bodaj szczególnie Hesse. Swoją drogą, choć się na tej sesji wynudzę znakomicie – a nudzę się tym bardziej, że nie wszystko ze względu na język rozumiem i że sam z tego względu nie mogę pracować czynnie z Plümickem i Hessem – i że choć z rozpaczą myślę o torturze takich nudów dnia jutrzejszego, jednak rad jestem, że tu przyjechałem na sesję, bo mam okazję do ciekawej obserwacji i dużo się nauczę.
Posiedzenie dzisiejsze skończyło się – bez przerwy obiadowej – o godz. czwartej po południu. Dało mi to jeszcze możność zrobienia po obiedzie krótkiej wycieczki do Sandkrug nad morze.

26 lipca, rok 1924, sobota
Zdawało się, że dziś posiedzenie zaciągnie się do nieskończoności. Do pierwszej po południu były rozpoznane zaledwie cztery sprawy, a na wokandzie zostawało jeszcze – 12! Ale wtedy posypały się w całym szeregu spraw oświadczenia adwokatów o odroczeniu terminu rozprawy, tak że gdyśmy o godz. 1.30 zarządzili przerwę na obiad do godz. 3.30, zostawało już tylko pięć spraw. Po obiedzie poszły one dość prędko i koło godz. 6 byliśmy już wolni. Odetchnąłem. Skończyła się sesja trzydniowa, która mię porządnie wynudziła, choć się z niej sporo nauczyłem. Sąd w Kłajpedzie jeszcze zupełnie niemiecki. Choć kraj jest urzędowo dwujęzyczny – dotąd język niemiecki panuje wszechwładnie. Trybunał jest ogólnopaństwowy, więc zdawałoby się, że choć ta zasada dwóch języków na sesji trybunalskiej do spraw kłajpedzkich powinna być przestrzegana. Ale o tym mowy być nie może, dopóki zasiadają w niej sędziowie Kłajpedczycy, nie umiejący ani słowa po litewsku i dopóki ani jeden z adwokatów miejscowych nie umie po litewsku. Stopniowo to się da wprowadzić. Janulaitis do tego dąży. Ale jednym z pierwszych warunków dla zdobycia językowi litewskiemu obywatelstwa w sprawach kłajpedzkich – nawet w Trybunale, nie mówiąc na razie o sądach lokalnych – jest to, aby posiedzenia Trybunału dla spraw kłajpedzkich odbywały się w Kownie i aby w tych sprawach równolegle do adwokatów miejscowych mogli stawać wszyscy adwokaci litewscy. Obydwom tym rzeczom Kłajpedczycy – to znaczy Niemcy, wszechwładni w sądownictwie Kłajpedy – sprzeciwiają się stale. Choć co do posiedzeń Trybunał uchwalił, że będą się one odbywały w Kownie i tylko do spraw apelacyjnych czasowo do ich zlikwidowania (na przyszłość do Trybunału będą wpływały sprawy z Kłajpedy li tylko w trybie kasacyjnym) będą zarządzane sesje w Kłajpedzie, to jednak sędziowie Plümicke i Hesse znów podnoszą kwestię posiedzeń kasacyjnych w Kłajpedzie, powołując się na wygodę stron. Dopóki tu będą posiedzenia, dopóty atmosfera germanizacyjna kłajpedzka w magistraturze i adwokaturze będzie jeszcze przez czas długi hamowała wkroczenie do sądownictwa języka litewskiego. W gmachu sądowym kłajpedzkim – oprócz napisów dwujęzycznych na drzwiach – wszystko jest wyłącznie po niemiecku. Urzędnicy sądowi i nie umieją, i nie chcą mówić

po litewsku, a na zwrócenie się do nich po litewsku odpowiadają krótko i niegrzecznie, że nie rozumieją, i nie patrzą nawet na petenta, co sam doświadczyłem pierwszego dnia ze strony urzędnika, który jeszcze nie wiedział, kim jestem. W sali posiedzeń sądowych – a zdaje się, że w ogóle w całym sądzie – żadnych emblematów litewskich, nigdzie nie zobaczyłem pogoni. Na ścianach wiszą jeszcze gdzieniegdzie (np. w pokoju narad sędziowskich) stare ogłoszenia patriotyczne państwowe niemieckie (zresztą w Kłajpedzie nikogo to nie dziwi, bo tu jeszcze spotkasz portrety Wilhelma II, np. w sali jadalnej w restauracji pod nazwą „Winiarni Fiszera" – „Fischers Weinstube"). Na rozprawie sądowej nikt z ludu – choć w większości są to Litwini – nie odważy się odezwać po litewsku, a tym bardziej zażądać, by go w tym języku bez tłumacza wysłuchano (na głębokiej prowincji zdarzają się wypadki mówienia po litewsku, ale oczywiście wzywa się wtedy do użytku sądowego tłumacza). Zresztą inaczej być nie może w obecnym stanie rzeczy. Czuje się w całej pełni, że tu jest nie Litwa, lecz jeszcze Niemcy. W procesach i aktach, gdy się mówi o zeszłorocznym powstaniu styczniowym litewskim w Kłajpedzie, czyli raczej o zbrojnym wyrwaniu Kłajpedy przez Litwinów z rąk okupacji francuskiej, nazywa się to bez obsłon nie jakimś „powstaniem", lecz najściem litewskim czy napadem Litwinów.
Dla adwokatów i stron przewodniczenie Janulaitisa, a tym bardziej moje na posiedzeniach kłajpedzkich Trybunału wydaje się zapewne symbolem przemocy obcej, choć w istocie przewodniczymy nie dlatego, że jesteśmy z centrum, jeno dlatego, że mamy przed Plümickem i Hessem pierwszeństwo daty nominacji trybunalskiej. Jeszcze Janulaitis – jakkolwiek, bo przynajmniej delegowany jest do spraw kłajpedzkich stale, umie po niemiecku i przewodniczy czynnie. Ale ja – prawie że nie umiejący po niemiecku, mało rozumiejący z rozprawy i przewodniczący tylko w charakterze figuranta – muszę się prezentować Niemcom dziwacznie, jako barbarzyńca nasłany. Ale mnie to nie razi: niech Niemcy upatrują w nas barbarzyńców, ale ja wiem, że my symbolizujemy tu nie przemoc i najazd obcy, jeno odzyskanie zagarniętego przez Krzyżaków skrawka Litwy, bo Kłajpeda jest w istocie litewska i już się budzić zaczyna – i obudzi się, i będzie litewska. Nie najeźdźcami przeto i nie barbarzyńcami tu jesteśmy, jeno braćmi, do których wróci litewska Kłajpeda, gdy się osad niemiecki rozproszy.

27 lipca, rok 1924, niedziela
Moja praca sądowa w Kłajpedzie zakończona – jeszcze tylko jutro lub pojutrze krótkie posiedzenie gospodarcze z sędziami Plümickem i Hessem, które mogliśmy wprawdzie odbyć dni poprzednich, ale które odroczyłem na inny dzień, ponieważ jeszcze do Kowna nie wracam. Korzystam z okazji pobytu w Kłajpedzie, aby zajrzeć do Juodkrantisu nad morze. I na tę wycieczkę zabieram moją służącą Jadzię Čepasówną, której poleciłem wczoraj wieczorem wyjechać z Kowna, aby dziś do Kłajpedy rano przyjechała. Biedna dziewczyna rzadko miewa rozrywki, a jest tak serdecznie i gorąco przywiązana do mnie i tak dla mnie dobra, że zasługuje na tę przyjemność. Dla niej wycieczka do Kłajpedy i nad morze – a jeszcze ze mną, w roli już towarzyszki, a nie służącej – to całe szczęście, to epizod z raju. Niech się sobie dziewczynka zabawi, niech będzie rada. Rano więc poszedłem na dworzec na pociąg kowieński na spotkanie Jadzi. Przyjechała. Deszcz nam przez cały ranek w Kłajpedzie padał. O godz. 1 ½ wyjechaliśmy dużym statkiem „Kranz" do Juodkrantisu. Stanęliśmy u Maya, wzięliśmy dwa pokoje osobne, bo nie chcę pozorów, że jeżdżę z kochanką – wiek mój by się błaźnił. Byliśmy z Jadzią nad morzem – oczywiście wpadła ona w pasję zbierania ładnych kamuszków, konszek i bursztynu. Na wieczór wróciliśmy. U Maya w restauracji pełno. Żydów huk. Wieczorem było w jednej z sal u Maya jakieś zebranie

syjonistyczne, potem w nocy mają być tańce. Juodkrantis o tej porze – to królestwo Żydów, a u Maya – ich sztab główny.

28 lipca, rok 1924, poniedziałek
Dzień spędziłem w towarzystwie Jadzi w Juodkrantisie. Pogoda była śliczna. Słońce świeciło przez dzień cały jak na Adriatyku i ciepło było zupełnie nad morzem. Piasek był gorący – można się w nim było kąpać jak na słonecznych plażach Atlantyku. Kąpałem się w morzu. Woda była rozkosznie ciepła, morze lekko falowało, kąpiel był prześliczna. Wzdłuż wybrzeża pełno ludzi; jedni się przechadzają, inni się wylegują w piasku, wygrzewając na słońcu, inni się kąpią. Trudno mi było znaleźć miejsce na kąpiel bez kostiumu. Jadzia kąpała się w kostiumie najętym z kąpieli publicznych. Wieczornym statkiem wróciliśmy z Jadzią do Kłajpedy, ale już dopiero jutro będziemy mogli wybrać się z powrotem do Kowna. Jutro mam jeszcze posiedzenie gospodarcze z sędziami Plümickem i Hessem, a po obiedzie mam jeszcze pokazać Jadzi Sandkrug. Choć Niemcy w Kłajpedzie krzyczą, że Litwini ich cisną i choć poniekąd mają rację, bo Chrześcijańska Demokracja, zwlekając dotąd ratyfikację Konwencji Kłajpedzkiej, nie realizuje konsekwentnie autonomii Kłajpedy, to jednak dotąd Niemcy tu jeszcze prawie niepodzielnie rej wodzą, a władzę litewską bardzo słabo się wyczuwa. Wprawdzie wiem, że nie tylko z Kowna przez pewne kreatury centralistyczne, ale z samego łona ludności miejscowej zaczynają płynąć prądy ku wzmożeniu państwowości litewskiej narodowej w tym kraju i wyrastać tu zaczynają jednostki, przeciwstawiające się prądowi germanizacyjnemu (wiem z rozmowy w czerwcu ze starym Mayem, że nawet w takim Juodkrantisie zaczynają się ukazywać narodowcy litewscy, spędzający sen z powiek Niemców lokalnych), to jednak prądy te muszą być jeszcze bardzo słabe i chyba że je znaleźć można w samej głębi kraju na wsi. Bo tu między Kłajpedą i Juodkrantisem nie czuć wcale państwowości Litwy. Bardzo rzadko ukaże się na stacji jakiś oficer litewski lub jakaś wycieczka Litwinów w grupie z kilku osób – oto i wszystko. Wszystko tu tchnie jeszcze Niemcami. Ma się literalnie nie wrażenie, lecz uczucie, że władza państwowa litewska jest tu zgoła czymś sztucznym i okolicznościowym. W obecnym stanie rzeczy i usposobieniu umysłów w tym kraju – gdyby tylko Niemcy nie były po przegranej wojnie tak obezwładnione, jak są i tak zależne od woli zwycięzców – wystarczyłoby im jednego gestu, aby zlikwidować całe panowanie litewskie nad okręgiem Kłajpedy. Państwowości litewskiej tu – w przelotnym zresztą pobycie w kraju, a raczej w samej Kłajpedzie i na Mierzei Kurońskiej – profan nie widzi i nie czuje wcale. Wprawdzie się w tym kierunku robi, ale to tylko kropla w morzu. Nie tak to łatwo pojednać i zlać ze sobą kraj tak odrębny, jak okręg Kłajpedy w stosunku do Litwy. Trzeba na to przynajmniej kilku pokoleń. Robi się różne rzeczy i teraz, ale to jeszcze w krew i kulturę kraju tego nie weszło. Zdobyć Kłajpedę po Wielkiej Wojnie w roku 1923 metodą zainscenizowanego „powstania" – nie było zbyt trudno, ale trudniejsze jest utrwalenie państwowości przez odgermanizowanie krajowej ludności litewskiej. Byłbym szczęśliwy, gdybym ujrzał jeszcze oczami mymi ten piękny kraj nad Bałtykiem w szacie szczerze litewskiej.

29 lipca, rok 1924, wtorek
Dzień wyjazdu z Kłajpedy. Rano miałem jeszcze krótkie posiedzenie gospodarcze Trybunału do spraw kłajpedzkich z sędziami Plümickem i Hessem, ale dzięki temu, że Plümicke śpieszył odprowadzać jakichś swoich znajomych na kolej, posiedzenie to nie zaciągnęło się jak inne. Zresztą wszystko już było z góry omówione między Plümickem i Hessem, mnie więc pozostawało tylko podpisywać.

Potem miałem jeszcze kilka godzin wolnych do wyjazdu, które użyłem na krótką wycieczkę z Jadzią do Sandkrug. Pogoda znowu ślicznie sprzyjała, setki mieszkańców Kłajpedy śpieszyło nad morze. Pełno było ludzi na wybrzeżu – w piasku i w morzu. Choć osobiście wolę morze w Juodkrantisie, gdzie i brzeg jest stromszy, a przeto morze gwałtowniejsze, i natura dziksza, łącząca plantacje sosny karłowatej z różowymi piaskami pustyni, to jednak muszę przyznać, że płytka plaża w Sandkrug ma także swój urok szczególny, czyniący ją wprost wymarzoną dla kąpiących się i dla zabawy dzieci. Piasek tu jest drobny jak pyłek i ścisły, twardy pod stopą i do chodzenia przeto wygodny, fala płytka i musująca, łagodna bez żadnej grozy, a na horyzoncie wciąż okręty, zdążające do portu kłajpedzkiego lub wypływające z portu i ginące stopniowo w perspektywach morza. W kąpieli można tu zajść w morze daleko, bo dno ma pochyłość bardzo powolną.
O szóstej z minutami wyjechaliśmy z Kłajpedy pociągiem na Kowno. W chwili wyjazdu deszcz zaczął padać jak na sygnał i padał potem przez cały wieczór do późnej nocy. Zbyteczną już nam była pogoda.
W pociągu przy wyjeździe z Kłajpedy poznałem się z pewnym jegomościem rozmownym w wieku lat około 30-35, Kłajpedczykiem spod Bojar, Litwinem – niejakim Juozaitisem, który mi się zaprezentował jako narodowiec i patriota, zaznaczając też kilkakrotnie z naciskiem, że jest „dvarininkas”, to znaczy ziemianin czy obszarnik. Wprawdzie nie olbrzymie to są te jego „obszary”, liczące coś kilkadziesiąt do 100 morgów, ale na stosunki kłajpedzkie jest to już gospodarstwo kulturalne, mogące się tytułować dworem. Sam p. Juozaitis nie bardzo wprawdzie w znaczeniu wykształcenia i ogłady towarzyskiej, ale robi wrażenie człowieka sprytnego, dającego sobie radę i umiejącego wyzyskiwać okoliczności i stosunki. Chwalił się bardzo swoją akcją patriotyczną, przypisując sobie olbrzymie zasługi na rzecz Litwy, rozpowiadał mi z naiwną dumą i parweniuszowską przesadą o tym, że jego podobizna wisi w Muzeum Wojennym w Kownie wraz z podobiznami Witolda Wielkiego i Giedymina, usiłował mi zaimponować swymi stosunkami i wpływami. Choć to człowiek niewielkiej głębi i kultury, ale za to ambicji i zręczności życiowej – ogromnych. Tacy są w Kraju Kłajpedzkim dla Litwy bardzo użyteczni, bo sprzęgli swoje losy z jej sprawą przez ambicję i interes i stają się na miejscu czynnikami propagandy i agentami nowego stanu rzeczy. To, że się nie różnią umysłowością i poziomem od środowiska, czyni ich tym użyteczniejszymi. Są to nie ideowcy, lecz karierowicze ambicji. Wprawdzie tacy pierwsi by od sprawy litewskiej odpadli, gdyby już zwąchali niebezpieczeństwo restauracji niemieckiej, ale dziś – tymczasem – robią swoje. Juozaitis mi twierdził, że przy wyborach do Sejmu państwowego z okręgu Kłajpedy na ogólną liczbę sześciu posłów z całą pewnością będzie co najmniej dwóch Litwinów. Zobaczymy, czy to nie zanadto optymistyczne, ale bądź co bądź mówi to człowiek trzeźwy, człowiek realnego interesu, nie marzyciel. Sądząc z przeciętnego usposobienia ludności miejscowej, jakie się zaobserwować daje, zdawałoby się, że sympatie litewskie w łonie już nie tylko Niemców, ale samych Litwinów kłajpedzkich są tak nikłe i raczej ujemne, że liczenie na 1/3 część posłów na rzecz narodowców jest zgoła mrzonką. Zobaczymy! Przecież bądź co bądź w głębi mas wiejskich ferment narodowy litewski to tu, to ówdzie kiełkuje.

30 lipca, rok 1924, środa
Przyjechałem do Kowna. Choć jechałem w wagonie z plackartą, więc miałem ławkę do spania, jednak czuję się zmęczony. W Trybunale jednak byłem i pracowałem jak zwykle, egzaminowałem też z prawa konstytucyjnego jednego studenta, który się do egzaminu zgłosił – niejakiego Szapiro, Żyda z Szawel. Ze znajomych widziałem się

tylko z Toliušisem. Dowiedziałem się od niego, że Sejm ratyfikował dziś Konwencję Kłajpedzką – prawie że jednogłośnie, bo wszystkimi głosami za wyjątkiem dwóch (Šilinga i Draugelisa). Dobrze się stało, że to już załatwione. Nic to, że na razie skutki bezpośrednie ratyfikacji (realizacja autonomii Kłajpedy) cofną poniekąd to, co zostało rozpoczęte drogami inspiracyjnymi z centrum pod płaszczykiem pseudosamorządowym na rzecz stopniowej litwinizacji kraju. Nic to – powiadam – bo ferment narodowy litewski już kiełkuje w samym łonie kraju i wcześniej czy później, choćby prąd tradycyjny niemiecki na razie zapanował wszechwładnie – będzie rosnąć i czynić postępy, żłobiąc sobie metodami walki i uświadomienia trwalsze łożysko zdobyczy, niż to by się dało osiągnąć sztuczna drogą nasadzania urządzeń litewskich z zewnątrz, czy z góry choćby pod rozmaitymi płaszczykami pozorów samorządowych.
Zresztą zwlekanie ratyfikacji ze strony Chrześcijańskiej Demokracji było wyrazem nie tyle obawy przed reakcją niemiecką w Okręgu Kłajpedzkim, ile raczej niechęci do zmian w układzie sił sejmowych w Kownie. Chrześcijańska Demokracja rozporządza tu większością zaledwie dwóch, a wraz z głosem posła Rosjanina Jerina, który ją poparł (zapewne nie darmo) – czterech głosów. Kłajpeda ma dać sześciu posłów do Sejmu. Opozycja liczy na te głosy jako ewentualnych sojuszników przeciwko panującej Chrześcijańskiej Demokracji. Spodziewa się, że malkontentyzm Kłajpedczyków rzuci ich w objęcia opozycji. Chrześcijańska Demokracja nie jest przekonana o tym, że posłowie kłajpedzcy staną do szeregów opozycji, bo praktyczni Niemcy gotowi drogą targu za pewne dla siebie koncesje w Kłajpedzie poprzeć Chrześcijańską Demokrację; ale są to zawsze rzeczy niepewne i niewyraźne, toteż Chrześcijańskiej Demokracji nie kwapi się zbytnio. Lepiej rządzić samej, niż polegać na niepewnym poparciu posłów kłajpedzkich, którzy, gdyby nawet poparli ją, nie poprą jej przecie z czystej miłości, dla jej pięknych oczu: to poparcie trzeba będzie kupić, trzeba będzie coś dać, a przecie nikt dawać nie lubi, szczególnie gdy jest ktoś trzeci, który będzie targ obserwować i głośno o nim trąbić. I tak więc źle, i tak nie najlepiej. Kłajpedczycy mogą stanąć w opozycji albo kazać sobie zapłacić. Toteż zwlekanie było dla stronnictwa rządzącego doraźnie najwygodniejsze. Jeno Anglia czekać nie chciała i zmusiła Litwę do przyspieszenia ratyfikacji.

31 lipca, rok 1924, czwartek
Z listów z Bohdaniszek dowiaduję się, że Stefana Mieczkowskiego dotąd na Łotwie nie ma. Poprzednio pisał, że koło 15 lipca będzie w Suboczu łotewskim na granicy litewskiej (pod Abelami), ale się tam jeszcze nie pokazał; tymczasem z listu Henrysia Wołłowicza z Wilna Elwira dowiaduje się, że Stefan dotąd siedzi w Obodowcach. Elwira zaniepokojona, bo pozwolenie na przyjazd Stefana do Litwy jest, a jego samego nie ma, nie wiadomo, gdzie go szukać i jak go do tej jazdy nakłonić. Pierwiej sam napędzał, obiecywał zaraz przyjechać, prosił, żeby już telegrafować, którędy ma jechać, ale wtedy pozwolenia nie było, a teraz pozwolenie jest, ale on się ociąga czy też gdzieś się zawieruszył. Komplikuje się to zaś trudnością skomunikowania się z Polską. Biedna Elwira wciąż nie ma spokoju i gryzie się, a siedzi biedaczka bez grosza.
Skądinąd smutne są wieści od Pruszanowskich z Bydgoszczy. Kotuńka pisze rozpaczliwe listy. Elwira sprzedała resztki lasu na tych ośmiu dziesięcinach w schedzie Kotuńki w Montowszczyźnie, na których wyrąb w roku przeszłym było dane pozwolenie i z tych pieniędzy wysyła Kotuńce w zamkniętych listach dolarami po trochę – po 10 dolarów w każdym liście. Z tej kapaniny Pruszanowscy żyją, ale po ustaleniu w Polsce waluty złotej drożyzna tak wzrosła, że tych 10 dolarów od listu do listu nie wystarcza, a zresztą i te pieniądze prędko się już wyczerpią. Co będzie dalej – nie wiadomo. Dwaj zięciowie Pruszanowskich – Tanajewski i Węgłowski – ledwie

sami na swoje rodziny zarabiają i nie są w stanie teściom pomagać. Gienio zarabia na siebie, ale Hala i Józia siedzą bez posady na utrzymaniu rodziców. Staśka jeszcze się uczy. Stary Ezechiel, który przekroczył już siedemdziesiątkę, jest fizycznie niedołężny i o możności zarabiania ani marzyć nie może. Biedna Kotuńka, sama spracowana i schorowana, już nie wie, co robić i jak dać radę. Sprzedała już ostatnią cukiernicę i obrus. Jedynym źródłem utrzymania są te kapiące z Bohdaniszek dolary, których nie na długo starczy. Perspektywy żadnej. Mieszkają w suterenach bez sługi. Straszna jest starość w nędzy takich ludzi, którzy przed laty kilku byli jeszcze bogatymi i szczęśliwymi.

1 sierpnia, rok 1924, piątek
Należy mi się wreszcie poświęcić kartkę w dzienniku mojej poczciwej służącej Jadzi Čepasównie, z którą w tych dniach odbyłem wycieczkę do Kłajpedy i nad morze. Jadzia, córka dawnego sługi kowaliskiego, Čepasa, obecnie gospodarzącego na swoim gruncie półwłócznym w wiosce Sałdujciszki pod Kowaliszkami, jest chrzestną córką Elizki Komorowskiej. W czasie wojny, będąc dzieckiem, wyjechała z rodzicami i rodzeństwem do Rosji, gdzie Čepasowie lat kilka na tułaczce w Petersburgu i jego okolicy spędzili. Po powrocie do kraju w r. 1918 Jadzia w r. 1919 za czasów bolszewickich uczyła się ze swoją siostrą w szkółce ludowej kowaliskiej, w której nauczycielką była Zitka Komorowska. Jest więc ona Zitki uczennicą. W r. 1921 na wiosnę Jadzia, jako dziewczynka 16-letnia, wstąpiła na służbę do Maryni w Bohdaniszkach. Tu ją poznałem. Jako dziewczyna żywa i zręczna, nie tyle piękna, ile obdarzona bardzo wyrazistym spojrzeniem, smukła, nie pozbawiona wdzięku w swojej ogromnej wyrazistości, zwróciła ona moją uwagę i na ogół podobała mi się. Gdym w jesieni r. 1921 postanowił wziąć własną służącą do Kowna, mój wybór padł na Jadzię. Jadzia tez miała ochotę jechać do mnie i Marynia mi ją ustąpiła. W październiku r. 1921 przywiozłem Jadzię do Kowna. Okazała się służącą dobrą i pojętną, zdatną tak do usługi, jak do posyłek, była karną, pilną i zręczną. Przesłużyła ona u mnie całą zimę z r. 1921 na 1922, wiosnę i lato. Byłem na ogół z niej zadowolony. Stosunek nasz zresztą niczym szczególnym się nie zaznaczał. W końcu lipca czy początku sierpnia 1922 zaszedł jednak fakt, który mię skłonił do odprawienia Jadzi. Mianowicie spostrzegłem się, że jestem okradziony prawie z całej bielizny. Miałem poszlaki, że uczyniła to Jadzia, sprzedając po trochę moją bieliznę. Że to ona była winną – tego z pewnością i teraz twierdzić nie mogę, ale poszlaki przeciwko niej były mocne. Jadzia zaprzeczała, ale oświadczyłem jej, że ją oddalam. Wyjeżdżając do Bohdaniszek wziąłem ją ze sobą i puściłem do domu. Nie chcąc jednak jej szkodzić i nie będąc zupełnie przekonany o jej winie, pozwoliłem jej, o ile zechce, przyjechać do Kowna, zamieszkać czasowo u mnie do czasu znalezienia służby. Jadzia skorzystała z tego we wrześniu tegoż roku. Ja zaś tymczasem wziąłem na jej miejsce inną dziewczynkę – Helenę Bogusławską z Rukiel.

2 sierpnia, rok 1924, sobota
Przerwę pisanie o Jadzi, bo oto dziś, gdym siedział w domu i pracował, nagle widzę przez okno idącą jakąś postać kobiecą, której nie poznałem, a za nią toczy się jakaś solidna jejmość, w której zdało mi się rozpoznać Marynię. Zanim się zastanowiłem, usłyszałem już pukanie do moich drzwi wejściowych i wnet, gdym podszedł do drzwi na spotkanie, wpadła przez nie i rzuciła mi się zdumionemu na szyję, ściskając i całując, Ewa Meyerowa, Maryni córka. Ewa jest bardzo wymizerowana, wychudła w sobie i jeszcze bardziej na twarzy, ale wesoła i miła, serdeczna i swojska. Nie widziałem jej od lat przeszło czterech. Zapowiadała ona swój przyjazd jeszcze w liście do Maryni, pisanym w czerwcu. Toteż Marynia przez cały lipiec ją czekała, ale wieści nie było.

Nagle w tych dniach stawiła się w Bohdaniszkach, przeszedłszy granicę litewską z Łotwy pod Suboczem kurlandzkim bez żadnych dokumentów i przepustek. Marynia przyjechała z nią do Kowna, aby tu wyrobić jakąś legalizację jej pobytu – choćby na czas jakiś. Bo Ewa ma jeszcze wrócić do polski do męża, choć chciałaby już wraz z nim, gdyby było można, na stałe do Bohdaniszek przyjechać i tu u matki osiąść na gospodarstwie. Daj Boże, aby się to spełnić dało, ale tymczasem chodzi choć o zalegalizowanie jej obecnego pobytu. Ano, od poniedziałku zaczniemy się o to starać. Choć ze stanowiska formalnego rzecz ta nie jest w porządku, jednak mam nadzieję, że przecież się to zrobić da. Maryńka jest szczęśliwa z obecności Ewy, a mnie także jest niezmiernie miło ją tu widzieć. Kocha ona Bohdaniszki, jest rozczulona ich widokiem, poruszona, marzy o przyjeździe i zamieszkaniu tu z mężem. Zacna to kobieta, kochana nasza Ewa. Naturalnie, że Marynia i Ewa zainstalowały się u mnie.

3 sierpnia, rok 1924, niedziela
Z powodu niedzieli nie mogliśmy dziś rozpocząć starań o legalizację przyjazdu Ewy. Rozpoczniemy te starania jutro. Marynia chodziła z Ewą do Bolesława Sližysa, obecnego ministra komunikacji, swego dobrego znajomego i przyjaciela sprzed wojny, aby wziąć od niego zaświadczenie co do osoby Ewy. Nie zastała go jednak – wyjechał na parę dni. Pod wieczór, po gwałtownej ulewie z burzą, zaprowadziłem Marynię z Ewą na uroczystość codzienną spuszczania sztandarów w Muzeum Wojennym. Ta piękna uroczystość ze swym ceremoniałem symbolicznym, pełnym wzniosłych motywów, w otoczeniu prześlicznych plantacji róż, wśród grupy litewskich krzyżów ludowych, z mistycznym ogniem znicza przed pomnikiem poległych, z pochodem inwalidów i grupą małych dziewczynek w strojach ludowych, które jak wajdelotki modlą się do ognia, czyni na każdego, kto się po raz pierwszy jej przygląda, silne wrażenie. Niechże widzą zbłąkani synowie Litwy, jak Litwa czci swe bohatery i jaką poetyczną daje ich pamięci oprawę w codziennej uroczystości u stóp ich pomnika. Niech ujrzą i poczują, jaka miłość płynie z tej ziemi i jak serca ludzi zrastają tu z Niepodległością i płoną uroczystym ogniem litewskiego odrodzenia. Cześć i wdzięczność generałowi Nagiewiczowi, który wystylizował tak głęboko i subtelnie, ze szczerolitewskim skupieniem i powagą ten prześliczny akt misterii narodowej, stający się jedną z najpiękniejszych atrakcji Kowna, pełny oryginalności i coraz bardziej kochany przez lud. Ten akt jest obrazem kultu Litwy, jest komunia publiczną Ojczyzny. Towarzyszył nam na uroczystości w Muzeum Wojennym dr Sližys, brat ministra Bolesława. Marynia w istocie nie jest wrogiem Litwy. Ma ona tylko język długi, toteż nasłuchawszy się, co wygadują na Litwę zażaleni na nią za swe majątki ziemianie, sama gada i wypisuje, co jej na język wpada – byle się po babsku wygadać. Choć szła dziś do kościoła specjalnie na nabożeństwo polskie, jednak sama się przyznała, że w głębi jej serca przez tradycję nawyknień dziecinnych najsłodszym jest dla niej w kościele język ludu litewski i że gdyby będąc w Ameryce miała do wyboru kościół polski czy litewski, większe by na nią zrobiło wrażenie nabożeństwo litewskie niż polskie, bo czułaby się na litewskim w swoim najrdzenniejszym żywiole religijnym. Ewa też, choć tak bardzo spolonizowana, ma zdaje się głęboką tkliwość do swych praźródeł dziecinnych, które jej się w litewskiej szacie uzmysławiają. To przecie krew nasza – Polaków litewskich, którzy nosimy nazwę Polaków, lecz jesteśmy w istocie tworem psychicznym oryginalnym, z Litwą najgłębiej zrosłym. Bądź błogosławiona, Ojczyzno!

4 sierpnia, rok 1924, poniedziałek
Legalizacja pobytu Ewy Meyerowej powiodła się. Udaliśmy się rano z Marynią i Ewą do Departamentu Policji („Piliečių Apsaugos Departamentas”). Tam wpadłem

szczęśliwie na myśl zwrócenia się nie od razu do Danowskiego, lecz wpierw do sekretarza Olechnowicza. Trzeba było się przyznać Olechnowiczowi, że Ewa przekroczyła granicę litewska nielegalnie bez żadnych dokumentów i że ma ona paszport wewnętrzny polski. Na razie zdało się nam, że sprawa bierze zły obrót. Maryńce aż się gorąco zrobiło. Olechnowicz oświadczył, że podług otrzymanych świeżo z Ministerium Spraw Zagranicznych instrukcji nie daje się nikomu z przybywających Wilnian pozwolenia na zamieszkanie w Litwie Niepodległej i wszystkich, którzy tu z Wileńszczyzny przybywają, odstawia się z powrotem do placówek polskich; ostatnimi czasy jest podobno wielki ruch przybywających z Wileńszczyzny; codziennie jakiś dziesiątek osób, próbujących takiego przemycenia się, wysyła się z powrotem. Na moją uwagę, że jest to niekonsekwentne ze stanowiska uznawania przez Litwę terytorium Wileńszczyzny za swoje i Wilnian za obywateli swoich i że rozdział między Wilnem a Kownem jest tak niezmiernie ciężki dla ludności obydwóch części jak jakaś rana ciągła, Olechnowicz odrzekł, że rząd litewski dlatego właśnie stosuje te zarządzenia, aby ludność poczuła cały ciężar tego rozdziału i nie była zadowolona z istniejącego stanu rzeczy. Wiem o tym; jest to stała linia polityki litewskiej. Litwa, nie mogąc walczyć orężem przeciwko okupacji polskiej w Wileńszczyźnie, walczy przeciwko niej stwarzaniem trudności i przeszkód w obcowaniu, by na fakcie dokonanym polskiego zaboru Wileńszczyzny nie narosła pleśń zadowolenia i przyzwyczajenia ludności. Jest to linia obosieczna. Słuchając Olechnowicza, mieliśmy wrażenie, że nic tu nie wskóramy. Aliści Olechnowicz – po tym srogim nastraszeniu, które zresztą było odpowiedzią na Maryni oświadczenie, że chodziłoby o umożliwienie Ewie stałego zamieszkania w Litwie i o przyjazd na stałe jej męża – potem w stosunku do legalizacji jej przyjazdu doraźnego zaproponował wydanie Ewie paszportu na wyjazd z prawem miesięcznego, a po wytargowaniu przez nas – trzymiesięcznego pobytu. Skończyła się więc rzecz dobrze. Ewa przynajmniej do listopada będzie mogła w Bohdaniszkach posiedzieć, a może się potem da termin sprolongować. Ewa z Marynią poszły załatwiać przygotowania do paszportu – fotografie, kopia metryki Ewy, opłaty. Za nielegalne przekroczenie granicy opłacić trzeba także sztraf, ale niewielki – 150 litów.

5 sierpnia, rok 1924, wtorek
Już Ewa ma paszport. Jest to właściwie paszport na wyjazd z Litwy, ale z terminem wyjazdu czteromiesięcznym. A Maryńka ma nadzieję, że będzie mogła potem jeszcze przedłużyć termin wyjazdu Ewy; spodziewa się też, że będzie to precedensem do otrzymania innym razem pozwolenia na ponowny przyjazd. Sekretarz departamentu Olechnowicz (student prawa V semestru, mój były uczeń z roku akademickiego 1922-1923, były sekretarz Michała Biržiški w Wilnie w latach 1919-1920) bardzo uprzejmie i nawet serdecznie załatwił wszystko Maryńce i Ewie. Maryńka była tak wzruszona i wdzięczna, że wychodząc od Olechnowicza pobłogosławiła go. Jutro więc Maryńka z Ewą wracają do Bohdaniszek.
Ewa jest bardzo miła, pełna życia i temperamentu, impulsywna, indywidualna w swoich myślach i uczuciach, egzaltująca się cokolwiek, słowem – zupełnie taka sama, jaką była dawniej. Nic nie znać, żeby ją życie dotknęło twardą ręką. Zmizerniała bardzo, ale wciąż jest ładna. Zresztą jest jeszcze bardzo młoda – ma dopiero 26-ty rok (urodzona na Wszystkich Świętych r. 1898). Nic dziwnego, że nie znać na niej śladów życia, bo życie jej płynie spokojnie, równo i bez trosk. Ma młodego męża, pięknego i zdrowego, którego kocha i który też kocha ją. Mąż jest oficerem, ma posadę. Mieszkają sobie w Łukowie, żyją z pensji miesięcznej męża, która wprawdzie nie jest wielka, ale wystarcza na utrzymanie i na wygódki domowe, gdy żadnych innych obowiązków i

niezwykłych potrzeb nie ma. Dzieci nie mają (podobno, jak twierdzi Ewa, nie chcą mieć, ale posądzam, że są bezpłodni dla jakiejś przyczyny organicznej w niej lub w nim). Życie ich jest typowo mieszczańskie. Na Ewę, zdaniem moim, takie życie poniekąd źle działa, bo rozwija w niej zamiłowanie do wygód, smacznego jedzenia, umiarkowanego dobrobytu filisterskiego, a natomiast umarza aspiracje jakiekolwiek, ambicję, ofiarność, ukochania głębsze i tęsknoty, podniecające energię twórczą. Pod tym względem Ewa, która z natury ma temperament bujny, jest na złej drodze. Zdaje mi się, że to mąż działa na nią w tym kierunku; mąż jej jest fizycznie piękny, ale nie wyróżnia się wcale zdolnościami i wybitnym charakterem; jest bodaj drobnomieszczaninem z psychiki, jak jest nim z krwi, Ewa zaś przez miłość nakłania się do jego poziomu, mimo że ma w naturze głębokie pokłady ambicji i marzeń. Staje się ona mieszczką praktyczną, gosposia spiżarnianą, znakomita kucharką i apteczkową, zadowoloną z siebie i z otoczenia. Dzieci by ją uzdrowiły psychicznie, trochę kłopotów i bólu uszlachetniłoby ją bez wątpienia. Mam wrażenie, że Ewa w tym małżeństwie z Konstantym Meyerem marnuje się i obniża lot swej natury. Dziś to jeszcze niezupełnie się uwydatniło, ale pewne oznaki już są. Szkoda by mi było, żeby się Ewa zmarnowała. Mąż Ewy jest pono z gruntu dobry człowiek, ale z gliny psychicznej podrzędnej.

6 sierpnia, rok 1924, środa
Pociągiem pośpiesznym w południe Marynia z Ewą wyjechały do Bohdaniszek. Obie zadowolone, szczęśliwe. Żal mi wielki, że mąż Ewy, Konstanty Meyer, służy w wojsku polskim. Gdyby nie to – Ewa z mężem może by już dawno osiedli w Bohdaniszkach albo przynajmniej teraz łatwiej byłoby ich tu na stałe ściągnąć. Oboje pragną tego. ale nie jest to rzecz łatwa. Szczególnie ze względu na to, że gdyby Konstanty Meyer nawet zdołał tu przyjechać i zalegalizować się, to przecież jego wojskowość polska musiałaby się ujawnić, a wtedy groziłby mu sąd i kara ciężkiego więzienia. Ta wojskowość pod wszelkimi względami zaciążyła ujemnie na Meyerze. W r. 1918 był on wraz z Ewą , która w tym czasie była jeszcze panną, studentem na Uniwersytecie Warszawskim. Po wygnaniu Niemców z Polski, gdy się tworzyła armia polska i gdy młodemu państwu, które dopiero co zrealizowało niepodległość, groziły poważne niebezpieczeństwa – tak ze strony wojsk niemieckich, cofających się z Ukrainy przez Białoruś i Litwę, tak ze strony Rosji bolszewickiej, która mogła na Polskę uderzyć, tak wreszcie ze strony Ukraińców, usiłujących oderwać od Polski Galicję Wschodnią ze Lwowem, które Polska za swoje dziedzictwo narodowe uważała – młodzież akademicka warszawska uchwaliła gremialne wstąpienie do szeregów wojska. Ci, co się tej uchwale nie poddali i uchylili się od wojskowości, byli bojkotowani, potem nie przyjmowano ich do uniwersytetu. Prawie cała młodzież akademicka, a z nią i Konstanty Meyer, wstąpiła do wojska. Uchwałą senatu uniwersyteckiego, solidaryzującego się z uchwałą młodzieży, wykłady na uniwersytecie zawieszono. Wtedy to Ewa, nie mając celu siedzenia w Warszawie, a nie mogąc wrócić do matki w Wilnie, gdzie właśnie byli bolszewicy, przyjechała do mnie do Łomży i zamieszkała u mnie. Otóż Meyer, jak tylu innych z młodzieży, po zakosztowaniu wojska nie chciał już wracać do nauki. Po paru leciech, w r. 1920-1921, choć już dawno minęło niebezpieczeństwo dla Polski, choć uniwersytet otworzył się znowu, choć już chcących wracać do nauki zwalniano z wojska – Meyer pozostał. Był już oficerem, miał siakie takie stanowisko, ożenił się, przywykł do względnej wygody i samodzielności, zasmakował w rozkazywaniu, rozleniwił się. Nie pociągała go nauka, walka, praca szkolna. Aspiracji umysłowych ani daleko sięgających ambicji, o ile go znam, nie miał. Ewa, zakochana w nim i już przyzwyczajona do życia z gotowego grosza, do kuchni i spiżarni, także nie oddziaływała na niego w kierunku wznowienia studiów. I Konstanty Meyer pozostał oficerem służby gospodarczej czy

ewidencyjnej. Żal mi tego nie tyle ze względu na Meyera, ile ze względu na Ewę i nie tyle ze względu na ich powrót do kraju, ile ze względu na to, że atmosfera wojskowości polskiej i służby w dalekim Łukowie automatycznie wchłania Ewę w rdzenną polskość i odrywa ją od tej pięknej polskości litewskiej, której się tyle ekspensuje i traci na rzecz polonizacji i litwinizacji. Ewa z natury, z tradycji bohdaniskich i z wychowania miała w sobie dużo tego zmysłu polskości litewskiej i stanowiła materiał pod tym względem dodatni. Dziś pozostały w niej wprawdzie jeszcze ślady tego, ale już mocno zatarte. Jest ona jedną z tych, które się tam w Polsce pochłaniają i asymilują.

7 sierpnia, rok 1924, czwartek
Umarł dziś w wieku 74 lat gospodarz domu przy ul. Zielonej, 23, na Zielonej Górze, w którym mieszkam – Mickiewicz. Zacny był bardzo staruszek. Choć kwękał, skarżył się stale na bronchit w płucach, ale silny był jeszcze, ruchliwy i na ogół zdrów. Umarł nagle – śmiercią raptowną: rano wstał, czuł się dobrze, wypił na śniadanie kakao i poszedł z żoną na targ sprzedać trochę kopru z ogródka i kupić śmietany. Nagle, kręcąc się z żoną po rynku, upadł na wznak, rozbił sobie padając głowę i natychmiast skonał. Musiało mu serce pęknąć. Charakteru był miłego, usposobienie miał typowo litewskie. Był to prosty człowieczek bez wykształcenia, ale ukształcony przez długie życie miejskie. Zapewne był z pochodzenia Litwinem rdzennym, bo po litewsku bardzo dobrze umiał, choć w domu mówił po polsku, będąc żonaty ze szlachcianką nie umiejącą ani słowa po litewsku i na ogół do Litwy, jak znaczna część najstarszego pokolenia litewskiego, zwłaszcza osiadłego w mieście, miał pewien sceptycyzm, a może nawet niechęć: uważał litewskość za coś podrzędnego. Jako stary – nie mógł się nagle, na poczekaniu zapalić patriotyzmem, którego nie znał przez całe życie. Jego żona, znacznie od niego młodsza, tęga baba, bardzo przejęta swoim szlachectwem, myśląca już dzisiaj o następcy nieboszczyka u swego łoża, opowiada szeroko o prognostykach rychłej śmierci w domu, jakie w tych ostatnich dniach licznie się rzekomo manifestowały. Jako charakterystyczne elementy zabobonów – zacytuję je tutaj. Pierwszy – najmniej ciekawy – to sen: Mickiewiczowa śniła, że na piecu usiadł jakiś Żydek kilkunastoletni i z broni palnej celuje jej w serce; ona mu wciąż odtrąca rękę, a on wciąż znowu celuje. Sen ten ma wróżyć cios w serce – śmierć osoby bliskiej. Drugi – kura zapiała w nocy głosem kogucim: to na śmierć w domu. Trzeci – piesek mały, szczenię, które się hoduje na dziedzińcu, ciągle w ostatnich dniach w różnych miejscach podwórza kopało nogami ziemię; ma to być oznaką, że piesek czuje „gnój”, to znaczy rozkład trupi kogoś mającego wkrótce umrzeć w domu, a nie mogąc znaleźć źródła zapachu, szuka i kopie.
Nie wiem, czy pisałem w dzienniku, że we wrześniu chcę się wybrać na jakiś tydzień do Wilna i do Grodna. Wybieram się w sprawach czysto prywatnych i osobistych. Chcę w Wilnie zabrać moje dzienniki przedwojenne i z czasów wojny, złożone na przechowanie u p. Tadeusza Wróblewskiego, następnie odebrać od Stasia Wołodkowicza i ewentualnie dać na przechowanie Heli Czarnej Römerównie moje meble, książki i sprzęty, wreszcie zarządzić cokolwiek w sprawie mojego placyku na Antokolu, kupionego w r. 1912. A w Grodnie chcę być dla informacji o mojej córeczce, która się tam uczy. Do Wilna i w ogóle do Polski legalnie jechać z Litwy nie można – wiem o tym i nie zamierzam starać się o wyjątek dla siebie. Skądinąd wszakże ze względu na moje stanowisko sędziego w Trybunale i profesora na uniwersytecie byłoby niewłaściwym mi jechać do Polski cichaczem, czyniąc z tego sekret przed władzami litewskimi. Wprawdzie nie może to być jazda urzędowa, formalnie jawna, ale chodzi mi o to, aby to było jednak za wiedzą władz litewskich. Wobec tego poszedłem dziś do Tumenasa jako prezesa ministrów, aby go uprzedzić o zamierzonej jeździe i zarazem,

nie żądając przyzwolenia formalnego, spytać, czy nie będzie on uważał tej jazdy za rzecz jakąś szczególnie gorszącą i niedopuszczalną. Gdyby mi Tumenas powiedział, że uważa jazdę za niewłaściwą – byłbym nie pojechał. Ale Tumenas nic przeciwko temu nie miał. Wobec tego zacznę się starać o paszport i wizę do Łotwy, a w początku września wyjadę z Bohdaniszek na Dyneburg. Nie jestem jeszcze pewny, czy otrzymam przepustkę do Wilna od konsula polskiego w Dyneburgu. Pisałem do Zosi Römerowej, która w tym miesiącu ma być w Wilnie, aby mi te rzecz ułatwiła przez swego ojca – dr Dembowskiego.

8 sierpnia, rok 1924, piątek
Jak przed kilku dniami doniosły gazety i o czym się teraz w Kownie szeroko mówi i pisze, w Kłajpedzie wypadkowo wykryty został szeroko rozgałęziony spisek, który w tych dniach miał wykonać zamach na rzecz oderwania Kłajpedy od Litwy i połączenia jej z Niemcami. Zamach miał być przystosowany do uroczystości obchodu rocznicy wybuchu Wielkiej Wojny; obchód ten ma się odbyć czy już się odbył w Tylży i miał w nim wziąć udział Hindenburg. Kłajpeda zrzuciłaby jarzmo litewskie i złączyłaby się w dniu tego obchodu z macierzą pruską. Sieci spisku szły z Tylży i Królewca. Spiskowcy mieli organizację ścisłą, ogarniającą pono 7000 ludzi, i broń. W spisek są uwikłani urzędnicy, policja, mnóstwo młodzieży krajowej, nie wyłączając bynajmniej lokalnej litewskiej. Rzecz jest podobno bardzo poważna. Spisek został wykryty zupełnie wypadkowo i udałby się niewątpliwie. Konsekwencje jego byłyby nieobliczalne. Spiskowcy mieli działać bez względu na to, czy Europa zmusiłaby Niemcy do restytucji Kłajpedy Litwie i poparłaby przywrócenie legalnego *status quo* czy też nie. W tym ostatnim wypadku, zostawiając rzeczy ich biegowi naturalnemu, Niemcy mogli liczyć na wojnę lokalną prusko-litewską, która, gdyby się Niemcom udało utrwalić faktyczne odzyskanie Kłajpedy, [stanowiłaby cios zadany][184] nie tylko Litwie, o którą Niemcy zapewne najmniej dbają, ale Traktatowi wersalskiemu i stworzony pierwszy precedens złamania stworzonego przeciwko Niemcom stanu rzeczy. W przeciwnym zaś wypadku, choć Kłajpeda wróciłaby do Litwy, Niemcy mieliby ten sukces moralny, że pokazaliby Litwie, jak kruche są jej podstawy panowania w Kłajpedzie i jak kraj ten jest z ducha i z woli pruski, a nie litewski; byłoby to też przestrogą dla Litwy, że nie może ona tam dokonywać dowolnie eksperymentów litwinizacyjnych, które zwłaszcza w sferze kościelnej usposabiają ludność wrogo do Litwy. Ale mogłaby się z tego wywiązać także interwencja Polski pod pretekstem, że Litwa okazała się niezdolną do utrzymania w karbach Kłajpedy i do strzeżenia Traktatu Wersalskiego przeciwko Niemcom w tej jego cząstce, która ja dotyczy; mogłyby zresztą rozwinąć się rozmaite inne ewentualności, których nawet trudno przewidzieć, nie mówiąc już o tym, że krew by się polała. Jednak ten spisek – nawet niedoszły – stanowi groźne ostrzeżenie dla Litwy. Sprawa kłajpedzka jest bardzo trudna. Autonomia Kłajpedy daje Litwie bardzo mało środków do poparcia w kraju ruchu litewskiego, który dopiero kiełkuje słabo; Niemcy są gotowi na wszystko, by w Kłajpedzie przewagę bezwzględnie utrzymać i przy lada okazji przywrócić kraj panowaniu niemieckiemu; ludność krajowa, nie wyłączając litewskiej, marzy i tęskni jeno do Niemiec... Słyszałem dziś od adwokata Nargielewicza i sędziego okręgowego Buyki, że do Kłajpedy dla przeprowadzenia śledztwa wstępnego w sprawie tego spisku wydelegowany został przez Ministerium Sprawiedliwości specjalnie sędzia okręgowy Penkaitis, który ma prowadzić śledztwo pod bezpośrednim kierunkiem świeżo mianowanego podprokuratora Trybunału Żołkowskiego, byłego ministra spraw wewnętrznych. Nargielewicz i Buyko gorszą się nominacją Penkaitisa na te specjalną

[184] Wyrażenie bardziej odpowiednie; w oryginale jest: „byłby przez to zadany cios", przez co zdanie staje się niespójne.

czynność śledczą, podkreślając jego nietakt, mogący dużo sprawie zaszkodzić i zapytują, czy to jest legalne ze stanowiska statutu autonomicznego Kłajpedy. Nie poruszam tu skomplikowanej kwestii legalności takiego śledztwa – raczej nie chcę tego na poczekaniu przesądzać – a zdaje mi się, że sprawa zdrady stanu w spisku, dążącym do oderwania dzielnicy, jest o tyle sprawą nie lokalnej, lecz ogólnopaństwowej, iz względy autonomiczne nie mogą tu stać na przeszkodzie, a przynajmniej daje się znaleźć zasada do zarządzenia śledztwa zgoła nadzwyczajnego – miary nie dzielnicowej, lecz państwowej. Ale co do osoby Penkaitisa – to mam również wątpliwości poważne: jest to istotnie człowiek bez taktu, karierowicz drobnej miary, człowiek ambicji małego stylu, pragnący się zasłużyć i przesadzać w gorliwości. Tacy często gubią wielkie sprawy. Ten sam Penkaitis w r. 1920 w Wilnie przez karierowiczowską gorliwość nacjonalistyczną jak najwięcej szkód wyrządził sprawie litewskiej. Dość posłuchać, co o tej jego działalności wileńskiej mówi Wilnianin Litwin Bolesław Stadziewicz, który twierdzi, że Penkaitis zasłużył w Wilnie na rozstrzelanie przez Litwinów.

9 sierpnia, rok 1924, sobota
Byłem rano na pogrzebie śp. Józefa Mickiewicza, gospodarza domu, w którym mieszkam. Taki domek na Zielonej Górze tworzy rodzaj odrębnej społeczności, której wszyscy uczestnicy – lokatorowie poszczególnych mieszkań – bez względu na zachodzące między nimi różnice społeczne pochodzenia, stanowiska, zamożności, wykształcenia, narodowości, są między sobą zespoleni jakąś szczególną wspólnotą podwórka, dokładnej wiadomości zwyczajów wzajemnych i trybu życia, plotek i obserwacji wzajemnej itd. Zresztą – wyjąwszy mnie – różnice społeczne między lokatorami tego domu nie są wielkie, a pono najmniejszą rolę gra różnica narodowości, mimo że jedni używają przeważnie języka litewskiego i mają się kategorycznie za Litwinów (zresztą nie tylko się mają, ale i są nimi pełną gębą), inni – używają języka polskiego i mają się w sercu za Polaków, nazywając zresztą siebie wobec Litwinów także Litwinami. Pod tym ostatnim względem – narodowym – nasz dom na Zielonej Górze, jak większość pono domów na tym przedmieściu, jest dokładnym obrazem starej „tutejszości” krajowej z tych patriarchalnych i tak niedawnych jeszcze w masie ludowej czasów, kiedy to dokładnego rozróżnienia między Litwinem a Polakiem nie czyniono, bo wszystko było jeszcze jednym i jednolitym ludem. W domu tym nie ma lokatorów Żydów – ci byliby istotnie obcymi. Cała więc społeczność domu – prócz tych, co byli służbą w godzinach pracy i urzędów zajęci – wysypała na pogrzeb gospodarza, którego śmierć tak niezwykła tyle w tej społeczności sensacji sprawiła. Ale nie mniejszą sensację wywołują w tej społeczności i na ogół w szerszych kołach sąsiadów z Zielonej Góry okoliczności pogrzebu i zachowania się wdowy, dające okazję do niezliczonych komentarzy, plotek i zgorszeń. Sam pogrzeb był bardzo nieliczny – oprócz mieszkańców domu i kilku starców nie było prawie nikogo. Sąsiedzi z Zielonej Góry i liczni znajomi starego zmarłego nie przyszli demonstracyjnie, wyrażając przez to protest i potępienie gospodyni – wdowie Mickiewiczowej za to, że nie sprowadziła zwłok do domu, że przez skąpstwo zadowoliła się ubogim pogrzebem męża i eksportacją zwłok z trupiarni szpitala. Już to zgorszenie z tego powodu na Zielonej Górze w promieniu kilku ulic, sąsiadujących z ulicą Zieloną, jest niesłychane. Baby szczególnie nie posiadają się z oburzenia i tak się na wdowę zawzięły, że jej tego nigdy chyba nie darują i że jej na ulicy przy spotkaniu wypominać tej krzywdy zmarłemu mężowi nie zaniedbają. Gdyby Józef Mickiewicz umarł w domu lub gdyby zwłoki jego były przez żonę choćby na czas krótki z trupiarni do domu przywiezione – byłyby śpiewy przez noc i dzień u zwłok zmarłego, byłoby zgromadzenie ludu wielkie, byłyby

tłumy na eksportacji. Zmarłego Józefa Mickiewicza na Zielonej Górze znano i lubiono. Śmierć go zaskoczyła znienacka na rynku, policja zmusiła do odwiezienia zwłok do trupiarni szpitala, ale żeby z trupiarni nie przewieźć zwłok choć na krótko do domu, żeby zarządzić eksportację na cmentarz z trupiarni szpitalnej – to skandal na całą Zieloną Górę! Rzecz się też stała głośną na całą Zieloną Górę. Na wdowę patrzą z nienawiścią jak na wiedźmę. Ci, co dziś poszli na eksportację i pogrzeb – poszli głównie dla nasycenia swego zgorszenia i dla zebrania nowych argumentów przeciwko wdowie. Pogrzeb był bardzo ubogi – u trumny w trupiarni płonęła jedna świeczka, karawan był zaprzężony w jednego konia bez żadnego ubrania, wdowa nie płakała wcale, do ostatka nie było wiadome, czy będzie towarzyszył zwłokom ksiądz, bo wdowa wahała się zdobyć na ten wydatek.

10 sierpnia, rok 1924, niedziela
Już i prokurator Trybunału Kalvaitis siedzi w Kłajpedzie dla śledztwa w sprawie spisku o zamach stanu. Sprawa jest poważna, śledztwo jest skomplikowane i odpowiedzialne. Sprawa ta obchodzi Litwę tak ze względu na bezpieczeństwo wewnętrzne, jak na stosunki zewnętrzne. Kalvaitis pozawczoraj długo konferował w tej sprawie z Tumenasem. Tegoż dnia Żołkowski, który kieruje śledztwem w Kłajpedzie, telefonował do Kowna, prosząc o przyjazd osobisty Kalvaitisa, bo sam w niektórych kwestiach nie umie sobie dać rady. Kalvaitis pojechał. Jak mi mówił podprokurator Trybunału Valtys, gubernator Kłajpedy Budrys wydał dekret, zarządzający przekazanie tej sprawy Sądowi Wojennemu. Valtys uważa takie zarządzenie za nielegalne, jak również za nielegalne uważa on zlecenie śledztwa Penkaitisowi. Zresztą Valtys nie wie, jakimi zasadami prawnymi kierowano się w tych decyzjach.

11 sierpnia, rok 1924, poniedziałek
Mam już paszport zagraniczny z wizą wyjazdową do Łotwy. Paszport i wiza do Łotwy służą na cały rok na nieograniczoną ilość razy jazdy (jest to ułatwienie, uchwalone na Konferencji kowieńskiej między Litwą a Łotwą). Za tym paszportem pojadę w początku września do Dyneburga, gdzie u konsula polskiego postaram się o pozwolenie na jazdę do Wilna i Grodna. Paszport ten zresztą zachowam i wykorzystam jeżeli nie teraz, to innym razem – na zwiedzanie także Rygi lub innych miejscowości Łotwy. Być może, że niektórzy Litwini będą się gorszyli moją jazdą do Wilna, ale że jadę za wiedzą i poufnym przyzwoleniem Tumenasa jako naczelnika rządu i li tylko w sprawach prywatnych, więc sądzę, że podróż ta nie ma w sobie nic zdrożnego ze stanowiska państwowego i że żadnych ujemnych dla mnie wniosków stąd nie wypłynie.
Śmierć Jerzego Dowiatta nie przeszła jednak w prasie litewskiej niepostrzeżenie. Wprawdzie milczy o nim zarówno prasa rządowa, jak lewica, z którą Dowiatt nigdy bliższych stosunków nie miał, bo był konsekwentnym konserwatystą, a w stosunku do obecnych rządów chrześcijańsko-demokratycznych był na stopie opozycji, ale za to piszą o nim narodowcy z prawicy i publicyści niezależni. Obszerny artykuł poświęcił Dowiattowi i jego tragedii Antoni Smetona w „Vairasie", tamże przemówił gorąco Józef-Albin Herbaczewski, piętnując w krótkim i wyrazistym artykuliku, napisanym ze zwykłą mu werwą i dosadą, kierowników Litwy obecnych, którzy nie umieli docenić wartości kulturalnych i narodowo-historycznych, reprezentowanych przez Jerzego Dowiatta, a swoim brutalnym i gruboskórnym parweniuszowskim karierowiczostwem, negującym i maltretującym ludzi kultury jak Dowiatt, będących kwiatami Litwy, stali się winni jego śmierci i ponosić będą odpowiedzialność wobec historii. W ostatnim też numerze tygodnika literackiego „Krivulė" śmierci Dowiatta poświęcił artykuł wstępny Puida, dając w okładce pisma portret zmarłego. W artykułach Smetony i Puidy

wyrażona jest podobna myśl – że nonsensem było i krzywdą sprawie narodowej litewskiej rzucać się do gnębienia „obszarnika” Dowiatta całym ostrzem reformy agrarnej, gdy człowiek ten poświęcił całe serce i myśl swoją Litwie i stał, choć samotny zawsze, u czoła jej odrodzenia w tych czasach, gdy wierność Litwie i patriotyzm nie były wcale, jak są dziś, tytułem do honorów i szczeblem do kariery i bogactwa. Jerzy Dowiatt, miłośnik Litwy, samotny wśród ziemian, zwiastun odrodzenia narodowego szlachty, Mohikanin niezłomny arystokracji narodowej, odtrącony i sponiewierany przez tych, co rządzą odrodzoną Ojczyzną, doświadczył na sobie prawdziwego pastwienia się, jakim demagogowie klerykalni, mający na czele bankierów i plutokratów nowej formacji, traktują szlachtę ziemiańską krajową dla zyskania względów parobków i zakrystianów. W legendę Jerzego Dowiatta wpleciono słowa, które Donat Malinowski przypisuje jemu: Jeżeli to jest potrzebne dla dobra Litwy, nie żal mi ofiary nie tylko mienia, ale i życia, lecz dlaczegoż od jednych bierze się w ofierze wszystko, gdy inni bez żadnej ofiary wzbogacają się na Litwie i czynią z Ojczyzny kramik spekulacji prywatnej! Oj, tak jest, niestety. Całe dziesiątki fortun wyrosło jak grzyby po deszczu, wyrosło polanych deszczykiem niepodległości. Ci obskurni parweniusze nie lubią swoich rywali ze starej arystokracji; nie mogą im darować wyższego tytułu i pragną ich zgnębić. Cóż ich obchodzi Jerzy Dowiatt! Z inicjatywy Bitowta, Donata Malinowskiego i kilku innych powstała myśl wykucia rzekomych słów Dowiatta na jego grobowcu. Tak, Jerzy Dowiatt jest wart legendy, bo był człowiekiem niepospolitym w kraju i wart jest tego, by Litwa imię jego uczciła i utrwaliła, ale nie bardzo mi się podobało, gdyby inicjatywa i forma należały do Donata Malinowskiego.

12 sierpnia, rok 1924, wtorek
Banki litewskie, które się napłodziły za czasów marki niemieckiej i prosperowały nie tyle na operacjach bankowych, ile na spekulacji, obecnie już od paru lat robią bokami. Stan niektórych z nich jest krytyczny i gdyby nie kosztowne dla kraju poparcie, którego im udziela emisyjny Bank Litewski, już niejeden z tych banków byłby ogłosił bankructwo. Nawet znakomity „Ukio Bankas” potentatów Litwy – braci Vailokaitisów – jest zachwiany. Wśród najbardziej zagrożonych banków jest „Lietuvos Prekybos ir Pramonės Bankas” (Litewski [Bank] Handlowo-Przemysłowy), zwany bankiem Yčasa (Marcina Yčasa), którego stan był przed paru laty kwitnący. Dzieje rozkwitu i zmierzchu tych banków są bardzo ciekawe i pouczające; świadczą one, jak pasożytniczą była gorączka bankowa w pierwszych latach istnienia Litwy, jak niezdrową była dla kraju chwiejna waluta markowa niemiecka i jak antyspołeczny był rak spekulacji, którego jednym z objawów były te banki. Osobiście jestem zainteresowany w losach „Prekybos ir Pramonės Banku”, bo mam w nim część moich dolarów na rachunku bieżącym. Miałem tam 334 dolary, co w moich oszczędnościach, wynoszących obecnie około 1000 dolarów, stanowi cząstkę poważną. Tymczasem bank wypłaca wkłady i może nawet nie zbankrutuje całkowicie, ale bądź co bądź ostrożność jest zalecona i wcale nie rad jestem, że mam w nim część moich pieniędzy zalokowaną. Zapewne po trochę je wycofam. Dziś wziąłem już stamtąd 77 dolarów, które mi będą potrzebne do Bohdaniszek.
Dalszy ciąg statutu Wielkiego Wschodu Litwy:
53. Postępowanie śledcze (art. 52) może być przez lożę uznane za zbyteczne, jeżeli kandydat jest dostatecznie znany braciom i jeżeli jego kwalifikacje nie budzą żadnych wątpliwości; jeżeli wszakże choć jeden brat zażąda postępowania śledczego, to musi ono być przeprowadzone.

54. Jednocześnie brat polecający stara się zbadać bezpośrednio kandydata, jak się on zapatruje na tego rodzaju akcję, jaką prowadzi Wielki Wschód Litwy i czy byłby on skłonny do wzięcia w niej udziału; badanie to ma być dokonane z wielkim taktem, aby się zbytnio nie zaangażować względem kandydata i w żadnym razie nie wymienić mu nazwy organizacji; o rezultacie tego badania brat polecający referuje na najbliższym posiedzeniu loży.
55. Po wysłuchaniu sprawozdania braci śledczych i brata polecającego loża głosuje ponownie o zaakceptowaniu kandydata; orzeczenie twierdzące musi być znowu jednogłośne; w przeciwnym razie kandydatura upada.
56. Po zaakceptowaniu przez lożę kandydata brat polecający przygotowuje kandydata do wstąpienia dom loży i po przekonaniu się, że jest on do tego skłonny, wymienia mu poufnie nazwę i naturę organizacji i zapytuje, czy się decyduje on na wstąpienie; w razie odpowiedzi odmownej brat polecający referuje o tym w loży i kwestia upada; w razie odpowiedzi twierdzącej – brat polecający zawiadamia o tym brata venerable'a, który wyznacza posiedzenie loży i zawiadamia brata polecającego o dniu, godzinie i lokalu, do którego brat polecający ma przyprowadzić kandydata.
C.d.n.

13 sierpnia, rok 1924, środa
Coraz mi puściej w Kownie przed wyjazdem na wakacje, których już czekam bardzo. W Trybunale już prawie pracy nie mam, bo wyroki, których duża ilość zaległa się była zebrała, wszystkie już prawie wykończyłem i ledwie parę niedokończonych zostało. A że posiedzeń w Trybunale nie ma teraz żadnych, bo zresztą ja jedyny z sędziów Trybunału siedzę w Kownie, więc poza pisaniem zaległych motywów do starych wyroków i przeglądaniem poczty codziennej, adresowanej do Trybunału, nic tam więcej do czynienia nie mam. Dotąd zajmowało mi to po parę, czasem po kilka godzin rannych dziennie – teraz już i godziny nie zajmuje. Druga praca, którą wykonywam w domu, to redagowanie moich zeszłorocznych zapisek masońskich, które mam dać do druku towarzystwu wydawniczemu „Varpas". Praca ta jest także bliska ukończenia, choć jest bardzo możliwe, że jeszcze mi jej trochę i na Bohdaniszki zostanie. Zapiski te mają cechę informacyjno-sprawozdawczą – ogarniają one krótkie wiadomości o masonerii w poszczególnych krajach i ruchu międzynarodowym w masonerii po wojnie. Jeszcze nie jestem pewny, czy mi tę pracę „Varpas" wydrukuje. Towarzystwo „Varpas" jest w ręku ludowców, wśród których są i nasi bracia. Ślażewicz kiedyś sam proponował, abym te zapiski wydał. Ale sprawami wydawniczymi towarzystwa „Varpas" kieruje nie Ślażewicz, lecz młody Strimaitis, student prawa, który do loży nie należy. Wie on o mojej pracy, ale jej jeszcze nie przeglądał. Nie wiadomo, czy nie zechce ściślejszych informacji o samych zasadach, obrzędach i symbolach masońskich, co wymagałoby głębszych studiów dla mojej pracy, a na bym się zdobyć nie mógł. Myślałem, że może się zdobędę przez te miesiące letniego siedzenia w Kownie na rozpoczęcie opracowywania do druku podręcznika prawa konstytucyjnego. Nie zdobyłem się jednak na to. Postaram się jednak rozpocząć to w jesieni. Nie marnowałem jednak obecnie czasu i pod względem studiów tego prawa: przestudiowałem sumiennie kapitalne dzieło Duguita, czyniąc sobie notatki i komentarze. Jeżeli moja praca o masonerii ukaże się w druku, będzie ona pierwszą na ten temat w piśmiennictwie litewskim.
Ciąg dalszy statutu Wielkiego Wschodu Litwy:
57. Po przybyciu kandydata do lokalu, w którym ma się odbyć posiedzenie loży, kandydat zostaje umieszczony w osobnym pokoju i brat polecający wręcza mu kwestionariusz tej treści:

„I. Jaki jest Pański stosunek:
a. do rodziny?
b. do społeczeństwa?
c. do ojczyzny (i w szczególności do Pańskiego narodu i do kwestii narodowej w Litwie)?
d. do ludzkości?
II. Jakie są Pańskie przekonania polityczne?
III. Jaki jest Pański stosunek do zagadnień wiary i moralności (etyki)?”.
Na każde z powyższych pytań kandydat ma udzielić odpowiedzi na piśmie, nie opuszczając pokoju, w którym go umieszczono.
58. Kiedy kandydat ukończył redagowanie odpowiedzi na kwestionariusz, brat polecający zabiera kwestionariusz i zostawiając kandydata przynosi odpowiedź na posiedzenie loży; brat venerable odczytuje je publicznie; jeżeli odpowiedź w ogólnych zarysach zadowala braci, loża poleca bratu polecającemu wprowadzić kandydata; w przeciwnym razie – po stwierdzeniu w zwykłym głosowaniu, że odpowiedź jest niezadowalająca – kandydat zostaje nie dopuszczony do loży i po zakomunikowaniu mu tego przez brata polecającego, który w jego obecności niszczy jego odpowiedź na kwestionariusz – opuszcza lokal.
59. Kandydat w żadnym razie aż do chwili, kiedy zostanie formalnie przyjęty za brata, nie może wiedzieć ani imienia loży, ani nazwisk braci, którzy do niej należą.
C.d.n.

14 sierpnia, rok 1924, czwartek
Rano o dziesiątej byłem na otwarciu wystawy druków wojennych w lokalu Klubu Wojennego „Ramovė”. Miałem zaproszenie na tę wystawę, zorganizowaną przez Wojenny Wydział Naukowy („Karo Mokslo Skyrius”), kierowany przez kapitana (czy majora) Steponaitisa. Na otwarcie wystawy tej przybył osobiście Prezydent Rzeczy pospolitej Excelencja Aleksander Stulgiński. Osób na otwarciu wystawy było niedużo. Była grupa ze 20-30 oficerów z ministrem wojny Dowkontem i kierownikiem Wojennych Kursów Wojskowych generałem Radek-Ziemkowiczem na czele, pośród której ze znajomych mi osób poznałem Velykisa, dr Brundzę, Steponaitisa, Rużancowa, adiutanta Gurewicza, poza tym była garść gości zaproszonych cywilnych, w których liczbie byli ks. Tumas, prałat Dąbrowski, dr Staugaitis, Dominik Siemaszko, Rafał Skipitis, Michał Biržiška i kilku innych. Na ogół poza grupą oficerów – gości cywilnych było zaledwie kilkunastu. Wzdłuż ogromnej – bodajże największej w Kownie sali Klubu Wojennego – ustawione były w długi rząd stoły drewniane, na których rozłożone były systematycznie okazy wystawowe – wszystkie wydawnictwa litewskie, związane ze sztuką wojenną, z organizacją armii litewskiej, z ruchem „Šaulysów”, jak również wydawnictwa popularne dla żołnierzy, prasa periodyczna dotycząca spraw wojskowych, pisemka ulotne żołnierskie, wydawane i improwizowane w pułkach, recenzje pism obcych o ruchu wojennym i wojenno-literackim litewskim itd. Na ogół całość zbioru nie byłaby imponującą w narodzie i państwie starszym, ale dla młodej Litwy, liczącej dopiero sześć lat dziejów wojskowości, świadczy ona o dużej i forsownej a systematycznej pracy na tym polu. Objaśnień systematycznych udzielał publicznie Prezydentowi, a wraz z nim i ogółowi gości sympatyczny Steponaitis, który ma pono najwięcej zasług w tej pracy. Następnie Prezydent Stulgiński wypowiedział mowę, podkreślając znaczenie wiedzy dla wojska i sztuki wojennej i wyrażając zadowolenie z oglądania tej wystawy. Na tym się uroczystość publiczna zakończyła.

Upały rozkoszne, palące słońcem i niebo jednolicie słoneczne bez chmurki budzą tęsknotę do wsi. Wieczorem obserwowałem śliczne zaćmienie całkowite księżyca w pełni.

15 sierpnia, rok 1924, piątek
Właściwie dziś powinna się była zacząć druga połowa moich dwumiesięcznych wakacji letnich w Trybunale. Ale ponieważ prezes Kriščiukaitis i Janulaitis wracają z wakacji z Połągi dopiero 19 czy 20 bieżącego miesiąca, a Trybunał po moim wyjeździe zostałby przez te kilka dni bez żadnego sędziego, więc w porozumieniu z nimi opóźniłem mój wyjazd na wakacje do 20 sierpnia. Nic na tym nie tracę, bo za to we wrześniu przeciągnę mój powrót z wakacji także do 20-go. Mogę stracić tylko na pogodzie, bo upały są w tych dniach tak śliczne i rozkoszne, jak rzadko, a że w naszym klimacie pogoda bywa bardzo zmienna, więc trudno się spodziewać, żeby te upały potrwały. Takie dnie jak teraz należą u nas zgoła do osobliwości. Dnie słoneczne bez chmurki z gorącym suchym wiatrem lądowym. Oprócz dzisiejszego mam jeszcze całe cztery dni siedzenia w Kownie. Każdy taki dzień – to jak perła stracona.
W tych dniach, włócząc się trochę w chwilach wolnych po mieście i zaglądając do kawiarni, spotykam się często z Donatem Malinowskim i Dominikiem Siemaszką, którzy są w wielkiej przyjaźni ze sobą, a jako klasyczni próżniacy – większą część dnia spędzają w cukierni. Przyjaźń tych dwojga ludzi nie jest dziełem przypadku. Zbliża ich wzajemnie nie tylko to, że obaj są głupi, obaj złośliwi i mściwi, obaj ambitni nad miarę swoich zdolności i zasług, obaj zarozumiali, wreszcie obaj plotkarze i próżniacy, ale jeszcze bardziej to, że obaj są renegatami polskimi, nienawidzącymi Polskę i Polaków, choć sami do dziś dnia prawie że nie umieją mówić po litewsku. W tragicznym losie Polaków litewskich Siemaszko i Malinowski stanowią pewien odcień swoisty. Znaczna część Polaków litewskich spolonizowała się w świadomości własnej całkowicie, zrywając z Litwą i zlewając się z polskością rdzenną. Pewna część stoi mniej lub więcej na rozdrożu, nieliczni, jak ja lub Ludwik Abramowicz w Wilnie – zachowujemy nasze oblicze mickiewiczowskie z całą świadomością jego odrębności swoistej, kochając Litwę jako wspólną naszą z Litwinami matkę, której pewien odrębny szczep kulturalny, bratni względem Litwinów rdzennych, ale też związany licznymi węzłami pokrewieństwa z Polską, tworzymy. Następnie duża jest także ilość takich Polaków litewskich – zwłaszcza tu na terytorium niepodległym Litwy – którzy, nie wierząc w odrębną przyszłość szczepową Polaków litewskich i nie umiejąc się zastosować do tej skomplikowanej świadomości mickiewiczowskiej, przechylili się na rzecz kategorycznej litewskości, usiłując się wlać całkowicie i stopić z Litwinami rdzennymi. Jedni z nich to uczynili ideowo, że wymienię tu braci Biržišków, Stadziewicza, zmarłego Dowiatta i wielu innych, inni w ostatnich czasach – dla kariery w państwie litewskim. Ci jednak – tak ideowcy, jak karierowicze – nie stali się przeważnie renegatami. Ideowcy Litwini spośród Polaków litewskich zachowali zazwyczaj głęboki sentyment do tej kultury polskiej w szczepie litewskim, która wydała w w. XIX najpiękniejsze owoce, jakimi się sama Polska poszczycić może, i walcząc nawet z zaborczymi Polski współczesnymi na Litwę najazdami – nie mogą zazwyczaj stłumić tęsknoty do innej Polski, jaka się w ich psychice streściła, i mają żal do Polski, że nie jest taką, jaką by ukochać zdołali i przeważnie pragnęli. W najrdzenniejszym otoczeniu Litwinów rodowitych, z którymi się w świadomości swej zleli, czują się jednak oni podświadomie samotni, bo w istocie nie stopili się z Litwinami i nie stłumili w sobie odrębnego typu psychicznego. Ich walka z Polską i gniew na Polskę jest inną niż u Litwinów rdzennych: ma ona w sobie więcej żalu niż nienawiści. Zgoła zaś osobną grupkę tworzą ludzie tej miary, co Dominik Siemaszko i Donat Malinowski. Ich bym

nazwał renegatami. Wprawdzie i oni czują się pomimo wszystko bardzo samotni między Litwinami rdzennymi, za jakich się mają, ale ich stosunek do Polski nie jest żalem lub dramatem podświadomych stanów psychiki, jeno najpospolitszą najprostszą nienawiścią, bardziej zażartą niż nienawiść samych Litwinów, nie mających żadnych szczególnych związków, które by ich bolały osobiście przy zerwaniu z Polską. U ludzi jak Siemaszko i Malinowski nienawiść do Polski jest mściwą, łaknącą kąsania, namiętną prawie że tak samo, jak w uczuciu płciowym. Ma Polska takich ex-Litwinów, jak Staniškis i jak wielu w Wileńszczyźnie obecnie, ma zaś Litwa takich ex-Polaków litewskich, jak Donat Malinowski i Dominik Siemaszko.

16 sierpnia, rok 1924, sobota
Trach! Zmieniła się pogoda! Dziś chłód i pochmurno. Tak, oczywiście, te nieliczne i rzadkie w naszym klimacie dni cudownej pogody, które są dla nas, mieszkańców Północy, krótkim marzeniem tropikalnym, słodkim jak tęsknota i sen o raju, zmarnowały się dla mnie w Kownie. Na Bohdaniszki mieć ich nie będę, niestety! Oby przynajmniej było ciepło przeciętne letnie, oby chłody jesienne nie popsuły mi tego miłego wypoczynku przed długą i twardą pracą zimową!
Dziwi mię, że od wyjazdu Maryni i Ewy z Kowna, choć to już ze dni dziesięć upłynęło, nie mam ani jednego listu z Bohdaniszek. A przecież bardzo ciekaw jestem, co się tam dzieje i co słychać: czy Stefan Mieczkowski jeszcze nie przyjechał, czy są już jakieś wiadomości od niego, czy Elwira zdołała się już z nim skomunikować? Jakie są wrażenia Ewy z Bohdaniszek, jak się tam czuje, jak się pieści z matką, czy się interesuje gospodarstwem matki, co robi itd.? Wszystko to wprawdzie sam zobaczę wkrótce w Bohdaniszkach, ale już rad bym coś i z listów wiedzieć – a tu nic, ani słowa. Co prawda, Marynia z Ewą tak są sobą nawzajem zajęte, jak dwa zakochane gołąbki, toteż chyba tym mogę wytłumaczyć milczenie Maryni, tak zwykle skorej do pisania listów!
Spotkałem się dziś na ulicy z p. Marią Micewiczówną. Wspominała mi ona, że ktoś z jej znajomych, który świeżo przyjechał z Wilna, mówił, że Kowno zaczyna wobec Wilna istotnie zakrawać na stolicę. Ciekaw będę sprawdzić to spostrzeżenie będąc w Wilnie. Kowno się rzeczywiście podnosi, porządkuje, ożywia; a Wilno ma być bardzo zaniedbane i niechlujne i zresztą nie posiada tempa centrum państwowego, które zyskało Kowno. Już mi dawno pisała Hela Ochenkowska, że Wilno staje się typowym prowincjonalnym miastem urzędniczym.
Ciąg dalszy statutu Wielkiego Wschodu Litwy:
60. Po otrzymaniu polecenia wprowadzenia kandydata brat polecający udaje się do kandydata, zakłada mu opaskę na oczy i doprowadziwszy do drzwi pokoju, w którym zasiada loża, puka w nie; usłyszawszy pukanie, brat dozorca zapytuje: „Kto tam?”; brat polecający odpowiada: „Brat ślepy prosi o pozwolenie wejścia”; brat dozorca oświadcza: „Proszę wejść”, po czym brat polecający wprowadza kandydata i sadowi go na wolnym krześle obok brata venerable’a lub tego z braci, który został przez lożę wyznaczony do przemówienia do kandydata; brat ten oświadcza kandydatowi, że jest on na posiedzeniu loży Wielkiego Wschodu Litwy, następnie zadaje kandydatowi zapytania w zakresie tych jego odpowiedzi na kwestionariusz, które się wydały loży nie dość wyraźnymi; każdy z braci może również zadawać kandydatowi pytania w zakresie kwestionariusza; następnie brat venerable lub brat wyznaczony do przemówienia informuje kandydata w streszczeniu o naturze i zadaniach Wielkiego Wschodu Litwy; kandydat może również żądać informacji i wyjaśnień uzupełniających co do tego, co mu się wydaje nie dość jasnym; nie dotyczy to jednak samej techniki organizacji;

następnie wyjaśnia się kandydatowi w streszczeniu istotę jego zobowiązania, wyrażonego w rocie przyrzeczenia uroczystego.
C.d.n.

17 sierpnia, rok 1924, niedziela
Pogoda poprawiła się, ale nie jest jednak tak piękna, jak była przed kilku dniami. Miałem list z Bohdaniszek od Elwiry. Biedaczka jest bardzo strapiona, a razem oburzona tym, że jej mąż Stefan Mieczkowski nic sobie nie robi z jej listów i ani się odzywa, nie kwapiąc się bynajmniej do skorzystania z pozwolenia na przyjazd do Litwy. Oprócz względów materialnych i względu na dzieci, Elwirę ta rzecz obchodzi także przez to, że tą obojętnością męża zadraśnięta jest głęboko jej ambicja osobista. Wszyscy, kto ma rodzinę lub własność w Litwie, usiłują wszelkimi sposobami dostać się tu z Polski i z Wileńszczyzny, przezwyciężają wszelkie przeszkody, często przyjeżdżają nielegalnie, nieraz narażają się na więzienie i na rozmaite inne przykrości, podczas gdy Stefan Mieczkowski, mając tu żonę, nie mogącą się uporać z ciężarami gospodarstwa ponad jej siły, i mając dzieci chore, jak Helcia, lub potrzebujące kształcenia, jak Andrzej, i mając poza tym – dzięki mojej protekcji – zupełnie bezpieczną legalną drogę przyjazdu – siedzi tam najspokojniej w Obodowcach u Mieczysia Bohdanowicza, zasmakowany w życiu kawalerskim i ani się troszcząc o rodzinę, siedzi bez żadnego celu i usprawiedliwienia, bo ani tam interesów wybitnych nie ma, ani jakiegoś zarobku, dającego mu możność pomagania rodzinie – nic. Siedzi wyzuty z obowiązków i ani się nawet odzywa. Pierwiej udawał, że się niby wybiera i usprawiedliwiał się tym, że jeszcze nie ma pozwolenia na wjazd do Litwy, a zaś inaczej, jak legalnie, przyjechać nie może, a teraz, gdy już się tym tłumaczyć nie może, milczy jak trusia. Elwirę to gorszy i boli. Wszyscy różnymi sposobami przyjeżdżają, gdy jest potrzeba, z sąsiedztwa bohdaniskiego przyjechała przecie p. Paulina Weyssenhoffowa i Walunio Weyssenhoff i świeżo p. Ludwika Roppówna, do Kowaliszek w przeszłym roku przyjeżdżała panna Jadwiga Komorowska z Warszawy, tej zimy kilka miesięcy spędziła tu Józia Pruszanowska, w samych Bohdaniszkach przyjechał przed dwoma laty Stefan Römer, obecnie – Ewa Meyerowa, a Stefana Mieczkowskiego, pomimo pozwolenia, jak nie ma, tak nie ma i ani wieści. Elwira powiada, że wstyd jej nawet przed ludźmi, którzy widzą to zaniedbanie jej przez męża i pokpiwają z legendy o jego przyjeździe, który się jakoś nigdy nie realizuje. Swoją drogą, mam nadzieję, że jednak tak ostatecznie źle nie jest i że Stefan jednak przyjedzie. Z Łotwy lub z Wilna we wrześniu napiszę do niego do Mieczysia Bohdanowicza, upominając dość ostro i stanowczo, aby Stefan nie lekceważył swych obowiązków względem rodziny. Gdyby zaś Stefan nie przyjechał, będę z własnej kieszeni wypłacał Elwirze subsydium miesięczne po 100 litów zamiast wypłacanego w tym roku w tejże sumie Maryni. Bez pomocy męża Elwira jest od Maryni biedniejsza. Marynia korzysta oprócz swojej schedy jeszcze z mojej ziemi, którą teoretycznie niby dzierżawi, ale która faktycznie jest więcej niż bezpłatna, bo w tym roku ja jej jeszcze dopłacałem do dzierżawy po 100 lt. miesięcznie. Elwira ma ziemi w swoim posiadaniu o połowę mniej od Maryni, a obowiązków – więcej.
Widziałem się dziś z malarzem Antonim Żmujdzinowiczem, do którego zachodziłem w pewnym interesie. Żmujdzinowicz dopiero co wrócił z Ameryki, gdzie spędził przeszło dwa lata. Nigdy mi się nie zdarzyło słyszeć tak ciekawego i plastycznego ujęcia wrażeń amerykańskich, jak dziś z ust Żmujdzinowicza. Miałbym ochotę opowiedzieć o tym w dzienniku.

18 sierpnia, rok 1924, poniedziałek

Skończyłem do druku moją pracę litewska o masonach, której rękopis wręczyłem w redakcji „Lietuvos Žinios” p. Felicji Bortkiewiczoej. Choć p. Bortkiewiczowa wspominała, że teraz ludowcy, w których ręku jest towarzystwo wydawnicze „Varpas”, mające ewentualnie wydać te pracę w formie książeczki, muszą mieć się bardzo na baczności, by nie dać klerykałom broni do rąk przeciwko sobie, jednak zdaje się, że się decydują na drukowanie tej pracy. Zresztą na czele ludowców i towarzystwa „Varpas” stoją p. Bortkiewiczowa i Michał Ślażewicz, którzy, będąc sami braćmi, sprzyjają osobiście popularyzacji sprawy wolnomularskiej. W każdym razie, kwestia wydania tej książeczki wypłynie realnie dopiero na jesieni, bo tymczasem uwagę i pracę zaprząta wystawa, mająca się w tych dniach w Kownie otworzyć i wybory do samorządów. Rękopis będzie jeszcze wymagał wygładzenia języka litewskiego, w którym jest przeze mnie zredagowany.
Wziąłem dziś na mój paszport zagraniczny wizę roczną w konsulacie łotewskim. Będę mógł nie tylko tym razem przejechać przez Łotwę w drodze do Wilna, ale i innym razem – aż do 9 sierpnia 1925 – zrobić specjalną wycieczkę do Łotwy.
Chciałbym wyrazić w dzienniku moje wrażenie z rozmowy wczorajszej z Antonim Żmujdzinowiczem i z opowieści jego o Ameryce. Nigdy nie maiłem szczególnego nabożeństwa do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Kocham się w podróżach, nie ma większej przyjemności, jak włóczyć się po rozmaitych krajach i poznawać coraz nowe; objechałem już prawie całą Europę i mam nadzieję jeszcze niejedną wycieczkę do Europy wykonać i poznać to, czego jeszcze nie widziałem; skądinąd nęciły mię i inne kraje, w szczególności Afryka, wyspy rozmaite, znaczna część Azji, Ameryka Południowa, ale tylko nigdy nie nęciła mię podróż do Stanów Zjednoczonych. Choć cenię ich instytucje społeczne, ich energię i rozmach życia, to jednak trzeźwy i praktyczny, na wskroś prozaiczny charakter ich rozwoju nie działał mi nigdy na wyobraźnię i nie interesował szczególnie. Miałem nawet rodzaj niechęci, może nawet przesądu europejskiego do tej cywilizacji materialnej Amerykanów, która mi się przedstawiała w kształtach jakiegoś szalonego pośpiechu, reklamy, jakiegoś potwora mechanicznego, który wszystko pochłania, zużytkowuje, przetrawia i rośnie, żyjąc jakimś życiem, które dla mnie uroku nie ma. O Ameryce czytałem i słyszałem, ale nic z tego mię w niej nie zaciekawiło. I trzeba dopiero wrażliwości artysty, jakim przecie jest Żmujdzinowicz, aby mi w krótkiej rozmowie dać taką plastykę Ameryki Stanów Zjednoczonych, która mię olśniła i po raz pierwszy dała wyczuć szczególne piękno tego zgoła odrębnego życia. Po raz pierwszy poczułem poezję nie tylko tej natury, ale też tego życia zbiorowego, poezję niezwykła dla nas, ale piękną i ciekawą do poznania. Prawda, Żmujdzinowicz, który zresztą przez dwa lata pobytu w Ameryce dużo zarobił dolarów na swoich obrazach i portretach, powiada, że w Stanach Zjednoczonych nikt obrazków ściennych nie ceni dla ozdoby mieszkania, nikt ani pojęcia nie ma o takich hasłach, jakie się w stosunku do sztuki w Europie głoszą – w rodzaju „sztuka dla sztuki” etc. Nikt tam nie ceni malarstwa dla rozkoszy estetycznej wzroku i śmiałby się tam, kto by usłyszał Europejczyków opinie o sztuce. Tam nawet nie ma w mieszkaniach ścian takich, które by się nadawały do zawieszenia obrazów, bo ściany, jak wszystko w mieszkaniu, są zużytkowane do rozmaitych potrzeb. Tam obraz – dzieło sztuki – musi służyć potrzebie: artysta namaluje obraz przedstawiający widok wspaniały – i wnet jakieś towarzystwo wycieczek automobilowych go zakupi, oczywiście ze wszystkimi prawami autorskimi do reprodukcji – i oto obraz ukaże się zaraz w reprodukcji na plakatach, obwieszczających regularne za taką a taką cenę wycieczki automobilowe, zorganizowane przez to towarzystwo do przedstawionej w obrazie miejscowości. Artysta namaluje portret kobiecy, a jakaś firma kosmetyków go zakupi i reprodukuje w reklamach, głoszących, że oto kto chce tak wyglądać, jak na portrecie, ten winien kupić

ten a ten środek. A sam portret lub obraz powędruje do muzeum, bo Amerykanie uważają, że kto się chce przypatrywać dziełom sztuki, ten powinien to robić nie w swoim prywatnym mieszkaniu, które jest przeznaczone do innego użytku i w którym mógłby tylko drobniutką cząstkę dzieł sztuki umieścić, pozbawiając jej innych ludzi, lecz w muzeum, w którym sztuka jest masowo skoncentrowana na użytek wszystkich chcących z niej korzystać.

19 sierpnia, rok 1924, wtorek
To, co mi Żmujdzinowicz o losach dzieł sztuki w Ameryce powiadał, mogłoby jeno całkowicie utwierdzić mię w mojej niechęci do Amerykanów. Ale gdy mi jął mówić o wielkim parku narodowym Yellow, w którym natura – za wyjątkiem przeprowadzenia doskonałych dróg – jest pozostawiona nietknięta, bez żadnych miast i osad ludzkich, wyjąwszy kilka hoteli dla turystów i który jest tak wielki, jak mniej więcej cała przedwojenna gubernia suwalska, gdy mi jął kreślić rozmach i ogromną skalę, na jaką zakrojone są wszelkie pomysły i dzieła Amerykanów, nową architekturę amerykańską, powstającą nie ze stylizowania form, wytworzonych przez wieki ubiegłe, lecz spontanicznie z potrzeb bieżących zbiorowego życia współczesnego – ze szkła, betonu i żelaza – z fabryk, z hal olbrzymich, z wielkich centralnych dworców kolejowych i z drapaczy chmur, gdy mi to opowiadał o ruchu i komunikacjach ulicznych w New-Yorku – tom w plastycznej opowieści Żmujdzinowicza wyczuł zaiste świat odrębny, tworzący rytm i poezję swoistą, której odmówić piękna właściwego niepodobna. Taki np. dom olbrzymi na dziesiątki pięter w Nowym Jorku, który sam jeden zmieściłby w sobie całe miasto nasze, z dziesiątkami i setkami instytucji, biur, kantorów itd. – to coś, czego my się w zakresie ruchu ani się domyślamy. Wchodzi się do takiego domu i ma się przed sobą cały szereg wind, stanowiących arterie komunikacji wewnętrznej ze swymi połączeniami i korespondencjami wzajemnymi jak jakaś sieć kolei żelaznych na ziemi. Wszędzie obwieszczenia i napisy o rozkładzie ruchu wind, o rozkładzie lokalów na piętrach i skrzydłach. Oto jedna winda bezpośredniej komunikacji na 40 pięter, przebiegająca z góry w dół i odwrotnie bez zatrzymywania się po drodze, oto druga, przebiegająca wszystkie 60 pięter ze stacjami co 10 pięter; oto rozmaite inne lokalne. Windy bezpośredniej komunikacji lecą w górę i w dół pędem szalonym jak pociąg; trzeba być przyzwyczajonym do ich biegu; zdarza się, że przy zjeżdżaniu taką windą kobiety nieoswojone z tym ruchem mdleją. W godzinach wielkiego ruchu przy wejściu do każdej windy czeka zawsze na nią cały tłum; winda nadjeżdża, staje, drzwi się otwierają, ci, co nią przyjechali, wysypują się z niej i tłum czekający niezwłocznie w nią wsiada: winda natychmiast jest pełna i pędzi. Na ulicach Nowego Jorku ruch komunikacji automobilowej jest czymś dla nas w Europie niesłychanym. Powozów konnych tam się nie widuje wcale. Jeżeli gdzieś na ulicy ukaże się koń w zaprzęgu – dzieci biegną i pokazują go sobie; koń jest bodaj taką osobliwością, jak w Kownie osioł. Na głównych arteriach komunikacji automobile tworzą jedną ścisłą masę, tak zwartą, że nie ujrzysz między poszczególnymi automobilami ani jednego metra kwadratowego niepokrytej przez nie przestrzeni. Ruch tu jest tak wielki, że do regulowania jego policjant żywy już nie wystarcza; do regulowania jego stworzono „policjantów automatycznych” w postaci baszt wysokich, z których reflektory rzucają w różnych kierunkach snopy promieni różnobarwnych, stanowiących sygnały ruchu. Gdy np. z baszty strzeli w jednym kierunku promień powiedzmy fioletowy – cała masa automobilów na danym odcinku arterii puszcza się pędem z szybkością 50 kilometrów na godzinę, co stanowi oczywiście szybkość ogromną. Wszystkie automobile musza pędzić z jednostajną szybkością, bo gdyby jeden się spóźnił lub pośpieszył – cała harmonia ruchu masowego byłaby zakłócona. Gdyby któryś automobil zwolnił,

zostałby aresztowany i ukarany. W pewnym momencie tego pędu z baszty w miejsce fioletowego strzela promień żółty na jakieś trzy sekundy, podczas których cała masa z charakterystycznym szumem maszyny hamuje bieg, aby po trzech sekundach na sygnał promieni powiedzmy białych – stanąć. W tej samej chwili w przecznicę strzela promień fioletowy, na którego sygnał puszcza się w ruch poprzeczna masa automobilów, która poprzednio, gdy pierwsze biegły, stała. Na takich wielkich arteriach komunikacja jest li tylko tranzytowa. Nie można tu w godzinach tego ruchu zajechać przed któryś dom i stanąć. Do zajeżdżania i stawania są miejsca na bocznicach, skąd już trzeba przejść pieszo.
W krótkiej opowieści Żmujdzinowicz dał mi elastyczne wyczucie charakterystycznych cech tego życia amerykańskiego i zdołał zainteresować mię niezwykle. Dla nas to jak bajka. Cóż dopiero mówić o tym ruchu nowojorskim, kiedy w naszym europejskim Londynie Żmujdzinowicz bawiąc w powrocie z Ameryki doznał wrażenia głuchego zaścianka. A na mnie Londyn przed laty 20 zrobił wrażenie takiego niesłychanego ruchu, od którego doznawałem zawrotu głowy. Trudno byłoby człowiekowi z naszej strefy kulturalnej oswoić się z Nowym Jorkiem, ale trzeba przyznać, że jest w tym dużo ciekawego i barwnego.

20 października, rok 1924, środa
Dzień wyjazdu na drugą połowę moich wakacji. W tych dniach, kiedy ja właśnie wyjeżdżam, Kowno zapełnia się mnóstwem przyjezdnych, zdążających na III wystawę przemysłowo-rolniczą litewską, która się pozajutro otwiera. Z wystawą ta połączone jest święto „Dnia Pieśni", na które zjeżdża się z całej Litwy kilka tysięcy członków towarzystw śpiewackich, poza tym będzie wystawa obrazów i rzeźb kilku artystów litewskich – Żmujdzinowicza, Piotra Rymszy, Mackiewicza, który wrócił z kilkuletniego pobytu na Capri, Šimonisa i paru innych, będzie też wystawa krzyżów litewskich i zdobnictwa ludowego, urządzona przez Varnasa, będzie opera, dramat, „Vilkolakis" itd. Słowem, będzie w Kownie wielka prezentacja całej Litwy. Byłbym ciekaw widzieć to wszystko, ale żal mi poświęcić kilka dni moich wakacji.
Wyjechałem z Kowna niewyspany, bo dwa wieczory z rzędu byłem na kolacji w „Wersalu" – pozawczoraj z Herbaczewskim i jego żoną, wczoraj – z Jadzią Čepasówną. I oba te wieczory położyłem się bardzo późno w nocy do łóżka, a zasnąłem z racji podniecenia i pieszczot Jadzi – jeszcze później. Dla Jadzi nie ma większego szczęścia, jak chodzić ze mną, a zwłaszcza zajść ze mną do kawiarni lub restauracji. Bardzo rzadko ją ta przyjemność spotyka, bo unikam afiszowania się publicznego w jej towarzystwie, ale czasem robię jej taką ucztę towarzyską. O „Wersalu" zawsze Jadzia marzyła, wiedząc o kabarecie, jaki się tam produkuje podczas kolacji wieczorem. Nie widziała ona dotąd nigdy kabaretu, ale wiedziała, że polega on na lekkich piosenkach i tańcu na scenie otwartej. Zdecydowałem się wczoraj wziąć Jadzię ze sobą do „Wersalu". Była ona w siódmym niebie. Kabaret w „Wersalu", jak to zwykle kabarety restauracyjne, jest bardzo szablonowy, ale dla Jadzi była to nowina i niesłychana sensacja: olśniewały ją zwłaszcza tancerki, demonstrujące plastykę ruchów o kształtów ciała, na poły obnażone i ukazujące reszty konturów poprzez jaskrawe gazy przejrzyste lub w błyskotkach kostiumów, uwypuklających poszczególne linie i fragmenty wdzięków kobiecych. Atmosfera zmysłowa tych produkcji scenicznych fascynowała Jadzię. Woli to ona od teatru i od wszelkich innych rodzajów sztuki.
Wyjeżdżając z Kowna na cały miesiąc, Jadzię zabieram ze sobą do Bohdaniszek. Wyjechaliśmy w południe pociągiem pośpiesznym. Na dworcu spotkałem sędziego okręgowego – starego Józefowicza, jadącego także do Rakiszek na sesję sądu okręgowego. Jechaliśmy całą drogę razem. W towarzystwie Józefowicza, lubiącego

gawędzić, droga mi mile i prędko zeszła. O godz. 11 byliśmy w Rakiszkach. Spotkał mię Stefan Römer, od którego się dowiedziałem, że obejmuje on w gimnazjum polskim w Poniewieżu posadę nauczyciela rysunków i kaligrafii. Byłoby to dobre, jeno się obawiam, żeby mieszkanie w mieście i życie samodzielne nie skłoniły go znowu do jakichś łajdactw.

21 sierpnia, rok 1924, czwartek
W Bohdaniszkach u sióstr wszystko w gospodarstwie dobrze, Urodzaje dobre, żyto zebrane, poszoru dostatek duży, u Maryni sporo owoców i pomidorów na sprzedaż. Marynia cieszy się z Ewy, a Ewa – z matki i z Bohdaniszek. Marynia z Ewą tak się trzymają siebie, jak para zakochanych. Elwiry dzieci mają się dobrze, nawet Helcia lepiej wygląda i jakoś lepiej trzyma głowę. Elwira przejęta kwestią przyjazdu męża, gniewa się na niego za to, że nic nie pisze, ale spodziewa się, że przyjedzie i liczy na moją jazdę do Wilna jako na środek oddziałania na niego w tym kierunku.
Dzień spędziłem na rozdawaniu podarunków dzieciom i grach z nimi, w których brali udział także Ewa i Stefan Römer. Po obiedzie byłem z Jadzią w Gaju, gdzieśmy się zabrali trochę do kontynuowania przerwanego w czerwcu czyszczenia lasu. Moskale tracze kończą piłować deski na dom z materiału zimowego. Zimą trzeba będzie jeszcze z 50 sztuk jodeł z Gaju wyrąbać i przywieźć na dom. W moim ogródku owocowym, zapoczątkowanym od dwóch lat, na jednym młodym drzewku urodziło mi pięć jabłuszek: są to pierwsze owoce moje.
Skorzystam z miejsca w dzienniku, by zanotować kilka słów o śledztwie w sprawie spisku kłajpedzkiego, co się dowiedziałem przed wyjazdem z Kowna od prokuratora Kalvaitisa. Jak było do przewidzenia, Penkaitis okazał się zupełnie nieodpowiednim do prowadzenia tego śledztwa. Kalvaitis, który sam jeździł do Kłajpedy, jest na niego oburzony i bardzo zirytowany, bo Penkaitis nie tylko że nie ma pojęcia o prowadzeniu śledztwa (do tego stopnia, że nie zna nawet zwykłych formuł protokołu śledczego), ale także, będąc zarozumiały i zazdrosny, nie stosuje się do wskazówek podprokuratora Żołkowskiego, któremu polecono kierowanie śledztwem. Kalvaitis wini Tumėnasa, który na własną rękę, bez poradzenia się z Kalvaitisem, wydelegował do tego śledztwa Penkaitisa na mocy tylko tego, że Penkaitis zna język niemiecki. Żołkowski, którego Penkaitis traktował w Kłajpedzie ze zwykłą mu arogancją, nie dając sobie czynić żadnych uwag, wezwał Kalvaitisa. Ten, przekonawszy się na miejscu, że Penkaitis nie nadaje się do tej roboty, po powrocie do Kowna zreferował o tym Tumėnasowi. Tumėnas za radą Kalvaitisa zdecydował się wydelegować do śledztwa sędziego śledczego Stankiewicza, jednego z najzdolniejszych i najwytrawniejszych sędziów kryminalistów z Sądu Okręgowego w Kownie. Stankiewicz, bawiący na urlopie, został zawezwany telegraficznie i udał się już do Kłajpedy. Tymczasem z Kłajpedy Żołkowski zatelegrafował, żądając, by go odwołano, bo z udziałem Penkaitisa on kierować śledztwem nie może. Penkaitis wyprawił mu znowu awanturę i na uczynioną mu uwagę o przedmiocie śledztwa zaczął na Żołkowskiego krzyczeć, bijąc pięścią o stół. Wobec tego Tumėnas osobiście udał się do Kłajpedy, by zrobić porządek. Zapewne Penkaitis będzie odwołany i śledztwo pozostanie w ręku Stankiewicza pod dozorem tegoż Żołkowskiego. Kalvaitis z oburzeniem mówi o Penkaitisie i wskazuje na to, że są to skutki tendencji zwracania większej uwagi na końcówkę nazwiska na „aitis" (Penkaitis – nie Stankiewicz), niż na kwalifikacje człowieka i dobro sprawy. Penkaitis nie tylko że nie ma pojęcia o prowadzeniu śledztwa (jest sędzią w wydziale cywilnym, poprzednio zaś nigdy w sądownictwie nie służył, nigdy w życiu ze śledztwem do czynienia nie miał), ale jest także człowiekiem bez taktu. Po przyjeździe do Kłajpedy Penkaitis zwrócił się do gubernatora Budrysa, chcąc zupełnie poważnie, by ten mu dostarczył

sztuczne wąsy, brodę i perukę do urzędowania śledczego, aby go na ulicy nie poznano i nie wykonano na nim aktu zemsty. Bo trzeba wiedzieć, że Penkaitis jest wielkim tchórzem. Ta propozycja wąsów, brody i peruki jest znana w całej Kłajpedzie i stała się przedmiotem powszechnych drwin. Takie ośmieszenie dygnitarza, nadesłanego z Kowna do śledztwa w sprawie spisku o zamach stanu nie przyczynia się do powagi władzy.

22 sierpnia, rok 1924, piątek
Jak się zadżdżyło wczoraj wieczorem i lunął w nocy deszcz szalony z wichrem, tak lał przez noc i dzień dzisiejszy cały nie szarugą jesienną, ale całymi strumieniami i potokami, jak żeby się chmury oberwały i całą masą wody naraz spadały. Aż ciemno było od deszczu, aż mgła zasłaniała najbliższe przedmioty za oknem. Wicher wył, koło południa huczały pioruny, grad miejscami padał, a woda płynęła i płynęła z nieba. Wszystkie łąki zalane, ruczaje wezbrały jak na wiosnę w czasie topniejących śniegów. Ani marzyć było o spacerze, a tym bardziej o pracy mojej w Gaju.

23 sierpnia, rok 1924, sobota
Dziś wreszcie pogoda umożliwiła mi miłą rozrywkę Gajową. Wprawdzie jeszcze rano przed obiadem deszcz wygnał nas z Jadzią z Gaju, ale za to po obiedzie pracowaliśmy już do wieczora jak najlepiej i wytrzebiliśmy spory kawałek z zarośli pasożytniczych. Praca ta pochłania mię namiętnie jak sport.
Przed paru tygodniami zacząłem pisać w dzienniku obszerniej o Jadzi, potem przerwałem, bom miał aktualniejsze rzeczy do pisania. Skorzystam obecnie z czasu i miejsca w dzienniku, by skreślić ten oryginalny i miły stosunek mój z Jadzią. Po wyprawieniu Jadzi w roku 1922 wziąłem z Bohdaniszek na służącą Helenę Bogusławską z Rukiel (rodzącą się z Jachimowiczówny z Bohdaniszek). Z Jadzią jednak stosunku nie zerwałem. Przyjechała ona w jesieni r. 1922 do Kowna szukać sobie posady i stosownie do udzielonego przeze mnie pozwolenia zamieszkała u mnie do czasu znalezienia służby. Helena Bogusławska, dziewczynka surowa, wzięta do miasta wprost z domu ze wsi i nie mająca pojęcia o służbie, nie mogła się równać z Jadzią, giętką, usłużną, zręczną, wdrożoną do służby u mnie. Toteż tęskniłem do Jadzi i przez to, gdy przyjechała, przyjąłem ją bardzo serdecznie. Pomogłem jej znaleźć służbę, bom nie mógł jej wziąć do siebie i oddalić bez powodu Helenę, ale te kilka dni, które Jadzia wtedy spędziła u mnie, bardzo nas zbliżyły. Jadzia, która zawsze miała pewien pociąg sympatyczny do mnie, uzupełniła go uczuciem żalu za straconą u mnie służbę, moja zaś serdeczność i pieszczoty, które zresztą nie dochodziły w tym czasie do żadnych bezpośrednich igraszek płciowych, podniecały ten jej żal i tęsknotę oraz sympatię do mnie. Jadzia znalazła miejsce, ale odtąd stale przychodziła do mnie niedzielami i zaprzyjaźniła się z Heleną. Jadzia w ogóle do nowych znajomości nie jest skora, w Kownie żadnych znajomości osobistych i przyjaciółek nie ma. Gdy Jadzia przychodziła, byłem dla niej zawsze serdeczny, gościnny, wesoły – żartowałem, gawędziłem, śmiałem się, częstowałem ją. Potem Jadzia przez zimę z roku 1922 na 1923 miała służbę na wsi pod Kownem u nauczycielki wiejskiej i stamtąd po parę razy na miesiąc wyrywała się do Kowna i zawsze u mnie wtedy czas spędzała, nieraz nocując u mnie. Wywiązał się między nami stosunek żartobliwo-zalotny, ale nigdy nie posunął się on dalej poza pocałunki, które zresztą zdarzały się i dawniej, gdy Jadzia jeszcze służyła u mnie. Tak się rzeczy miały do wiosny roku 1923. W maju Jadzia porzuciła poprzednią służbę na wsi i zaczęła szukać służby w Kownie, zamieszkawszy u mnie tymczasem. Przemieszkała wtedy u mnie parę tygodni, podczas których nasz stosunek rozwinął się w kierunku wybitnie zmysłowym. Jadzia nocami, gdy Helena

spała, zaczęła przychodzić do mnie do łóżka i pieścić się, realizując zaloty dzienne dreszczem głębszych namiętności płciowych, które – choć szły torami coraz subtelniejszych i gorętszych praktyk, zwanych potocznie rozpustą – nie złamały jednak jej dziewictwa.

24 sierpnia, rok 1924, niedziela
Dzień dżdżysty i pod wszelkimi względami przykry. Niedziela, więc do Gaju na robotę nie szedłbym, gdyby nawet była pogoda. Pod tym więc względem niepogoda ujmy mi nie uczyniła. Przed obiadem przyjechał z Koźliszek Zygmunt Rutkowski ze swą siostrą Basią Rutkowską. Zygmunt ma jechać jutro z Elwirą do Norwidyszek do pani Wasilewskiej po pożyczkę. P. Wasilewska, która ma teraz kieszeń pełną dolarów ze sprzedaży Norwidyszek, jest przedmiotem licznych tego rodzaju pielgrzymek i hołdów, których atrakcją są jej dolary.
Czuję się źle, mam zmartwienie, o którym jednak pisać nie będę. Moja duma jest zadraśnięta i nie pozwala mi się skarżyć.

25 sierpnia, rok 1924, poniedziałek
Pogoda się poprawiła, choć z rana była jeszcze ciężka, pełna chmur ołowianych. Przez cały dzień – do obiadu i po obiedzie do wieczora – byłem z Jadzią w Gaju. Wycinanie pasożytniczych zarośli czyni postępy. Zdaje się, że wkrótce skończymy z Jadzią czyszczenie tej działki lasu, którąśmy zaczęli czyścić w czerwcu. Zaczynam też kopanie dołów pod sadzenie dalszych drzewek owocowych w zakładanym przeze mnie ogrodzie. Tracze zakończyli dziś piłowanie belek i desek z materiału, zwiezionego tej zimy na mój dom. Ogółem piłowanie kosztowało mię w tym roku koło 800 litów.
Była dziś w moim stosunku z Jadzią ostra burza, pełna wybuchów z mej strony i płaczu oraz bólu Jadzi, która zresztą, manewrując z właściwą kobietom giętkością i instynktem, w których Jadzia celuje, stopiła wreszcie wszystkie pioruny nerwów i krzyku w słodką harmonie pieszczot i serdeczności gorącej. Wszystko jest dobre, co dobrze się kończy.
Elwira otrzymała list od męża z zapewnieniem przyjazdu. Wie już o pozwoleniu na wjazd do Litwy i pisze, że już się stara o paszport na wyjazd z Polski do Łotwy, aby tu przyjechać. Elwirę to uspokoiło.

26 sierpnia, rok 1924, wtorek
Jeździłem z Marynią rano do Rakiszek. Miałem interes własny do Pejsacha Rucha, a Marynia wybrała dzień dzisiejszy dla mojej jazdy dlatego, że dziś u sędziego pokoju w Rakiszkach była rozpoznawana jej sprawa cywilna z gospodarzami wsi Wiwieliszki o paszę w lesie montowskim. Maryni chodziło o to, abym był obecny na sprawie, chociaż w niej udziału nie biorę. W Bohdaniszkach nigdy nie było i nie ma żadnych serwitutów pastwiskowych na rzecz wiosek sąsiednich i nigdy dawniej za życia Papy żadna z wiosek nie próbowała przywłaszczać sobie prawa do pastwiska w lasach dworskich bohdaniskich. Nie było wypadków jawnego paszenia ani żadnych procesów sądowych o to. Ale teraz po wojnie wsie okoliczne, rozzuchwalone reformą agrarną i prądami demagogicznymi w polityce państwowej, zaczęły rościć różne pretensje i próbować je realizować. Przed czterema laty uczyniły to Boniuszki, pasąc bydło w Kumszach, ale zostały za to wyrokiem sądowym skazane ma zapłacenie odszkodowania. W tym zaś roku wystąpiły z pretensją Wiwieliszki i przez całe lato pasły jawnie konie i bydło tak w Montowszczyźnie na lesie Maryni i Elizki Komorowskiej, jak w Staczeragach na lesie Elizki i Elwiry. Marynia (Elwira także) zaskarżyła gospodarzy wiwieliskich do sądu. Sprawę musiała wygrać i wygrała, bo Wiwieliszki żadnego tytułu do poparcia swych

roszczeń nie miały. Na rozprawie nasłuchałem się do syta kłamstw pozwanych wiwieliskich. Byłem nimi tak oburzony, że po wyjściu z sądu ostro podniesionym głosem zacząłem się na Wiwieliszczan za ich obłudę gniewać, nade wszystko zaś byłem oburzony kłamliwymi insynuacjami pozwanego Jovaišisa. Jovaišis kupił w roku 1921 czy 1922 od Kotuni Pruszanowskiej należącą do Bohdaniszek włókę ziemi w Wiwieliszkach. Ledwo że z naszą pomocą uporał się po kilku leciech procesu z dotychczasowym dzierżawcą dworskim tego gruntu Bejnarowiczem i w tym roku na wiosnę osiadł w Wiwieliszkach. Dobrze mu było wiadomo, że kupując od Pruszanowskiej nie nabył żadnych praw pastwiskowych w lesie Maryni, toteż jego kłamstwa i wymówki najbardziej mię oburzyły. Karcąc w uniesieniu Wiwieliszczan, nazwałem Jovaišisa w oczy „żulikiem". Ten się obraził, bo było to powiedziane publicznie na ulicy, a jeden z pozwanych – młody Kundrotas – zaczął go podjudzać do oskarżenia mię o obrazę. Przypuszczam nawet, że przegrałbym, gdyby mię zaskarżył, bo bądź co bądź obraza jest obrazą. Nie bałbym się w tym razie samego oskarżenia i ewentualnego skazania na grzywnę, ale byłoby mi przykrym ujawnienie, że moją zapalczywością wywołałem rodzaj burdy ulicznej. W ogóle spostrzegam, że z wiekiem zaczyna się u mnie rozwijać popędliwość i skłonność do krzyczenia i gniewania się – zupełnie taka sama, jaką miał na starość Papa i dziad Seweryn Römer. Jest to coś dziedzicznego. Trzeba się będzie starać przezwyciężać tę popędliwość siłą woli, bo nie jest to cecha ani dobra, ani miła. A gdy się unoszę w gniewie i krzyku, to gotów jestem bić i łajać, nie panując nad sobą i stając się w tej wściekłości prawie że niepoczytalnym. Dziwnie, że ta popędliwość wybuchów gniewu kojarzy się u mnie z naturą z gruntu łagodną.

27 sierpnia, rok 1924, środa
Cały dzień spędziłem z Jadzią na wycinaniu chrustu w Gaju. Oprócz tego, co my z Jadzią sami wytniemy i co wyrąbali mi robotnicy w czerwcu, teraz dałem jeszcze po działce na wycięcie chrustu Adamowiczowi, kowalowi Błażewiczowi i mojemu chrzestnemu synowi Nemeikšysowi. Około połowy Gaju będzie wskutek tego w tym roku oczyszczona z zarośli pasożytniczych, szkodzących porostowi młodego lasu. A las porasta śliczny, warty opieki troskliwej. Najliczniejsze są osiny i jesiony, drugie miejsce zajmują brzozy i jodły, rzadsze są dęby i najrzadsze – jak perły na dnie morza – znajdują się w gąszczu lipki. Wszelkie inne gatunki drzew i zarośli – leszczynę, czeremchę, jarzębinę, łozę, białą olchę, kalinę – wycinam bez pardonu. Trafiają się także dzikie jabłonie, których nie ruszam. Sosenki młode w całym Gaju znalazłem dotąd tylko dwie, klonik – jeden jedyny.

28 sierpnia, rok 1924, czwartek
Dnie dość pogodne, ale już czuć jesienią. Choć przymrozku nie było, liście na drzewach już żółkną. Wakacje o tej porze roku, pod jesień, nie są tak przyjemne, jak w początku lata lub w pełnym lecie. Słońce – a przeto i dnie – już wyraźnie schyłkowe. Pomimo to – nie śpieszy mi się jeszcze do Kowna. Czeka mię tam tej jesieni ciężka praca, o której z niepokojem myślę. Chodzi o prace uniwersytecką. Będzie ona podwójna i w obu kierunkach trudna. Muszę już zacząć redagowanie wykładów prawa konstytucyjnego do druku, a oprócz tego opracowywać wykłady bieżące. I jedno, i drugie będzie ciężkie. Wprawdzie mam w rękopisie moje wykłady dawniejsze, ale pod wpływem studiów, które pogłębiają moją własną wiedzę, tak wciąż zmieniam i przekształcam moje poglądy i analizę zasadniczych założeń i poszczególnych instytucji tej dyscypliny, że nie mogę już uważać tego rękopisu sprzed dwóch lat za wyraz moich tez naukowych. I w wykładach, i w pracy do druku muszę tak treść, jak układ przedmiotu głęboko

przerobić. Największy wpływ wywarł na mnie Duguit. Choć się na wiele jego poglądów nie godzę, jednak pod wpływem jego krytyki wypada mi przeanalizować wszystkie moje dawne twierdzenia, oparte przeważnie na konstrukcjach Jellineka, którego założenia Duguit mocno w umyśle moim zachwiał. Ze strachem myślę o ogromie roboty, która mię czeka.
Między dniem dzisiejszym a powrotem do Kowna stoi jeszcze moja zamierzona wycieczka do Wilna, której bardzo ciekaw jestem. Czekam jeno na przysłanie mi z Kowna mojej pensji miesięcznej, aby móc się wybrać w tę podróż. Spodziewam się koło przyszłego piątku wyjechać. Ale ta wycieczka do Wilna i zapewne Grodna będzie króciutka – zaledwie na tydzień, a za powrotem z niej zaraz wypadnie mi do Kowna wracać.

29 sierpnia, rok 1924, piątek
Zmachany jestem strasznie wycinaniem chrustu w Gaju. Pracujemy teraz nad tym z Jadzia forsownie, bo chcielibyśmy przed niedzielą skończyć tę robotę, to znaczy zakończyć wycinanie w tej działce lasu, którą w czerwcu czyścić zacząłem. Więcej już w tym roku wycinać osobiście nie będę. Od forsownej roboty bolą mię nie tyle ręce, ile krzyż i plecy, bo się ciągle zginać przy wycinaniu trzeba. Jadzia bardzo dzielnie mi pomaga. Pracujemy na zmianę, ale ona pracuje więcej ode mnie. Czas nam na tej robocie mile schodzi. Jadzia czuje się w tej robocie nie służącą, lecz towarzyszką moją i za taką ja też traktuję; bo tez istotnie nie jest to robota, którą można byłoby wymagać od służącej.
Wracając po całodziennej pracy w lesie do domu, marzy się już tylko o jednej rzeczy – o śnie. Bohdaniszki ułatwiają znakomicie realizację tego marzenia, bo o godz. 7 (wprawdzie według czasu kolejowego, który stosownie do zegara środkowoeuropejskiego późni się o 40 minut od czasu słonecznego) cały dom, bardzo spracowany przez dzień letni, pogrąża się w śnie, aby nazajutrz raniutko – omal nie ze słońcem – wstać znowu do roboty.
Miałem dziś list od Eugeniusza Römera, który mi pisze w sprawie mojej zamierzonej jazdy do Wilna. Był on niedawno w Rydze (zdaje się, że i w Wilnie) i zapewnił mi w tamecznych urzędach konsularnych polskich uzyskanie przepustki na jazdę do Wilna. Toteż radzi mi jechać nie na Dyneburg, lecz na Rygę. Sądzę jednak, że można spróbować w Dyneburgu, który jest od nas znacznie bliżej, a dopiero gdy się nie da, można pojechać specjalnie do Rygi.

30 sierpnia, rok 1924, sobota
Chciałem już skończyć wycinanie chrustu w Gaju, bo jesteśmy już z Jadzią oboje przemęczeni i przesyceni tą robotą, która, choć sama przez się jest miła, jednak wykonywana zbyt forsownie bez przerwy staje się *á la longue* prawie że nieznośną. Trzeba ją wykonywać z pewnymi przerwami. Jest w niej coś z namiętności, z jaką się pije wódkę. Gdy się pije – pragnie się pić jeszcze i jeszcze, ale gdyby się piło co dzień, to po kilku dniach takiego picia miałoby się tego dosyć. Za to po pewnej przerwie pije się znowu z tą samą chęcią i namiętnością. Na przyszły rok znowu z rozkoszą wycinać będę ten chrust w Gaju, ale teraz mam już tego dość.
Nie skończyliśmy jednak naszej działki. Jadzia pokaleczyła sobie palce, ja byłem już wyczerpany z sił i tak zbolały w krzyżu i plecach, że ledwie się ruszać mogłem. Wróciliśmy więc wcześniej niż zwykle do domu, a dokończenie roboty odroczyliśmy do poniedziałku.

31 sierpnia, rok 1924, niedziela

Zabrałem się do dalszego ciągu segregowania olbrzymiego archiwum korespondencji, pozostającego po okupacji niemieckiej w stanie zupełnego chaosu. Są to całe stosy listów, pisanych przeważnie do mojego Ojca, do Matki, do Elwiry Mieczkowskiej za jej czasów panieńskich i osobiście do mnie. Rozdzielam te listy podług adresatów i chronologicznie podług lat. Potem systematyzuję je chronologicznie w granicach każdego roku. Jest to ogromna robota, którą nie wiem, czy wykonać za życia zdołam, zważywszy, że robić ją mogę tylko przygodnie. Sama korespondencja mojego Ojca stanowi ogromny zbiór listów, ogarniający okres około 60 lat – od 60-tych lat wieku XIX do roku 1920. Moja korespondencja osobista ogarnia tez przeszło 30 lat – od 90-tych lat wieku XIX dotychczas, korespondencja Mamy i Elwiry ogarnia okres mniej więcej 30-40 lat – najliczniejsze są listy z 90-tych lat wieku XIX i z początku wieku XX do wybuchu Wielkiej Wojny w roku 1914. Jest też pewna ilość listów luźnych, pisanych do rozmaitych osób. Archiwum korespondencji ogarnia tylko część ogólnego archiwum bohdaniskiego, na które składają się też rozmaite inne papiery, dotąd jeszcze nie uporządkowane. Pracę systematyzacji archiwum korespondencji zacząłem przed paru laty, ale mniej więcej od roku jej nie prowadziłem.
Do Kowna zabiorę ze sobą zbiór starych klisz z mojej praktyki fotografii amatorskiej od roku 1901. Nauczę Jadzię wykonywania odbitek z klisz i z jej pomocą poodbijam wszystkie dla kompletu. Miałem przed wojną taki komplet, ale za okupacji niemieckiej straciłem go. Dobrze, że pozostały klisze. Mój stary aparat fotograficzny, który już zresztą w ostatnich latach był nieco uszkodzony, zginął za okupacji. Teraz mam już zbiorek nowych klisz, wykonanych przez Stefana Römera moim nowym aparatem, kupionym w roku bieżącym. Nowy aparat okazał się bardzo dobry – jest cały szereg doskonałych zdjęć.

1 września, rok 1924, poniedziałek
Marynia z synem Stefanem pojechała na targ do Rakiszek. Powiozła na sprzedaż jabłka, pomidory, jęczmień, jaja. Już to Marynia w jesieni ani jednego targu rakiskiego nie opuszcza – zawsze coś z ogrodów swoich wiezie, sama na rynku sprzedaje z wozu i dobrze na tym wychodzi. Jest ona ruchliwa i przedsiębiorcza, ale naturę ma szeroką, co może jest u niej właśnie z przedsiębiorczością ściśle związane, bo zamiast się skąpić i oszczędzać, by uciułać jakiś grosz zapasowy, Marynia wszystko, co weźmie, pcha natychmiast albo na jakieś wydatki uboczne, albo na obrót gospodarczy, realizując jakiś pomysł. Wprawdzie wskutek tego gospodarstwo u niej rośnie i rozwija się, ale też siedzi sama stale bez grosza, ma różne zaległości wypłat i długi i jest w ciągłej potrzebie pieniędzy. Jako dzierżawczyni mojej schedy w Bohdaniszkach Marynia jest dla mnie i dogodna, i niedogodna. Dogodną jest przez to, że nie wyjaławia mi ziemi i że jestem zabezpieczony od jakichkolwiek roszczeń i nieporozumień z jej strony, ale niedogodną jest przez swoją niewypłacalność i przez to, że czyniąc jej dla względów rodzinnych ulgi nie mam żadnego dochodu z mojej ziemi. Przez dwa pierwsze lata dzierżawy nie brałem od niej żadnej [opłaty][185], w trzecim zaś roku – ubiegłym gospodarczym – nie tylko że nie brałem, ale jeszcze, widząc ją ciągle bez grosza, sam jej dopłacałem po 100 litów miesięcznie zapomogi. W tym roku zapomogi nie będę już dawać, bo urodzaje są dobre i gospodarstwo się wzmocniło, ale jeszcze zapłatę jej daruję. Widzę jednak, że stan jej w istocie nie jest taki, by nie mogła mi nic płacić. Na przykład, z małego kawałka ogrodu na moim skrawku Ogrodu Lipowego weźmie z samych pomidorów kilkaset litów. Tymi pomidorami mogłaby już opłacić całą dzierżawę 70 hektarów moich pól i łąk. Gdy zaś nie płaci, to ten dochód wsiąka w ogólny obrót jej wydatków i

[185] U autora: „dzierżawy".

zdaje się, jak żeby go nie było. Oprócz tego udzieliłem jej kredytu. Przed dwoma laty pożyczyłem jej 100 dolarów na dzierżawę ogrodów Stawskiego. Dług ten spłaciła mi przeważnie robocizną w wyrębie i zwózce budulca z Gaju na mój dom. W tym roku w czerwcu, widząc, że zamierza zaciągnąć pożyczkę u p. Wasilewskiej, sam jej zaproponowałem tańszą pożyczkę roczną u mnie na 100 dolarów na 15%. Wzięła ją ode mnie, ale swoją drogą pożyczyła i od p. Wasilewskiej. W przyszłym roku z opłatą tego długu z pewnością znowu [będzie] zwłoka.
Umówiłem dziś mego chrzestnego syna Michała Nemeikšisa na leśnika do Gaju po 25 litów miesięcznie gotówką. Leśnika obowiązana była utrzymywać Marynia, ale w tym roku od wiosny nie trzymała, polecając niby pilnowanie Gaju kolejno parobkom. Na taką kombinację nie mogłem się zgodzić i sam leśnika nająłem, ale Marynia będzie mi musiała ten koszt opłacić.

2 września, rok 1924, wtorek
Mnóstwo się znajduje amatorów na wycinanie w Gaju chrustu, który daję wycinającemu na połowę. Wyznaczam chrust do wycinania działkami. Zajęli działki: Adamowicz, kowal Błażewicz, Michał Nemeikšis, Konstanty Zybalis, Sadowski z Prapultini i Jan Juodelė, a zgłosili się jeszcze: jeden z Tumėnasów, synów Józefa, i Jachimowicz młody, syn Mateusza.
Pracowałem nad porządkowaniem archiwum listów.

3 września, rok 1924, środa
Porządkowałem archiwum listów. Natrafiłem na rozmaite „*curiosa*” albo przynajmniej wydające się „*curiosami*” z perspektywy dnia dzisiejszego. Oto w jednym z lisów do Elwiry Regina, jako narzeczona moja, pisze o swej miłości dla mnie, oto w innym Kotunia Pruszanowska nawołuje siostry do kochania się wzajemnego, by sobie tym zastąpić „oziębłe serce brata”, to znaczy moje (!), oto płomienne listy do Elwiry licznych kochających się w niej młodzieniaszków, oto posępne, rozpaczy i analizy pełne, długie listy Eugeniusza Falejewa do Elwiry, spowiadające się z miłości do Maryni Rosenówny-Stawskiej i z dziejów katastrofy tejże miłości, oto słoneczne i świeże listy małżeńskie Mamy do Papy z lat 70-tych w. XIX, oto pełne zgorszenia bolesnego listy stryja Kazimierza Römera do Papy o mnie z czasów „Gazety Wileńskiej”, oto listy tyczące karnawałów ryskich i wileńskich moich siόstr oraz Zuńki Wołodkowiczówny-Chełchowskiej itd., itd. W listach tych przepływa całe życie rodziny, w które się wplatają epizody osobiste każdego z nas. Są one jeszcze pełne bezpośredniego wyrazu życia dla nas.

4 września, rok 1924, czwartek
Wyjeżdżając z Kowna prosiłem sekretarza Trybunału Vaidelisa, aby wziął za mnie moją pensję za sierpień w uniwersytecie i Trybunale, płatną na 1 września, i wysłał mi ją tu zaraz na imię Pejsacha Rucha do Rakiszek. Licząc, że Pejsach musiał już te pieniądze otrzymać, pojechałem dziś w towarzystwie Ewy do Rakiszek. Pieniądze już zastałem. Część pieniędzy – w ilości 1000 litów – Pejsach stosownie do mojej prośby wymienił mi na dolary (100 dolarów), które mi są potrzebne na jazdę do Wilna. W Rakiszkach odwiedziłem też rejenta Urbanowicza, który jest zawsze niezwykle dla mnie serdeczny. Podejmował mię bardzo gościnnie śniadaniem.
Wobec tego, że mam już pieniądze, jutro rano wyruszam w podróż. Jadę do Dyneburga, gdzie będę się starał o pozwolenie na wjazd do Polski. Wiozę ze sobą 242 dolary dla Kotuni Pruszanowskiej ze sprzedaży jej lasu i paręset litów dla Henrysia Wołłowicza. Wycieczka do Wilna trochę mię porusza. Czuję niby pewien niepokój; zdaje mi się, że i

chcę jechać, i nie chcę. Oby mi się wszystko pomyślnie powiodło, a zwłaszcza w stosunku do córki i do dzienników!

5 września, rok 1924, piątek
W nocy spałem bardzo mało. Obudziłem się o godz. 12 ½ po północy i już nie spałem, a o godz. 1 ½ przyszła do mnie Jadzia, aby mię budzić, bym wstawał. Musiałem wyjechać o trzeciej, bo do Abel jadę z Jadzią, którą na czas mojej nieobecności uwalniam do domu. Jadzia jedzie ze mną do Abel, skąd pociągiem do Rakiszek, a że ten pociąg odchodzi o godz. piątej, więc wypadło wcześniej wyjechać, mój bowiem pociąg na Łotwę odchodzi dopiero o godz. 6 ½. Dniało, gdyśmy wyjeżdżali z Bohdaniszek. Z łąk rozległych niziny między Abelami a Krewnami, z bagien i wód tego wielkiego zagłębienia terenu, pozostałego po prawiecznym jeziorze olbrzymim, podnosiły się gęste opary, które wkrótce zaciągnęły jednolitą białą mgłą całą przestrzeń dokoła, nie wyłączając wzgórz i płaskowzgórzy, po których idzie droga abelska. Wilgoć kroplista była rozlana w powietrzu, czepiając się wszelkich sprzętów, odzieży, liści drzew itd. Zdaje się, że już będzie koniec pogody słonecznej i suchej, która tak pięknie zdobiła wczesną jesień paru ostatnich tygodni. Prędko dojechaliśmy z Jadzią do Abel. Droga abelska – w granicach gminy abelskiej – przerobiona obecnie została na gościniec i jest szeroka, zreperowana, wygodna, jaką nigdy nie była. Jest ona początkiem gościńca z Abel do Komaj, ale gościniec ten dochodzi tylko od Abel do granicy gminy rakiskiej, która, nie będąc zainteresowana tym gościńcem tranzytowym, przecinającym jej kresy, nie chce robić z pospolitej drogi gościńca. Pierwszy raz jechałem tym nowym gościńcem abelskim. Jadzia, która niezmiernie lubi jeździć ze mną, była wesoła i ekspansywna; swoim szczebiotaniem i figlarnym humorem zabawiała mię cała drogę; zapomniała prawie o smutku rozstania ze mną i o swoich wiecznych obawach zazdrości, gdy wyjeżdżam sam dokądś; roją się jej wtedy wizje jakichś przygodnych miłostek moich i biedna dziewczynka traci głowę. Wkrótce Jadzia odjechała. Wsiadłem i ja do mego pociągu, który już stał w Abelach od dawna. Przed odejściem pociągu urzędnicy litewskiej komory celnej dokonali w wagonach rewizji bagażów, żandarmeria zaś sprawdziła paszporty podróżnych. Pociąg ruszył. Po drodze do Jodłówki stanął na króciutko na ostatniej drobnej stacyjce litewskiej „Šapeliai", utworzonej podczas wojny, i wjechał na terytorium Łotwy – na historyczną Semigalię („Zemgale"), której cząstka od obecnej granicy państwowej za Jodłówką była w r. 1919 odzyskana od bolszewików przez wojska litewskie i zostawała w posiadaniu Litwy do października 1920, kiedy Łotysze, skorzystawszy z najścia Żeligowskiego na Wilno i z wojny litewsko-polskiej, usunęli Litwinów przemocą z tego skrawka Semigalii i wcielili go do swego terytorium państwowego, co następnie zostało usankcjonowane arbitrażem w sprawie granic litewsko-łotewskich. Oto i Jodłówka – po łotewsku „Eglaine", po litewsku „Įlaukė" albo „Eglaitė" – pierwsza stacja łotewska. Ludność tu dokoła mieszana – sporo Litwinów, najliczniejsi pono starowierzy Rosjanie, trochę Łotyszów, nieco ludu spolonizowanego, zwłaszcza w kierunku Kałkun i Jezioros. Na stacji słychać najwięcej język rosyjski. Krótka łotewska rewizja bagaży w wagonach. Pociąg litewski dochodzi aż do Kałkun, przezwanych przez Łotyszy Grzywą („Gryva") od nazwy przedmieścia dyneburskiego po semigalskiej stronie Dźwiny. Pociągi łotewskie Jodłówki nie obsługują wcale. Pociąg rusza dalej. Między Jodłówką a Kałkunami w wielkich lasach liksnieńskich przecinamy linię wielkiego pobojowiska z Wielkiej Wojny: tędy szła olbrzymia linia frontu, ciągnąca się od Bałtyku do Morza Czarnego, na której stały niewzruszenie przez dwa długie lata od r. 1915 do 1917 walczące armie rosyjskie i niemieckie. Tu szedł front nieustający walki nieruchomej, front dwuletniej wojny okopowej. Przejeżdżałem tędy w r. 1920. Ślady pobojowiska nie zginęły dotąd, a

ponieważ tu jest las – pozostaną zapewne na zawsze. Na przestrzeni kilku, a nawet bodaj kilkunastu kilometrów cały grunt podziurawiony i poryty okopami, rowami podchodowymi, dołami blindaży, granatników o ziemianek, wyrwami pocisków itd. Sterczą jeszcze drzewa uszkodzone pociskami, odarte z wierzchołków, ale już pobojowisko zalewa się rosnącym gęsto młodym lasem, przeważnie brzozowym, który pokrywa młodym życiem doły śmierci człowieka. Zbliżamy się do Kałkun. Cała droga z Abel do Kałkun tak mi jest znajoma od lat dziecinnych, że nie ma na niej pono ani jednego epizodu, który by mi się wydał obcy. Wszak tędy całe moje życie jeździłem i nie ma świecie drogi żelaznej, która by mi była bardziej znana od tej. Dopiero co Litwę pożegnałem, a oto stąpiwszy zaledwie na ziemię łotewską – już mi jakiś żal tęskny za Litwą ściska serce. Może to dlatego, że jadąc do Wilna – choć na tydzień tylko – czuję, że naszą niepodległą Litwę kochaną będą miał odciętą od siebie, że oto wkrótce w Wilnie we władzy Polski będę od tej naszej istotnej litewskiej Litwy tak oderwany, jak żebym był gdzieś w Chinach albo jeszcze bardziej. O. Litwo, jednak nie ma dla serca mego słodszego kraju i słodszego pobytu, niż na Twoim niepodległym łonie. Dla mnie – Polaka litewskiego, któremu bliżsi są Polacy litewscy, niż Litwini rdzenni – Wilno pod panowaniem polskim z Warszawy, choć jest zaludnione przez tychże Polaków litewskich, jest o wiele dalsze i bardziej obce, niż Kowno, rządzone przez Litwinów rdzennych, w którym Polacy litewscy udziału w rządzeniu prawie że nie mają. Bo dla mnie istotnie Litwa i tylko Litwa jest Ojczyzną. Różnica między Litwinem rdzennym a tzw. Polakiem litewskim jest w moich pojęciach i w moim sercu tylko różnicą odcieni litewskich, tylko fragmentami barw etnicznych krajowych, podczas gdy Polska i Polacy właściwi – to tylko sąsiedzi, wprawdzie osobiście dla mnie bliżsi od innych ludów i kochani, ale bądź co bądź nie swoi, nie rodacy.

Z Kałkun przejechałem niebawem pociągiem lokalnym do Dyneburga. Pociągi stają teraz w Dyneburgu na dawnym Dworcu Ryskim. Już na dworcu opadli mię w Dyneburgu faktorzy Żydzi, którzy zwąchali, że jadę z Litwy do Polski. Nie dawali mi potem ani chwili spokoju, narzucali się ze swymi usługami, pośredniczyli w załatwianiu formalności przepustki polskiej i wizy łotewskiej, gwałtem mi pchali pieniądze na wymianę, udzielali nieproszonych rad i wskazówek, byli nieznośni – a nie było wprost możności odczepienia się od nich.

W konsulacie polskim poszło mi bardzo gładko. Urzędnik konsulatu, do którego się zwróciłem, spytał mię na razie, w jakim celu chcę jechać do Polski i dokąd mianowicie, a gdym mu powiedział, że dla zobaczenia się z córką, która jest w Grodnie, poprosił mię o pokazanie paszportu litewskiego. Gdy przeczytał moje nazwisko, spytał, czy nie mam krewnych w [powiecie] rzeżyckim. Odpowiedziałem zaraz, że mam kuzyna w Janopolu – Antoniego Römera. To wystarczyło w zupełności, bo Antoni Römer, syn śp. stryja Kazimierza, były oficer polski, jest w stałych bliskich stosunkach z władzami polskimi i z konsulatami polskimi w Łotwie i sam zresztą zajmuje jakieś stanowisko bodajże z ramienia władz polskich czy też w bliskim kontakcie z poselstwem polskim w Rydze w przedmiocie rejestracji strat obywateli polskich w Łotwie. Poza tym i Tadeusz Römer (z Römerów antonoskich) zajmuje wybitne stanowisko w dyplomacji polskiej w Warszawie i bywa w Łotwie z ramienia polskiego Ministerium Spraw Zagranicznych, co też stanowi tu w urzędach konsularnych polskich duży atut rekomendacyjny dla wszystkich Römerów. Zaraz mi przepustkę wydano, a sam pan konsul przyszedł mię przywitać i był bardzo uprzejmy. Następnie udałem się do prefektury łotewskiej miejskiej, gdzie mi dano na przepustce polskiej wizę na wyjazd z Łotwy do Polski.

6 września, rok 1924, sobota

Mogłem wyjechać z Dyneburga wczoraj, ale nie chciało mi się śpieszyć, więc odłożyłem wyjazd do dnia dzisiejszego i zanocowałem w hotelu Centralnym. Siedzę jeszcze w Dyneburgu, wyjadę zaś kurierem o godz. 5 po południu. , Chciałem się przy tej okazji zobaczyć wczoraj z Kraskowskim, który jest tutaj dyrektorem gimnazjum białoruskiego, ale okazało się, że wyjechał do Rygi. Siedzę więc zupełnie samotny. Dyneburg jak był, tak pozostał – nudny. Dziś bodajże nudniejszy niż dawniej, bo przed wojną stanowił on bądź co bądź duży ośrodek przemysłowy i handlowy i był jednym z pięciu największych miast na terytorium, które wtedy nazywano Litwą (to znaczy Litwy historycznej – Litwy właściwej i Białej Rusi z włączeniem Inflant, czyli Łatgalii). Należał on do tych pięciu miast (Wilno, Homel, Mińsk, Białystok i Dyneburg), które liczyły ponad 100 000 mieszkańców. Dziś jest miastem kresowym małej Republiki Łotewskiej, położonym w kącie w pobliżu trzech granic – rosyjskiej, polskiej i litewskiej. Trudności komunikacyjne graniczne, zamknięcie granicy rosyjskiej na linii Dyneburg-Witebsk dla ruchu pasażerskiego, upadek Petersburga i szereg innych czynników nowego układu politycznego i gospodarczego uczyniły Dyneburg lichą mieściną pokątną. Jako miasto nigdy nie był on ani ładny, ani kulturalny, ani miły, a teraz na domiar przestał być ruchliwy. Dyneburg cechowało zawsze to, że pod względem narodowym był on nijakim albo, inaczej mówiąc – niczyim. W tym mieście, położonym na punkcie krzyżowania się kilku kultur i na pograniczu kilku terytoriów etnicznych, była zawsze ogromna mieszanina języków i narodowości, z których żadna nie mogła nazwać miasta swoim. Słyszało się języki rosyjski, żydowski, polski, niemiecki, łotewski, litewski i białoruski, ale żaden z nich nie dominował bezwzględnie. Terytorium w najbliższym promieniu Dyneburga też było mieszane. Dziś przyłączyli sobie Dyneburg Łotysze. Zresztą słusznie, bo historycznie mają oni najwięcej praw do tej ziemi, gospodarczo z Łotwą się Dyneburg najlogiczniej Dźwiną łączy, a i etnicznie najbliższym do Dyneburga terytorium jest łotewskie, z którym mogłoby co do Dyneburga konkurować chyba tylko terytorium białoruskie, nie posiadające zresztą bytu niepodległego. Napisy szyldów i obwieszczeń są tutaj obecnie prawie wszystkie w dwóch lub trzech językach – w urzędowym obowiązującym łotewskim i w rosyjskim, a bardzo często i w żargonie żydowskim czy też języku hebrajskim. Na ulicy słyszy się dziś najwięcej rosyjski, ale niewątpliwie łotewski poczynił też duże postępy i słyszy się niemało: przyczyniają się do tego urzędnicy i wojsko. Po polsku też z zupełną łatwością się tu rozmówić można.

Wczorajsze starania moje o przepustkę polską do Wilna i wszystkie związane z tym formalności były mi bardzo przykre. Tak w konsulacie polskim, jak w prefekturze łotewskiej znają dobrze tych panów, którzy będąc obywatelami litewskimi przemycają się do Polski przez Łotwę wbrew zakazowi swojej ojczyzny; większość tych panów jest wrogami ojczyzny litewskiej i uważa ją za ojczyznę narzuconą, za ojczyznę musu, która się przez nich znosi tylko dla względów majątkowych, wiążących ich z terytorium Litwy Niepodległej. Ich przemycanie się do Polski przez konsulaty polskie i władze łotewskie jest tajnym spiskowaniem przeciwko Litwie i ma wszelkie cechy złośliwego obchodzenia rozporządzeń i zakazów ojczystych. Oczywiście i ja, idąc tą drogą, musiałem być w konsulacie polskim i prefekturze łotewskiej brany za takiegoż nielojalnego krajowca litewskiego, gotowego zdradzać swoją ojczyznę i łączyć się przeciwko niej z jej wrogami. Dla mnie, który nade wszystko kocha Litwę, pozycja taka była wstrętną. Nie tylko urzędy, z którymi się stykałem, ale i faktorzy Żydzi, którzy mię rojem osaczali, narzucając się z usługami i poradą, traktowali mię jako jednego z tych nielojalnych obywateli Litwy. A trudno było przecie, abym każdemu z nich tłumaczył moje sympatie istotne i uzasadniał mój wyjazd do terenów, opanowanych przez Polskę, względami innymi, niż te, które się pospolicie u tych wyjeżdżających manifestują. Było

w tej roli dla mnie coś głęboko upokarzającego i smutnego. Zaiste dla samej rozrywki nie robiłbym tego.
Ale oto nastąpił już mój wyjazd z Dyneburga. Pociągiem o godz. 5 wyjechałem na stację pograniczną łotewsko-polską Zemgale, położoną pod samym Turmontem, który jest już po stronie polskiej, Minąłem Kałkuny-Grywę, rzuciłem okiem na stojący tam nasz pociąg litewski, ostatni widomy znak Litwy, która zniknie dla mnie z wkroczeniem na terytorium polskie – i oto jestem w Zemgale. Stacja tu nowa, zbudowana przez Łotyszy dla potrzeb granicy. Czeka już tu na nas pociąg polski, uwijają się kolejarze Polacy w rogatywkach. Wsiadam do pociągu polskiego. Następuje w pociągu krótka rewizja celna łotewska i polska, żandarmeria obu państw granicznych sprawdza i rejestruje paszporty. Pociąg rusza. Za chwilę jesteśmy w Turmoncie – na terytorium wcielonej do Polski spornej Wileńszczyzny. A więc tu już urzędowo Polska, ale dla mnie w istocie jest to ta sama nasza Litwa, tylko przez Polskę na tej połaci zagarnięta, tylko sporna, tylko jeszcze nie wyjarzmiona z inercji przeżytków polonizacyjnej ewolucji krajowej. Jest to teren, na którym osobowość kraju jeszcze się nie przywróciła, jeszcze się nie sformowała w budowie politycznej. Niechże więc ona sobie będzie do czasu *á l'ancien règime* polska, zanim się nie wykrystalizuje w rozgraniczeniu między Litwą a Białą Rusią. Niechże państwowo będzie to terytorium polskie, choć nie jest ono Polską i nie było nią nigdy.
W Turmoncie, skąd o jakiś kilometr na zachód zaczyna się już Litwa Niepodległa, wszystko na stacji jest ucharakteryzowane na modłę polską: brzmi język wyłącznie polski, mundury polskie, czapeczki rogate, sam dworzec świeżo odbudowany w stylu polskim, architektonicznie bardzo ładny, aczkolwiek w kształcie zwłaszcza swego dachu widocznie temu krajowi cudzoziemski, niedostosowany do zim śnieżnych Litwy Północnej, wymagających dachu spadzistego i jednolitego, nie zaś dachów kilkustopniowych i ku dołowi wygięto-wklęsłych, ułatwiających gromadzenie się mas śnieżnych.
Od Turmontu i dalej podróżnych coraz przybywa. Jadę w wagonie klasy III pociągu pośpiesznego. Sobota – Żydów nie ma. Jadą ziemianie, reemigrujący letnicy, kolejarze, jacyś młodzieńcy i geszefciarze chrześcijańscy. Reprezentowane są okolice Brasławia, Święciańszczyzna pod Głębokie itp. Znajduje się jakiś młody Białorusin, który, choć przeważnie rozmawia po polsku, jednak sympatie i uczucia swoje kilkakrotnie zaznacza i na ogół się od otoczenia różni. Wśród kolejarzy słychać i rosyjski język. W języku polskim dominuje akcent lokalny.

7 września, rok 1924, niedziela
Otom w Wilnie. Przyjechałem tu wczoraj koło godz. 11 wieczór z opóźnieniem pociągu o przeszło godzinę. Opóźnienie było spowodowane dość dziwnym wypadkiem zapalenia się osi w dwóch wagonach jeden po drugim. Już od samego Turmontu koła wagonu, którym jechałem, skrzypiały i piszczały w biegu coraz przeraźliwiej, a wreszcie zaczął z osi buchać dym coraz gęstszy – znak palenia się. W Święcianach wyłączono wagon om kazano nam się przenieść do innego. Aliści i w tym drugim wagonie koło niebawem zaczęło piszczeć, potem zaczął buchać dym, wreszcie – czerwony blask ognia. W Bezdanach trzeba było wyłączyć i ten drugi wagon, nas zaś przeniesiono do na poły pustego wagonu I klasy, którym wreszcie dojechaliśmy do Wilna. Co było przyczyną tego palenia się wagonów – nie wiadomo. Jeden kolejarz w wagonie tłumaczył to zarządzoną nadmierną ekonomią smarów na kolejach polskich – podobno na cały pociąg 5 kilo smarów; inni – kolejarze i publiczność – wyrażali domysły o celowym akcie złej woli – mianowicie o umyślnym dosypaniu piasku w osie wagonów: mówiono, że to ktoś musiał zrobić w Zemgale na stronie łotewskiej, bo ten

sam pociąg, który w południe był przyszedł z Polski do Zemgale, funkcjonował jak najlepiej, postawszy zaś w Zemgale, zaraz po wyruszeniu stamtąd z powrotem zaczął w poszczególnych wagonach piszczeć i palić się. Winiono zarząd kolei za to, że puszcza pociąg za granicę i pozwala na postój jego tamże przez kilka godzin. Czy który z tych domysłów jest prawdziwy – nie wiem, ale faktem jest podobno, że najczęstsze zdarzają się wypadki na linii Dyneburg-Wilno-Grodno, idącej wzdłuż granicy z Litwą Niepodległą. Być może, że ręka „šaulysów" litewskich, którzy się uwijają po obydwóch stronach tej granicy, mogłaby dać klucz do tych wypadków.
W Wilnie miałem zamieszkać u dr Adolfa Narkiewicza, ale go w domu nie zastałem. Zanocowałem więc w hotelu Europejskim, a dziś zaprosiła mię do siebie Hela Römer-Ochenkowska, u której też zamieszkałem. Jedną zaś z pierwszych moich czynności dziś w Wilnie była wizyta u grobu Aninki na cmentarzu ewangelickim. Niech Twoje święte kostki, Anin, do których się zbliżyłem fizycznie, stając nad mogiłą Twoją, niech one, które z Ciebie jeszcze pozostały materialnie, drgną od czucia mego, bo Cię kocham zawsze, o święta moja! To Twój Michasik, Aninko, Cie wita, to on biedny jest przy szczątkach Twoich. A duch Twój, Aninko, niech mi błogosławi i niech mię kieruje w drodze do córki, którą przedsiębiorę. Szkoda, że w tej wycieczce nie będę mógł odwiedzić w Trokach grobu drugiej mej kochanej zmarłej – Mamy, której wielkie serce świeciło zawsze memu życiu i której miłość potężna niech mię kieruje także, bo jeżeli jest siła Ducha, wyzwolona z ciała, to siły skuteczniejszej i świętszej dla moich celów, niż miłość Mamy, powołać nie jestem w stanie i siła ta przeczysta, siła dobra i dodatnia dać mi powinna to, o co proszę. Czyste są moje modły w tym względzie, a miara mojego nieszczęścia wielka, toteż ufam Sprawiedliwości Boga, a wieniec duchów, spojonych wielką Miłością ze mną – jak klejnot, jak plon życia mego – nie może mi nie być błogosławieństwem i gwiazdą, kierującą moje drogi. O, Anin i Mamo, sprawcie, bym córkę moją znalazł i ujrzał!
Mój przyjazd do Wilna był już tu w rodzinie z góry wiadomy. Słyszało o mnie także wielu moich przyjaciół spoza rodziny. Ale w rodzinie wiedziano nawet o dacie przyjazdu, bo mianowicie Kotuńka Pruszanowska, która po spędzeniu z najmłodszą córką Stasią wakacji letnich u Karolostwa O'Rourke'ów we Wsielubiu przyjechała do Wilna przed powrotem do Bydgoszczy, spodziewając się tu spotkać ze mną, otrzymała już wczoraj depeszę z Nowogródka, zawiadamiającą o dniu mojego przyjazdu: mianowicie Ezechiel Pruszanowski w Bydgoszczy dowiedział się o tym dniu z listu Elwiry z Bohdaniszek i depeszował do O'Rourke'ów, ci zaś – do Kotuńki do Wilna. Toteż już wczoraj na dworcu kolejowym spotkały mię córki Kotuni – Józia i Stasia Pruszanowskie. Od nich się dowiedziałem, że Kotuńka bawi w hotelu Niszkowskiego, czeka na mnie i oczywiście – na dolary, których się przeze mnie z Bohdaniszek spodziewa i że dziś wieczorem wyjeżdża. Zaraz więc dziś rano poszedłem do Kotuńki. Wprawdzie w nędzy, w jakiej biedaczka teraz żyje, postarzała bardzo i zwłaszcza się zgarbiła i skurczyła, ale jeszcze się rusza dobrze i pomimo wszystko nie straciła energii i nawet pewnej sprężystości. Przywiozłem jej 242 dolary, pochodzące ze sprzedaży jej lasu ze schedy bohdaniskiej. Są to już niemal ostatki tego, co ma wpłynąć do jej kasy ze sprzedaży tej cząstki lasu, na której wyrąb uzyskane było w roku przeszłym pozwolenie. Są jeszcze zaległości z tych sum, pozostałe za Komorowskimi, są jeszcze raty należne od nabywców ziemi spod lasu i resztek drzewa, ale się to już wszystko prędko skończy, a wtedy biedna Kotuńka z przestarzałym Ezechielem będą znowu bez grosza, bo trudno liczyć zaraz na możność wyrębu następnej działki w lesie. Wtedy już pozycja starych Pruszanowskich będzie tragiczna. Ale jakoś oni sami i ich dzieci nie doceniają bodaj grozy zbliżającej się sytuacji i skłonni są do łudzenia się optymistycznego nadziejami na dalszą sprzedaż lasu lub na jakieś dziwaczne pomysły

zamieszkania Kotuni w Suboczu kurlandzkim nad granicą litewską dla kierowania stamtąd likwidacją jej schedy leśnej itp.
U Kotuńki oprócz Józi i Stasi zastałem jej najstarszą córkę Elizkę Tanajewską z mężem i półtorarocznym synkiem Markiem. Pozycja Elizki Tanajewskiej jest kto wie czy nie tragiczniejsza od pozycji jej starych rodziców. Tamtych wyzwoli już rychło śmierć, zresztą może jeszcze przygarnie ich ktoś z krewnych lub może wreszcie dzieci się nimi w ostateczności zaopiekują, choć dotąd z wyjątkiem Irenki Węgłowskiej zawsze one jeszcze coś ciągną od rodziców, same zaś nic im nie dają. Elizka Tanajewska ma całe życie przed sobą, a niedola jej jest ciężka. Jej mąż, Staś Tanajewski, pochodzący z drobnej szlachty z okolic Giedrojć powiatu wileńskiego po stronie litewskiej), jest człowiekiem bez wychowania i bez wykształcenia, grubianinem, brutalem, pijakiem i kłamcą. Słowem – ma wszystkie paskudne wady. Znam go, bo byłem na ich ślubie w Łomży przed pięciu laty. Od razu mi się wtedy nie podobał, ale Pruszanowscy tak nim byli zachwyceni naiwnie, że nie było ani mowy, by im się dało oczy na przyszłego zięcia otworzyć.

8 września, rok 1924, poniedziałek
Kotuńka wczoraj wyjechała do Bydgoszczy, ale z jej rodziną jeszcze się i dziś widzieć musiałem, bo Tanajewscy zaprosili mię wczoraj na ojca chrzestnego ich synka Marka-Benedykta. Choć mi to nie było na rękę, musiałem się zgodzić. Chrzciny odbyły się dzisiaj o godz. 11-12 w zakrystii kościoła bernardyńskiego. Chrzestną matką była Marychna Henrysiowa Wołłowiczowa. Z tego, co się dowiaduję o pożyciu Tanajewskich, wnoszę, że chyba to małżeństwo się wkrótce rozejdzie. Staś Tanajewski okłamuje żonę, nie daje jej pieniędzy, pije, robi na wszystkie strony długi, z Elizką obchodzi się źle, bije ją nawet. Gdy się żenił, kłamał, że ukończył w Tomsku wydział prawniczy na uniwersytecie. Okazało się jednak, że nic nie ukończył. Po wyjściu z wojska miał on dotąd nędzną posadę na poczcie w Trokach, ale obecnie już jej nie ma. W Trokach tak się zadłużył, że się tam pokazać nie może i teraz niby to szuka mieszkania i posady w Wilnie. Radziliśmy z Kotunią Elizce, aby pojechała z dzieckiem do rodziców mężowskich, którzy mieszkają po stronie litewskiej i mają pod Giedrojciami kawałek ziemi, ale Elizka ani słyszeć o tym nie chce i powiada, że poszuka sobie posady. Wątpliwe, aby coś znalazła, będąc z dzieckiem i nie mając ani wykształcenia, ani rutyny urzędniczej, ani umiejętności do jakiejś pracy. Jest ona znękana, słaba, przedwcześnie zestarzała, bez energii, ale jeszcze z kaprysami i narowami, charakteryzującymi Pruszanowskich. Oto jak sobie rzeczywistość zakpiła z dumnych marzeń Ezechiela o książętach, którzy się będą dobijali o ręce jego córek i o wspaniałych karierach, jakie one porobią. Gdy zabrakło fortuny i książąt, niech by już taka Elizka była raczej poszła za mąż za prostego śmiertelnika, człowieka pracy, za prostego szlachetkę na zaścianku lub za inteligenta o jakichś kwalifikacjach zawodowych, niż za takiego Tanajewskiego, co to jest ani pan, ani inteligent, ani chłop: jest on z drobnej szarej szlachty zaściankowej, ale oderwany od gruntu, rozwłóczony po świecie, rozbałamucony, wykolejony: nie ma fachu, nie ma wiedzy, nie ma kultury, a od swego rodzimego środowiska drobnoszlacheckiego wiejskiego się oderwał i stracił jego cnoty, zgubił jego klejnot psychiczny.
Łażę po Wilnie i rozglądam się. Tyle się w Kownie nasłuchałem o zaniedbaniu Wilna, o jego brudach itd., że wyobrażałem je daleko gorzej, niż znalazłem. Ktoś mi nawet w ostatnich czasach w Kownie mówił, że teraz już nie Wilno wobec Kowna, lecz Kowno wobec Wilna jest stolicą (z wyglądu zewnętrznego). Jednak to nieprawda. Wilno jest zawsze Wilnem, jest pięknym i jest wielkim miastem, a Kowno, choć się dość znacznie oporządziło, zawsze się jeszcze ani umyło do naszej stolicy historycznej – do Wilna. A

dla mnie Wilno ma urok podwójny, bo nie tylko przez swój majestat stołeczny krajowy, ale także przez moje wspomnienia osobiste, które się z nim na każdym kroku wiążą. Toteż pobyt w Wilnie i sam jego widok czynią na mnie wrażenie głębokie. Formalne wcielenie Wilna do Polski czyni ze mnie w Wilnie urzędowo cudzoziemca, obywatela obcego państwa. Jest to jednak dla mojego czucia i mojego związku z Wilnem rzecz zupełnie sztuczna i dziwaczna: nigdy się nie zdołam uważać w Wilnie za cudzoziemca. Może przyszłe pokolenie obywateli Litwy Niepodległej, jeżeli rozdział Wilna i Kowna potrwa, będzie się tu już czuło cudzoziemcami, ale ja przystosować się już do tego nie potrafię. Jestem tu na swoich śmieciach i basta. Pomimo ogromnego nacisku państwowości i kultury polskiej na samo miasto Wilno, dotąd masa ludowa miejska zachowała tu jeszcze wszystkie swoje dawne cechy „tutejszych" i mowa polska i typ psychiczny ludzi pozostały swoiste. Gorzej jest pod tym względem z inteligencją i ze sferą urzędniczą: w tych sferach czuje się bardzo wyraźnie wzmożenie napływowego elementu rdzennie polskiego, niwelującego cechy „tutejsze". Ponieważ moje stosunki w Wilnie ogarniają przeważnie sfery inteligencji, więc dla mnie ten przyrost elementu napływowego jest bardzo widoczny. Na ogół spostrzegłem, że na ulicy spotykam względnie mało znajomych osób, ogromna zaś większość ludzi o cechach inteligenckich, których spotykam, jest mi zupełnie obca. Rażą mię też w Wilnie nieładne polskie czapeczki rogate, które nie pasują wcale do Wilna, a które są tu niezmiernie rozpowszechnione.
Między innymi wizytami, które już złożyłem, byłem u p. Tadeusza Wróblewskiego. Wróblewski stoi w dalszym ciągu konsekwentnie na stanowisku obywatela Litwy, a nie Polski i jest ze względu na to stanowisko przez najliczniejszą część swoich znajomych i przyjaciół wprost bojkotowany. Dowiedziałem się od p. Wróblewskiego, że zeszyty mojego dziennika, które były złożone u niego na przechowanie, są w całości. Zabiorę je ze sobą do Kowna, bo się lękam dłużej trzymać z dala od siebie. P. Tadeusz Wróblewski może umrzeć, a wtedy może być trudno wycofać ten depozyt.
Z rodziny Römerów zastałem w Wilnie sporo osób. Dziś po obiedzie Hela Biała Ochenkowska, korzystając z mojego i niektórych innych przyjazdu, urządziła u siebie herbatkę familijną, na której byli obecni: ona sama, Hela Czarna, Staś Römer, Ania z Römerów Virionowa, jej mąż Adam Virion, który z Anią przyjechał na kilka dni do Wilna, Leosiowie Römerowie z dzieckiem, ja i wreszcie bawiąca tu czasowo Zosia Eugeniuszowa Römerowa z dwojgiem starszych dzieci – Redziem i Zosienią, które przywiozła tu do Wilna na naukę.
Z Helą Czarną mówiłem o moim zamiarze pojechania do Grodna dla zobaczenia się i ewentualnego nawiązania regularnych stosunków z dzieckiem. Radziłem się z Helą, jak mam to zrobić. Hela skierowała mię do ks. Czerniawskiego, który mieszka obecnie przy Ostrej Bramie i który był przez pewien czas dziekanem w Grodnie. Już podobno stryjenka Bolesławowa Römerowa mu opowiadała o moim stosunku do Reginy i dziecka. Ks. Czerniawski może mię skierować do odpowiednich ludzi (księży) w Grodnie, którzy wpływem na Reginę mogliby mi ułatwić widzenie z córką. Ks. Czerniawski przyjął mię bardzo uprzejmie i poradził zwrócić się w Grodnie do ks. Hrynkiewicza, kapelana gimnazjalnego. Będę próbował w Grodnie tej drogi.

9 września, rok 1924, wtorek
Jakie jest usposobienie Wilna wobec problemu Litwy? Kwestia ta jest bardzo złożona, na która dwoma kategorycznymi słowami odpowiedzieć niepodobna. Zresztą obserwacje moje są tak niezupełne, mimo że się stykam z wielą ludzi, iż całkowitej odpowiedzi na pytanie to dać nie jestem w stanie. Zanotuję jeno to, co w tej mierze zdołałem zaobserwować, a co daje jeno przyczynkowe oświetlenie kwestii. W same

masy ludowe głęboko wejrzeć nie mogłem, bo się z nimi tylko przygodnie stykam, więc też najmniej o nich mówić będę. Co do mas ludowych, z których opinią spotykałem się tylko przez usta kelnerów, dorożkarzy, sprzedawców ulicznych, sług i sklepikarzy lub subiektów sklepowych, to zauważyłem tylko tyle, że wciąż nie są one dotąd zupełnie pewne, że obecne rozstrzygnięcie sprawy Wilna jest już ostateczne i wciąż jeszcze zastanawiają się nad tym, czy „przyjdą Litwini" czy nie. Są w tych sferach wrogowie Litwy – szczególnie dewotki, ale na ogół stosunek do Litwinów nie wydaje mi się nieprzejednany. Ciekawe, że prawie u wszystkich jest pewna nieufność do wileńskich informacji prasowych o Litwie i Litwinach, które to informacje przedstawiają wszystko w przesadnie ujemnych dla Litwinów barwach. Z ust ludu słyszałem ciągle w zapytaniach do mnie powątpiewanie o prawdziwości tych tendencyjnych wymyślań na Litwinów. Spotykałem też takich, co skłonni są do wyraźnego sympatyzowania Litwinom, choć sami Litwinami nie są i za Litwinów się nie mają. Co do tzw. inteligencji i tych jej sfer, które są związane z polityką czynną, to u tych jest bodaj najmniej zainteresowania problemem związku z Litwą. Te koła inteligencji są zafascynowane państwowością polską i skłonne do patrzenia na wszystko przez jej pryzmat. Jeżeli mówią one o związku z Litwą i w ogóle o stosunkach z nią, to mają na względzie nie scałkowanie Litwy wileńskiej z kowieńską, lecz stosunek między Polską, do której i Wilno należy, a obecną małą Litwą w granicach państwowych faktycznych, jakie są dzisiaj. Nawet byli tzw. federaliści w stylu Witolda Abramowicza itp. na ogół nie bardzo już inaczej tę rzecz traktują, uzupełniając ją jeno pewnymi aspiracjami decentralistyczno-autonomicznymi dla Wileńszczyzny i Białej Rusi wewnątrz państwowości polskiej albo w najlepszym razie marząc jeszcze o scałkowaniu Litwy pod egidą Polski, co by przekreślało i wyłączało dzieło państwowe, dokonane przez Kowno. Skądinąd w tych sferach, jak na ogół i innych, o ile chodzi o rdzennych Wilnian, daje się wyczuć pewne niezadowolenie ze zdegradowania Wilna na stopę prowincjonalną i pełny niechęci antagonizm do nasyłanych z rdzennej Polski urzędników – zwłaszcza biurokratów z Galicji. Ale inteligencja z tego wniosków państwowo-separatystycznych w stosunku do Polski zdaje się nie wyciągać. Co do kół ziemiańskich, to te, które pochodzą z Białej Rusi lub Wileńszczyzny, są Litwie wyraźnie niechętne. Szaraczki niższych kół urzędniczych pochodzenia krajowego czują się upośledzone, nienawidzą bardziej wykwalifikowanych urzędniczo Galicjan i żywią wyraźniejsze uczucia nieprzyjazne względem polityki polskiej, która się opiera tutaj i posługuje elementem napływowym, traktując po macoszemu to, co jest krajowe. Najciekawsza jest pozycja Kowieńczuków, którzy są liczni tutaj. Jest mnóstwo takiej młodzieży polsko-litewskiej w wieku od dwudziestu kilku do trzydziestu lat, która przed 4-5-6 laty, nie mając się gdzie podziać za okupacji niemieckiej i zaraz po wojnie, dając się unieść pierwszemu zapałowi, a często i lenistwu, powstępowała do wojska polskiego. O ile ci ludzie pochodzą z Kowieńszczyzny i są z nią związani jakimś interesem materialnym, majątkiem ziemskim rodziców lub własnym, a czasem i bez interesu – stosunkami rodzinnymi, sentymentem – są oni skłonni do coraz gorętszego garnięcia się do Litwy. Tęsknią do niej, nie mogąc lub bojąc się wrócić, bo zawinili przeciwko niej tą wojskowością polską; rwą się do Litwy, kochają się nawet w samym brzmieniu słów litewskich, złorzeczą losowi swemu, czują się zawiedzeni, bo nie o takim rozgraniczeniu marzyli, czują żal i do Litwy za to, że nie uwzględnia ich skruchy i nieświadomości poprzedniej, i do Polski za to, że uczyniła rozdział i że dziś dzięki wszystkim „faktom dokonanym" są oni na rozdrożu w rozterce. Ci ludzie budzą żal szczery, a takich spotkałem kilku. Jest ich dużo. Są oni oderwani od Litwy, a nie zrośli z Polską. Litwa w niejednym z nich zdobyłaby użytecznego pracownika i obywatela. Są to ofiary tragicznego nieporozumienia nagłych wypadków dziejowych. Zupełnie inny

rodzaj stanowią zbiegowie z Litwy z ruchu peowiackiego. Wprawdzie i oni tęsknią do Litwy, mają czasem sentyment do języka litewskiego, na ogół przemawiają nieraz jak Litwini, jednak pozostał w nich nałóg podporządkowania Litwy Polsce – idea jedności Litwy przez zapanowanie polskie. Nienawidzą oni rządzące koła Litwy, obnoszą przestarzałe wersje zaprzedania się Litwy Niemcom, są pełni obłudy i skłonności insynuacyjnych. Smutni to ludzie, a jest ich tu sporo. Daje się też u niektórych ludzi myślących dostrzec świadomość głębokiego rozdźwięku między Wilnem polskim, żyjącym przynależnością do państwa polskiego, a wsią krajową Wileńszczyzny, która w masie swojej polską nie jest. Ten problem jest bardzo istotny, bo w kraju rolniczym ostatecznie decydować będzie masa wiejska. Toruje sobie – acz powoli – drogę świadomość, że Wilno będzie rozstrzygnięte nie między Polską a Litwą, lecz między Litwą a Białą Rusią.

10 września, rok 1924, środa
Dziś wyjechałem z Wilna na dwa dni do Grodna dla usiłowania zobaczenia się z córką. Co prawda, bardzo wątpię, aby klasyczny upór Reginy dał się przełamać i żeby nawet interwencja księdza mogła coś w tym względzie wskórać. Jeżeli Regina nie zgadza się nawet pośrednio na korespondowanie moje z córką, jeżeli odpierała ona dotąd z największym oburzeniem wszelkie moje próby w tym kierunku, robione bądź osobiście, bądź przez trzecie osoby, jeżeli ma na nie jedną odpowiedź, którą wyraziła w niegrzecznym liście do Kotuni, mówiąc, że „prawa" do dziecka należą wyłącznie do niej, nam zaś – to znaczy mojej rodzinie i mnie – radzi ona zwrócić swoje uczucia w innym kierunku (? sic!), to jakaż może być nadzieja, aby nagle Regina zechciała teraz na prośbę moją pokazać mi to dziecko nasze. Regina nie należy do osób, które działają pod wpływem chwili i które dają się poruszyć i unieść impetowi jakiegoś wrażenia. Jest ona twarda i niezłomna tak w miłości, jak w nienawiści, a jej postanowienia i wyroki są tak bezwzględne i nieodwołalne, tak odporne i mocne, jak mury więzienia. Biada temu, kogo one odetną od rzeczy drogiej. Bądź co bądź jednak wypróbuję wszystkie drogi, a jeżeli nic nie wskóram przez Reginę – za jej wiedzą i zgodą – to może mi się szczęśliwa jakaś gwiazda uśmiechnie i da ujrzeć i uścisnąć Ceśkę pomimo Reginy – na przykład w gimnazjum lub u księdza kapelana. Dotąd ze słów Heli Czarnej Römerówny wiem o córce tylko tyle, że uczy się w gimnazjum żeńskim, że mieszka u matki i że przed miesiącem chorowała na szkarlatynę.
Wyjechałem z Wilna o godz. 9 rano pociągiem zwyczajnym. Kolej z Wilna do Grodna idzie wzdłuż samej granicy litewskiej, która w niektórych punktach, np. pod Olkienikami, tak blisko podchodzi do drogi żelaznej, że powiadają, iż wysunąwszy głowę przez okno wagonu można być ustrzelonym przez šaulysów litewskich. Toteż tor kolejowy, zwłaszcza mosty i inne konstrukcje ważniejsze, są pilnie na tej linii strzeżone przez straż graniczną; dużo też tych strażaków jeździ pociągiem między poszczególnymi stacjami, choć – jak mogłem zaobserwować – jazdy te mają widocznie na celu nie tyle względy służby, ile jakieś spekulacje szmuglowe, bo strażacy wciąż władowują i wyładowują ukradkiem do wagonów i z wagonów jakieś wory, walizy i plecaki wypchane towarami i produktami, kryją się z tym przed służbą kolejową i swymi zwierzchnikami i są cali zajęci tymi operacjami. O kilka wiorst za stacją Olkienikami przed samym mostem przez rzekę Mereczankę przejeżdżaliśmy przez miejsce ciężkiej katastrofy kolejowej, która się tu wydarzyła wczoraj nad ranem, o czym wczoraj w Wilnie doniosły już dodatki nadzwyczajne i co było w Wilnie gorąco komentowane: dwa połączone polskie pancerniki wojenne – „Danuta" i „Generał Sosnkowski" – idące w pełnym biegu od granicy sowieckiej w głąb Polski, wpadły tu na tor ślepy i rozbiły się w gruzy, powodując śmierć i kalectwo wielu ludzi załogi.

Komunikaty urzędowe stwierdzają nieuwagę maszynistów jako jedyną przyczynę katastrofy, ale Wilno i ludność ze względu na bliskość tego punktu od granicy litewskiej posądzają w tym wypadku zamach litewski i nie chcą wierzyć innym wersjom. Podruzgotane wagony, uszkodzone lokomotywy pancerne, kotły wyrwane z wnętrza lokomotyw, stosy gruzów zalegają tor kolejowy i są rozbierane starannie przez robotników i żołnierzy oddziałów technicznych, którzy musza to robić ostrożne ze względu na materiały wybuchowe, które są między gruzami. Jedziemy dalej. Jak na linii Turmont-Wilno, tak tutaj na miejscu spalonych w czasie wojny budynków stacyjnych wybudowano nowe w stylu narodowym polskim, efektowne w barwach czerwono-białych i ładne architektonicznie, ale chyba na nasz klimat dla swoich dachów niepraktyczne.
Na jakąś trzecią po południu przyjeżdżam do Grodna. Zajechałem w Grodnie do Henrysia Wołłowicza, który ma pokój przy ul. Bernardyńskiej nr 13. Henryś od niedawna przeniesiony został służbowo z Wilna do Grodna. Jego żona Marychna mieszka na mieszkaniu wileńskim i Henryś tam do niej na święta i niedziele jeździ, w powszednie zaś dnie tygodnia urzęduje i mieszka w Grodnie. Dla mnie jest to dogodne teraz, nie tylko dlatego, że mam u niego w Grodnie locum bezpłatne, ale też dlatego, że Henryś mi będzie pomocny w moich zabiegach o widzenie się z córką. Po obiedzie poszliśmy z Henrysiem obejrzeć gimnazjum żeńskie, w którym się uczy Ceśka i wyszukać i wyszukać księdza Hrynkiewicza, którego mi polecił ks. Czerniawski w Wilnie. Dowiedzieliśmy się jednak, że ks. Hrynkiewicz jest prefektem tylko w gimnazjum męskim, w gimnazjum zaś żeńskim prefektem jest ks. Sawoniewski. Odszukaliśmy tego księdza w innym gimnazjum, ale że był dziś wieczorem zajęty egzaminami, więc wypadło odroczyć rozmowę do jutra. Wyznaczył mi on przyjęcie na godz. 11 rano jutro. Zobaczymy, co nam ten dzień jutrzejszy przyniesie. Tęsknię i boję się.
Grodno niewielkie, ale dość ładne miasteczko, bardzo ładnie położone nad Niemnem. Świadomość obecności mej córki w Grodnie usposabia mię w sposób szczególny do tego miasta, które na ogół znam bardzo mało. W Grodnie wyczuwa się już pogranicze etniczne polsko-litewsko-białoruskie. Na placu i w skwerze miejskim widziałem gromadki robotników, prowadzące ożywione rozmowy w czystym narzeczu białoruskim. Najwięcej tu się widzi Żydów, których odsetek musi tu być bardzo wielki. Wieczorem byliśmy z Henrysiem na kolacji u jego kolegi i przyjaciela porucznika Daniszewskiego. Tak sam Daniszewski, jak jego młoda żona pochodzą z Kowieńszczyzny z powiatu wiłkomierskiego. Daniszewski należy do tych, co to bardzo tęsknią do Litwy i nie mogą się nostalgii swej pozbyć. Piliśmy u nich i gawędziliśmy bardzo sympatycznie.

11 września, rok 1924, czwartek
A więc było dziś tak. Na wyznaczona godz. jedenastą poszedłem z Henrysiem do ks. Sawoniewskiego – prefekta gimnazjum żeńskiego w Grodnie. Ks. sawoniewski nie bardzo mi się podobał; człowiek średniego wieku ze skłonnością do tycia, blondyn, twarz bez wyrazu, czyniący wrażenie nie przejmującego się niczym. Nie jest to rzeczą przyjemną zwierzać się takiemu człowiekowi ze spraw tak głębokich i subtelnych, jak mój stosunek do żony i córki. No ale już trzeba było, skoro wszedłem na tę drogę. Piąte przez dziesiąte opowiedziałem księdzu o losach naszego małżeństwa z Reginą i o moich wielokrotnych jałowych usiłowaniach nawiązania jakiegokolwiek kontaktu z córką, udaremnianych przez Reginę. Prosiłem księdza, by postarał się wpłynąć na Reginę w imię zasad chrześcijańskich, bym mógł zobaczyć się z córką – choćby w księdza lub jej samej obecności i korespondować z nią nadal – choćby pod warunkiem cenzury moich

listów przez tegoż księdza prefekta lub przez Reginę. Ks. Sawoniewski zna i pamięta moją córkę, którą nazywa Celinką. To spieszczenie „Celinka" bardzo mi się podoba – będę ją sam nadal tak nazywał, ładniej mi to brzmi, niż „Cesia", „Ceśka" i ładniej, niż „Dzidzi", jak ją matka dotąd stale nazywa. Ks. Sawoniewski powiada, że Celinka jest dobrym dzieckiem, uczy się dobrze, zdolności ma przeciętne, jest pracowita, spokojna, zdrowia jednak słabego, wskutek czego często opuszcza lekcje w gimnazjum. Ostatecznie ksiądz przyrzekł, że pośle dziś po obiedzie z gimnazjum kartkę do Reginy, zapraszając ją do siebie na godz. szóstą i nie wymieniając w kartce celu zaproszenia; jeżeli Regina przyjdzie, ksiądz postara się nakłonić ją do udzielenia mi widzenia się z córką. Ja mam przyjść do księdza o godz. ósmej wieczorem dla dowiedzenia się o rezultacie rozmowy z Reginą.
Po wyjściu od księdza poszliśmy z Henrysiem szukać miejsca zamieszkania Reginy. Chciało mi się na wszelki wypadek wiedzieć, gdzie mieszka Regina z córką i mieć w pamięci szczegóły zewnętrzne tego miejsca. W policji dowiedzieliśmy się adresu Reginy: ulica Saperna, 18. Znaleźliśmy tę ulicę. Idzie się na nią ulicą Orzeszkowej, jedną z głównych w Grodnie, potem stamtąd przez duży ładny plac, na którym stoi cerkiew i z którym się łączy skwer spod dawnego pałacu gubernatorskiego, zniszczonego podczas wojny. Ulica Saperna, która się zaczyna od tego placu, kończy się bez żadnego przedmieścia na szczerym polu. Dom nr 18, w którym mieszka Regina, położony na rogu jakiejś ulicy poprzecznej, stoi już niedaleko od wylotu miasta w pole. Nie dochodząc o parę domów ja się zatrzymałem i spacerując tam i z powrotem po chodniku czekałem na Henrysia, który udał się do domu nr 18 na zwiady. Nie podchodziłem pod dom zamieszkania Reginy, aby nie być przez nią spostrzeżony. Gdym się tak przechadzał po chodniku, ujrzałem zbliżającą się od strony miasta dorożkę. Gdy dorożka mię mijała, poznałem siedzącą w niej... Reginę. Regina jechała wpatrzona przed siebie, ze wzrokiem nieco opuszczonym, uśmiechnięta. Zdaje mi się, że mię nie widziała, bo nie oglądała się na strony, nie patrzała w moim kierunku. Przejechała i zawróciła za róg domu, skąd jest wejście do jej mieszkania. Po jakimś czasie zza rogu domu ukazał się Henryś ze swego wywiadu. Zasięgał on informacji od jakiejś baby w dziedzińcu domu i posyłał tę babę na zwiady do służącej Reginy, ale baba, spotkawszy na schodach samą Reginę, zmuszona się wytłumaczyć, po co idzie, nakłamała jej o jakiejś rzekomo kobiecie, która ma do Reginy interes i która prosiła babę o wiadomość, czy Regina z Francuzką i córką wróciła ze wsi. Zawołałem dorożkę – tę samą, którą przyjechała Regina i wsiadłem do niej z Henrysiem. Henryś był się dowiedział, że mieszkanie Reginy jest na piętrze; na tym piętrze jest balkon, wychodzący na ul. Saperną. Otóż gdy wsiadaliśmy do dorożki, Henryś spostrzegł, że drzwi na balkon się uchyliły i że ktoś się nam przygląda; Henryś powiada, że była to osoba wysoka i brunetka, więc sądzi, że to Regina, a że się bardzo w nas wpatrywała, więc Henryś twierdzi, że na pewno mnie poznała. Henryś to uważa za wielkie niepowodzenie, bo Regina, wiedząc, że jestem w Grodnie i że byłem u jej mieszkania, domyśli się, po co ją ksiądz wzywa, nie pójdzie do księdza i jutro córki do gimnazjum nie puści, abym się z nią nie mógł zobaczyć. Ba, mniejsza o to. Czy mię widziała czy nie, czy do księdza pójdzie czy nie pójdzie – jestem pewny, że córki mi pokazać nie zechce i że zrobi wszystko, co w jej mocy, by moje zamiary udaremnić. Wiem, że będzie oburzona na mnie za to, że ją „nachodzę" i że się wciąż jej czepiam. Ha, pani moja, skoroś miała ze mną dziecko, musisz ponosić konsekwencje ojcostwa mego i znosić, że dziecko to jest nie tylko twoim, ale – naszym. Nie odczepisz się ode mnie, dopóki z córką stosunków regularnych nie nawiążę – to trudno!
Na godz. ósmą wieczorem udałem się sam bez Henrysia do ks. Sawoniewskiego. Gdym zapukał do drzwi, ksiądz je uchylił i poprosił zaczekać na schodach. Miałem chwilkę

złudzenia, że może właśnie u księdza jest Regina lub Celinka i że oto nastaje chwila decydująca. Ale złudzenie było jałowe: u księdza był tylko jakiś interesant, który po chwili wyszedł, a ksiądz mi oświadczył, że Regina, wezwana – nie przyszła wcale. Ta więc droga chybiła. Dowiedziałem się też od księdza, że Celinka po szkarlatynie nie chodzi jeszcze do gimnazjum i że dopiero od 20-go chodzić zacznie. Nie mogę więc także liczyć na zobaczenie się z córką w gimnazjum. Nie pozostaje więc nic innego, jak zostać jeszcze do jutra i udać się wprost do mieszkania Reginy. Nie mam wielkich iluzji co do skuteczności i tej drogi i spodziewać się mogę raczej awantury ze strony Reginy i Francuzki, niż zobaczenia córki. Ale cóż ostatecznie mam do stracenia? Wszak oczu mi Regina nie wyszarpie, głowy z karku nie zdejmie. W najgorszym razie będzie krzyk i awantura, ale jeżeli mi Regina drzwi przed nosem nie zatrzaśnie, to może choć się z nią samą rozmówię przecie. A może Bóg da, że mi przyjdzie drzwi otworzyć sama Celinka. To ja wtedy przecież ujrzę, pocałuję, przeżegnam, powiem, że jestem jej ojcem – zawrócę i wyjdę. Mało mam nadziei, ale skoro już tu jestem, to spróbować trzeba. Wyjadę w każdym razie jutro o trzeciej. Na wypadek, gdybym córki nie zobaczył, napisałem list do niej i dałem go Henrysiowi, by kiedykolwiek dopilnował Celinki na ulicy lub odwiedził ją w gimnazjum, zapoznał się z nią jako brat cioteczno-rodzony i doręczył jej ten list od ojca. Oto tekst tego listu do córki:
„Grodno, 11.IX.1924. Kochana Celinko! To ja, Twój ojciec, piszę do Ciebie, dziewczynko moja złota. Twój ojciec, którego nie znasz dotąd, ale który kocha Ciebie serdecznie jako jedyne dziecko swoje, tęskni do Ciebie zawsze i błogosławi Cię z całego serca! Och, Celinko moja, nie byłoby dla mnie szczęścia większego, jak zobaczyć Cię i móc ucałować. Wszak w tym celu przyjechałem do Grodna z Kowna, gdzie mieszkam stale, ale – niestety – okoliczności tak się złożyły, żem się z Tobą zobaczyć nie zdołał, bo do gimnazjum w tych dniach nie chodzisz, a ja muszę już wracać do Kowna. Żegnaj więc tymczasem, Celinko, i noś w sercu pamięć ojca. Niech Bóg Cię ma w swojej opiece. Nie wątpię, że jak kiedyś wyrośniesz. to sama zechcesz poznać swego ojca i że wtedy nie tylko on Ciebie, ale i Ty jego szukać będziesz. A tymczasem napisz, Celinko, do mnie słów kilka i daj listek Twemu kuzynowi Henrysiowi Wołłowiczowi, który mi go prześle. Ten list skierowuję do Ciebie przez tegoż Henrysia Wołłowicza. Henryś jest synem mojej zmarłej siostry Heleny z Römerów Wołłowiczowej, a więc jest Twoim bratem cioteczno-rodzonym.
Żegnaj, Celinko. Ucz się dobrze i szanuj zdrowie swoje. Twój ojciec Michał Römer."

12 września, rok 1924, piątek
Dzie4ń, który mi pozostanie pamiętny na długo, jeżeli nie na zawsze. Widziałem córkę, widziałem i rozmawiałem z Reginą, która mię bynajmniej nie nienawidzi, jak sądziłem dotąd, i bynajmniej nie ma względem mnie uczuć drapieżnych i okrutnych. Regina była bardzo łaskawa dla mnie. I co szczególniejsze – zgoła dla mnie samego niespodziewane – to to, że widzenie się z Regina uczyniło na mnie – bez żadnego porównania – głębsze i silniejsze wrażenie, niż widzenie córki. Do córki dążyłem poprzez wszystkie przeszkody, do niej tęskniłem i rwałem się jak szalony, o widzeniu się zaś z Reginą ani myślałem, a przecież teraz po widzeniu się z jedną i drugą oddałbym widzenie się z córką za widzenie się z jej matką. Wrażenie, jakie na mnie wywarło widzenie się z Reginą, jest z pewnością silniejsze, niż wrażenie z jazdy aeroplanem w roku zeszłym. Jestem cały pod potężnym urokiem tego faktu i czuję się jakiś zmieniony, niemal odrodzony. Tłumaczę to tym, że córka jest bądź co bądź dzieckiem, jest białą kartą niezapisaną, samą przez się mdłą, z którą mię łączy tylko krew moja, podczas gdy Reginy życie jest pełne tragicznej treści, najgłębiej się splatającej z moim życiem.

Mógłbym rzec, że życie Reginy jest pisane przeze mnie, bo wszystko, co w nim jest, jest li tylko w związku ze mną. Ja przenikam całe życie Reginy.
Ale nie uprzedzajmy relacji faktów. Od rana, gdym wstał i wyszedł na miasto, kierowałem się w myśl postanowienia wczorajszego do mieszkania Reginy na Saperną nr 18. Szedłem z ciężkim sercem, spodziewając się awantury i bolesnych scen. Starałem się odwlec chwilę stanowczą, kiedy się już znajdę przed domem Reginy i kiedy mi wypadnie zapukać do drzwi i przekroczyć próg. Toteż zachodziłem po drodze do cukierni, piłem kawę, czytałem dzienniki, zaszedłem się ogolić do fryzjera, zbaczałem z drogi, by na uboczu zrobić pi-pi, siedziałem dość długo na ławeczce w skwerze miejskim. Stopniowo zbliżałem się jednak do ulicy Sapernej. Z domu wyszedłem o godz. 8, a było już koło jedenastej, gdym wkroczył wreszcie na Saperną. Wędrując tak obmyśliłem sobie, jakimi słowy się odezwę do Reginy, Francuzki, Celinki lub służącej, zależnie od tego, która z nich mi otworzy drzwi. Byłbym jeszcze zapewne krążył czas jakiś dokoła samego domu Reginy, zanim bym się zdecydował wejść na schody i zadzwonić do drzwi, gdyby nie to, że podchodząc do domu Reginy ujrzałem ruch obserwacyjny na balkonie mieszkania Reginy, służącym widocznie Reginie i Francuzce za obserwatorium. Na balkonie ukazała się w całej postaci Regina, a za nią wychyliła się przez drzwi jeszcze głowa czyjaś – zapewne Francuzki – obie wpatrzone we mnie; potem cofnęły się obie, po chwili znów się wychyliły. Widziałem, że jestem poznany i obserwowany i że przeto nie pozostaje mi już nic innego, jak iść wprost do celu, cokolwiek by się miało stać. Przyśpieszyłem kroku, zawróciłem za róg ulicy, wszedłem do podjazdu i na schody. Na schodach się przeżegnałem i wszedłem na piętro pod same drzwi mieszkania Reginy. Wydało mi się, że za drzwiami w mieszkaniu słychać ruch pośpiesznych kroków, bieganinę. Zadzwoniłem. Po chwili drzwi się uchyliły i ujrzałem w szparze głowę kobiecą – zapewne służącej. Byłem bardzo wzruszony. Głosem niskim i głuchym spytałem: „Czy można widzieć panią Römerową?”. Na to usłyszałem coś w rodzaju „Zaraz spytam” – i służąca znikła, zostawiając drzwi przymknięte. Nogi się pode mną chwiały jak podkoszone, serce mi biło młotem, traciłem równowagę myśli. By ustać, oparłem się ręką o poręcz schodów. Po chwili drzwi się rozwarły szeroko i ukazała się w nich postać Francuzki – panny Elizy Courtôt. Ujrzałem dobrze mi znaną, mocno już postarzałą twarz panny Elizy, bardzo bladą, przerażoną, z szeroko otwartymi oczami, z włosami zwichrzonymi, jak żeby stanęły dęba – bez dźwięku. Unisołem kapelusz i rzekłem: „*Madame, je voudrais demander á Madame de Römer le permission de lui parler*”[186]. Na te słowa Francuzka bez odpowiedzi znikła, zostawiając wszakże drzwi szeroko otwarte. pozostałem na schodach, ale już otucha lepsza wstąpiła we mnie i zrobiło mi się raźniej, bo przecież nie zatrzaśnięto mi drzwi przed nosem i choć jeszcze nie poproszono wejść do wnętrza, to jednak wysłuchano mej prośby i do czasu udzielenia odpowiedzi zostawiono wobec mnie drzwi otwarte do mieszkania, com mógł uważać za świadectwo zaufania, za dowód traktowania mię przecież po ludzku. Poczułem, że się zanosi na udzielenie mi audiencji u Reginy. W istocie nie spodziewałem się tego. Po krótkiej pauzie ukazała się w drzwiach znowu panna Eliza mówiąc: „*Passez donc au salon*”[187]. Zdjąłem kapelusz i wstąpiłem do przedpokoju, skąd wszedłem za panną Elizą do rodzaju korytarzyka. P. Eliza wskazał mi drzwi na lewo do salonu. Wszedłem i stanąłem za jednym z krzeseł, mając kapelusz w ręku. W saloniku byłem na razie sam. Nie usiadłem i nie położyłem kapelusza, uważając, że będę to mógł uczynić jeno na wyraźnie udzielone mi pozwolenie, bo przychodzę tu nie w charakterze domownika lub prawowitego gościa, jeno w charakterze petenta, który żadnych praw do rozgoszczenia się w tym domu nie ma. Teraz czekałem już tylko na

[186] Madame, chciałbym spytać panią Römer o pozwolenie rozmowy z nią.
[187] Proszę wejść do salonu.

ukazanie się Reginy. Czułem dla niej wdzięczność serdeczną już za to, że mi pozwoliła wejść do swego mieszkania i wysłuchać mię. Przekraczało to moje najśmielsze marzenia. Tymczasem rozglądałem się po pokoju. Salonik Reginy stanowi pokój duży, ale tak gęsto meblami ustawiony, że wydaje się prawie mały. Poznawałem meble – były to dobrze mi znane meble z salonu teściowej – Reginy matki – z domu Römerowskiego na Bakszcie, kilka garniturów miękkich mebli – stołów salonowych z fotelami do nich, na stole środkowym albumy z fotografiami, przy jednej ze ścian duża otomana, na ścianach gęsto pozawieszane obrazy pędzla stryja Edwarda Römera – ojca Reginy – przy jednym z okien pianino, na nim kwiaty i popiersie brązowe naszego z Reginą wspólnego pradziada Michała Römera, na etażerce między drzwiami wśród innych rzeczy i książek – duża lalka, widocznie Celinki, na pianinie jakiś duży arlekin, szafka oszklona z książkami u jednej ze ścian, w pokoju dwie żywe młode koteczki – brązowa i czarna z różowymi wstążeczkami na szyi. Widok tego wnętrza mieszkania Reginy, które jest zarazem gniazdem rodzinnym mojego dziecka, swojskość tych mebli i sprzętów, cisza i spokój tego ogniska domowego, zabawki mojej córki tu w tym zaciszu domowym – wszystko to tchnęło na mnie takim urokiem swojskości, taką atmosferą zacności i pogody domu, że czułem się odurzony i do najgłębszego dna duszy wzruszony. W sercu moim płonął jakiś znicz święty, dusza moja skupiła się w pobożnym hymnie modlitwy, w którą się zamieniły uczucia moje. Stałem jak harfa mistyczna wśród tych rzeczy. Wdzięczny byłem Reginie, że mię tu dopuściła i że mi pozwala patrzeć na to.

13 września, rok 1924, sobota
Wczoraj po wizycie u Reginy i widzeniu się z Celinką wróciłem z Grodna do Wilna. Będę jednak pisać dalej o wizycie u Reginy, a dalszy ciąg pobytu w Wilnie zanotuję, ile się da, po powrocie do Bohdaniszek.
Gdym stał w salonie Reginy, czekając na jej ukazanie się, ani marzyłem, bym był przez nią przyjęty i dopuszczony do rozmowy uprzejmej i poufałej. Uważałem się za szczęśliwego już przez to samo, że mi pozwoliła wejść do swego domu i że mię wysłucha. Sądziłem, że wejdzie majestatycznie i wysłucha mię sztywnie i chłodno bez szczegółowej rozmowy, z twardą zimną maską na twarzy. Chciałem być dla niej pełny uszanowania, trzymać się z daleka, jak przystało przez wzgląd na to, co nas dzieli i ani na chwilę nie zboczyć na nuty serdeczne, które by ją może obraziły albo były przez nią fałszywie zrozumiane. Byłbym jej wdzięczny już za samą taką audiencję bez żadnych dalszych roszczeń, czując zresztą, że będzie mi udzielone to, czego pragnąłem i w imię czego odważyłem się zapukać do jej drzwi – widzenie się z córką albo przynajmniej pozwolenie na korespondowanie z nią. Wszystko to zdawałoby mi się już szczytem łaskawości Reginy wobec tego, com wiedział lub domyślał się o jej nienawiści i uprzedzeniu do mnie i o jej twardym niezłomnym charakterze. O, jakże się myliłem i jak jeszcze daleki byłem od prawdy, która mi miała rychło zabłysnąć i spełnić to, o czym ani marzyć nie umiałem! Ale oto drzwi na wprost mnie się otworzyły i ukazała się w nich Regina. Wysokiego wzrostu – wielka jak ja – pięknej figury, okazałej postaci, wspaniała, ubrana w suknię codzienną – ukazała się oczom moim Regina. W pełnym rozkwicie, 35-letnia, wielka i okazała, ale nie otyła – Regina bardzo wyładniała. Twarz miała pogodną, lekko uśmiechniętą, wyraz uprzejmy. Skłoniłem się jej głęboko i wpatrzyłem w nią całą siłą wzroku. Podszedłem, wziąłem jej rękę i ucałowałem. „Pani!...” – wyrzekłem – „Pani!...” – powtórzyłem, wpatrując się głęboko w jej twarz i nie mogąc znaleźć słów do dalszego przemówienia. Byłem tak wzruszony, że oniemiałem zgoła i że nie mogłem żadnych słów powiązać. Łzy mi się kręciły w oczach, spazm mi ściskał gardło, byłem bliski płaczu i nie mogłem się w żaden sposób

opanować. Widząc moje poruszenie, Regina wskazała mi fotel, usiadła sama i powiedziała pogodnie i poważnie, głosem równym i łagodnym: „Niech się pan uspokoi". Usiadłem bez słowa, zdjąłem szkła z oczu, utarłem chustka łzy i siląc się na opanowanie mych uczuć podnieconych i rozpętanych, dałem przede wszystkim wyraz temu uczuciu, które w tej chwili przerastało wszystkie inne i najgłębiej mię przejmowało. „Przede wszystkim – rzekłem – chcę podziękować pani z całego serca za to, że pozwoliła mi pani wejść do swego domu i że rozmawia ze mną". Z tymi słowami wstałem, podszedłem znów do Reginy i pocałowałem ją w rękę. Zdaje się, że to ujęło Reginę, która zresztą nic mi na to nie odpowiedziała, tylko w oczach jej zabłysło coś przyjemnego, coś – powiedziałbym nawet – serdecznego. Usiadłem znowu i głosem jeszcze wzburzonym, łamanym przez napływającą mi wciąż łzę, stopniowo się opanowując, zacząłem: „Pani! Chodzi mi o dwie rzeczy, o które prosić panią przyszedłem: pierwsza, jak pani dobrze rozumie, chciałbym zobaczyć się z córką, z Celinką – tak ją nazywam – wiem, że pani nazywa ją Dzidzi, a następnie o to, bym mógł od czasu do czasu korespondować z córką. Mieszkam, jak pani wie, w Kownie, skąd komunikacja z Polską jest bardzo utrudniona, toteż korespondencja ta nie będzie częstą – wystarczy mi choć parę razy do roku, bym ja mógł napisać czasem do Celinki za pośrednictwem pani, to znaczy przesyłając list przez pani ręce i od Celinki odpowiedź otrzymać". I tu mi Regina bardzo mądrze, bardzo zacnie i bardzo szlachetnie wytłumaczyła swój pogląd na tę sprawę, pogląd, którego ja dotąd nie znałem i nie rozumiałem i który ona od lat wielu ustaliła i konsekwentnie się nim przez lat 14 kierowała. W świetle tego poglądu zupełnie inaczej się przedstawia wszystko to, co dotąd uważałem za przekorę dla mego stosunku z córką i co zupełnie inaczej sobie tłumaczyłem. Toteż oświadczyłem Reginie, że jeżeli próbowałem kiedykolwiek nawiązać stosunek z córką przez trzecie osoby albo jeżeli używałem niekiedy pośrednictwa takich osób dla otrzymania informacji o córce, to tylko dlatego, że z tego, co słyszałem lub co sądziłem, miałem wyobrażenie, że Regina mię nienawidzi i że jest dla mnie okrutna. Powiedziałem, że się przecie raz do niej bezpośrednio zwracałem w tej sprawie listownie w roku 1919, ale odpowiedzi żadnej nie otrzymałem, a kiedyś – podczas połogu Reginy w r. 1910, gdy córka nasza na świat przyszła, Regina nie pozwoliła mi jej pokazać, bojąc się, że ją od matki wykradnę. Co do tego ostatniego faktu, Regina go przyznała, tłumacząc tym, że podczas połogu była znerwowana, co zaś do listu z r. 1919, to go nigdy nie otrzymała i nic o nim nie wie.

Teza, którą się kieruje Regina i którą mi ona teraz wyłuszczyła, jest następująca: nie myśli mi ona bronić stosunku z córką bądź w postaci widzenia się, bądź korespondencji. Ale ponieważ ona wychowuje córkę i dopóki córka jest pod jej kierunkiem, nie może ona dopuścić nawiązania jakiegoś stosunku między córką a mną przez trzecie osoby – poza jej wiedzą i udziałem. Jedyną pośredniczką między mną a córką jest tylko ona sama, która jest odpowiedzialna za wychowanie córki, i tylko wobec niej, matki – jawnie – ten stosunek może się iścić i rozwijać. Nie chodzi tu Reginie o kontrolę stosunku, nie chodzi o kwestionowanie i uszczuplanie praw ojca, jeno chodzi o dobro i zdrowie moralne samego dziecka. Dziecko w tym wieku nie powinno wiedzieć o szczegółach rozłamu między ojcem a matką, nie powinno tych stosunków badać i ćwiczyć swój umysł i serce na niebezpiecznych dociekaniach. Jest niedopuszczalne, by równolegle do stosunku między dzieckiem a matką, która jest jego wychowawczynią i w której domu dziecko rośnie, istniał jakiś osobny niezależny stosunek do ojca. Sam ten fakt, gdybym nawet w żadnym względzie nie buntował córki i gdyby moje z nią widzenia się i korespondencja była najlojalniejsze wobec Reginy i wobec uczuć dziecka dla niej – musiałyby demoralizować dziecko i wpływać nań deprawująco. Dziecko przywykłoby do jakichś dwóch różnych stosunków z każdym z rodziców, podczas gdy

wszystkie muszą się koncentrować w jednym ośrodku, który jest zarazem ośrodkiem wychowawczym. Nie należy umysłu i serca poddawać próbie przedwczesnego obserwowania konfliktu między rodzicami i dociekania przyczyn i źródeł tych antagonizmów.

14 września, rok 1924, niedziela
Jestem dziś ostatni dzień w Wilnie, ale jeszcze pisać będę o Grodnie – o mojej wizycie u Reginy.
Byłem zdumiony i zbudowany tym, com usłyszał od Reginy w przedmiocie traktowania przez nią mojego stosunku do córki. Zaiste było to dla mnie rewelacją. Wszystkie dotychczasowe domniemania moje o jej nienawiści do mnie, o okrutnym niedopuszczaniu mię do córki – upadły. Okazuje się, że nic z tego nie było. Że Regina mię bynajmniej nie nienawidzi – o tym mogłem się teraz bezpośrednio przekonać. Ze sposobu, jakim mię przyjęła i rozmawiała ze mną – wszelkie posądzenie o nienawiść upada. Regina rozmawiała ze mną przyjaźnie, powiedziałbym nawet – serdecznie. Gdybym się nie obawiał wniosków przedwczesnych, gotów byłbym nawet sądzić, że mię jeszcze kocha. Z niektórych jej słów wyzierało uczucie, które w każdym razie jest bardzo bliskie miłości. Zaiste u ludzi tak głębokich i stałych, jak Regina, miłość, jaka mię ona przez cały szereg lat przed ślubem naszym darzyła, nie umiera nagle bez żadnej pozostałości. Pod wpływem okoliczności i przeżytych rzeczy miłość zmienia może swoje oblicze, swoje elementy poszczególne, swój wyraz pierwotny, ale pozostaje na dnie jako pewien zasadniczy składnik psychiczny, jako cecha organiczna duszy, jej rys niezatarty. Przekonałem się, że nie jestem obojętny Reginie i że raz na zawsze pozostałem w jej duszy. Nie znienawidziła mię ona i nie będzie nigdy w stanie wyrugować mię ze swego serca. Jestem dla niej fatum, jestem tym demonem czy bogiem jej duszy, którego się nie wyzbędzie nigdy i który do grobu będzie w niej obecny, bo stał się cząstką jej samej. Regina, jak o tym wiedziałem zawsze, jest kobietą zgoła niepospolitą. Nie znam natury bardziej hartownej i twardej, niż Regina. Co u niej raz wykiełkuje w sercu i myśli, to pozostaje wiecznie i nie wygładza się nigdy. Jak przed laty 14 Regina uświadomiła sobie, iż w nasz stosunek do samego dziecka nie powinien wejść nikt trzeci, tak utrzymała to stanowisko bez żadnego zachwiania aż do chwili, gdy ja, po straceniu wszelkiej nadziei nawiązania bez niej czy poza nią stosunku do córki, zwróciłem się bezpośrednio do niej. I gdy przez tych lat szereg wszystkie podejmowane przeze mnie próby zawodziły, gdy wszystkie kombinacje czy to widzenia się z córką, czy korespondowania z nią, czy informowania się regularnego o niej – upadły i okazały się jałowe, rozbijając się o opór czynny czy bierny Reginy i gdy się już zdawało, że Regina się zawzięła i że zdecydowana jest negować moje prawa ojcowskie do dziecka bez jakiego bądź kompromisu – nagle, gdym w chwili rozpaczy, przygotowany na najgorsze konsekwencje, zapukał bezpośrednio do niej i stanął wobec niej prosty i bezbronny, nie poparty żadną instancją wpływów i usług pośredniczących osób trzecich, mocny jedynie tytułem ojca naszego wspólnego dziecka – rzecz okazała się tak łatwa i prosta, że aż było mi to na razie trudne do uwierzenia. Regina przyjęła moje zgłoszenie się z taka prostotą, z taką pogodą majestatyczną, pełną uśmiechu i naturalności, że zdawało się, iż czekała tylko na tę chwilę i że wszystkie dotychczasowe próby daremne i przeszkody, które mi się już zdawały niezwyciężone – były tylko ułudą. Tego nie spodziewałem się nigdy. Bo tez istotnie Regina od lat 14 czekała tej chwili. Miała ona dla mnie zarezerwowaną i otwartą jedyną drogę – tę właśnie najprostszą, jeno że ja szedłem wszystkimi drogami prócz tej, bo ta mi się zdawała właśnie zamkniętą – i wszystkie zapróbowane przeze mnie drogi uboczne i ścieżki zastawałem przed moim celem przez Reginę zabarykadowane. I dopiero gdym wszedł

na drogę prostą, która prowadziła mię do córki naszej przez jej matkę – przez Reginę – doszedłem do celu od razu. z łatwością, która dla mego umysłu, zmęczonego jałowymi próbami, wydała się nieprawdopodobną. O, cudowna mądrości Reginy, o, słodka tej kobiety prostoto, o, szlachetna droga do dziecka przez matkę! Gdy ktoś z osób trzecich, jak Kotunia Pruszanowska przed paru laty, w imię dobrych usług dla mnie usiłował dotrzeć do Celinki przez rozmaite pośrednictwa, omijając Reginę, Regina odpierała te usiłowania czynnie, nakazując intruzowi milczenie; gdy ktoś z tychże osób trzecich z rodziny zwracał się do Reginy, perswadując jej konieczność umożliwienia mi widzenia i korespondencji z córką, Regina zbywała te gawędy upartym milczeniem. Brano to za niechęć Reginy, za upór, za odmowę uznania tych żądań moich. W istocie nie była to odmowa, jeno stanowcza opozycja przeciwko drogom pośrednim, przeciwko wszelkiej interwencji, przeciwko pośrednictwu osób trzecich. Regina czekała cierpliwie bezpośredniego zwrócenia się mego do niej. Gdym to zrobił – znalazłem drogę szeroką i prostą otwartą; to, co zdawało się trudne, okazało się łatwe i proste. Regina zwyciężyła i ja dziś błogosławię to je zwycięstwo i uznaję, że jej stanowisko było jedyne słuszne a mądre i sprawiedliwe. Bóg mi dopomógł, bo gdybym, jak zamierzałem, zamiast w mieszkaniu Reginy zobaczył córkę w gimnazjum albo gdyby się tak zdarzyło, że córka otworzyłaby mi drzwi w mieszkaniu Reginy i ja, nie zgłaszając się do Reginy uściskałbym ją, nazwał się ojcem, pożegnał i odszedł – to nie znalazłbym tej drogi właściwej i naturalnej, którą mi rezerwowała w mądrości swojej serdecznej Regina i sam bym nie miał zadowolenia, a w serce córki wlałbym truciznę jakichś posądzeń i dociekań, zgorszyłbym ją, napełniłbym jej główkę i serduszko niewinne jakąś zagadką niezdrową o tajemnicy stosunku rodziców, zagadką, która by fermentowała w niej odtąd. Bóg dał, że córka w tym czasie nie chodziła do gimnazjum i że Regina spostrzegła zawczasu moją obecność w Grodnie i udaremniła możność spotkania córki przeze mnie bez jej wiedzy i udziału. O, jakże byłem niemądry i nieopatrzny, żem mógł dla dogodzenia zachciance widzenia mego dziecka narażać spokój jej duszy i źródlaną czystość jej stosunku do matki. Wszak takie pokątne dziwaczne spotkania nieznanego ojca z córką-dzieckiem kalałyby proste czyste tego dziecka uczucia, rozwinięte w promieniach domowego ogniska u łona matki. Byłem w tym względzie zły i głupi. Bóg mię ustrzegł – Regina mię podniosła. Niech jej będą dzięki za to. Mój egoizm, dyktowany rozpaczą, był rodem z piekła, ona zaś – niewiasta – starła łeb hydrze piekielnej i spełniła dzieło anioła. Dała mi córkę, przywróciła moje prawo ojcowskie i dała uczuciom moim jedyne naturalne ujście.

Słuchałem słów Reginy i ja, niby to człowiek mądry, profesor, sędzia, doświadczony w życiu – uczyłem się prawdy głębokiej od tej kobiety, która wcale za rozumną nie uchodzi, ale posiada wiedzę mądrością naturalną matki i żony. Słuchałem, uczyłem się i zdumiewałem głębią tej mądrości prostej. Regina mi mówiła, że jeżeli nasz związek małżeński był nieszczęśliwy, jeżeli życie nasze zostało złamane, to jest w tym jednak najmniej winy osobistej naszej, a najwięcej winy czy fatalizmu, że w nasz stosunek najwięcej wchodziło zawsze osób trzecich. Zaiste. Tak małżeństwu naszemu, tak dziejom miłości Reginy, jak rozstaniu naszemu towarzyszyły zawsze tysiączne niezliczone intrygi i interwencje osób trzecich z rodziny (no i panny Elizy Courtôt zwłaszcza, czego Regina może właśnie nie dostrzega, choć to jest cały słoń tej akcji interwencyjnej osób trzecich). Regina, która tę prawdę poznała, postanowiła na przyszłość w stosunku naszym wobec córki wyłączyć bez pardonu jakąkolwiek ingerencję tych osób. Konsekwentnie i ściśle przestrzegała też tego aż do skutku. Nie rozumiałem jej poprzednio, tłumaczyłem fałszywie jej postępowanie, gniewałem się, ale że się do niej nie zwracałem, więc mi ona tego powiedzieć nie mogła. Wiedziała

jednak, że kiedykolwiek się zwrócę – i oto teraz mi jest wszystko jasne. Odzyskałem córkę, jestem ojcem i błogosławię Reginie.

15 września, rok 1924, poniedziałek
Dziś rano wyjechałem z Wilna. Wracam na terytorium Litwy Niepodległej i na razie jadę jeszcze do Bohdaniszek, bo się mój urlop kończy dopiero 20-go bieżącego miesiąca. Interesy załatwiłem w Wilnie mniej więcej wszystkie, widziałem się prawie ze wszystkimi, kogo widzieć chciałem. meble moje wileńskie sprzedałem częściowo Stasiowi Wołodkowiczowi, częściowo – Heli Czarnej Römerównie, dzienniki moje od Tadeusza Wróblewskiego zabrałem, tylko nie zdążyłem nic zrobić z placykiem na Antokolu i ze względu na zasoby pieniężne nie nakupiłem tylu ksiąg prawniczych, ilu nam do Kowna byłoby potrzeba. O Wilnie i moich spostrzeżeniach wileńskich postaram się napisać z Bohdaniszek, gdy wyczerpię najaktualniejszy dla mnie przedmiot – widzenie się z Reginą i córką w Grodnie. Tymczasem jeno kilka słów o podróży dzisiejszej z Wilna do Abel. Dawniej taka „podróż" byłaby pospolita jazdą, nie zasługującą zgoła na szumne miano podróży, ale dziś, dzięki stosunkom, jakie się wytworzyły przez konflikt wileński między Polską a Litwą, te dwa punkty – Wilno i Abele – są przegrodzone taką ścianą, że zdają się leżeć na dwóch półkulach świata. Jest to więc podróż. Wyjechałem z Wilna pociągiem pośpiesznym o ósmej z rana. Na dworzec przyszedł mię pożegnać i odprowadzić poczciwy Adolf Narkiewicz. Publiczności w pociągu jechało bardzo mało, za Święcianami pociąg szedł już prawie pusty. Kolej ta z Wilna, a nawet z Grodna do Turmontu przecina przeważnie kraj czysto etnicznie litewski, który przydzielony jest do Wileńszczyzny tylko dla tej kolei, dlatego, że bez niego samo posiadanie przez Polskę Wilna ze skrawkami zachodnio- i katolicko-białoruskimi byłoby już zupełnym nonsensem. Ale te etnicznie litewskie połacie Wileńszczyzny, baz których samo Wilno nie mogłoby być państwowo polskim, są jednym z najlepszych świadectw sztuczności wcielenia Wilna do Polski. Jechałem więc do Litwy Niepodległej przez kraj litewski, którego macierzą jest tylko ona, a jednak na stacjach i w pociągu rozbrzmiewa tu wyłącznie mowa polska jako szata panowania państwowego Polski. Polacy litewscy z Litwy Niepodległej wskazują stale na to, że w Litwie Niepodległej język polski, którym mówi część ludności, jest wielce upośledzony i że w miejscach publicznych, jak na kolejach, w instytucjach i urzędach kryje się on wstydliwie, wymawiany ledwie szeptem dla nietolerancji Litwinów. Ale nie inaczej, a zdaje się, że nawet gorzej rzecz się ma po stronie polskiej w stosunku do języka litewskiego. Wszak i tam polski, i tu litewski nie jest urzędowo zabroniony, ale ludność sama w miejscach publicznych go unika, bo jest źle widziany, a urzędnicy i funkcjonariusze publiczni używają wyłącznie tego języka, który jest państwowym, bo gdyby pozwolili sobie rozmawiać głośno w Wileńszczyźnie po litewsku, a w Litwie Niepodległej po polsku, uznano by ich zachowanie się za nielojalne, za służbowo występne, a przeto naraziliby się na konsekwencje ujemne. Zdaje się, że w Wileńszczyźnie akcentuje się to jeszcze mocniej w stosunku do języka litewskiego, niż w Litwie Niepodległej do polskiego. Tylko że Polacy, wrażliwi na krzywdy języka polskiego w Litwie Niepodległej, nie czują, a przeto i nie widzą krzywdy ciężkiej dla litewskiego pod panowaniem polskim. Udało i się w Turmoncie podsłuchać rozmowę, prowadzoną szeptem na uboczu po litewsku przez dwóch niższych kolejarzy miejscowych; gdy ktoś do nich się zbliżał – milkli i już nie odważali się przemówić do siebie słowo litewskie. Że Polska jest jeszcze wrażliwsza na język litewski w tej połaci zabranego przez nią kraju, niż Litwa na swoim terytorium niepodległym na język polski – to zupełnie zrozumiałe: Litwa jest u siebie na swoich śmieciach, podczas gdy Polska czuje tu swoje prawa kwestionowane ze stanowiska etnicznego i ma psychologie

przybysza. Litwinów język polski może drażnić, dla Polaków zaś manifestowanie się języka litewskiego jest niebezpieczne dla ich tytułu prawnego. Polacy opierają się na sile, na przewadze, której Litwa im wydrzeć nie może, toteż uczuciowo są może łagodniejsi wobec Litwinów, niż Litwini wobec Polaków, ale w tłumieniu języka litewskiego na rzecz polskiego są prawnie bardziej zainteresowani, niż Litwini i są przeto konsekwentniejsi w tej akcji. W Turmoncie, jako pogranicznej stacji polskiej, urzędnicy celni polscy dokonali w wagonie rewizji rzeczy podróżnych. Pod tym względem obawiałem się o dzienniki moje, których 19 zeszytów wiozłem ze sobą. Choć mię w Wilnie w Urzędzie Celnym zapewniano, że rękopisy pamiętnikarskie z ostatnich lat przed wojną i z czasów wojny mogą być bez przeszkody z Polski wywożone, jednak nie czułem się pod tym względem pewny. Bądź co bądź, wywożenie rękopisów może budzić u urzędników celnych różne wątpliwości pod względem jeżeli nie kulturalno-historycznym, to politycznym. Szczęściem jednak urzędnicy celni w Turmoncie, którzy – ku memu zdumieniu – bardzo gorliwie przeglądali książki drukowane, które wiozłem z Polski, choć zdawałoby się, że wywożenie druków i książek współczesnych żądnego niebezpieczeństwa dla państwa nie przedstawia, a nawet, o ile chodzi o książki polskie, jest chyba raczej ze stanowiska polskiego pożądane, bo rozszerza kulturę polską za granicą – na rękopisy dzienników nie natrafili wcale. Zresztą co do książek i druków, to urzędników tych zajmowały zwłaszcza i niepokoiły druki białoruskie, których kilka pomiędzy książkami polskimi wiozłem. Gdym już wywiózł dzienniki za granicę polską – odetchnąłem. Mogła wprawdzie jeszcze zachodzić trudność wwiezienia ich przez granicę litewską do Litwy, ale tej się już mniej obawiałem, niż przeszkód w wywiezieniu ich z Polski. W Zemgale rewizja łotewska poszła gładko. Z Zemgale zajechałem do Dyneburga, gdzie mając parę godzin czasu odwiedziłem Kraskowskiego w gimnazjum białoruskim. Wieczorem wyjechałem na Grzywę do Abel. W Abelach urzędnicy celni litewscy przejrzeli bardzo szczegółowo wszystkie książki i czasopisma polskie, które wiozłem i które im zadeklarowałem jako nabyte dla Uniwersytetu Litewskiego, ale – czego się nie spodziewałem znowu – wszystkie bez żadnej trudności przepuścili, a o rękopisy moich dzienników, choć je widzieli, żadnej kwestii nie robili i ani zajrzeli do nich. Tak więc dzięki Bogu mam już wszystkie moje dzienniki w komplecie po litewskiej stronie. To mi bardzo leżało na sercu.
Ze stacji w Abelach zajechałem na noc do miasteczka do znajomego kupca Zaka. Do Bohdaniszek pojadę jutro rano.

16 września, rok 1924, wtorek
Jestem znowu w Bohdaniszkach. Żadnych szczególnych zmian tu nie zastałem. Zresztą zaledwie przed dziesięciu dniami stąd wyjechałem, ale że to Wilno jest oddzielone od Litwy Niepodległej murem chińskim, więc nawet krótki pobyt w Wilnie zdaje się czynić wszystko to, co się tu dzieje lub dziać może, jakimś tajemniczym dalekim nieznanym, że gdy się wraca stamtąd, to się zdaje, że się wraca z zaświata i że Bóg wie co tu się mogło stać.
Będę więc kontynuować teraz moją relację z wizyty u Reginy w Grodnie. A więc, jakem to mówił, Regina mi od razu otworzyła oczy na to, na co byłem dotąd ślepy, oznajmiając, że przez nią w drodze bezpośredniego stosunku miałem i mam zawsze możność całkowitą tak widzenia się z córką, jak korespondowania z nią. Dopóki na tę drogę nie wkroczyłem, dopóty możności tej nie miałem, ta zaś droga stoi mi zawsze otworem. Wszakże pośrednictwo osób trzecich, wszelkie stosunki moje z córką, które by się miały realizować ubocznie i pokątnie, jako coś obcego i odrębnego stosunkowi córki z matką, to znaczy z Reginą – Regina wyłącza kategorycznie. Stanowisko to zrozumiałem w zupełności i przyjąłem z najszczerszym uznaniem do wiadomości.

Uznałem bez zastrzeżeń, że Regina ma zupełną rację i że to jest stanowisko najsłuszniejsze i najzdrowsze moralnie, bo wszelkie inne wnosiłoby do stosunku dziecka do rodziców moment fałszu i deprawującego duszę dziecka rozdwojenia. Rozwijając i wyjaśniając mi to stanowisko, Regina zaznaczyła, że chodzi tu o ten okres, kiedy dziecko się wychowuje i kiedy właśnie wychowanie jego należy do Reginy. Mój stosunek jako ojca do córki nie szkodzi i nie paczy tego wychowania, gdy się realizuje w kontakcie z Reginą; wtedy jest on zupełnie naturalny, właściwy i dodatni. Ale tylko wtedy. Natomiast gdy Celinka dorośnie i rozwinie się, gdy się jej wychowanie skończy, Regina już żadnych żądań i zastrzeżeń co do sposobu realizowania mego stosunku z córką zgłaszać nie będzie – do tego stopnia, że, jak powiada, gdyby córka zechciała w przyszłości w ogóle połączyć się ze mną, to znaczy zamieszkać u mnie i być ze mną, ona żadnych przeszkód ze swej strony stawiać temu nie będzie, bo w równym stopniu Celinka jest córką moją, jak Reginy. Celinka już była uprzedzona o mnie. Nie wie ona wszystkiego o mnie, nie jest dokładnie poinformowana, tym bardziej nie zna szczegółów naszego z Reginą małżeństwa i dziejów oraz przyczyn rozstania naszego, bo na to jest za młoda, ale wiedziała o ojcu i w szczególności była obecnie przygotowana do widzenia się ze mną, bo okazuje się, że Regina, gdym ją dnia poprzedniego spotkał na ulicy jadącą dorożką, widziała mię i poznała, toteż domyślała się, że zechcę córkę widzieć, a przeto ją do tego przygotowała. Na razie, gdym przyszedł do domu Reginy i gdym był przez nią przyjęty, Celinki w domu nie było: jak mi powiedziała Regina, Celinka poszła do koleżanki, mnie się zaś zdaje, że Regina, spodziewając się ewentualnej wizyty mojej i nie wiedząc z góry, jak się zachowam i czego żądać będę, umyślnie ją zawczasu usunęła z domu, aby na wypadek jakichś scen przykrych czy awantur (bo cóż Regina mogła wiedzieć pewnego o moim usposobieniu i zamiarach w tym przedmiocie po 14 leciech rozłąki!) córka nie była ich świadkiem. Sądzę więc, że nieobecność Celinki w domu była nie przygodna, lecz planowa i że dopiero po moim przyjściu i przekonaniu się o pokojowych intencjach moich – po pierwszym stadium mojej rozmowy z Reginą – posłano po nią. Jeżeli tak było w istocie – nie mam tego bynajmniej za złe Reginie. Byłby to akt przezorności zupełnie zrozumiały i usprawiedliwiony względami na dobro Celinki. Nie mogę mieć żalu do Reginy, że mi nie zaufała z góry na ślepo, bo choć awantury nie były nigdy w intencji mojej i choć daleki byłem zawsze od kwestionowania jakichkolwiek praw i prerogatyw Reginy względem córki i unikałem forsowania czegokolwiek bądź przemocą w tym stosunku naszym, to jednak czuję dobrze, że będąc sam dotąd na fałszywych torach i źle interpretując intencje Reginy, mogłem w pewnych okolicznościach, będąc podrażniony i czując się skrzywdzony, zrobić w tej wizycie jakiś krok niewłaściwy, szkodliwy dla córki, zanim bym się jeszcze rozmówił z Reginą i poznał i zrozumiał jej stanowisko istotne. Takim np. krokiem fałszywym byłoby moje zaprezentowanie się córce i ucałowanie jej, a następnie odejście bez rozmowy z Reginą, na co byłem zdecydowany na wypadek, gdyby mi drzwi otworzyła Celinka. Mogłyby zresztą wyłonić się i inne kroki fałszywe, płynące z fatalnego nieporozumienia i błędu, w jakim byłem. Toteż przyznaję, że wszystko było bardzo mądrze zawczasu obmyślone i przygotowane przez Reginę. Nie tylko że nic jej nie mam do zarzucenia, ale w każdym szczególe jej zachowania się i powiedzenia pełny jestem dla niej podziwu i najgłębszego uznania. Celinki Regina w dzieje szczegółowe naszego nieszczęśliwego z nią stosunku nie wtajemnicza. Bardzo słusznie. Gdyby Regina miała to czynić przedmiotowo, byłoby to zbyt dla dziecka drastyczne, a pod wielu względami i niezrozumiałe jeszcze na jego wiek. Gdyby zaś to miała czynić podmiotowo, musiałaby, zachowując swój autorytet, obarczać winą mnie, wykolejając w świadomości dziecka jego stosunek do ojca. Tego Regina robić nie chce i jest na to zbyt szlachetna. Wobec tego informuje dziecko o mnie

tylko powierzchownie, nie pogłębiając w świadomości Celinki żadnych szczegółów ściślejszych, mogących zawadzić o nasz stosunek i dać jej pod tym względem do myślenia. Jest to zadanie bardzo delikatne i trudne. Regina stwierdza, że ułatwiają jej to zadanie dwie okoliczności: a. że mieszkamy ja w Litwie, a ona – w Polsce i b. że mieszka ona w Grodnie. W Grodnie nie ma nikogo z naszej rodziny i w ogóle mało nas znają. Nikt tu nie opowie dziecku poza plecami matki dziejów stosunku rodziców, bo nikt tu tych dziejów nie zna. Ludzie, którzy tu znają Reginę, sądzą, że dlatego mieszka osobno, że Regina ma majątek tu, a ja – w Kowieńszczyźnie, więc że podzieliliśmy się czuwaniem nad majątkami naszymi. Taka jest przeciętna opinia w Grodnie o stosunkach małżeńskich Reginy. Regina zaś nie ma w naturze swojej amatorstwa zwierzania się przed ludźmi, toteż nikogo pod tym względem z błędu nie wyprowadza, a błąd ten jest ze względu na dziecko dogodny. Jeżeli nawet ktoś coś skądś słyszał, to przecież wie za mało, aby móc opowiadać. Wskutek tego nikt dziecka nie uświadamia o stosunkach rodziców. Jeżdżąc do Wilna, gdzie są krewni, Regina albo nie bierze córki, albo chodzi z nią razem, więc i stamtąd „uświadomienie” nie grozi.

17 września, rok 1924, środa
Dalsze dni pobytu w Bohdaniszkach zużytkuję na relację mojej wizyty u Reginy. Rozmowa moja z Reginą w oczekiwaniu przyjścia córki trwała ze dwie godziny. Regina kilka razy wychodziła na chwilę z pokoju, ale za każdym razem prędko wracała i dotrzymywała mi towarzystwa. Usposobienie między nami było przez cały czas rozmowy przyjemne i pogodne, prawie serdeczne, choć mówiliśmy do siebie stale na „pan” i „pani”. Czegośmy też sobie w tej rozmowie nie powiedzieli, jakich tematów nie poruszyli po czternastoletniej rozłące! Dotykaliśmy i naszego stosunku, i rzeczy czysto osobistych, i szczegółów o córce, o której mię Regina informowała, i jej własnych spraw majątkowych. W pewnym momencie rozmowy Regina powiedziała: „Dlaczego się pan nie zgodził na rozwód – byłby się pan ożenił, miałby pan dzieci, byłby szczęśliwy?”. „Pani – rzekłem – nie chodziło mi o to, nie miałem zamiarów małżeńskich; raz tylko jeden byłem bliski stosunku, który mógłbym pragnąć utrwalić w małżeństwie, ale osoba, o którą chodziło, umarła przed laty dziesięciu na początku wojny; ta śmierć była też jedną z przyczyn, dla których zdecydowałem się na pojechanie do Legionów. Obecnie jesteśmy chyba za starzy, aby myśleć o małżeństwie”. Na to Regina: „O, pan się nic nie zmienił” – i po chwili – „No tak, trochę pan utył, ale na ogół nie zmienił się pan wcale”. Zaznaczyła też Regina w innym momencie rozmowy moje rzekomo duże podobieństwo do naszego wspólnego pradziada Michała Römera, którego popiersie brązowe mieliśmy przed sobą i który jest pośród Reginy przodków jej ulubionym. Innym razem ja oświadczyłem Reginie komplement, który zresztą był zupełnie prawdziwy i szczery. Powiedziałem jej, że bardzo wypiękniała i że wygląda bardzo ładnie. Podobało się to Reginie – uśmiechała się zadowolona. Gdym mówił Reginie o moim stanowisku w Kownie, spytała mię na razie, czy nie szkoda, że nie oddaję sił i zdolności moich Polsce, a gdym jej na to powiedział, że ojczyzną moją, którą kocham najgoręcej, jest Litwa i że należę do tych Mohikanów, w których się polskość kojarzy nierozerwalnie z litewskością i którzy w konflikcie Litwy z Polską nie są w stanie stanąć po stronie Polski, bo Litwa ojczysta jest dla nich najdroższą, Regina zapewniła mię, że ona także kocha bardzo Litwę i Litwinów i że się przywiązała do nich, mieszkając dziesięć lat w Cytowianach. O Cytowianach i o garstce swoich serdecznych przyjaciół w tym miasteczku na Żmudzi – przede wszystkim o dziekanie i wikarym tamecznych, aptekarzu i poczmistrzu – zachowała Regina jak najżywsze i najserdeczniejsze wspomnienia. Przeżyła ona tam całą wojnę i okupację niemiecką, tam upłynęły pod jej okiem i kierunkiem dziecinne lata córki, tam

doświadczyła przyjaźni i serca tych ludzi, tam w swojej samotni na odludziu czuła się najlepiej. I dotąd zachowała te stosunki, czasem miewa stamtąd wieści – zawsze równie serdeczne i miłe, tam też u tych ludzi pozostały dotąd w pakach jej rzeczy. Natomiast wspomnień z dworu cytowiańskiego Regina nie zachowała dobrych, a szczególnie nie lubi Zosi Eugeniuszowej Römerowej, której natura skąpa, egoistyczna i spekulacyjna nie odpowiada usposobieniu Reginy. Grodno Regina lubi i zadowolona jest z zamieszkania tutaj, chociaż – powiada – „i tutaj mię już ludzie znajdują i nie wiem, dokąd dalej od nich uciec", bo Regina towarzyską nie jest i najlepiej się czuje, gdy jest sama i gdy nie potrzebuje się liczyć z natrętną obserwacją i krytyką ludzką. Poruszyłem też kwestię ewentualnego przyczynienia się mego do kosztów utrzymania lub wychowania córki naszej. Wiem, jaką dumną i drażliwą jest Regina na punkcie wszystkiego, co ma związek z pieniędzmi. Woli ona obejść się małym, niż o coś prosić lub coś przyjąć. Od r. 1911 do 1915, stosownie do układu z Eugeniuszem Römerem, który działał w imieniu Reginy, płaciłem Reginie stale jakąś kwotę miesięczną (nie pamiętam ile) tytułem kosztów wychowania córki. Już wtedy, jak o tym wiem, Regina nie chciała tych pieniędzy. Ale ponieważ wtedy nic nie miała poza tym, co jej skąpo dawała matka, Eugeniusz skłonił ją do brania tych pieniędzy, koniecznych ze względu na dziecko. Ja wpłacałem je do Banku Handlowego w Wilnie na rachunek bieżący Reginy, która je stamtąd podejmowała. Od r. 1915, gdym wyjechał do Legionów, nie płaciłem jej nic. Po wojnie nie płaciłem także, bo uważałem, że mnie się dzieje ze strony Reginy krzywda i dopóki ona mię nie dopuszcza do dziecka, dopóty nic jej dawać nie jestem obowiązany. Ale dawałbym chętnie, gdybym mógł utrzymywać stosunek z córką. Toteż teraz, gdy się tak pięknie rzecz złożyła, postanowiłem poruszyć wobec Reginy ten temat. Regina jednak odrzuciła kategorycznie wszelką propozycję moją w tym względzie. Oświadczyła, że gdy jej wystarcza – wystarczyć musi i wystarczy dla dziecka i że nic ode mnie nie przyjmie. Na próżno jej perswadowałem i tłumaczyłem, że powinna przyjąć, bo to chodzi o dziecko i że jestem w stanie dawać, bo zarabiam więcej, niż mi na przeżycie potrzeba. Przekonywałem ją, że z dawaniem pieniędzy na utrzymanie i wychowanie córki nie myślę łączyć żadnych praw ani wymagań moich i że żadnych konsekwencji z tego faktu wyciągać nie będę. Regina odmówiła stanowczo. A stanowczość Reginy jest zawsze tego rodzaju, że przecina kwestię i że jest niezłomna i nieodwołalna. Łatwiej górę poruszyć z miejsca, niż decyzję Reginy zachwiać. U niej gdy już powiedziano tak lub nie, to już będzie tak albo nie. Wiem, że stan materialny Reginy nie jest świetny i że ma ona duże kłopoty majątkowe. Słyszałem już o tym w Wilnie, a resztę dopowiedziała mi sama Regina. A jednak pod żadnym pretekstem mojej pomocy pieniężnej dla kosztów wychowania i utrzymania córki nie zgodziła się przyjąć. Pozornie – po śmierci swej matki i brata Jurka, zmarłego w r. 1919 – Regina, jako jedyna ich spadkobierczyni, stała się bogatą dziedziczką, a przynajmniej mogła uchodzić za taką. Należy do niej majątek Łunna w powiecie grodzieńskim nad Niemnem i historyczna tradycyjna kamienica Römerów na Bakszcie czy Sawicz-ulicy, zwana popularnie w rodzinie „Budą" i będąca od lat przeszło dwustu własnością Römerów. Łunna – to był duży i ładny majątek. Obecnie jednak las w Łunnie jest cały podczas wojny wychlastany, a obszar majątku (zdaje się, że bez lasu, który w Polsce bodaj nie uległ wywłaszczeniu) skurczył się obecnie do 400 ha. Resztę ziemi zużyto na reformę agrarną i rozparcelowano, zostawiając właścicielce nietykalną normę, która na polskich ziemiach Litwy i Rusi, czyli na tzw. „Kresach", wynosi 400 ha. Jak mi opowiadała Regina, gdy u niej z Łunny brano ziemię na parcelację, to na jej starania przeciwko odpowiedziano jej, że tym bardziej nie zasługuje ona na względy władz polskich, bo jej mąż – to znaczy ja – ma poza tym majątek na Litwie i ma wysokie stanowisko w rządzie litewskim, toteż majątek żony takiego Litwina słusznie

powinien być przez władze polskie wywłaszczony i rozparcelowany. W r. 1921 Regina, która wtedy przeniosła się z Cytowian na Żmudzi do Grodna, oddała Łunnę w dzierżawę 12-letnią jakiemuś Żydowi, ale kontrakt dzierżawny był tak niefortunnie napisany i dzierżawa tak niedogodna, że obecnie Regina za ustąpienie dzierżawcy z dzierżawy musi mu zapłacić 8000 dolarów! I płaci te pieniądze, bo byłoby jeszcze gorzej, gdyby dzierżawa pozostała. Zresztą za tę sumę Regina nie tylko oczyszcza Łunnę z dzierżawy, lecz także nabywa inwentarz dzierżawcy. Dla uzyskania tej sumy Regina sprzedaje 160 hektarów ziemi w Łunnie. Sprzedałaby Regina i całą Łunnę, ale żałuje jej, bo jest do niej przywiązana. Co do kamienicy w Wilnie, to Regina z niej czerpie cały dochód pieniężny, który zresztą zbyt wielki nie jest. Obecnie ma ona 800 dolarów długu, zaciągniętego na hipotekę kamienicy i nie może sumy tej wypłacić. Sprzedałaby kamienicę chętnie i kupiłaby dom w Grodnie. Gdy się dowiedziała ode mnie, że Eugeniusz Römer miałby ochotę nabyć tę kamienicę jako odwieczną własność Römerów, Regina się tym zainteresowała żywo; ale jak dalece zna się ona na wartości rzeczy, świadczy to, że mię spytała, czy Eugeniusz miałby 50 000 dolarów (sic!) gotówki na kupno tej własności. Oczywiście kamienica ani w przybliżeniu tyle nie jest warta, a suma 50 tysięcy dolarów jest tak wielka, że o takiej sumie w gotówce ani Eugeniusz, ani nikt prawie i marzyć dziś nie może.

18 września, rok 1924, czwartek
Nie skończyłbym nigdy, gdybym chciał tutaj w dzienniku powtórzyć wszystko, czegośmy dotknęli z Reginą w ciągu naszej dwugodzinnej rozmowy. Toteż dość będzie tego, co już powiedziałem. Upłynęły dwie godziny mego czekania na córkę. W ciągu tych dwóch godzin kilkakrotnie się rozlegał dzwonek u drzwi wyjściowych. Regina wstawała i wychodziła na krótko z salonu, ale wracała zawsze z odpowiedzią, że to jeszcze „nie Dzidzi". Na koniec – po dwóch godzinach – znowu dzwonek. Regina znowu wstała i wkrótce wróciła mówiąc, że to już mała przyszła i że ją zaraz ujrzę. Powiedziawszy to wyszła. Znowu wzruszenie mię ogarnęło, bo oto za chwilę miałem zobaczyć i uścisnąć moje jedyne dziecko, które ma lat czternaście i którego dotąd nie znam. Czekałem sam jeden w salonie dobry kwadrans. Zdaje się, że przez ten czas ubierano Celinkę, bo mi ją zaprezentowano w ładnej sukience świątecznej. Wreszcie drzwi się otwarły i ujrzałem w nich Reginę, prowadzącą Celinkę przed sobą. Utworzył się w tej chwili w drzwiach jakby żywy obraz: w ramach drzwi tło obrazu stanowiła Regina, wysoka, rozrosła, wypełniająca sobą cały otwór drzwi – pogodna i spokojna; a na tle Reginy przed nią – Celinka, dziewczynka o kształtach dziecięcych bardzo wczesnego podlotka, wysoka jednak, wąska w plecach, o twarzyczce poważnej w tym niezwykłym momencie jej życia, kiedy miała ujrzeć po raz pierwszy swego ojca. Wstałem i poszedłem ku dziecku, które prowadziła ku mnie powoli Regina. Pocałowałem Celinkę w czoło i policzek, ona zaś, nauczona przez matkę, pocałowała mię w rękę. Następnie przeżegnałem ją i pocałowałem znowu. Scena ta odbyła się w zupełnym milczeniu. Za nami i nad nami stała Regina, matka dziecka, jak duch, który nas błogosławi. Usiedliśmy – z jednej strony stołu Regina, z drugiej – Celinka, między nimi – ja. Siedziałem blisko Celinki, dotykałem jej, gładziłem jej włosy, które ma ciemne ładne, splecione w dwie duże kosy. Na razie, gdym ujrzał Celinkę, doznałem pewnego rozczarowania; wzruszenie, które było bardzo silne przed zobaczeniem Celinki, rozwiało się jakoś, bo dziewczynka wydała mi się brzydka i nie taka, jakiej się spodziewałem. Była ona zażenowana, stropiona bardzo, więc wyglądała jakoś niepokaźnie i mdło. I jej nie zachwycił z pewnością ten ojciec, który stanął przed nią w postaci dużego i grubego mężczyzny, podtatusiałego i łysiejącego, roszczącego jakieś szczególne przywileje do jej osoby. Choć wiedziała, że to ojciec, to jednak ją,

wychowaną w otoczeniu wyłącznie kobiecym, musiało razić odruchowo to, że oto ten obcy nieznajomy mężczyzna całuje ją w twarz i ściska, że ją gładzi i dotyka poufale, do czego ona nie przywykła nigdy. Co innego bowiem wiedzieć teoretycznie o ojcu, a co innego – mieć ojca: Celinka wiedziała, co to jest ojciec i wiedziała, że go ma w zasadzie, ale go przecież doświadczalnie nie miała. Zresztą – albo ja wiem, jakich ona w tej chwili doświadczała uczuć? Była zbyt zażenowana i onieśmielona, przeto zbyt skupiona i powściągliwa, aby można było wyczytać z niej wrażenia i uczucia, jakich doświadczała. Zacząłem Celinkę rozpytywać, prowadzić rozmowę w tonie żartobliwym, w czym mi dopomagała Regina. To rozruszyło trochę Celinkę, która zaczęła się uśmiechać, mówić, ożywiać. Gdy się ożywiała, twarz jej nabierała wyrazu i ładniała i wtedy zdawała mi się ona nawet przystojna. W ogóle ma ona gatunek twarzy, który się bardzo zmienia w wyrazie. Oczy ma duże (na jednej powiece miała tego dnia „jęczmień”), brwi jakby podniesione, co nadaje jej twarzyczce jakiś elementarny wyraz zdziwienia, usta ma ładne, zdaje mi się, że podobne do moich – regularne i zmysłowe – nos ku końcowi nieco gałkowaty, nieco podobny do nosa mego dziada Edwarda Römera i swego stryja (wuja) Edzia, starszego brata Reginy. Na ogół zaś typ ma jakiś – powiedziałbym – żydowski, niepodobna jest ani do Reginy, ani do mnie. Celinka uchodzi za mającą zdolności do rysunku, co jest rzeczą pospolitą i tradycyjną w naszej rodzinie. Na prośbę moją przyniosła ona i pokazała mi parę zeszytów ze swymi rysunkami, które jednak na ogół, choć są niezłe, nic szczególnego nie przedstawiają: były to przeważnie jakieś przerysowane rysunki i karykatury z rozmaitych ilustracji, w szczególności z przedwojennej satyryczno-humorystycznej „Plotki Wileńskiej”. Co do wdzięków Celinki, to trudno jeszcze o nich sądzić z tego względu, że jest ona w wieku najniewdzięczniejszym, kiedy dziewczynka przestaje już być dzieckiem, a jeszcze nie jest panienką ani nawet podlotkiem.
Rozmowa moja z Celinką w obecności Reginy trwała z 15 do 20 minut. Nie chciałem jej zbyt przeciągać, aby nie zmęczyć dziecka i nie znudzić zbytnio. Wstałem więc i pożegnałem się z Celinką i Reginą. Na pożegnanie ucałowałem Celinkę, przeżegnałem ją, poprosiłem, by mię pocałowała nie tylko w rękę, lecz także w twarz, na co ona odpowiedziała mi pocałunkiem nieśmiałym w policzek. Na tym się skończyło. Regina odprowadziła mię aż do drzwi wyjściowych na schody. Wychodząc podziękowałem jaj za wszystko i w szczególności za dziecko. Muszę jednak wyznać, że wrażenie o wiele silniejsze wywarła na mnie rozmowa z Reginą, niż widzenie się z Celinką. Ciekaw byłbym wiedzieć, co sądzi o mnie i o naszym stosunku z Reginą Celinka. Czy istotnie zadowala ją bez żadnych zastrzeżeń wersja o tym, że mieszkam z Reginą osobno dlatego, że majątki ziemskie należą do terytoriów dwóch różnych państw? Czy nic nie budzi pod tym względem w jej sercu i myśli jakichś szczególnych wątpliwości i zagadnień? Tak na przykład czy uszło jej uwagi to, żeśmy się z Reginą tytułowali na „pan” i „pani”, co oczywiście nie jest zwyczajne w małżeństwie? Co do mnie, to w tej rozmowie z dzieckiem w obecności i z udziałem Reginy, jego matki, dwukrotnie przez pomyłkę zamiast na „pani” zwróciłem się do Reginy na „ty” i dopiero po takim odezwaniu się spostrzegałem się i naprawiałem błąd, prostując „ty” na „mama” (jako mama dziecka, co wywoływało uśmiech na twarzy Reginy. Atmosfera rozmowy wspólnej nas dwojga z naszym dzieckiem mimo woli odrywała mię od sztywnego „pan”, „pani” i nastrajała na ton poufny, któremu właściwy jest zwrot na „ty”, „ciebie”, „twoje”.

19 września, rok 1924, piątek
Wdzięczny jestem niezmiernie Reginie za przyjęcie, jakiego od niej doznałem, za udostępnienie mi stosunku regularnego z córką, wreszcie za to, że mi otworzyła oczy i

że mi wskazała drogę prostą i pewną, która zarazem jest jedyną, jaką się w naszych warunkach może realizować stosunek ojca do córki bez niebezpieczeństwa i bez szkody moralnej dla biednego dziecka. Z manowców, po których dotąd jałowo krążyłem, nie umiejąc trafić do córki, gryząc się i tęskniąc, stanąłem naraz na mocnym gościńcu, który mię przywraca do prawowitych uczuć moich i z nieszczęśliwego ojca i małżonka czyni ojcem, mogącym znać i kochać dziecko i być przezeń poznanym i może pokochanym, a choć do stanowiska małżonka nie przywraca, to jednak czyni nasz stosunek z Reginą ludzkim i towarzyskim, opartym na szacunku i bądź co bądź sympatii. Wszystko to zawdzięczam Reginie. Przed tygodniem zdawały mi się te rzeczy nieziszczalne, o których ani marzyć nie śmiałem. Ale nie za to jedno wdzięczny jestem Reginie. Muszę przyznać, że życiem poczciwym bez skarg zasłużyła ona na cześć najwyższą, jaka się może należeć kobiecie i w szczególności na cześć, jaką winienem jej jako tej, co była moją żoną, nosi moje imię i jest matka mojego dziecka. Tak, Regina jest odludkiem, nie lubi towarzystwa i gwaru ludzkiego, kocha się w samotności, jest dzika i nieśmiała, unika zebrań i w ogóle przygodnych znajomości ludzkich. Jest najszczęśliwsza, gdy jest z dala od ludzi i od życia towarzyskiego i gdy może zamknąć się w najciaśniejszym środowisku domowym, które obecnie uosabiają dla niej Francuzka panna Courtôt i córka, a poza tym ma malutkie grono starannie dobranych znajomych, którzy są zarazem jej przyjaciółmi. Taki ideał zacisza domowego i małego, ale serdecznego grona przyjaciół posiadała ona właśnie w Cytowianach. Ale czy można przeto powiedzieć, że dzięki temu usposobieniu mizantropki Regina nie była narażona na pokusy i że przeto nie jest jej szczególną zasługą, że pozostała w separacji ze mną czysta i nie skalana nie tylko żadną miłostką, ale nawet żadnym cieniem flirtu i zalotów? Przecież nie. Bądź co bądź była bardzo młoda, gdy się ze mną rozstała – miała dopiero lat 22-23. Obecnie ma zaledwie 36 lat. Była też ładna, postawna, mogła i jeszcze może się podobać. Choć bardzo krótko żyła w małżeństwie, jednak bądź co bądź zaznała mężczyzny, miała dziecko, więc nie może być, aby nie uczuwała nigdy tęsknot zmysłowych. Łatwiej się jest oprzeć zmysłom pannie, która stosunku płciowego z mężczyzną nie doświadczyła, niż młodej mężatce. Toteż musiała mieć Regina pokusy i musiała się im opierać. Nie ma takiego odludzia samotnego – za wyjątkiem pustyni zupełnej – na którym nie spotkałaby nigdy mężczyzny, co by zechciał skorzystać z jej młodości i zmysłów. Jeśliby to nie był kochanek w całkowitym znaczeniu, to byłby przynajmniej jakiś adorator i asystent, który się zwykle u boku każdej kobiety znajduje, wisząc przy niej jako doradca, przyjaciel itp. Prawie każda kobieta samotna, nie tylko młoda, ale nawet stara, ma w swoim otoczeniu takiego wiszącego asystenta pod tytułem krewnego, rządcy, przyjaciela, rezydenta itp. U Reginy nigdy go nie było. A że się mogła podobać i podobała, że mogła znaleźć adoratorów i asystentów, którzy byliby chętnie bądź realnymi kochankami, bądź platonicznymi sympatykami w jej świecie – o tym wiem dobrze. W czasie walk niemiecko-rosyjskich na Żmudzi i za okupacji niemieckiej bywali w Cytowianach oficerowie niemieccy, którzy mieli okazję zapoznania się z Reginą, czasem nawet wyświadczenia jej usług i którzy ją bardzo podobali. Paru z tych oficerów spotkała potem Hela Ochenkowska i Marynia Römerowa; opowiadali oni o Reginie, zachwycali się nią, byli dla niej pełni uznania i najgoretszej sympatii. Gdyby tylko Regina chciała, staliby się jej adoratorami. Ale Regina nie skaziła się nigdy najlżejszym flirtem z nimi. Była obyczajów nieskazitelnych. Czy nie mam tego cenić? Wprawdzie nie roszczę do Reginy żadnych pretensji małżeńskich, ale że była ona moją żoną, że zachowała imię moje i że jest matką mojego dziecka, więc nie jest mi to obojętne. Żaden cień najlżejszy, żadna skaza przelotna, żadna plamka nie ciąży na niej. Spędziła ona swoją młodość samotną czysta jak westalka. Nikt nawet flirtu z jej strony wskazać nie potrafi, bo go nie było. I jaka to

jest szkoła wychowania dla córki, jaki atut moralny dla dziecka! Celinka, wychowana przez taką matkę, w atmosferze tak czystej, tak wolnej od czadu zmysłowego, zachowała duszę niewinną, jest dzieckiem dotąd, bawi się lalką, kocha swe koteczki, ani śni o chłopcach, ani marzy o zabawie zaprawionej podnietą zmysłową, która nieraz nurtuje w serduszkach i w główkach dziewczynek w jej wieku. Gdyby u matki widziała stroje, perfumy, towarzystwo męskie, flirt itd., to by się opary zmysłowe i do jej serduszka dostały, niepokojąc ją przedwcześnie. Regina ustrzegła dziewiczość duszy naszej córki. Niech będzie błogosławiona za to.
Ze wszech względów błogosławię Reginę. Krewni, którym w Wilnie i tutaj w Bohdaniszkach opowiadałem o mojej wizycie u Reginy, o wdzięczności, jaka mam dla niej i o wrażeniu, jakie na mnie wywarło widzenie się z Reginą i które jest w istocie o wiele silniejsze od wrażenia sprawionego przez córkę, zdają się dziwić i wnioskować, że oto Michał przez lat czternaście tęsknił do córki, a gdy ją wreszcie zobaczył u żony, to... zakochał się w żonie. Zaczynają też przypuszczać, że konsekwencją tego pierwszego spotkania mego z Reginą będzie w bliskiej zapewne przyszłości wznowienie naszego pożycia małżeńskiego. Zdaje m się jednak, że wnioski te są mylne. Cieszę się z przywrócenia dobrego stosunku z Reginą i pragnąłbym go utrwalić, ale nie zamierzam i nie chcę połączenia się małżeńskiego z nią na stałe. Po pierwsze, na przeszkodzie stoi Francuzka. Nigdy nie zgodziłbym się na pożycie z Reginą z udziałem Francuzki, a byłbym nieludzki, gdybym miał żądać jej wydalenia, żeby nawet przypuścić, że Regina by się na to zgodziła, w co nie wierzę. Poza tym, Regina jest za twarda, zanadto indywidualna i oporna na wpływ, aby to pożycie nasze mogło być kiedykolwiek dobre. Regina nie nagnie się nigdy do mej indywidualności, nie potrafi czuć i myśleć moimi uczuciami i myślami, a bez tego nie byłoby dobrego małżeństwa. Regina jest za twardą i zanadto osobową. Ale nie myśląc i nie chcąc stałego z nią połączenia małżeńskiego, chętnie bym przystał na to, byśmy się z nią mogli spotykać i czasem nawet wspólnie gdzieś jeździć i czas spędzać lub żeby na przykład przyjechała ona kiedykolwiek na czas jakiś do mnie. I gdyby w skutku takiego obcowania między nami mógł się nam urodzić syn, który by uzupełnił córkę – nie tylko nie miałbym nic przeciw temu, ale byłbym bardzo temu rad.

20 września, rok 1924, sobota
W dwa dni po wizycie u Reginy napisałem do niej w Wilnie list, który tu zacytuję w całości. Łącznie z tym listem do Reginy napisałem i wysłałem pod jej adresem pospolity banalny list do Celinki. List do Celinki, który w myśl naszego układu z Reginą otwierał moją korespondencję z córką i musiał być przesłany przez ręce Reginy, był w istocie tylko pretekstem dla listu do Reginy samej. Chciałem streścić w tym liście uczucia, które mię przepełniały pod świeżym wrażeniem spotkania z Reginą po leciech 14 rozłąki.
Oto tekst tego listu:
„Wilno, 14.IX.1924.
Szanowna Pani!
To, co czuję po przyjęciu, doznanym od Niej w Grodnie, stanowi i stanowić będzie jeden z najsłoneczniejszych epizodów w moim życiu. Niech mi Pani wybaczy, że pozwalam sobie w tym liście zwrócić się bezpośrednio do Niej, choć prosiłem Panią tylko o pozwolenie korespondowania z córką naszą za Pani łaskawym pośrednictwem, ale nie prosiłem i Pani mię nie upoważniła wcale do pisywania do Pani samej. Niech mi jednak Pani za złe tego nie bierze, bo tyle pogody i tyle pięknego spokoju wlała mi Pani w serce swoim ludzkim potraktowaniem moich uczuć ojcowskich i tak silne wywarła na mnie wrażenie ta atmosfera zacności, prawości i ogniska domowego, w jakich się

wychowuje w domu Matki dzięki Jej cnotom córka nasza, że nie mogę się oprzeć chęci wyrażenia Pani mojej wdzięczności serdecznej, mojego uznania i czci dla Pani! Robię to ten jedyny raz i już w przyszłości – niech mi Pani wierzy – nie będę do listów do Celinki dołączać listów tej treści do jej Matki. Niech mi Pani wierzy, że nie miałem i nie mam zdradzieckiego zamiaru przez otwarta mi łaskawie furtkę do stosunku z córką włazić brutalnie do świętej samotni duszy Pani i zamącać ten spokój głęboki nieszczęścia i złamanego życia, który Pani umiała z tak szlachetną dumą i siłą wywalczyć i dźwigać. Ten jeden raz przemawiam do Pani, bo za pełne jest serce i za pełna głowa moja, a potem już nałożę na nie kaganiec i milczeć będę, przemawiając tylko do córki naszej, ale już nie do Ciebie. Niech te moje słowa będą dla Pani nie wyrazem profanacji Jej samotni, lecz modlitwą, która nie plami bóstwa.
Nie zakłócałbym w ogóle Pani spokoju i nigdy nie odważyłbym się ani odezwać, ani przyjść do Pani domu, gdyby nie tęsknota do córki naszej. Wiem, że są rzeczy nietykalnie święte i w liczbie tych rzeczy jest dla mnie Pani spokój i Pani nieszczęście złamanego życia. I jeżeli byłem głęboko do łez wzruszony , gdym przekroczył próg Pani domu i stanął u Jej oblicza, to nie tyle przez wzgląd na otwierającą mi się perspektywę ujrzenia wreszcie Celinki, ile dlatego, żem uczuł błogosławiony powiew Twoich, Pani, skrzydeł szlachetnych, od którego zadrżałem jak pielgrzym, co się do świątyni zbliża.
Wybacz mi więc, Pani, i bądź błogosławiona za swoje życie ciche i piękne, za nasze dziecko, któreś ustrzegła i za wielką ofiarę swoją.
Wiem, że nie mam praw żadnych do rozdawnictwa pochwał dla Pani, ale też nie w imię prawa to piszę. Proszę wierzyć, że nigdy przez te długie 14 lat nie splamiłem się żadnym wyrzutem względem Pani i <u>nigdy</u> ani na chwilę nie straciłem wiary i czci dla Pani, choć sądziłem, że Pani jest [powodowana] przez nienawiść okrutną dla mnie. I zawsze stawałem wiernie w obronie Pani, ilekroć żal mojej rodziny lub złośliwość rzekomych przyjaciół Pani usiłowały wobec mnie dotykać Panią. Ale jeżeli prawą jest Pani, to przecież i ja nigdy nie szedłem i nie pójdę wobec Pani fałszywymi drogami. Niech więc Pani będzie zupełnie spokojna, że nie nadużyję udzielonego mi zaufania.
Łączą wyrazy uszanowania pozostaję wdzięczny
Michał Römer".
List ten wysłałem do Reginy pocztą. W Wilnie zaś przed wyjazdem kupiłem pudełko cukierków od Sztrala, które dałem Henrysiowi Wołłowiczowi, aby we środę (17 września) doręczył je ode mnie Celince będąc z wizytą u Reginy. Zapomniałem bowiem nadmienić w dzienniku, że w rozmowie z Reginą prosiłem ją o pozwolenie bywania Henrysia u niej, na co się Regina uprzejmie zgodziła. Chodzi mi o to, aby w osobie Henrysia Celinka zadzierzgnęła stosunek z moją rodziną i aby już przez to nawiązały się pewne regularniejsze między z jednej strony mną i moją rodzina, a z drugiej – Reginą i Celinką. Henryś przyrzekł mi zdawać relację z tych wizyt swoich u Reginy. Będzie to więc nowy węzeł tego stosunku dla mnie – przynajmniej dopóki Henryś będzie w Grodnie. Bardzo ciekaw jestem tych relacji Henrysia. Ciekaw też jestem wrażenia, jakie sprawi mój list na Reginie, ale nie wiem, czy się o tym wrażeniu dowiem.
Naturalnie, że wycofałem od Henrysia mój list do Celinki, pisany w d. 11 września (zacytowany w dzienniku) przed wizytą u Reginy.

21 września, rok 1924, niedziela
Ze względu na wypadającą dziś niedzielę zostałem na wsi do dnia dzisiejszego włącznie, choć mój urlop skończył się wczoraj.

W Bohdaniszkach bawi od dwóch dni Stefan Mieczkowski, który ma pozwolenie na pobyt trzymiesięczny w Litwie. Elwira od bardzo dawna czekała na Stefana, bo pozwolenie na przyjazd wyrobiłem mu w Kownie w lipcu. Bawiąc w Wilnie wezwałem Stefana z Obodowiec, gdzie jeszcze bawił, i zdecydowałem do przyśpieszenia przyjazdu. Biedna Elwira, widząc mię powracającego z Wilna bez Stefana, była tak poruszona zawodem, że płakała, nazywała Stefana podłym i nie chciała już wierzyć, że przyjedzie. Doczekała się go wszakże w nocy z piątku na sobotę. Obecność Stefana Mieczkowskiego w Bohdaniszkach nie nadaje domowi uroku. Stefan chodzi po domu znudzony, krytykuje i gani gospodarstwo i nieład domowy Elwiry, skąd wybuchają między nimi kłótnie, nie ma jeszcze ustalonych projektów. Ma on na myśli pewien interes, dla którego przywiózł plenipotencję – mianowicie ma się zająć likwidacją spuścizny po Janie Hrehorowiczu, składającej się z 80 ha nietykalnej normy ziemskiej w majątku Kopianach na Żmudzi i z fabryki papieru tamże na rzece Wyrwicie. Spadkobierczynią wszystkich braci Hrehorowiczów, których było kilku czy nawet kilkunastu i z których żaden nie miał dzieci, jest ich siostra – stara Gierłowiczowa, za której plenipotencją Stefan ma działać, biorąc honorarium w naturze w postaci czwartej części wartości spadku. Jeżeli papiernia okaże się zdatną do eksploatacji, to Stefan ma ją sam odkupić z udziałem w ¾ Mieczysia Bohdanowicza. Ewentualnie zaś Stefan myśli o jakiejś posadzie rządcy w dobrach większych albo o prowadzeniu interesów ziemian nieobecnych w kraju, a mających tu majątki, które chcieliby zlikwidować po obcięciu ich do normy przez reformę agrarną. W Bohdaniszkach na gospodarstwie Stefan nie myśli osiadać. Jeżeli perspektywy do interesów okażą się tu dla niego dobre, to chce on wystarać się o obywatelstwo litewskie, choć to nie wydaje mi się łatwe, tym bardziej, że Stefan ma w swej przepustce litewskiej wpisane obywatelstwo polskie. W każdym razie, Stefan będzie musiał się teraz zaopiekować Elwirą i dziećmi i podjąć się dostarczania im środków. Dotąd – przez trzy przeszło lata ostatnie – Elwira była zmuszona sama dawać radę i sama ze swej ubogiej schedy bohdaniskiej wystarczać potrzebom swoim i dzieci, utrzymywać się, ubierać je, trzymać nauczycielki do starszych dzieci, leczyć i kurować Helcię, gospodarzyć. Na wątłe siły zmęczonej Elwiry było to nad miarę, a Stefan materialnie nie pomagał jej wcale. Te kilkaset dolarów, które Elwira przez ten czas miała od niego, i te rozchody, które ponosił w roku przeszłym na kurację Helci w Warszawie, pochodziły z pieniędzy, które uzyskał z likwidacji części lasu w Wiązowcu i które przeto należały też do Elwiry. Łatwo teraz Stefanowi krytykować Elwirę, gdy ona sama bez jego pomocy musiała na wszystko radzić, nie będąc w stanie należycie wszystkiemu podołać. Elwira jest teraz zdecydowana trzymać się mocno Stefana i nie dać mu umknąć bez niej i uchylić się znowu od ciężarów rodzinnych.
Po obiedzie pożegnałem Bohdaniszki i zostawiając Jadzię na pakowanie rzeczy, z którymi jutro rano pojedzie stąd wprost na kolej, pojechałem do Kowaliszek. Po raz pierwszy widziałem w Kowaliszkach na własnej gospodarce Madzię Julkową Komorowską, która zdaje się jest już w poważnym stanie. Elizka z Zitą wybiera się wkrótce do Wilna – Zitka na uniwersytet, a Elizka bodaj na stałe do Wilna, gdzie chciałaby wznowić swoją przedwojenną produkcję cukierków na zbyt do Rosji.

22 września, rok 1924, poniedziałek
Przyjechałem z Jadzią do Kowna. Skończyło się lato – wakacje, wycieczki – rozpocznie się okres pracy powszedniej na uniwersytecie i w Trybunale. Czuję się jak ślimak, który się kurczy i skupia do swej konchy. Kowno z uniwersytetem i Trybunałem – to moja klatka: na lato się otwiera i wtedy się czuję obywatelem świata, używam wolności, gdzieś pędzę, szukam wrażeń, żyję jak ptak dniem dzisiejszym. W jesieni klatka się

zamyka i trzymać mię będzie długo – do wiosny. Przywiozłem do Kowna trochę dywanów, parę szafek; trochę ozdobię i udogodnię moje ciche mieszkanko.
Co do Bohdaniszek – mam troskę. Bardzo zawsze pragnąłem, by moje siostry – Elwira i Marynia – usadowiły się w Bohdaniszkach na dobre, na stałe, zaaklimatyzowały się i znalazły warsztat pracy i dobrobytu, od którego by już nic je nie odrywało. Ja sam gospodarstwa rolnego jako stałego zajęcia nie lubię, nie znam się na nim i nie mam do niego powołania. Ale Bohdaniszki kocham nade wszystko i pragnąłbym gorąco mieć w nich gniazdo stateczne, zamieszkałe przez jakąś gałąź naszej rodziny. Dla siebie chcę tylko postawić własny dom osobny na mojej działce, stworzyć własne miejsce wypoczynku, mieć parę koni i krów, bawić się ogrodem owocowym, sadzeniem drzew, lasem rosnącym w Gaju i może – jeżeli będę miał syna – przekazać mu tę schedę. Sam zaś dwór stary chciałbym zarezerwować dla sióstr i ich rodzin. Dużo wysiłków położyłem na dopięcie tego celu i wciąż nie jestem go pewien. Sprowadziłem siostry po śmierci Papy, ustąpiłem im dom mieszkalny, centrum dworu, cały sad piękny, pomagałem im jak mogłem, uratowałem dla Bohdaniszek las od upaństwowienia, Maryni oddałem w dzierżawę moją schedę, nie brałem od niej przez dwa pierwsze lata żadnej zapłaty, a w trzecim roku, przez wzgląd na nieurodzaj i inne trudne warunki gospodarcze, dopłacałem jej jeszcze z własnej kieszeni po 100 litów miesięcznie. Dotąd szło Elwirze i Maryni materialnie ciężko. Na razie brakło inwentarza – krów dotąd jest bardzo mało, gospodarstwo było po wojnie, po okupacji niemieckiej, po bolszewikach, po rządach Jakszuka zdewastowane. Były liczne ciężary – zaległe i nowe rekwizycje, podatki, olbrzymie ordynarie dla niepomiernej ilości parobków z dużymi zaległościami, brak zbytu na to, co urodzi, np. na owoce, itd., itd. Kasa pusta, źródeł dochodu nie ma, zaległości i ciężary duże. Po kilku latach borykania się obecnie świta rok lepszy. Zdawałoby się, że siostry mocniej się zrosną z gruntem bohdaniskim. Ale gdzie tam! Wchodzą w grę czynniki natury moralnej i uczuciowej, które sytuację komplikują. Elwira na malutkiej schedzie w ogóle mało ma szans utrzymania się, zresztą chodzi jej przede wszystkim o to, by się trzymać męża, a ten do Bohdaniszek żadnego przywiązania nie ma. Jeżeli Stefan Mieczkowski znajdzie pracę dochodową na Litwie, to chyba Elwira zostanie w Bohdaniszkach, ale jeżeli nie znajdzie – to nie da mu z Litwy umknąć bez niej i dzieci. Co do Mieczkowskich więc – ich siedzenie w Bohdaniszkach jest niepewne, zależne od perspektyw Stefana. Poza tym obie – Elwira i Marynia – mają się o tyle Polkami, że im ciąży siedzenie na Litwie; do Polski je rwie, a zwłaszcza do Wileńszczyzny, która się dziś urzędowo utożsamia z Polską. Tu, choć same Bohdaniszki kochają, czują się jak na wygnaniu, jak na obczyźnie. Marynia zdawała się siedzieć w Bohdaniszkach mocniej od Elwiry. Gospodarczo też – zwłaszcza z moją dzierżawą – ma się lepiej. Ale poza względami polskości ciągnie ją precz stąd ta okoliczność, że w Polsce jest jej córka Ewa Meyerowa. Wprawdzie jadąc w lipcu do Bohdaniszek dla odwiedzenia matki nosiła się ona z myślą sprowadzenia tutaj także męża i zamieszkania w Bohdaniszkach na stałe, co jednak jest trudne do wykonania ze względu na służbę Konstantego Meyera w wojsku polskim, i wprawdzie w pierwszych tygodniach po przyjeździe do Bohdaniszek i marzyła o tym, żeby Marynia wzięła w dzierżawę prócz mojej także schedę Elwiry, to jednak po pewnym czasie, pod wpływem tęsknoty do męża i usposobienia zmiennego, zraziła się do siedzenia w Bohdaniszkach. Wyrywa się już sama i usiłuje matkę zniechęcić, wmawiając w Marynię, że w Bohdaniszkach i w ogóle na Litwie nie ma żadnej „przyszłości” (zapewne w sensie materialnym) i że Marynia zrobiłaby najlepiej, żeby sprzedała swoją schedę w Bohdaniszkach i za te pieniądze kupiła jakiś folwark pod miastem w Polsce, gdzie zamieszkałaby z Ewą i jej mężem. Ewa ma ogromny wpływ na Marynię. Marynia opiera się pokusie, ale namowy Ewy działają na nią rozkładowo. W ostatnich czasach

chodzi Marynia jak struta, straciła energię, nic ją w Bohdaniszkach i w jej gospodarstwie nie zajmuje i nie cieszy. Wygląda jakby jej przybyło naraz parę dziesiątków lat. Postarzała, sterała się duchowo, wpadła w apatię i przygnębienie, że aż smutno patrzeć na nią.

23 września, rok 1924, wtorek
Trzeba mi jeszcze wrócić w dzienniku do Wilna. Tyle mi miejsca zajęła relacja wizyty u Reginy, że na Wilno wypadło za mało. Reasumując moje spostrzeżenia o Wilnie, trzeba przede wszystkim stwierdzić, że w Wilnie nie ma bynajmniej jednolitego usposobienia w stosunku do zagadnienia państwowego – nie tylko u całej ludności, , ale nawet u tej, co się uważa za polską. Że silne są tam w kołach miejsko-urzędniczych lokalnych uczucia antagonizmu do przybyszów z Polski właściwej i poczucie krzywdy i niezadowolenia – o tym się osobiście z rozmów przekonałem i już pisałem, zdaje się, w dzienniku. Sami miejscowi działacze polityczni polscy, którzy są zdecydowanymi zwolennikami łączności z Polską, stwierdzają, że u ludności – i to ludności polskiej miejscowej, a nie jakiejś żydowskiej, białoruskiej czy litewskiej – bardzo wzrosły aspiracje samorządowe, a nawet autonomiczne krajowe. Powiadają oni, że o ile przed trzema laty, gdy wobec zainscenizowanego Sejmu Wileńskiego stawiana była kwestia o przynależności państwowej Wileńszczyzny, ludność ta gardłowała gwałtownie za inkorporacją do Polski bez żadnych warunków i zastrzeżeń i ani słyszeć nie chciała o jakiejś autonomii Wilna i szeroki samorządzie w ogóle, o czymś, co mogło dawać punkt wyjścia do twierdzeń czy dążeń do jakiejś osobności państwowej Wilna; bano się cienia własnej odrębności, bano się upiora państwa litewskiego. Tzw. federaliści, którzy swoje szerokie koncepcje pierwotne byli już zredukowali do samorządu decentralistycznego Wileńszczyzny w państwie polskim, nie mieli pod tym względem żadnego posłuchu. Dziś podobno nastroje te radykalnie się zmieniły. Ujawniły się i uświadomiły ludności miejscowej antagonizmy z Polską właściwą, administracja „kresowa” dokuczyła, ludzie zapragnęli oparcia się o własne siły. Nie posuwa się to do oderwania się od państwa polskiego, ale już bądź co bądź [pachnie?] separatyzmem dzielnicowo-autonomicznym. Wilno zaczyna woleć stanowisko kraju samorządowego od stanowiska kresów polskich, rządzonych z Warszawy. Mówię to nie z własnej obserwacji, jeno z relacji ludzi nie podejrzanych o niechęć Polsce. W szczególności słyszałem to z ust Witolda Abramowicza i byłego delegata Rzeczypospolitej p. Romana w ich rozmowie w mojej obecności. I nie było to bynajmniej mówione dla mnie, bo p. Roman, z którym się trochę znamy z r. 1920, nie pamiętał mię i nie orientował się, że ma przed sobą obywatela litewskiego, sprzyjającego litewskiej państwowości Wilna. Byłem bowiem w Wilnie u Abramowicza, gdy przyjechał doń z etykietalną wizytą pożegnalną p. Roman, odwołany świeżo ze stanowiska delegata, które to stanowisko jest równe stanowisku wojewody w innych dzielnicach. Zaszła też wtedy mowa o tych właśnie świeżo dokonanych zmianach na stanowiskach delegata i wojewodów kresowych. Te nominacje są symptomatyczne, bo świadczą, jak dalece Warszawa nie ma ustalonej linii wytycznej w przedmiocie zarządu Kresów, czyli ziem litewsko-białorusko-ruskich. Zmiany te w obsadzie stanowisk wojewodów zostały dokonane nagle, bez porozumienia z ludźmi, których dotyczyły. Zaskoczyły one opinię lokalną zupełnie niespodziewanie. Roman, który był w Wilnie od czasu wcielenia Wileńszczyzny do Polski, został usunięty; usuwając go z Wilna, dano mu stanowisko nowo kreowane podsekretarza stanu dla Kresów Wschodnich, a gdy tego stanowiska, o którym nic nie było wiadome, nie przyjął, to zaproponowano mu ułożenie projektu organizacji podsekretariatu stanu dla Kresów Wschodnich łącznie z zasadami ogólnego planu zarządu Kresów, co jest wyraźnym dowodem, że stwarzając dla Romana posadę

podsekretarza stanu, nie wiedziano, co to ma być. W szeregu zaś tych nowych nominacji wojewodów kresowych jest np. taka nominacja generała Januszajtisa na stanowisko wojewody w Nowogródku. Januszajtis kraju i stosunków krajowych nie zna, żadnej wiedzy ani rutyny administracyjnej nie ma, administratorem nigdy i nigdzie nie był, urodzony jest w Częstochowie z ojca pochodzącego z Litwy, ale całkowicie spolonizowanego, był za młodu jednym z czynnych uczestników ruchu strzeleckiego, a potem oficerem legionowym, inteligencją się nie sławi, w Legionach wysługiwał się NKN-owi i uległym Austrii czynnikom dowództwa Legionów, dając się używać wszędzie przeciwko niepodległościowej linii Piłsudskiego, wreszcie w r. 1919 zaznaczył się udziałem w spisku Sapiehy i niedoszłym zamachu stanu. Poza tym jest to jeszcze człowiek młody. Jakie są jego kwalifikacje na wojewodę w Nowogródku? Chyba tylko szlify generalskie. Jakaż przeto różnica między taką nominacją generał-wojewody a systemem generał-gubernatorów rosyjskich? Bodaj żadnej. Chodzi chyba tylko o „silną władzę" z wyraźną barwą represyjną, co nie licuje wcale z traktowaniem dzielnicy i jej ludności jako rdzennego terenu polskiego. Oczywiście są to metody rządzenia w kraju zabranym, w dzielnicy zaanektowanej i z natury obcej, bo tego rodzaju nominacja byłaby niepojęta i zgoła wykluczona w jakimś województwie wewnątrz Polski – na ziemiach etnograficznych polskich.

24 września, rok 1924, środa
Dziś siedziałem już na posiedzeniu sądowym Trybunału z prezesem Kriščiukaitisem i sędzią Čepasem. Skończone wakacje – zaczęła się normalna praca zimowa.
Wykłady na uniwersytecie rozpocznę koło 10 października. Choć rok akademicki już się urzędowo rozpoczął od d. 15 września, jednak – przynajmniej na naszym wydziale – jeszcze prawie nikt wykładać nie zaczął. Posiedzenia Rady Wydziału odbywają się już regularnie od 1 września. W sobotę ubiegłą miał miejsce obiad pożegnalny, wydany przez gremium profesorów na rzecz ustępującego rektora Czapińskiego. Czapiński był lubiany i zyskał na stanowisku rektora ogólne uznanie i szacunek. O ile przed rokiem uczta pożegnalna dla pierwszego ustępującego rektora – prof. Šimkusa, który był niepopularny – była bardzo oziębłą i sztywną, o tyle na pożegnaniu Czapińskiego udział profesorów był bardzo liczny i nastrój bardzo serdeczny i jednolity. W przemówieniach nie brakło głosów prawicy, to znaczy teologów, którzy wyrażali esdekowi Czapińskiemu najwyższe uznanie, podkreślając jego wzorowy bez zarzutu stosunek do spraw uniwersyteckich i ten udowodniony doświadczalnie przez Capińskiego fakt, że kwestia różnicy przekonań w zakresie politycznym i społecznym nie przeszkadza współpracy uniwersyteckiej. Oczywiście, że to pasuje do takiego umiarkowanego i „grzecznego" socjalisty, jak Czapiński, który jest przede wszystkim gentlemanem i którego socjalizm jest tylko formą dialektyki dyskusyjnej, nie wykraczającą na teren agitacji rewolucyjnej.
W naszym Wydziale Prawniczym jest nowina, której nie uważam za dodatnią. Odsunięty został od wykładów Janulaitis. Jak wiadomo, Janulaitis nie zgadzał się należeć do wydziału, uważając, że wydział sformowany nielegalnie, wbrew przepisom statutu. Domagał się on zawsze, aby statut uniwersytecki był zmodyfikowany albo uzupełniony takimi przepisami, które by ulegalizowały wchodzenie do wydziału – przynajmniej na przeciąg pierwszych lat – takich ludzi, którzy nie posiadają stopni naukowych. Bez takiej modyfikacji statutu uważał on obecne utworzenie wydziałów za nielegalne, a przeto nie chciał do wydziału należeć i tytułu profesora nie przyjął. Podjął się wykładania li tylko w charakterze lektora zaangażowanego umową prywatną. W tej pozycji utrzymał się dwa lata. Stanowiska swego nie zmienił. Na wszelkie prośby wstąpienia do wydziału odpowiadał nadal odmownie. Otóż w tym roku podniesiona

została – zdaje się, że z inicjatywy Tumėnasa – kwestia niedopuszczalności takiego stosunku Janulaitisa do wydziału. Wnioskodawca uważał, że tolerowanie Janulaitisa w tym charakterze na uniwersytecie jest niedopuszczalne po pierwsze dlatego, że statut nie przewiduje takiego angażowania wykładowców z mocy umowy prywatnej bez uregulowania ich stanowiska legalnego na uniwersytecie i po wtóre dlatego, że wydział nie może zawierać umowy z Janulaitisem, który wydziału nie chce uznawać i który go bojkotuje. Większością głosów uchwalono nie wznawiać umowy z Janulaitisem i zaproponować mu wstąpienie do wydziału, gdyby się zaś nie zgodził – obejść się bez jego wykładów. Janulaitis propozycji nie przyjął. Wobec tego wkładać nie będzie. Żałuję, że się tak stało, bo bądź co bądź Janulaitis stanowił jedną z lepszych sił naukowych na Wydziale Prawniczym. Cały szereg naszych profesorów, jak Kriščiukaitis, Mačys i niektórzy inni – to są tylko praktycy, którzy z nauką nie mają nic albo bardzo mało wspólnego. W naszych warunkach początkującej nauki litewskiej i początkującego uniwersytetu, gdzie panuje dyletantyzm, Janulaitis był jedną z ozdób wydziału. Wydział w jego osobie traci dużo. Gdy mię np. zapytywano w Wilnie, kto u nas na prawie wykłada, mogłem zawsze zacytować Janulaitisa i wiedziałem, że to imię jest bądź co bądź znane i może dać pewne świadectwo uniwersytetowi. Imiona Kriščiukaitisa, Mačysa, Tumėnasa, Šalčiusa, Morawskiego, nawet naszego dziekana Leonasa lub Wacława Biržiški poza granicami Kowna nikomu nic nie mówią i splendoru uniwersytetowi nie dają, a na ogół też pod względem wartości naukowej są bardzo nikłe.
Utrata Janulaitisa osieroca u nas dwie katedry – historii prawa litewskiego i prawa międzynarodowego. Kto się podjął lub podejmie wykładów historii prawa litewskiego – nie wiem, co zaś do prawa międzynarodowego, to Leonas mi wspominał, że wydział liczy prowizorycznie na mnie. Ja się jednak nie podejmę, po pierwsze dlatego, że nie solidaryzuję się z uchwałą usuwającą Janulaitisa, po drugie zaś dlatego, że nie jestem do wykładów tych przygotowany i nie widzę możności należytego wywiązania się z zadania.

25 września, rok 1924, czwartek
Po bytności w Wilnie wyczułem, jakim jest ono magnesem, przyciągającym ku sobie wszystko, co jest na ziemiach historycznych Litwy polskim i zwłaszcza polsko-ziemiańskim i odrywającym te elementy od Litwy. Polacy litewscy, a ściślej mówiąc krajowa szlachta ziemiańska stanowiła u nas zawsze społeczność odrębną, bardzo wyraźnie zarysowaną. Ruchy ludowe w kraju – w pierwszym rzędzie narodowy litewski – godziły w jej przywileje i wytwarzały konkurencyjną i niechętną jej równoległą społeczność krajową. Przez opozycję do tej nowej rosnącej siły, kwestionującej jej stary przywilej na stanowisko gospodarzy i przywódców kraju i przywłaszczającej sobie te prawa, krajowa szlachta ziemiańska, która jeszcze przed dwoma albo nawet w popraednim pokoleniu sama siebie nazywała litewską (na wschodzie Litwy historycznej jeszcze za mojej pamięci czasem – ruską), zaczęła coraz bardziej szukać oparcia o Polskę i polskość, zatracając swoją krajowość litewską. Ten prąd od krajowości litewskiej do stanowiska kolonistów polskich był w dużym stopniu dyktowany reakcją społeczną szlachty ziemiańskiej przeciwko demokratyzacji, wysnuwającej w ruchu litewskim nowe czynniki narodowe. Wprawdzie łącznie z tym prądem zaczął się ujawniać inny, zmierzający do dokonania ludowej formacji polskiej w kraju, opartej na spolonizowanych lub polonizujących się kulturalnie elementach ludu, ale bądź co bądź w ziemiaństwie polskość krystalizowała się nie w postaci jednego z ruchów ludowych, lecz w przeciwstawieniu do tychże. Nazwy „Litwin” względnie „Rusin” bardzo szybko się w szlachcie ziemiańskiej wyrugowały na rzecz miana Polaków. W dobie powstania

niepodległości po wojnie szlachta ziemiańska w masie garnęła się pod skrzydła państwa polskiego przeciwko odrębnej państwowości krajowej, która by ją oddała władzy krajowych ruchów ludowych, zwłaszcza najbardziej rozwiniętego z nich na zachodzie – litewskiego narodowego. W istocie chodziło jej jednak nie tyle o Polskę i o Warszawę, ile o swoje stanowisko w kraju. Dziś – pomijając sowiecką Białoruś – Litwa właściwa ze skrawkami Białej Rusi Zachodniej zróżnicowała się na dwa obozy: na Wileńszczyznę polską i Kowieńszczyznę litewską. Wileńszczyzna, oparta o Polskę, która się musi tu liczyć ze szlachtą ziemiańską jako poważnym czynnikiem wpływów i dążeń politycznych polskich, jest miejscem skupienia szlachty ziemiańskiej z całego kraju. Pozostałe w niepodległej Litwie – w Kowieńszczyźnie – resztki tej szlachty ziemiańskiej widzą w Wileńszczyźnie polskiej ziemię obiecaną i ciążą do niej. Ich pęd skierowany jest nie do Polski właściwej, lecz do Wileńszczyzny, gdzie się ich społeczność zdołała utrzymać przed zalewem ruchów ludowych, obwarować i utworzyć ściślejszą ojczyznę. Gdyby Wileńszczyzna jako prowincja polska upadła i weszła w skład Litwy niepodległej lub Białej Rusi – dążenia naszej szlachty uległyby radykalnej przemianie. W Wilnie i w polskich województwach zaanektowanej Białej Rusi Zachodniej zaczyna się ucierać nowa nazwa ludności zamiast starej nazwy „Litwinów" czy „Rusinów", którą się dawniej przeciwstawiano Polakom rdzennym, czyli „Koroniarzom". Po odrzuceniu nazwy „Litwini" lub „Rusini" jakiś czas nie znajdywano nazwy specjalnej, podszywając się pod ogólne miano Polaków. Dziś przyjęto dla tamtej części kraju nazwę „Kresów" i zaczęto się nazywać „Kresowcami" lub „Kresowiakami", fałszując stare historyczne określenie „Kresów" jako terenów dziewiczych na Rusi na stepach dzikich. Nigdy w dziejach Rzeczypospolitej przedrozbiorowej litewskie stołeczne Wilno ani dzielnica Rusi Litewskiej „Kresami" nie były i być nie mogły – takie określenie byłoby zupełnym nonsensem.
Ale w Wileńszczyźnie i na „Kresach" Białej Rusi Zachodniej, gdzie nasza szlachta ziemiańska usadowiła się, ufna, że tu sobie zbuduje nową ściślejszą ojczyznę, z której może stopniowo odzyszcze i resztę terenów Litwy i Białej Rusi, w istocie ta jej sielanka nie zapowiada się trwale. Tylko w samym mieście Wilnie i po dworach szlacheckich szlachta się rozsadza szeroko i może mieć iluzję odzyskania starego *status quo* przewagi społecznej. W kraju samym z jednej strony rośnie potężnie ruch ludowy białoruski, bodajże jeszcze bardziej wrogi jej od litewskiego, z drugiej – uderzają o jego rubieże fale państwowości litewskiej, czekające jeno okazji do wlania się i mające mocne oparcie ludowe w zachodniej połaci Wileńszczyzny, wreszcie z trzeciej – narasta ludowy ruch polsko-krajowy, odrębny i obcy tęsknotom społeczności szlacheckiej.

26 września, rok 1924, piątek
Z przyjaciół moich, z którymi się w Wilnie widziałem, kilku zdziwiło mię zupełną sztywnością i obojętnością na sprawy, które, zdawało się, powinny nas wspólnie obchodzić. Najbardziej mię pod tym względem zdziwił Zygmunt Jundziłł, mój wielki przyjaciel, człowiek, którego lubię i cenię, jeden z tych nielicznych, co zawsze stali wiernie i niewzruszenie na stanowisku niepodzielności Litwy, odrzucali wszelkie dziwaczne koncepcje „kresowe" i tęsknili do Litwy pojednanej wewnętrznie i niepodległej. Jundziłła, zwykle tak wrażliwego i serdecznego, zastałem znudzonego, kwaśnego, suchego. O nic mię nie rozpytywał, nie interesował się żadnymi informacjami, nie dzielił się, jak zwykle, spostrzeżeniami i myślami. Natomiast zasypał mię bardzo ostrymi zarzutami, skierowanymi do Litwinów za to, że utrzymują politykę muru chińskiego między Kownem a Wilnem i czekają nie wiedzieć na co, sami przez to głupotą swoją szkodząc jedności kraju, bo w Wileńszczyźnie tracą wskutek tego wszelkie sympatie i sami ujaławiają tu swoje siły. Zdaniem Jundziłła, Litwini mogliby

bardzo dodatnio wyzyskać rozmaite punkty niezadowolenia, które się w Wilnie zarysowują. Ale swoim bojkotem Wileńszczyzny nie pozyszczą oni serc ludności, które w swoim czasie potrafili do siebie jeno zrazić i w których narasta do Litwy żal tym większy, im bardziej Wilnianie czują ujemne skutki odcięcia ich od związku z Kownem. Jednocześnie polityką swoją Litwini osiągają jeno to, że ich placówki w Wileńszczyźnie nie rozszerzają się, lecz topnieją, świecą pustkami i nieobecnością ludzi. Wszystko, co litewskie, umyka do Kowna i Litwini stają się Wilnu i Wieleńszczyźnie coraz bardziej obcy i dalecy. Korzystają na tym tylko Polacy i Białorusini, ale nie Litwini i nie idea Litwy niepodzielnej ze stolicą w Wilnie. Jundziłł nazywa to głupotą i uporem litewskim, tępym i krótkowzrocznym.
Może poniekąd ma on w tej krytyce rację, ale za mało uwzględnia perspektywy i szanse, na jakie Litwa może liczyć jeszcze w układzie stosunków na Wschodzie europejskim, mogąc przekreślić fakty, dokonane na rzecz Polski w sprawie Wilna, i zmuszające Litwinów do ociągania się w przystosowaniu się do *status quo*. Litwini na razie dużo tracą, ale kto wie, czy nie nastaną jeszcze warunki, wobec których straciliby oni jeszcze więcej, gdyby uganiając się za drobnymi korzyściami doraźnymi zaniechali swego kategorycznego i upartego „*non possumus*" w sprawie wileńskiej. Wśród Litwinów w Kownie – przede wszystkim w łonie Chrześcijańskiej Demokracji i może ludowców – są takie prądy, które by chciały iść po linii zalecanej przez Jundziłła. Zresztą w słowach Jundziłła raziła mię nie jego myśl. lecz suchy i lekceważący przykry ton tej krytyki. Bardzo sucho i bezbarwnie rozmawiał też ze mną Witold Abramowicz i Stanisław Bagiński. Ten ostatni jeszcze dalej, niż poprzednio, posunął się po linii konwenansowego nacjonalizmu, godzonego z pozornym socjalizmem w tamach PPS-u. Bardzo miłe natomiast wrażenie wywarł na mnie Zygmunt Nagrodzki. Zachował ten sam umysł i usposobienie żywe, wolne od szablonów, serdeczne, ludowe, mimo że jest daleko szczerszym rzecznikiem państwowości polskiej w Wilnie, niż Witold Abramowicz lub węszący li tylko konwenanse Bagiński. Nagrodzki interesuje się Litwą Niepodległą, choć jej rozciągnięcia na Wilno nie pragnie, chce o wszystkim wiedzieć, chce szczerze zrozumieć, nie dając się kierować uprzedzeniom, ma bowiem żywe poczucie tego, że bez względu na państwowość kontakt Kowna z Wilnem dla ich życia jest konieczny i że przeto zwalczanie się tych dwóch dzielnic czy – powiedzmy – krajów nie może być wskazane ze stanowiska żadnego z nich. Rozmowa z Nagrodzkim – mimo różnice naszych wniosków w sprawie państwowej – była mi przeto bardzo miła i ciekawa.

27 września, rok 1924, sobota
Co do innych moich przyjaciół w Wilnie – to powiem i o nich pokrótce. Bronisława Krzyżanowskiego nie mogłem widzieć, bo bawił z żoną i synami na wakacjach w Rumunii. Choć nasze z Krzyżanowskim drogi i przekonania polityczne się mocno rozeszły, jednak lubię go zawsze. Jest to człowiek żywy, umysł wrażliwy i czynny, który się nie pogrąża nigdy w apatii sennej, nie filistrzeje, nie rutynieje. Krzyżanowski jest obecnie senatorem, to znaczy posłem w Izbie Wyższej, do której wszedł z ramienia Stronnictwa Ludowego „Piast" od Wilna. Obecnie w związku z secesją grupy Dąbskiego wystąpił z „Piasta", ale do frakcji „Wyzwolenia" nie wstąpił i jest dziki. Robi on karierę polityczną, ma stosunki i wpływy. Przepowiadają, że będzie on jeszcze ministrem. Nie zaniedbuje on też ciągłego dokształcania się politycznego, czyta dużo, studiuje ruchy i prądy polityczne, jeździ często za granicę. Skądinąd nie zaniedbuje i kieszeni. Adwokatury nie porzucił, choć oczywiście praktyki sądowej prawie że nie uprawia, bo na nią nie ma czasu, przyjmuje jeno do załatwienia interesy w Warszawie – przeważnie w rozmaitych urzędach państwowych (tzw. praktyka administracyjna), w

których dzięki stosunkom i stanowisku interwencja jego jest dla klientów bardzo skuteczna, honoraria za to bierze słone. Jest on dziś człowiekiem bogatym, kupuje domy. Bogactwo i ambicja kariery politycznej pochłonęły go zupełnie. Z dawnej „krajowości" jego, której służył wiernie za czasów „Gazety Wileńskiej" i którą wyznawał mniej więcej do roku 1912, pozostało bardzo mało. Jest on doskonałym państwowcem polskim, ideologiem połączenie ziem „kresowych" litewsko-białorusko-ruskich pod wodzą Polski, obecnie w stosunku do Wilna – rzecznikiem decentralizacji w ramach państwa polskiego. Taką jest kariera i ewolucja tego zdolnego adwokata wileńskiego, syna biednego ekonoma Pietkiewiczowskiego z Abel – alkoholika, który nie marzył nigdy o synie senatorze w Polsce.
Nie widziałem się też prawie z moim drugim przyjacielem wileńskim – Aleksandrem Zasztowtem. Gdym przyjechał do Wilna, bawił on na wsi. Potem wrócił, dowiedział się o moim przyjeździe, był u mnie, ale mię zastał tylko przelotnie w przeddzień mojego wyjazdu, do niego zaś pójść nie zdążyłem. Zasztowt rozstał się ze swoją pierwszą żoną, ożenił się z młodziutką dziewczyną, młodszą od jego córki, która za mąż wyszła. Młoda żona jest podobno zakochana w nim na ślepo i usiłuje sobie dodawać lat, aby jakoś różnicę wieku choć trochę mniej jaskrawą uczynić. Zasztowt nic się nie zmienił w swoim temperamencie szczerym, gorącym jak u konia wyścigowego, ale w czynie – zaniedbującym się, nietrwałym. U Zasztowta, choć był on bardzo zrażony do Litwinów i choć był jednym z tych, co ponoszą odpowiedzialność za dzieło Żeligowskiego, bo należał do pierwszej Tymczasowej Komisji Rządzącej „Litwy Środkowej", tzw. dążenia krajowe, odśrodkowe względem Polski nie zamarły i nie ostygły. Tylko że u niego nic nie ma systematycznego i konsekwentnie ciągłego. Był on bardzo czynny w Kasie Chorych, stał się znienawidzonym dla burżuazji wileńskiej, w PPS-ie wileńskim, prowadząc opozycję przeciwko centralizmowi władz partyjnych warszawskich i przeciwko nacjonalizmowi tychże, spowodował z radnym Godwodem secesję lokalną i założył stronnictwo osobne, był przez swoich towarzyszy PPS-owych okrzyczany komunistą, dużo się nacierpiał, dziś już i w Kasie Chorych nie jest, materialnie podobno ma się źle. Założona przez niego i Godwoda partyjka socjalistyczna w Wilnie nie ma podobno szans rozwoju, bo jeden z jej wodzów- Zasztowt – w ogóle nic trwałego stworzyć nie jest w stanie i co stworzy, to czynem konsekwentnym nie utrwali. W swoim czasie prasa litewska w Kownie dość dużo pisała o tej secesji Zasztowta i Godwoda w PPS-ie wileńskim, podkreślając opozycję separatystyczną secesjonistów przeciwko centralizmowi zachłannemu Warszawy. Ale wady wodzów nie dadzą temu ruchowi rozwoju.

28 września, rok 1924, niedziela
Byłem na posiedzeniu Rady Wydziału Prawniczego. Posiedzenia te dawnym przyjętym od dwóch lat trybem odbywają się niedzielami od godz. 10 do 1 po południu. Na posiedzeniu obecni byli: dziekan prof. Leonas, sekretarz prof. Wacław Biržiška, profesorowie Mačys, Kriščiukaitis, Bielackin i ja, docenci Rimka, Stankiewicz, Šalčius, Morawski i Büchler. Wypłynęła kwestia obsadzenia katedry prawa międzynarodowego, wakująca z ustąpieniem Janulaitisa. Co do katedry historii prawa litewskiego, która też z tegoż powodu zawakowała, postanowiono u nas w tym roku obejść się bez niej z zastrzeżeniem, że w roku przyszłym historia prawa litewskiego będzie wykładana naraz I i III semestrom. Z prawem międzynarodowym wszakże tego się zrobić nie dało, bo wykłada się ono semestrowi VII i VIII, które na wiosnę kończą uniwersytet i którym przeto na rok przyszły odroczyć tego wykładu nie można. Zaproponowano prowizorycznie wykładanie prawa międzynarodowego mnie. Leonas, który dba o to, aby katedry na uniwersytecie były obsadzane przez Litwinów i nie lubi angażowania

cudzoziemców, liczy na to, że za parę lat obejmie tę katedrę Sidzikowski, dyplomata litewski, z którym Leonas już o tym traktował. Ale Sidzikowski sam jest dopiero studentem, więc musiałby poprzednio dopiero ukończyć studia i poza tym musiałby się dla profesury wyrzec kariery dyplomatycznej. Kandydatura przeto Sidzikowskiego nie jest jeszcze aktualna i zresztą w ogóle problematyczna. Zgłasza się natomiast na tę katedrę siła bardzo poważna – prof. Jaszczenko – znany uczony rosyjski, jeden z najwybitniejszych znawców prawa międzynarodowego. Jaszczenko pertraktuje z naszym uniwersytetem za pośrednictwem Stankiewicza. Już przysłał formalne zgłoszenie kandydatury ze swoim *curriculum vitae*. Leonas jednak, niechętny kandydaturze Jaszczenki jako Rosjanina, który z konieczności wykładałby po rosyjsku, bo języka litewskiego nie zna, chciałby, żeby luka była na razie zapchana jakimś wykładem prowizorycznym, czyniącym zaangażowanie Jaszczenki zbytecznym, w dalszej zaś przyszłości chciałby liczyć na Sidzikowskiego. Otóż na takie prowizorium byłem wysunięty ja. Odmówiłem jednak, oświadczając, że nie mogę się tego podjąć tak dlatego, że nie jestem przygotowany i że nie znam nawet literatury prawa międzynarodowego, jak dlatego, że nie solidaryzując się z uchwałą Rady Wydziału, która uniemożliwiła pracę Janulaitisa, nie mogę zająć jego miejsca. Stankiewicz wystąpił znów z propozycją zaproszenia Jaszczenki. Mimo niechęć Leonasa i Kriščiukaitisa, postanowiono zaangażować Jaszczenkę na rok jeden, nie zobowiązując się do dalszego utrzymania go na stanowisku. Choć szkoda, że Jaszczenko będzie wykładać po rosyjsku, jednak zyszczemy w nim bądź co bądź wybitną siłę naukową, o ile przyjmie zaproszenie jednoroczne. Stankiewicz zapewnił jednak, że gdy poznamy i ocenimy Jaszczenkę, to nie zechcemy go po roku tracić i że zresztą Jaszczenko nauczy się prędko języka litewskiego, jak się nauczył angielskiego, w którym nawet rozprawy pisać zaczął.
Mówił mi Bielackin, że w Ministerium Sprawiedliwości zajęto się konkretnie sprawą utworzenia senatu jako specjalnego najwyższego sądu kasacyjnego ze zdegradowaniem Trybunału do roli sądu apelacyjnego dla spraw, rozpoznawanych w I instancji przez sądy okręgowe. Rada ministra sprawiedliwości, złożona z Bielackina, adwokata Szołkowskiego i Bolcewicza, omawiał już te sprawę i otrzymała polecenie opracowania odnośnego projektu. Przypuszczalnie do nowo kreowanego senatu zostałby przede wszystkim powołany cały nasz obecny komplet Trybunału.

29 września, rok 1924, poniedziałek
Dziś moje imieniny. Nikt mi ich jednak nie winszował – oprócz Piotra Rosena, od którego otrzymałem list z powinszowaniem. Chodząc we dnie za interesami, byłem u Michała Biržiški, który jest także solenizantem. Ale jego imieniny obchodzą się trochę żywiej, niż moje. Biržiški nie zastałem, ale p. Biržiškowa zaprosiła mię na imieniny męża na wieczór. Z powodu imienin Michała Biržiški uczniowie i uczennice gimnazjum „Aušry”, którego on jest dyrektorem, urządzili wieczorek w gimnazjum ze śpiewem i tańcami, a Kółko Wilnian, do którego przeważnie należy młodzież akademicka uniwersytetu w Kownie, pochodząca z Wilna, na posiedzeniu uroczystym doręczyła „adres” Michałowi Biržišce. W domu u Michała Biržiški zastałem gości – około 15 osób, panów i pań, przeważnie mi nieznanych. Ze znajomych moich byli tylko dwaj bracia Michała – Wacław i Wiktor – i Janulaitis. Bawiono się wesołą rozmową, którą bardzo zabawnie i sympatycznie utrzymywała pani Moszyńska, Pietkiewiczówna z domu, i dowcipny dr Nasvitis. Po kolacji koło północy uciekłem.
Janulaitis jest mocno niezadowolony z zaproszenia prof. Jaszczenki przez Wydział Prawniczy. Powiada, że Jaszczenko jest monarchistą, to znaczy hołduje zasadom aneksji Litwy i innych państewek „kresowych” do Rosji. Podobno Jaszczenko pisał

kiedyś jakąś rozprawę, zwalczającą tezy prawno-państwowe Finlandii w czasie, gdy państwo rosyjskie gwałciło konstytucję tego kraju i usiłowało go pochłonąć. Janulaitis powiada, że jeżeli Jaszczenko obejmie wykłady prawa międzynarodowego na naszym uniwersytecie, to Janulaitis wystąpi w prasie przeciwko niemu i przeciwko wydziałowi, który go zaprosił. Co do mnie, to o stanowisku politycznym Jaszczenki nic nie wiedziałem ani też o udzielanym przezeń poparciu naukowym zaborczości rosyjskiej w Finlandii. Wiedziałem o nim tylko tyle, że jest znanym uczonym prawa międzynarodowego. W świetle tych faktów zaangażowanie go do wykładania prawa międzynarodowego jest istotnie niedobre, bo jest to przedmiot, który ma bliski związek z ewentualnymi roszczeniami Rosji do odzyskania państw, które się od niej oderwały. Zaproszenie Jaszczenki może rzucić pewien cień na Litwę, a w pewnych warunkach jego obecność w Kownie może być wcale niepożądana. Dziwne jednak, że go tak zalecał Stankiewicz, który choć sam też się ma za Rosjanina, jednak nie może być posądzony o sprzyjanie monarchistom rosyjskim. Janulaitis wyraża też zdziwienie z powodu tego, że Rada Wydziału, która uznała za niedopuszczalne wznowienie umowy prywatnej z Janulaitisem bez jego wstąpienia do wydziału, uważa za możliwe angażować drogą umowy prywatnej takiego Jaszczenkę. Ten sam wzgląd podnosiłem i ja wczoraj na posiedzeniu Rady Wydziału, ale Wacław Biržiška i inni twierdzili, że statut czy też regulamin uniwersytecki przewiduje taki wyjątek dla cudzoziemców. Nie sprawdzałem tego w statucie. Bądź co bądź nie rozumiem, po co było wyciągać tę kwestię w stosunku do Janulaitisa, jeżeli się tylko nie chciało go pozbyć. Już dwa lata Janulaitis wykładał na tych zasadach i nic się przecie nie stało. Czyż nie mogło pozostać, jak jest? Jeżeli była niedokładność prawna, to przecież nikomu ona nie szkodziła i nikt się o to nie upominał.

30 września, rok 1924, wtorek
Wieczorem egzaminowałem na uniwersytecie grupę studentów, którzy się na dziś zgłosili do egzaminu z prawa konstytucyjnego. Ponieważ Tumenas, jako prezes gabinetu, jest bardzo zajęty i nie ma czasu na egzaminowanie, więc na jego prośbę egzaminowałem z całości przedmiotu, to znaczy tek z zakresu części ogólnej, która ja wykładam, jak z zakresu prawa konstytucyjnego litewskiego, które wykłada Tumenas. Do egzaminu zgłosiło się dziewięciu studentów z pozaprzeszłorocznych słuchaczy moich, którzy obecnie są już na semestrze V-tym. Oto ich nazwiska: Leonas, Olechnowicz (Aleknavičius) Požela, Olszewski (Alšauskas), Abramowicz, Kijowski (Kijauskas, Trimokas. Goštautas i Šimulionis. Na ogół chłopcy byli nieźle przygotowani, zważywszy, że nie ma żadnego ustalonego podręcznika i że muszą się przygotowywać z książek, jakie się trafią, a o dobra książkę trudno. Znakomite wiadomości wykazali dwaj studenci: Abramowicz, Żyd, były oficer litewski, i Olszewski, chłopiec bardzo zdolny, były prezes Akademickiego Związku Bratniej Pomocy, przekonań lewych, przeciwko któremu koledzy narodowcy prowadzili ostrą kampanię, zarzucając mu czynny udział w akcji bolszewickiej w r. 1918-1919 na emigracji w Rosji. Oprócz tych dwóch postawiłem stopień „bardzo dobrze” Leonasowi i Wilnianinowi Olechnowiczowi. Natomiast studentowi Kijowskiemu postawiłem stopień „wystarczająco” („pakankamai”), pozostałym zaś czterem – „dobrze”. Wyegzaminowanie dziewięciu studentów zajęło mi czas od godz. 6 ½ do godz. 10 ½. Na wiosnę tego roku, gdy władze litewskie wydaliły z Litwy znanego na gruncie kowieńskim działacza i publicystę narodowego polskiego Wielohorskiego, którego po sprawdzeniu jego kwalifikacji osobistych uznano za obcego poddanego, Polacy tutaj i w Wileńszczyźnie podnieśli wielki krzyk, wskazując na ten fakt jako na jaskrawy dowód szykanowania i prześladowania Polaków w „Litwie Kowieńskiej”. Wielohorski jest

obecnie w Wilnie, gdzie gra rolę ofiary ucisku litewskiego. Atoli z łona samych Polaków – bez żadnego cienia „intrygi" czy „prowokacji" litewskiej – ukazały się w Wilnie takie rewelacje o Wielohorskim, które mogą jeno świadczyć o tym, że wydalając Wielohorskiego – rząd litewski zastosował względem [niego] środek najłagodniejszy, bo mógł go, zwłaszcza gdyby go uznał, jak się on sam domagał, obywatelem litewskim, sądzić i karać za zdradę stanu. Mianowicie w końcu sierpnia w dzienniku konserwatystów federalistów wileńskich „Słowo" ukazały się w druku pamiętniki znanego działacza, pochodzącego z Mohylowszczyzny, Mirosława Obiezierskiego, dotyczące rokowań pokojowych polsko-rosyjskich w Rydze. Obiezierski z Bronisławem Krzyżanowskim i Witoldem Bańkowskim w charakterze przedstawicieli „Kresów" wileńsko-białoruskich brali udział w roli „eksperta" z głosem doradczym w delegacji polskiej. Ci trzej panowie „kresowi" bronili w delegacji polskiej postulatu oderwania od Rosji całej Białorusi do granic r. 1772 na rzecz bądź wcielenia tych ziem do Polski na jakichś zasadach decentralistycznych, bądź utworzenia z nich osobnej na pół samodzielnej białoruskiej formacji państwowej pod protektoratem Polski. Ich usiłowania spełzły na niczym dzięki kategorycznemu stanowisku podziałowemu Stanisława Grabskiego. Obiezierski opisuje rokowania pokojowe i wysiłki jałowe „kresowców", bardzo ostro krytykuje delegację polską i w szczególności Dąbskiego i Grabskiego. Są w pamiętniku ustępy poświęcone sprawie Litwy i Wilna. Otóż w jednym ustępie opisuje on przyjazd do Rygi Wielohorskiego, wydelegowanego przez Polaków w Kownie dla porozumienia się z delegacją polską i odbycia z nią konferencji w sprawie Litwy i Polaków na Litwie. Takie konferowanie z delegacja państwa, z którym Litwa była na stopie wojennej, i spiskowanie z nią przeciwko Litwie było oczywiście więcej niż nielojalne, za które Wielohorski mógłby tu być sądzony. Obiezierski dostarczył władzom litewskim doskonałego argumentu przeciwko zarzutom prześladowania w sprawie Wielohorskiego. Gdym wyjeżdżał z Wilna, chciałem wziąć ze sobą do przeczytania tutaj te pamiętniki Obiezierskiego. Teraz czytając je przekonałem się, że Hela Ochenkowska, która mi odnośne numery z redakcji „Słowa" dostarczyła, oczywiście naumyślnie usunęła ten numer, w którym Obiezierski pisze o wizycie Wielohorskiego w Rydze. Oczywiście bała się, aby ten numer nie wpadł tu w ręce władz litewskich.

1 października, rok 1924, środa
Janulaitis jest usposobiony sceptycznie i podejrzliwie do projektu Tumenasa w przedmiocie degradacji Trybunału do stopnia instancji apelacyjnej dla spraw rozpoznawanych w I instancji w sądach okręgowych i utworzenia specjalnego nowego sądu najwyższego kasacyjnego, mającego się zwać „senatem". Uważa on samą nazwę „senatu" za niewłaściwą i nie widzi żadnej racji, dla której ten sąd najwyższy kasacyjny nie miałby się zwać trybunałem, która to nazwa odpowiada historycznej nazwie najwyższego sądu w przedrozbiorowej Litwie, ani też racji, dla której nie miałby pozostać sądem najwyższym kasacyjnym nasz obecny Trybunał po odjęciu odeń funkcji apelacyjnych i stworzeniu nowego sądu apelacyjnego dla tychże. Jeżeli funkcje apelacyjne mają być ściśle oddzielone od kasacyjnych, z którymi się dziś one łączą w Trybunale, to dlaczego nowy są ma być dla kasacyjnych, pozostawiając niższe apelacyjne Trybunałowi, a nie dla apelacyjnych, pozostawiając Trybunałowi wyższe kasacyjne? W tych zamiarach Tumenasa, zmierzających do degradacji Trybunału, upatruje Janulaitis tendencję wrogą obecnemu składowi osobistemu Trybunału i jakąś spekulację chrześcijańsko-demokratyczną. Janulaitis jest obecnie w ogóle bardzo źle usposobiony do Tumenasa, który też był główną sprężyną uchwały Wydziału Prawniczego, faktycznie usuwającej Janulaitisa od wykładów na uniwersytecie.

Janulaitis – co jest zresztą prawdą – zarzucił Tumenasowi kierowanie rządu po linii ściśle partyjnej, a w szczególności w zakresie sądownictwa zarzuca mu systematyczne podporządkowywanie magistratury sądowej – administracji, co się wyraża w szeregu zarządzeń ministerialnych Tumenasa i w wielu poszczególnych wypadkach, jakie w tych czasach miały miejsce. Janulaitis nie wierzy w to, aby do nowo kreowanego „senatu", jako najwyższego sądu kasacyjnego, powołano nasz obecny komplet trybunalski, bo – powiada – gdyby taką była intencja, to nie degradowano by Trybunału, lecz uczyniono by po prostu z niego sąd najwyższy kasacyjny, ewentualnie zmieniając jego nazwę na „senat". Przypuszcza, że do kreowanego senatu powołają Kriščiukaitisa i Čepasa, ale nie nas z Janulaitisem, poza tym zaś skorzystają z okazji, by ten nowo kreowany senat zapełnić dogodnymi Chrześcijańskiej Demokracji osobnikami w postaci Kalnetisa, Oleki, ewentualnie Piotrowskiego, wreszcie samego Tumenasa, gdy się jego ministrowanie skończy. Takie są Janulaitisa posądzenia. Że może być w nich nieco prawdy – to jest możliwe. Zresztą wprowadzenie do najwyższego sądu garstki kreatur chrześcijańsko-demokratycznych w celu uzgodnienia jego akcji z polityką stronnictwa rządzącego może być uskutecznione i bez pominięcia nas z Janulaitisem, bo w takiej kompanii bylibyśmy unieszkodliwieni jako będący w mniejszości. Janulaitis sądzi także, że te projekty Tumenasa mają związek ze sprawą Puryckiego, której obrót w Trybunale nie podoba się Chrześcijańskiej Demokracji i usposabia ją przeciwko Trybunałowi.
Co do nazwy „senatu" i „trybunału", to już w rozmowie z Bielackinem przed dwoma dniami zwracałem jego uwagę na niestosowność moim zdaniem nazwy senatu dla sądu kasacyjnego. Zdaje się, że tylko w Rosji senatem się nazywał sąd kasacyjny, ale i tam geneza senatu była inna, co się utrzymało tak w jego tytule „Senat Rządzący" – jak w pewnych jego funkcjach pozasądowych. Senat w założeniu swoim jest zgoła czym innym, niż organ sądowy – odpowiada on izbie wyższej w systemie dwuizbowym albo pewnej instytucji kolegialnej w rządzie. Wskazywałem też Bielackinowi na to, że osobny sąd apelacyjny dla spraw rozpoczynających się w sądach okręgowych wydaje mi się zgoła zbyteczny, zwłaszcza gdy będzie powołana do życia instytucja sędziów przysięgłych („jury") do cięższych spraw karnych, co uchyli w tych sprawach apelację, zaś spraw cywilnych, rozpoczynających się w sądach okręgowych, jest znikoma ilość i byłoby bodaj wskazane, by je przekazać wszystkie sądom pokoju.

2 października, rok 1924, czwartek
Byłem dziś po raz pierwszy w café-chantanie kowieńskim „Miramara". Byliśmy w pięciu – Mačys z żoną, Bielackin, Balogh i ja. Inicjatywa spędzenia wieczoru na bibce należała do Mačysa, który przed kilku dniami wspomniał nam, że warto byłoby oblać nowy rok akademicki. W takich bibkach knajpowych ułożyła się już u nas specjalna kompanijka w osobach nas czterech; zbytecznym wydaje mi się w naszym gronie tylko Balogh, człowiek zupełnie nieciekawy i, jak się ostatecznie przekonałem, głupi, który jest nam jak piąte koło u wozu, a oprócz tego jest typowym pieczeniarzem, któremu nigdy ani na myśl nie przyjdzie płacić za siebie, a płacenie przez innego rachunku za siebie przyjmuje jako coś zupełnie naturalnego – nawet bez podziękowania. Jest on podwójnie towarzysko niemiły, bo jest poza tym niechlujny, przeto nieestetyczny, i nie umie się zachować. Pani Mačysowa zaś sama się wprosiła do naszej wycieczki knajpiarskiej, dowiedziawszy się o niej od męża. Mieliśmy iść na kolację do restauracji „Metropolu", ale Bielackin namówił na „Miramara". Jest to szantan czy kabaret – niby coś w rodzaju przedwojennego Szumana wileńskiego, ale nędzniejszy o wiele. Powstał przed rokiem jako filia kabaretu w Królewcu pod tą samą nazwą. Lokal „Miramary" kowieńskiej jest nędzny – wąska długa sala bez okien, choć w urządzeniu, w meblach i

ich układzie, w obiciu ścian, oświetleniu itd. – jest pewien komfort. Przed salą kabaretową jest długa poprzeczna sala bufetowa, służąca zarazem – wzorem kabaretów nocnych paryskich – rodzajem kuluaru kabaretowego z taboretami, na których mają wysiadywać dziewczęta dla flirtu z gośćmi u bufetu. O „Miramarze" dużo słyszałem, bo w swoim czasie jego otwarcie było sensacją w Kownie, ale przekonałem się dziś, że nie przedstawia nic szczególnego. Publiczności mało, bo Kowno nie posiada licznej klienteli uciech nocnych; może niedzielami bywa więcej, ale w dzień powszedni ledwie połowa sali się zapełnia. Cała zabawa trwa bardzo krótko, bo publiczność zaczyna się zbierać o dziesiątej, scena się otwiera około 10 ½, a o dwunastej jest już po wszystkim, to znaczy i po kabarecie, i po kolacji. Przepisy policyjne nakazują zamknięcie kabaretu o dwunastej, a są tak radykalnie przestrzegane, że się światła gaszą i goście chcąc nie chcąc muszą się rozchodzić. Przedstawienie kabaretowe jest bardzo krótkie, składa się ledwie z 4-5 numerów, mniej niż w kabarecie restauracji „Wersal". Na scenie produkowały się same tancerki, nie było żadnej śpiewaczki. Tancerki te przeważnie dziewczyny ładne, efektowniejsze od „wersalskich", dobrze zbudowane, o oczach podmalowanych, niektóre o farbowanych bladożółtych włosach. Szczególnie jedna wpadła mi w oko wspaniałym pięknem nóg swoich w tańcu – sprężystych, suchych, nerwowych. Tancerki były przeważnie bosonóżki. Te same tancerki kręcą się potem po sali, wysiadują przy bufecie, przysiadają się do gości znajomych. Po występach tancerek na scenie śpiewał na sali bardzo silnym i pięknym basem dyrektor „kabaretu"; śpiewał i istotnie głos miał bardzo ładny. Potem publiczność tańczyła na sali – przeważnie z tancerkami. Tańczono modne tańce nowe, lubieżne w gestach, powolne w ruchu, milczące jak akt spółkowania, egzotyczne w półcieniu świateł pogaszonych, mające w sobie coś z chimery. Wino jest w „Miramarze" doskonałe, kawa też dobra, tańce są na scenie wyraziste i podniecające, a na sali – słodkie i omdlewające skupieniem zmysłowym, ale nie ma wesela, nie ma gwaru i tempa szantanów paryskich.

3 października, rok 1924, piątek
Miałem wczoraj list od Zosi Römerowej z Cytowian. Zanotuję z niego dwie rzeczy, które mię zainteresowały. Pierwsza – to wiadomość o tym, że Eugeniusz Römer, mąż Zosi, pisze dzieje rodziny Römerów w związku z tłem historycznym ogólnym. Ciekaw jestem tej pracy. Eugeniusz może ją dobrze wykonać, jeżeli tylko nie zabarwi jej zbytnio tendencją endecką w traktowaniu tła historycznego. Ale Eugeniusz jest umysłem poważnym i głębokim, więc może dobrze rzecz tę ująć, a sądzę, że będzie mu chodziło też i o to, by uwydatnić nie tylko narodowe polskie, ale także krajowe zasługi naszej rodziny i w szczególności też w stosunku do ludu, co – przypuszczam – umiarkuje ewentualne zapędy endeckie. Zdaje się, że materiału Eugeniusz może mieć dużo, bo w ogóle Römerowie gromadzili skrzętnie wszelkie przyczynki i materiały, dotyczące rodziny, a poza tym i archiwum antonoskie Römerów, które obecnie jest w Wilnie (wywiezione tam w czasie wojny), jest mu znane. Dzieje naszej rodziny miały już swoich badaczy. W szczególności w poprzednim pokoleniu studiowali je i trochę pisali o nich, a przynajmniej opracowywali w rękopisie stryjowie Alfred Römer i Kazimierz Römer.
Druga rzecz, która mię w liście Zosi zastanowiła, jest następująca. Niedawno pisałem do niej i zawiadomiłem o mojej wizycie u Reginy w Grodnie i o widzeniu się z Celinką. Pisałem, jak mię Regina przyjęła, jak mi wyjaśniła przyczyny, dla których dotąd nie udawało mi się córki widzieć ani nawiązać z nią korespondencji i jakie silne wrażenie wywarło to wszystko na mnie. Zosia mi winszuje tego sukcesu, składa najlepsze życzenia, bardzo słusznie zaznacza dodatnią stronę tego, że córka mię widziała w obecności matki, bo – powiada – „w pamięci dziecka zostawi to zupełnie inne

wrażeniem niż gdyby to było gdzieś indziej niż w domu – jakby niezgodnie z wolą matki”. Ale bezpośrednio dalej Zosia dodaje: „Muszę Ci szczerze opowiedzieć, że nie spodziewałam się tego nawet, mając w pamięci rozmowę z Reginą po śmierci śp. Ojca Twego, kiedy to chciałeś, żeby Celinka do Ciebie napisała”. Zosia tej rozmowy z Reginą nie cytuje, ale z tych słów można sądzić, że Regina była zasadniczo przeciwna mojej korespondencji z córką, a zapewne i mojemu widzeniu się z dzieckiem. Komu jednak i czemu mam wierzyć? Czy słowom Reginy i wrażeniu bezpośredniemu, które wyniosłem z naszego spotkania grodzieńskiego, czy relacji Zosi z jakiejś rozmowy z Reginą w r. 1920 i jej interpretacji zamiarów Reginy? Wolę wierzyć Reginie i memu bezpośredniemu wrażeniu, które może być bliższe prawdy, niż to, co Regina mówiła w tych subtelnych rzeczach naszego stosunku osobom trzecim, będąc tak niechętnie usposobiona do interwencji osób trzecich i szczególnie nie sympatyzując z Zosią, o czym wiem od Reginy. Nie chcę, by teraz podszepty osób trzecich kaziły ten miły i ładny pączek naszego z Reginą pojednania, nawiązany tak niespodzianie i wzruszająco dla mnie w Grodnie.

4 października, rok 1924, sobota
Zaprosił mię do siebie na wieczór docent Stankiewicz. Słyszał on od Bielackina o tym, że się zbieramy czasem z Mačysem i Baloghiem dla wspólnego spędzenia wieczoru, a Bielackin zaproponował i jemu brać w tym udział. Wobec tego zaprosił on na początek do siebie. Przyszliśmy wszyscy i wynudziliśmy się należycie. Nie była to ani bibka, bo nie było alkoholu i kolacji, jeno herbatka, ani pogadanka profesorska, bo obecność pań – zwłaszcza nudnej podstarzałej p. Mačysowej – odbierała temu zebrańku cechy koleżeństwa. Stankiewicz, będąc rodem spod Birż i nie pochodząc z rodziny rosyjskiej, jest jednak zrusyfikowanym i ma się osobiście za Rosjanina, żonaty zaś jest z rdzenną Rosjanką w Petersburga, nie umiejącą po litewsku. W pierwszym okresie rewolucji rosyjskiej Stankiewicz był bliskim zaufanym współpracownikiem Kiereńskiego, a potem na emigracji rosyjskiej wypowiedział „credo”, wyrażające wiarę w odbudowanie wielkiej Rosji, w której znajdą miejsce i te ludy „kresowe”, które dziś potworzyły swoje odrębne państewka. Zdaje się, że coś nawet napisał w tym rodzaju. To było jednym ze skrupułów, dla których wahano się u nas w wydziale angażować Stankiewicza. Choć Stankiewicz wykłada po litewsku (zdaje się, że mocno przeplata wykład językiem rosyjskim), jednak czuć w nim mocno kulturę rosyjską, którą też w wykładach słuchaczom szczepi. Nie uwydatnia on tendencji politycznych rosyjskich, bo na razie dla nich miejsca nie ma, ale naukę wyciąga nie z zachodnioeuropejskich, lecz z rosyjskich źródeł wiedzy. Podobny zresztą pod względem głębokiego przepojenia się kulturą i umysłowością rosyjską jest do niego Bielackin. Gdyby nasz uniwersytet składał się z takich jak oni, byłby raczej uniwersytetem rosyjskim, przetłumaczonym jeno na język litewski. Jest to jeszcze jeden wzgląd istotny, dla którego uważałbym zastąpienie Janulaitisa przez Jaszczenkę za wcale niepożądane, choćby nawet Jaszczenko uchodził za wybitnego uczonego o szerokiej sławie. Za dużo mamy na naszym uniwersytecie pierwiastków rosyjskich. Zresztą o Jaszczence jeszcze pomówimy.
Miałem dziś list z Bohdaniszek – od bawiącej tam jeszcze Ewy Meyerowej. Pisze z żalem i oburzeniem o tym, że Stefan Mieczkowski skazał na śmierć... ogród lipowy w Bohdaniszkach, to znaczy przeznaczył do wyrąbania zimą tę porosłą laskiem część dworu za budynkami stajennymi, która miała u nas nazwę „Ogrodu Lipowego” i w dziale wypadła na schedę Elwiry Mieczkowskiej. Ewa pisze, że na tę wieść się rozpłakała, nazywa Mieczkowskiego barbarzyńcą i wandalem, oburza się na to, że „co pokolenia sadziły, pielęgnowały i kochały, co drogie jest naszemu sercu, to ktoś

przyjdzie, powie: „moje”, wyostrzy siekiery i zrąbie”. I woła dalej: „By pokazać moc swoją i prawo do tej ziemi... Czy Mieczkowski tym czynem polepszy dobrobyt rodziny i podniesie kulturę swego kawałka ziemi?.. Przyszedł intruz, barbarzyńca i nawet nie zawahał się na skazanie na śmierć olbrzymów, które rozmaite rzeczy i gorsze od tych przetrwały... Ciocia (Elwira) to cień ... przy swoim mężu. Słowa i nie chce, i nie może przy nim powiedzieć. A ja całą duszą niechętna i wroga mu jestem: głupi i brutal”. Co do mnie, sam fakt mnie już tak zbytnio nie gorszy i nie trapi. Rządku lip starych, które rosną po linii, oddzielającej Ogród Lipowy od warzywnego, a które są odcinkiem wielkiego kwadratu lip, którymi był obsadzony niegdyś stary dwór dokoła, Stefan ma nie ruszyć, ten zaś rząd tylko jest właściwie wspaniałym. Reszta drzew w Ogrodzie Lipowym jest późniejszego pochodzenia i wyrosła w lasek samorzutnie w miejscu jabłoni dzikich i grusz, które kiedyś tam rosły, gdy obecny Ogród Lipowy był bohdaniskim sadem owocowym, co musiało mieć miejsce w w. XVIII i jeszcze na początku w. XIX. Stefan chce tam oczyścić miejsce pod ogród warzywny lub na inny użytek. Mnie to specjalnie nie gorszy, bo choć przywykłem do ogrodu Lipowego i choć wycięcie go zmieni widok tej części dworu, to przecież każdy epizod dworu nie może być sakramentalnym na wieki i każde pokolenie zależnie od ewolucji i przekształcenia się warunków i potrzeb może coś usunąć, jeżeli tylko coś zamiast tego stworzy. Kwestia więc polega nie na tym, by Mieczkowscy sakramentalnie konserwowali wszystko, lecz na tym, by na swej schedzie, zmieniając ewentualnie jej formy, coś wartościowego tworzyli. Ale co mi jest zaiste smutnym, smutniejszym od wycięcia Ogrodu Lipowego, to to, że tak Mieczkowscy, jak Marynia z córką, a pono najwięcej właśnie ta Maryni córka, ta sama Ewa – nie kochają przyszłości Bohdaniszek w tym kraju. Cóż z tego, że ich uczucie przywiązuje się do Bohdaniszek jako pamiątki lat dziecinnych, kiedy jest ono martwe i nie wiąże ich życia z Bohdaniszkami na stałe. Tak, pokolenia przeszłe kształciły i pielęgnowały to nasze gniazdo, ozdabiały je i kochały, ale ich miłość była inną i uważały się za obywateli kraju, wiązały pracę w Bohdaniszkach z bytem swoim i rodziny, z dziejami kraju. A dziś Ewa, która roni łzy nad drzewami w Ogrodzie Lipowym, myśli tylko o tym, by matkę z Bohdaniszek wyrwać i do Polski wywieźć. Bohdaniszki są dla nich rzeczą do stracenia, rzeczą do pozbycia. Nie tak kochały je pokolenia przeszłe, które sadziły te drzewa. To mię boli, a nie to, że się garstkę drzew wytnie.

5 października, rok 1924, niedziela

Pod wieczór w wielkiej sali uniwersytetu miało się odbyć odczytowe zebranie publiczne, urządzone przez Litewskie Towarzystwo Popierania Ligi Narodów. Towarzystwo to, kierowane przez Janulaitisa, miało rozpocząć tym zebraniem zwyczajną sesję wielkich zebrań odczytowych, które co roku urządza na tematy polityki zagranicznej i zagadnień międzynarodowych, dotyczących Litwy, popularyzując zainteresowanie tymi sprawami i organizując opinię publiczną w kwestiach, najściślej z zagadnieniami Niepodległości związanych. Działalność tego Towarzystwa jest pod tym względem ogromnej wagi i użyteczności – nawet bez względu na to, czy się komu kierunek dominujący w propagandzie Towarzystwa podoba czy nie. Bo najistotniejszym w tej akcji jest to, że opinia publiczna oswaja się i zaczyna orientować w zagadnieniach polityki międzynarodowej, warunkujących rozwój Niepodległości, biorąc w swoje ręce wpływ i kierunek na akcję dyplomacji i czyniąc z Niepodległości dzieło zbiorowe, nie wyłącznie zależne od tajników spekulacji dyplomatycznej lub od jakiegoś kaprysu nastrojów nieobliczalnych. Jest to wielka zasługa tych ludzi, co stoją na czele Towarzystwa, w pierwszym zaś rzędzie Janulaitisa, który, będąc prezesem Towarzystwa, stosuje do traktowania pierwszorzędnych spraw publicznych metodę

europejską. Chrześcijańskiej Demokracji to się nie podoba, ale też mniejsza o to. Co do kierunku, w jakim się ta popularyzacja prowadzi, to nadają go ludzie obozu skrajnie niepodległościowego, przeważnie z prawicy. Janulaitis, choć sam do prawicy w zagadnieniach społecznych nie należy, łączy się z nią w polityce zewnętrznej. Toteż Towarzystwo jest zazwyczaj terenem wystąpień publicznych ludzi takich, jak Antoni Smetona, Voldemaras (o ile jest w Kownie), Krėvė-Mickiewicz, Stanisław Szyling, Herbaczewski (ten do prawicy nie należy) itd. Dziś miał referować Sidzikowski o sprawie wileńskiej na wrześniowej sesji Ligi Narodów, na której był on wraz z Gałwanowskim w delegacji litewskiej. Wybrałem się na ten referat, chcąc usłyszeć, jak rząd litewski uzasadnia swą akcję, bo Sidzikowski reprezentuje stanowisko rządowe w tej sprawie. Ludzie, których wyżej wymieniłem i którzy zazwyczaj rej wodzą na posiedzeniach publicznych Towarzystwa, są przeważnie rzecznikami zdecydowanej polityki rusofilskiej i zalecają ideę sojuszu z Rosją jako metody w walce przeciwko Polsce o Wilno. Napadają oni zwykle ostro na rząd, który się nie odważa iść po linii sojuszu z Rosją i który szuka dróg w skomplikowanej grze interesów na Zachodzie na gruncie Ligi Narodów itp. Te napaści na rząd były przeszłej zimy na zebraniach publicznych Towarzystwa tak ostre i gwałtowne, że Bučys, który na wiosnę jako prorektor uniwersytetu zastępował czasowo nieobecnego rektora Czapińskiego, cofnął Towarzystwu pozwolenie korzystania dla zebrań z sali uniwersyteckiej. Tym razem Bučys, który jest w tym roku rektorem, udzielił Towarzystwu sali licząc widocznie na to, że referat Sidzikowskiego, jako wykonawcy dyplomacji urzędowej, nie będzie zwrócony do krytyki i wymyślania rządowi. Jednak referat Sidzikowskiego nie miał miejsca, bo cos mu przeszkodziło przyjść. Posiedzenie jednak – pod przewodnictwem sekretarza Towarzystwa Jonynasa – odbyło się. Referował Janulaitis informując zgromadzonych o zasadach i celach Towarzystwa Popierania Ligi Narodów i o zjeździe Związku tych Towarzystw, który się odbył w czerwcu w Lugdunie (Lyonie) i na którym z ramienia Towarzystwa litewskiego byli obecni Janulaitis i Jonynas. Po referacie Janulaitisa dyskusji nie było, bo nikt się do głosu nie zapisał. Nikt ze zwykłych mówców Towarzystwa – ani Krėvė, ani Smetona, ani Herbaczewski, ani inni z ich szeregu – nie był na zebraniu obecny.
Napiszę jutro o dzisiejszym posiedzeniu Rady Wydziału, na którym podnoszona była sprawa Jaszczenki i Janulaitisa.

6 października, rok 1924, poniedziałek
Na wczorajszym posiedzeniu Rady Wydziału Prawniczego na uniwersytecie byli obecni Leonas, Kriščiukaitis, Mačys, Balogh, Wacław Biržiška, Tumenas, Šalčius, Rimka, Stankiewicz, Büchler, Morawski i ja. Pierwsza rzecz, która debatowano w obecności przedstawicieli studentów, była sprawa rozdawnictwa siedmiu stypendiów, którymi rozporządzamy i zwolnienia od opłaty za naukę. Po zakończeniu tego punktu wypłynęła sprawa zaangażowania prof. Jaszczenki. Poprosiłem o głos i wytoczyłem zastrzeżenia w sprawie Jaszczenki oraz nawiązałem do tej sprawy sprawę Janulaitisa. Moje przemówienie tak oto ujmowało te sprawy. Przed tygodniem, gdy była podniesiona kwestia zaangażowania prof. Jaszczenki do wykładów prawa międzynarodowego, nie oponowałem przeciwko temu, bom nic szczególnego o działalności Jaszczenki nie słyszał, prac jego naukowych nie czytałem, wiedziałem o nim tylko tyle, że jest uczonym znanym, jednym z byłych profesorów prawa międzynarodowego w Rosji uchodzącym za siłę wybitną. Obecnie wszakże doszło do mojej wiadomości, czego jeszcze sam nie miałem możności sprawdzić, że Jaszczenko w swoim czasie, gdy Rosja gwałciła państwowość Finlandii i usiłowała narzucić jej swoje prawa, przeciwko czemu Finlandia protestowała i walczyła, popierał usiłowania carskiego rządu i dawał czynowi

przemocy uzasadnienie naukowe. Gdyby się to po sprawdzeniu potwierdziło, to uważałbym zaangażowanie Jaszczenki do naszego uniwersytetu za niewłaściwe. Przed laty dziewięciu, gdy wybuchła Wielka Wojna, nie sądziliśmy, że tak rychło mieć będziemy Litwę Niepodległą. Dziś nie możemy tez przewidzieć dokładnie i powiedzieć na pewno, co może być jeszcze za lat dziewięć. Choć stosunek nasz z Rosją sowiecką jest ustalony Traktatem Moskiewskim z r. 1920, ale jeszcze sama kwestia Rosji nie jest zupełnie uregulowana. Z jednej strony, Rosja sowiecka nie wyrzeka się idei rewolucji powszechnej, która zalałaby kraje dziś niepodległe, oczywiście z Litwą włącznie, z drugiej strony, w samej Rosji może się dokonać przewrót i zamiast Rosji sowieckiej może powstać Rosja monarchiczna lub demokratyczna. Kto wie, czy Rosja monarchiczna lub demokratyczna uzna traktaty, zawarte przez rządy sowieckie i czy uszanuje niepodległość państw, które się oderwały od byłego państwa rosyjskiego i korzystając z zawieruchy rewolucyjnej w Rosji same na własną odpowiedzialność proklamowały się niepodległymi. W kołach emigracji rosyjskiej popularnym jest pogląd, uważający niepodległość tych państw bez sankcji czy to monarchy, czy Sejmu Ustawodawczego Rosji za fakt nielegalny i za prowizorium na czas trwania rządów sowieckich w Rosji. Kto zaręczy przeto, czy za lat kilka w nowych okolicznościach Rosja nie sięgnie po te kraje włącznie z Litwą jako po dziedzictwo swoje i czy nie nastanie jeszcze czas, kiedy bronić będziemy musieli wobec zakusów Rosji jeżeli już nie straconej Niepodległości, to choćby tych zdobyczy i placówek, które zdołaliśmy w okresie Niepodległości ustalić i wytworzyć – w tej liczbie uniwersytetu naszego? Sytuacja nasza może być podobna do tej, w jakiej była przed laty kilkunastu Finlandia w okresie jaj walki o państwowość lub przynajmniej autonomię przeciwko zachłanności centralistycznej rosyjskiej. Czy byłoby dogodnym dla Finlandii, gdyby w owym okresie miała ona na swoim uniwersytecie w Helsingforsie profesora Rosjanina, uzasadniającego naukowo stanowisko jej wrogów? Nie byłoby to i dla nas w analogicznych warunkach dogodnym. Może do tego nie przyjdzie, ale musimy być przewidujący i ostrożni. Gdyby chodziło o profesora Holendra, Anglika, Amerykanina, kwestia jego przekonań politycznych, jego „monarchizmu” i innych izmów mogłaby być dla nas zupełnie obojętna, ale w stosunku do profesora Rosjanina tak nie jest. Skądinąd należy się nam liczyć z opinią sąsiadów, którzy są w analogicznej do nas sytuacji. Jeżeli prawdą jest, co słyszałem o poprzedniej działalności Jaszczenki, to kto wie, jakie wrażenie sprawi w Finlandii, Łotwie itd. powołanie prof. Jaszczenki na Uniwersytet Litewski w Kownie na wykłady prawa międzynarodowego. Ciąg dalszy jutro.

7 października, rok 1924, wtorek

Zaznaczyłem dalej – w sprawie prof. Jaszczenki – że wszystko to mówię na podstawie tego, com słyszał. Nie twierdzę, jeno wnoszę zastrzeżenia. Być może, prof. Jaszczenko, występując w swoim czasie przeciwko uroszczeniom Finlandii, nie miał bynajmniej na myśli jakichś tendencji politycznych, jeno wypowiadał swoją opinię naukową o stanie prawno-państwowym tego kraju na podstawie analizy przedmiotowej aktów ustawowych, określających stosunek Finlandii do Rosji. Wszak i u wielu uczonych w Europie Zachodniej znaleźć było można podobne opinie o stosunku Finlandii do Rosji, zaprzeczające państwowości Finlandii, chociaż ci uczeni dalecy byli od wszelkiej intencji szkodzenia Finlandii w jej walce z Rosją i nie mogą być przeto uważani za wspólników caratu w gnębieniu Finlandii. Być może, ale niemniej byłoby niebezpieczne angażować Jaszczenkę, bo gdy niebezpieczeństwo grozi ze strony Rosji, to tego rodzaju opinie ze strony Rosjanina, choćby były oparte na wywodach naukowych, mają w sobie moment polityczny, pogłębiający niebezpieczeństwo. Może

też Jaszczenko zmienił odtąd swoje przekonania. Słyszałem od Stankiewicza, że Jaszczenko jest dziś bardzo daleki od monarchizmu i należy do kół, które się na emigracji grupują dokoła pisma „Накануне" i tworzą grupę tzw. „сменовеховцев". Ci „smienowiechowcy" propagują ideę kompromisu z bolszewikami, uznania rządów sowieckich za prawowite i nawołują emigrację rosyjską do powrotu do Rosji, poddając się bolszewikom. Jeżeli tylko Jaszczenko był kiedyś monarchistą, to jego obecność w grupie „smienowiechowców" byłaby zastanawiająca i nie świadczyłaby bez zastrzeżeń o szczerości jego przekonań. Kontrast byłby zbyt wielki. W liczbie „smienowiechowców" sporo jest ludzi, którzy kapitulowali wobec bolszewików dla kariery, dla pieniędzy, dla celów, nie mających nic wspólnego z przekonaniami. Emigracja rosyjska ogłosiła bojkot „smienowiechowców", których pobudki są zwykle bardzo dalekie od ideowych źródeł przekonania. Zwykle są one tym dalsze, im większy jest kontrast między ich obecnym głoszonym lojalizmem bolszewickim a ich przeszłością przedrewolucyjną. Dla wszystkich tych względów uważam, że kandydaturę Jaszczenki trzeba jeszcze postawić pod znakiem zapytania i wpierw zbadać powstające kwestie co do jego osoby i jego działalności poprzedniej.
Takim było moje przemówienie w sprawie kandydatury Jaszczenki. Ale w tymże przemówieniu poruszyłem i sprawę Janulaitisa. Choć sprawa ta była przesądzona poprzednią uchwałą Rady Wydziału, ale ponieważ uchwała ta zapadła w mojej nieobecności i poniewaz dotąd katedry, opróżnione przez ustąpienie Janulaitisa, nie zostały jeszcze obsadzone, więc uważałem za właściwe spróbować kwestię tę wznowić. Zresztą próba okazała się zupełnie beznadziejna. Jak wiadomo, głównym powodem usunięcia Janulaitisa było to, że Janulaitis nie zgadza się przyjąć etatowego stanowiska profesora i wejść do Rady Wydziału, zaś Rada Wydziału, ofiarowując mu stanowisko profesora i członka wydziału, nie zgadza się natomiast zaangażować go do wykładów umową prywatną. Janulaitis dlatego się nie zgadza na przyjęcie profesury, że, jak powiada, wydział jest sformowany nielegalnie. Statut orzeka kategorycznie, że profesorami i docentami mogą być osoby posiadające stopień naukowy, w drodze zaś wyjątku wydział może powołać na stanowisko profesora lub docenta osobę, która wprawdzie nie ma stopnia naukowego, ale się odznaczyła pracami naukowymi. U nas w wydziale nie ma ani jednego człowieka (wyjątek zachodzi może co do Balogha, chociaż dobrze tego nie wiem), który by miał stopień naukowy, a zresztą w Litwie nie ma pono w ogóle ani jednego prawnika mającego stopień naukowy. Chociaż i pod względem prac naukowych mało kto z nas w wydziale może się nimi poszczycić, ale o odznaczeniu się pracą naukową decyduje wydział, który sam jest instytucją naukową, kompetentną przeto do takiego kwalifikowania. Jednak zawiązek wydziału utworzony został nominacją Prezydenta Rzeczypospolitej, który oczywiście żadną instancją naukową, uzdolnioną do kwalifikowania prac naukowych, nie jest. Toteż należy przypuszczać, że Prezydent, nie mając kwalifikacji i uprawnień do sądzenia o wartości czyichś prac naukowych, mógł powołać legalnie do pierwszego zawiązku wydziału tylko takich ludzi, którzy mają cenzus formalny, przewidziany w statucie, to znaczy stopień naukowy. Tak też rozumuje Janulaitis.

8 października, rok 1924, środa
Jak wiadomo, latem roku 1922 Prezydent Rzeczypospolitej mianował pięciu ludzi – Leonasa, Janulaitisa, Bielackina, Büchlera i mnie – członkami Wydziału Prawniczego na Uniwersytecie Litewskim. Statut przewiduje, że pierwszych członków wydziału mianuje Prezydent Rzeczypospolitej, gdy zaś ilość tych pierwszych nominatów dosięgnie liczby pięciu, to już tworzą oni wydział, kompletujący się nadal samodzielnie. Ale, jakem mówił, niepodobna uznać, żeby Prezydent mógł w tych nominacjach

korzystać z przysługującego wydziałowi, jako ciału naukowemu, prawa powoływania na stanowiska profesorskie ludzi nie posiadających stopni naukowych, bo wyjątek ten jest w statucie dopuszczalny li tylko względem osób, które się szczególnie wyróżniły pracami naukowymi, Prezydent zaś nie może być kompetentny do kwalifikowania prac naukowych. Jedyne więc legalne kryterium dla takiej nominacji może stanowić stopień naukowy nominata. Ponieważ wszakże prawników, posiadających stopnie naukowe, w Litwie nie było, więc sytuacja była legalnie bez wyjścia. Rzecz ta została załatwiona w ten sposób, że minister oświaty czy też rektor uniwersytetu zwrócił się do Litewskiego Towarzystwa Prawniczego jako jedynej organizacji prawniczej w kraju, prosząc o wskazanie kandydatów do Wydziału Prawniczego. Towarzystwo Prawnicze na ogólnym zebraniu wskazało powyższych pięć osób, które też zostały przez Prezydenta mianowane. W akcie nominacji nie powołano się zresztą na opinię Towarzystwa Prawniczego, a gdyby się nawet powołano, to nie mogłoby to mieć formalnie znaczenia, bo statut uniwersytecki nie upoważnia do tego Towarzystwa Prawniczego. Jeżeli więc zwrócenie się do Towarzystwa Prawniczego miało na celu odebranie aktowi nominacji cech arbitralności, to urzędowo nie wpływało to na sytuację i nie usuwało tego faktu, że Prezydent sam własną decyzją zakwalifikował nas pięciu do wydziału, nie bacząc na brak stopni naukowych. Janulaitis, uznając tę nominację za przeciwną statutowi, a przeto nielegalną, nie przyjął jej. To samo i ja uczyniłem. Na nasze miejsca zostali mianowani dwaj inni – zdaje się, że Wacław Biržiška i Tumenas, wobec czego liczba pięciu została osiągnięta i wydział zaczął funkcjonować. Jedną z pierwszych czynności wydziału było powołanie do wydziału Janulaitisa i mnie. Wtedy ja, ze względu na to, że wydziałowi statut daje prawo powoływania ludzi nie posiadających stopni naukowych formalnych, wybór wydziału przyjąłem. Wychodziłem z założenia, że wydział już funkcjonuje i jest, nie moją zaś rzeczą jest dociekanie, w jaki sposób został on uformowany – dość, że pochodzi z zawiązku, mającego tytuł formalny w nominacji Prezydenta. Inaczej na to spojrzał Janulaitis. Uważał się on za uprawnionego do kontrolowania tytułu tych ludzi, co utworzyli zawiązek wydziału, i uznając, że zostali oni mianowani wbrew przepisom statutu – nie przyjął ich wyboru jako ludzi, nie stanowiących legalnie wydziału. Janulaitis domagał się, by statut został zmieniony lub uzupełniony takimi zastrzeżeniami, które by pozwoliły na razie utworzyć pierwszy zawiązek wydziału tak, jak on faktycznie utworzony został, to znaczy domagał się legalizacji ustawowej wydziału i to czynił warunkiem swego wstąpienia. Ten warunek spełniony nie został i Janulaitis został na uboczu.

9 października, rok 1924, czwartek
Wszystkie wydziały uniwersytetu delegują swoich przedstawicieli do trzech komisji uniwersyteckich: regulaminowej, bibliotecznej i tzw. kooperacji intelektualnej. W tym roku do komisji kooperacji intelektualnej Wydział Prawniczy wydelegował mnie. W roku ubiegłym z ramienia naszego wydziału brał udział w tej komisji, jak również w komisji regulaminowej Balogh, ponieważ wszakże dokuczył on wszystkim swoim wścibstwem tak, że się go chciano już pozbyć, więc w tym roku decyzją czy to senatu, czy Rady Uniwersyteckiej ustalono, że do udziału w komisjach uniwersyteckich dopuszczani są tylko obywatele litewscy, nie zaś obcy poddani. Decyzja ta przecięła Baloghowi autentycznie drogę do komisji. O czynnościach komisji kooperacji intelektualnej, w której mam brać udział, mam na razie pojęcie dość mgławicowe. O jej genezie wiem tylko tyle, że taka komisja (Commission de Coopération Intellectuelle) powstała przy Lidze Narodów z inicjatywy, zdaje się, Polaków i jeżeli się nie mylę, jej sekretarzem generalnym jest prof. Oskar Halecki. Uzasadnieniem tej komisji przy Lidze Narodów jest potrzeba wymiany usług i czynnej solidarności międzynarodowej w

sferze nauki i środków pracy umysłowej, ewentualnie też, jeżeli się nie mylę, potrzeb zawodowych ludzi pracujących umysłowo. Komisja przy Lidze Narodów ma organizować tę wymianę i pośredniczyć w niej, utrzymując w tym celu kontakt z uniwersytetami i organizacjami naukowymi we wszystkich krajach. Otóż ta nasza uniwersytecka komicja kooperacji intelektualnej utworzona została dla tego kontaktu w łonie Litwy. Gdy ta komisja u nas powstawała, były podnoszone u nas duże wątpliwości i zastrzeżenia; upatrywano w całej tej robocie blagę i niemal intrygę polską i traktowano rzecz ze względu na jej inicjatorów nieufnie i niechętnie. Jednak zdecydowano się wreszcie komisję założyć. W roku ubiegłym odbył się w Paryżu zjazd międzynarodowy Komisji Kooperacji Intelektualnej, na którym delegatem z Litwy był prof. Tadeusz Iwanowski. Na godz. pierwszą było dziś zwołane pierwsze w bieżącym roku akademickim posiedzenie naszej uniwersyteckiej komisji kooperacji intelektualnej, której prezesem z ramienia senatu jest w tym roku prorektor dr Avižonis. Na posiedzeniu był Avižonis, byłem ja, był Ignacy Jonynas z ramienia Wydziału Humanistycznego i jeszcze dwóch członków, których nazwisk na razie nie wiem. Oprócz nas do komisji należą prof. Tadeusz Iwanowski z Wydziału Przyrodniczego i prof. Kołupajło, którzy dziś byli nieobecni. Posiedzenie było krótkie, bo nie mamy jeszcze akt komisji, które pozostały u Balogha. Na sekretarza komisji powołalismy Jonynasa.
Nawiązując do tematu wczorajszego – piszę dalej. Janulaitis, uznając Wydział Prawniczy za nielegalnie skonstruowany, odmówił przyjęcia nie tylko nominacji Prezydenta Rzeczypospolitej, ale także wyboru wydziału, podczas gdy ja, nie przyjąwszy nominacji, która uważałem za przeciwną statutowi, przyjąłem wybór wydziału. Ale Janulaitis, nie przyjmując wyboru na stanowisko profesora i członka wydziału, zgodził się jednak podjąć się wykładów na zasadzie umowy prywatnej z tymże wydziałem. Choć mu wskazywano, że zawierając umowę z wydziałem i otrzymując z mocy tej umowy zapłatę za wykłady, w istocie przez to samo uznaje on istnienie legalne wydziału, a przeto mógłby równie dobrze objąć profesurę w wydziale – Janulaitis twierdził, że to nie jest to samo. I na zasadzie tej umowy dwa lata wykładał na Wydziale Prawniczym historię prawa litewskiego, a w tym roku miał wykładać także prawo międzynarodowe. Co prawda, dobrze na tym wychodził, bo gdyby był profesorem etatowym i członkiem wydziału, to zajmując poza tym na służbie państwowej stanowisko sędziego Trybunału, mógłby pobierać tylko połowę pensji profesorskiej, podczas gdy na zasadzie umowy prywatnej, jako pracownik pozaetatowy, pobierał na uniwersytecie wynagrodzenie w wysokości pełnej pensji profesorskiej, co dawało mu miesięcznie o kilkaset litów więcej. Wszelkie namowy i prośby, by zaniechał opozycji wydziałowi i wstąpił doń, Janulaitis konsekwentnie odrzucał, twierdząc zawsze, że wstąpi dopiero wtedy, gdy w drodze ustawodawczej wprowadzone będą do statutu zmiany, uprawniające taką konstrukcję wydziału (nominacje bez stopni naukowych), jaka siłą faktu wbrew przepisom statutu nadana mu została obecnie.

10 października, rok 1924, piątek
Czy Janulaitis w tym negowaniu wydziału i w odmowie wstąpienia doń kieruje się względami materialnymi, które mu umożliwiały dotąd dzięki temu negowaniu pobieranie z mocy umowy prywatnej wynagrodzenia dwa razy wyższego, niż jaki by mógł pobierać, zajmując stanowisko etatowe profesora i członka wydziału? Nasi koledzy w wydziale skłonni są go o to posądzać i zarzucają mu spekulowanie na zwyżkę poborów pod płaszczykiem względów rzekomo zasadniczych. Że ten wzgląd kieszonkowy nie przyczynił się do złagodzenia oporu Janulaitisa, gdyż zaniechanie

oporu obcięłoby mu pobory uniwersyteckie o połowę – temu trudno zaprzeczyć, ale bądź co bądź znając Janulaitisa, którego upór i zaciętość są klasycznie litewskie, wiem dobrze, że nie potrzeba mu aż takich ważkich argumentów, by wytrwać w raz powziętym postanowieniu. Jeżeli Adam Mickiewicz w powiastce poetyckiej „Golono, strzyżono" przedstawił upór przekorny kobiety, to z pewnością wzorów do tego klasycznego uporu dostarczyła mu natura litewska, która pod tym względem nie robi różnicy między kobietą a mężczyzną. Obserwując w ciągłym kontakcie Litwinów rodowitych, mam możność czynienia spostrzeżeń pod tym względem. Ludzie tacy jak Janulaitis, jak nasz sędzia Čepas, jak prezes ministrów Tumenas – a takich zresztą jest legion – są twardzi i uparci w swoich postanowieniach, wytrwali i niewzruszeni w dążeniach jak skała albo jak rzeka dążąca do morza. Jeżeli cos postanowią labo upatrzą, jeżeli raz sobie coś do głowy wbiją – to nikt i nic ich nie wzruszy. Nie zapalają się bynajmniej, nie unoszą się i nie gorącują na zewnątrz, nie wyczerpują swojej energii na ogień słomiany, jak się to u Słowian i w szczególności u Polaków zbyt często obserwować daje, są pozornie umiarkowani i równi, nawet pozornie na zewnętrzne dotknięcie gładcy i miękcy, dobroduszni i, zdawałoby się, ustępliwi, czyli, jak mówią Rosjanie – „покладисты", ale pod tymi zewnętrznymi pozorami miękkości jest skupienie i prężność tak wielka i tak uparta, że się niczym zgoła przełamać ani zachwiać nie da. Litwini są pod tym względem tak irracjonalni, że się chyba z żadnym innym narodem porównać nie dadzą. Jeżeli który zn nich jest ustępliwy i lekkomyślnie zmienny, chwiejny, nie uparty, to można być pewnym, że ma w sobie sporą domieszkę krwi polskiej. Litwina porównac można tylko z kobietą. Podziwiam tę ich cechę charakteru i muszę przyznać, że stanowi ona dużą zaletę społeczną, czyniącą dzieła narodowe litewskie bardzo statecznymi i bardzo ciągłymi, choć skądinąd ten brak giętkości w charakterze litewskim czyni bardzo trudną naprawę błędu.
Przyjechał dziś do Kowna Stefan Mieczkowski. Był on już w Kopianach dla zorientowania się w wartości materialnej zajęcia się likwidacją spadku kopiańskiego. Zachęcił się bardzo do Kopian. Chciałby zapoczątkować w Kownie akcję o przyznanie mu obywatelstwa litewskiego, o co będzie chyba trudno, poinformować się w Ministerstwie Rolnictwa o stanie Kopian i warunkach zwrotu tych dóbr z zarządu państwowego, wreszcie – zająć się legalizacją praw spadkowych Gierłowiczowej. We wszystkich tych sprawach liczy na moją pomoc.

11 października, rok 1924, sobota
Miałem zaproszenie od zarzadu Towarzystwa Wojenno-Naukowego na obchód 500-letniej rocznicy bohatera czeskiego Jana Żyżki. Obchód był urządzony w Klubie Wojennym. Złożyły się nań trzy referaty o Żyżce na tle ruchu husyckiego i na tle stosunków wojennych, społecznych i międzynarodowych epoki – z uwzględnieniem też stosunków czesko-litewskich, problemu słowiańsko-niemieckiego itd. Główną wagą obchodu był udział w nim przedstawiciela Czech w Litwie p. Gali. To nadało obchodowi cechę manifestacji politycznej w kierunku bratania się czesko-litewskiego. Ogromna sala Klubu Wojennego – bodaj największa w Kownie – była pełna. Nie było krzeseł wolnych. Przeważali oficerowie, była też garstka ludzi cywilnych, głównie z kół politycznych i zwłaszcza z lewicy. Najliczniej i najpokaźniej byli reprezentowani ludowcy ze swymi liderami Michałem Ślażewiczem, dr Kazimierzem Griniusem i dr Staugaitisem na czele. Pomimo sympatii politycznej Litwinów dla Czech, sfery rządzące i ludzie stronnictwa rządzącego nie byli reprezentowani na obchodzie, bo dla Chrześcijańskiej Demokracji katolickiej temat, związany z ruchem husyckim był za ciężki do strawienia. To, co jest chlubą narodową Czech, co jest w ich tradycji dziejowej najdonioślejsze – pierwiastek wolnomyślny i egalitarny w ruchu husyckim,

stanowiącym zapowiedź dziejową tego, co się miało ziścić w późniejszej Reformacji i w Rewolucji Francuskiej – jest dla reakcji, panującej dziś w Litwie, obce i wrogie. Litwę w tym obchodzie reprezentowała jej armia i jej opozycja. Na estradzie stały dwa stoliki; przy jednym zasiadało prezydium Towarzystwa Wojenno-Naukowego w osobach generała Radek-Zienkowicza i jakiegoś oficera, przy drugim siedziało trzech referentów – dwóch wojskowych Litwinów i trzeci przedstawiciel Czech – p. Gala. Wielkie malowidło, zajmujące całą ścianę w głębi estrady i przedstawiające wkroczenie wojsk litewskich do odzyskanego Wilna – ideę armii narodowej litewskiej – było zasłonięte draperią; sądzę, że to było zrobione umyślnie dla wystąpienia p. Gali, aby ten obraz manifestacyjny nie kompromitował neutralności Czech w problemie wileńskim. Prelegenci litewscy wygłosili swe referaty o Żyżce z rękopisów po litewsku, p. Gala zaś wygłosił z rękopisu wstęp do swego referatu i zakończenie po czesku, sam zaś referat – po rosyjsku. Tekst czeski był tłumaczony na litewski przez jednego ze współreferentów, oficera Grudzińskiego, który ukończył świeżo w Czechach jedyną bodaj w Europie Akademię Intendentury Wojennej. We wstępie tym p. Gala dotknął kwestii stosunków czesko-litewskich w przeszłości, zaznaczając ich rozwój w dobie najwyższego rozkwitu dziejowego Czech i Litwy, ich zanik następny w dobie upadku narodowego obu krajów i świtanie nowego stosunku po odzyskaniu niepodległości Litwy i Czech. Sam zaś odczyt dotyczył stosunków Witolda Wielkiego do Czech i roli Żyżki w tychże stosunkach. Publicznośc oklaskiwała p. Galę bardzo owacyjnie, manifestując sympatie Litwy do Czech. Czechy prowadzą na Wschodzie bardzo intensywną politykę, wygrywając w stosunku do Białorusinów, Ukraińców i Litwy atuty, które niegdyś Polska umiała wygrywać, a które dziś Polska przez swą politykę zaborczą wypuszcza z rąk. Zaczynają one przewodzić tym ludom i stawać [się] dla nich jednym z punktów dośrodkowych orientacji politycznej. Kryzys rosyjski ułatwia im znakomicie tę rolę. Wieczorem byłem ze Stefanem Mieczkowskim na kolacji w restauracji „:Wersal”. Zabawiliśmy się rozmową, kabaretem i tańcami publiczności na sali, w których coraz bardziej gustuję. Jest w tych nowych modnych tańcach, które mi się na razie nie podobały, bardzo ciekawy artystycznie moment lubieżności, w którym dziki szał namiętności przeradza się w dyskretny skupiony pojedynek rozkoszy: w tym momencie wszystko milknie jak w południe skwarnego lata i w rozkoszy nastaje pracowita powaga działania, z którego wytryśnie w nowym paroksyzmie szału plon. Ten głęboki moment skupienia czynnego między namiętnością pragnienia i namiętnością spełnienia odtwarza taniec współczesny.

12 października, niedziela
Byłem wieczorem ze Stefanem Mieczkowskim w teatrze na przedstawieniu premiery Krėvė-Mickiewicza „Skirgajło”. Była to premiera i zarazem benefis reżysera teatru państwowego – Dauguvietisam który grał w tym dramacie jedną z głównych ról – młodego Krzyżaka Kellera. W pierwszej połowie dramat Krėvė-Mickiewicza jest wspaniały – zwłaszcza przez głęboką analizę tła historycznego epoki i świetne zarysowanie pewnych ciągłych problemów dziejowych Litwy, wynikających z jej położenia geograficznego, sąsiedztwa, warunków i wpływów kulturalnych wewnętrznych i zewnętrznych. Są w tym dramacie cechy wielkości, które się zdają być czasem błyskami geniuszu. Tragedia ginącego pogaństwa narodowego, walczącego resztkami sił dumnie ze zwycięskim chrześcijaństwem, które je zalewa ze wszech stron nie tylko z zewnątrz, ale już i z wewnątrz, bolesne starcie dwóch koncepcji narodowych, z których jedna, stojąca niewzruszenie na gruncie przeszłości, usuwającym się Litwie spod stóp, głosi zasadę raczej zginięcia, niż odstępstwa i kompromisu, podczas gdy druga, akceptując pozornie i bez wiary chrześcijaństwo,

trawiona zresztą zgryzotą, usprawiedliwia ten czyn koniecznością ocalenia się od zagłady niechybnej, nie myśląc ani na chwilę rezygnować z indywidualności litewskiej i uważając to jeno za manewr dla wyrwania broni z rąk wroga, spekulacje polityki polskiej i krzyżackiej, dążącej jedna i druga innymi drogami do rozszarpania Litwy – oto kanwa dramatu dziejowego z okresu wielkiego księcia Skirgajły. Niestety, głębia tych problemów, naszkicowana kulku silnymi rzutami, nie wystarcza do końca, a w drugiej połowie sztuki niknie i dramat, tracąc na wielkości dziejowej, wyradza się w ostrą tragedię miłości, wprawdzie silną jak sztuka Grand-Guignolu i pełną sensacji jak wspaniały romans kryminalny (finał – pogrzebanie żywcem rozkochanego Kellera), ale pozbawioną tych wartości dziejowych, które ją zdobiły w pierwszej części. Gra artystów była znakomita. Dauguvietis, którego nie widziałem dotąd na scenie w charakterze aktora, jest artystą scenicznym z Bożej łaski. Kubertowicz w roli tytułowej Skirgajły, Anna Rymaitė w roli księżniczki lidzkiej, Piotrowski w roli zakonnika – byli w grze klasyczni. Sztuka jest jednak nieznośnie długa, składa się z 15 obrazów, ciągnie się od godz. 7 ½ do godz. 1 po północy. Nie tylko aktorzy, ale i publiczność jest pod koniec zmęczona, że już myśli tylko o ucieczce i ma przesyt widowiska. Zdaje się, że dla tej długości sztuki, a także dla pewnego względu innej natury sztuka się w repertuarze albo wcale nie utrzyma, albo będzie wystawiana bardzo rzadko. Tym drugim względem jest przedstawienie duchowieństwa, a poniekąd i samego chrześcijaństwa w świetle bardzo ujemnym. Duchowieństwo katolickie jest przedstawione jako intryganckie, przeważnie obłudne, spekulujące politycznie, nie brzydzące się żadnym fałszerstwem. Niekulturalne też zachowywanie się znacznej części publiczności na sali, śmiech, którym publicznosc wita każde słowo i gest księży na scenie, jeszcze bardziej akcentuje ujemne traktowanie duchowieństwa i chrześcijaństwa. Sam Krėvė-Mickiewicz powiada, że interpretacja aktorów i zachowanie się publiczności nadały pod tym względem tej jego sztuce cechę, jakiej ona w intencji autora nie miała.

13 października, rok 1924, poniedziałek
Nie wspomniałem w dzienniku wczoraj o posiedzeniu Rady Wydziału Prawniczego. Na posiedzeniu obecni byli Leonas, Kriščiukaitis, Mačys, Balogh, Bielackin, Wacław Biržiška, Rimka, Tumenas, Szołkowski, Šalčius, Morawski, Stankiewicz, ja i po raz pierwszy – lektor Weryha-Darewski, który powołany jest na posiedzenie Rady z głosem doradczym. Na posiedzeniu tym zapadła uchwała w sprawie prof. Jaszczenki. Większością głosów przeciwko mnie, Kriščiukaitisowi, Wacławowi Biržišce, Šalčiusowi i Morawskiemu uchwalono zaangażować prof. Jaszczenkę na jeden rok bez żadnego zobowiązania na dalszą przyszłość. My, oponenci, głosowaliśmy w ogóle przeciwko zaangażowaniu Jaszczenki. Zresztą motywy nasze nie były u wszystkich te same. Taki Šalčius, Kriščiukaitis, Wacław Biržiška głosowali przeciwko Jaszczence nie dlatego, że tu chodzi o Jaszczenkę, ale dlatego, że są oni zasadniczo przeciwni angażowaniu cudzoziemców, jeżeli jest jakakolwiek szansa objęcia katedry przez Litwina, choćby ten przedstawiał naukowo wartość niższą. Co do mnie, nie jestem zasadniczo przeciwny cudzoziemcom. Motywy, dla których głosowałem przeciwko kandydaturze Jaszczenki, już podałem szczegółowo w dzienniku przed tygodniem. Wacław Biržiška, który się wraz z Tumenasem najostrzej przeciwstawiał mojej akcji przeciwko Jaszczence, którą na poprzednim posiedzeniu usiłowałem łączyć z rewizją uchwały, usuwającej Janulaitisa, głosował wczoraj przeciwko kandydaturze Jaszczenki nie dla wysuniętych przeze mnie wątpliwości, lecz dla wskazanej przeze mnie ewentualności pozyskania dla tej katedry Jana Vileišisa. Choć głosowaliśmy przeto wczoraj z Wacławem Biržišką solidarnie, jednak z nim właśnie miałem wczoraj jeszcze

w tej materii starcie. Nie próbowałem już wczoraj wszczynać sprawy Janulaitisa, bo na poprzednim posiedzeniu Rada już wyraźnie stwierdziła, że sprawa ta jest przesadzona ostatecznie. Pomimo to Wacław Biržiška, wysłuchawszy moją argumentację przeciwko Jaszczence i stwierdzając, że w argumentach tych posługuję się informacjami, udzielonymi mi przez Janulaitisa, który w razie zaangażowania przez nas Jaszczenki gotuje się do ataku w prasie na wydział, nazwał tę akcję intrygą Janulaitisa. Gdym zaprotestował przeciwko temu wyrażeniu, Wacław Biržiška oświadczył, że powie to Janulaitisowi w oczy. Powiedziałem wtedy, że o ile Biržiška słów swoich nie cofnie, to ja żądam wpisania tych słów do protokółu i jednocześnie zaznaczenia w protokóle mojego protestu, bo występując w Radzie Wydziału przeciwko kandydaturze Jaszczenki wykonywam moje prawo członka Rady równie dobrze, jak ci, którzy tę kandydaturę popierają i określanie takiej mojej czynności w charakterze członka Rady jako „intrygi" czyjejś uważam za niedopuszczalne i krępujące moją kompetencję w Radzie. Koledzy zaczęli nalegać na Biržiškę, żeby swoje słowa cofnął, co też on ostatecznie po pewnym wahaniu zrobił, a po posiedzeniu nawet mię przeprosił, tłumacząc się, że nie miał na myśli mojego wystąpienia i że sam po zastanowieniu się uznał, że mię nieoględnie dotknął.
Janulaitis ma już napisany artykuł z powodu zaangażowania przez wydział Jaszczenki. Teraz, gdy uchwała zapadła, da on ten artykuł do druku (do „Lietuvos Žinios").
Może wrócę jeszcze do sprawy Jaszczenki. Tymczasem zanotuję tylko pewien precedens, ustalony na wczorajszym posiedzeniu Rady Wydziału. Było rozpoznawane podanie młodego Tańskiego z majątku Świrny w pow. wiłkomierskim o przyjęcie go na V semestr Wydziału Prawniczego. Tański ukończył polskie Gimnazjum Zygmunta Augusta w Wilnie i był na prawie na Uniwersytecie Poznańskim w Polsce. Otóż semestry, przesłuchane na Uniwersytecie Poznańskim, zostały mu przez nas zaliczone, ale matury wileńskiej Gimnazjum Zygmunta Augusta nie uznaliśmy, wychodząc z założenia, że ponieważ uniwersytety polskie nie uznają matury litewskiego Gimnazjum Witolda Wielkiego w Wilnie, więc my stosujemy to samo do gimnazjów polskich tamże. Przyjęliśmy Tańskiego na V semestr w charakterze wolnego słuchacza. Co zaś do uniwersytetów polskich, to w debatach było zaznaczone, że studiów na uniwersytecie wileńskim nie uznalibyśmy.

14 października, rok 1924, wtorek
Otrzymałem pocztą przez Rygę list od Reginy. List zdumiewający, list, który jest poezją mego życia, list, który stanowić może w moim życiu epokę. Niech ten list sam mówi swym tekstem, bo ja tego swymi słowami lepiej nie oddam. Oto list Reginy w odpisie:
„Grodno, Saperna, 18.
29.IX.1924.
Dziś w dniu Twoich imienin myślami jestem przy Tobie! Wysłuchaj więc, co ci powiem i uwierz, bo nie splamię ust swoich kłamstwem w dniu, w którym przystąpiłam do Komunii Świętej! Od chwili Twego wyjazdu przez te kilka tygodni toczyła się we mnie ciężka walka, walka z ambicją i z własnym sumieniem! Dodać do tego należy, że wyczerpała się zupełnie doza mojej energii i wytrzymałości na ciągłe kłopoty i biedy; tak mi jest źle, że już wytrzymać nie mogę!.. Jedno nieszczęście idzie za drugim, a znikąd wsparcia i pomocy!.. Jeżeli więc mnie nie odepchniesz, idę ku Tobie z wyciągnięta dłonią; jeżeli kiedyś zawiniłam przez nierozwagę lub młodość, to mi przebacz i zapomnij! Ja przez te długie lata nienawiści żadnej nie czułam do Ciebie, tylko może żal za zmarnowane moje życie, żal za szczęściem, któreś mi odebrał, żal za ogniskiem domowym, o którym zawsze marzyłam w swoich młodocianych latach! – Jeżeli jesteś człowiekiem serca, to wiesz, że takie życie jak moje życiem nazwać się nie

może, a moja powierzchowna pogoda i uśmiechnięta twarz kryć mogą dużo bólu, a za każdym uśmiechem drga cała dusza i całe morze łez! – Ja Ci nie proponuję wspólnego pożycia, owszem, pragnę zawsze pozostać w Grodnie, zostań także przy swojej pracy tam, gdzie zasady Twoje Cię zatrzymują; ale bądźmy przyjaciółmi, pisujmy do siebie, odwiedzaj nas często... Teraz, gdy to piszę, a to Imieniny, składam Ci w ofierze serce swoje i cały, caluśki dzień myślę wyłącznie o Tobie!.. Proszę mi wybaczyć, że może zanadto szczerze odpowiadam na list pisany do mnie z Wilna, ale rzeczywiście za pełne jest moje serce i za pełna głowa także! Dopóty dzban wodę nosi, dopóki się ucho nie urwie! – Do tego stopnia rozprzęgły mi się nerwy, że płaczę dziś cały dzień, bo w Łunnie spalili mi całe tegoroczne zboże! Chleba nie mamy ani karmu dla inwentarza, pieniędzy brak, że już nie wiem co robić! D tego wierna nasza stara Malwina (kucharka Mamy) straciła teraz swą ukochaną siostrzenicę. Miałam duże wydatki z powodu jej choroby i dużo kłopotu, nie mówiąc już o smutku z powodu żalu starej Malwiny! – Córka nasza jest zdrowa, ale ma dużo pracy, a ponieważ jest pilna, nie ma dużo czasu wolnego. – Zrób nam przyjemność i odwiedź na Boże Narodzenie, byłabym taka szczęśliwa, bo naprawdę żadnego żalu nie czuję do Ciebie i tak bym pragnęła jeszcze mieć trochę zapomnienia i cichego szczęścia! Jeżeli rzeczywiście zrobiła na Ciebie wrażenie atmosfera mieszkania mojego i domowe zacisze, to w każdej chwili możesz wejść do niego, ale tylko zawsze sam; bo rodziny nasze tak mi już dogryzły, że ich do siebie nie wpuszczę! – Jeżeli my się porozumiemy, a nawiąże się między nami jakaś nić sympatii, chciałabym bardzo, żeby to się stało bezpośrednio, bez pomocy i opieki ciotek, sióstr czy kuzynów! – Jesteśmy już chyba dosyć starzy, żeby nas nie prowadzili na pasku! Dziś są Twoje Imieniny, wszystko u nas śpi, a mnie tak jakoś smutno, tak źle, że zmusza mnie coś do pomówienia z Tobą! – Będę czekać odpowiedzi, bom niepewna, jak się zwrócisz do mnie; o ile z listu Twego zrozumiałam, nie umarło jeszcze Twe serce dla mnie; tak napisałeś szczerze, tak, że pozyskałeś całe zaufanie! Nie mogę więc tytułować Ciebie Szanownym Panem, a jeżeli napisałam Ci dzisiaj i odkryłam najgłębsza tajniki mojej duszy, jest to jedynie godną odpowiedzią na Twój kochany list! ...Przerwałam moje pisanie, bo stara Malwina tak płacze, że serce się rozdziera patrząc na nią. Smutnym jest dla mnie dzisiejszy dzień, choć natura zdaje się śmiać do ludzi! – Zmęczona jestem życiem, chciałoby się złożyć głowę na czyim sercu i wypłakać to wszystko, co tak boli!”.
Dokończenie listu Reginy – jutro.

15 października, rok 1924, środa
Dokończenie listu Reginy:
„Jeżeliś skłamał w liście Twoim, to Ci Bóg tego nie przebaczy, ale jeżeliś prawdę mówił, to będziesz nagrodzony kiedyś przez Boga za to, żeś tyle pociechy wlał w duszę moją! – Kochałam Ciebie zawsze, chociaż nikt o tym ani się domyślał, a daleką byłam od nienawiści lub okrucieństwa! – Młodość moja, te długie lata cierpień były czyste i niczym się nigdy nie splamiłam, chociaż jak każda może kobieta, pragnęłam miłości! – Niech Ci będą stokrotne dzięki za to, żeś zawsze stawał w mojej obronie; bo wiem, jak boleśnie szarpano moje dobre imię; nie wymagaj więc nigdy ode mnie, bym podała rękę tym, których imion nie wymówię, bo są Ci wiadome! – To wszystko, co napisałam, jest prawdą; w dniu dzisiejszym spowiadałam się i przyjęłam Jezusa do serca mego w intencji, aby między nami zapanowała zgoda i przyjaźń. Jeżeli zrobi Ci to przyjemność, to przyślę Ci nasze fotografie, umyślnie na ten cel się odfotografujemy! – Czekać będę z upragnieniem listu, daj to Boże, by mi przyniósł to, o co się tak gorąco modlę! Jeżeli obraziłam Cię czymkolwiek w tym liście, to mi daruj, a jeżeli coś moja prośba może, to

błagam Cię, żebyś o moim liście nie powiedział nikomu i nikomu nie dał go czytać. Niech się na Tobie nie zawiodę. Żegnaj mi więc i pamiętaj trochę o Twojej Reginie. Tak chcę, żebyś przyjechał do nas na Święta, zabierz w takim razie rzeczy moje z Cytowian od proboszcza i od p. Putramenta zegar i kuferek i przywieź ze sobą, a jeżeli nie będziesz mógł przyjechać, to nam bardzo smutno będzie!
Dzień dzisiejszy był smutny, bo Józię pochowaliśmy, trudno opisać rozpacz starej Malwiny! – Odeślij jakimkolwiek sposobem nam nasze bagaże, a wdzięczność nasza będzie bez granic. Odpisz tylko prędko według tego adresu, którego sama używam, a ten list proszę spalić".
Cóż mam powiedzieć o tym liście Reginy!? Że go nie spalę – to pewne, choć stosując się do woli Reginy – nie będę go czytać nikomu. Nie spodziewałem się takiego listu od Reginy, nawet po napisaniu mego listu do niej z Wilna. I nie spodziewałem się aż takich uczuć Reginy! Że daleką jest od nienawidzenia mię, o co ją posądzałem, a nawet raczej byłem zupełnie przekonany, to stało mi się jasne w Grodnie. Wyczuwałem wtedy nawet, po tej wizycie u niej, że mię „*quand même*" kocha. Ale pewny tego nie byłem. Zdawało mi się, że to jest wrażenie za śmiałe i że zamiast „kocha" należałoby raczej powiedzieć skromniej: „nie jestem dla niej obojętny". Żeby to jednak było coś tak żywego i głębokiego, jak się to z tego listu dowiaduję – tego nie miałem odwagi twierdzić ani nawet sądzić. Regina jest dla mnie zawsze zagadką; choć ją znam – ma ona dla mnie zawsze w swojej naturze i czuciach niespodzianki i rewelacje, które rozbijają zgoła wszelkie moje sądy o niej. Dziwna i niezwykła kobieta! Ten list Reginy nie może kłamać, nie może on być aktem jakiejś spekulacji obłudnej. Gdym go wczoraj otrzymał i zaczął czytać – chwyciłem się za głowę, a gdym doczytał do miejsca, w którym Regina powiada, że idzie ku mnie z wyciągniętą dłonią pojednania – przeraziłem się, bo mi się już zdało, że Regina wyciągnie wniosek prosty i zaproponuje mi – połączenie się i wspólne pożycie. A wiem, że byłoby ono dla nas obojga nieszczęśliwym i skądinąd z wielu powodów niewykonalnym' ale po tym, co między nami nastąpiło teraz, odrzucenie takiej propozycji byłoby bardzo przykre i ciężkie i mogłoby się wydać Reginie zadaniem kłamu mojemu listowi z Wilna. Szczęściem, wniosku tego Regina nie robi i to jest z jej strony bardzo mądre. Nie mogę posądzać, by Regina napisała ten list dla pieniędzy.

16 października, rok 1924, czwartek
Kilkakrotnie wzmianki w liście Reginy o ciężkich warunkach i kłopotach materialnych, o braku pieniędzy, o stratach – mogą dać do myślenia, że chodziło jej o to, aby sprowokować z mojej strony nową propozycję pomocy pieniężnej. Wiem, że na tym punkcie Regina jest bardzo wrażliwa i dumna. Nie mieszała nigdy spraw pieniężnych do spraw uczuciowych, posuwała bezinteresowność materialną do ostateczności. Jeżeli przed wojną w pierwszych latach naszej separacji brała ode mnie subsydium pieniężne, to tylko na usilne naleganie Eugeniusza, który tego od niej wymagał. Wiem, że nie miała ochoty przyjmowania tej pomocy ode mnie. I w tym roku, gdym w rozmowie proponował jej kilkakrotnie zasiłek pieniężny – nie w postaci pomocy dla niej, jeno w postaci mego udziału w kosztach kształcenia naszej córki – Regina odmawiała kategorycznie, mówiąc, że jeżeli jej wystarcza, to musi wystarczyć i dla córki. Odmawiała, choć interesy jej są bardzo ciężkie. Zresztą nie trzeba mi tych przykładów, aby wiedzieć, jak drażliwą jest pod tym względem Regina: znam ją aż nadto dobrze. Ale za Reginą stoi Francuzka – panna Courtôt, która jest mądra i praktyczniejsza od niej. Jeżeli się tylko nic w stosunku tych dwóch kobiet nie zmieniło – Francuzka ma wpływ przemożny i decydujący na Reginę: ona rozkazuje, a Regina jej słucha. Nie jest więc wykluczone, że Francuzka wygderała Reginę za to, że nie przyjęła moich

propozycji pieniężnych i że kazała jaj naprawić błąd, co też Regina czyni w liście, nie prosząc mię wprawdzie wprost, ale dość przejrzyście prowokując nową propozycję z mej strony. Znając jednak Reginę, nie mogę sądzić, aby to było istotną jej listu pobudką. Gdyby tak było i gdyby ten list był tylko z rozkazu Francuzki pisany – byłby on inny. Nie mieszałaby z tym Regina swych uczuć, tak wyraziście i pięknie w nim wyrażonych. W sferze zaś swoich uczuć jest Regina szczera bezwzględnie. Nie podoba mi się w tym liście także zbytnia niechęć do mojej rodziny, w szczególności – wiem dobrze – do sióstr moich. Pod tym względem Regina była zawsze pełna uprzedzeń i tu właśnie rola Francuzki była najwydatniejszą. Panna Courtôt dążyła zawsze systematycznie do wykopania głębokiego rowu niechęci i nieufności między tak mną, jak Reginą a rodziną tak moją, jak Reginy. Zdaje się, że na tym zasadzała ona głównie swoje ambitne nadzieje panowania nad naszym małżeństwem. Poróżnienie nas z rodzinami naszymi było jej namiętnością. Regina się temu poddawała ślepo, mnie zaś ta właśnie jej akcja otworzyła oczy na jej rolę i zamiary. W tym poznaję i teraz wpływ Francuzki. W ogóle ta Francuzka, którą czuję ciągle za plecami Reginy, choć się ona starannie ukrywa w cieniu, jest tym niewiadomym iksem, który mi zaciemnia i wikła zagadkę samej Reginy. Wiem, że większa część listu Reginy pochodzi od niej samej. Poznaję w nim dobrze mi znaną szlachetną naturę Reginy, której żaden wpływ sfałszować nie może, poznaję jej uczucia mocne i niewzruszone jak skała, jej upór, jej charakter, jej sposób myślenia i argumentowania. Ten list jest jej dziełem. Ale mogą w nim być i elementy wpływu Francuzki, elementy jej polityki i intrygi, zawsze bardzo zawiłej i trudnej do odszyfrowania poprzez jej szlachetne narzędzie – Reginę. I to jest wiecznie ten element, który bruździ i mąci nasz stosunek z Reginą. Czuję za nią Francuzkę i nie jestem w stanie rozpoznać, gdzie się kończy moja szlachetna i czysta Regina, a gdzie się zaczyna kanał intrygi Francuzki. O ile kocham Reginę – wprawdzie nie tą miłością kochanków, ale uczuciem nie mniej szczerym i głębokim przyjaźni, uznania i szacunku, mających w sobie coś z kultu religijnego, o tyle mi jest wstrętnym ten wpływ ukryty Francuzki. Bardzo mię cieszy to, że Regina zapatruje się na przyszłość naszego stosunku podobnie do mnie, to znaczy że wyłącza ona nasze wspólne pożycie. Pożycie to jest niemożliwe, zwłaszcza wobec Francuzki, gdy natomiast nasz stosunek w takich formach, jak ja go sobie wyobrażałem po mojej wizycie u Reginy i jak go Regina w liście swym pojmuje, może być bardzo piękny i może dać nam dużo jasnych chwil pogody i szczęścia w życiu – stosunek serdeczny, pełny zaufania, polegający na odwiedzaniu się i wakacjach wspólnie spędzanych z zachowaniem poza tym samodzielnej odrębności każdego z nas, stosunek, opromieniony uczuciami, które żywimy ku sobie, wspólnością dziecka, świadomością tragedii naszej, która nas rozdzieliła i łączy, kultem wzajemnym... Ten list Reginy – to jedna z najgłębszych pociech mego życia. W tych dniach odpiszę do niej, a list, który napiszę, skopiuję w dzienniku. Moja wizyta wrześniowa u Reginy w Grodnie i te listy, którymiśmy ją uzupełnili, otworzyć mogą nową erę w naszym życiu. Nie czuję się już takim sierotą, jakim byłem do niedawna. Zaczynam być naprawdę ojcem i jeżeli nie przeciętnym mężem, to w każdym razie człowiekiem wwiązanym w głęboki stosunek rodzinny z kobietą, którą słusznie nazywać mogę moją, bo Regina jest bardziej moją, niż są nimi dla swych mężów miliony żon, które się nigdy z nimi rozstawały. Od zgonu Anny nie byłem nigdy tak w żywy stosunek wwiązany, jak teraz z Reginą.
Wraz z listem swoim Regina przysłała mi liścik od córki. Jest to pierwszy list od córki, który w życiu moim otrzymałem. Oto treść tego listu w odpisie dosłownym:
„Kochany Tatusiu,
Dziękuję bardzo za cukierki, które mi bardzo smakowały. Odpisałabym wcześniej, ale do tej pory nie miałyśmy adresu. Teraz już nie mam tyle czasu do rysowania, bo mam

bardzo dużo lekcji, a ponieważ staram się dobrze uczyć, zabiera mi to dużo czasu. Bardzo żałuję, że kochany tatuś nie będzie na moich imieninach, gdyż w ten dzień bawię się bardzo wesoło w gronie koleżanek, które Mamusia pozwala mi zaprosić. Całuję rączki drogiego Tatusia – kochająca córeczka Dzidzia”.

17 października, rok 1924, piątek
Dziś miałem pierwszy wykład na uniwersytecie w bieżącym roku akademickim. Cały wykład wygłosiłem ustnie. Chciałbym już w tym roku wykładać w ogóle wyłącznie ustnie, posługując się moim przeszło- i pozaprzeszłorocznym rękopisem wykładów wyłącznie jako materiałem dla przygotowania się do wykładów w domu, z uwzględnieniem oczywiście poprawek ze studiów dzieł naukowych. Wprawdzie taki zamiar miałem już i w przeszłym roku, gdym zaczynał wykłady, ale sądzę, że w tym roku postawię na swoim, bo bądź co bądź w trzecim roku profesury czuję się już mocniejszy, niż w drugim. Z początku dzisiejszego jestem zadowolony. Wprawdzie pod względem wysłowienia się wykład miał pewne chropowatości, bo nie jestem w stanie tak panować nad językiem litewskim, jak bym panował nad polskim, ale zdaje mi się, że treść wykładu była dobra i myśl była mi posłuszna, a to rzecz bądź co bądź podstawowa. Wielka sala uniwersytecka, w której odbywają się wykłady I semestru prawa, była pełna. W tym roku dopływ studentów na Wydział Prawniczy był bardzo wielki, większy pono, niż na którykolwiek inny wydział. Ilość słuchaczy wynosi coś ze 300 czy więcej ludzi. Jeszczem tego mojego audytorium nie mógł przez jeden wykład poznać. Poznam lepiej moich słuchaczy dopiero w colloquiach, które rozpocznę gdzieś w drugiej połowie listopada – nie wcześniej. Na razie tylko – poza widzeniem masy słuchaczy na wykładzie – zetknąłem się z poszczególnymi studentami tylko tyle, że zacząłem dawać podpisy na ich książeczkach legitymacyjnych. Ponieważ takiej masy podpisów od razu dać nie mogę, więc trybem moim biorę i brać będę na każdym wykładzie po 20 książeczek do podpisu. W liczbie pierwszych 20 książeczek, które podpisałem dzisiaj, trafiły mi się tylko dwa znajome nazwiska osób, które znam skądinąd. Jednym z nich jest Aleksander Tornau, z pochodzenia Niemiec, ze szlachty bałtyckiej, ziemianin ze Żmudzi, czynny i ruchliwy członek stronnictwa litewskiego ludowców, były poseł do Sejmu w tejże frakcji ludowców, obecnie nawet głośny z powodu pewnego przypadku agitacyjnego z pewnym księdzem, szczuty przez prasę klerykalną, drugim – Rachmal Orluk (po litewsku Arliukas), Żydek z Wilna, który, jak głoszą wieści, uciekł stamtąd ze strachu przez Polakami, ponieważ brał rzekomo jakiś udział w akcji bolszewickiej tamże za czasów inwazji bolszewików; tu po pewnych zabiegach zdołał otrzymać w sądzie okręgowym świadectwo na adwokata prywatnego, nauczył się po litewsku, zarabia dobrze, choć w kołach sądowych ma – słusznie czy niesłusznie – opinię kręciela; były podnoszone w stosunku do niego jakieś zarzuty, gadano trochę o tym, że go należy wyrzucić z adwokatury prywatnej, ale Orluk stara się – przynajmniej teraz – być ostrożny, by mu nic nie można było zarzucić; zapisał się na Wydział Prawniczy wolnym słuchaczem, ma sześć klas gimnazjalnych, z pewnością do czasu ukończenia studiów uniwersyteckich postara się o zdanie matury, by pozyskać dyplom. Reszta 18 nazwisk – nieznane mi. W liczbie tych dwudziestu pierwszych są dwie panienki (Helena Vaivadaitė i Magda Ambrozaitė), Żydów jest pięciu.
Wykład ustny jest o wiele bardziej męczący, niż czytany z rękopisu. Po dwóch godzinach wykładu czuję się mocno znużony, pomimo że tym razem nie miałem zbyt ostrej tremy.

18 października, rok 1924, sobota

Byłem wieczorem na posiedzeniu Towarzystwa Prawniczego, które się odbywało w sali Trybunału. Przewodniczył Bielackin, sekretarzem był Toliušis. Posiedzenie było nieliczne, ale dość udatne. Członków Towarzystwa było na posiedzeniu około 25. Za stołem prezydialnym usiadł tez Tumenas, który gdy wkroczył na salę, przychodząc z opóźnieniem, został jako prezes ministrów zaproszony uroczyście przez przewodniczącego Bielackina do zajęcia miejsca honorowego. Przedmiotem obrad była sprawa kodyfikacji. Referat zasadniczy wygłosił docent Stankiewicz, w dyskusji, która się rozwinęła dość żywa, głos zabierali Janulaitis, Tumenas, Szołkowski. Wyszedłem przed końcem posiedzenia.
Wrócę jeszcze do sprawy Jaszczenki. Nie jest jeszcze pewne, czy Jaszczenko obejmie profesurę, która mu została uchwałą rady naszego wydziału zaproponowana (właściwie nie profesura, jeno lektorat na rok jeden). Stankiewicz, komunikując mu do Berlina o uchwale rady, uprzedził go jednocześnie o wszystkich komplikacjach, jakie się tu z powodu jego kandydatury wywiązały. Czy wobec tego Jaszczenko zechce przyjąć propozycję roczną – nie wiadomo. Do charakterystyki Jaszczenki, który w r. 1905 umizgał się do rewolucjonistów, a potem w dobie reakcji ofiarował się popieraniem naukowym gnębienia Finlandii przez Rosję, na czym robił karierę profesorską, dodam, że, jak się dowiedziałem, był on w roku 1919 juryskonsultem poselstwa sowieckiego w Berlinie, co świadczy o wielkiej „elastyczności" jego przekonań politycznych. W tym samym czasie, będąc zaprzyjaźniony z Voldemarasem, ówczesnym ministrem spraw zagranicznych w Litwie, świadczył on – z pewnością nie bezinteresownie – pewne usługi Litwie. Choć może on być człowiekiem zdolnym i erudytą, czego mu trudno zaprzeczyć, to przecież o jego powadze naukowej niezbyt dobrze świadczy ta łatwość przerzucania się na różne stołki polityczne i przystosowywanie się do najrozmaitszych tendencji sprzecznych. Taki człowiek musi mieć łatwość fałszowania nauki. Co do stosunków Jaszczenki z Voldemarasem, to obecna żona Voldemarasa, Francuzka, zresztą ani młoda, ani wcale ponętna, choć, zdaje się, niegłupia, była poprzednio żoną Jaszczenki. Podobno w latach 1918-1919 Jaszczenko, Voldemaras i ta pani tworzyli tzw. „trójkąt małżeński", w którym mąż, żona i kochanek doskonale ze sobą współżyli, nie krępując się bynajmniej sytuacją. Jeżeli to jest prawdą – a powtarzam tu tylko wieści z trzeciej ręki – to nie świadczyłoby to także zbyt dodatnio o p. Jaszczence. Jalulaitis z powodu zaangażowania Jaszczenki przez wydział napisał artykuł, który mi czytał w rękopisie. Artykuł ten dał on na razie do redakcji „Lietuvy", która jednak, jako organ rządu, uważała za niewłaściwe drukować go na swych szpaltach ze względu na Wydział Prawniczy, którego uchwałę krytykuje. Wobec tego Janulaitis wycofał artykuł z „Lietuvy" i dał go do „Lietuvos Žinios", gdzie jednak dotąd wydrukowany nie został. Zaproszenie Jaszczenki budzi niezadowolenie w różnych kołach litewskich. Słyszałem od Toliušisa, że zastanawia się on nad tym, czy nie należałoby wystąpić w Sejmie z zapytaniem, zgłoszonym do ministra oświaty w sprawie tego zaproszenia, upatrując w nim niebezpieczeństwo rusyfikacyjne na uniwersytecie.

19 października, rok 1924, niedziela
Rano mieliśmy na uniwersytecie posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego. Omawiane były różne sprawy bieżące, głównie w zakresie rozdawnictwa stypendiów, zwolnienia poszczególnych studentów od opłat, podań o przyjęcie w poczet studentów lub zaliczenie egzaminów i semestrów itp. Dziekan Leonas zakomunikował, że prof. Jaszczenko udzielił już odpowiedzi, akceptując warunki wydziału.
Dziś na wieczór byłem przez Jana Vileišisa zaproszony na wesele dwóch jego córek, wychodzących obie w jednym dniu za mąż, jedna – Biruta – za dr Jurgelionisa i druga –

Elenytė – za dr Devenisa. Rzadki to ślub jednoczesny dwóch sióstr. Nie poszedłem jednak i wysłałem jeno dla obydwóch par depesze gratulacyjne.
Jan Vileišis przed kilku dniami wyraził mi chęć objęcia na uniwersytecie katedry prawa międzynarodowego od roku przyszłego. Prosił mię, abym urzędowo zgłosił w wydziale jego kandydaturę. Ponieważ Jaszczenko jest zaangażowany tylko na rok jeden, więc oczywiście katedra nadal wakuje i kandydatury mogą być stawiane. Wspomniałem o propozycji Vileišisa dziekanowi Leonasowi i niektórym kolegom z wydziału, ale tak oni, jak ja mają wątpliwości co do tego, czy Vileišis się do tej pracy nadaje. Jest to doskonały człowiek, znakomity burmistrz stołeczny, czyli „Lord-Mer", jak go żartobliwie nazywają, ale na profesora i uczonego materiał bodaj nie arcyświetny. Ani na głębsze studia naukowe, ani tym mniej na samodzielne opracowanie jakiejś książki czy podręcznika z zakresu wykładanego przedmiotu, co jest niezbędne w naszych warunkach profesury, nie będzie go stać, bo jest na to zbyt leniwy, zbyt odwykł od książki i pióra. Na początku, gdy były tworzone Wyższe Kursy Naukowe, które były poniekąd embrionem obecnego uniwersytetu, Jan Vileišis był angażowany do wykładania, ale choć na razie był obiecał, potem się uchylił i zaniedbał tej sprawy. Teraz miałby wprawdzie ochotę, bo już mi i w przeszłym roku o tym wspominał, ale też traktuje tę rzecz tylko okolicznościowo i kto wie, czy by ostatecznie nie zawiódł, gdyby nawet propozycję jego przyjęto. Urzędowo jego kandydatury nie stawiałem.

20 października, rok 1924, poniedziałek
Rano byłem na uniwersytecie na posiedzeniu komisji międzynarodowej kooperacji intelektualnej. Obecni byli tylko: prezes prorektor prof. dr Avižonis, sekretarz komisji Jonynas i członkowie dr Jurgeliunas i ja. Czlonkowie Iwanowski, Kołupajło i Gylys byli nieobecni. I tym razem jeszcze komisja nie mogła rozpocząć czynności regularnych, bo [się] wciąż nie jesteśmy w stanie zorientować w zeszłorocznych pracach komisji i nawiązać do nich pracy obecnej. Na poprzednim posiedzeniu komisja upoważniła swego sekretarza Jonynasa do przejęcia akt od zeszłorocznego sekretarza komisji prof. Balogha. Okazało się, że Balogh zwrócił Jonynasowi tylko protokoły posiedzeń i nic poza tym, oświadczając, że wszystkie pisma i druki, jakie wpływały do komisji, przekazywał po załatwieniu bibliotece uniwersyteckiej, a odpisów pism ekspediowanych komisji nie zostawiał. Uznaliśmy, że takie przekazanie protokołów bez żadnych załączników i akt, nie dające nam zgoła możności zorientowania się w dokonanych przez komisję czynnościach, nie może być przez nas uznane za przejęcie formalne, wobec czego postanowiliśmy zaprosić na następne nasze posiedzenie dla omówienia tej sprawy prof. Balogha, rektora prof. Bučysa, który w roku zeszłym był prezesem komisji, i bibliotekarza uniwersyteckiego prof. Wacława Biržiškę. Protokoły też, które nam przekazał Balogh, są chaotyczne i częstokroć dziwaczne. Nie wiadomo, czemu się więcej dziwić. czy temu, że mógł je redagować prawnik, czy tez temu, że człowiek, który tak spisuje protokoły, może uchodzić za prawnika i wykładać prawo na uniwersytecie. Co do korespondencji zeszłorocznej komisji, to jest posądzenie, że Balogh ją zatrzymał, uważając ją za własną, ponieważ było to, zdaje się, jego stałą metodą, że mieszał korespondencję komisji z własną i że korzystał z firmy komisji dla rozszerzania sfery stosunków osobistych i wyrabiania sobie reklamy międzynarodowej w świecie naukowym. Ma on manię posiadania jak najszerszych stosunków, popisywania się nimi, mieszania się we wszystko – wszędobylstwa i totumfackiego faktorstwa w stylu klasycznie żydowskim. Ogromnie się wiele rusza, ale nie robi nic. Dokuczył on już wszystkim i zdyskredytował się w Kownie z kretesem. W pierwszym roku po przyjeździe do Kowna olśniewał wszystkich swoją ruchliwością, w której upatrywano niezwykłą energię i uniwersalny umysł. Był to „Wunderkind" na gruncie

kowieńskim. W drugim roku, gdy się już trochę spostrzeżono, że pod pozorami ruchliwości jest blaga, spróbowano go zaprząc do pracy w komisjach uniwersyteckich. Był w komisji kooperacji intelektualnej i komisji regulaminowej. I w jednej, i w drugiej okazał się do niczego. Ujawniła się jego nicość pod wszelkimi względami. Pozbyto się go przeto ze wszystkich komisji, a niedługo zapewne przyjdzie czas, że się zacznie szukać sposobu do pozbycia się go i z samego uniwersytetu.

21 października, rok 1924, wtorek
Powinienem był dziś mieć drugi wykład na uniwersytecie. Byłem do niego przygotowany i poszedłem, ale się okazało, że się pomyliłem co do godziny wykładu: podług rozkładu wykład ten zaczyna się o szóstej, ja zaś poszedłem o siódmej i słuchaczy już nie zastałem. Szkoda straconych dwóch godzin.
W „Lietuvos Žinios" ukazał się artykuł Janulaitisa z powodu zaangażowania prof. Jaszczenki do wykładania prawa międzynarodowego. Janulaitis charakteryzuje Jaszczenkę jako karierowicza, gotowego wysługiwać się wszelkiej władzy rosyjskiej i zarzuca większości Wydziału Prawniczego nieświadome lub nawet świadome przyczynienie się do rusyfikacji. Numer „Lietuvos Žinios", zapewne z powodu artykułu Janulaitisa, był rozchwytywany – prawdopodobnie przez studentów: u woźnego uniwersyteckiego wszystkie egzemplarze były wyprzedane, na Laisvės Alei u dwóch z kolei gazeciarzy ulicznych tez numeru nie dostałem z powodu wyprzedania i dopiero u trzeciego kupiłem. Tumėnasm który mię o ukazaniu się artykułu Janulaitisa poinformował, miał minę kwaśną – musiało mu się to nie podobać.
Czy warto było wszczynać kwestię o Janulaitisie, wiedząc, że to może doprowadzić li tylko do jego usunięcia się, jeżeli się nie miało własnego kandydata na jego miejsce i jeżeli w rezultacie przehandlowało się Janulaitisa na Jaszczenkę. To jest właśnie pytanie, które stawiałem na posiedzeniu Rady Wydziału przed dwoma tygodniami, usiłując nakłonić kolegów do rewizji swego stanowiska w tym przedmiocie i do rozważenia tej sprawy li tylko z punktu widzenia użyteczności Janulaitisa. Z pewnością, że wykładanie Janulaitisa „na zasadzie umowy prywatnej" bez należenia do wydziału było nienormalne i niezupełnie ściśle ze stanowiska statutu uniwersyteckiego. Jednak stan ten trwał przez dwa lata i nikogo jakoś szczególnie nie raził, bo trzeba się było liczyć z warunkami i okolicznościami. Mógł on trwać równie dobrze nadal jeszcze czas jakiś. Wszak i sam nasz wydział, jak słusznie Janulaitis wskazuje, był niezupełnie formalnie i ściśle w myśl statutu utworzony, a jednak – skoro inaczej nie można go było utworzyć – został stworzony i istnieje. Niedokładność w pozycji Janulaitisa nikomu na zewnątrz nie rzucała się w oczy, nie raziła, a już najmniej studentów, którzy z jego wykładów mieli korzyść większą, niż z większości innych. Jeżeli kogoś to raziło, to bodaj wyłącznie niektórych kolegów, którzy mieli za złe Janulaitisowi, że nie chce uznać prawowitości wydziału i że jednocześnie na tym zarabia, pobierając z tytułu „umowy prywatnej" wynagrodzenie prawie że podwójne w porównaniu do tego, co by miał, będąc profesorem etatowym. Ale nigdzie publicznie Janulaitis z zarzutem nielegalności wydziału, z którym zresztą sam umowę zawierał, nie występował. Czy warto więc było wszczynać kwestię? Nie jesteśmy bogaci pod względem materiału ludzkiego, kwalifikującego się do profesury, a Janulaitis jest jednym z najlepszych specjalistów wiedzy społeczno-historyczno-prawnej, bardzo pracowity, posiadający metodę studiów naukowych, dobrą głowę. Historia prawa litewskiego jest przedmiotem, w którym się on od dłuższego czasu specjalizuje, a w zakresie prawa międzynarodowego ma sporą erudycję i ma pociąg do studiów, toteż i w tej specjalności wyrobiłby się dzielnie. Na razie nikt u nas konkurować z nim w tej dziedzinie nie może. Ale inicjatywa wszczęcia kwestii Janulaitisa na wydziale wyszła nie z łona samego

wydziału, jeno od Tumenasa, to znaczy od rządu, ewentualnie od Chrześcijańskiej Demokracji.

22 października, rok 1924, środa
Powiadam, że inicjatywa wszczęcia kwestii Janulaitisa na Wydziale Prawniczym wyszła od Tumenasa, to znaczy, że wyszła nie z łona wydziału, bo choć Tumenas, jako docent, jest członkiem tegoż, jednak jest on przede wszystkim prezesem Gabinetu Ministrów, głową rządu. A jak stanowczym i kategorycznym jest w swych powziętych postanowieniach i jak upartym, nie dającym się przekonać Janulaitis, tak równie stanowczym i kategorycznym, równie po litewsku upartym – Tumenas. Gdy Tumenas wystąpił w tej kwestii w Radzie Wydziału i oświadczył, że angażowanie nadal Janulaitisa „umową prywatną" jest niezgodne ze statutem i niedopuszczalne i że przeto należy zaproponować Janulaitisowi wstąpienie do wydziału na stanowisko profesora etatowego, co oczywiście było sprowokowaniem ustąpienia Janulaitisa, bo było wiadomo, że się on na wstapienie do wydziału nie zgodzi, to wszyscy zrozumieli, że gdyby nawet Rada tej propozycji nie zaakceptowała i zechciała umowę z Janulaitisem odnowić, to rząd za działaniem Tumenasa umowy tej nie zatwierdzi i pieniędzy dla opłacenia wykładów Janulaitisa odmówi. Ale większość Rady przyjęła wniosek Tumenasa nie dlatego, że nie miałaby możności przeciwstawienia się postanowieniu rządu, lecz dlatego, że sama – w pierwszym rzędzie Wacław Biržiška, który najostrzej przeciwko Janulaitisowi wystąpił – była na Janulaitisa urażona i chętnie przeto wniosek Tumenasa poparła. Przy omawianiu wniosku i powzięciu decyzji nie byłem obecny, gdym zaś później spróbował te kwestię wszcząć na nowo i wykazując ujemne cechy kandydatury Jaszczenki odwoływał się do względów pożytku, rychło się przekonałem, że żadnych szans skutecznej rewizji tej sprawy nie ma. Tumenas wystąpił natychmiast bardzo ostro i zjadliwie przeciwko mojej propozycji, tak zjadliwie, jak jeszcze nigdy nie pozwalał sobie w stosunku do mnie występować; mógłbym się nawet na niego obrazić, ale już nie chciałem robić z tego konfliktu. Ostatecznie stało się zadość literze statutu, ale straciliśmy na tym jednego z najlepszych naszych profesorów Litwinów Wydziału Prawniczego, a na jego miejsce pozyskaliśmy... Jaszczenkę, Moskala, człowieka wątpliwej wartości moralnej i politycznie niebezpiecznego. Nie chcieliśmy „umowy prywatnej" z Janulaitisem, ale z Jaszczenką mamy „umowę prywatną", bo umowy prywatne z angażowanymi cudzoziemcami są statutowo dopuszczalne. Uważaliśmy, że Janulaitisowi płacimy za drogo, ale Jaszczence płacić będziemy tyleż. Ostatecznie więc – „zamieniła baba siekierkę na kijek"; kijek od siekierki gorszy, ale... krnąbrność Janulaitisa zgnębiona, pan Tumenas może triumfować, statut – ocalony. Dlaczego przecie nie zachowywano takiej czystości statutowej przy formowaniu wydziału przed dwoma laty?! Jeżeli tamto uszło i umowa prywatna Janulaitisa uchodziła przez dwa lata, to dlaczegoż tak nagle przypomniano sobie statut, kiedy akurat nie miano nikogo do zastąpienia Janulaitisa. Źle się stało. Zobaczymy, czy artykuł Janulaitisa z powodu Jaszczenki minie bez konsekwencji i jak będą reagować nasi studenci VII semestru na wykłady Jaszczenki o prawie międzynarodowym.

23 października, rok 1924, czwartek
W tych dniach pisałem i dziś rano dokończyłem artykulik dla „Przeglądu Wileńskiego", który wyślę Ludwikowi Abramowiczowi przez Rygę. Jest to szkic analizy Polaków litewskich jako formacji swoistej, pośredniej między Polakami a Litwinami. Tytułu temu artykulikowi nie daję; posyłam go jako „List z Kowna".
„Przegląd Wileński" jest jedynym pismem polskim, które, nie będąc komunistycznym, nie hołduje nacjonalizmowi polskiemu i nawet nie stoi na stanowisku narodowym

polskim. Jest to pismo konsekwentnie krajowe, ogarniające pojęciem kraju całą Litwę historyczną, a przynajmniej Litwę i ściślejszą Ruś Litewską, czyli Białoruś Zachodnią, to znaczy ten kompleks ziem litewsko-białoruskich, które stanowią dzisiejszą Litwę Niepodległą i które wchodzą do północnej połaci Kresów Wschodnich Polski. Sprawy narodowe litewskie, białoruskie, nawet żydowskie są w piśmie traktowane wraz z zagadnieniami krajowo-polskimi jako rzeczy równorzędne, w równym stopniu swoje, krajowe, to znaczy składające się na problem krajowy. W krajowej kwestii polskiej Ludwik Abramowicz zajmuje w „Przeglądzie Wileńskim" stanowisko bardzo zbliżone do mojego; nie upraszczając problemu Polaków litewskich do formuły „Litwinów mówiących po polsku", Abramowicz skłania się jednak do wyodrębnienia Polaków litewskich z pojęcia Narodu Polskiego i przeciwstawia ich samodzielność psychiczno-kulturalną Polakom, zwalczając nacjonalizm polski, sięgający po ten lud i po te ziemie. W podobnym duchu traktowany jest i mój artykuł obecny.
Dawno nie pisałem do „Przeglądu Wileńskiego". Bodajże w r. 1922 ostatni raz posłałem dla „Przeglądu" artykuł. Pisywaniu stawało na przeszkodzie z jednej strony to, że jestem tu bardzo zajęty moją pracą zawodową, z drugiej – brak kontaktu z pismem z powodu utrudnień komunikacyjnych. Teraz – będąc we wrześniu w Wilnie – znów ten kontakt nawiązałem. Ludwik Abramowicz dał mi cały komplet „Przeglądu Wileńskiego". Uważam placówkę „Przeglądu Wileńskiego" za bardzo dodatnią, a jest ona jedyną. Z jakich środków Ludwik wydaje pismo, zdoławszy przetrwać trzy lata – to jest dla mnie zagadką. Poczytność pisma nie jest wielka. W kołach inteligencji, uprawiającej publicystykę i politykę, kierunek „Przeglądu Wileńskiego" nie ma wcale adeptów. Dokoła pisma stoją tylko trzej ludzie – Ludwik Abramowicz, Tadeusz Wróblewski i ksiądz Tołłoczko; poza nimi pisują w nim Litwini, Białorusini i Żydzi, dając artykuliki informacyjne o odpowiednich ruchach narodowych. Ale Abramowicz powiada, że pismo ma sferę swoich czytelników i gorących wyznawców jego kierunku. Nie są oni zbyt liczni, ale są – i są mocni w swoich przekonaniach i sympatiach. Może ten kierunek jest tylko przejściowy, jak za przejściowy i skazany na zagładę uważa wielu typ Polaków litewskich, ale nim on zginie – niechże on spełni swą rolę mostu między dwiema kulturami, zamiast być organem przeciwstawienia i waśni, do czego się go dziś przeważnie używa.

24 października, rok 1924, piątek
Miałem drugi wykład na uniwersytecie. Wykład był wyłącznie ustny. Po dwóch godzinach wykładu czuję się bardzo zmęczony. Język litewski jest jednak dla mnie twardym orzechem do zgryzienia. Choć znam go dobrze i choć przeciętnie mówię nim biegle, jednak gdy trzeba w tym języku jednym ciągiem wykładać, to mi ciągle brak słów, a konstrukcja zdań wychodzi ciężka i zawiła. Muszę znaczną ilość uwagi i energii myślowej zużywać na formę wykładu, odrywając ją od samej treści. Przez pierwszą godzinę szło mi łatwiej, ale na początku drugiej myśl się zacięła i dopiero po pewnym czasie znów jakoś się odchwyciłem, odzyskując większą sprężystość myśli. Nie mogę powiedzieć, żebym już był zupełnie zadowolony z moich wykładów ustnych.

25 października, rok 1924, sobota
Byłem na otwarciu sezonu w teatrze „Vilkolakis". Grano premierę „Chlestakov Lietuvoje" – rodzak parafrazy „Rewizora" Gogola. Idea sztuki ta, że prowincja litewska w odrodzonym państwie jest pod względem bolączek społecznych, złej administracji, przekupnej, niedołężnej, biurokratycznej, jest bliźniaczo podobna do starych wzorów rosyjskich, sięgających jeszcze pierwszej połowy w. XIX. Sztuka, jak wszystkie satyry „Vilkolakisa", nie ma tekstu pisanego. Jest ona grana na scenie inspiracją autorów i

improwizacją aktorów. Rzecz jednak niezbyt udatna, gra – bardzo szarżowana. Sala była przepełniona.
Przed kilku dniami zapisałem się na działkę ziemi z gruntów, udzielanych na przedmieściach Kowna przez państwo urzędnikom dla zabudowania się. Zdaje się, że wyznaczoną mi będzie działka na Górnej Fredzie, to znaczy za Niemnem między Aleksotą a mostem kolejowym. Ma być ziemi około 1/3 hektara, co, jak na miasto, jest dużo. Działki udzielają się na własność całkowitą, jeno w arendę 99-letnią z warunkiem zabudowania się w ciągu lat pięciu. Warunków dokładnych arendy nie wiem. Choć Górna Freda jest dość daleko, ale może z czasem będzie jakaś komunikacja z miastem. Zresztą zapisałem się na zapas. Mam jeszcze czas do namyślenia się – czy brać, czy się zrzec. Na koszta zabudowania się skarb państwa udziela pożyczek dziesięcioletnich na 6% w wysokości do 15 000 litów.

26 października, rok 1924, niedziela
Odpisałem do Reginy. Pisałem ten list od godz. 10 rano do 1 po południu. Oto tekst listu w odpisie:
„Moja droga Regino!
Warunki komunikacyjne między Grodnem a Kownem są takie, że Twój list, pisany w dniu św. Michała, otrzymałem dopiero przed kilku dniami. To jest przyczyną spóźnienia tej odpowiedzi. Gdyby nie to, już byś odpowiedź moją miała i nie byłabyś narażona na bolesną obawę, że Twój list – taki list! – został przeze mnie zlekceważony. Nie kłamałem Ci w liście, pisanym w Wilnie pod bezpośrednim żywym wrażeniem wizyty u Ciebie – po 14-letniej rozłące. Jeżeliś mię na chwilę o to posądzała – krzywdę mi zrobiłaś. Błogosławiłem Ci i błogosławię, uwielbiam i podziwiam. Jest w Tobie wielkość i moc, które mię zastanawiały i olśniewały zawsze – jeszcze przed ślubem naszym. One to wyżłobiły w sercu moim uczucie głębokie do Ciebie, szczególne, inne niż to, które się pospolicie nazywa zakochaniem. Na tym uczuciu moim budowałem niegdyś nasz związek. Nie byłaś kochanką moją, nie byłaś tą panienką, o której rączkę stara się drżący miłością młodzieniec, ale byłaś Kobietą-Przeznaczeniem, Jedyną i Wielką, w której streszcza się to, co w moich pojęciach jest wiecznym Pięknem i Prawdą. Zdaje się, że uczucie moje dla Ciebie było – i może jest – zanadto intelektualne, zanadto symboliczne także. Byłaś może dla mnie w zbyt dużym stopniu Pojęciem, Symbolem, Prawdą, niż dziewczyną z krwi i kości. Mój stosunek do Ciebie był bodaj raczej religią niż miłością, kultem niż pragnieniem posiadania. Wybacz, Regino, że Ci o tym piszę, ale sprowokowałaś mię na szczerość; może Ci to przykro słuchać, ale może tez mię zrozumiesz i może przestaniesz potępiać, bo jednak w liście Twoim widzę, że masz żal do mnie i że mię potępiasz, a ja ci kraj szaty Twojej całować gotów i modlić się do Ciebie jak do świętej, bo świętą dla mnie jesteś.
Nie stoimy jeszcze u kresu życia, jesteśmy gdzieś dopiero w połowie dróg naszych, a wznowienie naszego stosunku, tak pięknie i szlachetnie, a tak niespodziewanie dla mnie w Grodnie – przez Ciebie – wszczęte i listem Twoim pokierowane otwiera jeszcze nowe perspektywy między nami. Może przeto za wcześnie na pisanie historii tego stosunku i na jakieś twierdzenia kategoryczne o tym, co jeszcze nie jest skończone. Ale te 14 lat rozłąki i katastrofa, która je poprzedziła, zamknęły w tym stosunku jedną wielką kartę, którą czytać musimy uczciwie i szczerze powiedzieć sobie to, czego nas ona nauczyła. Toteż z ręką na sercu, a drugą podniesioną do przysięgi – mówię Ci to, co ja rozumiem z tej karty. Może wzrok mój mię myli, ale to, co mówię, jest tym, co mi się wydaje prawdą.
Zdaje mi się, Regino, żeś Ty mię przed 14 laty nie zrozumiała. Gdyśmy się rozstawali, Tyś była przekonana, że ja Ciebie oszukałem, że ja małżeństwem naszym okłamałem

Ciebie. Mam wrażenie, że dotąd mnie tak sądzisz. Nie umiałem Ciebie przekonać, że jest inaczej, bo zdaje się – i sam wtedy siebie i wszystkiego, co zaszło, nie rozumiałem w zupełności. Niestety – w człowieku instynkt czucia jest głębszy niż logika myśli.”... Jutro ciąg dalszy.

27 października, rok 1924, poniedziałek
Ciąg dalszy mojego listu do Reginy.
...„Przez te 14 lat dużo, bardzo dużo przeżyłem i dużo też, bardzo dużo myślałem o Tobie i o naszym związku nieszczęśliwym. Tak, nieszczęśliwym, a jednak nie potępionym, nie przeklętym przeze mnie. Nie złorzeczyłem mu i nie złorzeczę, a w sercu błogosławiłem i błogosławię, bo przezeń – chcesz czy nie chcesz – Ty Jesteś Moja. A że tak jest – o tym świadczy dziecko Twoje, które jest – dzieckiem moim. Sądzisz, że żeniąc się z Tobą – Ciebie oszukałem? Nie. Wychodząc za mnie za mąż sądziłaś, że posiądziesz męża. Czyś go posiadła? – Nie. Boś nie była dla mnie kochanką; nie żoną, jeno wcielenie Prawdy i Piękna, jeno Ideał w Tobie posiąść pragnąłem. Ty byłaś moją Świętą, Regino.
Czy można z bóstwem zawierać małżeństwo, czy można stosunek religijny – kult – uczynić stosunkiem męża z żoną? To szaleństwo. Nie fałszywy, lecz szalony byłem, moja Regino.
Tak, moje szaleństwo uczyniło Ciebie, kobietę z ciała i kości – nieszczęśliwą. Zostałaś z dzieckiem bez domu mężowskiego, młoda, skazana na samotność, na pokusy krwi. Stałaś się ofiarą Twojego Michasia, którego kochałaś niegdyś. Wyszłaś zwycięsko z pokus. Mocą i wielkością swoją stworzyłaś sobie życie czyste, takie, jakie jest jedynie godnym Ciebie. Czy myślisz, że ja choć przez jedną chwilę sądziłem, że będzie ono inne? Nie. Bo Ty innego życia nie mogłabyś ani wytworzyć, ani znieść. Bo Ty oprócz ciała i krwi jesteś rzeczywiście tym, com w Tobie dostrzegł przed laty, co mnie olśniło i com ukochał. Jesteś Pojęciem, jesteś Symbolem – Prawdą i Pięknem. Jesteś, Regino, Świętą moją.
Nie przestałaś mi być Świętą przez całe te 14 lat. Tylko pod jednym względem się myliłem o Tobie. Sądziłem, że mnie nienawidzisz i że w tej nienawiści masz twarde okrucieństwo, równie twarde i bezwzględne, oporne na wszelkie próby, kamiennie uparte i niezłomne, jak wszystkie te cechy Twoje, które Cię czynią wielką. Toteż nie próbowałem nigdy zmiękczyć serca Twojego. Wiedziałem już, że wszelka myśl o małżeństwie naszym jest szaleństwem, które by się skończyło taką samą katastrofą, jak przed laty 14, toteż tego Ci nawet proponować nie myślałem, a na pojednanie ludzkie bez tego – wobec nienawiści Twojej – nie liczyłem. Wiedziałem i wiem, że czerpiesz swoje uczucia i przekonania tylko z samej siebie i że Cię żadnymi słowami przekonać niepodobna, jeżeli jesteś przekonana sama inaczej, a poza tym sądziłem, że gdybym nawet zdołał pozyskać Twą wiarę i wbrew wszelkiemu oczekiwaniu przekonał, to musiałbym w konsekwencji powtórzyć poprzednie szaleństwo i zaproponować odnowienie małżeństwa, co doprowadziłoby do nowej tragedii i ściągnęłoby na mnie znowu wyrok oszukaństwa i okłamania Ciebie – tym razem oczywiście nieodwołalny. Pamiętam zresztą dobrze Twoją ostatnią propozycję, uczynioną mi 14 lat temu w moim gabinecie – przed ostatecznym rozstaniem naszym. Powiedziałaś mi wtedy: „Czy chcesz, abym została z Tobą, usuwając pannę Courtôt? Zrobię to i zostanę, ale pamiętaj, że ani miłości, ani szacunku mieć dla Ciebie nie będę i że zostaniemy mężem i żoną tylko dla ludzi”. Takie małżeństwo byłoby większym szaleństwem, niż moje pierwsze szaleństwo, a sama propozycja takiego „małżeństwa” z ust Twoich była i byłaby znowu upokorzeniem dla mnie gorszym, niż policzek fizyczny. Nie przypuszczałem, abyś mi

teraz, nienawidząc mię – tak sądziłem – mogła i zechciała, nawet w „najlepszym" razie, inną propozycję uczynić.
W tych warunkach nie próbowałem nigdy nawet zwrócić się do Ciebie. Wiedziałem, że nic Ci zaproponować nie mogłem, bo to, o czym marzyłem – pojednanie bez pożycia małżeńskiego – zdawało mi się zgoła niemożliwe wobec przypuszczalnych uczuć Twoich, a to, co byś Ty mi w „najlepszym" razie zaproponować mogła – byłoby gorsze od policzka i szaleńszym od pierwszego szaleństwa mojego."... Ciąg dalszy – ewentualnie dokończenie – jutro.

28 października, rok 1924, wtorek
Ciąg dalszy listu do Reginy.
...„Mając nasz stosunek stracony – choć Cię nigdy nie przestałem mieć za Świętą w myślach i sercu, chciałem mieć już tylko możność poznania córki. Próbowałem tego różnymi drogami – zawsze daremnie. Wszystko się rozbijało zawsze o Twój upór. Ja – ślepy – przypisywałem to nienawiści Twojej i jej konsekwencji – okrucieństwu.
Gdy wreszcie w Grodnie ostatnia droga – przez księdza – zawiodła, postanowiłem udać się do Ciebie. Szedłem do Ciebie li tylko dla córki. Tyś mię przyjęła i pokazała córkę. Ale jednocześnie przekonałem się, że to, o co Ciebie posądzałem – nienawiść i okrucieństwo – nie jest prawdą. I czy wiesz, Regino, że choć szedłem dla córki – widzenie się z Tobą sprawiło na mnie wrażenie, którego siłę i głębię nie mogę stawiać w żadne porównanie do wrażenia widzenia córki. Córka jest dzieckiem, jest białą kartą dla mnie; kocham ją, ale to co innego. Ty jesteś moją świętością, Ty jesteś cudownym przeznaczeniem – nie żoną, lecz Prawdą i Pięknem. Zbliżenie się do Ciebie, do mojej Świętej dało mi dreszcz, jaki tylko modlitwa dać może.
I Ty, Prawdo moja, Regino moja, dałaś mi naukę, której ja, człowiek rozumny, sam umysłem moim zdobyć nie umiałem. Próbowałem różnych dróg do córki i męczyłem się niepowodzeniem tych dróg. Tyś mi dopiero otworzyła oczy i wskazała, że droga do córki – nawet dla ojca – jest tylko jedna – prosta i szeroka: droga przez matkę. Ta droga, jak się dowiedziałem, była mi zawsze otwarta, ale ja błądziłem ścieżkami, nie dochodząc nigdy do celu. Dziękuję Ci za tę mądrość prawdziwą, która znowuż jest godną Ciebie. Przez Ciebie trafiłem do córki od razu i wiem, że gdybym inną drogą był nawet trafił, trafiłbym źle – ze szkodą dla dziecka o z niesmakiem dla mnie.
W liście z Wilna wyraziłem Ci wdzięczność i wzruszenie. Nie śmiałem jednak nic proponować Tobie, choć już się przekonałem, że nienawiści w Tobie nie ma. Nie śmiałem, bo szaleństwa powtórzyć nie mogłem, a pojednanie w tej formie, w jakiej mi się ono zdawało właściwym, nie zrozumiesz. I cóż się okazało? Ty w liście swoim właśnie takie pojednanie – bez szaleństwa (pożycia małżeńskiego) – mi proponujesz. Sama – Twoją niezrównaną intuicją – doszłaś do prawdy, którą ja też pracą myśli mojej uświadomiłem, Ty – Regino-Prawdo!
Teraz kilka słów bezpośredniej odpowiedzi na poszczególne kwestie Twego listu. Powiadasz: „Jeżeli mnie nie odepchniesz – idę ku Tobie z wyciągniętą dłonią". „Jeżeli mnie nie odepchniesz"!!?? Czy ja Ciebie odepchnę? O, Regino, czy Ci jeszcze na to po moim liście wileńskim potrzeba odpowiedzi? Zresztą odpowiedź masz w liście niniejszym. Ty – moja. Odepchnąć mogłabyś tylko Ty, nie ja. Co do przyjazdu na Boże Narodzenie, obiecywać go, niestety, nie mogę. Postaram się, ale nie jestem pewny. Może raczej na Wielkanoc, a latem przyszłego roku na pewno.
Za fotografie będę Ci bardzo wdzięczny.
Smutno mi, że masz niechęć tak wielką do rodziny mojej. Pod tym względem jesteś, zdaje mi się, w błędzie. Ja tej niechęci mieć nie mogę i mieć nie będę". Dokończenie listu jutro.

29 października, rok 1924, środa
Dokończenie mego listu do Reginy:
...„Listu Twego – tego i następnych – czytać innym nie będę, ale go nie spalę. Tej prośby Twojej nie spełnię. To Ci uroczyście przyrzekam.
Wreszcie – ostatnia kwestia, której Ty w liście nie poruszasz, ale która ja znowu poruszę. Regino, Tobie jest ciężko materialnie. Masz ciężkie interesy, masz straty. Pozwól, żebym Ci mógł pomagać. Chyba po tej wymianie listów między nami nie będziesz myślała, że ja Cię chcę przez to usidlić, zniewolić, skrępować pieniędzmi. Zresztą – jest córka nasza, względem której obowiązki moje możesz uznać. Napisz mi „tak” – to jedno słowo – a ja znajdę sposób przesłania Ci pieniędzy.
Co do rzeczy Twoich, to postaram się Ci je wyekspediować, ale trzeba, żebyś albo na ręce moje przysłała listy do proboszcza w Cytowianach i p. Putramenta (kto to taki i gdzie jest?), albo sama bezpośrednio do nich napisała, bo bez tego trudno mi się do nich zwracać. Musieli oni wiedzieć o naszym stosunku, toteż chyba mi tych rzeczy nie wydadzą, gdy ja sam bez Twego do nich listu zgłoszę się po nie.
Byłoby jeszcze wiele i wiele innych rzeczy, które bym Ci chciał powiedzieć. Powiedz mi tylko, Regino, czy Ty sama z własnej inicjatywy i woli przyjęłaś mię w Grodnie i następnie ten list do mnie napisałaś. Że nie kłamałaś – to wiem, choćbyś nawet nie była u spowiedzi, bo Ty kłamać nie umiesz i komediantką nigdy nie byłaś i nie będziesz. Ale czy nikt na Ciebie w tym kierunku nie wpływał? Jeżeli zechcesz, to mi na to pytanie odpowiesz, a jeżeli mogę Cię o co prosić, to proszę o tę odpowiedź.
Rączki Twoje całuję.
Twój Michał Römer”.
Na tym koniec listu. W ostatnim jego ustępie jest aluzja do wpływu panny Elizy Courtôt, jedynej – ile mi wiadomo – osoby, która umie, a przynajmniej umiała dawniej wpływ wywierać na Reginę, będącą skądinąd bezwzględnie oporną na jakie bądź wpływy z zewnątrz. Sądzę, że Regina dobrze zrozumie, o jakim wpływie pytam. Pytanie o wpływie zdaje się przeczyć tym słowom mego listu, w których piszę „wiem, że czerpiesz swoje uczucia i przekonania tylko z samej siebie i że Cię żadnymi słowami przekonać niepodobna, jeżeli jesteś przekonana sama inaczej”. Tak, jest to prawda zupełna w stosunku do Reginy, ale – tylko z wyjątkiem dla wpływu panny Elizy. Tak przynajmniej było dawniej. Toteż bardzo by mi zależało na tym, aby wiedzieć, czy tutaj wpływ panny Elizy miał czy nie miał miejsca, a jeżeli miał, to w jakim stopniu. O ile bowiem wszystko, co pochodzi od Reginy, jest wzniosłe i uroczyste – szlachetne i święte – o tyle w stosunku do wpływów Francuzki mam duże w tym względzie wątpliwości i zastrzeżenia.
W tych dniach wyślę ten list do Reginy przez Rygę. Do listu załączę naturalnie listek do Celinki, który już mam napisany.

30 października, rok 1924, czwartek
Cztery poprzednie dni były zajęte w dzienniku moim listem do Reginy. Z mojej kroniki tych dni chcę więc teraz kilka drobiazgów zanotować. Pierwsze: w poniedziałek wziąłem udział w posiedzeniu uniwersyteckiej Komisji Międzynarodowej Kooperacji Intelektualnej. W posiedzeniu wziął udział prezes komisji – prorektor prof. dr Avižonis, sekretarz komisji – Jonynas i jej członkowie – prof. Tadeusz Iwanowski i ja. Obecny był też na posiedzeniu rektor prof. ks. Bučys, zaproszony dla udzielenia nam wyjeśnień o zeszłorocznej działalności komisji i o jej aktach, w których na poprzednim posiedzeniu komisji Jonynas, po przejęciu ich od Balogha, stwierdził liczne braki czy raczej luki. Okazało się, że w międzyczasie Balogh doręczył Jonynasowi plikę aneksów

do protokółów, zawierającą dużą część tego, co Jonynas uważał za brakujące w aktach. Wyjaśnienia zaś rektora Bučysa rozproszyły wszelkie posądzenia Balogha o przywłaszczanie korespondencji komisji lub o zagubienie dokumentów. Że Balogh korzystał ze swego stanowiska sekretarza komisji dla nadania sobie większego waloru w stosunkach ze światem uczonych i działaczy polityczno-społecznych ze sfer Ligi Narodów i dla nawiązania nowych stosunków, rozszerzających zakres jego korespondencji i związków z osobami wpływowymi w całym mniej więcej świecie – to nie ulega wątpliwości i dlatego dobrze się stało, że się go z komisji pozbyto, ale żeby zrobił jakieś nadużycie z aktami komisji lub stał się winnym jaskrawego niedbalstwa, utraty akt itd. – to nie.
Na tymże posiedzeniu poniedziałkowym komisji , idąc za inicjatywą Jonynasa, uchwaliliśmy podjąć kwestię utworzenia pozauniwersyteckiej Ogólnolitewskiej Komisji Międzynarodowej Kooperacji Intelektualnej jako organu koncentracji tych zadań dla całego ruchu naukowego w kraju. Taka ogólna komisja, do której – poza nami jako przedstawicielstwem senatu i wydziałów uniwersytetu – wchodziliby także delegaci towarzystw, związków i innych instytucji naukowych, mogłaby je wszystkie obsługiwać przez kontakt z odpowiednia komisją Ligi Narodów, a przez nią i z takimiż komisjami oraz organizacjami naukowymi innych krajów. Jonynas zaczął już układać projekt statutu takiej komisji jako podstawy do jej zainicjowania konkretnego.
Tegoż poniedziałku – bezpośrednio po posiedzeniu Komisji Kooperacji Intelektualnej – dokonałem egzaminu grupy studentów w ilości sześciu osób – trzech z semestru VII i trzech z semestru V. Wyegzaminowanie tych sześciu studentów zajęło mi cztery godziny czasu, co świadczy o tym, że egzamin był bardzo wyczerpujący. Co prawda, czułem się potem zmęczony, ale za to – zadowolony. Lubię egzaminy o wiele bardziej niż wykłady. Choć i na egzaminie muszę wytężać myśl, może nawet bardziej niż na wykładzie – bo zresztą na egzaminie nie tylko słucham biernie odpowiedzi, ale też sam wciąż czynnie interweniuję, wyjaśniam i ustalam ścisłe kropki na i – ale tam w toku tego wyjaśniania mam przed sobą żywego człowieka, z którym rzecz traktuję dialektycznie, podczas gdy na wykładzie mam audytorium bierne, słuchające, lecz nie reagujące na wykład zewnętrznie i przeto nie dające mi tych bodźców cieniowania i pogłębiania myśli, jakie daje forma dialektyczna wykładni myślowej. Egzaminy lubię bardzo; wolę też je od kolokwiów, bo na egzaminie mam zazwyczaj przed sobą studenta, który się przygotował i ma pewną sumę wiadomości oraz pewne wyćwiczenie myślenia w zakresie danych pojęć naukowych, podczas gdy na kolokwiach zdarza się to rzadko. Coraz bardziej się też przekonywam, że jednak mam już dość mocną wiedzę w moim przedmiocie i się nie czuję takim nowicjuszem, jak w początkach mojej profesury. Z sześciu studentów, którzy zdawali egzamin, dwóch – Augulis i Kasakaitis – zdali miernie (dałem im cenzurę „dobrze”), ale za to czterej – Tatarincew, Naujokas, Baltušis i Szapiro – zdali znakomicie. Podziwiam pracowitość, zdolności i umiłowanie nauki u naszych studentów, którzy tak doskonale umieją się przygotować, nie bacząc na taką trudność zdobycia podręczników.

31 października, rok 1924, piątek
Miałem wykład na uniwersytecie. Był to już czwarty wykład w tym roku. Na trzecim wykładzie – we wtorek – szło mi bardzo ciężko, na pierwszej godzinie znośniej, ale na drugiej – jak po grudzie. Nie jestem w stanie władać formą wykładową przez całe dwie godziny. Na drugiej godzinie jestem już bardziej zmęczony, a zresztą pierwszą część wykładu mam zwykle lepiej ułożoną w głowie. Toteż po wykładzie wtorkowym wracałem do domu z przykrym uczuciem zawodu, z przeświadczeniem, że jednak kto wie, czy kiedykolwiek podołam ciężkiemu obowiązkowi nie tylko wiedzy, ale tez i

zwłaszcza nauczania trybem wykładowym, bez czego profesura jest mało warta. Siłą woli i autosugestii starałem się jednak zwalczyć zwątpienie i przekonać siebie, że przecież nie święci garnki lepią i że jeżeli zdołam wiedzę swoją podnieść istotnie na poziom zupełnego opanowania analizy i pojęć nauki, to środki techniczne nauczania, jakim jest wykład, wyrobię ćwiczeniem i wytrwałością. W zwalczaniu psychicznym depresji przypominałem sobie wzór klasyczny Demostenesa, który wyrobił sobie zalety mówcy ćwiczeniem i pracą; nie żebym się łudził, że zabłysnę kiedyś jak Demostenes, ale że bądź co bądź ten wzór jest wzorem optymistycznym tego, co może zdziałać wysiłek ludzki i że przeto na wysiłku i nieustawaniu można dużo budować. Postanawiałem sobie przeto, że wytrwam, że się zrazić nie dam i że pomimo wszystko nie odstąpię od metody ustnego wykładu z pamięci i nie wrócę do tańszego, efektowniejszego na pozór, ale pedagogicznie słabszego trybu gładkiego czytania wykładu z rękopisu. Przez te parę dni byłem szczególnie zaniepokojony tym jeszcze, że właśnie na wykład następny, to znaczy dzisiejszy, wypadał mi kawałek trudny, który w moim starym rękopisie był sformułowany dość mgliście; należało mi dotknąć i wielkiej doktryny XVII i XVIII wieku, znanej pod nazwą szkoły prawa naturalnego i teorii umowy społecznej; trzeba było dać zarys tej doktryny i jej funkcji społeczno-państwowej ze szczególnym uwzględnieniem jej cech racjonalistycznych w stosunku do koncepcji czynnika woli w metodzie analizy historycznej. Ujęcie tego problemu było trudne, a musiało być celowe, ścisłe i przejrzyste. Ale zawody moich pierwszych kroków i stanowcza wola wytrwania i udoskonalenia techniki posłużyły mi bodźcem, który mi okazał istotną usługę na wykładzie dzisiejszym. Włożyłem ogromny wysiłek w przygotowanie się i ułożenie w myśli ścisłych formuł toku pojęć, którymi miałem operować. I wykład mi się udał dzisiaj w zupełności. Byłem z rezultatu bardzo zadowolony. Był to wykład najlepszy z dotychczasowych moich. Ale też wysiłek myśli i nerwów na taki wykład jest tak wielki, że zmęczenie po wykładzie jest nie mniejsze, niż po najcięższej pracy fizycznej lub po nocy niespanej. Wykład jednak dzisiejszy trwał tylko godzinę – od siódmej do ósmej – bo na godz. ósmą było zapowiedziane rozpoczęcie koncertu-balu, urządzonego przez Towarzystwo Studentów Prawników w salach Klubu Litewskiego. Żałowałem, że mi to wykład przerwało, bo czułem, że i w drugiej godzinie wykładałbym równie dobrze. Ale dzień dzisiejszy dodał mi otuchy i wiary w siebie. Że głowa moja podoła nauce – o to się nie bałem i w to nie wątpiłem już poprzednio, ale teraz i w umiejętność wykładania, w nabycie techniki nauczania uwierzyłem mocno. Z wykładu poszedłem na koncert-bal studentów prawników. Na razie były na balu pustki, ale stopniowo sale się zapełniły, tańce szły ochoczo, młodzież – przeważnie studenci obojga płci – bawiła się raźnie. Tańce przeważały stare, z figurami, tylko uzupełnione suktinisem narodowym i jeszcze jakimś z tańców narodowych litewskich, bardzo archaicznych, zbliżonych raczej do rytmicznie usymbolizowanych zatrudnień ludowych, niż do tego, co się zazwyczaj tańcem nazywa. Ale przeważał walc, polka, kontredans, przeplatane i urozmaicane szablonowymi figurami. Dyrekcja tańca szła po litewsku. Taniec był masowy, najbardziej odpowiadający zabawie młodzieży. Tańców nowych nie było wcale (przynajmniej do północy, bom potem wyszedł). My sobie trzymaliśmy się na balu w naszej garstce profesorów. Profesorowie byli reprezentowani przez Leonasa, Kriščiukaitisa, Mačysa, Šalčiusa, Balogha, Bielackina, Rimk€, Morawskiego, Weryhę-Darewskiego, mnie. Nastrój zabawy był na ogół bardzo sympatyczny, jak niezmiernie też sympatyczną i dzielną jest nasza młodzież uniwersytecka. Na koncert złożyły się śpiew artystów opery – Sodeiki i Grigaitisowej – oraz gra solowa na skrzypcach.

1 listopada, rok 1924, sobota

Przyjechał rano Stefan Römer z Poniewieża. Po co przyjechał – nie wiem, bo temu, co on mówi, nigdy nawet w najdrobniejszym szczególe wierzyć niepodobna. Jego żywiołem jest kłamstwo i fałsz. Dziś nocuje u mnie, jutro ma pojechać na parę dni statkiem w stronę Bobt – podobno w gościnę do p. Marii Narbutówny (byłej nauczycielki przy dzieciach Elwiry), w której się kochał i z którą koresponduje stale. We wtorek ma wrócić do Kowna i we środę – stąd do Poniewieża. Powiada, że jest zadowolony z pracy na stanowisku nauczyciela rysunków i kaligrafii w gimnazjum polskim w Poniewieżu, mówi, że ma dużo roboty, że zarabia nieźle, że sobie urządza mieszkanie itd. Skądinąd jednak dochodziły mię wieści, że w gimnazjum nie umie on utrzymać powagi wobec uczni, że czas spędza na grze w lotto-klubie, że stosunków ze znajomymi domami p. Wasilewskiej, Stawskich – nie utrzymuje i natomiast obraca się w kołach jakichś znajomości nowych, które on zawsze woli od dawnych, bo wobec nowych znajomych może blagować i popisywać się, jak i czym mu się żywnie podoba. Oprowadzałem Stefana po Kownie, zaprowadziłem na uroczystość spuszczania sztandarów w Muzeum Wojny, a we wtorek kupię mu bilet do teatru litewskiego. Kowno się Stefanowi bardzo podobało. Wyobrażał je sobie jako małą nędzną mieścinę w guście Poniewieża. W istocie też Kowno bardzo szybko – zwłaszcza od dwóch lat – podnosi się, rośnie i cywilizuje, przeobrażając się prawie z dnia na dzień.
Przed dwoma dniami Sejm w sprawie Puryckiego powziął pewną uchwałę, która stanowi bardzo charakterystyczny i niebezpieczny precedens, mogący też mieć bardzo ujemne skutki. Chodzi o tę sławną sprawę Puryckiego, która się wlecze beznadziejnie od roku 1921. Cały rok 1922 zeszedł na śledztwie w sprawie, przez zimę 1922-1923 prokuratura pisała akt oskarżenia, od wiosny r. 1923 sprawa leży w Trybunale. Purycki, jako były poseł litewski w Berlinie i następnie minister spraw zagranicznych, jest oskarżony o dwa przestępstwa: 1. o defraudację 11 milionów marek (w r. 1920) pieniędzy państwowych i społecznych i 2. o nadużycie władzy w celu zysku. Pierwsze z tych oskarżeń, choć pozornie cięższe, jest w istocie mniej dla Puryckiego niebezpieczne i mniej kompromitujące: rzecz polega na tym, że w latach 1919-1920 , kiedy jeszcze Litwa dopiero się organizowała i była zagrożona to ze strony bolszewików, to ze strony band Bermonta, to ze strony Polski, różne sumy pieniężne, płynące bądź z Ameryki od Litwinów tamecznych na różne cele krajowe, bądź z Kowna na różne zakupy itd., szły przez ręce poselstwa litewskiego w Berlinie, gdzie posłem był w tym czasie Purycki. W ten sposób gromadziły się w ręku Puryckiego duże sumy, z których były czynione różne wypłaty, ale których też znaczna część zostawała przez czas dłuższy bez ruchu. Purycki miał w bankach niemieckich kulka rachunków bieżących – tak swoich osobistych, jak państwowych litewskich. Pieniądze te szły przez różne rachunki, w tej liczbie i przez jego rachunki osobiste. Samo przez się nie stanowiło to nadużycia, bo w pewnych momentach, gdy rozrachunki z tytułu okupacji i roszczeń wzajemnych między Litwą a Niemcami nie były uregulowane, zachodziła obawa, żeby Niemcy nie położyły aresztu na kapitały państwowe litewskie zlokowane w bankach niemieckich, wobec czego Purycki był dla względów przezorności zmuszony czasem przenosić sumy tak państwowe, jak społeczne z rachunku państwowego na osobisty. Czasem mu to nawet nakazywano depeszami szyfrowanymi z Kowna. W nawale tych sum i w ciągłym wielkim ich ruchu wytworzył się pewien chaos rachunkowości. Czy Purycki miał zamiar coś wyspekulować i przywłaszczyć na tym chaosie czy po prostu nie umiał tych skomplikowanych rachunków uporządkować – trudno dociec. Gdy po znanym ujawnieniu w r. 1921 kontrabandy sacharyny i kokainy, wysyłanej do Rosji pod firmą urzędową Ministerium Spraw Zagranicznych (aresztowanie wagonów na granicy w Janiszkach) wszczęta została sprawa przeciwko Puryckiemu, ówczesny sędzia śledczy

Toliušis, który to śledztwo prowadził, wpadł na ślad owych sum, które szły przez ręce Puryckiego w Berlinie i postanowił ruch tych sum sprawdzić.

2 listopada, rok 1924, niedziela
Mieliśmy posiedzenie Rady Wydziału Prawniczego, na którym byli obecni Leonas, Balogh, Mačys, Kriščiukaitis, Bielackin, Tumenas, Rimka, Šalčius, Stankiewicz, Morawski i ja. Uchwalone zostało powołanie do życia specjalnej wydziałowej komisji terminologicznej do ustalenia (raczej zaprojektowania, bo decyzja będzie należała do samego wydziału) terminów naukowych prawniczych w języku litewskim. Jest to potrzeba pilna, bo dotąd każdy tworzy terminy na własną rękę, co oczywiści wytwarza pewien chaos pojęć i utrudnia tak nauczanie, jak uczenie się. Jest wprawdzie państwowa Komisja Terminologiczna, mająca na celu ustalanie terminów we wszystkich sferach wiedzy, rzemiosł, przemysłu, sztuki, administracji itd., ale jest to machina za ciężka dla naszych potrzeb i nie zawsze właściwa dla specjalizacji pojęć prawniczych. Do komisji terminologicznej naszej wyznaczeni zostali Kriščiukaitis jako najlepszy spośród nas znawca i miłośnik języka litewskiego, Mačys i Rimka. Dziekan wydziału Leonas wystąpił z inicjatywą podania do „Lietuvos Žinios" od imienia wydziału odpowiedzi na artykuł Janulaitisa w sprawie Jaszczenki. Ponieważ w artykule Janulaitisa były istotnie pewne zwroty zbyt silne, zbyt gwałtowne nawet, jak np. nazwanie Jaszczenki wrzodem („votis"), trudno mi było oponować przeciwko odpowiedzi, której projekt ułożył i przedstawił Stankiewicz. Oponowałem tylko przeciwko ustępowi końcowemu odpowiedzi, w którym zarzuty Janulaitisa, skierowane do Jaszczenki w przedmiocie zmienności jego przekonań politycznych dla celów materialnych kariery, zaznaczało się, że ta zmienność przekonań nie obchodzi i nie interesuje wydziału. Ustęp ten został skorygowany poprawką Tumenasa, w myśl której stwierdza się, że zmienność przekonań Jaszczenki dla tych celów nie jest przez wydział stwierdzona, nie jest mu znana. W tej postaci odpowiedź uchwalono. Obradowano też nad kwestią zaangażowania na wykłady prawa międzynarodowego i kursu o Lidze Narodów wybitnego polityka i prawnika rosyjskiego na emigracji Mandelsztama, oddającego usługi dyplomacji litewskiej i zarazem czynnego w pewnych akcjach Ligi Narodów, a podobno wykładającego także na Sorbonie. Postanowiono zaproponować Mandelsztamowi wygłoszenie w przyszłym roku specjalnego kursu na naszym uniwersytecie.
Wracam do sprawy Puryckiego. Otóż gdy Toliušis, który w charakterze sędziego śledczego prowadził sprawę Puryckiego, pojechał do Berlina dla rozejrzenia się w rachunkowości Puryckiego co do owych sum społecznych i państwowych, które płynęły przez jego ręce w r. 1919-1920, natrafił on na taki chaos w tej rachunkowości, że nie mając możności poświęcić czas rozwikłaniu rachunków wrócił do Kowna i uprosił urząd Kontroli Państwowej o wydelegowanie specjalistów dla wyjaśnienia tej rachunkowości. Z ramienia Kontroli wyjechało w tym celu dwóch urzędników specjalistów, którym ta czynność pochłonęła cały miesiąc pracy. W rezultacie ujawnił się brak 11 milionów marek, z których Purycki rachunkami i dowodami pokwitowań nie zdołał się wylegitymować. Stąd powstało pierwsze oskarżenie Puryckiego – o defraudację tej sumy. Choć nie znam dokładnie całych akt sprawy Puryckiego, obejmujących kilka grubych tomów papieru, to jednak zdaje się, że z tego oskarżenia Purycki się sądownie oczyścić zdoła i że da się ono sprowadzić do drobnej względnie winy zaniedbania rachunkowości ścisłej, ale nie defraudacji. Gorzej jest dla Puryckiego w przedmiocie drugiego oskarżenia – nadużycia władzy w celu zysku, które polegało na prowadzeniu rozległej i bardzo intensywnej spekulacji walutowej i handlu

kosztownościami, do której były przez Puryckiego używane pewne atrybuty i środki władzy.

3 listopada, rok 1924, poniedziałek
Rano – od dziewiątej do drugiej – egzaminowałem na uniwersytecie grono studentów. Ogółem zdawało egzamin osiem osób, w ich liczbie panna Juškytė z V semestru, Dargis, Kozłowski, Puikunas, Josiukaitis i Švažas z tegoż V semestru, Dulski z VII zemestru i Inflański z III semestru sekcji ekonomicznej. Egzamin dziś nie szedł tak gładko i z takim ożywieniem, jak przeszłą razą. Mnie też brakło werwy, może ze względu na niepogodę jesienną, a także studenci nie byli dziś tak dobrze przygotowani, jak przeszłą razą. Z nich trzem postawiłem cenzurę „bardzo dobrze" (Dulskiemu, Švažasowi i Inflańskiemu), pozostałym – „dobrze", ale i ci najlepsi byli słabsi od swych poprzedników z ubiegłego tygodnia. Egzamin, jak zwykle, zmęczył mię bardzo.
Pod wieczór przyjechała do Kowna na kilka dni i zamieszkała u mnie siostrzyczka mojej służącej Jadzi – Stefcia Čepasówna, bardzo ładna i miła dziewczynka.

4 listopada, rok 1924, wtorek
Wieczorem od szóstej do ósmej miałem na uniwersytecie wykład bieżący, po którym odbyłem z gronem słuchaczy pierwsze w tym semestrze colloquium. Liczba słuchaczy na I semestrze jest w tym roku tak wielka (dochodzi czy może nawet przekracza liczbę trzystu), że trudno mi zarządzić colloquium na piśmie, bo ilość tych pism colloquialnych byłaby tak wielka, że nie podołałbym ich przeczytaniu i skorygowaniu. Zresztą colloquium ustne jako bezpośrednia wymiana zdań metodą pogadankową, w której nie tylko uczeń się wypowiada, ale także profesor bezpośrednio interweniuje w tok myśli ucznia i ustala ścisłość jego pojęć naukowych, ma pewne zalety, których colloquium na piśmie, zmuszając skądinąd ucznia do samodzielnego przestudiowania tematu, mieć nie może. Obie formy colloquium mają swoje plusy i minusy, wszakże colloquium na piśmie jest w obecnych warunkach utrudnione przez to, że studenci nie mają podręczników, odpowiadających układowi mojego kursu. Zarządziłem w tym roku colloquium tak, że po każdym wykładzie wzywać będę jedną grupę studentów w ilości 20 osób, których nazwiska zawczasu będą ogłoszone i wywołując ich jednego po drugim przeprowadzę z nimi pogadankę na rozmaite zagadnienia, omówione już przeze mnie w poprzednich wykładach. Na dziś była wezwana pierwsza grupa dwudziestu, ale na sali oprócz nich była duża ilość nie wezwanych, która chciała posłuchać colloquium, aby się zorientować w jego trybie i może nawet trochę pouczyć. Widziałem, że wielu notowało sobie moje poprawki i wyjaśnienia, czynione w toku pogadanki. Wcześnie rozpoczynam w tym roku colloquium, ale inaczej, wzywając po dwudziestu, nie zdążyłbym do końca semestru. Tym, którzy będąc wezwani do colloquium, nie stawią się, będę zadawał tematy do pracy colloquialnej na piśmie. Pogadanka dziś szła dobrze; miałem wenę, kierowałem pogadanką dobrze; zdaje się, że studenci byli także zadowoleni. Z udzielanych przez studentów odpowiedzi orientowałem się w ich umiejętności myślenia i ujmowania elementarnych zagadnień prawa i społeczno-państwowych; każdego z wywołanych studentów kwalifikowałem podług tego, znacząc sobie dwoma krzyżykami, jednym krzyżykiem lub minusem ocenę każdego studenta.
Z uniwersytetu poszedłem ze Stefanem Römerem, który dziś wrócił od panny Narbuttówny, na kolację do restauracji Wersalu. Tu nadmienię, że Stefan oświadczył mi dziś, że się z panną Marią Narbuttówną zaręczył i to chyba już poważnie, bo projektuje ślub na termin około Nowego Roku. Daj mu Boże szczęścia! Choć z jego naturą mogą jego przyszłą małżonkę czekać duże rozczarowania i bolesne nieraz wypadki, ale może stanie się jej powolny i może żona zdoła nim pokierować. Wrażenie, które na mnie

sprawiła panna Maria, którą zresztą znam mało, jest bardzo dodatnie. Jest ładna, a nadto wydaje się głęboka i treściwa. Zdaje się, że jest w niej materiał na dzielną kobietę – żonę i matkę. Trochę jej szkoda dla Stefana, który charakterem swoim może te wartości zmarnować, ale może – da Bóg – przyjdą dzieci, które wyrosną na ludzi i utrwalą dodatnio tę gałąź naszej rodziny. Gdybym ja się syna nie doczekał, gotów byłbym synowi Stefana przekazać ciągłość bohdaniskiego domu Römerów. W każdym razie, będę się cieszył, jeżeli panna Narbuttówna wejdzie do rodziny naszej – nabytek będzie dodatni.
W Wersalu zastałem Eustachego Rzewuskiego, mego starego kolegę z prawowiedów, z którym się byłem na wieczór dzisiejszy umówił. Kabaret w restauracji Wersalskiej – coraz lepszy. Został on zreformowany i zmodernizowany. Śpiew piosenkarski znikł i został zastąpiony przez taniec. Tancerki zeszły ze sceny na samą salę restauracyjną, gdzie opróżniono dla nich pewną przestrzeń między stolikami. Toteż tańce kabaretu, wykonywane przez solistki i solistów, przeplatane pięknymi tańcami nowymi par amatorskich spośród samej publiczności, wykonywane są bezpośrednio wpośród gości restauracyjnych. Co tez jest innowacją niezwykłą – to występy tancerek w kostiumach, które są raczej nieobecnością kostiumu. Tancerki są prawie nagie. Występują z obnażonymi niżej pasa plecami, z nogami od dołu do samej góry w trykotach, jedna była naga tak z tyłu, jak z przodu od góry aż poniżej pasa i tylko miała otoczki na półkulach piersi. Lśni skóra w świetle elektrycznym, dziewczyna tańczy naga i zapach kobiecego ciała uzupełnia wrażenia wzrokowe widowiska tanecznego. Tak zaprodukowany kabaret widziałem po raz pierwszy. Znam w Paryżu kawiarnie (na rue Rubondel) w których usługują nagie dziewczyny. Ale kawiarnie takie są właściwie *sui generis* domami rozpusty publicznej bez przenośni żadnej, bo usługujące dziewczyny są zarazem prostytutkami, które się w tychże lokalach – w gabinetach osobnych – prostytuują. Wszakże kabaretu w takim uwydatnieniu nagości, jeszcze bez sceny – zmieszanego z publicznością, łączącego estetykę zmysłu wzrokowego z estetyką zmysłu powonienia, łechtanego subtelną emanacją kobiecego ciała – nie znałem.

5 listopada, rok 1924, środa
Michał Biržiška, dziekan i profesor Wydziału Humanistycznego na uniwersytecie, wykładający historię literatury i kultury litewskiej, zapytywał mię wczoraj, czy nie będę z tytułu moich praw autorskich nic miał przeciwko temu, aby uczniowie jego dokonali pod jego kierunkiem tłumaczenia na litewski mojej książki „Litwa”. Studiowanie mej książki w związku z materiałem, opracowanym w niej przeze mnie, to znaczy z publicystyką okresu odrodzenia narodowego w latach od r. 1883 do 1905, wraz z samym tłumaczeniem książki Michał Biržiška wyznaczył do prac seminaryjnych dla swoich słuchaczy w roku bieżącym. Siedmiu studentów zapisało się na tę pracę; Biržiška podzieli między nich tłumaczenie. Powiedziałem, że nie mam nic zgoła przeciwko temu. Owszem, cieszyłbym się osobiście, gdyby tłumaczenie było nie tylko dokonane, ale także wydane w druku. Zresztą co do wydania, to Biržiška nic jeszcze o tym nie wie. Na razie to się robi w zakresie prac seminaryjnych, a czy z tego coś będzie poza tym – to się jeszcze pokaże. Przypuszczam, że w razie wydania powstałaby też kwestia jakiegoś honorarium autorskiego dla mnie. Zresztą, nie o honorarium mi chodzi. O wiele więcej mi zależy na owocowaniu społecznym mojej książki. Książka ta jest uważana za dzieło klasyczne źródłowe o historii odrodzenia narodowego Litwy. Słusznym byłoby, by się ukazała w języku litewskim, tym bardziej, że wydanie polskie jest wyczerpane. Już przed paru laty proponowano mi z ramienia Towarzystwa Wydawniczego „Švyturys”, bym dokonał przekładu książki na litewski dla wydania jej przez to towarzystwo. Nie zdecydowałem się na to, bo ani czasu nie mam, ani się

kwalifikuje na tłumacza na język litewski – nawet dla własnej książki. Sądzę, że jeżeli książka w seminarium Biržiški zostanie przetłumaczona, to pobudki do jej wydania znajdą się niezależnie od starań moich.
W moim mieszkaniu na Zielonej Górze, zwykle tak samotnym i cichym, w którym my tylko z Jadzią we dwójkę wieczory długie spędzamy, ruch w tych czasach jest niezwykły. Jest siostra Jadzi – Stefcia, jest Stefan Römer. Stefan jutro wyjeżdża, za to przyjeżdża jutro Ewa Meyerowa, która już się szykuje do powrotu do Polski do męża. Bawią też w Kownie i byli dziś u mnie na obiedzie Hektor Komorowski i Stefan Mieczkowski. Stefanowi Römerowi i Stefci Čepasównie zafundowałem dziś bilet do teatru na „Mirandolinę". Jadzia z miłości do mnie i zazdrości dostaje histerii. Gdy się dowiedziała, że byłem wczoraj na kabarecie w Wersalu – zmieniła się, płakała, dostawała wypieków to znów bladła, godzinami zapadała w stan jakiegoś odrętwienia, to się ożywiała nienaturalnie, słowem – jest od wczoraj w stanie spazmatycznym.

6 listopada, rok 1924, czwartek
Wyjechał Stefan Römer do Poniewieża, a Stefan Mieczkowski i Hektor Komorowski – do Bohdaniszek i Kowaliszek. Za to o godz. piątej po południu przyjechała z Bohdaniszek – i zamieszkała u mnie – Ewa Meyerowa. Wybiera się już ona z powrotem do Polski do męża: tu przyjechała dla wizy łotewskiej, a po powrocie do Bohdaniszek – w przyszłym tygodniu już wyjeżdża. Biedna Maryńka będzie osierocona. Sieroctwo jej będzie tym cięższe, że przez obecność Stefana Mieczkowskiego jej stosunek z Elwirą nie jest już tak ścisłym i poufnym, jak był poprzednio. Marynia Mieczkowskiego nie cierpi, a Mieczkowski też jej dokucza, zazdrości i chciałby ją wygryźć. Chyba tylko zamierzone małżeństwo syna ją zajmie nieco i rozerwie. zaprowadziłem Ewę na kolację do Wersalu. Znowu podziwiałem kabaret z nagimi tancerkami, produkującymi się na sali wśród publiczności. Z widowiskiem tym – bardzo ładnym i efektownym – nie mogę się jeszcze oswoić. Za moich czasów w Paryżu – stolicy kabaretu – kwitło na scenie kabaretowej piosenkarstwo; taniec był drugorzędnym. Teraz taniec króluje i tancerki są prawie całkiem nagie. Z rytmem ruchów łączy się olśniewający blask skóry i plastyka bezpośrednia muskułów ciała kobiecego, a zapach ostry perfum łączy się z zapachem subtelnym i drażniącym żywego ciała. Ma się nowy i odrębny rodzaj uczty zmysłowej, jakiego poprzedni kabaret nie udzielał. Z kabaretem zaś łączy się i przeplata „dancing", stanowiący znakomite intermezzo w sztuce kabaretowej – coś tak jak dawniej w teatrze na dramacie antrakty w grze scenicznej zapełniane były grą orkiestry. Drażniąca niespokojna muzyka nowych tańców, oparta na melodiach amerykańsko-murzyńskich, zresztą już nieco ugłaskanych i ucywilizowanych, znajduje harmonijną wykładnię w ruchach par tanecznych, w których cicha skupiona i jakby zaczajona lubieżność pozy i kontaktu ciał splata się z niesłychanie urozmaiconą improwizacją kroków i posunięć nóg, stanowiącą prawdziwą grę tancerzy.

7 listopada, rok 1924, piątek
Miałem na uniwersytecie wykład, który mi się nie udał. Jakoś brakło mi weny. Wyszedłem z wykładu pod złym wrażeniem. Czułem zresztą z góry przed wykładem, że mi brak usposobienia. A właśnie audytorium słuchaczy było dziś niezwykle przepełnione. No, cóż robić! czasem bywa lepiej, czasem – gorzej.
Wracam do sprawy Puryckiego. Drugie oskarżenie, które mu jest inkryminowane, dotyczy nadużycia władzy w celu zysku. Streszcza się ono do zarzutów następujących. Będąc posłem litewskim w Berlinie i potem ministrem spraw zagranicznych, Purycki prowadził na wielką skalę spekulację walutową i na handlu kosztownościami. Robił to

nie tylko sam, ale przez licznych agentów. W różnych miastach i krajach – w Skandynawii, Anglii, Rosji, w krajach bałtyckich – zakupywana była, przewożona i zbywana rozmaita waluta w wielkich sumach. W Rosji zaś sprzedawana była po szalonych cenach sacharyna, kokaina itd., szwarcowana przez granice bez cła, a za uzyskane pieniądze były skupywane za bezcen kosztowności, które, przeszwarcowane na zachód, były zbywane za drogą cenę; spekulowano tu z jednej strony na braku odpowiednich artykułów w Rosji (np. cukru), z drugiej – na nędzy tych klas ludności w Rosji, które przed rewolucją były bogate i posiadały kosztowności i skarby zbytku, a które przez rewolucję zostały strącone na dno bytowania społecznego i zmuszone były do wyzbywania się swoich bogactw nieprodukcyjnych, żeby żyć. Agenci, którzy byli używani do tej spekulacji, byli wyposażani nie tylko w odpowiednie środki pieniężne, ale też środki charakteru służbowego dla przejazdu i przewożenia tych rzeczy w celu spekulacyjnym. Byli to urzędowo agenci dyplomatyczni, jadący z walizami dyplomatycznymi, zabezpieczonymi przez pieczęcie dyplomatyczne od interwencji zewnętrznej. Spekulacyjny handel walutowy posługiwał się środkami analogicznymi. Na przykład w Chrystianii lub Helsingforsie któryś z agentów tej spekulacji, będący zarazem jakimś agentem dyplomatycznym, miał większą sumę zakupionych jakichś koron, marek lub innej waluty któregoś z państw. W Berlinie na giełdzie ujawnia się tendencja zniżkowa na tę walutę, natomiast na inną narasta tendencja zwyżkowa. W Chrystianii lub Helsingforsie tendencja ta jeszcze się nie uwydatniła. Otóż z Berlina, gdzie siedzi Purycki, śle się do agenta depeszę szyfrowaną wskazówka o tendencjach giełdy berlińskiej ze zleceniem sprzedania natychmiastowego posiadanej waluty, której kurs lada dzień spadnie i w Chrystianii, i zakupienia waluty zwyżkowej, dopóki jeszcze zwyżka w Chrystianii się nie ujawniła. Depesze szyfrowane pomagały znakomicie tej spekulacji, dając możność celowego i szybkiego kierowania nią. Depesze szyfrowane są środkiem służbowym, który tu był używany dla celów spekulacyjnych osobistych. Oczywiście, że te praktyki spekulacyjne były stosowane o wiele szerzej, niż się one w śledztwie ujawniły. To, co jest w sprawie, jest jeno próbką rzeczywistości. Trudno się dziwić, że dla Chrześcijańskiej Demokracji proces w sprawie Puryckiego nie jest przyjemny i że chętnie by go ona uniknęła. Purycki był jednym z jej liderów, był on z jej ramienia ministrem, poza tym jest księdzem. Proces, zwłaszcza z rozprawą publiczną, odsłoniłby dużo rzeczy skandalicznych. Rzuca to cień na stronnictwo, na duchowieństwo, kompromituje rządy klerykalne. Co gorsza – proces jest kompromitujący dla potentata finansowego partii – ks. Vailokaitisa, bo nie jest tajemnicą, że spekulacja Puryckiego była w kontakcie z Vailokaitisem i że właściwie Purycki był agentem tegoż.

8 listopada, rok 1924, sobota
Jakoś się w tym tygodniu niezwykle rozbawiłem, bo oto dziś po raz trzeci byłem na kabarecie w Wersalu. Przez cały tydzień miałem ruch krewnych, a w domu gości. Był w Kownie Stefan Mieczkowski z Hektorem Komorowskim, u mnie mieszkał przez parę dni Stefan Römer, potem przyjechała Jadzi siostrzyczka Stefcia Čepasówna, potem – Ewa Meyerowa. Ewa dziś już wyjechała, pożegnana przeze mnie. Za kilka dni wyfrunie już ona do męża do Polski i kto wie, kiedy znów do Bohdaniszek zawita. Ewa, która na razie po przyjeździe do Bohdaniszek była wzruszona wspomnieniami dzieciństwa, które w niej Bohdaniszki obudziły, rozmarzona myślą o sprowadzeniu tu męża i zamieszkaniu na własnym, potem – i to dość prędko, z właściwa jej rezolutnością – zraziła się do Bohdaniszek; znudzona samotnością, zniechęcona widokiem twardej pracy i ciągłych kłopotów w gospodarstwie matki, stęskniona do męża, w którym jest rozkochana, zgryziona stycznością ze Stefanem Mieczkowskim, którego nie znosi –

pragnie już namiętnie ucieczki z Bohdaniszek, będąc, zdaje się, pełna niesmaku, a żałując biedną matkę, skazaną na samotność w Bohdaniszkach w towarzystwie kłócących się i drapieżnych Mieczkowskich – stara się na Marynię wpływać w kierunku myśli o sprzedaży schedy bohdaniskiej i wyniesieniu się do Polski. Zniechęcenie Ewy udziela się Maryni, która, zrażona do syna, całym sercem i całą istotą garnie się do Ewy i żyje jej uczuciami i jej myślą. Teraz Ewa wyjeżdża, a biedna Marynia zostaje osierocona. Stefan Mieczkowski wie o pokusach Maryni do sprzedaży schedy w Bohdaniszkach i chciałby gryzieniem jej spotęgować działanie tych pokus, bo uśmiechałoby mu się bardzo odkupienie schedy Maryni do spółki ze mną.
U mnie po wyjeździe Ewy pozostała jeszcze do wtorku Stefcia Čepasówna, siostra Jadzi – ostatnia z gości. Dziś wieczorem zaprowadziłem obie – Jadzię i Stefcię – na kabaret do Wersalu. Dziewczynki ubrały się i uczesały ładnie, toteż wyglądały w restauracji na gości ani trochę nie gorszych od innych; nikt by się w nich nie domyślił służących. A osiemnastoletnia Stefcia jest tak piękna, że w restauracji zwracała na siebie powszechną uwagę. Dziewczynkom kabaret bardzo się podobał, były nim olśnione. Tę rozrywkę sprawiłem im głównie ze względu na moją Jadźkę, czyli „Ja", jak ją nazywam, bo biedaczka przed kilku dniami była tak strapiona moją bytnością na kabarecie ze Stefanem Römerem, że przechorowała z zazdrości; w jej wyobraźni ten kabaret z nagimi tancerkami, o których od nas usłyszała, wydawał się jakimś piekłem pokus, czyhającym na mnie; zdawało jej się, że te tancerki siadają mi na kolanach, że się z nimi do gabinetów zamykam itd. „Ja" promieniała. Tancerki – szczególnie jedna – młodziutka blondynka o czarnych oczach i lśniącej złotawo-różowej skórze, figlarna i dziecinnie zalotna, wprawiała moje dziewczynki w zachwyt.

9 listopada, rok 1924, niedziela
Na dzisiejszym posiedzeniu Rady Wydziału Prawniczego nic ciekawego nie dyskutowano i nie uchwalono.
Dotąd nie ma wiadomości o zatwierdzeniu przez Ministerium Oświaty umowy z prof. Jaszczenką, uchwalonej przez wydział. Wspominał mi coś Balogh, że Ministerium Oświaty umowy tej nie zatwierdzi. Wątpię, bo prezes Gabinetu Ministrów Tumenas jest zwolennikiem zaangażowania Jaszczenki i chyba wpłynie na to, aby umowa ta była zatwierdzoną.
Na wieczór zaprosił mię do siebie Mačys. Choć mi się iść nie chciało, zwłaszcza że się czułem przeziębiony – poszedłem jednak przez grzeczność. Był Bielackin, docent Stankiewicz z żoną, Balogh, dr Roch Šliupas z żoną, rejent Škema, adwokat Zabielski. Oczywiście, pani Mačysowa zasadziła towarzystwo – z wyjątkiem paru opornych – do gry w karty – w „*chemin de fer*". Wygrałem kilkadziesiąt litów. Była też kolacja z wódką. Wróciłem do domu po północy.
Wracam do sprawy Puryckiego. Sprawa ta jest dla większości chrześcijańsko-demokratycznej bardzo nieprzyjemna, toteż idzie jak po grudzie. Śledztwo zostało rozpoczęte jeszcze za czasów Sejmu Ustawodawczego, w którym Purycki był posłem. Na parokrotne próby sędziego śledczego (prowadził śledztwo Toliušis), skierowane do Sejmu Ustawodawczego o tzw. „wydanie" posła Puryckiego, to znaczy pozwolenie w razie potrzeby aresztowania Puryckiego, Sejm dał odpowiedź odmowną. Wreszcie na wiosnę r. 1923 sprawa wpłynęła z aktem oskarżenia do Trybunału. Tu na każdym kroku wypływać zaczęły nieprzewidziane przeszkody, hamujące bieg sprawy. Gdy się okazało, że z mocy decyzji sędziego śledczego Purycki jest na wolności za kaucją w ilości 2000 litów, Trybunał na wniosek Janulaitisa, zważywszy ciężar oskarżenia, obostrzył środek zapobiegawczy, uchwalając zażądanie kaucji w ilości 100 000 litów. Ta uchwała była może istotnie niedobra, bo Trybunał, mający sądzić sprawę, nie

powinien był bez wniosku prokuratora sam kwestię obostrzenia środka zapobiegawczego podnosić. Może to czynić wrażenie, że Trybunał jest w tej sprawie z góry usposobiony przeciwko oskarżonemu. Może to istotnie rzucać pewien cień na przedmiotową bezstronność sądu, a ta okoliczność może dawać chrześcijańskim demokratom, na ogół nie mającym wielkiego nabożeństwa do Trybunału, powód do czynienia mu w związku z tą niemiłą dla nich sprawą zarzutów. Lepiej byłoby, żeby to się nie było stało. No, ale stało się, i to zresztą nie wywołało jakiejś szczególnej komplikacji w sprawie. Oczywiście, że decyzja o zażądaniu wyższej kaucji połączona jest z decyzją o aresztowaniu Puryckiego do czasu złożenia kaucji. Gdy Trybunał przesłał tę decyzję milicji do wykonania wraz z odpisem aktu oskarżenia dla wręczenia Puryckiemu, to się okazało, że Puryckiego, którego adres w sprawie był wskazany w Kownie, nie ma ani w Kownie, ani w ogóle w Litwie. Wprawdzie okoliczność to była powszechnie wiadoma, ale Trybunał urzędowo dowiedział się o niej dopiero z doniesienia milicji. Wtedy Trybunał uchwalił rozesłanie listów gończych za Puryckim i dał publikację o poszukiwaniu go jako zbiega.

10 listopada, rok 1924, poniedziałek
Czuję się bardzo przeziębiony. Wieczorem – oznaki lekkiej gorączki. Dobrze byłoby wyleżeć się przez dzień jutrzejszy, ale nie będę mógł, bo w Trybunale będę musiał się przygotować do spraw na posiedzenie sądowe pojutrze, a na uniwersytecie będę miał po obiedzie posiedzenie wydziałowej komisji regulaminowej, wykład i colloquium.

11 listopada, rok 1924, wtorek
Miałem wykład na uniwersytecie. Był udatniejszy od poprzedniego, ale musiałem częściej zaglądać do rękopisu. Obecnie wykładam studentom społeczną konstrukcję państwa jako produktu integracji i dyferencjacji społecznej w przeciwieństwie do umownej teorii zwierzchnictwa ludu. Z pracy myślowej, to znaczy z analizy naukowej, jaką w wykładzie moim daję, jestem zadowolony, ale podnieść wartość formy zewnętrznej wykładu, jak bym tego pragnął – nie umiem. Ten brak zewnętrznej formy wykładu stale mię trapi. Cokolwiek bądź robię – chciałbym robić jeżeli już nie doskonale, to przynajmniej bardzo dobrze. A tutaj muszę się godzić na wykonywanie pracy, która może ma wartość myśli, ale nie ma wielkiej wartości słowa.
Jeszcze o sprawie Puryckiego. Trybunał uchwalił opublikować listy gończe o poszukiwaniu Puryckiego. W listach gończych, jak zawsze, wskazuje się na przestępstwo, o które poszukiwany jest oskarżony i wzywa się wszystkie osoby i władze o wskazanie sądowi miejsca pobytu , ewentualnie o ujęcie i dostarczenie do sądu poszukiwanego. Ale co za ironia! Listy gończe publikują się z urzędu w rządowym dzienniku „Lietuva". W tym wypadku poszukiwanym jest wybitny członek stronnictwa stojącego u steru rządu, a co więcej – stały współpracownik tegoż organu rządowego „Lietuva". Purycki bowiem za wiedzą rządu mieszka w Berlinie, jest przez rząd użytkowany do rozmaitych zleceń poszczególnych i poufnych, a w „Lietuvie" umieszcza stale obszerne artykuły z zakresu polityki zagranicznej i stosunków międzynarodowych, podpisywane pseudonimem „Vygandas". I trzeba przyznać, że te artykuły Vygandasa-Puryckiego są bardzo wytrawne i należą do najlepszych w prasie litewskiej. Purycki bierze za nie grube honorarium – podobno po 1 licie od wiersza – które mu się wypłaca z funduszów państwowych, bo wydawnictwo „Lietuvy" obciąża budżet państwowy. I oto ta sama „Lietuva", która na ostatniej stronie w rubryce ogłoszeń drukuje list gończy Trybunału o poszukiwaniu ukrywającego się Puryckiego, na pierwszej stronie drukuje artykuł tegoż Puryckiego, o którego miejscu pobytu redakcja wie doskonale i któremu sama wypłaca pieniądze. Co zaś jeszcze lepiej,

nazajutrz czy w kilka dni po ogłoszeniu listu gończego w tejże „Lietuvie” ukazuje się list otwarty Puryckiego do Trybunału, wyrażający zdziwienie z powodu, że go się poszukuje, gdy on nigdy nie myślał taić swojego miejsca pobytu i nic nie wiedział o tym, że jego sprawa jest już w Trybunale. Puryckiego „list” publiczny do Trybunału zawiera kilka nieścisłości i błędów czy też przekręceń faktów, rzucających pewien cień na Trybunał i przedstawiających go w świetle śmiesznym. Czy jest właściwe, aby gazeta rządowa udzielała miejsca oskarżonemu, który jest poszukiwany przez sąd, do polemiki z tymże sądem? Czy to nie kompromituje organy władzy i nie tchnie anarchią? Jeżeli publikacja o poszukiwaniu oskarżonego jest skierowana do wszystkich, to czy nie obowiązuje ona tym bardziej gazetę rządową? Skądinąd zaś wiadomo, że Trybunał Najwyższy nie będzie i nie może wchodzić w polemikę prasową z Puryckim, a więc publikowanie w gazecie listu Puryckiego do Trybunału bez możności reagowania Trybunału na zawarte w nim twierdzenia jest niedopuszczalnym – zwłaszcza dla organu rządowego – bezkarnym prowokowaniem i naigrawaniem się z sądu, który w oczach tłumu staje się jakimś głupim żakiem.

12 listopada, rok 1924, środa

Dalej o sprawie Puryckiego. Ten list” Puryckiego do Trybunału, ogłoszony w urzędowej „Lietuvie” i napisany w odpowiedzi na opublikowany przez Trybunał w tejże „Lietuvie” list gończy o poszukiwaniu i ujęciu zbiegłego Puryckiego – to już stare dzieje. Było to ubiegłą zimą czy na wiosnę. „Pikantnym” było nie tylko samo dopuszczenie przez urzędówkę „korespondencji” na jej szpaltach między poszukiwanym a najwyższym sądem państwowym, ale także przy tej okazji rewelacje publiczne o tym, że rząd posługuje się nadal Puryckim do różnych poufnych usług i czynności. Niezbyt to dobrze świadczy o rządzie ani też o jego takcie lub o ładzie państwowym, kiedy były mąż stanu, oskarżony o defraudację 11 milionów i o nadużycie władzy w celu zysku, pozostaje nadal na usługach u rządu, nie będąc uniewinnionym sądownie z tych zarzutów i kiedy władze najwyższe, wiedząc o takim procesie, pozwalają sobie tak dalece lekceważyć sąd, że wbrew przepisom prawa, zakazującym oskarżonemu wydalanie się poza obręb zamieszkania bez wiedzy sądu, dają mu możność wyjazdu za granicę, same mu to ułatwiają i nawet go delegują. Następnym etapem tych niezwykłych perypetii sprawy Puryckiego było wręczenie mu odpisu aktu oskarżenia i starania o zapewnienie stawienia się oskarżonego na rozprawę. Co do aktu oskarżenia, to nasz prezes zarządził doręczenie Puryckiemu odpisu – niezupełnie tak, jak wymagają przepisy prawa, zwłaszcza w stosunku do oskarżonych, którzy z decyzji sądu powinni ulegać zaaresztowaniu. Prezes posłał Puryckiemu odpis aktu oskarżenia przez poselstwo litewskie w Berlinie, które też doręczyło go Puryckiemu. Mniejsza o to; prezes tu zbłądził, ale stało się. W myśl naszej decyzji o zaaresztowaniu Puryckiego do czasu złożenia wyższej kaucji musieliśmy przecie coś przedsięwziąć, gdy się ujawniło, że Purycki siedzi spokojnie w Berlinie. Zwróciliśmy się do Ministerium Sprawiedliwości, prosząc, aby ono odwołało się do Ministerium Spraw Zagranicznych dla zażądania od władz państwowych niemieckich wydania władzom litewskim Puryckiego jako obcego poddanego , który jest oskarżony w swojej ojczyźnie o przestępstwo zwyczajne (nie polityczne). W odpowiedzi na to, po bardzo dużej zwłoce, Ministerium Sprawiedliwości (Tumėnas) udzieliło nam odpowiedzi, że konwencji formalnej między Litwą a Niemcami o wydawanie wzajemne przestępców dotąd nie ma, zwracać się zaś o to do Niemców w braku konwencji ministerium „nie widzi potrzeby”. Janulaitis twierdzi kategorycznie, że choć formalnej konwencji o wydawaniu przestępców nie ma, to jednak miała miejsce między Litwą a Niemcami w tej materii wymiana not, w których obie strony przyrzekły sobie udzielać pomocy

wzajemnej sądowej – w szczególności wydawać przestępców karnych. No ale cóż robić, gdy minister „nie widzi potrzeby” poparcia żądania sądu! Nie na tym koniec martyrologii sądu w sprawie Puryckiego. O najważniejszym dopiero powiem.

13 listopada, rok 1924, czwartek
Otrzymałem od Reginy odpowiedź na mój list z 26 października. Stało się, jak się spodziewałem. Regina życzy wsparcia materialnego ode mnie, chce pieniędzy. W liście moim wskazywałem jej, żeby napisała krótko jednym wyrazem „tak”, jeżeli chce pieniędzy i zgodzi się je przyjąć. Otóż Regina ten wyraz „tak” wypowiedziała. Domyślałem się już tego z poprzedniego listu Reginy: choć tamten list był bardzo piękny i szlachetny, to jednak uderzyło mię w nim wielokrotne z wielkim naciskiem podkreślanie ciężarów i trosk materialnych, braku pieniędzy itd. Czułem, że Regina, która na moje zapytanie w Grodnie kategorycznie odmówiła przyjęcia jakiegokolwiek zasiłku pieniężnego ode mnie, żałuje już swojej odmowy i chciałaby tę rzecz odrobić, ale nie chciałaby, aby prośba wyszła od niej, więc usiłuje sprowokować nową ofertę z mojej strony. Nie chce prosić, jeno chce przyjąć. Ten manewr niezbyt mi się podoba. Wolałbym, żeby Regina była te kwestię załatwiła ze mną prościej i szczerzej, bez takiej dyplomacji, sprowadzającej się do tego, by mieć, ale broń Boże nie poprosić. Jest w tym małostkowość, która mi się nie podoba. Prostsze i szczere załatwienie tej kwestii byłoby ładniejsze i stylowo zgodniejsze ze szlachetnym tonem jej listów. Ale oczywiście to nie ona wpłynie na moją decyzję. Dziecko, które Regina wychowuje, jest moje: słusznym jest przeto, bym się przyczynił do kosztów. Regina zapewnia w liście, że działa wyłącznie z pobudek własnych, ale ja posądzam trochę w tych machinacjach palec panny Elizy Courtôt.

14 listopada, rok 1924, piątek
Pod wieczór wypadł pierwszy śnieg. W mieście śladów znaczniejszych nie zostawił, ale na Zielonej Górze na ogrodach białawo. Długa była i ładna jesień w tym roku, ale już od paru tygodni coraz chłodniej i sztywniej w powietrzu. Czuć zbliżanie się mrozu i śniegu. Przykra pora.
Wieczorem miałem na uniwersytecie wykład, który mi się tym razem znowu w zupełności udał. A jeszcze bardziej udało się colloquium dzisiejsze, które poświęciłem pogawędkowemu wyjaśnieniu pojęcia społeczeństwa i stosunku społeczeństwa do państwa. Na każde colloquium, które urządzam po każdym wykładzie, wzywam po 20 studentów, ale obecni są na colloquium i przysłuchują mu się nie tylko ci wezwani, lecz prawie wszyscy studenci, prawie całe gremium słuchaczy. Spośród wezwanych bardzo mało jest chybiających – prawie wszyscy się stawiają. Studenci, jak wnoszę z ich bardzo licznego udziału w colloquiach i z pilnego wsłuchiwania się w tok pogadanki, połączonego z notowaniem moich uwag i z żywym reagowaniem na jej bieg, są z tego trybu colloquiów zadowoleni, bo pogadanka podsumowuje, pogłębia o koryguje ten osad pojęć, który w ich umysłach pozostawia wykład. Niektórzy mi już to mówili, że colloquia znakomicie ułatwiają im korzystanie z moich wykładów, stanowiąc dialektyczną zbiorową repetycję tychże. Ale w istocie są one użyteczne nie tylko dla studentów, lecz i dla mnie. Precyzują mi one myśl i formuły pojęć.
Na dzisiejszym posiedzeniu gospodarczym Trybunału mieliśmy do rozpoznania bardzo charakterystyczną sprawę sądów kłajpedzkich. Stosunki w Kłajpedzie są bardzo dalekie od normalnych – konflikty nie łagodzą się dotąd, lecz rosną i pogłębiają się. Z jednej strony rząd litewski ociąga się z realizacja ratyfikowanej Konwencji Kłajpedzkiej i wciąż jeszcze nie zarządza wyborów z okręgu Kłajpedy tak do sejmu państwowego, jak do sejmiku autonomicznego, z drugiej – Niemcy kłajpedzcy pod pretekstem walki o

autonomię przeciwko rządom narzuconym organizują się do walki o niemieckość kraju, zagrożoną przez narastającą akcję litwinizacyjną. Znaną jest głośna sprawa tzw. „putschu”, czyli niedoszłego powstania, przygotowywanego przez rozgałęziony spisek. Ta sprawa jest obecnie w Sądzie Wojennym. Ale świeżo zaszedł inny incydent, który się rozrasta w konsekwencjach i bardzo komplikuje. Jest to tzw. incydent Peteraitisa. Po wcieleniu Kłajpedy do Litwy Związek Strzelców litewski („Šaulių Sąjunga”) rozciągnął swoją działalność na teren Kłajpedy. Związek ten jest pomocniczą organizacją wojenną, organizacja o charakterze publicznym, należącą do siły zbrojnej państwowej. Do šaulysów należy młodzież patriotyczna. W Kłajpedzie šaulysi, rekrutujący się z młodzieży miejscowej, stanowią awangardę lokalnego ruchu litwinizacyjnego i są z tego względu najbardziej znienawidzeni przez Niemców i przez te masy bierne ludności litewskiej, które tam jeszcze idą na pasku niemieckim. Šaulysi mają prawo posiadania broni. Ponieważ Związek Šaulysów jest organizacją ogólnopaństwową, więc jego działalność i przez to samo prawa jego członków określają się jego statutem, uchwalonym jako ustawa państwowa, bez względu na terytorium autonomiczne tej lub innej prowincji państwa. Wszakże Niemcy kłajpedzcy, dla których šaulysi są solą w oku, inaczej interpretują tę kwestię. Prokuratura kłajpedzka, która się składa z Niemców, zdecydowała się na krok stanowczy i dała rozporządzenie policji odebrania broni od šaulysów. Dalszy ciąg incydentu jutro.

15 listopada, rok 1924, sobota
Był u mnie Kacenelenbogen. Skarżył mi się, że zawiązek loży w Poniewieżu rozpada się i że nie ma żadnych szans rozwijania akcji dla braku ludzi odpowiednich spośród Litwinów. Elison, przyjęty do loży, od samego początku stosował się do akcji sceptycznie i utrudniał jej rozwój, ale obecnie już i jego nie ma. Gabriela Pietkiewiczówna jest bardzo zacna, ale stara i niezdatna do jakiegoś czynu, żadnych odpowiednich kandydatów Litwinów nie ma. Stary dr Romm jest zupełnie do niczego; pozostaje jeden Kacenelenbogen. Kandydatów Żydów by się do loży znalazło, ale Kacenelenbogen uważa lożę czysto żydowską za niewłaściwą, a zresztą dla samych Żydów loża miałaby wartość tylko o tyle, o ile dawałaby im kontakt z odpowiednimi czynnikami w społeczeństwie litewskim. Istotnie, wegetacja masonerii litewskiej jest bardzo nędzna. Tu w Kownie na najbliższym posiedzeniu loży chcę się wycofać ze stanowiska venerabla; niech ono przejdzie w ręce młodsze człowieka, który jest działaczem czynnym i ma więcej czasu; mam na myśli brata Toliušisa. Co do mnie, jestem zbyt pochłonięty praca uniwersytecka i trybunalską, a zresztą mam za mały kontakt z życiem społeczno-kulturalnym i towarzyskim litewskim, w którym – poza moją działalnością naukową i zawodową – czynnego udziału nie biorę. Kacenelenbogen bardzo się zapalił do myśli, rzuconej przez Janulaitisa o tym, że należałoby założyć jawną organizację w rodzaju np. Ligi Praw Człowieka, która w istocie czyniłaby publicznie robotę masońską nie ujawniając firmy i byłaby kierowana poufnie przez loże jako ich ekspozytura.
Byłem w teatrze na obchodzie 25-lecia rocznicy śmierci wielkiego apostoła odrodzenia Litwy Wincentego Kudirki, zmarłego w r. 1899. Obchód był urządzony przez Towarzystwo Oświatowe imienia Wincentego Kudirki, ulegające wpływom ludowców. Wejście było za biletami płatnymi, jak do teatru. Teatr był pełny. Przeważały elementy lewicy – ludowcy byli w komplecie, ale nie brak było i ludzi z obozu prawicy, z różnych sfer narodowców. Na program złożyły się: odśpiewanie przez publiczność hymnu narodowego, którego autorem jest Kudirka, odczyt dr Griniusa o życiu Kudirki, odczyt Michała Biržiški o tożsamości Kudirki, odczyt muzyka Michała Piotrowskiego o muzyce Kudirki, następnie skrzypce i śpiew. Szczególnie piękny był odczyt Biržiški,

który podkreślił zwłaszcza dwie rzeczy: 1. że najgłębszą treścią twórczości i pracy narodowej Kudirki było otwieranie narodowi dróg do Europy, do kultury zachodniej, kultury czynu i walki i 2. że Kudirka, jak każdy geniusz, staje się coraz większy, im bardziej z daleka się go ogląda; wpływ jego im dalej, tym bardziej rośnie i powszechnieje: Kudirka był sztandarem jednego kierunku, niemal jednego stronnictwa (demokratycznego, obecnych ludowców), dziś wszakże stał się własnością całego narodu, stał się już potęgą nie partyjną, lecz narodową, wieszczem i symbolem dóbr powszechnych Litwy.
Jutro i pojutrze odbędzie się w Kownie cały szereg uroczystości Kudirki (na uniwersytecie, w Vilkolakisie, w różnych towarzystwach).

16 listopada, rok 1924, niedziela
Rozpocząłem pozawczoraj o sprawie Peteraitisa. Peteraitis, Litwin kłajpedzki, syn gospodarski, należał do Związku Šaulysów. Gdy na skutek zarządzenia prokuratury kłajpedzkiej przyszła do niego policja i zażądała wydania broni, Peteraitis odmówił i stawiając opór policjantom, chcącym mu broń odebrać, jednego policjanta zastrzelił. Władze państwowe litewskie, jak również rząd lokalny kłajpedzki w osobie tzw. dyrektorium, które obecnie, dopóki autonomia kłajpedzka nie została zrealizowana, składa się z elementów powolnych władzom centralnym Litwy i jest w ręku tychże posłusznym narzędziem ich polityki, uznały zarządzenie prokuratury o odebraniu broni šaulysom za nielegalne, ponieważ członkowie tego związku maja prawo posiadania broni, a związek rozciąga się na całe państwo, więc przez to samo i na Kłajpedę, której autonomia nic pod tym względem nie zmienia. Podprokurator, który wydał rozkaz odebrania broni od šaulysów, otrzymał dymisję. Inaczej wszakże zapatrują się na to Niemcy kłajpedzcy, a w ich liczbie cała prokuratura kłajpedzka i wszyscy sędziowie, którzy składają się tam z elementu wyłącznie niemieckiego i pozostali z czasów przed wcieleniem Kłajpedy do Litwy. Nie o to tylko chodzi. Bądź co bądź Peteraitis zabił policjanta – powinno być śledztwo, które powinno wyjaśnić, czy zachodzi tu przestępstwo karne i czy Peteraitis ma być pociągnięty do odpowiedzialności. Związek Šaulysów w Litwie należy do państwowej siły zbrojnej, a przeto šaulysi ulegają sądownictwu wojennemu na tychże zasadach, co żołnierze. Wychodząc z tego założenia, władze wojskowe zaaresztowały Peteraitisa i osadziły go na odwachu do dyspozycji władz sądowo-wojennych śledczych. Natomiast sądownictwo kłajpedzkie, które, jak powiadam, jest niemieckie, nie chce uznać kompetencji władzy sądowej wojennej w sprawie Peteraitisa, która reklamuje na rzecz cywilnego sądownictwa autonomicznego Kłajpedy. Na tym gruncie wyrósł konflikt. Władze wojenne ignorują punkt widzenia sądownictwa kłajpedzkiego, to ostatnie zaś nie liczy się z faktem osadzenia Peteraitisa na odwachu jako z faktem nielegalnym. W zwyczajnych warunkach byłby to ściśle jurydyczny spór sądowy o właściwość, dla którego są przewidziane drogi i instancje rozpoznania i rozstrzygnięcia. Ale sądownictwo kłajpedzkie uczyniło z tego spór wybitnie polityczny. Właściwie stał się on politycznym sam przez się, ale sądownicy kłajpedzcy postawili kropki na „i” i zrobili zeń polityczną manifestację. Z jednej strony władze sądowe kłajpedzkie, rozmyślnie ignorując osadzenie Peteraitisa na odwachu, uchwaliły i ogłosiły w Kłajpedzie obwieszczenie o poszukiwaniu Peteraitisa, oskarżonego czy poszlakowanego o zabójstwo policjanta, tak samo, jak się obwieszcza listy gończe za lada przestępcą, którego się poszukuje i którego miejsce pobytu jest niewiadome. Z drugiej strony grono sądowników kłajpedzkich – prokuratorów i sędziów miejscowych, a w ich liczbie i nasi dwaj sędziowie Trybunału Kłajpedczycy Plümicke i Hesse – ogłosiło za podpisami imiennymi w gazetach miejscowych (w „Memeler Dampfboot”) odezwę-protest do

społeczeństwa krajowego. W tym piśmie protestują oni przeciwko zamachowi, czynionemu rzekomo na samodzielność sądownictwa autonomicznego Kłajpedy i wskazują, że jeżeli oni nie usuwają się ze swych stanowisk i decydują się nadal pełnić swe obowiązki, to tylko dlatego, aby w tych ciężkich czasach bezprawia zapewnić ludności pomoc sądową i ochronę prawną, które z ich ustąpieniem utraciłyby wszelką gwarancję, gdyż ludność zostałaby już wtedy wydana zupełnie na pastwę samowoli i gwałtu.

17 listopada, rok 1924, poniedziałek
Spotkałem dziś na ulicy sędziwego dr Jana Basanowicza, który po długich wakacjach letnich, spędzonych w Połądze, a potem po odbyciu dłuższej kuracji w Kownie dla szwankującego stanu zdrowia gotuje się już obecnie do powrotu na zimowe leże na swój posterunek do Wilna. Widok tego Starca i każde z nim spotkanie czyni na mnie silne wrażenie. Ten Człowiek – to Symbol, to Mąż, który jest równy prorokom. To jest Człowiek, który miał i ma Złoty Róg i który nie stracił go ani na chwilę. Jest w tym milczącym skupionym człowieku moc i jednolitość potęgi świadomej, czyniącej go równym Bohaterom i idącej prostą linią przez całe Jego życie. Kiedy w r. 1883 założył on swoją „Aušrę", budząc lud etniczny litewski do bytowania narodowego, Litwa spała jeszcze, nieświadoma siebie, dająca kwiat swego ducha obcym na żer. Dane mu jest rzadkie w życiu ludzkim szczęście – widzieć owoc dzieła swego, widzieć Litwę narodową i państwowo niepodległą. Inny by na „Aušrze" poprzestał i albo poszedł w szeregi pospolite ludzi zasłużonych, albo działał w tych lub innych ramach zróżniczkowanej odtąd pracy narodowej. Tak się rzecz ma z Marcinem Jankusem lub dr Janem Šliupasem. Miałby Basanowicz tytuł do zasługi i sławy w Narodzie Litewskim, miałby swoją kartę zaszczytną w dziejach. Ale on jest wciąż jednolitym, wciąż czyni swoją „Aušrę". Jego imię epokowe ukazuje się raz po raz w tym samym ciągłym łańcuchu czynów, tworzących Litwę Narodową – na punktach zwrotnych tego procesu. Rok 1883 – rok 1905 – lata 1920-1924 – to są daty Basanowicza. Pomijam ogłoszenie Niepodległości, w którym on także brał udział, ale które nie jego w tym stopniu jest dziełem, co te trzy daty powyższe. „Aušra" – Wielki Sejm Narodowy Wileński – stwierdzenie Stolicy w Wilnie – oto trzy wielkie momenty, w których Basanowicz się wyraził. Młodzieńcem zatrąbił on pobudkę Narodu w „Aušrze", mężem wezwał Naród w niewoli na Sejm Wolny, który uczynił sprawą narodową – sprawą ludową masową, starcem – trwa on w Wilnie jak dąb, negując bytem swoim w Wilnie zabór polski. Tak – fakt mieszkania Basanowicza w Wilnie jest czynem „Aušry". To nie jest to samo, czy mieszka w Wilnie Basanowicz, czy kto inny. W Wilnie, w Stolicy – jest Wódz, jest Prorok, jest Bohater. Tam, gdzie grób Mahometa – tam Mekka. W Stolicy zasiada Duch. W Wilnie jest Basanowicz.
Staliśmy z Basanowiczem na chodniku i gawędziliśmy kilka minut. Mówiłem mu o mojej bytności w Wilnie, o mojej pracy nad książką o prawie konstytucyjnym, a gdyśmy się żegnali, Basanowicz mi oświadczył, że spotkanie się ze mną sprawiło mu wielką przyjemność. Dla mnie to – zaszczyt.
Dziś w godzinach południowych w całym mieście były zamknięte sklepy żydowskie. Była to manifestacja protestu debatowanemu w Sejmie projektowi ustawy o świętach, przewidującej całkowite przerywanie handlu w niedziele i święta. Manifestacja była nakazana przez rabinat dla odbycia w tych godzinach modłów w synagodze na rzecz odwrócenia gotującej się ustawy. Zdaje się, że władze chcą osztrafować za to sklepy żydowskie. Były spisywane protokoły. Ten projekt ustawy ma ustanowić tzw. niedzielę angielską, obchodzona na wzór Anglii i Ameryki, co jest tez przyjęte przez państwa

młode – Polskę i Łotwę, a co jest prawdziwym utrapieniem Żydów, zmuszonych albo wyrzec się tradycyjnego szabasu, albo mieć sklepy zamknięte przez dwa dni z kolei.

18 listopada, rok 1924, wtorek

Znowu dobry wykład na uniwersytecie, a po wykładzie – colloquium. Wykłady ustne zaczynają mi się coraz lepiej udawać. Tylko że tok wykładu ustnego jest powolniejszy, niż wykładu czytanego z rękopisu. Pomimo to mam nadzieję, że w tym roku akademickim podepchnę wykład prawa konstytucyjnego dalej, niż to w dwóch latach poprzednich zrobiłem. Nie będę robił żadnych przerw, zwłaszcza w styczniu, jak to robiłem w latach poprzednich.

W „Lietuvos Žinios" ukazał się artykuł Janulaitisa, rozpoczynający tym razem dość ostrą ofensywę przeciwko Wydziałowi Prawniczemu. Janulaitis występuje w prasie po raz pierwszy z zarzutem, który dotąd podnosił tylko ustnie i prywatnie: twierdzi, że wydział jest utworzony wbrew statutowi, bo nikt z członków wydziału, za wyjątkiem cudzoziemca Balogha, nie posiada stopnia naukowego, a o wartości prac naukowych tych ludzi nie mógł decydować niekompetentny w kwestiach nauki prawniczej Prezydent Rzeczypospolitej, z którego nominacji utworzony został zawiązek wydziału. Wystąpienie Janulaitisa jest niewątpliwie dla wydziału przykre, stawiające poniekąd jego członków pod pręgierz ciężkiego zarzutu braku kwalifikacji naukowych i legalnych. Janulaitis powiada, że dlatego z zarzutem tym wystąpić tym razem publicznie musiał, że w odpowiedzi wydziału na pierwszy jego artykuł o Jaszczence była wzmianka o tym, że katedra prawa międzynarodowego była proponowana jemu, Janulaitisowi, i dopiero wobec jego odmowy zwrócono się do Jaszczenki. Janulaitis uważa się więc za sprowokowanego tą wzmianką i przeto reagując na nią widzi się zmuszonym dać wyjaśnienie, dlaczego nie mógł przyjąć propozycji wstąpienia do wydziału: dlatego, że wydział jest nielegalny, co też chce w artykule swym udowodnić. W końcu artykułu dodaje kilka słów o Jaszczence. Z rozmowy z Janulaitisem wiem, że zamierza on rozwinąć szerszą kampanię przeciwko elementom rosyjskim w Litwie. Janulaitis z obserwacji kilku faktów, jak również z uchwał zjazdu Rosjan litewskich, który się świeżo odbył pod przewodnictwem adwokata Bojewa (Bojew udawał do niedawna „Białorusina") i który zadokumentował popieranie Chrześcijańskiej Demokracji w Litwie, zapoczątkowane przez posła rosyjskiego Jerina w sejmie wbrew opozycji innych mniejszości narodowych – wnosi, że między Chrześcijańską Demokracją a elementami rosyjskimi jest cicha zmowa. Chrześcijańscy demokraci, nie mając ludzi we własnym obozie i nie umiejąc ich znaleźć w społeczeństwie litewskim, zdecydowani są posługiwać się Rosjanami, których obszerny rezerwuar do dyspozycji mogą znaleźć wśród emigrantów rosyjskich w Europie. Między Rosjanami tymi sporo jest ludzi pod rozmaitymi względami wykwalifikowanych, a skądinąd gładkich i gotowych do ofiarowania swoich usług powolnych dzisiejszym władcom Litwy. Ci ostatni znajdują w nich służalców giętkich i wygodnych, myślących i czyniących za nich, ale oczywiście wszyscy ci Rosjanie, zdaniem Janulaitisa, bez względu na to, co ich różni, mają jedną rzecz wspólną, która ich łączy – to pogląd na Litwę jako na prowincję, która będzie musiała wrócić do Rosji. Ci usłużni wykonawcy rządów chrześcijańskich demokratów – ci panowie Bojewy, Jaszczenki, Bielackiny (bo i Bielackina Janulaitis zalicza do tejże kategorii) itp. – dziś kłaniają się grzeczne panom Tumenasom, ale w istocie torują drogę Rosji i gotują się sami zostać Litwy panami. Tak sądzi Janulaitis.

19 listopada, rok 1924, środa

Odezwa-protest sędziów i prokuratorów Kłajpedy stanowi niewątpliwie akt polityczny, niedopuszczalny w warunkach państwowych. Jest to akt walki politycznej, akt wybitnie nielegalny, tym więcej, że się ta walka skierowuje przeciwko władzy państwowej. Jeżeli jeszcze może być jakieś usprawiedliwienie dla sędziów pokoju i okręgowych Okręgu Kłajpedzkiego, którzy mogą się tłumaczyć tym, że chodziło im o obronę autonomicznego sądownictwa kłajpedzkiego, które oni wykonują, a na którego samodzielność statutową uczyniony został podług ich rozumienia zamach, choć ustęp końcowy odezwy wykracza kategorycznie poza ramy takiej obrony i stanowi protest przeciwko bezprawiu jako systemowi rządów państwowych, a przez to samo ma już cechy agitacji politycznej przeciwrządowej, niedopuszczalnej dla sędziów jako takich, to już Plümicke i Hesse, którzy są sędziami najwyższego organu sądowego ogólnopaństwowego, nie należącego do sądownictwa autonomicznego Kłajpedy – nawet tego usprawiedliwienia mieć nie mogą. Nasz prokurator Kalvaitis zareagował na tę odezwę na razie w ten sposób, że przesłał ja Trybunałowi na rzecz odpowiedzialności dyscyplinarnej sędziów podpisanych pod odezwą. Na ostatnim zebraniu ogólnym w piątek rozpoznawaliśmy tę kwestię. W stosunku do sędziów kłajpedzkich decyzję odroczyliśmy, bo Janulaitis, któremu prezes przekazał sprawę do referowania, nie miał jeszcze możności wystudiowania norm prawnych, obowiązujących w Kłajpedzie w przedmiocie trybu odpowiedzialności dyscyplinarnej sędziów. W tym względzie sprawa jest przeto jeszcze w zawieszeniu. W stosunku zaś do Plümickego i Hessego, jako sędziów Trybunału, na razie zażądaliśmy od nich wyjaśnień w tej kwestii, udzielając im na to terminu siedmiodniowego. Jeżeli wyjaśnienia nie dadzą lub jeżeli będzie ono przez nas uznane za niezadowalające – a oczywiście niepodobna wyobrazić sobie, by jakiekolwiek wyjaśnienie takiego czynu mogło Trybunał zadowolić – powstanie kwestia pociągnięcia formalnego obu sędziów do odpowiedzialności dyscyplinarnej i ustalenia trybu tejże, który nie jest dotąd dokładnie w działających ustawach litewskich określony. Jest wszelkie prawdopodobieństwo, że sprawa ta w dalszym biegu się jeno zaogni, bo ta odezwa nie jest tylko improwizowanym wybrykiem, lecz niewątpliwie elementem akcji niemieckiej obmyślonej i planowej, która będzie przez jej autorów logicznie dalej po pewnej linii rozwijana. Choć Plümicke i Hesse – a szczególnie pierwszy – nie są, jak się zdaje, ludźmi wielkiej odwagi, a Plümicke w dodatku jest także materialnie bardzo zależny, bo ma liczną rodzinę, która utrzymuje tylko z pensji, to jednak musieli oni widocznie czuć za sobą mocne plecy, skoro się na danie swych podpisów dla takiej akcji zdecydowali, rozumiejąc niewątpliwie, jakie ona może mieć konsekwencje, toteż nie można liczyć na to, że jakiś strach skłoni ich teraz do cofnięcia się z tej drogi i do skruchy. Są wszelkie szanse do przypuszczenia, że akcja ta jest kierowana i dyktowana przez polityczne czynniki niemieckie, których lejce są trzymane przez Królewiec i Berlin. Jest to akt walki niemieckiej o Kłajpedę, walki prowadzonej z Królewca i Berlina. Na walkę tę i jej „ofiary" muszą być środki. Każda rzecz kosztuje, a polityka nie jest bynajmniej najtańszą. Toteż można przyjąć za pewnik, że – jak to już zostało stwierdzone w stosunku do nauczycieli ludowych niemieckich w Kłajpedzie – państwo niemieckie czy organizacja niemiecka w Kłajpedzie, która się z tym państwem wiąże, zapewniła sędziom odpowiednie – nie mniejsze od pobieranych przez nich tu pensji – odszkodowanie i ekwiwalent wynagrodzenia, ewentualnie w postaci zapewnionych im w Niemczech posad na wypadek, gdyby tu na tej akcji materialnie ucierpieli. To czyni ich bezpiecznymi i odważnymi, bo nic nie tracą, a zyskują aureolę zasług narodowych i państwowych niemieckich. Na stchórzenie ich przeto i kapitulację liczyć trudno. Że musieli oni uzyskać takie gwarancje od czynników odpowiedzialnych niemieckich, widać także z tego, że prokurator główny kłajpedzki, który do niedawna dla względów kariery był wysługiwał się sędziom litewskim i był przez sądowników

kłajpedzkich znienawidzony, teraz zmienił radykalnie ton, podpisał także tę odezwę i gada z prokuratorem Trybunału Kalvaitisem po prostu arogancko. Nerw tej zmiany – pieniądze z Berlina.

20 listopada, rok 1924, czwartek
Sytuacja w sądownictwie kłajpedzkim, wytworzona odezwą sędziów, komplikuje się tym, że gdyby zatarg się pogłębił i gdyby dojść miało do usunięcia obecnych sędziów w Kłajpedzie, nie byłoby ludzi do mianowania na ich miejsce. Ze względu na to, że sądownictwo jest tam przekazane autonomii krajowej, sędziami nie mogą tam być mianowani prawnicy z centrum. Zaś w Kłajpedzie nie ma innych prawników, jak Niemcy. Oczywiście w razie takiego konfliktu wszyscy Niemcy byliby solidarni i żaden z nich nie zgodziłby się zająć stanowiska po usuniętym dla tych motywów koledze. W Kłajpedzie, gdzie większość ludności stanowią Litwini, inteligenci są prawie wyłącznie Niemcy; inteligentów litewskich można policzyć na palcach, a wśród nich prawnika – żadnego. Sprawa Peteraitisa, która dała powód do odezwy sędziów, w dalszym ciągu jątrzy umysły w Kłajpedzie. Pogrzeb policjanta, zabitego przez Peteraitisa, był niemiecką manifestacją polityczną. Na trumnę złożono 500 wieńców. Prasa miejscowa w Kłajpedzie – za wyjątkiem tych kilku pism, które są wydawane za pieniądze z Kowna dla agitacji państwowej o narodowej litewskiej i które są redagowane przez dr Jerzego Šaulysa – ogłosiła, że jeżeli władze lokalne w Kłajpedzie, działające z ramienia i na rzecz Kowna, nie uczynią zadość żądaniom oponentów, to ona, nie uznając tych władz za legalne, będzie je ignorować i nie będzie podawać na swych szpaltach żadnych ich rozporządzeń ani żadnych sprawozdań o ich działalności.
Dziś po obiedzie zgłosili się do mnie z ramienia Związku Polskich Towarzystw Oświatowych w Litwie pod nazwą „Promień” Stanisław Salmonowicz i inżynier Kimont. Zarząd tego związku zamierza zainaugurować w Kownie dla miejscowej inteligencji polskiej wieczory odczytowe i pogadankowe, mające się odbywać sobotami. Tematy dla odczytów mają być różne, zależnie od wyboru prelegenta – z wyłączeniem zagadnień politycznych. Prosili mię o odczyt na jedną z sobót w grudniu. W zasadzie obiecałem. Wspominali, że chcą też zaprosić na prelegentów ks. Tumasa i prof. Szyłkowskiego, który był przed paru laty profesorem na uniwersytecie w Wilnie, a obecnie jest w Kownie na Wydziale Humanistycznym.

21 listopada, rok 1924, piątek
Wieczorem miałem moje dwie godziny wykładu na uniwersytecie i po nich zwyczajną godzinę colloquium. To ostatnie zawsze mi się dobrze udaje; ca zaś do samego wykładu, to na pierwszej godzinie mówiłem i zwłaszcza rozumowałem bardzo dobrze – nawet pogłębiłem w wykładzie własna myśl dla siebie – ale za to na drugiej godzinie szło mi jak po grudzie.
Rano – to znaczy przed obiadem – mieliśmy w Trybunale zwyczajne piątkowe posiedzenie gospodarcze i ogólne zebranie. Ponieważ w Kownie są chwilowo obecni nasi koledzy kłajpedzcy – sędziowie Plümicke i Hesse – którzy przyjechali na posiedzenie sądowe Trybunału w sprawach kłajpedzkich, więc wzięli oni udział także w posiedzeniu ogólnym i gospodarczym, a prezes wniósł na to konto na porządek dzienny parę kwestii, dotyczących sądownictwa w Kłajpedzie, wysuniętych poprzednio przez Janulaitisa. Sprawa odezwy sędziów kłajpedzkich, o której w tych dniach pisałem, na porządku dziennym nie stała. W sprawie tej – w myśl uchwały naszego posiedzenia z ubiegłego tygodnia – było zażądane od Plümickego i Hessego wytłumaczenia się w przedmiocie podpisania przez nich tej odezwy. Żądanie to było im w poniedziałek przesłane do Kłajpedy pocztą. Odpowiedzi jeszcze nie dali, a zresztą nie upłynął jeszcze

udzielony im na wytłumaczenie się termin siedmiodniowy, rachujący się od dnia doręczenia im żądania. Być może, że oni jeszcze przed wyjazdem do Kowna tego żądania nie otrzymali, bp przynajmniej nic o tym nie wspominali tutaj, a że i my z naszej strony nie wszczynaliśmy o tym kwestii, więc sprawa ta wcale nie powstawała na posiedzeniu ani w rozmowach prywatnych z nimi. Na porządku zaś dziennym były trzy następujące kwestie, dotyczące sądów kłajpedzkich: 1. Sądy kłajpedzkie dotychczas komunikują się z władzami sądowymi w Niemczech bezpośrednio, przesyłają im rekwizycje o zbadanie świadków, same akta sprawy itd. i same też przyjmują i załatwiają bezpośrednio takież rekwizycje sądów niemieckich, bez względu na to, że taki „*usus*”, pochodzący jeszcze z czasów sprzed przyłączenia Kłajpedy do Litwy, nie opiera się na żadnej ustawie ani na konwencji między Litwą a Niemcami. 2. Sądy w Kłajpedzie ogłaszają wyroki bez żadnego tytułu, podczas gdy Konstytucja Państwa Litewskiego orzeka, że sądy ogłaszają wyroki „w imieniu Rzeczypospolitej” (oczywiście Litewskiej). 3. Sądy kłajpedzkie nie używają w pieczęci znaku Pogoni, która jest herbem państwowym. Te trzy kwestie były wniesione do rozpoznania dla ustalenia, czy praktyka sądów kłajpedzkich jest pod tym względem legalna. W pierwszej kwestii nic zbyt drażliwego nie było. Plümicke i Hesse nie próbowali uzasadniać, że „*usus*” jest legalny, jeno powoływali się na względy użyteczności takiej praktyki, oszczędzającej przewlekłej procedury kierowania każdej rekwizycji do sądów niemieckich drogami dyplomatycznymi i prosili, aby dla tych względów nie tykać tej procedury. Uznaliśmy, że względy praktyczne użyteczności rzeczywiście zalecają nie tylko zachowanie, ale także rozciągnięcie tej procedury powszechnie na całe sądownictwo Litwy, z zastrzeżeniem jednak, żeby to zostało zalegalizowane bądź konwencją, bądź wymianą not między Litwą a Niemcami. Wobec tego, nie ruszając na razie praktykowanej procedury sądów kłajpedzkich, uchwaliliśmy wystąpić do ministra sprawiedliwości z inicjatywą ulegalizowania międzynarodowego tej procedury dla całego sądownictwa Litwy włącznie z Kłajpedą. Ciężej poszło w sprawie formuły ogłaszania wyroków i herbu Pogoni w pieczęci. Dyskusja skierowała się głównie na formułę ogłaszania wyroków. Plümicke i Hesse, oponując rozciąganiu tego przepisu Konstytucji na autonomiczne sądownictwo Kłajpedy, usiłowali z analizy statutu autonomicznego Kłajpedy wywodzić tezę o... odrębności państwowej Okręgu Kłajpedy, ograniczonej jeno w pewnym zakresie suwerennością Litwy. Ja oponowałem przeciwko tej tezie, mając po swojej stronie kolegów litewskich. Ostatecznie po dyskusji postanowiliśmy na razie jeszcze kwestie odroczyć dla głębszego jej przestudiowania, nie przesądzając jej jeszcze decyzją kategoryczną.

22 listopada, rok 1924, sobota
Dziś rano o godz. 710 całe Kowno zaalarmowane zostało gwałtownym wybuchem, który jak grom wstrząsnął powietrzem. Ja zbudzony zostałem z drzemki rannej i sądziłem, że część domu się zawaliła; wstrząśnienie otworzyło okno w moim pokoju. W wielu domach śródmieścia szyby się rozbiły w oknach. Na Laisvės Alei powybijano dużo szyb z wielkich wystaw sklepowych. Na razie sądzono, że to wybuch państwowych składów amunicji na Fredzie. Dowiedziano się jednak potem, że to był wybuch starych granatów, które państwo sprzedało jako niezdatne do użytku niejakiemu oficerowi Jodce na metal. Jodko miał te granaty rozładować. Wybuch nastąpił zapewne wskutek nieostrożności robotników, zatrudnionych przy tej pracy. Wszyscy sześciu robotników – zabici.
Chcę skorzystać z tych kilku kartek niniejszego zeszytu dziennika, by dokończyć w tym zeszycie odpisu statutu Wielkiego Wschodu Litwy (patrz dziennik z d. 16.VIII. r.b.):

61. Po dokonaniu całego postępowania, określonego w art. 60, brat venerable zapytuje braci gestem, czy są zdecydowani na przyjęcie kandydata w poczet braci; bracia udzielają odpowiedzi twierdzącej ruchem, opisanym w ostatnim ustępie art. 30; odpowiedź twierdząca winna być jednogłośna; jeżeli nią nie jest, kandydat, jako odrzucony, zostaje wyprowadzony i opuszcza lokal; po ustaleniu odpowiedzi twierdzącej brat venerable zapytuje kandydata, czy chce być przyjętym do loży i czy gotów jest złożyć przyrzeczenie uroczyste; komunikuje mu także, że się może cofnąć.
62. Po oświadczeniu kandydata, że chce być przyjętym do loży i że gotów jest złożyć przyrzeczenie uroczyste, brat venerable wstaje i wraz z nim wstają wszyscy bracia; brat venerable nakazuje kandydatowi wstać i przyłożyć prawą rękę dłonią do serca; to samo czynią wszyscy bracia w loży; brat venerable odczytuje rotę przyrzeczenia uroczystego, którą słowo w słowo powtarza za nim kandydat.
63. Rota przyrzeczenia uroczystego brzmi:
„Przyrzekam uroczyście kochać braci moich Masonów, pomagać im we wszystkich okolicznościach życia nawet z narażeniem życia własnego, być posłusznym wszystkim legalnym loży i władz Wielkiego Wschodu Litwy uchwałom i zarządzeniom, zachować w tajemnicy wszystko, co mnie jako Masonowi będzie wiadomo oraz samą organizację masońską – nawet wobec sądu i tę tajemnicę zachować nawet po wystąpieniu moim z łona Masonerii".
Uwaga. Zawartość powyższej roty przyrzeczenia uroczystego obowiązuje bezwzględnie wszystkich braci.
64. Przyrzeczenie uroczyste składa się przez kandydata zawsze w jego języku rodowitym.
65. Po złożeniu przez kandydata przyrzeczenia uroczystego brat venerable oświadcza uroczyście: „W imieniu Wielkiego Wschodu Litwy ogłaszam brata (tu wymienia się nazwisko kandydata) za należącego do loży (tu wymienia się imię loży) w stopniu ucznia", po czym brat venerable zapytuje lożę: „Czego bracia życzą nowemu bratu?", na co wszyscy bracia odpowiadają: „Światła!"; wtedy brat venerable zdejmuje przyjętemu bratu opaskę z oczu i uściska go, po czym każdy z braci uściska przyjętego brata; na tym się kończy obrządek przyjęcia i loża przechodzi do pracy bieżącej.
Z mocy decyzji loży założenie kandydatowi opaski na oczy może być zastąpione przez zgaszenie światła w miejscu posiedzenia loży; w takim razie głosowanie braci nad przyjęciem kandydata dokonywa się przez trzykrotne zapukanie każdego z braci z kolei, wyrażające odpowiedź twierdzącą, a na wyrażone przez braci życzenie przyjętemu bratu: „Światła!" – lokal posiedzenia się oświeca. C.d.n.

23 listopada, rok 1924, niedziela
Na dzisiejszym posiedzeniu Rady Wydziału Prawniczego na uniwersytecie obecny już był po raz pierwszy prof. Jaszczenko, który w ubiegłym tygodniu przyjechał do Kowna i w piątek miał już na uniwersytecie publiczny wykład inauguracyjny (oczywiście po rosyjsku). Jaszczenko z pozoru nie podoba mi się; przypomina sędziego Penkaitisa: jest pulchniutki, niewysoki, łysy, wyglądem pewny siebie i zadowolony z siebie, w ogóle ma pozór raczej kupczyka czy zręcznego spekulanta, niż uczonego. Wzmocni on partię rosyjską na naszym wydziale, do której zaliczam przede wszystkim Bielackina, Stankiewicza i także Mačysa. Myślałem, że Leonas wystąpi z propozycją zareagowania wydziału na artykuł Janulaitisa, zarzucający nielegalną formację tegoż (wydziału). Ale o tym mowy nie było. Na porządku dziennym była sprawa obsadzenia kilku katedr, w tej liczbie także katedry prawa międzynarodowego, które w tym roku wykładać będzie Jaszczenko. Ten ostatni jest zaangażowany tylko terminowo na rok jeden, ale się boję, że gdy wypłynie kwestia obsadzenia stałego tej katedry, to w braku kwalifikujących się

kandydatów Litwinów postawiona będzie i uchwalona kandydatura tegoż Jaszczenki. Wygląda mi on na człowieka, który się zręcznie umie wkręcać – i to się potwierdza jego przeszłością – a któż mu zabroni obiecać, że już od jesieni będzie wykładać po litewsku. Do takiego zobowiązania niedużą się u nas widocznie przywiązuje wagę, skoro np. taki Bielackin, który urzędowo niby to wykłada po litewsku, w praktyce wykłada podobno po rosyjsku, co także czyni Stankiewicz. Ale jeszcze dziś kwestii obsadzenia katedry prawa międzynarodowego nie załatwiono. Natomiast na katedrę prawa finansowego (teorii finansów) upatrzono ks. Jurgutisa, obecnego rządcę Banku Litewskiego i byłego ministra spraw zagranicznych; jest to człowiek bardzo światły, mający, zdaje się, stopień naukowy za pracę o socjalizmie, siła, która będzie na wydziale dobrym nabytkiem. Na katedrę historii prawa litewskiego upatrzony jest kandydat w osobie młodego Jabłońskiego, sędziego okręgowego w Kownie, syna starego Jana Jabłońskiego. Młody Jabłoński, człowiek poważny, pracowity i rozumny, jest podobno dobrym specjalistą historii prawa litewskiego, ale, choć ukończył studia prawnicze na uniwersytecie w Rosji przed czy podczas wojny, formalnego dyplomu dotąd nie ma, więc te lukę będzie musiał jeszcze uzupełnić.
Dalszy ciąg statutu Wielkiego Wschodu Litwy:
66. W drodze wyjątku, jeżeli wszyscy bracia są zupełnie pewni kandydata i nie wątpią, że on się w ostatniej chwili nie cofnie, loża może postanowić, żeby obrządek przyjęcia się dokonał bez zakładania kandydatowi opaski na oczy; jednak cała procedura przyjęcia pozostaje ta sama.
67. Ściślejsze zapoznanie nowego brata z techniką organizacji, statutem i uchwałami konwentów Wielkiego Wschodu Litwy należy do brata oratora.
68. Papier z odpowiedzią na kwestionariusz, napisaną przez przyjętego brata (art. 57), ulega natychmiast po dokonaniu przyjęcia zniszczeniu w jego obecności.
C.d.n.

24 listopada, rok 1924, poniedziałek
Dalszy ciąg statutu Wielkiego Wschodu Litwy:
Rozdział VI. O odpowiedzialności dyscyplinarnej braci i o sądzie loży.
69. Władza dyscyplinarna nad braćmi należy do loży; nie ulęgają władzy dyscyplinarnej loży bracia, należący do jej prezydium. Loża sama określa swoją właściwość dyscyplinarną.
70. Sankcję dyscyplinarną stanowi: a. uwaga zwrócona bratu, b. nagana, c. uśpienie brata i d. usunięcie go z loży.
71. Uśpienie brata lub usunięcie go z loży może być w drodze dyscyplinarnej zawyrokowane przez lożę bez jego wiedzy, jeżeli przedmiotem zarzutu jest nie jakiś konkretny czyn brata, lecz ogólny kierunek jego działalności, budzący w loży poważną wątpliwość o zgodności tego kierunku z ideałami i pracą Wielkiego Wschodu Litwy; w takim razie uśpiony brat nie zaprasza się na posiedzenia, a osobnikowi usuniętemu komunikuje się o zamknięciu loży.
72. Bracia, należący do prezydium loży, z wyjątkiem brata oratora (art. 43), mogą być jedynie odwołani ze swych stanowisk z zastrzeżeniem co do brata venerable'a, wyrażonym w art. 39.
73. W stosunku do brata oratora loży przysługuje jedynie skarga do władzy centralnej Wielkiego Wschodu Litwy, który na zasadzie tej skargi sam orzeka sankcję.
74. Sąd nad braćmi za konkretne ich czyny wykonywany jest przez lożę za pośrednictwem trzech wyznaczonych *ad hoc* sędziów, w których liczbie powinien być brat venerable; rozprawa toczy się w obecności oskarżonego brata i jest wobec braci tejże loży jawna; o potrzebie sądu decyduje każdorazowo loża; sankcję orzeka sąd, jaką

uzna za stosowną, gdyby zaś skazany nie zechciał się jej poddać, ulega on usunięciu z loży; usunięcie z loży jest karą najwyższą; bracia, należący do prezydium, nie ulegają sądowi loży, dopóki nie są odwołani; wyrok sądu komunikuje się na posiedzeniu loży i podaje się do wykonania prezydium.
75. W wypadkach stwierdzonej przez sąd loży zdrady względem Wielkiego Wschodu Litwy nazwisko zdrajcy podaje się za pośrednictwem brata venerable'a przez władzę centralną do wiadomości wszystkich lóż Wielkiego Wschodu Litwy; postępowanie w sprawie o zdradę może być z mocy uchwały loży przeprowadzone bez zapozwania oskarżonego.
Rozdział VII.
76. Najwyższą władzą jest Konwent Wielkiego Wschodu Litwy.
77. Konwent zwołuje się raz do roku. Poza tym Konwent może być zwołany albo z mocy uchwały ostatniego Konwentu, albo z inicjatywy centralnej władzy wykonawczej, albo na żądanie 1/3 części, lecz nie mniej niż siedmiu lóż.
C.d.n.

25 listopada, rok 1924, wtorek
Dalszy ciąg statutu Wielkiego Wschodu Litwy:
78. Termin i miejsce zwołania Konwentu, o ile nie zostały one ustalone przez poprzedni Konwent, wyznacza centralna władza wykonawcza, która zawiadamia o tym braci venerable'ów lóż i komunikuje im adres i parol dla braci posłów.
79. Każda loża bierze udział w Konwencie przez wybranego w tym celu brata posła; brat poseł musi być wybrany spośród braci mistrzów; podróż i utrzymanie brata posła w toku czynności poselskich pada na koszt loży.
80. Bratu posłowi może być udzielony przez lożę mandat imperatywny na Konwent; w takim razie brat poseł jest obowiązany popierać na Konwencie stanowisko loży w zakresie tego mandatu i głosować stosownie; mandat imperatywny nie prowadzi jednak do „*liberum veto*".
81. Brat venerable komunikuje bratu posłowi adres i parol na Konwent; nikt inny w loży o nich wiedzieć nie może.
82. Każda loża może wnieść na Konwent swoje wnioski ustawodawcze.
83. Porządek dzienny obrad ustala sam Konwent; ale sprawy, objęte mandatami imperatywnymi braci posłów i wnioski ustawodawcze lóż muszą być w porządku dziennym uwzględnione.
84. Każdy Konwent oznacza się liczbą porządkową.
85. Konwent wybiera prezydium w osobach braci Wielkiego Venerable'a, Wielkiego Dozorcy, Wielkiego Sekretarza; brat Wielki Dozorca jest wiceprzewodniczącym. Z zastrzeżeniem przepisów szczególnych Konwent obraduje jak loża.
86. Właściwość Konwentu z zastrzeżeniem przepisów statutu jest nieograniczona; uchwały Konwentu zapadają większością głosów; uchwały, zmieniające przepisy statutu, zapadają większością 2/3 głosów.
87. Centralną władzę wykonawczą reprezentują na Konwencie brat Wielki Mistrz i brat Sekretarz Generalny; jeżeli nie chcą się oni wobec Konwentu ujawnić, to komunikują się z nim za pośrednictwem Komisarzy Wyborczych.
88. Każdy Konwent na początku obrad wyznacza ze swego łona trzech braci Komisarzy Wyborczych, w których liczbie jest brat Wielki Venerable; Komisarze ci stanowią Komisję, która w warunkach przepisanych mianuje braci do centralnej władzy wykonawczej oraz brata Wielkiego Oratora; mianowany może być każdy brat Wielkiego Wschodu Litwy w stopniu mistrza; w tym celu brat Wielki Mistrz na żądanie braci Komisarzy. komunikuje im, o ile to mu jest wiadome, wszelkie wiadomości o

osobach, należących do lóż Wielkiego Wschodu Litwy, i może zasięgać od braci posłów uzupełniających wiadomości o braciach, należących do poszczególnych lóż – dla udzielenia ich braciom Komisarzom; do Komisji tej należą także sprawy dymisji braci władzy centralnej.
C.d.n.

26 listopada, rok 1924, środa
Przyjechał Stefan Mieczkowski i nocuje u mnie. Robimy teraz starania o przyznanie mu obywatelstwa litewskiego albo przynajmniej o to, by mu udzielono prawa zamieszkania w niepodległej, czyli „nie okupowanej" części Litwy jako Wilnianinowi. Starania te robimy przez dyrektora Departamentu policji (byłego sędziego wojennego) Danowskiego, od którego to przeważnie, choć nie wyłącznie zależy. Oprócz tego, Stefan Mieczkowski kontynuuje swoje zabiegi w charakterze plenipotenta starej p. Gierłowiczowej jako spadkobierczyni swego zamordowanego w r. 1919 brata Jana Hrehorowicza – o odzyskanie z zarządu państwowego i zlikwidowanie majątku spadkowego po Hrehorowiczu – Kopiany w powiecie możejkowskim wraz z fabrykami papki w tymże majątku.
Dalszy ciąg statutu Wielkiego Wschodu Litwy:
89. O osobach braci, wyznaczonych przez Komisarzy do składu centralnej władzy wykonawczej, Konwentowi się nie komunikuje.
90. Konwent – po wysłuchaniu sprawozdania Wielkiego Mistrza z działalności centralnej władzy wykonawczej, udzielonego bądź bezpośrednio, bądź za pośrednictwem braci Komisarzy (art. 87), udziela jej votum zaufania lub nieufności; w interpelacjach zachowuje się tryb, przepisany w art. 87; interpelacje mogą być wyczerpane również uchwałą votum nieufności; wszelkie wskazówki Konwentu są dla centralnej władzy wykonawczej obowiązujące.
91. Uchwała votum nieufności powoduje dymisję brata Wielkiego Mistrza.
92. Konwent nie może się odbyć, jeżeli stawiło się mniej niż siedmiu braci posłów; liczba ta redukuje się do pięciu, jeżeli lóż jest ogółem nie więcej, niż dziewięć.
93. Do Konwentu należy prawo sądu nad braćmi, pełniącymi centralną władzę wykonawczą; decyzja o oddaniu pod sąd skutkuje odwołaniem brata ze stanowiska; od sądu Konwentu nie jest wolny brat Wielki Orator; Konwent sam orzeka sposób wykonania służącego mu prawa sądu.
Rozdział VIII. O centralnej władzy wykonawczej Wielkiego Wschodu Litwy i o bracie Wielkim Oratorze.
94. Centralna władza wykonawcza Wielkiego Wschodu Litwy należy do Rady tegoż, na której czele stoi brat Wielki Mistrz i do której należy poza tym czterech braci Wielkich Terminatorów.
95. Brat Wielki Mistrz jest mianowany przez Konwent na 3 lata; odwołanie brata Wielkiego Mistrza może mieć miejsce tylko w razie oddania go przez Konwent pod sąd (art. 93); niezależnie od wypadku, przewidzianego w art. 91, brat Wielki Mistrz może się z własnej woli podać do dymisji tylko w czasie kadencji Konwentu.
C.d.n.

27 listopada, rok 1924, czwartek
Choć życzyłbym bardzo zamknąć w tym zeszycie dziennika cały tekst statutu Wielkiego Wschodu Litwy, jednak tak dziś jestem zmęczony, że już odpisywać go nie będę. Nie będę, mimo że wiem, że przez to nie zamknę tekstu statutu w niniejszym zeszycie.

28 listopada, rok 1924, piątek
Taki brzydki czas jesienny, że chciałoby się – zdaje się – wleźć w ziemię i zasnąć na wieki. Ta nasza jesień bezsłoneczna w miesiącach listopadzie i grudniu zabija wszelką energię. Kiedy będę umierać, chciałbym umrzeć w tych miesiącach. Nie czułbym wtedy żalu za życiem.
Dalszy ciąg statutu Wielkiego Wschodu Litwy:
96. Bracia Wielcy Terminatorzy są mianowani corocznie na zwyczajnym Konwencie; każdy z nich ma numer porządkowy – pierwszy, drugi, trzeci i czwarty; w tym porządku zastępują oni w razie konieczności brata Wielkiego Mistrza; są oni odwołalni w wypadku oddania pod sąd; do dymisji mogą się podać tylko w czasie kadencji Konwentu.
97. Rada Wielkiego Wschodu Litwy sama rozkłada funkcje między swych członków i sama układa regulamin swego funkcjonowania.
98. Osoba brata Wielkiego Mistrza musi być wiadoma braciom venerable'om wszystkich lóż.
99. Rada Wielkiego Wschodu Litwy może wyznaczać ze swego łona braci wizytatorów lóż, którzy zwracając się do lóż mogą komunikować się z nimi tylko przez ich braci venerable'ów; bracia wizytatorowie mogą objeżdżać siedziby lóż, żądać od nich informacji o działalności, udzielać wskazówek; brat wizytator używa parolu, znanego braciom venerable'om.
100. Do właściwości brata Wielkiego Mistrza i Rady Wielkiego Wschodu Litwy należy wykonywanie uchwał Konwentów, administracja, skarbowość Wielkiego Wschodu Litwy i wszystko to, co w poszczególnych przepisach statutu pod tym względem wskazane zostało; w szczególności Rada z udziałem brata Wielkiego Oratora rozpoznaje skargi lóż na ich braci oratorów i albo oddala je, albo wyrokuje o odwołaniu zaskarżonego brata oratora z tego stanowiska; wyroki te muszą być motywowane.
101. Brat Wielki Orator jest mianowany na dorocznym Konwencie na rok jeden; może uczestniczyć w posiedzeniach Rady Wielkiego Wschodu Litwy, ale bez głosu decydującego oprócz wypadku, przewidzianego w art. 100, w którym głosuje wraz z innymi braćmi Rady; brat Wielki Orator może zaoponować każdemu zarządzeniu Rady, skoro uważa je za niezgodne z przepisami statutu lub uchwałami Konwentów; opozycja ta zawiesza moc zarządzenia aż do decyzji najbliższego Konwentu; brat Wielki Orator obowiązany jest znać biegle statut i uchwały Konwentów; przechowuje on archiwum Wielkiego Wschodu Litwy, które nie może być nigdy w lokalu, w którym zasiada Konwent lub w którym odbywa się posiedzenie Rady.
102. Brat Wielki Orator może się, gdy uzna to za potrzebne, skomunikować z bratem oratorem każdej loży; w tym celu brat Wielki Mistrz obowiązany mu jest udzielić na żądanie parol i wskazać osobę brata venerable'a odpowiedniej loży.
103. Parole ustanawia brat Wielki Mistrz i komunikuje komu należy; może je zmieniać dowolnie i może ustanawiać różne parole dla różnych lóż i wypadków.
C.d.n.

29 listopada, rok 1924, sobota
Ciąg dalszy (a może już będzie dokończenie) statutu Wielkiego Wschodu Litwy:
Rozdział IX. O organizacji władz tymczasowych Wielkiego Wschodu Litwy.
104. Normalna organizacja władz głównych Wielkiego Wschodu Litwy, określona w rozdziale VII i VIII, ma miejsce wtedy, gdy Wielki Wschód Litwy liczy ogółem nie mniej niż siedem lóż.
105. Jeżeli liczba lóż wynosi mniej niż pięć lóż, to centralna władza wykonawcza należy do prezydium najstarszej loży; działając w charakterze władzy centralnej – brat

venerable tej loży jest bratem Wielkim Mistrzem, bracia zaś dozorca, sekretarz i skarbnik są braćmi Wielkimi Terminatorami, brat orator – bratem Wielkim Oratorem.
106. W wypadku, przewidzianym w art. 105, funkcje Konwentu należą do zjazdu braci venerable'ów lóż.
107. Kiedy liczba lóż wynosi 5 albo 6, to funkcje Konwentu należą do Konferencji Wielkiego Wschodu Litwy, w której loże biorą udział przez braci posłów; quorum Konferencji liczy trzech braci posłów.
108. W wypadku, przewidzianym w art. 107, centralna władza wykonawcza należy na warunkach, określonych w art. 107, do prezydium tej loży, która została wyznaczona przez Konferencję.
Rozdział X. O wycofaniu się z Wielkiego Wschodu Litwy.
109. Każdy brat może każdej chwili wycofać się z Wielkiego Wschodu Litwy; wystarcza proste oświadczenie o tym bratu venerable'owi loży. na wycofującym się ciąży jedyny obowiązek – dochowania tajemnicy stosownie do uroczystego przyrzeczenia, złożonego przy wstąpieniu do loży; jeżeli były brat zechce ponownie wstąpić w poczet braci, to w każdym razie może to nastąpić nie inaczej, jak na zasadzie przegłosowania jego kandydatury w loży (jednogłośnie); od innych formalności przyjęcia loża może go zwolnić, ale wstępujący ponownie powinien oświadczyć w loży, że potwierdza swoje pierwotne przyrzeczenie uroczyste.
Oto – dokończyłem.
Na tym też zamykam ten trzydziesty – najdłuższy ze wszystkich – zeszyt dziennika.

Michał Römer
Kowno
30.XI.1924.